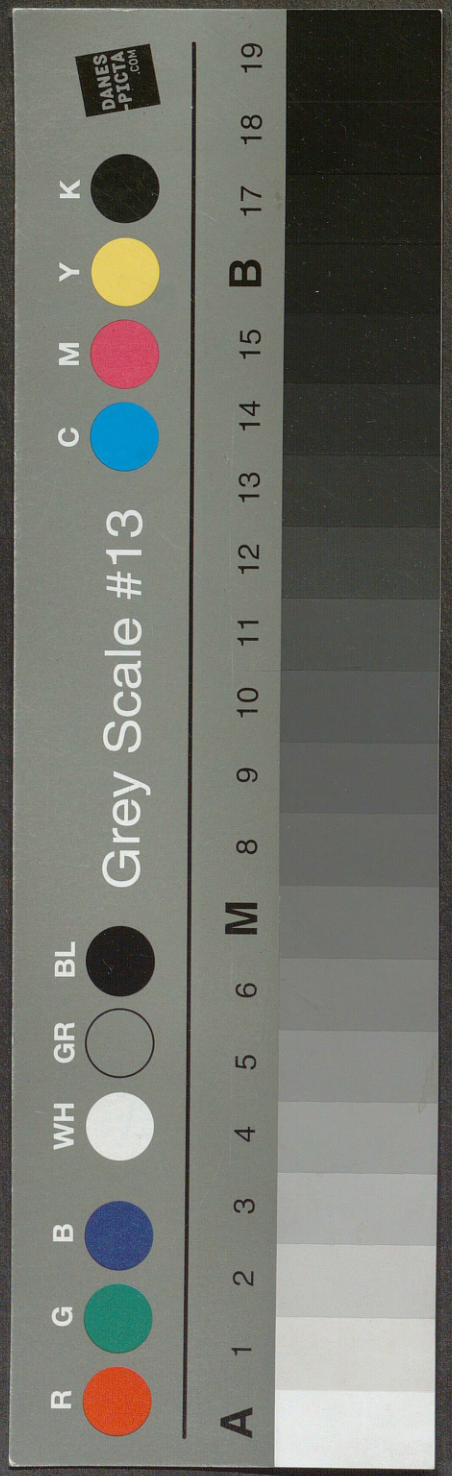
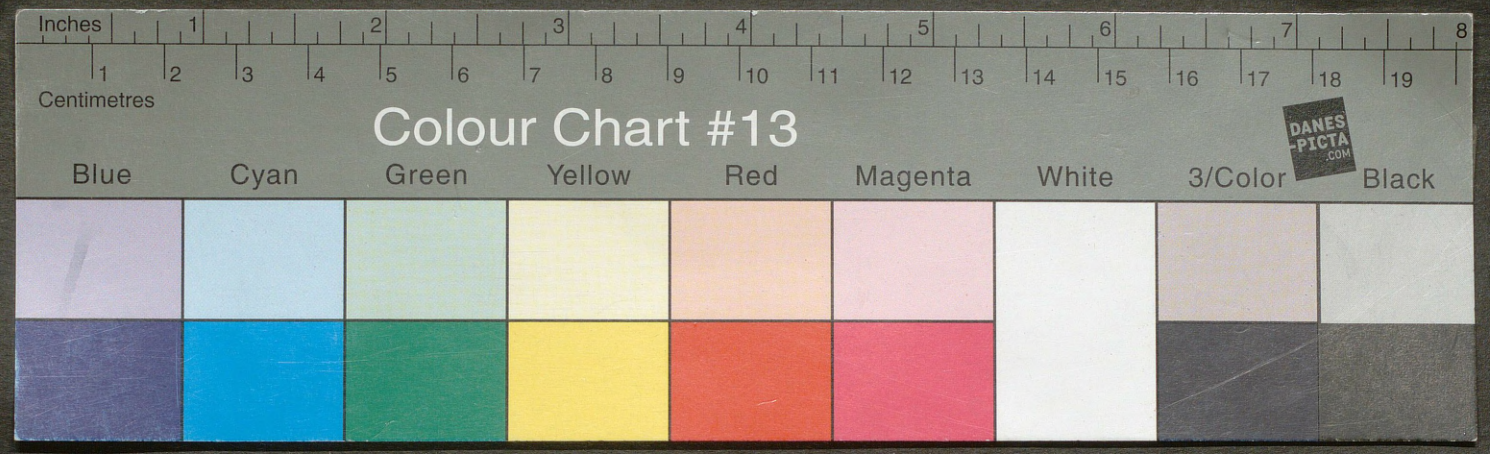

Grey Scale #13
C M Y K
R G B WH GR BL
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9
B 17 18 19
DANES-PICTA.COM


Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM



A. Strassburger

PRAWDA

Książka zbiorowa
dla uczczenia
dwudziestopięcioletniej
działalności

Aleksandra Świętochowskiego

1870—1895

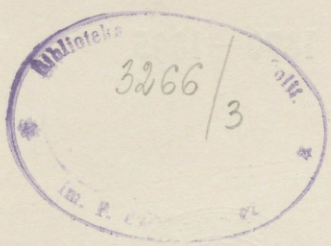


Lwów
Nakładem księgarni H. Altenberga

Petersburg
K. Grendyszyński

1899

92 (Świętochowski)



Z Drukarni F. K. Pobudkiewicza w Krakowie.

Aleksandrowi Świętochowskiemu

Pisarze polscy.

Aleksander Świętochowski

urodził się d. 18 stycznia 1849 roku, w historycznym Stoczku na Podlasiu, z ojca, Feliksa, i matki, Michaliny ze Skupiewskich. Nauki gimnazjalne pobierał naprzód w Siedlcach, potem w Lublinie, gdzie dobór kilku profesorów, przy ogólnym wówczas popędzie do namiętnego wchłaniania nauki, ożywczo oddziaływał na umysły młodzieży, z pomiędzy której wielu następnie zasłynęło na różnych polach działalności społecznej, że wspomnim takie tylko nazwiska jak Głowackiego (Bolesława Prusa) i Ochorowicza.

Ukończywszy liceum lubelskie, przyjechał Świętochowski do Warszawy i zapisał się na wydział filologiczny (sekcję historyczną) Szkoły Głównej w r. 1866. Z pośród wykładów najwięcej cenił odczyty Aleksandra Tyszyńskiego z dziejów literatury polskiej od jej pierwszych zawiązków aż do końca wieku XVIII; inne wywoływały już wtedy budzący się silnie zmysł krytyczny. Z początkiem roku akademickiego 1869/70 Szkołę Główną przemieniono na uniwersytet z wykładem rosyjskim; prelekcji Tyszyńskiego już nie było. Dyplom uniwersytecki uzyskał Świętochowski w czerwcu 1870 roku.

Opuścił wtedy gród nad Wisłą, ale nie na długo; spędziwszy bowiem wakacje w Kurowie, gdzie wówczas przebywała jego rodzina, powrócił do Warszawy, ażeby się poświęcić pracy literackiej, zrazu w połączeniu z nauczycielską, potem jej samej już tylko wyłącznie.

W bardzo krótkim przeciągu czasu ciętością słowa, świetnością oryginalnego stylu i nieznużonym zapałem w szerzeniu ideji postępowych, wyrobił sobie wybitne stanowisko jako publicysta, wywierający wpływ olbrzymi na młodzież za pośrednictwem przeróżnych artykułów i słynnych »Ech Warszawskich«, drukowanych w *Przeglądzie Tygodniowym*, głównym natenczas organie literackim postępowców, pragnących skołatane społeczeństwo przejąć otuchą i do dalszej pracy pobudzić, pomimo najcięższych jej w kraju warunków.

Z jakiegokolwiek stanowiska oceniać się będzie ów ruch pamiętny, stanowiący nowy okres w naszym rozwoju i literackim i społecznym, każdy przecież bezstronny przyzna, że dzielniejszego, wytrwalszego i bardziej utalentowanego niż Świętochowski szermierza obóz postępowy nie miał, i że

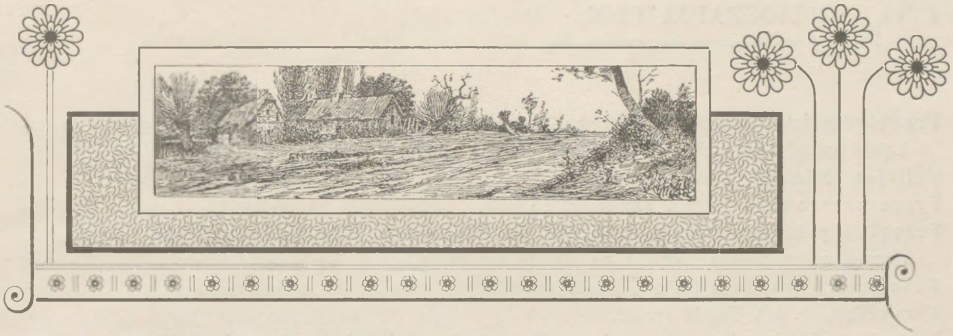
dla otrząśnięcia umysłów z apatji potrzeba było tak ostrego i tak namiętnego słowa, jakiem on tylko władać potrafił. Pozyskiwał niem entuzjastycznych wielbicieli, chociaż, jak naturalne, robił sobie i wrogów zaciętych.

Celem pogłębienia swej wiedzy udał się Świętochowski w r. 1874 do Lipska, by słuchać wykładów z zakresu filozofji, etnografji i pedagogiki i osiągnąć stopień doktorski, który też w r. 1876 otrzymał.

Nie zaprzestając przez ten czas swojej działalności publicystycznej, owszem, wzmógłszy ją jeszcze, wystąpił Świętochowski w nowej dziedzinie, jako autor dramatyczny. Dramat trzyaktowy p. t. »Niewinni«, przesłany pod pseudonimem Władysława Okońskiego na konkurs krakowski, został w r. 1875 zalecony do grania i pozyskał świetne powodzenie. W rok potem powstał »Ojciec Makary« a następnie cały szereg innych. Jak w publicystyce, tak i w dramaturgji zajął Świętochowski stanowisko odrębne pod względem wyboru tematów, jakoteż ich obrobienia, pełnego wytworności stylowej i nieposzlakowanej czystości języka.

Z *Przeglądem Tygodniowym* rozstał się Świętochowski w sierpniu r. 1878, a w grudniu tegoż roku objął redakcję dziennika *Nowiny*, przy którym zaprowadził następnie tygodniowy dodatek literacki. Tu oprócz fejletonów, zwracających na siebie powszechną uwagę, dał się poznać po raz pierwszy z nowego odcienia swego talentu, występując jako nowelista, różniący się od wszystkich innych, a mianowicie jako autor »Chawy Rubin« — prawdziwego arcydzieła.

Od r. 1881 skupił swą działalność w założonym przez siebie i prowadzonym dotychczas tygodniku *Prawda*. Tu zdobył sobie zupełną niezależność. Tu rozwinął i rozwija najdojrzalsze swe poglądy społeczno-polityczne. Tu w *Liberum veto* protestuje przeciwko wszelkiemu fałszowi, brakowi godności indywidualnej i narodowej i wogóle przeciwko różnorodnym chorobliwym objawom umysłów niedojrzałych lub przejrzałych, które równowagi ducha utrzymać nie umieją. Tu roztacza najszczytniejsze loty swej wyobraźni w formie dramatycznej czy powieściowej. Tu wreszcie swą zacną skwapliwością w dopomaganiu każdemu szlachetnemu ruchowi na polu pracy społecznej, swoją bezinteresownością i sercem gorliwem przejednywa dawniejszych wrogów swoich, zdolnych odczuć i zrozumieć przeciwnika.



Bibliografja pism Aleksandra Świętochowskiego

(1867–1897).

Bibljografja niniejsza podaje wykaz wszystkich prac Aleksandra Świętochowskiego do roku 1897 włącznie. Przy artykułach, niepodpisanych nazwiskiem całem, podano w nawiasie kryptonim lub pseudonim, rzeczy drukowane bez podpisu oznaczono literami *b. p.*

1867.

Kaźmirz dzisiejszy (podp. Henryk Dołęga) »Tygodnik Ilustrowany« (Warszawa) nr. 424.

1870.

Dzieje ideału (Bibljot. Warsz. 1869); kilka słów o najnowszych powieściach Zacharjasiewicza. »Gazeta Polska« (Warszawa) nr. 26.

Przegląd piśmienniczy. Debiuty powieściowe w roku przeszłym: Pan Profesor (»Bluszcz« 1869); Życie Nauczycielki, Sobiesławy Wincenty (»Gazeta Polska« 1869) »Tygodnik ilustrowany« nr. 125.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Przyjaciele, bajka djalogowana przez Adama Pługa, Lwów 1870 r. (podp. As). »Przegląd Tygodniowy życia społecznego, literatury i sztuk pięknych«. (Warszawa) nr. 45.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Kwiaty i Owoce, wydał Ignacy Trusiewicz, Kijów, w uniwersyteckiej drukarni, 1870 r. (podp. As). Tamże nr. 46.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Dziewczyna, powieść M. Dzikowskiego, Warszawa 1870 (podp. As). Tamże nr. 49.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Rzym za Nerona. (Obrazy historyczne) przez J. I. Kraszewskiego, Kraków 1866 r. (podp. As). Tamże nr. 51.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Porwanie Sabina, obrazek z życia przez Jana Zacharjasiewicza, Toruń, nakładem księgarni F. T. Rakowicza, 1870 r. (podp. As). Tamże nr. 52.

1871.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Pierwsze zasady krytyki powszechnej, napisał Aleksander Tyszyński, b. prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1870. »Przegląd Tygodniowy« nr. 2, 3, 4.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Wielki los, powieść przez Martę Moimir, Kraków 1871. Tamże nr. 6.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Wojna o pannę, obrazek z małomiejskich stosunków W. X. Poznańskiego, skreślił J. M., Poznań 1871 r. Tamże nr. 9.

Seweryn Goszczyński (Notatka literacka). Tamże nr. 10.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Kolce, kartki humorystyczno-satyryczne; zeszyt I., redakcja i nakład Dzikowskiego, Warszawa 1871 r. (podp. S.). Tamże nr. 10.
Felicjan (Faleński). Tamże nr. 14.
Prasa warszawska (b. p.). Tamże nr. 16.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Aktorka, powieść Edwarda Lubowskiego. (»Tygodnik romansów i powieści« 1870/71 r.). Tamże nr. 18.
Fabrykacja skandalu (b. p.). Tamże nr. 19.
Faryzeizm (b. p.). Tamże nr. 20.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Żydówka, powieść Michała Bałuckiego, Warszawa 1871. (podp. A. S.). Tamże nr. 20.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Opowiadanie Stasia, powiastka T. T. Jeża, 1871 r. (podp. A. S.). Tamże nr. 21.
Nałogi (b. p.). Tamże nr. 23.
W kwestji męskiej (odwrotna strona medalu). (b. p.). Tamże nr. 24.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Cnotliwi, powieść Elizy Orzeszko, Warszawa 1871 r. (podp. A. Ś.). Tamże nr. 26.
Pasożyty literackie (b. p.). Tamże nr. 29.
Pleśń społeczna i literacka (b. p.). Tamże nr. 31.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Dramata konkursowe: Epidemja — Narzymskiego (»Tygodnik Ilustrowany« 1871); Pracowici próżniacy — Bałuckiego (»Kłosy« 1871). (podp. A. Ś.). Tamże nr. 32.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Ostatnie poezje Marjana Korwina Kochanowskiego Kraków 1870 r. Tamże nr. 33.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Piękna pani, powieść-studjum przez J. I. Kraszewskiego, Lwów 1871 r. (b. p.). Tamże nr. 34.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Za posagiem, powieść P. Wilkońskiej, Lwów 1871 r. (podp. A. Ś.). Tamże nr. 35.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Skrupuły, powieść przez Kazimierza Chłędowskiego, Kraków 1871 r. Tamże nr. 36.
Djabli wiedzą na co (b. p.). Tamże nr. 38.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Syn Gwiazdy, dramat w trzech aktach, Kraków 1871. Tamże nr. 38.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Hjeronim Wespazjan Nieczuja z Kochowa Kochowski przez Adama Rzążewskiego, Warszawa 1871 r. (b. p.). Tamże nr. 39.
Poszanowanie pracy (b. p.). Tamże nr. 41.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Wychowanie kobiet wobec dzisiejszych dążeń społecznych; odczyty publiczne Józefy z Szmigielskich Dobieszewskiej, Lwów 1871 r. Tamże nr. 41.
My i wy (b. p.). Tamże nr. 44.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych przez A. D., Lwów 1871 r. Tamże nr. 44.
Frazeolodzy (b. p.). Tamże nr. 46.
O pracach literackich pana F. H. Lewestama. (Profil). (b. p.). Tamże nr. 47.
Zabawnie i smutno (b. p.). Tamże nr. 48.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Wychowanica, powieść Alberta Górowskiego, Kraków 1871 r. (b. p.). Tamże nr. 49.
Na wyłomie (b. p.). Tamże nr. 50.

1872.

Opinja publiczna (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 1.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Pałac i folwark, obrazy naszych czasów, przez J. I. Kraszewskiego, Poznań 1871 r. Tamże nr. 2.
Nie w porę (b. p.). Tamże nr. 3.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Historja siwego włosa, powieść Władysława Łozińskiego, Poznań 1871 r. Tamże nr. 4.
Pół-słówka (b. p.). Tamże nr. 7.
O tolerancji (b. p.). Tamże nr. 9.
Absenteizm (b. p.). Tamże nr. 11.
Gabrjela Narcyza Żmichowska. Tamże nr. 14, 17, 18, 19, 20.
Herbert Spencer (studjum z dziedziny pozytywizmu). (b. p.). Tamże nr. 15, 25, 26, 29.
Ogniska rodzinne (b. p.). Tamże nr. 16.
Tradycja i historja wobec postępu (b. p.). Tamże nr. 19.
W sprawie kobiet (b. p.). »Niwa«, dwutygodnik naukowy, literacki i artystyczny (Warszawa). nr. 10.
Błogosławieni cisi... (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 21.
Młodzi (b. p.). Tamże nr. 23.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Prawo postępu, studjum przyrodniczo-społeczne przez Ludwika Masłowskiego, Kraków 1872 r. Tamże nr. 23.
Starzy (b. p.). Tamże nr. 24.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Co Bóg dał, wydał F. M. Ejsmont, Kijów 1872 r. (b. p.). Tamże nr. 28.
Przeznaczenie (b. p.). Tamże nr. 30.
August Comte i Herbert Spencer. Tamże nr. 31.
Trzeźwi i pijani (b. p.). Tamże nr. 32.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Pan Graba, powieść w trzech częściach Elizy Orzeszkowej (Bibljoteka Romansów i Powieści), Lwów 1872 r. Tamże nr. 32.
Zarysy Anglji przez Taine'a, przełożył Aleksander Świętochowski. Warszawa, nakładem i drukiem Redakcji »Przeglądu Tygodniowego« 1872 r. 3 tomy. T. I. 150 str.; t. II. 174 str.; t. III. 119 str.
Praca i modlitwa (b. p.). »Przegląd tygodniowy« nr. 34.
Co robić? (b. p.). Tamże nr. 37.
Polemika (b. p.). Tamże nr. 40.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Gawędy Matki przez Anastazję z Jełowieckich Dzieduszycką, Lwów 1872 r. Tamże nr. 40 i 41.
Stowarzyszenia w celach umysłowych (b. p.). Tamże nr. 44.
Kwestja małżeńska. I. Gieneza i Zasady. II. Miłość i Ugoda. III. Poligamja i Poliandrja (b. p.). Tamże nr. 46, 48, 50.
Literatura francuska. *L'homme-Femme par Al. Dumas Fils.* (*Paris 1872*). Protestacje: *La Femme-Homme, reponse d'une femme à M. Alexandre Dumas fils* (*Paris 1872*). *L'homme, qui saitetude triangolique par une mère, à M. Dumas fils* (*Paris 1872*). *L'homme, reponse à M. Dumas fils par M-me Hermance Lesguillon* (*Paris 1872*). *L'homme et La Femme lettre à M. Dumas fils par E. Girardin* (*Paris 1872*). Tamże nr. 51 i 52.

1873.

1872 (Wspomnienie). (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 1.
Na straży (b. p.). Tamże nr. 2.
Kwestja małżeńska IV. Separacja i rozwód (b. p.). Tamże nr. 3.
Nowa resursa (b. p.). Tamże nr. 4.
Projektomanja (b. p.). Tamże nr. 6.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. O prawach kobiety, napisał Edward Prądzyński, Warszawa 1873. Tamże nr. 6, 7, 8, 9.
Uroczystość Kopernika (b. p.). nr. 7.
Praca u podstaw. I. Ogólne jej pojęcie. V. Parafja. VII. Średnia wioskowa inteligiencja (b. p.). Tamże nr 10, 16, 24.

O średniem wykształceniu kobiet. Odczyt publiczny Al. Świętochowskiego, miany w sali Resursy Obywatelskiej 1-go kwietnia 1873 r. Tamże nr. 14, 15, 16, 17, 18, 19.

Odpowiedź. Tamże Nr 17.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Henryk Brodaty, ustęp z dziejów epoki piastowskiej, napisał Stanisław Smolka, Lwów, 1872 r. Tamże nr. 20.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Pozytywizm i jego wyznawcy w dzisiejszej Francji, napisał Dr Ziemba, Kraków, 1872 r. (b. p.). Tamże nr. 23.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Początki Unji Lubelskiej, przez Dra Augusta Mosbacha, Poznań, 1872 r. Tamże nr. 25.

Fałszywe alarmy (b. p.). Tamże nr. 26.

Artykuł wstępny w kwestji pojedynków p. n. »Warszawa, d. 13 lipca 1873 r.« (b. p.). Tamże nr. 28.

Artykuł wstępny w kwestji obsadzonych przez Komisję Rządową Sprawiedliwości posad patronów Trybunału p. n. »Warszawa, d. 20 lipca 1873 r. (b. p.). Tamże nr. 29.

Nowe szkoły (b. p.). Tamże nr. 31.

Kretowiska (b. p.). Tamże nr. 32, 33.

Przegląd literacki. Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego, ks. I., tom I., poszyt 1, 2, 3 i 4. Poznań, 1872 r. Tamże nr. 32, 33.

Polemika (podp. A. S.). Tamże Nr 33.

Przegląd literatury pedagogicznej. Wyższe kształcenie w Anglji i Szkocji. (*De l'enseignement supérieur en Angleterre et en Ecosse, raport adressé a S. E. M. le Ministre de l'instruction publique par M. M. I. Demogeot et H. Montoucci. Paris 1870).* (b. p.). Tamże nr. 34.

Katechizm rodzinny (b. p.). Tamże nr. 40.

Przegląd naukowy. I. Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier, opracował Dr. Franciszek Czerny, Kraków, 1872 r. (b. p.). Tamże nr. 41, 42.

A propos... (b. p.). Tamże nr. 45.

Przegląd literacki. Kilka słów o kobietach Elizy Orzeszkowej, Lwów, 1873 r. (b. p.). Tamże nr. 45, 46.

Przegląd naukowy. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły, opowiadanie historyczne Klemensa Kanteckiego, Lwów 1874. (b. p.). Tamże nr. 49.

Noblesse oblige (b. p.). Tamże nr. 51.

A propos listu pasterskiego J. W. Walentego Baranowskiego, biskupa lubelskiego (b. p.). Tamże nr. 52.

1874.

1873 (Wspomnienie). (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 1.

O wyższem ukształceniu kobiet. Odczyt publiczny miany w Resursie Obywatelskiej dnia 13 grudnia 1873 r. przez Aleksandra Świętochowskiego. Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9.

Z ustronia (podp. Juljusz Polkowski). »Niwa« nr. 49, 50.

Kosmopolityzm (b. p.). Tamże nr. 50.

Nowe drogi. I. (Zasady i cele); II. (Wychowanie człowieka); III. (Równouprawnienie wyznań i płci); IV. (Wychowanie ludowe); V. (Wychowanie klasy średniej). (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 3, 6, 8, 13, 19, 24.

Wielkopostny obyczaj. (b. p.). »Niwa« nr. 53.

Pora zawierania małżeństw (podług J. Miecznikowa). (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 10, 12, 13, 18, 23.

Serbja i jej stan. (Serbja, zarysy historyczno-etnograficzne, skreślił A. Pawiński, Warszawa, 1874 r. Serbja w XIX wieku przez Saint René Taillandier'a, przekład z francuskiego 1873 r. (podp. A. S.). Tamże nr. 11, 15, 22, 25, 28, 29.

Józef Ignacy Kraszewski (b. p.). Tamże nr. 12.

Nowe tory idealnej krytyki (b. p.). Tamże nr. 15.

Polemika (b. p.). Tamże nr. 18.

Rodzice wobec szkoły (rzecz a propos egzaminów i promocji). (b. p.). Tamże nr. 26.
Z Niemiec. I. (Punkt obserwacyjny); II. (Patron obecnej doby); III. (Niemiecki barbaryzm i nasza cywilizacja); IV. (Bismarkjada); V. (Gody ciągłe — czy wieczne?); VI. Stary i nowy Faust). (b. p.). Tamże nr. 27, 29, 33, 38, 39, 43, 49.
Wstrzymajmy się! (b. p.). Tamże nr. 28.
Wywóz naszej inteligiencji (b. p.). Tamże nr. 32, 34.
Przegląd literatury angielskiej. *Problems of Life and Mind, by G. H. Lewes, London, 1874.* (b. p.). Tamże nr. 36, 37.
Z francuskiej publicystyki (Rochefortowska »Latarnia«). (podp. A.). Tamże nr. 38.
Przegląd literacki. Sztuka współczesna i jej kierunki (1873). Szkice z Włoch przez Kazimierza Chłędowskiego, Lwów. (podp. A. S.). Tamże nr. 40, 41.
Nauka i występek (b. p.). Tamże nr. 41, 42, 45.
Bolesna karta (Prusacy w Alzacji i Lotaryngji). (b. p.). Tamże nr. 42, 44, 46, 48.
Brukselski kongres (b. p.). Tamże nr. 45.
Stracone (b, p.). Tamże nr. 46.
Z podartych kartek (b. p). Tamże nr. 47.
Jednaką bronią na jednakim gruncie (b. p.). Tamże nr. 49.
Bezskuteczne słowa (b. p.). Tamże nr. 51.

1875.

Dziedziczność charakteru (w pierwszych dwóch numerach podp. S. S., w następnych A. S.). »Tydzień literacki, artystyczny, naukowy i społeczny« (Lwów) nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9.
1874 (Wspomnienie). (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 1.
Z Niemiec. I. Nowe prądy; II. Rachunki; III. W poselskiej izbie; IV. Reformy; V. Wolność w kozie. (b. p.). Tamże nr. 1, 6, 10, 15, 30.
Ostatnie naukowe badania. *Völkerkunde von Oscar Peschel, Leipzig 1875.* (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3.
O Anglji. I.; II. (Tyndall); III. (Oryginały); IV. (Uroczyste dni); V. (Kłopoty); VI. (Byron i Darwin); VII. (Russel). (b. p.). Tamże nr. 4, 8, 12, 21, 32, 36, 52.
Ułaskawiony występek (b. p.). Tamże nr. 5.
Ostatnie naukowe badania. *Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwickelung bis zur Gegenwart von Friedrich von Hellwald, Augsburg 1875.* (b. p.). Tamże nr. 7, 9, 11, 13.
Charles Lyell (Wspomnienie). (b. p.). nr. 13.
Tłumaczenia naszych poetów (Malczewski i Mickiewicz). (b. p.). Tamże nr. 16.
Piśmiennictwo zagraniczne. Recenzja A. Świętochowskiego (*Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwickelung bis zur Gegenwart von Friedrich von Hellwald; Augsburg, 1875.* Najnowsza historja cywilizacji). »Tydzień« (Lwów) nr. 16, 17, 18, 19.
Pozytywna nauka moralności *(Dr Eug. Bourdet: De la morale dans la philosophie positive. Dr Clavel: La morale positive. Paris 1874).* (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 17, 18.
Edgar Quinet (Wspomnienie). (b. p.). Tamże nr. 19.
Bajadera (b. p.). Tamże nr. 20.
Przegląd naukowy. Umowa społeczna (*Contrat social*), J. J. Rousseau (Dzieło 3 tomowe F. Brockerhoffa »Życie i dzieła J. J. Rousseau«, Lipsk 1874 r., nakładem Ottona Wigand'a (b. p.) Tamże nr. 21, 23, 28.
Za swojskim śladem (I. Lotniki). (b. p.). Tamże nr. 22, 26.
Słowacy (b. p.). Tamże nr. 23, 25.
Przegląd literatury niemieckiej (b. p.). Tamże nr. 27, 28.
Ostatnie naukowe badania. *Responsibility in Mental Disease by Dr H. Maudsley, London 1875.* (b. p.). Tamże nr. 29, 31, 33, 35.
Literatura niemiecka. Ogólny pogląd na obecny stan dramatycznej literatury niemieckiej; Historja sztuki dramatycznej w Niemczech przez Edwarda Devrient'a. (b. p.). Tamże nr. 33, 34.
Humorystyczna proza XIX wieku. (b. p.). Tamże nr. 34, 36, 38, 40.

Niemiecka prasa. (b. p.). Tamże nr. 41, 43, 45, 49.
Niewinni, dramat w trzech aktach (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52.
Ostatnie naukowe badania. *Bau und Leben des socialen Körpers von Dr Albert Schäffle, Tübingen, 1875.* (b. p.). Tamże nr. 46, 48, 51.
Europa w 1874 roku. (b. p.). Tamże nr. 50.
Gieografja współczesna I. (b. p.). Tamże nr. 50.

1876.

Z Niemiec. Uniwersytety (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 1, 4.
Przodownictwo bezwstydu (b. p.). Tamże nr. 2, 4.
Gieografja współczesna (Historja gieografji). (b. p.). Tamże nr. 2.
Ostatnie naukowe badania. Dzieła Wundta w polskim przekładzie. (b. p.). Tamże Nr 3, 5.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. Juljan Ochorowicz: Naukowe prace. Z dziennika psychologa, Warszawa, 1875. (b. p.). Tamże nr. 6, 7.
Piśmiennictwo zagraniczne. *Dr. Richard Roepell: Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts, Gotha, 1876* (podp. Dr. A. S.). »Tydzień« (Lwów) nr. 8, 9, 10, 11, 12.
Antea, obrazek dramatyczny (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 9, 10.
Odpowiedź p. Ochorowiczowi (b. p.). Tamże nr. 10.
Z Galicji (b. p.). Tamże nr. 12, 13, 20, 25, 35.
Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären. Eine ethische Analyse von Dr Aleksander Świętochowski. Krakau, A. Dygasiński's Verlagsbuchhandlung, Druck von W. Kornecki. 1876. 84 str.
Niewinni. Dramat w trzech aktach przez Wł. Okońskiego. Warszawa, nakładem i drukiem Redakcji »Przeglądu tygodniowego«. 1876. 193 str.
Niewinni. Dramat w trzech aktach przez Wł. Okońskiego, Wydanie drugie. Kraków, nakładem Adolfa Wiesiołowskiego, skład główny w księgarni Adolfa Dygasińskiego i Sp., druk W. Korneckiego. 1876. 119 str., (Niewinni od str. 1 do 103; od str. 105 do 119 Antea, obrazek dramatyczny).
Nieśmiertelne dusze. I. Ojciec Makary. Dramat w trzech aktach Władysława Okońskiego. Kraków, w drukarni W. Korneckiego, nakładem księgarni Adolfa Dygasińskiego i Sp. 1876. 69 str.
Filozofowie-Niewolnicy (podp. Wł. Okoński) »Tydzień« (Lwów) nr. 13, 14.
Na targu, obrazek dramatyczny w jednym akcie. (podp. Wł. Okoński) »Przegląd Tygodniowy« nr. 15, 16.
Przegląd filozoficzny. Henryk Struve: Synteza dwóch światów, Warszawa 1876 r. (b. p.). Tamże nr. 23.
Dumania pessymisty I. Zagadki wiedzy. II. Początek i koniec. III. Człowiek. IV. Mężczyzna i kobieta. V. Zgoda. VI. W społecznem wnętrzu. (b. p.). Tamże nr. 24, 27, 33, 36, 45, 49.
Nasze drogi polityczne. (b. p.). Tamże nr. 27.
Za maską (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 27, 28.
Serbja i jej wrodzy (b. p.). Tamże nr. 28.
Czy wojna europejska jest możebna i komu potrzebna? (b. p.). Tamże nr. 29.
Rzym w usługach Stambułu. (b. p.). Tamże nr. 30.
Pangiermanizm i pansłowianizm. (b. p.). Tamże nr. 31.
Polityka wyższa i niższa. (b. p.). Tamże nr. 32.
Wyścig politycznej prawomyślności. (b. p.). Tamże nr. 33.
Polityczne wyrzuty sumienia. (b. p.). Tamże nr. 34.
Wina i kara. (b. p.). Tamże nr. 36
Polityka własna. (b. p.). Tamże nr. 37, 38.
Polacy i Niemcy *(Polen und Deutsche, von H. Wuttke)*. Tamże nr. 38, 43, 51.

Indjanie północnej Ameryki. »Ateneum«, pismo naukowe i literackie (Warszawa). Tom III. Zeszyt IX. str. 533—547.
Helvia (podp. Wł. Okoński). »Przegląd Tygodniowy« nr. 40, 41, 42.
Polityka Galicji (b. p.). Tamże nr. 41.
Racja politycznego współczucia (b. p.). Tamże nr. 42.
Złe znaki (b. p.). Tamże nr. 44.
Z powodu galicyjskich wyborów (b. p.). Tamże nr. 45.
O chwili (b. p.). Tamże nr. 46.
Gabrjela Narcyza Żmichowska. »Kalendarz gospodarski dla kobiet na rok 1877« wydany nakładem Redakcji »Przeglądu Tygodniowego«.
Przegląd literatury. *Aus Halb Asien. Culturbilder aus Galizien, der Bukowina, Südrussland und Rumänien, von Carl Emil Franzos*, Wiedeń 1877, 2 tomy. (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 47.
Komedja politycznej niewinności (b. p.). Tamże nr. 48.
Z Niemiec (b. p.). Tamże nr. 50.
Wojna i pokój (b. p.). Tamże nr. 52.

1877.

1876 (Wspomnienie). (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 1.
Ostatnie badania naukowe. Człowiek przedhistoryczny J. Lubbocka. (b. p.). Tamże nr. 1, 6.
Jeszcze o Serbji (b. p.). Tamże nr. 2.
O prześladowaniu djabła w Polsce (podp. Dr filozofji Aleksander Świętochowski). Tamże nr. 2, 3, 4, 5.
Demonstracje studenckie (b. p.). Tamże nr. 3.
Polityka własna (b. p.). Tamże nr. 4.
Polityka użyteczności (b. p.). Tamże nr. 5.
Nowa konstytucja (b. p.). Tamże nr. 6.
Poddanka (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 6, 7, 8.
Nie tędy (b. p.). Tamże nr. 7.
Z orlego gniazda (b. p.). Tamże nr. 7, 8, 10, 12, 15.
Reakcja (b. p.). Tamże nr. 9.
Prelekcje publiczne w Warszawie. Dra H. Struvego: Mikołaj Rej jako filozof i moralista. (b. p.). Tamże nr. 9.
Przegląd literatury. Cudzoziemcy w Polsce, zebrał Ks. Liske. Lwów 1877. (b. p.). Tamże nr. 9, 10, 11.
Sprawa serbska (b. p.). Tamże nr. 10.
Szkice węglem Litwosa (b. p.). Tamże nr. 10.
Nadzieje wiosny (b. p.). Tamże nr. 11.
Jackowi Soplicy z Niwy (podp. Autor bez charakteru, wyzuty z wszelkich szlachetnych popędów). Tamże Nr 12.
Dwa prądy (b. p.). Tamże nr. 13.
Kosmopolityzm (b. p.). Tamże nr. 14.
Aleksander Bain (Wspomnienie). (b. p.). Tamże nr. 14.
Protokół londyński (b. p.). Tamże nr. 15.
Turecki parlament (b. p.). Tamże nr. 16.
Niegrzeczności (b. p.). Tamże nr. 16.
Polska historjozofja (b. p.). Tamże nr. 17, 18.
Cywilizacja i jej prawa (b. p.). Tamże nr. 19, 20, 21.
Gladstone (b. p.). Tamże nr. 20.
Masław (J. I. Kraszewski: Powieści historyczne. IV. Masław, powieść z XI wieku, tomów 2, Kraków 1877 r.). (b. p.). Tamże nr. 20.
Nowe przesilenie we Francji (b. p.). Tamże nr. 21.
Francusko-Pruski Antagonizm (b. p.). Tamże nr. 23.

Z polskiego Parnasu (b. p.). Tamże nr. 24, 25.
Nasiona przeszłości (b. p.). Tamże nr. 25.
Z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce (podp. A. S.). Tamże nr. 32, 33.
Bez przywództwa (b. p.). Tamże nr. 32.
Już czas (b. p.). Tamże nr. 33.
Dla dzisiejszego socjologa i przyszłego historyka (b. p.). Tamże nr. 33.
Nie dla nas (b. p.). Tamże nr. 34.
Trójcesarskie przymierze (b. p.). Tamże nr. 35.
Badania naukowe. L. Wojewódzkiego: Z historji rozwoju moralności. Tamże nr. 36, 37.
Ludwik Adolf Thiers (b. p.). Tamże nr. 37.
Jezuicka manifestacja (b. p.). Tamże nr. 38.
Nowe wspomnienia o Henryku Heinem. Tamże nr. 38, 39.
Obyczajowe prawo polskie (b. p.). Tamże nr. 38.
Turkofilstwo (b. p.). Tamże nr. 39.
O powstawaniu praw moralnych, przez Aleksandra Świętochowskiego, doktora filozofji. Warszawa, w drukarni »Przeglądu Tygodniowego«. 252 str.
Dumania pessymisty, przez Dra A. Ś. Wydanie drugie. Lublana. 89 str.
Wpływ obecnej wojny na Turcję (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 40.
Przed nowym rokiem (b. p.). Tamże nr. 41, 42, 43, 44, 46.
Źródła dziejowe (b. p.). Tamże nr. 42, 43.
Odpowiedź Witoldowi Pronaszce z »Niwy«. Tamże Nr 44.
Witoldowi Pronaszce z »Niwy« (podp. A. S.). Nr 46.
Pożar u Jezuitów (b. p.). Tamże nr. 48,
Żydowskie złoto (b. p.). Tamże nr. 48.
O starostwach w Polsce, skreślił Aleksander Wejnert, Warszawa, 1877 (b. p.). Tamże nr. 49.
Stowarzyszenia (b. p.). Tamże nr. 51.

1878.

Pius IX i przyszły papież Ruggera Bonchi (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 2, 3, 4.
Aleksander hr. Wielopolski. (Wspomnienie pośmiertne) (b. p.). Tamże nr. 3, 5.
John Bull (b. p.). Tamże nr. 6.
O moralnej odpowiedzialności (podp. A. S.) Tamże nr. 7, 8.
Walerjan Wróblewski (Koronowicz) (b. p.). Tamże nr. 10.
Przegląd piśmiennictwa polskiego. J. Lubecki. Historja prostytucji w starożytności i wśród kościoła chrześcjańskiego, Warszawa 1878 r. (podp. A. S.) Tamże nr. 10.
Umarli i żywi (b. p.). Tamże nr. 11.
Piękna, dramat w 4 aktach (podp. Wł. Okoński). Tamże Nr. 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28.
Kartka z naszej etnologji (b. p.). Tamże nr. 12.
O powstawaniu praw moralnych. Tamże nr. 13, 14.
Gordyjski węzeł (b. p.). Tamże nr. 15.
Danaowie postępu (b. p.). Tamże nr. 15.
Jaka będzie wojna (b. p.). Tamże nr. 16.
Upadek Polski. *Polens Auflösung von Freiherrn Ernst von der Brüggen, Leipzig 1878* (podp. A. S.). Tamże nr. 16, 17, 18.
Pośrednictwo Niemiec (b. p.). Tamże nr. 17.
Przygotowania angielskie (b. p.). Tamże nr. 18.
Wahanie się Austrji (b. p.). Tamże nr. 19.
Nadużycia wydawnicze (podp. A. S.). Tamże nr. 19.
Angielska opozycja (b. p.). Tamże nr. 20.
O zabytkach sztuki religijnej (podp. A. S.). Tamże nr. 20.
Nowe prawo (b. p.). Tamże nr. 21.

W niemieckim sejmie (b. p.). Tamże nr. 22.
Dwa zamachy (b. p.). Tamże nr. 23.
Jubileusz Voltaire'a (b. p.). Tamże nr. 23.
Zły duch między nami (b. p.). Tamże nr. 24.
Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów płockich, Wł. Smoleńskiego (podp. A. S.). Tamże nr. 24.
Ostatnia kryjówka (b. p.). Tamże nr. 25.
Filozofja naukowa (b. p.). Tamże nr. 25.
Kongres (b. p.). Tamże nr. 26.
Stuletni jubileusz Rousseau'a (b. p.). Tamże nr. 27.
Rachunek berlińskiego kongresu (b. p.). Tamże nr. 29.
Z próżnemi rękami (b. p.). Tamże nr. 30.
Piękna, dramat w 4-ch aktach Wł. Okońskiego. Warszawa, w drukarni »Przeglądu Tygodniowego« 1878. 156 str.
Wolter. W stuletnią rocznicę jego śmierci. Przez Aleksandra Świętochowskiego. Warszawa. Spółka Nakładowa, Chmielna Nr. 8, Druk K. Kowalewskiego, Królewska Nr. 23, 1878. 42 str.
Jąkająca się polityka (b. p.). »Przegląd Tygodniowy« nr. 31.
Prawo małżeńskie (b. p.). Tamże nr. 31.
Zwodne znaki (b. p.). Tamże nr. 33.
Listy Jana Śniadeckiego (b. p.). Tamże nr. 32.
Zapis Kajetana Kickiego (b. p.). Tamże nr. 33.
Litwa do Unji Lubelskiej, przez autora »Poglądu na literaturę polską«. (b. p.). Tamże nr. 35.*)
Benjamin Disraeli. »Nowiny«, pismo codzienne (Warszawa) nr. 75.
Błazen, dramat w 1-ym akcie (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 90, 91, 92, 93.
Z teki wiejskiego szlachcica. Tamże nr. 98.
Przymusowe ukształcenie (podp. A. S.). Tamże nr. 105, 106.
Socjalizm i jego błędy. Tamże nr. 110, 112, 115, 116, 117, 119.
Z teki starego szlachcica. »Tydzień« (Lwów) nr. 59, 60.
Nierozwiązana kwestja (podp. A. S.). Tamże nr. 113, 114.
Karl Krug (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 117, 118, 121.
Służba w terminie (podp. A. S.). Tamże nr. 140.
Henryk Lewes (Wspomnienie pośmiertne). Tamże nr. 167.
Sprawozdanie naukowe. Bibljoteka filozoficzna t. I. Droga do prawdy Renata Kartezjusza 1878 (podp. A. S.). Tamże nr. 171.
Siegfried Hüppe (Wspomnienie pośmiertne) (podp. A. S.). Tamże nr. 175.
1878 (podp. A. S.). Tamże nr. 182.
Sprawozdanie naukowe. O. Peschel. Historja wielkich odkryć gieograficznych w XV i XVI wieku, przełożył Józef Tretiak, Lwów 1879. Tamże nr. 182.

1879.

Artykuł wstępny (bez tytułu, podp. A. S.). »Nowiny« nr. 1.
Stuletni rozwój równouprawnienia stanów (podp. A. S.). Tamże nr. 4.
Józef Mianowski. (Wspomnienie pośmiertne) (podp. A. S.). Tamże nr. 9.
Stuletni rozwój tolerancji przekonań (podp. A. S.). Tamże nr. 11, 12.
Chawa Rubin (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 11, 12, 13, 14, 15, 16.
Niemiecki zalew (podp. A. S.). Tamże nr. 27.
Wojna w południowej Afryce. Tamże nr. 49.
Cetywajo (podp. A. S.). Tamże nr. 50.

*) Od roku 1872 do 1878 włącznie zasilał również drobnymi artykułami swymi stały fejleton »Przeglądu Tygodniowego« p. t. »Echa warszawskie«.

Damian Capenko (podp. Wł. Okoński). Tamże nr. 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66.

Przegląd piśmiennictwa. Studja Herberta Spencera: Obyczaje i zwyczaje, Lwów 1879 (podp. Al. Św.). Tamże nr. 64.

Przegląd piśmienniczy. Pojedynek. (Bibljoteka Mrówki t. 73) przez dra Rosenblatta, Lwów, 1879. Historja cywilizacji i nauki przyrodnicze przez Du-Bois Reymonda, tłum. J. J. Boguski, Warszawa, 1879 (podp. A. S.). Tamże nr. 72.

Listy z Paragwaju:

I. Urzeczywistnianie się u nas królestwa Paragwaju. Zasługi nianiek i środkowych pism. P. Rosenblum środkowo pojmowany. Świerzbienie dziennikarskich dłoni i stracony wypadek. Szarlatanizm antropologów francuskich i angielskich wobec wiedzy p. Q. Ecce homo (b. p.). Tamże nr. 74.

II. Nowy duch słowiański. Nawiedzone pismo nasze. Naftowstręt »Izraelity«. Opętanie »Gazety Warszawskiej«. Porządne towarzystwo z przepisu p. Pajłońskiego. Ungebühr-Maulkorb-Erziehung-Gesetz w pewnym warszawskim banku. Podarek z prawa kagańcowego dla Towarzystwa Słowiańskiego w Odessie i jego czcicieli w Warszawie (podp. Wo). Tamże nr. 83.

III. Projekt posady kontrolera tłumaczeń. Wielostronna potrzeba tego rodzaju urzędów w literaturze. Rekomendator artystyczny, teatralny i przemysłowy (podp. Was). Tamże nr. 135.

IV. Wbrew obyczajom paragwajskim. Zbyteczne i niewczesne wykłady pp. Boguskiego i Milicera. Interes reporterów. Żądanie korespondentki. Międzynarodowe towarzystwo literackie. Jego sześcioramienny związek z Warszawy. Mówka naszej literackiej delegacji. Iljada w przekładzie p. F. Jezierskiego. Apostrofa do wydawców »dla cywilizacji« (podp. Was.). Tamże nr. 160.

V. Dwa zmartwienia Francji, z których jedno naszem. Lulu i Revue Slave. Jego śmierć czy też przeniesienie się do Krakowa. P. Mien duszą. Szewcy wobec »wyższych celów«. Picie wina a zalecanie wody. Korespondent »Kaliszanina« jako stroiciel opinji publicznej. Narody. P. Morozowicz jako Towarzystwo dramatyczne. Reforma w pensjonarskich konjugacjach. Pierwiastek liryczny w gramatyce. Welleda jako nagroda dla uczennic bez promocji lub do schowania dla arystokracji. Nasi mieszczanie. Nowe prawo i przyłączona doń prośba (podp. Oremus.). Tamże nr. 177.

VI. Polędwica jako podstawa salonu literackiego i towarzystw finansowych. Opozycja p. B. Maciejowskiego. Wzorowy kontrakt. O wrażeniach fizjognomicznych p. M. Kempińskiego (podp. O. Remus). Tamże nr. 184.

VII. P. Ligęza, nowy kedyw »Niwy«. Jego odezwa, skarcenie »Nowin« i ich powierzchowność. Rodowód p. Ligęzy. Pius IX jako jedna na świecie osobistość dla polskiego poety. Pytania. Trumna zamiast arki. Zwierciadło towarzyskich nieprzyzwoitości. Człowiek przez duże C. Budżety lilji polnych i ptaków niebieskich (podp. O. Remus). Tamże nr. 191.

VIII. Śmiecie hiszpańskie i nasze pod osłoną tradycji i dobrych obyczajów. Zamach na nie ze strony Gminy Żydowskiej. Petycje Izraela. Odkrycia komisji sanitarnej i jej groźny stosunek do chederów. Miłosierdzie jałmużny i pomocy. P. Staszczyk wobec nas arystokratów i czci ślusarskiej. Propozycja sprawiedliwości. Tlen i wodor krytyki teatralnej (podp. O. Remus). Tamże nr. 198.

IX. Conny reporter. Zemsta Nietoperza i papuga kwestująca na korzyść Szegedynu. Pobożność w naszych ilustracjach. Żart p. Blocha. Ostrzeżenie dla teatrzyków ogródkowych i emerytura dla teatrów warszawskich. Wystawa rolnicza w Płocku. Bismarkwetter (podp. O. Remus). Tamże nr. 205.

X. Rzeczywiście w Paragwaju. Uczczenie koleżeńskiej rocznicy. O. Pafnucy i grzeczność »Zdrowia«. P. Ligęza po raz drugi w roli logicznego. »Tygodnik Ilustrowany« niezadowolony pewnością »Echa«. Trzy »Przeglądy Słowiańskie«. Interes w śmierci. Weksel z czterech lub pięciu liter dla »Izraelity« (podp. O. Remus). Tamże nr. 219.

XI. Remus contra p. K. J. Jasiński (podp. O. Remus). Tamże nr. 233.

XII. Śmierć zasługą. Pan Szober i ś. p. Szober. Obywatelskie artykuły. Kalendarz dowcipów (podp. O. Remus). Tamże nr. 247.

XIII. Przykry obowiązek. Bajka o kucu i patelni. Brudne rękawiczki i czyste ręce. Pisarze w obronie odpustów, niemogący przebaczyć Spasowiczowi. Śmiech Stańczyka i gniazda jego piskląt (b. p.). Tamże nr. 289.

XIV. Kto w masce przed sądem a kto bez maski. Autor »szczytów«. Dwu nowozakonnych na ośmiu starozakonnych. Bergi i steiny. Pedagogika »Przeglądu Katolickiego«. Bocian i matka (podp. O. Remus). Tamże nr. 296.

XV. Bukiet znakomitości. Ręka niewidzialnego dobroczyńcy. Człowiek, który powiedział prawdę. Kalendarze. Sezon bazarowy (pod. O. Remus). Tamże nr. 303.

XVI. Radykalne rozwiązanie kwestji cmentarza. Mój przeciw niej protest. Nana a przy niej p. Salamoński. (podp. O. Remus). Tamże nr. 310.

XVII. Rozmowa z półimperjałem. Czekamy. Socjalista z papierową komunją i pies z koszykiem. Będę kwestarzem. Obowiązek względem Mureji. Nasze zajęcia (podp. O. Remus). Tamże nr. 317.

XVIII. Dług naszej prasy dla Szląska. Pieczołowitość dyrekcji teatru. Mały projekcik. Modlitwa o zniesienie monopolu. Konkurs na książkę ludową. Cnota i występek (podp. O. Remus). Tamże nr. 324.

XIX. Sposób robienia Zoli. Plica Polonica Dra Dobrzyckiego. Kołtun duchowy. Projekt dla popularyzatorów. Prośba o spełnienie łatwego obowiązku (podp. O. Remus). Tamże nr. 331.

XX. Powiastka Sienkiewicza. Klejnot w ślepiach bałwana. Tureckie przysłowie. Niepokryty dobrobyt. Młynarz i woda. Mojżesz »Niwy« (podp. O. Remus). Tamże nr. 338.

XXI. Co grubym drukiem a co drobnym. Telegramy własne. Kwestja paląca. Posąg Macierzy (podp. O. Remus). Tamże nr. 345.

XXII. Pośpiech i skrzętność naszej prasy w zbieraniu składek Kość reporterska. Jednobrzmiący inserat. Protegowanie wielkich ofiar. Cenność drobnych. U nas inaczej. Świątynia Izydy (podp. O. Remus). Tamże nr. 352.

XXIII. P. Ligęza dłużny Litwosowi. P. Grzymała kasłać czy kaszlać (podp. O. Remus). Tamże nr. 355.

Dzieje Polski przez Michała Bobrzyńskiego, Warszawa 1879. Tamże nr. 106, 107.

Moralność względem zwierząt. Tamże nr. 133, 135, 137, 139, 142, 144, 146.

O poetach polskich (podp. A. S.). Tamże nr. 170, 172.

O zadaniu historji (podp. A. S.). Tamże nr. 191.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Kleopatra, dramat w 5-ciu aktach, przez Juljana z Poradowa, Piza, 1879 (podp. W. O). Tamże nr. 199.

Biskup Walenty Baranowski. (Wspomnienie pośmiertne) (podp. A. S.). Tamże nr. 223.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Biesiada u miljonera rzymskiego za czasów Nerona, według Satyrykonu Petronjusza Arbitra przez W. M. Dębickiego, Warszawa 1879 (podp. A. S). Tamże nr. 233.

Okoński W. Dramata (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską). Warszawa. Spółka Nakładowa. Chmielna Nr. 8. Druk K. Kowalewskiego, Królewska Nr. 23. 1879. 191 str.

W. Okoński. O życie. (I. Damian Capenko. II. Chawa Rubin. III. Karl Krug). Przedruk z »Nowin«. Warszawa. Spółka Nakładowa, Chmielna Nr. 8. Druk K. Kowalewskiego. Królewska Nr. 23. 1879, 87 str.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Poezje Mirosława Dobrzańskiego, Kraków 1879. (podp. O.). »Nowiny« nr. 296.

Heine (w przekładzie A. Kraushara, Warszawa 1880) (podp. A. S.). Tamże nr. 304.

Eugienja (podp. A. S.). Tamże nr. 328.

Przegląd piśmiennictwa polskiego. Historja literatury angielskiej od czasu przywrócenia królestwa aż do drugiej połowy XVIII stulecia (1660—1770), przełożyli Piotr Chmielowski i Edward Grabowski, Warszawa 1879 (podp. A. S.). Tamże nr. 338.

1880.

Nad minionym rokiem (b. p.). »Nowiny«. Numer tygodniowy, poświęcony polityce, sprawom społecznym, naukowym i artystycznym nr. 3.

Pamiętnik (podp. O. Remus). Tamże nr. 3, 10, 17, 24, 31, 38, 45, 52, 59, 66, 73, 80, 86, 92, 113, 120, 126, 134, 140, 147, 154, 161, 168, 175, 182, 196, 203, 210, 217, 231, 245, 252, 259, 266, 273, 287, 301, 308, 315, 322, 336, 343, 350.

Klemens Boruta (podp. W. Okoński). Tamże nr. 3, 10, 17, 24, 31, 38, 45, 52, 59.

Patrjotyzm i kosmopolityzm. Tamże nr. 80, 86.

Klemens Boruta przez W. Okońskiego. Odbitka z »Nowin«, Warszawa. Drukiem A. Pajewskiego, ul. Niecała nr. 12. 1880. 56 str.

Dobry i zły interes (podp. A. Ś.). Tamże nr. 134.

»Faust« Goethego na warszawskiej scenie (podp. A. Ś.). Tamże nr. 183.

Dr. fil. Aleksander Świętochowski. O Epikureizmie. Warszawa. Nakładem Wydawnictwa Bernarda Lesmana. 1880. 53 str.

Habemus papam (b. p.). Tamże nr. 203.

Z innego tonu (b. p.). Tamże nr. 210

Co najmniej... dziwne (b. p.). Tamże nr. 238.

Fragment bez tytułu, zaczynający się od słów: »Najwymowniejsze usta są głodne...« (podp. A. Świętochowski (W. Okoński). »Ziarno«. Wydawnictwo dla głodnych. 1880 r. Warszawa. 52 stron., strona 39.

Prospekt na rok 1881. »Prawda«, tygodnik polityczny, społeczny i literacki, wydawany i redagowany przez Aleksandra Świętochowskiego.

1881.

Myślę — więc jestem (b. p.) »Prawda«, tygodnik polityczny, społeczny i literacki. (Warszawa) nr. 1.
Zmarnowane strzały (b. p.). Tamże nr. 1.
Z kroniki młodości I. Na pogrzebie (podp. W. Okoński). Tamże nr. 1, 2.
II. Ona (podp. W. Okoński). Tamże nr. 3, 4, 5, 6.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Strachy niańki i nauczycielki. Upiór z Upity. Ślub dziecinny. Drzewo wiadomości złego. Kto może »nie pozwalać«. Ludzkość idzie do liberum veto. Katolicy pruscy, rekrut i obywatel. Stańczycy. Walewski i Lisicki. Ziarnko piasku i piramida. 1:9,999,999. Tysiącoletnia bitwa. Turniej Ormuzda z Arimanem. Białe dają mat czarnym. Prawo jest ziemią. Nawet morze Martwe posiada sól. Chór i sola, harmonja i kontrapunkt prasy. Pokazywanie języka całemu światu. Drabina do nieba. U bram Watykanu. Tamże nr 1.

II. Akt oskarżenia przeciwko pani Orzeszkowej i Konopnickiej. Moja obrona i ustępstwo miejsca w sporze Litwy z Polską na korzyść delegata »Gaz. Warszawskiej«. Różnica zegarów nie jest różnicą myśli. Krzyżackie apostolstwo i kordon prawomyślności. Tabunnoje swojstwo. Autorka Fragmentów i autorowie »drobnych różnic«. Pocieszenie podsądnych i słówko do galerji. Tamże nr. 2.

III. Wezwanie do Grecji o miłosierdzie nad nami. Kraszewski i Spasowicz na stole »Now. Wremieni«. Bombaj. Zapas drukarski »polskawo woprosa«. Propozycja zakupienia go na materjał do »mostu«. Kraszewski czy Fredro (ojciec). Kilka słów do Fredry (syna). Co można kupować tanio. Wisła. Utrata tytułów p. Konopnickiej. Przestroga dla panny Hajoty. Przeciekający postęp. Europa w szkole p. Babińskiego. Tamże nr. 3.

IV. Życie jest snem. Jak narody sypiają. Ziewanie i marzenia prasy rosyjskiej. My za jej przykładem. Deszcz reform papierowych. Wykład widzeń w sennikach. Co znaczy przyjaźń ministra Greigha i dlaczego wezwano wysokich urzędników. Przenoszenie i dymisjonowanie. Sen trzeźwego pisarza o przymusowem nauczaniu. Metamorfoza żydów. Niewinna zabawka. Sposób na rozkoszne sny. Tamże nr. 4.

V. Dwaj nowi poeci liryczni: pp. Goldfeder i Jung. Elegje na temat diferencji handlowych i przemysłowych. Niemożność pojedynku między p. Jungiem a p. Weinbergiem. Urząd lekarski, potrzebujący specjalistów i 2000 rs. dla należytego zastąpienia delegacji sanitarnej. Habeas-corpus-act w świecie finansowym. »Chwianie się« i »upadanie«. Przyczyna tych zjawisk w garderobie. Przyjacielskie laury. Jeśli wrona nie siada na kościele, nie trzeba jej spędzać kamieniem. Wszechwiedza p. §. Judyta i Holofernes. Bajka opowiedziana temu, który nie był w Ameryce. Lew i domowe koty. Tamże nr. 5.

VI. Ukryta tajemnica. Skąd bierzemy reformy. Wieści, które się rodzą w Petersburgu a umierają w Warszawie. Prośba o wyjątek w regule. Nowy frak na rachunek samorządu. Odkrywanie Ameryki. Kolumb Płocki. Bale, maskarady i teatr. Ptacy niebiescy i gęsi teatralne. Sprzedaż mandatów. Szczerość względem zachwiania się pensjonatu. Karta pogrzebowa. Tamże nr. 6.

VII. Rozporządzenie przeciw lichwie. Jego bezskuteczność. Lichwa i procent. Co poczną odprawieni przez lombard i banki? Zdrowie i życie. Pożegnanie z p. Zakrewskim. Bismarck i p. Popiel. »Bąki«. Ateneum z miłości dla Prawdy. Tamże nr. 7.

VIII. Odpowiedź na list. Marx i Weitling. Cobym zrobił z nihilistą. Spór p. Hertza z p. Dicksteinem. P. major Klenkin. Moja dla niego wdzięczność. Nieznany wiersz Krasińskiego. Tamże nr. 8.

IX. Zjazd kuratorów. Język Ezopa i język mimiki. Oddziały równoległe przy Szkole Realnej. Niewinne przestępstwo. Omnibusy, w których miejsca niema. Francuski tramwaj. Wspomnienie o Mianowskim. Moi kochani — jako środek gaszenia pożarów młodzieży. Proces bezwstydu. Dziecko w dramacie. Święty wyrok. Tamże nr. 9.

X. Działalność w ostatnim tygodniu. »Niektóre etapy«. Udział historji i ziem przyległych w naszym karnawale. Na intencję biednych. Lombard prywatny. Taniec jako sposób dźwigania obowiązków. Pomnik dla Mickiewicza. Niepowodzenie składek na szlązaków. Obrona Miarki. Komunikat z bezimiennego źródła. Historja jednego poczhaltera. 77 rs. 63 i pół kop. długu i 47 rs. emerytury. Trzeba tańczyć. Szkodliwość maszyn do szycia i mieszkania na Syberji. Szwaczka i dr. Piekarski. »Administratiwnaja ssyłka«, rewizje senatorskie i zjazd kuratorów. Słowa Najwyższego Reskryptu. Tamże nr. 10.

XI. Kalendarz reporterski. Chroniczne wieści. Z ubiegłego tygodnia. Poszukiwanie nowych źródeł podatku. Rewizja przepisów prawa małżeńskiego. »Stara lira« w sprawie służebności. Zatwierdzanie kanalizacji. Zły jego wpływ na p. Apfelbauma. Swojskość tego pana. Dwór Melpomeny i jego budynki. Bohater arystokratycznego dramatu. Za 245 rubli. Mowa Spasowicza. Polemika z Poriadkiem. Świstek socjalistyczny w Warszawie. Ojcowskie napomnienie i pretensja »Gaz. Polskiej«. Skarga Jeża. Tamże nr. 11.

XII. Zwycięstwo nowego systematu oświaty i rezultat roczny. Gdzie zwycięstwo i gdzie nowy systemat. Rezultat ów dawno osiągnięty u nas. Pogrzeb Gomolewskiego. Za co go uczczono. Spełnienie obowiązku rzadką cnotą. Rozbitki łużyckie. Towarzystwo pomocy naukowej. Jego cel i droga pomocy. P. Parczewski. Przyjacielski menuet z udeptywaniem. Nie dość zawiązać sobie oczy, żeby być Temidą. Krytyczne kacerstwa i stosy. Piotr z Amiens naszej prasy. Nie polski, lecz katolicki. Trudność zgody. Tamże nr. 12.

XIII. Wabienie się opryszków. Polacy ojcami nihilizmu. Właściwy jego rodzic. Kto mu dał metodę. Moralność »surowych środków«. Kąt odbicia jest równy kątowi padania. Toast p. Katkowa i jego ręka. P. Pindter i jego obwinienia. Na co kanclerz ma Tirasa. Ślub »Prawdy« niezłamany. Zjazd pocztowy. Pytania.

Artykulik p. Wierzchlejskiego. Ostatnie pytanie. Powrót wykładu języka polskiego. Poetyczny obraz. Tamże nr. 13.

XIV. Stali goście naszej prasy. Brak w niej miejsca dla nowego króla. Mądry czy nieszczęśliwy. Uprzątnięcie kwestji wschodniej. List margr. Wielopolskiego. O czem nas przekonał. »Obskurne egzystencje« i przyjaźń do zniszczenia. Zamęt w prasie rosyjskiej. Zmiana języków. »Dniew. Warszawskij«. Sprawa akcentu. Piękne czasy. Tamże nr. 14.

XV. Igrzyska w prasie rosyjskiej. Spór osła z rumakiem. Działanie artylerji. Sołowiew i Żukowski. Skromne żądanie p. Aksakowa. Szampańskie przeciw »oczyszczennoj«. Królestwo Polskie jako stacja transitowa. Rany bezwarunkowo śmiertelne. Rozmowa z ks. Bismarckiem o polakach. Cham. Wurst! Tamże nr. 15.

XVI. Drzewo genealogiczne kilku naszych pism według heraldyki »Nowosti«. Nie w jeden takt. Zagadkowość polityczna »młodej Polski«. Instytut głuchoniemych. Skarga p. Wł. Mickiewicza. Rachunek według katalogu księgarni Luksemburskiej. Ojciec i syn. Pomnik dla Adama. Ofiara hr. Baworowskiego. Po staszycowsku. Nowy H a b d a n k. Oblizywanie się na zapis Kickiego. Projekt nowego artykułu w kodeksie. Trudność poczucia solidarności. Chmielowski. Tamże nr. 16.

XVII. Dwa podziękowania. Towarzystwo ubezpieczeń od gradobicia. Szczera motywacja. Śmiałość p. Janowskiego wobec p. Balleta. Wątpliwości. Nietoperz. Przyjazd jen. Starynkiewicza z kanalizacją. Poprzestanie na tej reformie. Samobójcze zamiary. Drożyzna. Szukanie dalszych przyczyn i komisja. Zmiany opłat podatkowych. Ulga paszportowa. Reformy pocztowe. Interpelacja w sprawie mnemoniki. Zwycięstwo p. P. Kosteckiego jako argument dla poczty. Grzeczność hiszpanów i niespodzianka. Dwa dyplomy uznania. Tamże nr. 17.

XVIII. Manifest dyrektora Tow. Muzycznego. Jeszcze raz »ostateczne zatwierdzenie« kanalizacji. Sprawa zakładu gazowego jako pociecha dla reporterów. Felczerzy przy cyrkułach. Tramwajo. Kokieterja kolei iwangrodzko-dąbrowskiej. Reformy szkolne i świadectwa spowiedzi. Droga do Kanossy. Tantjema w Banku Polskim. Chroniczna rewolucja w teatrze pomimo konstytucji. Wystawa w pałacu Brühlowskim. Występ prelekcyjny p. Jurkowskiej. Odczyty przyrodników. Składki na pomnik Mickiewicza. Kłótnia o miejsce. Złe towarzystwo. Tamże nr. 18.

XIX. Prąd antirepublikański. Teatralny Alfons i Don Carlos. Atak karlistów z »Gazety Warszawskiej«. Wierność i tęsknota za starym pompadurem. Walka w łonie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci o prawo głosu. Potrzeba uśmierzenia tej walki nowem towarzystwem. Ambasador literatury francuskiej w Petersburgu. Warunki konwencji. Ilustracje Andriollego do P a n a T a d e u s z a. Smutek i radość. Tamże nr. 19.

XX. List niemca przeciw polakom. Wielki Fritz wszystkiemu winien. Sprowadzenie niemców do orkiestry polskiej. Obfitość koncertantów. Przyszłość p. Noskowskiego. Chanaan literacki obiecany przez p. Szymanowskiego. Wątpliwe nadziejo. Tamże nr. 20.

XXI. Trafna uwaga nowego ministra. Cyrkulacja naszej krwi. Wędrówka projektu kasy przezorności dla robotników. Podwyższenie etatu szkół elementarnych. Nasze pytanie. Kursa dla subjektów handlowych. Dopuszczenie kobiet do aptekarstwa. Emancypacja wieśniaczek. Ochrony dla dzieci wiejskich. Bajka zarządu pocztowego. Epoka cudów. Tamże nr. 21.

XXII. Projekt p. Prusa. Uwagi nad nim pp. Makowieckiego i Kirszrota. Wartość negatywna pierwszych i pozytywna drugich. Wszechstronność Tow. Dobroczynności i potrzeba samoistnych kas oszczędnościowo-pożyczkowych. Względna użyteczność projektu p. Prusa. Kto sypnął głównie ofiary. Obowiązek gminy żyd. myślenia o sobie i starań u władzy. Daremna obawa. Unieważniony spadek po hr. Tołstoju. Karty wizytowe w szpitalach. Konkursowy wiersz p. Kosteckiego. Drugi akt farsy hrabiego. Wesoła nowina. Tamże nr. 22.

XXIII. Projekt nowego kodeksu karnego. Uwaga raportu i sprawy wyznaniowe. Historja kapitana L. Wykonanie nieistniejącego wyroku. Na co pompadur, kiedy prawo rządzi. Inspektor służby zdrowia w obronie lodu z mykwy. Proponowane tematy do ćwiczeń gimnazjalnych. Ofiarność mających coś do sprzedania. Wystawa gieograficzna. Czy my co dla niej mamy. Powód przyjęcia udziału. Czkawka. Tamże nr. 23.

XXIV. Zużytkowanie kandydatów do posad sądowych. Jeśli jedni nie chcą, drudzy nie mogą, przyjdą trzeci. Grosz i rubel. Naczelnicy z gub. wileńskiej. Przygody na Saskiej Kępie. Grandownicy. Miejsce dla strzelającego zadowolenia. Wąż i Ewa. Czterowierszowi i ośmiowierszowi. Zemsta p e r p r o c u r a. Burza nad głową p. Orzeszkowej. Przemiana literackich gatunków w Wilnie. Pokwitowanie dla p. Bestużewa-Riumina. Tamże nr. 24.

XXV. Wyścigi, wystawa rolnicza i jarmark wełniany. Wpływ tych uroczystości na ożywienie obywatelstwa. Przykładem p. Onufry. Projekt taniego wydawnictwa dzieł Mickiewicza. Konkury o kolej iwangrodzko-dąbrowską. Projekt do dwu obrazów. Dostatek Osad Rolnych. A r g u s. Tamże nr. 25.

XXVI. Ograniczenie swobody JW. i WPanów. Kto temu winien. Dzikie pretensje w imieniu muzeów, kas i pomników. Portrety przewodników narodu. A p r o p o s. Zapis księdza Smoleńskiego. Koncert telefoniczny. Oczekiwanie nowego wynalazku. Przymusowe ubezpieczenia od gradobicia. Szmerek. Pozwanie »Prawdy« przez p. Moszyńskiego. Jego domyślność i związek z kodeksem. Denuncjacja zamiast djagnozy. Sens moralny, rada i zapytanie. Tamże nr. 26.

XXVII. Ostatnie pożegnanie Giza stylem »turfy«. Prawo nadużywania języka. Szczypanie dziecka jako środek dla zbudzenia litości. Cherub księgi zażaleń. Żarty. Stuletnia rocznica urodzin Stephensona. Kto wynalazł kolej w przekonaniu jej służby. Jednodniowy spis ludności. Rozmowa członka z kupcową. Majówka artystyczna. Jak się nasi mężczyźni bawią i ich P i e ś ń n a d p i e ś n i a m i. Konkurs na

książkę ludową. Doświadczenia p. Donato. Niewiadomość i lekceważenie. Odpowiedź p. Rakowskiemu. Tamże nr. 27.

XXVIII. Czy p. Lucylla śpi czy udaje. Opozycja pp. Sulimierskiego i Wolberga. Jedna prawda w dwu odmiennych postaciach. Niecierpliwość p. Wolberga i świadectwo Mucjusza Scewoli. Sprzeczności. W czem kwestja. Dr. Gepner. Wnioski. Potrzeba Przyrody i Przemysłu. Spostrzeżenie pewnego młodzieńca. Gawrony i trznadle. Kwesta dla biednego nauczyciela. Bułanek. Lombardy prywatne. Hojność p. Landau. Cesja na korzyść Szmerka. Zakończenie sprawy międzynarodowej. Nadzieja co do nowego kodeksu. Tamże nr. 28.

XXIX. Smutne położenie przeciwników p. Donato. Odkrycie nieznanych specjalistów. Nasze ogólne zahypnotyzowanie. Poszukiwanie prasy arystokratycznej przez sprawozdawcę »Bibljoteki Warszawskiej«. Pamiętnik Fizjograficzny. Sąd jednorazowy. Figiel Tow. Kred. Ziemskiego. Kongres literacki. Pytanie do odpowiedzi z powodu Króla reporterów. Szczególny sposób wykładu buchalterji w pewnej szkole żeńskiej. Róża dla ks. Szyszkowskiego. Tamże nr. 29.

XXX. Grzeczność na niegrzeczność. P. Goraj w »Kurjerze Warszawskim«. Jagody naiwności. Już i jeszcze. Heine i badanie natury w okolicach Warszawy. Filozofja majówkowa. Zbyteczne oświadczenie. »Partja« p. Goraja. Mniemana śmierć Chmielowskiego. Potrzeba przysłowia. »Cele naukowe« w balonie. Możność powstania nowej konstelacji. Odwaga p. Berga. Dalszy ciąg wypędzania pozytywnego djabła. Poprawka do uwagi p. Plenkiewicza w »Bibljotece Warszawskiej«. Byt i niebyt tendencji w Januarym. Redakcja »Kłosów« skuszona. Dziwne zestawienie. Tamże nr. 30.

XXXI. Wiadomość o wydzierżawianiu włościanom gruntów koronnych. »Kułak« pozostał zwycięzcą. Przygoda korespondenta »Gazety Polskiej. Tfu, do stu djabłów! Bezbożne wyznanie. Potrzeba Światła. Bezwładność piorunów »Przegl. Katolickiego«. Rada ks. Mizińskiego. Pęknięty kocioł i jego ofiary. Kto za nie płacić będzie. P. Konopnicka »na fujarce«. Tamże nr. 31.

XXXII. Ulgi w cenzurze zagranicznej. Cenzura prywatna. Spowiedź p. Izydora Oracza i tortury Króla reporterów. Litanja męczenników w »Kurjerze Warszawskim«. Kto kłamie? Ledóchowski, jako literat. Młoda para. Dozór nad robotnikami. Dziura w dziurce. Ofiary dla Jana Bożego i Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci. Paprocki i Mierzwiński. Tamże nr. 32.

XXXIII. Uwaga dla towarzystwa przeciw szerzeniu się pożarów. Projekt towarzystwa przeciw cichym bankrutom. Zamiast imaginacji — historja jednej regulacji. Broń przeciw germanizacji. P. Gers i mazury pruskie. Kraszewski i Sulimierski. Potrzeba wsparcia i ostrożności. Mizerja w »Tygodniku Powszechnym«. Tamże nr. 33.

XXXIV. Fabryka politycznych zabawek. Nowy balonik »reform«. Systemat prasowania okólników. Regaty. Ich strona antropologiczna i etnograficzna. Wianki i kluby pływackie. Broszura p. Pietraszewskiego i jego żądanie. Objaśniające słówko. Koniec świata i jego znaki. Broszura »przyjaciela nauk przyrodniczych«. Sprawdzenie się jego przepowiedni na naszem niebie literackiem. Nowy świat z gliny własności większej. Skutek prawa wyjątkowego. Dziewica prostytutką. Kongres literacki. Tamże nr. 34.

XXXV. Usprawiedliwienie. Przepisy ministerjum co do chorób zaraźliwych. Słomka ratunkowa. Nadzieja w Pasteurze. Lecznica bezpłatna. Wskazówka dla księży. Ofiara dla szwaczek. Uspokojone sumienie. Mierzwiński i Kościuszko. Przyjazd p. Modrzejewskiej. Bitwa około »Teatru Nowego«. Bomby na scenach ogródkowych. Proces o tytuł ks. Druckiego-Lubeckiego. Ostrożnie ze starą porcelaną. Dowody rozmaitości tworów natury... Scy na wystawie ogrodniczej. Jej rezultat. Ananasy z ogrodu «Nowosti«. Tamże nr. 40.

XXXVI. »Nowiny« rozciągane przez cztery konie. Obraza o omentrę. Odpowiedź Chrystusa. Dobre mniemanie p. Wł. Mickiewicza. »Garstka« i »większość«. Tolerancja. Uwagi Milla. Pretensja kongresowicza literackiego do »Prawdy«. »Jesteśmy«. Zdanie »Czasu«. Okoński w wydawnictwie p. Sacher-Masocha. Prawdopodobne rozwiązanie zagadki. Kasa Mianowskiego i jej prezes. Tamże nr. 42.

XXXVII. Wiadomość o zarobku Jeża. Smutna prawda po za wesołą nowiną. Czem Jeż dla nas i kogo w nim tracimy. Obowiązek naprawienia krzywdy. Pp. Barcewicz, Wieniawski, Conrad i tramwaje. Uciszona opozycja i pobożność p. Rejnera. Filip z »Nowosti« w potrzasku »Kurjera Warszawskiego«. Grób »Śmiałego«. Dziwna pretensja. Ofiara hr. Potockiej. Mapa hydrograficzna p. Kopernickiego. Wybór dziekanów. Tamże nr. 43.

XXXVIII. Chyba pomyłka co do kościoła, w którym dzwonią. Egzamina państwowe. Co jest, czego niema i co prawdopodobnie będzie. Projekt ustawy leśnej. Projekt zmniejszenia świąt. Brak dni do pracy. Kasa imienia Mianowskiego. Dziś i dawniej w Tow. Muzycznem. Niepłatne kupony akcji warszawskiej Polihymnji. P. Noskowski z wędką. Nawa teatralna śród burzy. Hektor i Achilles. Odkrycia naszych pism w dziedzinie gieografji krajowej. Tramwaj ubył, fluid przybył. Tamże nr. 44.

XXXIX. Potwierdzenie domysłu. Sędziowie pokoju przed trybunałem »S. Petersburskich Wiedomosti«. Nauczyciel, któremu nie pomógł egzamin państwowy. P. Gloger zapewniający skarbowi państwa oszczędność. Komisarze włościańscy. Ciekawe odkrycie w »Tyg. Rolniczym«. Tajemniczość obrządków w Tow. Kredytowem Ziemskiem. Patrjarchat własności większej nad drobną i średnią. Jej parada w prasie. Resursa literacko-artystyczna. Kalendarz dla izraelitów, wydany przez przyjaciela żydowskiej odrębności. Walka cietrzewiów. Tamże nr. 45.

XL. Konieczność napisania artykułu o dymisji p. Święckiej i zajęcia stanowiska wobec dyrekcji teatrów. Szpital rezerwowy. Wszyscy nie mogą. Hr. Branicki mógł, ale nie chciał. Nadzieja we Francji. Do-

wód energicznej troskliwości o zdrowie... bydła. Bankructwo Magdalenek pokutujących. Zobowiązanie. Gust Banku Polskiego. Komu darmo, a komu za pieniądze. Koncerty. Prośba do p. H. Marczello. Prospekt »Przeglądu pedagogicznego«. Dobra wróżba. Tamże nr. 46.

XLI. Wojski, Kusy i Sokół, oraz biedny szarak z wyskubaną »odpowiedzialnością moralną«. Przejście do porządku dziennego. Zakład Magdalenek i jego możliwa przemiana z wyłączeniem Tow. Dobroczynności. Przyczepiona do niego kasa literacka i potrzeba połączenia jej z kasą Mianowskiego. Zawstydzenie Warszawy przez p. Oberpolicmajstra. Rejestr firmowy i jego wzbogacenie się na polu artystycznem. Elda i Sara Bernard. Podarek dla Herodjady. Sprostowanie. Tamże nr. 47.

XLII. Poufne zwierzenia Towarzystwa Kred. Ziem. w »Gazecie polskiej«. Prawdopodobieństwo związku tych ciał. Niespodzianka po tygodniu w duchu »pohopności« i »lekkomyślności«. Wnioski. Słówko o propinacji. Ostrożność z zasadą »praw wyjątkowych«. List otwarty p. J. Jelońskiego i jego dymisja. Słaby punkt w zestawieniu dat. Kurant dziennikarski i potrzeba przerywania go. Oszczędzani autorowie listów otwartych. List p. St. M. Rzętkowskiego. Paskudny obrót walki. Śmierć spółki połączonej pracy kobiet. Zdrowie Stowarzyszenia subjektów handlowych i rocznica jego chęci. Tamże nr. 48.

XLIII. Komisja, obradująca nad wynalezieniem dobroczynnego Nilu. Jej program i mój dodatek na korzyść podrzutków. Zdziwiony dr. Ł. poszukujący chorób zaraźliwych w Warszawie. Prawdopodobna przyczyna tego zdziwienia. Gdzie można je zaspokoić. Co lepsze. Zawstydzony stolarz, który uratował życie córce bankierskiej. Sposób naprawy złogo w anegdocie. Arystokracja w ostatnich rzędach krzeseł. Potrzeba podzielenia apostrofy między dół i górę teatru. Usprawiedliwienie się przed »Gaz. Polską«. Słowa na wiatr i przyzwoite dyskusje. Tamże nr. 49.

XLIV. Dwie komnaty. Co to będzie. Wskazówka dla sabeizmu teatralnego. Sąd Parysa i ofiarowanie jabłka p. Modrzejewskiej. Sara Bernard jako płaszczyzna. Co jabym zrobił i co zrobić powinien szczęśliwy p. W. Landau. Jego dowcipne wydobycie się z pułapek wspaniałomyślności. Trzy butelki wina za 9800 rs. Odczyty. Niecierpliwy Icek F. Największy wynalazek. Sposób dojechania do nieśmiertelności. Tamże nr. 50.

XLV. Potrzeba polskiej mądrości po niemieckiej szkodzie. Labirynt naszych teatrów. Coby w nich się działo. Szczęście dyrekcji. Apostołowie herbaty, oraz stronnictwa barszczu i kawy. Filantropja czy przemysł. Niech żyje barszcz! Ofiara i list p. W. Landaua. Propozycja sądu honorowego i jego zadanie. P. Siekiera contra p. Trejdosiewiczowi. Przemytnictwo literackie. Nadzieja ujrzenia sztuki ludowej bez ludu. Przywilej dla »znanych złodziejów«. Tamże nr. 51.

XLVI. Fałszywi denuncjanci, dostarczający mieszkańców Syberji, i inkwizytorowie zadowoleni z wiedeńskiego pożaru. Reformy w szkolnictwie. Niedorzeczna improwizacja reporterska. Potrzeba mostu dla szkół realnych. Ograniczenie wykładu języków nowożytnych. Kto nie ma nóg, czy może mieć ręce. Projekt szkoły niedzielnej dla młodych robotnic. Wieniec na mogile Kazimiery Aspis. Artykuł, jakiego jeszcze nie widziałem. Pochwała talentu za nr. 1345. Gwałt »Tygodnika Rolniczego« popełniony na prezesach i radcach Tow. Kred. Ziems. Tempora mutantur. Klątwa kachału. Żórawie noworoczne i »Przegląd Techniczny«. Pożegnanie p. W. Landau. Rehabilitacja prof. Trejdosiewicza. Tamże nr. 52.

XLVII. Smutek starego i radość nowego roku. Tamże nr. 53.

Piśmiennictwo polskie. Historja filozofji Fr. A. Langego w przekładzie A. Świętochowskiego. Warszawa 1881 (podp. S.). Tamże nr. 1, 10, 50.

Pod datą dzisiejszą. Tamże nr. 2.

Narodowość postępu (podp. A. S.). Tamże nr. 3.

Polityka przedmurza (podp. A. S.). Tamże nr. 4.

Błędne koła (podp. A. S.). Tamże nr. 5, 6, 8.

Krzywy liberalizm (podp. A. S.). Tamże nr. 7.

Ramułtowie J. I. Kraszewskiego (podp. A. S.). Tamże nr. 9.

Stowarzyszenia studenckie (b. p.). Tamże nr. 10.

Szlachta polska (podp. A. S.). Tamże nr. 10.

Teatr. H. Sienkiewicz. Na jedną kartę, dramat w 5 aktach (podp. J. A.). Tamże nr. 10.

Wysyłka administracyjna (b. p.). Tamże nr. 11.

Okóinik (b. p.). Tamże nr. 13.

Testament księdza Jana Meslier (podp. A. S.). Tamże nr. 13.

Przypisek do artykułu Feliksa Bogackiego p. t. »W przedmiocie tajemnic życia duszy«, zaczynający się od słów: »Zarówno i nam jak i współpracownikowi naszemu...« (b. p.). Tamże nr. 13.

List margrabiego Wielopolskiego (b. p.). Tamże nr. 14.

Czegóż jeszcze? (b. p.). Tamże nr. 15.

W imieniu ogółu (b. p.). Tamże nr. 16.

Carolina (b. p.). Tamże nr. 17.

Ulga dla »zesłańców« (b. p.). Tamże nr. 18.
Dla szkół (b. p.). Tamże nr. 18.
Wymowna przestroga (b. p.). Tamże nr. 19.
A posteriori (b. p.). Tamże nr. 20.
Układy z Rzymem (b. p.). Tamże nr. 20.
Przypomniany obowiązek (podp. A. S.). Tamże nr. 21.
Zmienione pytanie (podp. A. S.). Tamże nr. 22.
Wymiana usług (podp. J. A.). Tamże nr. 23.
Z dziejów męczeństwa (podp. A. S.). Tamże nr. 23.
Bezpłodne słowianofilstwo (podp. A. S.). Tamże nr. 24.
Odpowiedzialność karna (podp. H.). Tamże nr. 24.
Paweł Emil Littré (1801—1881) (podp. J. A.). Tamże nr. 24.
»Precz z marzeniami!« (b. p.). Tamże nr. 25.
Portugalja. (Listy z podróży A. Pawińskiego, Warszawa 1881). (podp. S.), Tamże nr. 25.
Wykonanie testamentu Lassale'a (podp. A S.) Tamże nr. 26.
Jeden z wielu (podp. J. A.). Tamże nr. 27.
Kto winien (b. p.). Tamże nr. 28.
Reforma szkolna we Francji (b. p.). Tamże nr. 29.
Jednodniowy spis ludności (b. p.). Tamże nr. 30.
Atak lekkiej kawalerji (b. p.). Tamże nr. 31.
Nieprawdopodobne a prawdziwe (b. p.). Tamże nr. 32.
Średniowieczny kapitol (b. p.). Tamże nr. 33.
Za dobrym przykładem (b. p.). Tamże nr. 34.
Kwestja szkolna (b. p.). Tamże nr. 35.
Nowy rozbrat z Watykanem (b. p.). Tamże nr. 39.
Nowy ukaz (b. p.). Tamże nr. 40.
Artykuł bez tytułu, zaczynający się od słów: »W Dniewniku Warszawskim czytamy...« »Nowiny« nr. 270.
Nasze bezpieczeństwo zdrowia (b. p.). »Prawda« nr. 43.
Poznańska niedola (podp. D.). Tamże nr. 43.
Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53.
Nowy obrachunek (b. p.). Tamże nr. 44.
Przegrana sprawa (podp. D.). Tamże nr. 44.
Ultramontańska grawitacja (b. p.). Tamże nr. 45.
Wybory polskie do sejmu niemieckiego (b. p.). Tamże nr. 46.
Rozpaczliwy opór (b. p.). Tamże nr. 46.
Dwaj obywatele (b. p.). Tamże nr. 47.
Apelacja do ludu (podp. Nauczyciel). Tamże nr. 47.
Krakowski mandat (podp. P.). Tamże nr. 47.
Żyd w karczmie i żyd w szkole (b. p.). Tamże nr. 48.
Proces o parcelację (podp. Drwęcki). Tamże nr. 48.
Na rok 1882 (podp. Redakcja). Tamże nr. 49.
Reforma zarządów miejscowych (b. p.). Tamże nr. 49.
Stracony nakład (podp. Nauczyciel). Tamże nr. 49.
Piśmiennictwo polskie. J. Goldszmit, Dobroczyńca jakich mało, Warszawa. (podp. S.).Tamże nr. 50.
Proces z testatorami (b. p.). Tamże nr. 51.
Miejscowi ale niebiegli (b. p.). Tamże nr. 52.
Potrzeba prawdy (podp. Dr.). Tamże nr. 52.
Wychowanie i historja (podp. H.). Tamże nr. 52.
Piśmiennictwo polskie. I. Tajemnice Afryki, L. Jacoillota, tłom. K. Jurkiewicz, Warszawa, Gebethner i Wolff, z 32 rycinami, 530 str. (b. p.). II. Kwiaty rodzinne, wybór poezji polskiej, ułożony przez N. Żmichowską, Warszawa, Gebethner i Wolff, 488 str. (podp. S.). III. Cerber, drobiazgi literacko-artystyczne, zebrał Alfabet, Wilno (b. p.). Tamże nr. 52.

Bez złudzeń (podp. A. S.). Tamże nr. 53.

Historja filozofji materjalistycznej i jej znaczenie w teraźniejszości przez Fryderyka Alberta Langego, przełożył z trzeciego niemieckiego wydania Aleksander Świętochowski, tom I-szy. Warszawa. Nakładem wydawnictwa Bernarda Lesmana. W drukarni J. Goldmana, Muranowska nr. 24. 1881 r. 387 stron (od V do VI włącznie — przedmowa tłumacza).

1882.

Na kresach (podp. A. Ś.) »Prawda« nr. 1.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Zaproszenie do rozumu. Tęsknota za naiwnością. Wyżej! O co prosić trzeba. Pierwszy krok gubernatora płockiego. Dziedziczność stosunków. Rękojmia zachowania się przyszłych pokoleń. Rejswasser. Najskuteczniejsza kara. Zwiększona akcyza i pijaństwo. Smutne dary nowego roku. Tamże nr. 1.

II. Rachunek strat. Szkody ograbionych żydów. Straty chrześcjan. Aresztowani. »Jesteśmy« złodziejów. Cicha polemika z powodu wędzonki. Egzamin »Słowa«. Sprzeczności. Mgławica bez osi. Postęp i jego przydomki. Ostrzożenie. My... My w Prusach. 70.000 straconych morgów gruntu. Janowie bez ziemi. Podatek od spadków. Tamże nr. 2.

III. Czego »nie wolno« i na co »czasu szkoda«. Łzy na pomnik Mickiewicza. Prawdopodobieństwo przybycia zagranicznych reporterów. Co im powiedzą hrabiowie. Za radą Fredry. Nowe źródło dochodu. Co bym robił, gdybym był wielkim. Co robi ksiądz przy »Macierzy«. Czego nie robi przy mamkach. Metoda powiększenia grona aniołków. Odjechała i przyjechała. Tamże nr. 3.

IV. Cobym zrobił ze stoma miljonami rubli? Wyprawa p. Rogozińskiego do Afryki. Nasze względem niej obowiązki. Obcinanie paznokciów u nóg bosych. Gieograficzna ekspedycja narodu, który nie ma podręczników gieograficznych i nie zna własnego kraju. Pierwszy polski tunel z Ameryki do Europy a bita droga z Końskowoli do Miechowa. Obrzydzanie życia. Nagana dla panienek za przestrach nauczyciela. Walka opiekunów o bogatą dziedziczkę. Komedja z Alfabetem. Serce Konarskiego. Tamże nr. 4.

V. Pogadanka z Prusem o »pierwszej wyprawie polskiej do Afryki«. Przyczynowy związek. Czy można być Kolumbem. Drogi inserat. Potrzeby niezbędne i wyższe. Opóźnianie się Lejbusiów wobec jezior Liba. Czy odkrycia są warunkiem cywilizacji narodów. Paw i papuga, koza i żyrafa. Kwalifikacje p. Szolce-Rogozińskiego. Czy warto. Pod godłem kaprysu pańskiego. Dwa brylanty. Wielkość Buckla jako przeszkoda do złotego medalu. Tamże nr. 5.

VI. Podatek od kwitów prenumeracyjnych i księgarskich. Opuszczone słówko. Zawartość naszych kas wydawniczych. Radość z trzech abonentów. Poszukiwanie pieniędzy w listach rekomendowanych. Zagrożona tajemnica i weksle. Żądanie zagranicznego współpracownika i odpowiedź redaktora. Reforma ustawy kolejowej. Monopol dla żołnierzy dymisjonowanych i bezpieczeństwo jazdy. Święci tureccy na kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej oraz ich prawa do nieba. Żal po niewczasie. Dyspensa od dobrowolnego mazania się błotem. Zdanie królowej rumuńskiej. Rocznica wieści o przytułku dla kobiet. Proces Pogonowskiej. Tamże nr. 6.

VII. Spis jednodniowy. Najczęstsze odpowiedzi. Nurki na dnie morza. Ich odkrycia. Ważność zebranych spostrzeżeń. Zamiar gminy żydowskiej. Protestujący członek. Doppelgängery. »Pewne koło«. Jak jedzie szlachetka a jak pan możny. Zawsze osobno. Jeszcze my. Reprezentacje. Konopnicka Z szopką i pani Kowerska z motyką na słońce. Włościanie czytający poezje. Miłość i nienawiść. Tamże nr. 7.

VIII. Po siedmiu tygodniach. Rozmyślania w wagonie. Towarzysz podróży. Obłąkany ziomek. Zwykła postać obłędu. Wydarte kartki i ciągłość osnowy. Towarzystwa pomocy naukowej dla gimnazjów. Jego rodowód. Rozmaite sposoby usunięcia zapory. Głos »jednej przychylnej i odważnej duszy«. Zrzeczenie się walki koguciej z lubelską kurką. Uspokojenie jej co do miłości i nienawiści. Dwie mogiły. Chwiećkowski i Moskalewski. Tamże nr. 14.

IX. Święcone dla wszystkich. Westchnienie »Przeglądu Katolickiego«. Kuszenie »Kurjera Warszawskiego«. Żona i wymowa. Despekt dla króla Jana. Pokwitowanie z pretensji. Projekty uczczenia jubileuszu Jeża. Dziwna logika. Wzmocnienie języka polskiego w szkołach. Teatr polski w Petersburgu. Stanowisko kobiety na polu ubezpieczeń życiowych. Niewymowny mąż. Religijno-prawne pytanie. Tamże nr. 15.

X. Komisja dla ukrócenia »denuncjacji«. Czego potrzeba kobietom i pewnym dziennikom rosyjskim. Prawo ulatniania się olejków wonnych i niewonnych. Z flakonu »Moskows. Wiedomosti«. Polskie zapałki w Wilnie i tfu! Fałszywy alarm z Rzymu. Zjazd literatów i ateuszów. Śledztwo »Kurjera Warszawskiego« i moje zapewnienie. Odgrzany humor. Co winien Kostrzewski i za co mu jestem wdzięczny. Raport hr. Potockiego z pola bitwy. P. Czesław Lubicz i jego sonet. Jeden z ważnych powodów samobójstwa. Tamże nr. 16.

XI. Darwin umarł. Wielkie straty i wielkie góry. Wszystkie nauki nad jego grobem. Wymówka natury. Emigracja żydowska. Brak żałosnych słówek. Prawda na pożegnanie. Starania o usunięcie dwu wyrazów. Finansista, który może przeszkodzić i rymarz, który powinien to wierszem wyśpiewać. Plon ze smoczych zębów. Bohaterowie marjampolscy i podboje proboszcza. Powinszowanie dla sędziów konkursu krakowskiego. Bunt Brutusów. Ratunek dla Pacanowa. Tamże nr. 17.

XII. Dwie piękne rzeczy. Przeniesienie ruchu księgarskiego z Lipska do Krakowa. My — wyrzucający pół

miljarda — franków. Projekt p. Kasprowicza poparty przez »Bibljotekę Warszawską«. O co idzie? Zjazd techników dla wynalezienia stylu narodowego w budownictwie. Naiwność Juljusza II. Za co cierpi p. Dykas. Przestroga dla konkurujących w Krakowie. Omyłki drukarskie. Wypadek »Gazety Warszawskiej. Dziwna gienealogja i jeszcze dziwniejsza logika. Delikatność »Biesiady Literackiej«. Rozwiązanie kwestji socjalnej. Dobrowolne trucie się. Tylko jeden przypadek. Tamże nr. 18.

XIII. Antropozofja. Jej zagadkowe a wymowne godło. Wezwanie do sejmowo-przewodniczącego ciała. Ograniczony werbunek jego członków. Spodziewane zasiłki z komitetu krakowskiego. Czem bierze ogół sprawę a czem p. P. Popiel. Jego klasyczne twierdzenia. Sąd »tego pana« i »tych panów«. Za nieobecnym rozumem. Uchwały komitetu. Projekty w Warszawie. Świeża nowina w sprawie towarzystw pomocy dla gimnazistów. Dziennikarze spadli z księżyca. Potrzeba dobrej reporterji w Petersburgu i ofiarowanie tej teki p. W. Łozińskiemu. Tamże nr. 19.

XIV. Mówka »Gazety Polskiej«. Postępy zgody w Galicji. Obrona »najpatrjotyczniejszego«. Wspomnienia pośmiertne stronnictw. Niewinne pretensje. Ogólny zegar, usuwający potrzebę noszenia zegarków. Osioł z Oberammergau. Niełaska dla ósmego. Mimowolna opozycja »Gazety Warszawskiej«. Salwy na cześć Hermana i przepraszanie Salviniego. Zwycięstwo nasze w Wiedniu i śledzenie ziomków. Żądanie żydów piotrkowskich i wstyd gminy warszawskiej. Bezrobocie podczas nabożeństw majowych. Kazanie p. Gwiaździca. Misja władz Tow. Krod. Ziemsk. Tamże nr. 20.

XV. Reforma ortograficzna w redakcji »Bibljoteki Warszawskiej. O czem reformatorowie naszej pisowni zapominają. Dysydenci. Możliwość przyjęcia wyroku i warunki porozumienia. Skarga »Gazety Lubelskiej« i dowcipny pomysł Banku Polskiego. Zamordowanie Don Juana. Obrona sprawców tej zbrodni. W Bononji czy w Bolonji? Wymówka Kraju. Do mojego kosza. Tamże nr. 21.

XVI. Dwie wystawy dzieci. Wystawa małych i dużych. Wdzięk pierwszych. Prawdziwi ludzie. Zabawka na Kapitolu i jej warunki. Brak poważnego przedmiotu. List dra Szokalskiego i nowe odkrycia w ornitologji. Kogut przed sądem kongresu literackiego. Ważne pytanie. Zjazd księgarski. Założność zewnętrzna i bezład wewnętrzny. Wydawnictwa, niewiodzące o sobie. List p. W. Eljasza i duma Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Ból zębów i konduktorów. Dowcipy tramwajowe. Obdzieranie zgnębionych. Tamże nr. 22.

XVII. Nowy sen samobytników. Cło na książki. Co opodatkowywać można. Czy produkcja miejscowa wynagrodzi zagraniczną w literaturze. Rachunek. Ktoby kupował książki. Zamiast cła. Nowy sterownik w »Nowinach«. O co dbać powinien dziennik. Moje doświadczenia. Potrzeba busoli liberalnej. Żyto i pasternak. Metoda oportunizmu. Rysopis Prusa. Jego niewola w »Kurjerze Warszawskim«. Gdybym był wydawcą »Nowin« i »K. Warszawskiego«. Tamże nr. 23.

XVIII. »Słówko do publiczności« »Nowin«. Na luzaka. Ponad stronnictwami. Coby Prus odpowiedział wyborcom w Niemczech, pytającym w Egipcie i w Warszawie. Założność przekonań. Czytelnik w centralnej stacji telefonowej. Prawdopodobieństwo kierunku chorągiewki i nowe kotły. Katonik przeciw Brutusikom. Polityczne źródło pragnienia parcelacji. Jeszcze »nieznany« utwór Mickiewicza. Słuszność rady p. S. w »Korespondencie Płockim«. Otwarte pytanie. Tamże nr. 24.

XIX. Narady w przedmiocie Kasy Mianowskiego. Obawa zatamowania się składek. Trudy i poświęcenia. Chałubiński. Wystawa inwentarza i turniej panów. Wyścigi końskie i atak na totalizatora. Jasnowidz wodny. Jego poszukiwania i proroctwa. Racja księdza Petrykowskiego. Bezwyznaniowość według radcy od nagrobków. Metamorfozy sądowniczo. Co jest u nas winą żyda. Tamże nr. 25.

XX. Poetyczne uroczystości. Pochód pielgrzymów wschodnich. Jeden z przysięgłych w osobnym gabinecie. Wystawa róż i jej użyteczność. Wianki i młodzież szkolna. Wianek Kraszewskiego dla »Neue Freie Presse«. Krótka biografja jawnogrzesznicy. Nadzieja pięknego kontrapunktu. Mój eksperyment. Wygodne stanowisko. Pod adresem patrjotycznych dzwonów. Na oślep. Prośba do Kraszewskiego. Druga — do rysowników i drzeworytników. Tamże nr. 26.

XXI. Gorzki chleb obowiązków obywatelskich. Nieszczęśliwi. Spodziewana dla nich pociocha. Obchód pamiątki gimnazjalnej. Co koledzy dawniejsi mówili, a co obecni mówić będą. Tęsknota jako kwiat wspomnień szkolnych. My na przodzie Europy. Stara recepta na poszukiwanie wody i odpędzenie strachów. Komu dostają się medale i nagrody w gimnazjach. Tamże nr. 27.

XXII. Dom schronienia dla nauczycielek. Pocieszająca liczba. Kolonje wiejskie dla dzieci. Niezwykła szybkość urzeczywistnienia się projektu. Ofiara p. Folkierskiego. Chrząszcze i podrzutki. Wyprawa gieograficzna p. Rogozińskiego. Pismo w Łowiczu. Ważniejsze posterunki. Curiosum »Słowa«. List Chemika. Fura bredni. Tamże nr. 28.

XXIII. Powszechna powinność wojenna. Wspomnienia z kampanji francusko-pruskiej. Zawiedzione nadzieje. Rozpacz w małem miasteczku. Przedmiot dla powieściopisarza. Rozstrzelone kierunki uczuć wobec wojny egipskiej. Nasza z niej korzyść. Telegramy. Błogie czasy panowania Ajencji Telegraficznej. Jej stary styl. Długotrwałość wpływu Seymoura na naszą prasę i jej namysły. Skutki upałów. Propozycja w »Korespondencie Płockim«. Na co nam wody wystarczy. Tamże nr. 29.

XXIV. Szczęście i szkoda. Odkrycie w kanale. Zbieracz. Jego wartość dla reporterów. Przepiórka. Bohater dramatu. Studja krytyczne. Redukcja godności teatralnych. Obiadek dla odchodzących. Skargi nocne w Dolinie Szwajcarskiej. Cyrk p. Salamońskiego. Pięć przyczyn niepowodzenia p. Noskowskiego. Dopłata telegraficzna. Dokładny adres depesz w niedalekiej przyszłości. Tamże nr. 30.

XXV. Książka zbiorowa dla Jeża. Milczenie i domyślność. Ile kraj mu zapłaci za jubileuszową powiastkę. Wieść hiobowa. W. Wolski. Proszące ręka i ostatni uśmiech. Składka na portret Santagaty. Brak Mickiewi-

cza w jego Akademji. Dwa stypendja. Kozioł i baran. Słówko o różniczkowaniu i całkowaniu społecznem. Popłoch śród podrobionych hrabiów. Czogo żąda le comte Łgarski. Liberum veto w Tow. Zach. Szt. Pięknych. »Gazeta Warszawska« w orszaku Wrschowetza. Tytuł głupoty za tanie pieniądze. Co może karczmarz w Łapigroszu. Tamże nr. 31.

XXVI. Czy wojna egipska się toczy? Regulamin dla korespondentów. Wątpliwości i zawiedzione nadzieje. Zamach na »raka«. Zobaczymy. Przeznaczenie opłat wpisowych na oddziały równologłe. Komisja egzaminacyjna i fotografje gimnazistów. Kto przewodniczy naszym szkołom technicznym. Zdolni do wszystkiego. Sprzedaż »Tygodnika Ilustrowanego«. Ludwik Jenike. Kilka rysów. Tamże nr. 32.

XXVII. Mimowolne zwiedzenie wystawy szkiców. Powieszenie obitych. Karykatury Mickiewicza. Rebus w projekcie Matejki. Edykt p. H. D. B. w »Gazecie Polskiej«. Przerażająca pochwała. Autokracja i obowiązek milczącego płacenia składek. Uwagi przed ukazem. Głos powszechny i szczęśliwa imaginacja. Prośba za Mickiewiczem. Obrona kobiet. Potrzeba wspólnego mianownika i energji. Niebo w usługach hr. Wrschowetza. Tamże nr. 33.

XXVIII. Dwa przeproszenia. »Gazeta Polska«, unikająca bezmyślnego wybryku. Od czego zależy żywotność kraju. Konsekwencja zasady. Suma równa się swym szczegółom. Czemu swoboda myśli nie przeszkadza. »Echo Łomżyńskie«. Ludzie, z którymi góry przenosić można i ludzie, z którymi kurzu obmieść niepodobna. Przeproszenie A. Odyńca. Źródło pomyłki i jej prawdopodobieństwa. Logika możliwości. Obrady nad przepisami dla dorożkarzów. Kogo trzeba pohamować. Skończone zapisy. Rada Doświadczyńskiego. Wątpienie i tajemnica. Zagadkowy bukiecik. Tamże nr. 34.

XXIX. Społeczna zoologja w »Wieku«. Karaluchy. Ich znamiona. Ich gniazdo w obecnych stosunkach. Grota psia i grota ludzka. »Gazeta Krakowska« uzupełniona parą nóg p. Z. Sarneckiego. Najświeższy wytwór tej kombinacji. Kto winien rozruchu przeciw żydom. Zbyteczne pytanie. Zmienione czasy. Hamlet i Polonjusz. Wyzwanie p. H. D. B. Prawdopodobny wynik plebiscytu. Dwie nieprawdy schwytane przez p. Brzostowskiego. Łatwe zadanie logiczne. Tamże nr. 35.

XXX. Nowość pod słońcem. Historja jednej kradzieży literackiej. Szczególna do niej pobudka. Patentidiotism. Zachowanie bezimienności. Kara. Rozprawy nad świętowaniem w zakładach fotograficznych. Krucha zgoda. Korzyść i morał. Odezwa do publiczności. Kalendarz jako norma prasy. Rada. Morituri... i projekt pani M. Grzech względem podrzutków. Tamże nr. 36.

XXXI. A cóż teraz? Przybycie nowych augurów. Nic nowego. Rachunek z dodatku. Grunt i praca. Szacunek dla uczuć szczerych i ich równouprawnienie. Pod tym samym sztandarem. Obowiązek pielgrzymki. Nasze Veuilloty. Zimny ultramontanizm i legitymizm w czcionkach drukarskich. Konkurencja dla »Przeglądu Katolickiego«. Jeż winowajcą. Potrzeba odwrócenia metody. Nie czytają. Zjazd kolejowy. Zamiar podźwignięcia »Gazety Sądowej«. Tamże nr. 37.

XXXII. Powodzie. Wylew w »Nowinach«. Przesadna wiara we wpływ dzienników. Niemiec, Francuz a literat polski. Nadzieja. Świętowanie sądów. Świadczenie wobec moralności. Wiara i dobre uczynki. Opóźniona sprawiedliwość. Świętowanie w zakładach fotograficznych. Sztuczny układ stosunków i jego chwiejna równowaga. Dwa wyroki z dni powszednich. Wypadki ogródkowej Melpomeny. Zjazd techników w Krakowie. Styl polskiego budownictwa i pomnik dla Mickiewicza. Cierpienie p. Niemojewskiego z Rokitnicy przez Rypin. Ukojenie ich. Odpowiedź »Przegl. Katolickiemu«. Tamże nr. 38.

XXXIII. Gwałtu i litości! Gieneza pomyłki. Boleść Odes. Listka. Znajomość Szczedryna. Brak jednej komórki w głowach Polaków. Otczestwa. Niemożliwe zobowiązanie. Równoważność grzechów. »Odnoszenie się« Kraju. Leopold Otto. Czem zasłużył na wieńce. Mimowolne pytanie. Powszednie nowiny. Operacje agronomiczne pewnego hrabiego. Kiełbasa wobec hrabiny. Pokwitowanie p. A. Brzostowskiego. Tamże nr. 39.

XXXIV. Przypowieść o pewnym księgarzu, który robił świetne interesy na liberałach. Sens moralny dla »Pamiętnika Fizjograficznego« i »Ogniska«. Druga przypowieść o pewnym bandycie i o krzyżowanych. Pozytywista, idealista i klarnecista. Album dla Jeża i fotografje kocich muzykantów. Treny czułego proboszcza. Jego sposób uszczęśliwiania biednych. Potrzeba odwrócenia metody. Co z takiej doktryny wynikнąć może. Wiedeńska jawnogrzesznica. Czemu nie jestom Bennetem. Tamże nr. 40.

XXXV. K. Ujejski i p. Ziemiałkowski. Możność i mus. Czem Galicja pociesza się w nieszczęściu. Jej konterfekt narysowany na miejscu. Pius IX i Mickiewicz. Warunek biskupa Dunajewskiego. Racja postawienia pomnika. Od kogo zależy sprowadzenie zwłok największego poety polskiego. Wiatrak opinji. Metamorfoza p. T. Wierzbowskiego. Nadzieja w nieprawdopodobieństwie wieści. Uwaga do decyzji wydziału hipotecznego. Możliwa postać naszej literatury. Dar Matejki. Tamże nr. 41.

XXXVI. Odwiedziny u redaktora »N. Fr. Presse«. Hołd pruski i wieprz niemiecki. Za co galicjanie płacą. Ptaszek kijowski w klatce. Pozdrowienie z daleka. Bezpieczny »dla braku dowodów«. Lis w żelazach i szczupak w saku. Dopełnienie biografji. Polip kredytu. Spieszna zima w prasie. Świętowanie dzienników. Stary nałóg telegramów. Próbka. Czy Warszawa powinna mieć depesze. Tamże nr. 42.

XXXVII. Dlaczego p. Dunajewski został ministrem skarbu. Pompowanie Galicji. Krakowskim targiem. Austrjacki sklep z ciackami dla galicjan. Hołd pruski w Wiedniu i zemsta niemców na p. Gorzkowskim. Cierpienie za prawdę. Tendencyjność Matejki. Błyskawice dziejowe. Kącik dla puszczających krew. Co myśli Stańczyk. Woły i Jowisze. Ks. Rymarkiewicz, skracający ojczyznę. Trwoga przed Naną w Warszawie. Co wynalazł p. Suchorowski. Tamże nr. 43.

XXXVIII. Grad kul i dwie bomby. Czemu nie zginąłem. Dwie rękawiczki. Program polityczny »Prawdy«. Skąd wiek o nim się dowiedział. Komentarz »Kurjera Poznańskiego«. Propozycja. Druga rękawiczka.

Apostrofa autora Polityki nerwów. Szczęśliwy kogut i »Wiek«. Kto skołatał nawę teatralną. Pożegnanie starego sitka. Zmartwienie z powodu czaszki żydowskiej. Duma pewnego obrońcy i radość w wydziale handlowym. Świat przewrócony do góry nogami. Życzliwa rada »redaktorowi« »Wiadomości Bibljograficznych«. Tamże nr. 44.

XXXIX. Nana p. Suchorowskiego. Tajemnicze odkrycie jej rozpusty i moje domysły. Rozczarowanie. Co mówią nasi moraliści w galerjach europejskich. Skromniejsi od angielek i papieża. Moja Nana. Wartość obrazu. Rada dla p. Ungra. Samogwałt Prusa. Jeden z wielu dziurawych orzechów. Przeciw oświacie. Wartość jej przymusu. Matejko przeciw żydom. Co nie przystoi półbogom, lecz sylenom. Tamże nr. 45.

XL. Ponieśli i wilka. Zagadkowa apostrofa »Gazety Polskiej«. Wyjaśnienie »Kurjera Codziennego«. Spluwanie goryczy paszkwilu. Spóźniony protest i »głębokie oburzenie«. Czyj posiew, tego plon. Szczęść Boże przeciw pozytywistom. Hola! Prusa. Nowe ideje. Stary pacierz. Dziwny motek. Tworzenie nowego języka przy Babelu. Dowód siły i wiary. Cyfry. Wyjaśnienie tonu. Tamże nr. 46.

XLI. Przystępny wykład »Gazety Polskiej«. Kiedy ona broni napastowanych. Rozwiązanie kilku przykładów według wskazanej formuły. Przesądy. Zastrzeżenie. Nasza duma. O co mój duch upominać się będzie. Awizacja bez poświadczeń. W obronie recenzentów. Analiza sprawozdań teatralnych. Wyjście ze sprzeczności. Piękna chwila. Wzruszenie Warszawy i hura. List p. Gąsowskiego. Obawa p. Zyblikiewicza i odwaga p. Findeisena. Upominki. Odezwa. Tamże nr. 47.

XLII. Prawny procent od welonu. Propozycja skrócenia terminu wesel powtarzanych. Jubileusz księgarni Gebethnera i Wolffa. Pochwała z Katalogu. Polacy zwykłego autoramentu. Próby żądań. Dobre marki. Wydawnictwa. Cel wytknięty a posteriori. Towar najbardziej pożądany. Podwójny dowcip. Sala licytacyjna. Małe *p.* i duże *K.* Świdrzykowska jedzie. Kula i poziomka. Konieczność odporu. Przed oczyma czytelników. Wyjaśnienia. Tamże nr. 48.

XLIII. Pociecha dla p. Pichno. Wypisy z wypisów polskich Dubrowskiego. Cuda stylistyki. Wykonawcy jego testamentu. Nostra culpa. Styl polski w szlafroku... Krawcy naszej prasy. Szczyt pośpiechu. Znakologja. Historja wywoływania dyskusji i p. Martynowski. Brak zachęty. Jubileusz Żółkowskiego. Tamże nr. 49.

XLIV. Gwiazdkowa książaczka. Wypisy z wypisów. Cuda stylistyki. Ostrzeżenie. Czemu nie pragnę wojny. Warunkowa na nią zgoda. Wróżba Wernyhory względem p. Pindtera. W warszawskiej chacie. Przed trumną ks. Jakubowskiego. Za co go szanujemy. Co pisał. Dlaczego był kanonikiem honorowym a nie został biskupem. Dobra kwalifikacja. Tamże nr. 50.

XLV. Duma abonentów w grudniu. Wybory do prasy. Nowi konkurenci. »Ekonomista« i »Rola«. Szóstak przeciw dwu szóstakom w Poznaniu. Nervus rerum. Epidemja teatralna w nowem natężeniu. Przed wystawieniem nowej sztuki. Kot w kaloszach. Synteza stronnictw przez p. Coquelin. Dzięki Sarze Bernhard. Za wcześnie. Słaba nadzieja. Zmiana intencji grosza publicznego. Tamże nr. 51.

XLVI. Moje powinszowanie. Tamże nr. 52.

Tydzień polityczny. Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52.

Przed walną bitwą (b. p.). Tamże nr. 2.

Nasz grunt (podp. A. Ś.) Tamże nr. 3.

Niezawodny środek (b. p.). Tamże nr. 4.

J. W. Draper (podp. A. S.). Tamże nr. 4.

Piśmiennictwo polskie. T. T. Jeż, List o książce dra P. Chmielowskiego i jej krytykach, Wilno (b. p.). Tamże nr. 4.

Do widzenia (b. p.). Tamże nr. 5.

Improwizacja polityczna (b. p.). Tamże nr. 6.

»Czarna Kasa« (podp. A. H.) Tamże nr. 6.

Towarzystwa pomocy naukowej (b. p.). Tamże nr. 15.

Szkice włoskie: I. Krajobraz; II. Morze; III. Miasta — Neapol; IV. Miasta — Pompei; V. Miasta — przed Rzymem; VI. Miasta — Rzym stary; VII. Rzym papieski; VIII. Rzym włoski; IX. Florencja; X. Bolonja, Genua, Turyn, Medjolan; XI. Wenecja; XII. Muzea — rzeźba; XIII. Muzea — malarstwo; XIV. Ludność; XV. Duchowieństwo. Tamże nr. 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29.

Bezpłodność umysłowa. (podp. W.) Tamże nr. 16.

Niezużytkowane siły (podp. P.). Tamże nr. 17.

Z podniesioną głową (b. p.). Tamże nr. 18.

»Wzmocnienie języka polskiego w gimnazjach« (podp. A.). Tamże nr. 19.

Pouczająca lekcja (b. p.). Tamże nr. 20.

Jeden z wygnanych (podp. P.) Tamże nr. 20.

Polityka w sztuce (b. p.). Tamże nr. 21.
Nasze stronnictwa (b. p.). Tamże nr. 22.
Zjazd w Pradze (b. p.). Tamże nr. 23.
Garibaldi (b. p.). Tamże nr. 23.
Grzebanie czy palenie? (b. p.). Tamże nr. 24.
Odradzanie się Egiptu (b. p.). Tamże nr. 25.
Wskazówka dla oświaty ludowej (b. p.). Tamże nr. 27.
Piśmiennictwo niemieckie. I. Rudolf Seydel, Das Evangelium Jesu in seinem Verhältniss zur Buddha-Lehre u. Buddha-Sage, Lipsk, Breitkopf, 337 str.; II. F. Schultze, Philosophie der Naturwissenschaft, część druga, 420 str. Lipsk, Günther; III. J. Stern, Der Materialismus vor dem Forum des Sittengesetzes, Stuttgart, Kolhhammer; IV. G. Diercks, Entwickelungsgeschichte des Geistes der Menschheit, dwa tomy, Berlin, Hofmann (podp. J. A.) Tamże nr. 27.
Pogłoski (b. p.). Tamże nr. 28.
Ograniczenie pracy dzieci (b. p.). Tamże nr. 29.
Zapis dra Chwiećkowskiego (b. p.). Tamże nr. 29.
Nowy minus (b. p.). Tamże nr. 30.
Wydawnictwa ozdobne (podp. J. A.). Tamże nr. 30.
Odezwa (b. p.). Tamże nr. 31.
Wyższe tony (b. p.). Tamże nr. 31.
Elegja (podp. M.). Tamże nr. 31.
Zgon Towarzystwa Nauk Ścisłych (b. p.). Tamże nr. 32.
Dwa wydawnictwa pomnikowe (podp. J. A.) Tamże nr. 32.
»Ognisko« (b. p.). Tamże nr. 33.
Artyzm w przemyśle (b. p.). Tamże nr. 34.
Zbytek gorliwości (b. p.). Tamże nr. 34.
Dwuznaczność (b. p.) Tamże nr. 35.
Wszędzie jednacy (podp. J. A.) Tamże nr. 35.
Siedem grzechów głównych. I. Pycha; II. Łakomstwo; III. Nieczystość; IV. Zazdrość; V. Gniew; VI. Obżarstwo: VII. Lenistwo (podp. A. S.). Tamże nr. 35, 37, 39, 42, 46, 49, 51.
Wspomnienia o Heinem (podp. J. A.). Tamże nr. 35 (powtórnie przedrukowany).
Męty socjalistyczne (b. p.). Tamże nr. 36.
Satyryk politykiem (b. p.). Tamże nr. 37.
O krakowskiem nauczaniu historji (podp. J. A.). Tamże nr. 37.
Tere-Fere (podp. K.). Tamże nr. 37.
Trzy wiry (b. p.). Tamże nr. 38.
Błąd taktyczny (b. p.). Tamże nr. 38.
Piśmiennictwo polskie. I. P. J. Bykowski, Mulik, niehistoryczny hetman Ukrainy, powieść z podań ludowych, Warszawa, Paprocki i S-ka; II. J. Krasicki, Wybór dzieł, tom I. Lwów II. Altenberg; III. J. Kochanowski, Dzieła, tom II., Kraków i Warszawa (b. p.). Tamże nr. 38.
Za czuby (b. p.). Tamże nr. 38.
Cui bono? (b. p.). Tamże nr. 39.
Papierowe latawce (b. p.). Tamże nr. 40.
Ideja słowiańska w hipotece (b. p.). Tamże nr. 41.
Przyjaźń Danaów (b. p.). Tamże nr. 41.
Odezwa wyborcza (w Poznańskiem) Tamże nr. 42.
Znaki czasu (b. p.). Tamże nr. 43.
Wybory w Poznańskiem (b. p.). Tamże nr. 44.
Nauka wyższa dla kobiet (b. p.). Tamże nr. 44.
Na kresach (b. p.). Tamże nr. 45.
Znowu wulkan (b. p.). Tamże nr. 46.
Stosunek wiedzy do moralności. I. Statystyka; II. Filozofja (b. p.). Tamże nr. 47, 48.
Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 48.

Wołający na Puszczy (b. p.). Tamże nr. 46.
Prawda w wychowaniu (b. p.). Tamże nr. 50.
Obstalowana wojna (b. p.). Tamże nr. 51.
Zamknięcie roku (b. p.). Tamże nr. 52.
Ad absurdum (podp. A. S.). Tamże nr. 52.
W sprawie wyższego ukształcenia kobiet (b. p.). Tamże nr. 52.
Do T. T. Jeża (podp. Redakcja »Ogniska«) — »Ognisko« — książka zbiorowa wydana dla uczczenia 25-letniej pracy T. T. Jeża, Warszawa 1882 r., 423, XIV i 30 stron, strona 1.
Wskazania polityczne. Tamże str. 48—54 wł.
Pauzaniasz, obrazek dramatyczny (pod. W. Okoński). Tamże str. 407—415 wł.

1883.

Walka o byt. I. Praca; II. Socjologja szlachecka; III. Klasyfikacja wyznaniowa; IV. Patenty obywatelstwa; V. Przystosowywanie się (podp. A. S.). Prawda nr. 1, 2, 4, 7, 8.
Gambetta umarł... (b. p.). Tamże nr. 1.
Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Siedem bram w sercu. Harmonja pism w powinszowaniach noworocznych. Bezinteresowni ludzie. Chorągiew nasza i moja. Pierwszy ukłon. Przyszłość krakowska. Pożądani ludzie. Potrzeba krytycyzmu. Wytrawne cięcia. Drugie pozdrowienie dla wydawnictwa dziełek tanich. Trzeci kompliment dla »Kurjera Codziennego«. Jego metamorfoza. Buńczuczny młodzieniec i flegmatyczny safanduła. Możność współpracy. Jak rozumuje Brutus. Robaczki i gwiazdy. Tamże nr. 1.

II. Co zrobiłby człowiek zwykły a co zrobił wyższy. Kiedy p. Coquelin akurat wystąpił. Gdyby tak Żółkowski. Logiendy i mity. Zniknięcie nasze z ziemi. Otwarcie zamkniętej polemiki. Na co »Prawdy« nie wydajemy. Nieśmiertelni: Oettingen, Spencer i Lange. Insynuacja. Co myć trzeba. Tamże nr. 2.

III. Taniec giełdy na mogile Gambetty. Jej obyczaje. Obcieranie łez kurs-zotlem. Giełdowe serce p. Wł. Mickiewicza. Próbki jego mowy pogrzebowej. Ojciec i syn. Nawet »Zorza«. W czem ratunek dla Francji. Jak się u nas lud kształci. Nadzieja doczekania się rodzimego Cassagnaca. Zacna obywatelka. Jej ofiarność. Co nas zachwyca. P. Otton Hausner w niemieckim stroju. Zbyteczna fatyga w interesie Mickiewicza. Tamże nr. 3.

IV. Liberum veto p. Leona Gdackiego. Tamże nr. 4.

V. Hannibal ante portas, czyli yankee na czele zboża. Wojna amerykańska o wybicie Europy z pod naszej pszenicy. Co robią elewatory i warranty. Gęganie na Kapitolu. Dobre drogi. Podejrzane ostrzeżenia. Mądrość polska po szkodzie. Świadkiem Kobiałecki. Współudział w nieszczęściu. Prośba do Floqueta. Kłopot Towarzystwa Dobr. z zapisem Rapackiej. Gdyby tak my. Tamże nr. 5.

VI. Pożegnanie karnawału. Uspokojenie się umysłów. Bal literacko-aktorski. Tryumf mojego przyjaciela. Odwaga górników. Wybór postnych książek. Telegram polski z Hong-Kong i naturalizm. Przypomnienie Kasy Mianowskiego. Moje »dukaty« i niespodziewane odkrycie. Do celu. Tamże nr. 6.

VII. Znaleźli się. Wielki początek p. W. Skiby. Jaki byłby jego koniec w Berlinie lub Wiedniu. Pręgierz zamiast sądu. Różnica obowiązków względem Schwartza. Metempsychoza. Przypuszczalna pamięć p. W. Szymanowskiego. Pośpiech zecerski. Majestat boleści ojcowskiej. Frazesy. Lekkomyślność. Jak śpiewano Szujskiemu za życia a jak po śmierci. Naiwność w złem. Co jest jeszcze możliwem. Tamże nr. 7.

VIII. Zagadkowe miauczenie. Na pociechę Łysej Góry. Czerwony z czarno-żółtego. Nowa rola. Jak pan Skiba sobie pomaga. Spełnienie warunków kontraktu i szczególne wymaganie. Nie podarek, ale dług. Napad histeryczny kilku gazet. Kwestja grosmanowska. Nadzieja w Izbie. Starania p. Trochimowskiego. Izba szlachecka. Wieloryb i śledź. Nowy strój »Tygodnia«. Piotrków czy Petrokow. Tamże nr. 8.

IX. Oda do młodości w Poznaniu. Izajaszowa. Dosyć rozumowania. Stöcker. Procent Stöckerów a Izajaszów. Pouczająca biografja. Westchnienie zamiast wywodu. Przytułek dla ubogich. Dom wychowawczy dla dyrektorów kolei. Skok konserwatywny. Gospodarstwo »stosunków«. Zarobek Z. Komarnickiego. Pokwitowanie z pretensji. Tamże nr. 9.

X. Badania mikroskopowe. Krytyczne uwagi kronikarza »Ateneum«. Stara ideja i nowe jej postacie. Gdyby. Wezwanie do ofiary. Tylko my... W imieniu cudzej skóry. Trwałe pamiątki księdza biskupa. Jego utwory poetyczne. Kilka słów o wolnej woli i prawie konieczności. Wezwanie do utworzenia nowej religji. Tamże nr. 11.

XI. Termometr i niańka. Baby w gorącej wodzie. Bąbel czyli »Anarchja i konserwatyzm«. Co najmniej niepotrzebne i stanowczo niedorzeczne. Właściwe siedlisko anarchji. Zapalczywy kaznodzieja. De Maistre i Bonald. Melancholja zakatarzonego żołądka. Polemiczna myrra. Zniesienie świąt w kilku pismach. Prenumerata bez zmiany. Prosty sposób uszczęśliwiania abonentów. Zdejmowanie głów tureckich. Wrażenia w Konstantynopolu. Na cześć Sobieskiego. Tamże nr. 12.

XII. W obronie rabina krakowskiego. Logiczny konserwatysta. Przykład dla naszych. Odgłosy sławy p. Rombertowskiego. Gdyby nie był naszym znanym. Mądrość po szkodzie Towarzystwa Wioślarskiego. Roz-

myślania nad sercem niewieściem. Oszczędność na reformie paszportowej. Leczenie nadmiernego ruchu. Wybuch Etny w »N. Wremieni«. I t. d. Wzorowe sprawowanie się. Czego mnie nauczył Terlecki. Tamże nr. 13.

XIII. Cichy zgon »Nowin«. Ich ostatnia wola. Spadek. Konieczność narodzin. Pierwszeństwo wynalazku. Maszyna mówiąca. Co następuje. Potwarcze wieści. Ich skutki. Konkurs na kamizelkę i budowniczego młynów. Hamletowskie pytanie. Nowa s o c i e t é. Co nam przystoi. Straszny gość. Tamże nr. 14.

XIV. Łaskawość losu. Łatki na plecach kandydatów do Rady państwa. Niagara w ustach grzecznej damy. Rozmowa z p. Romanowiczem. Złamany protest urzędników pocztowych. Potrzeba pogodzenia ich z rzeczywistością. Gratyfikacja. Słówko za dziećmi Merkurego. Niepożądane owacje. Kto winien. Modlitwa do nymf. Maszyna. Bąk naturalisty od »zielonego stolika«. Tamże nr. 15.

XV. Troska o państwo rzymskie. Coby Goethe dziś śpiewał. Epoka dynamitu. P. Rombertowski zakryty jego dymem. Przewaga podsądnych nad krytykami. Zamknięcie ust p. Maciejowskiemu. Wstręt do przysmaków jednomyślności. Co to jest kraj i naród. Zaświadczenie monitora szlacheckiego. Jak za Sasa. Śmierć przy kieliszku. Podarki dla ogółu. Poniewierka epitetów. Tamże nr. 16.

XVI. Lewa ręka Ernestynki. Drugie cudowne dziecko. Czy cudowne. Jego artykuł w »Gazecie Warszawskiej« i słowacy. Kipert i Gwiaździc. Grzechy na klepisku serca. Zdrój gadzinowy. Przedajny dziennikarz. Pochyłość w Galicji. Brak pokuszeń u nas. Sprawozdanie Kasy Mianowskiego. Dwu hrabiów. Nieobecni. Ironja najlepszego ze światów. Tamże nr. 17.

XVII. Obraza p. Z. Tanie mieszkania dla robotników francuskich. Mądry szyldwach. Pomysłowość nierozumu. List obłąkanego, posiadający zalety artykułu wstępnego. Łatwy zarobek. Głosik gila w rozdźwięku z własnym chórem. Raz biało, raz czarno. Najpoczytniejsze pismo. Cofnięcie biletów powrotnych. Handel i grzeczność. Mimowolna reklama. Niemiłe odkrycie. Nowa epoka. Tamże nr. 18.

XVIII. Wiec w Poznaniu przeciw rozporządzeniu regencji. Broń niezdobytej twierdzy. Mój głos po zamknięciu obrad. Bukiet kwiatków polskich. Konieczność urządzenia drugiego wiecu przeciw sobie. Zakażenia językowe. Logiczność dra Szymańskiego. Dobrzy katolicy. Odwiedziny p. Benneta. Prawdopodobna przemowa. Uniwersytet kobiecy. Małżeństwo rozumu z pięknością. Przyzwyczaimy się... Tamże nr. 19.

XIX. Z promieniami wiosennego słońca. Wyjątkowi ludzie i wyjątkowe dla nich prawa. Za co jednych krzyżują, za to do drugich się modlą. Wół i Jowisz. Dary iście królewskie w grzeczności panny Reszke, ofierze p. Szlenkiera i obrazie Matejki. Babel p. Z. Ekonomiczne niezdrowie. Przywileje klas i chaos pojęć. Katarynka i cymbał. Tamże nr. 20.

XX. Kłopoty naszych Veuillotów. Pomoc »Przeglądu Katolickiego« dla tonących. Nieznajomość słownictwa katolickiego. Bezbożność tych, co nie wypuszczają Boga z serca. Ewangielja Lindleya. Szczęście Warszawy do Apfelbaumów. Kanalizacja i kanał Suoski. Ideały czasu. Piękny akord. Złote listki. Arka w żołądku. Tamże nr. 21.

XXI. Krytyk z pod Ratusza. Oś niezgody. Małe słówko. Dwie matki. Za dobrym przykładem. Stała służba ogółowi za królewskie dary. Trybunał etycznego smaku. Mała uwaga. Wartość 25-letniej pracy. M o m u s. Rozczarowanie z powodu R a m o t. Wyblakły dowcip. Próby. Tamże nr. 22.

XXII. Fatalne szczęście. Lwowski adres do Matejki. Kara na autora. Jego dobre informacje co do zamiarów Opatrzności. Zamiana celów wyższych na niższe. Ideja ojczyzny w malarstwie. Zdobycie Smoleńska i ogłoszenie zwycięstwa przez Stańczyka. Popiół duchem przenajświętszym. Czy potrzeba rozum tracić. P. Kamiński wydobyty z przepaści. Rada. Miłość dla Verbecka i nienawiść do Cinisellego. Źródło tych uczuć. Séance litteraire. P. Kudasiewicz. Tamże nr. 23.

XXIII. List pierwszy: do Zarządu tramwajów. Nauczyciel, podróżujący pieszo po plancie koleji. Porównanie taksy tramwajowej z kolejową. List drugi: do Zarządu koleji wiedeńskiej i bydgoskiej. Odkrywanie bogatych pokładów złodziejstwa. List trzeci: do panny Herman. Właściwa pora odlotu ptaków śpiewających. List czwarty: do p. M. Mazura. Egzamin z ekonomiki, logiki i etyki. Rewizja kieszeni. Dwa weksle. List piąty: do J. Lama. Tamże nr. 24.

XXIV. Rodak przegrał, ziomek się wyparł. Turkom głów nie zdejmowano. Może to i lepiej, że Teatr Rozmaitości spłonął. Radość widzów. Pilniejsze potrzeby i płócienne szałasy. Wspomnienie. Odgrzany jubileusz. Uwięzienie Kraszewskiego. Możliwość i prawdopodobieństwo. Ważny element. Tamże nr. 25.

XXV. Skargi. Obskubywano i głodzone ptaki. Wielkie daniny. Opodatkowanie pensjonarek. Taksa na wdzięczność uczennic. Tania filantropja. Dowcip p. Łojki. Łatwy sposób uszczęśliwiania ludzi. Małżeństwo apostoła »wyższych celów«. Łza reportera wyciśnięta nową linijką. Przepadłe wykrzykniki. Śmierć wybawicielką i podwójny tytuł. W. Dybek. Tamże nr. 26.

XXVI. Prorocy. Obfity materjał do wróżb. Zamiłowanie przewrotów i dotkliwości spokoju. Olbrzymia mogiła. Mnożenie nieskończoności. Groza cyfry. Wzdychająca obserwacja. Wulkan i rzezimieszek. Jak u nas ludzie odpoczywają na letnich mieszkaniach. Sławni na Ischji. P. L. Szczerbowicz ukarany. Apostrofa do »Prawdy« i małe jej sprostowanie. Tamże nr. 32.

XXVII. Prośba o milczenie. Reporterzy zagraniczni a nasi. Podsłuchiwanie trawy. Na co ich Bóg stworzył. Ofiara W. Hugo i Kraszewskiego. Koturn i kierbcie. Ischjanie w pewnej fabryce. Pensja dla lilji polnych i ptaków niebieskich. Taksa narodowościowa podtrzymywana przez czechów. Zużytkowanie zapisu Staszica. Jego spadkobierca. Zjazd literatów polskich i pierwsza kwestja dla obrad. Próba przecięcia sporu. Powrót rózgi. Wpisy. Tamże nr. 33.

XXVIII. Powszechna bijatyka. Dwie klapy bezpieczeństwa. Odkrycia kolejowe. Rozwiązana zagadka. Odpowiedź dróżnika. Pozdrowienie nowej ery. Wezwanie do pozbycia się pożyczonej zdolności. »National Zei-

tung«. Naiwne pytania. Polen-hetze. Nowoczesne dziwadło. Jego wpływ na antysemityzm u nas. Tamże nr. 34.

XXIX. Sądy znakomitych ludzi o wojnie. Piania dziennikarskich kogutów. O krowie, która dużo ryczy. Fryderyk drugi i Bismark. Wojna z »Prawdą«. Dwie reguły własności literackiej. Sposób taniego nabycia kamelji. Zbiór kronik Lama. Chaos najprostszych pojęć. Pismo krawieckie. W Niemczech a u nas. Poczciwe Towarzystwo Wioślarskie. Wola Allaha. Tamże nr. 35.

XXX. Dojrzewanie owoców i wypadków. Dwa szyniele. Dziecię świata. Tragiedja manjaka. Przeciw szarlatanom pieśni. Na kogo? Tak sobie. Rozbitki na krze i odlatujące ptaki. Hołd pruski w drzeworycie. Artyzm za dwa złote od cala. Wiwaty. Chwała chłopka skępskiego. Nowe odkrycia na kolei. Próba fejletonu do Słowa. Tamże nr. 36.

XXXI. Czem oceniać trzeba żydów. Za co ich szanuję. Gdyby Palestyna zaludniona była przez Jelońskich. Przełażenie przez ucho igielne. Ucieszna historja. Dwa listy publiczne i jeden prywatny p. Korwin-Prendowskiego. Dwie racje. Taktyka wiewiórki i szczucie z ganku. Drażliwość żydów. Czarna niewdzięczność. Morał. Uchwała komitetu w sprawie pomnika Mickiewicza. Żale nad poetą. Złamana noga za dwa ruble. Kto spór rozstrzygnie. Tamże nr. 37.

XXXII. Ocalone wilki. Hymn wdzięczności. Warto było bronić? Dar dla papieża. Pobudki. O co dba papiestwo. Skręcenie z prostej drogi. Umizgi przedkwartałowe do szlachty. List zrażonego abonenta. Przyszła ilustracja w »Kurjerze Świątecznym« Nowy stiller Bankerot. Objaśnienia. Kto płaci. Zakaz noszenia korali i rewizor Gogola. Nasze trufle. Łosoś i studentka. Tamże nr. 38.

XXXIII. Pytanie reportera i odpowiedź naczelnika policji. Czy złodziejstwo jest zyskownem. Testament rzezimieszka. Różnica losu Dutch Henryka u nas i w Ameryce. Wieloimienność jednej rzeczy. Kradzież pod pseudonymami. Nowy rodzaj przemysłu. Operacje heraldyków. Możliwy list. Pastuch gęsi, przemytnik i łgarz. Taksa orderów. Tanie szlachectwo. Dwaj mężowie. Zyskowność blagi. Tamże nr. 39.

XXXIV. Obraz niezakwalifikowany do Watykanu. Ze względów politycznych. Leon XIII. i Leopold, Matejko i Sobieski. Despekt dla »Krajn«. Wątpliwości. 259 guldenów dla Bolesława Śmiałego. Po co był śmiałym. W porę i zawcześnie. Przykłady czeskie. List rozczarowanego tłomacza. Hańba czy głupstwo. Dawne studnie i nowe zdroje. Tamże nr. 40.

XXXV. Dymek na scenie i piekarnia Janowskiego. »Echo muzyczne i teatralne«. Sposób odbudowania spalonego teatru. Obowiązek dla obowiązku. Przeciwne zdanie sąsiada z za linijki. Izba wyższa. Instytucja arystokratyczna. Ostrożnie z dymkiem. Powodzenie książek wyklętych. Broszura p. Buszczyńskiego i modlitwa Kraszewskiego. Bagnety najeżono przeciw pobożności. Uciszanie wiernych litanją. Za przykładem Rocheforta. Następca Chrystusa. Tamże nr. 41.

XXXVI. Obrona kanalizacji. Poród mitologiczny. Kiedy. Apfelbaum i Lindley. Święto »pierwszej cegły«. Rocznica nieotwierania szpitala. Niebezpieczeństwo naśladowania. Szpital i cmentarz. Publiczna przysięga. Właściwe pożegnanie. Skrócony termin jubileuszu. Dla rozrywki. Układy ze złodziejem. Niezły pomysł. Oda do żaków. Tamże Nr. 42.

XXXVII. Daremne wysiłki pamięci. Praktyczna rada. Rozczarowanie nas przez p. Lindleya. Dwie tablice pamiątkowe. Konieczność umieszczenia trzeciej. Protest chorych przeciwko terminowości. Co pocznie p. Adler. Unikanie pytań. Nasi nieobecni na pogrzebie Szmitta. Jeden mniej. Chmura niemiecka nad Zakopanem. Jeszcze o syndykacie. Co go zastąpi. Tamże nr. 43.

XXXVIII. Na wszystkie strony. Pogląd na dzisiejszy stan duchowny. Jego »złota przędza«. Podszepty djablika. Niepojęta zagadka. Doraźna sprawiedliwość. Co chłop ma robić. Wytwarzający się stan nowy. Wesele złodziejskie. Konsyljum nad chorym przywiślaninem. Dwaj lekarze i trzecie postanowienie. Turniej szachowy i wystawa piękności w Warszawie. Tamże nr. 44.

XXXIX. Wspólny gust rozumu i dzikiej żądzy. Jedna uratowana książka. Ja z Millem na wyspie. Rektor Maassen. Bambus i rózga, więzienie i kocia muzyka. Ofiara djabłu ze swobody. Wszystko jedno. Marja Malczewskiego i prezes słodkiego interesu. Nagła śmierć murzyna. 30 nocy z rzędu. Potrzeba stworzenia nowych ludzi, wynalezienia nowych maszyn lub praw. Utrudnianie w zdobyciu serc. Skarga w imieniu Modrzejewskiej. Tamże nr. 45.

XL. Strachy nad zachodnią granicą Królestwa. Ludzie czy duchy. Przerażenie i wątpliwa odwaga. Figlarz. Wyrzynanie języków. Sen i przebudzenie się p. Ch. Pieniądze bez skrzynki. Pożegnanie p. Golicyna. Złoty most. Rozmowa na nim. Losowanie w komitecie kasy Mianowskiego. Dwaj niezbędni. Łatwiej o genjusz, niż o rozum. Albert K. Wyjaśnienie. Tamże nr. 46.

XLI. Wesele i żałoba. Przygoda Stöckera. Anglicy wobec żydów. Kłamstwa antysemityzmu. Potrzeba porządnego antysemity. Prorok z łona swego ludu. P. Połtyn i p. Jelski. Akt oskarżenia przeciw szlachcie. Drugi przeciw literatom. Nagroda Montyona i opłata na tępienie wilków jako środek zachęty do poezji. Obywatel poznański i jego dobra polszczyzna. Prośba o radę. Młoda rzeźbiarka. Do serc niezamkniętych w kasie. Tamże nr. 47.

XLII. Modlitwa poranna. Piękne sny. Rozmowa z Djogenesem. Szyderstwa cynika. Kara za kokardę. Czego nie wolno Bogu, nie może być wolno furmanowi. Bezeceństwo przyniesione do chrztu przyzwoitości. Byle bryzgać. Protest oficjalistów. Zmarnowana ofiara. Tamże nr. 48.

XLIII. Obrońca kanalizacji. Wiara w dziedziczność i zachwyt nad powolnością. Groźba. P. Lindley, porzucający nas na wolę bożą. Strapieni radcowie. Doskonały kontrakt. Napaść i krytyka. Lekceważenie siebie. Konkurs »Bibljoteki warszawskiej«. Poszukiwanie wzoru obywatela polskiego. Zdobycie twierdzy dre-

wnianym koniem. Mieszaniec. Jedna wspólna cecha. Djalog z przyszłego Dworzanina. Szulerzy i gawrony. Odpowiedź. Tamże nr. 49.

XLIV. Duet o rynsztoku. Najzabawniejsza rzecz. Gruby Marchołt i grube wnioskowanie. Turniej dramatyczny. Konkurenci między sędziami. Bez celu. Iskra dramatyczna i przyszły jesiotr. Lepszy użytek z funduszu. Drugi konkurs chybiony. Trzeci bez nagrody. Boczyliński i dr. Starynkiewicz. Łzy zacnego starca. Pytania. Tamże nr. 50.

XLV. Przewracanie się kręgli. Bankructwa. Zastój w handlu. Korzyść z uwolnienia p. Kusocińskiego. Lepszy kredyt na 5 proc. miesięcznie, niż żaden. Powieść dziecinnej fantazji. Prawdziwe nieprawdopodobieństwa. Coby powiedział najpobłażliwszy krytyk. Wpływ p. Kusocińskiego na beletrystykę. Nadzieja usłyszenia sądu potomności. Ani jedyna, ani najlepsza droga. Rumianek i różane krople. Tamże nr. 51.

XLVI. W Watykanie. Deputacja galicyjska. Z każdego gatunku. Przemowa hr. Tarnowskiego i odpowiedź papieża. Kto pod Wiedniem zwyciężył. Obawy etnograficzne i galicyjsko-włoska wesołość. Krotochwila w Watykanie. Co wobec ofiary uczuł »cały naród«. Protest przeciwko stańczykom. Nowy obraz Matejki. Postępowe kobiety. Ojcowie i matki. Tamże nr. 52.

Piśmiennictwo polskie. I. K. Węgierski, Pisma wierszem i prozą, Lwów, Altenberg, 1882, (podp. A. S.); II. Antologja obca, Lwów, 1882 (b. p.); III. W. Pol, Mohort z 24 ilustracjami J. Kossaka, Lwów, Altenberg, 1882 (b. p.); IV. J. Słowacki, Lilla Weneda z ilustracjami Andriollego, Warszawa, Orgelbrand (podp. S.). Tamże nr. 2.

Jubileuszowy podarek (b. p.). Tamże nr. 3.

Nieustające przymierze (b. p.). Tamże nr. 5.

Bałamuctwa (podp. A. S.). Tamże nr. 6.

Józef Szujski (podp. A. S.). Tamże nr. 7.

Niebezpieczne zboczenia (b. p.). Tamże nr. 9.

Albo... albo... (podp. A. S.) Tamże nr. 9.

Złote usta (b. p.). Tamże nr. 10.

Nieprawda (podp. A. S.). Tamże nr. 10.

Z pod rąbka zasłony (b. p.). Tamże nr. 13.

Amnestjonowani (podp. A. H.). Tamże nr. 14.

Odpowiedź redakcji (podp. A. S.). Tamże nr. 15.

Bil dynamitowy (b. p.). Tamże nr. 16.

Liberalne bankructwa (podp. A. S.). Tamże nr. 17.

Chrześcijansko-austryjackie święto (podp. A. H.). Tamże nr. 17.

Ruch wsteczny (b. p.). Tamże nr. 18.

Prawdopodobne rozwiązanie (b. p.). Tamże nr. 19.

Radosne nowiny (podp. A. H.). Tamże nr. 20.

Okres złodziejski (podp. N.). Tamże nr. 21.

Kłótnia zasad (b. p.). Tamże nr. 21.

Przed wystawą (b. p.). Tamże nr. 22.

Liczba i potęga duchowna (b. p.). Tamże nr. 23.

Dwa bukiety poetyczne (podp. H.). Tamże nr. 23, 24.

Przypisek do artykułu J. Freudensohna p. t. Naturalizm powieściowy wobec »Anarchji warszawskiej«, zaczynający się od słów: »Przyznając słuszność twierdzeniom i wywodom autora...« (podp. Redakcja). Tamże nr. 23.

Swoi i obcy (b. p.). Tamże nr. 24.

Likwidacja zbankrutowanej firmy (b. p.). Tamże nr. 25.

Im prędzej — tem lepiej. Tamże nr. 26.

Nowoczesny dopływ antisemityzmu (b. p.). Tamże nr. 32.

Szkoła z rodziną (b. p.). Tamże nr. 33.

Kłamstwo i prawda (Do laski sejmu literackiego) (b. p.). Tamże nr. 34.

Z gór. I. Do Zakopanego; II. W Tatrach; III. Lud i jego dobroczyńca. (podp. A. S.). Tamże nr. 34, 35, 36.

Nić czerwona (b. p.). Tamże nr. 36.

Na wiosnę (b. p.). Tamże nr. 37.

Nasza Babel (b. p.). Tamże nr. 38.

Syndykat literacki (b. p.). Tamże nr. 41.

Trutnie i pszczoły (b. p.). Tamże nr. 42.
Znowu chmura (b. p.). Tamże nr. 44.
Niezbyteczny komentarz (podp. A. S.). Tamże nr. 44.
Słowianofilska spowiedź (b. p.). Tamże nr. 45.
Testament Alego (podp. Okoński). Tamże nr. 45.
Uroczystość Lutra (b. p.). Tamże nr. 46.
Czeska uroczystość narodowa (b. p.). Tamże nr. 47.
Pierwsza korekta (b. p.). Tamże nr. 47.
Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 48.
Poruszone koło (b. p.). Tamże nr. 48.
On i ona (podp. Okoński). Tamże nr. 48. 49, 50.
Abonenci roczni (b. p.). Tamże nr. 49.
Druga korekta (b. p). Tamże nr. 49.
Z wędrówki do Canossy (b. p.). Tamże nr. 50.
Trzecia korekta (b. p.). Tamże nr. 51.
Z sądu (b. p.). Tamże nr. 51.
Zamknięcie roku (b. p.). Tamże nr. 52.

1884.

Ostatni wyraz (b. p.). »Prawda« nr. 1.
Starzec i dziecię (podp. Okoński). Tamże nr. 1.
Zwykła i niezwykła książka (podp. H.). Tamże nr. 1.
Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Święty bez głowy. Rozum i poezja w zwyczajn. Dzień miłości. Psychologiczne usprawiedliwienie życzeń. Wspólny węzeł. Posilny pokarm. Dziwna przestroga i list Franciszki. Kłótnia w kościele św. Katarzyny. Rzym i Krym. Nieprzyjaźń względom Niemców i szynka westfalska. Po czyjej stronie przewyżka. Powinszowania. Tamże nr. 1.

II. Głos sumienia i mój upór, Reguła i wyjątek, który uwalnia od czytania. Kochankowie ilustracji. Zawiązki stronnictw. »Świt«. Zgon »Echa«. Krótki jego życiorys. Metampsychoza. Menonici. Ostatnia karta. Naturalny obstalunek. Dziennik łódzki. Pierwsza wyprawa polska do Azji Mniejszej. Petermann i Znatowicz. Pamfilja. Prawdopodobne zyski. Tamże nr. 2.

III. Spór o pochodzenie Filipa z Konopi. Konieczność uwzględnienia jednego autora z »Echa«. Nierząd góry i rząd dołu. Co się dzieje w teatrach zagranicznych a co w naszych. Habitués. Kogo się przeprasza, a kogo łajo. Kozioł ofiarny, którego niema. Sport teatralny. Dobre zapowiedzi karnawału i czerwone fraki. Usposobienie i barwy. Bal malarski. Święto panien. Wyzwoliny. Bez nazwisk. Mała potyczka i bal literacki. Przerwane toasty. Niemożność wypicia »kochajmy się!« Słówko »Niwie«. Tamże nr. 3.

IV. Dziwny trud. Co bym robił, posiadając własność wypowiadania złotych myśli. P. Gnatowski jako świetny krytyk. Czemu nie piszę najlepszych rozpraw krytycznych. Wygodne złudzenia literackie i ekonomiczno. Konieczna rubryka w rozchodzie. Nowa kwestja i nowy stan — piąty. Malejący postęp moralności. Dybowski. Wpływ karnawału na ilość niedoręczonych depesz. Potrzeba biura pośredniczącego. Tamże nr. 4.

V. Wiedzieć i czynić. Artykuł p. H. W. w »Gazecie Polskiej«. Zamiłowanie do rolnictwa, handlu i próżnowania. Zdumiony Liwerpool. Nasi kupcy. Pracowitość niemców i nasza ostetyka. Odezwa obywateli poznańskich. Protest niebieskich i czerwonych fraków. Wieczorki wełniano. Trudność i łatwość zasługi. Suknia wełniana jako tytuł do nieśmiertelności. Narada marszałków dla ubezwłasnowolnienia marnotrawców. Czarne i różowe okulary. Tamże nr. 5.

VI. Jowisz, rozdzielający ciała duszom. Skargi wszystkich i radość dwu. Aktor i konserwatysta. Statystyka policzków rozdanych przez śpiewaczkę, słynniejszą niż Arystoteles. Szanowny autor, działający z najzacniejszych pobudek. Ostatnie ogniwo szarego końca. Tolerancja. Co wolno konserwatyście. Przyszła rada dla syna. Satyra Bałuckiego. Skarcona próba. Króciutki biczyk. Warszawa jako Dom otwarty. Ujejski, starający się o bilety. Tańce podczas cholery. Karnawał bankrutów. Usprawiedliwienie. Tamże nr. 6.

VII. Co to jest historja literatury. Jednożeństwo nauk. Konkurs »Bibljoteki Warszawskiej«. Wiek XVII. Przeskakiwana otchłań. Chleb prawdy. Objaśnienia historyczne p. M. Gorzkowskiego. Kilka pereł mimowolnego humoru. Lepiej żeby malował. Sielankowa naiwność. Jeszcze o znakologji. Okólnik zagraniczny. Pociecha dla kupca z Pesztu. Frutti di Varsavia. Tamże nr. 7.

VIII. Dopełnienie zapust. Kobieta z wężem. Szturm do szpitala Dzieciątka Jezus. Nadmiar wiedzy wyższej i jej niedostatek między redaktorami. Puklerz i port w życiu. Wygody konserwatyzmu. »Niwa« i Kra-

szewski, »Prawda« i p. Sienkiewicz. Ukłon Piekarskiego. Obojętność. Deklaracja. Forsowna protekcja. Kociołek i garnek. Ciszej. Tamże nr. 8.

IX. Historja o pewnym kupcu z New-Yorku. Szybkość wznoszenia się i spadania. Zupełnie jak u nas. Dziwne metamorfozy. Zyski żon w bankructwach mężów. Handel zmienia płeć. Dęby i leszczyny. Wpływ odezwy poznańskiej. Na maskaradzie. Panna Mackay. Uroczystość narodowa. Wszelkie sfery. Przemówienia i fanfary. Bohater narodowy. Doktoryzacja hrabiego. Pokłony służalców. Bal z »ojczyzną«. Tamże nr. 9.

X. Zebranie członków Towarzystwa muzycznego. Dwa stronnictwa. Mowa w imieniu zwolenników Terpsychory do kapłanów Polihymnji. Układ. Potrzeba przystawek. Ogród zoologiczny. Dobra metoda. Szkodnicy i złodzieje w rachunku. Intryga pism ilustrowanych. Prawdopodobne podwyższenie ceny ławą. Ilustracje tanie. Drapieżna czułość i mimowolny humor. Zyskowny zawód. Tamże nr. 10.

XI. Zwierzęta o miłości a ludzie. Inny język. Perkun. Ozdoby miłości. Sand i parobek, p. Koźmian i Golian. Miłość idealna. Z oddalenia. Kiep i mędrzec. Pora miłości. »Bibljoteka matematyczna«. Poważny objaw działań Kasy Mianowskiego. Cumberland w Warszawie. Czytanie myśli. Niespodzianki. Niemiłe odkrycie. Tamże nr. 11.

XII. Wymówka korespondentki. Grzech przeciwko miłości. Kilka pytań z twierdzącą odpowiedzią. Zięba i Kochańska, pająk i Pająkowski. Co to jest idealność. Biesiada pod imieniem p. Marrené. Trudność wyrażenia szacunku żołądkiem. Uczta olimpijska. Albo tercjarka, albo buntownica. Ubezpieczenie od głodu i jubileusz ubóstwa. Schenk u nas. Ostrożnie z hypotezą. Plotki. Sprzedaż akcji koleji Nadwiślańskiej. Gęste powietrze i cienki palec. Tamże nr. 12.

XIII. Poważna kwestja. Mickiewicz czy Sienkiewicz. Homer, Tasso, Dante, Shakespeare i t. d. w jednej osobie. Nie myślący, ale myśliwy. Radziwiłł w krytyce. Głosy z grobu. Pigułki Guyota w literaturze. Skutki reklamy. Zamiast poważania śmiech. Fidibusy Mickiewicza i nasza zasługa w jego kieszeni. Przyjęcie Spielhagena i jego skromność. Bieda Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych. Nieco o nieśmiertelności różnych dusz. Tamże nr. 13.

XIV. Czasy i obyczaje. Ischia. Walka z kanarkiem. Zniszczenie róży. Duch czasu. Rozgrzebywanie mrowisk. Zagadnienie matematyczno-formuła taszkientców. Rozkoszne widoki. Patrjoci na licytacji międzynarodowej. Miłość za tanie pieniądze. Niesnaski w łonie pierwszej wyprawy polskiej do Afryki. Stary duch. Idealiści, śpiewający na nutę pozytywistów. Nowe artykuły spożywcze. Narada. Tamże nr. 14.

XV. Koszary na miejscu Parnasu i Akademji. Co widać i co słychać. Niezdrowy czas. Praca ducha i praca dynamitu. Zniesienie jednego przykazania. Tomat dla obecnej humorystyki. Europa nago. »Nowoje Wremia« jako pedagog wieku. Patrzący na gwiazdy. Bankructwa. Gnicie kapitalizmu. Środki przeciw odklejaniu marek i oszustwu z biletami. Zasady etyki jako dar noworoczny. Książka dla dzieci. Wara! Różne gusty. Tamże nr. 15.

XVI. Święta wielkanocne. Omydlone słupy. Nauka mojego Smoka i przestroga księdza. Konkursy pp. Blocha i Kronenberga. Wzgarda w dobrych chęciach. Opis zabaw ludowych. Do kroniki czasu. Młot w rękach Nemezys. Skarga Kraszewskiego. Orłowski i Rapacka. Przysmaki prasy. Karykaturalne fotografje. Brak siły umoralniającej. Wypadek w szkole. Nieposzanowanie dla synowskiego uczucia. Przesadna surowość. Srogi nauczyciel i uczeń z oberwanem uchem. Złamani. Tamże nr. 16.

XVII. »Świt«. Z dawnych wierzeń p. Konopnickiej. Gdzie dnieje. Mroki. Prawa kobiet. Zdobywanie twierdzy. Świt w gazetach rosyjskich. Pytania i zagadka. Wybuch wątroby. Obelga. Przemowa do języka. Trel słowika, mianującego się Sępem. Tamże nr. 17.

XVIII. Mój wpływ na stosunki międzynarodowe. Dywidenda od akcji spiskowych. Bukiet dla p. Pindtera. Odczyty publiczne i ich korzyść. Wskrzeszony Brandes. Nauka moralna. Odczyt p. Littena. Tamże nr. 18.

XIX. Wiosna. Z-msta pogwałconej natury. Szczęśliwi wieśniacy. Rzodkiewka, ogórki i wojna. Znaki pokoju. »Posenor Zeitung«. Przykre rozczarowanie. Edward Sulicki, wróżbita wojny. Epidemja cmentarzysk pogańskich. Człowiek przedhistoryczny. Odkąd się zaczyna historja. Tamże nr. 19.

XX. Sprawa Kraszewskiego. Dwa rozwiązania zagadki. Oskarżony i prokurator. Uwagi teoretyczne. Wiara i niewiara. Wystawa kucharska. Przeciskanie się naszej sławy do Europy. Pożyczka p. Kramsty i radość »Now. Wremieni«. Protekcja »Kurjera Warsz.« w niebie. Tamże nr. 20.

XXI. Co zaśpiewała p. Zimajer przeciw jednemu z pism. Przerażające napomnienia. Abdykacja z urzędu fejletonisty. P. Grabowski, skalpujący p. Byczkowskiego i Gajslera. Przygoda z »ometrą«. Korepetytor przyzwoitości z »Biesiady literackiej«. Marcinowa i autorowie Wiązanki. Szczera myśl i czkawka. Bezwrażliwość na własne obelgi. Krótka pamięć Lama i jego hełm rycerski. Inwentarz zrujnowanego talentu. Odgrzewane koncepty. Głowa do pozłoty. Tamże nr. 21.

XXII. Echa procesu Kraszewskiego. Konieczne jego następstwa. Uwijający się furmani. Społeczna zgnilizna w opinji. Równość wobec jej praw. Neofici moralni. Propozycja próby. Żądania taksy. Wypłoszona poezja. Zjazd w Krakowie i zapowiedziany kongres we Lwowie. Wiec na Koszykach. Tamże nr. 22.

XXIII. Róg obfitości Fortuny. Ekshumacja sprawy Kamińskiego. Woń »Schweiggeldu«. Rozpostarcie zarzutu. Wykopywanie winowajców. Nowy komentarz do sprawy Kraszewskiego. Kradzież jako uprawniony zwyczaj. Prawdopodobna hypoteza. Wycinanie polipa. Manifest pani Zimajer. Spróchniałe zęby. Oszczerstwa p. Jana Lama. Sprostowanie. Gdzie schweiggeldziści. Tamże nr. 23.

XXIV. Wystawa zeszłoroczna i obecna. Okrzyk trwogi i hasło do odwrotu. Porażka w walce z Ameryką. Kowale własnego losu. Kogo nam żal. Znak zapytania na gruzach dworków. Dęby arystokratyczne w powojach lichwiarskich. Niepoczytalny dobrodziej. Zwierzyniec. Dotychczasowa jego trupa. Potrzeba zwierząt,

co ryczą. Obawy o stare sitko. Jeszcze obawa. Same »zapadniki«. Klucz »Now. Wremieni« do zjazdu poznańskiego. Ciekawe wyścigi. Prośba o poświadczenie. Tamże nr. 25.

XXV. Powódź w gazetach. P. Izabela Ryxowa. Pyszny widok. Westchnienie filantropa. Woda i ogień. Wianki, które nie mogły być puszczone. Im gorzej, tem lepiej. Skarga artystki. Satyry K. Opalińskiego. Dziwny zwyczaj p. K. Bartoszewicza. Wniosek do laski sejmu literackiego w przedmiocie korekty. Dobrowolna ofiara. Słaba nadzieja. Potrzeba ustnego porozumienia się. Tamże nr. 26.

XXVI. Tryumf jednej z potęg tego świata. Skupienie szczegółów i masa. Wrażenia ilości. Wędrówki reporterów za śladami powodzi. Hojne ofiary. »Na pomoc«. Prośba do czytelników. Za przykładem morza. Projekt publicznej biesiady. Żywe szachy. Jubileuszowe wydanie dzieł Kraszewskiego. Piękna kwestarka i twardy niedowiarek. Sen letni. Tamże nr. 27.

XXVII. Dzielni wioślarze. Górą nasi. Tęcza nadziei nad przystanią. Tysiąc członków. Rozpacz Tow. muzycznego. Wioślarki. Składki na powodzian. Skromny w nich udział dwu żywiołów. Spadek prenumeraty. Bieda. Nabożeństwo do materji. Zwykły wpływ konserwatywnych literatów. Majtki. Czarodziejstwo dra Ochorowicza. Wezwanie do uniwersytetu lwowskiego i pięknych wioślarek. Moje fortyfikacje. Tamże nr. 28.

XXVIII. Stara prawda. Dobrodziejstwo powodzi. Zblizka i zdaleka. Zużyto środki pobudzania ofiarności. Oględność w rozdawnictwie składek. Obdarowany ksiądz i bogaty pan. Błogosławione skutki cholery. Granice rozpoznawano nosom. Dwa środki ochronne i p. Lindley. Asnyk, kompromitujący Kraków i społeczeństwo polskie. Operacje przedwyborcze. Niemożność pisania o kobietach w lecie. Tamże nr. 29.

XXIX. Dwa życzenia i dwie ofiary. Bezimienny kandydat na męczennika i jego warunki. Gotowość do zastępstwa. Dr. Ochorowicz i Towarzystwo lekarskie. Potrzeba rozdziału napomnienia. Okólnik Urzędu lekarskiego. Bezpłodne usługi. Epidemijka i futro. Na pomoc. Występ sił nowych i radość p. Minkowieckiego. Aforyzmy pobożne, niepokaźne i cenne. Strofa Konopnickiej. Akademja Mickiewicza i unosząca się nad nią blaga. Tamże nr. 30.

XXX. Jeszcze o cholerze. Uspokojenie. Zamiłowanie w płodach swojskich. Jedyne miasto. Spalona Dukla i rozmyślania nad błogosławionym Janem. Solidarne poręczenia jako sposób skracania rozległości. »Żywopisnaja Rossija« i »Wiedomosti«. Doganianie wezora cugiem. Wstręt czy apetyt. Naród mańkutów. Tandeta ilustracji. Groch na ścianę. Koń czy krowa. Tamże nr. 31.

XXXI. Od śliny. Utrwalanie w pamięci dzieci ważnych wypadków. Na cześć Domejki. Starzy w kurtkach i majtkach dziecinnych. Pod imieniem Mickiewicza. Przykazanie pierwsze. Komisarz do spraw dworskich jako pisarz gminy konserwatywnej. Odpowiedź i rada. Bohater dla przyszłego Plutarcha. Atrament niknący. Jeden warjat a miljon podobnych — nie. Dr. Ochorowicz i Towarzystwo lekarskie czyli postęp radykalny i umiarkowany. Tamże nr. 32.

XXXII. Rozporządzenie policji berlińskiej. Komentarz »Norda« i »Now. Wremieni«. Poganie i chrześcijanie. Sprzeczność. Czciciele Starego Zakonu jako prześladowcy starozakonnych. Kongres wiecznego pokoju. Ks. Bismarck i kobiety. Sielanka w obozie. Policja, pełniąca obowiązki rodziców. Kogo należy karać. Za biednymi. Odezwa do szczupłego koła. Tamże nr. 33.

XXXIII. Wstydliwa uczta. Historja »National Zeitung«. Dwie skłonności. Gotowość do bibok i toastów na cześć literatów zagranicznych. Przed Europą. Lobe hoch! Ostatnie kłamstwa i warjanty na temat drewnianego konia. Ogłoszenie »Journal de St. Petersbourg«. Nasz kredyt moralny. Żółta obwódka na dzióbku »Wędrowca«. Wydzielina p. K. C. J. Cierpienie Wertera chorego na środkowo dzwono. Tamże nr. 34.

XXXIV. Pożądany zwrot. Towarzystwa, jako podstawa rozwoju społecznego. Towarzystwo ogrodniczo. Chłopski sad i wiśnie przydrożne. My i czesi. Stowarzyszenie subjektów handlowych. Nowa ustawa. Potrzeba unji. Przepowiednia walki. Szczęśliwy pan i wieniec z plonów. Dostojni i opowiadanie warjata. Doroczny lament. Chorobliwa filantropja. Dwie oszczędności. Tamże nr. 35.

XXXV. Jak było i jak p. Pług opowiada. Handel, apostołujący. Czy p. Lewental, kupując »Kłosy«, myślał o wichrach ze wschodu i zachodu. Teorja poczciwości. Niebezpieczna zasada p. Krzemińskiego. Artykuł p. Kaszewskiego i zasługi młodych. Krajobraz p. Cezara Polewki. Suma. Smutek pierwszej polskiej wyprawy do Afryki. Najgłośniejszy jej czyn. Tamże nr. 36.

XXXVI. Wpływ kierowania balonami na rozwój świata. Przypuszczenie dra Ochorowicza. Technologja, kształcąca Europę. Dowodzenie z góry za pomocą argumentów wybuchających. Obecny kierunek prac myśli ludzkiej. Teraźniejszość p. Szygaryna. Hymn miłości i melodje Faraonowe. Najrozumniejszy artykuł. Spieczone języki. Urągowisko komisji niemieckiej. Rozkoszne sny. Pisarze, zbierający dane. Westchnienie do niemców. Tamże nr. 37.

XXXVII. Wspomnienie o Kochanowskim. Nie czas i nie pora. Nieszczęścia pamięci. Następcy Kochanowskich. Sens bez wędzidła. Voltaire ateuszem. Skutki chłodników. Objawy rozczarowania. Choroby czasu. Następca po Pilacie. Chmielowski ścięty przez Odyńca i jego głowa złożona na półmisku »Kroniki Rodzinnej«. Rozmawiające sroki i pomnik dla Sarbiewskiego. Niezwyczajny proces i krytyka asystenta. Jakób Natanson. Tamże nr. 38.

XXXVIII. Za co nas nie lubią. Dawne rozumowanie. Nowy komentarz z Niedyskrecji. Jak się rozpływa po Europie opinja i jak się tworzy sympatja oraz antypatja. Kongres i kongresiki ziomian. Duch amerykańskiego banku. Gdzie ekonomiści? Poważne niebezpieczeństwo. Miecz nad służebnościami. Łamanie ustawy włościańskiej. Dróżki naokoło prawa. Rodzenie się nowej kwestji. Dwa skrzydła. Pociecha w zewnętrznem. Tamże nr. 39.

XXXIX. Odwrócona wiedza. Nauki przyrodnicze — matematyka — etyka — logika. Rozmaitość i oryginalność twierdzeń. Swoboda w myśleniu. Niewola lekarzów niemieckich. Nauka w sądzie. Ziemia przy świe-

tle nowych prądów. Zaczopka Towarzystwa lekarskiego i monolog obronny dra Ochorowicza. Urągowisko Goljata i brak Dawida. Biodactwo zagraniczne. Lekcja poprawności języka. Kiedy się wnosi a kiedy nie wnosi. Zrzędzonie i kilka poprawek. Tamże nr. 40.

XL. Katechizm obywatelski. Zbywająca cnota i brakujący grzech. 25-lecie »Tygodnika Ilustrowanego«. Patrjarcha i jego rodzina. Życie jako poemat miarowy. Zasłużony szacunek. »Gazeta przemysłowo-rolnicza« i niewyraźność jej mowy. Teraźniejszość. Skarga p. Szigarina. Dwa koloryty i dwa oświetlenia w malarstwie zgody. Rozpoczęte przedsięwzięcia. Zagadka etyczna. Tamże nr. 41.

XLI. Podniesienie skali umysłowej akuszerek. Słuszność zwyczaju. Popularny wykład anatomji. Prowincja w szponach nieuctwa. Dwa argumenty. Uszlachetnienie wzgardzonego stanu przez wiedzę. 320 funtów wytrychów jako wykładnik moralności społecznej. Dalszy ciąg biografji krakowskiego gagatka. Ważne dla literatów. Pomysł jako dusza powieści. Ciasne koło humorystyki. Niefortunny balon i jego dwudniowe wydymanie się. Dobroduszna publiczność. Pożar fabryki i brak wody. Tamże nr. 42.

XLII. Naszywki starej gwardji. Jubileusz Keniga. Semper idem. Nowy ogień w starej budowie. Wieloryb na bezrybiu. Jedyny dziennikarz polityczny. Ton i język niesłyszany. Lekceważący lekceważony. Matejko nie dostał medalu. Wielki naród z małemi pobudkami. Matejko gdy mówi. Dlaczego Makart, Munkaczy i Doré zwarjowali. Ruch emigracyjny w Warszawie i kanalizacja na Marsie. Potrzeba wysłania p. Lindleya z p. Miłoszem. Tamże nr. 43.

XLIII. Trzy powody wyłączenia sędziów przysięgłych. Słuszniejsza czwarta. Bizantynizm krytyczny. Bałwochwalstwo zamiast czci. Sen nocy letniej. Szkoła z zapisu Konarskiego. Potrzeba i konieczność. Żądanie rady miejskiej w Paryżu. Tanie zboże i drogi chleb. Bałucki. Tamże nr. 44.

XLIV. Wystawa smutku. Płacz według kalendarza. Zaduszki. Szczera boleść nad grobem. Nigdy i kiedyś. Jesienna zabawa. Przemiana Resursy obywatelskiej. Klub rodzinny, jego historja i ważność. Oburzenie p. A. Półkozica. Spekulacja na spuściźnie po wielkich ludziach i ich tajemnice. Od czego nieboszczycy bardziej poruszają się w grobach. Tamże nr. 45.

XLV. Cztery wielkie nowiny. Dobrodziejstwa drugiego wydania. Jedyny smutek, który da się usunąć w trzeciem. Zakład pozostawiony do rozstrzygnięcia przyszłości. Mój skromotny nagrobek. Śmierć wielkiego artysty w nędzy. Mary jego życia. List Munkaczego. Trudna odpowiedź. Losowanie posad koleji dęblińsko-dąbrowskiej. Powszechne schronisko. Najmniej zniechęcające ostrzeżenie. Byli i niebyli. Tamże nr. 46.

XLVI. Koncert studencki. Jednostajność programu i urozmaicone przerwy. Dwa powody entuzjazmu dla Mierzwińskiego. Narodowe *c* na wędrówce. Jałmużna dla Warszawy. Konkurs dramatyczny z »zaszczytem«. Trybunał wątpliwej bezstronności. Wisła. Jej ubóstwo i bogactwo. Humor zaprawny koniakiem. Tamże nr. 47.

XLVII. Rozmowa napoleończyka z człowiekiem przyszłości. Fizjologja żołądka. Nowe towary pod starymi szyldami. Trzy grupy. Ofiara p. Handtkiego. Wartość spełnianego obowiązku. Praca przez 54 godziny z rzędu. Wesoła zabawa. Taniec śmierci. Szkice estetyczno. Prawdy p. Massoniusa. Rozpaczliwy wykrzyk czytelnika. Tamże nr. 48.

XLVIII. Porządne katechizmy i pierwsza wyprawa zaćmiona przez projekt dra Fritschego. Prosty sposób zbogacenia literatury angielskiej i rozsławienia naszej. Szczęście, że Mickiewicz nie wstanie z grobu. Jak i kto może wesprzeć miss Biggs. Nasza operacja polityczna w Afryce. Drżyj Bismarku! Za przykładem p. Handtkiego. Kwesta na studentów. Maciusiowa czy Kaśka. Francuzi północy. Tamże nr. 49.

XLIX. Cumberland rozebrany z tajemnic. Jego zdziwienie. Wiedeńscy uczeni a my. Zbyteczne pytanie. Potrzeba wyszukania śpiącego komitetu. Dziwne losy Mickiewicza. Od kogo on dziś zależy. Zakład wychowawczy dla dzieci rodziców zamożnych. Tresura w grzeczności. Tęsknota do lat dziecinnych. Tamże nr. 50.

L. Kolonia polska w Paryżu. P. Gasztowtt jako jej rzecznik. Doroczny list pasterski. Co apostoł dojrzał w Warszawie. Łatwa sztuka. Wesołe Skrzetuskiego we Lwowie. Potop. Skromność prospektów. Filantropja z makulatury. Rauty dla robotników. Po omacku. Zawód urzędników drogi Nadwiślańskiej. Filozofja Rady i złośliwość natury. Lichwiarze jako zbawcy. Tamże nr. 51.

LI. Badania nad »Kurjerem«. Wiązanka z jednego numeru. Lista kradzieży. Zobojętniona wrażliwość i potrzeba zaostrzenia jej. Dokąd my idziemy. P. Zimajer i Mierzwiński jako emisarjusze polskiej propagandy. Obawa buntu. Jubileusz Royera. Za silna dawka chwalby. Tamże nr. 52.

Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1 *2*, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, *21*, *22*, *23*, *24*, *25*, *26*, *27*, *28*, *29*, 30, 31, *32*, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, *42*, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, *52*.

Wyrozumiała sprawiedliwość (b. p.). Tamże nr. *2*.

Zwycięstwo folblutów (b. p.). Tamże nr. 3.

Katolicy i ks. Bismark (b. p.). Tamże nr. 4.

Krwawe dzieje (w Wiedniu) (b. p.). Tamże nr. 5.

Monopol rolny (b. p.). Tamże nr. 6.

Podniesiona miara (b. p.). Tamże nr. 7.

Płaczące krokodyle (b. p.). Tamże nr. 8.

Motyl wiosenny (b. p.). Tamże nr. 9.

100.000 marek (b. p.). Tamże nr. 10.
Dynamitardzi (b. p.). Tamże nr. 11.
»Chwila złego humoru« (b. p.). Tamże nr. 12.
Narada lekarska (b. p.). Tamże nr. 13.
Daremna groźba (b. p.). Tamże nr. 14.
Nauka ze skutków (b. p.). Tamże nr. 15.
Stara sztuka (podp. Liber). Tamże nr. 15.
Obawa niespodzianek (b. p.). Tamże nr. 16.
Polityka wolnej ręki (b. p.). Tamże nr. 17.
Szczęśliwej podróży (b. p.). Tamże nr. 18.
Chwila zwrotu (b. p.). Tamże nr. 19.
Prawo do pracy (b. p.). Tamże nr. 20.
Wyższe pobudki (b. p.). Tamże nr. 21.
Małżeństwo z rozumu (b. p.). Tamże nr. 22.
Ustępstwa dobrowolne. I. Prawo do pracy; II. Wprowadzenie prawa do pracy (b. p.). Tamże nr. 23, 24.
Prawo rozwodowe (we Francji) (b. p.). Tamże nr. 24.
Z kim i z czem (b. p.). Tamże nr. 24.
Nowotwory (b. p.). Tamże nr. 25.
Niemoc i obojętność (b. p.). Tamże nr. 26.
Najbliższa przyszłość (b. p.). Tamże nr. 26.
Na straży zdrowia (b. p.). Tamże nr. 27.
Henryk Sienkiewicz (Litwos) (podp. A. S.). Tamże nr. 27, 28, 29, 30, 31, 32.
Nowa ustawa (b. p.). Tamże nr. 28.
Uroczystości narodowe (b. p.). Tamże nr. 29.
Rekiny (b. p.). Tamże nr. 30
Pożegnanie. »Na pomoc«, wydawnictwo zbiorowe na korzyść powodzian. Warszawa w lipcu 1884 r. 28 i 7 stron, strona 25.
Dla dzieci pracujących (b. p.). »Prawda« nr. 31.
Podwójna buchalterja (b. p.). Tamże nr. 32.
Przed 50 laty (b. p.). Tamże nr. 33
Czeskie odwiedziny (b. p.). Tamże nr. 34.
Brak przewodników (b. p.). Tamże nr. 34.
Uproszczona procedura (b. p.). Tamże nr. 35.
Poszukiwanie niedoborów (b. p.). Tamże nr. 37.
Zjazd skierniewicki (b. p.). Tamże nr. 38.
Niespodzianki (b. p.). Tamże nr. 38.
Cholera w Neapolu (podp. W. O.). Tamże nr. 38.
Poznańskie warcholstwo (b. p.). Tamże nr. 39.
Co robić? (b. p.). Tamże nr. 41.
»Lex Kwiczała« (b. p.). Tamże nr. 42.
Piśmiennictwo polskie. W. Wysocki. Zaklęta łza i Nowe dziady, Kijów 1885 (podp. S.). Tamże nr. 42.
Eppur si muove (b. p.). Tamże nr. 43.
Chybiony manewr (b. p.). Tamże nr. 44.
Dla nędzy (b. p.). Tamże nr. 45.
Wybory w Niemczech (b. p.). Tamże nr. 46.
Nowy prezydent (b. p.). Tamże nr. 47.
Gałązki oliwne (b. p.). Tamże nr. 48.
Nekrolog Wojciecha Białosukni (podp. A. S.). Tamże nr. 48.
Szpicruta Ludwika XIV. (b. p.). Tamże nr. 49.
On powiedział... (b. p.). Tamże nr. 50.

Udoskonalona pompa (b. p.). Tamże nr. 51.

Z dramatu »Aspazja«. Scena 1. (podp. Wł. Okoński). »Kurjer Codzienny«. Numer Gwiazdkowy, Warszawa, dnia 24 grudnia 1884 r. 55 stron, strona 4.

Artykuł wstępny, zaczynający się od słów: »Z numerem dzisiejszym »Prawda« kończy czwarty rok swego istnienia...« (b. p.). Tamże nr. 52.

Osłabione zaufanie (b. p.). Tamże nr. 52.

»Światełko« (b. p.). Tamże nr. 52.

Zenonek w zbroi. — »Światełko«, książka dla dzieci napisana zbiorowo przez Grono Autorów Polskich, Warszawa, Wydawnictwo Spółki Nakładowej Warszawskiej, 1885. 274 i II. strony — strona 17.

1885.

Obecna doba (b. p.). »Prawda« nr. 1.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Bezimienna skarga ukojona w Lirze polskiej. Kobieta w poezji niedawnej. Tytuł człowieka nabyty za cenę straconych uroków. Noworoczno wędki. Życzliwi abonenci chwytani na lasso. Raki Kochanowskiego. Przykrość »Kroniki lekarskiej«. Protest z konopi. Subjekci handlowi Nowego Zakonu. Potrzeba zjednoczenia. Rozum swoją drogą, a namiętności swoją. Tamże nr. 1.

II. Sfinks noworoczny. Jedyny pewnik. Dary trzech królów. Mira. Kto utrzymuje separatyzm. Zmiana ról. Czy Towarzystwo kredytowe dla miast, czy bank skopiński. Kadzidło. Wykrycie buntowników w kalendarzu. Ich maska zdjęta przez »Kijowlanina«. Złoto. Krzywdy dwu niewiast, z których jedna nie ma sztucznie wylęganych kurcząt, a druga niężonatego rządcy. Oszustwo dokonane na ubogich. Czy my jesteśmy biedni. Kolej dąbrowska i rzeźbiarzo. Tamże nr. 2.

III. Nowa demokracja. Manifest do natury. Zwycięstwo kobiety brzydkiej. Estetyczne znieczulenie. Brutta i Bella w przyszłości. Robotnik nasz obejrzany okiem szwedzkiem. Głos z Jawy. Czemu polak emigruje. Jego przemiana za granicą. Wojna pracy. Sodan i Filadelfja. Naszo malarstwo w usługach galanterji. Tamże nr 3.

IV. Pokos śmierci. Odyniec jako pamiątka. Człowiek przeszłości. Zamach na obraz Matejki. Łotr czy warjat. Wspomnienie o warjatce. Kanwy dla obłędu. Uragan zniszczenia. Jego objawy. Tamże nr. 4.

V. Okrutna konieczność życia. Nigdy. Jest nam wesoło. Uczty na cześć Fortuny. Wieczorki wełniane. Ich korzyść. Taniość i sława. Moje »nigdy«. Szczęśliwi głusi i ociemniali. Trzy tysiące tancerzy. Rehabilitacja J. Kochanowskiego w katolicyzmie — i pozytywistów warszawskich. List pasterski. Trzy warunki i jeden przykład. Tamże nr. 5.

VI. Chór cyfr bankruckich. List żołnierza poznańskiego do matki. Jaką on odegra rolę w przyszłości. Cenno zabytki wymarłego ludu. Wywody lingwistyczne. Brak grajków do tańca. Saint-Saëns i nasi artyści. Projekt asekuracji od złodzioji. Tamże nr. 6.

VII. Orkan w sali ratuszowej. Zaniepokojenie mieszkańców sąsiednich planet. Czego nie doznał ani Herkules, ani Achilles, ani Kolumb, ani nawet Mierzwiński. Wskrzeszony projekt wydania Pana Tadeusza po angielsku. Niesłuszna apelacja do wydawcy »Kłosów«. Balotowanie w skrzynkach i kłopot sędziów konkursowych. Nasze figle na rynkach rosyjskich. Sztuka dwu krawców. Przemowa do interesu. Tamże nr. 7.

VIII. Syk i odwrót nieświadomych czcicieli Brandesa. Nowa komenda po balu u hr. Przeździeckiego. Chronologiczno spostrzeżenia co do reklamy. Zgoda z »młodym izraelitą« i honorowa pobudka. Co nas upewnia, że Brandes zrozumie literaturę polską. Historja uniwersytetu. Studja w kapliczce. Źródła konserwatyzmu, wiedzy i praw do sądu. Westchnienie Habakuka. Aforyzm p. Mierzwińskiego i cis patrjotyczno. Obrona małpy. Tamże nr. 8.

IX. Pudełko, grające dwie melodje. Nadmiar i niedomiar. Rodowa cnota. Woda jako przyczyna niedostatków naszego przemysłu. Cuda natury. Znowu p. Hartmann i jego wodowstręt. Heine o szponach orła. Pobudka do obławy. Rzeź projektów na pomnik Mickiewicza. Jasne uwagi Prusa. Pomnik naiwności. Chwile dobrego humoru i pisanie od ręki. Tamże nr. 9.

X. Odpoczywająca mysz i ukojony smutek po Gordonie. Niespodzianka komisji konkursowej. P. Dykas da capo. Wyraz zdumienia. Kto winien. P. Dykas nie winien. Pomnik z dzikim pomysłem. Spóźniony projekt. Nasz Arbuez. Wspomnienia. Pomnik dla dzielnego przedstawiciela. Tamże nr. 10.

XI. Walka nad »Świtoziem«. Brzydki skandal. Grad protestów. Projekt p. Dykasa. Kto należy do warchołów. Przekonanie i komenda. Zjadanie peruki. Rachunek prawdopodobieństwa. Szkic Matejki i jedyne wyjście. Kto je wskaże funduszowi dla powodzian. Tamże nr. 11.

XII. Ostatni szaniec. Protokół sądu konkursowego. Zdania sędziów. Ich głosowanie logiczne a faktyczne. Jedyny obrońca genjalności p. Dykasa. »Ostateczny wyrok« i poprawki. Propozycja Tarnowa. Ważność sprawy i perfumy stajenne. Tajemne życzenie i c. k. komisarz. Tamże nr. 12.

XIII. Uwaga Machiavellego. Rozdział starej historji p. t. »Piramidalno niedorzeczności«. Za połowę dochodu. Słodko i uczciwie. Charaktery tęgie. Ćwiertowanie ojczyzny. Zdanie Prusa. Kontrapunkt. Wystawa kucharska i jej znawcy. Dowcip p. Stępkowskiego. Nasza chwila. Tamże nr. 13.

XIV. Panowanie pieczonego prosięcia. Rozmyślania między pierwszą a drugą wystawą kucharską. Wszyscy nagrodzeni. Listy pochwalne za importowanie piwa pilzneńskiego i herbaty. Co za cel? Jaka wystawa byłaby pożyteczną dla ogółu. Poezja spożywcza. Zmarnowane talenty. Bezwstyd wstydliwy. Szynka p. Pindtera. Szczęśliwi niemcy. Zniechęcony patrjota. Tamże nr. 14.

XV. Celowość w wielkich panach i paniach. Dziecko i szczenię. Towarzystwo opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi. Co po latach siedmiu? W jakim wieku lepiej być podrzutkiem. Wezwanie do przyszłych członków. Zakład dla ofiar wielkanocnych. Dom zdrowia dla nieprzyjaciół Brandosa. Jedna kropla atramentu z przesadą a druga bez oleju. O co? Badanie studzien miejskich i teorja suchości. Tamże nr. 15.

XVI. Zakopane wszędzie. Wpływ Chałubińskiego. Koncert Padarewskiego. Lampa o dwu knotach. Zgodny finał na cześć p. Korntopfa. Friebe p. Zalewskiego i domonstracja »Gazety polskiej«. Nerw prywatny. Co należy do krytyki artystycznej. Arystofanes. Estetyka francusko-warszawska. Błogie skutki strachu przed cholerą. Tamże nr. 16.

XVII. Pogrobowe liberum veto arystokratki polskiej. Świadectwo niepodejrzanej wartości. Świecące próchno. Galerja szlachetnych. Dwie twarze Wielkopaństwa. Latający szlachcic Wysockiego. Potrzask na krytyka. Niecierpliwa uczciwość. Kilka elementarnych pytań z etyki. Tamże nr. 17.

XVIII. Z życia. Teorja typu. Pod władzą frazesu. Analiza logiczna. Życiowość djabła i fantazyjność typu. Co wolno. Przekreślone rozumowanie. Sztuka jako spotęgowane życie. Jej stopnie. Estetyka francusko-warszawska. Mieszczaństwo w teatrze. Filozofowie Shakespeare'a. Odmykanie przyszłości. Nowe żywioły i nowi mistrze. Tamże nr. 18.

XIX. Konjugacja dnia. Meiningerzy i ich wielbiciele. Szkoła dla dramaturgów i aktorów. Jowisze i woły. Nadzieja »Tygodnika ilustrowanego«. Kto się zmienił. Unieważnienie spadku i śmiała chciwość. Wojna marynarska i jej rezultaty. Tamże nr. 20.

XX. Kula przyszłości. Jej dobroczynno skutki. Hołd pracującej szlachetnie myśli. Koszulka stalowa z datą. Jubileusz Zacharjasiewicza. Ludzie przyrośnięci do swojej opoki. Spielberg jako szkoła. Wczesny obrachunek. Jubileusz Müncheimera. Typ dziewicy polskiej. Nasze literatki w groźnem odbiciu. Postrach dla niemców. Duch Rogozińskiego. Tamże nr. 21.

XXI. Niezasłużony zaszczyt i moja wstydliwość. Arystokracja ducha. Prus na kołnierzykach i tajemnie żywione nadzieje. Ostatnie strzały i ostatnie krople wiwatów. Znawcy archeologji. Dziwy: szlachcianka w sklepie i chłopka we Franzensbadzie. Biali niewolnicy i wyścig współczucia z nagrodą w prenumeracie. Tamże nr. 22.

XXII. Warszawa w wyobrażeniu gości zagranicznych. Dwie strony medalu. Nasza zdolność płatnicza. Zachęta do zbytku. Smutne wesele. Brak jednej wiązki nerwów. Wyprzęganie koni aktorkom. Przemienienie kobiety. Jak należy pisać? Moje warunki literackiego egzaminu. Tamże nr. 23.

XXIII. Wystawa projektów na pomnik Mickiewicza. Milczenie o umarłych. Ciekawe pytanie. Karnawał letni. Bilety wolnego wejścia. Ich potężny wpływ na opinję publiczną. Troska o Laubego. Dobrodziejstwa dróg żelaznych. Odwrót z pogrzebu W. Hugo. Anna Mazowiecka. Jak wiśnie zjada pani hrabina a jak Marysia. Tamże nr. 24.

XXIV. Coraz dalej. Nadzieja. Mapa poglądowa na wystawie. Proces urabiania się literata w okazach. Mapa Wójcickiej i zaszczyt rodu niewieściego. Bezimienni wystawcy. Naiwność zdrowej logiki. Prosty sposób rozwiązywania trudnych zagadnień naukowych. Rasy krajowe i szczególna ciekawość. Pożar Grodna. Tamże nr. 25.

XXV. Zawsze to samo. Sądzący i sądzeni na wystawie. Jej cechy. Jak odciąć wstrętny ogon. Czy można sprawiedliwie osądzić tego, którego chcemy zjeść. Wydawcy. Termomikrofon p. Ochorowicza, jego wartość praktyczna i stosunek pokrewieństwa. Niezjedzony objad jubileuszowy. Studenci hiszpańscy. Cholera. W interesie przemysłu i handlu. Akademja krakowska. Tamże nr. 26.

XXVI. Dalszy ciąg wystawowego ogona. Przeciwprotest i jego niesłuszne odznaczenie. Język polski w handlu. Nasze prawa wobec cudzoziemców. Prorok na puszczy. Strachy na niemców. Uczta dla badaczów jezior Liba. Przemiana »Świtu«. Droga praktyczna. Józef Rychter. Tamże nr. 27.

XXVII. Przywileje upałów. Dyspensa dla literatów. Spór o sprowadzenie deszczu. Gniew w lecie. »Arogancja« handlarza niemieckiego. Jak ona zwała się dawniej. Wianki. Tajemnicze ciało prasy. Djoniza Dumasa. Najgłupszy ze znakomitych. Kto go wprowadza do nas. Układy p. Gorzkowskiego z Minutą. Tamże nr. 28.

XXVIII. Pogrzeb wystawy. Logiczna próba listy nagród. Jeden zupełnie zadowolony. Protest Yacht-Klubu. Odmierzenie zemsty z czubem. Złośliwe posądzenie. »Dzicy mężowie«. »Grażdanin«. Przepisy aptekarskie. Przywileje spadku i krzywda pracy. Zagadkowi bohaterowie. Moniuszko i trzechsetne przedstawienie Halki. Kto idzie przodem. Tamże nr. 29.

XXIX. Krynica bezwiednego humoru. Darwin na księżej patelni. Dowód postępu ustrojów niższych. Ważne wiadomości. Wrażenia czytelnika prowincjonalnego. Szkoła rzemieślnicza dla kobiet. Czego jej potrzeba. Konieczność czasu. Szkoła dla woźniców. O co chodzi? Sen stróża i nasza socjologja. Tamże nr. 30.

XXX. Miasto bogów. Za wiele małp. Ich możliwa u nas karjera. Naturalizm i pornografja. Skutek moich prac. Małpi język w Galicji. P. Gorzkowski jako Mefisto Matejki. List polityczny. Polskie psy. Tamże nr. 31.

XXXI. Pomysł »Figara«, odradzający się nad Wisłą. Dla pogorzelców. Nasza natura i siły wobec jednodniówek. Kluski z kazań. Guziki. Perły. Herszt Maleszewskiego i Lokomotywa Dawida.

»Chwila« i półsłówka nad jej kołyską. Garść frazesów. Wskrzeszony błąd. Polityka instynktu samozachowawczego. Tamże nr. 32.

XXXII. Zające w nocy i debjutanci w lecie. Dochody literatury z tych dwu źródeł. Życie nasze pod znakiem ogórka. Samobójstwo Szafarkiewicza. Wstrząsanie suchej gruszki. Kto jest u nas warjatem. Postęp w Galicji. Rozmowa Pługa z p. Korotyńskim. Mały niemczyk w Polsce a duży niemiec. Zastępca Szafarkiewicza. Tamże nr. 33.

XXXIII. Pojedynek wodny. Trzeci korzystający z tej walki. »Kwestja społeczna« i dwa obozy. Sprzymierzeńcy walczących. Bajka o Mojżeszu i Łukaszu. Jak rozumowano w Ryczywole. Niepotrzebnie wsadzony nos opinji publicznej. Sztukowana etyka. Sprawa spadków aptekarskich. Własność przywileju. Adam Rzążewski. Tamże nr. 34.

XXXIV. Nasz hymn ekonomiczny w operetce Offenbacha Wystawa ogrodnicza i nasi ogrodnicy. Walka z naturą w ogrodach. Stare przesądy. Przemiany w oddaleniu. Kosztowne letnie mieszkanie. Tęcza nad głowami pp. Fajansa i Górnickiego. Dzieje apostolstwa. Niemieckie mydło wobec polskiego. Do czego jesteśmy zdolni, a do czego nie. Tamże nr. 35.

XXXV. Kwestje polskie. Doroczny koncert rodziców. Zimowa rada z letnim rozumem. Droga przez szkołę. Gospodarstwo złodziejskie. Skarga na lecznice. Początek i koniec naszych przedsięwzięć. Dziwny stosunek. Wędrówki chorych. Lektyka i fortepjan. Wystawa ogrodnicza w Berlinie i nasza p h y l o x e r a. Z tego samego kopyta. Tamże nr. 36.

XXXVI. Chrześcijaństwo i słowiaństwo. Szydercy. Kopernik niewypędzony a Dzierżon skradziony. Opis Chin. Zasoby tych, których można obrabować. Z h i g - l i f e' u. Współczucie krakowian. Wybieranie korepetytorów przez stróża. Przymusowe bezrobocie. »Z krzesła nr. 24«. Próbka krytyki poważnej. Tamże nr. 37.

XXXVII. Historja o kanceliście, który zjadał opłatki, i o panach greckich, którzy rabowali domy niewolników. Co zrobić z wygnańcami. Morał dla bliźniego. P. »Ludwig« warszawski i potrzeba ukształcenia go w Madrycie. »Śmiech dla łez«. Pozostałość ze składek na powodzian. Oryginalny kraj. Oczekiwanie uniwersytetu na obłąkanego. Chmielowski jako kandydat na profesora. Tamże nr. 38.

XXXVIII. Prostujemy się. Na jak długo? Pociechy. Sentymentalizm w wojnie. Kto jest odpowiedzialnym. Deputacja poznańska. Cięższe brzemię. P. Gubrynowicz w włosiennicy. Wątpliwe poparcie. Niepotrzebny dopisek do historji. P. Noskowski. Marnowanie talentów. Naród rozważny a lekkomyślny. Drwina a ton poważny głosu publicznego. Korepetytor za 3 rs. i zniżka płac. Tamże nr. 39.

XXXIX. Zmiany w naszej naturze. Gorąca kasza i dmuchanie. Niewinny wyraz. Sikawki. Niespodziewany prezent, czyli 15 miljonów rs. w zysku w ciągu 11 dni. Spodziewany dar większy. Zimna krew. Obraza naszych ilustracji. Co mówił rębajło. Z d r o w i e. Kto je ceni. »Gazeta losowań« i jej przestroga. »Lutnia«. Tamże nr. 40.

XL. Zęby naszej biedy. Ucieczka w filozofji. Gwałcenie grobów. Nowy proces z nieboszczykiem. Najazd Patti i ostrzeżenia. Zmądrzeliśmy. Zażegnana burza w Tow. muzycznem. Brak rękojmi i modlitwa do natury. Protest. Upór rębajły. Typ dziewicy polskiej. Przyjaciel Rembertowskiego. Obowiązek polityczny. Faustyn Świderski. Tamże nr. 41.

XLI. Przyczyny zmniejszenia się czytelnictwa. Systemat kłamstwa. Ścieśnione widnokręgi i zakrywanie życia. Skutki. Dramat w »Gaz. warsz.«. Orzeszkowa w starej chacie. Ofiara Lubomirskiego. Myśli samobójcy. Lekcja grzeczności w »Kurjerze codz.« Czem bardziej grzeszymy. Legiendy o poległych pod strzałami krytyki Marja Bartusówna. Kto winien. Wysokie c i s i jego czciciele. Tamże nr. 42.

XLII. Dowody życiowe. Grąbczewski — antipozytywista. Wnioski według metody pozytywnej. Garniturek księży. Spór bez końca. Wyrzut i objaśnienie. Rdzeń prenumeraty. Pisma na wzór starych dworów. Obłęd Lwowa na benefis Mierzwińskiego. Zarazek teatralny. Skromność p. Wisnowskiej. Prawdopodobne usługi. Obawa stańczyków. Tamże nr. 43.

XLIII. Warszawa jako wielkie miasto. Porównanie i dowody. Rzecz bezcenna a nabywana. Pokusy Mefista. Szczyt oszczędności, czyli 25 fenigów od skazanego na wygnanie. Wyjazd naszych aktorów do Wiednia. Zdanie Sonntaga o wywoływaniu w teatrze i kłopoty księżnej Eboli. Niepoprawni. Dziwny objaw. Pomiatani. Miły domek. Wysługiwanie »powszechnego szacunku«. Tamże nr. 44.

XLIV. Zjazd górniczy. Szóste mocarstwo. Dwie grzeczne instytucje. Odmłodzenie się »Gazety warszawskiej«. Pp. Kenig i Korotyński. Szczery przyjaciel swego języka. G a s p a r o n e. Dwie miary. Duchy poważnych i wesołych mistrzów. Potok szeroki i wązki. Tamże nr. 45.

XLV. Odważni, którym los sprzyja. Bezczelność dająca krótką pamięć. Jubileusz Duchińskiego. Kominek i wulkan, kocioł i garnek. Sąd lisów nad jeżem. Połączenie się »Tygodnika powszechnego« z »Ilustrowanym«. Korzyść abonentów. Kandydaci do stanu małżeńskiego w prasie. Wspomnienie o umierającym czy poślubionym. Dziewica p. Stachiewicza. Wesoła wojna. Tamże nr. 46.

XLVI. Nawoływania do tworzenia gromad. Brak zdolności do pracy łącznej. Ilustracja tej wady. Karność niemiecka. Przerost indywidualizmu. Warunki rzeczywiste. Tworzenie stronnictw. Potrzeba programów i leki w kramach dziennikarskich. Stara hygjena. Proces p. Żmurki o potwarz literacką. Taka pora. N i l a d m i r a r i. Właściwa droga. Poranek dla Królikowskiego. Występ p. Popiel-Święckiej. Oklaski, żale i łuk tryumfalny. Tamże nr. 47.

XLVII. Rozkosze obywateli tego świata. Wojna i teatr. Król Milan i książę Aleksander. List Vogta i nasze zadowolenie. Wielcy ludzie wobec Mierzwińskiego. Jazda na ludziach. Antipattizm. Charakter tego ruchu narodowego. Kilka poświęceń. Na pogorzelisku grodzieńskiem. Orzeszkowa jako przedmiot do szkicu malarskiego. Tamże nr. 48.

XLVIII. Symfonja odegrana na cześć p. Ćwierciakiewiczowej. Jakie ideje nas łączą. Gdybyśmy byli bułgarami. Studenci pompujący wodę z kanałów. Kule i świdry. Prośba do natury. Wspomnienie o jaskółce pod kloszem maszyny pneumatycznej. J. Papłoński. Co mu się należy w dobrych słowach. Tamże nr. 49.

XLIX. Pytanie p. Danysza. Rozmyślania. Kolejność czynów. Zapatrzeni w słońce. Mrówki i pszczoły. Chóry amatorskie. Nasza obojętność. Podkowa i wiśnie. Znowu kwestja gabinetowa w teatrze. Potrzeba zimnej wody. Pamiątkowy numer »Kraju« na cześć Mickiewicza. Tamże nr. 50.

L. Kiermasz i jego rozkosze. Skarga na cyganki. Trudności dowcipu i wróżby. Rozszerzone granice możliwości. Najtrafniejsza przepowiednia. Konsyljum »Gazety rolniczej« nad chorym rolnikiem. Najbardziej godni pożałowania. Nasza Joanna d'Arc. Ogrzewanie pieców przy pożarze. Szewczyk Gierymskiego. Jego pokrewieństwa. Patron przyszłorocznego karnawału. Tamże nr. 51.

LI. Niewydaleni z Niemiec. Odzyskany Kopernik, który nie żyje i nie ma składu desek. Tablica dla Chodowieckiego. Prawdziwa historja o pokąsanych przez wściekłego wilka. Rozmowa Kułakowic z Paryżem i dra Steckiego z Pasteurem. Bezwiedna ofiarność Patti. Męczennicy kiermaszu. Życzenia. Tamże nr. 52.

Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52.

Siła bierna (b. p.). Tamże nr. 2.

Finał farsy (b. p.). Tamże nr. 3.

Filip Sulimierski (Wspomnienie pośmiertne) (b. p.). Tamże nr. 3.

Ostatnia karta (b. p.). Tamże nr. 4.

»Ausrotten!« (b. p.). Tamże nr.. 5.

Nie dla nas (b. p.). Tamże nr. 6.

Liberalny związek (b. p.). Tamże nr. 7.

Brandes w Warszawie (b. p.). Tamże nr. 7.

Hjobowe wieści (b. p.). Tamże nr. 8.

Cras tibi (b. p.). Tamże nr. 9.

Nowa etyka (b. p.). Tamże nr. 10.

Zażegnana burza (b. p.). Tamże nr. 12.

Probierz liberalizmu (b. p.). Tamże nr. 13.

Pan Tadeusz (w rozbiorze dra H. Biegeleisena) (podp. S.) Tamże nr. 15.

Stary nałóg (b. p.). Tamże nr. 14.

Święto dyktatora (b. p.). Tamże nr. 15.

Koszta niepokoju (b. p.). Tamże nr. 16.

Stracony urok (b. p.). Tamże nr. 17.

Powrotna fala (b. p.). Tamże nr. 18.

Ukaz o języku (b. p.). Tamże nr. 19.

W obronie krzywdy (b. p.). Tamże nr. 19.

Z dużej chmury (b. p.). Tamże nr. 20.

Kasa Mianowskiego (1884) (b. p.). Tamże nr. 21.

Edykt pruski (b. p.). Tamże nr. 22.

W. Hugo (Wspomnienie pośmiertne) (podp. A. S.). Tamże nr. 22.

Nasze wystawy (b. p.). Tamże nr. 23.

Wielki pogrzeb (b. p.). Tamże nr. 23.

Pruski humanizm (b. p.). Tamże nr. 24.

Amen! (b. p.). Tamże nr. 25.

Aspazja, dramat w 5 aktach Aleksandra Świętochowskiego (Wł. Okońskiego). Tamże nr. 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40.

Ustawa uniwersytecka (b. p.). Tamże nr. 26.

Apostołowie kłamstwa (b. p.). Tamże nr. 27.

Podwójni poddani (b. p.). Tamże nr. 28.

Restauracja kościoła (b. p.). Tamże nr. 29.

Przywrócona karność (b. p.). Tamże nr. 31.

Zdarta maska (b. p.). Tamże nr. 31.

Majaki (b. p.). Tamże nr. 32.

Medycyna w polityce (b. p.). Tamże nr. 33.
Odpowiedzialność lombardów prywatnych (b. p.). Tamże nr. 34.
Kowale swojego losu (b. p.). Tamże nr. 35.
»Chmurki« (b. p.). Tamże nr. 36.
Antigiermanizm (b. p.). Tamże nr. 37.
Pierwsza porażka (b. p.). Tamże nr. 38.
Zjednoczona Bułgarja (b. p.). Tamże nr. 39.
Gaśnięcie świateł (b. p.). Tamże nr. 40.
Nie wiedzieli (b. p.). Tamże nr. 41.
Zawierucha poznańska (b. p.). Tamże nr. 42.
Mimowolny humor (b. p.). Tamże nr. 43.
»Młody konserwatyzm« (podp. H.). Tamże nr. 43.
Polityka grzeczności (b. p.). Tamże nr. 44.
Wybory pruskie (b. p.). Tamże nr. 45.
Nudne kazanie (b. p.). Tamże nr. 46.
Widowisko słowiańskie (b. p.). Tamże nr. 47.
Uwaga nad uwagą (b. p.). Tamże nr. 47.
Od Redakcji (b. p.) Tamże nr. 48.
Zmarnowana krew (b. p.). Tamże nr. 49.
Z sejmu niemieckiego (b. p.). Tamże nr. 50.
Polityka kupiecka (b. p.). Tamże nr. 51.
Smutne wyznanie (b. p.). Tamże nr. 51.
Za i przed nami (b. p.). Tamże nr. 52.

1886.

Nowy rok (b. p.). »Prawda« nr. 1.
Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52.
Moja głowa (podp. W. O.). Tamże nr. 1.
Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Reforma judaizmu. Trzeci zakon. Luter niemiecki i żydowski. Łatanie starzyzny. Wilkołaki reakcyjne. Chmielowski militans. Króciutka historja jednego wilkołaka. Dwa sprostowania. Niezmniejszone czytelnictwo i wartość pewnych »cyfr«. Ilość wygnańców. Mała pociecha. Prawnie i po chrześcijańsku. All right. Tamże nr. 1.

II. Radość na cmentarzu upadłościowym. Silniejszy od niej smutek. Wieści Merkurego. Baccyllusy kredytu. Kto opłaca zbytek i rozpustę. Pompowanie cudzej pracy. Jak się zarabia. Drapieżny smok. Ruch oszczędnościowy z góry. Dwie metody. P. Mierzwiński w Berlinie a p. Barcewicz w Warszawie. Nowe pismo humorystyczne. Tamże nr. 2.

III. Udręczenie muzyczne. Artyzm Warszawy. Wesele Figara. Dziwny fakt. Wychowanie francuskie. Nasza wrażliwość. Odezwa w sprawie Kraszewskiego. Kto powinien go wykupić. Gdzie autorowie cenieni przez arystokrację. Tani sposób. A. Gostkowski i sposobność wypłacenia mu długu wdzięczności. Tamże nr. 3.

IV. Pierworodne dziecię nowego roku. Jadwiga p. Jareckiego. Moździerze jednako nabijane. Co nam przybyło. Polacy w stanie pary i zgęszczenia na innej planecie. Właściwy przedmiot nienawiści ks. Bismarka. Korzyść z nieszczęścia. Dla pędzla Matejki. Ilustracja historji. Trafna uwaga p. Szeligi. Pogoń za nowymi pomysłami. Sekcja konkursu dramatycznego. Tamże nr. 4.

V. Długi karnawał i krótka wstrzemięźliwość. Nowa figura tańca. Sądy obywatelskie. Sędziowie adwokatami. Zwykły rezultat. Najnowszy objaw. Nieufność redakcji »Tygodnika ilustrowanego« względem siebie. Konkurs z plebiscytem. Koszta wyborcze. »Młody konserwatyzm«, dowiadujący się o swojem istnieniu. Towarzystwo p. Dieudonné. Rzecz dziwna. Tamże nr. 5.

VI. Bukiet dla Windhorsta Liberalny jezuita i odważny człowiek. Dobry wpływ ks. Bismarka na Warszawę. Obojętność i drwina. P. Lam, poszukujący »kwestji rusińskiej«. Choroba przewlekła i ostra. P. Dykas umarł, niech żyje p. Dykas. Brandes w Warszawie i znajomość literatury. Ostrzeżenie dla kobiet. Tamże nr. 6.

VII. 200 par do kontredansa. Najweselsze miasto i zadowolony naród. Bal polski w Wiedniu. Nasz szczyt z celem politycznym. Libretto dla operetki. Wódz pierwszej polskiej wyprawy do Afryki w Krako-

wie. Jego sny. Towarzystwo gieograficzne. Uwaga »Przeglądu«. Zamrożony rozum. Zdobywcy przyszłości. Tamże nr. 7.

VIII. Dziwne widoki. Politykomanja jako dźwignia umysłowa. O przemianie gatunków szlacheckich. Przeróbka typu. Życie na wsi i w mieście. Jeszcze bal polski w Wiedniu. Taniec polityczny jako sposób pokonania Bismarka. Szczera wesołość à la Gasparone. Lekarstwo na biedę. Niewyganiany. Dalszy ciąg wojny pomnikowej. Do Fikalskich. Tamże nr. 8.

IX. Człowiek mile w świecie widziany. Jego przyszłość. Krzywienie moralności publicznej. Przedmiotowość sprawozdań sądowych. Preparaty krytyczne, jako wzory dla reporterów. Anatomja w polityce. Propaganda zapomocą szczepienia ospy. Baczność córGiermanji. Bal polski w Petersburgu. Apostrofa »Kurjera warszawskiego» z głową do góry. Tamże nr. 9.

X. Najszybszy sposób zyskania sławy. Patrjota wołyński w »Schl. Zeitung« i jego program. Nasze właściwości i brak ich w sfałszowanem pokwitowaniu. Jak rozmyśla polak. Cel fałszerstwa. Odpowiedzialność ogółu za wybryki jednostek. Zwycięzca na turnieju dramatycznym. Ostrożnie z reklamą. Dwa nabytki. Tania uprawa. Tamże nr. 10.

XI. Popielec. Bohaterstwa karnawałowe. Przepowiednia Nostradamusa i kwestja zbytku. Dwa obozy. Urodzaj na polityków. Błotnista droga. Znowu p. Hartmann. Robaki w mądrych mózgach. Pasteur. Potrzeba zbadania i zużytkowania jego odkrycia. Szpital dla chorych na wściekliznę. Tamże nr. 11.

XII. List starej panny. Filozofja niewieściego puszku. Nadmiar artykułu spożywczego. Chmiel bez tyczki. Nowe drążki. Heraldyka niewieścia i jej znaczenie. Rzesza postępu. Wykłady Brandesa. Co mu pokazaliśmy. Co on nam powie. Rzetelne rachunki. Tamże nr. 12.

XIII. Sprawozdania i ogłoszenia stowarzyszeń. Pożądana swoboda, która nam wystarcza na rok. Prawdziwi polacy. Przestroga dla Towarzystwa wioślarskiego. Oleodruki. Nieprzejednany z Kijowa. I tak źle — i tak nie dobrze. Śmiech za śmiech. Obraz Munkaczego jako ilustracja życiowa. Tamże nr. 13.

XIV. Społeczeństwo, które nie istnieje. Czyszczenie honoru. Jednostka jako zwierciadło ogółu. Podręcznik pojedynku. Dopełnienie prawa i skamieniałość obyczajowa. Ścięcie p. Hartmanna. Sposób przylepiania sobie głowy. Za śmiech. Nowy świecznik literatury. Pokłon muz przed złotym cielcem. P. Kochańska, śpiewająca »swoim«. Ostrożnie z kuzynostwem pustej kieszeni. Tamże nr. 14.

XV. Wielkie mrowisko. Jego zdolności przyswajania sobie nowych pierwiastków. Wszechrozwój. Książka arcybiskupa Guilberta. Związek katolicyzmu z demokracją. Podróż na około świata. Przesadne pretensje konduktorów. Niegrzeczność Kocha i Pasteura względem Towarzystwa lekarskiego. Zbytnia uprzejmość Kasy Mianowskiego. Na co ona przydać się może. Tamże nr. 15.

XVI. Veto Meletusów. Tamże nr. 16.

XVII. I p. Dygasiński! Wojna trojańska. Wyraz zrozumiały i zagadki. Usprawiedliwienie i bajka. Wał z resztek kuchni literackiej. Kazanie o powrozach w domu kaźni. Optymistyczne przypuszczenia. Z za maski. O co właściwie chodzi. Piękne znamię. Za receptę »Gazecie lekarskiej«. Rada i zdziwienie. Tamże nr. 17.

XVIII. Smutny łańcuch i nowe jego ogniwa. Wypadki na Wiśle i brak na niej dozoru. Dzielni wioślarze i ich zbawiciele. Potrzeba opieki nad ludźmi. Dobrski. Nieprzeżyta sława. Tajemniczy urok. Śpiewak polski. Dwa duchy. Świeże klęski i obowiązek miłosierdzia. Tamże nr. 19.

XIX. Kazania na temat tolerancji mniemań. Gdyby ludziom szło o prawdę. O co im często idzie. Środki pokonywania. Konieczność stoczonej obrony. Przywileje wielkich. Jasne dusze. Morfina optymizmu. Nasza przeciwwaga. Naród niepracujący. Zapowiedź nowego widowiska. Reakcja przeciw wyrokowi konkursu dramatycznego. Stara historja. Tamże nr. 20.

XX. Nowe odkrycia »Kurjera lwowskiego«. Unja nieczystych banków. My w służbie polityki pruskiej. Objaw naturalny. Potrzeba sprowadzenia obwinień do właściwego łożyska. Bezsilna prawda i przekonywująca bajka. Wody niemieckie. Ofiary ognia. Dobrodziejstwo grobu. Tamże nr. 21.

XXI. Niepożądani świadkowie. Odnalezione ogniwo. Kraosi. Ludzie czy małpy, a może małpo-ludzie. Krzywdzenie zwierząt porównywaniem z ludźmi. Tapety w fajczarni Makaja. Co drażni. Oszuści wścieklizny. Grzeczność Pasteura. Nasza arystokratyczna skóra. Z dwojga złego. Tamże nr. 22.

XXII. Konkurs na dowcip. Trzej laureaci. Dowcip »Ostpr. Zeitung«. Dwa okrzyki i lament »badów«. Pierwszołowy. Prawa stanowione w gniewie. Imponujący traktat. Dzieciństwa. Tradycyjna lekkomyślność. Cudowne leki na wściekliznę. Kiedy używane są skutecznie. Tamże nr. 23.

XXIII. Nuda jednostajności. Odmienny głos p. Polewki w »Gazecie warszawskiej«. Trudność porozumienia się z idealistami. Matejko i Siemiradzki. Jedyny i niejedyny. Lew z komedjantami na grzbiecie. Kraszewski i niemcy. Udana zgroza i przydatna sumka. Bezsilność aniołów. Ludojady. Żywi wobec nieboszczyków. Odsłonięcie pomnika dla Szujskiego. Parowanie mózgów. Tamże nr. 24.

XXIV. Wszędzie obecny. Letni karnawał. Apoteoza konia. Stajnia w malarstwie. Wyścigi i wystawa. Djablik, skaczący w oczy cudzoziemcowi. O czem ciągle marzy ks. Bismark. Co szkodzi Europie nasz taniec. Środki walki o byt. Dobrzy piastunowie. Tamże nr. 25.

XXV. Złość klimatu. Nasze uciechy i przyszłe o nich rozmowy. Regestr czynów obywatelskich. Wystawa inwentarza. Chłodne z nią rozstanie. Nasze zakłady kąpielowe. Pora dla wygrania korzyści. Wielkie kapitały. Brak ludzi. Skarga p. Celsa Lewickiego. Gwiazdozbiór naszej prasy. Głosy publiczne. Tamże nr. 26.

XXVI. Wakacyjne wędrówki. Ludzie nieśpiewający. Rozwiązanie stowarzyszeń studenckich. Herkules wobec mrowiska. Stary nałóg w Towarzystwie opieki nad zwierzętami. Wzór zgody. Nowy konkurs. Memorjał komitetu giełdowego w odpowiedniem skróceniu. Tamże nr. 27.

XXVII. Niewierny Tomasz wypędzony z Królewca. Potrzebna statystyka. Na swoich śmieciach. Wygnany kapitał

i nasza gościnność. Przykra powinność. Ogniki pod chmurą. Nowe szkoły. Zakład dla dzieci utalentowanych. Pomysł króla bawarskiego. Ofiara Norblina. Skarga zecerów. Nadużycia rzeczników krzywdy. Niespłacony dług. Tamże nr. 28.

XXVIII. Pomnik dla Piusa IX na Wawelu. Leon XIII, podnoszący aureolę swego poprzednika. Wesoły pochód jubilatów. Lekceważenie w szacunku. Nasz demokratyzm. Pracownia Bujwida. Obraz ciężkich wysiłków i jego ramy. Polak zaczął — francuz skończy. Rok konkursów. Sejm abonentów »Tygodnika ilustrowanego«. Literatura nieporozumień i sztucznych wyniesień. Tamże nr. 29.

XXIX. Płacz po chorych polakach. Po chorych? Potęga próżności. Bieda we wszystkich kątach. Sprzedaże domów w Warszawie. Podatek od zbytku. Słuszne zapuszczenie pompy. Lekarze, którzy nie chcą uleczyć siebie. List piątoklasisty wobec wypracowań dziennikarskich. Nowy szereg znakomitych. »Okres sylwetek«. Prof. Józef Kasznica. Łoże Prokrusta. Tamże nr. 30.

XXX. Mamy kwestję. Golarki. Akt oskarżenia i przestrogi. Wypieranie mężczyzn przez kobiety. Co zrobią zwyciężeni? Obawy moralne. Pogląd barbarzyński. Kobieta-człowiek. Ciekawa statystyka. Izba handlowa królewiecka w żałobie. Nowy obywatel polski. Książka p. Walickiego. Przesada wymagań. Dwie sterty plew. Grzechy »Kraju«. Tamże nr. 31.

XXXI. Ruch rozwoju. Konserwatyzm człowieka. Opór w postępie i moc tradycji. Żebractwo. Gnijące bagno. Szkody stron obu. Nowy »porządek« na kolejach. Okrzyczanie i utrudnianie tego środka komunikacji. Chłop w powieści nudzący krytyków. P l a ć ó w k a Prusa. Wielkie dzieło w małym świecie. »Skurczenie ojczyzny«. Występek imienny i bezimienny. Wystawa ogrodnicza. Jerzy Aleksandrowicz. Zbrodnia skierniewicka. Dwa pytania. Tamże nr. 32.

XXXII. Cisza w dziedzinie życia i ruch w dziedzinie śmierci — Liszt i nasza dla niego sympatja. Bohater romantyczny. Lam. Postrzyżyny nekrologowe. Właściwości i grzechy. Mumje wzajemnie do siebie podobne. Literatura zdawkowych frazesów. Mechaniczna paplanina. Towarzystwo łowieckie. Myśliwi jako dobroczyńcy zwierząt. Coby na to miłosierdzie powiedziały kuropatwy i zające. »Szlachetna rozrywka«. Tamże nr. 33.

XXXIII. Szeroka droga do duszy naszej. Mądrość drukowana i niemądrość czytana lub deklamowana. Zabawa, otwierająca naszą literaturę. Konkurs »Tygodnika ilustrowanego«. Wiersz niewiadomego autora. Ujejski i... Grąbczewski. P. Stachiewicz głośny i p. Stachiewicz cichy. Napomnienie dla Prusa. Domy budowane tajemniczo. W obronie nieortograficznych napisów. Niedorzeczniejszy od nich dziwoląg. Tamże nr. 34.

XXXIV. Ciągłe rozmachy i cięcia w powietrzu. Ciężkie narodziny obrońców ziemi. Cała ojczyzna i jej kawałki. Wędrowny patrjota francuski. Pjana szowinizmu. Twory gwałtu. Dwa sztandary. Opalizowanie się polityczne. Równouprawnienie szkół prywatnych z rządowemi. Arcydzieła literatury powszechnej w bibljotece dziecinnej. Dobroczynne światła »Kurjera warszawskiego«. Prawdy głębsze. Tamże nr. 35.

XXXV. Ks. Aleksander ominął Warszawę a uczniowie powrócili do niej. Równouprawnienie wobec natury i jej sprawiedliwość. Odrodzeni. Polskie spółki. Narada członków »Merkurego«. Jeden z siedmiu. Wspomnienie osobiste. Najrozumniejszy akcjonarjusz. Niezwalczone trudności. Przyczyna niestałości kobiet. Na czem opiera się nasze bezpieczeństwo. Czciciele naszej łączności. Mur i armaty. Łzawy śmiech. Tamże nr. 36.

XXXVI. Bigos bułgarski z sosem polskim. Dawniej a teraz. Gotowanie kaszy przy cudzym i swoim ogniu. Bezczelna komedja najmitów. Głupia Europa na grzbiecie byka. Łatwowierność tej naiwnej niewiasty. Fotografja chłopa szląskiego ze strony wdzięcznej. Taniec z cieniem. Nowe apteki dziennikarskie. Powodzenie znachorów. Ostatnia ucieczka. Tamże nr. 37.

XXXVII. Naiwność w dobrym gatunku. Statystyka zakonów w Krakowie. Skutki ich wpływu. Wnioski proste i krzywe. Zawieszanie praw tabliczki mnożenia. Co robimy z niepożądanym faktem. Zdziwienia. Śmierć Królikowskiego. Praca w swojej chacie. Przymioty starości. Artysta. Wysokie pojmowanie swej sztuki. Bez spadkobierców. Tamże nr. 38.

XXXVIII. Znaki jesieni. Klucz ciekawej tajemnicy. Nieostrożność Bismarka i zwierzenie się ks. Aleksandra. Warszawa, dowiadująca się późno o p. Grzegorzewskim. Uroczystość niemiecko-polska. Toasty jako dowody. Szczęść Boże młodej parze. Dyfamacja jako miecz Damoklesa nad prasą. Horda, koczująca po grobach cmentarnych. Potrzeba cedzenia tłumów pogrzebowych. Tamże nr. 39.

XXXIX. Sławny tchórz. Odraza do sztandaru. Ojczyzna mroków. Zamknięcie drzwi uniwersyteckich przed kobietami. Komu nauka niewieścia szkodzić może. Wojna wszystkich z wszystkimi. Kultura i młodzieńcza naiwność. Losy bibljotek prywatnych. Konieczność położenia. Śmiech obecny i przyszły. Tamże nr. 40.

XL. Dziś a niedawno. Zmieniona panorama. Dobroczynny granat. Pomniki wieku. Tajemnice tramwajów. Czemu nasz kapitał nimi wzgardził. Lichwa jako konieczność jego warunków. Odezwa »Zdrowia«. Półsłówka dla pokąsanych. Przyćmiewanie światełek. Sprostowanie cudu częstochowskiego. Widzenie walki trójkąta z kwadratem. Gieometrja ulegająca duchowi czasu. Tamże nr. 41.

XLI. Powody samobójstw. Objaw zagadkowy. Kto najczęściej skraca sobie życie. Jakim sposobem je przedłużyć. Gwałt jubileuszowy. Bezskuteczność oporu. »Dobry obyczaj«. Będzie pomnik dla Mickiewicza. Ratunek w jedynowładztwie. Niemożność dogodzenia życzeniom ogółu. Kwestarze na korzyść wdów ludzi zasłużonych. Bieda uczniowska i studencka. Tamże nr. 42.

XLII. Żniwiarka i siewnik pruski sprowadzono przez obywateli poznańskich. Czekamy. Co robi podczas tego Bartek? Bank ratunkowy dla jego »naturalnych przewodników«. Męki Tantala. Wspomnienie histo-

ryczne i jego wartość dla teraźniejszości. Ustrój złodziejski. Bankructwa uczciwości. Środki zapobiegawcze. Nowy tuzin i nowa asekuracja od strat spodziewanych. Śpiew optymisty. Tamże nr. 43.

XLIII. Oddechy nienawiści. List gen. Skobelewa. Nowe tortury pruskie. Żelazne pancerze i miedziane czoła. Gdzie się podzieli wygnańcy. Przyszła kolonja pod biegunem. Polacy przekształceni na żydów. Literacka działalność papieża. Podziękowanie. Do czego przyszło. Coquelini i Coquelinki. Fatalna pora dla teatralnych »konfliktów«. Tamże nr. 44.

XLIV. Obraz święta umarłych. Zabawa na grobach. Hymny. Rzezimieszkowie i niszczyciele mogił. Na 300 rocznicę śmierci Batorego. Niedola olbrzymów i szczęście karłów. Proces »Gazety lubelskiej«. Znowu ofiara »dyfamacji«. Dziwy w kurscetlu komisji kolonizacyjnej. W i s ł a i p. W. Nałkowski. Dla nauki. Tamże nr. 45.

XLV. »Lutnia«. Stowarzyszenia lat ostatnich. Wartość usiłowań zbiorowych. Potrzeba zawodów. Nieznane rozmiary możności. Wyścigi ofiarności w Paryżu. Na czem mybyśmy poprzestali. »Wszechświat« zachwiany. Wspomnienie przeszłości. Procesy. Student kucharzem. Praktyczność rachuby. Sztuczne opale. Tamże nr. 46.

XLVI. Zabawki dziecinne. Cło jako ratunek. Zagadki p. Tarczyńskiego. Ruch książkowy. Jasełka wydawnicze. Płomyki na głowni. Nowe pisma. Idoje i spekulacje. Słynny karmnik. Przedstawienia żarłoctwa. Skurczone żołądki. Proboszcz i biskup. Umieliśmy. Śluby wobec p. Titowa. Co się z nich stało. Nadwyrężanie resztki kredytu. Proces teatralny. Sitarze dramatyczni. Sprostowanie i poezja »Gazety radomskiej«. Muza w krynolinie i w koku. Tamże nr. 47.

XLVII. Jednostki równouprawnione w gromadzie. Bibljografja i statystyka. Szóste mocarstwo. »Postępy literatury perjodycznej« p. S. Czarnowskiego. Prasa całego świata. Nasz skromny w niej udział. Literatura w pismach perjodycznych. Książka i dziennik. P r z e m y s ł o w i e c. Przyczyny naszej niemocy ekonomicznej. Sprzedaż nazwisk, jako niespodziewane źródło dochodu. Zabawa gimnastyczna dzieci. Tamże nr. 48.

XLVIII. Sita frazesu i jego płodność. Co to jest szlachta. Mętna treść wyrazu. Stopniały lodowiec. O kogo walczą. Bank likwidacyjny. Obietnica w tytule. Szczyty naiwności. Mierzwiński. Mieszkańcy Stanisławowa, jako psalmiści w stylu Dawida. Jak wychodzą za mąż nasze żydówki i jak się kochają żydzi. Handel zamienny. Biedna miłość. Podejrzane kwiaty uczuć. Tamże nr. 49.

XLIX. Niespodzianka Towarzystwa lekarskiego. Nasze znaki szczególne. Wystawa higjeniczna. Otwieranie lufcików i dmuchanie z za pleców. Cielę w chłopskim ogródku. »Lutnia« i jej zarząd. Stowarzyszenia. L'abbé od wszystkiego. Jedna z przyczyn upadku własności większej. Ofiary pp. Wydżgi i Świeżawskiego. »Wszechświat« uratowany. Wylew spraw społeczno-ekonomicznych. Po mózgu i sercu panowanie żołądka. Tamże nr. 50.

L. Skarby w kasach bankowych. Rozradowany lud tańcujący. Typy dla przyszłego Prusa. Poświęcenie kiermaszowe. Nieprzyjaźń dla kaznodziejów. Stara historja w nowem wydaniu. Kobieta jako rzecz bez właściciela. Poważny proces przed sądem beletrystów. Obrazy Siemiradzkiego i Matejki. Słabość genjuszu. Tamże nr. 51.

LI. Grzeczności prawione wiekowi XIX. Zamieniony barbarzyńca. Krwawa uroczystość wahabitów. Nowy pierwiastek chemiczny g i e r m a n i u m i jego własności domniemane. Wniosek ks. Sapiehy o wzmocnieniu tym pierwiastkiem bronzu galicyjskiego. Węzeł z cywilizacją. Dowody jego istnienia. Lojalność niepokalana. P. Olendzki, Ludwik XIV i ks. Bismark. Pożegnanie. Tamże nr. 52.

R a d a f a m i l i j n a (b. p.). Tamże nr. 2.

N i e t r u d n a z a g a d k a (b. p.). Tamże nr. 3.

»P r a c a o r g a n i c z n a« (b. p.). Tamże nr. 3.

I n t e r p e l a c j a (b. p.). Tamże nr. 4.

»P o z y t y w n e ś r o d k i« (b. p.). Tamże nr. 5.

Z sejmu pruskiego (b. p.). Tamże nr. 6.

T r u d n e z a d a n i a (b. p.). Tamże nr. 7.

»Ś r o d k i o b r o n n e« (b. p.). Tamże nr. 8.

P r a w o j ę z y k o w e (b. p.). Tamże nr. 9.

M y i »B i u r o w y w i a d o w c z e« (b. p.). Tamże nr. 10.

M a t w a t y k a ń s k i (b. p.). Tamże nr. 11.

E t y k a s a m o l u b s t w a (b. p.). Tamże nr. 12.

U w i e ń c z o n e d z i e ł o (b. p.). Tamże nr. 13.

R o z r u c h y w B e l g j i (b. p.). Tamże nr. 14.

O d c z y t y B r a n d e s a (o literaturze romantycznej polskiej) (podp. S.). Tamże nr. 14, 15

K o s z t a r o z w o j u (b. p.). Tamże nr. 15.

J ó z e f B o g d a n Z a l e s k i (Wspomnienie pośmiertne) (podp. H.). Tamże nr. 15, 16.

Ś w i e ż y s o j u s z (b. p.). Tamże nr. 16.

D w u g ł o s m i ł o ś c i, F a n t a z j a (podp. W. Okoński). Tamże nr. 16, 17, 18.

Świeżego powietrza! (b. p.). Tamże nr. 18.
Szturm Meletusów. Tamże nr. 18.
Czcigodna pamiątka (b. p.). Tamże nr. 19.
Śród serdecznych przyjaciół (b. p.). Tamże nr. 20.
Teatr. E. Lubowskiego *Osaczony*, komedja (podp. H.). Tamże nr. 20.
Zarzewie bałkańskie (b. p.). Tamże nr. 21.
Ciemne punkty (b. p.). Tamże nr. 22.
Literatura polska. W. Gomulicki, Obrazki prawdziwe, Warszawa; M. Gawalewicz, Figiel Benvenuta, Warszawa (podp. H.). Tamże nr. 22.
Przyszły kanclerz (b. p.). Tamże nr. 23.
Nafta w polityce (b. p.). Tamże nr. 24.
Ryzykowna gra (b. p.). Tamże nr. 25.
Oddechy (podp. W. Okoński). Tamże nr. 25, 26, 27.
Obłęd na tronie (b. p.). Tamże nr. 26.
Ostatnia instancja (b. p.). Tamże nr. 27.
Dymiący wulkan (b. p.). Tamże nr. 28.
Plon konkursowy. I. St. Kozłowskiego Albert wójt krakowski; II. A. Mańkowskiego Minowski; III. E. Lubowskiego Osaczony (podp. H.). Tamże nr. 28, 29, 30, 31.
Nowe dreszcze (b. p.). Tamże nr. 29.
Odpowiedź narodu (b. p.). Tamże nr. 30.
Drobna szlachta (podp. H.). Tamże nr. 30.
Doroczne odwiedziny (b. p.). Tamże nr. 31.
Polityczna spółka (b. p.). Tamże nr. 32.
Znamienne objawy (b. p.). Tamże nr. 33.
Jan Lam (pod. H. A.). Tamże nr. 33, 34, 35, 56, 37.
Chwilowe otrzeźwienie (b. p.). Tamże nr. 34.
Apoteoza jezuitów (b. p.). Tamże nr. 34.
Jubileusz filozofa (b. p.). Tamże nr. 35.
Pacierz Europy (b. p.). Tamże nr. 36.
Sfinksowa zagadka (b. p.). Tamże nr. 37.
Bez oporu (b. p.). Tamże nr. 38.
Wiązanki poetyczne. Dr. J. Długoborskiego Poezje (Kijów); Korczaka Baśń (Kraków); St. Rossowskiego Poezje (Lwów) (podp. A.). Tamże nr. 38.
Płody starości (b. p.). Tamże nr. 39.
Samopomoc (b. p.). Tamże nr. 40.
Woły (podp. W. O.). Tamże nr. 40.
Vana ira... (b. p.). Tamże nr. 41.
Słowa prawdy (b. p.). Tamże nr. 42.
Pod mikroskopem (podp. Gezjasz). Tamże nr. 42, 44, 46, 48.
Chwila obecna (b. p.). Tamże nr. 43.
Ostatni psalm żydowski (b. p.). Tamże nr. 43.
Wojna i pokój (b. p.). Tamże nr. 44.
Nowe zagony (b. p.). Tamże nr. 45.
Austrjackie strachy (b. p.). Tamże nr. 46.
Literatura polska. J. Gadomski Larik, tragiedja w 5 akt., Warszawa. (podp. A. S.). Tamże nr. 46.
Jeden z niewielu (b. p.). Tamże nr. 47.
Z pamiętnika (podp. W. Okoński). Tamże nr. 47.
Co dalej? (b. p.). Tamże nr. 48.
Kazanie po niewczasie (podp. H. A.). Tamże nr. 48.
Gałązka oliwna (b. p.). Tamże nr. 49.
Zapowiedź na rok 1887 (b. p.). Tamże nr. 50.
Smutny widok (b. p.). Tamże nr. 50.

Ogniowa próba (b. p.). Tamże nr. 51.
Ciężki spadek (b. p.). Tamże nr. 52.
Ashe (podp. W. Okoński). Tamże nr. 52.
Teatr. A. Wilbrandt, Arja i Messalina (podp. H.). Tamże nr. 52.
Nieme muzy — Lwów Stryjowi. 1886. Nakładem Koła literacko-artystycznego we Lwowie, druk Pillera i Sp. 1886, w 4-ce, 4 nl. i 108 str. z rysunkami, strona 19.

1887.

Rok miniony (b. p.). »Prawda« nr. 1.

Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14. 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Nowy rok. Jego szczerość. Co mówił o nim ojciec. Kłamstwa poprzedników. Sprywatnienie szczęścia. Wrażenia w bezpiecznym domu. Wróżba. Obrady w »Gazecie rolniczej«. Grunt i badyle. Konkurs studentów Instytutu puławskiego. Na co padła uwaga młodzieży. »Wszechświat« jako Hamlet. Ile jest modniarek, a ile matek. Zagrożone dzieci. Opieka domu. Tamże nr. 1.

II. Miłość sceniczna francuska. Jej kwestje. Nicość tych zagadek. »Żorżetta« Sardou. Zmizerowanie uczuć ludzkich. Wykład Lubbocka. Obowiązek względem szczęścia. Prawo i powinność. Upadek teatru. Nadzieje karnawałowe. Tamże nr. 2.

III. Ociężały rytm ruchu wydawniczego. Jaskółki zimowe. Świeża farba. Wieść z Poznańskiego. Poszukiwanie godziwego usprawiedliwienia. Dyspensa stanowisk widnych. Szlachcic jako człowiek. Adwokatura dziennikarska. Naiwność czy służalstwo. Spękana opoka. Dalsze »wyjaśnienia«. Porcja cnót obywatelskich. Ci, co przysięgali, że »nie pójdą do Monaco«. Tamże nr. 3.

IV. Ceremonjał przyjęcia na dworze chińskim. Człowiek pierwotny jako zwierciadło późniejszego. Hjerarchja literatury. Zdolności, marniejące w służbie u ludzkiego egoizmu. Stałe dążenie zniżania innych. Nasze zatraty. Mandarynizm i dzieciństwo prasy. Nasi debiutanci. Dwa talenty: Brolis i X.X. Odróśl zolizmu. Mea culpa. Tamże nr. 4.

V. Zła wróżba karnawałowa. Uratowanie sytuacji przez »dzielnych wioślarzy«. Sala i galerja. Sznurowanie małych żołądków i przygotowywanie zdolnych przejść przez ucho igielne. Dwie miary. Przywilej ideologji. Zajęczym tropem. Oryginalny wystawca. Wzór w kłamstwie. Przepisy karnawałowo. Tamże nr. 5.

VI. Bülow prześladowany. Szereg naszych meteorów, przeciągających z chwałą przez wszystkie strony świata. Zasady jako wytrychy. Ludzie konsekwentni i sztukowani. Gdybym był bogiem... Narada gwoździarzów niemieckich i losy naszej oszczędności. Mąka i piasek. P. Lindley sądzony we Frankfurcie za grzechy warszawskie. Statystyka jego wyjazdów. Co niemcom zamało, a nam dosyć. Sprawozdanie komisji kolonizacyjnej. Przerwany targ. Tamże nr. 6.

VII. Na najlepszym ze światów. Zima i lato. Prawo samotności. Orkan giełdowy. Nasze straty. Oswojenie się z epoką. Uchwała Towarzystwa przemysłu i handlu. Przekład niemieckich praw wyjątkowych na język polski. Ta sama bajka ze zmienionemi nazwiskami. Co mówią o niej etyka, logika i socjologja. Nasze wymagania. Obraz dla operetki. Dr. Mikulicz powołany do Królewca. Jedyny obcy polak przytulony do piersi pruskiej. Ostrzeżenie dla galicjan. Tamże nr. 7.

VIII. Wnioski karnawałowe z ostatnich kursów rubla. Tańczyło się i tańczyć się będzie. Mający umrzeć. Królowa balu i złota młodzież. Widok naszego społeczeństwa w przyszłości. Krótki rodowód dostatku. Nasze straty w burzy giełdowej. Sarasate. Syn swego czasu i swojej rasy. Piżmo w sztuce. Ostatnie pieczęcie aktu wygnańczego. Z dziejów męczeństwa. Konkurs »Bibljoteki warszawskiej«. Tamże nr. 8.

IX. Telegramy wojenno i karnawałowe. Rozmowa Bismarka z p. Eynernem. Humor polski jako cenna reszta polityczna. Obawa przed narodami poważnymi. Odezwa obywateli galicyjskich. Przemilczany szczegół. Kogo lękać się należy. Trucie robotników. Zwycięzcy w walce o byt. Pomyślny stan Towarzystwa muzycznego. Jubileusz Puszkina. Poeta rosyjski w oświetleniu p. Spasowicza i p. Pypina. Tamże nr. 9.

X. Wystawa higjeniczna w postaci idealnej. Gotowe okazy dla jej postaci realnej. Okazowe mieszkanie stróża. Towarzystwo przyjaciół zdrowia. Rada dla autorów ustawy. Porządny przymus. Kąpiel i miłość. Helenizm pogański. Wieczny sen »Świtu«. Organ równouprawnienia, wprowadzający nierównouprawnienie. »Bluszcz« i »Świt« wobec zagadek wiedzy. Dwa adresy prawdy. Tania Encyklopedja rolnicza. Zachęta do naśladownictwa. Konkurs, którego jeszcze nie było. Tamże nr. 10.

XI. Trzęsienie ziemi giełdowej i walenie się domów handlowych. Wywroty szczere i obłudne. Paraliż stosunków pieniężnych. Uszczuplony grunt kredytu. Upadające kręgło. Naiwna pociecha i chór wesoły. Wykłuwanie się oszustw. Ostatni z tego rodu. Szczególne ustroje moralne. Ojciec św., odbierający swym ukochanym dzieciom opiekuna. Miarka naszej pokory. Hans Bülow wyrzucony z teatru. Heine z za grobu. Kulturvolk i my. Tamże nr. 11.

XII. »Urząd« redakcyjny popsuty. Napad na kokosze i przytulone pod jej skrzydłami pisklęta. Krzyk matki

i stada. Zadziobywanie jastrzębia. Słabizny i rany p. Waliszewskiego. Frazes ostry ale pusty. Wycofywanie oszczędności przez biedaków. Spuszczony miecz Damoklesa. Pomysł Flamariona. Barwny obraz, przed którym nie należy rozmyślać. Człowiek śród zwierząt. Tamże nr. 12.

XIII. Rozmyślania nadgrobne. Tamże nr. 13.

XIV. Tydzień Kraszewskiego. Wspaniałomyślne przebaczanie win. Kosztowna choć wyszarpana skóra. Odpływ ultramontanizmu. Przygoda śmiałka. Ciężka służba »Przeglądu katolickiego«. Złote serce. Prawdopodobna odpowiedź Matki boskiej. Brak ubogich. Chór szwedzki. »Lutnia«. Szczególne dziwo. 40 polaków zgodnych. Żal i podziękowanie dla p. Sienkiewicza. Tamże nr. 14.

XV. Co to jest chemja. Higjena jako wszechwiedza. Przystawki do głównego gmachu. Piec pogrzebowy na wystawie higjenicznej. Kradzież dozwolona i jej warunki. Psałterz Dawidowy. Restytucje i słaby wpływ konfesjonału. Kilka pytań dla »Przeglądu katolickiego«. Mała przestroga. Prawdopodobne uwagi Minosa. Ukrzyżowani i zmartwychpowstający. Święto gienjuszu i wieprza. Tamże nr. 15.

XVI. Wywołany i wygwizdany. Z trumny. Dr. Jordan przed pomnikiem Kraszewskiego. Obrona. Zgubiona opinja. Podrabiane korony. Surogaty moralne. Przyczynek do etyki. Materjał do dyskusji. Krzywda jednostki, przeważająca krzywdę gromady. Rachunek prawdopodobieństwa. Szereg g d y b y... Powrót biednej Zimajerki i powrót bogatej Kochańskiej. Głos zastępujący opinję. List hr. Tyszkiewicza. Eliksir, odmładzający konserwatystów. Świeża myśl. Tamże nr. 16.

XVII. Po pogrzebie. Wartość wymierzona stratą. Arystokracja ducha. Wielki pan literatury. Korzyści oddalenia. Czemu Kraszewski nie mieszkał wśród swoich. Potrzeba odświeżenia atmosfery. Rozprawy Karłowicza o imionach polskich. Słowniczek Radlińskiego. »Nieprzyjaciel kobiet«. Skarga zaniepokojonych. Względna słuszność. Tamże nr. 17.

XVIII. Sposób ważenia sonsu. Wywód ks. Chotkowskiego. Odezwa do stanów kierowniczych. Dwubarwny promień. Swoja chustka jako cudza chorągiew. Godni zazdrości. Projekt opodatkowania jaj. Spodziewane dochody. Tamże nr. 18.

XIX. Spory akademickie. Prus jako superarbiter. Ideje wielkie i małe. Które są potrzebniejsze. Jakie my wyznajemy. Tłok w kierunku małych. Zachwaszczona niwa. Jakim sposobem możnaby ją opleć. Sfałszowany telegram. Jeż wobec »Czasu«. Co jest ludzkiem, a co nieludzkiem. Dobijanie konających. Za wiele honoru. Tamże nr. 19.

XX. Poezja ogrodnicza. Na pobojowisku. Klęska gradowa. Nadzieja w butelczce wody. Skromne pragnienie. Bank ziemski. Napomnienie. Gdzie można się dowiedzieć. Wiewiórki i boa. Dalszy ciąg bankructw. Upadłość uczciwego przemysłowca. Obraz wielkiej straty. Tradycja bibek. Tamże nr. 20.

XXI. Żywot Kantaka w »Ateneum«. Krew z krwi i kość z kości naszej. Psalmista w polityce. Czy tonący okręt poznański mogą uratować tacy sternicy. Ordon zabity w poezji i żyjący w rzeczywistości. Dziwny los i dziwna sława. Przeznaczona śmierć. Modele do powieści. Rycerz przemysłu literackiego. Mniemany Sęczkowski. Nasza wyrozumiałość. Prośba do oszusta. Tamże nr. 21.

XXII. Odpust w Akademji krakowskiej. Suma, która nudzi patronów. Wyglądanie energji. Bractwo konserwatywne. Przechwałka. Szafarka ofiarności. Polskie a krakowskie. Pożar Towarzystwa kred. ziemsk. i oddziały straży ogniowej. »Kraj« w obronie swej stajni i jeźdźca. Główne punkty sporu. Sprawa główna a niewyjaśniona. Tryumf dobrej woli. Wystawa higjeniczna. Tamże nr. 22.

XXIII. Nasze biedactwo. Radość z powodzeń materjalnych. Przecenianie rodzimych wartości. Wieńce szczodrze rozdawane w pismach ilustrowanych. Widok prawdziwie swojski. P. Krasiński zdumiony swoją chwałą w »Gazecie rolniczej«. Jego protest. Daremna obrona. Pouczająca przestroga. Psychologiczne usprawiedliwienie. Feliks Gebethner. Tamże nr. 23.

XXIV. Oświadczenie podwójnie przyjemne. Użyteczność złego. Spór »Gaz. polskiej« z »Now. Wremieniom«. Dowód spokoju. Dwa trójkąty zupełnie równe. Dalszy ciąg bombardowania »Kraju«. Zmiana kierownictwa na kolei Nadwiślańskiej«. Krynice nadużyć. Piotr Mularski. Szczęście Arimana. Przemowa Roeppla. Dawniej a dziś. Tamże nr. 23.

XXV. Stała ewangielja. Rycerze. Jasne objawy, jako pociechy. Mroki. Pokłosie p. Goslera. Dziwny naród. Zdziwienie »Gazety lekarskiej«. Stara historja. Przymusowe milczenie. Pomnik Mickiewicza. Rada logiczna. Potrzeba dyktatury. Droga wyjścia. Higieja Watykańska i jej skarga. Jej postać na wystawie warszawskiej. Tamże nr. 25.

XXVI. »N. W. Tagblatt« o uroczystości otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie. Czy to nie prawda? Ilustracja. Nie wchodząc w słuszność zarzutów. Murzyn, który spełnił swą powinność. Przymówka »Kroniki rodzinnej«. Bezimienni pracownicy. Płatnerze pruskiej administracji i sądów. Heine w towarzystwie błaznów Salomońskiego. Potrzeba prawdy. Tamże nr. 26.

XXVII. Wymiatanie niemców. Oddychania nienawiścią. Kto stworzył to powietrze. Coś w rodzaju sprawy Waliszewskiego lub »Alberta wójta«. Narodziny »Meljoracji rolnych«. P. Korzybski jako zbawca i jako ukrzyżowany przez krytykę. Ciekawe odkrycie dra Jentysa. Potrzeba światła. Moralność ludu i jej szkoła. Dlaczego pielgrzymi utonęli. Małe zagadnienie dla »Przeglądu kat.«. Promienie wiedzy. Śmiech na śmiech. Tamże nr. 27.

XXVIII. Radość Jagiellonów. Przejazd tryumfalny dziedzica ich tronów po Galicji. Czy Jagiellonowie istotnie się cieszą? Czciciele ideji. Ornitolog monarchą. Braki »Prawdy«. P. Zucci i jej rycerz Horod. Ludzie, jadający kwaśne mleko. Mózg w pończosze czyli kwestja gustu. Honorarjum Mackenziego i nasze skąpstwo. Pytanie z rachunku. Zabawy rublowe i groszowe. Tamże nr. 28.

XXIX. Jak było w Śniatynie podczas przybycia arcyksięcia Rudolfa. Jak jest w Poznańskiem podczas przybycia

prezesa komisji kolonizacyjnej. Litanja męczenników patrjotyzmu z ostatnich tygodni. Ciżba szlachty do worka niemieckiego. Nienasycone samolubstwo. Rozkoszne marzenia. Przypadkowe poznanie kraju. Pierwsze i ostatnie zęby. Wystawa pretensji po wystawie higjenicznej. Kolumna Zygmunta. Żarty p. Arambury. Tamże nr. 29.

XXX. W dawnym rytmie. Zdziwienie Krügera. Pielgrzymka do Monaco. Pomysłowy szlachcic. Galicja puszczona na loterję. Zgnilizna. Gołąb puszczony z arki przemysłu. Przyczyny od niego niezależne. Ciekawe odkrycia. Co nowemu delegatowi potrzeba zastrzedz w instrukcji. Rynek dla blagi i prawowierności. Źdźbło w okn królowej Nepalu. Odpowiedzi. Tamże nr. 30.

XXXI. Śród skał dziennikarskich. Chwalebny zwyczaj szlachty polskiej. Niepotrzebna obawa. Śpiąca opinja. Śliczna sielanka. Panowanie występku. Wzgardliwe kopnięcie. Nowa teorja naszego szczęścia. My i oni. Zgniły zachód w zdrowej Słowiańszczyźnie. Nasz program ekonomiczny. Nowe linje dróg żelaznych. Trzy samobójstwa. Toast na cześć epoki. Dobrodziejstwa życia. Tamże nr. 31.

XXXII. Dzieci północy, udający południowców. Omdlenie w świetle i cieplo. Nieprzerwany karnawał. Bigos zamiast chłodzącego napoju. Pieszczochy losu. Nowe ujście dla cukru. Kawałki muru, słodzące herbatę i oblizywanie mularzów. Plon antysemityzmu. Rozwój prasy hebrajskiej. Wyrzuty »Dzionnika poznańskiego«. Szczęśliwi winowajcy. Gdyby tak pozytywiści... Tamże nr. 32.

XXXIII. Zaćmienie słońca. Symbol epoki. Aureola. Zaćmienie moralności obywatelskiej w Poznańskiem. Nowa formuła patrjotyzmu: przymusowa dobrowolność i ekonomiczna konieczność. Jej wywód z życia. Ratowanie resztek. Dwubarwne fraki. Towarzystwo nianiek dla wynalazków. Dziura jest. Podobieństwa etnologiczne. Balony i welocypedy. Powody wzruszeń panny Dare. Poczciwy ludek. Tamże nr. 33.

XXXIV. Gdzie należy przesyłać spostrzeżenia nad zaćmieniem słońca. Reklama na tarczy księżyca. Szkoda »Kraju« i potrzeba wynagrodzenia jej. Chciwość »Wszechświata«. Towarzystwo pomocy naukowej Marcinkowskiego pod kosą. Christlich und sittlich. W wieńcu zwycięskim. Uczczony landrat. Ostatnia apelacja i usprawiedliwiona nieuwaga. Grabież zakładu Ossolińskich. Spółka owocowa. Jej prawidłowe dzieje. Żółć i łzy. Rozpaczliwy termin i wymowny protokół. Tamże nr. 34.

XXXV. Wycieczka do Wilna. Okolice i miasto. Ostra Brama. Przebieg zaćmienia słońca. Wrażenia. Sprawdzenie legiendy. Niemożność obserwowania zwierząt. Niesłuszne posądzenie kolei Nadwiślańskiej o to, do czego ona nie jest zdolną. Tamże nr. 35.

XXXVI. Pomimo obrony. Dobrowolne opodatkowanie się członków Towarzystwa gospodarczego. Czemu przeważnie włościanie. To musi być przypadek. Zamknięcie granicy przed »Gazetą warszawską«. Niedbalstwo najmitów. »Gartenlaube«. Co zrobili niemcy, a co my. Czerwona wstążeczka. Krzyki czechów i węgrów. Chybione wyścigi. Oszczędności kolei Nadwiślańskiej. Dzika pretensja. Westchnienie do S. Kronenberga. Tamże nr. 36.

XXXVII. Piośń przestarzała. Posucha na wiadomości. Ważne doniesienie z wystawy krakowskiej. Mikado jako źródło zadowoleń krytycznych. Operetka dla klasztorów. Rozrost biedy i jej wpływy. Biuro streczeń pracy przy Stowarzyszeniu subjektów handlowych. Obustronna korzyść. Narada Towarzystwa kred. ziemsk. w sprawie niszczenia dóbr. Pocieszająca kropla oleju. Palec boży. Jak filozofowie zakrystyjni przedstawiają sobie Boga. Tamże nr. 37.

XXXVIII. Zarazki demokratyczne. Łyg miejscowy i pożyczony. Waga społecznych żywiołów poznańskich. Katechizm narodowy. »Orędownik«. Łączność i jedność. Rozbiór frazesu. Mąż powszechnie szanowany i warchoł. Jedyny sposób dogodzenia mu. Kto powinien dać przykład. Szulamis. Nauka z faktu. Naród, któremu nic się nie udaje. Testament muzeum pszczelniczego. Tamże nr. 38.

XXXIX. Bank ziemski chce się ruszyć a p. Kamke ruszył się. Niewdzięczny sprawunek. Modlitwa. Otyłość »Gazety Warsz.« Doroczna wyprzedaż ziemi szlacheckiej. Drugie pismo ogrodnicze. Naiwny obywatel z pod Szawli. Towarzystwo nieśpiących. Towarzystwo fortowiczów. Stowarzyszenie śpiących. Pokuta obyczajów tradycyjnych. Prawa chłopskiej twarzy. Brzydki czas. Tamże nr. 39.

XL. Obojętny cel śmierci. Męczennicy ideji. Pożałowania godny ich widok. Zwierzyniec Boga. Aforyzm »Kur. warsz.«. Filemon Zaleski czyli bohater naszych czasów. Wielcy małymi. Ponowne błaganie komisji kolonizacyjnej. Statystyka policzków. Szczególna pretensja wyborczego motłochu. Słuszna odprawa. Wstrętne lekarstwo. Zapomniane państewko. Wstrzymany kandydat do tronu. Przywilej niemiecki. Kwestja według gustu. Tamże nr. 40.

XLI. U przeciwległego bieguna. Przyjemności niełaski. Pośredni regulator. Nagłe oświadczyny. Występ p. Gozdawy i oklask dla Świętochowskiego. Szczególny przywilej. Dwa przypomnienia. Recepta na wyrób konserwatystów i postępowców. Sekciarstwo. Dzięki za ciepłe łono. Niepowrotnie straceni. P. Skrzyński jako okaz do lekcji poglądowej. Wyradzanie się i zwyrodnienie. Spółka owocarska. Tamże nr. 41.

XLII. Wspomnienie. Mozart czy Mocarz. Najcudowniejszy słowik. Gdybym budował arkę lub pisał Koran. Setna rocznica wystawienia Don Juana. Ranzoni bez końca. Jego głębokie spostrzeżenie. Bibljoteka przyrodnicza. Gdzie podręczniki dla ogółu? Spółka Zwierzyńca nie rozwiązała się. Zagadka antisemicka. Tamże nr. 42.

XLIII. Procesja z p. Prądzyńskim. Wielostronne zadowolenie. Świadectwo »Gazety warsz.«. Usunięcie podejrzenia. Świat, stojący na głowie. Dziwy w roku tryumfów konserwatyzmu. 3.400 majątków, wystawionych na sprzedaż. Dobrobyt jako podstawa moralności. Marnotrawstwo chłopów polskich w Prusach. Chóry Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Pod skrzydłami protekcjonizmu. Tamże nr. 43.

XLIV. Obrachunek dwu obozów w Galicji. Umiarkowany opór. Gospodarstwo stańczyków. Czego chcą i dokąd dążą. Na Szlązku. Jedyna ideja. Podjazdy liberalizmu. Walna bitwa. Metoda szkalowania. Brak ma-

czugi. Łzenie sufraganem. Dar jubileuszowy dam warszawskich dla papieża. Śliczny wzór do dywanu. Racja bytu staniczyków. Tamże nr. 44.

XLV. Nieśmiertelność duszy. Widzialna i niewidzialna. Olbrzymy nieskamieniałe. Mozart żywy. Wielka paciorka w różańcu sztuki. Jubileuszowe przedstawienie Don Juana. Niezależność od wykonania. Retorty konkursowe. Uwaga Humanusa. Szczególne nominacje. Korzyść turnieju. Ks. Kloskie w porządku. Drogowskaz dla jego towarzyszów. Coby odpowiedział Ojciec św. Tamże nr. 45.

XLVI. Poglądowa lekcja polityki ultramontańsko-szlacheckiej. Ks. Dinder zrzuca skórę polską, w którą go obleczono. Niewierny Tomasz. Wiec w Poznaniu. Jakim sposobom p. Puttkamer udaremni protest do Europy. Wyprobowane. Parcelacja polska. Potrzeba uzupełnienia hymnów narodowych. Trzeci akt sprawy pomnika dla Mickiewicza. Wesoła zasłona. Tamże nr. 46.

XLVII. Wszystko pomieszało się. Na co poszły majątki ziemskie według rzeczoznawców niepodejrzanych. Budzący się krytycyzm. Ludzie, którzy nie wątpią. Żaba w głowie. Jubileusz papieski. Deszcz odpustów. Przekazy na niebo. Śpiący maszyniści. Szkody zrządzone przez znakomitych śpiewaków i śpiewaczki. Przyszła kwestja. Tamże nr. 47.

XLVIII. Wrażenia pobytu w górach. Dawna zagadka a obecna. Rodzic złego. Logiczne przypuszczenie. Jak gdyby przed wojną. Cofnięcie kredytu księgarzom polskim i ruskim. Nieboszczyk-projekt. 100 najznakomitszych książek. Lista niemiecka. Żółkowski, walczący przeciw pokusom autorskim. Jego zwycięstwo. Jeszcze ksiądz Kloskie i jeszcze wątpienie korespondenta »Gazety polskiej«. Fetyszyzm miłości dla sutanny. Tamże nr. 48.

XLIX. Ćwierćwiekowa pamiątka otwarcia Szkoły Głównej. Poczet jej wychowańców. Czy ich wyprowadził przypadek. Miłe wspomnienie. Jego szczerość. Nieurodzaj w literaturze. Wrażenie nowej książki. Bibljograf i krytyka. Czemu stodoła pusta. Przestrogi. Piwo warszawskie. Dobry interes. Miłostki sułtana. Dwa licho sprzęty. Tamże nr. 49.

L. Arcyb. Dinder jako ilustracja Leona XIII. Dary dla »ojca św.«. Świątobliwa matrona i pobożny szewc. Napomnienia Mickiewicza. Przydałby się. Patrjotyzm zapisany do protokółu. Niemiecki organ katolicki dla giermanizacji Szląska. Rzecz pewna. Kilka pytań. Protestujący bohaterowie. Wypadek »Tygod. powsz.«. Nabytek Zwierzyńca i jego przyszłość. Burza w Resursie obywatelskiej. Najtrudniejsza partja. Tamże nr. 50.

LI. Regulator naszych pism prawomyślnych. Nastawianie według niego wskazówek. Głos jego dzwonu w sprawie żydowskiej. Potworne zjawisko, a na niem drapieżne ptactwo. Sznurek na faryzeuszów. Hołd fanatykowi. Potrzeba rozbratu z ulicznikostwem dziennikarskiem. Wywróżona klęska. Niewygasły ród jednodniówek. Targ cacek paryskich nad Wisłą. Tylko my jedni. Ostrzeżenie dla łatwowiernych. Tamże nr. 51.

LII. Ostateczne pokwitowanie dla Dindera. Rozmyślania »Dziennika pozn.«. Polacy a mieszkańcy Chin, Japonji i wysp Oceanu Spokojnego. Prawdopodobne odbicie pretensji. Wyczerpana cierpliwość »Gazety polskiej«. Wyrazy żalu. Kto je zaniesie. Jakie dary przyjmuje Watykan. Pielgrzymi warszawscy. Podwyżka cła i warunek naszej zgody. St. Przystański. Dr. Jędrzejowicz. Tamże nr. 52.

LIII. Świąteczne rozmyślania. Historja słynnego procesu. Po 24 latach. Źródło zadowolenia z wyroku. Dzięki mistrzom. Wet za wet. Jubileusz Pługa. Były postępowiec. Pisarz dobrej woli. Hołd księży. Pożegnanie roku. Tamże nr. 53.

Zwrot pokojowy (b. p.). Tamże nr. 2.

Wędrówka deputacji (b. p.). Tamże nr. 3.

W niemocy (b. p.). Tamże nr. 4.

Źródło niepokoju (b. p.). Tamże nr. 5.

Ludożerstwo (podp. H.). Tamże nr. 5.

Popłoch giełd (b. p.). Tamże nr. 6.

Pod mikroskopem (podp. Gezjasz). Tamże nr. 6, 26, 28, 30, 31, 38, 44.

Leon XIII i katolicy (b. p.). Tamże nr. 7.

Literatura polska. K. Sosnowski, Magnetyzm a hypnotyzm, dawniejsze i współczesne w tym kierunku badania oraz poddawanie myślą w stanie hypnotycznym i na jawie, str. 73. Warszawa, 1877 (podp. H.). Tamże nr. 7.

Cierpkie owoce (b. p.). Tamże nr. 8.

Wybory niemieckie (b. p.). Tamże nr. 9.

Polityka bezwładności (b. p.). Tamże nr. 10.

Wędrujący punkt ciężkości (b. p.). Tamże nr. 11.

Krajobrazy. I. Północny; II. Południowy (podp. W. Okoński). Tamże nr. 11, 12, 13.

Literatura polska. Wyprawa S. S. Rogozińskiego — żegluga wzdłuż brzegów Afryki zachodniej na lugrze »Łucja Małgorzata« (1882—1883), Warszawa (podp. H.). Tamże nr. 11.

Manifestacja pokojowa (b. p.). Tamże nr. 12.

J. I. Kraszewski (nekrolog) (b. p.). Tamże nr. 13.

Nowy gołąbek (b. p.). Tamże nr. 13.
Nowe przymierze (b. p.). Tamże nr. 14.
Rudolf Falb i jego teorja trzęsień ziemi (podp. A. H.). Tamże nr. 14.
Ciekawe starcie (b. p.). Tamże nr. 15.
Beznadziejne wysiłki (b. p.). Tamże nr. 16.
Świeża kwestja (b. p.). Tamże nr. 17.
Dachówka (podp. W. O.). Tamże nr. 17, 18.
H. Sienkiewicz. Potop, tomów sześć, Warszawa (podp. A. H.). Tamże nr. 17.
Dobrani przyjaciele (b. p.). Tamże nr. 18.
W zakryte karty (b. p.). Tamże nr. 19.
Sprostowania historyczne (b. p.). Tamże nr. 20.
Krzyżacki amen (b. p.). Tamże nr. 21.
Sprawy czeskie (b. p.). Tamże nr. 22.
Prawo przeciw cudzoziemcom (b. p.). Tamże nr. 23, 24.
Faryzeizm (b. p.). Tamże nr. 25.
Teatr. K. Zalewski, Małżeństwo Apfel (podp. A. H.). Tamże nr. 25.
Objawy znaczące (b. p.). Tamże nr. 26.
Zagadki (b. p.). Tamże nr. 27.
Między Scyllą a Charybdą (b. p.). Tamże nr. 28.
Wybrany... (b. p.). Tamże nr. 29.
Cicha wojna (b. p.). Tamże nr. 30.
Bezmyślne widowisko (b. p.). Tamże nr. 31.
Przegrana partja (b. p.). Tamże nr. 32, 33.
Veni, vidi... (b. p.). Tamże nr. 34.
Z Bułgarji (b. p.). Tamże nr. 35.
Liga narodowa (b. p.). Tamże nr. 36.
Spóźnione oburzenie (b. p.). Tamże nr. 37.
Farbowane lisy (b. p.). Tamże nr. 38.
Niemcy a Rosja (b. p.). Tamże nr. 39.
Po 25 latach (b. p.). Tamże nr. 40.
Folwark dyplomatyczny (b. p.). Tamże nr. 41.
Nowy edykt (b. p.). Tamże nr. 42.
Wspomnienia pośmiertne. Władysław Bentkowski (podp. K.); Józef Kasznica (podp. M.). Tamże nr. 42.
Odpowiedź prosta (b. p.). Tamże nr. 43.
Dwa widma (podp. W. Okoński). Tamże nr. 43, 44.
Tęcza przyszłości (b. p.). Tamże nr. 44.
Histeryzm polityczny (b. p.). Tamże nr. 45.
Ukryte szydło (b. p.). Tamże nr. 46.
Gienjusz i obłąkanie (podp. A. S.). Tamże nr. 46, 47, 48.
Cofnięte kredyty (b. p.). Tamże nr. 47.
Wiec poznański (b. p.). Tamże nr. 48.
Nowa komedja niemiecka (b. p.). Tamże nr. 49.
Nowy prezydent (b. p.). Tamże nr. 50.
Prospekt na rok 1888. »Prawda«, tygodnik polityczny, społeczny i literacki, pod redakcją A. Świętochowskiego ze współpracownictwem poważnego grona pisarzów postępowych (b. p.).
W popłochu (b. p.). »Prawda« nr. 51.
Znów wojna (b. p.). Tamże nr. 52.
Koniec roku (b. p.). Tamże nr. 53.

1888.

Jubileusz papieski (b. p.). »Prawda« nr. 1.
Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17,

18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 51, 52.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Przyjemności dnia noworocznego. Dwa numery »Kurjerów« bez Kaśki Karjatydy i syna Sary Bernhard, a z odrobiną typów beletrystyki pozytywnej. My i poprzednicy nasi. Zamiar Syrokomli. Nasza galareta dziennikarska. Portret Leona XIII i jego uśmiech. Między Dantem a Lombrosem. Wielki pan i węgle dla biednych. Ofiary zimy i konduktorowie tramwajów. Kilka rad bezinteresownych a praktycznych. Tamże nr. 1.

II. Deszcz w Wiedniu czyli pogoda polityczna. Perły opisu uroczystości papieskiej. Nad szczytom Himalajów. Czemu p. Dobrogost płakał. Brakująca nuta. Szkoły zawodowe. Pomnik Mickiewicza. Karnawał. Tamże nr. 2.

III. Wielki samotnik. Jego cień na życiu naszem. Przytułek dla biedaków. Po siedemnastu latach. Obrona czasu. Nr. 130. Djeta dla oficjalistów koleji Nadwiślańskiej. List do Kronenberga. Jubilousz »Przeglądu katolickiego«. Oblubieniec naszych »Kurjerów«. Wdzięk przypomniany. Tamże nr. 3.

IV. Dumania nad karnawałem. Wątpliwości co do jego charakteru. Podgalanie czupryn i pomyślny wniosek. Jakiego rodzaju jest bóstwo karnawałowe. Gody w niebie. Próba obrony nowych świętych. Przyszła kanonizacja na naszą korzyść. Jeszcze raz wynicowana praca organiczna. Niewygasły ród i z m ó w. Tajemnicze związanie przyczyny i skutku. Potrzeba głębszej analizy. Tamże nr. 4.

V. Ostatni konkurs na pomnik Mickiewicza. Uparte łowienie wieloryba w Wiśle. Dwa sposoby zakończenia nieszczęśliwej sprawy. »Świat« krakowski. Nasza sztuka drukarska. Ukryty djablik. Znowu prośba do »Przeglądu katolickiego«. Niegrzeczność »Gazety Sądowej«. Dziwy o prawie i zwyczaju. Moja recepta na dolegliwości karnawałowe. Tamże nr. 5.

VI. Proces karnawałowy. Prokurator i obrońca. Korzyści dwu stronnictw. Ilustrowana przykładami bajka o Pawle i Gawle. Tupania butami i strzelanie z pistoletów. Uprawniony sposób podnoszenia ducha. Duch w nogach i głowie. Psalm »Wszechświata« o obserwatorjum. Co robić. Najbliżsi sąsiedzi w posiadaniu fantu kłopotliwego. »Wisła« pod nowem kierownictwem. Działalność p. Lewickiego. Encyklopedja zakładu pogrzebowego. Tamże nr. 6.

VII. Mefistofeles karnawału, ukazujący widmo ofiar. Konające dziecko i zrozpaczona matka pod tańcującemi nogami. Kto może być znieważony czynnie. Dramat w psiej budzie. Bohater dla sądów. Unieważnienie testamentu. Cudowne pomysły w oszczędnościach koleji Nadwiślańskiej. Sprzedaż Zakopanego. Pomnik dla Z. Krasińskiego. Załatwiona sprawa. Tamże nr. 7.

VIII. Odpowiedź poszukującym pracy a niezdolnym do niczego. Zaproszenie do literatury. Pora zamieci polemicznych i pojedynków. Delfickie twierdzenie »Ateneum«. Naganka na Prusa. Związki nieprawo. Pomnik dla Baudouina i Mickiewicza. Skuteczny sposób. Tamże nr. 8.

IX. Wzrost mojej marki. Jej urągliwe spojrzenia i ostateczne wydęcie. Do czego dojdzie. Spadek rubla i rozkład jego wagi. Ciężar kresów. Owoc cykuty. Spóźniony wierszyk. August Zawisza. Pozgonne. Nowa oszczędność koleji Nadwiślańskiej. Śmiała obrona jej systemu. Kilka pytań. Czy człowiek może być przekonanym. Wypadek w bóżnicy. Tamże nr. 9.

X. List mądrego chłopa. Jego hipoteza statystyczna. Jej sprawdzenie się w losach banku poznańskiego. Zegar z zegarów i polityka leżących pod łapami niedźwiedzia. P. Trębicki jako d e u s e x m a c h i n a. Jedyne rozwiązanie sprawy pomnika Mickiewiczowskiego. Sztuczne wylęganie Prusa w »Kurjerze warszawskim«. Humor z tłumnikiem. Dalszy ciąg oszczędności koleji Nadwiślańskiej. Tamże nr. 10.

XI. Ożywiony piątek. Śmierć cesarza niemieckiego. Przerwa w drzemce gazet i nadzwyczajne ruchy. Telegraf w naszej prasie. »Kurjery« jako gazety europejskie. Bóle p. Jellenty i moje. Płodność królików noweli. Prośba do nich. Józik Srokacz jako środek przeciwko chorobie nowelistycznej. Wystawa muzyczna. Jej niemota. Koncert pamiątkowy. Bilet do raju. Najzłośliwsza prawda. Tamże nr. 11.

XII. Wypadki berlińskie. Powódź. Ziewanie przy uroczystościach watykańskich. Dwa ważne znaki polityczne. Słynne mazury. Humorystyczne przedsięwzięcie »Hodowcy«. Nasza terminowość. Historja pogruchotanych palców. Jak śnieg zabrał gratyfikację. Tamże nr. 12.

XIII. Wrażenie z okładki i dreszcz we wstępie. B a d a n i a h i s t o r j o z o f i c z n e p. Chrzanowskiego. Jego prawa rozwoju ludzkości. Trzy barwy ideji. Co jest większym smutkiem. Milczenie rozumu i głosy maligny. Salwy na cześć p. Noskowskiego. Huśtawka naszej krytyki i jej cztery działania arytmetyczne. P a n T a d e u s z w taniem wydaniu. Rady Prószyńskiego dla ludu o kredycie. Nowa tradycja. Tamże nr. 13.

XIV. Nastrój świąteczny. Powinszowanie dla p. Jeske-Choińskiego. Kilka dziurawych orzechów, na których wygrywa swe melodje krytyczne. Grecy pozbawieni etyki, Locke obdarzony tytułem reformatora a Fouillé orderem spencerowskim. Pełnia i nów. Wspomnienie o Kraszewskim Jeża. Stańczyk krakowski. Tamże nr. 14.

XV. Wylewy i ich zniszczenie. Potrzeba energiczniejszego ratunku. Za własnym i cudzym przykładem. Znowu sprzeniewierzenia w kasie. Gospodarka kolejowa. O co nam chodzić powinno. Poręczenie społeczne. Zamach stanu w państwie konkursu nieustającego. Ważna sprawa przed sądem zjednoczonych wydziałów trybunału naszej prasy. Plącsający benedyktyn. Kamyki wątroby. »Ateneum«. A d r e m i a d h o m i n e m. Metoda niepodrabiania oparta na podrabianiu. Tamże nr. 15.

XVI. Ostateczna sekcja na duszy Chopina. Protokół ks. Jełowickiego. Różnica pomiędzy genjalnym muzykiem

a... Gdzie się podziało 24.366 rubli. Teorja topnienia wspaniałomyślności. Wylew wody i wylew miłosierdzia. Interpelacja w sprawie gospodarki kościelnej. Drugi nowo-konserwatysta. Zagadka. Tamże nr. 16.

XVII. Nowe zaoffarowanie majątków polskich w Poznańskiem. Uspokojone obawy. Komisja kolonizacyjna jako mamka szlachecka. Przepowiednie ks. Bismarka i projekt rozbicia banku w Monaco. Nasz Boulanger. Tryumfy p. Ochorowicza. Doświadczenia w szpitalu św. Ducha. Kto winien? Trzystu lekarzy i trzy ich pisma na straży zdrowia ogółu. »Demon« p. Żmurki. Pytania literackie. Tamże nr. 17.

XVIII. Uliczne zajście. Wrażliwość naszej opinji. Niepotrzebne zgryzoty. W duchu czasu. Jeszcze raz ujawniona potrzeba sądów honorowych. Płotek dla p. Ochorowicza. Jego oporność na poddawanie myślowe. Wymeldowanie do Paryża. Kartki filozoficzne. Słuszna odpowiedź. Dwa konkursy. Nowy talent. Tamże nr. 18.

XIX. Odpowiedź na wiele pytań pod jednym adresem. Prasa warszawska w ręku żydów. Kto to jest żyd. Sprawdzenie kłamstwa i jego źródło. Antisemityzm u nas. Waga p. Polikratesa i jego trzy grosze. Zamrożone natchnienie. Piskorzowa odpowiedź. Krótki wykład o Melotusie. Skok wyobraźni. Nowy hetman. Interwiew z ministrem pomnikowym. Tamże nr. 19.

XX. Nieprzewidziany »evenement«. Zaklęcie złego ducha. Odezwa do powiotrza. Wyrok komisji w sprawie Ogrodu Saskiego. Prus jako jej obrońca. Łańcuch luźnych ogniw. Prawa wygody. Kapłan Higjei przeciw jej przybytkowi. 50 rocznica śmierci J. Śniadeckiego. Pożądana ocena jego zasług naukowych. Znamienne zestawienie. Towarzystwo stręczeń pracy. Tamże nr. 20.

XXI. Dobrowolne opodatkowanie się. Ziarno przyszłości. Piękne nadzieje. Wykład »metody« p. Ochorowicza. Kto nie ryzykuje, nic nie ma. Trudne położenie. Upowszechnienie metody. Rodziewiczówna. Literatura teatralna. Przez jakie punkty przechodzi nasza uwaga. Uspokojona burza nad Ogrodem Saskim. Sumienia gwałcące i gwałcone. Z tajemnic Warszawy. Spowiedź i protesta. Tamże nr. 21.

XXII. Nowe kłopoty komisji kolonizacyjnej. Dalszy ciąg naszej mądrości po szkodzie. Głos Z. Glogera. Jak mnożą się w organizmie naszego przemysłu bakterje niemieckie. Marzenia biedaków. Muzeum pszczelnicze i ks. Jakubowski. Rada dla niego. Sprzedaż wędlin do Paryża. Powtórzona historja z butami. Do czego zawiązał się komitet w Krakowie. Tamże nr. 22.

XXIII. Chłody wiosenne. Dreszcze matki. Nowy sposób zostania sławnym. Co nam obiecuje p. Jawornicki. Elektryczna szybkość poznawania Afryki. Zmarnowane pieniądze. Siostrzyczki żelazne. Wyzysk i niedbalstwo. Z wielkiej chmury mały deszcz. Spółka owocarska. Muzeum pszczelnicze. Gmina żydowska. Tamże nr. 23.

XXIV. Nowy dochodzik niemiecki. Interes w futerale polityki. Wspomnienie z przejazdu przez granicę pruską. Poknta w Otłoczynie i wyrok konsula z Nieszawy. Wyborowa publiczność odstraszona od kolei elektrycznej. Nasze figarzątka. Czem my się żywimy. Sekcja wiedzy p. Ochorowicza. Warunki powodzenia znachorów. Pisma lekarskie. Wyścigi. Angielszczyzna mokotowska. Tamże nr. 24.

XXV. Pierwszy żal w historji. Zmniejszona miara. Klinika i kartaczownica. Sykania dzikich. »Przyjaciel zwierząt«. Podobieństwa w prasie. Potrzeba redukcji. Jednobrzmiące artykuły. Trzy przekłady jednej powieści francuskiej. Wystawa inwentarza. Spółka chmielarska. Orzeł i owce. Poezje Mickiewicza za 80 kop. Pardon przed bezimiennym rycerzem. Tamże nr. 25.

XXVI. Ćwiczenia o konserwatyzmie i postępie przy wschodzie i zachodzie życia. Listy A. Goltza. Przykazania i mimowolne wnioski. Czułość i przesada mów nadgrobnych. Co bywa tytułem chwały. Dziwne skojarzenia nazwisk i jeszcze dziwniejszy wywód. W obronie ośmieszonego. Radca Towarzystwa kredytowego w sukmanie. Nous autres. Stacje meteorologiczne. Biuro centralne czyli prof. Kwietniewski. Uroczystość w Bolonji z dobytą szablą. Tamże nr. 26.

XXVII. Nota »Nordd. Allg. Ztng.« przeciwko »Kurjerowi warsz.«. Mackenzie w polskiej pajęczynie. Śmieszny ryk armaty. Bajka o Marsie. Astronomja uliczna. Potrzeba zejścia z tronków. Wycieczka do Studzieńca. Czarny obraz. Znajomy swojski nasz duch. Odsłonięcie pomnika zacnej duszy. Zemsta p. Frageta. Dwa wizerunki. Przeoczony bohater. Tamże nr. 27.

XXVIII. Jeszcze jeden głos w sprawie pomnika dla Mickiewicza. Obrona »pięciu«. Podobno jesteśmy na dobrej drodze. Sprawozdanie Kasy Mianowskiego za rok ubiegły. Działalność izby lordów. Nieostrożność i upór. Zmarnowane pieniądze. Ofiara Hirscha. Wiersz Konopnickiej. Za 30-letnią pracę. Wspaniałomyślność kolei Terespolskiej. Tamże nr. 28.

XXIX Mechanizm pojedynkowy. Kto prowadzi zapaśników do starcia. Podwójna rachuba. Warunki naturalne i właściwości klimatu. Iljada i Piękna Helena czyli rozprawy lekarzów i odpowiedź p. Ochorowicza. Filozof i były profesor, tańczący na korzyść hypnotyzmu. Teorja śmiałości, której los sprzyja. Hypnotyzer opuszcza nas. Ciekawe widoki Warszawy. Wycofany Pełetko. Tamże nr. 29.

XXX. Przemiana gatunków społecznych w Bośnji i Hercegowinie. Nasze poświęcenia i męczeństwa. Bank ziemski w Poznańskiem. Jego ostatnie posiedzenie. Życzliwa rada. Wystawa kucharska. Swojskie pieszczoty. Na straży dworu. Czego lud nie umie. Odezwa w sprawie Zwierzyńca. Koniec wesołej polemiki. Ciekawe pytanie. Tamże nr. 30.

XXXI. Taki mostek, którego nioma. Sposoby rozgrzewania czytelników. Dlaczego mężczyźni się nie żenią. Dom zbudowany na jednym słupie. Złe warunki dla słupów. Odpowiedź i wniosek dla siedzących na koszu. P. Fraget, idący za radą Prusa. Winowajcy. Nowy zakaz na kolei Nadwiślańskiej. Jasnowidztwo oszczędności. Niestracona nadzieja. Jubileusz hipotoki w »Gazecie sądowej«. Nowy zdrój humoru. Głosowanie w sprawie hypnotyzmu. Szczególny sąd. Uwaga Chałubińskiego. Tamże nr. 31.

XXXII. Burza. Kłótnie natury z polityką. Co mówiły wichry. Monografja plazmy literackiej. P. Polikrates z »Niwy«. Archiwum jako miara wartości. Ukazy i rozprawy papieskie. Blaga prawowierności. Bizantynizm i krytyka. Chłopi w Towarzystwie kred. ziems. Za wiele nauk — jedna. Brak odwagi cywilnej. Tamże nr. 32.

XXXIII. Znowu burze. Podrobiona legienda grecka a wytrzymałość skóry ludzkiej. Czem ją trzeba smarować, ażeby nie pękła. Narzekania rolników. Siedziby letnie i minimum doznanego w nich szczęścia. Odwiedziny złodziejów. Stowarzyszenie kobiece pod godłem Byrona. Niepochwytna mara. Co to ma być? Praktyczność nasza w Nowym świecie. Prasa amerykańsko-polska. Tamże nr. 33.

XXXIV. Wiljam Higgins, robiący nowe poszukiwania w dziedzinie etyki platerowanej. Jakim sposobem 10 proc. zamienia się na 25 proc. Prosty a nadewszystko tani sposób uszczęśliwiania ludzi z ich własnej kieszeni. Ukarany zawiadowca. Jak prędko może być pochowane dziecko telegrafisty. Dalszy ciąg oszczędności na kolei Nadwiślańskiej. Przyzwyczajenie i wyzysk. Mądrość groszowa. Tamże nr. 34.

XXXV. Dalszy ciąg rozmowy z p. Higginsem. Dzień roboczy. Wytrzymałość ludzkiej pracy. System ograniczeń. Nienawiść do godności człowieka. Naiwne posądzenie. Wypadek w Rembertowie. Pewność przejazdu koleją Terespolską. Brak miejsca. Statystyka biletów wolnej jazdy w jednym pociągu. Niezadowolenie pokojówki p. naczelnika. Nasze przygody. Kto rządzi? Zagadka dziwnej gospodarki. Sposób zwiększania dochodów. Tamże nr. 35.

XXXVI. Zdziwienie syngalezów. Ludzie ziemno-wodni. Zaoszczędzeni telegrafiści. Przypuszczalna rozmowa ze śpiącym. Czy twórcy oszczędności sypiają. Rozpowszechnianie wynalazku. Gdzie można skubać. Literatura na kolejach żelaznych. Zagadkowe tytuły przywilejów. Złote wędzidło. Prośba do ekonomistów. Żałoba po zacnej rodzinie. Gwałciciele grobów. Losy zapisu dra Orzechowskiego. Hijeny testamentowe. Tamże nr. 36.

XXXVII. Naiwna wiara w potęgę »szóstego mocarstwa«. Zmarnowany opał lokomotywy społecznej i żółwie jej ruchy. Wpływ prasy na kolej Nadwiślańską. Skarga telegrafisty i jego rachunek. Reporterja dla przyszłości. Samobójstwa małoletnich. Środki zaradcze w wychowaniu. Topniejące przesądy. Żądanie departamentu medycznego. Badanie swobodne i niesumienne. Przykład Darwina. Kanalizacja konserwatyzmu właścicieli domów. Tamże nr. 37.

XXXVIII. Rozszerzone granice paszportu. Gust powrotny. Ukradkowe rozporządzenie na granicy austrjackiej. Mąż, pilnujący jej bram. Ostrzeżenie najmitów, szukających pracy w Prusach. Dzielna czwórka. Dowcipna agencja. Hamleci wobec kanalizacji. Filozofja z Freta i N. Światu. Oszczędności kolejowe. Lutnia żeńska. Wystawa pięknych kobiet. Warszawa i Spaa. Biesiada i tokowisko. Tamże nr. 38.

XXXIX. Wzrastający zapał do wystawy pięknych kobiet. Niedojrzałość opinji. Czem u nas byłby Dumas. Małoletność wobec zagranicy. Spowiedź jednego z członków pierwszej polskiej wyprawy do Afryki. Syn, odnajdujący ojca w jednym z handelków. Miłość rodzicielska, zawieszona między Łęczycą a Łomżą. Władza frazesu. Przyczynek do biografji Mickiewicza. Za co nas mają figlarze. Tamże nr. 39.

XL. Narady rolniczo-przemysłowe przy końcu XIX wieku. Co je wywołało. Nauka mądrości po szkodzie. Dobrowolne zubożenie i brak pomnażających doświadczeń. Typowy przebieg nowych upraw. Spadek dla potomności. Siekierka i kijek. Praca i koleje. Płaszcz patrjotyczny. Kapitały krajowe. Czego brak. Pracownia chemiczna miejska i dr. Bujwid. Czego u nas doczekały kongresy literackie. Tamże nr. 40.

XLI. Trudne zagadnienie: kiedy się cieszyć, a kiedy smucić. Przeciwieństwo interesów klasowych, branych za ogólne. Westchnienia nad zwyżką rubla. Pożądany i daremnie oczekiwany mąż, który nam łzy będzie ocierał. Treny kamieniczników. Groźba dla ogonów hypotecznych. Własna wina. Błędne koło rozbiorów chemicznych. Gorszące zajście. Dwie racje jednakiej słuszności. Wystawa nasion w Muzeum przemysłu i rolnictwa. Doniczka i rola. Tamże nr. 41.

XLII. Broszura Mackenziego. Naród komiwojażerów. Wędrówka naszej uwagi po Europie. Jezioro martwe. Potrzeba ożywienia pulsów. Skromność w roli nieskromnej. Bunt w Spaa. Ostrzeżenie dla naszego jury. Pojedynek literacki między pp. Święcickim a Porębowiczem. Znamienna próbka krytyki swojskiej. Jeszcze przekład Iljady. Widoki na przyszłość. Samobójczy zamach p. Zapolskiej. Tamże nr. 42.

XLIII. Wieści z Poznańskiego. Wynajęcie teatru niemcom. Co właściwie jest smutnem. Kolej następstwa instytucji społecznych. Czy Poznań ilościowo i jakościowo jest przygotowany do rozumienia sztuki scenicznej. Słomiany ogień. Znowu sprzeniewierzenie kasowe. Zastępca sił krajowych. Przykazanie »Kraju« i jego przypowieść o kolorowych balonikach. Redaktor jako sędzia pokoju. Mackenzie żydem polskim. Międzynarodówka oszczerstwa. Tamże nr. 43.

XLIV. Honory warty krytycznej przy ukazaniu się w teatrze Hamleta. Przyczyna tego zaszczytu. Melpomena i jej krewniaczka. Poezja, odwiedzająca swe dawne mieszkanie, do którego wróci. Do kogo należy teatr nowożytny. Przemowa Matejki i cierpienia jego przyjaciół. Niesprawiedliwe wymagania. Dym tytoniowy i bakterje. Wiek nasz, palący fajeczkę. Syngalezi w roli Józefów i pamiątka z płaszcza. Dwie ważne wiadomości. Tamże nr. 44.

XLV. Zuchwała odezwa krawca do młodzieży. Co on chce zrobić z lepszej sfery i czteroklasowego wykształcenia. Podążamy w kierunku innych narodów. Kłopot opinji publicznej wobec dwu sprzecznych zasad kolejowych. Za którą się oświadczyć. Kasa pożyczkowa dla kobiet pracujących. Praktyka, rozstrzygająca czcze spory teorji. Spółka dla wyhodowania kury, znoszącej złote jajka. Namioty Melpomeny. Tamże nr. 45.

XLVI. Materje wybuchowe. Wyłączona z nich para. Dozór nad kotłami fabrycznymi. Wybuch w »Wulkanie«.

Potrzeba kontroli. Wypadek w Zwierzyńcu. Skazanie na śmierć niedźwiedzia i okazywanie jego sadła. Naruszona równowaga Zarządu. Cennik obrazów. Sztuka jako zbytek. Jej zastosowanie do przemysłu. Wystawa przemysłowa. Mały Ślarz. Z wielkiej chmury. Tamże nr. 46.

XLVII. Rozrywka w sprzecznych doniesieniach o p. Lindleyu. Wyjaśnienie w sprawie rozstrzelania niedźwiedzia. Logiczny wniosek z faktów ujawnionych. Władza plotki. Dumania nad spisem imiennym spółki Zwierzyńca. W Paryżu warto być zabójcą. Sława cudzych zbrodni u nas. Pod wpływem Francji. Morfiniści umysłowi. Bliziński o barbaryzmach i dziwolągach językowych. Fabrykanci gwary wszechświatowej. Tamże nr. 47.

XLVIII. Przygoda konsula niemieckiego w Sosnowcu. Ludzie znani wobec ustawy paszportowej. Wstręt do własnego wynalazku. Co jest wiza. Nowa kampanja oszczędnościowa. Zarząd kolei, zastępujący całą służbę. Co jeszcze można oszczędzić. Fundusz dobroczynny dla straży ogniowej. Jeszcze słówko o grafice. Pyłek i góry. Uczniowie aptekarscy. Choroba, od której nie umrzemy. Tamże nr. 48.

XLIX. Odjazd p. Höhmana. Rozmyślania nad jego czynami, które kosztowały ćwierć miljona rubli. Świadectwo spełnionych obowiązków. Ekskawator czyli statek do niczego. Marnotrawny młodzian i jego dobrzy opiekunowie. P. Grotowski dublujący rolę. Spółka do wywozu mięsa wieprzowego za granicę. Jej znaczenie ekonomiczne i społeczne. Ofiara Hirscha i uwaga Prusa. Zabielak, który nie wiedział o pracowni Bujwida. Prospekty. Garnitur »epitetów zdobiących«. Tamże nr. 49.

L. Index książek zakazanych przez kongregację świętą. Niewinni pod pręgierzem. Do czego służy ta maszyna średniowieczna. Pokorne owieczki. Szczere pytanie. Prezent M. Wołodyjowskiego ofiarowany H. Sienkiewiczowi. Głos w imieniu nędzy o tym darze. Mater dolorosa. Punkt Archimedesowy czyli monstre-bal jako środek rozwiązania zagadek naszego bytu. Tamże nr. 50.

LI. Kwesta dla biednych. Oszukiwanie swego egoizmu. Bilet na bal i kwit na podatek dobroczynny. Likwidacja wydawnicza. Które miejsce zajmuje książka w naszych potrzebach. Nasza inteligencja wobec chłopów szwedzkich. Przymusowy chrzest wsi poznańskich. Materjał dla lingwistów. Sprawa pastora Bernera. Lekkomyślna fantazja. Tamże nr. 51.

LII. Psalm skargi i nadziei w Towarzystwie kredytowem m. Warszawy. Znamienna odraza do kanalizacji. Nowa awantura w Muzeum pszczelniczem. Kłębek bez końca. Sposób przecięcia wątku zgorszeń. Owoce oszczędności kolei Nadwiślańskiej. W nowej sukience. Świetna doktoryzacja. Przedwczesne hołdy. Potrzeba rozszerzenia drogi. Pożądany objaw. Tamże nr. 52.

Chwila obecna (b. p.). Tamże nr. 2.

Po stu latach (b. p.). Tamże nr. 3.

Z tygodnia (b. p.). Tamże nr. 3.

Nowe podmurowanie pokoju (b. p.). Tamże nr. 4.

Wyłuskane ziarna (b. p.). Tamże nr. 5.

Zwiastun pokoju (b. p.). Tamże nr. 6.

Chory pokój (b. p.). Tamże nr. 7.

Dobrowolna zagłada (b. p.). Tamże nr. 8.

»Silna ręka« (b. p.). Tamże nr. 9.

Nieśmiertelne dusze. II. Aureli Wiszar, dramat w trzech aktach (podp. W. Okoński). Tamże nr. 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17.

Polityczny rozwód (b. p.). Tamże nr. 10.

Zmiana historyczna (b. p.). Tamże nr. 11.

Rozwiane złudzenia (b. p.). Tamże nr. 12.

W. Sabowski. (Wspomnienie pośmiertne) (b. p.). Tamże nr. 12.

Paw narodów (b. p.). Tamże nr. 13.

Kazimierz Jarochowski. (Wspomnienie pośmiertne). (podp. S.). Tamże nr. 13.

Jowisz i Tytan (b p.). Tamże nr. 15.

Zahypnotyzowani (b. p.). Tamże nr. 16.

Człowiek żelazny (b. p.). Tamże nr. 17.

Nowa ofiara (b. p.). Tamże nr. 18.

Dyplomacja watykańska (b. p.). Tamże nr. 19.

Zagadka uroku (b. p.). Tamże nr. 20.

Znaczące ostrzeżenie (b. p.). Tamże nr. 21.

Sparzone palce (b. p.). Tamże nr. 22.

Literatura polska. E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, powieść, trzy tomy, Warszawa, Gebethner i Wolff. (podp. A. S.). Tamże nr. 22.

Ryzykowne przedsięwzięcie (b. p.). Tamże nr. 23.

Ofiary pokoju (b. p.). Tamże nr. 24.

Prawdopodobieństwa. (b. p.). Tamże nr. 25.
Pieczęć pokoju (b. p.). Tamże nr. 26.
W »Warszawskim Dniewniku« (b. p.). Tamże nr. 26, 27.
Wskrzeszona tradycja (b. p.). Tamże nr. 27.
Odwiedziny (b. p.). Tamże nr. 28.
Z trzeciego tuzina (b. p.). Tamże nr. 29.
Koniec trylogji (podp. A. S.). Tamże 29.
Cesarz Wilhelm II. (b. p.). Tamże nr. 30.
Chybiony adres (b. p.). Tamże nr. 30.
Czekać (b. p.). Tamże nr. 31.
Nie na czasie (b. p.). Tamże nr. 32.
Naiwne żale (b. p.). Tamże nr. 33.
Dwa olbrzymy (b. p.). Tamże nr. 34.
Włoski księżyc (b. p.). Tamże nr. 35.
Najmita ukarany (b. p.) Tamże nr. 36.
Dwa obozy (b. p.). Tamże nr. 37.
Strachy Pentelikonu (podp. W. Okoński). Tamże nr. 37, 38.
Trzeci z trójcy (b. p.). Tamże nr. 38.
Głos z grobu (b. p.). Tamże nr. 39.
Co wolno... Jowiszowi (b. p.). Tamże nr. 40.
Dobór naturalny (b. p.). Tamże nr. 41.
Babie lato (b. p.). Tamże nr. 42.
Plastry łagodzące (b. p.). Tamże nr. 43.
Tajemnica niepowodzeń (b. p.). Tamże nr. 44.
Rozstrzygająca chwila (b. p.). Tamże nr. 45.
Wybory poznańskie (b. p.). Tamże nr. 46.
Układy z Watykanem (b. p.). Tamże nr. 47.
Piramida pokoju (b. p.). Tamże nr. 48.
Nowy kodeks włoski (b. p.). Tamże nr. 49.
Na rok 1889 (b. p.) Tamże nr. 50.
Szczere wyznanie (b. p.). Tamże nr. 50.
Hymn niemych (podp. W. Okoński). Tamże nr. 50.
Jubileusz samolubstwa (b. p.). Tamże nr. 51.
Rok 1888 (b. p.). Tamże nr. 52.

1889.

Konstytucja serbska (b. p.). »Prawda« nr. 1.
Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 7, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51.
Nieśmiertelne dusze III. Regina, dramat w trzech aktach (podp. W. Okoński). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9.
Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Zbiorek »Kurjera Warszawskiego«. Wiersz trudny do streszczenia. Prawda o Francji. Furtka dla wymówki. Wiązanka robótek kobiecych w »Kurjerze codziennym«. Prób kilka. Szczególny rezultat dobrego pomysłu. Wyścig, w którym panie same jadą na Pegazach. Potrzeba innego lęgu. Tamże nr. 1.

II. Katedra dziennikarska w uniwersytecie amerykańskim. Gdzie jest zawód, powinna być szkoła. Reporterja. Błyskawiczni fotografowie życia. Literatura i przemysł w dziennikarstwie. Lekcja przykładowa. Rozbiór ćwiczenia »Gazety rolniczej«. Próba korespondencji własnych. Wróżby karnawałowe. Bal prasy na korzyść prenumeratorów. Tamże nr. 2.

III. Zawody w naszej hodowli bohaterów kryminału. Soczewki, powiększające i zmniejszające ich chwałę. Opatentowanie zbrodni w Paryżu. Komitet higjeniczny Towarzystwa lekarskiego w sprawie kanalizacji.

Obrona naszego rozumu. P. prezydent, pokutujący za grzechy Lindleyów i Höhmanów. Dyspensa od odpowiedzialności. Skarga »Wszechświatu« na obojętność dla literatury przyrodniczej. Tamże nr. 3.

IV. Wyznanie braku wiedzy i niemożność wyjaśnienia tajemnic karnawałowych. Lichy fejletonista. Rozbawiona prasa. Czyżby i inne rozwiązania zagadnień społecznych. Obietnica dróg żelaznych. Co one będą wypróbowywały. Logika stanowa: w sprawie Strzeleckich i księdza Swinarskiego. Kantory nauczycielek jako targi inwentarza pedagogicznego. Stowarzyszenie, ubezpieczające słuszną potrzebę i uraźliwą godność. Tamże nr. 4.

V. Boulanger i Strzelecey. Pyszny prezes sądu. Zażalenie szlachcica. Tak zwana nienawiść. Nadmierna surowość. Czem lud jest w istocie i czem jest dla szlachty. Zastrzeżenie. Bal doktorski i dorożkarski. Znowu ks. Ambrożewicz w sądzie. Przyczynek do biografji tego męża. Pytanie do »Przeglądu katolickiego«. Tamże nr. 5.

VI. Śmierć Domejki. Przyjaciele Mickiewicza. Choroba ortograficzna. Nowy alfabet Promyka. Wypadki na kolei Nadwiślańskiej. Wykolejenie się pp. Halperta i Hantowera. Kołowrot obrad uczestników stowarzyszeń kolejowych. »Zamknąć budę« — brawo. Obywatelski komitet opieki nad plantacjami miejskiemi. Straż nad swawolą i bezmyślnością. Tamże nr. 6.

VII. Likwidacja kas zjednoczonych na kolejach. Jednostronne rozwiązanie umów. Grunt prawny. Skutki »smutnego współzawodnictwa« aptekarskiego, czyli tańsze lekarstwa. Radość z żalu. Pan Tadeusz ilustrowany. Andriollizm rysunków. Odpowiedź Promyka w sprawie ulepszonej pisowni. Zasada i logika, a raczej kawałek zasady i kawałek logiki. Nasze strapienie, które innym narodom nie dokucza. Tamże nr. 7.

VIII. Bale urzędników na kolei Nadwiślańskiej. Objaśnienie sytuacji. Halpert umarł i Halpert żyje. Intryga z funduszem na słownik języka polskiego. Potrzeba obejrzenia prawdy. Uczczenie jubileuszu apteki Karpińskiego. Nabożeństwo dziennikarskie przed ołtarzem Strzeleckich. W piętę mierzył, w nos udorzył — czyli strzał »Kurjera codziennego«. Źródło oburzenia. Kasa żeńska. Tamże nr. 8.

IX. Nabożeństwo polityczno-dziennikarskie za duszę arcyksięcia Rudolfa. Człowiek w purpurze. Widok nieznany w historji. Przeważająca szala z wielkim ciężarem. Poczucie praw ludzkich. Bohater dla poezji. Konkursy. Presto symfonji karnawałowej. Bolesna wieść. Śnieżyca i zima u siebie. Tamże nr. 9.

X. Wybuch kotła parowego w fabryce Lilpopa i Raua. Szybkie załatwienie sprawy. Zawsze winien nieboszczyk. Przypomniany obowiązek. Co robi rada nadzorcza w bankach ziemskich. Jej odpowiedzialność. Pracownia sanitarna miejska. Zadanie dra Bujwida. Kilka słów o starej gruszy, która odmłodniała. Fajerwerk karnawałowy. Nasi ziemianie wobec dostaw do wojska. Tamże nr. 10.

XI. Jeszcze w sprawie stręczenia pracy nauczycielkom. Stowarzyszenie wobec naszych przyrodzonych właściwości. Schronienie dla nauczycielek jako stary wór dla młodego wina. Niebezpieczeństwo opieki arystokratycznej. Pożyteczne i korzystne przedsiębiorstwo. Ofiara zawodu i nadmiaru niezużytej energji. Uwodzenie do samobójstwa. Gdzie tkwi siła wybuchowa. Nowa oszczędność koleji Nadwiślańskiej. Tamże nr. 11.

XII. Pociecha postna. Brak wysokiego c i s. Szał śpiewaczy. Druga wyprawa polska do Afryki p. Ulanowskiego. Maskarada na cele czysto naukowe. Naiwne wyznanie. Kasa Mianowskiego, otwierająca nam drzwi składów starzyzny naukowej. Upór na upór. Hippokrates w szacie polskiej. Sezon p. Ochorowicza. Suchoty kieszeni. Pracownia dra Bujwida. Tamże nr. 12.

XIII. Mowa nadgrobna i wspomnienie studenckie o dziesiątce. Czem się żyło. Gra hazardowna między trzema dziesiątkowiczami. Marzenia. Pocieszycielka utrapionych. Dom dla sierot po robotnikach. Ofiary lat ostatnich. Wylew Wisły. Prawidłowość jej zniszczeń. Stała rubryka w naszym budżecie. Wiadomość przywieziona przez p. Blocha i opozycja lekarzów. A. i B. Jak można wytańczyć dla biednych więcej pieniędzy. Tamże nr. 13.

XIV. Szturm do mnie. Nagłe przedzierginięcie się »Kraju«. Dwa przypuszczenia. Niesumienność lub śmieszność. Bajka o stadzie baranów i baranie wywiadowcy. Wielostronny drogowskaz. Mikroskopowy Deak. Szarady. Nabuchodonozor. Jubileusz Blizińskiego. Doświadczenia p. Ochorowicza. Ograniczenia doświadczeń hypnotycznych. Koncert Mierzwińskiego. Odzyskany klejnot. Teoretyczne pytanie. Tamże nr. 14.

XV. Pieszczochy i kopciuszki dobroczynności. Schronienie dla paralityków nieuleczalnych. Ostatni krąg niedoli. Krótka historja zakładu. Dla kwesty wielkanocnej. Ubóstwo naszych szpitali. Dwa noże na sali. »Łgorze« kurjerowi. Przędza zmyśleń. Szóste mocarstwo u nas i gdzieindziej. »Times« i »Kurjer«. Rozgrzeszenie przedwielkanocne. Tamże nr. 15.

XVI. Kilka tysięcy zbrojnych przeciw kilkuset tysiącom niezbrojnym. Konfederacja anti-kanalizacyjna. Śmioch p. Lindleya. Obojętność prasy. Katedra publiczna jako kazalnica reklamy. Szaweł aleopatyczny Pawłem homeopatycznym. Bulanżyzm terapji. Dopuszczenie kobiet do aptekarstwa. Konieczny przymiot. Tajemniczy doktór w siermiędze. Wytwór imaginacji reporterskiej, czy rzeczywistość. Tamże nr. 16.

XVII. Kobiety, ginące w mężczyznach. O Niezapominajce i Szuwarze. Pani Śnieżko-Zapolska o emancypacji kobiet. O złotowłosej Ewie. Macierzyństwo i aktorstwo. Strachy chirurgiczne. Odpowiedź przyjaciółki. Echo czasów odległych. Wyjaśnienie w sprawie kanalizacji. Zupełna i... warszawska. Zmarnowane środki. Tamże nr. 17.

XVIII. Pismo dla młodzieży. Czy potrzebne. Żywioł zróżniczkowany. Nie stronnictwo a stronnictwo. Sprawozdanie Kasy Mianowskiego. Zbytki dobroczynne. Dochód z pożaru. Inicjatywa. Tanie książki. Farsa z Raulkiem. Kto winien. Piłaci, umywający ręce. Dalszy ciąg oszczędności koleji Nadwiślańskiej. Wybieg skąpca. Tamże nr. 18.

XIX. Powitanie słońca. Modły bałwochwalcze. Pocieszonio dla więźniów. Gotowość do zamiany przyjemności Warszawy na nudy wiejskie. Wpływ natury. Nieprzejednani. Życzenie karonów. Klasyfikacja sprzedających ziemię komisji kolonizacyjnej. Wzór oszczędności. Marzenia ministra węgiorskiego. Nasze żywe zabytki kolejowe. Wyższy humor drogi Terespolskiej. Po gospodarsku. Curiosum. Tamże nr. 19.

XX. Lysen ante portas. Nasza gotowość do wypraw na cudzoziemców. Cała inteligiencja i pięć pcheł. Pieśń Tyrtcusza. Los jako główny winowajca. Szczere wyznania »opryszków międzynarodowych«. Jazonowie belgijscy w naszej Kolchidzie. Kapitał wymagający i skromny. Jak dalece podoba się nam teraz chłop. Wnioski społeczno-cywilizacyjne. Album przemysłowców warszawskich, czyli kosztowna a bezcelowa komedja. Wyrok w sprawie Karmińskiego. Tamże nr. 20.

XXI. Znowu proces z nieboszczykiem. Zapis generała O. Augustynowicza i chęć pogwałcenia jego woli. Skutek prośby wuja z grobu. Szczególna odwaga i szczególne pobłażanie. Zwodny ognik nadziei na bagnie Muzeum pszczelniczego. Sprawozdanie komisji ratunkowej. Jedyna droga wyjścia z błędnego koła. Projekt dra Fritschego opodatkowania loterji na korzyść szpitali. Potrzeba zajrzenia w ich biedne wnętrze. Tamże nr. 21.

XXII. Prawa natury. Wycieczka na wieś. Uroki przyrody. Co mówią trawy i drzewa. Ich napomnienia. Twory, które nie kłamią. W wagonie. Majówka z niespodziankami. Paplanina warszawiaka. Najazd belgów i ich zwycięska bitwa. Coby rzec mogli i co sobie powiedzieć trzeba. Westchnienie do starego Kronenberga. Nasi Rotschildowie. Tamże nr. 22.

XXIII. Skargi na słońce. Wynagrodzenie za przeszłe lato. Bezskuteczność duplikacji. Plotki o szachu. Reporterskie 30 miljonów. Wianki akcjonarjuszów 15 czerwca. Dodatni owoc. Niepotrzebne strapienie i zaraza strachu. Być może. Dziwny rozkład naszej uwagi. »Wisła«. Zmarły Piotr Jaksa-Bykowski jako pisarz. Prawdziwy obywatel. Tamże nr. 23.

XXIV. Letnie lenistwo panów, o którem nie mają wyobrażenia ich słudzy. Rozsądne zdziwienie szacha w rozmowie z reporterem. Poszukiwanie nowej używki. Kapłan przed sądem. Ksiądz ojcem. Towarzystwo osad rolnych a totalizator. Ile dziennie stracić możemy. Kartka z dziejów lichwy i jej drożdże. Wystawa obrazów i szkiców Kostrzewskiego. Ważny rys jego talentu. Tamże nr. 24.

XXV. Warszawa — owcą. Jarmark wełniany. Dlaczego w pierwszym dniu nie było obrotów. Zależności naszego przemysłu i handlu od szabasu. Drugie zebranie akcjonarjuszów koleji Warszawsko-Wiedeńskiej. Przypadkowe zwycięstwo. Zdziwienie logicznego kapitalisty. Walka z własnem dziełem. Ciemno punkty. Lichwiarskie upodobania wielkiego kapitału. Perpetuum mobile w Zwierzyńcu. Sławne kupowania Bagateli. Nadzieje w belgach. Tamże nr. 25.

XXVI. Na wystawę paryską. Poty pieniężne. Sympatyczna ambicja. Porównywanie karasków z wielorybami. Proces berliński i kradzież listów. Jedyny środek leczniczy. Zaczepianie kobiet i pobłażliwość zwyczaju. Złoty medal za zegarek. Nadzieje na przyszłość. Miasto i wieś. Bezpłatny korepetytor. Prośba o informacje. Tamże nr. 26.

XXVII. Moralna powaga »Przeglądu katolickiego« w jego parafji dziennikarskiej. Czego on wymaga od swych owieczek. Ich skoki w bok od prostej drogi. Kazanie z powodu wspomnień o Jordanie Brunie. Rozmowa z rozsądkiem. Wymagająca dusza. Zmartwychwstanie p. Halperta i nagłe ukazanie się p. Piltza. Powrót do pierwszej miłości. Uwagi »Ateneum« o zatargu na koleji Warszawsko-Wiedeńskiej. Kulawe porównanie. Zapowiedź wesela. Tamże nr. 27.

XXVIII. Ujobowe wieści o nieurodzaju. Modły ziemian lubelskich do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Czy nie daremne? Do kogo chłopi się zwrócą. Ich instytucja ratunkowa. Zbawienie w kartoflu. Wyprawa rzezimieszków warszawskich na wystawę paryską. Ajzyk Sygnet, oglądający wieżę nie Eiffla. Odznaczenie Chełmońskiego i jego zatarg z Towarzystwem sztuk pięknych. Sprzeczka, czy nieznajomość rzeczy. Nowy sen p. Jasińskiego. Ojciec przeciw synowi. Tamże nr. 28.

XXIX. Przestroga dla przyszłych wydawców pism poczytnych. Rozkoszowanie się nędzy widokiem najbogatszych. Towarzystwo łowieckie. Hr. Stadnicki. Stałość koleji Nadwiślańskiej. Małżeństwo morganatyczne na W. Wiedeńskiej. Bazary uczoności i zniżone koszta cytat. Czego dostać można. Drogie korzystanie ze sposobności. Psalm rozpaczy. Konsyljum nad głodną większą własnością ziemską. Tamże nr. 29.

XXX. Dom dla szkoły rzemiosł. Dr. Jełowiecki. Lekarz chłopski. Praktyczne rozwiązanie splątanego węzła. Pokątni doradcy medycyny. Potrzeba ograniczeń prawnych. Głos znawcy. Rabin, który za długo czytał. Rozszerzony przywilej do Ameryki. Pękające lokomotywy na koleji Nadwiślańskiej. Cztery ofiary oszczędności. Roczny obrachunek Spółki owocarskiej. Dojrzałość jej uczestników. Teorja szlacheckiej ofiarności. Zagadka ekonomiczna. Tamże nr. 30.

XXXI. Wylew skarg niemieckich przez upusty prasy. Wieloletnie bankructwo pod płaszczem jednorocznej klęski. Krótka recepta skutecznego lekarstwa. Przyszła taniość Listów zastawnych. Robota wielkiego kapitału w cukrze. Bank międzynarodowy. Wzrost panowania grubych ryb. Głos z trzech grobów. Robotnik zabity niedbalstwem. Cień prawa fabrycznego. Fundacja małżonków Wernerów. Spór demokratyczno-arystokratyczny między lekarzami. Wielcy i mali. Pomyłka p. Przyniczyńskiego. Prośba o urlop. Tamże nr. 31.

XXXII. Kilka tygodni nurkowania. Jak daleko przez ten czas posunęła się Europa. Kult trójcy: Eiffla, Boulangera i Bismarka. Brak przerwy. Nowiny z domu. Teatr ze stodoły. 100 wagonów owoców. Przebranie się »Kurjera«. Zabity konduktor. Złudne blaski zagranicy. Kilka porównań. List p. Gnoińskiego. Argument dla dalszej obrony. Tamże nr. 37.

XXXIII. Nowa odpowiedź na pytanie co do racji bytu arystokracji. Wspaniałomyślna ofiara ks. Lubomirskiego. Co

panowie zrobili z Galicji. Swobodne w niej oddechy. Potrzeba sprawdzenia złudzeń. Nagrody paryskie dla wystawców warszawskich. Nagroda warszawska dla p. Bogusławskiego. Mielenie się p. Kosiakiewicza. Solidarność milczenia. Proces p. Makowskiej. Szczególna tolerancja. Ciekawe pytanie. Tamże nr. 38.

XXXIV. Lekarze chłopscy. Za dobrym przykładem. Wywody dra Tchórznickiego. Ambulatorjum wiejskie. Straty i korzyści. Trupiarnia publiczna. Potrzeba ograniczeń. Gapiostwo. Licytacja relikwji po zbrodniarzach. Nagrody z zapisu Jakóba Natansona. Upadek czytelnictwa. Postęp malejący. Nowy tygodnik. Ilustracje kolorowane. 1000 majątków ziemskich wystawionych na sprzedaż. Tamże nr. 39.

XXXV. Syndykat węglowy. Skojarzenie dwu skrajnych prądów. Krótki wykład życzliwości ojcowskiej i jej dobrodziejstw. Usunięcie anarchji z rynku. Nasi zwycięzcy na wystawie paryskiej. Pod osłoną medalów. Stały sąd przemysłowy. Ocena prób i ocena działalności ciągłej. Wyłuskiwanie p. Piltza z »Kurjera codziennego«. Potrzeba rozwodu. Lekcja etyki dziennikarskiej p. Kosiakiewicza. Maciek i sfery inteligencji. Kropkowanie w dziennikach i historji. Wyjaśnienie p. Gomulickiego. Tamże nr. 40.

XXXVI. Nasza kolonja i jej szkody. Mucha, szukająca ran. Stosunki Galicji wymierzone szczęśliwym powrotem przyjaciół kronikarza »Niwy«. Jakim sposobem można dowieść, że niema ludożerstwa tam, gdzie ono jest. Przykłady tolerancji przekonań w Austrji. Skargi na ból pod sercem a znajomość rzeczy. Brak krytyki w prasie naszej. Rabunek anegdot. Historja małżeństwa Edisona w dwu postaciach. Kulczycki papista i Kulczycki królewszczyk. Tamże nr. 41.

XXXVII. Siedem encyklopedji na rok przyszły. Lekceważona potęga. Dowcip i humor. Encyklopedja humoru. Dwa śmiałe grona, kuszące się o wydanie Encyklopedji powszechnej. Podstawa i siły do takiego przedsięwzięcia. Co je poprzedzić winno. Siódma najskromniejsza. Obchód trzydziestolecia w »Tygodniku ilustrowanym«. Nowa data jubileuszu. Biesiada odpustowa. Sprostowanie w sprawie hr. D. przeciw pannie M. Co sprostowano? Kilka pytań potrzebnych do naśladowania dobrego przykładu. Tamże nr. 42.

XXXVIII. Bezpłodny ale najwygodniejszy z izmów. »Kraj« jako izba sejmowa, a p. Piltz jako jej marszałek. Godność i przywileje. Sądy redakcji czytane wprost i wspak. Przekroczenie granic tolerancji. Curiosum o żydach. Prawdopodobna odpowiedź. Grunt neutralny. Prawo sklepu. Paderewski. Jego optymizm filozoficzny i charakterystyka przy pomocy nawiasów niemieckich. Zagadkowe pretensje kronikarza »Niwy«. Cenzura pism warszawskich w Galicji. Jubileusz Kucza. Tamże nr. 43.

XXXIX. Co mówią mistrze i apostołowie ludzkości. Kult tłumu. Wspomnienie o Rudolfie. Arcyksiążę Jan Salwator jako dziwak i ekscentryk. Zdziwienia prasy demokratycznej nad jego demokratyzmem. Największe dzieło ostatniego trzechlecia. Syndykat naftowy. Prus o ofierze Hirscha. Szczególny sposób równouprawniania. Wniosek praktyczny. Gorliwość o szkoły rzemieślnicze u nas. Paulina Lucca. Przerwa w hamletomanji. Tamże nr. 44.

XL. Prawdopobieństwo losu naszych stowarzyszeń. Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu. Przerażeni jego członkowie. Wyrok śmierci wydany przez »Gazetę losowań«. Ludzie nieszczęśliwi. Ostemplowany paszkwil. Dopóki? Wybór pism Heinego. Dowód znakomitości dzieła. Nowe pojmowanie Hamleta. Tamże nr. 45.

XLI. Paweł Dembowski. Uzasadnione prawo zasługi do szacunku publicznego. Wspomnienia. Rodzina nauczyciela. Prośba pracowników sklepowych do władz o obronę przeciw wyzyskowi ich pracy. Skamieniałość i zakamieniałość. Objaśnienia w sprawie fundacji Hirscha. Potrzeba zmniejszenia rozmiarów djabła o czwartą część. Tumany umysłowe. Nieświadoma praca myśli społecznej. Bluźnierstwo przeciw Sienkiewiczowi. Tamże nr. 46.

XLII. Śpiewak miłości i »abbé«. Verdi. Jego odraza do wrzawy. Uczczenie go w Warszawie. Wypłata długów wdzięcznością. Zabiegi Resursy Obywatelskiej dla ożywienia zabaw. Ich powód. Temat do rozmyślań. Bilard żydowski. Książka p. Junoszy. Dwie matki szkodników. Zarys planu reformy. Śmiałe rozcięcie węzła. Plon według desideratów. Kolumbowe jajko. Objaśnienie. Tamże nr. 47.

XLIII. Działalność pisarska Kraszewskiego po śmierci. Wzrastająca zagadka jego płodności. Szczere wyznania. Szlachta zagraniczna i nasza. Czem jest dziś szlachta polska. Jej demokratyzm. Chińczycy do Prus przyjadą. Bajka o zbiorze okazów pszenicy. Druga o Bazarze rzemieślniczym. Wymowny głos. Czyż nic nie będzie? Medal dla Estreichera. Nadzieja przedruku Bibljografji. Tamże nr. 48.

XLIV. Śmierć Żółkowskiego. Co po sobie zostawiają aktorzy i co on zostawił. Skutki tegorocznego nieurodzaju. »Hodowca« na kazalnicy. Zły adres nagany. Drobne sprostowanie. Doświadczenia hypnotyczne na widowiskach publicznych. Tamże nr. 49.

XLV. Wystawa zimy. Ubóstwo w jej fałdach. Ludzie, których ona uszczęśliwia. Motyle zimy. »Łodzianin« i kilka cyfr z niego. Polski Manchester. W jakim kierunku należałoby zreformować kalendarze. Prospekty. Kochańska, śpiewająca nam bez rabatu. Z Cześnika Czesław Jankowski. O przekładach Heinego. Tamże nr. 50.

XLVI. Przed laty dziesięciu. Publiczne konkury p. L. Dąbrowskiego z Temnikowa i zgroza pism na »bezczeszczenie małżeństwa«. Po latach dziesięciu. Miłosny świergot i tokowiska romansowe. Czy potrzebujemy zaślubiać się przez ogłoszenia. Położenie kobiet. Doświadczenia hypnotyczne p. Czyńskiego i potępiający je dowód. Szczególne upodobania. Odezwa p. Saładyckiego i prosta rada. Przegląd pracowni malarskich. Jeszcze prośba o zwłokę. Tamże nr. 51.

XLVII. Łatwa sztuka. Przekłady rymowane. Zadanie i obowiązek tłumaczów. »Nowa wiosna« w szacie p. Jankowskiego. Mała zasługa a wielka odwaga. Jak się ustrzedz przedsięwzięć chybionych. Tajemnica »Ziarna«. Jego ubóstwo i niezależność. Pożegnanie z czytelnikami. Tamże nr. 52.

Farsa w tragiedji (b. p.). Tamże nr. 2.
Odrobina bułgarska (b. p.). Tamże nr. 3.
Nowi odszczepieńcy (b. p.). Tamże nr. 4.
Zwycięstwo Boulangera (b. p.). Tamże nr. 5.
Arcyksiążę Rudolf (b. p.). Tamże nr. 5.
Znaki zapytania (b. p.). Tamże nr. 6.
Rozruchy rzymskie (b. p.). Tamże nr. 7.
W trzech punktach (b. p.). Tamże nr. 8.
Nieprzyjemny proces (b. p.). Tamże nr. 9.
W potrzasku (b. p.). Tamże nr. 10.
Abdykacja Milana (b. p.). Tamże nr. 11.
Wehrlos-ehrlos (b. p.). Tamże nr. 12.
Kwaśne miny (b. p.). Tamże nr. 13.
Tryumfy Parnella (b. p.). Tamże nr. 13.
»Honest John« (b. p.). Tamże nr. 14.
Co się u nas wyrabia w krytyce (podp. H. A.). Tamże nr. 14.
Po ucieczce (b. p.). Tamże nr. 15.
Dla wiadomości (b. p.). Tamże nr. 16.
Bulanżyzm na wygnaniu (b. p.). Tamże nr. 17.
Memento (b. p.). Tamże nr. 18.
Dwa święta (b. p.). Tamże nr. 19.
Szlachetna naiwność (b. p.). Tamże nr. 20.
Znana strzałka (b. p.). Tamże nr. 21.
Nowe przymierze (b. p.). Tamże nr. 22.
Wypadki belgradzkie (b. p.). Tamże nr. 23.
Cień męczennika (b. p.). Tamże nr. 24.
Affirmacja i negacja (b. p.). Tamże nr. 25.
Szwajcarja i Niemcy (b. p.). Tamże nr. 26.
Kosowe pole (b. p.). Tamże nr. 27.
Ruch słowiański (b. p.). Tamże nr. 28.
Tryumf Boulangera (b. p.). Tamże nr. 29.
Potok błota (b. p.). Tamże nr. 30.
Mniemana porażka (b. p.). Tamże nr. 31.
Lew kamienny (podp. W. Okoński). Tamże nr. 37.
Królestwo czeskie (b. p.). Tamże nr. 38.
Dalszy ciąg zamętu (b. p.). Tamże nr. 39.
»Tutti buffoni« (b. p.). Tamże nr. 40.
Odszczepieństwo najwierniejszych (b. p.). Tamże nr. 41.
Rozrywka czy polityka (b. p.). Tamże nr. 42.
Przejrzysta gra (b. p.). Tamże nr. 43.
Beczka Danaid (b. p.). Tamże nr. 44.
Tytus Chałubiński umarł (b. p.). Tamże nr. 45.
Listy miłosne stańczyków (b. p.). Tamże nr. 45.
Po wystawie (b. p.). Tamże nr. 46.
Tytus Chałubiński (podp. A. Ś.) Tamże nr. 46, 47.
Nowa rzeczpospolita (b. p.). Tamże nr. 47.
Zdobywanie Afryki (b. p.). Tamże nr. 48.
Alojzy Żółkowski (1814—1889) (podp. H.) Tamże nr. 48.
Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 49.
Nowohusytyzm (b. p.). Tamże nr. 49.
Według Barnuma (podp. H.). Tamże nr. 49.
Kusiciele (b. p.). Tamże nr. 50.

Proch bezdymny (b. p.). Tamże nr. 51.

Wesele Satyra (podp. W. Okoński). Tamże nr. 51, 52.

Ostatnia karta dziejów (rok 1889) (b. p.). Tamże nr. 52.

Hymn niemych. — »Jak pisać po polsku czyli stylistyka języka polskiego«, napisał Władysław Korotyński. Warszawa. Druk A. Pajewskiego, 1889. — 213 i II stron — strony 118—125 wł.

Klemens Boruta przez W. Okońskiego. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Kolińskiego, Marszałkowska nr. 122 (blisko rogu ulicy Zgoda) (b. r.) 39 stron.

1890.

Patentowanie obywateli (b. p.). »Prawda« nr. 1.

Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50 51, 52.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Fabryki kłamstwa. Warszawa nie bawiła się. Kto zabronił. Tylko 50.000. Niewdzięczni. Algiebra dobroczynna i dawne jej równania. Pragnienie nowych pomysłów. Świat drugi a rzeczywisty. My w oprzędzie nici angielskich. Zaloty noworoczne. Dwa najprzykrzejsze do pisania i czytania artykuły. Tegoroczne hasło walki dziennikarsko-wyborczej. Tamże nr. 1.

II. Głupota francuska. Przysłowie biedaka i bogacza. Najwierniejsze papugi. Dramat p. Rzewuskiego. Sąd krytyki rozsądnej. Nasze rozprawy o nowej »kwestji«. Poszukiwanie ideału sposobem najsilniejszego w stadzie goryla. Teatr jako upust kwestji. Wpływ Żółkowskiego. Śmierć Spółki owocarskiej. Nowe oszczędności na koleji Nadwiślańskiej. Kosztowny a niepotrzebny jej przyrząd. Protest »białych« przeciw anitisemityzmowi. Koncert Z. Noskowskiego. Tamże nr. 2.

III. Epoka samobójców. Psychologja samobójstwa. Pośmiertny rachunek ze społeczeństwem. Odmienne sądy. Konkurs z zapisu Chojnackiego. Reforma gimnazjów klasycznych. Momsen o wykształceniu młodzieży. Wpływ języków obcych. Zbawienie filologiczne. Wzór do naśladowania. Tamże nr. 3.

IV. Pora rozdrażnienia nerwowego. Dwa koguty. Odprawa »Kurjera warszawskiego« w sprawie zamieszczania ogłoszeń sromnych. Struggleforliferyzm. Prus w roli socjologa. Czego chce a czego nie lubi. Obrady nad teatrem. Moje trzy grosze w imieniu wielu. Dyplomy dziękczynne za przyjęcie udziału w wystawie. Jubileusz Chochlika. Tamże nr. 4.

V. Karnawał krótki a węzłowaty. Argument Jabłonny czyli taniec urzędników koleji Nadwiślańskiej. Ostatnie akordy rozdźwięku dwu »Kurjerów«. »Gazeta rolnicza«, która przezwyciężyła się do walki i »Ilodowca«, który dotknął ją w rękawiczkach. Dramat w konkursie rzeźbiarskim. Rozbicie posągu. Dwaj sprzeczni świadkowie. Czy społeczeństwo nasze potrzebuje artystów? Uwagi Witkiewicza. Ofiara zemsty felczerów. H. Zeitung i dr. Kamiński. Tamże nr. 5.

VI. Wieści z kraju Ugolinów. Powolny ruch »akcji ratunkowej« i niecierpliwość objawiona z komisji teatralnej. Jaki obrót rzeczy bywa pomyślnym dla pewnego kraju. Galicja do sprzedania. Warsztaty Staszica i wdzięczność biedaków. Zbiorowa prośba maszynistów koleji Warszawsko-Wiedeńskiej. Mierzwiński. Koncert na dochód artystów. Z. Noskowski. Choroba ludzi pracujących. Dopełnienie wiadomości o Kamińskim. Tamże nr. 6.

VII. Naganka karnawałowa w »Kurjerach«. Podsycanie próżności i zbytku. Królowe balów, okazało »przody« i artystyczno-literackie »karneciki«. List nieszczęśliwego sprzedawcy biletów. Zabawa na kredyt. Dwie strony medalu. »Wielka encyklopedja powszechna ilustrowana«. Śmiałe przedsięwzięcie. Słownik nazw zoologiczno-botanicznych przed sądem p. Rostafińskiego. Zniecierpliwiony chłop, który daromnie przemawiał do obrazu. Cmentarz Akademji krakowskiej. Epoka prac jednostkowych. Źródło siły. Tamże nr. 7.

VIII. Po karnawale. Echa ze stron dalekich. Gdyby nie kościół. Niemcy a my. Pamiętna uwaga. Zgorszony turek. Odczyty na osady rolne. Prelegenci z dostateczną rękojmią. Kto posiada magnos. Mierzwiński na katedrze. Pomysł nowej zabawy dla strojów. Widzenia inżyniera wodociągów. Wyjaśnienie w sprawie maszynistów na koleji W. Wiedeńskiej. Czyśmy próżniacy. Dwie śruby i dwa ich przeciwległe ruchy. Tamże nr. 8.

IX. Jak dzieci. Zbrodnia, otwierająca nam wnętrze społeczeństwa. Niesłuchany Okolski a wysłuchana Skublińska. Sądy statystyków o domach podrzutków. Najpowniejszy sposób usunięcia dzieci nieprawych. Rada dla tych co chcą i mogą. Rozczarowanie i wróżba. Kolektory kanalizacji moralnej. Potomstwo króla porskiego. Szakale nawrócone do biszkoptów. Odrastający rak. Tamże nr. 9.

X. Tak zwana etyka lekarska, której ja zrozumieć nie mogę. Czy to ma być system obowiązków zawodu, czy kodeks grzeczności koleżeńskiej. Głos dra Krajewskiego. Kiedy owa etyka będzie etyką. Ogłaszanie się w hotelach wobec interesów ogółu. Mickiewicz Kurzawy zlepiony. Jakim sposobem moglibyśmy zapłonąć do polskiej rzeźby. Nowe porządki na koleji Nadwiślańskiej. Najpilniejsza sprawa. Pomnik dla Mickiewicza. Strzeż się wdopnąć w Kraków. Tamże nr. 10.

XI. Z rodzaju międzynarodówek niewinnych. »Związek powszechny kobiet« i »Bulletin« pani Szeligi. Bez stronnictwa i bez opinji wyłącznej. Koszyczek, w którym wszystko znaleźć się może. Wyrok zaoczny na mężczyzn. Na co nam brak a na co nie brak. »Ukraina« jako przyczyna sznmu Warszawy. Magnaci w roli właścicieli jatki. Potrzeba załatania despektu. Arystokraci po Adamie. Jeromjasz o prasie. Skąd płynie złe. Jeszcze etyka lekarska. Ciekawy dla niej wypadek. Tamże nr. 11.

XII. Po siedemnastu wiekach. »Rybak« Lucjana. Gdybyśmy powtórzyli połów jego wędką. Odczyty na dochód Osad rolnych na pochyłości. Chybione próby z Krakowem. Zbytnia wymagalność od słuchaczów. Burza w adwokaturze. Jej przebieg według opowieści dwu przeciwników. Sąd honorowy? Odstąpienie od normy. Protest przeciw wyrokowi. Potrzeba ustalenia dobrego zwyczaju. Tamże nr. 12.

XIII. Dwa p r i m a A p r i l i s. Radosna wieść. Wspomnienie. »Temat literacki« dla malarza. Fałszywy wstyd. Wykręty zamiast szczerości. Sprawozdanie Towarzystwa sztuk pięknych. Cyfry, mówiące przy pomocy p. Ryszkiewicza. Dzieci artystów »na garnuszku«. Niedole dzieci prawych. Prawo rodziców jako prawo nadużywanej własności. Kiedy ono ulegnie ograniczeniu. Leczenie ran ujawnionych w chorym organizmie. Protest w imieniu »Ukrainy«. Rozszerzone granice rozmyślań. Tamże nr. 13.

XIV. Większe miłosierdzie nieba, niż Towarzystwa kredytowego ziemskiego nad ziemianami. »Wiek«, obsiewający glebę rozgoryczenia. Radcy bezrolni i zgrzybiali. Skarżący się Dandinowie. Nowe konsyljum nad Zwierzyńcem. Wątpliwa jego przyszłość. Duch Chałubińskiego w okryciu z ciepłych słów. Trzeźwe umysły, rodukujące przesadę uwielbień dla niego. K. Przeździecki do L. Górskiego w sprawie pomnika dla Mickiewicza. Prymka »Niwy«. Co kto lubi i woli. Tamże nr. 14.

XV. Święto wiosny. Co my mieszczanie widzimy z jej uroków. Choroba miasta i zdrowie wsi. Redakcje na wsiach. Opłaty strefowe w Węgrzech i u nas. Gorsząca obojętność. Koń i lokomotywa. Wint i cześć dla waleta treflowego. Bezskuteczna a potrzebna skarga. Panteon »Gazety rolniczej«. Dwa w nim posągi. Pochlebstwo mimowolną satyrą. Za co Bóg i my mamy wynagrodzić p. L. Górskiego. Zagadkowe określenie konserwatyzmu względnego i bezwzględnego. Tamże nr. 15.

XVI. Jazon, powracający z Kolchidy. Odkrycia prof. Brücknera w bibljotece petersburskiej. Druga część B a d a ń h i s t o r j o z o f i c z n y c h p. Chrzanowskiego. Brak im do wartości 5 wieków. Nienajgorszy sposób tracenia pieniędzy. Odczyt p. Suligowskiego o kanalizacji. Dwie trumny i jedna kolebka w prasie. Przedwczesna mogiła. Zabawy dobroczynne. Odczyt z fotografowaniem słuchaczów darmo. Niedawne wspomnienie i szczerość względem siebie. Tamże nr. 16.

XVII. Przyszłość »Słownika geograficznego«. Jak zwykle. »Wielka encyklopedja ilustrowana«. Gościnne występy aktorów. Świece teatralne. Tamże nr. 17.

XVIII. Dwu gentlemanów na jednej szkapie. Chór uwielbienia około Reisenanera. Lekcja skromności udzielona pannie Abendroth. Zbawienny wpływ nagan, czyli pedagogika furmańska. »Żywy posąg« i wystawowe okno teatru. Jazda dumnej Melpomeny na dół. Balansowanie się z cyrkiem. Kapitaliści zagraniczni, pragnący nam urządzić bulwary. Djabli biorą cielę. Rozpacz reklamą. Dzieło p. Kurzawy odlewane w srebrze i pomnik bezwiednego humoru. Tamże nr. 18.

XIX. P. K. Waliszewski jako prorok. Nowe słowo i nowy występek. Jeden z wielu. Obniżony poziom moralny i podkopany kredyt materjalny ziemiaństwa. Na czem ono się oprze w przyszłości. Niema różnicy. Czego dowodzi prośba uczciwych. Potrzeba wskrzeszenia zamarłej cnoty. Pokłony przed dr. Carverem. Nagła zmiana. Oby trwała. Epoka panowania reporterów. Tamże nr. 19.

XX. Dalszy ciąg nieskończonego baletu. Sprawozdanie Towarzystwa subjektów handlowych i przemysłowych. Wymowa cyfr. Najruchliwszy dział tej instytucji. Opodatkowanie się jej głów na rzecz mózgu. Gdzie był pół-członek a gdzie cały. Odezwa w imieniu kolonistów letnich. Na łonie matki. Wdzięczność i ofiara. Głupstwo rozum zjadło. Życzliwość reżyserji. Śmiertelność w prasie. Przepowiednia. Tamże nr. 20.

XXI. Hasło dnia. Kłopot z muzami, pozbawionemi siedziby. Moje trzy grosze w tej sprawie. Chór włościan bierzanowskich. Pod adresem Lutni. Przeproszenie za omyłkę popełnioną względem kolei Terespolskiej. Niebezpieczeństwo, grożące jej ze strony archeologów. Wypadek w Tczewie. Drogi żelazne niemieckie. Co kosztuje jeden wystrzał. 36 utopionych dziewczyn. Rzetelna banialuka. Lekceważenie i bałwochwalstwo. Sposób sprawdzenia wartości pocisków. Tamże nr. 21.

XXII. Deszcz w dwu oświetleniach. Milcząca walka. Słońce, wyniszczające grunt nowin. Ostrożnie z ludzkiem sercem. Wycieczka epokowa. Ciekawe cyfry. Ile płacimy rocznie zagranicy u wód. Bogaty naród. Czem był »Tygodnik powszechny«. Żyć mógł a umarł rozgoryczony. Ofiara oszczędności. Spadek po »Kłosach«. Odezwanie się czci dla Chałubińskiego. Bodajby nie przebrzmiało pustym dźwiękiem. Tamże nr. 22.

XXIII. Coraz przyjemniej. Zabawy letnie. Konsystorz Akademji krakowskiej. Ustępstwa dla opinji. Jak powstają przesądy społeczne. Respekt dla »lepszych«. Jedno echo odezwy w »Wiśle«. Kompetentna ocena naszej statystyki. Zbierajmy cyfry. Skutki zwrotu ku pracy produkcyjnej. Nadmiar sił. Samowola i dziwne zasady w Zawierciu. Poniewieranie losem ludzi pracujących. Spełniona wróżba. Zasługi p. Gnoińskiego. Tamże nr. 23.

XXIV. Bestje odkryte w ludziach przez Nordaua. Walka byków w Paryżu. Wyścigi angielskie. Uroczysty wjazd czworonożnego bohatera. Jednogarniturowi, naśladujący wielogarniturowych. Ludzie, którzy noszą wesołość i zabawę w sobie. Po co do nas przyjechał anglik. Najnowsza etyka Prusa. Walka o byt i cele życia. Wymiana usług między p. Piltzem a p. Szymańskim. Do Friedrichsruh. Tamże nr. 24.

XXV. Ironja natury w cząstkowem zaćmieniu słońca. Atlanci europejscy. Pożegnanie Teatru Wielkiego. Kaplica

i nawa świątyni. Wymagalność »Przeglądu katolickiego«. Kto mu nie dogodził. Przestroga dla motylków. Wypadek na Wiśle. Ofiary mniemanej »dzielności«. Potrzeba zaostrzenia regulaminu. Narada i dziwna uchwała chmielarzów. Kolonje letnie. Obowiązek społeczny. Tamże nr. 25.

XXVI. Surowość dla nieprzyjaciół a pobłażliwość dla siebie. Historja »człowieka nieszczęśliwego«. Baron Gräve wobec niebezpieczeństw Poznańskiego ratujący Galicję. Dziwna logika obowiązków obywatelskich i domki z kart. »Sprawozdanie« Kasy Mianowskiego. Nasz czteroletni plon naukowy. Straszny nieurodzaj. Brak zamiłowania do pracy. Towarzystwo jedwabnicze. Stańczycy wobec Mickiewicza. Daremne obawy. Tamże nr. 26.

XXVII. Reforma gimnazjów klasycznych. Prawdziwe jej rysy i różnice w odniesieniu do szkół naszych. Jubileusz przewodnika młodzieży. Zgon »Kłosów«. Pożegnanie pp. Lewentala i Pługa. Straty materjalne i krzywdy moralne. Przyczyny ataków. Przecenianie własnych zasług. Kurczenie się naszej prasy. Rada. Wskrzeszona postać wielkiego poety. Przybliżony rachunek jego wpływu. Tamże nr. 27.

XXVIII. Usprawiedliwienie. Podatek na korzyść podrzutków. Obowiązek powszechny. Najlepsze zło. Medaliki dla zgubionych dzieci i projekt stacji ratunkowej w ogrodzie Saskim. Emigracja ludu naszego do Brazylji. Oprawcy zagraniczni. Potrzeba zatamowania tego ruchu. W porę! Tamże nr. 35.

XXIX. Niedoskonałość kodeksów i dopełnianie ich. Lynch law w Ameryce i u nas. Zemsta trapionego ludu. Pożar Biały. Pastwienie się nad koniokradem. Wybuch dzikiej rozpaczy. Etyka a psychologja. P. Bogusławski o przesileniu teatralnem. Trzy pragnienia i jedno wspomnienie. Jak teatr traktuje dramaturgów miejscowych. Powracający uczniowie. Podwyżka kosztów edukacji prywatnej. Za wysoka jednostka pieniężna. Tamże nr. 36.

XXX. Powodzie w Europie. Walka pod teatrem. Odsiecz p. K. Zalewskiego. Źle wybrana pora. Używki sceniczne. Czy nam potrzebne. Ludzie i zwierzęta. Pożyteczna instytucja. Pracownia higjeniczna miejska. Krytyka przemysłu i handlu. Ścisła rewizja i wolny wstęp. Popisy cyklistów i wioślarzów. Gdzie nas nikt nie zdystansuje. Tamże nr. 37.

XXXI. Dwa listy. Odezwa p. G. Wierciefiskiego w sprawie niedoli ziemian. Bezwładność wybranej instancji i żądanego wiecu. Rozszerzenie się zależności stosunków. Badanie współzawodnictwa furmanów z kolejami żelaznemi. Naturalny objaw. Nowy cud świata czyli »Samson« parowy. Ostrożność nie zawadzi. Pięćdziesięciolecie szkoły weterynaryjnej. Usychanie ważnej gałęzi wiedzy. Gaszony ogień. P. J. Ochorowicz odcięty od praktyki lekarskiej. Szkoda zdolności. Szkice St. Witkiewicza. Materjał naukowy w obrazach artystycznych. Tamże nr. 38.

XXXII. Lekarze na prowincji. Trudne warunki działania. Liga felczerska w Szreńsku i walka z nią. Za wczesno rozczarowanie. Dlaczego rolnicy nie prenumerują swoich pism. Węgry i Szampanja, teorja i praktyka. Żądanie rutynowanych fachowców. Ostatnie chwile Zwierzyńca. Co mogli. Przewodnik dla drukarzów. Książka jako skarbonka kwestarska. Nasze obowiązki. Tamże nr. 39.

XXXIII. Zmiana w tłumaczeniu artykułu o dyfamacji. Wygodne skrzydło, z którego nie korzystają ludzie dbali o swój honor. Zajście w Chorzenicach. Z jakiego gruntu wyrosło. Komentarz do trenów większej własności ziemskiej. Emigracja żydów i potrzeba ujęcia jej w program. Samobójstwa młodych ludzi. Smutne skutki szlachetnej przyczyny. Dziecko jako zepsuty bożek. Tamże nr. 40.

XXXIV. Chochlik, wyrabiający psoty ze znakami pisarskimi w »Gazecie rolniczej«. Czy korzyść jednej klasy społecznej może być stratą drugiej. Układanie się cen na rynku. Chroniczny zatarg między Towarzystwem kredytowem a ziemianami. Niespodzianki. Dalszy ciąg walki o teatr. Francuzi nadwiślańscy. Metoda odmładzania, czyli co wolno lekarzowi, nie wolno nielekarzowi. Natrętne pytania. Pomór w Zwierzyńcu. Bolesny widok. Tamże nr. 41.

XXXV. Kłótnia o Zwierzyniec. Głos »Gazety Warszawskiej«. Niema kłopotu z ofiarnością. Narada fotografów nad pomnożeniem świąt dla swych pracowników. Dobrą wolę zastąpi mus. Przeciw egzaminom. Ich pożyteczność w zmienionej formie. Rozkoszny widok. Ubodzy wielbiciele królowej. Powołanie bogatych. Omyłka Ben Akiby. P. Głowacki i jego ziarno pieprzu. Tamże nr. 42.

XXXVI. Dramat emigracyjny. Widomy rezultat naszych wpływów i starań o dobro ludu. Ofiary ciemnoty i nieufności. Agent, przekonywujący wszystkich opiekunów chłopa. Wynik badań pracowni miejskiej nad wodami gazowemi. Najskuteczniejsza odtrutka. Tryumf naszych ogrodników na wystawie petersburskiej. Wskazanie dla pracy. Muzeum etnograficzne i bazar rzemieślniczy. Jakubowski, żebrzący o przytułek dla swych kości. Tamże nr. 43.

XXXVII. Kto i co u nas czyta. Pytanie, które wystarczy do skończenia świata. Czytamy to, co wydajemy. Siły naszego czasu. Brutalna siła i czynniki rozkładu. Wyszukiwanie dokumentów gienealogicznych człowieka-zwierzęcia. Brzask nowej doby. Zwrot ku utworom idealistycznym. Z ciemności na światło. Pragnienia nędzarzów. Tamże nr. 44.

XXXVIII. Spowiedź p. Górskiego. Europa w jego szkole. Pedagog idealista. Sprzedaż biletów na występ Skublińskiej. Ciekawość powszechna. Potworne obrazy życia. Narada lekarzów w sprawie wynajmu mamek. Korzyści ze szkody. Chwalebny przebieg sporu o wody gazowe. Więc trujemy się. Niespodziewano marzenie radców. Kieszeń i honor. Tamże nr. 45.

XXXIX. Tajemnica emigracji brazylijskiej. Kto i w jakim celu ponosi jej koszta. Niedostateczność dotychczasowych przypuszczeń. Dobrotliwa mina gazet niemieckich. Koniec widowiska. Zagadki duszy ludzkiej i nasze o jej objawach wyroki. Narada w przedmiocie oświetlenia elektrycznego. Według i wbrew tradycji. Dogasające iskry. Tamże nr. 46.

XL. Światło wielkiej gwiazdy. Naukowe odkrycie Kocha. Dziwna forma objawienia wiedzy. Niesprawiedli-

wiona tajemniczość i niepotrzebna spekulacja. Niepokój chorych i kłopot lekarzów. Teorja oszczędności wypróbowana na suchotniku. Ekonomja i filantropja. Stowarzyszenie fotografów. Tamże nr. 47.

XLII. Rzeczywiście potworna zbrodnia. Głębokie wrażenie. Artyści zbrodni. Domniemania. Nieostrożność i niedbalstwo. Tajemnica rzednieje. O czem wprzódy trzeba radzić. Reakcja w uwielbieniu dla Kocha. Ostateczna likwidacja Zwierzyńca. Kozioł ofiarny. Muzeum etnograficzne. Zgodny chór. »Gazeta polska«, dokonywająca suggiestji na Towarzystwie kredytowem ziemskiem. Jego sprawy domowe. Tamże nr. 48.

XLIII. Nieujęci zbrodniarze. Złe osobniki ośmielone ich powodzeniem. Potrzeba osłabienia ich wiary. Sztuczny spór Neneckiego z Kochem. Niewłaściwe trybunały. Protest Dunina. Głosy Baudouina de Courtenay i Karłowicza w sprawie pisowni. Na gwiazdkę. Kurszettel jałmużniczy. Kolumny dworku szlacheckiego. Noworoczna śmiertelność w prasie. Kto czyta. Tamże nr. 49.

XLIV. Ruch ku dołowi. Niedawne wspomnienia. Gra, w której Nencki jest atutem. Jego błagalne prośby. Nieładnie się bawimy. Hr. Tarnowski prezesem Akademji umiejętności. Instytucja galicyjsko-krakowska. Załoga teatralna w »Tygodniku ilustrowanym«. Pouczające zestawienie. Nowi nabywcy książek. Jedyna sfera. Zagraniczni kontrolerzy naszej biedy. Dobre serce Lucci i nasza dla niej wdzięczność. Obowiązek chłopów, którzy jej nie słyszeli. Tamże nr. 50.

XLV. Zdanie cesarza niemieckiego o pochodzeniu dziennikarzów. Ich uzdolnienia umysłowe i zarobki w Niemczech. Ditto u nas. Postęp w ciągu ćwierci wieku. Wytwór sztuczny. Uniwersytet katolicki we Freiburgu założony sumptem naszych panów. Tytuły dla pożądanych zięciów. Wystawa galerji p. Temlera. Obraz Siemiradzkiego. Wybory dla Towarzystwa kredytowego m. Warszawy. Kandydatura zaprotestowana. Wszystko jedno. Tamże nr. 51.

XLVI. Zawód »szóstego mocarstwa«, które wypowiedziało wojnę Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu. P. Choromański zwycięzcą. Obnażona zasada ratunku »swoich«. Piąta korona. Uchwała ziemian płockich na tle postanowień zebrania kruszwickiego. Nasi bohaterowie, którzy do Francji sprowadzają barszcz polski, a do kraju kwiaty francuskie. Życzenia noworoczne. Tamże nr. 52.

O prawdę (podp. P. P.). Tamże nr. 1.

Nałogowe utyskiwania (b. p.). Tamże nr. 2.

Dziwny pośpiech (b. p.). Tamże nr. 3.

Ważna drobina (b. p.). Tamże nr. 4.

Szczególny landrat (b. p.). Tamże nr. 5.

Literatura polska. Józef Kuczyński. Poezje. Warszawa (podp. H.). Tamże nr. 5.

Reforma szkół (b. p.). Tamże nr. 6.

Niebezpieczna iskra (b. p.). Tamże nr. 8.

Po wyborach (b. p.). Tamże nr. 9.

Zwiastuny wiosny (b. p.). Tamże nr. 10.

Zagadkowe położenie (b. p.). Tamże nr. 11.

Bismark (b. p.). Tamże nr. 12.

Na tle wspomnień (b. p.). Tamże nr. 13.

Żydzi na prowincji (list otwarty do redakcji »Wisły«). »Wisła«, miesięcznik gieograficzno-etnograficzny. (Warszawa). Rok 1890, tom IV-ty. Poszukiwania XV, strony 223—225 wł.

Promienie świtu (b. p.). »Prawda« nr. 14, 15.

Rozruchy wiedeńskie (b. p.). Tamże nr. 16.

Wielki słoń (b. p.). Tamże nr. 17.

Skutki karczunku (b. p.). Tamże nr. 18.

Święto majowe (b. p.). Tamże nr. 19.

»Dawny kurs« (b. p.). Tamże nr. 20.

Śruba bez końca (b. p.). Tamże nr. 21.

Zwierzenia (b. p.). Tamże nr. 22.

Stróże pokoju (b. p.). Tamże nr. 23.

Stwierdzenie pokoju (b. p.). Tamże nr. 24.

Przymierze niemiecko-francuskie (b. p.). Tamże nr. 25.

Podział Afryki (b. p.). Tamże nr. 26.

Na bezdrożu (b. p.). Tamże nr. 27, 28.

Fragment bez tytułu, zaczynający się od słów: »Historja cywilizacji jest także historją synów marnotrawnych«. »Na garnuszek«. Wydawnictwo zbiorowe pod redakcją »Kolców« na korzyść niemowląt pozbawionych rodziny. Warszawa 1890, 24 stron, strona 2.

Aleksander Głowacki (Bolesław Prus) (podp. A. S.). »Prawda« nr. 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39.

Manifestacja belgijska (b. p.). Tamże nr. 34.
Trzeci układ (b. p.). Tamże nr. 35.
Znowu mądrzy po szkodzie (b. p.). Tamże nr. 36.
Podwyżka ceł (b. p.). Tamże nr. 37.
Nasza emigracja do Brazylji (b. p.). Tamże nr. 38.
J. K. Gregorowicz (Wspomnienie pośmiertne) (b. p.). Tamże nr. 38.
Spowiedź publiczna (b. p.). Tamże nr. 39.
Dojrzewanie przełomu (b. p.). Tamże nr. 40.
Wojna Ameryki z Europą (b. p.). Tamże nr. 41.
»Wielka mowa« (b. p.). Tamże nr. 42.
Moltke (b. p.). Tamże nr. 44.
Drobina grecka (b. p.). Tamże nr. 45.
Cywilizowanie Afryki (b. p.). Tamże nr. 46.
Objawy przełomu (b. p.). Tamże nr. 47.
Unikat literacki (podp. A. Ś.). Tamże nr. 47, 48, 49, 50.
Giermanizacja szkoły (b. p.). Tamże nr. 48.
Artykuł wstępny bez tytułu, zaczynający się od słów: »Z rokiem obecnym »Prawda« kończy dziesięciolecie swego istnienia«.. (b. p.). Tamże nr. 49.
Upadek Parnella (b. p.). Tamże nr. 49.
Polityka wobec szkoły (b. p.). Tamże nr. 50.
Meeting londyński (b. p.). Tamże nr. 51.
Rachunek roczny (b. p.). Tamże nr. 52.

1891.

Nowy rok (b. p.). »Prawda« nr. 1.
Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52.
Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Widok nieznany w dziejach nauki. Lekarze, szczepiący płyn tajemniczy. Państwowy monopol środka leczniczego. Geszeft wydobyty z badań. Przyczynek do emigracji brazylijskiej. Handel niewolnikami w Ameryce. Polacy na targu. Bezrobocie nie jest siłą wyższą. Naganka karnawałowa. Żywe obrazy z radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Tamże nr. 1.

II. Rozmyślania o nowym kostjumie przy czytaniu ogłoszeń żebrzących. Nowe stroje. Muzeum rzemiosł. Piękno w przemyśle. Ofiara p. Wawelberga. Zadanie tej instytucji wobec toalet. Program gospodarowania w majątkach zdewastowanych. Służebności etyki. Nieodczuty wstyd. Smutny śmiech. Dwa świeże kawałki w bigosie karnawałowym. Tamże nr. 3.

III. Symbol karnawału. Ożywiliśmy się. Kawałek tajemnicy Kocha. Jej resztka pozostawiona w ukryciu dla zabezpieczenia monopolu. Tuberkulina Bujwida. Stały objaw skuteczności działania limfy antigruźliczej. Modrzejewska. Stary repertuar i talent po zenicie. Cenna reszta. Kula śnieżna. Olbrzymi zamach i skromny rezultat. Arystokracja i ogół. Topienie komisji pomnikowej. Błazeństwo bez miejsca. Tamże nr. 5.

IV. Wyprawa do Brazylji. Pytania, na które pragnęliśmy mieć odpowiedź. Rezultat badania. Komunikat ministerjum spraw wewnętrznych. Otwarte wrota dla filantropji. Potrzeba wyprowadzenia pokutników z czyśca. Występy Modrzejewskiej. Worki miedziaków. Wodna puchlina naszej literatury. Wincenty Korotyński we wspomnieniu pośmiertnem. Tamże nr. 7.

V. Szczere uwagi. Tamże nr. 9.

VI. Orzeszkowa. Kostrzewski. Tamże nr. 11.

VII. Duch Talleyranda. Tamże nr. 13.

VIII. Nowe wiadomości w sprawie emigracji. List delegatów. Jak się przedstawił nasz chłop cudzoziemcom. Dwie ostateczności jego charakteru. Pokora rodzi hardość. Cudotwórca z Koła. Dół za przykładem góry. Za mały procent głupich między ciemnymi. Epoka konceptów. Ostatni wytwór »końca wieku«. Monologi. Sekretarz Muzeum przemysłu dymisjonowany przez prasę. Wniosek z doświadczenia. Tamże nr. 15.

IX. Nad grobem Barnuma. Tamże nr. 16.

X. Góry i pagórki. Wiedza, obowiązująca człowieka ukształconego. Tape-a-l'oeil. Jego żywot. Rozmyślania

prostaczka. Naśladowanie w ogonie. Francuzi północy. Ich stosunek do Macierzy. List szlachcica w »Gazecie warszawskiej«. Protest mumji i skamieniałości umysłowych. Powody surowości ze stanowiska klasowego. Tamże nr. 18.

XI. Płodność obecnej epoki. Panująca jej nuta. Wędrówki ludów. Emigracyjny ruch żydów. Plany Hirscha. Palestyna i Argentyna. Nieunikniona konieczność. Olbrzymi teatr. Jubileusz p. Tatarkiewicza. Jeden ze złożonych mu hołdów. Wyparcie p. Brodzkiego z zarządu Kasy przemysłowców. Protest »Gazety rzemieślniczej«. Szkodliwe rogi. Tamże nr. 20.

XII. Wędrówka szarańczy. Niebezpieczeństwo czynionia jej zarzutów. Potęga godna uwagi. Spekulacja naturalizmu. Handel błotem artystycznem. Panna, mężatka, wdowa i kobieta. Zadanie bliskiej przyszłości. Śmiała ruina i jej wielbiciele. Wygodna filozofja. Dobry objaw. Tamże nr. 22.

XIII. Częstość zaćmień. Prawidłowość natury i skromne potrzeby człowieka. Rozmowa ziemi z niebem. Spór o testament hr. Walewskiego. Szczególny dar dla Kasy Mianowskiego. Dowód bezprzytomności. Skarcenie napastników naszego chowu. Co raz smakuje, drugi raz oburza. Szkoła dla dentystów. Protest z »figlami walki o byt«. Lekarze prowincjonalni jako dentyści. Ślepowron, Zola i ja. Zatrudna zagadka. Tamże nr. 24.

XIV. Starzenie się tworów ludzkich. Zabiegliwość 40 nieśmiertelnych. Smaczny kąsek. Akademja krakowska. Nowe wybory jej członków. Kandydat bez kwalifikacji. W obronie swoich. Czy odprowadzilibyśmy w tryumfie Cumminga. Wyścigi. My a obcy. Wrzenie w giełdzie. Samowola z pozorami prawa. Różne kredki. Prośba do giełdy warszawskiej. Tamże nr. 26.

XV. Zmarszczki zestarzałego wieku. Ogłoszenia na niebie. Wpływ tego wynalazku na życie nasze w przyszłości. Co powiedzą mieszkańcy innych planet. Niech nie odgadną prawdy. Szczepienie chorób ludziom dla celów naukowych i społecznych. Jednostka i gromada. Dramat głodowy. Plony tegoroczne. Zatarg »Ziarna« z »Dziennikiem dla wszystkich«. Dwa oskarżenia nierównej wagi. Tamże nr. 28.

XVI. Epoka kwestjonarjuszów. Biegli od wszystkiego. Pytania stawiane czytelnikom. Ofiara z własnego rozumu. Setna rocznica śmierci Mozarta. Źródło czarów. Dusze skaliste. Żona wielkiego człowieka. Zmiany w kierownictwie teatru. Fabryka utworów scenicznych. Teatrzyki ogródkowe. Wyległ wiosenny. Arcydzieła z podpórkami. Zwykła kolej. Tamże nr. 30.

XVII. Co robić podczas lata? Spędzanie czasu na trawie. Rozrost zielska. Pierwsze prace autorów. Nowele p. Simary. Na oceanie gorzko-słonej wody. Znamiona talentu. Sprawozdanie Kasy imienia Mianowskiego. Kilka cyfr i objawów. Zapis hr. Walewskiego. Jego warunek. Słownik gieograficzny i Juljanna Grams. Praca Herkulesowa bez skutku. Tamże nr. 32.

XVIII. Urodzaj na nowelki. Specjalni dostawcy. Konkurs »Gazety sądowej«. Jeden zapaśnik. Na co nie mogą się zdobyć nasi prawnicy. Typ nadwiślanina. Żywa encyklopedja. Zajście przy Morskiem Oku. Bohaterski atak żandarmów węgierskich na komisję sądową. Gdzie jest Austrja i co pod tym wyrazem rozumieć należy. Spodziewany wynik procesu. Prawdziwa a nieprawdopodobna farsa. Tamże nr. 34.

XIX. Posłaniec królewski przebudzony. Sen prasy naszej i bezskuteczne środki ocucenia jej. Teatr wielki odnowiono. Krach książkowy. Jego przyczyny w beletrystyce. Wymagania filistra — dziennik — reklama. Tamże nr. 36.

XX. Najkonserwatywniejsza dziedzina życia ludzkiego. Postęp i sztuka. Proch bezdymny i malarstwo. Jak przedstawiać bitwy. Kazanie »Gazety warszawskiej«. Prasa jest światem. Jej żywioły. Podobieństwo i różnica z zagraniczną. Dziwna zagadka. Jedyny a niemożliwy środek zaradzenia złemu. Daremne nawoływania. Tamże nr. 37.

XXI. Pożyteczne myśli. Szkoły zawodowe. Jak skorzystaliśmy z nowego prawa. Głos »Wieku«. Marzenia o piórku i biurku. Bolesna myśl dla serc ojcowskich. Okólnik Towarzystwa subjektów handlowych i przemysłowych. Nieprzejednani. Bezskuteczność próśb a skuteczność praw. Konkurs dramatyczny »Kurjera warszawskiego«. Wawrzyny i złote runo. Tamże nr. 39.

XXII. Głód i miłość. Stosunek żołądków do serc. Zdolność i potrzeba. Jakie siły rządzą światem. Ukazujące się widmo głodu. Skąd ono u nas powstało i czem grozi. Prawdopodobieństwo wzrostu niemoralności, a zwłaszcza kradzieży. Rozboje i rabunki. Konieczność wzmocnienia straży bezpieczeństwa po wsiach. Przeciw drożyźnie. Jubileusz koleji Terospolskiej. Jej obowiązek. M. Twain i nasi literaci. Tamże nr. 41.

XXIII. Mamon i jego władza nad światem. Urąganie wszystkim potęgom. Proces o unieważnienie testamentu Walewskiego. Co opowiadają świadkowie. Suggestja dokonywana nad konającym. Świece według formy, ludzie według obyczajów. Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu. Odkrycia »Gazety losowań«. Powód do balu. Tamże nr. 43.

XXIV. Święto umarłych. Rozmaite jego postacie. Rysy ogółu, odbijające się w tłumie. Nasze zaduszki. Zabawa listopadowa i żale nadgrobne. Po co w niej uczestniczą cierpiący. Nadużycia żokiejów. Okoliczność, łagodząca ich winę. Dziwni lekarze. Recenzenci teatralni, wyręczający uczonych. Przeszkoda Daudeta i lekcje o dziedziczności. Beletrystyka i nauka. Widz w sali sądowej. Tamże nr. 45.

XXV. Dążności kobiet zagranicą. Mózg niewieści jako pokonywający je argument. Wagi mózgów męskich. Bischoff, gromiący równouprawnienie kobiet. Nieszczęśliwe odkrycie, dokonane w jego czaszce po śmierci. Krótka przemowa do dam. Jubileusz Brandesa. Mistrz i uczeń. Historyk literatury musi być nietylko uczonym, ale i artystą. Tamże nr. 47.

XXVI. Przygotowania do wojny ortograficznej. Krótkie dzieje postępowania Akademji umiejętności w tej sprawie. Jej niezależność wobec specjalistów. Narady biegłych i wyrok najwyższego trybunału. Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu bez zasłony. Wygnanie p. Turskiego. Materjał, z którego

prasa korzystać nie może a sąd powinien. Setna rocznica śmierci Mozarta. Potęga natury i niemoc ludzka. Wieczór poświęcony wielkiemu mistrzowi. Tamże nr. 49.

XXVII. Uczczenie Mozarta. Niezależność wielkich utworów muzycznych od wykonania. Zbytek ludzkości. Na co jej gienjusze? Muzykalność Warszawy. Pogrzeb Tatarkiewicza. Wypłata sławy aktorom. Proces o unieważnienie testamentu Walewskiego. Obrona prezesa zarządu Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu. Dom rodzinny a instytucja publiczna. Tamże nr. 50.

XXVIII. Głos właściciela Żelazowej Woli. Słony rachunek. Jednostka za ogół. Jak było. Kasa literacka. Wielkopaństwo dziennikarskie. Zbytek z podszewką biedy. Jubileusz 50-lecia pracy dziennikarskiej Keniga. Konserwatysta w dobrym stylu. Życzenia noworoczne. Tamże nr 52.

Polityka chorych racic (b. p.). Tamże nr. 2.
Wiktor Szokalski (Wspomnienie pośmiertne) (b. p.). Tamże nr. 2.
Postęp zagłady (b. p.). Tamże nr. 3.
Metamorfoza (b. p.). Tamże nr. 4.
Wątpliwa próba (b. p.). Tamże nr. 5.
Drugi przyjaciel (b. p.). Tamże nr. 6.
Inny numer (b. p.). Tamże nr. 7.
Bez zasad (b. p.). Tamże nr. 8.
Przed wiosną (b. p.). Tamże nr. 9.
Ostatnie utwory H. Sienkiewicza (podp. A. H.). Tamże nr. 9, 10.
Piana polityczna (b. p.). Tamże nr. 10.
Obaj lepsi (b. p.). Tamże nr. 11.
Windhorst (b. p.). Tamże nr. 12.
Tajemnice kasy (b. p.). Tamże nr. 13.
Upaństwowienie aptek (b. p.). Tamże nr. 14.
Pierwsza ofiara (b. p.). Tamże nr. 15.
Za miljon franków (b. p.). Tamże nr. 16.
Fatalna próba (b. p.). Tamże nr. 17.
Moltke (b. p.). Tamże nr. 18.
Szpetna karta (b. p.). Tamże nr. 19.
Zerwana umowa (b. p.). Tamże nr. 20.
Z otchłani (b. p.). Tamże nr. 22.
Cła zbożowe (b. p.). Tamże nr. 23.
Wyjaśniona tajemnica (b. p.). Tamże nr. 24.
Podrażniony olbrzym (b. p.). Tamże nr. 25
Dwaj filozofowie (bajka) (podp. W. Okoński). Tamże nr. 25.
Odpowiedzialność prasy (b. p.). Tamże nr. 26.
Przypisek do powieści Knuta Hamsuna p. t. »Głód« (podp. Red.). Tamże nr. 26.
Na sześć lat (b. p.). Tamże nr. 27.
Nowa taryfa (b. p.). Tamże nr. 28.
Tańsze bilety kolejowe (b. p.). Tamże nr. 29.
Milcząca duma (b. p.). Tamże nr. 30.
Przyjaźń francusko-ruska (b. p.). Tamże nr. 31.
Artykuł Crispiego (b. p.). Tamże nr. 32.
Przedsięwzięcie Hirscha (b. p.). Tamże nr. 33.
Ciężki kłopot (b. p.). Tamże nr. 34.
Z za grobu (b. p.). Tamże nr. 35.
Chiny wobec Europy (b. p.). Tamże nr. 36.
Pierwszy owoc (b. p.). Tamże nr. 37.
Towarzystwo emigracyjne (b. p.). Tamże nr. 38.
Sztuka i polityka (b. p.). Tamże nr. 39.
Pożyczka ruska (b. p.). Tamże nr. 40.
Bezmyślny zamach (b. p.). Tamże nr. 41.
Śmierć Parnella (b. p.). Tamże nr. 42.
Kongres pokoju (b. p.). Tamże nr. 43.

Dowody pokoju (b. p.). Tamże nr. 44.
Niepokój formalistów (b. p.). Tamże nr. 45.
Mowa Rudiniego (b. p.). Tamże nr. 46.
Jadowite drzewo (b. p.). Tamże nr. 47.
Podróż dyplomatyczna (b. p.). Tamże nr. 48.
Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 49.
Mowa Capriviego (b. p.). Tamże nr. 49.
Wojna watykańska (b. p.). Tamże nr. 50.
Rachunek (b. p.). Tamże nr. 52.

1892.

Tydzień polityczny (b. p.). »Prawda« nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Marnowanie się sił umysłowych w maszynie społecznej. K. Łuniewski. Wspomnienie z walki. Jakich ona potrzebowała zapaśników. Stebelski. Manekiny dla żalu i karawany nekrologowe. Zgarnianie faktów. Numery świąteczne. Zagadkowa ważność tych płachetek. Za przykładem Francji. Dodatek »Wieku«. List Wereszczagina. Sztuczne podnoszenie cen obrazów przez spekulację. Publiczność przerażona drogością malowideł i karcona za obojętność dla sztuki. Projekt zawiązania stosunków z Ameryką. Tamże nr. 1.

II. Charakter oryginalności nowoczesnej. Rodzaje, gatunki i odmiany w biologji i estetyce. Obłęd Maupassanta. Narkotyki podbudzające niemoc wyobraźni. Jej dzieci chore i śmiertelne. Spadek po hr. Augustowej Potockiej. Jego rozdział. Najszczodrzej obdarowani. Wspomnienie o Rapackiej. Filipiki p. Witkiewicza. Sekciarstwo w sztuce i równouprawnienie jej rodzajów. Tamże nr. 3.

III. Zaprzeczenie własnym doniesieniom. Legienda o kasie wilanowskiej. Korekta wiadomości o testamencie hr. Potockiej. Kilka zagadkowych cyfr i jedna dziwna tajemnica filantropji. Drogowskazy dla niej. Instytucje przyszłości. Skublińska w drugiem wydaniu. Wycinanie a leczenie raka. Najazd prasy warszawskiej na Łódź. Kwaśny uśmiech »Dziennika łódzkiego«. Nietknięta żyła. Tamże nr. 5.

IV. Interpelacje naszych czytelników. Rodzina, rozkładająca się na swe pierwiastki. Jaka szkoła. Wychowywanie niemowląt w domu a w instytucji społecznej. Dwa poglądy — oba słuszne. Racje teraźniejszości i przyszłości. Żywioł, który wywołuje zakłady publiczne i uczy z nich korzystać. Brak powodu do obaw i właściwy punkt sporu. Psychologja dziecka. Tamże nr. 7.

V. Dwa pewniki i dwa fakty, wyłączające się wzajem. Słabostki arystokratyczne. Malejący postęp marzeń rodzicielskich. Przenoszenie rozczarowań życiowych do jałmużny losu. Mijanie się sprzedawców pracy z jej nabywcami. Fabryka kapeluszów w Głogowcu. Brak rynków i pośredników handlowych. Czynnik niezbędny. Konwencja papiernicza. Marzenia chmielarzów. Za zasłoną wzajemnych umizgów. Tamże nr. 9.

VI. Niespodzianki zimy tegorocznej. Za panią matką pacierz kaprysów. Wylęg motylów wojennych w lutym. Moje zakłopotanie. Wpływ mrozu i śniegu na wróżby polityczne. Wyrób legiend historycznych. Niewinna zabawka wyobraźni. Przyczyna i skutek. Koncerty. Krytyka muzyczna. Sława Żeleńskiego. W Towarzystwie muzycznem. Czy to prawda? Tamże nr. 11.

VII. Stara historja t. z. nadmiaru inteligiencji. P. Chorąży, usiłujący ograniczyć ją w »Wieku«. Zabłąkane echo przebrzmiałej sprawy. »Honor dziennikarski«. Rozwód czy nieostrożność. Koncert na dochód Junoszy. Bolesne miłosierdzie i czułe serca. Wyrzut — i wstyd. Tamże nr. 13.

VIII. Przepowiednie Falba. Dnie krytyczne. Prawdopodobieństwo wróżby. Szczęście w omyłkach. Dziesięciolecie »Wszechświata«. Jego ciernie i zasługa. Zwrot ku ostrożności w nauce i brak śmiałych hypotez. Race puszczane przed wyborami do Towarzystwa kred. ziemsk. Bezskuteczność utyskiwań ogólnikowych i potrzeba walki otwartej. Scena, która się nigdy nie rozegrała. Ostateczny rachunek p. Chorążego co do nadprodukcji inteligiencji. Tamże nr. 15.

IX. Paryż jako serce świata. Mowa Lottiego przy wejściu do Akademji. Nasi Lottowie. Bajka o czarnej ospie. Fantazja korespondentów prowincjonalnych, szybująca w kierunku »sensacji«. Nowe światło, rzucone na sprawców emigracji. Nasz talent. Kolonje letnie dla dzieci. »Sekretarz« »Kurjera warszawskiego«. Także statystyka. Tajemnice wydawców. Najpoczytniejsza książka. Tamże nr. 17.

X. Poszukiwanie swojskości. Uruchomienie reporterów na prowincję. Rozmowa z Nenckim. Jego odczyt. Drogowskaz dla farmaceutów. Zapis Wł. Kronenberga dla Towarzystwa dobroczynności. Przytułek nędzy. Sprawozdanie Towarzystwa subjektów handlowych. Jeszcze sprawa »nadprodukcji inteligiencji«. Tamże nr. 19.

XI. Dwie zbrodnie z charakterem wyjątkowym. Zamordowanie Gerlachowej. Kluczyk rozstroju umysłowego. Niefortunna obrona Brzezickiej. Gdzie szukać trzeba wytłómaczenia niezwykłych objawów woli. Stra-

szne ryzyko. Jubileusz batuty. Przedsiębiorstwo wynajmu reklamy. Taniość i wygoda. Obrazek przyszłości. Kilka słów o naszej krytyce w »Ateneum«. Dopełnienie. Tamże nr. 21.

XII. Prośba do słońca. Nie od pracowników pola Mokotowskiego. Obawy o plony tegoroczne. Wyścigi przychówku aktorskiego w Towarzystwie muzycznem. Obfitość tego żywiołu w Warszawie i na prowincji. Po śliskiej drodze. Wypchane typy i niezmienność gatunków scenicznych. Opowiadanie Sienkiewicza »U źródła«. Balsam dla rodziców bogatych panien. Przestroga. Tamże nr. 23.

XIII. Przybycie »wełny«. Co to jest wełna w karnawale letnim. Kilka słów o jarmarkach. Zmowa przeciw producentom, umożliwiona ich niewytrzymałością pieniężną. Koty, igrające z myszami. Uchwała Towarzystwa wyścigów konnych. Wolność Tomku w swoim domku. Los zapisu Katarzyńskiego. Zagadka prawno-społeczna, wymagająca objaśnienia. Wykup koleji Terespolskiej. Tamże nr. 25.

XIV. Rozmyślania ogrodnicze. Walka z zielskiem. Protest większości. Chór dziękczynny. Sceptyczne pytania. Mogiła kwiaciarza. Fatalizm. Pora małości. Przedświt w obłędzie. Wyznania warjatów. Tamże nr. 31.

XV. Przyrząd zmniejszająco-powiększający. Dwie przesady. Pierwsze zapachy Warszawy. Zatarg między pp. K. i N. o szkołę rzemiosł i doraźne o nim wyroki. Cięcia w powietrze. Nowe szkoły dla kobiet. Kręgi krokowe. Wystawa ogrodnicza kapitału w Łodzi. Szczególni laureaci. Przedstawienia polskie w Wiedniu. Wymowna różnica. Tamże nr. 37.

XVI. O szkołę rzemiosł. Krótka historja jej powstania. Dwie epoki. Chwiejne oparcie. Proces dra Natansona z p. Kühnem. Tryumf bakterjologji. Dziś a przed laty kilkunastu. Zwątpienie i wiedza. Pojedynek dra Medweya z Brodzkim. Ofiary na ołtarzu bezmyślności. Sekundanci. Uwieńczenie przedstawień polskich w Wiedniu i wybryk p. Cieszkowskiego. Klątwa losu. Tamże nr. 38.

XVII. »Bibljoteka warszawska« pod nową redakcją. Wznoszenie się Konopnickiej i jej »Pan Balcer w Brazylji«. Niepromjowany talent i jego »Powrócił do swoich«. Generał Starynkiewicz jako prezydent Warszawy. Nowy warjat. Zadziwiająco jasnowidztwo i wysoki procent półgłówków. Tamże nr. 39.

XVIII. Odpoczynek społeczeństwa po pracy umysłowej. Opieranie się prądowi czasu. Nowina jako główny jego produkt. Wyrabianie cegiełek w nauce. Oglądanie przecinków cholerycznych. Ich odstępstwa od typu i wiara w szablon. Rozwój tworów małych. Ogniwa zarażeń jako zdobycz praktyczna badań sanitarnych. Tajemnice Warszawy i jej eleganckich zakładów. Proces o szkołę rzemiosł. Na jedno babka wróżyła. Tamże nr. 41.

XIX. Wielki wypadek, który z rozporządzenia reportera stał się 15 października. Siła tego nakazu. Karzeł, strofujący olbrzyma. Wagi sądu. Ojciec sławy Mascagniego i sieroctwo Moniuszki. Moltke reklamy. Szczęście Włoch. Leoncavallo i jego P a j a c e. Sara Bernard i jej kursztetol teatralny. Niebezpieczeństwo ofiar golców wobec cholery. Meljoracje rolne p. Korzybskiego bez końca. Spadek dla przyszłego wieku. Tamże nr. 43.

XX. Korzenie się przed naturą. Wyłączeni z niej. Lud jako jej część. Uwielbianie wszelkich jego tworów. Dwie zasady. Urodzeni gienjusze. Historja kultu zakopiańskiego. Praca dr. Matlakowskiego o »Budownictwie na Podhalu«. Ojcowie stylu i całkiem przypadkowe jego odkrycie. Przesada uniesień. Nieproporcjonalne trudy. Tamże nr. 45.

XXI. Stara kokietka i jej literackie tryumfy. Prąd odżywczy, wiejący z północy. Młoda Skandynawja. A. Garborg i jego »Znużone dusze«. Płoszowski i Gram. Człowiek podwójny. Ścieranie się jego dwu połów. Ogólno-ludzkie znaczenie tej walki. Wyrodny syn. Krzyk boleści. Wynik dramatu. Męty zachodnie i czyste źródło skandynawskie. Tamże nr. 47.

XXII. Doświadczenie Pettenkofera z bakterjami cholerycznemi. Z deszczu pod rynnę. Udział ogółu w sporze naukowym. Prawda w tajemnicy i mądrość sklepikowa. Gorszące widowisko. Podrywanie wiary w naukę i lekceważenie jej pracowników. Co robić wobec niewiadomości. Dwudziestopięciolecie pracy P. Chmielowskiego. Znamienne rysy jego umysłu. Tamże nr. 49.

XXIII. Fala tajemnic w naszej literaturze. Dwie książki o cudach. Podręcznik głupstwa. Warunki obcowania z duchami i ich kaprysy. Dobry humor i pustota duchów. Co się robi z gienjuszami po śmierci. Pozostawianie mądrości w grobie. Do czego służyć może duch Zöllnera. Spirytyzm na tle obecnego wieku. Barbarzyństwo i kultura. Trzydziestoletnia praca S. Kramsztyka. Dramat wyrobników. Tamże nr. 51.

Zmieniony widok (b. p.). Tamże nr. 2.

O egipską skórę (b. p.). Tamże nr. 3.

Reforma szkolna w Prusach (b. p.). Tamże nr. 4.

Przebrana miarka (b. p.). Tamże nr. 5.

Nowy »Kulturkampf« (b. p.). Tamże nr. 6.

Odkrycia (b. p.). Tamże nr. 7.

Nowa Kartagina (b. p.). Tamże nr. 8.

Upadek gabinetu (b. p.). Tamże nr. 9.

Mowa (b. p.). Tamże nr. 10.

Przesilenie (b. p.). Tamże nr. 11.

Fundusz gadzinowy (b. p.). Tamże nr. 12.

Niespodzianka (b. p.). Tamże nr. 13.

Wybuchy (b. p.). Tamże nr. 15.
Skupczyna serbska (b. p.). Tamże nr. 16.
Kłopoty włoskie (b. p.). Tamże nr. 17.
Walka z Czechami (b. p.). Tamże nr. 18.
Prawa polityczne kobiet (b. p.). Tamże nr. 19.
Papież przeciw biskupom (b. p.). Tamże nr. 20.
Reforma taryfy osobowej (b. p.). Tamże nr. 21.
Mowa Gregra (b. p.). Tamże nr. 23.
Papież i Rzeczpospolita (b. p.). Tamże nr. 24.
Jubileusz koronacji (b. p.). Tamże nr. 25.
Zamknięta epoka (b. p.). Tamże nr. 26.
Zburzone mosty (b. p.). Tamże nr. 27.
Mała różnica (b. p.). Tamże nr. 28.
Dojrzewająca reforma (b. p.). Tamże nr. 29.
Rumunowie węgierscy (b. p.). Tamże nr. 30.
Projekt Gladstona (b. p.). Tamże nr. 31.
Z podróży (b. p.). Tamże nr. 32.
Zużyty (b. p.). Tamże nr. 33.
Utwory niewieście (podp. A. S.). Tamże nr. 33, 34, 35.
Trudne zadania (b. p.). Tamże nr. 34.
Kredyt rolny (b. p.). Tamże nr. 35.
Początek końca (b. p.). Tamże nr. 36.
Wymowny przykład (b. p.). Tamże nr. 37.
Czułe westchnienia (b. p.). Tamże nr. 38.
Virchow o Rosyi (b. p.). Tamże nr. 39.
Próba przymierza (b. p.). Tamże nr. 40.
Bajdy kądzielowe (b. p.). Tamże nr. 41.
Skutki cholery (b. p.). Tamże nr. 42.
Zatarg z kościołem w Węgrzech (b. p.). Tamże nr. 43.
Stary kurs (b. p.). Tamże nr. 44.
Wczesne zabiegi (b. p.). Tamże nr. 45.
Nowe wyznania Bismarka (b. p.). Tamże nr. 46.
Nowy prezydent (b. p.). Tamże nr. 47.
Bagno panamskie (b. p.). Tamże nr. 48.
Pruje się... (b. p.). Tamże nr. 49.
Na rok 1893 (b. p.). Tamże nr. 50.
Piewsze strzały (b. p.). Tamże nr. 50.
Jeszcze sprawa panamska (b. p.). Tamże nr. 51.
Nieoceniony (b. p.). Tamże nr. 52.
Zamknięcie roku (b. p.). Tamże nr. 53.

1893.

Rok pokoju (b. p.). »Prawda« nr. 1.
Tydzień polityczny (b. p.). Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51.
Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Nowy rok. Drobina niszczącej potęgi. Czas-niszczyciel. Nasza małość wobec jego wielkości. Kwestje teatralne. Nad czem Europa łamie sobie głowę. Wyższe ukształcenie kobiet wobec wędlin i kołdunów. Kuchnia jako arka ideałów. Groźba przyszłości. Kucharki spadłe z etatu domowego. Koniec świata. Tamże nr. 1.

II. Komitet obywatelski przeciw cholerze. Jego zadanie wobec nędzy. Przytułek dla inwalidów pracy. Uwagi Rzemieślnika. Kolej wilanowska. Według naszego zwyczaju. Jazda na jednem kole. Tamże nr. 3.

III. Egzekwie p. Jankowskiego nad fejletonem. Literatura jako arka Noego. Próba ograniczenia bezmiaru. Żywotność fejletonu. Nuda i kaprysy filistra. Pragnienie nowości. Talent jako siła nieśmiertelna. Sprawa Brzezickiej. Dziwotwór moralny. Środek obrony. Prywatne obserwatorjum astronomiczne w Wilanowie. Tamże nr. 5.

IV. Sprawa Brzezickiej jako zagadnienie etyczno-prawne. Teorja samorządu i poddaństwa woli. Urojony podział ludzi na umysłowo zdrowych i chorych. Mędrcy, którzy wiedzą, co zawiesza lub paraliżuje wolę w chwili spełnienia czynu. Komedja obserwacji psychjatrycznych. Pogląd determinizmu. Odpowiedzialność moralna jako pojęcie społeczne. Obłęd nie usuwa odpowiedzialności. Tamże nr. 7.

V. Genjalny wynalazek. Sposoby oszczędzenia prac w pisaniu. Blankiet w literaturze. Kilka wzorów ofiarowanych bezinteresownie na użytek publiczny. Korzyści wydawców. Skarga komitetu obywatelskiego. Akcent odezwy. Jawność składek i wstydliwość ofiarodawców. Czy kobiety mogą być ogrodniczkami. Dwa błędy. Praktyka, rozcinająca węzeł kwestji teoretycznej. Tamże nr. 9.

VI. Odpowiedź publiczna na list jednego z czytelników »Prawdy«. Tamże nr. 11.

VII. Trzy podręczniki szczęścia małżeńskiego. Książka Mantegazzy. Jego zdanie o najmniejszem złem. Rady praktyczne, które nie skutkują. Poradniki Gausserona. Najidealniejsza forma pożycia ludzkiego i jej wymagania, przechodzące zwykły stopień sił i uzdolnień ludzkich. Małżeństwo, jako wymowny dowód dobroci ludzkiej. Śmiech w męczeństwie. Wieczny war kociołka. Tamże nr. 13.

VIII. Właściwość wielkich zbiorowisk ludzkich. Jeden z objawów gorączki budowlanej. Wzrost Łodzi. Zawalenie się nowego domu. Ofiary fuszerki i potrzeba kontroli przedsiębiorstw spekulacyjnych. Wybuch kotła. Lekceważenie cudzego życia wobec strasznych zbiorników niszczącej siły. Znowu potrzeba dozoru. Najlepszy sposób wzmacniania kotłów. Anna Bilińska i Jan Quatrini w grobach. Tamże nr. 15.

IX. Ograniczenie godła Ben Akiby. Obfitość głupstwa rzuconego do literatury. List nieuznanego. Skromne wymagania. Parę próbek nowoczesnej poezji i prozy. Czem była i czem jest maszyna drukarska. Walka literatury z drukarnią. Natrętny pył i jego apelacja do potomności. Literatura, wyręczająca koleje żelazne. Rozpad mózgów. Spór o genjalność aktorów. Źródło nieporozumienia i rozmaitość stronników. Tamże nr. 17.

X. Ci, których ustawicznie pokazujemy narodowi i ci, których nie pokazujemy. Nowa epoka badań pierwotnego życia ludzkości. Ich znaczenie historyczno-socjologiczne. L. Krzywicki i warunki jego pracy »Ludy«. Wiadomości i wróżby. Dobór jednostek uzdolnionych w społeczeństwie przyszłem. Antropologja śród ogółu. Tamże nr. 19.

XI. Konwersja listów ziemskich. Zdradzone tajemnice zamożności. Zamaskowani bogacze. Wpływ tej operacji na uczucia i dążenia szlachetnej młodzieży. Kilka jej typów najbardziej zainteresowanych. Zwekslowane uczucia. Ruch heraldyczny w odpowiedziach redakcji. Występy pp. Reszków i mdłości recenzentów. Zagraniczne poświadczenia talentów naszych artystów. Nierozwiązana zagadka. Głosy słodko-eleganckо-aksamitne. Tamże nr. 21.

XII. Obchód pięćdziesięcioletniej pracy publicznej Jerzego Aleksandrowicza. Jego dobre serce, zasługi i usługi. Encyklopedja rolnicza. List w sprawie Encyklopedji ilustrowanej. Pytanie postawione w »Wieku« wychowawcom talmudycznym. Uroczyste przyjęcie nowego prezesa Towarzystwa wioślarskiego. Tamże nr. 23.

XIII. Rachunek z corsa. Przyczyny skromnych rezultatów. Obce wzory i swoje siły. Letnie mieszkania i ich przemiany w kierunku miast. Nudy na łonie natury. Gdyby nie dzieci. Dlaczego panie i panowie się nudzą. Wypoczynek niespracowanych. Rada dla spracowanych. Feniks, odradzający się z popiołów. Odmłodzenie »Gazety polskiej«. Tamże nr. 25.

XIV. Drukowstręt. Azjata i europejczyk. Tyranja faktów bieżących. Medjumizm. Jego nowa epoka od wystąpienia Eusapji. Spór dwóch obozów. Czego chcą eusapiści i czemu się opierają antieusapiści. Stosunek pretensji do tryumfu. Wyższość i zasługa »starych«. Mnożenie znaków zapytania. Rada dla czytelników. Tamże nr. 30.

XV. Interwiewy. Materjał do bjografji pisanych przez lokajów sławnych ludzi. Dawniej a dziś. Zmniejszające szkła reporterów. Rabini dziennikarstwa. Niewyzyskane źródła badań. Sfinks chłopski i jego zwierzenia emigracyjne. Młodzież, powracająca do szkoły. Odwrócona gama głosów ojcowskich. Krople wody i oliwy. Marzenie i rzeczywistość. Tamże nr. 36.

XVI. Stodoła literatury. Teraźniejszość zbiera, przyszłość gatunkuje i ocenia. Tkanina nieporozumień. Człowiek jako dziecię teraźniejszości. Jego przywiązanie do niej. Skargi tonących i zatopionych. Pociecha filozofji życia. Konopnicka i jej ostatni zbiorek. Tamże nr. 37.

XVII. Tuz antisemicki. Tyranja talentu. Błogosławieństwa i klątwy poetów. Pająki K. Junoszy. Ludzie bez uczuć, pochłoniętych przez cześć dla rubla. Szczególny świat i szczególny gatunek zoologiczny. Rzeczywistość czy fantazja, fikcje czy ludzie. Obojętność much wobec okrucieństwa pająków. Tamże nr. 39.

XVIII. Rozmowa z nowoczesnym Farysem. Znaczenie bicykla w obecnej epoce. Źródła najsilniejszych wzruszeń. Porównawcze zestawienie bohaterów naszego czasu. Kilka przykładów wielkości. Olśniewające racje. Wyścig o zapomogę pracowni dra Bujwida. Nieprzewidziany spadkobierca. Dokończenie rozmowy, czyli sens moralny dla naiwnych marzycieli. Tamże nr. 41.

XIX. Pytania naszych potomków. Histeryczne wybuchy na rzecz koncertantów. Rozszalała Anglja. Przyczynek do rozwiązania zagadki i uroda aktorek. Paderewski i jego wspaniały koncert. »Siewiernyj Wiestnik« o Sienkiewiczu i literaturze polskiej. Porównawcza charakterystyka. Nie za mało, ale za dużo. Tamże nr. 43.

XX. Śmierć Matejki. Rozrost pojedynczych władz ducha kosztem innych. Gienjusz jako pewnego rodzaju potwór. Uczuciowość i religijność Matejki. Podstawy pesymizmu i optymizmu. Wiara jako podnieta życiowa. Potrzeba ostrożności. Tamże nr. 45.

XXI. Przysłowie starego dziadka. Zmowy przeciw spożywcom. Konwencje przemysłowe. Zagranica, pomagająca nam utrzymywać drożyznę produktów. Potrzeba gruntownego rozjaśnienia tajemnicy. Dalsze losy »Jakóba Warki«. Kilka słów o tym dramacie, pogrzebanym bez honorów. Nowa moja godność. Szczególna akademja i szczególny jej komitet. Tamże nr. 47.

XXII. Zwrot do ziemi. Projekty. Doświadczenia i zawody. Nasza dwoistość. Rada p. Śniegowskiego. Co obiecuje i dać może praca produkcyjna. Wyprawa na kalendarze. Zdemaskowani i zamaskowani. Protest p. Siemiradzkiego. Doświadczenia z Eusapją i najmniejszy z jej cudów. Tamże nr. 49.

XXIII. Doświadczenia z Eusapją. Obawa poważnych badaczów. Rada Wundta. Uczestnicy koła kontrolującego. P. Ochorowicz, jego zasługi i zachwiany kredyt naukowy. Wątpliwość rezultatu. Medjumizm i jego stanowisko. Bursztynizm i elektryczność. Potrzeba trwałego mostu. Pracownia psychologiczna Wundta. Nasze Eusapje i »Anna«. Tamże nr. 51.

Oczyszczenie gabinetu (b. p.). Tamże nr. 2.
Znowu strachy (b. p.). Tamże nr. 3.
Skarcony wasal (b. p.). Tamże nr. 4.
Panamino (b. p.). Tamże nr. 5.
Home rule (b. p.). Tamże nr. 6.
Straszny wyrok (b. p.). Tamże nr. 7.
Źródło obaw (b. p.). Tamże nr. 8.
Wiek nerwowy (b. p.). Tamże nr. 9.
Sam w sobie (podp. Ari.). Tamże nr. 9, 10.
Srebrne wesele (b. p.). Tamże nr. 10.
Bez końca (b. p.). Tamże nr. 11.
Śmierć Ferrego (b. p.). Tamże nr. 12.
Tajemnicze okienko (b. p.). Tamże nr. 13.
Technika i wojna (b. p.). Tamże nr. 14.
Polityka praktyczna (b. p.). Tamże nr. 15.
Niespodzianka (b. p.). Tamże nr. 16.
Chwila historyczna (b. p.). Tamże nr. 17.
Z obozu jezuickiego (b. p.). Tamże nr. 18.
Ostre starcie (b. p.). Tamże nr. 19.
Świeży bohater (b. p.). Tamże nr. 20.
Wybuch czeski (b. p.). Tamże nr. 21.
»Nad-człowiek« (b. p.). Tamże nr. 22.
Przyjacielska usługa (b. p.). Tamże nr. 23.
Zaniedbane źródło (b. p.). Tamże nr. 24, 25.
Wybory niemieckie (b. p.). Tamże nr. 26.
Podwójna taryfa (b. p.). Tamże nr. 27.
Mała rewolucja (b. p.). Tamże nr. 28.
Dalszy skok (b. p.). Tamże nr. 29.
Wojna w Sjamie (b. p.). Tamże nr. 30.
Stosunki celne (b. p.). Tamże nr. 31.
Podjęte układy (b. p.). Tamże nr. 32.
Nowe odkrycia (b. p.). Tamże nr. 33.
Komentarz czasu (b. p.). Tamże nr. 34.
Na jarmarku (b. p.). Tamże nr. 35.
Nowe szkoły (b. p.). Tamże nr. 36.
Mały stan oblężenia (b. p.). Tamże nr. 38.
Bajdy polityczne (b. p.). Tamże nr. 39.
Bezpłodność Francji (b. p.). Tamże nr. 40.
Reforma wyborcza w Austrji (b. p.). Tamże nr. 41.
Dedykacja »Upominku« dla Orzeszkowej (podp. Pisarze polscy). — »Upominek«, książka zbiorowa

na cześć Elizy Orzeszkowej (1866—1891). Kraków, G. Gebethner i Spółka, Petersburg, Br. Rymowicz. 1893. 611 stron, strona wstępna.

Dafne. Tamże str. 531—533 wł.

Dafne (z «Upominku« dla Elizy Orzeszkowej). »Kurjer codzienny« nr. 285.

Goście ruscy we Francji (b. p.). »Prawda« nr. 42.

Żałosny komizm (b. p.). Tamże nr. 43.

Nowa wojna afrykańska (b. p.). Tamże nr. 44.

Kontrakt i przyjaźń (b. p.). Tamże nr. 46.

Przeciw anarchistom (b. p.). Tamże nr. 47.

Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 48.

Kłopoty włoskie (b. p.). Tamże nr. 48.

Powrót jezuitów (b. p.). Tamże nr. 49.

Zamach w izbie francuskiej (b. p.). Tamże nr. 50.

Cła amerykańskie (b. p.). Tamże nr. 51.

Materjał historji (b. p.). Tamże nr. 52.

1894.

Rozruchy w Sycylji (b. p.). »Prawda« nr. 1.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. O tej nieszczęsnej Eusapji. Tamże nr. 1.

II. Najliczniejszy rodzaj ludzki. Powszechna pretensja do postępu. Jego zdystansowani rzecznicy. Prośba w ich imieniu o pobłażliwość. Rozmowa między swoimi o nowych apostołach. Jerzy Aleksandrowicz. Pogrzeb zacnego człowieka. Tamże nr. 3.

III. Wspomnienie. Szczególna deklamacja i pouczający zachwyt. Złudzenia naszego rozumu i skromne wymagania jasności. Pojmujący, którzy nie pojmują. Kilka próbek. Baudelaire. Utalentowany pacjent. Wytwór niezdrowego czasu. Trumna i stary buduar. Tamże nr. 5.

IV. Bezimienność w prasie i jej pożytki. Szkodliwy wpływ na literaturę. Dziennikarstwo niemieckie i jego oddziaływanie. Nasi redaktorzy i ich ciężkie roboty. Skarga jednego z nich. Myśl wydania błagalnej odezwy. Skromne wymagania proszących. Przybliżony obrachunek. Tamże nr. 7.

V. Sprawdzona przepowiednia obserwatorjum astronomicznego. Wiosna, jako pora miłości. Niebezpieczeństwo małżeństw w tej porze. Znowu walące się domy. Potrzeba zaostrzenia odpowiedzialności. Cech kelnerów. Wstąpienie kobiet do warsz. oddz. Tow. pop. rusk. przem. i handlu. Halla, pracująca dla mas. Nowa stacja. Wesołość w smutku i obawa w wesołości. Tamże nr. 9.

VI. Mowa Brunetiere'a przeciwko prasie. Przyczyny zniżenia się poziomu umysłowego dziennikarstwa. Kolonje letnie i praca dzieci wysyłanych na wieś. Nowe zmartwychwstanie »Niwy«. Obecny jej charakter. Co już dziś na jej korzyść uznać można. Tamże nr. 11.

VII. Tabuowana dziedzina wiedzy i przywilej jej kapłanów. Etyka lekarska. Znamię systemów moralności. Konsyljum etyczne w »Kurjerze codziennym«. Dwa przykłady moralności stanowej. Etykieta lekarska. Ogólne zasady postępowania. Materjalne szydło w idealnym worku. Tamże nr. 13.

VIII. Konsyljum nad upadającą własnością ziemską. Broszura p. Kłobukowskiego. Odłużenie ziemi. Jej właściciele nominalni i faktyczni. Dwa systemy gospodarcze. Przyszły wygląd ziemi. Morał. Tani kredyt. Hasła. Tamże nr. 15.

IX. Wartość bajki dla poezji i dla postępu umysłowego. Właściwy dla niej grunt i atmosfera. Pojawienie się jej kwiatków w literaturze. Przysmaki naturalizmu i głos czasu. O wadze i wzroście dzieci klas biednych w Warszawie. Dziwne widowisko na wystawie sztuk pięknych i jeszcze dziwniejsza obrona. Corso kwiatowe. Podróż do Antwerpji pieszo. Tamże nr. 17.

X. O czem nie wiedzą dzieci w Bostonie i o czem wiedzą nasze. Miasto jako świat. Dzieci nasze i ubogie. Ich szczęście. Podrzutki i ich upodobania. Dziennikarstwo amerykańskie, jego grzechy i cnoty całkiem obce naszemu. Projekt zamiany. Tamże nr. 19.

XI. Rozkosz publicystyczna. Uwaga Le Bona i śmiech Mefistofelesa. Środki, przekonywające o nieomylności pewników. Móżdżek niewieści. Statystyka prof. Laskowskiego. Bohaterki. Kilka objaśnień do wymownych cyfr. Głos przeciw używaniu alkoholu. Naśladownictwo czy potrzeba. Tamże nr. 21.

XII. Sen czy próżnia. Zawody przemawiających do społeczeństwa. Niezawodny sposób wprawienia w ruch umysłów. Przywilej szlachty i zwrócone do niej pretensje. Podróże dziennikarzów. Kilkotygodniowi badacze narodów europejskich. Poznawanie rzemiosł niemieckich z gościńca. Co się dzieje w Westfalji. Za kogo nas mają? Tamże nr. 23.

XIII. Komunikat o kruszących się ołówkach. Prawdopodobna jego przyczyna. Fabryka anegdot do przybrania wielkich ludzi. Co lubi czytać Gladstone i Moniuszko. Fotografje duchów w »Tygodniku ilustrowa-

nym«. Co nam przeszkadza uwierzyć w nie? Moje pragnienie. Zbytnie wymaganie. Wystawa kwiatów Tamże nr. 25.

XIV. Po powrocie. Widok zmiany. Niebywałe dawniej zajęcie się teatrem. Woreczek nowin. Życie nogami. Cyklomanja i jej bohaterzy. Jeden z nich. Unieważnienie zapisu hr. Suchodolskiego jako zasada społeczna. Pobłażliwość opinji dla gwałcicieli woli Marysi i nieboszczyka. Kilka słów przypomnienia. Towarzystwo dobroczynności. Pierwsza radość. Tamże nr. 37.

XV. Bankructwo de la Farre'a i operacja dokonana na p. Peretzu. Kilka wyjaśnień w sprawie kontroli publicznej nad światem kupieckim. Los odważnych wobec artykułu o dyfamacji. Raz surowość, drugi raz tolerancja. Bez bawełny. Stowarzyszenia. Wystawa owoców i tak zwany »dobór normalny«. Fałszywy wniosek z lekcji poglądowej. Jan Kowalewski. Tamże nr. 39.

XVI. Walka o byt jako czynnik demoralizujący. Każdy chciałby z niej się wydobyć. Jej wpływ na prasę. Redaktor Lynge, jego zręczność i metoda. Rzeczy małe a wielkie według jego miary. Jak się świat przewraca do góry nogami w głowie jego uczniów. Główna szkoda. Jubileusz Karola Jurkiewicza. Jego zasługi i charakter. Giną czy nie giną. Tamże nr. 41.

XVII. Jubileusz J. Straussa i złożone mu hołdy. Odsłonięcie pomnika Chopina bez obcych hołdów. Wielkość gienjuszu jest wielkością jego narodu. Muzyka w słowie. Analiza gienjuszów delikatną ręką. Komisja w sprawie cen chleba. Zestawienie statystyczne. Bojkotowanie Towarzystwa wyścigów konnych. Tamże nr. 43.

XVIII. Kwiat jesieni. Chryzantemy w zakładzie Kaczyńskich. Troszeczkę poezji. Echo z Żelazowej Woli w Paryżu. Chopin jako francuz. Nasze kalendarze i skutki zaufania do ich kłamstwa. Potrzeba informatora ścisłego. Losy gieografji fizycznej Nałkowskiego i położenie niezamożnego badacza pod skrzydłami instytucji opiekuńczej. Troszkę mniej Homera. Tamże nr. 45.

XIX. Ożywiona działalność imaginacji i jej płody. Powszechne plotkowanie. Rozum przyszedł do głosu. Pogłoska o powstaniu u nas opinji publicznej. Pewien obywatel i pewna firma. Podatek szpitalny i jego rozkład. Niesłusznie wyłączeni. Nędza szpitalów naszych. Ausrotten w Karlsruhe. Dwie mądre instytucje. Protest zarządu Kasy Mianowskiego. Tamże nr. 47.

XX. Jednostronne zabiegi i ich dopełnienie pod naciskiem konieczności. Spółki przemysłowo-rolne. Ich wpływ ekonomiczny. Dzieci zamożne i uboższe. Kształcenie uczuć altruistycznych. Literatura dziecinna. Talent i dobra chęć. Tamże nr. 49.

XXI. Pożegnanie Lessepsa. Arystokratyzm moralny. Niepodległość sądu. Przykład do zapamiętania. »O wpływie czynności duchowych na sprawy chorobowe« Nussbauma. Anatomiczny typ rasy. Wpływy, które go urabiają. Fizjognomja naszego chłopa. Truciciny, skaleczenia i zabójstwa moralne. Tamże nr. 51.

Wyrok angulemski (b. p.). Tamże nr. 2.

Dalsze rozruchy (b. p.). Tamże nr. 3.

Przewrót w Serbji (b. p.). Tamże nr. 4.

Bismark w Berlinie (b. p.). Tamże nr. 5.

Układ rusko-niemiecki (b. p.). Tamże nr. 6.

Niespodziewane zachcianki (b. p.). Tamże nr. 7.

Sprawy czeskie (b. p.). Tamże nr. 8.

Władysław Olendzki (Wspomnienie pozgonne) (b. p.). Tamże nr. 9.

Ustąpienie Gladstona (b. p.). Tamże nr. 10.

Rozłam młodo-czeski (b. p.). Tamże nr. 14.

Odpoczynek w uzbrojeniach (b. p.). Tamże nr. 16.

Zwycięstwo Crispiego (b. p.). Tamże nr. 17.

Zmiany opłat kolejowych (b. p.). Tamże nr. 18.

Nowa broń (b. p.). Tamże nr. 20.

Przewrót w Serbji (b. p.). Tamże nr. 21.

Zmiana a nie zmiana (b. p.). Tamże nr. 22.

Śmierć Carnota (b. p.). Tamże nr. 26.

Nowy prezydent (b. p.). Tamże nr. 27.

Pierwszy głos (b. p.). Tamże nr. 28.

Włodzimierz Wysocki (Wspomnienie pozgonne) (b. p.). Tamże nr. 33.

Klub szachistów. Komedja (podp. A. Ś.). Tamże nr. 35, 36, 37, 38, 39, 40.

Mowy (b. p.). Tamże nr. 39.

Tajemnicza sprawa (b. p.). Tamże nr. 40.

Tryumf Bismarka (b. p.). Tamże nr. 44.

Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 48.

Duchy. II. Moronowie (początek II-giej części poematu dramatycznego p. t. Duchy) — »Kurjer codzienny« nr. 348.

1895.

Duchy.

W świcie. »Prawda« nr. 1.

Część pierwsza. Alrun. Tamże nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11.

Część druga. Moronowie. Tamże nr. 12, 13, 14, 15, 16. 17, 18, 19, 20, 21, 22.

Część trzecia. Zwiastun. Tamże nr. 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Dowody, że rok 1895 będzie nowym i że będzie zwyczajnym. Funt literatury za kop. 30. Zapisy Ekieltowej. Kopciuszki społeczne. Tajemnica rachunku, spoczywająca między rolnikami a piekarzami i młynarzami. Modus vivendi. Energiczna niewiasta. Ostrzeżenie. Tamże nr. 1.

II. Legiendy w »Wiśle« o zapamiętałych tańcowinkach. Oryginalna kara. Skąd pochodzi nazwa kaczki dziennikarskiej. Okrutna niesprawiedliwość względem pewnego hodowcy. Obfity lęg. Dziwna pretensja p. Radomczyka. Zima na południu. Wielka biała kaczka. Tamże nr. 3.

III. Rozkosz nieposiadania akcji. Nowy przedmiot gry giełdowej. Piorun i popłoch. Zwierzenia w »Kurjerze codz.«. Wszyscy grają. Dlaczego uważamy to za złe. Grający próżniacy. Fantazje natury. Niespodzianki dusz ludzkich. Wyrok matematyczny. Falb meteorologji człowieczej. Tamże nr. 5.

IV. Życzenie postępowego ziemianina. Plony komisji i delegacji. Temat dla nowej komisji Towarzystwa pop. r. p. i h. Poszukiwanie racji. List dr. Korniłowicza. Dramaty rodzinne. Zakłady dla chorych nerwowo. Tamże nr. 7.

V. Prawda w księdze przysłów. Kłamstwo jako czynnik społeczny. Urodzaj na łgarzów. Bagno dziennikarskie w Paryżu. Skrzypce prawdy wobec rzezimieszków prasy. Jowialszczyzna Mascagniego. Powód powtórzonej jego spowiedzi. Zgromadzenie gadających. Największe morze. Skutek napomnienia. Tamże nr. 9.

VI. Pojedynki krwawe i niekrwawe. Komedja oburzenia, wznowiona w Paryżu. Umywalnie sądów honorowych. Zimna krew. Nowy okres sprawy Gościeradowa. Zlot kruków. Co nas zajmowało dawniej a dzisiaj. Sprawy gospodarcze w pismach perjodycznych. Dwa rysy faktu: jałowe gadulstwo i ustawodawstwo drobnych interesików. Materjał na torebki. Tamże nr. 11.

VII. Kwestjonarjusz o niższości kobiety. Zabawa w niedorzeczne pytania. Fantazyjna statystyka. Tematy przysłane nam do rozmyślań z Paryża. Kilka słów o potrzebie wstydu. Artykuł nieboszczyka i niezbity dowód spirytyzmu. Bezpłatne premjum. Mniejsza strata. Tamże nr. 13.

VIII. Kłopoty Towarzystwa cyklistów i głosowanie nad Bismarkiem. Troska naszej chaty. Bilans ziemianina, ułożony przez »Gazetę rolniczą«. Niewdzięczność dzieci. Matka, której oszukać nie można. Bronisław Chrzanowski. Jego pierwsze i ostatnie słowa. Wielka pamiątka. Świat cywilizowany wobec Chrystusa. Trzy strony naszego wieku. Tamże nr. 15.

IX. Trzęsienie ziemi na południu Europy. Coby ono zrobiło z naszymi domami. Potrzeba kontroli budowlanej. Komisja do spraw piekarskich. Trzy groby: L. hr. Krasiński, cel jego życia i ostatnia wola; Miron, ofiara rzeźni dziennikarskiej; B. Foland. Tamże nr. 17.

X. Wychowanie młodych pokoleń. Atmosfera ideałów. Kto jest u nas badaczem naukowym, kto działaczem społecznym, kto filantropem, kto artystą? Taniec pojęć. Wielkości nierówne, a zrównane. Maskarada a nie maskarada. Wychowańcy tej szkoły. Tamże nr. 19.

XI. Zniknięcie kwestji opłacania się pracy na roli. Rozmowa z wichrem i jego cele. Historja o czarnym łubinie, jego ciekawych podróżach i równie ciekawym tytule. Korespondencja Moniuszki. Jego kłopoty materjalne, skromność i »śmiech zamazany«. Miła niespodzianka. Tamże nr. 21.

XII. Kwesta zarządu kolonij letnich i dość prosty sposób wywiezienia na wieś dzieci zbywających. Edward Prądzyński i małe przypomnienie jego zasług tym, które o nich pamiętać winni. Wielka zmiana w krótkim czasie. Echo głosu p. Rouby. Wyścig cyklistów między Kaliszem a Warszawą. Pieprz sprawozdawczy, dowodzący potrzeby treningu w takcie. Tamże nr. 23.

XIII. Grający naród. Kategorja życia naszego: wint, wyścigi, totalizator, gra w dorożki, w pończochy, w posłańców, cyklistów i t. d. Projekt ocalenia sławy dla swojskich faworytów. Trudność w zastosowaniu go. Wyścig dystansowy i 30 trupów końskich. Wyniki tej próby. Gra w akcje i dzwony alarmowe. A my dalej grać będziemy. Tamże nr. 24.

XIV. Liberum veto powracających do miasta. Radość tych, których ono karmi szczęściem. Drobne pyłki życia wobec majestatu natury. Ciekawy chłop i zakłopotany mędrzec. Przykazanie zdrowego rozsądku. Projekt rozdziału o cnotach. Wystawa ogrodnicza. Tamże nr. 37.

XV. Trzy procesy. Przestępcy poczytalni i niepoczytalni. Jak społeczeństwo ma się zabezpieczać przeciw ostatnim. Szpitale jako sądy. Literackie złoto prawdziwe i fałszywe. Złote myśli A. Mickiewicza. Jego związek z teraźniejszością. Człowiek dobry i gienjalny. Rzadkie połączenie. Tamże nr. 39.

XVI. Szczególna książka. Tamże nr. 43.

XVII. Dobroczynność rodzinna. Wybrańcy. Szkoła rolnicza w Sobieszynie. Jej monopol. O co chodzić powinno. Wystawa główek w Salonie artystycznym. Modele i kopje. Uroda naszych kobiet i jej oszpecenia. Styl kokotowy. Krótki proces z Eusapją Palladino w Anglji. Nasza rozpacz. Tamże nr. 45.

XVIII. Poeci i powieściopisarze jako reformatorowie gospodarstwa społecznego. Znieważanie ich dzielnych pomysłów za pomocą rachunku. Pasażerowie, pomagający zepchnąć okręt z mielizny. Co warte 100 prę-

tów ziemi w gubernji poetyckiej. Dlaczego pokazano nam pannę Vanderbildt. Styl naszej epoki — aljażowy i jego kluski. Broszura dr. Sonnenberga o dyskrecji lekarskiej. Skutki tajemnicy i jej naruszenia. Przestarzały sentymentalizm. Tamże nr. 47.

XIX. Po śmierci A. Dumasa. Tamże nr. 49.

XX. Potrzeba gadania, jako własność swojska. Długie rozprawy o domu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Dwa projekty, z których żaden nie jest wątpliwym. Ceny obrazów i wystawa szkiców. Tamże nr. 51.

Władysław Matlakowski (Wspomnienie pozgonne) (b. p.). Tamże nr. 26.

Wystawa ogrodnicza (podp. A. H.). Tamże nr. 38.

Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 50.

1896.

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Pogrzeb zmarłego roku i jego spuścizna. Zwycięstwo kobiet w walce o uniwersytety. Telegrafujące kury i wykształcone zwierzęta wobec emancypacji niewieściej. Wniosek bez bawełny. Konserwatyzm warszawski. Nasz werbunek jego rycerzy. Szewc z Pięknej Heleny i przygoda z Dumasem. Oburzenie pasterza na niesforną owczarnię. Życzenia noworoczne. Tamże nr. 1.

II. Fanfara karnawałowa. Odkrycie Röntgena. Fatalna rurka, zdradzająca tajemnice i okropne następstwa zastosowania jej na balach. Płyty fotograficzne ze świata przemysłowo-handlowego. Skargi czeladzi na panów. Co może skruszyć twardą opokę. Wyrzut sumienia i »Krysta« Konopnickiej. Piękny kwiat na ugorze, nieuprawianym przez reklamę. Tamże nr. 3.

III. Nieśmiertelny temat. Czy krytyk może być bezwzględnie sprawiedliwym? Metoda przyrodnicza w sądzeniu utworów literackich. Proces Gryfa z »Głosu« przeciw tolerancji dla skromnych trawek. Wymowny przykład nietolerancji. Kogo wziąć pod miotłę? Suggestja reklamy. Pigułki chlebowe i liche utwory literackie. Żyły spekulacji. Tamże nr. 5.

IV. Najważniejsze sprawy. Zebranie uczestników bez uczestników. Nasze wystawy i dzikie pretensje. Projekt zamiany ich sal w celach większego pożytku. Hipoteza o prezesach. Zawzięte milczenie wobec kwestjonarjuszów. Nasze bajki i domysły o własnym kraju. Odezwa dr. Rajkowskiego w sprawie medycyny ludowej. Niby łatwo a trudno. Co nas zdziwi a co nie zdziwi. Tamże nr. 7.

V. Utyskiwania Pługa nad wydziedziczonymi. Dla kogo jest u nas potrzebna kasa literacka. Proletarjat pióra. Dwie kategorje. Nasze żale i placyk za Żelazną Bramą. Wyścigi lubelskie i nadzieja wspaniałomyślności totalizatora. Co lud czyta chętnie a co niechętnie. Jego idealizm i pragnienie wiedzy. Czego nas uczą więźniowie w katordze. Nieszczęśliwa orkiestra warszawska. Cała nadzieja w p. Namysłowskim. Tamże nr. 9.

VI. Dalsze medytacje nad kasą literacką. Dwa kierunki starań: zmniejszenie kosztów życia i ubezpieczenie rodzin. Niebo i ziemia, czyli gust i konieczność. Fundusz prasy. Czemu ona go nie ma. Sabat przeciw nauce. Prawdopodobieństwo. Rozchwytane dzieło. Znak czasu. Stowarzyszenie starych panien. Tamże nr. 11.

VII. Wiosna i jej zwiastuny. Co jest w niej najbrzydszem. Modne damy i zmarnowana przez nie praca mężczyzn. Rewolucja przeciw kobietom. Zawzięte spory z niewątpliwym wynikiem. Oświetlenie i tramwaje elektryczne i orkiestra warszawska. Upodobania naszego kapitału i nasze zdolności organizacyjne. Tamże nr. 13.

VIII. Nauka dla wszystkich i dla wybranych. Trzechsetna rocznica urodzin Kartezjusza. Nieroztropnie przypomniana zasada jego filozofji. Czy podobna żądać, ażeby ludzie, którzy nie myślą, zwątpili o swem istnieniu? Niezbędne zastrzeżenie. Osaczenie ciemnych krzaczków, czyli zamknięcie »domu schadzek«. Komu uległ administrator »Kurjera Warszawskiego«. Małżeństwa przez ogłoszenia. Zdradzona tajemnica. Kilka słów o perzu. Tamże nr. 15.

IX. Nowe ofiary honoru. Co jest zaszczytnem. Pojedynek amerykański. Kto najczęściej bywa jego powodem. Flirtownice. Rozumne wychowanie kobiety i rady troskliwej matki. Igrzyska olimpijskie. Pytlasiński i Herkules. Zebranie wyborcze w Kaliszu. Projekt p. Łubieńskiego. Można pójść dalej. Co powinno czynić Towarzystwo kredytowe ziemskie dla uratowania większej własności. Pytania logiki i piski złych ptaków. Tamże nr. 17.

X. Chroniczne narzekania. Stanowisko Chińczyka. Literatura a zadrukowany papier. Akademja i karczma lub kram. Gdzie się rodzi skandal. Jego rozrost za granicą i u nas. Przyjazny grunt i poparcie organów poważnych. Mamy to, co lubimy. Człowiek, który potrafił wszystkiego dowieść. Tamże nr. 19.

XI. O sofistach nowoczesnych. Tamże nr. 21.

XII. Powieści biograficzne. Czy Mickiewicz improwizował? Zacieranie prawdy kłamstwem. Nastrój poetów romantycznych. Zmysł społeczny. Przyrosłe i przypinane skrzydła. Talenty sfilistrzałe. Atmosfera gór i atmosfera dolin. Tamże nr. 23.

XIII. Wystawa higjeniczna. Z czego powstała i czego uczy. Sposoby zwabienia tłumu. Koncept dziennikarski. Fakir wezwany na pomoc Higjei. Dla czego sprawy zdrowia są dla nas obojętne. Społeczeństwo błyszczącej nędzy. Nasze marzenia i nasze specjalności. Cywilizacja bez mydła. Tamże nr. 25.

XIV. Stopnie niezdrowia moralnego. Różnica między kradzieżą kopiejki a tysiąca rubli. Podstawy etyki dzisiejszej. Budzenie akcji do ruchu umiarkowanego, jako przepis higjeny ekonomicznej. Czy on nam

jest potrzebny. Otrzeźwienie krytyczne. Źródło pesymizmu publicystycznego. Wymagania kultury młodej i starej. Tamże nr. 27.

XV. Język pory. Rozmowy z sobą i dobroczynne skutki rozmyślań w samotności. Przerażony filister. Deszcz dyplomów i medalów na wystawie higjenicznej. Ulewny, a jednak nie dość rzęsisty. Prawo apelacji. Wnioski z narzekań i nagród. Pobóle poronionego przedsięwzięcia. Sursum corda. Poczciwa jesień, niosąca totalizator. Tamże nr. 36.

XVI. Wpływ wielkich ideji. Burząc dawne więzienia, stawiają nowe. Zamknięcie się umysłów w bakterjologji i zaniedbanie pól po za jego murami. Środek przeciw rakowi i inne specyfiki. Postępy technologji. Wpływ jej wynalazków na życie społeczne. Pozór i rzeczywistość. Dziedzina niespodzianek i wielkich przemian. Tamże nr. 38.

XVII. Tydzień wstrętów. Proces o zabójstwo Grajnerta. Rachunek pieniężny ojca za stratę syna. Samobójstwo Ordyńskiego. Kilka pytań pod adresem moralizujących reportorów. Małe a potrzebne przypomnienie komitetowi Kasy Mianowskiego. Tamże nr. 40.

XVIII. Pożar wioski. Tamże nr. 41.

XIX. O gienjuszach ubogich i Bolesławie Biegasie. Tamże nr. 43.

XX. Klub Cynadra i jego losy ze smutnem zakończeniem. Zatarg Pierzchały ze sprawiedliwością. Ich skargi w redakcjach pism warszawskich. Wyprawa przeciw hazardowi i jej skutki. Operacja głębokiej gangrony papierowym nożem. Leczenie rany ode dna. Jakim sposobem społeczeństwo grające zamienić na niegrające. Wskazówka dla literatury pedagogicznej. Tamże nr. 45.

XXI. Atak na Biegasa i jego protektorów. Tamże nr. 47.

XXII. Teraźniejszość w świetle przyszłości. Mistrz skandynawski i moje nad nim studja. Prośba o rozwiązanie zagadki. Obowiązek rozumu. Przywilej narodów wielkich rodzenia ludzi wielkich. Ilustracja z Listopada. Woda jako wino i wino jako woda. Tamże nr. 49.

XXIII. Teatralna klasyfikacja życia. Charaktery z patronu. Dramaty wycierpiane a nieodegrane. Ruch emigracyjny. Zatonięcie statku z wychodźcami. Lekkie westchnienie. Jubilousz wielkiego poety. Kim jest Asnyk. Tamże nr. 51.

Podziękowanie za nadesłane listy i telegramy z powodu 25-ciolecia pracy pisarskiej. Tamże nr. 1.

Przemiana (b. p.). Tamże nr. 11.

Zygmunt Kaczkowski (Wspomnienie pozgonne) (podp. A. Ś.). Tamże nr. 38.

Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 49.

Poeta jako człowiek pierwotny napisał Aleksander Świętochowski. Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1896. Nakład i druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. 51 stron.

Aleksander Świętochowski. Pisma. I. Obrazki powieściowe. Kraków. G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Spółka Nakładowa. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. 220 stron. (Treść: Damjan Capenko. Chawa Rubin. Karl Krug. Klemens Boruta. Oddechy. Na pogrzebie. Woły).

1897.

Odpowiedź na zapytanie »Cyklisty« »co myśli i sądzi o rowerze, cyklistach i cykliźmie wogóle?« — »Cyklista«, tygodnik ilustrowany sportowi cyklowemu poświęcony, (Warszawa) nr. 1. str. 21 (artykuł p. t. Nasza ankieta literacka).

Liberum veto (podp. Poseł Prawdy):

I. Życzenie noworoczne. Tamże nr. 1.

II. Zwrot ku lepszemu, czyli ważna reforma dziennikarska. Ofiara »Przeglądu katolickiego« i jego warunek. Nominacja opiekuna. Kilka wspomnień dla objaśnienia solidarności prasy warszawskiej. Obwiązywanie rozsypanej beczki. Atak na Towarzystwo ogrodnicze. O czem nie należy marzyć i na czem można poprzestać. Tamże nr. 3.

III. Panorama Golgoty. Tamże nr. 5.

IV. Rozporządzenia rządu pruskiego przeciw Polakom. Krzyk uciśnionych. Brak jednego głosu w chórze skargi. Co to jest i jak powstała t zw. »partja dworska«, czyli stańczycy poznańscy. Milczący bankruci. Dwie miary. Ideja słowiańska i wszelkie ideje w archiwum naszych czasów. Inna moralność na każdej stacji. Wieloznaczność mowy ludzkiej. Tamże nr. 7.

V. Czcze pogróżki. Mniemana zemsta naszych kupców na handlarzach niemieckich. Jak się krzyczy a jak się robi. Czego trzeba, ażeby nie palić cygar austrjackich. Kontrabanda odwetowiczów. Zajęcze ścieżki. Walka o »polski kościół narodowy«. Dlaczego p. Suworin ciągle strzela a nigdy trafić nie może. Kiedy można prać bieliznę, regulować zegarki i zmieniać instytucje wiekowe. Wekslowanie cywilizacji za pomocą zwrotnic dróżniczych. Tamże nr. 10.

VI. Dla Mickiewicza. Tamże nr. 12.

VII. Antisemityzm. Tamże nr. 14.

VIII. Rozmyślania Wielkanocne. Tamże nr. 16.

IX. Rozrost plotki. Tamże nr. 18.
X. Naturalne instynkty i nienaturalne związki. Tamże nr. 20.
XI. Składki na pomnik Mickiewicza. Tamże nr. 22.
XII. Wyskok p. Franki przeciw Mickiewiczowi. Sekciarstwo najnowszej formacji. Fanatyzm jako siła bojowa i jako paraliż cywilizacyjny. Filozofja zaścianka galicyjsko-ruśińskiego. Wielkie duchy przed sądem wójtowskim. Rocznica zgonu Moniuszki. Czem są gienjusze dla narodów. Tamże nr. 24.
XIII. Nabliudatiel o oświacie naszego ludu. Wybrane przez niego żywioły na tem polu. Czy nasz lud czyta książki, podniecające go do buntu. Urzędowy regulator. Prosta formuła postępowania. Wskazówki z doświadczeń poczerpnięte. Idealny konserwatysta. Uczczenie Adama Pługa. Tamże nr. 26.
XIV. Opadające liście. Tamże nr. 37.
XV. Obywatele w literaturze. Tamże nr. 39.
XVI. Polityczne Consilium facultatis. Tamże nr. 41.
XVII. Polemika. Tamże nr. 44.
XVIII. Dary pp. Wawelberga i Rotwanda. Tamże nr. 46.
XIX. Nowy talent. Tamże nr. 48.
XX. Wystąpienie Mommsena. Tamże nr. 50.
XXI. Najwyższe przykazanie i jego spełnienia. Tamże nr. 51.

Hrabia P. Szuwałow (b. p.). Tamże nr. 3.
Książę A. Imeretyński (b. p.). Tamże nr. 3.
Dobrze zasłużony los (b. p.). Tamże nr. 11.
O Chałubińskim (b. p.). Tamże nr. 11.
Edward Jelinek (Wspomnienie pozgonne) (b. p.). Tamże nr. 12.
M. Szołkowski (Wspomnienie pozgonne) (b. p.). Tamże nr. 23.
Naród dla Mickiewicza (b. p.). Tamże nr. 31, 32.
Adam Asnyk (nekrolog) (b. p.). Tamże nr. 32.
Kornel Ujejski (Wspomnienie pozgonne) (podp. H.). Tamże nr. 40.
Stanisław Rzętkowski (Wspomnienie pozgonne) (b. p.). Tamże nr. 42.
Od Redakcji (b. p.). Tamże nr. 49.
Rocznica grottgerowska (b. p.). Tamże nr. 51.*)

Aleksander Świętochowski, Pisma. II. Obrazki powieściowe. Kraków, G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Spółka Nakładowa. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. 172 stron. (Treść: Tragikomedja prawdy: I. On i ona; II. Z pamiętnika; III. Sam w sobie; IV. Moja głowa; V. Klub szachistów; VI. Ona. Testament Alego. Starzec i dziecię. Cholera w Neapolu).

Aleksander Świętochowski. Pisma. III. Bajki. Kraków, G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Spółka Nakładowa. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. 160 stron. (Treść: Krajobrazy. Dwugłos miłości. Lew kamienny. Wesele Satyra. Hymn niemych. Strachy Pentelikonu. Dafne. Dwa widma. Dwaj filozofowie. Nad grobem. Asbe).

Zebrał i ułożył

Warszawa. *Stefan Demby.*

*) Od r. 1891 zamieszcza również artykuły drobne w zbiorowym fejletonie »Prawdy« p. t. »Pamiętnik«.



GRAJEK.

Iskądże tobie twoja piosenka?
Powiedz, dziecino,
Skąd ci się wzięło
To granie?
Skąd ci to płyną
Trele
Takie radosne,
Jak na wesele,
Takie żałosne,
Jak na skonanie,
Jak na ostatnią godzinę
Blask ten gromnicy
Smutne,
To znów, jak dziewki na wieczornicy,
Bałamutne,
Albo znów, jak ten dzwonek
Na Anioł Pański
W kościele,
Jak ten skowronek
W polu, pobożne —
O Jezu!
Takie pobożne, święte!...
Skąd ci ta piosnka,
Powiedz, skąd wzięte
Te trele,
Że, jak korale w sznur nanizane,
Nagle zerwane,
Sypią się z skrzypek...
Skąd ci te cuda,
Powiedz, Jasiu — nieboże?

Skąd ci te cuda?
To granie?...
Anim ja tobie
Tak nad kołyską
Kiedy śpiewała....
Anim modliła
U tej Najświętszej naszej Panienki
Na niebie
Takiej piosenki...
Anim ja ciebie
Nosiła,
Gdyś był maleńki,
Do baby
Na czary, na zamawianie...
Anim wieszała
Tobie u głowy
Ziół
Święconych w kościele...
Anim w kąpiele
Sypała
Dziewanny płowéj
Z rozchodnikiem
I lebiodką wpół...
Anim nosiła
Ciebie po rosie w świtanie...
Anim znalazła ci promienistej
Paproci w świętym Janie...
Anim ja przecie
Do organisty
Ciebie wodziła,
Że on sam nawet nie może
Tak pięknie...
Mój Boże!
Tak pięknie
Że serce mięknie
Na ono granie...
I skądże ci, dziecię,
Ta siła,
Skąd ci te cuda,
Powiedz, Jasiu — nieboże?

— Jakżeż nie mam grać, matulu,
Jakżeż nie mam grać?

Kiej mi wszystko tak dokoła
Śpiewa,
Jak te organy
W kościele, —
To na wesele,
To na tęsknotę.
Zioła,
Drzewa,
I ten w skiby zaorany
Szmat ziemi,
I te łany,
Te łany nasze złote
Z oczyma bławatkowemi,
I te kaczeńce na wodzie,
I te kiście,
Te bzowe, w ogrodzie,
I ten wiatr jesienny,
Co liście
Strząsa wśród boru,
I nawet te mrozu kwiaty
Świecące,
I te białe płaty
Lecące,
Kiedy śnieg prószy...
O Jezu! wszystko śpiewa,
A mnie w duszy
Coś do wtoru
Zaraz gra,
Hej! gra...

— Jakżeż nie mam grać, matulu,
Jakżeż nie mam grać?
Kiej wokoło takie granie,
Taki śpiew?
Hej!... szedłem ci ja raz
W świtanie
Przez ten ciemny las,
Przez ten zielony...
Szumiał wiatr i giął
Korony
Wysokich drzew
Jak trzciny,
I szumiały mu do wtóru

Drzewiny,
A dziwny z tego chóru
Płynął śpiew
Po lesie.
Skarżyły się w nim drzewa
Na długą noc
Żałośnie:
„Kiedyż wichru moc
Chmury rozniesie?“
A wicher dął: „Niedługo,
Niedługo czekać wam:
Rozedrę chmury,
I słonko z góry
Złocistą strugą
Zabłyśnie!
Patrzcie, tam
Już dzionek rośnie!“...
I zakiwały
Głowami sosny,
I zaszumiały;
Las uderzył cały
W poranny śpiew
Radosny...
Ślicznościż to był śpiew!
Jeszcze mi w duszy gra,
Hej! gra...

— Jakżeż nie mam grać, matulu,
Jakżeż nie mam grać?
Kiej naokół takie granie,
Taki śpiew?
Hej!... jakem ci ja raz
Siwe konie pasł
Na polanie,
Na tej nad Bystrzycą,
Była noc,
Taka gorąca
Miesięczna noc,
Kiej to gwiazdki tracą
Blask swój cały,
Całą moc,
I takie blade świecą,
Jakby się bały

Miesiąca.
Skądciś wietrzyk szedł
Leciutki,
Ciepły taki
Nocny wiew...
I tataraki
Nad brzegiem, i niezabudki
Poruszył, że zaszemrały
I uderzyły w śpiew,
Chyląc się nad rzeką:
„Płyniesz, wodo, w dal
W obcą stronę,
Jak ci nas nie żal
Choć trocha,
Jakże ci nie żal?
Rzucasz wszystko, co rodzone,
Rzucasz wszystko, co cię kocha,
Rzucasz nas,
Płyniesz w obcy świat.
Tam inaczej wicher szumi,
Tam inaczej szepcą drzewa
W dąbrowie;
Innym głosem mówi jar
I las;
Nawet sierp, co ścina zboże
Na polu,
I ten nawet po naszemu
Nie może...
Kto cię, rzeko, tam zrozumie,
Kto ci zaśpiewa?
Ni tam krzew, ni kwiat
Odpowie
Na twej fali gwar!“...
A fala, nucąc, za falą skacze:
„Hej, płynę w dal!
Z dalekich mórz
Ja do was już
Nie wrócę!“
Tatarak śpiewa:
„Pęknie mi z bolu
Serce junacze,
I zwiędnę młodo —
Tak mi cię żal!“

A niezabudka: „Ja swe błękitne
Oczy wypłaczę,
Tak mi cię, wodo,
Żal,
Tak żal!“
A cichy wiatru wiew
Za szumem fal
Niósł w dal
Ten śpiew...
Ślicznościż to był śpiew!
Jeszcze mi w duszy gra,
Hej! gra...

— Jakżeż nie mam grać, matulu,
Jakżeż nie mam grać?
Kiej naokół takie granie,
Taki śpiew?...
Hej!... szedłem ci ja raz
Przez pole
Pod dnia konanie,
Pod ten cichy czas,
Kiej to Anioł Pański
Chodzi po ziemi
I skrzydły białemi
Promyki słońca
Zbiera na niebie
I tuli do siebie,
A potem składa
Hen daleko,
U tego końca,
Gdzie niebios dzwon
Łączy się z ziemią —
I cicho drzemią
Całą noc
Promyki słońca
Pod jego opieką,
Aż zbudzi je on
Na nowy dzień,
Na nową moc..
Był taki
Cichy
Zmierzchu czas,
Ostatni już na niebie

Promień gasł,
Szedłem przez pole
Miedzą,
A ze mną szedł
Wiatru wiew
I zginał kłosy
Płowych żyt,
Modraki,
Kąkole,
I maki,
Co w życie siedzą,
A łan szemrał cały.
Skarżyły się żyta
Żałośnie
I przemawiały
Do matki:
„Na coś nas rodziła.
Ziemio czarna,
Na coś nas rodziła
W ten głodny rok?
Ni w tobie siła,
Ni sok.
Wyrósł ci siew
Taki rzadki,
Że niebo świeci
Między kłosami,
A każdy kłos,
Dolo marna,
Ino włos,
Ino ości,
I garść plew
Zamiast ziarna!“...
A ziemia zawodzi:
„Dzieciż wy, dzieci,
Jaż-bym wam nie dała
Żywności?
Jaż-bym wam skąpiła?
Inobym miała,
Inobym miała sama!
To mróz mnie warzy,
To deszcz zlewa zdroje,
To słońce żarzy;
Co rok rodzi łono moje,

Co rok,
A skąd mi siła,
Skąd sok?
Czyto ja pańska,
Czyto ja pańska gleba?
Czyto mnie jak trzeba
Nakarmi kto, zaorze?
Mój Boże!
Choćby chciał
Nie może,
Nie wie jak,
Oj nie wie...
Skąd mi siła,
Skąd sok?"...
Tak
W cichy zmrok,
Pod dnia konanie,
Ziemia się skarżyła;
Na całym łanie
Szemrały kłosy,
Modraki,
Kąkole,
I maki,
A wiatru wiew
Przez pole
Niósł cichy śpiew
W niebiosy.
Ślicznościż to był śpiew!
Jeszcze mi w duszy gra.
Hej! gra...

Jakżeż nie mam grać matulu,
Jakżeż nie mam grać?
Kiej naokół takie granie,
Taki śpiew,
O Jezu! taki śpiew,
Że ci nie trza umieć wcale,
Ino ci brać,
Ino ci brać te tony
I nizać jak korale
Na strony,
To potem w skrzypkach samo gra,
Hej!... gra...

Lublin. *Franciszka Arnsztajnowa.*



Oddech Brahmy.

Z nieskończoności przestworza,
Z toni, co oczom zakryta,
Z cichego wieczności morza
Niebieski lotus zakwita.

Dla Brahmy usłał podnóże
Z listków swojego kielicha,
Tam on, panując naturze,
Wiecznością bytu oddycha...

Tchnął Brahma — a z jego tchnieniem
Martwa porusza się fala,
Ożywczym bytu płomieniem
Słońca po słońcach zapala.

Wirują kosmiczne pyły...
W świetlanym pędzą błękicie...
Pod tchnieniem Brahmy ożyły
I w przestrzeń roznoszą życie.

Roją się istot mrowiska....
Typ nowy dawne zaciera;
Wraz z myślą, co w mrokach błyska
Ludzka poczyna się era.

Narody, plemiona, rasy,
We krwi, pożodze i dymie,
Wchodzą ze sobą w zapasy,
Budują państwa olbrzymie....

PRAWDA

Te znów znikają bez śladu,
Choć świata kreśliły dzieje;
Na gruzach dawnego ładu
Nowy porządek jaśnieje...

Wciąż życia powierzchnią świeżą
Drga obszar w ruch wprowadzony...
A światy trwanie swe mierzą
Na długie wieków eony....

W tem wciągnął oddech w swe łono —
Dzień światów dobiegł do końca —
Wszystkie kolejno w Nim toną
Zamarłe ziemie i słońca.

W proch padły wszystkie potęgi:
Noc głucha ciszą grobową
Pokrywa istnienia kręgi....
Dopóki nie tchnie na nowo!

Kraków. *Adam Asnyk (El...y).*[1])

[1]) Zmarł w Krakowie dnia 2 sierpnia 1897 r.



W zaczarowanem kole.

Motto: Na tle psychopatycznego usposobienia występują czasami tak zwane idee natrętne. Wyobrażenie pewnego czynu z nakazującą działanie mocą narzuca się świadomości chorego tak, że pomimo silnego oporu nie jest on w stanie przezwyciężyć chorobliwego impulsu.

»Psychiatrie« Dr. E. Kraepelin, str. 126.

I.

... I naraz zacząłem mówić...

Przewidywałem to już oddawna, że powiem mu wszystko; napawałem się już naprzód szalonem wrażeniem tego niespodziewanego odkrycia; wyobrażałem sobie z rozkoszą, jak ta gładka i dystyngowana twarz wysokiego urzędnika przekrzywi się bólem i wściekłością; byłem przygotowany nawet na to, że ta arystokratyczna ręka o długich białych palcach w pierwszej chwili pochwyci mnie za gardło. O, ja rozumiałem doskonale całą dzikość tego wyznania, pojmowałem fatalne jego skutki; wiedziałem, że jedno słowo z moich ust zatarga naraz życiem wszystkich nas trojga, wiedziałem, że ziemię otworzy pod naszemi nogami. A jednak musiałem powiedzieć!

Już od miesiąca ta przewidywana rozmowa nie dawała mi spokoju. Pośród nocy bezsennych zawczasu obmyśliłem wszystkie szczegóły tej opowieści. Zrywałem się z łóżka, gorączkowemi krokami chodziłem po pokoju, odgrywałem niemal naprzód całą tę scenę, mówiąc głośno za siebie i za niego.

Dni świtające po tych nocach męczących, jasnością swoją przywracały jasność mojej myśli. Widywałem panią Dorę przy jego boku — i powracała mi świadomość położenia. Prawda, że i wówczas chorobliwy impuls nie znikał, ale obecność jej dodawała mi sił — i całą resztką zdrowej woli hamowałem szaloną potrzebę powiedzenia mu wszystkiego.

Lecz oto dzisiaj nareszcie znaleźliśmy się sami. Ona wymówiła się bólem głowy od przechadzki i pozostała z córeczką w domu. On zaproponował mi wycieczkę do doliny Rauenthalskiej, na co zgodziłem się z ochotą. Miałem nareszcie tę wyczekiwaną sposobność *uwolnienia się* od dręczącej mnie idei, pozwalając jej działać!

Znaleźliśmy się sami — i do tego w godzinie wieczornej, kiedy czas mojego paroksyzmu nastawał. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, przy drewnianym

stole, w małej niemieckiej gospodzie, do której przez okna półokrągłe wpadała jasność księżyca. W bladem świetle wyraźnie rysowały się kształty rozstawionych w pośrodku dębowych stołów i stołków o wycięciach w staroniemieckim stylu. Doskonale można było rozróżnić niezgrabne sylwetki żołnierzy i wodzów na bohomazach, porozwieszanych gęsto po ścianach, a przedstawiających zwycięstwa Blüchera i Bülowa nad wojskami Napoleona. Tylko w kącie umieszczony bufet, zastawiony jadłem, i szafy oszklone, pełne butelek, tonęły w zmierzchu. Za bufetem, w cieniu niejasno odznaczała się postać gospodarza, zagłębionego w fotelu, przybranego w gruby kaftan, mimo pory letniej i w haftowaną paciorkami czapeczkę, która zsunęła się w tył, obnażając ogromną łysą głowę. Spał snem istoty, oddzielonej od świata wieńcem gór, zadowolonej z jednostajnego i spokojnego żywota, liczącej, może i w sennych marzeniach, kapiące za reńskie wino fenigi. Miarowe jego chrapanie oraz brzęczenie jakiejś bezsennej muchy mąciły z lekka ciszę panującą w gospodzie.

My bowiem obydwaj, znużeni przechadzką, która przeciągnęła się nadspodziewanie długo i wyczerpani ogólną dyskusją o sztuce malarskiej, której ja byłem adeptem, a on niezmiernym zwolennikiem — milczeliśmy już przeszło kwadrans cały.

O czem on myślał? — nie wiem. Zapewne o niczem. Miał tę drażniącą mnie spokojną minę człowieka, absolutnie zadowolonego z siebie i z życia. Ba, był bogaty, należał do „dobrego towarzystwa“, miał za żonę najpiękniejszą i najmilszą kobietę, jaką wymarzyć można, był ojcem prześlicznej sześcioletniej córeczki, piastował wreszcie w kraju wysoki urząd, który zapewniał mu wpływy, dochody i poważanie. W tej chwili rozpierał się na krześle w wygodnem położeniu człowieka, który spędza czas ferji w kąpielowem miejscu, po części dla podreparowania z lekka rozstrojonych nerwów żony, po części dla przyjemności i odpoczynku. Przypatrywałem mu się, jak od czasu do czasu podnosił do ust rznięty kieliszek z zielonego szkła i popijał z pobłażaniem to najlepsze wino Rauenthalskie, uśmiechając się do naszej dzisiejszej „awanturniczej“ wycieczki, która sprowadziła go o tak spóźnionej porze do nędznej wiejskiej gospody. Nawet przy blasku księżyca widać było, że jego delikatną bladą twarz pokrywa w tej chwili rumieniec zadowolenia z fizycznego ruchu, doznanego podczas przechadzki i z żywej dyskusji, która dała mu sposobność popisać się przedemną w szeregu dowcipnych zdań dość znaczną znajomością malarstwa.

Przypatrywałem mu się, jak gdybym go po raz pierwszy widział. Zda się, nie mogłem oderwać od niego oczu. A w mózgu moim, jak natrętna mucha, brzęczała ciągle jedna myśl, że cały ten pałac zadowolenia mogę jednem słowem zburzyć, i że słowo to zaraz, za chwil parę, może wypowiedzianem będzie. Czułem, jak krew mi przypływa do serca, jak po nogach moich i rękach przebiega dreszcz delikatny.

W tem on poruszył się i rzekł:

— Myślę, że czas powracać. Do Schlangenbadu stąd będzie zapewne dwie godziny drogi. Zaledwie zajdziemy po północy.

I wziął do ręki kieliszek, aby opróżnić go do dna.

A w owej chwili ja przemówiłem!

Jakkolwiek już od miesiąca spodziewałem się, że przemówię, jakkolwiek liczyłem, że to zapewne tego wieczora nastąpi, jakkolwiek już od paru chwil czekałem własnego odezwania się, tem niemniej przeraził mnie i zadziwił dźwięk tych słów, które nagle zerwały się z mych ust i zaszumiały w powietrzu:

— A czy pan wiesz, że pańska żona jest moją kochanką??!...

Na te wyrazy, powiedziane równym i napozór spokojnym tonem, ten człowiek zatrzymał w powietrzu kieliszek, spojrzał na mnie, jak patrzy ktoś, kogo budzą z twardego snu, poruszył wargami, chciał coś powiedzieć, potem postawił kieliszek na stole i, nie wypuszczając z ręki, odezwał się wreszcie zmienionym głosem:

— Czyś pan oszalał?!

I wtedy opanowała mnie szalona chęć śmiechu i szalona potrzeba wygadania się — i począłem śmiać się i mówić zarazem.

— A tak, tak, jest moją kochanką! Kochamy się wzajemnie, kochamy się gorąco, kochamy się od dawnego czasu, od tej chwili jeszcze, kiedyś mnie pan wezwał do zrobienia jej portretu. Pamiętasz pan? w Warszawie, na Hożej, w tem mieszkaniu, gdzie okna dawały takie złe światło... Ale portret pomimo to wyszedł doskonale. Pan sam mówiłeś, że uchwyciłem wybornie „niewinny wyraz twarzy tego dużego dziecka“...

Jakto, nie pamiętasz pan?!... Dlaczego na mnie tak patrzysz?!... A, pan mi nie wierzysz?!.. Oszalałem?!... Powiadasz pan, że ja oszalałem!... Dlaczego? dlaczego?... Cóż to pan sądzisz, że pańskiej żony kochać nie wolno?!... Wolno! wolno!... Kochać! uwielbiać! szaleć za nią!... Sto mężów temu nie przeszkodzi, tysiąc kodeksów, miljon obyczajów!

Pan zachwyca się jej oczami?... I ja także! Pan sądzisz, że ja się na tem nie znam?... Hola, mój panie, ja — malarz!... pan rozumiesz co znaczy: „malarz“? Jej oczy są dla mnie stokroć błękitniejsze, niż dla pana! Pan mniemasz, że oceniasz dokładnie złocisty połysk jej włosów, różowy puszek jej rumieńca, delikatne linje jej szyi... Fałsz! fałsz wierutny!... Z całą swoją znajomością malarstwa pan jesteś profan, profan, profan! Chciałem to panu już dawno powiedzieć, ale wstrzymywałem się. Lecz teraz nie potrzebuję się powstrzymywać. Myśl jest wolną, słowo jest wolne, nie zadusisz ich pan, nie masz do tego prawa, żadnego prawa, słyszysz pan, żadnego! Nie błyskaj pan tak oczami, nie patrz tak na mnie, bo ja tego nie znoszę! Ha, pan sądzisz, że ja się pana boję! Otóż wcale, wcale nie! Nic a nic! Mogą się pana bać inni, wszyscy, wszyscy, cały świat, tylko nie ja; ja jeden — nie! I jeśli nie mówiłem panu dotąd o tym stosunku, to nie przez tchórzostwo, bynajmniej — nie pochlebiaj pan sobie! — ale oszczędzałem ją, tylko ją, jedną Dorę. Sły-

szysz pan? powiadam: „Dorę“, a nie „panią Dorę“, bo ja ją Dorą nazywam, drogą Dorą, piękną Dorą, kochaną Dorą... Pan mówisz: „Dorciu! Dorciu!“ Nie znoszę tego twojego: „Dorciu“. Dość się już tego nasłuchałem! Mógłbyś pan być względniejszym, kiedy jestem przy was...

Ha ha ha! pan zgniotłeś kieliszek w ręku?! Czego pan chcesz od kieliszka?! Próbuj zgnieść mnie, zgnieść naszą miłość!...

Uważaj pan: krew ci idzie z palców; weź swoją chustkę i zatamuj.... Mojej ci nie dam... za gruba dla pana, nie batystowa!...

Ach, schowaj pan już tę rękę! Powiadam panu: schowaj! Na pańskim palcu jest złota obrączka. Tą obrączką przykułeś pan żonę na wieki. Ja tej obrączki nienawidzę!... Co mi ją pan zawsze prezentujesz?! Dlaczego zawsze tą ręką podnosisz kieliszek! Pan myślisz, że ja tego nie rozumiem?! Masz jeszcze drugą rękę... Nie możesz tamtej używać!...

Co? co? co pan mówisz?... „Wstać?“ „Przejść się?“ „Moje nerwy?“ „Chory jestem!?“

Ha ha! patrzcie: ten człowiek gniecie kieliszek, kiedy mu mówią o jego żonie, a jeszcze nie wierzy! Zaprawdę, zaprawdę, takich rzeczy mężom się nie opowiada. To podważyłoby powszechne prawo obłudy, na którem opiera się życie towarzyskie...

Tak, tak, masz pan słuszność... Muszę być szalonym, warjatem... fantazjuję, mam hallucynacje, zmyślam... Zwarjowałem z nieszczęśliwej, nieodwzajemnionej miłości!... Ha ha ha!...

Ale dlaczego to ma być zmyśleniem, dlaczego?! Czy to, co mówię, wygląda tak nieprawdopodobnie! Powiedz pan, kto taki jesteś, że musisz być kochanym wiecznie?! Porównaj się choćby tylko ze mną. Brak ci mego talentu, mojej młodości, mego zapału, wszystkiego tego, co podsyca miłość w kobiecie...

Wewnętrznie może i nie jesteś suchy, ale wyglądasz na suchego — a to wystarcza! Ja sam otwierałem oczy twojej żonie na tę suchość... ja sam!

Ja wiem, że pan kochasz żonę i dziecko, kochasz po swojemu, niewidocznie i milcząco, ale co to mnie obchodzi! Ja bronię swojej miłości, bo ona mi do życia potrzebna, a ja także chcę żyć i mam do tego prawo! Walka o byt jest równie walką o miłość, a kto w niej zwycięża, ten lepszy!...

Tak, mój panie! Walka o kobietę nie kończy się ślubem; ślub nie jest zwycięstwem ostatecznem. Kobieta — to nie dom, na który masz kontrakt w kieszeni, to nie grosz, który zamknąłeś w swojej kasie żelaznej. Kobieta — to ciało, w którem grają żądze, to dusza, co jak ptak rwie się w powietrze. Węzłami ślubnemi nie zniewolisz jej na zawsze; zrywają się one. Możesz przykuć ją tylko łańcuchem miłości, ale łańcuch ten musisz kuć ciągle, kuć każdej chwili, — czynem, który oślepia, ideą, co chwyta za serce, każdym łagodnym uśmiechem, każdym rozumnym wyrazem!... Nie zasypiaj w szlafroku mężowskim, nie uciekaj w wolnych od pracy chwilach z domu, nie zagłębiaj się nigdy o tyle w robocie, abyś nie mógł od niej oczu oderwać i zwrócić

ich przyjaźnie na żonę; kryj przed nią swe wady, jak kryjesz je przed gościem, nie stawaj się dla niej powszednim — albo uczyń to wszystko, lecz wiń siebie samego, gdy ją oderwie od ciebie inny, z którym, choćby przez chwil parę, nie wytrzymasz porównania w jej sercu!...

Chcesz pan przeczyć?... Milcz, nie przerywaj mi, bo zapomnę, co mówię. Już i tak mi się miesza w głowie... Poczekaj pan... co ja mówiłem?... Aha!... że pan wyglądasz na człowieka suchego, jakkolwiek możesz nie być bez serca. Zawsze równy, spokojny, poważny... na wszystko patrzący z wysoka... uśmiechający się nawet stereotypowym uśmiechem pobłażania... wyglądasz pan jak wcielona poza!

A takiej kobiecie, jak Dora, potrzebny jest inny wcale mężczyzna. Jej trzeba życia, światła, ciepła. Jej trzeba ruchu i wdzięku, wrzenia krwi i drżenia nerwów. Ona umie czuć, czuć prawdziwie głęboko...

Pan ją nazwałeś dzieckiem! Własnej żony nie znasz, ani na źdźbło jej nie rozumiesz! Skoro panu przy niej dobrze, mniemasz, że i jej tak samo przy tobie. O, co za próżność! jaka zarozumiałość; żywić przekonanie, że takiemu motylowi dobrze jest na takim krzaku uschłym!...

Nie obruszaj się pan... Powiem ci więcej, bluzgnę ci w twarz tem, co mnie dawno dusi: ja pana nie znoszę z temi uczesanemi gładko bokobrodami, z tą przedziałką w pachnących przerzedzonych włosach, z temi wykrochmalonemi mankietami, z tym długim eleganckim krawatem... nienawidzę pańskiego angielskiego garnituru!.. Dlaczego się pan tak stroisz?! Pan może sądzisz, że żona jest zachwycona pańską wspaniałą postawą. Śmiejemy się z pana, rozumiesz pan, śmiejemy się!...

Może pan myślisz, że kłamię. Niech i tak będzie! Jeżeli nie śmiejemy się na głos, to śmiejemy się w duchu. Oszczędzamy pana przez delikatność!...

Tak, czy owak, ona tylko dla dziecka żyje z panem, bo pan-byś go jej nie oddał. Ona wie, że pan kochasz Helenkę, i ceni to w panu. Zresztą lituje się nad panem; żal jej chmurzyć tę pańską twarz zadowoloną; ale mnie nie żal, mnie wcale nie żal! Bo ja mam do pana tysiąc pretensji i jednę największą, że nie mam prawa mieć żadnej...

O, tak! tak! tak!... chwytaj się pan za głowę! Cierp pan, cierp! Pan myślisz, że ja nie cierpiałem? Biłem głową o mur, biłem, jak młotem. A ona! ona! — czy pan widziałeś jej łzy, jak ja je po tysiąc razy widziałem? Co pan wiesz o jej nocach bezsennych, — pan, który spisz w tej samej sypialni, spisz jak ten niemiec za bufetem!...

Ha! ha! ha!... jak pan zabawnie jęczysz! Dobrze, dobrze... Dawno już ci się to należało...

Czy to być może?!... Pan jeszcze pytasz, „czy to być może?!“ Więc pan wciąż jeszcze myślisz, że masz do czynienia z warjatem? Otóż ja panu pokażę, że nim nie jestem. Ja panu mogę dać dowody!...

No! no!... puść mnie pan!... Słyszysz?! Wpijasz mi paznokcie w rękę. To gwałt! Pan nie masz prawa do gwałtów! Jeszcze pan tak daleko nie za-

Biblioteka

szedłeś!... Czego tak krzyczysz? Masz obrzydliwy, chrapliwy głos... Obudziłeś gospodarza... patrzy na nas. Ten komiczny szwab nie rozumie nic, ale widzi wszystko... Pan, taki gładki człowiek, nie wstydzisz się urządzać burdy w gospodzie? To nie wypada dla pana, to gminne!... No, puśćże pan! Mogę panu służyć na szpady, na pistolety...

Aha, puściłeś!...

A może pan jesteś *antiduelantem*, bo to przecież wbrew prawu... Hę?... No, to urządzimy sąd polubowny... Ha ha ha!... A może pan lepiej pójdziesz „określonym porządkiem"? Przestąpiłem paragrafy prawne... Poleć to pan zbadać sędziemu śledczemu... Ha ha ha!...

Nie wołajże pan tak: „dowody", bo doprawdy ten niemiec gotów nas wyrzucić... Dam, dam, dam je, tylko nie powtarzaj, jak szpak, tego słowa. Czyś pan wszystkich innych wyrazów zapomniał?...

Już, już, zaraz... Ale uważaj pan, że zmuszasz mnie do zdradzenia jej tajemnicy. Prawda, że to w części i moja tajemnica, więc mam prawo ją odkryć... Ale z drugiej strony... Nie niecierpliw się pan tak mocno, daj skończyć; nigdy nie dowiesz się o tem zbyt późno...

A więc po pierwsze... po pierwsze...

Ach, pan sądzisz, że ja mogę opowiadać w porządku! Mnie się wszystko teraz w mózgu miesza. Czuję dziwaczny taniec idei w głowie. I teraz ja z kolei pytam: czy to wszystko prawda, czy też jestem tylko warjatem! Bo czy to może być, aby na jednej i tej samej ziemi istniały dwie tak różne istoty, jak ja i pan, aby dwie te istoty kochały akurat jednę i tę samą kobietę, aby takich kobiet nie było więcej, tylko ta jedna, jedyna, jakby przez złość, jakby przez żart natury! Wszak tyle ich, pięknych, młodych, szlachetnych, a żadna nie jest Dorą, tylko ta jedna, którą akurat pan musiałeś wziąć za żonę!... Ach, i po co pan to zrobiłeś, po co, po co?

Ach, *pardon*, *mille pardons*, *monsieur*, ja mieszam się do pańskich spraw prywatnych... zbaczam od przedmiotu... nieprawda?... A pan wciąż jeszcze o te dowody...

Dobrze, dobrze, doskonale!...

Czy pan pamiętasz tę chwilę pewnego grudniowego wieczoru roku zeszłego, gdy wszedłszy do pokoju żony, zastałeś ją czytającą jakiś list. „Co to za list? — zapytałeś pan, wyciągając rękę. A żona pańska — widzisz pan, jak ja to wszystko wiem, wiem od niej — odpowiedziała ci żywo: „od kochanka!" i wybuchnąwszy wesołym śmiechem, podała ci papier. A pan zaśmiałeś się również i z miną człowieka pewnego siebie, ufnego, że go nie zdradzają, że go zdradzić nie mogą, królewskim ruchem wrzuciłeś ten list do kominka.

O, to było piękne, to było nawet szczytne!... Ale dlaczegoś pan tego listu poprzednio nie odczytał?! Dowiedziałbyś się, że pisujemy do siebie już dawno, że ten portret malowałem nie bez przyczyny tak długo, że go psułem kilkakroć umyślnie i podejmowałem pracę na nowo, abyśmy mogli najczęściej

i najdłużej przebywać razem, że wymienialiśmy pomiędzy sobą najczulsze wyrazy, że zbudowaliśmy już sobie jeden wspólny świat, świat marzeń, uczuć, idei, świat tęsknoty, pragnień, ciepła, w którym ty istniałeś już tylko jako groźny i przykry cień, jako ciągła zawada, o którą rozbijał się nasz poryw do szczęścia. I takiego listu nie czytać, taki list wrzucać do ognia! Dać się złapać na stary figiel z powieści Dumasa. *Qui vive?* Mazarini!... Ha ha ha!

Sykaj pan, sykaj... Uważasz pan: kobietom wierzyć nie można. Najlepsze z nich najlepszemi są aktorkami. Najuczciwsze, skoro raz się poślizgną, tak odrazu wchodzą w rolę, jakby całe życie poprzednie odbywały ciągłe z niej próby. Fałsz ich rośnie wraz z ich włosami, ale przerasta najbujniejsze. Spuszczają oczy niby-to przez skromność, a właściwie dlatego, abyś żądz w ich spojrzeniach nie wyczytał. Natura dała im dar ratowania wątpliwych sytuacji. Najwyżej zarumienią się, ale nie zająkną się nigdy, nigdy, nigdy!...

Ale nie!.. nie!... nie!... Nie wołaj pan: „nikczemna"! — posłuchaj mnie jeszcze... Nazajutrz zastałem ją we łzach, skruszoną, zgnębioną. Oczy miała zaczerwienione, twarz bladą po nocy nieprzespanej. Cofała przedemną ręce, cofnęła twarz, gdym chciał jej dotknąć ustami. Zakrywszy rękoma oczy, opowiedziała mi co zaszło dnia poprzedniego. Brzydziła się sobą, nazywała się nikczemną, przewrotną, miłości niegodną. Chciała zerwać wszystko, bo wstydem ją palił dowód twojej ufności.

Ale ja, naturalnie, nie dopuściłem do tego.

Broniłem ją przed nią, powoływałem się na prawa miłości, chwaliłem z zapałem jej spryt i dowcip, który ocalił wszystko, zasłoniłem jej sumienie; a przecie wewnętrznie brzydziłem się sobą, brzydziłem się jej postępkiem i mimowoli wielbiłem twoją szlachetną i wzniosłą ufność. Tak, oddawałem ci sprawiedliwość... ale od tej pory począłem cię nienawidzieć, boś ty mnie zmuszał gardzić sobą... i nią także...

Tak, tak, to ty byłeś reżyserem tej nizkiej komedji, którą zmuszeni byliśmy grać oboje... wszystko mi jedno, że nieświadomym i mimowolnym. Bo w tobie uosobiły się dla mnie wszystkie kłamane prawa świata, wszystkie fatalne konieczności społecznych stosunków, cała żelazna moc egoizmu męskiego, skazującego kobietę na nicość. Ona nosiła tylko dziedzictwo braku woli i słabości niewieściej.

I oto zostałem wciągnięty w te tryby żelazne, wciągnięty z nią razem. Rozkoszny jej uśmiech i słodycz jej ust starczyły mi za całą moralność. Nie zabrakło mi podłości, zdrady dla wyrównania podłości twoich praw i podłości jej obowiązków. Uspakajałem sofizmami jej i swoje sumienie, ale w sofizmach moich była prawda uczucia, gdy prawda waszych ustaw jest mrokiem i lodem...

Oszukiwaliśmy ciebie, oszukiwaliśmy z bezczelną chytrością. Całowaliśmy się niemal za twojemi plecami. Echo twoich kroków, gdyś dochodził, mieszało się z echem naszych pocałunków. Kiedyś wracał, podawałem ci rękę, którą zaledwie zdążyłem odjąć od jej kibici. Przy tobie, w obecności twojej, wymienialiśmy czułe wyznania oczami. Śmiałość naszej zdrady bawiła nas oboje...

Zaciszkasz pięści?! — Poczekaj!... nie powiedziałem jeszcze wszystkiego... Ha, ha, ha! co najciekawsze zostawiłem na sam koniec.

Wyjeżdżaliście do wód, do Schlangenbadu. Trzeba było panią Dorę leczyć. Teraz wiesz już pan, czemu jej nerwy były tak rozstrojone. O, taka miłość męczy, bardzo męczy! Te urwane spotkania, te niespokojne szepty, to ciągłe nasłuchiwanie twoich kroków, ta wieczna ostrożność, ten wieczny przymus przy tobie, gorączka pragnienia, bezsenne noce, tęsknota z dnia na dzień, to ciągłe życie w ciemności, życie chwilą, życie kradzionego szczęścia... o, jakie to okropne! Gdybyś to mógł zrozumieć, czułbyś się pomszczonym!

Wiedziałeś zdawna, że cierpię na rozstrój nerwowy, że miewam hallucynacje, że natrętne obrazy nasuwają mi się przemocą i nie dają spokoju. Współczułeś mi nawet. Wiesz teraz dlaczego i ja w ostatnich dniach byłem bardziej chory niż kiedykolwiek.

Zaproponowałeś mi wspólny wyjazd, powołując się na to, że i wam obojgu „będzie przyjemniej“. Ha, gdybyś widział, jak pani Dora uśmiechnęła się na te słowa... Liczyliśmy na to. Znając ciebie, przepowiedziałem jej, że mnie zaprosisz. Byłeś moim mecenasem, protegowałeś mnie. Wiem dobrze, że sławę moją zawdzięczam bardziej twojej protekcji, niż własnemu talentowi. To prawda; ale ponieważ wiesz, że talent mam istotny, to może zrozumiesz dzisiaj, że to był jeszcze jeden powód mojej nienawiści ku tobie. Ty moim dobroczyńcą! We wszystkich innych warunkach odrzuciłbym twoją propozycję, rad byłbym, gdyby nas rozdzieliły przepaście, ale w tych — nie mogłem: Zabierałeś Dorę z sobą...

Nie dla malarskich studjów, nie dla naprawy zdrowia, nie dla przyjemnego przepędzenia czasu — dla niej, dla naszej miłości wyjechałem z wami... I siedzę tutaj, — i... przyjmuję pożyczki na rachunek przyszłych obrazów, któremi mam ozdobić twoje salony. I odwdzięczam ci się, odwdzięczam... bo twoja dobroć dusi mnie, dusi tu...

Posłuchaj... W Schlangenbadzie stałeś się naraz czułym małżonkiem. — Zapewnie i brak zajęć, zazwyczaj tak cię pochłaniających i zły stan zdrowia twojej żony — sprawiły, że zająłeś się nią tutaj bardziej niż zwykle i otoczyłeś ją tą troskliwością, której tak brakło jej dotąd, której ona tak potrzebuje, i której pożądając przytuliła się do mojej piersi gorącej.

Jeżeli dawniej twoja gładkość, twój spokój, nawet bezgraniczna ufność twoja, nadawały ci pozór suchego i obojętnego człowieka, zdolnego zaledwie do uczuć estetycznych, to teraz dopiero, tutaj, odkryliśmy naraz oboje, że i ty nosisz coś nakształt serca w piersi. Nie mówiliśmy z sobą o tem nigdy, ale wiem, że od tej chwili jeden i ten sam robak wgryzł się w nasze sumienie. Dawniej usprawiedliwialiśmy nasz stosunek tą twoją mniemaną suchością. Ona nie mogła być przy tobie szczęśliwą; żyła z tobą przez miłość dla dziecka, nie zrywała przez obawę skandalu, zresztą przez przyzwyczajenie. Ja okradałem cię z jej uczuć, bo zdawało się, że nie dbasz o nie. Stworzyłem niegdyś nawet całą teorję dla usprawiedliwienia tego życia we troje:

waszego życia — jawnych praw i obowiązków, naszego — skrytych cierpień i radości.

Ale teraz teorja ta zachwiała się wraz ze zmianą twojego zachowania się. Oddałeś się żonie i dziecku, nie opuszczałeś ich ani na chwilę i chociaż ja wiem, że to jest prosty mus tutejszego życia, konieczny wynik braku zwykłych zajęć i zwykłych twoich przyjemności, jednakże... jednakże musiałem ci przyznać, że stałeś się tem, co się nazywa w powszedniem życiu „dobrym mężem". Słabość Dory dała ci możność ujawnienia cieplejszych uczuć; skutecznie pomagałeś leczniczym warunkom miejsca — i wzmocnienie nerwów Dory jest poniekąd wynikiem twoich zachodów. Ona straciła powód do skarg, ja — prawo do pocieszeń.

Powtarzam, odkryliśmy w tobie kawałek serca — i jeden wstyd i jeden ból ogarnął nas oboje. Co do niej, czytałem to w błyskawicznych zmarszczeniach jej czoła, w nagłych bolesnych spojrzeniach, w mimowolnych a częstych wzdrygnięciach, które uchodziły mniej bacznych twoich oczu; co do mnie — ha, ileż-to razy policzkowałem siebie w moim pokoju za tę ohydną rolę, którą grałem wobec ciebie!...

Patrzaj pan... ja teraz mówię spokojniej. A wiesz pan: dlaczego? Ja musiałem ci to wszystko powiedzieć — i teraz lżej mi, bo po raz pierwszy od dawnego czasu nie kłamię przed tobą!

Posiadasz pan wiele cech dla mnie osobiście wstrętnych, a przecie... Twój wieczny spokój — mnie, co spokojnym być nie umiem, twoja pewność siebie — mnie, co ciągle chwieję się i błąkam, twoja siła woli — mnie, słabemu i kapryśnemu, wyznaję, imponowały zawsze. Drażniłeś mnie temi zaletami, sprzecznemi z moją naturą; ale musiałem cię szanować.

Tu chciałeś nauczyć mnie miłości dla ciebie. Kiedy widziałem, jak zajmujesz się Dorą, jak czule a stanowczo zabraniasz jej wszelkich szkodliwych dla zdrowia wybryków, jak podpierasz ją na przechadzkach, kiedy jest zmęczona, jak otulasz ją chustką, gdy chłodny wiatr powieje, — ach, gdyby to nie była Dora..., pokochałbym ciebie!

Ale, że to była Dora, oceniałem twoją dbałość o nią, ha! może i kochałem ciebie, ale równocześnie nienawiść ku tobie głębiej wzrastała mi w serce. Bo zaczynałem uczuwać, że zwolna wydzierasz mi grunt z pod nóg, że odbierasz mi swoją żonę, że ona, ta słaba kobieta, już żałuje i nieświadomie cofa się ku tobie...

I oto... ha, ha, ha!... podziwiaj teraz logikę wypadków i logikę uczuć ludzkich. Żona twoja opierała mi się dotąd zawsze. Opierała mi się pomimo całej swojej miłości. Umiała się oprzeć mimo słabość swoją... Tutaj, zdawało się, że nas oddzielisz na zawsze!

Ale właśnie dlatego, żeś nas oddzielił, że byłeś ciągle z nami, że już nie mogliśmy zbliżać się do siebie, nawet dla przelotnego pocałunku — mimo jej woli, a nawet wbrew jej woli, tęsknota rosła, pragnienia potęgowały się: w skrytych zakątkach duszy miłość dokonywała raz rozpoczętej pracy...

I wiesz...

Ach! czy pan słuchasz teraz, czy słuchasz uważnie? Bo tak jest ciemno, że nie widzę już twojej twarzy...

Gdzie się ten księżyc podział?! Ja nie wiem, co to jest, ale mnie się teraz strasznie robi. A ja muszę, muszę wszystko powiedzieć, bo ty byś myślał, że ja nie mam odwagi wyrzec prawdy. Ja muszę, ja chcę, ja powinienem wszystko powiedzieć... Potem niech będzie, co ma być!

W wąwozie — pamiętasz? — zgubiliśmy się oboje... Pan z małą pozostałeś w tyle... Pociągnąłem Dorę nieznacznie w bok i umyślnie zmyliłem drogę... Po paru tygodniach nareszcie znaleźliśmy się sami... Począłem błagać... i wtedy...

.... Ch-ch-cha!... ppuuść!.... zzaduusisz!.... zza-duus.....

— Danke.... danke, Herr Wirth.... Nein, nein, brauche keine Polizei.... Nur Wasser, etwas Wasser.... Ja.... ja.... wir gehen schon.... Keinen Skandal mehr.... seien Sie ruhig.... Es ist schon vorüber....

No, widzisz pan.... do czego to prowadzi?!... Masz pan prawa pewne... nie przeczę... ale nie tak, nie tak... Rzucać się, jak zbójca! dusić... Ten szwab gotów ludzi zwołać, policję sprowadzić... Skandal będzie... A pan brzydzisz się skandalem... Gdzie pańska zwykła siła woli?... Pan — gentleman od stóp do głów!... Powiedziałem przecie, że dam panu wszelką satysfakcję... No, ochłoń że pan... napij się wina... oto kieliszek... Nie chcesz? odtrącasz?... No, to ja wypiję!... Ach, pan płacisz, pan znowu płacisz za mnie?... Ha ha ha! przekleństwo!... Idźmy, idźmy stąd... Tfy! jak głupio!... jak podle!..

. . . . . .

Wyszliśmy. Na progu gospody ten człowiek przystanął, załamanemi rękoma ścisnął się za głowę i głosem zdławionym, głosem rozpaczy zawołał:

— Jak ja do niej teraz wrócę?!

II.

Szliśmy razem, obszerną szosą, śród zielonych pól, pod niebem nocnem, które naraz pokryło się ogromnemi potarganemi chmurami. Po przez ruchome ich szczeliny księżyc od czasu do czasu rzucał strugę światła i srebrzył jakiś kawałek krzemiennej szosy, albo część gór, które ciemnym pasem, senne, rozciągały się na horyzoncie. W przesyconej chłodem, zaniepokojonej atmosferze co chwila zrywał się wiatr i poruszał koronami drzew poblizkiego lasu.

Szliśmy razem... — dwaj ludzie, z których jeden był mężem, a drugi kochankiem jednej i tej samej kobiety, i którzy przed chwilą jasno określili swoje wzajemne położenie.

Zdawałoby się, że od tej chwili powinien był powstać pomiędzy nami jakiś stosunek fizycznego odpychania, któryby nie dopuścił, abyśmy się znaleźli, już nie na jednem miejscu, ale nawet na krańcach jednej i tej samej

drogi. Zdawałoby się, że od chwili wyjścia z gospody, jeżeliby jeden skręcił na prawo, drugi musiałby koniecznie zawrócić na lewo; że jakiś wiatr ogromny powinien był powstać i unieść nas w strony przeciwne, aby tylko rozdłużyć przestrzeń pomiędzy nami; że mogliśmy się na nowo zejść tylko z wymierzonemi pistoletami w ręku.

Tymczasem było inaczej...

Żelazny łańcuch nieszczęścia skuł nas w jednym momencie, jak galerników. Jeden przyrósł do drugiego, niby paląca koszula Dejaniry. Żaden nie mógł, a może nie chciał zerwać tej koszuli.

Co do mnie przynajmniej, to towarzyszyłbym temu człowiekowi obecnie na koniec świata. W ostatnim roku osią wszystkich moich myśli, uczuć, pragnień była Dora. Ta ciągła tajemniczość, otaczająca nas, ta bezustanna komedja wobec tego człowieka znużyły mnie i wyczerpały. Błądziłem po stepie, zapalonym z dwóch końców; wiedziałem, że wyjścia niema, a złośliwa powolność ognia szarpała mi nerwy. Chciałem, żeby raz wreszcie nastąpił koniec. Odjechać nie miałem siły. Poszedłem tedy wprost w płomienie: powiedziałem wszystko mężowi Dory! I teraz miałbym się oddalić? Garść piasku zapomnienia rzucić na mogiłę miłości i pójść precz za wrota cmentarza? Pójść? — dobrze, ale dokąd?... Czy właśnie za temi wrotami nie ciągnął się drugi, obszerniejszy cmentarz rzeczy obojętnych?! Cały interes życia ześrodkował się dla mnie teraz w mężu Dory. Co zamierza on począć? co zrobi ze mną? co zrobi z Dorą?.. Bo trzeba przecież, aby coś zrobił! A ja muszę to wiedzieć, muszę wiedzieć, powinienem w tem grać jakąś rolę! Nie mogę przecież tego człowieka tak puścić samopas. Wreszcie, jakkolwiek to dzikiem i nieprawdopodobnem się wyda, w nim, w mężu Dory jest jakiś kawałek jej samej, kawałek, który mnie pociąga.. I oto szedłem za nim, jak uśpiony podąża za hypnotyzerem!...

W naturze ludzkiej kryje się tyle sprzeczności, że nie uważam za niemożliwe, aby i on we mnie nie widział cząstki kochanej kobiety, cząstki tak istotnej, że nie miał mocy porwać się i odepchnąć mnie brutalnie od swego boku. Zresztą wysiłek nieodpowiedni jego usposobieniu, jaki okazał, schwyciwszy mnie za gardło parę chwil temu w gospodzie, wyczerpał, zda się, całą jego energję. Szedł teraz z opuszczoną głową, z załamanemi rękoma, zgarbiony, skurczony, jakiś mały nieledwie. Nie poznawałem w nim owego człowieka o postaci wyniosłej i imponującej. Twarzy jego rozróżnić nie mogłem z powodu ciemności. Zresztą, szedłem nie tuż przy nim, ale raczej za nim, nieco z boku, trzymając się w odległości paru kroków. Słyszałem tylko, jak przez usta, zaciśnięte widocznie, głucho i uparcie powtarzał te wyrazy: „Jak ja teraz do niej wrócę?!“... I w tym krzyku mieścił się cały ból miłości, której w tym stopniu nie podejrzewałem w nim nigdy. I była tam taka bezsilna rozpacz i taki okropny wyrzut dla mnie, że... chwilami brałem udział w jego cierpieniu i pragnąłem go pocieszyć!

O sobie nie myślałem w tej chwili. Mnie było w istocie lżej po tej scenie. Wylałem w niej całą męczarnię długich dni i nocy. Powiadają, że dręczeni na torturach z osłabienia zasypiają czasem śród mąk. Ja spałem takim snem człowieka torturowanego.

I o Dorze — jakkolwiek mocno ją kochałem — nie myślałem w tej chwili. Czułem, że *teraz jest godzina tego człowieka*, że na *tamto* jest jeszcze czas. Ona śpi, śpi spokojnie, liczy, że dzień jutrzejszy przyniesie jej zwykły pogodny uśmiech męża i zwykłe skryte uściśnienie mojej dłoni.

Prawda, że śpi na skraju przepaści... że obudzi się zaraz, za godzinę... że obudzenie może ją zastać w chwili, gdy będzie leciała w przepaść...

Ale jeszcze jest czas.... czas myśleć o tem, czas cierpieć nad tem.... I z mocą człowieka niemoralnego *odkładałem* cierpienie na później...

Nie, nie odkładałem go na później! Tylko ta tragedja, w której zazwyczaj egoizm mój widział jedynie tragedję dwóch osób, dwojga kochanków, teraz, wobec tego zgarbionego i skurczonego cienia, co wlókł się przedemną, potężniała, rozszerzała się i przeistaczała w ponurą a cichą mękę myśli.

To urwane kawałki pojęć, jak stada kruków, złowrogo przelatywały po moim mózgu, to powstawały tam całe lodowe gmachy idej, które pękały i kruszyły się z trzaskiem.

I już nie widziałem przed sobą jego, nie widziałem jej, nie widziałem siebie, ale pod czaszką moją uczepił się i kołysał żelazny znak zapytania, rozrywający zębem swoim delikatne tkanki mózgu.

Tym znakiem zapytania była kwestja stosunku mężczyzny i kobiety.

O tym stosunku myślałem:

Opieramy go na podstawie ekonomiczno-prawnej, a chcemy gwałtem, aby nosił charakter uczuciowo-moralny. Nadajemy mu zabarwienie uczuciowo-moralne, a każdej chwili gotowi jesteśmy odwoływać się do zasad ekonomiczno-prawnej natury.

Dajemy oto kobiecie nazwisko, pozycję społeczną, utrzymanie i powiadamy jej: „Nie wolno ci odtąd uśmiechnąć się do żadnego innego mężczyzny, nie wolno żadnemu innemu podać ust do pocałunku. Choćbyśmy ci obrzydli po tysiąc razy, choćbyśmy rozczarowaniem nakarmili twą duszę, choćby inny rzucił na ciebie wszystkie czary piekła i wszystkie nieba uroki, nie wolno ci zapomnieć się ani na chwilę, nie wolno zachwiać się na twardej drodze obowiązku, nie wolno iść za głosem krwi i natury.

Nie wolno? — dobrze! A więc zgniećmy serce kobiety i odrzućmy je precz... Zgódźmy się na wstrętny ideał żony automatu, żony — nałożnicy, dającej zimne pieszczoty, według kontraktu, za nazwisko, utrzymanie, pozycję socjalną — i spróbujmy być szczęśliwymi!

Nie możemy?!... Nam trzeba pieszczoty, rwącej się z serca, nam trzeba rozkoszy, dawanych dobrowolnie! „Masz wolę, masz serce — mówimy kobiecie — miłość jest twojem prawem: kochaj!...“

Więc znowu dobrze!... Ale kiedy ta miłość, ten ślepy żywioł, kapryśny i zmienny z swojej natury, odwraca się naraz od prawowitego swego przedmiotu, kiedy kobieta w szale zapomnienia rzuca się w inne ramiona, dlaczego mężczyzna-mąż woła wówczas: „Niewolnico, zdradzasz swoje obowiązki; *musisz* mnie kochać". Jak gdyby miłość mogła podlegać musowi!...

Więc co jest sankcją stosunku między mężczyzną a kobietą? Czy obowiązek, co nie odbiera szczęścia, ale go też nie daje; czy miłość, co je daje, ale za chwilę odebrać może? Czy między mężczyznę i kobietę włożyć kodeks, regulujący serca jak zegarki i z życia robiący przyzwoicie funkcjonującą machinę? Czy nic nie włożyć, a wszystko zdać na wolę namiętności, podnoszących w górę, ale i spychających w przepaść — w ziejącą przepaść bezrządu społecznego i nierządu moralnego?...

Mężczyzna i kobieta, te dwie istoty, tak różnie uorganizowane, a tak cudownie dopełniające się wzajem w celach wiecznie pragnącej życia natury, skazane są na tajemnicze ciążenie ku sobie. Ciążeniem tem rządzą tysiące skomplikowanych i niepojętych dla nas praw...

Lecz czemże są prawa natury?

To nie tylko proste algebraiczne formułki Newtona. To także szalone ruchy kłębiącego się piasku na zwichrzonej pustyni... to dziwaczne zygzaki niszczącego pożaru... to wściekły nacisk wzdętych fal powodzi... to rozszarpane jagnię w wilczej paszczęce... to bezmyślna zatrata miljarda zarodków, ginących w głębinach wód i na powierzchni ziemi...

I oto społeczność, dbała o spokojny porządek swego rozwoju, obcina te prawa, odrzuca jedne, przyjmuje drugie i lepi z nich jedno nowe prawo społeczne. Życie, namiętność, serce — wszystko wepchnięte w jedną formułkę. Na straży formułki pięć lub dziesięć artykułów!

Lecz czyliż przez to kasują się prawa natury? Czyż morze daje się zamknąć w łupinie orzecha?!...

Nigdy!...

Więc choć każda epoka wynajduje właściwą sobie normę stosunku płci, uświęca ją sankcją opieki prawa i opinji, to przecież ta norma jest jeno centrem, około którego skupiają się, a po części wynikają zeń, różnorodne innego rodzaju stosunki, noszące piętno najwyższej rozkoszy i najwyższego bólu, najnikczemniejszego zepsucia i najszlachetniejszego głosu serca. Oto, gdzie tkwi przyczyna pstrej kanwy dzisiejszej, na której obok rodziny, jako normy prawnej, spotykamy prostytucję, niewierność małżeńską, rozpustę, miłość idealną, zagłuszone uczucia, zmarnowane serca, separacje, rozwody, śluby cywilne, sonety Petrarki, Intermezzo Heinego, nowelle Boccaccia, samobójstwa Romeów i Julji, cierpienia Wertherów, zdrady George-Sand, morderstwa Otellów, intryżki Don-Juanów... a dalej małżeństwa *en trois*, sztuczne Zweikinder-systemy i licho wie, co jeszcze!...

Stosunek mężczyzny do kobiety – to wielka metafizyczna kwestja... Budujesz z niej gmach logiczny, a pod gmachem wybucha mina namiętności. Zasypujesz ją kwiatem poezji, a z pod kwiatów wypełza wąż prozy...

. . . . . .

Wystająca gałąź sosny, smagnąwszy mnie po twarzy, wyrwała mnie na chwilę z zadumy. — Dopiero teraz spostrzegłem, że znajdujemy się w lesie. Oczywiście, mój towarzysz umyślnie zboczył z drogi, a ja machinalnie podążyłem za nim. Skutkiem tego, miast przybliżać się do Schlangenbadu, oddalaliśmy się coraz bardziej od niego.

I po cóż w istocie było tam wracać?

Czyli mąż, z tym bólem w sercu, miał iść do żony, co go zdradziła? Czy też kochanek do kochanki, którą zdradził sam w przystępie szału?

Tak, to było najsłuszniej — iść, iść bez końca, błądzić po tym lesie, o którego pnie potrącaliśmy się co chwila, o którego wystające na świerkach korzenie potykaliśmy się bezustanku — błądzić i modlić się, aby ta noc nie skończyła się nigdy, aby słońce nie weszło nad naszemi głowami; nie spytało szyderczo: „a wy co tu jeszcze robicie? nie spaliście noc całą? dlaczego nie wracacie do domu?!“

Drżałem na myśl tego poranku, co nas obudzi do życia, które w tych warunkach stało się niemożliwem!

I nie wiem, jak to się stało, ale odrazu zrodziła się w mojej głowie myśl, że jeden z nas nie wróci stąd więcej: albo on, albo ja...

. . . . . .

. . . . . .

Błądziliśmy tak przez godzin parę, jak dwa duchy nocne. Nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Zda się, nie interesowaliśmy się sobą wzajem.

I naraz przed naszemi oczyma zarysowała się na szarem tle nocy olbrzymia skamieniałość, ostro odrzynająca się od powietrza kształtami fantastycznemi. Byłto jak gdyby potwór potężny, który nagle wyrósł przed nami w pośrodku lasu. Nie byłem tu jeszcze ani razu, ale o istnieniu w tej okolicy owej ogromnej masy granitowego kamienia wiedziałem z książeczki o Schlangenbadzie, ofiarowanej mi przez doktora. Wiedziałem, że skała ta zowie się Grauenstein i że ludowa fantazja przywiązuje do niej jakąś ponurą legendę, zda się, zemsty z miłości. Na podłużnym a szerokim grzbiecie tej skały stowarzyszenie „Taunusverschönerungsverein“ wybudowało rodzaj balkonu, zewsząd otoczonego balustradą. Prowadziły na górę drewniane schodki kilkupiętrowej wysokości. U dołu z jednej strony znajdowała się przepaść, obrosła gęsto krzakami i jeszcze dla bezpieczeństwa przechodniów na plecionym ogrodzona parkanem.

Ku tej wyniosłości skierował kroki mój towarzysz, a ja oczywiście poszedłem za nim.

Znalazłszy się na szczycie, stanęliśmy na przeciwległych krańcach balustrady.

Z góry rozwijał się wspaniały widok, który dziwnie uchwycił mnie za duszę, rozbudzając we mnie naraz mój zmysł malarski. Równocześnie z tem, jak to zazwyczaj bywało, zagrały we mnie struny najrzewniejszych uczuć.

Rozglądałem się.

Podemną nizko, przytulone do siebie, zmieszane korony drzew, poruszane wiatrem, chwiały się niby ruchome nakrycie baldachimu. Tam, na powierzchni jego, drzemała jeszcze gęsta ciemność nocy; ówdzie ślizgały się blaski księżyca, srebrem migocąc na wyodrębnionych w świetle listeczkach; od wschodu, brzeg baldachimu występować poczynał ciemno-zieloną barwą. Zmieszaną masę liścia przerzynały gdzieniegdzie kręte i wązkie pasy; były to leśne drożyny. W oddali, za lasem, czerniały góry oderznięte od nieba długą, falistą linją. A samo niebo przedstawiało obraz niezwykły i rozmaity: tuż ponad głową ciemny aksamit nocy, tam, przez szczeliny chmur tryskają blade potoki księżycowego światła, a dalej, na wschodzie, z poza gór powstaje poranek, niby z głębin podziemnych podnosząca się mgła różano-fioletowa. Świeży powiew leciał przestrzenią i rzeźwił rozpalone moje czoło i rozwiewał mi włosy...

I w obliczu tego majestatu natury mój zatarg z mężem Dory w wyobraźni mojej począł maleć do rozmiarów drobnego nieporozumienia. Przestawałem rozumieć położenie. Wydało mi się naraz, że pomiędzy nami niema i nie może być żadnego sporu, że wielka solidarność jednej i tej samej płci, członków jednego męskiego obozu, wiecznie dręczonego i oszukiwanego przez kobiety, wstępuje w swoje prawa. Jeszcze chwila, a wydaje mi się, że nas obydwóch ogarnie jeden wielki wstyd, iż tę krótką i płochą namiętność, zwaną miłością, przychodzącą jak wicher, przepadającą jak sen, podnieśliśmy do godności wiecznej, niezmiennej, najwyższej zasady życia: zamiast ręka w rękę szukać szczęścia i stwarzać je sobie nawzajem, gryziemy się, jak dwa robaki, poimy się jadem, karmimy żółcią.

Gdyby tu Dora była w tej chwili, — błyska mi myśl — patrzylibyśmy obaj z miłością na nią, nie czując zawiści do siebie. Do niej zwrócilibyśmy się z żądaniem wyboru pomiędzy nami; a ten kogoby ona wybrała, użaliłby się nad losem odrzuconego, na jego korzyść zrzekłby się swojego szczęścia, — i przez to byłby jeszcze szczęśliwszym!

Serce moje zalane było w tej chwili morzem błogości. Myślałem nad tem, jak mam przemówić do mego towarzysza, aby w słowach moich zabrzmiała nuta najbardziej przekonywująca i słodka.

Ale oto, zanim otworzyłem usta, zabrzmiał głos zimny, ostry, którego każdy dźwięk, jak sztylet zanurzał się w mojej piersi.

Mąż Dory przemówił:

„... Oto godzinę całą rozmyślam, jak załatwić rachunek z panem... rachunek z nią... I nie znajduję nic, absolutnie nic. Namiętność doradza mi niejedno, ale rozum odradza mi wszystko. Mógłbym pana zepchnąć z tej oto skały, ale na twoje szczęście brzydzę się gwałtem. Więc pojedynek... Nie chcę go: to wypadek... Nie boję się śmierci, ale nie chciałbym zginąć z twojej dłoni.

Mógłbym ciebie zabić, ale co będę miał z tego? Krew — to czerwony sok, który plami ręce, ale nie balsam, co, może serce ukoić. Są ludzie, co opróżniwszy duszę z miłości, napełniają ją zemstą. Ja do ich liczby nie należę. Nienawiść — to nie treść, którą uważałbym za godną duszy ludzkiej. Zresztą wprzód trzebaby było wyrugować z niej miłość, a to nie zawsze możebne...

„Rozdarliście mi serce na kawały! A nie umieliście zabić mej miłości.

„Nienawidzieć?! Mścić się?!... I nad kim?

„Czy nad tą płochą kobietą, co jak ćma, nieświadomie leci do każdej świecącej łojówki?! Nie znałem jej — tem gorzej dla mnie. A zresztą kocham ją jeszcze, kocham i teraz, nie zapieram się tego; zgnieść ją — to przecie cierpieć więcej, niż cierpię nawet w tej chwili.

„A więc mścić się nad tobą, nad tobą, który oplątałeś ją i odciągnąłeś odemnie! Ale kim jesteś ty, ty, co przed chwilą deptałeś mnie w gospodzie? Szlachetny? — nie! Nikczemny? ach, także nie! Gdybyś nim był! — o, może starczyłoby mi mocy do nienawidzenia ciebie, możebym wbrew zasadom stanął piersią naprzeciw piersi twojej. Ale czem jesteś ty?... Czemś najpodlejszem, co wydał czas dzisiejszy, — czemś, co wymyka się z pod wszelkiej oceny moralnej — wiązką chorych nerwów, zlepkiem anormalnych idej, — czemś, czego kochać nie można, nienawidzieć nie wolno, czem przeto trzeba gardzić chyba.

„Oto, nie szanując mojego bólu, jak pies wlokłeś się za mną i przywlokłeś aż tutaj. Czego chciałeś jeszcze odemnie? Nie miałeś tyle zdrowego instynktu, aby uciec przed niebezpieczeństwem. Ale nie odwaga prowadziła cię za mną. Nie! czułeś tylko nerwową potrzebę podlegnięcia obiciu, bo sądziłeś, żeś na karę zasłużył.

„Ale pogarda moja dla ciebie sięga tak daleko, że ci odmawiam prawa do tego.

„Jedno tylko słowo ci rzucę:

„Precz! precz odemnie!

„Pragnę zostać sam!... Precz!...“

W tych słowach, w geście, który im towarzyszył, było coś tak rozkazującego, że mimowoli cofałem się w tył, póki nie oparłem się o balustradę, gdzie osłupiały, niemy, zgnębiony tym strasznym wyrokiem, zastygłem na miejscu.

On już nie zwracał na mnie uwagi.

Znów pełen siły, wyprostowany, z rękoma złożonemi na piersiach, stał na przeciwległym krańcu balkonu. Upłynęła długa chwila... Naraz usłyszałem jak głosem mocnym, a brzmiącym rozpaczą, zawołał: „tak być musi! musi! musi! — a potem rozkrzyżował ręce, przechylił się gwałtownie przez balustradę i runął głową w przepaść! Głuchy szmer spadającego ciała, dźwięk kamieni obsuwających się po ścianach przepaści, a potem okropne, przeciągłe jęczenie — obiły się o moje uszy.

Wszystko to stało się tak nagle, że prawdopodobnie długa upłynęła minuta, zanim zrozumiałem, jak i gdzie zniknął.

I oto zerwałem się z miejsca, zwiesiłem się przez balustradę i przerażony, nieprzytomny, z rękoma w dół wyciągniętemi, począłem wołać: „co robisz?! co robisz?!“ jak gdyby krzyk mój mógł powrócić go z głębin przepaści i odwieść od spełnionego już zamiaru...

Jęczenie ciche, nieludzkie, podobne do pisku zarzynanego ptaka, dobywało się z głębi, słabło, zamierało, umilkło wreszcie. A ja wciąż jeszcze stałem w tem samem miejscu, wpatrzony w czarną ziejącą głębię, w której nic dojrzeć nie było można i powtarzałem, jak automat te wyrazy: „co robisz, co robisz?...“

Nogi drżały podemną, zęby dzwoniły, zimny pot kroplami występował na czole.

Nie umiem powiedzieć, czemu nie skoczyłem w przepaść za nim. Może dlatego, że balustrada była zbyt wysoka i przechylenie się wymagało wysiłku, do którego nie byłem zdolny w onej chwili.

Nie wiem również, jak długo tam stałem, w jaki sposób zbiegłem ze schodów, jak trafiłem do doliny Rauenthalskiej.

Pamiętam tylko, żem biegł, biegł ogromnie długo, że potykałem się, uderzałem się o pnie, padałem, podnosiłem się i biegłem znowu; żem krzyczał coś przez całą drogę — co? — nie wiem, i że wreszcie znalazłem się w polu pośród gromadki chłopów i na pół po niemiecku, na pół po polsku, jakkolwiek ojczystego języka mego nie mogli rozumieć, opowiedziałem im, że pan Barski rzucił się w przepaść, że należy go wyciągnąć, że żyje, żyje z pewnością, że będzie żył, bo to być nie może, aby już żyć nie miał. Zapewniałem przytem chłopów, że pani Dora go kocha, a ja nie jestem bynajmniej zazdrosnym...

. . . . . .

O świcie wyciągnięto go przy pomocy sznurów. Odzież jego była poszarpana i skrwawiona; twarz sina, porysowana szramami. W głowie miał dziurę. Na włosach zasechł mu kawałek zapienionego krwią mózgu. Wyglądał okropnie.

Byłem obecny przez cały czas przy wyciąganiu trupa. Popędzałem flegmatycznych Niemców. Obiegałem przepaść dokoła, krzyczałem na człowieka, który spuścił się w głąb, podtrzymywany na sznurze, — aby śpieszył się, aby wiązał delikatnie... Tem nie mniej przysięgnę, że działałem jak człowiek nieprzytomny. Był to z mojej strony szereg czynności automatycznych, których celowość zależała od intuicji, od przyzwyczajenia, ale bynajmniej nie od rozwagi.

Górale naprędce urządzili nosze z gałęzi. Złożono na nich trupa i gromadka nasza ruszyła w drogę. Szliśmy w rozsypkę wązkiemi drożynami leśnemi. Po przez zbitą w górze warstwę liści blady poranek zaglądał ciekawie w bladą twarz samobójcy.

Ze zwieszoną głową, w milczeniu postępowałem nieco w tyle za innymi. Jakiś strach dziwaczny trzymał mnie zdala od tego trupa. Słyszałem jak szeptano coś dokoła mnie, prawdopodobnie zwykłe w okolicznościach takich komen-

tarze. Ale jakkolwiek słyszałem i mógłbym powtórzyć każde słowo, nie byłem zdolny nic zrozumieć. Umysł mój był jak gdyby senny: migały w nim na chwilę jakieś obrazy, albo raczej kawałki obrazów, ale pierzchały natychmiast, zanim zdołałem je sobie uświadomić, i pozostawiały po sobie tylko wrażenie zgrozy i przerażenia.

Przypominam sobie ledwo tyle, iż chwilami wydawało mi się, że na tych noszach leżę ja sam, a on uśmiechając się, podąża za moim trupem; że z za każdego drzewa, przez każdą szparę śród liści spogląda na mnie przekrzywiona wyrazem bólu twarz Dory. Poprostu: traciłem chwilami poczucie własnej jaźni.

Tymczasem wieść o tragicznym wypadku wyprzedziła nas niepojętym dla nas sposobem. Być może, ludzie z Rauenthalskiej doliny zanieśli ją do Schlangenbadu, bo gromadka nasza zwiększała się ciągle i gwar naokoło mnie rósł coraz bardziej. W miarę zbliżenia się do Schlangenbadu coraz-to więcej osób biegło naprzeciw nam i łączyło się z nami.

Naraz rozpaczliwy krzyk przerzyna powietrze. Słyszę w nim nutę znajomego mi dobrze głosu. Pochód zatrzymuje się.

Gromadka ludzi zakotłowała się, rozstąpiła na przedzie i natychmiast ciaśniejszym jeszcze kręgiem zwarła się naokoło noszy.

Odruchowo skoczyłem naprzód. Z okrzykiem: puśćcie mnie! jąłem rozpychać tłum.

Jakkolwiek przemówiłem językiem ojczystym, niezrozumiałym dla tych ludzi, widocznie głos mój zabrzmiał nakazem, któremu niepodobna się było oprzeć, bo otwarto mi drogę natychmiast.

I oto ujrzałem przy złożonych na ziemi zwłokach kobietę klęczącą, z włosami spadającemi w nieładzie na plecy i na piersi, w stroju zaniedbanym, niedopiętym, wskazującym, że chwilę ubierania się przerwała wiadomość tragiczna. Białe, obnażone ręce biegały po krwawej odzieży trupa, targały to ciało, jakby starając się je obudzić ze snu śmierci. A z piersi kobiety wydobywał się urywany, okropny dźwięk, jakaś mieszanina łkania i krzyku.

I naraz oczy jej spotkały się z mojemi, — otworzyły się szeroko, szeroko — po bladej twarzy przebiegł dreszcz widomy, usta przekrzywiły się boleśnie i chrapliwy głos wydobył się z piersi:

— A! to ty go zabiłeś!

I pani Dora kurczowo wyciągnęła do mnie rękę, jakgdyby wskazując i piętnując mnie palcem.

A w tej chwili cały obraz mignął w moim mózgu: ujrzałem męża Dory w szarej mgle zamierającej nocy stojącego nad przepaścią, i siebie, skradającego się z chichotem z tyłu i cichaczem strącającego go w głąb przepaści!...

Uczułem naraz okropny ból pod czaszką w samym środku głowy; nogi ugięły się podemną, gardło ścisnęło się, — i dalej nie pamiętam, co się stało ze mną...

III.

...Od kilku dni jestem już zdrów. Wprawdzie ból głowy dolega mi jeszcze po parę godzin dziennie, ale nie potrzebuję już leżeć bezwładnie z tym nieznośnym kompresem lodowym na głowie. Zabawne! człowiek pod tym okładem traci poczucie granic swojej głowy: zdaje mu się, że ona ciągnie się gdzieś w nieskończoność...

Nie wiem dokładnie, jak długo leżałem chory i co mi dolegało właściwie. Mój doktór, flegmatyczny niemiec, stawiający zawsze swój jasny kapelusz na podłodze, na wszelkie moje zapytania odpowiada mi tylko: *Na, na, es wird schon gehen;* a poczciwa stara gospodyni, która opiekowała się mną podczas choroby, w takich razach zazwyczaj przykłada palec do swoich zwiędłych ust, robi głupio-tajemniczą minę i ostrzega mnie, że mi „nie wolno o nic pytać, nie wolno mówić, nie wolno myśleć.“ *(Verboten, verboten.)*

Oczywiście, cały czas leżałem w gorączce nieprzytomny. Zresztą, mniejsza o to, co mi było; ważniejsza: jak ja tym ludziom zapłacę...

Wyobrażam sobie ich komiczne miny, kiedy im powiem, że nie mam nawet o czem wracać do domu. Dziś lub jutro trzeba to będzie wreszcie powiedzieć. Muszę tym ludziom sporo być dłużnym, bo chyba z parę tygodni upłynęło od owej pamiętnej chwili.

Nie umiem powiedzieć, ile właściwie, bo nie wiem, jaką dziś mamy datę. Żółte i rdzawe liście na blizkich drzewach gór przeciwległych, pochyłą ścianą stojących wprost mojego weneckiego okna, wskazują, że jesień już za pasem.

Zresztą, prawdę powiedziawszy, co to mnie obchodzi, jaka dziś data? Powiem więcej: od czasu choroby uczuwam dziwny wstręt do cyfr. Nigdy tego dawniej nie zauważyłem w sobie. Dziś rano doktor zapytywał mnie o czas pewnego szczegółu z mojego życia, — zbierał anamnezę; dla dania określonej odpowiedzi trzeba było skombinować parę dat; otóż do tego stopnia nie chciało mi się zrobić dwóch czy trzech odejmowań, że żadne prośby, ani nawet surowe nakazy lekarza nic wskórać nie mogły. Jakiem prawem ludzie tego głupiego zawodu ośmielają się wywierać przymus moralny i zaglądać w duszę człowieka?! Popadłem w taki gniew, że doktor, obawiając się, wywołać jakiś atak nerwowy, musiał przerwać nalegania.

Po za tem czuję się zupełnie normalnym.

....Ale ja zupełnie nie o tem chciałem pisać.

Za pierwszem podniesieniem się z łóżka znalazłem na oknie mały liścik. Musiał tu leżeć bardzo dawno, bo kurz i słońce wycisnęły na nim niezatarte ślady. Pośpiesznie rozerwałem kopertę i przeczytałem te słowa:

„Odebrałeś mi pogodę twarzy na zawsze. Okryłeś mnie wieczną żałobą. Na mojej duszy pełno wstrętnych plam. Sumienie nigdy dręczyć mnie nie przestanie. Krew na twoich rękach. Ach, dlaczego nie mogę cię zdradzić?! Podziel ze mną przekleństwo, które zawiesiłeś nad moją głową. Nie chcę cię widzieć nigdy, nigdy. Nie odważ się czynić starań w celu odszukania i zobaczenia mnie.“

Żadnego nagłówka, ani podpisu.

Wybadywałem delikatnie lekarza, co się stało z panią Barską. Wiedziałem, że ją znał i interesował się nią. Odpowiedział mi, że po pogrzebie męża, którego pochowano na miejscowym cmentarzu, na Bärstadtkopf, wyjechała natychmiast. Do kraju jednak, oczywiście, nie wróciła, gdyż dotąd, o ile słyszał na poczcie, przychodzą listy na jej imię, które poczta odsyła napowrót ze stereotypowym napisem na kopertach: *Adresse unbekannt.*

Tak więc, niepodobna jej odszukać, gdybym nawet odnaleźć ją zechciał.

Tak, gdybym zechciał. — bo nie chcę!

Czy ją kocham dziś jeszcze?.. Nie wiem.

Jestem tak zmęczony i złamany po tych wszystkich przejściach moralnych i fizycznych, że nie mam w sobie siły do miłości. Czuję tylko jakąś pustkę, pustkę bezgraniczną, jak gdyby usunięto mi najważniejszą podstawę życia, jak gdyby wydarto mi kawał duszy.

Jednakże pod zarzutem okropnego podejrzenia, które rzuciła na mnie, powinienbym, zda się, starać się z wszystkich sił odnaleźć ją, wytłómaczyć się, uniewinnić.

W rzeczywistości jednak nie mam do tego najmniejszej chęci.

Uniewinniać się? — I po co?... A raczej: czy podobna się uniewinnić?... Alboż bądź co bądź nie stałem się przyczyną śmierci tego człowieka; alboż nie byłem moralnym sprawcą tego samobójstwa; alboż wyznaniem swojem nie popchnąłem go w przepaść tak skutecznie, jak gdybym to uczynił ręką?...

Nie!... próżno bronić się.

Na sumieniu mojem leży kamień ogromny. Podejrzenie jej nie padło na mnie niesłusznie. Chwilami wierzę, sam wierzę głęboko, że jestem fizycznym sprawcą tej śmierci, że tam, na Grauenstein, zaczaiłem się z tyłu i zepchnąłem tego człowieka w przepaść. Obraz ten jest tak wyraźny, tak pełen szczegółów, że nie przypuszczam nawet, iż stworzyła go moja fantazja.

I pomyśleć, że w jednej z takich chwil znalazłbym się wobec niej z tem fantastycznem piętnem Kaima na czole. Co ja-bym jej powiedział?

Jako żywo, powiedziałbym tylko:

„Masz słuszność, zepchnąłem twego męża w przepaść".

I owłada mną zgroza na tę myśl, i boję się jej rozwartych szeroko oczu i przekrzywionych bólem ust i skierowanego ku mnie z oskarżeniem palca, i tego głosu ochrypłego, wołającego: „Tyś zabójca!"

Nie! nie! nie! za nic w świecie nie chcę jej zobaczyć.

Po co?.. na co?...

A bez niej... owłada mną poczucie okropnej próżni. Wydaje mi się, że stąpam ogromną pustynną drogą, drogą bez celu, bez końca; że godziny idą i idą, dzień ucieka przed nocą, noc dzień odpędza, a ja zdążam ciągle bez wytchnienia tą drogą pustynną, drogą bez celu, bez końca...

... O, jak okropnie zemścił się na nas ten człowiek!...

Petersburg. *Leo Belmont.*

Grzegorz z Sanoka

i zagadkowe jego stanowisko w historji literatury.

Wiele jeszcze zapewne czasu upłynie, zanim t. zw. „historja literatury“, tradycyjnie w szkołach z językoznawstwem łączona, przestanie być bezkształtnym wycinkiem z encyklopedji, i jako odrębna do pewnego stopnia gałąź wiedzy, zawładnie należycie odpowiednią dziedziną. Uprawiacze jej pojmują już dzisiaj, iż nie może sobie ona rościć prawa do „ogarniania życia umysłowego narodów w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu“,[1]) bo musiałaby nietylko zapanować nad olbrzymim a różnorodnym piśmiennictwa ogólnego obszarem, lecz nawet przekroczyć znacznie jego granice; nie opuszczają wszakże dotąd zwyczajem wiekowym uświęconych szlaków i po dawnemu, obok twórczej, rozpatrują, w sposób mniej lub więcej przygodny, filozoficzną, dziejową, publicystyczną, przyrodniczą, matematyczną, słowem naukową literaturę. Takie traktowanie przedmiotu, jakkolwiek w pewnych warunkach dla słuchacza lub czytelnika pożyteczne, nie zasługuje wcale na miano umiejętnego. Każda nauka, skoro wejdzie na tor prawidłowego rozwoju, chociaż siecią swych pojęć związana z innemi, posiada właściwą sobie sferę, cel i metodę. Historja literatury jeszcze nie doszła do tej ery: błądzi i szuka drogi, co chwila gubiąc nić przewodnią. Stojąca pod jej znakami rzesza zbacza nałogowo na różne pola i łudzi się pozorami swej uniwersalności; gdy istotnem powołaniem danej odrośli wiedzy jest pilnować wyłącznie gruntu poezji, w głębszem tego słowa znaczeniu, i koleje ducha twórczości pisarskiej wiernie odtwarzać. Musi się ona oprzeć na szerokiem podścielisku dziejów cywilizacyjno-umysłowych; ale niech ten piedestał będzie symetryczny i od własnego jej wizerunku wyraźnie oddzielony.

Mając na widoku, jako ideał, podźwignięcie nauki przez ściślejsze określenie jej horyzontu, śmiem zaznaczyć kwestję jednego ze zbytecznych artyku-

[1]) Określenie podane niegdyś w „Prelekcji wstępnej“ przez A. Bełcikowskiego („Ze studjów“. Strona 2).

łów, który od lat sześćdziesięciu, niby gruzy sfinksowe, zalega u nas karty różnych opracowań i kompilacji historyczno-literackich.

O Grzegorzu z Sanoka w stosunku do dziejów piśmiennictwa polskiego śmiało można wyrzec zdanie przysłowiowe: „nie zasłużony, ale szczęśliwy“. Nietylko najmniejszej próby pióra, któraby treścią lub kształtem zwracała na siebie uwagę, ale nawet żadnego potomka duchowego po sobie nie zostawił; a mimo to, we wszystkich podręcznikach i obrazkach przeszłości występuje oddawna jako filar literatury wieku XV-go. Spróbujemy rozwiązać tę zagadkę.

Do wyświetlenia postaci Grzegorza z Sanoka służą następne świadectwa współczesne: biografja, skreślona przez Kalimacha; kronika Długosza; księgi wpisowe i nominacyjne wszechnicy krakowskiej; akta grodzkie i ziemskie z t. zw. archiwum bernardyńskiego we Lwowie.

Ostatnie źródło dostarcza ciekawych szczegółów z ekonomiczno-administracyjnej działalności arcybiskupa lwowskiego. Z akt uniwersyteckich czerpiemy trzy daty życiorysowe: rok zapisu „Grzegorza syna Piotra“ w poczet uczniów akademji (1428), oraz dwu nominacji — na bakałarza (1433) i magistra sztuk wyzwolonych (1439). Długosz wspomina o nim, jako o dobrym gospodarzu archidyjecezji (założycielu miasteczka Dunajowa) i podrzędnym, ale barwnym, dążnościami monarchicznemi przejętym, działaczu państwowym; przytacza rzekome jego poematy nagrobkowe (dla Władysława Jagiełły i królowej Zofji); wysławia ogólnie jego uczoność, talent wieszczy i krasomówczy; pisząc wreszcie o śmierci dostojnego humanisty (pod datą 29 stycznia 1477), cytuje z uznaniem biografję pióra Kalimachowego i powiada, że nie było wiadomem, czy nagła choroba zgon spowodowała, czy też trucizna zadana przez kobiety, któremi Grzegorz otaczać się lubił.

Najokazalszem a wyjątkowem świadectwem, które zapewniło temu mężowi nieśmiertelne imię w dziejach kultury umysłowej naszego narodu i olśniło nadmiernie historyków, jest życiorys, napisany przyjazną ręką Kalimacha, Filipa Buonacorsi. Autor, włoch z rodu, wychowania i charakteru, — jako zbieg, były spiskowiec, przez stolicę apostolską ścigany, zawitał w r. 1470 do Polski i znalazł niebawem gościnne a obronne schronisko na dworze wolnomyślnego arcybiskupa. Pragnąc się wywdzięczyć swemu dobroczyńcy za doznaną opiekę i zyskać jego względy na przyszłość, usnuł, wkrótce po przybyciu, z dostarczonych zapewne przez samego Grzegorza materjałów, nader zajmującą, lecz niedokładną i panegiryzmem silnie nacechowaną, biografję.

Zbytecznem byłoby, zdaje się, objaśniać, że takie pismo pochwalne, w podobnych warunkach, za życia bohatera, a prawdopodobnie i na jego dworze, przez włocha, mistrza w pochlebstwie, typowego humanistę skreślone, nie może wcale uchodzić za bezwzględnie wiarogodny dokument dziejowy; a tymczasem nasi historycy literatury nietylko przyjęli je bez krytyki, niby objawienie ewangieliczne, ale starali się wyssać z niego dla użytku ogółu, samą

ambrozję, pozostawiając nietknięte wszystko to, co Grzegorza do poziomu ziemskiego zbliżało.

Pierwszym głośnym i najbardziej wpływowym wielbicielem poznanego z biografji Kalimachowej „filozofa“ był Michał Wiszniewski, który w IV-tym tomie „Pomników historji i literatury polskiej“ (Kraków 1836) ogłosił z rękopisu w oryginale łacińskim wspomniany życiorys i poprzedził go wielce dziwacznym, godności poważnego autora nieodpowiadającym wstępem.

„Zawiewa do nas w tem piśmie — powiada M. W. o pracy Filipa Buonacorsi — duch XV-go wieku. Czytając je, zdaje się nam, że Władysław świeżo pod Warną zginął.[1]) Patrzmy, co to za zgiełk na ulicy Św. Anny. Spieszą tłumami akademicy w togach do „collegium majus“, które świeżo ukończono. Zapewne jakiś zawołany dyjalektyk z akademji paryskiej przyjechał? Bynajmniej, — oto młodzieniec, Grzegorz z Sanoka, który niedawno z włóczęgi po świecie w Krakowie osiadł, ma wykładać sielanki Wirgiljusza. Na ten odgłos jeszcze większe tłumy pod nizkie sklepienia gmachu jagiellońskiego się cisną. Długo trwało milczenie. Słuchano sielanek z otwartą dla podziwienia gębą, boć imię nawet Wirgiljusza o te mury jeszcze się nie obiło. Nudzeni akademicy dyjalektycznem szermierstwem, pierwszy raz radośnie wracają do burs swoich, wykrzykując z zapałem: teraz dopiero zeszło nam światło, przy którem ścieżkę do prawdziwej nauki znajdziemy; dotąd pierwej zestarzeć się przyszło, nim się to jakiego owocu żmudnej pracy człowiek doczekał. Tak się długim łańcuchem sypali. Na końcu dopiero wychylił się z bramy Grzegorz z Sanoka... Tak nadzwyczajny wypadek (wykład sielanek Wirgiljusza) rzuca postrach na wychudłych Arystotelesa zwolenników. Magnificus rektor zwołuje do sali jagiellońskiej kolegów większych. Po wąziutkich i na powietrzu wiszących schodach, w fałdzistych togach i biretach na głowie, spuszczają się bojaźliwą nogą uczeni mężowie — lezą z dołu, z góry, z pod strychu, ze wszystkich zakątów tej sennej budowy, i niedługo się namyślając, jednogłośnie robią Grzegorza bakałarzem, wkrótce magistrem, — choć ten w ich rozumieniu nic jeszcze nie umiał — *„nondum eas artes attigisset, per quas ad id titulum pervenitur“*. Tymczasem Grzegorz z Sanoka, w którym wieniec bakałarza czerstwego rozsądku nie stłumił, zaczął już rozsiewać między swojemi, iż mądrość tych tam filozofów tyle warta, co marzenia człeka drzemiącego. Jakoż wkrótce to na jaw wyszło; bo gdy niebawnie Władysław Jagiełło umiera, panowie go zaklinają, aby mu nagrobek napisał.... Taki to jest żywot tego polskiego Bakona.“

Ta nawskroś nielogiczna gawęda, jaskrawo odbijająca od powagi autora i wydawnictwa, w którem jest umieszczona, sprawia wrażenie jakiejś nędznej powiastki, gdzie kropelka prawdy historycznej rozpływa się bez śladu w nie-

[1]) Jaka jest podstawa podobnego złudzenia, trudno orzec, wykłady bowiem akademickie Grzegorza z Sanoka, o których zresztą bardzo mało wiemy, wyprzedzić musiały na lat wiele bitwę warneńską.

dołężnych zmyśleniach. Nie idzie mi wszakże o drobiazgową krytykę lub ośmieszenie słabej rozprawki dzielnego skądinąd pisarza, ale o zaakcentowanie, że zarówno tu, jak na kartach późniejszej o lat kilka (1840—1845) „Historji literatury“, M. Wiszniewski w optymistycznej ocenie Grzegorza z Sanoka przewyższył samego włocha-panegirystę, i pociągnąwszy za sobą cały szereg naśladowców, bezzasadnie wyznaczył swemu ulubieńcowi tronowe miejsce w piśmiennictwie polskiem XV-go stulecia.

Obaczmy teraz, o ile historyk-wydawca uszanował źródło w skreślonem na jego czele przedsłowiu. Oto, co pisze Kalimach o podróżach młodzieńczych, powrocie do Krakowa i ustaleniu się Grzegorza w tym grodzie:

„Pięć lat strawił na podróży.[1]) W tym czasie, gdy odpowiednio już był przygotowany *(cum doctus apprime jam esset)* pełnił w różnych miastach obowiązki nauczyciela początkowego.... Posiadał nadto w ręku szczególny środek zarobkowania: kopjował książki niezbędne dla uczniów — w czem bardzo wielką okazywał zdatność, gdyż nietylko właściwym sobie sposobem kształty liter jak najdokładniej wyrażał, ale gdy chciał, każdego pisma charakter potrafił naśladować.... Miał także pewien naturalny pociąg do muzyki, dla której poniekąd zdawało się, że na świat przyszedł *(cui propemodum natus videbatur....)* Głos do śpiewu posiadał jak najwytworniejszy, silny a dźwięczny, miły a okazały *(solidam et sonoram et in qua non minus suavitatis esset, quam splendoris)*. W bardzo wielu miejscach znaczną korzyść i cześć mu to przynosiło, bo w kim wiadomościami naukowemi podziwu nie obudził, tego muzyką przyciągał. Lecz szczególniej za powrotem do Krakowa świetny głos i talent muzyczno-śpiewaczy na dobre mu posłużył. Pod ową bowiem porę gród ten, teologji przeważnie oddany, zaniedbując prawie zupełnie inne nauki wyzwolone, w pierwszym rzędzie stawiał muzykę, z której pomocą obrzędy religijne uroczyście się odprawiały. Tak więc zaraz po powrocie Grzegorza, wszyscy w Krakowie bardzo wiele mu świadczyli jako celującemu w sztuce, której uprawianiu miasto szczególniej się poświęcało *(Gregorio plurimum ab omnibus tribuebatur, qui ea in arte excellebat, cuius praesertim studio civitas teneretur)*. Niebawem wreszcie nowy podziw ku sobie u wszystkich obudził; zaczął bowiem publicznie wykładać Bukoliki Wirgiljusza, o których, podobnie jak o ich autorze, nic dotąd w kraju nie wiedziano....“

Widzimy tedy, że praca Kalimachowa przedstawia rzeczy w innem, o wiele jaśniejszem świetle, niż oparty niby na niej, a w istocie rozsnuwający ją dowolnie, Michał Wiszniewski. „Bukoliki“ należą do utworów, które chyba tylko w ojczyźnie poety, na dworze Oktawjana Augusta lub Medyceuszów, śród najwybrańszego audytorjum, mogły niegdyś same przez się budzić zapał chwilowy; lecz nie w Krakowie około roku 1433.

Gdy nam jednak powiedzą, że Grzegorz z Sanoka, zyskawszy poprzednio

[1]) Nie wskazano miejsc, które zwiedzał; powiedziano tylko ogólnie: *„in Germaniam ultra Elbim flumen penetravit“*.

w mieście wielką popularność, jako śpiewak, na wykłady sielanek Wirgiljusza ściągał tłumy słuchaczów, niemców krakowskich, zwabionych zapewne piękną deklamacją — to będzie dla nas całkiem zrozumiałe. Napisana przez Kalimacha biografja daleka jest od dokładności. Niema w niej np. ani jednej daty chronologicznej; pochodzenie, wychowanie, a nawet tryb kształcenia Grzegorza przedstawiają się w nader mglistych zarysach. Trudno tu wszakże nie dostrzedz, obok dążności przesadnie chwalczej, różnostronnego a plastycznego odtwarzania postaci. Przeczytawszy uważnie życiorys, mamy przed sobą umysłowy, moralny i fizyczny obraz człowieka, przyćmiony nieco obłokiem dymu kadzidłowego.

Byłto podobno mąż o postawie okazałej, bystrem oku i donośnym a dźwięcznym głosie, — wielostronnie uzdolniony, władający biegle językiem niemieckim i łacińskim, — wolnomyślny, ale układny, — uprzejmy, niekrępujący się zasadami surowej moralności, stoik zarazem i epikurejczyk, — w stosunkach ekonomicznych obrotny — typowy humanista-dworak. Zdaje się, że powabną głównie powierzchownością, oraz talentem kaligraficznym i muzyczno-śpiewaczym torował sobie drogę w świecie. Za granicą, podczas swej pięcioletniej podróży młodzieńczej, utrzymuje się z przepisywania; w Krakowie wyrabia sobie stanowisko pięknym głosem; względy królewiczów — Władysława i Kazimierza — zjednywa przeważnie kaligrafją.[1])

Przysądzane w życiorysie Grzegorzowi różne zdania, które w ciągu tylu lat aż do obrzydliwości przeżuwamy (pogarda dla filozofji scholastycznej, nazwanej *„somnium vigilantium“*, poczytywanie poezji za główny czynnik edukacyjny, etc.) nie mogą w żaden sposób wyjednać mu tytułu — nietylko „Bakona polskiego“ — jak chciał M. Wiszniewski — ale nawet myśliciela z powołania; nie stanowią bowiem nic osobliwego; owszem, odpowiadają typowym poglądom humanistów, a w szczególności — samego autora biografji.

Wierny syn rozwijającego się już wówczas na Zachodzie, ducha „odrodzenia“, wykształcony Sanoczanin, uprawiał niezawodnie po amatorsku różne gałęzie humanistyki i próbował pióra twórczego; ale przedewszystkiem pilnował on dróg działalności praktycznej. „Między książkami, które codziennie wielu mu znosiło — pisze Kalimach — znalazł kilka komedji“. Czytywał je z upodobaniem i „zaczął według ich wzoru nową pisać sztukę“; lecz „przerwał później to ćwiczenie, zmuszony (?) udać się do Włoch dla wyjednania sobie probostwa, które wtedy zawakowało“. — Główną też podnietą do powrotu Grzegorza z Węgier — jak w innem miejscu zaznacza wyraźnie Filip Buonacorsi — był interes materjalny, mianowicie: otrzymana wiadomość, że król Kazimierz należącą do humanisty, prebendę wielicką komu innemu oddał.[2])

Po Grzegorzu z Sanoka nic godnego uwagi nie zostało; ale może wpłynął na swe otoczenie, — może ktoś z jego słuchaczów akademickich lub domo-

---

[1]) *„Sed inprimis erat illis (Regulis) admirationi scriptura illius, cujus dignitate et decore capti, prout animus concupierat, modo haec, modo illa sibi exscribenda tradebant“.*

[2]) *„Quo nuntio adactus est Gregorius redire in Poloniam, rebus suis consulturus“.*

wników na pole działalności literackiej wystąpił, i jak Platon — Sokratesa, imię swego mistrza rozsławił? Bynajmniej. Cóż on więc robi w historji literatury XV-go wieku? — Ha, tkwi w niej.... przez protekcję, i z okazałych ram dziejowych wygląda, „by święta kość z kryształowej skrzyni“, którą każdy szkolnik ma obowiązek przy spotkaniu z zamkniętemi oczyma pobożnie ucałować....

Rzecz dziwna, iż nawet samodzielni skądinąd badacze nie oparli się zapoczątkowanemu przez M. Wiszniewskiego, a dziś już zestarzałemu nałogowi, i umieścili Grzegorza na poczesnem stanowisku w historji literatury XV-go wieku. Między innemi uczony niemiec, H. Zeissberg, ulegając widocznie sugiestji powag naszych, w znakomitem swem dziele p. n. „Die polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters“ („Dziejopisarstwo polskie wieków średnich“ przekład wyd. A. Pawińskiego, Warszawa 1877) poświęcił cały artykuł uprzywilejowanemu wybrańcowi losów — z tej jedynie racji, że miał on skreślić historję Władysława Warneńczyka. W tomie IV-tym „Złotej przędzy“, ułożonym pod redakcją dra Piotra Chmielowskiego (Warszawa 1887), znajdujemy opartą na postumencie obszernego życiorysu, rzekomą „elegję na śmierć królowej Zofji“ w wiernym przekładzie K. Mecherzyńskiego. Najpiękniejsza (!) ta pamiątka śród ubogiej nad wyraz puścizny po Grzegorzu z Sanoka, tak dalece nie przypomina rosnących na Helikonie kwiatków, że nie tylko do „złotej“ lub srebrnej, ale nawet do lnianej nie kwalifikuje się przędzy. Jestto, rzec można, coś w rodzaju... książeczki legitymacyjnej i aktu zejścia, uwieńczonych wypominkiem za duszę Zofji.

Poco, pytam się, takie martwe rzeczy przedrukowywać — poco spętanym językiem rozprawiać monotonnie w historji literatury o człowieku, który położył wprawdzie pewne zasługi na polu cywilizacji, ale żadnego pisemka cennego, żadnych nawet śladów istotnego w danej dziedzinie wpływu po sobie nie zostawił? Czyż nie dosyć zastanowić się w artykule o Kalimachu nad skreśloną przez niego biografją?

Antoni Gustaw Bem.

Warszawa.



Udział Stanisława Trembeckiego

w sprawie Dugrumowej.

Sprawa Dugrumowej, słynnej intrygantki i awanturnicy poruszyła wszystkie umysły w Polsce na schyłku XVIII wieku. Był w nią uwikłany król Stanisław August, najwyżsi dygnitarze, jak książę generał ziem podolskich, hetman wielki koronny, najwybitniejsze rodziny: ks. Czartoryskich, Lubomirskich, Potockich, Branickich. Wciągnięto do tej misternie uplecionej sieci nawet dwory zagraniczne.

Wydano półtrzecia miliona złotych, to jest „blizko siódmą część tego, ile Rzeczpospolita miała wówczas dochodów". Powstała cała literatura za i przeciw Dugrumowej, wymieniona w pięknym obrazku historycznym A. Kraushara (Drobiazgi, 1891 I, 243) i w Bibliografji Historji polskiej L. Finkla (Lwów, 1891, I 264-5). W sprawie tej zamaczał rękę i Stanisław Trembecki, jak to obecnie na jaw wychodzi w korespondencji jego z królem Stanisławem Augustem, którą tutaj ogłaszamy. — Rzecz się tak miała po krótce:

Anna Marya de Ugriumow, znana z ruiny swych amantów, awanturnica, używana do różnych intryg miłosnych, korzystając z niechęci ks. Czartoryskich do króla, rzuciła potwarz na ludzi stojących najbliżej monarchy, mianowicie na generała Jana Komarzewskiego i kamerdynera królewskiego Franciszka Ryxa, jakoby ci knuli spisek na życie ks. Adama Czartoryskiego. Przekwitła zalotnica, zwabiwszy do siebie Ryxa, tak zręcznie prowadziła z nim rozmowę wobec ukrytych za drzwiami świadków: Stanisława Potockiego, ożenionego z siostrzenicą księcia, i Wilhelma Taylora, kupca angielskiego, że tym się zdawać mogło, iż mowa była w istocie o zamachu na życie ks. generała ziem podolskich. Uwięziono więc natychmiast Ryxa i oddano w ręce sprawiedliwości. — Zapozwał ks. A. Czartoryski Ryxa i Komarzewskiego o zamysł otrucia go. Natomiast zaskarżył Ryx i Komarzewski księcia i Dugrumową o potwarz i oszczerstwa.

Przypozwano też Taylora i Potockiego. Wytoczyła się sprawa przed sąd marszałkowski.

W najbliższem otoczeniu ks Czartoryskiego posądzano St. Augusta o złe zamiary. — Obcym dworom starano się wmówić, że księciu groziło niebezpieczeństwo życia; wysłano kurjera do dworu austrjackiego, a poseł jego, de Caché, okazał z początku niezwykłą gorliwość w popieraniu i obronie księcia. Dwór austrjacki zalecił mu tak gorąco tę sprawę, jak gdyby chodziło o „zdobycz wielkiej prowincji".

Z drugiej strony — jak się okazuje z listów Trembeckiego — podejrzewał Stanisław August Czartoryskich i polecił podobno swemu szambelanowi, aby miał księcia na oku.

Skandaliczny proces postępował zwykłym torem. Po śledztwie przyszło do cytacji świadków. Ks. generał ziem podolskich na świadków podał z swojej strony:

Stanisława Potockiego, W. Taylora i panią Dugrumow. Przeciwna strona t. j. Komarzewski i Ryx, wyłączyli ich od świadczenia, opierali się bowiem na prawie, iż kto jest oskarżonym, nie może być świadkiem.

Podnieśli prócz tego i to, że Potocki jest krewnym księcia, a prawo wyraźnie wyłączało krewnych od świadczenia.

Z przyczyn tych uznał sąd marszałkowski za właściwe wyłączyć Stanisława Potockiego, Taylora i Dugrumową. Oburzyło to stronę przeciwną, która broszurą, zredagowaną przez Trembeckiego, starała się przekonać sąd o legalności przypuszczenia do świadectwa wymienionych osób. Sąd okazał się jednak nadspodziewanie sprawiedliwym.

Pomimo użycia bezwzględnych środków, jak: pieniędzy, niszczenia aktów, wykupna djarjuszów, zapadł 21 kwietnia 1785 wyrok, skazujący winowajczynię na dożywotnie więzienie, a uwalniający oskarżonych od wszelkiej kary.

Tylko Taylora skazano za gwałt spełniony na osobie Ryxa na pół roku więzienia.

Udział Stanisława Trembeckiego w tej sprawie ogranicza się donoszeniem królowi wiadomości od wytoczenia sprawy w sądzie i napisaniem t. z. objaśnienia po odrzuceniu świadków. W pierwszym liście donosi królowi o stanowisku dworu austrjackiego w sprawie ks. Czartoryskiego i radzi wysłać na ten dwór innego posła, gdyż szambelana Corticellego cesarz nie lubi. W drugim i trzecim liście dziękuje za otrzymane zlecenia i pieniądze, prawdopodobnie za usługi w sprawie Dugrumowej, i obiecuje podać dotyczące szczegóły Corticellemu.

Dalsze listy wnikają już w głąb sprawy i wykazują wielostronne informacje Trembeckiego. Przytaczam je w całości wraz z owem „drugiem" objaśnieniem w sprawie ks. Czartoryskiego; — pierwsze nie przechowało się w naszym zbiorze rękopiśmiennym. W końcu dołączam list Trembeckiego, wymieniający na żądanie króla te osoby, które ową sekretną korespondencję szambelana czytały. Ze wszystkiego wynika, iż Trembecki w tej, jak w każdej sprawie, służył bezwzględnie swemu Najj. Panu i królowi.

Niniejszą korespondencję Trembeckiego z Stanisławem Augustem w sprawie Dugrumowej podaję tu po raz pierwszy z autografów poety, opisanych szczegó-

łowo w katalogu rękopisów biblioteki ks. Czartoryskich przez dra Józefa Korzeniowskiego pod No. 847.

6. Febr. 1785.

Chociaż za mój napój nie używam tylko mleka i wody, jednakże ciężką podagrą uderzony jestem, za Ojca i Dziada mego pokutując nieskromność: *delicta majorum immeritus luo.*

Nie będąc w stanie wychylić się z domu najpokorniej upraszam, aby to przynajmniej nie było mi poczytane za winę, iż, będąc w Warszawie, dotąd nie miałem szczęścia i honoru osobiście ucałować stopy W. K. Mci.

Rozumiem, iż względem interesu Starosty Piaseczyńskiego (Ryxa) dokładne W. K. Mć miewasz informacye, wszakoż i tę wyrażam, jaka mnie uczyniona jest relacya: Że gdy Xżę Generał Podolski do Cesarza o swoim mniemanym napisał przypadku, na to ma odpowiedź, po wielkich poprzedzających komplementach, 1-mo: iż w tym momencie bieży kurjer z Wiednia do Petersburga względem namienionego interesu. 2-do: Iż pan Des Cachets odbiera rozkaz, aby się jak najpilniej przypatrywał tej sprawie, i sekretnie dochodził osób, które były pobudką do czynienia pana Ryxa.

3-tio: Aby tenże pan Des Cachets wszystko to generalnie czynił, co mu Xżę Generał Podolski zaleci.

I znowu następują, list kończące komplementa.

Ta relacya jest mi czyniona od P. Miera, który pretenduje, że to wszystko swemi oczami ukazane sobie od Xiężnej Marszałkowej W. K. czytał.

P. Corticellemu, który jest bez wątpienia wiernym Pańskim poddanym wiele bardzo dobra życzę, ale W. K. Mci nieskończenie więcej. Twierdzą przedemną, iż jego Cesarz osobiście nie lubi, i w posiedzeniach przy innych nawet Polakach nie zwykł go nazywać inaczej, tylko Marchand des filles, a gniewając się o to, że mu go tam W. K. Mć posyłasz, żadnego tu nawzajem swojego Ministra przysłać nigdy nie obiecuje.

Jeżeli to prawda, zdaje się, iż, jeżeli w tym czasie W. K. Mć masz kogo do Wiednia wysłać, mógłbyś i komużkolwiek innemu swoje w tej mierze dać rozkazy.

O nieodwłoczne tej karty spalenie przy Stopach W. K. Mci supplikuję.

8 Lutego 1785.

Najjaśniejszy Królu, Panie Nasz Miłościwy!

Billet WKMci Pana Naszego Miłościwego względem mnie pisany do JP. Corticellego, dopiero w tym momencie komunikowany mi jest. Gdybym z dawna nie był gruntownie przekonanym, iż mam szczęście służyć łaskawszemu od wszystkich królów, którzy kiedykolwiek zdobili ziemię, ten sam billet o tym by mię przekonał; gdyż jego wyrazy do zasłużonego dążące niby rygoru, nieodwłocznie pełnemi miłosierdzia temperowane są.

Nie należy mi teraz drogiego WKMci wycieńczać czasu, wyższym poświęconego zatrudnieniom.

We dwóch tylko słowach wyznaję winę moję, żem się przed WKMcią nie dosyć jasno wytłumaczył. Swoim zawsze obiecałeś mię WKMć nazywać, ja nad to nic więcej pragnąć, ani chcę, ani mogę. Drobniejsze zaś artykuły wyjaśnię, gdy będę miał szczęście ucałować Stopy WKMci.

Mam honor być z najgłębszym respektem aż do ostatniego tchnienia Waszej Królewskiej Mości Pana Naszego Miłościwego Wiernym Poddanym

Trembecki.

10 Febr. 1785.

Najjaśniejszy Panie!

Już wszystko w billecie WKMci odebrałem przysłane, cokolwiek od rodzaju ludzkiego pożądanym być może. Całując stopy WKMci, składam pod nie dzięki, żeś Miłościwy Panie o gruncie serca mego wiecznie sobie obowiązanego dobrze rozumieć raczył. O nieskończonym nigdy przywiązaniu i wierności mówić się wstydzę, ale abym je niewątpliwemi wsparł dowodami, na pierwsze skinienie WKMci duszę moją wyleję.

P. S. Dnia jutrzejszego Szambelanowi Corticellemu dam ponieść niektóre okoliczności do wiadomości WKMci potrzebne.

Starzy ateńscy teologowie twierdzili, że gdyby Bóg Wszechmogący miał się gniewać na wykroczenia ludzkie, tedy żadne stworzenie niebyłoby od Stwórcy nieszczęśliwszym, gdyż on przykre bez przestania czućby musiał wzruszenia. WKMć, który jesteś u nas Jego Namiestnikiem i pięknym obrazem, raczysz go naśladować i zabiegując winom naszym, albo je poprawiając, równość umysłu bez żadnego wzruszenia nieochybnie zachowasz.

Z tym wszystkim, Poddani WKMci nie wszyscy żyć pragną w pokoju. Poszły listy do Hetmanów koronnych, animując ich, aby oni pobudzali wojskowych do podawania memoryałów, iż z Generałem Komarzewskim służby czynić jeszcze nie mogą, a ponieważ jeden Hetman jest tak blisko z animującemi złączonym, a drugi, osobisty dawny i gwałtowny Generała Komarzewskiego nieprzyjaciel, jest podobieństwo, że te przeciwnych żądania choć po części do skutku przywiedzione być mogą.

Pan Stanisław [Potocki], który dane sobie z wspaniałości WKMci dostojeństwo [podstolego] przekupczył i przejadł na wety, po zjedzonym całym swoim majątku, rozpisał do Gazeciarzów list dosyć uszczypliwy, obowiązując ich zapłatą, aby te przysłane wyrazy z podpisem jego imienia w publicznych umieścili wiadomościach.

Brat jego starszy [Potocki, marszałek nadworny litewski], na wysoki urząd od WKMci wyniesiony i przybogacony, innych współsędziów kolegów swoich bez względu i słuszności do Wiednia poopisywał, malując tę sprawę, nie jak w rzeczy samej jest, ale jak jest w jego uprzedzonym pojęciu. Jako Ministrowi

i Sędziemu wierzyć mu tam będą, ci którzy wierzyć pragną. Stąd nastąpiło, *ut fertur*, iż Cesarz pisał teraz, aby Xiążę Generał nieodwłocznie do niego pospieszył.

Jakoż on, nie do Puław jak rozumiano, ale do Wiednia kroki swoje obrócił, gdzie podobno nie o spokojności Polski będą namowy. Jeżeli to prawda, że tam książę wyjechał, zapewne już dawniej WKMć musisz być o tem informowanym, a mnie łaskawie przepuścisz niepotrzebne wiadomej rzeczy powtarzanie.

P. S. Zdaje się, iż w tym czasie bytność Ministra W. K. Mci u niedość przychylnego Wiedeńskiego dworu nie jest koniecznie potrzebną.

Znajoma mi jego roztropność, chociażby go z tysięcznych zastawionych wywikłała sideł, jednakże gdzie panuje prewencya, nicby on tam użytecznego udzielać teraz nie mógł, i tylko przymuszony byłby gorżkie trawić kawałki, które już dla niego przygotowane są.

NB. Listy najszkodliwsze nie bywają oddawane na Pocztę Warszawską, ale posyłają się z Gruszczyna prosto, albo na jednę stacyę dalej.

W Poniedziałek Aprilis 1785 mnie oddano.

Mam nadzieję w łasce W. K. Mci, iż ostatnie pismo, które miałem honor złożyć pod Stopy Pańskie, raczyłeś spalić. Z tej przyczyny o to się dopraszam, iż nieraz już listy moje, do W. K. Mci pisane, po cudzych rękach biegające widziałem.

Szambellan Corticelli zalecił mi imieniem W. K. Mci, abym drugie objaśnienie starał się przesłać. To przyłączam. Miałem je i dawniej do czytania mi dane, ale tak napisane grubijańsko, iż, nie mogąc tego znieść, przestrzegłem stronę przeciwną, że pisania w takowym guście im tylko samym wieczną krzywdę uczynią. Teraz tedy jest przez trzecią prawie część skrócone i poprawione, ale jeszcze bardzo w nim znać rękę barbarzyńską. Czyli było publikowane, nie wiem. To wiem, że dawniejsze dane było P. Niemcewiczowi, aby je po wsiach rozdawał, i ztamtąd do Stolicy przesłał, wkrótce zaś wszelkie tego rodzaju kawałki mają być drukowane we Lwowie.

Drugie objaśnienie w sprawie Xcia Generała po odrzuceniu świadków.

Trudno, jak widzę, być u nas Prorokiem uczciwemu człowiekowi, domysł jego, przewidując złe, które objąć może, tego, które się stać ma, nie obejmie. To mi się zdarzyło w przepowiadaniu dalszego postępowania sądu za Ryxem, przeciwko Xciu Generałowi wyznaczonym.

Domyśliłem się, iż Dugrumow, iż Taylora nie przypuszczą do świadectwa; ale żeby od niego śmieli oddalić P. Potockiego, to się jąć myśli mojej niechciało.

Lecz jeżeli niepodobna było przed czasem zgadnąć postępku, który wszystkich zasmucić powinien, tajemne jego przyczyny wyjawić, a pozorne zniszczyć, aż nadto łatwo przypadnie. Skoro się dowiedzieli Sędziowie, na wyzna-

czonym umyślnie dla tego examinie, jakiej są wagi rzeczy od świadków słyszane, odrzucenie ich stało się dla sądu jedynym sposobem do ocalenia Ryxa, a dla publiczności staje się największym zbrodni przez niego popełnionej dowodem.

Bo gdyby Ryx był niewinnym, gdyby do czego innego, nie do zgładzenia Xcia Generała mogły zmierzać słowa od świadków słyszane, czyliżby on całą zasadę obrony swojej na ich uchyleniu założył? czyliżby sąd, mając inne do wybawienia go środki, tak gorszącego się uchwycił?

Należy tu przydać, iż P. Komarzewski, sprawę swoję z Ryxa sprawą tak ściśle czuł być związaną, iż, do żądania jego swoje przyłączając, dopraszał się sądu o świadków uchylenie, którzy, nie P. Komarzewskiego, ale Ryxa słyszeli. Zdawało mi się, że Sąd tyle przecie na Publicum będzie miał względu, iż przynajmniej P. Potockiego do świadectwa przypuści. Zdawało mi się, że z tem publiczności uszanowaniem będzie mógł ocalenie Ryxa pogodzić.

Ale tu błąd mój wyznać muszę. Świadectwo P. Potockiego tak jest czyste, tak jasne, tak potępiające zbrodniarza, iż odprzysiężeniem chyba można było jego życie zachować. A niedosyć na tem, żeby go żywym zostawić, trzeba było jeszcze robić go i niewinnym. Gdyby sąd, nowy język tworząc dla Ryxa i każdemu słowu insze dając znaczenie, tym go sposobem oczyścił, świadectwo P. Potockiego wymienione w Dekrecie ten dekret na wieki-by zbijało, i wieczną byłoby sądu ohydą; ale jeżeli Sąd ujść jej spodziewa się odrzuceniem świadków, nazbyt się grubo myli. Nie w Dekrecie ta ohyda zostanie, ale w zdaniu publicznem, które, wyższe nad wszystkie wyroki, upoważnić lub zniszczyć je może, z ust ona do ust przechodząc, najpóźniejszym wiekom podana, niezgasłą będzie, a bogdaj by nie jedyną zemstą sprawiedliwości tak daleko, tak zuchwale znieważoney!

Zerwaliśmy zdrożności zasłonę, okazaliśmy odrzucenia świadków. Zamilczane przyczyny, które tak są jawne, iż im tajemnych imię nawet nie przystoi. Roztrząśnijmy teraz przyczyny pozorne, od strony podane i w sentencyą sądu włożone. Jakież są naprzód przeciwko Pani Dugrumow? Oto, że jest złego życia niewiasta, że jest Ryxowi nienawistna, że jest stroną w tej sprawie, że potwarz na Ryxa i na Komarzewskiego ułożyła, że już podobne potwarze na innych kładła, i że na wolnym examinie sama się sobie w niektórych narracyach sprzeciwiała.

Nim się na te zarzuty odpowiedzi przywiodą, uważyć należy, iż gdyby w sprawach kryminalnych, gdzie idzie o zbrodnie, które układane i działane w ciemności, światła nie cierpią, tych wyłączeń używać można, które używane bywają w sprawach cywilnych, gdzie o świadków nie trudno, — w takim razie nigdyby zbrodnia odkrytą i karaną być nie mogła.

Byłoby to drogę otworzyć najszkaradniejszym występkom; każdy złoczyńca brata przy bracie, syna przy Ojcu, Pana przy sługach, mógłby już zabijać bezpiecznie, i takowe zbrodnie tymby się częściej zdarzały, iż przy nich takie tylko osoby znajdować się zwykły.

Ktoby zemstą lub inną wiedziony namiętnością, zgładzić chciał bliźniego, przydybawszy go na miejscu nierządnym, mógłby go w obecności dwunastu świadków na tamten świat bez najmniejszej wysłać bojaźni.

Że Pani Dugrumow złego jest życia niewiasta, to właśnie było powodem dla Ryxa, aby się do niej ze swoim udał zamysłem.

Ale czyż to być mogło powodem dla sądu, żeby ją od świadectwa wyłączył? Nie mogła do tego być powodem i nienawiść Pani Dugrumow przeciw Ryxowi; bo tej dowód największy jest wydanie zbrodni jego, a do tej chwili żył z nią Ryx w jak najściślejszej przyjaźni. Żeby w cywilnej nawet sprawie nienawiść była powodem do wyłączenia kogo od świadectwa, trzeba, żeby tej nienawiści były dane już poprzedzające dowody, trzeba, żeby jej przyczyna mogła się równać ze skutkiem, a czyliż być może jakowe porównanie między odmówieniem nadgrody, które za przyczynę nienawiści Pani Dugrumow Ryx ku sobie naznacza, a między zadaniem zbrodni, za którą w inszym kraju, w inszym sądzie, śmierciby okrutnej nie uszedł?

Mówi strona przeciwko p. Dugrumow, iż jest równie stroną w tej sprawie, mówi tożsamo przeciwko P. Potockiemu i przeciwko P. Taylorowi, ale tu idzie o to, czy powinni, czy mogą być przez Ryxa pozwanemi, czy nie na to umyślnie Ryx i sąd chcieli ich mieć stroną, żeby ich do świadectwa nie przypuścić? czy sprawy, które mają, a których mieć nie powinni przed zakończeniem sprawy pryncypalnej Księcia Generała, czy te sprawy nie są wcale od tamtej oddzielne, i wcale inszego od niej rodzaju?

Mówię szczególnie przeciwko Pani Dugrumow, iż sama o swojej nie może świadczyć z Panem Ryxem rozmowie. Jak to nie może kto świadczyć, że takie a takie uczyniwszy komu zapytanie, takie, a takie miał od niego odpowiedzi? Tego wniosku nie rozumiem.

Zadaje Ryx potwarz Pani Dugrumow, ale toż samo każdy złoczyńca, każdemu świadkowi zadać potrafi, a co wszystkim złoczyńcom służyć może, to żadnemu służyć nie powinno.

Nie pierwszym P. Ryx wynalazcą tego wybiegu; już on był użyty, ale bezskutecznie, w sprawie dzisiejszej podobnej, a wcale przeciwnie sądzonej przez Xiążęcia Marszałka Lubomirskiego, którego roztropność i nieskazitelność nie zgasły jeszcze w pamięci naszej, a na którego śmierci jak wiele traci sprawiedliwość, prawo i bezpieczeństwo publiczne, dzisiaj to dopiero uczuć się nam daje. Niejaki P. de Bollo, oskarżony był przez Doktora Morembo, iż on potwarz na niego kładzie, nie tylko w sądzie, ale i w prywatnych posiedzeniach. Nie słuchał tego nikczemnego zarzutu Xiążę Marszałek, żeby zbrodnia takiej wagi przytłumioną i bezkarną nie została: przypuścił Morembo do świadectwa, a p. de Bollo, ponieważ przeciwko niemu drugiego świadka nie było, nie śmiercią był, ale wygnaniem z kraju karany.

Ten przykład, lubo tak do dzisiejszego na pozór podobny, wielka jednak między niemi zapada różnica.

P. Patausen nie był Xiążęciem Czartoryskim, a co najbardziej różnicę stanowi, P. de Bollo nie był kamerdynerem królewskim.

Że pani Dugrumow na wolnym examinie nie we wszystkich okolicznościach sama się z sobą zgodną ukazała, biorąc rzecz według prawa, świadek przed przysięgą nie jest do powiedzenia prawdy w sądzie obowiązany.

Biorąc rzecz tę na rozum, nie to, w dziw iść powinno komu, iż ona z sobą nie zawsze jest zgodną, ale to, iż ona, będąc ustawnie straszona, widząc jak rzeczy idą, i co ją czeka, łatwo się domyślając — tego, co raz doniosła, nie wyprze się i nie odwoła.

Zostaje zarzut ostatni, i od drugich pozorniejszy, a ten jest, że Pani Dugrumow już podobno wieści fałszywie rozsiewała. Ale któż jej to zadaje? Otóż p. Komarzewski i p. Ryx, którzy nim się sami oczyszczą, innych obwiniać prawa nie mają. — Kiedyż to jej oni zadają? oto wtedy, kiedy ich zbrodnię wydała.

Czyż to słuszniej aniżeli p. Ryx, nie może p. Dugrumow ich się ku sobie nienawiścią bronić? czyliż przez dwa lata nie mieli ich wieści za fałszywe? czyż się dzisiaj dopiero fałszywemi, czyż się dziś dopiero występkiem stały? czyż już jest dowiedzione, iż ona te wieści fałszywie rozsiewała? czyż świadkowie P. Ryxa i P. Komarzewskiego już są do świadectwa przypuszczeni. Sprawa o ten zarzut, po sprawie Xięcia Generała wniesiona, żadnego z nią niemająca związku, po sprawie Xięcia Generała sądzoną być powinna.

Jakże ten zarzut, w sprawie Xięcia Generała służyć już może do wyłączenia p. Dugrumow od świadectwa?

Jeżeli odpowiedzą sędziowie, że słyszeli świadków w tej mierze na wolnym examinie, świadki nieprzysięgłe, do świadectwa nie przypuszczone, do prawdy nie obowiązane, nic znaczyć nie mogą. Tym sposobem, po wysłuchachaniu P. Potockiego, P. Taylora i pani Dugrumow, jużby Ryx wisieć powinien, a przecie się to nie stało, ani się stanie podobno.

Kiedy przyczyny wyłączenia P. Dugrumow od świadectwa w sprawie kryminalnej nie są prawne, ani sprawiedliwe, cóż myśleć mamy o zarzutach P. Taylorowi i p. Potockiemu czynionych? Zadaje strona pierwszemu, że jest bankrutem, odpowiedzią, iż nim tu nie jest, są dwa sklepy Angielskie od innych sklepów tegoż rodzaju bogatsze.

Że nim Anglik nie był, i że tam po sobie dobrą sławę zostawił, świadczą związki, które z kupcami tamtego kraju zachował, świadczy przyjaźń, którą go za bytności swojej Poseł angielski zaszczycał, z którego posła widywać tego Taylora i bywać z nim na obiadach sędziom nawet niektórym zdarzało się. Wyrzuca strona temuż Taylorowi przysięgę jakiegoś Hampla przeciwko niemu o sfałszowanie kupieckich papierów. Tę sprawę Taylor był wygrał, nakazał był sąd, aby Hampel dziewięć tysięcy czerwonych złotych Taylorowi zapłacił, i nakazał ostatnim dekretem w tej sprawie zapadłym wieczne milczenie stronom, o wszystkich poprzedniczych wieściach sławę którego z nich mażących. Ten dekret wyjęty był i przed sądem publicznie czytany.

Czyni strona temuż p. Taylorowi i razem p. Potockiemu zarzut, już p. Dugrumow uczyniony, iż są p. Ryxowi nienawistni, i tej nienawiści dowodzi tem, że oni go oba wysłuchali, i że Taylor, uniesiony gniewem cnoty przeciwko dosłyszanej zbrodni, porwał go, wiódł z bronią przez ulicę, i złoczyńcą szubienicy godnym nazywał.

Cóż to za śmieszne dowody! Takiemiby nawet i sędziom każdy zbrodzień karany potrafił zadawać nienawiść.

Zadaje mu jeszcze strona, iż jest wspólnikiem zbrodni P. Dugrumow, i tem chce tego dowodzić, iż on zmyślił list od Xięcia Generała i dał go Pani Dugrumow na zgubę Ryxa; ale jakaż może być zbrodnia Pani Dugrumow? Potwarz na Ryxa włożona i cóż ma do tej potwarzy list przez Taylora dany? jak ten list mógł pobić Ryxa i czy za dowód przeciw niemu służył? Insze więc do pokazania tego listu, którego się nie wypiera, musiał mieć p. Taylor pobudki, a te sam jaśnie i z rzeczy wynikające, pokazuje.

Wiedząc o przychylności, którą Xiąże Generał Taylora zaszczyca, prosiła go P. Dugrumow, aby jej listu jakiego, od Xięcia do siebie pisanego, pożyczył na chwilę, a to, żeby mogła tym listem dowieść p. Komarzewskiemu i p. Ryxowi, iż potrafi znaleść przystęp do Xięcia Generała, i tak żeby mogła potem życie jego wyjawieniem zbrodni zabezpieczyć. Nie miał wtedy takowego listu Taylor; nalegała p. Dugrumow, żeby jej dał jakiekolwiek pismo Angielskie, które ona przed niemi za list od nich żądany uda. Dał jej wtedy papier bez daty, bez podpisu, bez naśladowania cudzej ręki, który p. Komarzewski wypisał, i kazawszy go sobie wytłómaczyć, nic w nim znaczącego nie znalazł.

Ten papier, dla uczciwego zamiaru p. Dugrumow przez Taylora udzielony, który nie tylko nie był, ale być nie mógł końcem podstępu jakiego pisany, czyż może służyć za przyczynę do wyłączenia świadectwa człowieka, którego wiara nigdy w niczem poszlakowaną nie była, przeciwko złoczyńcy, którego całe życie zdaje się być ostatniej zbrodni jego dowodem?

Przychodźmy teraz do rzeczy, która najbardziej wszystkich obchodzi; widzę tu ciekawość słuszną całego narodu: pojąć on nie może, z jakiej przyczyny odrzucone było świadectwo męża, którego imię, którego osobiste cnoty tak mu są dobrze znajome, który sprawiedliwości i prawa, w osobie Xięcia Biskupa Krakowskiego obrażonych, tak gorliwie, tak śmiało, tak wymownie bronił, którego pochwały na ostatnim Sejmie z ust samego króla słyszeć się dały. W jakie zadziwienie, w jakie zgorszenie przemieni się ta ciekawość kiedy będzie wiadomo, iż P. Potocki uchylony był od świadectwa, pod pozorem pokrewieństwa z Xięciem Generałem; które nawet między nimi nie zachodzi; nie on, ale żona jego krewną jest Xięcia Generała, żadna sukcesya nie spada na niego po Xięciu Generale; nie o majątek tu sprawa, a w takim tylko razie krewnych od świadectwa prawo wyłącza i wyraźnie ostrzega, zagradzając temu, co się dzisiaj stało, iż gdzie o poczciwość idzie, to jest w sprawach kryminalnych, tam i krewni do świadectwa przypuszczeni być mają.

Ale żadne względy nie wstrzymały sądu. Z bezpieczeństwa publicznego

czyniąc ofiarę bezpieczeństwa Ryxa, bez innej przyczyny wszystkich świadków odrzucił. Xiąże Generał widząc sobie tym sposobem dowody wydarte, odstąpił od sprawy.

Nie on już przeciwko Ryxowi, ale Ryx przeciwko niemu rzecz czyni; już na Xięciu Generale dwie kondemnaty stanęły, już kary nad P. Dugrumow, nad P. Taylorem, nad P. Potockim wiszą, iż P. Ryxa i P. Komarzewskiego nadgrody czekają.

Narodzie do jakiej już hańby przyszedłeś!

Tłumem cisną się myśli, które smutkiem i trwogą serce sciskają. Jeżeli tak znakomity obywatel, który w obcych nawet krajach względy dla siebie znajduje, w swoim żadnych znaleść nie potrafił, jeżeli na niego złość się targnęła zuchwale, a miasto zbrodni, cnota za to ganioną i karaną zostanie, czego się ma spodziewać, a raczej czego się obawiać nie ma, obywatel w sprawiedliwości rządu i w swojej niewinnności i uczciwości zabezpieczony, to jest niemający za sobą, tylko te rzeczy, które tu dziś śmiech jedynie i wzgardę ściągać zwykły?

18 Kwietnia 1785.

Najjaśniejszy Panie!

Odebrawszy rozkaz Pański, abym wymienił tych, którzy listy moje do WKMci pisane czytali, winien jestem dać tej rzeczy objaśnienie:

1mo. Z JP. Moszyńskim starszym bardzo mało mając w on czas znajomości, byłem od niego na pokojach WKMci uściskany.

Dziwiącego się, zkądby to przyszło, nauczył mię, iż czytając listy moje do WKMci, z których mi na pamięć przytoczył kawałki, wielki dla mnie powziął szacunek. Ten komplement przyniósł mi więcej smutku nad wesele.

2do. Kiedy po długim rozmyślaniu osądziłem był, iż lepiej mieć upewnioną sukienkę czarną aniżeli żadną, i na ten koniec życzyłem sobie wziąć mundur Jezu-Chrysta, Dwa listy moje w tej okoliczności pisane do WKMci, w ręku Szambelana Wojny sam widziałem i z nim razem czytałem.

3tio. U Szambelana Corticellego kilkakrotnie widziałem pisania moje do WKMci, które tego czasem były rodzaju, że nietylko nikt inny, ale nawet WKMć nigdyś ich był czytać niepowinien.

Te ostatnie, rozumiem, iż się nazad do WKMci wróciły, mojem jednak byłoby pragnieniem, aby kędy wiecznie zginęły.

Stopy Pańskie z najgłębszym całując respektem, obiecuję sobie wkrótce to szczęście osobiście pozyskać, gdy będę miał honor supplikować WKMci o dozwolenie mi przydłuższego wojażu.

Stanowisko Trembeckiego w całej tej sprawie, o ile z urywkowych i postronnych wzmianek w tych listach wnosić można — nie było zupełnie czyste. Podejmował się on donosicielstwa i obrony rzeczy nielegalnej: Ówczesne bowiem prawo karne nie dopuszczało do świadczenia osoby „złego życia, fałszerki, de-

latorki“ i t. p., za jaką uznał sąd Dugrumową. Uchylało również od świadectwa „krewnych, przyjaciół jednej, a nieprzyjaciół drugiej strony“, za jakiego sąd uważał Stanisława Potockiego, biorącego czynny udział w zasadzce na Ryxa. Odsądzało wreszcie i Taylora od świadectwa, bo był podejrzanym o „korrupcyę i fałszerstwo“, a nadto — „przyjacielem księcia Czartoryskiego a wrogiem Ryxa“.

Wywody długiego „Objaśnienia“ zbija szczegółowo spółczesna broszura, ogłoszona w Warszawie 1785 p. t. „Sprawa między ks. A. Czartosyskim a Janem Komarzewskim i Fr. Ryxem, oskarżonych jakoby o zamysł strucia tego księcia“.

Autor jednak tej broszury nie wie, że objaśnienie to napisał St. Trembecki, co dopiero niniejsza korespondencja wykrywa. Czy sąd marszałkowski wiedział, czyja ręka kierowała piórem tego „Drugiego objaśnienia“ — o tem trudno coś stanowczego powiedzieć. To pewna jednak, że dekretem wydanym w tej sprawie dnia 21 kwietnia 1785 r. uledz miały oba „objaśnienia“ spaleniu przez kata.

Lwów. *Dr. Henryk Biegeleisen.*



Prawo rytmu.

Pospolity ruch wahadła zegaru jest wielce pouczającym. Przed pospolitem okiem uchodzi tylko za to, czem się być zdaje: jest ruchem najpierw w jedną, potem w drugą, w przeciwnym kierunku, stronę. Dla umiejętnego spostrzegacza ruchy wahadła, jakkolwiek wyraźne i widoczne pod względem swojego kierunku, świadczą, nie o tendencji wahania się jego tylko, ale raczej o spadaniu ciężaru wahadła w kierunku pionowym ku środkowi ziemi po linji promienia kuli ziemskiej, dzielącego kąt i łuk wahania się ciężaru wahadła na dwie części zupełnie równe sobie w zegarze, a coraz bardziej zmniejszające się w ciałach wprawionych w ruch przez udzielenie im go z zewnątrz, przez potrącenie, uderzenie, rzut lub inne podobne wypadkowe zewnętrzne przyczyny.

Ruchy wahadła świadczą w ten sposób o ciążeniu powszechnem, o spadaniu ciał ku środkowi ziemi, jakkolwiek wniosku tego niepodobna było podejrzewać przy warunku pospolitej i powierzchownej obserwacji samego zjawiska ruchów wahadła. Przykład wahadła służy za ilustrację szeregu ruchów rytmicznych, których ostatecznym celem jest spokój, nieruchomość; każdy bowiem ruch jego na prawo i na lewo od punktu zero jest ruchem udzielonym mu wypadkowo, każdy zaś ruch w odwrotnym kierunku punktowi zero jest dążeniem jego do stanu poprzedniego, t. j. do stanu nieruchomości.

Ruchy gwiazd po orbitach w około ognisk przyciągania, bieg kołowy planet w około słońc, bieg komet po ekscentrycznych, ale najściślejszemu obliczeniu ulegających drogach — wszystkie te ruchy, jakkolwiek zupełnie prawidłowe, skończone, stanowiące doskonałą całość, w sobie zamkniętą i z powodu swej perjodyczności i rytmiczności przypominające nawet umysłowi naszemu harmonję muzykalną, świadczą wszakże w istocie rzeczy o ciążeniu powszechnem, o dążeniu wszystkich ciał niebieskich do ruchu w pewnym koniecznym kierunku, ku pewnemu środkowi ciążenia, o ruchu powstrzymywanym przez ruch tych ciał własny, będący skutkiem pierwotnego rzutu, jakiemu one przed wiekami wieków uległy. Ruchy te są zupełnie identyczne pod względem treści z ruchami wahadła i świadczą o istnieniu wspólnego im obu prawa ciążenia

powszechnego. Dla pospolitej obserwacji ruch wahadła, nadający się najzupełniej do ścisłego przedstawienia graficznego, dokonywujący się w dwu różnych kierunkach, a przechodzący w doskonały ruch kołowy — złożony z ruchu w kierunku promienia koła i z drugiego, pionowego do promienia — jest tylko ruchem stwierdzającym działanie prawa rytmu.

Ograniczona jest wiedza nasza o ciałach niebieskich wskutek ograniczenia samej obserwacji tak czasu, jakoteż i przestrzeni. Znane nam okolice nieba, pozostające w bezpośredniem sąsiedztwie z naszym światem słonecznym, są punktem zaledwie w przestrzeni, a perjod objęty przez nasze obserwacje — momentem tylko w wieczności. Zdaje się wszakże, i można to bez obawy popełnienia błędu powiedzieć, że skupianie się mgławic w wielkie ciała niebieskie o względnem zgęszczeniu, ostyganie tych niezmierzonych ogromów, następnie zmniejszanie się ich do rozmiarów np. naszego słońca, pozostawianie za sobą pierścieni, jakie posiada dziś jeszcze Saturn, przekształcanie się ich na satellity, jakim jest nasz księżyc — stanowią normę rozdzielania się i rozkładania mgławic na całe grupy ciał niebieskich. Los podobnej grupy, mogącej istnieć całe tysiące wieków, daje się z góry przewidzieć. Orbity ciał niebieskich skracają swą rozciągłość, i odległość ich od swoich środków ciążenia staje się coraz mniejszą, powiększanie się ich masy wskutek spadania na nie skupień w przestrzeni, znanych nam w postaci spadających na ziemię kamiennych deszczów i aerolitów, a przez to i zmniejszanie się siły rzutu pierwotnego, sprowadzić musi spadanie planet na słońca i zlewanie się pojedyńczych systematów słonecznych w jedno ciało niebieskie. Ponieważ jednak ruch powstrzymany przeobraża się w ciepło, koniecznością zatem jest powstanie z gruzów świata słonecznego, nowej mgławicy, czyli powrót do stanu pierwotnego rozproszenia, a następnie powtarzanie formacji systematów słonecznych. I tak wciąż od spoczynku do ruchu, od ruchu do spoczynku — prawdopodobnie bez końca.

Prawo rytmu działa i w sferze tych zjawisk, chociaż przy ustalaniu go spotykamy pewne trudności, polegające na utrudnieniu i prawie niemożliwości obserwacji, a dające się usunąć jedynie tylko na drodze rozumowania, porównywania i różniczkowania stanów, w jakich ciała niebieskie obecnie się znajdują. Pozwalające się sprawdzić w najogólniejszym zakresie istnienia wszechświata prawo rytmu świadczy o naturalnem przechodzeniu wszystkich rozproszonych ruchów w przestrzeni w pewien ruch wspólny, od nich wszystkich odmienny, a prowadzący swoją drogą wszystkie ciała niebieskie do stanu zupełnego spokoju. Ruch ten, wszystkie inne w siebie zbierający, musiał poprzedzić stan chaotycznych dla naszego pojęcia ruchów, jakie i obecnie jeszcze spełniają się we wszechświecie: chaotycznych, bo nie znamy wcale ostatecznego ich celu i końca, i tylko z danych, opartych na oczywistości, wnosimy, że ruchy te zostają pod panowaniem prawa ruchu rytmicznego. Wobec tej wielkiej zagadki bytu myśl nasza zatrzymuje się w nieskończonem zdumieniu, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego, co ją otacza, gdyż nie widzi ani początku, ani końca szeregu przemian, nie umie sobie wyobrazić, przy którym z mo-

mentów tego ogromnego ruchu sama jest obecną. Epizody tych dziejów, o których tu mowa, bez związku z całością, której umysł nasz objąć nie zdoła, są zagadkami, a z zagadek tych usiłujemy odgadywać całość.

Sfera zjawisk fizyko-chemicznych, rozważanych łącznie z powodu, że różnice pomiędzy niemi dobre są i ważne dla szkoły, ale nie wnoszą nic godnego osobliwszej uwagi dla myśli abstrakcyjnej, dostarcza dowodów stwierdzających działanie prawa rytmu i wśród tych również zjawisk. Występuje tu zagadnienie o falistym, ściśle mówiąc, perjodycznym, ruchu cząstek materji, od którego rozmaitości zależą objawy oddziaływania świata zewnętrznego na organizm ludzki w postaci otrzymywanych przezeń wrażeń głosu, ciepła, światła, bodźców elektrycznych, smaku, węchu. Wywołują je siły fizyczne, przechodzące w organizmie w stany fizjologiczne, które są rezultatem i skutkiem działania tych sił fizyko-chemicznych z dodaniem do nich czegoś niezrozumiałego, jakiegoś x, dającego w rezultacie procesy fizjologiczne. Sama kolejność po sobie stanów fizyko-chemicznych i fizjologicznych jest tutaj objawem działania owego prawa rytmu. Procesy fizyko-chemiczne są gruntem, na którym powstają zjawiska organiczne czyli fizjologiczne, po których ustaniu następują już tylko procesy fizyko-chemiczne, jakie dają się spostrzegać w gnijącym i zgniłym trupie. W ogóle normą jest przechodzenie potencjalnej energji w żywą, w osobliwszy stan organicznej energji, i powrót z tego stanu do pierwotnego: energji potencjalnej, właściwej materji nieorganicznej. Ustaje życie, powstają w materji, która wchodziła w skład żywego organizmu, procesy już tylko mechaniczne i fizyko-chemiczne; te drugie są tylko pewną odmianą pierwszych, zawdzięczającą również swoje istnienie działaniu przyczyny niewiadomej i najzupełniej niezrozumiałej.

Przeobrażanie się sił fizycznych jedna w drugą, począwszy od prostego mechanicznego ruchu, który, powstrzymany, daje zjawiska ciepła, światła, elektryczności, głosu, daje procesy chemiczne, a nakoniec zjawiska fizjologiczne i odwrotnie — dowodzą działania prawa rytmu w świecie materji nieorganicznej i w świecie materji organicznej, które-to oba światy zostają względem siebie w stosunku wzajemnie znoszących się sprzeczności. Energja materji to wzrasta do potęgi życia, przyobleka się w postać żywej istoty, to spada do stanu nieorganiczności martwej i bezwładnej. Stany są różne, materja zawsze taż sama: rytm oczywisty.

Materja sama w sobie, przy naszem jej pojmowaniu, może i musi być martwą i bezwładną; jednakże widzimy ją również i ożywioną, żyjącą, nawet niekiedy uświadomioną w postaci np. człowieka; materja organiczna, żywe organiczne istoty, jakkolwiek materjalne, wyłamują się jakoby, w naszem przekonaniu i poczuciu, z pod praw materji martwej, ulegając im przecież faktycznie. Dlatego-to pojęcie żyjącej materji jest logiczną sprzecznością, której umysł nasz podołać nie może. Tem mniej możemy zrozumieć rytm doskonały, składający się z dwu momentów życia: materji martwej, z natury swojej, w naszem pojmowaniu, bezwładnej; i procesów organicznych, powstających

na gruncie materji martwej, — momentów wzajemnie się logicznie znoszących, będących zaprzeczeniem siebie wzajemnem. A gdy świat nieorganiczny i świat organiczny powstają po kolei jeden z drugiego, energja ostatniego w walce z pierwszym, szybkość mnożenia się świata organicznego — są godne w tym względzie całej naszej uwagi. Można powiedzieć, że na drodze syntezy zjawiska życia należy uważać za rytm procesów fizyko-chemicznych i fizjologicznych, z kolei po sobie następujących, gdyż, nie rozumiejąc ani jednych, ani drugich w ich istocie, spostrzegamy tylko ruch rytmiczny, dążący do niezrozumiałego dla nas celu i końca; ani jedne bowiem, ani drugie procesy nie są koniecznością, którąby należało przypuszczać bezwzględnie, i mogłoby ich wcale nie być; są one rzeczą wypadku, to jest takiego zbiegu przyczyn, bez których nie mogłyby się dokonywać, a które nie ulegają ani obliczeniu, ani przewidzeniu i zjawiają się w rzeczywistości i w umyśle naszym jako wielkości logicznie niespodziewane, chociaż faktycznie istniejące. Świadczy to tylko o tem, że nie jesteśmy w posiadaniu wszystkich danych, koniecznych do przeprowadzenia ścisłego rachunku, i nie możemy nawet zrozumieć ani roli, ani sposobu działania brakujących nam danych, te zaś, które mamy, potrzeby umysłu naszego nie zaspakajają.

W sferze zjawisk życia, w sferze biologicznej, spotykamy się znowu z działaniem prawa rytmu. Już sama ciągłość i kolejność powstawania i ustawania życia, czyli śmierci, jest doskonałym tego prawa objawem. Biorąc rzecz ściśle, śmierć czyli stan niebytu organicznego, jest stanem normalnym, prawidłowym i dla naszego umysłu zrozumiałym. Życie występuje jako zjawisko osobliwe, wyjątkowe i zagadkowe, a do zrozumienia go brak nam najzupełniej odpowiedniej logiki. Nie widzimy zgoła konieczności tego, co mogłoby zupełnie nieistnieć. A że życie jest zjawiskiem najzupełniej tajemniczem i zgoła nieusprawiedliwionem, nie możemy więc zrozumieć tych przyczyn, któreby je czyniły jakąś koniecznością. Świat nieorganiczny, jako fakt, chociaż także sam przez się niezrozumiały, mógłby istnieć całą wieczność bez najmniejszej konieczności powstania wśród niego i z niego życia organicznego. Dlatego-to życie organiczne, jako wyjątek z pomiędzy zjawisk fizyko-chemicznych, ogólniej: mechanicznych, staje się zrozumiałem dla naszego umysłu dopiero ze względu na swój koniec, t. j. ze względu na zniszczenie, czyli na śmierć. Ustawanie życia, to jest powrót materji nieorganicznej do stanu pierwotnego, przemawia do naszego ograniczonego pojmowania świata w sposób przekonywający. Rozumiemy, że to, co nie powinno było istnieć, powinno też przestać istnieć. Jakkolwiekbądź, kolejne powstawanie i śmierć istot żyjących jest uderzającym objawem rytmu w sferze życia organicznego, dowodzącym istnienia usiłowań materji do ruchu najpierw w kierunku zupełnie dla nas niezrozumiałym, a następnie w odwrotnym. W każdym razie stan śmierci, czyli spokoju, jest tu jakby ostatecznym celem. Przekonywa to nas, że i te zjawiska pod względem widocznego dla nas swojego celu niczem się nie rożnią od zjawisk mechanicznych, o których była mowa przed chwilą, bo i tu, i tam

cel przemian i ruchów je stanowiących — jest zupełną zagadką dla naszego umysłu.

Rytmiczność tej ustawicznej przemiany stanów materji nazwano trafnie kołowaniem życia *(Kreislauf des Lebens* Moleschotta) i oddawna już na udowodnienie jej zebrano liczne przykłady. Ukazuje ją nam sam w sobie rozważany proces życia organicznego. Sen i czuwanie, jako synonimy spoczynku i działalności, kolejno po sobie następujące, znamionują życie każdej istoty organicznej.

Prawda, że zjawiska czuwania i snu są w zależności od przyczyn zewnętrznych, od kolejnego i perjodycznego następowania po sobie dnia i nocy, lata i zimy; mają one jednak w sobie i głębsze przyczyny, bo potrzebę spoczynku po wyczerpaniu w czasie czuwania, tak, że i samą śmierć możemy uważać z tego stanowiska jako dążność materji organicznej do stanu spokoju, który istnienie jej poprzedził. Jest to powrót do stanu materji nieorganicznej po wykonaniu przez materję organiczną właściwej jej pracy życia.

Podział istot organicznych na istoty różnej płci można, zdaje się, odnieść do tejże samej kategorji działania prawa rytmu. Różnopłciowość jest doskonałym przykładem rytmiczności, polarności istoty ludzkiej. Celem tego podziału, wątpić o tem trudno, jest ciągłość istnienia istot organicznych wobec konieczności śmierci, konieczności opartej — jak to już było powiedziano przedtem — na działaniu prawa rytmu. Doskonały, wzajemny, przyrodzony, ilościowy stosunek do siebie obu płci jest również dowodem działania tego prawa. Mnóstwo przyczyn psuje ciągle ten stosunek, ale nieubłagane prawo rytmu znowu go poprawia i sprowadza do normy. Żadna z istot płci różnej nie ma celu własnego: rozumie się, iż mowa tu jest o celach objektywnych, subjektywne bowiem możemy sobie pomimo to tworzyć sami, jakie się nam podoba; obie razem mają cel wspólny, mianowicie: troskę o odradzanie się świata organicznego. Służą temu celowi, nic o nim nie wiedząc, a nawet — stosuje się to do świata ludzkiego — protestując przeciw niemu, gdyż cel ten, oczywiście, nie jest ich świadomym osobistym celem, ale leży po za granicami świadomości i może być jedynie skonstatowany jako fakt.

Z kolei rzeczy przechodzimy wreszcie do zjawisk duchowych, do sfery psychicznej, ścieśniając ją do sfery duchowej człowieka wyłącznie, jakkolwiek podobieństwo procesów psychicznych, właściwych zwierzętom i człowiekowi, tak jest wielkie, że rozumowanie nasze możnaby zastosować do obu tych światów, zwierzęcego i ludzkiego, a nawet przeprowadzić je i dalej, bo nawet przez świat roślinny (idąc w ślady Claude-Bernard'a, Haeckel'a i Tylor'a), a przeto przez cały świat organiczny, i wreszcie poszukiwać źródła procesów psychicznych w świecie nieorganicznym, zgodnie z argumentacją Wallace'a, skierowaną ku udowodnieniu, iż „nie można otrzymać w całości tego, czego niema w jakiejkolwiek części". Organizm ludzki, jako składający się z materji nieświadomej, nie powinienby posiadać zgoła świadomości, a gdy, pomimo to ją posiada, niepodobna więc uniknąć dilemmatu: „albo wszelka materja jest

świadoma, albo świadomość jest zupełnie czemś różnem od materji, i w takim razie obecność świadomości w formach materjalnych dowodzi istnienia świadomych istot po za obrębem i niezależnie od tego, cośmy zwykli nazywać materją". (Teorja doboru naturalnego, rozdz. 10 i dodatek B).

Jasną jest rzeczą, że ponieważ istoty organiczne, posiadające większą lub mniejszą świadomość, powstały z pierwiastków świata nieorganicznego i z żadnych innych, posiadać zatem powinny i mogą jedynie tylko własności materji nieorganicznej; jeżeli zaś w istotach organicznych, a w ich liczbie i w człowieku, dają się spostrzegać znamiona, których niepodobna dostrzedz w świecie nieorganicznym, znaczy to, być może, iż nie umiemy dokonać poszukiwania, bynajmniej zaś nie to, iżby owe znamiona były niewłaściwemi dla materji nieorganicznej. A czy zadanie to będzie przeprowadzone na drodze rachunku arytmetycznego, czy algebraicznego, rezultat otrzymamy ten sam, w drugim nawet wypadku tem dziwniejszy, że wraz z odjęciem pewnych własności ciał świata nieorganicznego — bez czego nie byłoby możliwem życie organiczne — świat duchowy występuje tembardziej na jaw: rezultat wprowadzający nas w zdumienie i bardziej jeszcze niż gdzieindziej uwydatniający działanie prawa rytmu.

Pozostawiając wszakże na stronie te pytania, bezwzględnego wprawdzie, ale dla bezpośredniej w tym razie kwestji drugorzędnego znaczenia, i wyosabniając w celu metodycznym psychiczny świat człowieka, spostrzegamy przedewszystkiem zjawiska świadomości i automatyzmu, stanowiące doskonały objaw działania prawa rytmu psychicznego. Kolej należących tu zjawisk polega na tem, iż procesy psychiczne świadome stają się z czasem mechanicznemi, najzupełniej automatycznemi, póki wreszcie nie przejdą w sferę instynktów, wyłączającą już najzupełniej świadomość, tak, że o ile proces psychiczny wszelki jest świadomy, o tyle jest nieautomatyczny, i o ile w procesie tym ginie pierwiastek świadomości, o tyle też się potęguje i wzrasta pierwiastek automatyczny, czyli mechaniczny. Rytm pomiędzy świadomością a automatyzmem jest doskonały. Innemi słowy: myśl i mechanika w świecie duchowym działają rytmicznie i w kierunku, również, jak i w innych już tu omówionych sferach, zupełnie niezrozumiałym.

Względów utylitarnych i praktycznych, jakkolwiek wielkiej doniosłości, nie bierzemy tu na uwagę, gdyż wcale nie o nie teraz nam chodzi; są one znaczenia stosowanego, ale znaczenie ich pierwotne, zasadnicze, wymyka się z pod naszego rozumowania i ostateczny cel ich jest dla naszego umysłu również zagadkowym, jak i samoistnienie władz duchowych i ich sprzeczność z mechanizmem ustroju wszechświata, który wyłącza przypuszczenie wszelkiej duchowości, jako pozostającej z nim w sprzeczności, jako jego zupełnej antytezie. Mechanizm nie przypuszcza wcale działania w niem rozumowego pierwiastku, i odwrotnie: rozum przypuszcza koniecznie logikę i świadomość, bynajmniej zaś nie samą mechanikę bezwładnych swych syllogizmów. W planie wszakże świata oba te pierwiastki działają spółcześnie, ulegając jednak działaniu

prawa rytmu, o ile sami po sobie wnioskować o tem możemy; co zaś do świata materji, to pewien ład i porządek, jakie w nim spostrzegamy, muszą mieć swoje dostateczne przyczyny, które, jeżeli nie są rozumne, mogą być i bezrozumnemi, czyli muszą być rzeczą ślepego wypadku, rzeczą chociażby o tyle wypadkową, o ile wypadkowem jest powstanie np. lwa z chaotycznych cząstek materji. Przypuszczenie zaś samo możliwości głupich, t. j. nieodpowiednich przyczyn, czyli niemających żadnej racji bytu, jest teorją godną tegoż samego miana (ob. Paulsen'a „Wstęp do filozofji", r. 2, § 2). Usunięcie hypotezy ślepego wypadku zmusza nasz umysł do innego przypuszczenia, mianowicie: do przypuszczenia dostatecznej, czyli dającej się jako rozumna wyobrazić przyczyny. Tak tedy, jeżeli weźmiemy miarę z samych siebie, jako części całości, rytm pomiędzy ślepym mechanicznym trafem, jako momentem całości, a rozumną przyczyną zjawisk okaże się niechybnie. Niezrozumiała pomiędzy niemi harmonja stanowi istotę rzeczy, której pojąć nie zdołamy; konieczność jej wszakże narzuca się naszemu umysłowi sama przez się w sposób nieodparty i niezwalczony.

Rytmiczność psychiczna objawia się jeszcze w przeciwstawności działania rozumu i woli w człowieku. Nie są to wcale wielkości spółrzędne i wymierne: przeciwnie, są to wielkości nawzajem się znoszące, ale zmuszające istotę ludzką do ustawicznego między niemi wahania się. Jeżeli weźmiemy jeszcze na uwagę i to, że same kierunki, w których uczucia ludzkie popychają wolę do czynów, są czasem, a nawet zwykle, diametralnie sprzeczne i że rozum — według zdania Schopenhauer'a — spełnia w tych razach tylko niewolniczą rolę na posługach najsilniejszej namiętności, że zaspokojenie jej, zadosyćuczynienie jej głosowi, budzi głosy innych namiętności; że człowiek jest sługą głodu, miłości, samolubstwa w licznych jego formach i następstwach ze względu na związane z niem i z niego powstające uczucia — psychiczne życie człowieka, który w mniejszym lub większym stopniu zdaje sobie, lub przynajmniej może zdawać sobie, dzięki świadomości, sprawę ze swoich czynów, jest ustawicznym ruchem wahadłowym, dążącym do stanu spokoju i pobudzanym ciągle do nowych ruchów. Zważywszy nadto, że wypadek i błędy rozumowania, jakie każdy z nas ustawicznie popełnia i popełniać musi, wskutek nieznajomości przyczyn sprowadzających grę wypadków, towarzyszą codziennemu naszemu życiu, — nie będziemy się dziwili, że, zgodnie z wyrażeniem Schopenhauer'a, uciekając od jednego tyrana do drugiego, usprawiedliwiamy się to wypadkiem, to błędami naszemi. Wahamy się, odbywając rytmiczne ruchy i nie mając w tem żadnego własnego świadomego celu, ale rozumiejąc zarazem, że wszystko, co się dzieje, jest koniecznem, skąd płynie przekonanie nasze o niezrozumiałej dla nas wewnętrznej wypadkowości i determinowanej zewnętrznej konieczności.

Dla tej-to przyczyny niema zgoła jednolitych ludzkich charakterów, stanowczo dobrych lub złych: są tylko mniejwięcej dobre lub złe. Jednolitemi mogą być tylko martwe bryły materji, każda zaś ludzka istota działa pod wpływem tylu i tak rozmaitych zewnętrznych i wewnętrznych pobudek, że,

wahając się pomiędzy niemi i będąc posłuszną każdej z nich mniej lub więcej, wykonywa tylko owe ruchy wahadłowe. Najpospolitszy tych ruchów kierunek służy dla nas za wskazówkę stałego charakteru, czyli najczęstszego, a przeto mniejwięcej zwykłego sposobu postępowania; kierunek taki jednak, jako zależny od przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych, jest rzeczą wypadku, to jest rzeczą, która się nie da ani przewidzieć, ani obrachować, chyba tylko w sposób przybliżony.

Za illustrację tego twierdzenia służyć może walka dwóch pobudek wewnętrznych, walka pomiędzy samolubstwem a życzliwością, czyli tak zwaną miłością ku bliźniemu, z których-to pobudek ostatnia jest względnej w stosunku do pierwszej siły i energji, znajdując uzupełnienie swoje w warunkach zewnętrznych, czyli w przeciwdziałaniu danemu samolubstwu wszystkich innych takichże samolubstw. Walka pomiędzy samym sobą jako istotą samolubną, a istotą po części dobrowolnie uwzględniającą interesy innych, po części zmuszaną do tego przez innych, jest jeszcze jednym z przykładów wahania się ludzkiej istoty pomiędzy dwiema ostatecznościami: pomiędzy chęcią dbania tylko o siebie i chęcią uwzględnienia takiegoż sposobu postępowania innych, a raczej, nie chęcią, ale musem.

Celem takiego sposobu postępowania jest pewien stan spokoju społecznego, potrzebnego dla każdego z osobna i dla wszystkich razem; stan spokoju, wyłączającego przypuszczenie działania sprzecznych ze sobą interesów — a czy to jest rzeczą przyjemną, czy przykrą, nie o to chodzi obecnie: interesy osobników społecznych, ze względu na duchowe bogactwa człowieka i jego wyobraźnię, na nieograniczone jego umysłowe potrzeby i dopominające się despotycznie zadośćuczynienia uczucia, mogą być tylko sprzeczne z interesami wszystkich innych, czyli całego społeczeństwa. Tak tedy rytmiczne wahanie się człowieka pomiędzy skrajnem samolubstwem a zaparciem się siebie jest faktyczną metodą życia społecznego w stosunku do jego pierwiastku indywidualnego, rozważanego ze stanowiska moralności.

Zjawiska życia społecznego także ulegają działaniu prawa rytmu. Rządzi ono i zbiorowemi ciałami ludzkiemi, i to w bardziej jeszcze wyraźny i oczywisty dla nas sposób, gdyż tłómaczy nam go już nasza świadomość. Rytmiczność ruchów społecznych spostrzegamy, jak w zjawiskach życia, tak też i w sferze myśli społecznej.

Zwracając się do instytucji społecznych wszelkiego rodzaju, zmuszeni jesteśmy przyznać, że zasadniczą ideą ich organizacji jest dążenie społeczeństwa do jak największego stopnia szczęścia, do jak najużyteczniejszej dla siebie działalności zgodnie z panującemi w danej chwili i danem miejscu uczuciami i przekonaniami. Wprawdzie społeczeństwa zachowują się w tym względzie nie inaczej niż pojedyncze osobniki. Kierują się swemi namiętnościami, a posługują się tylko na korzyść ich rozumowaniem. Takiemi one są, o ile biorą same przez się udział w tym procesie, ale najczęściej twórczość organiczna w zakresie instytucji społecznych jest faktycznym przywilejem prawodawców,

którzy na drodze obowiązującego masy prawodawstwa nadają uczuciom i przekonaniom społecznym formy zewnętrzne; okoliczność ta, przecież, jak łatwo zrozumieć, ma podrzędne tylko znaczenie, albowiem słusznie powiedział Bentham, „że prawodawca nie jest panem ludzkiego serca, ale jego tłómaczem i jego sługą", na podobieństwo rzeźbiarza, który może nadawać formę swoim pomysłom, ale tylko w zależności od materjału, z jakiego je stwarza. Dlatego to pewne urządzenia mogą istnieć wśród pewnego tylko społeczeństwa, ale nie wśród wszelkich społeczeństw, gdyż każde z nich ma to, czego chce samo i co mieć może.

Rozumowy pierwiastek odegrywał w tym procesie, przynajmniej dotychczas, rolę służebną, powołując się na zasady, jakie mogły służyć na usprawiedliwienie i obronę pożądanych instytucji. Chęć posiadania takich lub innych wypływa zawsze z uczuć i namiętności, z całego prądu egoizmów, ścierających się z innemi prądami takichże egoizmów: i z tego-to wiru wypływają urządzenia społeczne, których trwałość, jak to już z góry łatwo przewidzieć można, jest rzeczą względną. Trwają one póty, póki się znów nie powtórzy tensam proces, wnoszący zaprzeczenie i zamęt w stan poprzedni i powołujący we wskazany już sposób do życia nowe instytucje, na gruzach poprzednich. Trwałość instytucji i ich zmienność zwraca naszą uwagę z powodu faktu przerzucania się społeczeństw po kolei od jednych ostateczności do drugich. Stan pewien moralno-umysłowy, znajdujący swój wyraz w pewnych odpowiednich mu instytucjach, trwa czas jakiś, póki go nie zastąpi stan inny, znajdujący wyraz swój w instytucjach całkiem odmiennych, ale bardziej z nim zgodnych, odpowiedniejszych.

Przewroty te społeczne tak są dziwnie pod tym względem niekonsekwentne dla biorących w nich udział i dla pragmatyków-historyków, że powstały nawet poglądy na brak wszelkiej logiki w biegu dziejów ludzkich (Tarde: *La Logique sociale*). Poglądy podobne wszakże pozbawione są podstawy. Dzieje instytucji mają swoją logikę, tylko my nie zawsze zrozumieć ją możemy. Wahanie się ludzkiego społeczeństwa pomiędzy ostatecznościami, przerzucanie się od jednej do drugiej jest skutkiem tego, że, wybierając sobie nowe drogi, ludzie powodują się uczuciami i niczem innem nawet powodować się nie mogą. Rozum podpowiada nam tylko, co mamy robić, ażeby cel pożądany osiągnąć; cel zaś ten stawimy sobie zgodnie z tem, czego chcemy, lub czego nie chcemy, a więc, powodując się naszemi upodobaniami, uczuciami, a nawet namiętnościami. Wola decyduje stanowczo w kwestjach życia praktycznego, wola zaś ulega determinizmowi okoliczności poprzednich: rzecz tedy zrozumiała, że jest objawem organicznym, ale nie rozumowym.

Owoż logika wypadków społecznych istnieje i polega na szukaniu przez ludzkość drogi, prowadzącej do zaspokojenia wszystkich jej potrzeb w sposób obiecujący wszystkim ludzkim istotom jak największą sumę szczęścia, do którego człowiek wzdycha wciąż w ciągu wieków. Ale, że szczęście moje może nie być szczęściem innych istot ludzkich, a często nawet może stać na prze-

szkodzie ku szczęściu innych, każdy bowiem pojmuje je inaczej i po swojemu: starcia przeto pomiędzy ludźmi były dotychczas koniecznością dziejową, ponieważ zasadą życia, uznawaną, dzięki krótkowidztwu moralnemu, przez wszystkich, jest samolubstwo bez granic, prowadzące do teorji praw jednostki. To krótkowidztwo moralne sprawia, że jednostka w stosunku do siebie samej nic wyższego nad to, co prawem swojem mieni, uznawać nie chce, protestując przeciw więzom, krępującym jej swobodę i wkładającym na nią niewolę obowiązku względem innych, — niewolę, której ona sama ulega w pewnej mierze dobrowolnie, w przeciwnym bowiem razie nie mogłaby zaspokoić swoich samolubnych popędów, spotkawszy opór innych.

Szukając tej drogi, na której każdy człowiek poszukuje swojego szczęścia, błąka się ludzkość po manowcach życia, waha pomiędzy okresami pragnienia i dążenia do skrajnej a wyuzdanej swobody a okresami uległości, poddania się i poszukiwania przewodnika w postaci idei, osoby, wreszcie instytucji, które by ją do tego celu poprowadzić mogły, i rytmicznie wpada z jednej ostateczności w drugą. Nadużycia swobody i pragnień nieograniczonego egoizmu przepłaca perjodami klęsk i katastrof, a następnie perjodami uległości i pokory, z jaką, znużona walką, znosi do czasu, chętnie nawet, przymus moralny, wyrażający się w odpowiednich instytucjach obyczajowych, państwowych lub kościelnych, aż póki, wypocząwszy w tym kierunku, nie ocknie się i nie rozbudzi w sobie napowrót samolubnych instynktów i nie zakończy w ten sposób danego okresu swych dziejów, jak zgięta sprężyna, tak i ona dąży wtedy do wyzwolenia się z ucisku.

I tak dalej i dalej, prawdopodobnie bez końca, bo prawda jest gdzieś po środku, podobnie jak punkt zero w ruchach wahadła, będący właściwym ich celem. Krańcowe samolubstwo jednostek grozi niebezpieczeństwem całemu społecznemu organizmowi, krańcowe znowu innolubstwo grozi niebezpieczeństwem jednostkom: w pierwszym wypadku rozkłada się społeczeństwo, w ostatnim marnieją jednostki, tracąc na swej osobistej wartości w zgnuśnieniu.

Jeżeli historja posiada dowody czegokolwiekbądź, to zdaje się, że dowody jedynie prawdziwości powyższego twierdzenia; niczego innego, oprócz uzasadnienia prawa rytmu uczuć i namiętności, nauczyć się z niej nie można, a porównanie ze sobą dziejów dwóch narodów, jeżeli usunąć na stronę warunki miejsca, czasu i imiona własne, może nawet zniechęcić nas swoją nużącą uwagę jednostajnością, rozumie się, przy warunku oceny wypadków ze względu na ich istotny wewnętrzny charakter, na pobudki i cele czynów ludzkich, a nie ze względu na scenę i aktorów, uczestniczących w dramacie, którzy się jedynie zmieniają.

Rozwój umysłowy ludzkości przedstawia tęż samą osobliwość. Myśl ludzka zbiorowa czas tylko pewien skupia się w sobie w pewnym kierunku. Następnie opuszcza zajęte przez się stanowisko i z niejakim zapałem wraca do poprzedniego. Perjody idealizmu następują po perjodach materjalizmu w sposób prawie mechaniczny. Środek pomiędzy nieni zajmuje okres scepty-

cyzmu, krytyki, nawracającej chętną tu zawsze myśl ludzką na tory starych wierzeń lub poglądów. Prawda i to, że myśl teoretyczna idzie śladami życia i że stara się podnieść fakty do godności teorji, dlatego wraz ze zmianą stosunków społecznych usiłuje zawsze wyszukać zasadę na ich usprawiedliwienie. Ale i niezależnie od tego czysta abstrakcja, myśl oderwana, filozoficzne teorje jakiś czas tylko mogą zaspakajać potrzeby umysłowe epoki, mianowicie, dopóki względnie możliwe rozjaśnienie wątpliwości, jak pojmować świat, samo nie doprowadzi do przekonania, że wątpliwość ta nie została bynajmniej rozjaśnioną. Łatwe do zrozumienia zniechęcenie, powstające na tej drodze, nieuchronne zwątpienie o wartości kosmogonji wyznawczej, ułatwiają i usprawiedliwiają przejście do wręcz przeciwnej: jeżeli nie zadawala nas kosmogonja idealistyczna, przyjmujemy chętnie materjalistyczną. Za teorją idzie praktyka życia, które samo przez się powołuje teorję do istnienia, chcąc sobie uświadomić praktykę i podnieść ją do godności teorji. Ale, że ani materjalistyczny pogląd na świat, obniżający wewnętrzną moralną godność człowieka, ani idealistyczny, podnoszący ją nad miarę właściwą dla istoty ludzkiej, nie zawierają prawdy, jednostronnie bowiem tłómaczą zagadkę bytu, w obu zatem wypadkach człowiek nie poznaje siebie w tych tak różnych wizerunkach, a wskutek tego powstaje niechęć do tej lub innej teorji, która upada z czasem z własnej swojej niemocy. Dość przypomnieć sobie fakty historyczne z jakich lat stu ostatnich, ażeby prawdziwość twierdzeń powyższych stała się widoczną. Dodać tu jeszcze potrzeba uwagę, że perjody wahania się myśli ludzkiej stają się z biegiem czasu coraz krótszemi, a puls dziejów — szybszym, tak, że rytm dziejowy, wymierzany dawniej na długie okresy, prawdopodobnie przemieni się w żywe tętno ruchów danej chwili w przyszłości.

Nie inaczej ma się rzecz i w sferze myśli abstrakcyjnej i ściśle naukowej. Umysł ludzki ustawicznie się waha w wyborze pomiędzy ścisłem traktowaniem świata, a traktowaniem poetycznem lub filozoficznem, pomiędzy fizyką a metafizyką. Pozytywizm, ściśle naukowe traktowanie rzeczywistości, nie na długo zaspakaja potrzeby naszego umysłu, uciekającego się chętnie do filozoficznego (poetyczno-religijnego według Ribot'a) stanowiska: to zwracamy się do fenomenologji, która nas czas jakiś zajmuje i zadawalnia, dzięki interesowi, jaki w nas budzi rzeczywistość; to znowu pogrążamy się w ciemnie numenologji, poszukując tam światła, pomagającego widzieć związek pomiędzy rzeczami, i błądząc wśród nierozwikłanych tajemnic i sprzeczności, w jakie tu umysł nasz wpada. W pierwszym wypadku widzimy tylko odrębne fakty i nic więcej nad nie; w drugim poznajemy stosunki, nie wiedząc, jakie są ich przedmioty. I, co najgorsze, pojmując, że żadna z dróg powyższych nie doprowadzi nas do poznania prawdy, rozumiemy, że innych dróg przed sobą nie mamy. Właściwa droga leży gdzieś indziej, może mniej więcej pośrodku pomiędzy skrajnemi, jakiemi myśl ludzka chadzać zwykła, gdyż inaczej nie może i nie umie, a właśnie te drogi nie prowadzą do pożądanego celu.

Tak tedy słuszne i dobre urządzenie życia naszego — mówi nam o tem

bezpośrednie nasze uczucie — jest pożądane i możliwe; nie umiemy tylko tego dokonać, bo nie znamy prowadzącej ku temu celowi drogi, ciągle na nią wpadając i ciągle z niej schodząc. Prawda istnieje, ale nie umiemy iść do niej najkrótszą a najprostszą zarazem drogą, ustawicznie zbaczając z niej na manowce. Błąkamy się więc, obok prostej drogi, na którą wpaść nie możemy, ażeby się jej trzymać wciąż nadal — bo takie jest prawo rytmu. Umysł nasz wykonywa ruchy wahadłowe, chociaż to wcale nie jest naszym celem. Zrozumieć tę prawdę w całej jej rozciągłości i następstwach i odczuć ją umiemy, ale na tem koniec. Zdajemy sobie sprawę z naszego położenia, ale nic więcej nad to zrobić nie zdołamy.

Rozważane ze stanowiska ruchu po przekątnej równoległoboków, których linje rozchodzące się przedstawiają graficznie sprzeczne kierunki sił działających w społeczeństwie, czyli rozważane ze stanowiska przeciętnego ruchu, życie społeczne objawia istnienie ewolucji o wyraźnym charakterze, to jest, nie ewolucji bez treści i kierunku, ale ewolucji dotychczas postępowej. Prawda, że ruch ten tak jest zawikłany, iż niekiedy wątpić zaczynamy o samym postępie i skłonni jesteśmy do twierdzenia, że stanowi on tylko złudzenie, gdyż, dzięki właściwości istoty ludzkiej, postępuje wciąż rozwój każdego ze znamion jej rdzennych, tak dodatnich jak i ujemnych, z naszego ocenianych stanowiska — innemi słowy: rozwijają się wszystkie jej strony tak zwierzęcej, jakoteż i ściśle ludzkiej natury. Wszakże godnem jest uwagi, że znamiona pierwotne, bliższe i właściwsze zwierzęciu, zanikają zwolna w człowieku ucywilizowanym, jako nieodpowiednie i niepotrzebne zgoła w stanie cywilizowanym. Stosuje się to nietylko do człowieka, ale i do samych zwierząt, które w stanie domowym, w stanie ułaskawienia tracą cechy sobie właściwe w stanie dzikości, w stanie natury. Wprawdzie u człowieka i u zwierząt właściwości te dość łatwo wskrzesają i powracają, jeżeli tylko człowiek lub zwierzę, wskutek okoliczności znajdzie się w stanie sprzyjającym obudzeniu się instynktów pierwotnych, z przyczyn wewnętrznych, jak np. atawizm, lub zewnętrznych, jak np. zdziczenie, w każdym razie jednak znoszących lub zawierających czasowo nawet działanie warunków życia kulturalnego i cywilizowanego. Potrzebnem przecież jest tu koniecznie działanie przyczyn dostatecznych, bez których podobne zjawiska nie byłyby możliwemi. W ten sposób w procesie ewolucji wyraźny jest ruch wahadłowy, polegający na zbaczaniu z drogi prostej, i ta droga byłaby postępową bezwarunkowo, gdyby nie te oscylacje, nie te zboczenia, z powodu których właściwy tor postępu wciąż niknie dla naszej obserwacji i dla naszego rozumowania.

Ale poza obrębem powyższych zjawisk w procesie ewolucji daje się spostrzedz rytm chwil ruchu postępowego i chwil zastoju. Ludzkość, jak i pojedyńczy ludzie, ma tę właściwość, że ulega zmęczeniu i wyczerpaniu i że po upływie pewnego perjodu czasu, po przeżyciu pewnego stanu, potrzebuje spoczynku, ażeby nabrać siły i energji do dalszej pracy, ale już w innych kierunkach. Po okresach energicznego postępu wpada ludzkość w stan zobojętnienia

i przesytu i w nowy pochód wyruszyć nie może przed upływem pewnego okresu czasu, w przeciągu którego nabiera jakby nowych sił do postawienia nowego kroku. W ten sposób po okresach postępu idą okresy zastoju; drugie trwają zazwyczaj dość długo, możnaby powiedzieć nawet daleko dłużej od pierwszych, gdyby nie to, że wchodzą częścią w okres nowy, służąc, jak to się nazywa w szkolnej historji, za przygotowanie do niego. Jednostajność i tożsamość, jakikolwiek będzie jej charakter co do treści i wartości, nuży i męczy ludzkość tak samo jak i pojedyńczego człowieka, zadawalając potrzeby ludzkie w pewnym tylko jednym względzie i zmuszając wszelkie inne do milczenia. Istota ludzka dąży do urozmaicenia swego życia, o ile tylko pozwala jej na to możność. Stąd widzimy nieraz jak w życiu człowieka, tak też i w życiu narodów całych, najnielogiczniejsze na pozór przejścia od stanu do stanu, na których usprawiedliwienie nic znaleźć i dopatrzeć w ich życiu nie umiemy, nic — prócz tego, że przejścia te mają swoje głębsze przyczyny i odbywać się muszą dzięki działaniu prawa rytmu.

O ile mamy wierzyć świadomości swojej o tem, co się w nas samych odbywa, to prawo rytmu staje się dla nas zrozumiałem jako konieczność wewnętrzna, a nie jako formalność obojętna, mechaniczna, a więc pod względem treści swojej ciemna i niezrozumiała. Każda myśl ludzka staje się w oczach naszych prawdą lub nieprawdą wtedy tylko, kiedy ją możemy zestawić z innemi. I prawda wszelka, ażeby się stała w oczach naszych prawdą, nietylko powinna być udowodnioną w sposób dodatni: potrzeba ją jeszcze usprawiedliwić przez odrzucenie tego wszystkiego, co wobec niej jest nieprawdą. Zestawienie takie skutecznie wykonać się da tylko na drodze porównania, a więc przez przechodzenie od jednej ostateczności do drugiej; inaczej żadna z tych ostateczności nie posiędzie znamion oczywistości niezbędnej dla jej przyjęcia lub odrzucenia. Dopiero gdy spełni się coś podobnego, następuje moment oczywistości i uświadomienia, konieczny dla wewnętrznego naszego uspokojenia, które jest celem czyto praktycznych kwestji życia, czy też teoretycznych i filozoficznych znojów umysłu ludzkiego.

Takie są objawy działania prawa rytmu w przyrodzie, o ile sobie to prawo uświadomić możemy. Polega ono na dążeniu wszystkich ruchów w świecie materji i ducha do pewnego ich, nieznanego nam, celu, po możliwie najprostszej i najkrótszej drodze, jednakże przy koniecznym warunku ustawicznego z niej zbaczania. Droga ta jest linją o nieokreślonym kierunku; przynajmniej co się tyczy zjawisk moralnych, nie znamy go wcale, a i wogóle niewiele mieć możemy do powiedzenia o nim, nie znamy bowiem punktu, od którego ta linja się zaczyna i drugiego, do którego musi być doprowadzoną. Nie wiemy nic o początku i końcu, o przyczynie i celu ostatecznym wszystkich rozproszonych, chociaż syntetyzujących się wciąż ruchów i powstających z nich przemian.

Zważywszy na charakter ruchów, o których mowa, możemy — zdaje się — przyjść do przekonania, że zasadą ich jest bezwładność materji i per-

turbacje, jakich ona doznaje wskutek działania powszechnego ciążenia, czyli oddziaływanie całości na części, i odwrotnie; każda część bowiem jest także całością w sobie zamkniętą. Stąd zasadą ruchów, o których tu mowa, musi być wyłamywanie się części z pod wpływu na nie całości, dążność do indywidualizacji, powstrzymywana przez wymagania zbiorowe całości. Stosuje się to zupełnie i do świata moralnego, jak to już widzieliśmy w przykładzie walki egoizmów z altruizmem.

Ruchy, które spostrzegamy we wszechświecie, są skutkiem utracenia równowagi, w jakiej się kiedyś materja znajdować musiała przedtem, zanim ruchowi uległa; dąży też ona ustawicznie do stanu pierwotnego bezwładnej równowagi, a wróciwszy do niej, musi przestać być tem, czem jest obecnie; stała się bowiem tem, czem jest, tylko przestawszy być tem, czem była w stanie bezwładności. Udzielona jej energja jest nabytkiem zewnętrznym, jest skutkiem pierwszego rzutu, jakiemu musiała kiedyś uledz, a dzięki któremu zaszły i zachodzą wszystkie jej znane i nieznane nam jeszcze ruchy. Udzielona materji żywa energja słabnie wciąż we wszechświecie i przeobraża się w potencjalną: musi więc nastać kiedyś czas, kiedy zostanie całkowicie zużytą, wyczerpaną na wykonanie całej masy ruchów, t. j. pracy, którą rozumiemy jako dzieje świata, celu tych dziejów zgoła zrozumieć nie mogąc.

Powstawanie wszelkiego ruchu okolicznościowego jest momentem, po którym następuje zawsze dążność tego ruchu do ustania. Każdy ruch dąży ku swojemu końcowi. Stosuje się to logicznie i do łączności wszystkich ruchów we wszechświecie... Spokój jest normą, ruchy — wyjątkiem. Zanim się spełni właściwy koniec wszystkiego, co nas otacza, to jest doskonała pierwotna bezwładność, wszystko już teraz dąży do niego, zbaczając co chwila z drogi do tego celu pod działaniem prawa rytmu.

Prawo to wydaje się najogólniejszem ze wszystkich znanych nam praw, dlatego, że jest zarazem najprostszem. Wszelkie zaś prawdy tem są ogólniejsze i wyższe, im są prostsze — i fałszywe tylko są złożone i skombinowane, nosząc na sobie charakter faktyczny i konkretny, to jest względny i okolicznościowy.

Odessa. *Feliks Bogacki.*



Z MOTYWÓW CHOPINA.

MAZUREK.

Snili mi się malowani,
Mateńko, chłopcy ułani —
Wróż mi z tego snu, mateńko,
Wróż mi z tego snu.

Widzę we śnie, Jaś na przedzie
Na koniku wronym jedzie
I prościutko tu, mateńko,
I prościutko tu.

Malowani, jako kwiaty
W amaranty i bławaty,
Płyną tuż za wsią, mateńko,
Płyną tuż za wsią.

Wśród parskania, rżenia koni
Piosnka albo broń zadzwoni,
Chorągiewki drżą, mateńko,
Chorągiewki drżą...

Kotek mył się dziś od rana,
Sroczka z płotu rozkrzyczana
Skrzeczała bez tchu, mateńko,
Skrzeczała bez tchu.

Ej, uścisnę ja matulę,
Twarz na piersi jej utulę —
Wróż mi z tego snu, mateńko,
Wróż mi z tego snu...

* * *

...A co!... Jadą!... Rżenie koni,
Wśród kurzawy broń tam dzwoni,
Chorągiewki drżą, mateńko,
Chorągiewki drżą.

Malowani, jako kwiaty
W amaranty i bławaty,
To ułani są, mateńko,
Ułani!... A co?...

Jezu! co to? Ktoś na przedzie
Konia z bronią tylko wiedzie,
I prościutko tu, mateńko,
I prościutko tu.

Co to? Jaśko?... Zginął może?
To sen... Broń mnie Panie Boże,
Broń od tego snu, mateńko,
Broń od tego snu!...

Ha! obrazek... Boże prawy!...
O! ślad kuli... o! ślad krwawy...
Znam obrazek ten, mateńko,
Znam obrazek ten...

Boże, Boże!... Twoja wola,
Dolaż moja, dola, dola...
Wyśnił mi się sen, mateńko,
Wyśnił mi się sen...

Warszawa.

Bożydar (Edmund Bogdanowicz).



Wezwanie do Poety.

Wstań ze snu. Mroczno i chłodno na ziemi.

Braterstwo, niby grat stary, zarzucono do kąta piwnicy, na mogiłach mędrców brodzą szakale.

Etyka, obrzucona błotem z pod stóp gawiedzi, ma pozór pijanej wszetecznicy; ideały z połamanemi skrzydłami leżą w dołach przeznaczonych na ścieki.

Na miejscu przeznaczonem pod tron miłości wzniesiono mroczną świątynię Baala — świątynię walki o byt.

Wstań, weź rydel do ręki, uczynię cię archeologiem; z pod gruzów wieków wydobędziesz na świat bóstwa sponiewierane.

Owoż niech cię nie mamią jarzące światła w szybach pałaców, ani kwiaty zdobiące marmurowe wejście, ni też makaty, kobierce.

Nie olśni cię połysk złota, nie przedasz słów twych na targu przekonań, nie rzucisz dźwięku pod stopy tryumfującej gawiedzi.

Nie staniesz się rzezimieszkiem na drodze celów ludzkości, ani też krukiem wróżącym zamęt i niedolę.

Będziesz prorokiem, głosem wołającego w pustyni, aż się kamienie poruszą i rzekną: Amen.

* * *

Napróżno cię wzywam... Troska o byt powszedni zgniotła ci skrzydła, gdy dążysz, wloką się one za tobą i niecą kurzawę.

Stałeś się średnią miarą i średnią wagą zachcianek tłumu; twa piosnka mdła jak wieczór jesienny: ideje tracą w niej barwę i wyrazistość.

Bardowie popędów znikomych zagłuszyli twe skargi lękliwe. Hymn człowiekowi-zwierzęciu wszędy rozbrzmiewa.

Myśli stały się towarem, rynek oblicza ilość natchnienia i opłaca je srebrnikami.

Nie dziw się tedy, że ludzkość zeszła z torów ubitych przez wielkie duchy, że dąży po manowcach, kędy pełzają żmije.

Pierwsza piosnka przystosowana do namiętności tłumu uczyniła cię zdrajcą, a twą lutnię narzędziem fałszu.

Dziś, gdy miotasz się i żalisz, tłum wzrusza ramionami i pogardliwie pyta: azali ci nie zapłacono?

* * *

Co wczora było prawdą i cnotą, dziś zowią kłamstwem i występkiem.

Co wczora było wielkiem i czystem, dziś bywa nikłem i brudnem.

Co wczora było oznaką tryumfu i chwały, dziś staje się hańbą i zniewagą.

Tu światła barwa oznacza wesele, u innych żałobę.

Nie ubiegaj się przeto za tłumem w jego poglądach powszednich; szukaj prawd trwałych i niezmiennych.

Miłość i siła są to dwie dźwignie, co poruszają światem: poza tem niemasz czynników.

Miłość ma być wielką, siła zaś — mądrą. Miłość ograniczona przetwarza się w samolubstwo, siła ograniczona staje się narzędziem niszczenia.

Duch świata jest silnym i miłującym — i to jest jego miarą.

Wielkość istoty ludzkiej daje się mierzyć tylko jej duchem.

Oceanem zwie się taki zbiór wody, który nie uśmierza pragnienia.

Skałą niewzruszoną zowią taki grunt, który nie daje pożywienia żadnej roślinie.

Bydlęciem się nazywa taka istota, która nie rozumie, gdy do niej mówią po ludzku.

Zważ to wszystko, a odgadniesz, że gorzka wielkość, bierna trwałość i głucha istność — niegodne są twoich pieśni.

* * *

Czyś słyszał dźwięki nadpękniętego dzwonu, czy wtórzyła twa dusza jękom zgrzytliwym?

Pójdź, uczynię cię dzwonnikiem: serce swoje uczepisz zamiast serca dzwonu i będziesz uderzał z całej mocy.

Gdy nastanie dzień wielkiego święta miłości, będziesz dzwonił uroczyście i doniośle.

Gdy śmierć wionie oddechem, zatruje duszę brata i uczyni z niej próchno nieczułe, ty będziesz głosił skargi i żale.

Gdy grom uderzy w namiot pasterza i pożar ogarnie jego dobytek, ty będziesz wydzwaniał trwogę i wzywał pomocy.

Wszyscy cię usłyszą i rzekną: Tu niema tonów fałszywych, samolubnych: pójdźmy, dokąd nas zowie.

A skoro od uderzeń serce twe rozpęknie, zbierzemy jego szczątki, umieścimy w świątyni i położymy napis: Ten był wielkim!

Drżysz, użalasz się, że zatruwano twe serce tak długo, aż zanikło.

Jeśli dzwon bez serca, uderz weń młotem, a wyda dźwięk. Jeśli poeta bez serca, kładź go do grobu: uderzenia nie pomogą.

* * *

Zjawiska moralne są liczne i różne jak wody ziemi, życiodajne jak rzeki i groźne jak morza.

Jedne z nich, okolone błyskawicami z góry, spływają na niwy i ożywiają je — jest to wiedza.

Inne przywiązane są do gruntu i nakształt źródeł leczniczych niosą pomoc schorzałym — jest to miłość.

Niektóre zaś, w kształcie pleśnią pokrytych bagien, zatruwają przestwór całe wieki — jest to zaślepienie.

Nim wydasz twój sąd o pewnem zjawisku, zbadaj czem ono jest dla ludzkości i jaki ma początek.

A pomnij, że każda idea podobną jest do deszczu: gdy spada powoli, nasyca grunt; gdy spada raptownie, czyni spustoszenie.

Podobną też jest do dukata: z pracowni mistrza wychodzi czystą i jasną, ręce nieczyste brudzą ją, szachraj zaś obrzyna.

Podobną też jest do noża: mędrzec używa jej z korzyścią, dziecię kaleczy się, opryszek rani bliźnich.

Przekonania uświęcone wiekami mogą, jak miecz bohatera, okryć się rdzą i przetrawić.

Niańki będą straszyły niemowlęta jego wielkością; chemia zbada i wykaże, że jest niczem.

Choćby tłumy tłumów szły za głosem nianiek i klęły wiedzę, nie oglądaj się za opinją czasu — wołaj.

Jeśli zamilkniesz raz jeden, jużeś przestał być wieszczem; porwij twe struny, gdyż odtąd będą fałszywe.

* * *

Inne są cele zbrodniarza, inne — chirurga, chociaż obaj, dzierżąc nóż w dłoni, wybierają w ciele ludzkiem miejsce, gdzie mają ugodzić.

Inne są cele kapłana, co w ciszy samotnej wchodzi do świątyni, inne zaś opryszka, co pod osłoną mroku zbliża się do ołtarza.

Będziesz chirurgiem społecznym, kapłanem będziesz, dla którego ludzkość jest przybytkiem Boga miłości i prawdy.

Nie rzucisz się na brata jako osa, by go ranić żądłem, ani też, nakształt błazna, nie wykrzywisz oblicza ku zadowoleniu gawiedzi.

Twój gniew ma być podobnym do ognia: zdala powinien ostrzegać o grożącej ranie, a płonąc niweczyć ciemnię.

W chwili gniewu dusza twa powinna boleć, że nie przebaczasz.

Nie grzeb się jako kret w norach, bo oślepniesz; nie ulatuj też na wyżyny skał niebotycznych, bo są bezludne.

Fałszywe są dźwięki, co unoszą się poza chmury życia, dwakroć fałszywe, co dla oklasku chwili nurzają się w bagnie.

* * *

Celem urodzenia jest życie, celem życia — śmierć.

Wielką jest zaletą piękne życie, większą jednak śmierć godna.

Są tacy, co żyją dla drugich, są inni, co żyją dla siebie. Godniej jest służyć Ludzkości, niż być jej panem.

Dziki słucha demonów, barbarzyniec — opinji, wykształcony — wiedzy, mędrzec — własnych przekonań.

Godną jest rzeczą dążyć za etyką swego czasu, godniej atoli podać ją krytyce rozsądku.

Mędrzec, działając z przekonania, wie, co czyni; grzeszą maluczcy i ciemni.

Zejście z toru przekonań wnosi do duszy ludzkiej rozdźwięk — i to się nazywa grzechem.

Mózg człowieka i niwa, gdy leżą odłogiem — im są żyźniejsze, tem bujniej płodzą chwasty.

Zgłębij to wszystko, a strojąc twe struny do pieśni, nie słuchaj sądów gawiedzi, bowiem w tony twe rozdźwięk się wkradnie.

Wstań ze snu... Mroczno i chłodno na ziemi.

Petersburg. *Brolis (Michał Szołkowski*).*

*) Zmarł w Petersburgu dnia 30 maja 1897 r.



EFRAIM MIKHAËL.

Jak smutno wejść do sadu po niedawnej burzy. Wyjaśniło się niebo, kwiaty pachną mocniej, ale ziemia usłana liściem świeżo zdartym z drzew, gałązki i duże gałęzie oderwane od pni. Pospadały owoce. Drzewa, jak kaleki, stoją bez ramion w łachmanach.

A tam co za spustoszenie! Młodą czereśnię, która ledwie jęła rodzić, wyrwał wiatr z gruntu. Tak rzęśnie była okwitła, już jagody na niej ukazały się, kilkanaście dojrzało od południa. Odwiedzały ją wróbelki i brzęczące muszki. Teraz korzenie połamane, pień jak długi na ziemi, a bezsilne gałęzie obwieszone więdnącem liściem. Biednia czereśnia! już jej nie zasadzić, już zielony jej owoc nie ubarwi się w purpurę.

Biedny poeta, który, jak to drzewo, musi zejść, nim lato zacznie się, runąć, nim dojrzeją pierwociny jego twórczości. Ile melancholji jest w skończonych nawet utworach, bo tylko część duszy tam streściła się; o ile smętniej nastroją kartki fragmentowe! Gdybyż one bodaj były ujrzały koniec! Lecz śmierć odpowie: Czyliż chmura gradowa ma obowiązek oszczędzać młode sady? Czy widziałeś, żeby przepuściła kiedy narcyzom ledwie zakwitającym?

Mnie zawsze żal Garczyńskich, Garszynów, Hegezypów, Moreau. I ze smutkiem patrzę na mały tomik, który zawarł w sobie puściznę młodego piewcy francuskiego Efraima Mikhaëla. Choć nieduża, zapewniła mu przecież poczytne miejsce. Posunąłby się wyżej, zostawszy przy życiu.

Zewnętrzne okoliczności jego istnienia są bardzo proste. Nazywał się właściwie Jerzy Michel; urodzony w Tuluzie 26 czerwca 1866, chodził do gimnazjum tam, potem w Paryżu. W stolicy skończył szkołę paleograficzną i wstąpił jako urzędnik do Biblioteki Narodowej.

Pierwsze utwory drukował w brukselskiej *Basoche* i w paryskich pismach: *La Pléiade* i *La jeune France*. Nieco wierszy wydał oddzielnie pod tytułem „Jesień“. W roku 1888 napisał razem z Bernardem Lazarem trzyaktową „Narzeczoną koryncką“, osnutą na tle balady Goethego. W tymże roku Wolny Teatr wystawił jego marzenie „Ukwiecony róg“. W r. 1889 otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie poetyckim *Echa paryskiego* za poemat „Florimond“. Piątego maja 1890 r. umarł na suchoty.

„Umarł przedwcześnie dla tych, co go kochali — czytamy w notatce bibljograficznej na początku jego dzieł*) — przedwcześnie dla sztuki. Ale może tej istocie łagodnej i dobrej, niemającej nieprzyjaciół, Opatrzność słusznie oszczędziła bolesnych walk, obelg i nienawiści jeżących życie. Przeczucie blizkiej śmierci nie opuszczało go, ziściło się wreszcie...

Twórczość Efraima rozpada się na dwa okresy. Pierwszy, filozoficzno-liryczny (1884—86), drugi marzycielsko-opowiadający. Nie są one bez przejść, ale odrębność zarysowuje się dość wyraźnie.

Najwcześniejszy wiersz, „Sny i życzenia“, wyrabia w nas już sympatję dla poety.

Jak gwar daleki fal i rozwahanych dzwonów
Ja słyszę w duszy mej śpiew rytmów pełnych dźwięku;
Ja marzę o sonetach rzeźbionych mistrza ręką,
O strofach, które tańczą wśród słodkich gęśli tonów.

Śni o wierszach pieszczotliwych, lub pełnych rozkoszy. Potem chęć go zbiera dośpiewać rozpoczętych pieśni. Niestety, piękno gdy wyjdzie z dziedziny marzenia, gdy poeta zacznie je ucieleśniać, traci kształty, traci subtelną boskość.

Tak zawsze, w życiu czy w poezji, nic go nie zaspakaja. Zawsze widzi odległość między pomysłem i wykonaniem, i zawsze w jego duszy podnosi głowę

Żal po życzeniach zmarłych, po ugaszonych pragnieniach.

Kilkakrotnie jeszcze nęciła go psychologja poetycka. W grupie z 1886 r. jest wiersz „Bezbożność“. W wysokiej nawie drżącej od trjumfalnych dźwięków śpiewanego hymnu biskup, okazale odziany, odprawia mszę. Śpiewa, potem silną ręką podnosi solennie monstrancję. I w chwili kiedy tak stoi, owiany kadzidłami, opromieniony słońcem, o czem myśli? Że jest teraz pięknym i że cały lud zgromadzony patrzy tylko na niego.

„Luba, ja odprawiałem ci msze podniosłe, nie wierząc w nie, jak ów ksiądz zły: jedynie, by wejrzenie tłumów dalekich znalazło mię pięknym z monstrancją wierszy złocistych. I wywijałem kadzielnicą strof, aby tylko upoić się ich wonią.“

Przesadnem byłoby kładzenie nacisku na to wyznanie. Można chcieć pochlubić się swojemi utworami, zarazem jak dowodzi poprzedni wiersz, pojmować zaszczytnie twórczość. Głęboki szacunek dla niej znalazł wyraz także w „Ostatniej wieczerzy“. Pomysł tam oryginalny. Oto miejsce „Syna człowieczego“ zajmuje jakiś mistyczny „mistrz słowa“. W głębi pałacu, przy stole, zebrali się poeci czasów przyszłych, a on im w wyrazach podobnych do tych, któremi ustanowiona eucharystja, udziela sakramentu wiersza.

* * *

*) Ephraim Mikhaël *„Oeuvres“*. Paryż 1890. (Lemerre).

Baudelaire, który wywarł wielki wpływ na poetów z przed 1890 r. oddziałał i na Mikhaëla. Miękki nastrój młodzieńca nie zupełnie harmonizował z ponurą jego muzą: toteż bezpośrednich przypomnień jest niewiele. Porównanie trawionego nudami poety z wystrojonemi, a znudzonemi półświatówkami na przechadzce („Dimanches parisiens"). Kilkakrotne żale na Nudy pisane z Baudelairowską dużą literą. Natomiast pewną rolę musiał odegrać starszy poeta w zbudzeniu spoczywającej już w duszy młodszego melancholji.

Z miłym wdziękiem kreśli Mikhaël wieczory, smętność półmroków, znużenia nadciągające z cieniami. Tu księżyc kołysze się na mglistem niebie, jak samotny statek na pustyniach morskich; tam miasto zapada w zmierzch, głosy stają się głuchszemi, myśl ociężalszą. Ówdzie park wypełnia się spokojem, cień osłania lilie, róże i drzewa, „piękne jak królowie w żałobach". Zdala dolatują gwary winiarzy. Czy pójść do nich, czy nie? Nie, serce zmęczone wzdryga się przed hałasem.

Szary aksamit wybija niebo, noc schyla się nad ziemią, mrok zasnuwa izbę. „Im gęstszy, tem cięższa jakaś nudność przygniata mię, czemu? Nie zraniła mię żadna miłość, nie tęsknię po ubiegłych godzinach. Deszcz dzwoni w szyby. I tak bez przyczyny, serce me, czuję, jest melancholijnem, niby opuszczona komnata".

Już samej monotonności dość, aby na pewnym podkładzie powstały podobne nastroje. Opiewał ją poeta. Przeczytajmy pierwszą poezję prozą: „Skład zabawek".

„Nie pamiętam już ani czasu, ani miejsca, ani czy to przypadkiem nie był sen. Mężczyźni i kobiety przechadzali się w długiej, smutnej alei, i ja byłem zamieszany w tłum — tłum bogaty, w którym pachniały perfumy dam. I mimo łagodnego blasku futer i atłasów, ocierających się o mnie, mimo rumianych uśmiechów świeżych ust, osłoniętych delikatnemi woalkami, nudność nieokreślona zdjęła mię wobec tej monotonnej defilady na prawo i na lewo.

Otóż na jednej ławce jakiś człowiek patrzył na tłum dziwnemi oczyma, a gdy zbliżyłem się ku niemu, posłyszałem, że płacze. Wtedy spytałem: co mu? A on, podnosząc ku mnie swoje duże zgorączkowane oczy, rzekł: Jestem smutny, widzisz, bo od bardzo dawna zamknięto mię tu w tym składzie zabawek. Od wielu dni i wielu lat widzę tylko manekinów i smutno mi, że sam jeden jestem żyjącym. One są z drzewa, ale tak dziwnie robione, że ruszają się i mówią, jak ja. Jednak wiem napewno, że mogą robić zawsze tylko te same ruchy i mówić zawsze te same słowa.

Te piękne lalki, odziane w aksamit i futra i ciągnące za sobą w powietrzu odurzającą woń irysów, te są jeszcze lepiej złożone. Ich sprężynki delikatniejsze od innych, a kiedy umie się je nacisnąć, otrzymuje się złudzenie Życia.

Zamilkł na chwilę, potem poważnym głosem osób, które skupiają wspomnienia rzekł:

— Niegdyś wziąłem jedną z nich, rozkosznie kruchą, i często trzymałem ją w objęciach. Powiedziałem jej tyle słów bardzo słodkich, że zdało mi się, iż je zrozumiała; i tyle razy próbowałem ją rozgrzać pocałunkami, że sądziłem, iż jest żywą. Ale potem zobaczyłem, że jest, jak inne, lalką, pełną trocin.

Długo spodziewałem się, że jakiś manekin wykona nowy giest, że powie słowo niewyrzeczone przez innych. Teraz już znużyłem się wdechiwaniem w nie swoich snów. Nudzę się i chciałbym odejść gdzieś od tego magazynu zabawek, w którym mię zamknięto. Błagam cię, uprowadź mię, jeśli możesz, daleko, daleko, gdzie są żyjące istoty...“

Doprawdy, patrzył głęboko.

Później nieco spokoju wlewa się w jego melancholję. Zawiera go n. p.: „Skarb“. Jasne godziny wiosny są klejnotami, które w swej hojności rzucają nam z promiennych niebios ręce niewidzialnych księżniczek. Ale my, zamiast z każdego tego daru dobyć przyjemność, składamy je, jak skąpcy, na kupę, aż przychodzi chwila, kiedy, za zrządzeniem wróżek, perły przemieniają się w zeschłe liście...“

Zarazem brzydzi się lgnięciem do życia i smaga je ironją w „Starcach“.

* * *

Drugi okres odznacza się szczególnie postaciowaniem. Bezpośrednie wylewy serca ustępują słowom i rysom zamkniętym w cechach lub wypowiedzeniach stworzonych osób.

Jednostajność jako męczarnia zostaje wplecioną w życie „Więzionej“ („La captive“). Nie wiadomo za jaki grzech do nieodpokutowania zamknięto tę zimną księżniczkę w sali o ścianach zwierciadlanych. Czy siedzi na tronie między dwiema złotemi chimerami, czy przechadza się zamyślona i naraz podniesie oczy, zawsze widzi w koło tylko swój obraz, swój i swój. Więzienie ma jedno okno, ale to wybiega na drogę wysadzoną czarnemi drzewami, pustą, ciągnącą się aż do oceanu. Raz w dzień otwierają się drzwi; zapewne wybiła godzina przebaczenia? Nie, to niewolnica przyniosła jej win i owoców. I ta ustrojona podobnie do niej i z twarzy jest jak rodzona siostra. Jej głos dźwięczy tak samo. Więc ledwie ozwie się, by pocieszyć księżniczkę, ta wypędza ją z gniewem, bo ma przed sobą żywe, chodzące zwierciadło.

Owe osoby tak boją się jednakiego stanu rzeczy, że złorzeczą szczęściu, szukają niedoli, złych losów, cierpień. Salomon błaga Jehowy, aby nie przybyła królowa Saby, niosąca mu miłość. Inny król („Royauté“) znienawidziwszy dnie szczęśliwe, zabija swą ukochaną, ale za karę zamyka go z sobą, w swej wieży, „dwunastu wieczystych kluczników więziennych“; dwunastu starców, z których każdy co rok wiedzie jeden miesiąc.

Brak stanowczości, „chorobę woli“, tak ogólną w naszych czasach, że, aby ją znaleść, nie potrzeba aż kilku podręczników psychopatji, z których czerpał Nordau swą mądrość, ucieleśnia Mikhaël w ślicznym poemaciku „Niewiasta w żałobie“.

Niewiasta w żałobie, pośród glicyn kwitnących, drzew i winogradu błąka się melancholijnie. Nie słyszy pszczół brzęczących, odruchowo zerwie niekiedy kwiat, ledwie wzdrygnie się, gdy za każdem wybiciem godziny zawyją duże psy, co jej towarzyszą. Niekiedy wejrzą na szarą drogę.

Oto na niej zjawia się w szkarłatnych szatach, z różami w ręku, rycerz. Słyszał o pięknej damie w dalekich stronach; aby do niej dotrzec, zabił bajeczną żmiję, odepchnął usta królowej, o niej tylko śniąc. Pójdź, o pani — prosi — pójdź ze mną do ogrodów rajskich Awalonu,*) w doliny radości i spokoju, gdzie kwitną kwiaty podobne do ciebie. W słonecznym kraju, nad błękitnem morzem będziemy się kochali.

Ona, z wejrzeniem cierpiącem, odmawia.

Zabiłam w sobie wszystkie sny, poznałam próżność świata i chcę zostać wdową po tem, co zmarło we mnie.

Znika rycerz i na drodze rozbrzmiewa pobożna pieśń. Mnich, osypany popiołem, ukazuje się i zaprasza ją z sobą. „Ponieważ chcesz uciec przed gwarami życia, podąż za mną w sfery Galilejczyka. Pogrąż się w modlitwę, wzgardź światem: po ścieżkach pięknych wężów wnijdziemy oboje do raju.

Czarna niewiasta i do świętych grodów boi się uchodzić. Jej serce jest jeszcze zbyt światowem; oziębłaby na drodze odkupienia. A nadto zawsze żywi nadzieję... Może dziw jaki spełni się, może jej grzechy spłoną z łaski bożej, może na niepłodnym piasku jej duszy wyrośnie róża Cudu?

I zostaje sama w żałobie swojej i duma. A psy, ilekroć wybije godzina, wyją przeciągle.

Dotąd przypomina się nieco romantyzm, szczególnie niemiecki — mniej treścią — niż ozdobami zewnętrznemi. Tam księżniczka, tu zagadkowa niewiasta, rycerz i mnich.

Efraim Mikhaël jest jednym z pierwszych, co wprowadzili postacie tego rodzaju do „młodej“ literatury francuskiej. Okres Wiktora Hugo i Musseta prawie że nie znał ich. Romantyzm we Francji posiadał w znacznym stopniu formę polityczną, element średniowieczny był uwzględniany głównie w tym duchu Uhlanda, Wackenrodera, Tiecka — ani Novalisa poezja francuska nie ma. Więc, przeszedłszy potem przez fazy mizantropji, cofnęła się w czasy śpiewaków wędrownych, walecznych rycerzy i cichych jak gołębice, a pełnych naiwności kobiet. Cofnięcie się to wcale nie jest powtórzeniem.

Ów rys zaś nie jest jedynym wśród młodej Francji, ale należy go zaznaczyć, a nawet podkreślić.

Pełną uroku jest dla Mikhaëla cisza klasztorna. Ostatni jego wiersz: „Do tej, która ukochała klasztor“ kreśli z zachwytem prawie życie ustroń kontem — placyjnych. Rycerstwo wchodzi na równie jego marzeń. Florimond jest postacią pokrewną dawniejszym — pustka w duszy mimo powodzenia —: ze-

*) Mityczna wyspa Oceanu Atlantyckiego, na której Gallowie mieścili raj.

wnętrzność tej postaci i jej otoczenie — odmienne. On wodzem zwycięskich hufców; gorycz, która daje mu zadowolenie, płynie z łona przewrotnej wróżki, trzymającej go w zaczarowanym ogrodzie.

Albo też myśl poety krąży około wymarzonych ogrodów, towarzyszy wyprawom na złotych łodziach w bajeczne kraje. Wywołuje milczące kasztelanki lub leci ku ziemiom sylfów i goplan.

Dla wyrobienia niejakiego pojęcia o tym dziale przetłómaczyłem jak najdokładniej, z zachowaniem pierwotnej formy, „Dobre okno". Ma ono wdzięk ballady Uhlandowskiej, nadto jest charakterystycznem dla młodej szkoły, w wielu bowiem utworach poetów późniejszych spotyka się jego ton lub osoby.

DOBRE OKNO.

Czy widzisz? to kraj marzenia.
Park od turkawek się bieli;
Schodów wykwintne złocenia
Giną wśród kwiatów topieli.

Sokoły zaczarowane
Na basztach okwitłych drzemią;
Pawie, w klejnoty odziane,
Unoszą się ponad ziemią.

Radosne, na jasnej fali
Do mórz bezmiaru tęskniące,
Tam, ku Atlantydy dali
Galery ruszają lśniące.

I lilji przez wiatry niesionych
Śnieg kryje bruk cichej ulicy;
Od morza chór mężów rozśnionych
Zgon wieści wieczysty tęsknicy.

Lecz czemuś ty, siostro, tak blada?...
Ból jakiś serce ci toczy;
Wrzeciono z znużonych rąk pada,
Za taras biegną twe oczy.

I gdy tam proporców las wionie,
Ty, moja więziona królowo,
Wznosisz ku niebu swe dłonie
Niby po jutrznię różową.

Lecz smętność nie nad całą grupą zawisła. Dowodem „Uwieńczony róg".

Na polanie gaju nimf Orjana przędzie nici cienkie, jak promienie księżyca. Dobrze jej tu, wkoło róże i kwiaty, źródło szemrze. Przecie brak jakiś czuje. Jest boginią, zsyła marzenia miłosne na młode dziewice, kojarzy pary. A sama skazana na samotność, na żywot bez miłości.

Nagle przybiega jej wychowanka Doreczka. Doznała strasznej obelgi, ką-

pała się w zdroju, obok jakiś dzikus przechodził i, choć ona, zakrywszy niby ze wstydu twarz, rozchichotała się, ani nie wejrzał na nią.

— Ukarz go, moja droga opiekunko.

Ukarać? — Orjana myśli. — Dobrze, ułożyła świetny plan.

Wzywa boga lasów Oberona i za jego pozwoleniem staje się widzialną dla ludzi. Teraz pójdzie ku temu, co obraził Doreczkę, oczaruje go wdziękami, rozkocha, a gdy jego serce rozgoreje, zniknie.

Dla zniknienia potrzebuje tylko zatrąbić w róg z kości słoniowej, zostawiony jej przez Oberona.

Lecz piękna Dryada łapie się we własny potrzask. Ten dzikus — to poeta. On jej zbiera kwiaty, upaja ją swojemi słowy. Doreczka, widząc niebezpieczeństwo, nagli, by zagrała na rogu. Nie, jeszcze chwilę.

Chwila przewleka się. Dora chwyta wówczas sama za róg, lecz nie może zadąć, pełen jest lilji. Wyjmuje kwiaty, ale zanim wyjęła, Orjana postanowiła zostać już w postaci ludzkiej.

* * *

I w prozie, liczącej u Mikhačla niewiele stronic, zaznaczył się ten kierunek. Tu najpiękniejszą jest bajka „Samotnik“ („le Solitaire“).

Z rozkazu króla służba złożyła w puszczy niemowlę. Byłoby zmarło, gdyby tejże nocy kapłani, obchodząc uroczystość w borze, nie znaleźli go i nie oddali na wychowanie królewskim pasterzom.

W wiosce nazwano dziecko Stellusem. Wyrastało dziwne: otwierało swe ramiona dziatwie, tuliło się do matek. Naraz coś jakby je raniło: schylało głowę i uciekało w dal. Czasem z rówieśnikami kradło owoce i plądrowało ule, i nagle pośród uczty uczuwało chęć płakania i ukrycia się. Więc inne dzieciaki rzucały za Stellusem często kamieniami, a starzy ganili go.

Najchętniej biegł do lasu, daleko od drogi, i wtedy spokój zstępował nań. Cienie gałęzi opuszczały się na jego czoło, jak leczące dłonie. Siadał, milcząc, nad oświetlonem jeziorem i słuchał gwarów. Szybko nauczył się odróżniać szmer każdej strony lasu, głosy każdej gałązki. Potem ucho jego poczęło chwytać jakby dźwięki czarodziejskich fletni, jakby ciche śpiewy. To dusza drzew, ziół i wód przemawiała do niego.

A kiedy gwary przycichły, jakaś chęć zaczynała mu poruszać wnętrze. Chciał iść między towarzyszy i wyśpiewać im, co słyszał, ale zarazem czuł, że próżnoby śpiewał, i smutek wielki znowu go ogarniał. Ociągał się zawsze z powrotem do wsi, nawet gdy mu dano trzodę do pasienia. Pewnego razu wysłano po niego z sioła człowieka, Stellus wyznał mu swe cierpienia. Kapłani powiedzieli nam — odrzekł ów — żeś ty szlacheckiego rodu. Widać, źle ci z pasterstwem; wybierz lepiej zawód możnych: idź do wojska.

I Stellus usłuchał rady.

W kolczudze, najeżonej ćwiekami, z siekierą i mieczem służył jako żoł-

nierz królowi, którego zastępy posuwały się zwycięsko, nienawidzone przez ujarzmianych. Taką nienawiścią pałały ku nim zwalczane ludy, że jeśli musieli cofnąć się, zabijali swoich rannych, aby im oszczędzić mąk od przeciwników, a w bitwie najczęściej skuwali się łańcuchami, by nikt nie dostał się żywym do niewoli. Mimo to jakaś siła tajemnicza popychała Stellusa do walki na pojedynkę. Darmo próbował zbliżyć się do towarzyszy broni. Więc w nocy alarmów pędził ku najniebezpieczniejszym posterunkom, w odwrotach sam jeden zasłaniał tyły, w najciemniejszy las bez nikogo szedł na zwiady. Podniesiono go do godności wodza, potem księcia: on zawsze zostawał samotny, zawsze popychany do ludzi tęsknotą i potrzebą kogoś i zaraz odciągany tajnemi siły.

Gdy tak pogrążał się w smutku, stary wojak, który go podziwiał, rzekł mu:

— Wiem czego ci braknie, Stellusie: miłości. Idź w świat poszukać jakiejś białej księżniczki.

Stellus uwierzył, ubrał swoje siodło w wonne gałęzie bzu, dzidę owinął winną latoroślą i pojechał za białą księżniczką. Przy źródle znalazł taką, jaka mogła przypaść mu do serca. Czerpała wodę srebrnym dzbankiem i uciekła, zobaczywszy go. On gonił ją na rumaku. Dziewczyna chwilami zatrzymywała się, rwała śpiesznie czerwone i białe róże i rzucała w niego. Warkocze jej rozplotły się i osłaniały jej plecy, jak płaszcz. Nareszcie Stellus dognał ją i chwycił, potem zawiódł do pałacu jej ojca i szybko poślubił.

Jeszcze nie zwiędły wieńce weselne, a już smutek w nim znowu mieszkał. Czemu i czemu go nie opuszczał? Nigdy, od dzieciństwa dotąd. Wówczas starzec jakiś zbliżył się do szlochającego i powiedział:

— Stellusie! Jeśli nawet pocałunki cię nie zadowoliły, to dlatego, że banalne zadowolenia nigdy nie ujarzmią twego serca. Ty cierpisz, boś niepodobny do innych ludzi, bo płochemi są dla ciebie ich uciechy i nadzieje, bo w tobie sny niejasne krążą, ognie bez nazwy, i ty nie możesz ich wypowiedzieć słowami. Ale wiedz: wszyscy ludzie jak ty są samotnikami wiecznymi. Ród człowieczy — to nie trzoda jednobarwna; człowiek różni się jeden od drugiego. Zarazem nie wielu o tem wie; każdy uważa się za podobnego innym: stąd wiele cierpień pochodzi. Ty poznałeś niejasno, że różnisz się od współbraci, ale opierałeś się dotąd uznaniu tej odmienności. Kapłani dobrze powiedzieli: jesteś szlacheckiego rodu, ale ta szlacheckość nie ziemska. Zastanów się, co ci mówiłem, i pójdź w końcu za głosem wewnętrznym.

Od ogrodów, od pałacu, gdzie śpi małżonka, oddala się Stellus. Idzie kamienistemi równinami, stokami gór, suchymi brzegami leniwych rzek. Wszedł nareszcie do krainy skalistej. Mieszkańcy jej w smutku tonęli. Ze szczytów śnieżnych zleciał był potworny koń skrzydlaty, ziejący ogniem, i pustoszył łany, zabijał bydło, unosił dziewy, a przyrzekł tylko wtedy odlecieć, kiedy ktoś dobrowolnie siądzie na jego grzbiet i pomknie aż ku gwiazdom.

W sercu Stellusa zajaśniała nadzieja. Zwołał naczelników osad i oświadczył gotowość wnijścia na hipogryfa. Rozległy się wówczas dziękczynienia i pieśni

chwały; kobiety całowały mu stopy, i skrapiały przed nim ziemię wonnemi olejami. On tymczasem ujął obiema rękami grzywę konia i, głaszcząc jego szyję, począł wzbijać się ku niebu, ku słońcu i zorzom dalekim, w wieczystą samotność...

* * *

Pięknie rozwinął się talent Mikhaëla w ostatnich latach. Nie wyczerpałem jeszcze jego utworów. Na końcowych stronach „Dzieł“ znajduje się śliczny wiersz miłosny „Mówiłem: kiedy przyjdzie królowa, której czekam“, mistrzowski obraz dziewczyny wiejskiej, wracającej nocą z pola („Wieczorna gwiazda“). Fragmenty zawierają balladę „Śmierć amazonek“, z uroczem przedstawieniem pary kochanków przeddziejowych: Achillesa i Heleny. Pomijam kilka poematów epicznych (Mag, Cudzoziemka), kilka opowiadań prozą i dziesiątek nowel niedokończonych.

Przy tej wzmożonej twórczości przedśmiertnej, zdawałoby się, że młody poeta śpieszył się z wykonaniem budzących się w duszy planów, że chciał jak najwięcej pomysłów ucieleśnić. Bo może słyszał już w ciszy godzin nocnych tętent rumaka, co miał go unieść, rumaka z czarną grzywą, coraz bliżej dzwoniącego kopytami, coraz bliżej i bliżej przeciągle rżącego.

Paryż. *Włodzimierz Bugiel.*

Na obcy ląd.

Na obcy ląd
Roślinę raz przeniesiono
Daleko stąd ..
Musiała opuścić łono
Swej matki-ziemi rodzinnéj,
Gdzie wiek spędzała dziecinny,
I biedną nieść swoją głowę,
By życie rozpocząć nowe —
Na obcy ląd...

Skarżyła się
Od rana aż do wieczora,
Że więdnie, schnie —
Wpatrzona w wody jeziora,
Co lśniły na obcej ziemi —
Łezkami rosy srebrnemi;
Na brak powietrza i słońca,
Na ból, tęsknotę bez końca —
Skarżyła się.

Nie pojął jej
Ni wiatr, co huczał na brzegu
Wśród gęstych kniej,
Ni żadna ze skał jeziora,
Co się w jeziorze kąpały,
Ni łabędź, śnieżysty cały,
Prujący łonem swem wody,
Ni rybak wesoły, młody —
Nie pojął jej.

Na brzegu fal,
Co lśniły zimne i sine,
Tęsknota, żal
Zabiły biedną roślinę.
Na obcej skonała ziemi,
Łzami się skarżąc srebrnemi
Na brak powietrza i słońca,
Na ból, tęsknotę bez końca —
Na brzegu fal...

Nim liście opadną....

Nim liście opadną, nim kwiaty powiędną,
Nim jesień w twem życiu nastanie,
Tysiąckroć się dowiesz, że droga twa błędną,
Że złudą — zórz jasnych świtanie.
Tysiąckroć szaleńca nadadzą ci miano,
Wyszydzą twój zapał młodzieńczy;
Wyciągną po ciebie dłoń, błotem skalaną,
W krainy błękitów i tęczy.
I skrzydła ci białe poplamią, strzaskają,
I z sobą pociągną cię w bagno.
Aż w końcu się zżyjesz z tym tłumem, z tą zgrają!
Twą szyję do stóp swych nagną...
Aż w końcu uwierzysz, że byłeś szalony
W tej swojej nadziemskiej pogoni,
Do słońca wzlatując w świetlane gdzieś strony,
Miast pełzać po ziemi, jak oni.
I zaczniesz wyszydzać młodzieńcze zapały,
Jak oni; marzenia dziś twoje —
I wierzyć przestaniesz w ten rozświt dnia biały.
Za który dziś toczysz sam boje...

* * *

Lecz, za nim twa wiosna na wieki przeminie,
Marz, kochaj porywy młodzieńcze;
I szybuj w świetlanej, promiennej krainie
I sięgaj po słońca i tęcze!
I życie swe splataj z gorących promieni
Poświęceń, miłości, zapału;
Ku jutrzni dąż złotej, co już się rumieni, —
Dąż naprzód, dąż w świat ideału!

* * *

Nim liście opadną, nim kwiaty powiędną,
Nim jesień w twem życiu nastanie,
Tysiąckroć się dowiesz, że droga twa błędną,
Że złudą — zórz jasnych świtanie...

Warszawa. *Władysław Bukowiński (Selim).*

INDYWIDUALIZM
JAKO CZYNNIK ROZWOJU ARTYZMU POLSKIEGO
w wieku XVI.

(HUMANIŚCI — JAN KOCHANOWSKI).

Rozkwit uzdolnień artystycznych, stanowiący najwybitniejszy pojaw we współczesnem życiu duchowem naszego społeczeństwa, nasuwać musi obserwatorom tego zjawiska zapytanie o początki sztuki polskiej, o gienezę naszego artyzmu.

Niezadługo może zabiegi dość licznych pracowników na polu dziejów literatury i poszukiwania, zwrócone ku poznaniu najdawniejszych zabytków sztuk plastycznych i muzyki pozwolą przyszłemu historykowi rozjaśnić cały proces pracy przygotowawczej, usiłowań i prób poprzedzających wystąpienie artyzmu świadomego celów i środków.

Nim to jednak nastąpi, można i należy rozpatrzeć najwydatniejsze objawy twórczości artystycznej, występujące w piśmiennictwie wieku XVI.

Śród dość szczupłego pocztu zabytków, noszących piętno uzdolnienia i świadomości artystycznej twórców, przeważne miejsce, jakościowo i ilościowo, zajmują dzieła tego, co pierwszy „wdarł się na skałę pięknej Kalliopy“, ujmując bogatą treść swego ducha w ramy obmyślanej kompozycji i przystrajając ją w szaty ozdobnych form stylowych i wierszowych. Że wyniesienie poezji polskiej na wyżyny sztuki jest dziełem Kochanowskiego, o tem wiedział już sam poeta, przyznali to współcześni, a za nimi powtarzają wszyscy historycy literatury i autorzy specjalnych monografji.

Ponieważ nikt temu nie przeczył, więc bliższe zastanowienie się nad powszechnie znanym i uznanym faktem wydawało się zbytecznem.

Jeden tylko z czynników artyzmu poety: wpływy obcych literatur — zwracał dość często uwagę badaczów. Idąc jednakże w swych dość powierzchownych dociekaniach za pobieżną wzmianką jednej z elegji łacińskich poety, zwracali się bezowocnie ku literaturze francuskiej (Ronsard), a zaniedbywali włoską, której oddziaływanie (Petrarka, Boccacio, Aryost) na twórczość Kochanowskiego jest tak doniosłem i widocznem.

Gdyby poeta ograniczył się jedynie naśladownictwem wzorów greckich, łacińskich i włoskich, jak mniemał Maciejowski i Spasowicz, to wyszukanie

pierwowzorów i porównanie z niemi kopji, dawałoby dostateczne pojęcie o naturze jego artyzmu. Sądom tym przeczy jednak głębszy rozbiór dzieł poety. Ponad naśladowcą góruje w Kochanowskim samoistny twórca jak to wymownie wykazał już Kraszewski *) — artysta czerpiący z duszy własnej osnowę większej części swych utworów. W tej duszy więc rozbudzonej prądami Odrodzenia i Reformacji, lecz związanej gorącemi uczuciami i warunkami bytu z ziemią rodzinną, życiem i kulturą polską wieku XVI, szukać należy czynników artyzmu poety i cech charakterystycznych jego twórczości.

Pierwszą wybitną cechą, jaką spotykamy w utworach Kochanowskiego, zwłaszcza w początkach działalności, jest indywidualizm, znamionujący tak samo życie jak i piśmiennictwo ówczesne.

I.

Zarówno rycerskiej duszy Gallus, jak pobożny „Mistrz Wincenty“ podejmując pracę nad kronikami, a usprawiedliwiając się przed czytelnikiem ze swego zuchwalstwa, z pokorą, niezupełnie szczerą zapewne, proszą o wybaczenie, iż śmią pokazywać światu „łachmany“ swego ubóstwa umysłowego. Podejmują oni pracę dlatego jedynie, by czemś odpłacić się swym chlebodawcom lub spełnić rozkaz książęcy. Chcą tylko wiernie i ze czcią spisać i przekazać dla potomności podania i wiadomości zebrane z ustnej tradycji, czy też przechowane w księgach. Obrawszy w kronice formę djalogową, sądy swe i nauki moralne wkłada Kadłubek, dla nadania im większej powagi, w usta Jana, arcyb. gnieźnieńskiego a opowieść dziejową przekazuje Mateuszowi, biskupowi krakowskiemu. W ostatniej dopiero księdze wprowadza do opowieści siebie, ale bezimiennie. Pokora ta była naturalnym wynikiem ówczesnego stanu i roli literatury. Piszący, duchowny zwykle, tworzył swe dzieła dla szczupłego koła czytelników, należących do wyższych sfer duchowieństwa i najbliższego otoczenia książęcego.

W pracy Długosza indywidualność autora i jego stosunek do czytelników przedstawiają się o wiele korzystniej. Choć inicjatywę przypisuje historyk Zbigniewowi Oleśnickiemu, którego pamięci dzieło swe poświęca, bodźców jednak do pracy szukać należy w głębiach duszy autora. Dzieło swe poleca on opiece ówczesnej intelligencji, złożonej zarówno z duchownych, jak i świeckich, skupiającej się koło akademji krakowskiej.

Działalność Długosza przypada na epokę występowania pierwszych objawów samoistnego życia duchowego w młodem społeczeństwie polskiem, pod wpływem humanizmu i kultury włoskiej. Choć więc pojęciami swemi nasz historyk wiąże się jeszcze z tradycjami wieków średnich, choć wyrzeka na „nowych“ ludzi i „polor włoski“, za jakim się ubiegają współcześni, to jednak pierwsze brzaski Odrodzenia przenikają i do jego umysłu i odbijają się na kartach jego wiekopomnej „Historji“. W życiu ówczesnej ludzkości pojawia

*) „Nowe studya literackie“, Warszawa 1843.

się nowa siła, nowy czynnik, który oddziała zarówno na obyczaje, jak stosunki polityczne, kościelne, społeczne. Korzyści, jakie przyswojenie i zastosowanie tej siły przyniesie jednostce, rozbudzą ambitne pragnienia i rozliczne pożądania w różnych warstwach społeczeństwa.

Siłą tą nową jest oświata humanistyczna i oparta na niej nowa literatura.

Przyswoić sobie tę siłę, zawładnąć tym świeżym czynnikiem, dającym jednostce władzę nad duszami, względy książąt i możnych, dostojeństwa, pieniądze i sławę: oto cel, do którego dążyć będą zarówno entuzjaści spragnieni wiedzy i piękna, jak awanturnicy lub ambitni biedacy, pożądający karjery i bogactw. W tem współubieganiu się niewielka tylko garstka uzdolnionych i wytrwałych zapaleńców dostanie się aż do głębin życia duchowego i dziejowego odległej starożytności i odnajdzie tam źródła ożywcze, które udzielą duszom tej czarodziejskiej siły przekonywania, wzruszania, nakłaniania za pomocą pisma czy żywego słowa.

Sam jednak wysiłek duchowy, sama praca nad poznaniem i zrozumieniem dzieł wielkich pisarzy, samo podniecanie ambitnych pragnień czy szlachetnego zapału dla prawdy i piękna, wystarczy do rozbudzenia i rozwinięcia uśpionych władz w młodzieńczych duszach i uzdolni je do samoistnej działalności.

Ten ruch duchowy, to objawienie się nowej siły w życiu społeczeństw, wystąpi najwcześniej i najpotężniej we Włoszech, w krainie będącej wielkim cmentarzem odwiecznej kultury, naturalnem muzeum czy składem niezniszczalnych zasobów duchowych świata starożytnego. Jak nagromadzone pracą przyrody w odległych czasach zasoby węgla i nafty przyczyniły się do spotęgowania naszej działalności przemysłowej, tak owoce pracy duchowej świata starożytnego, wydobyte z ukrycia wielowiekowego, by służyć za pokarm dla młodych ludów europejskich, wywołują doniosłe przekształcenie zarówno w życiu duchowem, jak w obyczajach i stosunkach ówczesnych.

Szerząc się po całej Europie, ruch ten słabnąć będzie w miarę odległości od głównego centrum i różnic w warunkach lokalnych. Mimo to w Polsce przechodzić on będzie prawie że te same momenty w swoim rozwoju, co i we Włoszech, naturalnie, z wiekowem niemal opóźnieniem.

Pierwsze zetknięcie się ze światem starożytnym budziło często w duszach pobożnych trwogę i niepewność, nasuwało pytanie: czy wolno chrześcijaninowi kształcić się na utworach pisarzów pogańskich? Gdy Boccacio, przerażony przestrogami pewnego zakonnika, chce zaniechać swych studjów humanistycznych, Petrarka uspokaja go listem (1361 r.), w którym przypomina, „że ludzie pogardzają tem, czego osięgnąć nie zdołają: stąd nieucy mają zwyczaj potępiać to, co jest im obce... lecz nauki wyrzekać się nie powinniśmy, choćby nas odstraszano groźbami, bo ona to rozbudza w duszy wrażliwej zamiłowanie cnoty“. W lat 80 później (1444 r.) ta sama kwestja wywołuje wymianę listów (za pośrednictwem Długosza) między Zbigniewem Oleśnickim, biskupem krakowskim i kardynałem, a Eneaszem Silwjuszem, biskupem a następnie pa-

pieżem (Pius II), żarliwym humanistą. Odpowiedź Silwiusza stanowi dość obszerną rozprawę, nacechowaną entuzjazmem dla literatury starożytnej. Obok wielkich poetów rzymskich, którymi się chlubi Italja, wymienia on i Danta, jako godnego ich następcę. Nic więc dziwnego, iż pobożny Długosz rozczytuje się w Liwiuszu, posługuje się nazwami bóstw starożytnych dla okrasy stylu i wprowadza w użycie nazwę Sarmacji na oznaczenie Polski.

Energja niezłomnej woli, wysokie pojęcie nietylko o zajmowanem stanowisku kościelnem, ale o własnych siłach i zdolnościach duchowych, powzięcie i wytrwałe przeprowadzenie wielkiej idei politycznej, usprawiedliwiającej do pewnego stopnia ambicję i dumę niepohamowaną wielkiego polityka — czynią Oleśnickiego świetnym pojawem rozkwitu indywidualnych uzdolnień, pod wpływem bujnego życia politycznego i rozwijającej się współcześnie kultury humanistycznej.

Długoszowi nie zbywa także na rysach znamionujących niezwykłą energję i poczucie indywidualne. Mimo swej całej prawowierności kościelnej, nie waha się on wydawać ostrych sądów o papieżach i biskupach, z przekąsem i stronniczo przedstawia współczesne sprawy polityczne za Kazimierza Jagiellończyka. Jeżeli podejmuje mozolną 25-letnią pracę nad historją polską, czyni to pod wpływem gorącej miłości ku ojczyźnie, nie zaś dla przypodobania się królowi, czy możnym protektorom. Inicjatywa wielkiego dzieła wychodzi z duszy twórcy, który pracą swą daje nam miarę zarówno swej niezwykłej wytrwałości woli, siły uczuć i rozległości horyzontu umysłowego, zdolnego ogarnąć cały ogrom stosunków i interesów, wytworzonych przez tak bogaty w wypadki rozwój życia narodowego w Polsce w wieku XV.

Grzegorz z Sanoka przedstawia w swej osobie i działalności, wszystkie cechy charakteryzujące humanistów. Wielostronność wiedzy, krytyczność sądów, świeckość pojęć przy sukni duchownej — łączą się w nim ze zręcznością dworaka i polityka i swobodą obyczajową wykwintnego epikurejczyka. W Kallimachu znowu ukazuje się nam humanista kosmopolita, przyswajający się z łatwością tam, gdzie znajdzie dla swej ambicji otwarte pole działania a dla swych upodobań dogodne warunki materjalne. Stanowiska, pomyślność materjalna i sława, jakie zdobędą ci dwaj humaniści, otworzą oczy młodzieży polskiej na doniosłość i użyteczność nowej siły — oświaty humanistycznej — torującej biedakom nawet drogę do zaszczytów, dobrobytu i rozgłosu.

Ludzie tacy, pojmując, że ich wyniosło, nie pochodzenie, nazwisko, czyny rycerskie lub majątek, lecz własne uzdolnienie duchowe, będą żywili cześć dla samych siebie, rozwijali w sobie poczucie indywidualnej wyższości, opartej na potędze umysłowej.

Świadomość własnej dostojności i wyższości pobudza człowieka do uwydatnienia tego zewnętrznie za pomocą odpowiedniej rytmiki ruchów, intonacji głosu, form wysłowienia. Z drugiej strony chęć przypodobania się możnym czy też damom, przez uwydatnienie duchowych zasobów i uzdolnień, skłania do posługiwania się w mowie i piśmie formami noszącemi piętno ozdobności i pewnego wyszukania. Rzecz naturalna, iż w duszy wyżej rozwiniętych jednostek,

obudzi się chęć wywierania wpływu na instytucje i stosunki, za pomocą rad i projektów, ustnie czy piśmiennie rozwijanych. Obok Grzegorza i Kallimacha, zajmujących przy bokach królów stanowiska nieoficjalnych, lecz poufnych, tem więc chętniej słuchanych, doradców, wystąpi ze swą reformatorską działalnoscią Jan Ostroróg, pierwszy zapewne u nas świecki człowiek i pierwszy zarazem pan polski, szczycący się stopniem naukowym „doktora obojga praw". W świetnym memorjale, skreślonym z młodzieńczym zapałem, śmiało i stanowczo wygłasza on swe zapatrywania i uwagi, zarówno o stosunkach kościelnych — choć sam jest świeckim — jak i o urządzeniach politycznych, sprawach społecznych i ekonomicznych, o których wyrokować mieliby prawo starsi wiekiem i urzędem, członkowie rady królewskiej.

„Ja, Jan Ostroróg, chcąc królowi i ojczyźnie według sił swoich być pożytecznym, sądzę..." tak zaczyna swe „Monumentum" młody reformator, przejęty zapałem dla nowych ideji religijnych i miłością ojczyzny, pobudzającą go do starannego usuwania wszelkich pozostałości przewagi kulturalnej Niemców w instytucjach i stosunkach polskich. Niechęć ku Niemcom, którą uważa za wrodzoną całemu narodowi, stanowi u Ostroroga tem ciekawszy rys, iż jest on wychowańcem uniwersytetu erfurckiego, jednego z ważnych ognisk ówczesnego humanizmu niemieckiego. Znaczenie oświaty humanistycznej, jako czynnika w życiu politycznem i społecznem, spotęguje niesłychanie wynalazek druku, ułatwiający tak oddziaływanie na masy, pozyskanie wpływu i rozgłosu, a więc nadający wielką doniosłość przekonaniom, uczuciom i dążeniom odpowiednio rozwiniętej i uzdolnionej jednostki. Z pojawieniem się pierwszych drukarni w Krakowie przy końcu XV w. i Polska zacznie korzystać z usług nowego ułatwienia w propagandzie oświaty.

II.

Wiek XVI, zwłaszcza pierwsza jego połowa, przedstawia u nas, ciekawy i świetny bogactwem pojawów, rozkwit indywidualizmu, w budzącem się do życia duchowego społeczeństwie. Sprzyjać temu będzie zarówno podniesienie się dobrobytu, wywołane przez rozwój handlu zbożowego, wzrost cen i postępy rolnictwa, jak wzmaganie się życia politycznego i coraz żywszy i szerszy w niem udział mas szlacheckich, jak wreszcie postępy kultury duchowej, szerzonej przez uniwersytet krakowski, napływ cudzoziemców i podróże dla studjów w uniwersytetach włoskich i niemieckich.

Jednostka znajduje teraz w oświacie potężną siłę, torującą jej drogę do stanowisk, bogactw, sławy, a jednocześnie na dworach pańskich, głównie zaś na królewskim, w instytucjach politycznych, piśmiennictwie, spostrzega otwarte pola działalności, pozwalające rozwinąć różne uzdolnienia i zadowolić pragnienia. Z pomocą tej siły jednostka może, jeżeli nie połamać, to ominąć przegrody dzielące od siebie różne klasy społeczeństwa. Kultura duchowa zacierać będzie ślady pochodzenia wieśniaczego lub mieszczańskiego i równouprawniać poniekąd ludzi złączonych wspólnością wyższej oświaty i ogłady towarzyskiej.

Kosmopolityzm oświaty humanistycznej umożliwi jednostkom działalność na całym obszarze Europy. Dzieła humanistów polskich drukują się w Norymberdze, Bazylei, Kolonji, znajdują czytelników i tłómaczów w Niemczech i Włoszech; Łascy, Tęczyńscy, Dantyszek i inni szukają po całej Europie pola dla zużytkowania swych różnorodnych uzdolnień i zaspokojenia pragnień niespokojnego ducha. Podniecona i upojona mieszaniną pojęć humanistycznych i reformatorskich z idejami katolickiemi, pod wpływem studjów w Wittemberdze i Rzymie odbywanych, bogato uzdolniona dusza Orzechowskiego szuka pola działalności zarówno w życiu politycznem, jak w zakresie reformatorsko-kościelnym, a wreszcie w walce z przeciwnikami katolicyzmu, któremu sam niemałą wyrządził szkodę. Agitator polityczny i nowator kościelny, mówca, historyk, polemista i publicysta niepospolity, posługujący się naprzemian językiem łacińskim i polskim — przedstawia nam „kanonik przemyski“ w życiu i pismach swoich świetny pojaw niepospolitych uzdolnień i energji duchowej, zużytych na różnostronną działalność, napiętnowaną tym namiętnym indywidualizmem, z jakim przejmował się kolejno różnemi sprawami i ideami.

Jakkolwiek indywidualizm objawia się najczęściej i najsilniej w dążności do pouczania, przekonywania i nakłaniania, niekiedy jednakże przybiera też formę uczuciową. Jednostka górując nad drugimi swemi uczuciami, chce się niemi dzielić z otoczeniem, pragnie przez wypowiedzenie swych wzruszeń, pragnień, zachwytów, obudzić podobne uczucia w drugich. Tę tak sympatyczną formę indywidualizmu spotykamy u Janickiego.

Ten kmiecy syn, pod wpływem kultury, z jaką się zetknął w Krakowie na dworach Krzyckiego i Kmity a następnie we Włoszech i wykształcenia otrzymanego w humanistycznej szkole poznańskiej i uniwersytecie padewskim, przekształcił się w ciągu dziesięciu lat zaledwie z nieśmiałego prostaczka w wykwintnego, subtelnością uczuć wyróżniającego się humanistę i artystę. Jego elegje łacińskie zawierają ciekawe wynurzenia pragnień i wrażeń młodzieńczej duszy, doznanych przy pierwszem zetknięciu się ze światem poezji starożytnej w szkole Lubrańskiego i powabami przyrody i kultury Odrodzenia, śród której się znalazł w Padwie.

W elegji „o samym sobie“ wyznaje nam Janicki, jak podziw i cześć dla poetów i poezji obudziły w nim, jeszcze na szkolnej ławie, popęd do tworzenia, a powodzenie prób młodzieńczych rozżarzyło w młodocianej piersi, obok miłości dla poezji, namiętne pragnienie sławy. W swem uzdolnieniu duchowem dostrzegał on siłę, przez którą mógł się wydźwignąć z nędzy i poniżenia, wejść w najwyższe koła społeczeństwa i utorować sobie drogę do stanowisk, dostatków, sławy — nieśmiertelności! Wyczerpany pracą, śród ciężkich warunków materjalnych, resztę sił słabo rozwiniętego organizmu strwoni na studja i uciechy dworskiego życia. „Lubiłem stroje, miękkość, wygody... Miłość w mem sercu wrzała pochopnie“ — powiada sam, dodając, że w ogień wrzucił swe wiersze miłosne, zapewne wtedy, gdy przyjął święcenia księże. Że literatura starożytna oddziaływała i na stronę moralną jego duszy, wnosić możemy z zapału, jaki

w nim budzą słowa Tytusa („Dzień, w którym nie spełniłem dobrego czynu, uważam za stracony"). W elegjach do kardynała Bemby, Bonamika i Stanisława ze Sprowy, wypowiada poeta swój zachwyt nad naturą i kulturą włoską. Uprzejmość i uznanie, jakie biednemu, obcemu młodzieńcowi okazują takie znakomitości włoskie, jak kardynał i poeta Piotr Bembo, głośny humanista profesor padewski Bonamicus, umacniają w nim świadomość własnych uzdolnień i budzą ambitne pragnienia. Chciałby stać się sarmackim Wergiljuszem, opiewać wielkie czyny dziejowe; próbuje występować w roli mentora, karcącego wady społeczeństwa, szlachty przedewszystkiem („Djalog o niestałości odzieży") lub opiewać królewskie uroczystości („Epitalamion" na ślub Zygmunta Augusta z Elżbietą 1543 r.); lecz nastrój liryczny nie pozwala mu zabłysnąć na tem polu, a postępy nieuleczalnej choroby zniewolą poetę do zwrócenia myśli i pragnień ku sferom zagrobowym, w których „obcy nadziejom, strachom, zgryzocie" spodziewa się znaleść „jedynie prawdziwe życie".

III.

Rok 1543, w którym walczącego z biedą Janickiego śmierć uwalnia od cierpień fizycznych i moralnych, jest poniekąd momentem ważnego przełomu w rozwoju naszej literatury. W Koperniku i Janickim humanizm polski traci swych najświetniejszych przedstawicieli, natomiast nowe prądy reformatorskie i narodowe wynurzą się, poparte przez takich pisarzów, jak: Orzechowski, Modrzewski, Rej. Pierwsze wybitne swe utwory ogłoszą wszyscy trzej r. 1543. W rok później przybywa do Krakowa trzynastoletni młodzieniec „Jan syn Piotra z Sycyny", jak go zapisano w księdze uniwersyteckiej, by rozpocząć studja, mające rozbudzić i rozwinąć drzemiące w tej dziecięcej duszy uzdolnienia.

Tradycje rodowe matki (Odrowążówny), zamożność i stanowisko ojca (sędzia ziemski) musiały już w latach dziecinnych podniecać w chłopcu ambicję, podsuwać mu nieokreślone zapewne pragnienia. Zetknięcie się z dworami pańskimi — niewątpliwie przed wyjazdem do Włoch — obudzić mogło w młodym Kochanowskim chęć zrównania się z możnymi, jeśli nie majątkiem, którego, wobec licznej rodziny, nie mógł oczekiwać po ojcu, to z pomocą uzdolnień i zasobów umysłowych. Dwór królewski i biskupi, otoczenie Tarnowskiego i Kmity przedstawiały wówczas ciekawe i świetne zbiorowiska młodych zdolności, ambicji, różnorodnych talentów i pożądań. Przynoszono tam na pokaz i sprzedaż najczęściej rozliczne uzdolnienia: „najdziesz i uczonego, najdziesz i rycerza, więc muzyka, doktora, lutnistę i szyrmierza" — powiada Rej, charakteryzując dwór w „Wizerunku". Dodaje jednak dalej: „lecz w owej wszeteczności by też w piekle siedział, bo pewnie tam o niebie nic nie będziesz wiedział... a wżdy się do tej ordy wszyscy marnie kupią".

Pobyt w takiej „ordzie" sprzyjał rozwojowi silnych fizycznie i duchowo indywidualnosci, jak Orzechowski lub Rej, słabsze zabijał lub upadlał. Jeżeli Ko-

chanowski nie zatracił tam skarbów swej duszy, to zawdzięczać należy zapewne wpływom matki, uczuciom religijnym, ambicji i upodobaniom artystycznym.

Podniecona przez rywalizację ambicja pobudzała tu zdolniejsze jednostki do rozwijania i okazywania własnych sił i zasobów. Pragną one przodować zarówno w grach i ćwiczeniach fizycznych, jak przy kuflu i w podbojach serc niewieścich, zarówno dowcipem i wymową na zabawach i w rozprawach, jak wreszcie błyszczeć uczonością lub artyzmem. W tej różnostronności dążeń i ćwiczeń brak będzie harmonji, równowagi, miary; często bardzo cały zasób sił duchowych i fizycznych spłynie z szumiącą pianą rozpętanych popędów bujnego organizmu.

Ci zato, którzy wyjdą zwycięsko z tej orgji uciech i pożądań, wyniosą stąd niekiedy głębszą znajomość życia i tajników duszy ludzkiej, subtelniejszą wrażliwość uczuć i większą miłość dla idei i ideałów, którym zawdzięczają swe ocalenie moralne. Częściej jednak ratować ich będzie rozwinięta w życiu dworskiem ambicja, przeświadczenie o własnej wyższości nad otoczeniem i wynikająca stąd dbałość o pozory i pewna wybredność w doborze towarzystwa, w wysłowieniu, ubiorze i zachowaniu się wobec ludzi.

W dworskim okresie życia i twórczości Kochanowskiego (1557—1567?) przeważnym stanem jego duszy będzie taka właśnie świadomość i poczucie swej wyższości nad otoczeniem, nadające utworom poety nastrój to mentorskiej powagi, to dworskiej swobody i lekceważenia tłumu przy poufałem jednocześnie traktowaniu dygnitarzy, którym poświęca swe utwory.

Świetnym przykładem unaoczniającym nam wpływ życia dworskiego na nastrój duchowy, język i styl Kochanowskiego są „Szachy“, utworzone prawdopodobnie koło r. 1557.

„Wojnę powiedzieć myśli serce moje“ — oświadcza w dedykacji poeta, zaznaczając dobitnie, że w wyborze przedmiotu kieruje się, nie cudzemi życzeniami czy gustami, nie dążnością jakąś wyższą, lecz własnem upodobaniem. Piszę to, co mi się podoba, powiada wręcz poeta, pewny, że siłą talentu pociągnie czytelników, narzuci im swe gusta, zainteresuje swą fikcją. Z jakąż swobodą i dworską, uśmiechnioną wyniosłością, przemawia do młodego Tarnowskiego: „Tym cię natenczas, hrabia mój, daruję.“ Ażeby ocenić stopień śmiałości i pewności siebie u młodego, bo lat 27 liczącego wtedy, poety, trzeba zestawić z jego słowami wyrażenia uniżonego szacunku, w jakich Rej, człowiek możny pod względem majątkowym, głośny już z pism, cieszący się uznaniem szerokiem i starszy o lat 25 od twórcy „Szachów“ — przemawia do tegoż samego Tarnowskiego, dedykując mu współcześnie niemal swój „Wizerunek“.

Ten sam ton dworskiej, swobodnej niezależności od przedmiotu i słuchaczów cechuje całą opowieść o losach królewny duńskiej i jej dwu wielbicieli. Z tego stanowiska poety i z takiego nastroju duchowego wypływają zalety artystyczne utworu i jego duchowe pokrewieństwo z opowieściami Aryosta, których wpływ niewątpliwie przyczynił się w części do wyboru przedmiotu i sposobu traktowania. Ta sama u obu poetów niezależność od przedmiotu,

taż obojętność, ironiczna nieco, na losy bohaterów i bohaterek, wreszcie ta sama prostota, swoboda, wytworność w opowiadaniu.

W siedm lat później w „Satyrze“ podnosi Kochanowski swój ton o kilka stopni i przemawia do społeczeństwa głosem surowego mentora, karcącego ostro, ze sztucznym nieco, a więc chłodnem, oburzeniem, wady stanu szlacheckiego. Brakuje tym napomnieniom ciepła, jakiem tchną przestrogi i nauki Modrzewskiego lub rozwlekłe moralizowania Reja. Chwilami poeta udaje prostaka, by jaskrawiej uwydatnić niższość umysłową tych, do których przemawia:

Nie uczyłem się w Lipsku ani w Pradze wiary
I nie wiem, jako każą w Jenewie u Fary,
Ja głupi tak rozumiem...

Ale potrafi też potrząsnąć mentorską rózgą nad głowami niesfornych:

Mało było nie lepiej o ten rząd przeklęty
Dać wam taką łacinę, ażby wam szła w pięty,
Co was jednak nie minie...

Nic dziwnego, że, poświęcając swój utwór królowi, czuje, iż jako nauczyciel społeczeństwa i przedstawiciel jego wyższych interesów, winien unikać wszelkiej uniżoności czy pochlebstwa. „Panie mój, to największy tytuł u swobodnych“ — przemawia z republikańską prostotą i dumą zarazem do Zygmunta Augusta. Poważnie, ale łagodniejszym tonem odzywa się poeta do współbraci w „Zgodzie“, którą kończy zachętą do porzucenia uporu samolubnego, a podjęcia pracy koło naprawy „pożytku spólnego“.

To czyńcie, a nie będziem wszyscy żałowali,
I ja, że radzę i wy, żeście mię słuchali.

Coraz szczersza i głębsza miłość dobra ogólnego, obok zawodów w ambitnych rojeniach lat młodzieńczych, doprowadza stopniowo poetę do ograniczenia swego indywidualizmu i zajęcia właściwszego i piękniejszego stanowiska względem społeczeństwa. Z chłodnego mentora wytworzy się poważny głosiciel sławy narodowej, zmierzający do stanowiska wieszcza, szukającego, nie chwały i popisu własnego, lecz szczęścia ogółu, któremu z serca płynącą siłą słowa, odsłoni złe nurtujące organizm społeczny i zarysuje widmo grożącego upadku. Wprawdzie w dedykacji „Proporca“ powtarza jeszcze Kochanowski popularne śród humanistów i schlebiające ich indywidualizmowi zdanie, że poeci są szafarzami sławy i bez ich łaski żaden hetman „sławy trwałej nie dostanie“; jednakże w samym utworze popędy indywidualizmu stłumił podniosły nastrój, wywołany przez uczucia i myśli, jakie akt hołdu pruskiego nasunął uczestniczącemu w uroczystościach poecie. Zwracając się przy końcu do króla, przemawia w sprawie unji nie od siebie, nie tonem chłodnego doradzcy, lecz w imieniu całego społeczeństwa, z gorącą prośbą i rozumną, głęboką radą:

Co tedy prawem inši, co nas przysięgami
Wiązali, ty nas sercem zepnij i myślami.

Gdy zamiast w skrzyni, zamkniemy unię w sercach ludzi, to

„jej ani mól ruszy, ani pleśń dosięże,
Ale synom od ojców przez ręce podana,
Nieogarnione lato przetrwa niestargana".

To kapłańskie oddanie własnej duszy służbie społecznej, kultowi podniosłych ideałów, wyniesie dopiero poetę nad poziom duchowy otoczenia, wyosobni go i osamotni zarazem. Dawniejsze ambitne pragnienia łatwiej mógł zadowolnić, nie trudno mu było zyskać poklask dowcipną fraszką, wytwornym wierszem miłosnym, wymowną satyrą. Już w 1564 r. zaraz po ogłoszeniu „Satyra", nieznany wielbiciel i naśladowca Kochanowskiego, autor „Proteusa", powiada o swoim mistrzu, że jest „kochanie wieku mego", że wyprzedził Reja z Trzycieskim

I uczonem spiewaniem tak się popisuje,
Że też przeszłemu wieku mało ustępuje.
. . . . . .
Niech już milczą Grekowie, niech już milczą Włoszy
I cóż mają milszego nad polskie rozkoszy?

Sam Rej, „hetman poetów", z zaszczytną bezstronnością złoży wymowny hołd młodszemu znacznie współzawodnikowi w „Zwierzyńcu".

Teraz jednak śpiewakowi „Muzy" nie wystarczają oklaski i pochwały. Ambicja jego do wyższych dąży celów. Władać sercami ludzi, dzielić się z niemi podniosłemi pragnieniami własnej duszy, oto marzenie poety. Przekonywa się niestety, że ogromna większość jego współbraci nie dzieli tych podniosłych aspiracji, nie szuka w poezji pokarmu dla duszy, lecz goni tylko za zyskiem materjalnym, za bogactwem. „Samotność, mędrców mistrzyni", uczy nas wielki poeta, stwierdziwszy na sobie tę prawdę.

Zarówno odosobnienie i osamotnienie w pustelni czarnoleskiej, po zgiełkliwem życiu dworskiem, jak i to donioślejsze jeszcze duchowe osamotnienie, wywołane przez rozwój charakteru, przez pracę ducha, doprowadzi poetę do tej dojrzałości moralnej i artystycznej, której wyrazem będą trzy tuż po sobie ogłoszone dzieła: „Odprawa", „Psałterz" i „Treny".

Choć w latach od 1572 do 1574 Kochanowski rzuci się znowu w wir życia politycznego, zarówno pod wpływem uczuć, dążeń obywatelskich, jako też i za podnietą rozbudzonych na nowo ambitnych aspiracji, jednakże z tego zetknięcia się z tłumem szlacheckim i kołami pańskiemi, wyniesie obok zawodów osobistych i upokorzeń, przeświadczenie o swem odosobnieniu moralnem i bogaty zasób doświadczenia i obserwacji nad stosunkami politycznemi i obyczajami.

W „Odprawie" przemawiać będzie do społeczeństwa, nie ambitny i chłodny mentor, powtarzający w udatnej formie podsunięte mu przez protektora przestrogi, lecz dojrzały moralnie obywatel, przejęty miłością dla społeczeństwa i obawą o jego przyszłość, ogarniający swym dojrzałym rozumem istotę i objawy

jego niemocy. Obywatel ten okazuje się zarazem i bystrym psychologiem, któremu znajomość duszy własnej dostarczyła klucza do poznania ludzi i sprężyn ich działania, i artystą zdolnym do wynalezienia i obmyślenia dla treści nagromadzonej w duszy form, któreby zarazem i przysłoniły zamiary poety, i ułatwiły mu swobodniejsze wypowiedzenie się, i nadały więcej powagi i piękności ideom wcielonym w postaciach dramatu, lub też wygłaszanym przez usta tych postaci.

Indywidualizm poety doszedł w swoim rozwoju do tego stopnia, że utracił już swe egotyczne znamiona, świadomie dobrowolnie poddał się wyższemu porządkowi rzeczy i w pracy dla ogólnego dobra widział najwyższe swoje własne zadanie i najwyższą też dostojność jednostki ludzkiej.

Przeto chciejmy wziąć przed się myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie;
Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

Ta „poczciwa sława“ której szuka poeta, to nie poklask podziwu dla talentu, rozumu, czynów rycerskich, lecz szacunek, cześć należna tym, którzy ofiarą własnych interesów, ograniczeniem swego samolubstwa lub ambicji przyłożą się do dobra ogólnego. Troja ginie, bo większość jej obywateli i przedstawicieli w rządzie kieruje się w postępowaniu własnemi interesami i pobudkami materjalnej natury, bo obywatele ci niezdolni są do przestrzegania i wymierzania sprawiedliwości. Wspaniały chór (drugi), rozwijający z siłą i powagą godną Skargi myśl, że sprawiedliwość jest podwaliną państwa, daje miarę podniosłości, jakiej dosięgnął indywidualizm poety.

Ta podniosłość moralna, ten spokój duszy, która poddała swe dążenia i uzdolnienia wyższym wymaganiom i celom ogólnym, nie jest jednak stałym stanem duchowym u Kochanowskiego. Przychodzą u niego, często może nawet, chwile niepokoju, słabości, zwątpienia, w których zatapia się w uczuciach własnych i szuka ulgi w ich wypowiadaniu. Indywidualizm poety przybiera wtedy formę subjektywizmu. W samej „Odprawie“, spotkamy taki wylew subjektywnych skarg na niedole życiowe w rozmowie Heleny z Panią starszą. W swym swobodnym przekładzie „Psałterza“ znajdzie poeta liczne sposobności do wypowiedzenia i ukrycia zarazem przed czytelnikiem swych skarg i smutków. W przekład ten włoży śpiewak czarnoleski tajemniczą cząstkę swej duszy i wleje tyle ciepła, siły, życia i świeżości, że pieśni, którym starożytne pochodzenie, uroczysta forma przekładu łacińskiego i rytualne stosowanie utrudniało bliższy, poufalszy stosunek z duszą nowożytną, trafią odrazu do serc ludzkich i zjednają poecie najgorętsze uznanie.

Jednym z rysów indywidualizmu Kochanowskiego był stoicyzm, a raczej uwielbienie dla zasad stoickich, zaczerpniętych z poezji Horacego i pism Seneki.

Poeta uważał się za wyznawcę tych zasad i głosił je często w swych utworach, choć stosować je we własnych czynnościach nie był zdolny zapewne.

Niejednokrotnie, w różnej formie głosi on zasadę stoicką, że „na szczęście wszelakie serce ma być jednakie", echo horacjuszowskiego „Nil admirari", mimo to cieszy się i cierpi, spodziewa i rozpacza tak dobrze a nawet silniej i żywiej — jak każdy zwykły śmiertelnik. Gdyby nie cierpiał z powodu, iż nikt nie chce „cieszyć serca" jego pieśniami, że „muzy" jego są „wzgardzone" przez społeczeństwo, gdyby w cierpieniach tych i zawodach nie pocieszał się nadzieją sławy pośmiertnej, uznania przez „wiek późniejszy", gdyby nie upajał się myślą, że on pierwszy wprowadził poezję polską na wyżyny artyzmu i odważył się stanąć do współzawodnictwa z „poety co znakomitszymi", nie otrzymalibyśmy od niego najsympatyczniejszych, najżywiej do naszej duszy przemawiających utworów.

Gdy w „Psałterzu", niektórych „Fraszkach" i „Pieśniach" poeta odsłania nam cząstki tylko swej duszy, to w „Trenach" podzieli się z nami zbolały ojciec tem, co najpiękniejszego w swem sercu posiadał. Ze szczerością i prostotą, cechującą podniosłe dusze, odmaluje nam tu swój dramat wewnętrzny, kolizję indywidualnych, najszlachetniejszych pragnień i nadziei z nieubłaganemi wyrokami najwyższej, niepojętej dla nas sprawiedliwości.

Wyrzekłszy się pogoni za godnościami, złotem, uciechami, sławą, szukając szczęścia w pracy pożytecznej i cichem życiu rodzinnem, mniemał cichy ziemianin czarnoleski, iż uczynił już zadość najwyższym wymaganiom moralnym i zasłużył sobie na łaskę Nieba.

Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie:
A zazdrość i złe przygody
Nie miały mi wco dać szkody.
Lecz Pan, który gdzie tknąć widzi,
A z przestrogi ludzkiej szydzi,
Zadał mi raz tym znaczniejszy,
Czymem już był bezpieczniejszy.
A rozum, który w swobodzie
Umiał mówić o przygodzie,
Dziś ledwie sam wie o sobie.
. . . . . .
Bo mając zranioną duszę
Rad i nierad płakać muszę.

Przebieg tego dramatu duchowego przedstawia ciekawą analogję z dziejami podobnej kolizji, którą wielki wieszcz naszego wieku w swej nieśmiertelnej „Improwizacji" opowiada ustami Konrada.

Bohater „Dziadów" również zapanował nad swemi indywidualnemi pragnieniami, nie rości do Niebios pretensji o swe zawody i cierpienia jednostkowe.

Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście,
Na swojej piersi ja skrwawiłem pięście;
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Jak Konrad nie może się pogodzić z obojętnością wyższych potęg na krzywdy dziejące się na ziemi i, nie zdoławszy poruszyć milczących przestworów nieskończoności rozpaczliwem wołaniem o ratunek, mści się bezsilnie konającem na jego ustach bluźnierstwem, — podobnież i zrozpaczony ojciec Urszuli, z mniejszą siłą i w mniejszej sprawie, rzuca Niebiosom wyrzut niesprawiedliwości:

O, prawo krzywdy pełne!

i w łagodniejszej nieco formie powtarza bluźnierstwa Konrada, wołając:

Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy.
. . . . . .
Kogo kiedy pobożność jego ratowała,
Kogo dobroć przypadku złego uchowała?

Zarówno śpiewak czarnoleski jak i wieszcz litewski walkę toczącą się w głębiach własnych dusz kończą aktem pokornego poddania się Bogu.

Panie! czemże ja jestem przed Twojem obliczem?
Prochem i niczem!

woła leżący krzyżem ks. Piotr, streszczając niejako modlitwę, która przed 300 laty wypłynęła z serca nieszczęśliwego ojca, szukającego oparcia w miłosierdziu Boga:

Pierwej świat zaginie,
Niż Ty wzgardzisz pokornym,
Chociaż był długo przeciw Tobie spornym.
Wielkie przed Tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszystkie złości:
Użyj dziś Panie nademną litości.

Kiedy u Mickiewicza osiągnięta tą drogą harmonja wewnętrzna pozwoli mu rozwinąć w całej pełni działalność artystyczną i wznieść się na te niedościgłe wyżyny, z których będzie mógł z boskim spokojem, pogodą i miłością ogarnąć całość objawów życia ludzkiego i przyrody na blizkim i drogim mu obszarze i stworzyć w „Panu Tadeuszu“ niedoścignione arcydzieło poezji polskiej, to wyczerpany fizycznie i zobojętniały dla życia śpiewak „Trenów“ pogrąży się w cichej rezygnacji i oczekiwać będzie nie strasznej mu już odtąd śmierci.

Życie przedstawia się mu teraz jako niebezpieczna żegluga, śród której na niebacznego człeka czyhają rozliczne zasadzki i niebezpieczeństwa.

Tu siedzi złotem cześć koronowana,
Tu lekkim piórem sława przyodziana,
Tu chciwość nieszczęśliwa
Zbiera, a nie używa;

Tu luba rozkosz a zbytek wyrzutny,
Pod nimi nędza prędka i żal smutny;
Tamże i krzywda i zazdrość przeklęta.
. . . . . .
Więc jeśli człowiek jednę skałę minie,
Wnet na to miejsce na inszą napłynie.

W Bogu jedynie widzi poeta „port zbawienny“ i „wieczną światłość“, która może go przeprowadzić przez „morza chytrego zdrady“ i zapewnić mu odpoczynek „po tem żeglowaniu w długim pokoju i bezpiecznem spaniu“.

Jest to ostatni moment w rozwoju indywidualizmu poety. Zacząwszy od przeciwstawienia się swemu otoczeniu, by się wznieść ponad nie wyższością umysłu i artyzmu, wzbił się następnie i wyosobnił podniosłością uczuć i dążeń, by zbliżyć się i zbratać znowu z ogółem, na podstawie sympatji i troski o jego dobro; wreszcie, straciwszy nadzieję co do skuteczności swych usiłowań, doznawszy, po tylu różnorodnych rozczarowaniach, najcięższego ze wszystkich: zawodu w nadziejach opartych na przyszłości ukochanego dziecka, szuka ulgi i szczęścia w zapomnieniu, w rozpłynięciu się czy zatopieniu swego „ja“ w Bogu.

Każdy, komu nieobce są koleje życia wybitniejszych poetów naszych wieku XIX, z łatwością odnajdzie liczne analogje spokrewniające ich duchowo z tym pierwszym mistrzem poezji polskiej. Ta wspólność momentów rozwoju duchowego nadaje postaci Kochanowskiego piętno nowożytne i ogólno-ludzkie zarazem, artyzm zaś jego zawdzięcza swe znamiona charakterystyczne przeważnie rozwojowi indywidualizmu, złączonemu z procesem moralnym, dostarczającym osnowy dla większości utworów poety.

Warszawa. *Bronisław Chlebowski.*

Z dziejów postępu i reakcji u nas.

Wznoszenie się i opadanie nurtu postępowego jest zjawiskiem społecznem, powtarzającem się często i z niejaką prawidłowością; zauważyć je można we wszystkich czasach i u wszystkich narodów, ale najwyraziściej podobno w naszem stuleciu, które już kilka podobnych przypływów i odpływów doświadczyło.

Rzecz naturalna, że tożsamości w powtarzaniu się poszczególnych momentów w jednym lub drugim wypadku niema, lecz są tylko bliższe lub dalsze analogje, wypływające zarówno z zasadniczych właściwości umysłu ludzkiego jak i z istoty stosunków społecznych.

Mie mam zamiaru wchodzić tutaj w objaśnienie tego faktu, chciałem go tylko zaznaczyć ze względu na wciąż ponawiające się głosy o „powrotnej fali“ dzisiejszej, mającej jakoby spłókać warstwy „pozytywizmu“ i „realizmu“; chciałem równocześnie stwierdzić, że mniemania takie częściową tylko mają słuszność i że postęp rzeczywisty, istotny nie ucierpi na pojawieniu się „fali powrotnej“, lecz się rozszerzyć tylko i pogłębić może.

Nadzieję taką wypowiadam tym razem, nie na podstawie teoretycznej, ale na przykładzie, z dziejów niedawnych naszej własnej umysłowości wziętym.

Wiadomo, że prąd demokratyczno-postępowy bardzo silnie się u nas rozwijał pomiędzy rokiem 1831 a 1849. Najważniejsze jego przejawy odnaleźć można wśród ówczesnej emigracji polskiej i w W. Ks. Poznańskiem; mniej doniosłe, z powodu okoliczności zewnętrznych, bardzo jednak znamienne, spotykamy w Galicji, w Królestwie, na Litwie i Rusi.

Zajmą nas obecnie te ostatnie prowincje. Można śmiało powiedzieć, że bezwzględna większość inteligencji ówczesnej stała tam po stronie demokracji i postępu. Położenie ludu budziło najżywsze współczucie; potrzeba wyzwolenia go z jarzma poddaństwa uznawana była powszechnie. Zapewne, że najbliżej w tej sprawie zainteresowani, t. j. szlachta, nie radzi byli pozbyć się przywileju tak dla nich korzystnego, lecz ostatecznie pod wpływem szlachetnego zapału daliby się unieść wielkiej myśli dźwignięcia mas z niedoli, gdyby się znalazły środki jej urzeczywistnienia.

Obok sprawy najważniejszej, sprawy ludu, dwie jeszcze inne wchodziły

wtedy do programu postępowców: niezależność myśli, utożsamiona z idealistyczną filozofją niemiecką, i emancypacja kobiet. Te dwie drugie sprawy mniej z natury rzeczy mogły liczyć na poparcie znaczniejszej liczby osób, gdyż albo nie budziły interesu z powodu niedostatecznego przygotowania umysłowego, albo też przedstawiały się jako groźne przeciwniczki zasad religijnych i obyczaju domowego.

Ponieważ jednak filozofja niezależna bynajmniej nie występowała wrogo przeciw dogmatom chrześcijańskim, lecz tłómacząc je zazwyczaj symbolicznie, piorunowała jedynie przeciw bezdusznemu formalizmowi oraz przeciw uroszczeniom hierarchji; ponieważ dążności emancypacyjne kobiet w swoich najszlachetniejszych przedstawicielkach nie zamierzały wcale rwać węzłów rodzinnych: przeto wśród większości, lubo nie okazywano zapału względem tych spraw, nie miano ich ostatecznie za coś złego i przewrotnego.

To też poglądy demokratyczno-postępowe mogły być dość długo wypowiadane w formie umiarkowanej, nie budząc opozycji.

Stan rzeczy zaczął się zmieniać pod koniec roku 1841, t. j. od czasu kiedy *Tygodnik petersburski*, pismo najbardziej rozpowszechnione na Litwie i Rusi, zaczął ulegać wpływowi zaciętego konserwatysty i jednego z pierwszych głosicieli lojalizmu państwowego, hr. Henryka Rzewuskiego. Odtąd *Tygodnik petersburski* stał się rodzajem „okopów św. Trójcy", w których hr. Henryk naczelne objął dowództwo, mając ku pomocy redaktora, któremu szło głównie o prenumeratę, Józefa Emanuela Przecławskiego, oraz trzech innych spółpracowników, co wtedy cieszyli się ogromnem uznaniem: księdza Ignacego Hołowińskiego, Michała Grabowskiego i Ludwika Sztyrmera.

Wygłaszane w *Tygodniku* opinje, lekceważące nietylko zasady demokratyczne, ale częstokroć także poczucie narodowe, wywoływały oburzenie wśród gorącej młodzieży i pobudzały do protestu. Z początku młodzież ta, licząc na ciągle reklamowaną bezstronność redaktora, nadsyłała swe protesty do *Tygodnika*, gdzie to i owo rzeczywiście znalazło pomieszczenie, czasem z jakimś sarkastycznym dopiskiem. Gdy jednak śmielej chciano wystąpić, „bezstronność" Przecławskiego okazała się urojeniem. Pomyślano więc o założeniu organu własnego.

Inicjatorem był tu młodzieniec dość zamożny, rodem z Ukrainy, Zenon Fisz, który złączywszy się z dwoma innymi: Jakóbem Jurkiewiczem i Antonim Marcinkowskim, ogłosił w roku 1846 w Petersburgu *Gwiazdę*. Przedmiotem głównego ataku młodych stał się, naturalnie, hr. Henryk. Charakterystyczną jest rzeczą, że młodzi musieli przybrać sobie pseudonimy i pod ich zasłoną stanęli do walki, „pentarchia" bowiem *Tygodnikowa* była silna i wpływowa. Jakób Jurkiewicz występował jako Benedykt Dołęga, Antoni Marcinkowski jako Albert Gryf; tylko Zenon Fisz pisywał pod własnem nazwiskiem, dopiero później przybrał pseudonim Tadeusza Padalicy. Następne tomy *Gwiazdy* wydawano w Kijowie w latach 1847, 1848 i 1849. — Przebywał tu stale Benedykt Dołęga, który też w polemice z wstecznymi poglądami *Tygodnika* był najbezwzględniejszym. Znacznego talentu pisarskiego nie posiadał;

lubował się w wyrażeniach dosadnych i jaskrawych; osobiste przycinki większą u niego odgrywały rolę, aniżeli rozumowanie: namiętnym był i dokuczliwym; *Gwiazdę* uważał niemal za twór swój własny i w przechwałkach pod tym względem się nie hamował. Zdolniejsi od niego: Tadeusz Padalica i Albert Gryf docierali bardziej do wnętrza, pozostawiając ostrzeliwanie Benedyktowi.

Całego przebiegu polemiki „Gwiaździarzy" z pentarchią „Tygodnikową" kreślić tu nie zamierzam; rzecz ta wymagałaby ram obszerniejszych; na razie, korzystając z materjału rękopiśmiennego, t. j. z listów Benedykta Dołęgi do młodego natenczas a gorącego demokraty, Adama Pługa (Antoniego Pietkiewicza), opowiem tylko jej epilog.

Powodzenie *Gwiazdy* było wielkie; młodzież garnęła się do niej ochoczo; prenumerata szła raźno. W początkach roku 1850 t. j. wówczas, gdy wskutek stłumienia ruchów rewolucyjnych zaczynała się w Europie całej silna reakcja polityczno-religijna, przygotowywał Dołęga tom 5-ty *Gwiazdy*, a prócz tego zebrał materjały na dwa tomy *Czytelni*, mającej zawierać wyborowe powieści.

W Wilnie w tymże czasie ruchliwy, choć słabo ukształcony Romuald Podbereski wydawał swój *Pamiętnik naukowo-literacki*, który został przez Kraszewskiego przezwany „nieukowo-literackim". Miał on wszakże utalentowanych spółpracowników, a między innymi głośną Zofię z Brzozówki (Klimańską). Wreszcie Aleksander Groza ze swojego zakątka pragnął wydać pisemko zbiorowe p. t. *Grosz wdowi*, i rozesłał listy z prośbą o spółpracownictwo.

Było jeszcze wtedy wśród grona demokratycznego dużo otuchy; krzątano się na wszystkie strony, by podtrzymać ruch umysłowy, chęć do czytania i wsączać w dusze spółobywateli promienie światła i ciepła.

Zaczynały się już jednak ukazywać niejakie dowody wpływów doby reakcyjnej, które zaniepokoiły Benedykta Dołęgę, czujnego wielce na drgnienia dążeń społecznych. Oto, co pisał do Pługa 22 lutego 1850 roku, pracującego wtedy nad swym „Apostołem"*):

„Romuald Podbereski przysłał mi do *Gwiazdy* jeden szkic, którego parę rozdziałów już wydrukował w swoim *Pamiętniku*, oświadczając, że go umieścić nie może w całości, bo jest zbyt niezależnem odbiciem miejscowości, co mogłoby szokować wiele osób, z którymi redakcja *Pamiętnika* powinna być ostrożną (!!!). Jakże się Panu zdaje? Co wart taki wydawca, który siłą swojego głupiego widzimisię chciałby zniweczyć najszlachetniejsze prace? u którego względy osobiste, czysto materjalne, więcej znaczą niż dobro ogółu? który pismo pełne żywotnego interesu, rzeczą i stylem zalecające się, a do tego przez miejscową cenzurę już aprobowane, odrzuca, a odrzuca dlatego, że dotknięte niem zostały pewne jaśnie wielmożne figury, od których on ze swoim *Pamiętnikiem* więcej niż od poczciwego ogółu zależeć musi? Dałem mu porządne za to cięgi i, nie koniec na tem (bo to mię do *non plus ultra* oburzyło), dam mu jeszcze w drukującej się *Gwiaździe* stosowną nauczkę.

*) Pomysł do „Apostoła" po części wszedł do „Bakałarza", w których bohater swą działalność apostolską miał rozwinąć w drugiej serji tej powieści.

Każde ognisko społecznego umnictwa powinno, o ile można, odznaczać się duchem niezależności od prywaty i osobistych kierującego niem widoków; pocóżby więc z takim zapasem biernoty i nałogów serwilizmu piąć się na reprezentanta narodowej oświaty? — I biedna Litwa, z Jordanem[1]) w ręku, przyzwala na takie bezprawia w swojej literackiej dziedzinie!... Wrażenie to zanadto jeszcze świeże, abym mógł nie podzielić się niem z tobą, zacny panie Antoni, którego duch samodzielny tak silnie i odrazu sprzymierzył się ze mną i z moją *Gwiazdą;* myślę też, że co mię na redaktorskim stołku zajątrzyło, to dla nikogo z moich współpracowników obojętnem być nie może."

Niebawem wszakże z zupełnie innej strony powiał prąd reakcyjny na *Gwiazdę* i jego redaktora; a niebezpieczeństwo, zapowiedziane przezeń, okazało się o wiele groźniejszem. Benedykt Dołęga przypisywał ten cios koterji Tygodnikowej i tak pisał do Pługa 31 maja 1850 roku:

„A doprawdy pora już położyć kres twojej, drogi panie Antoni, niespokojności o mnie i moją redakcję. *Gwiazda* stała się kością w gardle naszych przeciwników; niedziw przeto, że wysilili oni cały swój jezuicki rozum, aby to poczciwe światło wystawić w oczach rządu jako zaród najzgubniejszych zasad, intencji i dążności. Zaatakowano mię jednocześnie i z góry i z dołu; tu znakomity estetyk[2]) ze swoim JW. przyjacielem Konstantym Świdzińskim obsedował niezmordowanie władzę tysiącznemi skargami na moją publikację, nawet z rąk prawie cenzora wyrywał przepuszczone już przez niego artykuły, tłomaczył je na rosyjski język po swojemu, t. j. po jezuicku; a tam przesławny trjumwirat[3]) po otrzymaniu na swe żałoby odpowiedzi głównego naszego zwierzchnika, że w jego zarządzie nic się nie dzieje bez prawa, wziął się do komentowania *Gwiazdy* stosownie do swoich celów i gwałtownej potrzeby, skutkiem czego w trzech potężnych zeszytach nagromadzone zostały zarzuty na 2, 3 i 4 nr. *Gwiazdy*; te zarzuty pod tytułem *Zamieczanija* zakomunikowane zostały oddzielnie mnie i cenzorowi[4]), *po Wysoczajszemu powieleniju,* dla objaśnienia. Włosy mi na głowie powstały, gdym w kancelarji kuratora przebiegł ten stek najpodlejszych wniosków o mnie i mojej *Gwiaździe.* Wyobraź sobie, że mię wystawiono jako propagującego komunizm, jako dążącego do obalenia istniejącego porządku w kraju, chcącego reformować religję itd. itd. W dzisiejsze czasy nie masz człowieka cokolwiek oświeconego, któryby się nie śmiał ze średniowiecznych głupstw; otóż nasi antagoniści postawili na swojem, że nas poddano inkwizycji. Rozumie się, że proste objaśnienie rzeczy dostateczne było do zaspokojenia miejscowej zwierzchności. — Pytanie zachodzi teraz: komu ci panowie najlepiej usłużyli swoim nikczemnym postępkiem?

[1]) „Jordan" jest to poemat Antoniego Sowy (Edwarda Żeligowskiego), wymierzony przeciwko zacofaniu, zepsuciu, bezmyślności warstwy szlacheckiej na Litwie, a przeniknięty żywo zasadami demokratycznemi.

[2]) Michał Grabowski.

[3]) Przecławski, Rzewuski, Hołowiński.

[4]) Był nim w Kijowie profesor Orest Nowicki.

Bezwątpienia — sobie, bo odtąd nikt już o ich podłości wątpić nie będzie... Tymczasem bądź spokojny, jak ja jestem po zredagowaniu objaśnienia w dniu 9 kwietnia. Odtąd oddałem się zupełnie muzycznej zabawie; codziennie prawie w towarzystwie amatorów grywam kwartety itd. — *Czytelni* już drugi tom w tej chwili drukuje się. Z *Gwiazdą*, którą do połowy mam wydrukowaną, wstrzymałem się do czasu. Najsolenniej proszę o powtórne nadesłanie szkicu „Domowego Nauczyciela“, bo ten egzemplarz zrabowany został, z kilku innymi artykułami, przez bandytów estetyków. Przysyłaj, co masz, już mię w tej chwili zdanych materjałów w niemałej liczbie i niepośledniej wartości zajmuje układ nowego zbiorku p. t. „Chaos“, do którego, ponieważ światło *Gwiazdy* zbyt razi w oczy naszych puszczyków, zamyślam zstąpić, jako zawierającego w sobie wszystkie elementa potrzebne do utworzenia porządnego świata“.

Spokój, o którym pisał Benedykt Dołęga, nie trwał długo; nadzieje wydawnicze nie ziściły się; koterja Tygodnikowa sprawy nie zaspała. Oto stan rzeczy, jak je przedstawiał Dołęga w liście z 4/16 października 1850 r.:

„Powiedziano już w bajce p. t. „Fortel Sowy“,[1]) na jakie sposoby brali się pp. Tygodnikarze, aby zagasić naszą *Gwiazdę*. A ponieważ ktoś ich przekonać potrafił, że równie zmrużeniem oczu jak i gromadnym wrzaskiem upragnionego przez nich skutku osiągnąć niepodobna; więc koleją najrozmaitszych zakusów i zacieków przyszli nareszcie do tego, że wycisnęli z siebie czarniejszą od atramentu esencję i użyli jej na zmazanie nieznośnego dla nich tytułu. Tak postąpili ci panowie z *Gwiazdą*. Podobni w tem do jednego biednego idjoty, który, uważając własny swój cień za największego swego wroga, koleją najrozmaitszych praktyk przyszedł nakoniec do tego, że rzucił się z głową w otchłań kloaków: *finis coronat opus*. Któżby tu jeszcze śmiał wątpić o zwycięztwie?!... Nasz cenzor, skutkiem zaszłej żałoby[2]) powoływany do Petersburga, objawił za powrotem swoim, że *Gwiazda* wychodzić dalej nie może, a redakcja Dołęgi, jako straszydło w literackim świecie, cierpianą być nie powinna; nadto, że odtąd potrzeba dać pokój filozofji, uważając ją na równi z zakazanym towarem, dla arystokratów mieć największe uszanowanie, a ludzi, największą korzyść społeczeństwu przynoszących, krzewiących zdrowe o rzeczach wyobrażenia, podtrzymujących religję i oświatę cnotliwymi czyny, jednem słowem jezuitów, broń Chryste, dotykać żądłem krytyki. Tak. Za to poczciwy nasz pan Orest umocniony został lepiej na swej posadzie, bo odtąd w miejsce 400 pobierać zaczął 2000 rs. — Ulegając przeto okolicznościom, napisałem akt zrzeczenia się przezemnie redakcji i ten wraz z artykułem „Koniec sporu o granicę“, gdzie są zacytowane dwa listy Kostrowca[3]) do M. Grabowskiego, w nader korzystnem świetle ich koterję przedstawiające, posłałem do *Pa-*

[1]) Bajka ta była drukowana w 2 nrze *Gwiazdy* str. 323; treścią swoją wymierzona była przeciw *Tygodnikowi petersburskiemu*, który milczeniem postanowił zabić przeciwniczkę obskurantyzmu.

[2]) Skargi.

[3]) Jest to pseudonim ks. Ignacego Hołowińskiego.

miętnika Podbereskiego, bo potrzeba, aby powszechnie odtąd sądzono, że wraz z imieniem Dołęgi wszczęta przez niego opozycja znikła, przepadła na wieki; potrzeba, mówię, aby pp. Tygodnikarze najmocniej byli przekonani, że kompletne nad nami odnieśli zwycięstwo. Tymczasem co do planu dalszej redakcji naszej postanowiłem, co następuje: *Gwiazda* na nowym chrzcie przyjmuje imię *Gołąb* — będzie to pismo w tymże duchu, ale, rozumie się, wolne zupełnie od antyjezuickiej polemiki, *Czytelnię* zaś zastąpi *Papuga europejska* jako magazyn wizerunków obyczajowych. Redaktorem *Gołębia* będzie Grzegorz Lubecki, a *Papugi* Napoleon Klimański, mąż znanej Zofii z B. Oba te zbiory wychodzić będą w Kijowie u Zawadzkiego, który w swój zarząd przyjął tutejszą uniwersytecką typografię i wybornie ją uorganizował. — Poleciłem Klimańskiemu, gruntując się na braterstwie myśli i zasad, jakie między nami zachodzi, aby akt wspomnianego recesu mego uzupełnił odezwą swoją do publiczności w tym sensie, że, mając sobie zakomunikowany spis prenumeratorów na numer 5 *Gwiazdy*, jako aktualny jego dłużnik *(sic!)* postanowił zastąpić go środkami przedsięwziętej przez siebie redakcji; i tak wszyscy ci, którzy wnieśli do kasy Dołęgi na numer 5 *Gwiazdy* po 1 rs. 15 k., otrzymają w takiejże cenie, takiegoż formatu i objętości książkę p. t. *Papuga europejska*. Pierwszy tom, zawierający w sobie: 1-o „Szlachcic wołyński“, opowiadanie w 2 częściach Chorążego Panoramy; 2-o „Syn przyjęty“, obrazek Jana Z.; 3-o „Gawędka o szarej godzinie“ Zofii z Brzozówki; 4-o „Guwernerowie i guwernantki“, *dictum acerbum* bakałarza A. B. — Drugi tom *Papugi* także zredagowałem i obejmie w sobie 1-o „Notatki kobiece“ Zofii z Brzozówki; 2-o „Samojedy salonowe“ tejże; 3-o „Złodziej kucharz i jeszcze ktoś“, niebajka Zbigniewa Wilda. — Wszystko to już w ręku Klimańskiego, który, jako redaktor odpowiedzialny, ma odtąd do czynienia z miejscową wileńską cenzurą. Nie potrzebuję cię informować, kochany panie Antoni, że artykuły, jakie masz mi udzielać do *Gołębia*, powinny oddychać uczuciem pokoju, słodyczy i bratniej miłości, których właśnie ten ptaszek jest emblematem. Mam już właśnie tęgi plik podobnych materjałów i teraz, do zredagowania przystępując, proszę cię o przyśpieszenie duchowej kontrybucji z twojej teki.“

Formalny zakaz wydawania nadal *Gwiazdy* został wydany w końcu listopada 1850 roku, jak o tem zawiadamia Pługa list Dołęgi z 10 stycznia 1851 roku:

„W roku upłynionym już nie literacką, ale prosto policyjną, miałem rozprawę z pp. Tygodnikarzami, którzy mnie, wydawcę *Gwiazdy*, usiłowali wystawić przed sądem jako człowieka najzgubniejszych zasad, jako opętanego szałem demagogji, propagującego komunizm, kuszącego się o reformy w najświętszych instytucjach — słowem: dążącego do wywrócenia wszelkiego w kraju porządku. Ty, któremu istota, duch i cel mojej polemicznej publikacji najlepiej są wiadome, sądzić możesz o wrażeniu, jakie sprawić na mnie musiały zarzuty tego rodzaju, zarzuty dane mi, za Najwyższym rozkazem, do odpowiedzi aż w trzech sporych zeszytach! A chociaż szczere moje objaśnienie redaktorskie

wykryło ich bezzasadność we wszystkich względach, szczególniej zaś we względzie tej szermierki osobistej, którąś i sam mi jako najsłabszą stronę mojej opozycji wystawiał, wyrokiem wszakże głównego zarządu cenzury, zakomunikowanym mi przez naczelnika gubernji w końcu listopada zeszłego roku, postanowiono: *a)* wydawcy pisma zbiorowego *Gwiazda* uczynić surową wymówkę z zastrzeżeniem, żeby na przyszłość nie śmiał w przedstawianych do cenzury artykułach swoich umieszczać nic niezgodnego z nauką wiary chrześcijańskiej wogóle, a w szczególności z nauką kościoła prawosławnego; *b)* wydawnictwo *Gwiazda*, któremu bez wyjednania według ustanowionego porządku pozwolenia, nadano formę perjodyczną, zamknąć.[1]) — Takim więc wypadkiem policyjnej walki pracowite zabiegi naszych antagonistów kompletnie uwieńczone zostały, a nasze całoroczne trudy redaktorskie spełznąć musiały na niczem.

„Zdając o tem sprawę tobie, zacny panie Antoni, donoszę razem, że ognisko literackie, raz przezemnie rozniecone w Kijowie, pozostaje nadal w swej mocy i że awizacja, następnie ogłosić się mająca w *Pamiętniku* Podbereskiego, dostatecznie ciebie zainformuje o treści, formie i nazwisku tego obroku duchowego, który przeznaczyłem na zaspokojenie tych wszystkich, co zaprenumerować raczyli fatalnie poroniony numer 5 *Gwiazdy*. Nowej publikacji mojej, jak tobie już wiadomo, będą dwa rodzaje, t. j. belletrystyczny w postaci *Papugi* i naukowo-literacki w postaci *Gołębia*; pierwszy z tych ptaków już się zupełnie przygotował, a drugi w tej chwili jeszcze gotuje się do wylotu. Podzielałbym całem sercem twoją boleść, panie Antoni, gdyby istotnie cenzura okazała się niełaskawą na twój artykuł o „Guwernerach“; wszakże wiadomość, która cię nabawiła niepokoju, powinieneś uważać za najfałszywszą, bowiem w tym dniu (7 grudnia), w którym pisałeś swój list do mnie, *Papuga* jeszcze zostawała w mojem ręku... Lewiecki wyjechał na kilka tygodni do Zofii z Brzozówki i obiecuje przybyć do Kijowa; mamy więc teraz do czynienia w Wacławem Przybylskim, jako aktualnym redaktorem *Wiązki;* od niego wiem, że już otrzymał pierwszą połowę twego „Marcina“ i otrzymałem także podziękowanie za artykuł Juljana Ostoi, wykazujący nikczemność rozbioru „Myślini“ [2]) przez Kraszewskiego. Nowy ten redaktor, nauczyciel szkoły rabinów, najchlubniej mi polecony został i przez Lewieckiego i przez Zofię; własna też odezwa jego najlepsze zapowiada chęci i usposobienie; rad jestem przeto, że czynny bierze udział w tej nowej publikacji. Ja gotów zawsze wspierać każde poczciwe przedsięwzięcie; jakoż tym razem zasiliłem pana Wacława jako młodszego brata i radą najżyczliwszą i dobrym plikiem stosownych materjałów. Dołączyłem także dla Podbereskiego masę rozmaitości wierszem i prozą, ogółem 24 sztuk, w liczbie których dwa Gryfa i trzy artykuły Habdanka.[3]) Teka moja przez to najmniej nie zubożała: owszem, *Gołąb*

[1]) Cały ten ustęp poczynając od *a)* w liście Dołęgi przytoczony po rosyjsku.

[2]) „Myślini“ jest to wykład logiki przez Trentowskiego.

[3]) Wandalin Habdank drukował w 4 nrze *Gwiazdy* swoje „Listy konwersacyjne“.

ma jeszcze do wyboru z lepszego ziarna. Ramy mojej belletrystycznej publikacji tak są przestronne, że potrafią objąć w sobie „Apostoła“, choćbyś go i do 10 tomów rozciągnął; darmo więc chcesz mię nastraszyć, panie Antoni, swojemi dziełami *in folio*. Słowo się rzekło, *tandem* wydawcą „Apostoła“ powinien być i będzie nie kto inny, jeno najżyczliwszy twój sługa.“

Nie spełniło się to życzenie, jak nie przyszły do skutku projektowane przez Dołęgę lub Wacława Przybylskiego wydawnictwa; ani *Papuga europejska*, ani *Gołąb*, ani *Wiązka* nie weszły na półki księgarskie.

Prąd reakcyjny stawał się coraz silniejszym, demokracja coraz bardziej podejrzaną. Policja w zimie roku 1851 odbywała ścisłe rewizje po księgarniach w Kijowie, Żytomierzu, Wilnie, Grodnie. Skonfiskowano „Pamiętnik“ Podbereskiego, „Jordana“ Antoniego Sowy, „Grosz wdowi“ Aleksandra Grozy, „Pisma Protasza“, trzeci tom „Bigosu hultajskiego“ Tytusa Szczeniowskiego.

Sowę wywieziono do Ołonecka, Jastrzębca (Połubińskiego) do Wiatki, a Zofię z Brzozówki do Orenburga. Przepisy cenzuralne „posrożały nad wszelki wyraz“.

A tymczasem Rzewuski, przeniósłszy się do Warszawy, założył tu w 1851 roku gazetę polityczną na wielką skalę p. t. *Dziennik Warszawski*, zyskał znaczną liczbę prenumeratorów i zaczął bez ogródki rozwijać w artykule „Religja i cywilizacja“ swoje wstrętne paradoksy. Zuchwalstwo to zostało należycie skarcone; abonenci zaczęli odpadać; do współzawodnictwa wystąpiła *Gazeta Warszawska*, mając zręcznego i zdolnego redaktora w osobie Antoniego Lesznowskiego. Rzewuski, chcąc ratować swe wydawnictwo, powołał do redakcji pisarzy popularnych: Augusta Wilkońskiego, Juliana Bartoszewicza, Wacława Szymanowskiego; co więcej, starał się pozyskać dla *Dziennika* dawnych przeciwników swoich: Zenona Fisza, Antoniego Marcinkowskiego i Jakóba Jurkiewicza. I nie zawiódł się w swojej rachubie. Znękani reakcją, widząc wielkie wpływy Rzewuskiego, a nie mając gdzie im przeciwdziałać, powoli zaczęli odrzucać swe niechęci, modyfikować swe przekonania i przystawać do *Dziennika*.

Tę ciekawą fazę w przemianie dawnych opozycjonistów nieźle malują listy Dołęgi do Pługa z roku 1852. Namawiał w nich swego korespondenta do współpracownictwa w dzienniku Rzewuskiego.

Dnia 20 czerwca pisał Dołęga jakby preludja do sprawy, którą miał zagaić. Widocznie Pług wyrażał swe wątpliwości, a pan Benedykt starał się je rozproszyć, powiadając:

„Zbliża się, lecz jeszcze nie nadeszła pora do wznowienia z tobą, zacny panie Antoni, korespondencji. Tuszę, że niezadługo gruby obłok twojego o mnie powątpiewania pierzchnie za ukazaniem się promiennego owocu niemiłego tobie milczenia. Dlatego, nie odpowiadając zgoła na twe literacko-przyjacielskie zarzuty, dzisiaj tylko zapytuję ciebie, jaką masz pewność, że twój jakkolwiek cichy, pobożny i nikogo nie obrażający *Kwestarz*[1]) będzie

[1]) Miało to być pismo zbiorowe pod redakcją A. Pługa.

istotą ruszającą się, dotykalną, a nie marą tylko?? Do jednego celu mogą prowadzić różne drogi: to prawda; ale dziś, gdy najsurowsze prawidła zamknęły naszą prasę w zbyt ciasne granice, gdy, prócz wyraźnych literalnych ustne mają polecenia osoby zawiadujące cenzurą, polecenia nie pozwalać drukować w polskim języku żadnych pism zbiorowych, chociażby nawet te zbiory były redagowane z artykułów dawniej już drukowanych, — dziś, powiadam ci, dowolnie w przedsięwzięciach literackich postępować nam niepodobna. Otóż śmiem cię, kochany panie Antoni, namawiać, abyś, jeżeli nie z innych pobudek, to z miłości ku swemu *Kwestarzowi*, nie wzdrygał się pójść utorowaną przezemnie drogą, abyś, mówię, na wzór Dołęgi, Gryfa, Fisza, Konopackiego[1]) i Kotkowskiego[2]) stał się gorliwym i niejako uprzywilejowanym korespondentem *Dziennika Warszawskiego*. Rzewuski to nie Mikros[3]) ani Kefaliński;[4]) on istotnie sprzyja literaturze, kiedy odrazu pozbył się wszelkiej ku nam niechęci i, wszelkie zło wyrządzone mu przez nas zostawiwszy na stronie, począł najotwarciej okazywać sympatję do naszej korespondencji. Jakże on pragnie do grona swoich spółpracowników pociągnąć Adama Pługa! Tyle już czytałem chlubnych o tobie wspomnień w *Dzienniku*, a teraz oto w numerze 159 znajduję przedrukowany twój prospekt redaktorski, przedrukowany z oświadczeniem najpochlebniejszych życzeń dobremu twemu zamiarowi. Jakaż to byłaby szkoda, gdyby twe redaktorstwo nie przyszło do skutku, i ten, tyle korzyści dla czasowej literatury obiecujący, najpoczciwszy *Kwestarz* w samym swoim zawiązku poronionym został! Właśnie zatrwożony przewidywaniem takiego następstwa, udaję się do ciebie, drogi panie Antoni, z prośbą, abyś swój pomysł redaktorski postarał się usadowić na pewniejszym gruncie. Świeżo okazywany mi przez Aleksandra Grozę list ks. Arcybiskupa Hołowińskiego wyraźnie naucza, że wszelkie trudności, napotykane dzisiaj przez nas w literackich przedsięwzięciach, jeden tylko Rzewuski uprzątnąć może, i że chcąc w czasie obecnym wydać coś, chociażby (jak Groza np.) „Godzinki na chwałę Matki Boskiej Berdyczowskiej“, do Rzewuskiego udawać się należy. A więc w tak krytycznym stanie wypada tobie koniecznie pójść obraną przezemnie drogą, t. j. stać się niezwłocznie życzliwym korespondentem *Dziennika Warszawskiego*. Co do twoich sympatji literackich, próżna obawa; ani Kraszewski, ani Wilkońska nie wezmą ci za złe, gdy w widokach przyniesienia korzyści ogółowi, swoją i swoich przyjaciół pracą umysłową wejdziesz w przymierze literackie z redakcją Rzewuskiego, człowieka, który, mówiąc między nami, od czasu zerwania z Przecławskim i Komp. widocznie przychylać się począł do naszych pojęć i tolerować nasze zasady. Jestto człowiek, jakiego nam właśnie potrzeba. *Summa summarum* wyjaśniłem ci trudności naszego położenia i wskazałem, kto nas z niego wyprowadzić może; teraz sam uważ,

[1]) Szymon Konopacki, poeta i historyk.
[2]) Julian Kotkowski, historyk i geograf.
[3]) Mikros — pseudonim Przecławskiego.
[4]) Kefaliński — Hołowiński.

jak masz postępować w twoim literackim zawodzie. Co do mego zbiorowego pisma, ja postanowiłem dalsze jego wydawanie poruczyć Rzewuskiemu; tak jest, mój *Gołąb* wychodzić będzie przy *Dzienniku Warszawskim.*"

W miesiąc potem, 18 lipca, pisał znów, złudzony pozorną uprzejmością Rzewuskiego, Dołęga do Pługa:

„Rzewuski w obszernym liście, który świeżo odebrałem, uskarża się na podłe intrygi i nikczemne zamachy adherentów *Gazety Warszawskiej* ku zniechęceniu publiki *(sic!)* do jego *Dziennika.* Jakże ci się to wyda, kochany panie Antoni? Czyż organ, dający rozgłos wszelkim opinjom i przekonaniom, nie powinien być względniej nieco traktowanym? Wkrótce czytać będziesz w *Dzienniku* swój obrazek z bakałarskiego żywota „Guwernerowie i Guwernantki". Rozumie się, że kilka stronic piorunującego wstępu zostawiłem u siebie. Ważność tego pisma uznaną została przez redakcję, i nie omieszkała osobnym listem oświadczyć mi podziękowania. Zapewniłem uprzednio redakcję *Dziennika*, że niedaleka chwila, w której wejdziesz z nią w bezpośrednie literackie stosunki; proszę cię więc, najmilszy panie Pługu, zrób już coprędzej stanowczy krok ku rozradowaniu naszego serca. Gryf osobiście także o to się doprasza."

Gdy Pług przesłał prośbę, by Dołęga zechciał się zająć zbieraniem prenumeraty na wydawanie pism jego, ten odpisał 13 sierpnia bardzo serdecznie, ale nie zapomniał przytem wysławiać *Dziennika Warszawskiego:*

„Tylem ci, kochany panie Antoni, obowiązany; tyle masz prawa do moich usług, że musiałem prawie rozgniewać się, czytając twój list ostatni; bo po cóż to, jeżeli pozwolisz? po co znowu pisma swoje, które wiesz, że wysoko cenię, nazywasz bazgraninami? Skrupuł zbyteczny, to między nami nie uchodzi — trzeba się poprawić. Proszę więc o kilka biletów na Pisma twoje do druku przygotowane, a razem o szczegółowy ich wykaz w treści czyli dokładny spis artykułów zawierających się w tych dwóch sporych tomach; potrzebne mi to będzie jako suplement do sprawozdania o pracach naszych literatów, które w dzień Przemienienia Pańskiego posłałem do *Dziennika.* Pan hrabia zaszczycił mię obszernym listem; doszło do tego, że główny apologista arystokracji korzy się dzisiaj przed redaktorem *Gwiazdy* i najwyraźniej prosi mię o protekcję, bo *Dziennik* w krytycznem położeniu dzięki intrygom i wszelkiego rodzaju podłym(!) machinacjom, na które się wysila pewna gazeciarska koterja. Piszę ci o tem, abyś mię uspokoił przynajmniej względem Kraszewskiego, że on do tego nie wpływa, że owszem, jako szczery, prawy i pełen szlachetnego animuszu rycerz w szrankach naszego piśmiennictwa, pierwszy-by wystąpił przeciw każdemu, co się waży targać na egzystencję pisma — pisma, które obiecuje stać się wiernym organem koryfeuszów *Gwiazdy.* Gryf całkiem oddał się współpracownictwu *Dziennika*, toż samo Fisz, ja i inni, jak estetyk nasz Dawid,[1]) którego niezadługo czytać będziesz:

[1]) Wincenty Dawid wydrukował w 4 nrze *Gwiazdy* „Fragment estetyki narodowej", w której posługiwał się terminologią filozoficzną Bronisława Trentowskiego.

więc uważ, czy nie powinniśmy protegować dziś umysłowie i materyalnie *Dziennika?*“

Nie potrafił Dołęga namówić Pługa do stałego spółpracownictwa w *Dzienniku*. Pług wolał pisywać do *Gazety Warszawskiej;* swego „Kwestarza“ nie doprowadził do urzeczywistnienia, ale zbiorowe pisma swoje w 3 tomach ogłosił drukiem w roku 1854 p. t. „Rodzinny zagon“.

Jak długo sam Dołęga pieścił się złudzeniem, że *Dziennik* stanie się wiernym organem koryfeuszów *Gwiazdy*, nie wiem napewno, to jednak jest faktem, że surową recenzję swoją „Chaty za wsią“ Kraszewskiego (1854) pomieścił, nie w *Dzienniku*, lecz w *Gazecie Codziennej*, za redakcji Aleksandra Przeździeckiego. Zgorzkniał następnie bardzo i z boleścią wspominał, jak mówienie prawdy poróżniło go z najznakomitszymi przedstawicielami piśmiennictwa, niegdyś poufale z nim przestającymi. Taką goryczą zaprawne jest „Trio muzykalno-literackie“, wydane w roku 1862 w Kijowie. Czytamy tu między innemi słowa następne:

„A w cóż to się obróciły moje tak serdeczne przyjacielskie stosunki z pewnemi geniuszami, których imiona świecą dziś, lub świecić będą niebawem na kartach „Historji Literatury“ Wójcickiego, emblematem chwały narodowej? Zdawało się, że zakres ludzkiego życia nadto jest szczupłym, aby mógł zaspokoić potrzebę dzielenia się ze mną kwiatami serca i owocami umysłu, jaką każdy z nich uczuwał, ale w tej właśnie chwili, kiedy, wsparty na wielolicznych ustnych i piśmiennych dowodach, oddawałem się marzeniom o rozkoszach trwałej przyjaźni, ogniwa jej jedno po drugiem zrywać się zaczęły — a dlaczego? Odpowiedź na to znajdzie w rozumie swoim ten tylko, kto naturę uczuć ludzkich zbadał we wszystkich przejawach egotyzmu. Wskażcież mi, proszę, w jakimkolwiek gronie ludzi staranniej niby ukształconych i uchodzących za najgorliwszych wyznawców Chrystusa, — wskażcież mi, mówię, takiego, któryby nie był rzeczywiście poganinem zawsze, i ilekroć idzie o najmniejszą z siebie, z miłości własnej ofiarę na rzecz tego, co się w teorji dobrem ogółu czy ludzkości nazywa! Słyszałem i czytałem nieraz, że są gdzieś na świecie białe kruki, ale ich dotąd w żywe oczy nie widziałem; a owi gieniusze, najsympatyczniej niegdyś spoufaleni ze mną, nim się zabrali do odlotu w strony lepiej daleko idealnem ich słońcem ogrzane, tak troskliwie osłaniali się płaszczykami jakiejś różnojedni czyli godzącej wszystkie sprzeczności filozofji, że o kolorze ich pierza żadnego nie mogłem powziąć wyobrażenia. To tylko wiem z pewnością, że każdy z nich, wzrastając na drożdżach pochwał hojnie odbieranych od świegotliwej zgrai blanbeków, stał się z czasem we własnej opinii taką wielkością, że nie mógł inaczej jak pogardliwie przyjmować wszystko, co nie było niemym owych pochwał odgłosem. Nie będąc z liczby subjektów, dających się użyć do wtóru za lada grzecznostkę, pokazałem im wszystkim po kolei, czem jest oczywiście w moich oczach owa ich wielkość urojona — i to właśnie było przyczyną zupełnego ich ze mną rozbratu“ (str. 7, 8).

Gdy ruch postępowo-demokratyczny nanowo się u nas ożywił, Benedykt Dołęga sympatyzował z nim i zaczął nadsyłać artykuły do *Opiekuna Domowego* w roku 1872 i 1873. Spółudział wszakże jego w czasopiśmiennictwie doby ówczesnej był krótki, niebawem też śmierć (27 grudnia 1875 roku) położyła kres wszelkiej pracy ziemskiej.

Zakopane. *Piotr Chmielowski.*

POCIĄG.

Ryszwil rósł z przerażającą szybkością.

Młodzież z pewnem niedowierzaniem słuchała, gdy twierdzili starzy, iż pamiętają doskonale, jak na tem samem miejscu świeciły słomą kryte chaty; wśród nich dymiło zaledwie parę fabrycznych kominów, a na palcach można było policzyć blaszane dachy domów, wyzierających z pomiędzy strzech, jak rzadki kwiat kanianki z żółtych łanów lnu.

Dziś kanianka pochłonęła len do szczętu. Olbrzymie budowle rozparły się na wysokim brzegu, a nizkie domki i chaty znikły, lub przeniosły się na dół — hen, za rzekę. Na tem samem urwisku, gdzie rósł niegdyś las, wzniesiono kosztem miljonów pyszny dworzec kolejowy, który był dumą Ryszwilu. Zamiast drzew wyrosły alabastrowe kolumny, na których legło kryształowe sklepienie, pokryte obficie freskami i złotem. Pod marmurowe arkady wpadał od czasu do czasu zdyszany pociąg; tu zatrzymywał się, tu też się kończył tor kolejowy — prawie na skraju urwiska, tak, iż przyjezdnym dość było przejść parę kroków, by znaleść się obok zawiadowcy, który właśnie stał oparty o balustradę i patrzał w przestrzeń.

Widok był rzeczywiście piękny.

Marmurowe płyty terasy, piętrzącej się nad wodą, różowiły się od słonecznych blasków. O dwieście stóp poniżej balustrady, płynęła szeroką wstęgą rzeka, mieniąc się całą kaskadą barw, od brudnego złota do krwawej purpury. Tuż obok sterczały wyniosłe gmachy Ryszwilu, nad którym wiły się dymy i dymy — bez końca. Na przeciwległym płaskim brzegu, czerniały skupione nizkie domki, dalej majaczył las, a nad nim konało ogromne słońce. Zawiadowca częścią patrzał, częścią myślał o rozmaitych rzeczach, także i o tem, że most i przedłużenie toru nietylko psułoby widok, ale jest zgoła niepotrzebne, gdyż ludność dolnego wybrzeża i tak na czas do roboty zdąża. Po chwili spojrzał na zegarek, gdyż oczekiwał jeszcze jednego pociągu. Był to ekstracug, którym dzieci pierwszorzędnego pensjonatu wyjechały przed świtem na majówkę o kilka stacji od miasta.

Słońce zachodzi! powinien wkrótce być — pomyślał; poczem zaczął iść po mozajkowym chodniku w kierunku kantoru. Wpół drogi spostrzegł telegrafistę, który bez czapki biegł wprost ku niemu, niosąc w ręku papier.

— Skąd to?

— Z trzeciej stacji przed Ryszwilem — wyjąkał zdyszany telegrafista, niezwykle pomieszany i blady.

Zawiadowca jął czytać, nie mogąc zrazu zrozumieć o co chodzi.

Telegram brzmiał w następujący sposób:

Zawiadowcy — Ryszwil! Ekstracug z dziećmi nie zatrzymał się na stacji. Minął ją pomimo sygnałów z naszej strony. Powód dotychczas niewiadomy. Co się stało? — damy znać.

— Dawno otrzymany?

— Temu pięć minut.

— Jakieś bałamuctwo! — szepnął zawiadowca, poczem silnie zaniepokojony szedł szybko ku stacji.

— No, cóż tam dalej? — spytał, wchodząc do biura.

— Właśnie odbieram — odparł jeden z urzędników i schylając się nad wąskim paskiem papieru, sylabizował powoli.

— Zawiadowcy — Ryszwil! Na piątej wiorście przed trzecią stacją znaleziono maszynistę i palacza, obaj bez życia. Spleceni w jeden kłębek. Wszelkie pozory bójki. Konduktor wyskoczył. Dać żadnych wyjaśnień nie jest w stanie. Zdruzgotane ma nogi; mdleje co chwila. Ekstracug pędzi sam. Druga stacja zawiadomiona — skończył zdławionym głosem.

Nastała chwila długiego milczenia.

— Co to będzie?! — szepnął ktoś w końcu.

— Co będzie?! — powtórzyli, jak echo wszyscy.

— Nic! — wybuchnął, oprzytomniawszy zawiadowca. — Linja wolna. Kocioł w lokomotywie tęgi — nie pęknie. Panowie ruszajcie do swoich zajęć. Ani słowa nikomu! Nie niepokoić publiczności. Ja idę po naczelnika. Telegrafuj pan tymczasem na drugą i pierwszą stację o dalsze wieści! — zwrócił się do jednego z telegrafistów.

— Słucham! — odparł ostatni i pochylił się nad aparatem.

Tymczasem przed stacją wszczynał się hałas i ruch. Cały kwiat Ryszwilu dążył na spotkanie swych dzieci. Na olbrzymi asfaltowany podwórzec wtaczały się co chwila lśniące zaprzęgi najrozmaitszego rodzaju i gatunku. Jechały obszerne landa, ciągnione przez poważne perszerony. Mknęły wysokie amerykany, zaprzężone w rosłe folbluty; breki, biedki jednokonne. Dalej dreptały, wesoło pobrzękując w dzwonki, krótko ostrzyżone muce, ciągnąc za sobą nizkie, dziwacznego kształtu koszyki. Klaskanie biczy, krzyki furmanów mieszały się z turkotem kół i parskaniem koni. Elegancko ubrani panowie wyskakiwali pierwsi przed gankiem i wyjmowali z pojazdów strojne kobiety.

Na pustym przed chwilą peronie zrobiło się wkrótce ciasno. Mozaikowa jego posadzka, zdawało się, naraz zmieniła się w majaczącą ruchomą łąkę, pełną pstrych kwiatów. Z obłoków śnieżnej białości muślinów wykwitały obficie różnokolorowe róże, habry niebieskie, żółte nieśmiertelniki, kwiaty ciemne w paski i kropki, kwiaty o barwach mieszanych, jak bratki. Nie brakowało też dro-

gich klejnotów, od łzawych pereł, migotliwych djamentów do purpurowych korali i krwawych rubinów. Z jaskrawych tych kielichów wychylały się pyszne biusty, nagie ramiona, ślicznie zarysowane szyje, kształtne głowy, otoczone falami najrozmaitszych odcieni włosów, z pod których błyszczały dumne czoła i nie słabiej od brylantu iskrzące się oczy. Nad wszystkiem unosiły się zmieszane zapachy pachnideł, a z góry lał się potok elektrycznego światła, które podnosiło świetność tualet, potęgując zarazem białą matowość tych różnorodnych twarzy — o rysach delikatnych, przeważnie pięknych, nieraz bezmyślnych, a nieraz, szczególniej u mężczyzn, zawiędłych i dziwnie zmęczonych.

Podczas gdy różnobarwny tłum rozmawiał, śmiał się, wymieniał ukłony i uściski — w biurze telegraficznem stukały niezmordowanie aparaty, a z nich wysuwały się wązkie paski papieru, pełne złych wieści, które siały wśród urzędników trwogę i niepokój. Niecierpliwe spojrzenia zwracały się raz w raz na wielkie drzwi zamknięte, oczekując wyższej władzy, a z nią jakiegoś rozkazu.

— Nakoniec! — rozległo się kilka szeptów.

Drzwi się rozwarły; w nich się ukazał upragniony naczelnik dystansu, a za nim zawiadowca.

— No, cóż tam! — rzekł sucho pierwszy.

— Źle, panie — odparł jeden z urzędników, wręczając mu papier.

— Nie pytam — jak? — odburknął naczelnik i czytał półgłosem: Ekstracug minął i naszą, drugą stację, w całym pędzie. Z pasażerów nie dostrzegliśmy nikogo; prawdopodobnie nie wiedzą o niczem. Lokomotywa zdaje się w porządku. Cała linja zawiadomiona. Czekamy waszych wieści.

— Czego oni się śmieją? — syknął przez zęby naczelnik, zwracając się niecierpliwie w stronę peronu, skąd dolatywało przytłumione echo jakiegoś śmiechu. Poczem, usiadłszy oparł głowę na dłoniach i siedział chwilę w milczeniu.

Urzędnicy wpatrywali się w pochmurną twarz jego, jak w tęczę, czekając, co powie?

— Papieru! — zabrzmiała krótka komenda.

Cały stos kartek znalazł się w tej chwili przed nim. Wziął z nich jednę, zamyślił się, a później pisał szybko: „Zawiadowcy pierwszej stacji. Zwróćcie pilną uwagę na lokomotywę ekstracugu i dajcie znać, sądząc z dymu i pary, jak daleko pociąg iść może? z jaką mniej więcej pędzi szybkością? i czy nie zwalnia w biegu?“

— Telegrafuj pan natychmiast! — zwrócił się do jednego z urzędników.

Urzędnik pochwycił skwapliwie kartkę, a reszta jęła się przysłuchiwać pilnie taktowi naciskanego klawisza, by w ten sposób treść depeszy uchwycić.

— Czy pan masz jaki plan działania? — zwrócił się do naczelnika zawiadowca.

— A pan?! — odparł rozdrażnionym tonem.

— Ja? nic? — brzmiała odpowiedź.

— A więc czekajmy cierpliwie — szepnął i jednocześnie jął szarpać nerwowo zwichrzoną swą brodę.

Nastała długa chwila męczącej ciszy, tak, iż można było słyszeć dokładnie turkot wciąż jeszcze zajeżdżających powozów i urywane zdania i wykrzykniki snującego się po peronie tłumu. Nagle warknął dzwonek. Wszyscy porwali się z swych miejsc. Naczelnik podbiegł do aparatu, pochylił się nad wysuwającym się skrawkiem papieru, a za nim całe biuro.

— Minął naszą stację — sylabizował naczelnik. — W oknach wagonów nie dostrzegliśmy nikogo, śpią widać wszyscy, nie podejrzewając niebezpieczeństwa. Pary i paliwa w lokomotywie, niestety, jest dużo. Ostatnią wiorstę przebiegła w przeciągu niespełna dwóch minut i pęd pociągu nie zmniejsza się. Co myślicie robić?! — skończył złamanym głosem. Wszyscy spojrzeli po sobie i zastygli jak stali, a blade ich twarze w błękitnawem oświetleniu lampek elektrycznych wyglądały jak gipsowe maski.

— Co robić? Radźcież! — odezwał się w końcu zmienionym głosem zawiadowca.

— Puścić naprzeciw drugi pociąg — szepnął któryś nieśmiało.

— Któż go poprowadzi? — odparł głos z kąta.

— Usypać nasyp! — wtrącił ktoś z boku.

— Może nawet przerzucić przez rzekę — odparł drwiąco zawiadowca — to również praktyczna rada!

Zrobiło się znowu cicho. Twarze przybrały wyraz bezradnego przygnębienia, a oczy błagalnie zwróciły się w stronę naczelnika. Ten milczał; miał twarz popielatą i wykrzywione usta. W końcu przeciągnął parę razy po czole i jęknął tonem pełnym rezygnacji.

— Nie ma rady, żadnej! Chodźcie panowie: trzeba powiedzieć im wszystko.

Co rzekłszy, zebrał drżącemi palcami depesze i szedł zgarbiony ciężkim krokiem, a za nim wlokło się całe biuro długim szeregiem.

To nagłe zjawienie się tych smutnych postaci wywołało na peronie ogólne poruszenie.

— Co się stało? Cóż to za kondukt żałobny? — posypały się liczne uwagi.

A oni przeciskali się przez tłum w milczeniu, ze spuszczonemi głowami — powoli, jakby odwlekając stanowczą chwilę ujawnienia swej tajemnicy.

W końcu balustrada wstrzymała ten pochód. Naczelnik dystansu poczuwszy, że dalej iść nie można, odwrócił się, spojrzał w rozciekawione twarze strojnego tłumu, pobladł jeszcze bardziej i zaczął mówić wzruszonym głosem:

— Szanowni Ryszwilanie! Otrzymaliśmy telegraficzne wieści, które czuję się w obowiązku zakomunikować wszystkim.

— Coś złego! — wtrącił ktoś z boku.

— Jakiś krach pewno! — odezwały się liczne głosy.

— Cicho! — komenderował ktoś inny.

— Tak! cicho! — posypały się rozkazy.

Umilkli wszyscy, a on jął czytać te krótkie, jak strzały, urywane zdania, które ołowiem padały na serca słuchaczy, coraz cięższe, coraz wyraźniejsze i pełniejsze grozy. ...I pęd pociągu nie zmiejsza się... — skończył nareszcie.

Podniósł wzrok i mógł myśleć, że stoi przed nim gromada trupów, przebrana w jaskrawe całuny — tak sino-blade były wszystkie twarze, białe wargi a oczy zmętniałe, jak szkło matowe. Ostatnie szeregi nie wiedziały jeszcze o co chodzi, czuły jednak, że zaszło coś niezwykłego i strasznego przytem.

— Co się stało? mówcie-że — zerwała się zawierucha nerwowych pytań, która w miarę odpowiedzi ustawała, zmieniając się w śmiertelną ciszę i osłupienie.

W końcu odrętwiały tłum oprzytomniał na chwilę.

Wszystkie oczy wparły się w bladą twarz urzędnika, żądając od niego jakichś wyjaśnień, pociechy, ratunku. On zaś, poczuwszy na sobie wpite źrenice tłumu, odwrócił się i spojrzał machinalnie w rzekę. Tysiące oczu poleciało w ślad za jego spojrzeniem — i blady strach rzucił się wszystkim na piersi.

Ta wijąca się u stóp urwiska wstęga była aż nadto wyraźną odpowiedzią. Patrzyli więc w milczeniu w rzekę z szeroko rozwartemi oczyma, okryci zimnym potem, niemogąc wzroku odedrzeć od lśniącej fali, która, mrucząc złowrogo, biła spienioną piersią o płyty marmurowej terasy. Po chwili zastygłe serca jęły się tłuc szalonym rytmem, jak ptaki w klatce, a później zerwało się kilka łkań krótkich, które zmieniły się w ogólny cichy jęk.

Ten pierwszy głos boleści niemego dotychczas tłumu zbudził z głębokiego zamyślenia stojącego na uboczu człowieka. Człowiek ten nietylko swą prostą szarą bluzą wyróżniał się wsród wykwintnego tłumu: twarz jego była również ciemniejsza — prawie bronzowa, jakby ogorzała od słońca, lub ściemniała od dymu. Rysy miał także grubsze, mniej delikatne, ale za to pełne energji i woli; wszystko to — oraz wyniosła, atletyczna jego postawa — nadawała mu wśród tych przerafinowanych twarzy odrębny, pociągający urok silnego naturalnego piękna. Człowiek ten oddzielił się naraz od tłumu i pewnym krokiem oddalał się szybko od Ryszwilu, idąc wzdłuż szyn.

O dwie prawie wiorsty od stacji wpoprzek plantu wisiał przeznaczony dla pieszych most, pod którym przechodziły pociągi. W tem miejscu człowiek zszedł z szyn, wdrapał się szybko na nasyp i stanął na moście. Słońca już widać nie było, tylko białe obłoki różowiły się jeszcze po brzegach; na liljowem tle nieba odcinały się twardo ciemne sylwetki słupów telegraficznych i odległe drzewa.

Przed nim żółciało płótno kolejowego toru i błyszczały dwie srebrne linje szyn. Wkrótce ostatnie blaski zorzy wieczornej zgasły. Drzewa, słupy i szyny roztapiały się kolejno w pomroce. Nastała ta krótka martwa chwila, kiedy dzień skonał, a noc jeszcze nie wstała. Naokół było szaro i cicho bardzo. Po chwili porwał się senny wiatr, rozniósł zapachy pól i łąk — i zemdlał w dolinie. Lazurowe niebo przybrało kolor ciemnego błękitu, i cicho wyszła letnia noc z światłami rzewnych gwiazd. Człowiek zrzucił czapkę, rozpiął bluzę na piersi i pił

chciwie świeże, chłodne powietrze. Chwilami oglądał się i widział wtenczas bladą smugę elektrycznego światła za sobą — to znowu wpatrywał się badawczo w ciemną dal i nadsłuchiwał się pilnie.

— Zdaje się — już! — szepnął w końcu i nozdrza mu grać zaczęły.

Rzeczywiście — w oddali zamigotały jakby dwie jakieś centki ogniste, które wzrastały powoli. Wkrótce można już było poznać, iż są to dwa wielkie reflektory zbliżającego się pociągu. Wreszcie zamajaczył komin, obok zmieszanego z iskrami dymu i z cieniów wynurzyła się ogromna lokomotywa, co sapiąc głucho toczyła się po szynach, jak potwór olbrzymi. W miarowym jej warku czuć było ślepą potęgę rozpasanego żywiołu i bezlitośną obojętność bezdusznej machiny. Za nią toczyły się niewolniczo posłuszne wagony. W pierwszym mieściło się ciało nauczycielskie. Panowała w nim martwa cisza, przerywana szelestem oddechów nauczycielek i nauczycieli, którzy pokładli się na ławkach w śnie ciężkim, bez marzeń i sennych widziadeł. Na zwiędłych ich twarzach malowała się obojętność umarłych i wyczerpanie znużonych. W bladem świetle tlejącej latarni czynili wrażenie zapylonych posągów, które wiatr jakiś pozrzucał z piedestałów i pokładł pokotem. Pomimo zaduchu niektórzy poprzykrywali oblicza, jakby się czegoś wstydzili, lub lękali światła. Ci nie wiedzieli napewno dokąd jadą i co ich czeka u kresu podróży? a zresztą śmierć dla nich była tylko — nie-zbudzeniem się.

W dalszych wagonach, porozmieszczane według starszeństwa, jechały dzieci — chłopcy i dziewczęta — rozmaitego wieku i wzrostu. Starsze przeważnie spały, zmęczone długą majówką i świętem, ale nie tak spokojnie, jak ich przewodnicy. Oddechy były szybsze i mniej regularne. Niektóre chwytały się rękoma za poręcze ławek, jakby się chciały gwałtem ze snu podźwignąć; lecz po chwili opadały ich wątłe dłonie, a z piersi wydzierało się westchnienie skargi, że są tak słabe! Na twarzach innych leżało piętno niewypowiedzianej jakiejś tęsknoty. Oczy niektórych były wpół otwarte, a tkwił w nich wyraz niezwykłego przerażenia i nieznanego smutku. Z pod niejednych powiek sączyły się wielkie łzy. Na piersiach wielu leżała snadź dręcząca zmora, bo się rzucały niespokojnie, chwytając zbielałemi wargami powietrze.

Inne znów miały, widać, sny cudowne i rozkoszne widzenia, bo wyciągały marzącym ruchem swe szczupłe ręce, a na spragnionych ustach zjawiał się uśmiech, w którym było więcej melancholji niźli radości. Wszystkich łączyły jakieś smutne przeczucia i nieświadomy niepokój, który, zdawało się, krążył w pomroce nad tą drzemiącą gromadą. Młodsze z tego powodu usnąć nie mogły, lecz zbijając się w pary, lub w małe grupki, gwarzyły cicho. Jakiś chłopczyk, siedzący na ziemi, z głową opartą na kolanach dziewczyny, prosił ją bezustanku — daj mi pokój! — a usta mu drżały od tłumionego płaczu. Ona mu wreszcie położyła swe małe dłonie na czole, pytając — tak dobrze?!

— Dobrze mi — odparł z twarzą pełną zachwytu.

— Dlaczego? — spytała, schylając się nad nim.

— Bo nic nie myślę! — wyszeptał, objął ją za szyję i zamknął oczy.

W drugim znów kącie, pod oknem — jakiś dzieciak o niezwykle delikatnym i smutnym profilu, pokazując innym lecące tłumnie iskry, mówił.

— Skrzą się, by zgasnąć.

— A co z nich zostanie? — szepnął ktoś z boku.

— Dym! — odparł i chwycił go zimny dreszcz.

Inny znów siedział w milczeniu, a był tak szczupły i w twarzy miał tyle cierpienia, że jedna z dziewcząt, myśląc, iż głodny, dała mu ciastko. On je odepchnął, uśmiechając się gorzko.

— Jeść nie chcę, ale mam straszny głód i pustkę tu! — wskazał na piersi.

W końcu wagonu jakaś nieliczna gromadka starała się napróżno otworzyć szczelnie zamknięte drzwi. Perlisty pot wystąpił im na skronie, a w oczach malował się olbrzymi wysiłek. Kiedy zaś jeden z nich, pośliznąwszy się upadł, reszta obsiadła go wokoło i z narzekaniem — Jacyśmy słabi! — zaczęła płakać cichutko.

Tymczasem świece w latarniach dogasały, a w miarę ciemności wzmagał się płacz i tajemny niepokój. Strwożone dzieci, tuląc się do siebie, szlochały coraz żałośniej: niezmordowane dudnienie kół głuszyło łkania, a nieubłagana lokomotywa, nakrywszy pióropuszem dymu cały pociąg — parła wciąż naprzód, wlokąc te senne i płaczące wagony na zgubę, śmierć i zatracenie.

W miarę zbliżania się pociągu coraz potężniejsza burza zmieszanych uczuć zrywała się w piersi oczekującego nań człowieka. Myśli szybkie jak piorun zapalały mu się w mózgu.

— To wszystko pędzi — szeptał — bez steru na zagładę Ryszwilu. Nieubłagana, nieugięta konieczność wróży im śmierć. Jam z dolnego wybrzeża, od którego tak niebacznie odgrodzili się nurtami rzeki, balustradą marmurów i złota. I oto teraz dziejowa Nemezis niesie im zemsty swej gniew... Mogę nie drgnąć, pozostać bez ruchu — martwy, jak kamień — ona sama wyrok zagłady wypowie — ta straszna i ślepa bogini. Ślepa!!

Myśl ta napełniła mu duszę rozdrażnieniem i bólem.

Wydało mu się nagle, iż stał się niewolnikiem...

Rozumiał, iż żadna martwa tama nie zdoła wstrzymać szalonego biegu, ani też zwrócić rozpędzonej kolei z wytkniętego jej toru, że dość jednak świadomej sile wtargnąć do środka, by ślepych bogów pokonać. Zapalał się do walki i rósł w miarę tego zapału; zdawało mu się, że głową sięga chmur, a gwiazdy mu wiszą nad czołem... Właśnie czerwony księżyc wytoczył się z za lasu, rozwidniając mrok nocy. W fantastycznem jego świetle stojący na moście człowiek czynił wrażenie upiora: taką miał twarz bladą i w oczach błyskawice.

W całej jego pochylonej naprzód postawie, w szybkiem falowaniu piersi i we wzroku, zacięcie wlepionym w reflektory zbliżającego się pociągu, znać było, iż są to dwie wrogie potęgi, które za chwilę zmagać się będą na śmierć i życie.

W parę sekund lokomotywa była zaledwie kilka sążni od mostu, olb rzymie jej latarnie zalały krwawą łuną drewniane jego wiązadła, po twarzy zaś stojącego na nim człowieka przeleciał płomień jeszcze jaskrawszy.

Szybko zbliżył się ku przeciwległej krawędzi i skurczył się w sobie, gotując się do szalonego skoku...

W tej chwili buchnął komin nowym dymu kłębem i spowił nim wszystko...

Tymczasem Ryszwil przeżywał ciężkie chwile, męczące, jak noc bezsenna. Złowróżbne wieści z błyskawiczną szybkością rozlatywały się po mieście, roznosząc jęk, płacz, rozpacz i trwogę. W całym Ryszwilu nie było tego wieczora jednej duszy spokojnej, bo każdy miał w pociągu część krwi, kości i serca własnego w postaci swego potomstwa.

To też pomimo, iż noc zapadała głęboka, nikt w mieście nie spał. Ci, co się nie pomieścili na dworcu i w podwórzu, wylegli na balkony, które się stały podobnemi do kęp pełnych kwiatów, — tylko, że twarze tych kwiatów były dziś niemniej znużone i bolesne od dźwigających balkony karjatyd. To męczące oczekiwanie groźnej katastrofy, ta niepewność, co będzie właściwie, a jednocześnie poczucie, ze zajdzie coś strasznego — doprowadzało chwilami tłum do szału.

— Niech się raz stanie — byle prędzej! — myśl taka drżała wtenczas we wszystkich mózgach, choć nikt jej nie śmiał głośno powtórzyć, bo mimo to, iż z matematyczną niemal pewnością można było przewidzieć, że alabastrowa balustrada nie wytrzyma pociągu, że musi runąć on w przepaść i zatonąć w rzece — przez rozpacz, przez niepokój i trwogę przeciskała się chwilami otucha i niczem nieusprawiedliwiona nadzieja. Ryszwilanom nie mogło pomieścić się w głowie, by ta sama siła, która dostarczała im zboża z pól odległych, kryształ z gór, korale i perły z łona mórz, miała się naraz przeciw nim zwrócić i jednym zamachem zniweczyć całe ich potomstwo. A kiedy — odebrane wieści, widok kończącego się tuż na skraju urwiska toru, ryk fal plujących pianą na białe marmury, rozpraszał wszelką wątpliwość — oni chwytali się najdziwaczniejszych środków, by widmo klęski odegnać.

Sprowadzono więc na peron wszystkich dygnitarzy miasta — straż ogniową; rozstawiono wzdłuż toru żołnierzy. Kobiety, z rozwiązanym włosem i obłąkanemi oczyma, zdzierały z rąk i szyi klejnoty i rzucały w rzekę, jakby ją chciały przebłagać, zasypać — lub się wstydziły, że są tak strojnie ubrane na dzień śmierci swych dzieci. Chwilami zrywał się zmieszany gwar pytań — dlaczego pogłębiono rzekę?! — dlaczego niema mostu na przeciwległy brzeg nizki?! — lecz wnet cichł, bo wszyscy znajdowali odpowiedź na dnie swego serca i milkli, pełni gorzkiego poczucia winy. Prócz tego mieli się oni dotychczas za mocarzy — paliła ich więc tembardziej gryząca świadomość swej bezsilności. Miotali się wtedy po peronie, jak wściekli, przeklinając najwyższe głowy miasta, siebie, wszystkich i wszystko.

Po takim paroksyzmie szału wyczerpany tłum uspakajał się na chwilę; a były to momenty wprost tragiczne. Na peronie zalegała cisza grobowa. Na

policzkach jednych gorzały ceglaste rumieńce, a dolne szczęki latały im jak w febrze; inne znów twarze były blade jak płótno, a z nieruchomych źrenic toczyły się łzy wielkie i ciche. Elektryczne lampy zlewały na te pomęczone głowy błękitnawe potoki światła; kryształowe sklepienie skrzyło się całą świetnością złoceń i fresków, a wśród urywanych łkań — rozlegały się rozkołysane jęki dzwonów, bijących na trwogę. Właśnie w jednej z tych chwil ciężkich jak konanie, jakiś starzec, co miał prawnuki w pociągu, ukląkł i na trzęsącej się głowie jął kłaść znaki krzyża. W tej samej chwili ktoś krzyknął rozdzierającym głosem „idzie“ i runął na kolana. „Idzie!“ Okropny okrzyk wydarł się z tysiąca piersi i płacz olbrzymi przeleciał nad tłumem i podciął wszystkim nogi.

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech — jęczał trzęsący się starzec.

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech — powtórzyły wśród łkań wszystkie usta i załzawione oczy wzniosły się w górę — ale ujrzeli, miast nieba, malowidła i złoto na sklepionym krysztale. Stropił się starzec; ręce zaczęły mu się trząść jeszcze silniej i, szlochając jak dziecko, ponowił słowa modlitwy.

— Święć się Imię Twoje — powtórzył tłum za nim — Przyjdź Królestwo twoje — rzekł ciszej. — Bądź wola Twoja, jako na niebie... — wyszeptał i umilkł nagle, bo uczuł, że nigdy dotąd nie pragnął ani Imienia, ani Królestwa, ani Woli Bożej na ziemi, a bluźnić nie śmiał, gdyż w oddali migotały coraz wyraźniej krwawe oczy zbliżającego się pociągu.

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy... — zaciął się starzec, chwycił się nagle za skronie — przebacz to kłamstwo! — jęknął i zwalił się na kamienną posadzkę.

Tłum ryczał, obłąkany rozpaczą, że się nawet modlić nie może.

Pociąg tymczasem wtaczał się pod arkady.

Nowa okropna burza wydartego gdzieś z głębin wnętrzności jęku powaliła tłum na twarz tak, iż peron wyglądał, jak łan skoszony jednym zamachem. Stało się wprost straszno, tylko dzwony w Ryszwilu szalały i głucho warczała wściekła lokomotywa, a szyny dźwięczały żałośnie. Naraz gwizd przeraźliwy rozdarł powietrze. Wszystkie dzwony Ryszwilu zamarły nagle. Zahamowany rozumną dłonią niespodziewanego maszynisty, pociąg stanął jak wryty. A gdy opadły dymy, przed lokomotywą w krwawej łunie reflektorów widniał człowiek. Szarą bluzę miał rozpiętą na piersi, nabrzmiałe żyły na skroniach, a w twarzy płomienie. Jowiszowe swe oczy ogniste wlepił w przeciwległy brzeg nizki. Tam zapalały się jakieś złote świty na niebie, jak gdyby słońce wracało, a z ciszy nocnej leciał nad falą spokojną drżący głos dzwonka, jak śpiew skowronków — donośny, wołając wszystkim: Wstawajcie!...

Charków. *Gustaw Daniłowski.*



MIASTO NOWOCZESNE.

SZKIC EKONOMICZNY.

O istnieniu i możebności kolosów, w rodzaju wielkich miast naszych, nie miała pojęcia żadna z epok dawniejszych. Legendarne rozmiary miast starożytnych jak Niniwa, Babilon, Seleukia okazały się fantasmagorją, zrodzoną może z odłamów pozostałych po ich potężnych murach. Pod skalpelem nowoczesnej krytyki statystycznej wystąpił fakt, że świat starożytny jedno tylko wielkie posiadał miasto, kosmopolityczną stolicę ówczesnego świata, cesarski Rzym. Rzym był jakoby smokiem z bajki, który pochłaniał fale ludzkie z północy i południa, skupiając w sobie kulturę późnej starożytności.

W wiekach średnich o miastach wielkich w znaczeniu dzisiejszem mowy być nie mogło. Sprzeciwia się temu charakter ówczesnego życia wogóle i znaczenie miasta. U narodów młodych, szukających formy dla wcielenia swego bytu, związek miejski organizował uspołecznioną, zamożniejszą i pracowitą grupę, dawał jej ustrój polityczny, prawo, którego gdzieindziej była pozbawioną, przywileje i nadania królewskie. Te ostatnie wyodrębniały grupę miejską w sposób korzystny od reszty kraju, a mieszczanin strzegł zazdrośnie tej swoej odrębności. Tak było na Zachodzie, a z wkroczeniem prawa magdeburskiego i u nas.

Miasto średniowieczne składało się z ludności wszelkich zawodów, nosiło charakter przemysłowy, ale część ludności zajmowała się rolnictwem, a prawie każdy mieszkaniec miał kawałek ogrodu, czy pola. Całość ta mogła więc sobie wystarczyć: wytwórczość stosowała się do potrzeb jej członków, ilość jej i rodzaj, przewidziane z góry, zapobiegały przesileniom. Mieszczanie nie byli zmuszeni dla towarów swoich szukać rynków odległych, armja robotników bez pracy nie zjawiała się na ulicach, bo obywatel miejski już przez to, że był obywatelem, miał prawo i możność prowadzenia swego zawodu, a rzemiosło utrzymać musiało swego wykonawcę. Niema też tu owych przepaści między nędzą, a nadmiernem bogactwem, choć i krańce się zdarzają;

nie razi nagromadzenie niezużytych odpowiednio sił ludzkich, zaniedbanych i pozostawionych na pastwę rozpaczy i niezaradności, ani zbytnia obfitość kapitałów. Podstawa i szczyt społeczeństwa nie przeczą sobie wzajemnie, ale się dopełniają. O ile spisy podatków od majątku wejrzeć pozwolą w stosunki majątkowe średniowiecznego miasta, dostrzegamy równie nieznaczną liczbę ubogich, jak i bogaczy: złoty środek, zadowolona mierność były tu prawidłem.

Gdy miasto średniowieczne wzrasta, powiększa się liczba jego obywateli, uprawnionych do korzystania z praw miejskich. Nowo przyjęci muszą być specjalistami w pewnym zawodzie, wykazać *minimum* zamożności, a zatem korzystając z praw miasta, przynoszą mu swoją umiejętność i zasoby. Z powiększeniem się miasta, nie zmieniał się przeto jego charakter, nowe żywioły asymilowały się szybko i przystosowywały do dawnych. Gdy minął okres rozkwitu, miasta, w trwożnej trosce o byt swoich obywateli, zamykają się w ich kole, utrudniając osiedlenie każdemu przybyszowi. Widzimy tedy, że ludność ich się co do liczby, składu, charakteru nie zmienia przez całe dziesiątki lat. Odnajdujemy nawet wciąż te same nazwiska i rodziny, co wytwarza ową stojącą, niekiedy zatęchłą, atmosferę umysłową i moralną, równie sztuczną jak piętrzące się pretensjonalnie kamieniczki, i zacieśnioną jak zaułki miejskie.

Jaskrawym kontrastem odbijają na tem tle miasta dzisiejsze. Już zewnętrzna ich postać świadczy o zasadniczych zmianach, jakie dokonywały się tu od zeszłego stulecia. Miasto dawne stało się jedną z dzielnic, zepchnięte na plan drugi lub opasane ze wszech stron dzielnicami o charakterze nowoczesnym. Stare mury runęły, a na ich miejscu pojawiły się pierścienie siedzib ludzkich, począwszy od koszarowych, mniej lub więcej ozdobnych, kamienic, do eleganckich parterowych willi i domeczków podmiejskich. Dawne miasto przez wieki całe budowało się w tym samym obrębie, rosło ku górze, zacieśniało się zazdrośnie, oddzielało basztami i ścianą od wiosek okolicznych; nowe rozpościera się na szerokich ulicach, obszernych placach, buduje napowietrzne koleje, przeprowadza tramwaje konne, parowe, elektryczne, w przeświadczeniu, że to wszystko zapełnią tłumy, wylewające się na ulice we dnie i w nocy. Obręb miasta posuwa się wciąż dalej na zewnątrz, często wbrew woli przedmieść, które, tracąc specjalne prawa swoje, z autonomicznych całości stają się tylko cząstką rozrosłego organizmu. Miasta i dziś budowane są zwykle nad rzekami, ale kiedy dawniej rzeki tej trzymać się musiały, jako głównej arterji komunikacyjnej z resztą kraju, to dziś same stwarzają komunikacje. Przez kanały, mosty, statki parowe miasto ujarzmia połączenia wodne, — przez koleje żelazne i elektryczne, przez poczty, telegrafy i telefony skraca czas i przestrzeń.

Już nawet dzięki ogólnemu przyrostowi ludności zolbrzymiał organizm miejski. Morze ludzkie przybiera, rozlewać się gdzieś musi, a warunki przemysłowego życia skupiają ludność w centrach fabrycznych i wielkomiejskich. To też rozwojowi przemysłowemu towarzyszy wszędzie wzrost ludności wielkomiejskiej. Wśród dzielnic polskich rozwinięty przemysł posiada jedynie Królestwo: to też tylko Warszawa nosi wielkomiejski charakter; w Królestwie też

spotykamy amerykański prawie rozrost osad i miast przemysłowych. Łódź i osady okoliczne, Sosnowice, Dąbrowa Górnicza, Częstochowa zamieniły kraj rolniczy na przeważnie przemysłowy. Nie przesądzam, co będzie tu zjawiskiem pierwotnem: a co wtórnem, dość, że rozwój przemysłu dotrzymuje kroku rozwojowi miast. Klasyczna kraina wielkiego przemysłu, Wielka Brytanja, ma np. nietylko najliczniejszą ludność miejską na świecie, ale i skupia ją przeważnie w wielkich miastach.

Zasady swobody gospodarczej, które stanowią tło prawne spółczesnego rozwoju teraźniejszości, wyprzedzić musiały wielkie aglomeraty ludności miejskiej. Runęły ograniczenia osobiste. Wolno zmieniać miejsce pobytu, zawierać małżeństwa dowolnie, sprzedawać swoją siłę roboczą, przekazywać własność rolną drogą spadku, darowizny, czy sprzedaży; swobodny obrót kapitałów, wolność przemysłu i handlu uchyliły wszelkie przeżytki cechowe. Na gruzach pęt dawnych, które, ścieśniając swobodę, broniły jednostkę przed silniejszymi gospodarczo, a często przed następstwami własnej nieopatrzności, wyrosła bujna latorośl osobistej swobody. Łaknące niezależności wielkie masy, gnane głodem i nędzą, nadzieją poprawy losu, niepewnem migotaniem zarobku, czy zysku podążyły do wielkich miast, przepełniając je tłumem egzystencji niepewnych i niestałych, które, nic nie mając do stracenia, wszystko spodziewają się pozyskać.

Do miasta płynie więc kapitał, który w przemyśle i przedsiębiorstwach wszelkiego rodzaju wyższe otrzymać może odsetki, niż przy uprawie roli. Stąd nadmierna podaż kapitałów po miastach i brak ich na wsi. Młodzież płci obojej szuka w miastach wiedzy, kształci się w zawodach technicznych i umysłowych, albo też wprost puka o zarobek. Ilość tych, co potrzebują pracy, jest wśród miejskiego przypływu tak przeważną, iż ona to nadaje charakter nowoczesnemu miastu. Do miast więc dąży głównie ludność bezrolna lub małorolna, której praca na własnym kawałku ziemi wyżywić nie może, albo też owa mniejszość, co, żyjąc z dochodów swej posiadłości, nie jest związana z warsztatem pracy. Pociąga tu łatwiejszy zarobek, większa ilość przyjemności, możność użycia, nawet przy małych środkach, poczucie swobody w wielkiem środowisku miejskiem, a głównie — bieda, która obrazy te wywołuje i przeciwstawia swej marnej, niepewnej, szarej egzystencji.

I ciągną do miast i osad fabrycznych tłumy biedaków dla stałej poprawy losu lub chwilowego zarobku. Do kantorów fabrycznych pukają codziennie setki o pracę, inne setki zwracają się do wyrobków miejskich, do handlu; pojawia się masa dziewcząt, które, jako służące, szwaczki, wyrobnice i posługaczki zaczynając miejską karjerę, kończą ją nieraz w upadku i prostytucji.

Gdyby nie to, że masa przybywających powiększa już i tak nadmierną ilość rąk, wyciągających się po pracę, gdyby nie bezplanowość nieunikniona, a wskutek tego niepewność tych egzystencji tysiącznych, byłyby wielkie miasta wyjątkowo dobrze postawione pod względem swej ludności. Wogóle bowiem ludność w wieku t. zw. produkcyjnym, a więc między 15 a 60 rokiem życia,

jest tu liczniejszą, niż po wsiach, przenosi przeciętną całego kraju, a ilość starców i dzieci — mniejszą. Gdy wieś cierpi na brak sił do pracy, gdy zawadza jej nadmiar egzystencji, które już z natury rzeczy przeważnie spożywcami być muszą, nie mogąc jeszcze lub już pracować, w mieście pojawia się nadwyżka ludzi chętnych i zdolnych do pracy. Jest to siła miasta, ale zarazem i jego niebezpieczeństwo, przyczyna, dzięki której jest ono centrem i kierownikiem gospodarczego życia kraju i powód tworzenia się armji robotników bez pracy. Istnieje ona w każdem wielkiem mieście rok okrągły, a w miesiącach zimowych w Londynie, Paryżu, Berlinie, a i u nas w Warszawie, liczą dziesiątki tysięcy, nie bojowników pracy, lecz, niestety, jej chwilowych i przymusowych inwalidów.

Miasta dzisiejsze skarżą się również na przewyżkę kobiet. Jest ona przecież niewiele większą niż w całym kraju, a wobec stosunków miejskich stuleci poprzednich widać raczej zmianę ku lepszemu. Przewyżka kobiet tam tylko jest bardzo znaczną, gdzie rozwijają się przeważnie przemysły zatrudniające kobiety.

Owe stosunki odbiegając od normy, ułatwiają anarchję produkcji dzisiejszej; zbytnia podaż rąk zniża zarobki, niepewność i zmienność zajęcia sprowadza nędzę i najgorsze następstwa moralne i hygieniczne, a miasta zasilane przez ludzi w sile wieku, o małej względnie liczbie dzieci, mają jednak wyższą śmiertelność od przeciętnej w kraju, z powodu nędzy i nadużyć wszelkiego rodzaju. Z biegiem czasu, dzięki poprawie warunków mieszkalnych, lepszej wodzie, większej czystości i ściślejszemu nadzorowi nad hygieną, zmniejsza się śmiertelność wogóle, a wysokość jej po miastach nie odskakuje już tak niekorzystnie od ogólnej.

Charakterystyczne dla wielkiego miasta właściwości potęgują się w osadzie przemysłowej. I tu widzimy przewagę ludności w wieku produkcyjnym, którą przyciąga określony i pewniejszy zarobek, zróżnicowanie ludności, idące tak daleko, że Anglja swoje miasta przemysłowe dzieli na żeńskie i męskie *(He- and She-towns)* zatrudniające przeważnie kobiety lub mężczyzn. Pod względem moralnym, jak i hygienicznym, stoją miasta przemysłowe jeszcze niżej od wielkich. Ludność miast wielkich powstała z różnorodnych elementów; mieszkańców miast przemysłowych zjednoczyła tylko chęć zysku, czy zarobku, która to góruje nad wszelką inną dążnością. Już w zewnętrznej swej postaci noszą przemysłowe osady wszystkie cechy objawów wtórnych; powstały one jako dodatek do fabryk i warsztatów i są też schronieniem ludzi, których egzystencja, myśl cała wytężają się ku celom przemysłowego wytwarzania, którzy uważają się, nie za cel, lecz za środek umożliwiający życie gospodarcze.

Przejedźmy (chodzić tu nie można, brak bruku, a przestrzenie są ogromne) po Sosnowicach, czy Dąbrowie; odwiedźmy choćby bogatą Łódź. Co tu za dorywczość, jaki brak planu, co za zaniedbanie warunków estetyki, celów kulturalnych, jakie pomijanie najprostszych warunków wygody i hygieny! Nie bieda jest tego przyczyną. Pieniędzmi rzuca się tu nieopatrznie, wyrobnik nawet znaczne wydatki na życie ponosić musi: obok chat nędznych jakież pa-

łace wspaniałe, powozy, tualety! Powodu szukać raczej należy w tem, że żadna warstwa osadników nie obrała tu sobie stałej siedziby, że nie wytworzyły się tradycje, przywiązanie, że napływowa ludność nie zrosła się uczuciem z miejscem swego zamieszkania; brak tu sympatji, która nawet niedogodności znosić pozwala, utożsamiając otoczenie z człowiekiem. Dbamy o pozór miejsca, z którem związane są nasze tradycje rodzinne, wspomnienia dzieciństwa, przyszłość naszych dzieci. Bogacze stają się protektorami swoich miejsc rodzinnych. Wyrabia się niekiedy moda przekazywania majątków, albo czynienia zapisów dla miasta (np. w Genewie), a i najbiedniejszym dostępne jest uczucie przywiązania do rodzinnego miejsca, stwarzając wspólny przedmiot sympatji dla wszystkich klas ludności. W mieście, czy w osadzie przemysłowej, przywiązania podobnego nie znać...

W Europie środkowej i wschodniej miasta przemysłowe są względnie nowem zjawiskiem. Właściwą ojczyzną ich Anglja, są Stany Zjednoczone, gdzie wzrost ich jest najszybszym, specjalizacja idzie najdalej, a charakter przemysłowy, zaakcentowany wyraźnie, nie razi i nie dziwi nikogo. Tym dwom typom miast nowoczesnych upodobniają się wszystkie inne. Miasta, które, sądząc po spisach ich w Baedekerze np., nosić-by powinny dziś jeszcze typ średniowieczny w najczystszej formie, przeobrażają się w przemysłowe z szybkością ogromną (Norymberga, Królewiec np.); prowincjonalne przybrać się starają typ stolicy; u granic miast dawnych, niezmienionych w strukturze i typie ludności, powstają przemysłowe dzielnice, których jedyną ozdobę stanowią chyba ceglane, wysokie kominy, a w typie ludności przeważa robotnik fabryczny. Stare miasta handlowe i portowe przeobrażają się w nowoczesne miasta wielkie, specjalizując przytem swój handel. I tak np. Manchester traci stopniowo charakter centrum wytwórczego, przemysł bawełniany przenosi się z niego do okolicznych miast i wiosek pomniejszych, pozostawiając jemu rolę środowiska handlowego dla materjałów surowych i wyrobów obcych. Handel wielki i tranzytowy obrał sobie siedzibę w Londynie, w Hull, Liverpoolu, Glasgowie i t. p.

Wspominało się kilkakrotnie o potwornie szybkim wzroście miast współczesnych. Wszędzie, gdzie zapuścił korzenie kapitalistyczny ustrój, ludność miast rośnie szybciej, niż średnio w całym kraju. Obserwować przy tem można fakt, który popiera przekonanie, jakoby prawa fizyczne rządziły społecznemi zjawiskami, wielkie miasta bowiem przyciągają najwięcej ludności, jak owe wielkie masy, które największą mają siłę atrakcyjną. Czemu jednak owa atrakcja działać poczęła w naszem stuleciu dopiero? I tak np. Paryż, licząc od drugiej połowy XVII stulecia do początku naszego, powiększył swą ludność o 11%, w ciągu następnych lat 86 o 326%. Berlin w naszem stuleciu wzrósł o 665%, Warszawa, która pod koniec zeszłego wieku liczyła koło 100, ma dziś już przeszło sześć kroć sto tysięcy. Podobny wzrost odnaleść można w Brukselli, Wiedniu, Londynie. Ale miasto wielkie to aglomerat różnorodny, nietylko co do składu swej ludności, ale i co do swych

części. Dawna część miasta zabudowana jest tak ciasno i tak zwykle przepełniona ludnością, że dalszy wzrost nie jest możebny. Ludność dawnej części miasta w Berlinie i Kolonji np. zmniejsza się nawet, podczas kiedy całe miasto rośnie. Najszybciej powiększają się przedmieścia, stanowiąc dowód przyciągającego oddziaływania przemysłu. Przedmieścia Paryża zwiększyły się np. 67 razy od początku stulecia.

Musielibyśmy ludności miejskiej przypisać bajeczną siłę rozrodczą, gdybyśmy chcieli powiększanie się miast współczesnych tłómaczyć naturalną przewyżką urodzeń nad zejściami. Przewyżka ta stanowi małą tylko część nowoprzybywającej ludności; oprócz tego okolica bliższa i dalsza wyludnia się na korzyść miasta. Samo jego istnienie rzuca ferment w istniejące stosunki wiejskie, wytwarza ruch wśród ludności, rozkłada dawne formy współżycia, porywając młode pokolenie w wir ogólno-światowego ruchu. Nieokreślone częstokroć nadzieje poprawy losu, pragnienie wiedzy, zajęcie się nauką czy sztuką, przeczucie szerszego, swobodniejszego życia, rosnące potrzeby i wymagania nowoczesnych ludzi — wszystko to przyciąga do miasta. Monotonię lub biedę wiejskiego życia zastępuje przeto mniej pewna, często gorsza pod względem materjalnym egzystencja w wielkiem mieście, ludność płynie doń ze stron wszystkich. Miasto się rozrasta, a z zamieszkałych w niem elementów najszybciej rośnie proletarjat, towarzysz nieodłączny skupiania się kapitałów i ludności.

Odwrotne zjawisko odpływania żywiołów miejskich na wieś dokonywa się w słabszej mierze. Robotnicy, a zwłaszcza wyrobnice miejskie, udają się na czas krótki np. podczas żniw, w okolice przedmiejskie; poznać je łatwo po bladych, nieogorzałych twarzach i mniejszej zręczności we władaniu sierpem. I na kapitalistów i przemysłowców miejskich wywiera posiadanie własnego kawałka ziemi czar nieprzeparty, który skłania ich do nabywania majątków ziemskich lub chociaż drobnych kawałków ziemi.

Miasto wytwarza więc dokoła siebie ruch nieustanny, przez co staje się centrem gospodarczego i społecznego życia. Już plany kolei żelaznych wskazują, że wielkie miasto jest środkiem, do którego zbiegają się wszelkie arterje komunikacyjne w kraju. A więc w Prusach, gdzie koleje żelazne są przeważnie w ręku państwa, centrem ruchu jest Berlin, od którego jak promienie biegną tory kolejowe we wszystkich kierunkach do miast większych: Poznania, Wrocławia, Drezna, Lipska, Halli, Magdeburga, Bremy, Hamburga, Rostocku, Szczecina i Gdańska. We Francji linje kolejowe mają kształt sieci pajęczej — pająkiem, który je ze siebie wysnuwa, jest Paryż. Ośrodkowe promienie połączone są znów z sobą linjami lokalnemi, co razem tworzy siatkę. I Warszawa jest, jak wiadomo, centrem, od którego rozchodzą się na wsze strony linje kolejowe. Wzdłuż najważniejszej z owych arterji ruchu, koleji wiedeńskiej powstały fabryczne osady i miasta; najważniejsze zaś z naszych miast przemysłowych. Łódź, jest pobudką do budowy całej sieci linji kolejowych, które więcej jeszcze ożywią okolicę, i tak już usianą osadami fabrycznemi i domowemi warsztatami tkaczów i przędzalników.

Nowoczesne miasto wpływa przeto na rozwój komunikacji, nietylko na Zachodzie, wśród rozwiniętych warunków ekonomicznych, ale i w krajach ekonomicznie zacofanych. Wymownym tego przykładem są Węgry. Od r. 1870 mniej więcej staje się Peszt ogniskiem przemysłowem, przyciąga wielkie masy ludności, wzrasta z nadmierną szybkością, ożywia kraj, powołuje do życia linje kolei żelaznych. W 1889 roku czynią Węgry pierwszą próbę zniżenia i uproszczenia taryf, wprowadzając system strefowy, naśladowany już w całej Austrji i Rosji, a wywołany wpływem wielkiego miasta.

Miasta również wytwarzają potrzebę drobnych linji lokalnych dla celów przemysłowych i handlowych, wprowadzają systemy komunikacji podmiejskiej. Natłoczona ludność musi bowiem dążyć do miejscowości, gdzie byłaby mniej skupioną, miasto się decentralizuje, a przedmieścia zapełniają. Pod każdem wielkiem miastem, o godzinie piątej lub szóstej z rana, budzą podróżnika, jeżdżącego demokratycznie trzecią klasą, tłumy robotników płci obojej, dążące do pracy.

Co w Europie jest jeszcze wyjątkiem, jakkolwiek powtarza się często, stało się już ogólnem prawidłem w nowszych miastach amerykańskich. Miasto dzieli się na centrum, obejmujące gmachy publiczne, biura, handel i przemysł i na koncentryczne koła oddzielone przez skwery, ogrody i łąki, a zabudowane przez wille bogaczów i domy mieszkalne uboższej ludności. Koleje miejskie i tramwaje przenoszą mieszkańców z obwodu do centrum. Mieszkanie po za obrębem właściwego miasta stało się powszechnem.

Inne drogi nowoczesnej wymiany powstały również po miastach. Miasta włoskie, które tak wcześnie przybierają cechy nowoczesne, są ojczyzną banków już od drugiej połowy Wieków Średnich. W Europie środkowej najpierwsze banki pojawiają się w miastach handlowych, t. zw. wolnych. Już pod koniec XV stulecia spotykamy bank w Lubece. Wielkie banki i giełdy, które regulują ekonomiczne życie całych krajów, nie mogłyby się wytworzyć zdala od wielkich miast, które skupiają wszelkie obroty pieniężne, wszelkie tranzakcje handlowe, cały postęp przemysłu. Pierwsze wielkie miasto nowoczesne, Londyn, posiada pierwszy wielki bank ogólno krajowy (angielski) już od końca XVII stulecia. Na wzór banku angielskiego potworzyły się we wszystkich stolicach banki, ześrodkowujące ekonomiczne objawy życia całego państwa, tak jak i rozwój ekonomiczny podążył wszędzie tym samym szlakiem, co w Anglji. Giełdy miast wielkich rządzą cenami świata, a olbrzymi napływ kontrahentów wszelkiego rodzaju jest niejako symbolem gospodarki naszej, chaotycznie goniącej za zyskiem. Jedno i drugie to — następstwo gospodarczego rozwoju, tak samo jak wielkie miasta, w których się mieszczą, których są po części wytworem. Bez miast wielkich powstać-by nie mogły istytucje kompensacyjne *(clearing houses)*, które, jak wiadomo, ułatwiają wzajemne porozumienie się domów bankowych i pozwalają na dokonanie wielkich spłat bez użycia jednego rubla. Tylko tam, gdzie, jak w nowoczesnem mieście, skupiło się całe życie gospodarcze, gdzie wykształciło system kredytowy, powstać mogą takie miejsca spłat wzajemnych.

Nie mniej niż handel zależną jest bezpośrednio od miast nowoczesnych wytwórczość całego kraju. Wspomniało się wyżej, o koncentracji ludności i kapitałów, nieznanej żadnemu z poprzednich stuleci. Dzięki jej, wszelkie zjawiska kapitalistycznej gospodarki otrzymały w miastach nowoczesnych najbardziej typowy swój wyraz. Tylko tu widzimy instytucje wprost zależne od rozwoju życia wielkomiejskiego. A więc olbrzymie magazyny detaliczne, obliczone na wygodę konsumentów, liczące się z tem przyspieszonem tętnem życia wielkomiejskiego, które od razu zaspokoićby chciało wszystkie swoje potrzeby. Magazyny takie, zwłaszcza jeżeli mają towary tanie, choćby liche, robią wrażenie nieustannego jarmarku: zawsze tu tłumno, gwarno, setki sprzedających na różnych piętrach, parę dziesiątek kas z biurowem urządzeniem, tłumy publiczności, zwłaszcza kobiet. Już samo patrzenie na tak różnorodne i liczne przedmioty, gdy się kupuje choćby drobiazg, jest dla kupujących przyjemnością: a cóż mówić o przepysznem urządzeniu poczekalni, czytelni, bufetów np. w paryskiem „Printemps“ lub „Au bon marché“! Jak wielkie magazyny uważać można za przykład skupienia różnych rodzajów handlu, tak znowu w centralnych bydłobójniach przejawił się ten sam pierwiastek scentralizowania w celu najłatwiejszego doglądania niezbędnych spożywek. Ta sama dążność przejawia się tedy w dwóch odrębnych sferach życia. I tak np. w znanej mi bydłobójni berlińskiej nie chodzi o humanitarne sposoby zabijania zwierząt; przeciwnie, sposoby te są arcy-pierwotne, a ześrodkowanie wywołała potrzeba nadzoru nad zdrowotnością każdej sztuki mięsa; chore lub niepewne kawałki zużywa się na cele przemysłowe. Miasto broni swych mieszkańców od oszustw, o które przy spożywanych co tygodnia dziesiątkach tysięcy sztuk, byłoby nie trudno. Każde zwierzę opatrzone być musi potrójnem świadectwem, każda sztuka mięsa opieczętowana przez weterynarza, każdy podejrzany kawałek zbadany pod mikroskopem. Poprawa zdrowotności miast i zmniejszona śmiertelność stoją niezawodnie w zależności od tego rodzaju ulepszeń.

Opieka, jaką średniowieczne miasto rozciągało nad wytwarzaniem, ustąpiła przeto miejsca czujności nad spożyciem. A wielkie miasto to spożywca tak olbrzymi, że stosować się doń musi cała gospodarka kraju. Wśród gospodarki rolnej powstają zależne od blizkości z wielkiem miastem lub korzystnych z niem połączeń strefy wytwarzania: pod miastem gospodarstwa posiadające małą przestrzeń rolną, ogrody dla dostarczenia produktów mlecznych, owoców, warzywa, kwiatów. Gospodarka tu intensywna, bo ziemia droga, każdy jej kawałek zużytkować trzeba, a kto potrafi wyzyskać kupczą siłę miasta, dużo może zarabiać. Gospodarka odległa, lub nieposiadająca odpowiednich z miastem połączeń, przerabia produkty swoje na miejscu, gdyż korzystniejszem jest dostarczanie mąki, spirytusu, piwa, cukru niż materjałów surowych, z których produkty te się wytwarza. Lecz i miasto, może nawet w wyższym stopniu, zależne jest od wsi, jako głównego wewnątrz kraju spożywcy swoich towarów. Wszystkie przemysły, cały handel miejski odczuć musi przesilenie rolne, spadnięcie cen na produkty rolnictwa, albo nieurodzaj. Jest to tem dotkliwsze, że umniejszenie

dochodów z rolnictwa zawsze prawie jest ogólnem, obejmuje przeto całą ludność, jeżeli nie kraju, to okolicy. Miasto dostarcza produktów, bez których rolnik w ostateczności obejść się może, spożycie jest tu dowolnem i nie tyle zależy od potrzeb istotnych, co od możności kupowania. Spożycie produktów dostarczanych przez wieś ograniczyć trudno: — miasto spożywać je musi. Kryzys przemysłowa lub handlowa nie obejmuje nigdy wszystkich gałęzi przemysłu — zwykle jedną i wszystkie od niej zależne. Wyobraźmy sobie bojkot ze strony spożywców, bojkot, którego w rzeczywistości nigdy nie było i nie będzie, ale który łatwiej pomyśleć ze strony wsi, niż miasta. Gmina miejska dla zaspokojenia potrzeb zwrócić by się mogła tylko do zagranicy.

Nie można mówić o gospodarczym wpływie nowoczesnego miasta, nie uwzględniwszy ważnego czynnika gospodarki dzisiejszej, jakim jest moda. Moda wytworzyć się może tylko w mieście, tu bowiem ludzie nieustannie się spotykają, co im daje sposobność do porównań. Budzi się przeto chęć posiadania tego, co nie jest jeszcze dostępnem dla ogółu, albo też dążność wyrównania innym. Technika okresów wcześniejszych nie pozwalała wytworzyć się modzie i częstym zmianom, znanym dziś w każdym zakresie. Trwałość była niezbędną właściwością każdego z przedmiotów użytku, a różnice między pojedynczymi stanami w społeczeństwie powstrzymywały naśladownictwo. I dawniej przecież skarżono się, że białogłowy hołdują modzie, a prawa przeciwko zbytkom świadczą, iż stany niższe naśladować się starały zwyczaje wyższych. Ale dopiero z powstaniem wielkiego miasta czasów nowych, wytworzyć się mogła dzisiejsza powszechność i zmienność mody. Wśród wielkomiejskiej ludności znajdzie się zawsze dość hołdujących każdej nowej modzie osobników, aby się stała normą; elementy miejskie odnawiają się tak nieustannie, że i mody i pomysły do nich równie często odnawiać się muszą.

Do współczesnego przemysłu wniosła moda jeden więcej element niestałości, stała się pobudką do nowych pomysłów, do ulepszeń technicznych, wywołała elastyczność przedsiębiorstw dzisiejszych. Gdy modne tej zimy koronki po paru lub kilku miesiącach elegantki nasze zastąpią haftami, koronczarki nie będą mogły przystosować się do tej zmiany, bo istnieje przemysł hafciarski, czekający tylko na tę modę, aby pochwycić skwapliwie sposobność zarobku. Moda jest również jednym z pierwiastków zbytku, który dziś nie tyle polega na wartości i cenie przedmiotów, na ich zaletach estetycznych, ile na częstej ich zmianie. Bogacz zmienia urządzenie swego domu, obicia, powozy równie często, jak elegancka jego żona — kapelusze i suknie. Produkcja dzisiejsza zaś, dostarczając przedmiotów gustownych a tanich, surogatów w każdym kierunku, hołdowanie modzie umożliwia nawet klasom mniej zamożnym.

* * *

Spojrzyjmy raz jeszcze na znaczenie miast wielkich w gospodarce dzisiejszej, a dostrzeżemy, że są one tak typowo nowoczesnemi wytworami, iż wcieliły w siebie w stopniu najwyższym wszelkie właściwości gospodarki kapitali-

stycznej. Napływ ludności z zewnątrz wywołuje wielkomiejskie przeludnienie i stałą armję robotników bez pracy, pojawia się nagromadzanie kapitałów, które stwarzają w mieście nadmiar przedsiębiorstw i zawzięte między niemi współzawodnictwo, a wieś pozbawiają kapitału i sił roboczych. Przedsiębiorstwa miejskie, prywatne skupiają się w tak potworne aglomeraty, że ani siła pojedyńczego człowieka kierować niemi, ani kapitał jednostkowy zasilać ich nie jest zdolnym. Jako następstwo tych warunków społeczno-gospodarczych pojawia się proletarjat, ten nawskróś miejski nowoczesny element ludności, którego przyszłość i działalność polityczna zaprzątają dziś uwagę myślącego świata.

Klasa ta występuje na arenę życia jednocześnie z wielkiem miastem i z osadą przemysłową, gdyż, jak one, jest wytworem współczesnych warunków gospodarczych. Istnieli zawsze ubodzy i bogaci, ale różnice położenia nie stanowiły nigdy takiej, jak dziś, przepaści, nigdy tak, jak dziś, istnienie robotnika pozbawionego narzędzi pracy nie było warunkiem niezbędnym dla rozwoju przemysłu. Jednak to dopiero ramy i grunt dla nowoczesnego proletarjatu, aby przeobraził on się w klasę; do warunków zewnętrznych przybyć musiała świadomość położenia. Proletarjusz odczuć musiał, że jest tylko jednym z wielu, że siły jego w nierównej walce nic zdziałać nie mogą, że koniecznem jest oparcie się o całą klasę robotniczą, solidarność z nią i wspólne dążenia.

Świadomość i solidarność proletarjatu, która ogarnęła dziś już świat cały — to niewątpliwie produkt współżycia w wielkiem mieście. Tu odczuła klasa robotnicza po raz pierwszy położenie swoje, słabość dzisiejszą, siłę przyszłą i jej warunki. Tu zorganizowała się wielka masa złączonych wspólną niedolą proletarjuszów, żyjąca w owem odosobnieniu, jakie wśród huku wielkomiejskiego wytwarza się dokoła biedaków. Miasta wielkie były świadkami przebudzenia się proletarjatu w 48-m roku: one są dziś siedzibą robotniczych organizacji, które najłatwiej powstać mogą w wytworzonych przez nie warunkach współżycia. Proletarjusz dzisiejszy, to nietylko robotnik wykonywający ręczną pracę, ale każdy, kogo warunki ekonomiczne postawiły w położeniu jednostki, która jedynie na siebie, na siły i zasoby swej inteligencji liczyć może. Na imię mu miljon, ojczyzną jego wielkie miasto, a kolebką gospodarcze życie współczesne. Brak mu może właściwości ludzi dawnych, sharmonizowanych z otoczeniem, zadowolonych i pewnych gruntu, na którym stoją; ale on jest człowiekiem nowego pokolenia, które dostroić się potrafi do nowych warunków społecznych i warunkami temi zawładnąć.

Gdyby jakaś zaświatowa sprawiedliwość, nie zadawalając się przeświadczeniem, że miasta nowoczesne są koniecznym etapem na drodze ekonomicznego rozwoju, że są rezultatem życia współczesnego i punktem wyjścia dla nowego układu stosunków między ludźmi, ocenić chciała dodatnie i ujemne ich strony, nie wydałaby chyba na nie wyroku potępienia. Wielkie miasto zrobiło z człowieka nowych czasów to, czem on jest dzisiaj, a więc istotę, w której siła nerwowa przeważa nad mięśniową, której wrażenia wysoce zróżnicowane, a wrażliwość subtelna i wysoka obejmują szerokie sfery. Umysł nowoczesnych

ludzi, wytworów i twórców wielkich miast, elastyczny i oddziaływający na wszelkie pobudki, skory do przyjmowania wrażeń nowych, wytworzył światopogląd, który nie cofa się przed krytyczną miarą nawet wobec najszanowniejszych zabytków dawniejszych, strąca z piedestałów bogi, które sam postawił, a ma tylko jedno hasło naprzód i jedną wiarę — w przyszłość.

Kraków. *Dr Zofja Daszyńska.*



Pojęcia mechaniczne Mikołaja Kopernika.

Nieśmiertelne dzieło: „O obrotach ciał niebieskich“, prócz bezpośredniego swego znaczenia w dziejach astronomji, budzi zaciekawienie czytelnika, jako wyraz ogólnych poglądów naukowych i filozoficznych Kopernika. Astronom, podejmujący rozwiązanie najwyższego zagadnienia, które miało sprawić olbrzymi przewrót w umysłach i wpłynąć głęboko na bieg rozwoju ludzkości, nie mógł nie rozważyć wszechstronnie związku pomysłów swoich z innemi naukami, nie mógł też poglądów swych nie poddać krytyce ze stanowiska ówczesnej wiedzy filozoficznej. Ślady tej krytyki i tych rozmyślań długoletnich widoczne są w niektórych ustępach dzieła, niezmiernie ciekawych dla filozofa i historyka wiedzy. Nie możemy tu zająć się szczegółowo przedmiotem tym, i dlatego rozpatrzymy tylko grupę pojęć mechanicznych, ściślej mówiąc, dynamicznych, które można wydzielić z wykładu w I-szej księdze dzieła głównego oraz z ciekawego zabytku rękopiśmiennego, niedawno odkrytego[1]), a będącego niejako zapowiedzią wydania wielkiego traktatu.

Jest rzeczą jasną, że Kopernik-astronom był przedewszystkiem matematykiem i że wywody matematyczne stanowią u niego główną osnowę rozumowań. Zawody astronoma i matematyka były i są z sobą ściśle złączone, ściślej może wówczas niż obecnie. Dziś specjalizacja i podział pracy dzielą zazwyczaj owego astronoma od zawodowego matematyka. Przygotowanie matematyczne dla astronoma jest oczywiście nieodzowne, lecz specjalność jego nie wymaga zagłębiania się w spekulacjach czysto matematycznych; korzysta on z badań teoretycznych i stara się przystosowywać je do swoich potrzeb. W czasach Kopernika wiedza czysto matematyczna była ubogą; kto chciał być astronomem, musiał wiedzę tę całkowicie posiąść, musiał sam nieraz stwarzać sobie środki badania matematycznego. Winniśmy wszakże nadmienić, że pod nazwą

[1]) *Nicolai Coppernici de hypothesibus motuum coelestium a se constitutis Commentariolus* (Odkryty przez M. Curtze'go w 1878 r.)

matematyki obejmowano wtedy nietylko matematykę czystą (arytmetykę i geometrję), lecz zaliczano też do niej gałęzie matematyki stosowanej i fizyki. „Astronomja, powiada Kopernik w przedmowie do swego dzieła, wspiera się na wszystkich umiejętnościach matematycznych: arytmetyka, geometrja, optyka, geodezja, mechanika i wszystkie, jakie tylko być mogą, do niej się odnoszą".

Jako matematyk posiadał Kopernik całą wiedzę ówczesną, jak to widać z jego dzieła i jak to stwierdzają pozostałe w puściźnie po nim książki, których w studjach swoich używał. O badaniach jego czysto-matematycznych świadczą między innemi: cały rozdział księgi, poświęcony nauce o trójkątach, trygonometrji w dzisiejszem znaczeniu, który wyszedł też jako oddzielna książka; oraz pomysł wprowadzenia pojęcia siecznej, który w papierach po nim pozostał.

Mechanika — mamy tu na myśli dynamikę — jako umiejętność teoretyczna w znaczeniu obecnem nie istniała za czasów Kopernika; to też poglądy jego z dziedziny mechaniki nie stanowią w dziele „O obrotach" oddzielnej jakiejś całości, lecz są rozproszone po rozmaitych ustępach, zwłaszcza księgi Iszej. Dowody mechaniczne, na jakie wówczas stać było naukę, nie mogły być, oczywiście, pominiętemi i Kopernik czerpał je ze źródeł ówczesnej mądrości w mechanice. Źródła te były skąpe, doświadczenie nie grało w nich żadnej roli i wszystko prawie opierało się na teorjach metafizycznych Arystotelesa oraz scholastycznych jego interpretatorów. Gieniusz Kopernika nie umiał wprawdzie wydobyć się całkowicie z więzów mechaniki scholastycznej, jak to stwierdzają przytoczone przez nas niżej wyjątki; ale też i poglądy panujące w owej epoce nie potrafiły mu zasłonić drogi jasnej i wprost do zamierzonego celu prowadzącej. Zasadą, która uratowała go od zbłąkania się na manowcach od rzeczywistości dalekich, było przekonanie o prostocie natury i doskonałości jej tworów. Była to dla Kopernika zasada, nietylko metodologiczna, lecz zarazem i czysto metafizyczna; tkwiła ona w założeniach jego mechaniki i pozwoliła mu dotrzeć do prawdy, jakkolwiek nie całkowitej.

W pracy rękopiśmiennej, wyżej przez nas przytoczonej, opowiada nam Kopernik w jaki sposób, zastanawiając się nad teorjami Starożytnych, wpadł na pomysł swego systemu. Komplikacja układu Ptolemeuszowego wydawała mu się niedość doskonałą i niedość zgodną z rozumem. „Gdy więc to zauważyłem — powiada — często przemyśliwałem, czy nie dałby się odnaleść daleko racjonalniejszy porządek kół, od których zależałaby cała pozorna rozmaitość; porządek, przy którym wszystko poruszałoby się jednostajnie, jak tego wymaga natura ruchu doskonałego. Gdym do tego bardzo trudnego i prawie nierozwiązalnego zadania przystąpił, okazało się, w jaki sposób to może być wyjaśnione krócej i daleko odpowiedniej niż dawniej, mianowicie, jeżeli przyjmiemy pewne założenia zasadnicze, które nazywamy aksjomatami". Wylicza następnie siedm tych aksjomatów, streszczających znane zasady jego systemu. Wielkie dzieło Kopernika jest rozwinięciem i gruntownem uzasadnieniem tych postulatów. W tem-to właśnie rozwinięciu, używając wywodów matematycznych, opiera się Kopernik na wspomnianej zasadzie celowości i dosko-

nałości, którą swe rozumowania niejednokrotnie popiera. Zdania jego brzmią przytem niekiedy bardzo scholastycznie. Tak n. p. w rozdziale VIII księgi I-ej czytamy: „Nic zaś porządkowi całości i układowi świata tyle się nie przeciwi, jak znajdowanie się zewnątrz swego miejsca. Bieg więc prostolinjowy służy tylko ciałom nieodpowiednio się znajdującym i niedoskonałym co do swej natury, gdy się odłączają od swej całości i przestają z nią tworzyć jedność". I dalej: „Stan nieporuszalności uważa się za szlachetniejszy i bardziej boski, niż stan zmienności i niestateczności, i ten ostatni dlatego bardziej ziemi niż światu przystoi". W rozdziale X tejże księgi mówi: „Pierwszą i najwyższą ze wszystkich jest sfera gwiazd stałych, która siebie samą i wszystko obejmuje i dlatego jest nieruchomą; jest to miejsce wszechświata, do którego bieg i położenie wszystkich innych gwiazd odnosić można". Za to są tam niektóre ustępy, któreby śmiało można włożyć w usta filozofowi-empirykowi naszych czasów; takiem jest n. p. zdanie w rozdziale VIII: „Czy swiat jest skończony, czy nieskończony, pozostawmy to rozprawie fizjologów" (t. j. filozofów).

Zasada prostoty, oczyszczona z powłoki metafizycznej, okazała się płodną w badaniach naukowych; dziś nawet jeszcze nie utraciła ona swej wartości metodologicznej w naukach ścisłych. Można więc przypuścić, że dzięki jej, dzieło Kopernika czytane później przez znakomitych jego następców, mogło nie pozostać bez wpływu na metody badania naukowego.

Drugą ważną zasadą mechaniczną, którą Kopernik dobitnie wypowiada, jest zasada względności ruchów, rozróżnienie ruchów pozornych i rzeczywistych. W rozdziale V księgi I-szej czytamy: „Każda zmiana dostrzegalna w położeniu ciała następuje wskutek albo ruchu ciała uważanego, albo ruchu postrzegacza, albo przynajmniej nierównej zmiany obydwu. Ziemia jest stanowiskiem, z którego ów bieg (planet) uważamy". Wiemy, jak ważne znaczenie ma zasada względności ruchu w mechanice. Kopernik zasady tej teoretycznie nie rozwinął, wskazawszy tylko pierwszorzędne jej zastosowanie w swojej teorji planet.

Wyraz „siła" występuje wielokrotnie w dziele Kopernika, lecz w znaczeniu pospolitem, dalekiem od późniejszego ścisłego pojęcia dynamicznego, na które było jeszcze zawcześnie, ponieważ pojęcie „bezwładności", z którem pojęcie „siły" jest związane, weszło na horyzont wiedzy dopiero w XVII stuleciu.

Kilka razy, a zwłaszcza w ustępie rozdziału IX księgi I, mówi Kopernik o „sile ciężkości", określając ją jako „naturalne, przez boską opatrzność Stwórcy nadane ciałom dążenie, dzięki któremu ciała te łączą się w postaci kuli, nadając jej jedność i całość". Czy można w określeniu tem widzieć zarodek pojęcia siły ciążenia powszechnego a przynajmniej przyciągania ziemi, mocą której ciała spadają na ziemię? Tak sądzi Aleksander Humboldt [1]), uważając Kopernika pod tym względem za poprzednika Galileusza i Newtona. Przeciwko

[1]) „Kosmos" II, str. 348, 349.

temu poglądowi przemawia, zdaje się, ustęp wyżej przez nas przytoczony, w którym Kopernik bieg prostolinjowy ciał spadających przypisuje przyczynie czysto-metafizycznej „znajdowania się zewnątrz swego miejsca“ lub pewnej niedoskonałości natury ciał. Z drugiej wszakże strony należy nadmienić, że Kopernik wie o tem, iż „co tylko spada, z początku wolny ruch odbywając, zwiększa chyżość w czasie spadania“ (rozdział VIII księgi I) i że drugi swój postulat we wspomnianem pisemku „Commentariolus“ wypowiada w sposób następujący: „Środek ziemi nie jest środkiem świata, lecz tylko środkiem ciężkości (ziemskiej) oraz drogi księżycowej“. Zapewne, że środek należy pojmować tu czysto geometrycznie lub cynematycznie, lecz to zestawienie *gravitatis et orbis lunaris* jest bardzo ciekawem. Wszakże ostrożność naukowa nie pozwala nam wysnuwać daleko sięgających wniosków z powyższych twierdzeń, w których poglądy Kopernika nie mają dla nas dostatecznej jasności i nie mogą być oczywiście utożsamiane ze ścisłemi wynikami badań późniejszych.

Zgadzamy się z L. Langem, autorem pracy „O historycznym rozwoju pojęcia ruchu“[1]), która pobudziła nas do ponownego przejrzenia dzieła Kopernika, celem bliższego zbadania jego pojęć mechanicznych, że Kopernik, jakkolwiek nie daje stanowczych i jasnych określeń, przyczynił się wszakże do pewnego rozwoju tych pojęć, a swą zasadą teleologiczną prostoty zjawisk zasłużył się metodologji badań.

Większym atoli niż ten wpływ bezpośredni był wpływ pośredni dzieła Kopernika na postęp mechaniki. Rewolucyjna jego teorja musiała wywołać opozycję, której przywódcy szukali środków zaprzeczenia jej, między innemi także z motywów mechanicznych. Ruch wirowy i postępowy ziemi zdawały się zadawać kłam zasadniczym spostrzeżeniom życia codziennego, zdawały się obaleniem grozić ziemi i światu całemu. Stąd to nauka Kopernika pobudziła do refleksji nad ruchem i spadkiem ciał, które doprowadziły wreszcie do prób doświadczalnych, uświetnionych wielkiemi odkryciami Galileusza i zwycięstwem nauki Kopernika. Gieniusz naszego astronoma w głębokiem poczuciu zdobytych prawd żywił przekonanie, że teorja jego jest nietylko interpretacją gieometryczną ruchów w układzie planetarnym, lecz jest czemś więcej: że jest „prawdą fizykalną“ jakbyśmy to dzisiaj powiedzieć mogli. Nie była to więc, jak przypuszcza Mansion[2]), w rozumieniu Kopernika, nowa hypoteza sztuczna, lecz prawdziwa teorja układu świata. Na stwierdzenie swego przekonania nie miał Kopernik w swoim czasie innego kryterjum nad prostotę planu i zgodność dedukcji, wypływających z przyjęcia ruchu ziemi i nieruchomości słońca. Późniejsza wiedza stwierdziła to przeczucie, dała kryterja nowe i stanowcze i zapisała imię Kopernika nietylko pomiędzy wielkimi astronomami, ale i pomiędzy przodownikami myśli ogólno-ludzkiej.

Warszawa. *Samuel Dickstein.*

[1]) *Philosophische Studien*, t. III, str. 354 i dalsze.

[2]) *Sur les principes fondamentaux de la géometrie, de la mécanique et de l'astronomie*; porówn. *Wszechświat* Nr. 25 z r. 1893.

Koń w łaskach ludzkich.

Małe są dane, a potrzeba wielkiej wyobraźni, ażeby odtworzyć obraz narodzin i stopniowych postępów cywilizacji człowieka. Mimo ciekawe odkrycia archeologji: siekiery, noże, dzidy, harpuny, strzały krzemienne i kościane; — mimo chaty nawodne, wielkokamienne dolmeny, kromlechy i menhiry, owe grobowce olbrzymów, rozsypane po kuli ziemskiej, gęsta mgła zasłania tę dobę, gdy przyroda, jakby z litości nad nędzą człowieka, podała mu do ręki kamień i nauczyła go rozniecania ognia. Zaprawdę, nie musiały to być szczęśliwe złote wieki, jak chcą poeci!

Dokoła człowieka żyły miliony wrogów. Jak uchem sięgnął, słyszał on ich straszne wycie, ryk, zgrzyt, syk i w przerażeniu uchodził do ciemnych jaskiń. Był wtedy niewolnikiem zwierząt, panujących nad nim majestatem grozy, strachu, a najgłówniejszy oręż jego walki stanowiła ucieczka.

Dopiero zbrojny w kamienną maczugę, obznajomiony ze sztuką rozniecania ognia, mógł już rozbijać czaszki potworów, lub płomieniem odstraszać wrażą zgrają. Pijąc wówczas krew, zjadając ciała tych nieprzyjaciół, doświadczał zapewne słodkich, choć nieczęstych uczuć zwycięstwa. I miewał chyba wtedy już chwile, w których zwracał swe oczy ku słońcu, ku gwiazdom nieba.

Atoli długich wieków będzie potrzeba na to, aby dziki łowca znalazł wśród zwierząt przyjaciół, towarzyszy, pomocników, — aby mordem okrwawioną maczugę myśliwską zamienił na kij pasterski. Prawdopodobnie pies pierwszy znalazł się u ludzkiego ogniska, dając ze siebie przykład, jak wierne może być zwierzę. Czujny i pracowity strażnik, mądry, dzielny i posłuszny pomocnik w łowach musiał teraz odrabiać na rzecz swego pana ciężką pańszczyznę.

Z okropnej niedoli wydobywał się człowiek w miarę tego, jak się pojawiały obok niego oswojone zwierzęta. Nie groziła mu nędza, gdy miał psa, wołu, owcę. Już wtedy nie tak często brzmiały po kniejach straszne jego okrzyki, a odzywały się niekiedy spokojne hymny i z ust ludzkich wychodziły pierwsze słowa mądrości. Jednakże więcej sił było potrzeba, ażeby kosztem ich stary niewolnik został królem stworzenia. Na jego wielkość i uszlachetnienie musiały się złożyć wszystkie państwa przyrody.

Wyobraźmy sobie bujne dziewicze porzecza, błonia, czy wonne stepy, niemające granic, a po nich hasające stada dzielnych, rżących dzikich koni. Człowiek widział nieraz, jak tysiączna gromada tych wiatronogich, porwana szałem trwogi, puściwszy na wiatr grzywy i ogony, z rozgłośnym tententem goniła, daleko zostawiając za sobą jakiego mordem ziejącego wroga. Widział to i niepodobna, aby mu się nie nastręczyło pojęcie szybkiej miejscozmienności. „Oh, gdybym dosiadł grzbietu konia — mógł sobie wtedy pomyśleć — jak wicher przebiegałbym ziemię! Właśnie tych dzielnych nóg mi potrzeba, ażeby łatwo zwyciężać i łatwo przed zwycięzcą swoim uchodzić!“

Szlachetny rumak zgiął kolana, pochylił dumny kark i na grzbiet swój przyjął jeźdźca, który też wnet potem wyrósł na olbrzyma i z butą wykrzykiwał: „Gdzie stąpi kopyto mego konia, tam trawa nie porośnie!“ Bo gdziekolwiek dotarł, wszędy niósł swe panowanie i wywieszał tam zwycięski sztandar podboju. Nim fale zaniosły Kolumbów na dalekie lądy, koń był okrętem dla pierwszych odkrywców. Rumak i jego jeździec nie są to dwie oddzielne istoty. Na wierzchu głowa, u spodu nogi: rozum i wola zarządzają i kierują siłą; częstokroć atoli siłą tą kieruje namiętność również ślepa, jak szalona burza.

Dzieje ludzkich wierzeń są to dzieje ducha, dzieje dobrej i złej doli, upojeń szczęścia, uczuć uwielbienia, tęsknoty, wielkich pragnień, zawodów i bardzo dotkliwych cierpień, nadziei i strachu. W tę podróż człowiek zawdy brał ze sobą dobrego druha, wiernego towarzysza, szlachetnego konia, który też dzięki temu zajął miejsce na Olimpie i na Parnasie.

Starożytność umiała oceniać szlachetne przymioty konia, jego szybkość i wdzięczne kształty. Więc rumak — Pegaz zasłużył sobie nawet na apoteozę. Gdy się urodził, białe nimfy go wychowywały, wieńcami zdobne, w amforach podawały mu napój i troskliwie pielęgnowały konia, który od bogów ród swój wywodził. Piękny, wysmukły Pegaz ma na barkach skrzydła, co go z szybkością wiatru unoszą w przestworza. Kiedy poeta nadaje polot swym myślom i puszcza się w krainy wyobraźni, wtedy właśnie „dosiada Pegaza“. Na Helikonie, kędy zamieszkują muzy, uderzeniem kopyta otworzył Pegaz źródło, zwane stąd Hippokrene. Nietylko muzom on się wysługiwał, wzleciał w niebo, zamieszkał w pałacu Zeusa, a zaprzężony do wozu boga „bogów i ludzi“, woził jego pioruny. Ale niedługo był rumakiem gromów, gdyż Zeus podarował go uroczej bogini Aurorze, pragnącej posiadać rączego bieguna, aby módz szparko odbywać swą dzienną podróż po oceanie nieba.

Historya Pegaza nie do samych bogów się odnosi. Oto piękny młodzieniec Bellerofon, syn króla Koryntu, o bratobójstwo obwiniony, na obczyźnie szuka przytułku. Ten błędny rycerz starożytności miał liczne przygody, przeplatane, jak zwykle w takich razach, to miłością, to niebezpieczeństwem utraty życia, i stąd poszła wielka jego sława wśród ziomków. Raz przyszło mu pokonać Chimerę, straszliwego potwora, który pustoszył krainę Licji. Na szczęście, bogini Atene sprzyjała młodzieńczemu bohaterowi, zesłała mu z niebios Pegaza, a objawiając we śnie użycie wędzidła, nauczyła rycerza, jak ma po-

skramiać swego ognistego bieguna. Rażony pociskiem z grzbietu uskrzydlonego konia, potwór wyzionął ducha, a Bellerofon dokazał na Pegazie jeszcze innych świetnych czynów rycerskich i stał się narodowym bohaterem Koryntjan. Wówczas dumny szczęściem, powziął zuchwały zamiar dostać się na swym rumaku do Olimpu. Od tej chwili zaczynają się jego nieszczęścia, opiewane przez Pindara podobnie, jak i dzieła pełne powodzenia. Piorunem, rzuconym „od ucha“ z wszechpotężnej prawicy, Zeus zwalił szaleńca z grzbietu boskiego wierzchowca, a smutny i okaleczały weteran-bohater, jak nędzarz, tułał się już przez resztę życia po Cylicji. Los to wszystkich wysadzonych z siodła.

Jeszcze słynniejszą przygodę z nadprzyrodzonymi końmi miał inny, niemniej dzielny młodzieniec, nazwiskiem Faeton, na którego pochodzenie od bogasłońca rzucił był raz podejrzenie rówieśnik jego, Epafus. Zawsze ciężkim jest kamień obrazy, godzący w drażliwy punkt nieprawnego urodzenia. Każdy ambitny śmiertelnik gotów jest do ostatniej kropli krwi bronić czci swojej pod tym względem. Klęła się na wszystkie świętości zacna Klimena, matka Faetona, i uroczyście przed synem przysięgła, iż jest on potomkiem promienistego Feba. Młodzian nie poprzestał atoli na tem zaręczeniu i udał się osobiście do ojcowskiego pałacu, który leży aż na skraju ziemskiego kręgu, oblanego w koło przez niezmierzony ocean. Wielki rodzic nie wyparł się syna-śmiertelnika i poprzysiągł na Stygijskie wody, jako prawdę ojcowstwa gotów jest stwierdzić. — „Synu, — rzekł — czego tylko chcesz, żądaj odemnie, a uzyskasz!“ — I czegóż może żądać od ojca tak szlachetnie urodzony młodzieniec? Być tem, czem jest wielki jego ojciec! Faeton też zapragnął na jeden dzień władzy nad rumakami, zaprzężonemi do rydwanu ojca-Heliosa. Na wspaniałym, jasnym wozie, w cztery ogniste konie przejechać po niebie między gwiazdami, a potem bodaj umrzeć!..

Z początku bóg, już poważnemi przedstawieniami, już uwagami szyderczemi usiłował zrazić syna do szalonego przedsięwzięcia; ale Faeton namiętnie pragnął pokazać światu, kim jest, i od żądania nie odstąpił. Nawet bóg, ojcem będąc, miał słabe serce dla dziecka. Więc tylko udzielił synowi stosownych przestróg i nauk co do wielce niebezpiecznej jazdy po niebieskich torach, a potem mu oddał do rąk ster chciwych biegu rumaków. — Jazda!..

Z bram słonecznego zamku wypadł Faeton na niebieskie obszary i, kiedy z wyżyn spojrzał w niezmierzone głębiny pod sobą, dostał zawrotu głowy. Cztery ziejące ogniem bieguny wnet też poczuły, że woźnicą nie jest ich potężny mistrz, ale jakiś niewprawny nowicjusz. Aethon, Eous, Plegon, Pyrois rżeniem napełniły przestworza. Uciekają gwiazdy, znikają rogi księżyca i widać nieskończoną przestrzeń wszechświata. Szybko się toczy wóz wspaniały: oś złota i złoty dyszel, złote na kołach obręcze, a sprychy — srebrne; uprząż cała wysadzana chryzolitami i kamieniami najdroższemi. Rumaki rwą, ciętemi kopyty rozcinają powietrze i obłoki, wyprzedzają w pędzie wichry, i oto schodzą z właściwej drogi. Zabiegły najprzód na północ i w krainach hiperborejskich zapanowała taka spiekota, że mieszkańcy tamtejsi, dręczeni niesłycha-

nym żarem, kryli głowy w morzach, jeziorach, rzekach, a ludność krajów południowych kostniała podówczas z zimna. Następnie, niekarna i rozhukana czwórka zboczyła w lewo, i teraz woźnica z przerażeniem spostrzegł nad swą głową potwory niebieskiego zwierzyńca — Raka i Skorpiona. Aby ich uniknąć, skierował rozpędzone konie ku ziemi i to mu się udało; ale jakże straszne stąd skutki dla świata! Ziemia stanęła w płomieniach; gorzały góry z lasami; morza i wszystkie wody Afryki zakurzyły się kłębami pary; ludzie umierali z pragnienia. Przez rozpadliwej zeschłej ziemi promienie słońca zaświtały nawet w ciemnym jak grób Tartarze. Wyczerpany, upadły na siłach, młodzieniec napróżno usiłuje skierować w prawo roznamiętnione biegiem rumaki: nie były mu posłuszne, i lejce wypadły z omdlałych rąk zwątpiałego woźnicy. Wtedy właśnie wielki Zeus z wysokości spojrzał na te olbrzymie pożogi i boski jego umysł ogarnęła trwoga, aby straszliwy pożar nie objął także Olimpu. Cisnął więc z góry potężny piorun i strącił nim z wozu nienamaszczonego do takiej jazdy zuchwalca. Faeton spadł w Erydan, rzekę Italii, i tam grób znalazł.

Rozbiegły się w popłochu rumaki słońca, a Helios, urażony na Zeusa za zabicie syna, nie zasiadł tego pamiętnego dnia na swoim wozie; ale od pożarów płonącej ziemi i tak światu było jasno. Jeden szaleniec odważył się być słońcem, a zbłądził pomiędzy gwiazdami, zakłócił odwieczny porządek wszechświata i o mało nie spalił ziemi.

Miała swoje konie i Selene, księżyc, należąca do jednego rodzeństwa z Heliosem i Jutrzenką. Z głębin oceanu, odziana w szaty pełne blasku, w świetnym wieńcu z promieni wyjeżdża ona na sklepienie niebios w promienistym wozie, który ciągną wspaniałe bieguny. Bogowie na Olimpie mieli również swoje konie, podkute srebrnemi podkowami przez mistrza Hefajstosa, czyli Wulkana, co koniom tym nadawało szybkość wiatru. Na wiece przed pałac wszechpotężnego Zeusa, bogowie zajeżdżali w rydwanach wspaniałych. Stwórca konia, Poseidon, bóg morskich odmętów, chociaż ma na rozkazy przeróżne olbrzymy oceanu, zaprzęga jednak do swego wozu dwa rumaki o złotych grzywach. Wspaniale zaprawdę wygląda ten brat Zeusa „ziemią i morzem wstrząsający", z trójzębem w ręku, gdy krąży po rozległych wodnych przestworach, a jego hippokampy rwą cwałem, roztrącając fale piersią i kopytami, podkutemi spiżową podkową.

Na służbie u ludzi ciężko nieraz bywa zwierzętom; ale konia zrobił człowiek nosicielem swych bogów i swego geniuszu, najpiękniejszych swych myśli, najwznioślejszych uczuć. Gdzie chodzi o władzę, o potęgę, można wziąć za symbol lwa z jego wybrykami okrucieństwa i rzekomej wspaniałomyślności; orzeł stanowi obraz śmiałej i górnej myśli; ale rumak-Pegaz ponosi ideę ludzką, owianą gorącem, namiętnem uczuciem. I nie dziw — koń jest zawsze tam, gdzie ludzka krew płynie, gdzie wrą burze ludzkie, gdzie żary pieką.

Mitologja grecka jest tak pełna podań o koniu, że ich tutaj wszystkich przytaczać niepodobna. W przeciwstawieniu do szacunku, okazywanego temu pięknemu zwierzęciu, zarówno czasy nowożytne, jak i klasyczna starożytność

zgadzają się w upośledzaniu pokrewnego koniowi osła. Greczyn napiętnował ośle uszy, obdarzając niemi Midasa, krytyka, który dał pierwszeństwo fletowi Pana nad lutnią Apolina. Tego sromotnego symbolu głupoty nie zdołała przykryć frygijska czapka. Przyrzuconą błotem i przydeptaną tajemnicę oślich uszu zdradzała nawet wyrosła tam trzcina wodna, szepcąc nieustannie: „Król Midas ma ośle uszy!“ — Wielka nauka dla krytyków. Zresztą liczne bajki i piosnki z rozmaitych czasów przedstawiają też osła jako nieudolnego krytyka, gdy np. chodzi o wydanie sądu o śpiewie słowika i kukułki, lub — słowika i koguta. — Bez względu na swą użyteczność, upośledzony osieł wydaje się być nawet niższym od owego drewnianego konia pod Troją, z powodu którego Laokoon poniósł śmierć od wężów. W czasach najnowszych możnaby go nieco rehabilitować, zestawiając z bicyklem.

Starożytność rzadko kiedy przedstawia konia jako szpetnego potwora z charakterem wstrętnym i wrogim dla człowieka. Herakles, wcielony typ bohatera-awanturnika, Tezeusz, Perseusz i inni pokonywają straszne, osobliwe potwory, które się zowią: nemejski lew, lernejska hydra, erymantejski wieprz, kreteński byk (minotaur), piekielny pies (cerber), sfinks, chimera, gorgony itd. Tylko w ósmej pracy Heraklesa chodzi o uprowadzenie z Tracyi rumaków Dyomedesa, które pożerały ludzi.

Daleko osobliwszemi istotami były centaury (zabijacze wołów), albo hipocentaury, stanowiący dla sztuki greckiej przedmiot bardzo ulubiony i nader często przez nią wyzyskiwany. Objaśniacze mitów upatrują w centaurach lud myśliwski, pierwszy, który dosiadał koni w Tesalji, krainie słynącej z licznych i dzielnych rumaków. Ludzie, co po raz pierwszy ujrzeli jeźdźca, pędzącego na wyścigi z wiechrami, mogli sądzić, że koń i człowiek na jego grzbiecie stanowią jedną istotę. W obrazie takim uderzają głównie: ludzka głowa u góry, a pod nią — nogi; jest to zaś ścisła psychologiczna jedność woli i czynu. Charakter, jaki mitologja nadaje różnym centaurom, dosyć odpowiada usposobieniom późniejszego rycerza jezdnego: centaury bowiem odznaczają się popędliwością, przepadają za płcią piękną i lubią wino. Należą oni do rzędu najwcześniejszych czcicieli wesołego boga wina i na pomnikach sztuki greckiej można ich oglądać w jego orszaku. Takie przymioty i popędy sprawiły, że naród centaurów zaginął głównie w walkach z pobratymczymi Lapitami. Jazda ginie w miarę tego, jak nastaje epoka piechoty i marynarki... Była chwila dziejowa, w której można było podzielić narody na: konne, piesze i morskie.

Z czasów zamierzchłej starożytności przechował się też mit o jezdnym wojowniczym narodzie niewiast. Wyraz amazonka znaczy „pozbawiona piersi“, gdyż wojenne rzemiosło wymagało od kobiety, ażeby swobodnie władała łukiem i mieczem, a przeto we wczesnej młodości odejmowano jej pierś prawą, tamującą swobodę tych właśnie czynności. Najgłówniej znane państwo amazonek leżało nad brzegami rzeki Thermodon w czasach przed wojną Trojańską. Herakles z dobranym orszakiem ochoczych awanturników stanął pod murami ich stolicy Temiscyry i po zaciętej bitwie, w której poległy najdziel-

niejsze niewiasty, zadał stanowczy cios państwu amazonek. Nosiły one odzież opiętą, tak, że tylko szyja z głową, końce rąk i stopy nie miały okrycia. Sztuka grecka przyozdabiała ten strój ich gwiazdami i rozmaitemi figurami. Amazonka nakrywała głowę frygijską czapką, a jej orężem były — łuk i lanca. Taki hufiec, pędzący do boju na dzielnych rumakach, w niczem nie był podobny do dzisiejszych amazonek, harcujących dla mody.

Powstanie słynnych igrzysk Olimpijskich, o ile tu miały miejsce wyścigi na wozach, lub konno wierzchem, wiąże się z następującem podaniem: Pelops, pochodzący z osławionego przez zbrodnie domu Tantalidów, bohater, który z łaski bogów miał jednę łopatkę, ze słoniowej kości, pokochał był Hipodamją, królewnę dziewicę, cudo piękności. Atoli ojciec jej postanowił, że tylko tego przyjmie za zięcia, który go pokona w wyścigu wozowym. Już wielu śmiałków padło ofiarą, gdyż ojciec Hipodamji zabijał zwyciężonych przez siebie zalotników córki. Nie przerażało to jednak Pelopsa. Jak pokonać współzawodnika, co miał z wiatru zrodzone bieguny, dar samego boga Posejdona, i najsławniejszego na świecie woźnicę? — Jedno z dwojga: albo trzeba mieć lepsze konie, albo chyba — przekupić stangreta. Podania nie omieszkały wyzyskać tej alternatywy i raz każą one Pelos psowi przekupić woźnicę Mirtyla, to znowu, jak chce Pindar, ku większej sławie opiewanego przezeń bohatera, Poseidon obdarza zalotnika Hipodamji złotym wozem i parą uskrzydlonych, w biegu niezmordowanych rumaków. — Bądź co bądź, świat klasyczny szczerze pojmował rzetelny wyścig: zwycięzca zyskiwał w nagrodę piękną kobietę, pokonany tracił życie. — My dzisiaj, niezdolni pojąć uczuć i interesów przedwiekowej cywilizacji, lekceważymy jedne mity, a drugie usiłujemy sprowadzić do jakiegoś rzekomo zrozumiałego naturalizmu. Tymczasem myśl i uczucie danego wieku zawsze tworzy mity dla wieków następnych.

Wyścigi hipiczne w cyrku greckim odbywały się na wozach lekkich, zaprzężonych w cztery konie, lub — wierzchem, a głównie dawały one sposobność wykazania bogactwa; nie jeździec, nie woźnica, tryumfowali tutaj, lecz — właściciel koni. Natomiast w zapasach gimnicznych nagrodę zyskiwały — siła i zręczność osobista. Kto wogóle tryumfował na igrzyskach, tego w powrocie do rodzinnego miasta bardzo uroczyście przyjmowali współobywatele. Ubrany w purpurę, otoczony licznym tłumem, wjeżdżał na wozie, zaprzężonym w cztery konie.

Macedończyków uważano za Greków dlatego, że na igrzyskach Olimpijskich dopuszczano ich do wyścigów hipicznych.

W cyrku rzymskim niemniej sławne były wyścigi wozów w cztery konie; w każdym zawodzie wóz objeżdżał siedm razy dokoła cyrku, a na jeden dzień przypadało dwadzieścia pięć takich zawodów. Do tych wyścigów zapalano się tak, jak za dni naszych do wyścigów wierzchowych.

A z tem wszystkiem Grecy, podobnie jak Rzymianie, Etruskowie, Genicjanie i wogóle narody wyższej kultury były to narody piesze i morskie. W pierwszej wojnie perskiej, przed bitwą pod Maratonem, Persowie, widząc przed sobą hoplitów pieszych bez jazdy, mniemali, że to są szaleńcy; a jednak o wyższości piechoty nad jazdą, przekonali się tak samo dotykalnie, jak późniejsi

jezdni rycerze Europy w bitwach pod Crécy, Sempach, Nikopolis i Warną. I Ateńczycy i Spartanie były to narody piesze, lub morskie.

W drugiej wojnie perskiej Grecja ujrzała pierwszy raz różne konne narody Azji. Satrapie perskie płaciły podatki wielkiemu swemu królowi także i w koniach.

Dopiero Aleksander Wielki, sam wyborny jeździec, który osobiście poskromił swego wojennego rumaka, Bucefala, utworzył z młodej szlachty wyborną jazdę macedońską. Zawsze na jej czele nacierał on, podczas gdy piesza falanga strzegła pola bitwy. Wkraczając do Azji, miał takiej jazdy cztery tysiące pięćset koni.

Rzymianie, u których przez pięćset lat trwania rzeczypospolitej raz tylko świątynia Janusa była zamknięta, podług reformy Serwiusza Tullusa posiadali sto siedemdziesiąt centurji piechoty, a osiemnaście centurji jazdy, złożonej z najbogatszych obywateli. Według reformy przypisywanej Kamilowi, legjon rzymski liczył cztery tysiące dwieście pieszych i trzystu jezdnych, co trwało aż do czasów Marjusza. Tak zwani „equites“ rzymscy, czyli rycerze, niekoniecznie byli szlachtą, lecz rekrutowali się do służby w jeździe z najbogatszych obywateli.

Znakomity wódz starożytności Hannibal, który niejednokrotnie pobił najsławniejszą wówczas armią rzymską, wychodząc z Hiszpanji miał pięćdziesiąt tysięcy piechoty i dziewięć tysięcy jazdy. Przebywszy Alpy, dokonał on świetnych zwycięstw swoich w Italji w dwadzieścia tysięcy piechoty i sześć tysięcy jazdy.

Zanim porzucimy uroczy grunt heleńskiego klasycyzmu, uważamy za stosowne przedstawić tu jeszcze obraz starożytnej wyprawy wojennej, gdzie konie odgrywają niemałą rolę. Pomyślmy sobie naprzykład mityczną wyprawę siedmiu przeciw Tebom. Oto zabrzmiał śpiew wojenny, dziki, jednostajnie melodyjny marsz, i zaraz rozległy się huki trąb bojowych, zagłuszając rżenie rumaków, które na miejscu dostać nie mogą. Na białym wozie, pewną ręką powstrzymując lejce namiętnie rwących się do biegu koni, wiedzie swój hufiec bohater osiwiały w bojach. Jego wzrok i oblicze wyrażają nieugiętą siłę woli, roztropność umysłu. Spokojnie dzierży on tarczę, nie mającą żadnych znaków i ozdób, a bóstwo zwycięstwa już przed bitwą powiewa nad jego hełmem, błyszczącym w promieniach słońca. — Innemu zastępowi przewodzi piękny młodzieniec, którego szlachetne, wydatne rysy zaledwie przyozdabia ciemny zarost. Wspinają się spienione rumaki jego wozu, a on dzikim wzrokiem szuka nieprzyjaciela, wstrząsa tarczą, na której widomy jest wizerunek pięknej Atalanty, pogromczyni Kalidońskiego dzika. Dalej w na wpół barbarzyńskim rynsztunku, z tarczą, którą przyozdabia lwia skóra, król-bohater prowadzi swój zastęp, słynący w świecie z celnego miotania dzirytem. Tam oto, rżąc przeraźliwie, wyrwały się naprzód z wozem czarne rumaki rycerza, co się głośno chełpi ze swej siły i głosi, że z samym Aresem, bogiem wojny, gotów iść o lepsze. Po żelaznej stronie jego tarczy znajduje się wizerunek giganta, dźwigającego na barkach całe miasta. Głos tego bohatera grzmi strasznie i z oddalenia już trwogę nieci w sercach nieprzyjaciół. — Piesi i jezdni, wśród dzikich okrzyków, idą na bój za swymi wodzami. Pełni ufności stanęli naprze-

ciw nieprzyjacielskiego miasta, i plac boju wygląda jak morze, połyskujące od spiżu. Zwiększa się zgiełk, wrzawa wojenna. U nóg zwycięzców padają krwią obryzgane głowy zwyciężonych. Przed wozem jakiegoś napierającego bohatera uchodzi tłum strwożony, a on, dla wszystkich w boju widny, gniewnie wstrząsa głową, zdobną świecącym hełmem, unosi w górę swą tarczę i mieczem, jakby piorunem, śmierć wkoło rozsiewa. Atoli naprzeciwko niemu pędzi na wozie inny bohater, nieprzyjaciel, gromadzi pierzchających, w gromkich a krótkich słowach krzepi ich zwątpiałą odwagę i ci, przed chwilą pokonani, jak lwy rzucają się na nowo do boju. — Takie bywały ongi boje, a czego nie zdołali dokonać ojcowie, przekazywali to swoim epigonom.

Nietylko na heleńskim Olimpie i Parnasie koń przebywał, pełniąc swą służbę u człowieka. Nietylko w Heladzie jasność dzienną końmi wożono po niebie. Słońce, Indra, „król świata, pan stworzeń“ przebiega niebo na wozie, które ciągną lazurowe rumaki. Modlitwa hinduska brzmi: „Gdyś jest przyzwany, somę, przybądź na swych koniach, boże, który miotasz kamienie!“ — Podobnie jak greccy bracia Dyoskurowie przedstawieni są na siwych rumakach, tak samo Hindu wyobraża sobie boskich jeźdźców Aswinów.

I powóz stuocznego i stuusznego Mitry także rumaki ciągną.

Germański Zeus, Wuotan, ów wielki Al-Fader, „ojciec wszystkich, pan bitew“, jednooki wojownik, uzbrojony w dzidę, prującą powietrze, niewidzialny goni na dzielnym białym rumaku. Na biegunie Odyna przez dziewięć nocy pędzi Hermodur, nim dopadł do strasznego państwa Heli, gdzie dziewica Modgudr strzeże mostu... I po co bywać w czarnej otchłani piekła? Ha, bo tam w cierpieniach zawsze jęczy jakis król, jakiś Baldur! Trzeba rozkuć jego łańcuchy, trzeba go wezwać na godową ucztę życia. Niech się wyzwoli z otchłani, niech dosiędzie Pegaza ze złotą, czy srebrną kosą i poleci na Olimp!

Freir, piękny i spokojny bóg, ma w zaprzęgu swego wozu konia z włosem złotym, twardym jak szczecina.

Szumi powietrze, jakby się wszystkie wichry wywarły na ziemię. Walkirje na lotnych rumakach lecą ponad polem bitwy, ale tylko polegli bohaterowie tę gonitwę słyszą. Na polu, zasłanem trupami, gdzie okrzyki tryumfu zmieszały się z jękami boleści, wnet o północy dziewica niebiańska stanie i pocałunkiem lubym będzie wskrzeszała bohaterów, aby już potem żyli w Walhali, w złotym pałacu o pięciuset czterdziestu bramach. Walkirje biorą udział w każdym boju, wyprzedzają na koniach orężne wyprawy i czynią wybór wśród mężów mających poledz. Przy stole Odyna, wszech-ojca, ucztują wojownicy, Einheriar, a urocze Walkirje miodem napełniają im czary i przy swym boku pozwalają używać wywczasu. Gdy o świtaniu zapieje kur o złotym grzebieniu, rycerze dosiadają rumaków i z Odynem na czele staczają walki aż do południa, poczem znowu ucztują. I tak będzie aż do strasznego boju na końcu świata, kiedy polegną wszyscy bohaterowie Walhali i sam Odyn zginie. Potem dopiero z głębin oceanu wynurzy się ziemia piękniejsza i zaludniona cnotliwszem pokoleniem.

Walkirje stanowią rodzaj giermków płci żeńskiej. Na rozkaz Odyna dosiadają one koni i wiodą poległych do „zielonej ojczyzny bogów“. Zbrojne w pancerze, hełmy, jeżdżą na niedościgłych biegunach z chmur. Mają Walkirje niejakie podobieństwo do Hurys, o których koran powiada, iż są utworzone z ambry, piżma i miry.

Po chmurnem niebie germańskiem, według legendy, przeciąga jeszcze niekiedy tak zwany wściekły hufiec, zastęp złych duchów, które w noc ciemną pędzą jak burzliwa chmura, już konno, już pieszo, wśród szczekania straszliwych psów. Na czele tego szalonego wojska goni zwykle dziki jeździec, Hans von Hackelnberg, przeklęty i skazany, aby do sądnego dnia tak gonić. Biada człowiekowi, który nie zdołał ujść przed ową piekielną armją!

Człowiek i na Parnasie, pobratymczym Olimpowi, przebywał z koniem. Nic w tem dziwnego, skoro dolę swoją zespolił z jego losami i, opiewając własne czyny, wylewając uczucia serca, unieśmiertelnił w pieśni konia obok siebie. W pieśniach, tych najszczerszych głosach narodów, z wieku na wiek natchnioną nić snujących, pierwsze miejsce po człowieku zajmuje jego szlachetny giermek — rumak. — Ileż to bitew wygrały konie a człowiek zebrał laury, splótł z nich dla siebie wieniec i jako bohater ukazał się na widowni świata.... Różnych wielkich dziejowych wodzów trudno sobie pomyśleć bez konia, którego w bitwach dosiadali. Aleksander Wielki, Hannibal, Attyla, Alaryk, Mahomet, Roland, Cyd, Bajard, Godfryd de Bouillon, Ryszard Lwie-Serce i różni inni wodzowie wyrzeźbili sobie w historji konne pomniki, tak, że ich sobie bez koni wyobrażać nie można. A czem jest koń dla rycerza po przegranej bitwie, maluje to najlepiej wykrzyk bohaterskiego Franciszka I.: „Królestwo za konia!“ — Ale w ustach wodza żaden okrzyk nie ma większego znaczenia, jak: — „Na koń!“

„I spojrzał Igor ku słońcu: — tumany
„Zaćmiły wojsko, i rzekł do drużyny:
„Lżej być pociętym, niż dźwigać kajdany —
„Na koń, o bracia, wnet ujrzym Don siwy!“ (Wyprawa Igora na Połowców).

Obraz tego, co się dzieje po takiem zawołaniu wodza, mamy w „Wojnie Chocimskiej“ W. Potockiego:

„Larmo zatem po wszystkich obozach się szerzy·
„Ci do zbroi, drudzy się biorą do pancerzy;
„Wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańca;
„Rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś, że do tańca, —
„Że już na skroń korony wdziali tryumfalne. —
„Grzmią bębny w regimentach, a kotły tubalne —
„Gdzie żelazny na rzeźwych jeździec koniech siedzi,
„To basem, to dyszkantem rozprawują w miedzi.

Starcie się dwóch jezdnych hufców dosadnie, choć krótko, przedstawia K. Sarbiewski w „Pieśni Galeza o zwycięztwie pod Chocimem“:

„Zagrano na kotłach, podbiegły pogany,
„Rycerze mieczami ich sieką:
„A potem zagrzmiało — dym buchnął siarczany
„I ogień poleciał daleko.
„Rozbiegły się pędem i zwarły się razem

„Proporców i mężów dwa roje;
„Grom z gromem, żelazo starło się z żelazem
„I zbroja stuknęła o zbroję"'

Atoli ostatni obraz jest nadzwyczajnie smutny:

„A czarny obszar, końskiemi kopyty
„Zorany, kośćmi zasiany, krwią zmyty,
„Wydał dla ziemi plon bujny — niedolę"... (Wyprawa Igora na Połow).

Wizerunki wodzów i ich koni można znaleść w wielu poematach. Autor „Wojny Chocimskiej" tak przedstawia Chodkiewicza.

„Twarz usławszy powagą i sędziwe skronie,
„Na statecznym przed wojski krzepi się hładonie...

Ten zaś stateczny hładon jest to:

„Pod nogami koń dzielny i według podoby,
„Który, do przyrodzonej chodzy i ozdoby,
„Widząc, że złotem gore i — co ma za jezdzca,
„Stać spokojnie nie może, lecz na miesce z miesca
„Stąpa, wysmuknionej go szukający nodze
„Rzuca wodza i munsztuk upieniony głodze".

Inny jeszcze obraz przytaczamy tu z „Wybawionego Wiednia" W. Kochowskiego:

„Pod nim ćwiczony rumak w żartkim kroku,
„Wyrzuca cugle i uszyma strzyże;
„A patrząc po tym i po owym boku,
„Pyszny, gdy widzi na sobie obryże;
„Żywy tchnąc promień, nie pragnie obroku,
„Biorąc się, kędy na chorągwiach krzyże.
„Tak żartkim krokiem po piaskach, po lesie,
„Aż do Tarnowskich gór króla zaniesie".

Koń dostał się do pieśni także z powodu ludzkiej miłości, bez której, podobnie jak bez konia, niema rycerstwa. Na koniu kruszy rycerz kopję na cześć pani swego serca. Gdy na boje wyjeżdża i rozstać mu się trudno z uwielbioną, ukochaną, koń rży przed bramą, kopytem niecierpliwie ziemię grzebie i przypomina rycerski obowiązek. A gdy z dalekiej drogi śpieszy do stóp kochanki, gdy mu tęsknota lub podejrzliwa zazdrość pierś rozsadza, koń odczuwa jego stan duszy i kroku przyśpiesza. Innym razem konieczność nakazuje wydrzeć lubą z ucisku przemocy, porwać i uwieźć. Wtedy koń rozumie, co za skarb unosi na swym grzbiecie. Z tych wątków snuje się jedna wielka epopeja miłości rycerskiej, a konia z niej na żaden sposób usunąć nie można, ponieważ straciłaby swój styl, charakter. Czasy rycerstwa i miłości są konne, a w tem połączeniu nie wyraziły się może nigdzie tak barwnie, jak w hiszpańskich romancach, szczerych, prostych i stanowiących źródło wszystkich romansów. Wśród pysznych pałaców i ogrodów, gdzie kwitnie granat, róża i migdał, namiętności grają żywo: uczucie miłości jest gorące, za zdradę i wiarołomstwo płaci się krwią, odbiera się pogardę i nienawiść, a szczęśliwy współzawodnik nie uchodzi przed mściwą ręką.

„W ogrodach Almerji leży maur Abenamar z twarzą zwróconą do pałacu, gdzie jego luba Galiana. Burnus jest jego poduszką, tarcza za kobierzec

służy, a obok lanca na ziemi. Pomiędzy dwiema lipami koń się błąka, szczypiąc trawę, z uzdą na łęku siodła zwieszoną. Wpatrzył się maur w migdał kwitnący. Kwiat smutno się pochyla, gdyż zmroził go wiatr północy, co wszystkie wiatry zabija".

W cyklu pieśni, odnoszących się do miłości rycerza Gazula dla pięknej Lindarai, latorośli sławnych Abenseragów, spotykamy obraz rycerza, udającego się na turnieje:

„Pysznie strojny w białą, fioletową i zieloną barwę, jedzie dzielny Gazul na turniej do Gelves. Chciałby pożegnać kochankę, chciałby słowo z jej ust słyszeć. Po tysiąckroć oczyma przenika lube ściany jej domu. Wreszcie po długiej, jak lata, godzinie luba na balkonie staje. Gazul, kiedy weszło jego słońce, każe rumakowi klęknąć, ziemię przed nią ucałować. Koń to ma w imieniu pana swego czynić. „Najpiękniejsza — rycerz rzecze — daj dar jakiś, coby mię tobą ozdobił, wiódł i bronił, mężnym czynił! Pamiętać cię i bez tego będę". Ale Lindaraja śmiertelną zazdrością pała. Jest bowiem w Xeres Zaida, którą Gazul wraz z nią kocha. Więc w te słowa odpowiada: „Oby na turniejach tak poszło, jak moje serce pragnie, a twoje tego jest godne! Obyś się nigdy nie okazał ni oczom, co cię miłują, ni tym, które nienawidzą! Oby wielki Allah tajemnie pociski wrogów na cię zwrócił! Zgiń tak, jak kłamiesz! Pragnij zemsty, szukaj i nigdy nie znajduj! Niech cię po śmierci przeklną ci, których kochasz i ci, których zdradzasz! — Gazul mniemał, że to żarty. Niewinność zawsze tak mniemać zwykła. W siodle na strzemionach wspiął się, aby rękę lubej ująć.

Pokazało się, że zazdrość Lindarai nie miała podstawy, i rycerz, suto obdarzony, podążył do Gelves na turnieje.

Cztery konie z sobą wiedzie; na nich bogate opończe. Na opończach tysiąckrotnie imię „Benseraga" złotem błyszczy.

Stare turnieje nie były udaną, lecz istotną walką, w czasie której nieraz ginęło więcej rycerzy niż w bitwie. Na takich turniejach w pobliżu Kolonji 1240 r. padło trupem sześćdziesięciu rycerzy. Od wieku XIV. zaszła zmiana w obyczajach, pojawiły się rozrywki konne z psami i sokołami, w czem damy także brały udział. Były to czasy, kiedy mężczyźni nosili trzewiki o długich nosach *á la poulaine*, a damy na głowach — stroje, mające stopę wysokości. Wtedy powstała tak zwana galanterja, to jest tajemne uwielbianie damy, wybranej przez rycerza. Na turniejach walczono orężem tępym, a szło o to, aby, otrzymawszy pchnięcie, nie wypaść z siodła. — W XVI. wieku turnieje zamieniły się na gonitwę do pierścienia i na wyścigi. Jazda wierzchem i szermierka stały się sztukami wielce złożonemi, a nastała też zmiana w nazwie: rycerz-chevalier zmienił się na kawalera. Baltazar de Castiglione w dziele *Il Cortegiano* kreśli obraz skończonego kawalera, który powinien i wiersze pisać, i grać, i malować, koniem toczyć, harcować, woltyżować i z kopją chadzać o lepsze. — Górnicki w „Dworzaninie" powiada: „A iż Włoszy mają tę sławę, jakoby byli dobrymi jeźdzcy, co się tyczy kształtownego toczenia koniem podług miary i czasu, k'temu też jakoby do kwintany (tarczy), do pierścienia

najlepiej biegać mieli: niechajże mój dworzanin w tem wszystkiem przed Włochy przodkuje".

Koń pojawia się też wpieśni jako istota opatrznościowa, mogąca skutecznie dopomódz ludziom, gdy są w trudnem położeniu. I tak n. p. w staroczeskiej pieśni, opiewającej pochodzenie sławnej dynastji Przemyśla, biały koń Libuszy prowadzi radnych panów królowej na niwę, gdzie znajdują przy pługu rolnika, wsadzają na białego rumaka i „niby boga swego" wiodą na zamek królewski.

Inna pieśń czeska z połowy IX. wieku opiewa narodowe nieszczęścia: chciwość panującego księcia, zdzierstwa jego przybocznych panów, przytem — głód i zarazę w kraju. Ale w łonie gór czeskich czuwał opiekuńczy duch narodu, jego pierwszy król-ojciec, i ten w nagłej potrzebie powierza sprawiedliwemu Horymirzowi białego konia Libuszy. Skądże to pada na lud zaraza, głód, ucisk? Oto z owych otchłani, z których możni czerpią złoto. Zarżał więc biały rumak, a na głos jego zbiegły się duchy górskie i do północy rękami swemi zawaliły kopalnie złota. Lud ocalał.

Jako szczątkową pozostałość wierzenia w pewne nadprzyrodzone własności konia, można uważać do dziś istniejący przesąd złej wróżby, gdy koń pod jeźdźcem upadnie.

„Kiedy się Rakoczy w czterdziestu tysięcy Węgrów z Multanami wybrał do Polski na czosnek, — opowiada imć. p. Pasek — wyjeżdżając z domu, wsiadał na konia i koń padł pod nim w oczach jego matki. Matka przepowiadała, że to znak niedobry, on odrzekł, że tylko złe są nogi końskie. Gdy przesiadł na innego konia, załamał się pod nim dyl na moście i znowu spadł z konia, a powiadał, że dyl był zły. Jak to przecie wróżby te zwyczajne rade się weryfikują! Rakoczy dostał nietylko czosnku, ale dzięgielu z kminem".

Marcin Bielski, opisując porażkę Gdańszczan, mówi: „Gdańszczanie, niż z miasta wyciągnęli, taka nawałność nastała i tak gmieć srodze jęło, że pod hetmanem (Janem z Kolna) koń padł, dwa jezdni z mostu w przekop spadli... Wrócili się tego dnia. Nazajutrz i w drugie dni tegoż się pokuszali; ale znowu dżdże gwałtowne od tego je odwiodły. Mniemali, żeby to jakie czary były i przetoż dwie czarownice wsadzili, rozumiejąc, żeby od naszych przenajęte były, a tego nie wiedzieli, że je sam Bóg napominał".

Kromer w Kronice swojej robi uwagę: „Pod Suczawą naszy w głos szemrzą przeciw królowi, przypominając zatem sobie znaki i wróżki, które przeciwny skutek wojny przewieszczywały; mianowicie, iż 200 wołów, które pędzono, burza porozpłaszała i biały, ukochany koń królewski, którego na powodzie prowadzono, w przeprawie wielkiej rzeki padłszy, utonął" (St. Błażowski). — Były to więc przepowiednie klęski bukowińskiej.

Charakter znowu przestrogi za już popełnione grzechy ma opisany przez Długosza przypadek Władysława Jagiełły w lesie pod wsią Tulczą, gdzie piorun zabił cztery konie, zaprzężone do kolebki i dwóch ludzi ze służby, idących przy powozie. Niemniej pozabijał konie panów i rycerzy towarzyszących, a także królewskiego wierzchowca. Ludzie pobożni uważali to za znak gniewu bożego,

iż król pojął za żonę Elżbietę Granowską, siostrę duchownie z sobą spowinowaconą; ponieważ jej matka trzymała do chrztu Jagiełłę.

Z tem wszystkiem, nie w Europie to, na łonie cywilizacji, otoczono konia prawdziwem poszanowaniem, ale zaszczytu tego doznał on w Azji, najprawdopodobniejszej swej ojczyźnie, a wśród ubogich, pasterskich plemion Arabji. Dzięki szczeremu przywiązaniu tych ludów do konia, dzięki wpływowi czystego powietrza, zdrowej paszy, a zapewne i doboru płciowego, rumak arabski zdobył sobie w świecie powszechne znaczenie. Mahomet uznał wielką wartość tego zwierzęcia, wyznaczył mu stanowisko w kulcie religijnym, a przez to obudził dla niego miłość w swoim narodzie. Religja nakazuje Arabowi szanować konia, gwoli czemu w koranie są liczne pobudki. — „Kiedy Pan Bóg chciał stworzyć konia, przywołał do siebie wiatr Samum i rzekł: „Zaniechaj swojej powietrznej postaci, stań się ciałem dotykalnem!“ Wiatr był posłuszny Panu. Wtedy Bóg wziął garstkę owej materji, tchnął w nią dech i życie. I stał się koń, do którego Pan przemówił w te słowa: — „Będziesz radością człowieka i źródłem jego bogactw, będziesz go nosił na swym grzbiecie, a on cię wyniesie ponad inne zwierzęta!“

W innem znowu miejscu prorok powiada, że na korzyść wiernego, który wychował swego konia do wojny świętej, w dniu sądu pot tego konia zostanie odważony. Albo: „Każde ziarno jęczmienia, które dajesz swemu koniowi, zjednywa ci na tamtym świecie przebaczenie grzechów“. Postanowił też Mahomet prawidła hodowli, przeznaczając na matki nowych pokoleń owe pięć klaczy, które do Mekki przyniosły wiadomość o zwycięskiej bitwie pod Monta, gdy inne padły w drodze.

Najszlachetniejsze araby pochodzą z Nedżydu, Hadżanu i El-Desiry. Zachwalając konia, mówi się: — „To jest koń z Nedżydu!“ A Nedżydem zowie pas płaskowzgórza arabskiego pełen wielkich oaz i zamieszkany przez plemiona beduinów, zwane: El-Szamar, El-Sedeir, El-Kasim, El-Woszam i El-Ared. Wśród koni Nedżydu jest pięć głównych rodów, pochodzących jakoby od pięciu wybranych klaczy.

Najbardziej rozpowszechniona nazwa rasy szlachetnych arabinów jest Koheil, Koheilans, Kheil, a wiąże się ona nie z miejscowością, lecz z podaniem historycznem: „Jednego razu prorok stoczył bitwę w 10.000 jezdnych, którzy przez trzy dni ani z koni nie schodzili, ani ich nie poili i nie karmili. Nareszcie przybyli nad rzekę, a wódz rozkazał konie rozsiodłać, rozkiełznać i w wodę popędzić. Zaledwie się konie tłumnie rzuciły do rzeki, aliści prorok rozkazuje dąć w trąby do bitwy. Z całkowitej liczby dziesięciu tysięcy koni, tylko pięć klaczy, nie skosztowawszy wody, wróciło zaraz do swych jeźdźców. Wówczas prorok rzekł: „Wam pięciu należy się cześć!“ I wziął proszku, którym kobiety wschodnie upiększają sobie oczy, i na znak czci upiększył nim te pięć klaczy“. Kōchel lub Kōchelam znaczy po arabsku „czarno ubarwiona“.

Na tych samych pięciu klaczach uchodził później prorok z Medyny do Mekki, a z nim czterej jego towarzysze: Ali, Omar, Abubeker i Hasan. —

Od tych też klaczy wywodzą Arabowie cały patrycjat swych koni — El-Koms, co znaczy po arabsku pięć. Jest to więc drugie podanie, odnoszące się do ulubionych klaczy Mahometa, czemu się nie powinien dziwić nikt wiedzący, jak bujną fantazją posiadają synowie Wschodu.

Kiedy koń odpowiada wszelkim wymaganiom w budowie swojej i ruchach, Arab tak się o nim wyraża: „Taki koń mógłby pląsać po łonie twej kochanki, a nie uczułaby obrazy". O maści konia mówi się z entuzjazmem: — „Kiedy ci mówią, że koń po powietrzu latał, zapytaj, jakiej był maści; jeżeli ci odpowiedzą — kasztan, możesz wierzyć". — „Gdyby ci powiedziano, iż koń w przepaść skoczył, a nie poniósł żadnego szwanku, zapytaj, jakiej był maści; jeśli usłyszysz odpowiedź — gniady, wierz, iż tak było".

Co się tyczy doboru płciowego, arab tak się wyraża: „Klacz jest to szkatuła; co w nią włożysz, to z niej wydobędziesz: miedź lub złoto". — O ojcu zaś: „Dobieraj ojca i jeszcze raz go dobieraj, gdyż dzieci idą według ojców raczej, niż według matek".

Pełno tu jest przysłowi i sentencji, dotyczących żywienia i wogóle utrzymania konia: „Nie pój konia nigdy zaraz potem, gdy jadł jęczmień, bo go zabijesz". — „Nie pój konia nigdy zaraz potem, gdyś na nim odbył większą podróż, bo go woda zabije". — „Dopuszcza się grzechu człowiek, który koniowi nie daje wytchnąć w drodze". — „Jeżeli masz przed sobą daleką podróż, jedź od czasu do czasu powoli. Niech się koń twój trzy razy zapoci i trzy razy wyschnie; potem popuść mu popręgi, daj wypocząć i już czyń, co chcesz, a nie ustanie ci w drodze". — „Jeżeli koń pijący wodę w strumieniu wyciągnie naprzód szyję i głowę, a trzyma się w równowadze na czterech nogach i nie wystawia przedniej nogi, możesz być pewny jego doskonałej budowy i rasy". Musimy powrócić do Europy, aby zakończyć rzecz swoją o koniu, o ile on doświadcza łask człowieka; nie dotykamy bowiem tym razem konia, bohatera spokojnej rolniczej i przemysłowej pracy, która sławy nie daje, a życie czyni nieraz bardzo ciężkiem. Człowiek wprowadza swoję kastowość między zwierzęta: są konie patrycjusze i konie plebejusze; plebs końska, podobnie jak ludzka, pracą swoją ziemię przeobraża; ale i folbluty są potrzebne, gdyż one to poprawiają rasę. Trzeba się zgodzić na to, że piękny koń jest piękny i że, użyty do pracy, pięknym być przestanie. Mieszkańcy Wschodu szanują konia i używają go wyłącznie do wierzchowej jazdy; osieł, muł, wół, wielbłąd wysługują się tam, jako zwierzęta pociągowe i juczne. Jest to bardzo charakterystyczne, jak w niektórych krajach na koniu odbija się zmiana stosunków ludzkich. W najdawniejszych czasach w Egipcie osieł zastępował konia. Czasy historyczne, aż do naszego wieku, z upodobaniem hodowały w tej krainie konie i Mamelucy dzielnym wierzchowcom zawdzięczali swą wojenną sławę. Ta miłość Egiptu do koni wygasła w czasach najnowszych i kraj powrócił do osła.

Podobne zjawisko przedstawia i Hiszpanja, która w starożytności słynęła jako kraina bogata w konie — *dives equis*. Ta ojczyzna szybkonogich ruma-

ków, które wiatr zachodni zapładniał, stała się później polem bojów z maurami, co nie pozostało bez wpływu na udoskonalenie krajowej rasy koni. W wiekach średnich, a i później, była Hiszpanja kolebką szlachetnego rycerskiego konia i wierzchowca *comme il faut*, pysznego andaluzyjczyka, tego „księcia-konia“, który nadawał sobą dobry ton po stajniach Europy. Dzisiaj ta dobra krew hiszpańska utrzymała się jeszcze najczyściej w Kladrub, stajni cesarsko-austrjackiej, skąd się rekrutują konie do uroczystych dworskich parad w Wiedniu. Obecnie w Hiszpanji osieł i jego progenitura, muł, ulubione zwierzę stanu duchownego, wyparły konia z jego stanowiska. Na nic się nie zdały usiłowania wskrzeszenia hodowli koni, gdy naród raz poczuł w sobie chętkę szczerą do osła. Toż samo niebezpieczeństwo grozi szlachetnemu koniowi ze strony szpetnej maszyny na kółkach, zwanej welocypedem.

Dopóki jeszcze hiszpański caballero sam wskakiwał na siodło, aby brać udział w walkach byków, dopóty istniał jaki taki pochop, aby posiadać dobrego podjezdka; dzisiaj nadęty, watą opancerzony torero, płatny rzemieślnik, szybko wykonywa swe dzieło na starej szkapie, nim jej byk zdoła zasadzić rogi w drżące i chude boki. — Podług opisów, obecny koń hiszpański jest to lew z przodu, kot z tyłu; a że ma ognisty temperament, więc chciałby naprzód: cóż, kiedy słabość fizyczna nie pozwala! (G. Schwarznecker i W. Zipperten).

Szeroko też kiedyś panował na kontynencie Europy koń neapolitańczyk, którego za wieku nieboszczyka Copfa nie brakowało nigdy w żadnym manežu, w żadnym paradnym monarszym cugu. Zapewne jednego z tych koni opisuje Krzysztof Dorohostajski w swej Hippice, wydanej po raz pierwszy 1603 r. „Znałem dzianeta bez odmiany prawie wronego, stad z Kalabrji górnej, rosłego, pięknego i prawie dużego, dziwną dzielnością, skokami trudnymi, biegani em rozmaitem wyćwiczonego, na stajni króla Filipa hiszpańskiego w Neapolim r. 1585, mało potem do Hiszpanji do samego króla posłanego z czterdziestą innych wyprawnych dzianetów i kurserów. Ten koń przy dziwnych wyćwiczeniach swych te cnoty ku wierzeniu ledwo podobne miał, że sam wolno puszczony, widząc zbrojnego chłopa, ku niemu się miał, kąsając zęboma, zadem i przodem bijąc, nie inaczej jako najmężniejszy rycerz w potkaniu wygrawał, chłopa do ziemi przybijając. To śliczne *spectaculum viceregi* natenczas neapolitańskiemu, książęciu de Osona, koniuszy i cavaleritio królewski Don Pietro Antonio Ferrara (mój dziwnie łaskawy mistrz), równego sobie czasu swego w chrześcijaństwie w nauce jezdeckiej nie mający, dwa razy pokazował, ubrawszy chłopa w kirys, a dawszy mu gołą szpadę, ale nie ostrą, na to przygotowaną, w ręce, bić okrom oka wszędzie pozwalał. K' temu tenże na pospolitych tryumfach, które się rocznie w Neapolim zachowują w pewne dni święte, do trąb, do kurzaw, huków dzialnych i ruszniczych tak się z ochotą sam ściągał i wyrywał, że na nim siedzący dosyć co z sobą zadzierżywając czynić miał, czegom sam świadom, częściuchno na nim siadając“.

Były to czasy, w których nie mówiono: czas jest pieniądz i mniej cho-

dziło ludziom o szybkość, a więcej o przyzwoitość i godność ruchów. Resztki rodu wspaniałego neapolitańczyka schroniły się do włoskich stajen książąt ko ścioła i do stajni wiedeńskiego burgu w Kladrub. Z uroczystą powagą, z okazałą grandezzą kroczą w karocach te rumaki, opowiadając o czasach peruki i pudru. Konie wysokiego kleru włoskiego są czarne jak węgiel, mają długie grzywy i ogony, a Wiedeń posiada ten sam typ na biało, używając go do uroczystej pompy. Rozumie się, że budowa konia, pełna okazałości, i akcja odpowiada jego przeznaczeniu. W naszych czasach wyścigów z dżokiejami nie mają dla siebie gruntu te rokokowe postaci koni.

Francja w wiekach średnich obfitowała w dzielne konie, ponieważ rycerze, wyprawiający się na krucjaty, potrzebowali silnych i ognistych podjezdków. Krew wschodnia weszła tu po zwycięstwie Karola Martela pod Tours nad Maurami i stąd powstała szlachetna rasa limuzyńska. Richelieu położył kres francuskiemu feodalizmowi, co się odbiło na koniu. Szlachta, przebywająca u dworu, nie dbała o swoje stajnie, a konie do turniejów szły z zagranicy. Nie obeszło się bez usiłowań wskrzeszenia hodowli końskiej w drodze urzędowej; ale wielka rewolucja zniszczyła naraz wszystko, co zrobiono w tym kierunku. Dzisiejsi Francuzi niczem nie zdradzają zamiłowania do koni; sportowi ich, jak i sportowi całego naszego kontynentu, imponuje i nadaje ton wyspiarski Anglik. Normandy i perszerony, ściśle mówiąc, są to konie tramwajowe, omnibusowe, fabryczne, a jako takie, nie cieszą się łaską ludzką i nie wchodzą w zakres naszego tematu, który wyłącza pożytki z konia. Dzielny ardeńczyk znowu, niegdyś ogromnie ceniony przez rzymskich cezarów i Napoleona I jako wojenny wierzchowiec, zaledwie istnieje we Francji. Szukać go należy raczej w Belgji, która także swoje rycerskie flamandy i brabanty zamieniła na nowożytne rycerstwo przemysłu, handlu, rolnictwa, a o tych, jakkolwiek wielce świetnych turniejach, rozwodzić się tu nie zamierzamy.

Jedynym w Europie narodem, który w hodowlę koni wkłada dziś wysiłki zamiłowania i dbałości, są Anglicy, a oś tego stanowią ich wyścigi konne. Cóż, kiedy pierwotnie wyścigi owe były środkiem podniesienia hodowli koni; ale szlachetny ten cel zaginął w najnowszych czasach i z wyścigów zrobiono środek zaspakajania namiętności do gry! — co, naturalnie, poprowadziło hodowlę na bezdroża. Był czas, a niezupełnie on minął, kiedy w Anglji zakupowano konie, nagrodzone za wyścig, przyczem uważano już za podrzędne inne przymioty wierzchowca. Otóż, Anglicy, ażeby wykazać jak największą liczbę zwycięskich koni, skrócili tory i zmniejszyli ciężar, noszony przez wyścigowca. Zaprawdę, był to wpływ złowrogi dla całej Europy, zarażonej przez anglomanją. Zwycięzca, choćby nawet potwór, stanowił ideał, a długonogie, długoszyje, o wadliwej budowie ogiery skaziły niejednę stajnię. Nawet czystemu karmazynowi może dziś więcej chodzić o zarobek niż o sławę posiadania pięknych koni, a szczęśliwy los właściciela Eclipse'a stanowi zapewne słodkie marzenie niejednego z ubiegających się na wyścigach. Ten Eclipse jest najsławniejszym z wyścigowych koni; pochodził on z rodziców arabskich i nigdy nie

doznał porażki w biegu. Zawodowe swe obowiązki spełniał tylko przez siedmnaście miesięcy, poczem żaden właściciel nie chciał stawiać swoich koni do emulacji z tym biegaczem. W tak krótkim czasie zarobił Eclipse dwadzieścia pięć tysięcy funtów.

Szczęśliwy nabywca kupił go od księcia Cumberland za siedmdziesiąt pięć gwinej, a w dziesięć lat po ostatnim biegu wziął zań i za jego potomstwo nowe dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Eclipse skończył życie w r. 1789, licząc lat dwadzieścia pięć. Skielet jego przechowują w muzeum Oksfordzkiem. Staranny dobór płciowy, ścisłe przestrzeganie czystości chowu, sprawiły, że angielski folblut stanął samodzielnie jako rasa. Na nieszczęście, dziś już słychać skargi, jakoby znakomite konie wyścigowe czasów poprzednich należały obecnie w Anglji do rzadkości.

W pierwszej połowie naszego stulecia podziwiano pysznego angielskiego karosjera-clevelanda, którego nieliczne już okazy można oglądać w stajniach dzisiejszej monarchini Anglji; cleveland bowiem padł ofiarą czasów szybko jeżdżących i z pośpiechem żyjących. Ubite drogi, lekkie wozy i tak skwapliwie czynna ludzkość, której jest pilno przybyć punktualnie, podług zegarka, na pociąg kolei żelaznej, stawiają w tej chwili koniowi wymagania, którym paradny cleveland nie odpowiadał, a przeto ród jego skazano na zagładę.

Za naszych czasów żąda się konia, coby, zaprzężony do lekkiego powozu, szybko przebywał niewielkie przestrzenie, a przytem posiadał dostatecznie szlachetną powierzchowność. Tym wymaganiom czyni zadość norfolk-kłusak, dziecię najnowszych czasów, owoc racjonalnego krzyżowania. Mówiąc o tej racjonalnej hodowli koni w Anglji, pewien hipolog tak się wyraża: „Anglik prowadzi zarówno starannie hodowlę czystą jak i mieszaną; ma on w jednej butelce koniak, w drugiej — wodę i dolewa stosownie do potrzeby, gdy chodzi o zwierzęta użytkowe“.

Na szczególną uwagę zasługują kłusaki rosyjskie, wyhodowane w stajniach hrabiego Aleksego Orłowa, a w miejscowości zwanej Chrjenowoj, w gubernji woronezkiej. Jako typ konia, jest to rasa zarówno ciekawa, jak i odznaczająca się piękną powierzchownością i szybkością biegu. Kłusak Orłowa jest przedstawicielem samodzielnej rasy, powstałej ze zmieszania krwi arabskiej, duńskiej i holenderskiej, co znaczy, iż krzyżowano ogiera arabskiego z klaczą duńską i znowu wytworzonego stąd ogiera — z klaczą holenderską. Metryka orłowowskich kłusaków tak się przedstawia: Założona w r. 1778 stajnia hrabiego Orłowa posiadała siwego ogiera arabina, imieniem Smietanka, który zostawił po sobie czterech synów, a między nimi — Połkana po klaczy duńskiej. Roku 1784 z tego Połkana i klaczy holenderskiej urodził się Bars I, właściwy ojciec rasy kłusaków, rasy nowej i przed nim niebywałej, a przekazującej właściwości szybkiego, prawidłowego kłusa z pokolenia na pokolenie. Współczesny Orłowa, p. Koptiejew powiada o tym chodzie: „Bieg koni hrabiego Orłowa był tak prawidłowy, że na ich krzyżach można było postawić pełną szlankę wody, a nie rozlałaby się przy wyciągniętym kłusie“. Inni naoczni świadkowie opo-

wiadają znowu, iż ruch nóg ulubionego Orłowa wałacha, zwanego Potiesznoj, był tak szybki, że w jednej i tej samej chwili pod wiszącą w powietrzu masą ciała konia wszystkie cztere podkowy dawały się jednocześnie widzieć. Sam hrabia Orłow był tak zazdrosny o sławę swej stajni, iż nigdy nie sprzedawał ogierów kłusaków; nawet cesarzowi Aleksandrowi I, zamiast żądanych czterech takich ogierów posłał cztery wałachy.

Hodowla koni tej oryginalnej rasy zyskała większy pochop, gdy w roku 1845 rozpłodową stajnię Orłowa nabyła korona rosyjska.

Wśród ludzi, jak wśród koni, są więc także rasy: najszlachetniejsze z nich wytwarzają dzieje, a wszystko jedno, czy bohater dosiada rzeczywistego rumaka i rzuca się w tłum nieprzyjaciół, czy na Pegazie goni natchniony, czy kiełzna i siodła tak zwanego konia parowego. Dzielny człowiek-rycerz po wsze czasy ma pod sobą jakiegoś dzielnego konia, który według słów Biblji: „Ziemię kopytem kopa, poskakuje śmiele, przeciwko zbrojnym następuje, wzgardza strachy, ani ustępuje mieczowi. Na nim będzie brzmiał sajdak, tkwić będzie drzewo i tarcz. Rozżarzony, zgrzytając, będzie żarł ziemię, ani się wzdryga na głos trąbienia. Kiedy posłyszy trąbę, mówi: Oto zdaleka poczuwam walkę, napominanie hetmanów i huk wojskowy!“ I zawsze po koniu, którego człowiek dosiada, znać rzetelnego męża: wojownika, poetę-artystę, reformatora, badacza, myśliciela.

Warszawa. *Adolf Dygasiński.*



W noc sierpniową.

O, w taką noc — na niebie drogi mleczne
Ścielą swe smugi po modrej oponie...
Z ich skier się kłębią światy nowe, wieczne
I noszą nową miłość — ból w swem łonie...

O, w taką noc — wędrują gwiazdy złote...
W objęcia drugiej gwiazda każda leci:
Przez niewygasłą pędzona tęsknotę
Ogromem światów — w ogromy stuleci...

O, w taką noc — w czującej ludzkiej duszy
Niejeden świat powstaje nowy, świeży,
Uczucie rwie się, wszystkie pęta kruszy,
Ku sercu miłej, jak ta gwiazda, bieży...

Gwar świata umilkł a kwietne kielichy
Ślą ku przestworom rozkoszne swe wonie.
Duch idzie słodki, tajemniczy, cichy
I szepce miłość, i w marzeniach tonie...

Lwów. *Wilhelm Feldman.*



* * *

Niegdyś Sokrates strawił całe życie,
By potomności zostawić odkrycie,
Że pierwszą cnotą, że szczytem wszystkiego,
Lecz najtrudniejszem: znać siebie samego.

Za nim się mędrców znalazło bez liku,
Co, pragnąc na świecie rozgłosu łatwego,
Sławę zyskali powtarzaniem krzyku,
Że szczytem trudu: znać siebie samego.

Twierdzę przeciwnie, że wszyscy przeciętnie
Znają się pewnie aż nadto dokładniej
Ale swe wady przyznają niechętnie,

Wobec sumienia tłómaczą się zdradnie,
I w swej obronie wychodzą z zasady:
Nie znając siebie, nie dotkniemy wady.

Rudki, pod Lwowem. *Andrzej Fredro* [1]).



[1]) Zmarł we Lwowie d. 1 marca 1898 r

PRECZ Z POEZJĄ!

Precz z poezją! za dużo barw i świateł dała,
Za wysoko od ziemi wzbiła się w błękity,
Duch ludzki zadaleko odleciał od ciała
Ciszą niebios i sennem marzeniem spowity.
Mocą wzroku chciał wstrzymać lecące żórawie,
Mocą uczuć — wycisnąć łzy z kamiennej bryły,
Jak brylant czystej wody lśnić w złotej oprawie, —
Słonecznych blasków pełen, potęgi i siły.
Lecz żórawie przemknęły i echa ich kwileń
Roztopiły się w cichem lazurów przestworzu —
Łzy z kamienia nie trysły, po męce wysileń
Jednej kropli goryczy nie ubyło morzu.
Daremno bić powietrze ramieniem omdlałem,
Szlakami orłów siwych gnać za kręgiem słońca:
Żadna pieśń wyśpiewana nie stała się ciałem,
Żadne pragnienie swego nie dobiegło końca.
Precz z poezją!...
Chłód powiał, jakby góra lodu
Sunęła przez ocean z głuchym szumem fali;
Bez blasków przedświtowych wstaje gwiazda wschodu
I zachód zimną barwą połyska korali.
Szpony sępie rwą pióra lękliwych gołębi,
Wąż owija pierś ludzką, żadna myśl nie roi;
I coraz ciszej, groźniej w przepaścistej głębi,
I każde serce tętna własnego się boi...
Zagasł ogień zapału, prysła nić przewodnia
Do tęcz, choćby znikomych, do słońc, które płoną
I nad głowami ludzi świecą jak pochodnia,
I ciepłym blaskiem zimne ogrzewają łono.
Żórawie, jak płynęły, tak i dalej płyną,

Głazy pierś roztrącają, morze grzmi złowrogo,
Tylko żadna z gwiazd nie lśni nad ziemską doliną,
Tylko o sercu wielkiem już niema nikogo.

Złudzeń! złudzeń! krzyk słychać... Niech z barłogu świata
Choć męczeńska, lecz czysta pierś wzniesie się w górę!
Niech wzrok śmiały z pogardą spojrzy w oczy kata,
Bez drżenia noga ludzka stąpi w krwi purpurę!
Cierpieć — lecz bez pokłonu, umierać — bez jęku,
Wciąż zapalać gasnące nadziei kagańce!
W ustach mieć piorun,—serca, jak miecz, trzymać w ręku,
I — gdy czas przyjdzie — rzucić, jak gromy, na szańce!
Wracaj, poezjo — wracaj! kto ukochał ciebie,
Krwią może, lecz nie błotem, kroki swe naznaczy.
Zanim gwiazdy po gwiazdach zagasną na niebie,
Sto złudzeń przeżyć lepiej, niż skonać — z rozpaczy! —

Warszawa. *Kazimierz Gliński.*



O PRAWDZIE.

Wartość prawdy naukowej nie większą jest od wartości prawdy artystycznej. Podobnie jak artysta, tworzy i uczony obraz świata, równie daleki od świata prawdziwego, jak dzieło artysty dalekie jest od przedmiotu, który ma wyobrażać. A lubo różnymi sposobami oceniamy zgodność dzieł ludzkich z największem arcydziełem — światem, nie wynika stąd przecież, aby ilość prawdy, zawarta w jednych, przewyższała jej ilość w drugich; we wszystkich prawdy tej jest jednako mało: bo arcydzieło prawdziwe stworzył raz tylko Bóg, i nikt go już więcej nie stworzy.

Warszawa. *Władysław Gosiewski.*





TŁUM.

KARTKA Z PSYCHOLOGJI MAS.

.....Morze płomieni rozlewało się coraz szerzej, zagarniając całe ulice, całe dzielnice ubogiej części miasta. Słońce stało w jakiejś brunatnej kurzawie, przezierając zaledwie w kształcie złowrogo-żółtej plamy przez wirujące sklepienia dymu. Dym, który u dołu nad straszliwem ogniskiem, rozpalonem z tysiąca dymów, szalał w kłębach, zwijał się i targał, porywając żagwie, szmaty i języki ognia — u góry rozpościerał się jakby rudawy całun, wolno posuwający się po nad miastem. Leciały od niego jakieś spalone papiery, opadały jakieś strzępy niewiedzieć jakich pogorzelisk i wiał swąd spalenizny aż hen, za rzekę, po pod las — na przedmiejskie wsi i kolonje. Ludzie w kolonjach wychodzili przed domy, żegnając się i patrząc w niemem przerażeniu na spełniające się dzieło zniszczenia.... Baby opowiadały sobie przyciszonym głosem straszne opowieści o pożarach i pokazywały chleb św. Agaty, obronicielki od ognia. Parobcy wymykali się po za opłotkami i biegli ku miastu na widowisko..... Już zdaleka słychać było lament i jęk i płacz ludzki: to zawodziły rodziny, którym na prędce urządzono obozowisko na podmiejskim wygonie. Przeważały wśród nich rodziny żydowskie... Stara, od wielu lat nie widząca światła dziennego, wyrzucona z głębi alkierzyków żydowica trzęsła się, zgarniając bezustannie swe łachmany i podrzucając bezmyślnie obie ręce do góry....

Dalej tłukł głowę o komodę jakiś łachmaniarz, jakaś kobieta w żałobnej sukni tuliła ku sobie dwie dziecięce główki... od miasta przynoszono coraz-to nowe szczątki i prowadzono nieprzytomnych, popalonych ludzi. Tłum, który z tego punktu oddawna już nasycał się widokiem pożaru i zgliszcz, rósł ciągle. Ogień szedł w tę stronę, ale od miejsca obserwacji oddzielało go kilkaset morgów ugoru. Dopiero dalej przy niebrukowanej już drodze przedmieścia stało kilkanaście budynków drewnianych. Te-to właśnie budynki zwracały powszechną uwagę. Sprzeczano się w tłumie o to, czy ogień dojdzie aż do nich.

— Droga nie puści — mówił ktoś.

— A jak się zapaliła kapucyńska ulica? — może nie przez drogę? — krzyczała jakaś kobiecina, w chustce przekrzywionej na bakier.

— Tylko patrzeć jak się zajmie ten dom narożny — wołał ktoś trzeci.

Dwaj mieszczanie spierali się o to, czy płonące zboże można uratować.

— Skartaczuje pana jak z armaty — wołał jeden.

Ogień tymczasem, rozwalając w gruz wszystko, podrzucał się coraz bardziej pod linję domów przydrożnych.

Głos jakiś drwiący wołał:

— Cóż to, panie, to na śmiech te domki — toż to, panie, jak na spalenie budowane!

— Widzisz go! na spalenie! — obrażała się baba — a czemu straż nie ratuje? wszyscy oni z żydami spiknęli się! — Nikt nie odpowiedział. Jakiś jegomość tylko począł poufnym głosem opowiadać mieszczanom o złapanym w mieście podpalaczu.... Miał on mieć przy sobie zapałki, szmaty i butelkę nafty. Od czasu do czasu głośniejszy trzask walącego się budynku dobiegał aż tu: wówczas na chwilę ucichały spory. Patrzano, dech zaparłszy, jak z łomotem sypały się belki, kominy, i z kupy gruzu przez chwilę wznosił się słup dymu czarnego, przysłaniającego nawet płomienie. W tej części przedmieścia nie było ani jednej beczki ratunkowej, ani jednego strażaka. Ratowano od strony miasta; tu pożar miał „sam wygasnąć".

Właściciele grupy budynków, oddzielonej drogą od płonącej dzielnicy, wynieśli wszystek dobytek, wyprowadzili bydło, a resztę zdali na Opatrzność, od godziny już tłum stał w tem miejscu, dla rozstrzygnięcia kwestji — przejdzie czy nie przejdzie pożar przez drogę? wreszcie przeszedł. Stało się to całkiem nagle.

Kiedy zajęły się ostatnie domy od strony miasta, ogień, jakby poweselał, stał się mniej dymnym i strzelał do góry.

Tylko straszliwy oddech jego wysuszał przeciwległą ścianę budynków. Aż nagle — jakby władowany w nie upał ciągnął magnetycznie płomienie — fala ognia zaczęła się przechylać nad ulicę, wyciągając swe strzeliste macki.

Jednocześnie w kilku naraz miejscach odpowiedziały im cieniutkie strugi niebieskawego dymu z poddaszy i krokwi.

— O — o — o!

Zawył tłum. Istotnie: płonął pierwszy dom, za nim drugi, z trzeciego biegły jeszcze prążkowate smugi dymu. Wówczas nad ulicą zawisły brunatne kłęby, błysnęły w paru miejscach przelotne płomienie — i dwie fale pożaru zwarły się ponad szeroką drogą: wszczął się teraz już wyraźny trzask i na ulicy przeraźliwie pustej zawirowały niespokojnie jakieś drzazgi, wióry i słomki. Coś ciągnęło oko w ten pusty korytarz o sklepieniu z syczących kłębów ognia i zgorzelizny. Zdawało się jakby tamtędy właśnie, wśród tych dziwnie, wirowato latających nad ziemią, szmat i papierków, przechadzał się niewidzialny duch zagłady.

Ogień pożerał jedne po drugim małe przedmiejskie domki, kładąc stra-

szliwe pokosy żaru po drodze. Wkrótce z kilkunastu domów wszystkie prawie stanęły w płomieniu. Ocalały tylko dwa budynki z przeciwległej strony patrzących i jedna chałupa, najbliższa ich. Ta miała być ostatnim kąskiem pożaru.

Chałupa była całkiem nowa, o dwóch tylko oknach, jeszcze nawet nieoszklonych, o dachu nie całkiem pokrytym. Stos gontów leżał jeszcze przy domu i stała nowa drabinka, jakby na świadectwo płonności zamiarów budowniczego. Na dachu domku siedział żyd z kubełkiem wody i polewał go od czasu do czasu półkwaterkiem. — Żyd ten przez długi czas patrzył na pożar wraz z innymi wzrokiem nieprzytomnym, powtarzając tylko jedno zdanie:

Aj — waj — mamele, tatele!

Teraz jeszcze poruszały się mu wargi, prawdopodobnie wymawiające te same wyrazy, ale bezdźwięcznie.

Kosmyki włosów przylgnęły mu do czoła, z pod którego bezrozumn oczy odbijały tylko blask pożaru:

Tłum zajął się żydem:

— Spali żyda na węgiel! — zaobserwował mieszczanin.

— Zejdziesz ty, żydzie, z dachu! — wrzeszczała kobieta z przekrzywioną chustką.

Żyd nic nie słyszał, nie odwracał nawet głowy od ognia, lecz ciągle tym samym monotonnym ruchem czerpał z kubełka wodę i starał się ją jaknajszerzej rozprysnąć po dachu. W tłumie zaczynało się jakieś głuche szemranie, jakiś pomruk gniewny szedł między ludźmi, bez wyraźnego słowa. Jedna tylko kobiecina w przekrzywionej chustce wyrywała się przed tłum i perorowała:

— Patrzcie go! Mało to dobytku z dymem poszło! Ten chce swoje obronić! Zejdziesz ty, żydzie, z dachu!

Ogień tymczasem opanował całkowicie sąsiedni dom, w którym już mury kominów zaczynały się osypywać. Żar musiał ślepić oczy żydowi, bo lewą ręką zakrył sobie twarz, nie przestając prawą czerpać z kubełka...

Nagle z tłumu wysunął się jakiś wyrostek, przebiegł pędem pod chałupę, zabrał oburącz wiązkę gontów i przeniósł na bezpieczne miejsce. Po chwili wrócił po drugą wiązkę. Kobiecina jeszcze raz zakrzyknęła na żyda, ale tym razem zagłuszyło ją mnóstwo głosów:

— Jeszcze-by można żydowi chałupę odratować — mówił mieszczanin.

— Gdzie zaś uratować! wody niema! — odparł drugi.

— Można to w moment widłami rozdrapać.

— Chałupa jak domek karciany.

— Tyle to warte co materjał; jak-by materjał uratować, tak by żyd ocalał.

— A żyda trza ściągnąć.

— Zejdziesz ty, żydzie!...

Tym razem okrzyk był dziwnie silny: żyd nagle obrócił rozognioną twarz do tłumu i jęknął:

— Aj — waj — mamele, tatele!

I stało się raptem to, co przed chwilą z falą płomieni wytężającą się dla przejścia drogi: coś przechyliło tłum ku tamtej stronie. Z gwarem, z nawoływaniem zwarli się ludzie ku chałupie żyda — ktoś wlazł na dach i sprowadził go dobrze w czas, bo żyd już miał skórę popękaną, choć w ręku jeszcze zaciskał półkwaterek... Zkądściś z ogrodów mieszczańskich przywleczono drągi i haki — ktoś wołał, raz — dwa, raz — dwa, a ludzie z zaciekłością ciągnęli za drzewce i sznury — w chwili kiedy runęły pułapy sąsiedniego domu i czarny słup sadzy zawisł nad zgliszczami — ściany chatki żydowskiej zatrzęsły się również i upadły naraz z dwóch stron. Tłum rzucił się zaciekle na belki i deski i wlókł je ku miejscu, gdzie wyrostek złożył był gonty. Z pod sypiących się iskier wydarto ostatnie szczątki materjału — nic nie zostało prócz fundamentów, klepiska i kupy cegieł z komina.

— Będzie miał żyd dobrze wypalone cegły na piec! Zawołał nagle ktoś z tłumu.

— Żydowskiemu zawsze się szczęści! — krzyczała kobiecina w przekrzywionej chustce. Tłum śmiał się, żartował z żyda, który siedział na swoich skarbach z obwiązaną głową, i zwolna odchodził od pogorzeliska, na którem bezsilne płomienie lizały ziemię, czołgały się i gasły przy fundamentach rozwalonej chałupy...

Paryż. *Jerzy Grot.*



DLA IDEI.

NOWELA.

— Sołtysie, sołtysie!... Posłuchajcie!..

— O! bybyście, Kacprze, dokumentnie wyłożyli: tak albo i tak, juści!...

— Cicho, nie krzyczcie! I ten gada i ten gada...

— Ale oni tu głowa między nami... Sołtys przecie...

— To się wie! No, sołtysie, co powiecie? Jakże będzie?

— Nic nie będzie! — rzekł Sylwester Klukczyński, z posady nauczyciela w Borówce, za pijaństwo usunięty. — Co tu sołtys pomoże? Przepadło. Jak władza nakaże, tak być musi.

Sołtys wnet mowę odzyskał.

— A co nam władza? — wołał nadrabiając miną, — bo po kilku pół kwaterkach język mu się plątał. — Władza nam nic nie daje: na szkołę gromadzkie pieniądze idą...

— Ale! tak się to mówi! — wtrącił eks-nauczyciel.

— Władza do naszych kieszeni nijakiej dyspozycji nie ma — wołali ośmieleni przemową sołtysa chłopi, których spora gromada przed karczmą się zebrała. — A co baby nie chcemy, to nie chcemy!

— Albo to pan nauczyciel zły był? — odezwał się ławnik. — Albo i źle uczył? Dzieciskom skórę rznął, aż miło!

Sołtys poufale poklepał nauczyciela po ramieniu.

— Bije, bo bije, bez obrazy Pana Boga miłosiernego, ale i tęgo pije!... bełkotał, śmiejąc się głupkowato. — Takiego nam a to potrza.

— Ot, u nas sprawiedliwość, przyjaciele! — rozrzewnił się Klukczyński. — Żeby człowiek najlepiej chciał, nie poznają się, wzgardą zapłacą... sami widzicie! Babę oto przysyłają, a ty, głupcze, za swoją pracę ruszaj w świat bez chleba!...

Rękawem wyszarzanego surduta otarł łzę i mrugnął lewem okiem, bo prawe w jarmacznej bójce stracił był niegdyś.

Chłopi stali wzruszeni.

Kilka wieśniaczek zbliżyło się z fartuchami przy oczach.

— Juści prawda, moi złoci! — mówiła z nich jedna, gestykulując żywo. — Sprawiedliwie to jest? Pan nauczyciel wszystkiego nauczny i z dziećmi potrafi i nie trza mówić jak to na wsi... Trafi się choróbsko jakie, to i zamówi i leki da i za pogrzebem śpiewa i różnie... Albo i nie? powiedzcie, sołtysko...

— Walkowi frybrę galanto na wierzbie zaszczepił — odparła z przejęciem zapytana.

— Albo to baba czego nauczy? — ozwała się inna. — Rychtyg będzie jak w Smolczynie. Nauczyciela wygnali hen, aże do drugiej gubernji, a pannicę wsadzili. Jakem była na Siewną na odpuście, to mi akuratnie kuma Maciejowa rozpowiadali, co bez mała dwa roki chodzi jej chłopiec do szkoły, a na ślabikozie nic pokazać nie umie. Wymysły jeno jakieś, i tyla! Zawdziuteńki na ślabikozie się uczyli; juści teraz ona profesurka cudaki na ścianach pozawieszała i tylo dzieci morduje.

— Powiadała co nakazali z urzędu, bo ślabikozy nic potem... — odezwała się łagodnego wejrzenia babina, lecz wnet ją zakrzyczano.

— Po co nam baba we wsi? Co ona nauczy? Uczciwemu nauczycielowi chleb odebrali dla jakiejś tam! Albo my wiemy co ona za jedna? Jużci żadna porządna panna, bo-by chłopskich dzieci uczyć nie chciała.

— I nie będzie! — rzekł na to sołtys. A cóż to gromada za nic? Sołtys za nic? A nasze pieniądze gromadzkie za nic? Precz z babą! Do szkoły nie puszczę, żeby mi tak Pan Jezus dał śmierć szczęśliwą!... Nie puszczę!

— Kacprze, — zawołała sołtyska. — Ino nie przeklinaj!

— Kiej powiadam co nie puszczę: żebym tak spowiedzi Wielganacnej nie doczekał...

— Cichojta! Nie obrażajcie Pana Boga, sołtysie... — ozwało się kilka głosów. — Wiadomo, jak nie będziecie chcieli, a gromada się uprze, to babę wygonim, a pana nauczyciela w szkole posadzimy...

Nauczyciel się rozrzewnił.

— Bóg wam zapłać przyjaciele! Bóg zapłać!... Ja-bym krwi dla was utoczył...

Sołtys pociągnął go za rękaw.

— Na zgodę, po pół kwaterku panie nauczycielu, od frasunku, — wołał. — Filipie kumotrze, pójdziewa, co? półkwaterek nie zawadzi...

Sołtyska drogę im zagrodziła.

— Nie chodźta! I wy, Filipie, i kumoter... Bójta się Boga, już i tak gorzałka go rozebrała... I na jarmarku pił i wyście u Mordki pili... prawda? Kacper, chodź do domu... Ino patrzeć jak szkolniczka zajedzie... Koguty na północek piały, kiedy podwoda po nią szła...

— A dyć jadzie!... patrzajta!... — krzyknął ktoś z gromady i oczy wszystkich zwróciły się w stronę gościńca.

Bryczka wjeżdżała w opłotki, powitana głośnem psów szczekaniem, ominęła karczmę i zatrzymała się przed szkołą. Budynek drewniany, chylący się

ku ziemi, z małemi nizko umieszczonemi okienkami, zaniedbany, bez drzew, bez ogródka, brzydko się przedstawił oczom przyjezdnych.

W kałuży, szeroko przed domem rozlanej, kąpały się kaczki i gęsi z całej wioski i grzebały się w błocie dzieciaki, które teraz, na powitanie nauczycielki, z przeraźliwym chychotem pokazały języki.

Od karczmy zwolna, zataczając się, nadchodził sołtys, a z nim kilku wieśniaków i wieśniaczek.

Eks-nauczyciel, struty widokiem swej następczyni, poszedł zgryzotę utopić w kieliszku.

Halka Gałkowska, świeżo zanominowana na posadę nauczycielki, pełna otuchy i radości przybyła do Borówki.

Z głową marzeń pełną, z sercem, w którem się ledwo pragnienia wszystkie pomieścić mogły, dążyła do miejsca przeznaczenia, niecierpliwa, rozgorączkowana.

— Byle prędzej, byle prędzej! — wołała, żądna światła, umoralnienia i równości dla cierpiących i wydziedziczonych. Gdy jednak bryczka zatrzymała się przed szkołą w Borówce, zjął ją lęk chwilowy. Dziwnie bo tu wszystko wyglądało, i przyroda i ludzie.

Gdzie okiem rzucić, piasek jeno i karłowata sośnina, dalej bór ciemny, od głównego traktu, oddzielający Borówkę. Smutno, cicho a starania pracy ludzkiej nie znać tu było wcale.

Wieśniacy, których, jadąc przez wieś, spotkała, wejrzenie mieli ponure, rzadko który Boga pochwalił, kobiety odwracały się...

Nie takiego spodziewała się przyjęcia. Szybko jednakże tłumiąc pierwsze niekorzystne wrażenie, zwróciła się do nadchodzących.

— Proszę otworzyć szkołę — rzekła grzecznie.

Sołtys wzruszył ramionami i baranią czapę na bok przesunął z fantazją.

— Nie wolno cudzych puszczać do szkoły... — odparł zuchwale.

— Jestem nauczycielką! — zawołała Gałkowska, podrażniona niegrzecznem obejściem. — Wójt przyjedzie jutro oddać mi szkołę, a tymczasem otworzyć ją proszę, bo na dworze czekać niepodobna.

— Nie roztworzę! — powtórzył chłop z uporem. — Nie było od wójta nijakiego nakazu, coby kluca dać...

— Ależ ja mam papier urzędowy! — rzekła, wyjmując papiery z woreczka.

— To je panna trzymaj! — zawołał ze złością. — My tu panny nie prosili. Nauczyciela chcemy, rozumiesz panna? Baby nam nie potrza...

Sołtyska odciągnęła go na bok.

— Ty se Kacper nie kpij z urzędowego papieru — szepnęła mu w ucho. — Gorzałka cię ogłupiła i nie wiesz, co gadasz... Co papier, to papier! Mogliby cię do hareštu zamknąć...

— Głupiaś babo! — mruknął sołtys nieprzejednany. — Nie roztworzę, póki od samego wójta nakazu nie przyniesie. A nie, to niech się z powrotem zabiera: pana Klukczyńskiego wsadzimy, i tyla!

Poszedł ku karczmie, baba za nim. Gadali, sprzeczali się; namówiła go wreszcie, aby dał znać wójtowi o przybyciu nauczycielki. W Borówce kancelarji nie było, jeno we wsi sąsiedniej. Kilka godzin upłynęło, nim Gałkowskie, zgnębione przyjęciem, zmęczone podróżą, pod niegościnny dach szkoły się dostały.

— Halko, tu niema co robić... — szeptała matka bólem przejęta... Lecz dziewczyna podniosła na nią zdziwione oczy.

— Przeciwnie, matko, — z uczuciem rzekła. — Tu więcej jest do roboty niżeli gdzieindziej.

— Ale, moja droga, czy można mieszkać w takiej dziurze, bez komina, bez podłogi?!... — mówiła dalej z płaczem Gałkowska. — I ludzie tacy niedobrzy...

Halka przygarnęła się pieszczotliwie do piersi matczynej.

— To tylko wstęp przykry, mateczko! — rzekła prawie wesoło. — Jutro wyda nam się wszystko inaczej. Szkoła zaroi się malcami...

— Obyś się nie zawiodła! — szepnęła matka. — Ale jak tu smutno, ponuro! Nędza zewsząd wygląda!

— Cóż z tego, matuchno? Ludzie widocznie nie umieją tu pracować. Ale niech-no światełko nauki wniknie w umysły mieszkańców, wnet się ochota i umiejętność do pracy znajdzie. O, matko! jam taka szczęśliwa!

Tego wieczora, z głodem, który im mocno dokuczał, spać poszły obiedwie. W całej wiosce baby się zmówiły, aby szkólniczkom ni kapki mleka ni chleba czy kartofla nie sprzedać. Od przybyłych wszyscy się odwracali; nikt słowa przychylnego nie rzekł.

Nazajutrz pustki w szkole; dni następnych toż samo: więc zaczęło się dla Halki pasmo dni długich, bezczynnych.

Dzieci uciekały od nauczycielki, podżegane wciąż przez rodziców i Klukczyńskiego, który Borówki nie opuszczał, rachując na to, że „lafiryndę“ — jak Halkę zwał — wykurzy. Wójt, sołtys i gromada, oczywiście, z nim trzymali.

Ani pensji miesięcznej doprosić się Gałkowska nie mogła, ani reperacji w mieszkaniu, gwałtownie potrzebnej.

— Gromada składać nie chce... — usprawiedliwiał się wójt z układną miną. Mówią, że panna dzieci nie uczysz, więc nie mają za co płacić. Na reperację także gromadzkie pieniądze idą...

— Ależ ja chcę uczyć! — wołała zgnębiona nauczycielka. Czemuż nie przysyłają? Pan Wójt mógłby przecież nakazać. Z obowiązku nawet...

— A to ci kwarda dusza! — mówili między sobą chłopi, dziwiąc się wytrwałości nauczycielki. — Wszyćko strzyma. Na głowy im kapie, wiatr hula po izbie, i żarcie kiepskie, bo baby zacięte, mleka im nawet sprzedać nie chcą — a one siedzą.

— Wójtek którejś nocy w płachtę się odział, drzazgę zapaloną w gębę wziął i w nocy przez okno wlazł im do izby. O rety! narobiły wrzasku co nie miara, a stara się pono tak wylękła, co do dzisiaj w łóżku leży i dycha. Inne, na ten przykład, to-by już gdzie za dziesiątą granicę uciekły, a te nic!

— Twarde bestje! — mruczał wściekły nauczyciel. — Ale ja im jeszcze pokażę!

Istotnie, trudno byłoby cięższe warunki wymyśleć. Gałkowska atoli, postanowiła wytrwać.

— Przejrzą i uspokoją się... — zapewniała matkę. — A ktoś przecie musi być pierwszym...

I niezrażona, odważna dziewczyna dnie całe spędzała na polu, uganiając się za dziećmi pasącemi bydło, czy igrającemi na łące.

Często obrazek święty, to piernika kawałek przyniosła, a takie śliczne bajki im opowiadała, że te w pół dzikie istoty oswajać się z nią wreszcie poczęły, a bajek słuchały z otwartemi usty.

W ten sposób zima nadeszła, z nią i zmiany pewne.

W chałupach wrzask i kłótnie.

Bydło stoi w oborze, gęsi do paszenia niema, ni w polu roboty, i przy sianokosie pomagać nie potrzeba.

Siedzą więc dzieci w domu, a niczem niezajęte — dokazują.

Zniecierpliwione matki przypomniały sobie szkołę. Poszła gadka po wsi, od sołtyski począwszy: — „A co to darmo płacić będziewa tej marmozeli, co siedzi i nic nie robi?...“

I niby na złość nauczycielce, pewnego poniedziałku i chmara dzieci zbiegła się do szkoły.

Halka odważnie zabrała się do pracy, czy to siła tej miłości, jaką dla tych ciemnych umysłów żywiła, czy pewna stanowczość i energja w połączeniu zesłodyczą i cierpliwością sprawiła, dość, że dzieci, których liczba do stu się wzmogła, nauczyły się karności i regularnie do szkoły przychodzić zaczęły.

— Matko, jakam ja szczęśliwa! — powtarzała Halka, tuląc się do matki. — Bladła wprawdzie i szczuplała, bo praca przechodziła prawie kobiece siły, ale promieniała dumą i radością. Rok zbiegł szybko. Następny przyniósł niespodziankę, której młoda pionierka oświaty ludowej nie przewidziała, czy też wprost zapomnieć o niej chciała. Pewnego popołudnia bryczka wójtowska wtoczyła się na dziedziniec szkolny. Po chwili dygnitarz wioskowy zjawił się w szkole.

— Będziesz pani miała jutro wizytę, — rzekł. — Wizytator przyjeżdża. Niechże pani te osły wstydu nie zrobią i mnie...

Lekcje były nie skończone, więc rozsiadł się wygodnie i słuchał wykładu.

— Po co pani takie ceregiele z bydłem robisz? — ozwał się do Gałkowskiej w pół głośno. — Na co im te historje o miastach, o zwierzętach, o ziołach?... Jeszcze czego! Dużo chamowi z tego przyjdzie! I mnie i sobie kłopotu panna narobisz, i tyle!

— Pani nie pojęłaś stanowiska nauczycielki ludowej, — panno Gałkowska, mówił nazajutrz wizytator, bardzo niezadowolony. Nie żądamy nic ponad program, jaki masz pani zakreślony. Dla chłopa dosyć jest, aby czytać i pisać umiał.

Gałkowska, słuchała blada, zgnębiona. Już, już otwierała usta, by o zwolnienie od obowiązku nauczycielki poprosić; myśl jednak, że wszędzie to samo

napotka, że wpływ, jaki pozyskała nad dziećmi, z korzyścią dla nich wypaść może, powstrzymały ją.

Tylko nie biegła już co ranka z jaśniejącemi radością oczyma do swej ukochanej szkółki, nie zanuciła nigdy piosenki wesołej, nie snuła cudnych o przyszłości planów.

I znów rok upłynął. W dżdżysty wieczór jesienny Halka poprawia kajety uczniów swoich i uczennic. W izbie chłód przenikliwy panuje, deszcz przecieka przez dach podziurawiony i tworzy małe jeziorka na glinianej podłodze, a w kominie tli się i dymi mokre łuczywo, napełniając, dymem raczej, niżeli ciepłem, mieszkalną izbę.

Halka nie czuje się dziś zdolną do pracy, więc odsuwa zeszyty, rzuca pióro i głowę wspiera na ręce. Z łóżka stojącego w przeciwległym kącie izby, ozwał się słaby głos:

— Czy niema już wina, Halko? — pyta chora Gałkowska, walcząc z pragnieniem i z odbiegającemi siłami.

Halka zrywa się: pomiędzy flaszkami od lekarstw, odnajduje butelkę w której na dnie trochę jeszcze wina zostało. Z nadzwyczajną ostrożnością kropla po kropli do kieliszka wysącza i podaje matce.

Chora wzdycha boleśnie.

Od kilku miesięcy złożona nieuleczalną chorobą płuc i gardła, stała się potrosze samolubną, wymagającą. Cierpi i, ulgi pragnąc, zapomina, że szczupłe środki materjalne, ledwo na niezbędnie potrzebne przedmioty wystarczają.

— Czy nie poślesz jutro po wino do miasta? — pyta córki. — I wody emskiej już niema... Nie można być zdrową, kiedy się nic z tego, co lekarz polecił, nie robi...

Mówiąc to wzdycha. Halka patrzy na nią wzrokiem osłupiałym.

— Wody emskiej niema i wina niema, a kuracja źle się prowadzi, — powtarza machinalnie i serce dłonią przyciska. — I pieniędzy niema!.. — dodaje z głuchą rozpaczą; ale matka tego nie słyszy.

Godziny mijają....

Dziś właśnie, jak w roku ubiegłym, wizytator odwiedził szkołę. Porządek i karność, a przedewszystkiem zastosowanie się nauczycielki do programu, wywołało ze strony zwierzchnika podziękę i uznanie.

— Pannie Gałkowskiej, wypłacisz pan 50 rs. gratyfikacji z funduszów szkolnych.... — rzekł, zwracając się do wójta. — Miej pan na jutro przygotowane pieniądze; wracając z Gozdowa, wstąpimy i do Borówki. Przyjemnie mi będzie, wręczyć osobiście p. Gałkowskiej zasłużoną nagrodę.

Odjechał i tyle godzin już upłynęło, a Halka upokorzona, zbolała, biedzi się z myślami. Imię Judasza Iskarjoty plącze się jej w mózgu tak znękanym, że wszelkie logiczne rozumowanie ustaje.

Co czynić?.. Boć ona tych pieniędzy przyjąć nie może, nie powinna!.. Czyż ona tego chciała? Ulegała rozkazowi, ale inny cel miała, inne pragnienia...

Przy świetle zbliżającego się poranka, widzi zmiany, jakie choroba po-

czyniła na twarzy matki. Przypomina sobie, że i ojciec podobnie wyglądał... a potem....

Nie! o nie! Ona musi tę chwilę okropną oddalić przynajmniej, jeśli już ratunku możności zwalczenia jej niema. Jutro weźmie pieniądze, pojedzie do miasta, kupi dla matki wina, lekarstwo, przywiezie lekarza... Pięćdziesiąt rubli! To summa przecież. Wystarczy!... Jakaż ona była dziecinna! Cóż może być droższego nad zadowolenie, choćby chwilowe, chorej, ukochanej matki, nad ulgę w jej cierpieniach? Śmieje się teraz ze swoich skrupułów... Czy istotnie się śmieje? Coś jej drga w piersi, i suchy dźwięk wydaje, po licu łzy biegną, a w sercu taki ból!....

Wysunęła się na palcach do sąsiedniej izdebki. Tam było jej sanctuarium! Tam rozmawiała z duchem ojca, tam, wobec pamiątek po nim i z myślą o nim, zapominała o troskach, czerpała otuchę.

Kilkanaście tomików, skromnie oprawnych, wzrok jej uwięziło..

Po chwili z ćwiartką papieru podeszła ku oknu.

Dniało....

Halka pożółkły papier do zbladłych ust przycisnęła.

„A kto miłością drugich nie ogarnął, siebie ino miłując... — czytać poczęła — ten nie wart miana człowieka nosić, jako i ten, który prawdzie i zasadom swoim się sprzeniewierzył. Czyliż jest ból taki, coby srożej piekł, jako przeświadczenie, żeśmy ducha naszego w fałszu skąpali, albo, grzech cięższy, jako zapomnienie, cośmy bliźnim naszym winni?“...

Halka podniosła wzrok ku górze.

Czarne chmury, jak ptaki olbrzymie, goniły się po niebie, wichrem gnane i dzień wstawał tak smutny, jak duch tej, która pragnienie serca kładła na ofiarę prawdzie i zasadom.

W kilka godzin potem bezmyślnym wzrokiem ścigała oddalający się powóz.

Wizytator odjechał podrażniony, zdumiony. Nauczycielka gratyfikacji przyjąć nie chciała.

Halka do łóżka matki podeszła. Chora spała.

— Matko! wyszeptała z jękiem. Nie mogłam postąpić inaczej... Nie mogłam!...

Warszawa. *Wanda Grot-Bęczkowska.*

Gdybym się spotkał z Kantem!

Nigdy jeszcze astronomowi, który śledzi ruchy ziemi naokoło słońca, nie przyszło na myśl łamać sobie głowy nad zagadnieniem: jakby np. ziemię w porze letniej zatrzymać w ruchu, dalszemu jej biegowi tamę położyć, aby nam tym sposobem zapewnić wieczne lato i abyśmy nigdy więcej zimy nie zaznali. Gdyby zaś jakiemuś astronomowi przyszło na myśl nad podobną kwestją się zastanawiać, pewnie, byśmy go oddali do domu obłąkanych. Natomiast między socjologami, licząc do ich liczby wszystkich myślicieli, którzy się zastanawiali nad społeczeństwem i państwem, nikt prawie nie zadawalnia się śledzeniem ruchów społecznych, rozwoju społecznego, ale każdy chciałby wywnioskować z danych spostrzeżeń sposób — zatrzymania kuli ziemskiej w ruchu t. j. podania nam rady, jak się mamy urządzić, żeby nie było wojen między ludźmi, ani nędzy i biedy, żeby państwo tak było urządzone, aby wszystkim było dobrze. Dlaczego my tych wszystkich reformatorów nie odsyłamy do domu warjatów, choć oni w gruncie rzeczy to samo robią, co ów astronom, chcący wstrzymać ziemię w obiegu około słońca? Bo pomimo wszelkich przeciwnych dowodów naukowych nie możemy się pozbyć wiary w wolność woli naszej i nadziei, że byleśmy tylko usilnie c h c i e l i, wszystko w ustroju społecznym zrobić możemy. Jest to oczywiste złudzenie. Bo jakżeż można przypuszczać, żeby w tym bezgranicznym wszechświecie, który cały porusza się według praw stałych, w tej przyrodzie, która wszędzie i zawsze prawidłowo się rozwija i stanowi jeden nieprzerwany łańcuch przyczynowości, — tam na jednej małej bryłce, wirującej wśród kroci innych brył, jakieś plemię mrówcze mogło się wyłamać z pod ogólnego prawa przyczynowości i stanowić o sobie według własnej woli?

Takie przypuszczenie jest oczywistym nonsensem. Nie mniej niech mi wolno będzie stwierdzić fakt, że najwięksi myśliciele podiegali zawsze i podlegają temu złudzeniu, a na dowód przytoczę tu nieśmiertelnego K a n t a. Jak tylu

innych myślicieli XVIII-o wieku, jak Bossueta i Woltera, również i jego dręczyło zagadnienie: co znaczy ten krwawy dramat dziejów ludzkich? co znaczą te wieczne walki i przelewy krwi, te trudy i znoje, te nędze miljonów ludzi, te męki okropne i bezowocne wiecznie usiłowania ludów, to wieczne toczenie syzyfowych kamieni? — Nie mogąc się pozbyć myśli, że ten cały tok dziejów musi mieć jednak jakiś cel „rozsądny", jakąś myśl wyższą, Kant układa plan do obrazu dziejów Ludzkości, z któregoby ta myśl wyższa, ta idea Ludzkości wybitnie na jaw wystąpiła. W rozprawce: „Plan obrazu dziejów ludzkości w celu wykazania idei kosmopolitycznej" [1]) — stara się on sformułować zasady, według którychby obraz taki skreślić należało. Przy tej sposobności składa on nam swoje wyznanie wiary co do filozofji dziejów.

Wyznaje przedewszystkiem, że, jakiekolwiek się ma pojęcie o wolności woli, zaprzeczyć się nie da, że wszystkie czyny ludzkie podlegają ogólnym prawom natury. Ta prawidłowość we wszelkich działaniach ludzkich występuje jasno, jeżeli, jak to czynią statystycy, badamy czyny i działania ludzi zbiorowo, jeżeli spoglądamy na ogólne wyniki tych działań. Pozorna wolność woli w szczegółach przedstawia się nam wtedy jako nieunikniona konieczność w ogóle. Nie mogąc zaś odkryć żadnej myśli wyższej, żadnego prawidła rozsądnego w czynach poszczególnych ludzkich, nie pozostaje filozofowi nic innego jak szukać takiej idei w ogóle dziejów ludzkich; nie pozostaje mu nic innego jak przypuszczać, że natura mieć musi jakiś ukryty zamiar, do którego osiągnięcia cały ten przebieg dziejów służy tylko za środek. Przyjąwszy raz taki ukryty zamiar natury, Kant z założenia tego wyprowadza dwa wnioski, które mu się wydają bardzo logicznemi.

Po pierwsze: że cel natury musi być rozsądny. Bo jakżeżby można przypuszczać, że natura ma cele nierozsądne?

Powtóre, że skoro przebieg dziejów ludzkich przedstawia nam obraz wiecznych walk i zatargów między ludźmi, wieczny antagonizm ludzi, te walki i ten antagonizm muszą być środkiem do osiągnięcia owego rozsądnego celu; a więc ten pozorny nierozsądek, bo wieczny nieład i wieczne chaos przeciwnych dążności i usiłowań ludzkich, które się krzyżują i wzajemnie zwalczają, wszystko to dzieje się gwoli ostatecznemu celowi, który jako rozsądny, oczywista, przyniesie ludziom pokój i szczęście.

Otóż Kant wyraża życzenie, żeby się kiedyś zjawił ów filozof-historyk, któryby się podjął dzieła jakiemu on sam już podołać nie czuje się na siłach i według jego planu skreślił obraz dziejów w taki sposób, aby z niego ów ukryty zamiar natury jasno wystąpił i uwydatnił się: a żywi on nadzieję, że taki Newton historjozofji raz się urodzi.

Sto lat minęło o czasu tej rozprawki Kanta: Newtona takiego jeszcze nie widać. Czyżby nie było wolno zastanowić się jeszcze raz nad tem, azali rozu-

[1]) Idee zu einer Allgemeinen Geschichte in weltbürgerlicher Absicht (1785).

mowanie wielkiego myśliciela niemieckiego nie zawiera w sobie jakiejś pomyłki rachunkowej, jakiejś sprzeczności, jakiejś dowolności w przypuszczeniach?

Otóż wyznam, że gdybym się mógł spotkać gdzieś oko w oko z wielkim myślicielem królewieckim takbym do niego powiedział:

„Mistrzu! skąd Ty wiesz, że natura ma jakiś cel? Kto ci to powiedział? Jeżeli tego nie wiesz, jakżeż możesz na tak dowolnem przypuszczeniu budować plan dziejów? Na jakiej zasadzie przypuszczasz, że cel ten jest rozsądny? i czy to, co dla nas, ludzi, wydaje się „rozsądnem", musi także być rozsądnem dla natury? Czy natura jest istotą zmysłową, jak my, czyli więc to, co nam jest pożądanem, musi także być pożądanem dla niej? czy to, co jest miarą rozsądku dla nas, musi także być miarą rozsądku dla niej? My, idąc polem, zgniatamy niewinne robactwo, które się przypadkowo pod stopy nasze dostaje: czy ten robak zgnieciony może „postępek" ten nasz uważać za rozsądny? Kto nam ręczy, że natura nie jest równie obojętną dla nas, jak my dla tego robactwa, po którem stąpamy? Cierpienia jednostek ludzkich nam się zdają nierozsądne, a Ty przypuszczasz, że natura, dopuszczając się takich „nierozsądnych" czynów, musi mieć jakiś skryty zamiar. A może jej ani się śni o tem wszystkiem? może ją cierpienia ludzkie tak samo ni grzeją, ni ziębią, jak nas los tych robaczków, które stopą naszą miażdżymy? A co, Mistrzu, skąd ty wiesz, że to tak nie jest? — Zresztą, dajmy na to, że natura ma jakiś cel; dajmy na to, że ten cel jest „rozsądny", i że ta rozsądność natury jest zupełnie taka sama, jak rozsądność nasza, t. j. skierowana na to, żeby n a m się dobrze wiodło; choćbym Ci, Mistrzu, wszystko to przyznał i przypuszczenia te Twoje za dobrą przyjął monetę, — to, proszę Cię, wyjaśnij mi jeszcze tylko jednę rzecz, co do której rozumowanie Twoje nie trafia do mojego przekonania.

„Słusznie zauważyłeś, że te wieczne walki między ludźmi, ten wieczny „antagonizm" nie są aktami wolnej woli ludzkiej, że zatem ludzi wcale winić o to nie można, bo w tem wszystkiem działa natura wszechwładna (mająca w tem jakiś skryty zamiar). Na to zgoda, że to nie ludzie tak niegodziwie postępują, ale, że ich do tego zmusza natura. Ale jeśli tak jest, jeśli natura od wieków tak postępuje: skądżesz czerpisz nadzieję, że pewnego poranku wywiesi ona białą chorągiew i w te słowa przemówi do ludzi: „Dziatki, dość było tych bijatyk, dość trapiliście się wzajemnie i turbowali, odtąd niech będzie spokój, niech szczęście zawita na tym padole płaczu". Powiedz mi, Mistrzu, skąd Ty czerpiesz nadzieję, że natura pewnego poranku zmieni swoje postępowanie? Czy myślisz, że ona usłucha sławnego Twojego „kategorycznego rozkazu", który oczywiście potępia takie szczucie się wzajemne istot ludzkich takie wieczne podniecanie się do walk i bojów, do „antagonizmów?" Czy nie oddajesz się złudzeniom? Zważ — to nie jest dziecko niewinne, które przyjmuje nauki rodzica lub nauczyciela: to nie dziewica, do której czystego serca trafiają słowa namaszczone kapłana: to jest stara grzesznica, która miała dosyć czasu do namysłu, która od kroci tysięcy, może od miljona, lat w ten sam sposób zawsze grzeszy. Jak imperator rzymski, z wyniosłej loży swojej pa-

trzy na arenę, w której ludzkie plemiona nawzajem się szarpią w krwawych zapasach: a ona wiecznie nowym zastępom każe wkraczać w tę arenę, i gdy czas już trupy posprząta, ona świeże pokolenia w arenę każe pędzić, żeby wiecznym krwawym walkom materjału nie brakło. A Ty, Mistrzu, masz nadzieję, że ta stara grzesznica pewnego poranku nawróci się i da znak, aby walki ustały, aby pokój i szczęście zawitały między ludzkie plemiona!

„Ładna myśl Twoja, ale powiedz, Mistrzu, skąd Ty choćby tylko przypuścić możesz, że pewnego poranku natura zmieni swoją naturę?“

Tak przemówiłbym do wielkiego mędrca, do króla wszystkich filozofji, i ciekaw byłbym jego odpowiedzi. Ale cóż! gdzież się z nim spotkam? Na tamtym świecie? To chyba w piekle, a tam obu nas: mistrza i najpokorniejszego ucznia, smażyć będą w smolnym ukropie jako niedowiarków więc do filozoficznych rozpraw nie będziemy usposobieni.

Graz (Hradec). *Prof. Dr. Ludwik Gumplowicz.*



Drobne notatki do pism Juljusza Słowackiego.

I. Jan Bielecki.

„Czytałem *w księgach*, a godło obrazu
Było: „kraj zdradził, lecz zdrada zabija".
W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory".

Słowa te umieszczone przez poetę w pierwszej pieśni Jana Bieleckiego[1]), wskazują jak najwidoczniej na to, że Słowacki zaczerpnął treść do swego utworu z rzeczywistości; świadczyć może również o tem tytuł wspomnianego poematu, który brzmi: „Jan Bielecki. Powieść narodowa polska oparta na podaniu historycznem"[2]).

Już Antoni Małecki, w swojem dziele o Słowackim, zwrócił uwagę na wzmiankę Joachima Bielskiego o Bieleckim[3]). Bielski, donosząc pod r. 1589 o napadzie Tatarów na Polskę i o bitwie pod Baworowem[4]), pisze co następuje: „A Korycińskiego Bielecki, maiąc z nim dawną przyiaźń darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublinianin herbu Janina, iedno się był poturczył, y poturczywszy przyiechał z Turek do Polski za króla Stephana, y tu chciał mieszkać; iedno że przecie swey wiary złey odstąpić nie chciał. Król Stephan chcąc go nawięcey dla poselstwa zatrzymać, że to umiał ięzyk Turecki y Tatarski, naznaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu, ale król dał, a Panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki zbiegł do Tatar, y Tatary na oyczyznę swą

[1]) Pisma J. S. wyd. Małeckiego. I.[2] 62.

[2]) L. l. 61. Wzmianki o Bieleckim por. Encyklopedja powszechna Orgelbranda III. 510. (Leopold Hubert.), Encyklopedja wielka powszechna ilustrowana VIII. 758/9 (Adolf Pawiński, który przytacza szczegóły o Bieleckim z aktów koronnych; wiadomości tych jednak Słowacki w żaden sposób nie mógł znać). — Wzmianki o Bieleckim w herbarzach są bez wartości dla kwestji, która mnie zajmuje, dlatego ich nie wyliczam; zabrałoby to zresztą niepotrzebnie tylko miejsce. Zaznaczam tylko, że ani Hubert, ani Pawiński nie wspominają o wzmiance Heidensteina i Siarczyńskiego (por. niżej). W żadnem nadto innem dziele nie udało mi się napotkać obu powyższych wzmianek.

[3]) I.[2] 160.

[4]) O bitwie pod Baworowem por. Schneidera Z.: Baworów. Dziennik literacki, 1864. nr. 45/52, str. 661.

nawiódł [1])". Myliłby się jednak mocno, ktoby wnosił, że Słowacki na podstawie wspomnianego miejsca w kronice Bielskiego osnuł główny wątek swojej powieści. Jest to rzeczą wprost niemożebną, gdyż owa część kroniki Bielskiego, w której znajduje się przytoczone powyżej miejsce, pozostawała w rękopisie aż do r. 1851 i dopiero w tymże roku doczekała się druku za staraniem Sobieszczańskiego. Zastanawiając się dokładniej nieco nad źródłami, z jakich Słowacki mógł korzystać w swoim utworze, zdołałem odnaleźć tylko dwie wzmianki, które poecie mogły być znane.

Pierwsza wzmianka znajduje się u Heidensteina [2]) i brzmi jak następuje: „quo tempore Tartarorum colluvies in Podoliam se exoneravit. Summa tum omnium consternatio erat, et quia in comitiis praeteritis (etiamsi admoniti ordines essent, propter evitanda tamen tributa, vanum eum esse metum iudicantes) nihil subsidii constitutum erat, ideoque nullum militem habebant. Die 18. Augusti 1589. in summo numero hostes prope Leopolim consederunt, cum alii ad Tarnopolim exspectarent. Bonis multorum vastatis, et in cinerem redactis, praeda maxima onusti Bavoroviae Wollovvam, sororem Zamoiscii obsederant, de cuius praesentia admoniti, eo acrius instabant, cum periculo etiam vitae suae; iamque oppidum in sua potestate habebant, et septa arvis obtinebant, cum advenerunt Jacobi Strussii, Potociorum, Podloviorum, copiae, nobilium etiam undique numerus non contemnendus, et summa clade iam iam in arcem irruentes affecerunt. Quo in proelio magni animi Vir Strussius Praefectus unius cohortis, animose occubuit, nimium se in periculum id ingerendo, Warszawicki, Koriciński, aliique multi, in captivitatem ab illis adducti erant. Sed Koriciński post breve tempus a Bielecki fuit propter notitiam et amicitiam cum illo constanter cultam libertati restitutus. Bielecki ille erat natione Nobilis Polonus e Lublinensi terra, cum in iuventute captus a Tartaris fuisset, tandem ad Turcam delatus, ab illis in secta Machometica eruditus, reversus fuit in Poloniam. Stephanus Rex ipsum alacri suscepit animo, et pro interprete eo (quod Turcicam et Tartaricam linguam optime calleret) usus erat, assignata ei non mediocri possesione. Sed quod Rex libentiter illi concesserat, hoc Domini alli turpiter eripuerant. Quo iratus ad Tartareos iterum se contulit, illosque in patriam ulciscendarum iniuriarum causa incitavit" [3]). Drugą wzmiankę

[1]) Joachima Bielskiego dalszy ciąg kroniki polskiej zawierającej dzieje od 1587 do 1598 R. w rękopiśmie odkrył i do druku podał.... F. M. Sobieszczański 1851. str. 104.

[2]) Reinholdi Heidensteini, Secretarii Regis, Rerum Polonicarum ab Excessu Sigismundi Augusti libri XII. Francofurti ad Moenum 1672. p. 286. W Polsce nieraz obrażony szlachcic sprowadzał Tatarów na własną ojczyznę. W r. 1594 niejaki Czulański mszcząc się za to, że go skazano na infamię, wskazywał drogę Tatarom do Polski. Por. A. Mosbach: Wiadomość do dziejów Polski z archiwum prowincji śląskiej. Wrocław 1860, str. 229 — 235. A. Czołowski: Z przeszłości Jezupola i okolicy. Przew. nauk. i liter. 1889, 1184.

[3]) Ustęp ten zgodny jest w głównych punktach z powyżej przytoczonem miejscem z dopełnienia kroniki Bielskiego. Już W. Nehring: O życiu i pismach Joachima Bielskiego 1860, Poznań, w ustępie VIII. str. 68 — 75 („Uwagi o dalszym ciągu Bielskiego, który wydał So-

o Bieleckim znalazłem w dziele Siarczyńskiego, zatytułowanem: „Obraz wieku panowania Zygmunta III.“. (1828 Lwów).

Książka ta, encyklopedycznej zresztą natury, znaną była dobrze Słowackiemu, jak to wnosić można z następujących słów jego pisanych do matki w liście z dnia 15 marca 1833 roku[1]): „Jeżeli... można, przyślijcie dykcjonarz sławnych ludzi, służący za materjał do wieku Zygmunta III., zdaje mi się, że przez Siarczyńskiego, ale nie pewny jestem autora; te to dwa tomy wydane przez jednego z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pan Paweł powie wam, jakie to jest dzieło; może go w Glücksberga księgarni znajdziecie. To dzieło wielkim-by było dla mnie skarbem“.

Wzmiankę Siarczyńskiego o Bieleckim przytaczam w zupełności[2]), „Bielecki Jan, herbu Janina, z Bielski, Lublinianin, w młodym bardzo wieku w plon od Tatarów wzięty i wychowany w ich wierze i języku, tyle dobremi postępki i przymioty ujął sobie tych pohańców, że mu bez okupu do Polski, do której tęsknił, wrócić dozwolili. Stefan król chętnie go przyjął i tłumaczem nadwornym, iako w tureckiey y tatarskiey mowie biegłego uczynił, dzierżawą go też nieszczupłą opatrzył. Ale gdy mu tę chciwość możniejszych wydarła, rozgniewany napowrót do Tatarów się wyniósł, i tych do zemszczenia się nad pany polskiemi podburzył. R. 1588 gdy ci na Podole wpadli, kraje Rusi pustosząc, podemknęli się aż do samego Lwowa. Odezwała się w sercu obrażonego Bieleckiego miłość oyczyzny, prosi Chana, aby łotrostwa swey hordy powściągnął i brańców Polskich: Korycińskiego, Warszawickiego i innych na wolność wypuścił co i otrzymał, ale iuż do oyczyzny nie wrócił więcey, bo wolał mieć iednego tyrana w hordzie, niżeli stu w Polszcze“.

Twierdzenie moje, że Słowacki znał dokładnie Siarczyńskiego, popiera jeszcze następująca okoliczność: Małecki, w rozbiorze swoim Bieleckiego[3]), wspomina o podaniu brzeżańskiem, według którego jeden z Sieniawskich miał zatarg z Bieleckim. Niestety biograf Słowackiego nie podaje, skąd wiadomość tę o podaniu zaczerpnął; mimo moich najusilniejszych starań nie udało mi się dotychczas odszukać śladów przytoczonego podania. Charakter Sieniawskiego skreślił młody poeta zupełnie podług Siarczyńskiego. W tomie drugim, na stronicy 180 wyczytał bowiem o Adamie Hieronimie Sieniawskim następujące szczegóły: „Wspaniałość domu jego i dworu z królewską równano, nigdy mniej do stołu jego zastawionego złotem i srebrem nie zasiadało jak osób kilkadziesiąt. Im więcey miał gości, tem weselszy i ochotniejszy się okazywał, i zawsze się więcej spodziewał“. Z powyższem miejscem Siarczyńskiego można porównać następujący ustęp w Bieleckim[4]) Słowackiego:

---

bieszczański w Warszawie 1850 8-vo“) wskazał zgodność i zależność kontynuatora Bielskiego od Heidensteina. Wspomnianego miejsca jednak nie uwzględnił.

[1]) Listy I.[3] 113. Małecki. l. l. I.[2] 245.

[2]) Tom I. str. 30 n. s. v. „Bielecki“.

[3]) L. l. 160 n.

[4]) L. l. 62.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnych nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona[1]).
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski, i szlachcic mieć może.

a nieco niżej:

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady[2])
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistej szacie, ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzonem czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Utwór jednak młodego poety nie jest ściśle historycznym, napad bowiem Tatarów, sprowadzonych przez Bieleckiego, miał miejsce w roku 1589 za Zygmunta III., a nie za Stefana Batorego, jak to twierdzi poeta w pieśni trzeciej:

Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta[3]).

i niżej:

Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie
W skarbcu królewskim[4]).

Popełnił nadto Słowacki jeszcze jedną niedokładność historyczną: — Sieniawski, który występuje w poemacie, urodził się w roku 1576[5]), w roku więc 1589, jako chłopiec trzynastoletni, nie mógł odgrywać tej roli, jaką mu poeta wyznaczył w poemacie. Łatwo jednak można wytłómaczyć tę pomyłkę poety. Jak wspomniałem powyżej, korzystał Słowacki w Bieleckim z Siarczyńskiego, który wspominając o Prokopie Sieniawskim[6]), podaje wiadomość, iż tenże miał z Elżbiety Gostomskiej syna Hieronima i trzy córki. Zaraz potem mówi Siarczyński o Adamie Hieronimie Sieniawskim[7]), który jednak nie był synem wspomnianego przez niego Prokopa[8]); z przedstawienia przecież takiego może powziąć czytelnik nieobznajomiony dokładnie z historją rodu Sieniawskich to mylne przekonanie, że Adam Hieronim Sieniawski był synem Prokopa, zwłaszcza, że Siarczyński nie podaje wcale roku urodzenia Adama Hie-

[1]) L. l. 63.
[2]) L. l.
[3]) L. l. 69.
[4]) L. l. 70. por. nadto str. 62.
[5]) Finkel L. Jadwiga Tarłówna. Ateneum. 1886. III. 531, Maciszewski: Pomniki Sieniawskich w Tarnopolu. Str. 29 nn.
[6]) II. 180.
[7]) L. l.
[8]) „Por. Herbarze. Adam Hieronim Sieniawski (1576†1619) kasztelan kamieniecki, lubecki, kołomyjski starosta, dziedziczny pan na Brzeżanach, był synem Hieronima †1582".

ronima. Z tej to przyczyny mógł wnosić Słowacki, że Hieronim Sieniawski w czasie zatargu z Bieleckim był już w dojrzalszym wieku [1]).

Wspomniałem już powyżej, że podania brzeżańskiego, o którem napomyka Małecki, nie mogłem odszukać. Przypadkiem jednak udało mi się napotkać wiersz poety niemieckiego Franciszka Gaudy'ego, który w poemaciku: „Des Sapieha Rache“ opisał wydarzenie nadzwyczaj podobne do zdarzenia będącego główną osią wypadków w Janie Bieleckim[2]). Akcja poemaciku Gaudy'ego dzieje się w r. 1742. Książę Marcin Sapieha chce odkupić od starego szlachcica, Seweryna Wilkowskiego, posiadłość jego Wilkowo, ofiarując mu za to znaczną sumę pieniędzy. Stary Wilkowski nie chce jednak w żaden sposób odsprzedać starodawnej siedziby przodków, w której żyło niejedno pokolenie. Sapieha na razie ustępuje; nie mogąc nic wskórać prośbami, postanawia użyć gwałtu. W tym celu zaprasza Wilkowskiego do rezydencji swej Koźmina na święta wielkanocne i zatrzymuje go u siebie przez trzy dni, okazując się dlań nadzwyczaj gościnnym. Podczas tego kozacy z rozkazu księcia palą posiadłość starego szlachcica. Wilkowski, wracając, widzi tylko płonące gruzy wioski rodzinnej [3]).

---

[1]) Poeta nie krępuje się jednak wogóle bardzo ścisłością historyczną, widać to najlepiej z opisu herbu Bieleckiego. Opis bowiem herbu Bieleckiego:

Na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole.
Gwiazda nad gwiazdą hełm o strósiem piórze. (II. 32 — 34 i IV. 70—71) nie odpowiada wcale opisom herbu rodowego rodziny Bieleckich Janina (herb Janina: „brunatna tarcza w czerwonem polu, na hełmie pawie pióra“.) ani też nie jest zgodny z opisem herbu Junosza, według innych bowiem tego herbu używał Jan Bielecki (opis herbu Junosza: „w polu czerwonem baran biały, w prawą stronę tarczy obrócony, na zielonej murawie stoi, boki u niego skrwawione, z rogami na głowie, w hełmie pięć piór strusich.“) Najwięcej zbliżonym jest opis herbu Bieleckiego do herbu Leliwa, będącego herbem rodowym Sieniawskich, a nie Bieleckich (por. opis herbu Leliwa: „w błękitnem lub czerwonem polu księżyc złoty, nie pełny, do góry nogami, w środku jego gwiazda o sześciu rogach; na hełmie ogon pawi, na nim takiż księżyc,“ *Niesiecki* IV. 435—7 i VI. 39 nn. *Czarniecki* Herbarz 45 47. 64.) Poeta jednak o tyle odstępuje od podanego opisu, iż w herbie umieszcza księżyc srebrny i strusie pióro. Prawdopodobnie pisał z pamięci i nadał mimowiednie herb Sieniawskich Bieleckim. Herb Anny (II. 35—37) wygląda na wymysł poety, podobnego bowiem herbu nie potrafiłem odnaleźć.

[2]) Franz Freiherrn Gaudy's sämmtliche Werke herausgegeben von Arthur Mueller.Berlin. 1844 XVI. Band; Seite 75—82. Gaudy przebywał przez pewien czas w Wielkopolsce; w tym czasie osnuł kilka utworów opartych na tle stosunków polskich. Skąd Gaudy zaczerpnął wątek do swego utworu, nie mogę powiedzieć. W każdym razie rok działania 1742. podany najwyraźniej przez poetę, wskazuje na to, że Gaudy zaczerpnął opowiadanie z historji. W wydawnictwie *B. Gorczaka*: „Sapiehowie, materjały historyczno-genealogiczne i majątkowe“, są wzmianki o Wilkowskich, o zajściu jednak Marcina Sapiehy i Seweryna Wilkowskiego w aktach owych nie ma śladu. O Gaudy'm por. F. Brümner: Lexikon der deutschen Dichter und Prosaisten von den ältesten Zeiten bis zum Ende des 18 Jahrhunderts. *Sub voce.*

[3]) Poeta kończy utwór temi słowy:

Also rächte sich Marcin Sapieha
Zu den Zeiten der erlauchten, freien

Cała ta opowieść, osnuta na podaniu historycznem, ma wiele punktów stycznych ze zdarzeniem opowiedzianem w Janie Bieleckim. W obu podaniach widzimy możnego magnata, który dla zemsty osobistej niszczy podstępnie podczas nieobecności swego przeciwnika jego mienie.

Słowacki nie mógł znać utworu niemieckiego poety w chwili pisania Jana Bieleckiego, choćby dla tego, że poemacik Gaudy'ego okazał się później; przypuszczać jednak można z wielkiem prawdopodobieństwem, że Słowacki znał podobne podanie do owego podania wielkopolskiego. Naprowadza mnie na ten domysł uwaga poety w tytule, w którym zaznacza, że powieść jego jest osnutą na podaniu historycznem, temi jednak słowami poeta wcale nie uprawnia nas do tego przypuszczenia, jakoby znał jakieś podanie z okolicy Brzeżan. Powstanie utworu tłómaczę sobie raczej w ten sposób, że poeta ze wzmiankami historycznemi o Bieleckim, zawartemi w dziele Siarczyńskiego, zespolił i połączył w jedno jakieś podanie (dajmy na to owo wielkopolskie podanie o Sapieże); na podstawie czytania Siarczyńskiego wprowadził też Sieniawskiego, gdyż w tych okolicach, w których Bielecki działał, Sieniawscy byli możnymi panami rozległych włości i nadawali się właśnie wybornie do tej roli, jaką w podaniu odgrywa możny i dumny magnat. Jakie to było podanie i skąd je poeta mógł zaczerpnąć, nie mogę na razie rozstrzygnąć [1]).

II. Wallas.

W liście do matki z dnia 24 marca 1834 roku donosi poeta o nowym utworze, nad którym właśnie pracuje, w następujących słowach:[2]) „Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić Ci zamierzyłem, otóż donoszę Ci

Republik Polonia, da man zählte
Tausend siebenhundert zwei und vierzig.

Całe zdarzenie opisane przez Gaudy'ego przypomina podanie węgierskie pochodzące z 17 w. o Ceredy'm, który wskutek podejścia ks. Rakoczego musiał mu odstąpić dziedziczną posiadłość, miasteczko Zborowo (na pograniczu Galicji i Węgier, przy gościńcu prowadzącym z Gorlic do Bardjowa).

[1]) Prawdopodobnie mogła nastręczyć poecie jaka powieść osnuta na tle podobnego podania myśl do skreślenia Jana Bieleckiego. Dla zaokrąglenia całości wspomnieć mi wypada o rzeczy powszechnie znanej, tj. o wpływie Marji Malczewskiego tak w skreśleniu postaci Anny jakoteż niektórych sytuacji, jak np. opisu balu maskowego i ponurości pana Brzeżan, lub sceny, w której Anna siedzi przy ojcu nad żywotami Świętych. *Chmielowski P.:* Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego [3]149 n. O byronicznym kolorycie Jana Bieleckiego mówi obszernie *J. Tretiak:* O byronizmie. Tydzień. Lwów 1879. 393. Znaną jest wreszcie rzeczą, że wstęp do Jana Bieleckiego powstał dopiero znacznie później, bo dopiero w r. 1831 pod wpływem wrażeń odebranych w Londynie. Por. Listy z dnia 30 lipca 1832. Paryż i 10 września 1831.

[2]) L. I. [3]157. Małecki II. [2]22 n.

Mamo, że teraz zajęty jestem pisaniem nowej tragedji, o *Wallasie*, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą.. Przypomniało mi się, że kiedyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallasa życie“. Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moją imaginacją. Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy — która *Wali lasy*. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les chefs Ecossais*. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historjach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedji nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka; ale układając tragedją — i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca — aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty. Tragedją tę poświęcę pamięci Jasia“. [1]) Tragedja ta, o której Słowacki powyżej wspomina, zaginęła, i z tej to zapewne przyczyny dotychczas nie zwrócono uwagi na list ten bardzo ważny, a tem mniej zastanawiano się nad tem, skąd Słowacki treść do tej tragiedji mógł zaczerpnąć.

Jak się z listu przytoczonego pokazuje, bohaterem utworu miał być znany z dziejów szkockich, obrońca wolności Wallas (ur. 1276 † 1305) żyjący za czasów Edwarda I. Bohater ten za urazę osobistą pomścił się na swym przeciwniku, zbiegł w lasy, zebrał koło siebie liczne zastępy uciemiężonych Szkotów i rozpoczął walkę z Anglikami. Z początku odnosił świetne zwycięstwa, w końcu jednak musiał uledz znacznej przemocy. Podanie przedstawia Wallasa jako bohatera wolności, który występował przeciwko niesprawiedliwości i uciemiężaniu przez możnych. Sława Wallasa żyje dotychczas jeszcze w licznych pieśniach ludu szkockiego, i dlatego życie i walka jego przedstawiają nadzwyczaj ponętny temat dla poety. Jednym z najwięcej znanych poematów o Wallasie jest pieśń ślepego barda, Harry'ego [2]). Z początkiem naszego stulecia postać mężnego bohatera wolności pociągnęła niejednego poetę do skreślenia jego czynów. I tak w r. 1819 osnuł na tle jego życia Józef Auffenberg swoją tragiedją p. n. „Wallace“ [3]) a w r. 1831 Andrzej Erhard [4]).

W liście wspomnianym mówi Słowacki o romansie „Les chefs Ecossais“,

---

[1]) Jana Januszewskiego, wuja poety.

[2]) Drukowana w r. 1790 w Perth.

[3]) O Auffenbergu (ur. 1798 † 1857.) por. Brümmer Lexicon der deutschen Dichter und Prosaisten des 19 Jh. sub v.; Theaterlexicon. Altenb. 1839. I. 164. Goedecke. 3.882 n.; Allgemeine Deutsche Biographie. I. 654/5 (K. Goedecke.) Kehrein: Die dramatische Poesie der Deustchen 1840. Lpz. II. 245 nn.

[4]) Tragiedja nosi tytuł: „Wallace, hist. rom. Tr. 5. Stuttg. 1831. por. Brümmer. l. l. s. v.; allg. D. Biogr. VII. 196/7 (Prantl.); Kehrein l. l. II. §§. 153. 164. 167 i Biographisches litterarisches Lexicon. I. 90. W literaturze polskiej Józef Szujski napisał dramat „Wallas“.

z którego lektury miał się zapoznać po raz pierwszy z osobą Wallasa. Jest to romans znanej powszechnie autorki angielskiej, Miss Porter, noszący w oryginale tytuł: „Scottish Chiefs“; poeta jednak znał utwór ten tylko w tłómaczeniu francuskiem, jak o tem sam wspomina. Znając usposobienie Słowackiego, który zapalał się do każdego silnie skreślonego charakteru, występującego do walki z otoczeniem i broniącego praw ludu, można na pewno prawie twierdzić, że poeta w utworze swoim korzystał w głównej mierze z romansu Miss Porter [1]). Walter Scott w przypiskach do poematu swego: „Pan dwustu wysp“ zachwala nadzwyczaj wspomniany romans [2]). Sam poeta donosi nadto w liście wspomnianym, że studjował oprócz tego do dramatu swojego dzieje szkockie [3]). Opierając się na tych wszystkich wiadomościach, możnaby się pokusić o skreślenie skieletu treści zaginionej tragiedji.

III. Balladyna.

Jednym z najpiękniejszych może ustępów w Balladynie jest scena pierwsza aktu pierwszego, w której Kirkor przychodzi pytać o radę pustelnika co do wyboru małżonki. Między innemi prawdziwej piękności jest miejsce, w którem Kirkor, słysząc o męce Chrystusa, wykrzykuje z emfazą: [4]).

O! biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił,
By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą,
Zbawiłbym Zbawcę, lub wyrąbał krocie
Zbójców, na zemstę umarłemu.

[1]) Miss Jane Porter, ur. 1776 † 1850. Najznakomitszemi jej powieściami są następujące: „Thaddaeus of Warsaw.“ (gdzie wspomina też o Kościuszce; Kościuszko po przeczytaniu powieści tej przesłał autorce pierścień ze swoim portretem; Walter Scott nazwał romans ten ojcem swoich Wawerley Novels;) Scottish Chiefs, The Pastor's fireside i Tales round a Winter's-hearth.

[2]) Że Słowacki znał „Pana dwustu wysp“ na to zwróciłem uwagę w rozprawie o Marji Stuart Słowackiego. Ateneum 1894. I. 271. O Scottish Chiefs mówi Walter Scott w przypisku do ustępu 9, pieśni II. „Trzebaby koniecznie dla zrozumienia poematu znać dobrze historją Szkocji; ci którzyby sobie nie chcieli zadać tej pracy, niech przeczytają przynajmniej piękny romans Miss Porter: *Wodzowie Szkoccy*“; w uwadze do II. 24 pisze o Wallasie co następuje: „Zobacz w kronice Stowa historją nieszczęśliwego Wallasa, zdradą wydanego w ręce Anglików. Dzieło Miss Porter opisuje bardzo szczegółowo życie i zgon Wallasa; przeczytanie jego objaśniłoby wiele niezrozumiałych ustępów „Pana dwóchset wysp,“ gdyż poemat ten jest niejako jakby dalszym ciągiem romansu Miss Porter.“ W. Scott wspomina nadto w licznych swoich powieściach bardzo często o Wallasie, co niewątpliwie musiało zwrócić uwagę Słowackiego na tego bohatera.

[3]) Walter Scott poleca kronikę Barbura we wspomnianym poemacie.

[4]) L. l. III, [2]12.

Już Zygmunt Krasiński w swoim rozbiorze Balladyny zwrócił uwagę na owo miejsce, pisząc, że w wierszach tych ustami znikomego Kirkora przemówił wieczny szlachcic polski [1]).

Wspomniany okrzyk Kirkora nie jest jednak oryginalnym pomysłem Słowackiego; zwrócono już na to dwa razy przygodnie uwagę. Pierwszy raz Jabłonowski [2]) mówiąc o owych słowach Kirkora zauważył, że „to coś zupełnie w rodzaju znanego przy chrzcie uniesienia wodza Franków — Klodowika". Drugi raz Brückner, oceniając rozprawę Bełcikowskiego o Balladynie, wskazał to samo podobieństwo, również jednak tylko ubocznie [3]). Uwagi te przeszły jednak zupełnie niespostrzeżenie. Wiadomość ową o Klodwiku podał po raz pierwszy Fredegar. Oto co czytamy w rozdziale 21 księgi III. [4]). Cum a sanctum Remedium in albis euangelio lectio Clodoveo adnunciaretur, qualem dominus noster Jesus Christus ad passionem venerat, dixitque Clodoveus: „Si ego ibidem cum Francis meis fuissem, eius iniuriam vindicassim". Jam fidem his verbis ostendens Christianum se verum esse adfirmat!

Anegdota ta jest powszechnie znaną. Skąd ją Słowacki mógł zaczerpnąć, nie można rostrzygnąć, i o to też wcale nie chodzi; pragnąłbym tylko zaznaczyć, że pomysł owych słów, włożonych w usta Kirkora, nie jest oryginalnym.

IV. Lilla Weneda.

1. W rozprawie mojej o Lilli Wenedzie [5]) opuszczono przez omyłkę na stronie 45 szczegół o nazwie Ślaza, na tem więc miejscu przytaczam ustęp opuszczony: Nazwę Ślaza zaczerpnął poeta z fraszki dziewięćdziesiątej, księgi pierwszej, Jana Kochanowskiego, która brzmi jak następuje:

Ná Ślàsę.

Stań ku słońcu, à rozdziéw gębę, pánie Ślásá,
A iuż nie będziem szukáć inszégo kompasá.
Bo ten nos, coć to gęby iuż ledwè nie minie,
Na zębach nam ukaże, o którey godzinie [6]).

[1]) Tygodnik literacki 1841. 182.

[2]) Balladyna. Tragedja Juliusza Słowackiego... Uwagi nad istotą wewnętrznej treści utworu przez L-wa I-go Toruń 1875 str. 39.

[3]) Kwartalnik historyczny. I. (1887) 244 „poeta wymyślił cały ten ustęp, by pomieścić anegdotę, którą o francuskim królu był wyczytał".

[4]) Chronicarum quae dicuntur Fredegarii scholastici. liber III. caput 21 ed. Bruno Krusch. w Monum. Germ. hist. Scriptt. Meroving. Hannov. II. 101. O Fredegardzie por. Teuffel-Schwabe: G. d. r. L. [5]§. 499, 1—3.

[5]) Lwów 1894 (odbitka z Przewodnika naukowego i literackiego, 1894.)

[6]) Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Warszawa 1884 tom II. str. 359. Fraszka ta jest tłómaczeniem z antologji greckiej. (II. 241 ed. Jacobs), jak to wykazał J. Przyborowski: Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego. Poznań 1857 str. 167; por. J. J. Kraszewski: Tygodnik literacki 1840 nr. 26 str. 205.

Zewnętrzna postać Ślaza we fraszce Kochanowskiego przypomina postać sługi świętego Gwalberta w Lilli Wenedzie, jak to widać ze sceny drugiej aktu trzeciego, w której Ślaz opowiada w następujący sposób o metamorfozie swojej, dokonanej na nim rzekomo przez Rosę Wenedę:

Więc ona gniewna, że ja nie umarłem,
Zaczarowała mnie, wyjęła oczy
I dała inne oczy na pamiątkę,
Oczy wydarte z kota, szare kocie,
Przez które zaraz zobaczyłem w nocy,
Że mi już także nosa odmieniła,
I bocianowi wziąwszy dziób, przypięła
Do mojej twarzy, pomiędzy oczyma;
Więc zaraz, wstydząc się takiego nosa,
Spuściłem na nos przyłbicę... [1])

Twierdzenie moje o wpływie Kochanowskiego nie jest pozbawione prawdziwości: wiadomą jest powszechnie rzeczą, z jaką gorliwością rozczytywał się Słowacki w dziełach czarnolaskiego poety, o czem świadczą liczne wzmianki w listach do matki. Tak naprzykład w liście z dnia 27 kwietnia 1834 roku czytamy między innemi co następuje: [2]) „Prawdziwą rozkoszą dla mnie są oba Kochanowscy. Codzień odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swej chacie — z żoną — z dziećmi! Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać — i do tej lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty — lipy — żony — dzieci — i czasów szczęśliwych, w których żył". Inne wzmianki w listach o Kochanowskich zestawiam w przypisku [3]).

2. Podobnież i nazwy Salmona nie wytworzył poeta sam, lecz przejął ją z biblji, w starym bowiem testamencie w księdze Rut jako ojciec Booza, występuje Salmon [4]). Rozczytywanie się poety podówczas w biblji utwierdza mnie w przypuszczeniu, że stamtąd przejął Słowacki nazwę Salmona.

---

[1]) L. l. III. 194, tamże str. 195 mówi Ślaz: „czy nie dosyć takiego nosa?" w późniejszych wydaniach Kochanowskiego napotykamy prawie zawsze nazwę: „Ślaza".

[2]) Listy I. [3]163.

[3]) L. I. [3]113 (Z 15 marca 1833.) 127 (15 lipca 183[3]) 139 (22 września 1833) 140 (27 września 1833) 144 (30 listopada 1833) 173 (13 lipca 1834) 224 (20 października 1835) por. nadto: Małecki l. l. II. 12. 21. 294.

[4]) Rut. 4, 20. 21. Ew. św. Mat. 1, 4. 5. Łuk. 3, 32.

W liście z dnia 30. listopada 1844 r. poeta znajdujący się pod wpływem mesjanizmu pisze tak o Salmonie: „...dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy. Oto w istocie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie — nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedji dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo zostało odkryte i ukarane. A dla mnie jest rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowne władze krwawemi literami napisane". Por. Małecki III. [2]103 n.

3. Podanie o śmierci zadanej przez węże[1]) nie tylko znajduje się w Eddzie[2]), lecz jeszcze w tak zwanej *Saga Ragnars Lodbrókar*. W poemacie tym król duński Ragnar dostaje się w niewolę. Król Ella każe go wrzucić do jamy napełnionej wężami, w której Ragnar, śpiewając pieśni o swoich czynach (t. zw. krakumal[3]) ginie. Dzieje króla Ragnara, a przedewszystkiem jego śmierci, są znane powszechnie; niezawodnie wiedział o niej i Słowacki i zużytkował motyw ten w Lilli Wenedzie. Być może też, że przypadkowo z jakiego tłómaczenia poznał dokładnie wspomniane sagi, co jednak istoty rzeczy nie zmienia, wszystko bowiem jedno, czy Słowacki korzystał z danego motywu pośrednio, czy bezpośrednio.

4. Wspomnieć wreszcie pragnę, że motyw potajemnego żywienia więźnia zamkniętego w wieży znachodzi się w powieści Walter Scotta „Piękna dziewczyna z Perth“ (The fair maid of Perth), gdzie „harfiarka“ Ludwika, dowiedziawszy się o uwięzieniu Rabhsaya, syna króla Roberta III dostarcza mu ukradkiem pożywienia (por. rozdział 32). W tejże powieści przedstawia Walter Scott walkę dwóch plemion szkockich, z których jedno zwątpiwszy zupełnie o możliwości zwycięstwa ulega mimo pieśni wzywającej do boju. (por. rozdział 21, 26, 27, 28, 34).

Kołomyja. *Dr. Wiktor Hahn.*

[1]) Por. moją rozprawkę o Lilli Wenedzie str. 53 n.

[2]) O Gunnarze są też wzmianki w t. zw. Volsunga-Saga. Por. Altdeutsche und altnordische Helden-Sagen. Übersetzt von F. H. von der Hagen. III. Band[2]. von Edzardi. Stuttgart 1880 str. 200**. 310* 313* 353*. O Ragnarze por. tamże 311 n. O Krakumal, Ragnarsaga lodbrokar (lodbrokarnude) jakoteż o pieśniach osnutych na tle tego podania (duńskich, norweskich) por. Schwitzer: Geschichte der skandinavischen Literatur I. 79. 104. II. 38. 39 40. III. 53. W r. 1848 poeta duński Oehlenschläger napisał epos Ragnar Lodbrok.

[3]) Wyjątki z tej pieśni podaje J. Szujski: Rys dziejów piśmiennictwa świata niechrześcijańskiego. W Krakowie 1867 str. 497 n.



POCZĄTKI.

Było to — jeśli w lat puszczy się nie błąkam — pod jesień 1864 r. Otrzymałem posłuchanie u p. Duruy, ówczesnego ministra oświaty we Francji, i na podstawie matury białostockiej z r. 1858 czy 9 (istniało wtedy w Białymstoku gimnazjum klasyczne, dziś podobno szkoła realna), oraz na mocy świadectwa uniwersyteckiego z Moskwy, pozwolono mi wstąpić bez egzaminu do szkoły wyższej prawa w Paryżu; uwolniono mnie przytem od wszelkich półrocznych „wpisów".

Ale, jak niegdyś w Moskwie, tak też i teraz, nie po myśli mi były wykłady urzędowe, obowiązujące. Włóczyłem się po najrozmaitszych kursach Sorbonny, Kollegium francuskiego, Szkoły lekarskiej, przysłuchując się — tam chemii Wurtza, ówdzie hebrajszczyźnie Renana, gdzieindziej gieografji Himly'ego. Ocierałem się o młodzież wszelkich wyznań, plemion, powołań i dążności. Uderzyło mię przedewszystkiem i najmocniej jedno zjawisko: szczera, serdeczna, braterska zażyłość między kolegami z obozów i stanowisk krańcowo różnych, sprzecznych. Za lat kilka, kilkanaście, — mówiłem sobie — ci zacni, dobrzy, usłużni, poświęcający się towarzysze z ławek szkolnych, wyjdą na dyplomatów, burmistrzów, feldmarszałków, aptekarzy, cenzorów, giełdziarzy, inżynierów, rzeczywistych radców tajnych, wydawców książek — i zaczną się z sobą ciąć, rznąć, kląć, okradając jeden drugiego ze czci, z sukni, z kawałka chleba. Czyliżby nie było na to rady? Czy nie dałoby się przyszłych tych oszustów i zbójów wziąć na słowo honoru lat młodocianych? wprządz ich do solidarności równie chętnie i święcie przestrzeganej w 50-m roku życia, jak jest przestrzeganą w 22-m i 24-m? przedłużyć tym sposobem wiosnę obietnic i nadziei? Tyle jest związków międzynarodowych, czarnych i czerwonych, spikniętych na zgubę i niedolę społeczną, przygotowujących wojnę wszystkich przeciwko wszystkim: czemużby nie utworzyć wielkiego „internacjonału" obowiązku, cnoty, prawości życia i postępowania, ujętego w niezłomny cement pierwszej zażyłości i przyjaźni towarzyskiej, zawartej przy książce, nad retortą, w klinice, na majówce

lub wśród ciężkich doświadczeń egzaminacyjnych?.... „Tugendbund“! — powiedzą. Ależ wcale nie Tugendbund! Prusacy stworzyli u siebie Tugendbund w widokach politycznych, szczepiąc patrjotyzm niemiecki w zagorzałe młode głowy w ten sam sposób, w jaki z katedry berlińskiej profesor Hegel szczepił w ich sercach Pana Boga-Hohenzollera monarchicznego. Naszem zaś hasłem, wstępnem i naczelnem, byłoby: precz z polityką, politykomanją i politykomanami! Precz z tą zgrają jurgieltników i podszczuwaczy, siejących nieufność, zawiść i nienawiść pomiędzy narodami! Niech żyje natomiast wolność, niech zakwita prawda, niech w owoc zawiązuje się solidarność obywatelska, zasadowa na gruncie porannych westchnień życia w najpiękniejszej dobie uświadamiania jego przeznaczeń!

Z projektem zwierzyłem się najpierw dwóm znajomym, spotkanym na zupełnie odrębnych ścieżkach zajęć literackich i naukowych. Wydawało mi się to szczytem mądrości i zręczności — jeśli zdołam sprządz z sobą umysły, charaktery i widoki całkowicie sobie obce. Ludwik Masłowski zabierał się wtedy do studjowania medycyny i zaczął tłómaczyć jakąś filozofję historji Odysse-Barot'a. Pisał po polsku haniebnie. Musiałem mu całe stronice przerabiać, poprawiać, przeinaczać. Ale umysł to był niesłychanie rzutki, pojętny, giętki, szeroko oczytany, przepojony naturalizmem do szpiku kości.... lecz kości nie pacierzowej, jak się okazało później, w lat piętnaście, we Lwowie.... Mniejsza o to: dobry i prawy był z niego chłop; rozumnie mu patrzyło z jednego prawdziwego i drugiego szklanego oka pod czaszką miał, nie kleik jakiś świątobliwy, lecz spory kawał pozytywnego mózgu. Sprytny był przytem, elegancki, śmiały, bez konsekwencji łobuzowaty. Drugi z powierników odrzynał się od pierwszego jak bryła kamienna od szybkiego wód prądu. Zawiędły, kościsty, wyprostowany, zapięty na wszystkie guziki długiej szarej kapotki, o czole twardem, o spojrzeniu zamkniętem, o ustach nigdy się nie składających do uśmiechu, żartu, łagodności lub ustępstw jakichkolwiek, Adam Dominik Bartoszewicz, późniejszy wydawca „Mrówki“ i bibljoteczki popularnej, słusznie uchodził za jednego z nazajciętszych, rzetelnie „nieprzejednanych“ wyznawców demokracji, był jej uosobieniem typowem i na stanowisku tem nieskazitelnie wytrwał *usque ad finem*.

Obaj najchętniej i najżyczliwiej podali mi dłonie, jakkolwiek nawet przed p. Adamem nie kryłem, że widoki moje mają ostro zarysowany charakter anty-tugendbundowy, zgodnie z założeniem głównem rozciągnięcia jedności braterskiej na całą rzeszę młodzieży europejskiej z pomocą polskich współkolegów naszych, licznie rozrzuconych po wszystkich wyższych zakładach naukowych we Francji, Belgji, Niemczech i Szwajcarji. W parę miesięcy później (już w r. 65-m., a może 66-m) ukazał się w druku krótki, trzypunktowy program „Sekcji głównej międzynarodowego stowarzyszenia uczniów“, podpisany przez jej sekretarza, L. Masłowskiego, a za programem — organ Sekcji „Przyszłość“. Wrażenie było niemałe i na ogół przychylne. Kierunek filozoficzny pisma, mocno pozytywny, Comte'owski, wywołał zarzuty. Pan Adam

kręcił trochę głową, ale rada była trudna: w obronie Comte'a gotów byłem wówczas, jako redaktor, wysadzić w powietrze całą oświatę niemiecką, z wyjątkiem może Fichtego — dla Bartoszewicza, Wundta i Vogta — dla Masłowskiego, i Kanta — dla siebie. Świeżo właśnie zakupiłem był „krytykę czystego rozumu" w przekładzie prof. Barniego: pierwsze dwa czy trzy numery *Przyszłości* wywindykowało się bez trudu. Drukarz Czerniecki z Genewy ofiarował kredyt; honorarjów — wyłącznie niemal sobie przynależnych — nie płaciłem wcale. Tymczasem gromadził się fundusik w rękach kasjera Antosia Giedrojcia, sekcja główna rosła, rozszerzała się. Niestety, w miarę przypływu sił nowych podstawa stowarzyszenia i zasady pisma ulegały rozcieńczeniu — a następnie zarzutom i krytyce. Na jednem z posiedzeń przyszło do rozpraw formalnych, przewodniczył Konstanty Henszel, postać również „Bartoszewiczowska", lecz z wykładnikiem odwróconym: arystokratycznym. Znałem z tej strony p. Konstantego jeszcze z Moskwy, kiedy na naszych zebraniach wiódł zażarte spory z Aleksandrem Wernickim (demokratą) i — jeżeli się nie łudzę — z p. Janem Karłowiczem, największym w uniwersytecie głowaczem. Najżywiej zaatakował mię obecnie Henszel o duszę. Twierdził, że matematyczno-fizyczna biologiczna synteza Comte'a nie ogarnia ducha ludzkiego, nie sięga do podstaw naszej jaźni... Naturalnie, gdyby nie okulary, które p. Konstanty nosił, byłbym mu oczy wydrapał... Co? skąd? Dlaczego duch byłby czem innem, niż balsam róży, niż aromat fijołka, niż promień światła, niż oddech wiosny, niż śpiew słowika, niż ciepło słońca i uśmiech gwiazdy?... Z zagadnienia wywiązał się spór ognisty. Nie wielu za mną stanęło, a Henszel mówił spokojnie, równo, dobitnie. Najgorszem ze wszystkiego było to, że k a p i t a l i z m nie był wówczas po mojej stronie. Na domiar złego, w numerze 4-ym zjawiła się korespondencja z Liége — gwałtowna, kąśliwa, wściekła, szarpiąca w kawały barania skłonność naszej młodzieży do szukania trawy na wypasionych zagonach. Korespondencja była pseudonimową, wytłómaczyć się z jej zamieszczenia nie umiałem — i trzeba było ustąpić. Udałem się w inną zupełnie stronę... Pismo zeszło na utarte szlaki bezbarwności literackiej, domowej, powszedniej — i na 8-m czy 10-m numerze rachunki swe zamknęło.

Gdyby wiek XX-y koniecznie upierał się przy obchodzie setnej rocznicy mojej działalności publistycznej — o czem zresztą nie wątpię ani na sekundę — data 1-o numeru *Przyszłości* byłażby jubileuszową? Nie, — prawdziwa jest o cały rok dawniejszą.

W parę tygodni po przybyciu do Paryża, dzięki listom polecającym Sanguszków, Lubomirskich, Sapiehów, Badenich i t. d. Walerjan Kalinka odesłał mię do Bronisława Zaleskiego, Zaleski do Seweryna Gałęzowskiego, Gałęzowski zaś, posłyszawszy ode mnie, żem w ciągu lat kilku był na fizyko-matematycznym fakultecie w Moskwie, dał kartkę do Henryka Grakcha Niewęgłowskiego, dyrektora szkoły głównej na Montparnasie, przygotowującej do zakładów specjalnych we Francji, — takich jak Szkoła dróg i mostów, Górnicza, Sztuk i rzemiosł, Centralno-inżynierska i t. d. Nazajutrz byłem już bezpłatnym

(jak wszyscy) „internem“ montparnaskim — na pełnym skarbowym wikcie, opierunku, przyodziewku i t. d. Jadalnie, sypialnie, bawialnie, szkoły — były wspólne, ale znajdowało się na górze, na ostatniem piętrze, parę stancyjek dla mniej oswojonych z życiem koszarowem; dostałem wkrótce jedną z nich. Szkoła była przepełnioną. Liczyła może do pięćdziesięciu słuchaczy wewnętrznych, z których wielu posiadało oddawna dyplomy uniwersyteckie — z trzech stron świata. A jakie dusze zacne, dzielne, kochane: Erazm Jerzmanowski, Feliks Rycerski, Ryszard Sokołowski, Gustaw Reutt, Aleksander Martynowski, Karol Baurenfeind Bobrowski, Borowski, Bortkiewicz, Borysiewicz, Giejsztowt, Grzybowski, Korsak, Idzikowski, Karpuszko, Uderski, Rymaszewski, Michalscy...— bez końca. Wszystko to zakopało się od razu w kredzie, mechanice racjonalnej Sturma, gieometrji wykreślnej, nie pamiętam już czyjej... a z taką wyłącznością bezwzględną, zębami i pazurami, że po miesiącu pobytu trząść się zacząłem od złości i oburzenia.

Któregoś dnia, zbiegając z góry do refektarza na śniadanie (baranina z grochem szablastym zalatywała już z dołu aż do sali wykładów, na piętrze środkowem), spostrzegłem, że audytorjum było puste. Wprost drzwi, czerniła się duża tablica zapisana od góry do dołu formułami równań 2-o i 3-o stopnia. Wpadłem, wytarłem tablicę do czysta mokrą jeszcze gąbką i nie namyślając się długo, wypisałem na niej najkaligraficznej zwrotek dziesięć tej osnowy:

Hej, koledzy, precz frasunek!
Na nic nie zdał się rachunek;
A krzywizny
Żadnej blizny
Nie zagoją nam.

Prosta droga prostą wszędzie,
Zero zawsze zerem będzie:
Na te troski
Niewęgłowski
Nie poradzi sam... etc.

Po zgłoszeniu się do refektarza baraniny — naturalnie — już nie było. Sprzątnął ją któryś „galilejczyk“ — podobno Machalski młodszy. Za to, gdy zaraz po śniadaniu wszedł do audytorjum w żółtej płóciennej bluzie dyrektor na lekcję i wziął się na katedrze za kredkę — stanął. Wydawał się czas jakiś niezmiernie zdziwionym, kręcił głową, czytał, pomrukiwał, znów czytał, — a że był wielkim purystą we względzie języka i zwolennikiem polszczyzny Śniadeckich, poprawił parę wyrazów bez pogwałcenia rytmu — i znów milczał w zadumie, podparłszy podbródek dłonią. Obejrzał się następnie ku nam i spytał głosem zwyczajnym, jak podczas wykładu:

— „Zapisaliście już sobie, panowie?“

Nie pamiętam który z nich — Jerzman, Sokół, Bóbr... — zdaje się, że

Kinel, odpowiedział takim samym tonem równym: — „Zapisaliśmy, panie dyrektorze". Wzruszony, podbiegłem wytrzeć tablicę.

W parę dni później na dziedzińcu szkoły, przy gimnastyce, młodzież zbierała się w gromadki i z rąk do rąk podawała sobie zwyczajny ćwiartkowy arkusz grubego żółtawego papieru, zapisanego literami drobnemi, naśladującemi druk, z winjetkowym tytułem: „Montparnasse". Treść prozaiczna odpowiadała najściślej zapowiedzi wierszowanej. Dzienniczek obejmował ją w szeregu artykułów rozumowanych, od wstępnego i polityki zagranicznej do spraw krajowych i „wewnętrznych". W tych ostatnich pierwsze miejsce zajmowały „reformy niezbędne": krytyka przeciążonej pracy profesorów; w skutek tego zły rozkład godzin i rekreacji, pośpiech lub pobierność wykładów etc. Nie żałowano też i administracji... Żądania nie zupełnie były słuszne. Braki wypływały ze skromności funduszów. Rząd dawał szkole zaledwie część jakąś środków nieodbitych; reszta pochodziła z ofiar osób prywatnych, wspaniałomyślnych opiekunów instytucji. W gruncie jednakże „Montparnasse" grzeszyć mógł niewiadomością — w najgorszym razie przesadą, bynajmniej zaś nie złą wiarą. Jest na to dowód niezbity. W jakiś czas później wychowańcy szkoły in gremio wystosowali petycję do Rady, zredagowaną na podstawie wymagań „Montparnasse'a" — i sami ją, zbiorowo, doręczyli. Podanie przyjęto źle, ostro, z niesmakiem. Ulepszenia wszakże — nie zaraz, spóźniwszy je nieco — poczyniono w granicach możliwości i słuszności. Ale już „Montparnasse" nie wychodził. Bez żadnego z niczyjej strony nacisku, bez żadnej, najdrobniejszej chociażby wymówki osobistej, uczułem niewłaściwość dalszego mojego pobytu w szkole i natychmiast po „nieprzyjęciu" petycji, wylałem się dobrowolnie... na bruk paryski. Nikt z mojego powodu nie ucierpiał; sprawiedliwość dodać nadto każe, — być może — nie za późno, że wspomnienie okresu montparnaskiego, tak co do władzy szkolnej, jak i co do kolegów, osiadło w najczulszych zakątkach mego przeświadczenia jedynie warstwą pomników niezachwianych, że wszechmoc nawet nie byłaby zdolną dać nam serc lepszych, skłonności cnotliwszych, umysłów wrażliwszych, pojętniejszych...

Więc stulecie pisarza „Montparnassu" obchodzonem będzie w r. 1964? Wstyd mi wyznać, ale nie: trzeba się jeszcze posunąć wstecz o jakie lat trzy, cztery...

Koniec lipca, początek sierpnia, sobota, zachód słońca. Drzwi i okna rozwarte na ulicę Staromiejską przesławnego grodu Bielskiego. Dzwony w sąsiedniej starożytnej cerkiewce „przeczystej", dzwon w odleglejszym kościele św. Marcina (pierwotnie). W oddaleniu — pieśni wracających żniwiarzy. Niebo rozkosznie pochylone nad ziemią z upragnieniem piło ożywczą woń traw skoszonych i wieczorne mgły potoków ochłodzonych w cieniu. Na ulicy nowo wybrukowanej przed paru laty przez ś. p. ostatniego prezydenta miasta, imci pana Bazylego Tokarzewicza, dał się słyszeć odgłos wlekącego się po kamieniach bijaka... (Bijakiem nazywają na Podlasiu krótszą część cepa.) Poznałem z tego, że nadchodził Mikołaj Śnieżyński, uczeń akad. medycznej w War-

szawie, bawiący na wakacjach u swych krewnych. Kończyłem właśnie z pośpiechem gorączkowym drugi z kolei numer czasopisma powiatowego, które powstało w warunkach następujących.

Wracaliśmy pewnego dnia ze Śnieżyńskim z wycieczki wiejskiej i w drodze dzieliliśmy się wrażeniami iustracji. Nie były one zbyt wesołe. Ciemnota wieśniaka, większa jeszcze — bo zarozumiałością i butą podszyta — nędza moralna drobnej, zagonowej szlachty, której w moich stronach bezmiar, budziły obawy przykre, dotkliwe. Młodość umie z tem jednak szybko się załatwiać. Kochaliśmy się wówczas — ma się rozumieć — obaj; Śnieżyński był już nawet zaręczony z Amelką Czarkowską, najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek na świecie spotkałem. Postawa posągów greckich, głowa tylko nieco większa o najcudowniejszym doborze słowiańskich rysów twarzy: bujne włosy koloru dojrzałego orzecha leśnego, wielkie modre oczy poważnie zadumane, cera barw: marmurowo białej na czole, śniadawo rumianej na policzkach, cokolwiek mniej niż pełnych, alabastrowo błękitnawej na szyi i rękach niby odtoczonych, na ustach wyraz dziecinnej prostoty i rzetelności, w zachowaniu się dziwna miękkość ruchów przy stanowczości, godności takiej, że w obec nich doznawało się zawsze bardzo dokładnie określonej sympatji, jako ku ukochanej siostrze i przyjaciółce... Nie dziw zatem, że z takiemi obrazami w sercu myśl z największą łatwością rozstrzygała najzawilsze kwestje...

Jest już początek bibljoteczki, wieczorami odbywają się pogawędki naukowe (z Ekonomji Dangla, jeśli się nie mylę w nazwisku autora, ze zbiorka rozpraw przyrodoznawczych Bernsteina, czy z czegoś w tym guście, i t. d.) zamożniejszych ziemian nakłoni się do zakładania gospod urządzonych po ludzku; przeciwko opornym, hultajom, zacofańcom założy się pisemko satyryczne... — „A wiesz co? — zawołał Mikołaj, stając i wywijając, jak piórkiem, grabinową, wygładzaną i jak kość słoniowa twardą »bijałką“, którą mu dałem zamiast straconej laski warszawskiej... „A wiesz ty co, pyszny pomysł! Nazwiemy pismo B i j a k, dobrze?“.... Ma się rozumieć, skoczyliśmy sobie w objęcia. I pełni otuchy rzuciśmy się niebawem do rzeki — tuż pod samemi Studziwodami, o półtorej wiorsty od Bielska, gdzie na nas czekano z herbatą wieczorną: jego — panna Amelia, mnie zaś (w niezdecydowaniu się tymczasowem) — jeżeli nie panna Malwina, to panna Leopoldyna...

Pisemko wyśmienicie było przyjęte. Nie sposób było nastarczyć żądaniom. Kroniki tygodniowe z niesłychaną werwą pisywał Śnieżyński, politykę prowadził Bujno (wedle gazet: „Codziennej“ i „Warszawskiej“), Władzio Prokopowicz (jako muzyk) zajmował się sprawozdaniami z koncertów i teatru... Od 2-go numeru wprowadziliśmy nowość, dla której zostawiłem właśnie wolne miejsce na czele numeru: Depesze telegraficzne... Niósł je w tej chwili, pobrzękując bijakiem, Mikołaj: z Poświątnego, z Podzamcza, z Hołowieska, — przedewszystkiem zaś i nad wszystko w tym i tamtym świecie: z ulicy Brańskiej, a dla mnie z Litewskiej, niekiedy z pod Lip aptecznych, — upominając zarazem i pięścią po stole i bijakiem o posadzkę, żebym się ustatko-

wał, gdyż w przeciwnym razie Amelka wypchnie mię przy pierwszej sposobności za drzwi, do kuchni, gdzie dwie jej siostrzyczki młodsze, nieletnie, posługiwały swej matce, a mnie ilekroć tam zajrzałem, groziły łaźnią studzienną, krzycząc: „cygan idzie“.

Bohdan Zaleski prosił Boga, by dał mu po śmierci jego Ukrainę. Ja, lubom stokroć biedniejszy i nieszczęśliwszy, już i takich czasów jak „bijakowskie“ oglądać nie chcę, nie pragnę. A nużby się za nimi odezwały dalsze, następne?... Spotkałem Amelkę w lat 20 po zgonie Śnieżyńskiego. Wracała z kościoła w swej ciemnej, obcisłej, wyszarzanej już obecnie sukience. Nie bardzo się zmieniła; ta sama postawa, ten sam chód majestatyczny, to samo czoło szerokie, rozumne. W oczach tylko miała jakąś grubą, przerażającą zasłonę z mgieł. Mogła mnie jeszcze poznać, ale stojąc, tak okropnie łamała sobie palce i głos jej tak dzwonił, jak gdyby całe przyrodzenie jęczało w niej protestem i skargą: Boże! Boże!... W lat ośm później, kiedym jej przesłał egzemplarz swojej książczyzny, poczta zwróciła mi go z napisem: „nie żyje“. Obrączka przedślubna Mikołaja do grobu z nią poszła.

Grodzisk. *J. T. Hodi. (Józef Tokarzewicz.)*

Na krańcach indywidualizmu.

Indywidualizm krańcowy, jak bożek Janus, posiada dwa oblicza. Wyrażał się on po wszystkie czasy dwojako: bądź jako bezwzględne potwierdzenie praw jednostki ludzkiej do niczem niekrępowanego rozwoju i użycia, bądź też, jako również stanowcze praw tych zaprzeczenie i zrzeczenie się. Ażeby wyrzec się praw, służących jednostce ludzkiej, ograniczyć i niejako unicestwić siebie samego dobrowolnie, trzeba posiadać indywidualność tak samo w wysokim stopniu rozwiniętą i wybujałą, jak i dlatego, by żądać praw tych wyłącznie dla siebie i cośkolwiek, z pominięciem innych, sobie przywłaszczać.

Ascetyczny ideał chrześcijański, tak samo jak ideał „człowieka wszechstronnego“ np. (*l'uomo universale*) z epoki Odrodzenia, dostępnym był dla niepospolitych indywidualności ludzkich, wymagał od nich bogatych zasobów ducha, wielkiego napięcia woli, niezwykłej samoistności.

Jakiś skromny braciszek średniowieczny, abdykujący ze wszelkich ponęt świata materjalnego i dążący wytrwale za pomocą surowej askezy do doskonałości duchowej, ograniczając na każdym kroku ja własne, — jeszcze lepiej je potwierdzał, rozwijał i wzbogacał, we własnem mniemaniu, zupełnie tak samo, niby zuchwały condottiere włoski, chciwy władzy, blasku i użycia rozkoszy ziemskich. Obydwa byli krańcowymi indywidualistami: jaźń własną pragnęli podnieść do możliwie największego stopnia rozwoju, chcieli dogodzić jej zupełnie, słowem uprawiali to, co my dzisiaj nazywamy: kultem jaźni.

Pierwszy dążył do szczytu indywidualizmu przez wyrzeczenie się całego świata, drugi — przez jego przywłaszczenie. Indywidualizm obydwu powyższych typów miał na względzie: albo osiągnięcie najwyższego stopnia szczęścia osobistego, lub też najzupełniejsze rozwinięcie różnych przymiotów natury ludzkiej. Zamiary, w obydwu wypadkach były jednakowe, drogi tylko wiodące do celu — różne.

Indywidualista pierwszego typu pragnął siebie wyzwolić z pęt ziemskich, wyodrębniał się więc dlatego z pośród swego otoczenia i przeciwstawiał mu się absolutnie; ulegał on władzy ziemskiej, ale jej nie uznawał, — ulegał zaś dlatego, że i w tem widział środek wzniesienia się po nad doczesność i materjalność, któremi gardził, środek uniezależnienia się. (Podobnie zachowywali się także Stoicy starożytności, ulegający konieczności świadomie; dobrowolne poddanie się konieczności uważali oni za akt najwyższej swobody jednostki). Indywidualista typu drugiego przeciwstawiał również siebie swemu otoczeniu, nie uznawał żadnej władzy nad sobą; uniezależniał się jednak z pod wpływów świata zewnętrznego, nie tak jak pierwszy, wyrzekając się go, lecz, wcielając go w siebie — czyniąc zeń swoją własność.

Nie możemy tu się wdawać w obszerniejszą charakterystykę powyższych typów indywidualizmu krańcowego; poprzestajemy tedy na przeprowadzeniu tej pobieżnej między nimi paralleli.

Przejdźmy do chwili obecnej.

Umysłowość współczesna objawia usposobienia i dążności dające się podciągnąć pod wspomniane przed chwilą rodzaje indywidualizmu. Dawne ideały: człowieka przywłaszczającego sobie wszystko, pozwalającego sobie na absolutny rozwój własnego ja, bez względu na krzywdę innych istnień ludzkich — i człowieka wyrzekającego się wszystkiego, ograniczającego siebie także po to, by wznieść swoją istotę na najwyższy szczebel doskonałości, — stoją dzisiaj znowu wobec siebie, inaczej tylko nieco akcentowane, odmiennie oświetlone światłem.

W literaturze współczesnej najdosadniejszym wyobrazicielem i rzecznikiem pierwszego ideału był Fr. Nietzsche (— że pominiemy tu innych mniej jaskrawych i konsekwentnych —) drugiego zaś — wszelkiego rodzaju dzisiejsze: neo-mistycyzmy i neo-chrześcijanizmy, Tołstoj i jego zwolennicy na Zachodzie, tak zw. neo-pozytywiści w guście pp. Vogüé i Desjardins'a, niektórzy powieściopisarze, poeci i artyści, wywołujący reakcję przeciwko naturalizmowi w sztuce (Ed. Rod, Bourget i t. p. symboliści, malarze prerafaelici etc.). Jedni chylą się, mniej lub więcej wyraźnie w stronę świętych Atanazych, Antonich, Franciszków z Assyżu, i pierwowzorów doskonałości osobniczej szukają wśród pierwotnych wyznawców chrześcijaństwa, drudzy — wzdychają do bytu niekrępowanego jakiemikolwiekbądź regułami zbiorowego istnienia, oddanego wyłącznie sobie i swoim instynktom. Dla tych ostatnich cele jednostki są sprzeczne z celami ogółu; istota ludzka krzywdzona jest przez zbiorowość, należy ją przeto wyzwolić z pęt, nałożonych na nią przez społeczeństwo. Trzeba jednostce ludzkiej pozwolić na wszystko, a wówczas ludzkość odnowi się i odrodzi: oto ich mniemanie.

„Nichts ist wahr, alles ist erlaubt"! — wykrzykuje Nietzsche. Jeżeli kultura dzisiejsza — utrzymuje tenże filozof — chyli się do upadku i rozkłada się, to głównie dla tego, że ludzie za mało są egoistami. „Altruizm — mówi Nietzsche — zapowiada kres istnienia człowieka; brakuje czegoś najlepszego,

jeżeli zaczyna brakować egoizmu". (Götzendämmerung, 101 str.). Dekadencja człowieka współczesnego jest, zdaniem Nietzsche'go, skutkiem zwalczania przez długi szereg wieków prawowitych instynktów. Człowiek dzisiejszy zabrnął po uszy w etykę niewolników, w której skład wchodzą takie cnoty, jak: cierpliwość, pokora, współczucie i t. p. przymioty, upośledzające jego rozwój. Chcąc ratować zgrzybiałą i zniewieściałą ludzkość, należy powrócić do etyki władców, do moralności zwycięzców, bezwzględnej, nieoglądającej się na nikogo. Trzeba się stać tą, zdrową na ciele i na duszy, wesołą „prabestją", której rozkazem moralnym były własne instynkty, szczęściem zaś — należyte i bezwzględne ich zaspakajanie. Dlatego trzeba, żeby człowiek przestał przynosić siebie samego w ofierze, ażeby nie wyrzekał się siebie samego i, działając zgodnie z zasadniczym instynktem swoim „wolą ku władzy", — miał tylko na względzie: podbój, ujarzmianie, wcielanie innych istnień w siebie i ich wyzysk. Takim jest rdzeń doktryny Nietzschego i indywidualistów tego co on rodzaju.

„Nadczłowiek" Nietzsche'go jest najpełniejszym wyrazem rojeń współczesnego człowieka o życiu niekrępowanem żadnym przymusem, żadną regułą pochodzącą z zewnątrz; jest on również ideałem indywidualisty o dążności zaborczej — że tak powiemy.

Na drugim krańcu indywidualizmu spotykamy inną doktrynę.

Ludzkość — powiadają jej wyznawcy — wcale nie cierpi z braku sił żywotnych, z powodu przytłumienia jej instynktów i powstrzymywania się od zaspakajania ich potrzeb. Nie dlatego, że „pra-bestja" jest uśpiona w człowieku przez sztuczną hodowlę wieków, a jej popędy naturalne trzymane na uwięzi: tradycji, obyczajów, przepisów moralnych etc. — kultura nasza trąci zgnilizną, lecz przeciwnie: to nadmierny wzrost sił indywidualnych, gwałtowne, niepohamowane ich wyzwalanie się, bezmiar żądz i pragnień, uganiających się w opętaniu za użyciem etc. etc. zradzają niedomaganie wieku i grożą katastrofą cywilizacji współczesnej.

Jednostkę ludzką przeto trzeba okiełznać w jej popędach egoistycznych; wystąpienie jej pra-instynktów, osłabienie obrony materjalnej, poniżenie ambicji i dążeń egoistycznych winno stać się celem przyszłości. Do tego służyć mogą dawne ascetyczne środki: pokuta i pokora, zaparcie się samego siebie i wyrzeczenie się dóbr ziemskich, powrót do prostoty pierwotnego chrześcijaństwa, żal, umartwienie i t. p. — słowem, wszystkie te środki, które kruszą duszę jednostki, a jej chęci zdobywania i ujarzmiania w celach osobistego użycia — powściągają.

Niektórym fanatycznym zwolennikom etyki „samozaparcia się i samoofiary" nietylko chodzi o osłabienie materjalnej strony człowieka i ograniczenie jego egoizmu, lecz i o odebranie mu praw do zaspokajania najprawowitszych jego potrzeb i instynktów. Stawiają oni przed nami ideał człowieka osiągającego pełnię rozwoju swej istoty wewnętrznej przez oderwanie się od tego, co ziemskie i śmiertelne; wszystko bowiem, co przynosi nam świat zmysłów, zanieczyszcza jaźń naszą, psuje jej harmonję i zniża wartość. Dla oczyszczenia

jej z brudu ziemskiego niepotrzebną jest pomoc świata zewnętrznego: własne jej siły duchowe wystarczą, byleby tylko były należycie wyzyskane przez odpowiednie ćwiczenie; ćwiczyć zaś, podług nich, władze duszy, to znaczy wyrzekać się swych pragnień i ograniczać wciąż siebie samego.

Pomimo głębokich zasadniczych różnic, zachodzących pomiędzy powyższemi typami indywidualizmu, mają one jedną wspólną cechę, a mianowicie: W jednym i drugim wypadku jednostka ludzka uważana jest jako istność zamknięta w sobie, wystarczająca sobie, odrębna od innych jej podobnych i nieutrzymująca z niemi stosunku na zasadzie równości.

Podobnie krańcowe ideały indywidualistyczne, w obecnej ich formie, powstać mogły tylko wśród chaosu i bezładu dzisiejszego życia społecznego, które nie wszystkim dostarcza jednakowej możności rozwijania się i zadośćuczynienia potrzebom odczuwanym. Wybujałe uroszczenia i domagania się indywidualistów typu zaborczego są poniekąd wyrazem protestu jednostek samoistnych i bogatych duchem, postawionych w warunkach upośledzających ich istnienie. Jednostki te zrywają dlatego solidarność z ogółem i głoszą sprzeczność interesów pomiędzy „ja“ pojedyńczem i zbiorowością; na własną rękę chcą zdobywać to, czego prawnie otrzymać nie mogą. Przykład nielicznych jednostek, wynoszących się, w obecnym ustroju indywidualistycznym, na upragniony szczebel wyższości, kosztem wielu krzywdzonych istnień, zachęca je tylko do tych przedsięwzięć na „własną rękę“. Dążności znowuż do wyrzeczenia się swych praw i oparcia się na własnych zasobach duchowych w celu rozwijania swego „ja“, są do pewnego stopnia — pomijając przyczyny inne, także skutkiem tego przeświadczenia, że życie nie odpowiada pragnieniom człowieka i wymaganiom jego nie jest zdolne zadosyć uczynić. Ludzie wyrzekają się czegoś zupełnie najczęściej po próbach czynionych poprzednio w celu osiągnięcia tego, czego marność, w razie niepowodzenia, później głoszą. Więcej jest zrzeczeń się przymusowych niż dobrowolnych. Samo zaparcie się przychodzi bardzo często dopiero po stracie nadziei w możliwość urzeczywistnienia własnych pragnień.

W ten sposób ratujemy nieraz cień własnej swobody i ustanawiamy wyższość naszą wobec wrogich przeznaczeń. Ideały krańcowo-indywidualistyczne z trudem, i w słabej bardzo mierze mogą być urzeczywistniane w obecnych warunkach kultury. „Nad-człowiek“ Nietzsche'go jest tylko abstrakcją urzeczywistnioną, — czemś, co może istnieć jako pojęcie po za obecnem życiem. Dzisiaj nawet, wśród chaotycznego ścierania się rozmaitych indywidualności, w warunkach bytu pozostawiających częstokroć jednostkę ludzką samą sobie — a zatem wyodrębniających ją ze społeczności i budzących w niej chęć przeciwstawiania się tejże — z trudnością moglibyśmy sobie wyobrazić człowieka, istniejącego w zupełnej niezależności psychicznej od podobnych mu istot. Istota taka, jak „nad-człowiek“ — jest już psychologicznie choćby niemożliwą. Co raz mniej już wśród ludzi osobowości odosobnionych; jaźń samotna, zupełnie samodzielna, istniejąca sama przez się — jest

złudzeniem; składa się ona z nieprzebranej masy osobowości obcych, jest przez nie przenikaną i sama wchodzi z niemi w stały stosunek; determinowaną jest przez stany ducha mające swe źródło, nie w niej samej, lecz w innych.

Nawet „ja“ zaborcze, dążące do podboju i wcielenia w siebie innych, w dobrze zrozumianym własnym interesie, musi się przystosowywać do tych obcych jaźni, stać pod ich wpływem, czynić im ustępstwa — słowem, ograniczać się i zrzekać jakiejś cząstki swych uroszczeń, gdyż inaczej celu nie dopnie.

Wiele naszych przyjemności, potrzeb i instynktów tylko przy współudziale jakiejś mniejszej lub większej gromady ludzkiej może doznawać zaspokojenia. Już to jedno narzucałoby, wybujałej nawet i bezwzględnej indywidualności, konieczność solidarności zbiorowej, stosunku stałego z masą innych istnień. Kto zaś mówi o stosunku, mówi o ugodzie, — zatem o ograniczeniu praw jednej strony, przez prawa drugiej.

Coraz bardziej wzrastająca złożoność potrzeb ludzkich i ich wysubtelnienie będzie wymagało dla ich zaspakajania takich środków, jakich jednostka ludzka, stojąca niezależnie od innych, nie będzie mogła zdobyć. Kto będzie dążył do intensywnego rozwoju własnej jaźni i dostarczenia jej bogatej karmi, będzie musiał tedy zwracać się po nią do innych współpracujących w jej wytwarzaniu. To pociągnie za sobą konieczność tem silniejszego sprzęgnięcia jednostkowego istnienia z istnieniem innych: rozwijania własnego życia na tle zbiorowem. Jednostka ludzka coraz bardziej się przekonywa, że tylko przez intensywność zbiorowego istnienia osobnicze osiągnąć może najwyższego stopnia natężenia. Zrozumienie własnych korzyści — pomijając idealne dążności — wytworzy cały szereg obowiązków, któremi jednostka ludzka przejmie się względem tej zbiorowości, od jakiej zależeć będzie wzrost i rozszerzenie jej jaźni.

Takie wyodrębnienie się od ogółu, z chęcią podboju, o jakiem marzą krańcowi indywidualiści, niemożliwe jest i dlatego jeszcze, że istota ludzka dąży więcej do upodobniania się innym, niż do wyróżniania się; przynajmniej w podstawowych sprawach bytu, — te zaś głównie łączą ludzi w jedną całość. Dla tego, kto pragnie czegoś silnie, nie wiele znaczą różnice spostrzegane u tych, którzy tegoż, co i on, pragną, byleby tylko dążyli do tego samego co on: a to już mu wystarczy, by się zbliżyć do nich i związać z nimi. Różnice zostaną tu poddane podobieństwu.

Dzisiaj nieraz wśród ludzi o umysłach niezależnych i samoistnych spotykamy takich, którym ta ich wybitna niezależność staje się nużącą i nieznośną; skwitowaliby z niej chętnie, byleby tylko módz wierzyć z kimś wspólnie, przedsiębrać coś zbiorowo — słowem, być związanym z większą jakąś całością, z tem, co jest mniej znikomem i chwiejnem. Tu także działa ten instynkt, wiodący nas do przyjęcia tego faktu, że życie osobnicze potęguje się przez podobneż życie otoczenia. Wiemy o tem: że wierzyć będziemy głębiej i pragnąć silniej, jeżeli wierzyć i pragnąć będziemy wspólnie. Pragnienia i wierzenia niepodzielane przez

innych mogłyby się nam wydać zbyt nikłemi, — a to zmniejszyłoby w nas poczucie intensywności własnego bytu, zniżyłoby jego ton.

Indywidualizm oparty na zrzeczeniu się także nie wielką ma przyszłość przed sobą.

Najpierw, dla tych samych powodów, że wyodrębienie się od innych, nieżądanie od nich czegokolwiekbądź (pomocy, usług...) i oparcie się na własnych siłach uniemożliwiałoby sprawę doskonalenia się i postępu wewnętrznego; następnie, że samo życie położy kres temu bezwzględnemu pozbawianiu się przez jednostkę jej praw do niego i przywilejów. Wysoki stopień uspołecznienia nie pozwoli bez celu upośledzać żadnego istnienia i ograniczać go, choćby dlatego, że społeczność cała na tem tracić będzie. Wyrzekać się tego, co komuś jest niezbędnem do pełnego życia i harmonijnego rozwoju, nie pozwolą stosunki społeczne dlatego, że będą one wymagały od każdego pewnej sumy wysiłku i zużycia się bezinteresownego; od tych zaś, którzy się zrzekli wszystkiego i nic nie żądają — także nic w zamian wymagać niepodobna. Ekonomja życia zbiorowego nie zniesie podobnego stosunku.

Wyrzeczenie się absolutne, jako ideał życia, nie ma podstawy i dla tego, że nie wiadomo na rzecz czyją mamy się wyrzekać tam, gdzie wszyscy o tem by tylko myśleli. W innych, bardziej uporządkowanych stosunkach wyrzekanie się będzie niepożytecznem, zupełnie jałowem, nikt go bowiem nie zażąda. To tylko wobec własnych albo cudzych wielkich braków życia powstaje myśl zrzeczenia się absolutnego — tam zaś, gdzie braki te istnieć przestaną, idea zrzeczenia się straci grunt pod sobą.

Wierzymy więc: że przyszła ludzkość postawi nas w takich warunkach istnienia, w jakich niepodobna będzie nikomu — gdyż byłoby to bezcelowem — zrzekać się tego, co mu się słusznie należy i żądać więcej, niż się komuś należy.

Warszawa. *Władysław Jabłonowski.*



O przelewaniu się fal.

W czasach ostatnich szeroko rozbrzmiewają głosy trjumfu na temat: „bankructwa nowoczesnej nauki“.

Nowoczesna nauka zbankrutowała — jakoby z kretesem.

Czem-że się jej bankructwo wyraża?

Czem? — Obietnic nie dotrzymała.

Jakich?

Jakie te są przez nią poczynione, a nie dotrzymane obietnice?

Za rozwiązanie tego pytania grubą-by można wyznaczyć nagrodę w tej pewności, że nikt jej nie dostanie. W odniesieniu do nauki nowoczesnej, której cechą znamienną jest metoda postrzegawczo-doświadczalna, która się hypotezą ostrożnie posługuje i wobec problematów, doświadczonemi być nie mogących, otwarcie się do nieświadomości przyznaje, o żadnych obietnicach mowy być nie może! Postrzegajmy, doświadczajmy — zobaczymy co z tego wyniknie. Powtarzanie się faktów jednakowych daje pewność naukową. Z faktów za i przeciw, grupujących się około zjawisk, wynika mniejsze lub większe prawdopodobieństwo. Wszelką syntezę poprzedzić winna jaknajszczegółowsza, jaknajsumienniejsza, wszelkich apriorystycznych wniosków pozbawiona i jedynie prawdę naukową na celu mająca analiza. Gdzież tu na obietnice, miejsce?

Nie o obietnice przeto, ale o co innego naukę nowoczesną oskarżyć-by można — i to nie naukę samą, ale tych uczonych, tych adeptów metody, co metafizykę cokolwiek sponiewierali. Nastąpiło to, co nastąpić musiało, biorąc na uwagę, z jednej strony potrzebę krytyki, z drugiej — subjektywizm ludzki. Adepci metody spostrzegawczo-doświadczalnej, krytykując metodę dedukcyjną, usprawiedliwiali siebie i uwydatniali usprawiedliwienie zapomocą gnębienia przeciwników. — Rzecz to czysto ludzka. W sporach trudno się utrzymywać w granicach, niedopuszczających przycinków, żartów, uszczypliwości, grubjaństw nawet. Dodać jeszcze należy i to, że w dyskusji brali częstokroć udział ludzie, którym nie tyle o naukę, ile o spór chodziło, i którzy, dowcipem obdarzeni,

wyładowywali, na wiarę powag naukowych, dowcip na głowy wyznawców metody uznanej za niedostateczną.

Byliśmy tego świadkami w latach niedawno ubiegłych. Wprowadzenie metody obserwacyjno-eksperymentalnej, rezultaty, jakie ona wydała, garnienie się do niej w licznych zastępach pracowników, ostry ton krytyki, nieszczędzącej przeciwników, silne wywarły wrażenie. Dedukcjoniści przycichli, spokornieli — jęli się wykazywać, że nauka nie obala wiary, że jedna z drugą pogodzić się może. Krytyka ich prawie nie zaczepiała metody, uznając jej dotyczność do pewnych kierunków naukowych i ograniczając ją do pewnych ściśle oznaczonych badań. Aż w latach ostatnich... zatrjumfowali, ogłaszając, że: „nauka nowoczesna zbankrutowała".

Cóż się stało?

Przypuszczać należy, że w zarzut niedotrzymania obietnic sami oni nie wierzą, i nie podają go w innem znaczeniu, jak tylko dla efeku. Musiało jednak coś zajść, co o bankructwie mówić pozwala.

A zaszło.

Cóż mianowicie?

Nastąpił zastój. Pierwotny rozpęd, wydawszy rezultaty, które się znajdowały na podorędziu, powstrzymał się — z wyżyn, na które się był wzniósł, zeszedł na poziom drobnych, szczegółowych badań, pozostawiając na boku te problematy, do których indukcja materjałów nie posiada, a o które właśnie najżywsze toczyły się spory. Wznawianie tych sporów byłoby przegotowywaniem ugotowanej wody, nieprowadzącem do niczego. Nie można ż ustawicznie jednego i tego samego powtarzać! Trzeba poczekać aż, bądź to nowy wynalazek, bądź też rozszerzenie analizy zasilą metodę i dozwolą jej o siebie się upomnieć; trzeba oraz poczekać, aż się trjumfatorowie znużą i wyczerpią.

To, co indukcjonizm spotkało, nie jest wcale rzeczą nową. Na wzór i podobieństwo przypływu i odpływu fal, powtarza się to od wieków. Cywilizacja w pochodzie swoim natrafia na przeszkody, skutkiem których idzie naprzód i cofa się, cofa się i znów naprzód kroczy, — niekiedy w błędnym puszcza się kierunku, nawraca i z trudem niemałym do właściwej dobija się drogi. Wszelka działalność z przeciwdziałalnością się spotyka.

W pierwocinach uspołecznienia cywilizacje regulowały religje, przechowawczynie tajemnic i założycielki państw. Znamionowała je zachowawczość, zachowawczość bezwzględna i nieubłagana, niedopuszczająca zmian ani modyfikacji najmniejszych w tem, co raz uzyskało miano prawdy.

W Indjach n. p. na kilka tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa, za panowania królów dwóch dynastji, słonecznej i księżycowej, prawda religijna stanowiła fundament ustroju społecznego i państwowego i doprowadziła do wojen straszliwych, do rzezi rozmiarami porażających.

Dynastowie słoneczni, Pandawasy, wyobraziciele sprawiedliwości, pokonani ustąpili dynastom księżycowym, Kurawasom, wylęgłym z ducha ciemności. Przez mgły, otaczające pozostałe z tej oddalonej epoki legiendy, przebija się

walka zasadnicza, poruszająca umysły i ramiona. Przemoc ciemności górę wzięła, lecz wywołała opozycję pod postacią pustelników, śród których z czystej dziewicy, narodził się odkupiciel pod imieniem Kryszna. Mit o Krysznie, rozważany z punktu cywilizacyjnego, jasno zdaje sprawę z ruchów naprzód i wstecz w głębokiej starożytności.

Ruchy te wyraźniej jeszcze widzieć się dają w czasach późniejszych, o których do wiadomości naszej doszły, nie same już legiendy, ale i świadectwa historyczne. Przejawiają się one, nie, jak obecnie w szrankach literackich, lecz na arenie, na której się posługują argumentami z ognia i miecza. Przeciwko przerafinowaniu cywilizacyjnemu, jakiem się odznaczał Ilion, powstała cała barbarzyńska Grecja; zburzyła gród, co jej był solą w oku, i z dymiących ruin wyniosła pierwiastki oświaty, którą zaszczepiła u siebie, która wybujała w Atenach, i z której wyrosła opozycja wywołała antagonizm pomiędzy Atenami a Spartą, aż doprowadziła Grecję do upadku.

Rzym cywilizację grecką zgniótł, zniweczył, ażeby ją od niej przejąć, zrobić z niej narzędzie rozkładu dla siebie i przekazać hordom barbarzyńskim, uprzedziwszy ten przekaz zmianą religji, mającą państwo uzdrowić i uratować. Zmiana ta charakterystyczną jest, w odniesieniu do ruchów naprzód i wstecz. Nim nastąpiła — przez jakie to chrystjanizm cięgi przejść musiał!.. W swoim czasie w warunkach, w jakich się znajdowało społeczeństwo, wobec zupełnego rozluźnienia wszystkiego, na czem się bytowanie państwowe opiera, był on krokiem naprzód. Jak ten krok przyjętym został?.. Rzym starożytny tolerował i uznawał wszystkie narodów podbitych religje, do swego panteonu wcielał wszystkich bogów, wyznawał wszystkie filozofje, — tylko przeciwko nauce chrześcijańskiej wystąpił z opozycją tłómaczącą się dzikiem, srogiem i w srogości swojej wyrafinowanem prześladowaniem, ciągnącem się dwa wieki i pół. Prześladowanie to, tyczące się nowej nauki, szerzącej zdaniem jednego z łagodniejszych prześladowców, prokonsula Bitynji i Pontu, Pliniusza młodszego, nie co innego, jeno „przesąd niedorzeczny i pełen przesady“, miało na celu przyprowadzenie tej nauki do bankructwa. Do bankructwa też ją pchano — pchano — i wkońcu przyjęto. Fala, odpychana za pomocą przybijania wyznawców nowej nauki do krzyżów, palenia ich, oddawania w cyrkach na łup zwierzętom drapieżnym, perswadowania, do jakiego się uciekał prokonksul pontyjski, wylała na brzegi rzymskie i zalała je. Nauka nowa nie zbankrutowała, pomimo, że po każdem dosadnem skrytykowaniu onej, wyrażającem się egzekucjami na wielką skalę, bankructwo jej wydawało się nieochybnem. Nie nastąpiło jednak. To, co ona niosła, było na owe czasy racjonalnem i potrzebnem. Pierwiastki jej wsiąkały w społeczeństwo, ziarenka wpadały w grunt świata starego, kiełkowały, pleniły się i przyjęły. Dokonało się przystosowanie nauki nowej do starej, wielce w ścieraniu się prądów naukowych znamienne.

Tym samym trybem ścieranie się prądów poszło później, gdy nowa nauka odniosła trjumf ostateczny, i zabezpieczyła się na przyszłość w kościele zbudowanym „na podstawach niewzruszonych“ „na opoce Piotrowej“. Kościół

rzymski w ciągu trzech wieków (od XI do XIV) posiadał wszechwładztwo polityczne i duchowe: wyrokował w sprawach państwowych i w rzeczach wiedzy. „W kościele są dwa miecze — pisze Bonifacy VIII w bulli *Unam sanctam* — świecki i duchowny: jednego z nich winnien używać kościół i ręka papieża, drugiego kościół i ręka królów na rozkaz papieża". Bez papieskiego pozwolenia nie można było uniwersytetów zakładać, żadna doktryna występować nie mogła bez aprobaty stolicy apostolskiej. Rząd dusz bezwzględnie i bezwarunkowo znajdował się w ręku głowy kościoła, zbudowanego — jak się rzekło wyżej — na opoce.

Uderzyły w opokę tę fale zrazu mniejsze, następnie większe, coraz-to większe i mimo, że się kościół do tych samych krytyki dosadnej środków uciekł, jakich względem niego użył był Rzym pogański, opokę fale podmyły i ochwiały, — mocno ochwiały. Z wszechwładzy dawnej — co pozostało? Państwa wyzwoliły się od niej całkowicie; władztwo dusz z rąk jej wypadło; nauka uzyskała swobodę, jakiej nie posiadała ani w Indjach, ani Egipcie, ani w Grecji (skazanie na śmierć Sokratesa) ani w Rzymie pogańskim. Pozostało jej przeciwko napływającym falom prawo bronienia się na drodze polemicznej, na drodze, na której gromy i pioruny zastąpiła retoryka.

Oręż retoryczny ukuła Reformacja. Wstąpieniem jej w szranki rozpoczyna się przelewanie się fal jednych przez drugie i uderzanie ich o brzegi zastoju, powołującego się od wieków na prawo pozostawania na stanowiskach raz zdobytych i opanowanych. W przelewaniu się tem każda fala, co przychodzi później, zabiera w siebie strumienie poprzedniczki swojej, przesiąka niemi i oddaje je tej, co się na nią wali.

Wieki mijały; tak to szło, szło — i w naszych czasach idzie, z tą jednak ważną, a doniosłości pełną różnicą, że dawniej strumienie fal zabarwiały się krwią ludzką, a szumy ich rozbrzmiewały jękami ofiar, obecnie zaś krwi nie widać wcale, a zamiast jęków słyszeć się dają reklamacje na rozmaite poważne i mniej poważne wyśpiewywane tony. Fala, co była wpłynęła z Encyklopedystami, Wolterem i Janem Jakóbem Rousseau na grzbiecie, zdawało się, że nie ustąpi. Ustąpiła jednak. Następna przyniosła Chateaubriandów, de Maistrów, flankowanych przez filozoficzne szkoły niemieckie, usiłujące wynaleźć formuły dla zagadnień, zajmujących umysły ludzkie. Na te fale, która się chwiała i mąciła, zwalił się Darwin z gołębiami. Miłe te ptaki, pamiętne przyniesieniem na osiadły na Araracie okręt symbolu pokoju, wniosły popłoch w szeregi metafizyków spokojnych o losy metody dedukcyjnej, ułatwiającej ogromnie rozwiązanie zadań nierozwiązalnych. Zaniepokoiło ich to srodze.

Przycichli na czas jakiś. Następnie jęli się dopatrywać stron słabych w teorji, obalającej „prawdy uznane". Okrzyki trjumfu adeptów nowoczesnej nauki, wygłaszane niekoniecznie właściwie, mieszały ich. Przy okrzykach tych analizowali „komórkę", wnikali w istotę „materji", wykazywali przerwy w łańcuchu stworzeń, podchwytywali naturalistów na przeoczeniach, niedomówie-

niach i omyłkach. Robota ta ślimaczyła się, jak długo fala wzbierała; gdy zaś opadać poczęła, uderzyli w kotły i surmy.

„Nowoczesna nauka obietnic nie dotrzymała!“..

„Bankructwo!.. bankructwo!“..

Fala teraz niesie ich — trjumfatorów, a z nimi wszystko to, czem z poprzedniej nasiąknęła. Z teorji naukowych, z wynalazków, z ogólnego na drodze postępowej posunięcia się naprzód nic, dla nauki nie przepadło — nic: najmniejsza odrobina na swojem pozostaje miejscu, na zasiłek i pożytek dla tej fali, co się na brzeg wtoczy w dobie jutrzejszej — i pokryje sobą trjumfatorów dzisiejszych — i zabierze od nich ów dorobek, jakim, jak przypuszczać należy, nauce się przysłużą.

Gienewa. *Teodor Tomasz Jeż* (*Zygmunt Miłkowski*).

Mitologja i filozofja.*)

I.

§. 1. Nie zamierzam mówić panom o różnych sposobach tłómaczenia mitów; nie będę rozprawiał ani o metodzie, którą przezwano lingwistyczną, ani o tej, którą nazywają meteorologiczną; pominę także sposób spirytystyczny, który wszystko w mitologji objaśnia czcią przodków; zostawię wreszcie na stronie najnowszą metodę, która mianuje siebie antropologiczną lub psychologiczną. Temat mój jest daleko skromniejszym i ciaśniejszym: chcę coś powiedzieć o układzie, któryby należało zachowywać w opracowywaniu każdej mitologji opisowej. Zamierzam podnieść kilka tylko pytań metodycznych, ile się one odnoszą do grupowania faktów, stanowiących całość mitologji jednego plemienia lub szczepu.

Lecz przed wdaniem się w szczegóły poglądu mojego, pozwolę sobie zrobić nieco przytoczeń, wyjętych z książek o mitologji i o dziejach cywilizacji. Cytaty te nie będą długie: każda po kilka wierszy tylko obejmie. Biorę je na chybił trafił.

Otóż np. O. Peschel w swojej *Völkerkunde*[1]) powiada: „Wszędzie poczucie religijne budzi się mocą jednostajnego popędu wewnętrznego, mianowicie mocą potrzeby dośledzenia przyczyny i sprawcy każdego zjawiska i każdego wypadku. Łączy się z nim niemożność innego myślenia o przedmiotach wrażeń umysłowych, jak tylko drogą używotnienia“. Tiele w swoim *Manuel de l'histoire des religions*[2]) mówi, że Animizm (używotnianie) jest rodzajem filozofji pierwotnej, która włada nie tylko religją, ale całym żywotem człowieka w stanie natury.

W głośnem dziele swojem *Aryan Household*[3]) Hearn pisze: „Najdawniejsza filozofja i religja najdawniejsza były z początku jednem i tem samem“.

Réville w *Prolegomènes de l'histoire des religions*[4]) powiada: „Wcześniej lub późniejи stała się u ludzkości ścisły stosunek pojęć religijnych do posiadanej

*) Podaję tutaj, w rozdziale I, całość odczytu mojego, który miałem 3 września r. 1889 na Zjeździe orjentalistów w Szkokholmie, w języku francuskim. Wygłoszony był w gronie specjalistów, więc obecnie rozszerzam go, a raczej komentuję w rozdziałach następnych, jako przeznaczonych dla szerszych kół czytelnictwa.

[1]) Wyd. r. 1875, str. 235.

[2]) 1880, str. 11.

[3]) 1879, str. 19.

[4]) 1881, str. 15.

przez nią znajomości świata. Mitologje nigdyby się nie zrodziły, gdyby człowiek, od najwcześniejszej doby, nie posiadał pewnych wiadomości naukowych o przyrodzie"; w innem zaś miejscu [1]) dodaje: „Religja i filozofja mają treść jednaką i w gruncie rzeczy nauczają jednej i tej samej rzeczy"; i jeszcze: [2]) „Bez religji filozofja nigdyby się nie zrodziła."

Spencer, zwalczając głośne założenie Comte'a, że każda gałąź wiedzy przebywa trzy okresy: teologiczny, metafizyczny i pozytywny, powiada [3]), że „Rozwój pojęć naszych i każdej gałęzi wiedzy ludzkiej jest jednostajnym od początku do końca", a gdzieindziej [4]) wyraża się, że „Wyobrażenia pierwotne są naturalne i w warunkach ich powstawania, rozumne.. Prawa myślenia są wszędzie jednakie i wobec pewnych danych, w pewien poznawanych sposób, wnioskowanie człowieka pierwotnego jest słusznem".

U Pfleiderera podobnyż pogląd spotykamy [5]). „Początki wiedzy, powiada on, u wszystkich ludów spoczywają na podstawie religijnej; mity i legiendy są formami pierwotnemi, w których popęd do obeznania się ze światem szuka sobie zaspokojenia".

I jeszcze jedno, ale już ostatnie przytoczenie. Tylor w Antropologji swojej [6]) tak pisze: „Religja plemion dzikich jest zarazem ich filozofją, zawierającą takie wyjaśnienie ich samych i świata, w którym żyją, jakie ich niewyćwiczone umysły objąć są zdolne".

Mógłbym pomnożyć te cytaty; okazałyby one warjacje na temat, że religje, albo mitologje pierwotne nie są niczem innem jak filozofją w zarodku, filozofją człowieka pierwotnego.

§. 2. Teza ta, wypowiadana mimochodem, raczej jako ładny frazes, przez uczonych, których wymieniłem, stanowi przedmiot obszernego a głębokiego studjum, napisanego przez Vignolego, p. t. *Mythus und Wissenschaft* [7]). Autor dowodzi w nim obszernie — może za obszernie — że mit jest wytworem naturalnym i koniecznym człowieka przeddziejowego; że mitologja jest tylko filozofją zaczątkową, prawem dziecięciem pierwotnego umysłu ludzkiego. Zdaje mi się, że żałować tylko należy, iż Vignoli zbyt małą rolę wyznacza wyobraźni. Nie mogę z Welckerem powiedzieć, że „fantazja jest babką położniczą myśli"; mniemam jednak, że w mózgu pierwotnym rozum nie oddzielał się jeszcze od wyobraźni i stanowił z nią jedną całość. Po tem krótkiem zboczeniu, wracam do rzeczy.

---

[1]) Tamże, str. 29.
[2]) Tamże, str. 90, 261.
[3]) Klasyfikacja wiedzy, przekładu polskiego str. 73.
[4]) Zasady socjologji, przekład polski, I. §. 52.
[5]) *Religionsphilosophie auf geschichtlicher Grundlage* II, 623 (1884.)
[6]) Wyd. r. 1881, str. 342; przekładu polskiego str. 322
[7]) Przytaczam tytuł przekładu niemieckiego, bo z niego poznałem tę pracę; wyszedł on w Lipsku r. 1880.

Tak, moi panowie, powtarzano to nieraz, że mitologja jest filozofją pierwotną, ale nie wyciągnięto z tego twierdzenia wniosków należytych.

Gdy mówię, że mitologja jest filozofją pierwotną, to pojmuję filozofję w najobszerniejszem rozumieniu, jako naukę nauk, jako esencję wiedzy ludzkiej, jako umiejętność, kojarzącą wszystkie wiadomości ludzkie w jeden całokształt, naukę zarazem teoretyczną i praktyczną: umiejętnością, poszukującą źródła i związku wszech rzeczy, początku, przeznaczenia i obowiązków człowieka, słowem ogółem pojęć istoty świadomej dotyczących jej samej, innych ludzi i wszechświata.

Mitologja zadaje sobie takież same zagadnienia, co filozofja, tylko odpowiada na nie po swojemu, odpowiada śmiesznie nieraz i dziecinnie; lecz odpowiedzi te długi, długi czas wystarczały do zaspokojenia ciekawości człowieczej i „koiły trwożne serca“, jak to się mówi o pociechach religijnych.

Czyż nie posiadamy astronomji i meteorologji mitycznej? Czy nie mamy zoologji bajecznej? Wszakże tutaj, wśród nas, panowie, widzimy dwóch głośnych mitologów,[1]) którzy nam odkryli tyle tajemnic pierwotnych, stosując dowcipne swe metody do wyjaśnienia mnóstwa baśni astronomicznych i zoologicznych. A w dziełach np. Mannhardta czyż nie spotykamy całkowitego podręcznika botaniki mitycznej? Czyż potrzebuję wspominać o dziejach bajecznych, o lecznictwie ludowem, o religjach mitycznych, o mitycznem prawie narodów? Wszak niema żadnej gałęzi wiedzy i niema żadnego kroku w postępowaniu ludzkiem, którychby nie można było wywieść z takiego okresu, w którym składniki i czynniki ich nie inne były, jak tylko mityczne.

§. 3. Cóż wynika z dowodzenia tego? Odpowiedź na to pytanie stanowi oś przemówienia mojego. Tak ją określam: Ponieważ mitologja odpowiada na wszystkie pytania, które zadaje sobie filozofja współczesna, wypływa stąd, że w dziełach o mitologji należałoby zachowywać taki porządek treści, jakiego się trzyma filozofja, rodzona a starsza siostra mitologji, czyli, że klasyfikację nauk, podawaną nam przez filozofję, wypadałoby stosować i do mitologji. Zdaje mi się, że byłoby to jedynym środkiem do zbadania głębin mitologji, środkiem, nakazywanym przez ścisłą logikę wniosków i jedynym, któryby umożebnił zgarnięcie całego obszaru mitów w ład umiejętny.

Nie czas tu i miejsce do rozpraw, która z klasyfikacji filozoficznych najwłaściwszaby była dla mitologów. Każdy z nas ma swoje upodobania filozoficzne i, że tak powiem, swoją filozofję kieszonkową. Zresztą nie chodzi mi obecnie o dochodzenie, który z systemów filozofji jest najdoskonalszym: idzie mi o rozwiązanie sprawy w zasadzie.

W moich oczach wydaje się ona rozsądzoną: mniemam, jak się rzekło, że układ i porządek w mitologji powinnyby być jednostajnemi z układem i porządkiem w filozofji.

---

[1]) Obecnemi byli, pomiędzy innemi, A. de Gubernatis i Maks. Müller.

§. 4. A teraz, panowie, przypatrzmy się faktom: weźmy do ręki parę podręczników mitologji i zastanówmy się nad metodą ich i układem. Oto mam pod ręką mitologję rzymską Prellera, uważaną za najlepszą w swoim zakresie. Zaglądamy do spisu rzeczy i cóż widzimy: I. Podstawy teologiczne. 1. Bogowie. 2. Duchy, Lary i t. d. 3. Semonowie i Indygiestowie. 4. Bogowie służebni (?). II. Dzieje kultu. III. Bogowie nieba, rządzący światem. IV. Mars. V. Wenera. VI. Bogowie ziemi i rolnictwa VII. Tamten świat i cześć zmarłych. VIII. Bogowie żywiołu płynnego (! „des flüssigen Elements“). IX. Bogowie żywiołu ognistego (! „des feurigen Elements“). X. Przeznaczenie i życie. XI. Półbogowie i bohaterowie. XII. Ostatnie wysiłki pogaństwa.

Podobnyż ład (a raczej nieład) spotykamy i w dziele Grimma o mitologji niemieckiej. [1]) Rozpoczyna on od bóstw i te grają główną rolę w dziele jego.

W obszernej też pracy Afanasjewa o mitologji słowiańskiej, [2]) będącej dotąd najobszerniejszym jej podręcznikiem [3]), panuje dziwny porządek przedmiotów: I. Początek mitów. II. Światło i ciemność. III. Niebo i ziemia. IV. Żywioł światła. V. Słońce. VI. Burza i t. d. i t. d., dwadzieścia ośm rozdziałów naogół, związanych nicią... tylko introligatora. Niech mi nie czynią zarzutu, że wymieniam dzieła mniej więcej na dziś już przestarzałe: takiż sam układ znaleźlibyśmy i w najnowszych, tylko że... nomina sunt odiosa...

Gdy widzę mitologję, która się rozpoczyna wyliczeniem bogów, a potem przechodzi do półbogów i ich „zastępców“ („Nebengötter“ np. u Prellera), a pod końcem dopiero ku najpierwszym pojęciom mitologicznym, to doznaję wrażenia, jakieby się odniosło z zoologji, którąby się rozpoczynała od opisu lwa, tygrysa i orła, a potem dopiero przechodziła do „animalia minorum gentium“, albo też z podręcznika dziejów powszechnych, któryby się zaczynał od spisów i rodowodów królów i książąt, pozostawiając na stronie wszelkie zagadnienia o życiu wewnętrznem ludów, o rozwoju kultury i cywilizacyi i t. p.

§ 5. Czyliż od tego rozpoczynać należy, gdy się pragnie poznać mityczny sposób myślenia człowieka pierwotnego? Botanika albo zoologja np. zaczyna od pojęć bjologicznych: zaznajamia nas z anatomją jestestw organicznych, z dziejami tworzenia się ich organów, z ich funkcjami, z warunkami życia i śmierci roślin i zwierząt. Od tego też należałoby i w mitologji zaczynać. Trzebaby nasamprzód opisać warunki psychologiczne i gieograficzne, pod których wpływem potworzyły się mity i nie trzebaby zapominać, że np. bogowie, że systemy trzech, dwunastu i t. d. bóstw są wytworem licznych stuleci rozwoju religijnego i stanowią, że tak powiem, uwieńczenie roboty mitologicznej. Nie należałoby też gardzić ziarnkami folkloru, wierzeniami gminnemi, zabobonami,

---

[1]) Deutsche Mythologie, trzy wydania, 2 tomy.

[2]) Poeticz. wozzrenija, 3 tomy.

[3]) Później dopiero wyszedł krótki, ale dobry podręcznik mitologji słowiańskiej przez dra H. Máchala w Pradze 1891 p. t. „Nákres Slovanského Bájeslovi“. Patrz referat mój o nim w „W i ś l e“, VI, 235—37 i uwagi o układzie dzieła.

mitami tak zw. przyczynowemi (Francuzi nazywają je „les pourquoi") i wszystkiemi temi drobiazgami, które pod lekceważącą nazwą „mitologji niższej", przekazuje się zwykle folklorystom. Lecz tu właśnie spoczywa prawdziwa mitologja, tu tylko zrozumieć można, jak i o czem myślały owe miljony ludzi, co w okresach przeddziejowych utkały owe mgławice i tumany, które wyłoniły z siebie potężne uosobienia, nazwane bóstwami i bohaterami.

Streszczając com dotychczas powiedział, powtarzam: zdaje mi się, że prawdziwy i jedyny układ i rozkład faktów w mitologji opisowej osiągnięty być może tylko przyjęciem za podstawę klasyfikacji filozoficznej, a to dla tej prostej i jasnej przyczyny, że mitologja nie jest niczem innem, jak filozofją pierwotną i zarodkową.

II.

W parę lat dopiero po odczycie powyższym zaznajomiłem się z rozprawą J. W. Powella, dyrektora Biura etnologicznego w Instytucie Smithsońskim, w Waszyngtonie [1]). Autor pomieścił ją w pierwszym *Annual Report* Biura etnologicznego, z r. 1881. Wydawnictwo to nie sprzedaje się, lecz wysyłane bywa tylko na zamianę z innemi dziełami i czasopismami, oraz do większych księgozbiorów. Redakcja Wisły od lat kilku otrzymuje, w zamian za czasopismo swoje, wszystkie wydawnictwa ludoznawcze Instytutu Smithsońskiego; zdaje się, że jest to jedyny ich egzemplarz w Warszawie. Żałuję bardzo, że mówiąc w r. 1889 o poglądach Vignolego, nie znałem pracy Powella, tak blizko pokrewnej duchem z zapatrywaniami uczonego Włocha: byłbym nie pominął milczeniem nader trafnego dowodzenia etnologa amerykańskiego.

Niechże tutaj wolno mi będzie w kilku dosłownie przetłómaczonych przytoczeniach dać pojęcie o sposobie, w jaki Powell zapatruje się na stosunek mitologji do filozofji.

„Cuda przejawów natury, powiada on, od wieków przykuwały do siebie uwagę. Czy to w dzikości, czy w barbarzyństwie, czy w cywilizacji, umysł ludzki szukał wytłómaczenia wszech rzeczy... Pragnienie wiedzy jest wszechświatowem. Jak i dlaczego są odwiecznemi pytaniami najgłębszego instynktu człowieczego. W rozwoju myśli ludzkiej instynkt zapytywania wszechświatowego postępuje tuż zaraz za instynktem samozachowawczym... Milczące, niewidzialne potęgi przyrody są w ciągłej robocie i przynoszą ludzkości troskę lub radość, chorobę lub zdrowie, śmierć lub życie. Podobnież powodzenie człowieka wiąże się ściśle ze wszystkiemi porządkami społecznemi. Jak i dlaczego są pytaniami, zadawanemi o wszystkich tych sprawach, a wynurzają się z najgłębszych pobudek instynktu samozachowawczego.

[1]) O innych rozprawach Powella patrz Wisła II, 783—804, a o Instytucie Smithsońskim tamże III, 94—101, artykuły L. Krzywickiego.

„Na każdym szczeblu ciekawości, na dzikim, barbarzyńskim i ucywilizowanym, każde pytanie otrzymywało odpowiedź; każde jak dostawało tak, a każde dlaczego uzyskiwało swoje dla tego. Suma odpowiedzi na pytania, zadane przez każdy lud, stanowi jego filozofję; dla tego to każdy naród miał własną filozofję, zbudowaną z odpowiedzi na zadane przezeń pytania.

...I nie tylko każdy naród ma własną filozofję: każdy szczebel cywilizacji odznacza się odpowiednim szczeblem filozofji. Rozwijała się ona wraz z rozwojem umysłu ludzkiego. Dzieje filozofji są historją poglądów ludzkich, od najniższej aż do najwyższej cywilizacji...“

Przerywam na chwilę rozumowania Amerykanina, aby zestawić z niemi słowa A. Świętochowskiego, wypowiedziane w przepięknej rozprawce jego „Poeta jako człowiek pierwotny“ 1896, str. 3. Autor z pewnością nie czytał Powella, a jednak wypowiada jednaki z nim pogląd: „Umysł ludzki, jak przestrzeń, nie znosi próżni, próżnią zaś, którą on, jak ona, koniecznie stara się zapełnić, jest niewiedza. W usiłowaniu tem człowiek pierwotny używa tych samych środków, co ucywilizowany: gdziekolwiek dla myśli jego przerywa się droga nad krawędzią przepaści, tam on przez głębie tajemnic przerzuca wiszące w powietrze mosty z domysłów, lub przelatuje bezbrzeżne otchłanie na skrzydłach wyobraźni.“

Powell tak ciągnie dalej: „Dwa są okresy w filozofji: mitologiczny i umiejętny. W pierwszym wszystkie zjawiska tłómaczone są za pomocą analogji, nabytych podmiotowem doświadczeniem ludzi; w drugim objaśniane są jako uporządkowany szereg wypadków.

„. .Jest znanie rzeczy nieznanych i nieznanie rzeczy znanych. Znanie nieznanych jest filozofją dzikości, a nieznanie znanych jest filozofją cywilizacji... Filozofja dzikiego jest kompletną, filozofja zaś ucywilizowanego jest ułamkową... Dziki jest pozytywnym, ucywilizowany jest sceptykiem... Biorąc rzecz abstrakcyjnie, linja graniczna pomiędzy dwiema filozofjami łatwo daje się przeprowadzić; lecz w praktyce mieszają się one w dziwny sposób: to tylko powiedzieć można, że meteda mityczna przeważa u dzikich i barbarzyńców, a umiejętna u ucywilizowanych... Bez mitologji nie byłoby wiedzy, tak jak bez dzieciństwa nie byłoby dojrzałości...

„W filozofji mitycznej wszystkie zjawiska zewnętrznego, przedmiotowego świata wyjaśniane są porównywaniem ze światem wewnętrznym, podmiotowym. Cokolwiek się zdarza, ma swojego działacza; działacz ten posiada wolę i działa mocą swej woli. Podstawą filozofji tej jest osobistość... Wszechświat jest panteonem...“

W rozwoju filozofji mitycznej Powell rozróżnia cztery stopnie rozwoju: pierwszy nazywa hekastoteizmem, drugi zooteizmem, trzeci fizyteizmem, a czwarty psychoteizmem. Hekastoteizm Powella czyli zdolność poczytywania każdej rzeczy za jestestwo chcące i działające, nazywamy zwykle fetyszyzmem: człowiek w najpierwszym tym okresie przypisuje osobowość i jaźń nie tylko zwierzętom i roślinom, ale i mar-

twej naturze, nawet sprzętom i narzędziom. W zooteizmie używotnianie ogranicza się już tylko królestwem zwierzęcem. W dobie fizyteizmu zwierzęta tracą urok mityczny: człowiek uosabia i ubóstwia siły przyrody. W ostatniej nareszcie, psychoteistycznej, już nie same siły przyrody, lecz potęgi umysłowe, moralne i społeczne dostępują uosobienia i czci: pojawiają się bóstwa mądrości, miłości, wojny i t. d., ściśle jednak łączące się z uosobieniami przyrody. Ostatni ten okres rozwija się, co do formy, w dwóch kierunkach; politeistycznym, jeżeli umysły zwrócone są bardziej ku zjawiskom przyrody, niżeli ku moralnym i w monoteistycznym, gdy myśl więcej moralną, niżeli kosmiczną stronę bóstwa podnosi.

Z przyjemnością przestudjowałem rozprawkę Powella, bom w niej znalazł zupełne potwierdzenie poglądu, który przed nim przelotnie wypowiadał niejeden, najwymowniej może Vignoli, lecz nikt, jak pisarz amerykański, tak jasno i dosadnie rzeczy nie sformułował.

Były i u nas przygodne odezwy w tym duchu. Przytoczę tu kilka wierszy z Bibljoteki Warszawskiej 1867 (II. 150), skreślonych piórem profesora A. Mierzyńskiego, który mimochodem, lecz trafnie dotknął przedmiotu: „Prareligja, pisał, była także praumiejętnością ludów, najpierwszą przewodniczką i praopiekunką ludów; na jej podstawie wyrobiły się pierwsze zasady, na których oparte życie rodzin, rodowe i społeczne".

Ponieważ w odczycie chodziło mi jedynie o mitologję, w niej więc tylko wymagałem zmiany układu; oczywiście, odwracając tezę, wyniknie podobnyż wniosek i względem wykładu i układu dziejów filozofji. Ponieważ mitologja jest początkowem, zarannem filozofowaniem, przeto nie od Talesa, jak zwykle, rozpoczynać należy dzieje filozofji. Uświęcenie rutyny tej zawdzięczamy filozofom klasycznym, którzy dziś jeszcze poza Grecją i Rzymem widzą tylko dzicz i stepy. Jeżeli się nie wychodzi z ciasnego a zupełnie, zdaniem mojem, mylnego określenia filozofji, kurczącego ją w ciasne ramki tylko psychologji i logiki, to filozofowania szukać należy tam, gdzie i zaczątków mitologji, więc w najwcześniejszych przebłyskach myśli ludzkiej.

Na zjeździe orjentalistów w Wiedniu r. 1886 prof. A. Straszewski wygłosił odczyt, w którym dowodził, że niesłusznie w wykładzie dziejów filozofji pomijane bywają Indje i Egipt. Mnie się zdaje, że należy iść jeszcze dalej w tym kierunku i szukać początków filozofowania u wszystkich ludów pierwotnych i u wszystkich ludzi pierwotnych, którzy współcześnie z nami i wśród nas żyją. Właściwie bowiem dzieje mitologji i dzieje filozofji w początkach swoich niczem się nie różnią: dopiero w najbliższej nam epoce różniczkują się one, albo raczej mitologja przeradza się w filozofję.

Przewiduję ten zarzut, że mitologji przypisuję zbyt szeroki zakres. Mitologja, powiadają, to właściwie tylko religja pierwotna. Definicja ta wydaje

się mnie takiem zacieśnieniem sfery mitologji, jak kiedy o filozofji się powiada, że jest tylko samą nauką o formach myślenia, albo samą etyką tylko, albo samą metafizyką. Przy tak zwężonem polu mitologji, do jakiejże nauki odniesiemy badanie pojęć pierwotnych o początku, naturze, związku i przeznaczeniu rzeczy? Czy możebnem jest zrozumienie bajań człowieka pierwotnego, np. o zjadaniu księżyca przez smoka, bez odmalowania całego tła i mechanizmu umysłowości jego? Któraż z gałęzi wiedzy zająć się ma tego rodzaju bajaniami? Czy może astronomja i zoologja, albo dzieje astronomji i zoologji? Ależ te umiejętności mają inny przedmiot: astronomja jest nauką ścisłą i rozpoczyna się dopiero po zgonie astrologji; zoologja w klasyfikacji swej nie chce słyszeć o gatunku czy rodzaju zwierząt, nazywających się smokami. W dziejach nauk przyrodniczych jakiś rozdział poświęca się zwykle pierwotnym pojęciom o przyrodzie, ale czyni się to pospiesznie i powierzchownie: przytoczonych bywa parę bajeczek ku rozweseleniu czytelnika; ale ani psychologicznego, ani historycznego rozbioru ich tam niema i zresztą może być nie powinno.

Jak jest filozofja fizyki, filozofja dziejów i t. d., tak też jest i być musi mitologja fizyczna i mitologja dziejowa i t. d.; jak jest filozofja wogóle, jako wykwit i esencja całego obszaru wiedzy ludzkiej, jako łącznik i różnojednia filozofji każdej gałęzi wiedzy zosobna, tak być też musi i mitologja ogólna, jako spójnia mitologji każdej gałęzi wiedzy, jako suma i rezultat ogólnego na świat poglądu w dobie pierwotnej.

O wyraz i nazwę nie będę się spierał: mnie się wydaje rzeczą najwłaściwszą objąć tę odnogę wiedzy ogólną nazwą m i t o l o g j i; lecz możnaby ją też nazywać d z i e j a m i c y w i l i z a c j i p i e r w o t n e j, czy też p r a f i l o z o f j ą lub inaczej. Chodzi mi nie o nazwę, lecz o potrzebę i konieczność nauki, któraby zawierała w sobie całokształt wiadomości ludów pierwotnych o wszechświecie, o wszechrzeczach w człowieku i poza człowiekiem i któraby wyjaśniała konieczność złożenia się wiadomości tych i pojęć w ten lecz nie inny sposób.

W odczycie moim nie uwzględniłem materjału, którego obficie mitologji dostarcza j ę z y k; przypuszczałem, że słuchający wiedzą doskonale o tem niewyczerpanem źródle mitologji: przecież wśród nich był taki Maks. Müller, który nawet za daleko poszedł w tym kierunku, wywodząc całą mitologję z pewnego zmącenia, że tak powiem, mowy pierwotnej, z zapomnienia pierwiastkowego prostego znaczenia wyrazów i przypisywania im treści mitycznej, z obrócenia, że tak powiem, imion pospolitych we własne.

Tutaj winienem choć kilku słowami rzecz wyjaśnić. Zastanówmy się nad dwoma tylko zjawiskami językowemi: nad rodzajami rzeczowników i nad czasownikami czynnemi. Dlaczego imiona mają rodzaje gramatyczne, jak u nas aż trzy: męski, żeński i nijaki? Dlaczego m ó z g jest rodzaju męskiego, g ł o w a żeńskiego, a o k o nijakiego? Prostej odpowiedzi na to nauka nie dostarcza, bo przyczyna zjawiska tego przykryła się mrokiem niedoścignionej dawności.

Ale powód jego doskonale nam jest znany: człowiek pierwotny używotniał wszystko, więc i rzeczom, nie żyjącym samoistnie, przypisywał rodzaj, jaki poznał u zwierząt i ludzi. Spostrzeżenie to rzuca światło na mity o stosunkach miłosnych np. słońca i księżyca, słońca i jutrzenki i t. p. Mity tego gatunku mogły powstać w takich tylko głowach, które sobie wyobrażały słońce w rodzaju męskim, a księżyc w żeńskim, lub odwrotnie; czy też może przeciwnie: skutkiem mitów, słońce i księżyc rodzaj otrzymały.

Czasowniki czynne stosujemy do wszystkich rzeczy, żyjących i nieżyjących: słońce pali, księżyc świeci, jutrzenka rumieni się, nóż nie chce krajać i t. d. i t. d. Otóż tutaj widzimy drugie świadectwo pierwotnego używotniania wszech rzeczy; pomimo najszczerszą chęć, nie zdołalibyśmy dzisiaj mówić inaczej, jak człowiek pierwotny: księżyc zawsze wschodzić nam będzie i nie straci rodzaju męskiego.

To też żywotność języka, to przechowanie w nim całego człowieka pierwotnego czyni zeń jedną z najbogatszych kopalni mitologicznych, w nim bowiem odbiła się i na wieki stężała umysłowość pierwotna. W badaniach przeto mitologicznych język jest i będzie najdzielniejszym sojusznikiem i wzajemnie mitologja dostarczy mnóstwa wyjaśnień językoznawstwu historycznemu.

Kończę rzecz moją jeszcze jednem przytoczeniem z wyżej wspomnianej rozprawy A. Świętochowskiego, a czynię to nietylko dla tego, że artykulikiem moim przykładam się do uczczenia ćwierćwiekowego jubileuszu pisarza tego, lecz że słowa poniższe wybornie myśl moją popierają.

„Mowa jest najbardziej zachowawczą ze wszystkich składników kultury; drąży ona ciągle stare swoje łupiny i osadza w nich nowe ziarna, które często w swą powłokę zmieścić się nie mogą, inne rozpycha lub okrawa, a odrzuca tylko całkiem spróchniałe... Tkanka mowy naszej składa się z niezliczonych komórek dawnej kultury (str. 9—10).“

Warszawa. *Jan Karłowicz.*

TRYBUN LUDOWY

za czasów Księstwa Warszawskiego.

Posiew rzucony przez prawodawców Wielkiego Sejmu, nie zginął bezowocnie. Pomijając korzyści moralne pierwszorzędnej wagi, nie należy zapominać, że wkrótce nadarzyła się sposobność do okazania w życiu praktycznem, iż pięknie głoszone zasady o potrzebie silnego rządu oraz ładu w państwie umie się w rzeczywistości stosować. Ostatnia chwila niezależności politycznej przekonała dowodnie, że społeczeństwo umiało się rządzić, że mimo arcy-trudnych warunków działalności społecznej potrafiło nieustawać w pracy i wytrwale dążyć do wprowadzenia organizacji państwowej na tory, odpowiadające duchowi i potrzebom czasu.

Nazwiska Małachowskich, Stanisławów Potockich i innych mężów przeważnie z epoki 1788—91 r. pozostaną na zawsze trwałą pamiątką owych dążeń i celów, które przedewszystkiem dobro kraju na względzie miały.

Lecz obok ludzi, którzy na czele rządu stali i w ten sposób mieli możność wywierania bezpośredniego wpływu na losy kraju, epoka Księstwa Warszawskiego wydała jednostki, które pomimo ograniczonego parlamentaryzmu, przez konstytucję wprowadzonego, zdołały zająć niepoślednie stanowisko, a przez swój znamienny udział w pracy prawodawczej, zasługują na to, by historja ich imię w rocznikach swych zapisała.

Po przyłączeniu Galicji Zachodniej w r. 1810 do Księstwa zwołany został w d. 9 grudnia 1811 r. po raz pierwszy sejm z udziałem posłów z departamentów t. zw. austrjackich. A zwołanie to nastąpiło w warunkach nader niekorzystnych. Ustawiczne wojny doprowadziły kraj niemal do ruiny ekonomicznej, wzrastające natomiast potrzeby wymagały coraz większych ofiar. Należało nowe wprowadzać podatki, aby znaleść środki do zaspokojenia rosnących wciąż żądań. To też niełatwem było zadanie rządu, który musiał się do sejmu o pomoc zwracać; niełatwą również była rola posłów, którzy na wyniszczony kraj mieli nowe wkładać ciężary.

Nie można się tedy dziwić, że wśród członków sejmu znaleźć się musieli ludzie, którzy podnieśli głos opozycji, którzy krytyką działalności rządu, często

może nie wolną od namiętności, usiłowali dopomódz do wyjścia z trudnego nad wyraz położenia.

W szeregu opozycji zajaśniał talentem i wymową, niepospolitą erudycją i znajomością stosunków krajowych młody poseł z Marjampolskiego, Józef Godlewski. Skarbek wspomina o nim mimochodem, nadmieniając, że łącznie z Wojciechem Ciechowskim, odznaczył się Godlewski dość żywą opozycją w sprawach skarbowych [1]), że dzięki jego przemówieniu projekt do prawa o opłatach stemplowych początkowo odrzucony został [2]). Koźmian wyraża się o naszym pośle z przekąsem. Nazywa go „młodym trybunem", który nawet Staszica przeciwko sobie oburzył [3]).

Była to tedy walka młodych ze starymi, walka pokojowa, która, jako głos krytyki nie podobała się starszym. Lecz czy słusznie? Aby odpowiedzieć na to pytanie, warto się rozpatrzeć w działalności młodego posła. A za materjał potemu służy dość bogata puścizna, którą Godlewski po sobie zostawił. Stanowią ją „Głosy posła Marjampolskiego na sejmie roku 1811 w Warszawie miane, z dołączeniem uwag i krótkiego nadmienienia niektórych w czasie sejmu czynności" stronic 109 in 4^0 oraz tabele. Książka ta obejmuje nietylko mowy Godlewskiego, wypowiedziane przezeń w sejmie, lecz co podnosi jeszcze wartość owego zbioru, składa się nadto z całego szeregu liczb statystycznych, ujętych w tablice. Dodatki te potęgują doniosłość wypowiedzianych uwag, jako popartych materjałem faktycznym [4]).

Poseł wydał te głosy nie z własnej inicjatywy. Wrażenie, jakie wywołały, spowodawało, iż koledzy zobowiązali go do ogłoszenia rzeczonych przemówień drukiem. To też zaraz na wstępie powołuje się autor na główny powód, który go do podjęcia tej pracy skłonił.

Lecz zanim przejdziemy do rozpatrzenia treści owych głosów, musimy choć w kilku słowach przypomnieć, jakie prawa służyły członkom sejmu podług konstytucji Księstwa. Da to nam podstawę do zorjentowania się co do roli, jaką w sejmie grać mógł Godlewski.

Władza prawodawcza Księstwa należała do sejmu głównego, który w myśl art. 19. konstytucji składał się z dwóch izb: pierwszej czyli senatorskiej i drugiej czyli poselskiej. Jak art. 21 opiewa, do sejmu należało „naradzanie się względem prawa podatkowego, czyli prawa przychodów skarbowych, względem praw tyczących się odmian, które czynić wypada bądź w prawodawstwie cywilnem, bądź w prawodawstwie kryminalnem, bądź też w systemacie menniczym".

Wszelkie projekty do praw przygotowywała wyłącznie Rada Stanu t. j. rada ministrów (art. 15) a z rozkazu króla przesyłała je sejmowi. Po uchwa-

[1]) Dzieje Ks. Warsz. Bibl. dzieł wyborowych. Tom III. str. 41.

[2]) Ibidem str. 35.

[3]) Pamiętniki t. II. str. 215.

[4]) Godlewski posłował już na Sejm w 1809 r., w którym wygłosił mowę d. 22 marca t. r. Wystąpił w niej przeciwko projektowi powiększenia podymnego i domagał się wogóle zaprowadzenia oszczędności. Wygotował wówczas budżet i odczytał go w sejmie.

leniu przez izbę poselską większością głosów z sekretnem kreskowaniem, projekty przekazywano senatowi do zatwierdzenia.

W izbie poselskiej poszczególne projekty rozpoznawano w trzech komisjach, odpowiednio do treści zamierzonego prawa. Były to komisje przychodów skarbowych, prawodawstwa cywilnego oraz prawodawstwa kryminalnego (art. 41). Każda z komisji składała się z pięciu członków, wybieranych większością głosów. (art. 41). Komisja uwagi, tyczące się projektu, komunikuje właściwemu ministrowi i u tegoż się zbiera. (art. 42). Jeśli, pomimo łącznej narady, komisja uwag swoich nie cofnie i zażąda ich zaznaczenia w projekcie, wówczas minister donosi o tem radzie stanu, która może członków komisji wezwać do wspólnych obrad nad projektem. (art. 43). Rada stanu po przyjęciu do wiadomości poczynionych przez komisję uwag, układa ostateczną redakcję projektu i komunikuje ją izbie poselskiej do uchwały. (art. 44). Na posiedzeniu izby zabierać mogą głos w przedmiocie przedstawionego projektu tylko członkowie rady stanu oraz właściwej komisji poselskiej. Przemówienia mogły dążyć bądź do obrony projektu, bądź też do jego odrzucenia.

Oprócz wymienionych osób nikt inny nie mógł przemawiać. (art. 46).

Tak określone stanowisko posłów znakomicie utrudniało ich działalność. Opozycja właściwa istnieć mogła o tyle, o ile się w samej komisji ujawniła. Jeśli jej tam nie było, to na posiedzeniu sejmu większość nawet posłów, przeciwnych zamierzeniu prawodawczemu, skazaną była na milczenie.

Józef Godlewski był w tem szczęśliwem położeniu, że należał do komisji skarbowej. To mu dało możliwość wypowiadania słów krytyki, która się sferom rządzącym niezbyt podobała. Właściwie mówiąc, wedle ducha konstytucji, Godlewski miał prawo przemawiać wyłącznie w sprawach finansowych i tylko projekty skarbowe zwalczać. Lecz charakter wydziału skarbu ma to do siebie, że z jego krytyką wiąże się ocena całej niemal działalności rządowej, całej machiny administracyjnej. To też Godlewski korzystał z tej swojej roli i potrafił pod uwagi nad skarbowością podciągnąć spostrzeżenia, dotyczące wszystkich prawie dziedzin życia państwowego.

We wstępie do swoich głosów nasz poseł tak uzasadnia potrzebę reform: „Nie należy uprzedzać się, aby w rozsądku i z dobrą chęcią nic przedsięwziąć nie można było, kiedy na rozsądku i doświadczeniu zasadza się prawdziwa mądrość. Pragnę owszem wzywając do powinności szukania prawdy, bez której bylibyśmy zawsze w stanie nieświadomości, tem do większej pracy i wytrwałości zachęcić, im pewniejsza, że do prawdy drogą błędów dążyć musimy. Pragnę jednym powtarzać, że praca zwycięża wszystko; że niema złego nieuleczonego, jak kiedy się człek opuszcza; drugich zwrócić uwagę, jak nieszczęśliwie pada człowiek, gdy nie chce siebie i okoliczności otaczających poznać...“ Znać w owych słowach pewien żal do tych, co się na jego krytyki oburzali. Odpowiada im też w ogólnych wyrazach, wygłaszając prawdy, które chyba bliższego uzasadnienia nie wymagają.

Na pierwszej sesji zwołanego sejmu t. j. 9. grudnia 1811 r. Godlewski zapowiedział projekt adresu do monarchy, a w d. 14. grudnia podał go do powszechnej wiadomości. Treść adresu stanowi skreślenie smutnego stanu kraju; tu więc zaraz się zaczyna owa krytyka, o którą był poseł marjampolski pomawiany.

Na wstępie adresu znajdują się zapewnienia o potrzebie silnego rządu, o zaufaniu do króla.

„Naród nasz — są słowa adresu — tylu nieszczęściami znękany, nie jest to więcej ów naród zbytnią wolnością i powodzeniami zepsuty. Zna on całą okropność anarchji, zna oraz twarde obcej niewoli jarzmo. Skruszony długą pokutą za błędy przeszłości, czuje aż nadto, jak troskliwie przestrzegać winien nienaruszalności statutu konstytucyjnego nadanego mu z rąk wskrzesiciela i prawodawcy, jako dopełnienie jego wielkiego słowa, którem się obowiązał względem narodu wtedy, gdy obudzony jego potężnym głosem Jemu natychmiast poświęcił siebie i rzucił się do odgrzebania swojej ojczyzny z mocnem przedsięwzięciem korzystania z przeszłych klęsk i doświadczeń, jakoteż do niepowracania do błędów, które mu zagładę imienia narodowego przyniosły...“

A dalej, zwraca się autor adresu z pełnemi zaufania słowami do monarchy: „Chcemy, ażebyś nami jeden rządził, uznajemy rząd w osobie W. K. Mości, przestaliśmy już oddawna smakować we władzy arystokratów, bo doświadczenie nauczyło nas, że oni byli sprawcami anarchji w kraju naszym, że oni nad życie polityczne narodu i jego imię swe możnowładztwo i trwanie swych nazwisk przenoszą“.

Chęć zbliżenia się do tronu i dążenie do zespolenia się z monarchą wywołały potrzebę przedstawienienia stanu kraju.

„Nie najdziesz przeto W. K. Mość w pokornych prośbach naszych nic takiego, coby się nie zgadzało z jego ojcowskiem sercem i coby nie było godnem narodu, który wyrazami W. K. Mci dnia 23 Września przejęty [1]) niewzruszoną wierność, nieograniczoną ufność i najszczersze dla niego zaprzysiągł przywiązanie. Żądałeś wtedy Najjaśniejszy Panie, abyśmy przyrzekli połączyć z jego troskliwością nasze usiłowania. Raczże więc widzieć w tych naszych prośbach dozwoloną przez Ciebie część uczestnictwa, w staraniach W. K. Mci o dobro kraju naszego. Naród przerażony stanem rzeczy krajowych, zanurzony w smutkach, na swój los nieobojętny, zbliża się do tronu W. K. Mci z obrazem ucisków swoich...“

Adres zapewnia, że nie żali się ani na cierpienia, które towarzyszyły odrodzeniu się narodu, ani na przeciążenie podatkami i siłą zbrojną. A jeśli zwraca się do tronu z utyskiwaniami i narzekaniami, to dlatego, że smutna postać rzeczy wewnątrz kraju nabawia bojaźni o powtórny nad wszystko okropniejszy upadek. — Po takim wstępie, który pełen jest, jak widzieliśmy

[1]) Adres ma na względzie pierwsze orędzie Fryderyka Augusta do „Obywateli Księstwa Warszawskiego“ datowane z Drezna w d. 23 września 1807 roku.

legalności, zaczyna się pokoleji krytyka wszystkiego. Autor adresu użala się na upadek szlachty, miast i rolników.

Twierdzi, że ministrowie, „użyci do projektowania i uzupełnienia statutu konstytucyjnego, ...nie odpowiedzieli zaufaniu i ojcowskim WKMci zamiarom, że nie ma dotychczas stale i dostatecznie odznaczonych przedmiotów mocy, obowiązków i granic działania ministrów, tak względem panującego, jakoteż mieszkańców". „Stąd też co dzień nowe urządzenia i reskrypty zwyczajnie z sobą krzyżujące się, które w porządnej administracji krajowej miejsca miećby nie powinny, a które u nas pozwalają sobie wydawać najniższego stopnia oficjaliści, chociaż reskrypt może być tylko dziełem rządowej najwyższej w kraju władzy."

Z koleji przedmiotem krytyki był stosunek projektów do administracji centralnej. — Adres zwraca uwagę na brak ściśle określonej subordynacji. Narzeka dalej na wprowadzenie kodeksu cywilnego bez przygotowania, na upadek handlu i rękodzieł.

„Na admininistracją wydziału skarbowego, jako z natury swej wszystkich i z wielu miar dotykającego, liczne są dosyć żale mieszkańców... Wtrącono mieszkańców w takie obłąkanie, że nie wie, kiedy i jakie ma opłacać podatki.

Uogólniając przedstawione rysy znamienne niepomyślnego stanu kraju, adres mniema, że nie przyszedłby zapewne do tego nieszczęścia i nędzy kraj, gdyby do steru administracji przez WKMość użyci urzędnicy zajęli się projektowaniem:

a) rozwinienia statutu konstytucyjnego, przepisaniem stałej do bogactwa krajowego stosownej i bez koniecznych powodów nieodmieniającej się administracji krajowej we wszystkich wydziałach, w ten sposób: aby urzędnicy egzekucji tylko, wraz porządku dostrzegali i wskutek tego zalecenia swe wydawali;

b) opisania przedmiotów, mocy i granic działania ministrów;

c) wskazania stosunków między onymi i ich stykania się punktów z zapewnieniem egzekucji tych urządzeń, które się dwóch lub trzech wydziałów tyczą;

d) dawania z udzielonej władzy raportów podług wzorów do każdego przedmiotu ułożonych i odnoszenia się do władzy najwyższej w ten sposób, aby przy niej tylko rząd był kraju, a dyrekcja władz namieśniczych łatwo utrzymaną być mogła;

e) przypisania stosunków między ministrami a wszystkiemi aż do najniższej władzami krajowemi dla zapewnienia prędkiej i dokładnej egzekucji;

f) ustanowienia doskonałej kontroli wszystkich urzędników tak co do pełnienia obowiązków i sprawowani się, jakoteż co do skutków praw stanowionych i co do zawiadywania funduszów krajowych, skądby panujący potrzebne czerpał światło i miał pewność, że wola jego dokładnie jest wykonywaną;

g) zaprowadzenia ścisłej i prędkiej odpowiedzi na wykraczających urzędników i oficjalistów;

h) ułatwiania Najjaśniejszemu panu wyboru zdatnych i moralnych urzędników (bez tego najświętsze prawa i urządzenia na nic się nie przydadzą) i dalszych do uszczęśliwienia kraju i mieszkańców, a zatem do ojcowskiego zamiaru Najjaśniejszego pana zmierzających środków.

Wystawiwszy te wszystkie braki i wskazawszy powody, które je wywołały, adres w końcu zawiera następującą konkluzję obejmującą już żądanie konkretne.

„Dla osiągnienia tak pożądanego przez WKMość i naród celu, dla poratowania zagrożonego wewnętrznie bytu kraju i mieszkańców, dla wydobycia ducha statutu konstytucyjnego i zaprowadzenia podług onego w miarę bogactwa i okoliczności krajowych administracji, dla przepisania raz na zawsze stałych i bez nagłych wypadków niezmieniających się zasad w stanowieniu praw, jużto skarbowych, jużto cywilnych jużto kryminalnych na sejmie, dla postawienia skarbu w pewnym, co do wpływów o wydatków stanie, przez niezawodne wyrachowanie możności mieszkańców, rodzaju i sposobu kontrybuowania przez utrzymanie tej możności na jednostajnym stopniu i przez zastosowanie wydatków do przychodów, do ułożenia raz na zawsze stałych i równie dotykać mających zasad, do rozkładu podatków i dalszych ciężarów, tak, aby najmniejsza arbitralność miejsca nie miała, dla utrzymania pieniędzy, które w kraju jeszcze mamy, dla wyszukania źródeł, jakie się znajdować mogą, dla podania środków obchodzenia się bez obcych produktów i fabrykatów, dla obmyślenia nareszcie funduszu na opłacenie zaciągnionych długów, lubo z wielu słusznych powodów wypadałoby prosić WKMości stosownie do artykułu 9 statutu konstytucyjnego o prorogację sejmu, znając atoli obecny skład okoliczności politycznych, ogranicza się zaniesieniem najpokorniejszej prośby:

„O wyznaczenie komisji z dwóch lub jednego reprezentanta od każdego departamentu i z kilku wojskowych wyższych do administracji wojska nie należących kandydatów, teraz przez sejm w podwójnej liczbie przedstawionych, którąby wspólnie respective z ministrami oraz przybranymi kilku członkami z rady stanu i izby obrachunkowej, w przedmiotach wyżej rzeczonych podług porządku i zasad, przez WKMość wskazać się mających pracować i całą tę czynność w jak najprędszym czasie do zatwierdzenia WKMości podać mogła".

Tak zredagowany adres podpisało 136 posłów i deputowanych, a osobna delegacja w dniu 21 grudnia 1811 r. złożyła go królowi.

Nadmienić należy, że adres ten przyjęła bardzo poważna większość członków izby poselskiej. Liczba tych ostatnich bowiem, wynosząca podług art. 35 konstytucji, 60 posłów i 40 deputowanych, zwiększoną została o 64 nowych członków z chwilą przyłączenia Galicji zachodniej do Księstwa. Widzimy tedy, że ledwie 28 członków nie poparło wniosku Godlewskiego.

Niewątpliwie była to krytyka niezmiernie surowa, a dziś, gdy się przegląda papiery i akta z owej epoki, mimowoli nasuwa się myśl, że krytyka jest zawsze łatwiejsza od czynu. Jedno jest tylko niewątpliwem, że odium

owego malowania stanu kraju w barwach niezmiernie ciemnych, spada nie na samego tylko posła marjampolskiego. Jeśli można tu mówić o jakiejś odpowiedzialności, jeśli należy brać za złe, że w tak anormalnych warunkach żądał organizacji, możliwej wśród zwykłych jeno okoliczności, to badacz bezstronny nie może pod pręgierzem stawiać samego tylko Godlewskiego. 136 jego kolegów ten sam los spotkać powinien.

Kulminacyjnym punktem opozycyjnej działalności naszego posła była mowa, wygłoszona przez niego na sesji sejmowej w d. 17 grudnia 1841 r.

Obejmuje ona krytykę całego ustroju skarbowego a wraz z nią ocenę istniejącego systemu administracyjno-państwowego.

Pozostawiając na stronie dytyramby na cześć Napoleona — od których zresztą zaczynał się każdy prawie głos, czy posła, czy ministra, od których nawet ważniejsze dekrety królewskie wolne nie były, — godzi się zaznaczyć, że mówca nasz rozpatrzył wszystkie po kolei źródła dochodów państwowych, wszystkie wydatki oraz projekty co do nowo zamierzonych podatków.

Przy rozpatrywaniu dochodów zaczął Godlewski od dochodów niestałych, a w końcu poddał ocenie obecnie istniejące podatki tudzież ich administrację.

Stwierdzając cyfrowo znaczny bardzo niedobór z dóbr narodowych, poseł wytyka rozmaite wady przy zawieraniu kontraktów z dzierżawcami dóbr, a w ich liczbie zaznacza wolność arbitralnego używania pańszczyzny i przenajem onej.

Co więcej, włościanie zupełnie są oddani na łaskę przypadku. Niektórzy posiadają znaczne stosunkowo przestrzenie gruntu, a mało płacą, inni zaś odwrotnie.

Nie wesoły też był byt włościanina w dobrach narodowych. Zniszczone są w większej części zaprzęgi włościańskie, zabudowania prawie wszędy upadają. Zaległości czynszów przechodzą możność uiszczenia się. Cóż więc ma przywiązywać włościanina do jego siedliska, co go do starania podniecać i z czego spodziewać się opłaty czynszów?

Lecz po co nad tem długo rozwodzić się, dość wejrzeć, czy jest połączony czemkolwiek interes dzierżawy z dobrym bytem włościanina?... Całą teraz usilność na to zwraca dzierżawca, aby powinności służebne wymógł od włościanina choćby z jego ostatniem wyniszczeniem, nie mając obowiązku myślenia o czynszu. Czy obchodzi dzierżawcę niesposobność odbycia powinności przez włościanina, kiedy mu wynagrodzenie za nieodbyte służby zaręczyła administracja? Czy interesuje dzierżawcę zniszczenie inwentarza włościańskiego, opuszczenie nawet mieszkania, kiedy nie ma obowiązku tyle i w takim stanie oddać włościan, jak objął. Widzimy, że Godlewski miał na oku pomyślność włościan, choć zawsze ze stanowiska interesów skarbu. Czy i jakie miał poglądy na włościan, jako klasę choć osobiście wolną, lecz nie posiadającą własności, czy pragnął zmian w tym kierunku, na to odpowiedzi w jego głosach nie znaleźliśmy.

Z koleji Godlewski poddaje krytyce administrację lasów rządowych, wykazując niesłychane niedobory w przewidywanych dochodach. Tak np. jedno

leśnictwo Bowilno w departamencie warszawskim zamiast złp. 20.904 gr. 22 przyniosło wszystkiego złp. 160, z leśnictwa Łabin w departamencie kaliskim spodziewano się dochodu złp. 14.720 gr. 10, a otrzymano wszystkiego złp. 215 gr. 15. Rozstrząsając administrację celną, Godlewski wypowiada poglądy na cła, zgodne zupełnie z ustalonemi w tej mierze zasadami. „Każdego rządu jest najpierwszą powinnością starać się utrzymywać w cenie, pracy i potrzebom mieszkańców odpowiadającej produkty krajowe i przyczyniać się do zmniejszenia ceny zagranicznych produktów, bez których mieszkańce obejść się nie mogą. Między pryncypalnemi środkami, do osiągnięcia tego podwójnego celu, ile się wydziału skarbowego tyczy, należy liczyć urządzenie cła. Że przez wprowadzenia produktów z zagranicy zmniejsza się cena tegoż rodzaju produktów krajowych, należy więc przez cło wysokie wstrzymywać wprowadzenie do kraju tych produktów, których kraj ma dosyć, albo które do wygody i zbytku służą, a przeciwnie przez małe cło albo zniesienie onego, ułatwiać wyprowadzenie tych, bez których kraj obejść się nie może. Nie powinien rząd nakładać wielkiego cła przy wyprowadzeniu produktów krajowych za granicę, chyba w zdarzeniu, jeśli kraj nie ma onych nad potrzebę. Dla zachęcenia do pracy i przemysłu trzebaby wszystkie produkty in crudo, wychodzące wyższym, a rzeczy jak do użycia wyrobione małem okładać cłem i przeciwnie na towary przychodzące z zagranicy in crudo mniejsze, a na rzeczy jak do użycia wyrobione większe stanowić cło...

Przebiega dalej poseł kwestje papieru stemplowego, dochodu z mostu warszawskiego, poczty, loterji i soli. Ta ostatnia stanowiła monopol skarbowy, a jako taki poważne źródło dochodu państwa. Godlewskiego głównie zajmuje tutaj nie cyfra osiąganych wpływów, lecz cena soli i staje on też po stronie większości konsumentów. Humanitarne zasady naszego posła pod tym względem zasługują na poznanie. Przytaczając główne podstawy, jakie rządzićby powinny monopolem solnym, twierdzi Godlewski, że nie były one wcale stosowane.

„...Że mieszkańce przez ten artykuł (t. j. sól) nierównie są dotknięci, że zbyt wysoka cena w niektórych departamentach zabiera wszystkie plony i zarobki rolniczej klasy, częstokroć nawet i te nie wystarczają; że przez to mieszkańce do ubóstwa i do niemożności opłacenia podatku wielkiej części przyprowadzeni zostali, nie trzeba dowodu.“

Powołując się zaś dalej na to, że beczka soli w niektórych departamentach sprzedawaną była w roku 1808/9 po złp. 60, w innych zaś po złp. 72, 96, 108 i 120, porównywa tę cenę z ceną produktów rolnych, jak np. żyta, które ledwie 5 do 6 złp. za korzec kosztowało. „Rolnicza więc klasa, mówi, dla samej soli ginąć musiała.“

Dalej zajmuje się Godlewski dawniejszemi podatkami i nowo-uchwalonemi. Mówi o podatku ofiary, patentowym, koszernym, od żydów specjalnie pobieranym.

Ten ostatni nie podoba się naszemu posłowi. „...Wybieranie od żydów

podatku koszernego, który miejsce rekrutowego zastąpił (ten od służby wojskowej onych uwalniał za zobowiązaniem ich przez konstytucję do konskrypcji) nie zgadza się z zastrzeżoną w konstytucji tolerancją. Podatek bowiem koszerny, kiedy żydzi do wojska brani być powinni i wszystkie z dalszemi Księstwa Warszawskiego mieszkańcami zarówno opłacają podatki, za samą tylko religję żydowską wymierzonym być zdaje się...“

Na tem kończy swoje uwagi poseł nad przychodami skarbu. Warto tu wspomnieć, że Godlewski oblicza, iż wynosić one powinny były wogóle złp. 68,199.797 gr. 20 a że faktycznie wpłynęło łącznie tylko złp. 418.712.59.

Dalszy ciąg swego obszernego głosu poświęca Godlewski wydatkom. Czyniły one, jak powiada, złp. 73.942.256 gr. 14. Zadaniem Godlewskiego w tej części jego mowy było wskazać, jakie należy zaprowadzić oszczędności, aby zmniejszyć potrzebę stałych ciężarów, niezbędnych na opędzenie tak ogromnych rozchodów. Nie będziemy tutaj towarzyszyli mówcy we wszystkich szczegółach jego głosu; nadmienimy tylko, że postawiony przez Godlewskiego w tej mierze cel dał mu pohop do krytykowania całej administracji, począwszy od władz centralnych, a skończywszy na najniższych. Było to niejako obszerniejsze powtórzenie zarzutów, które już przytoczony przez nas adres do króla zawierał. Godlewski chwali w zasadzie statut konstytucyjny, lecz twierdzi, iż nie rozwinięto w drodze prawodawczej głównych postanowień statutu. Że się o to do rządu zwracał, tłómaczy go treść konstytucji, która inicjatywy prawodawczej posłów nie znała.

„Nie przepisano dotąd, woła, jakie są przedmioty, moc i granice działania ministrów, przynajmniej do wiadomości publicznej nie podano. Nie wskazano jak, gdzie i za co odpowiadać mają ministrowie. Nie zabezpieczono sądów niepodległości, do której samo przedstawowanie kandydatów na sędziów, awansowanie między onemi, bardzo wielki ma wpływ; a przepisywanie podług jakiego prawa, lub artykułu, podług jakiej procedury ma być sądzona sprawa, wyznaczanie sędziów do odsądzenia zaległych spraw przez JW. ministra, nie jestże obaleniem niepodległości.

„Nie przepisano stosunków między wojskowymi i cywilnymi. Nie powiedziano, kto ma zachodzące między nimi spory rozstrzygać. Nie zabezpieczono mieszkańca od zdarzyć się mogącej arbitralności żołnierza, którego moralności winniśmy spokojne dotąd zachowanie się. Gdzie zabezpieczenie mieszkańca od nadużycia urzędnika, gdzie zabroniono aresztować i pędzać pod konwojem piechotą, od władzy do władzy mieszkańca? Gdzie i jaka kara za to? Zaprowadzono manipulację interesów rządowych na sposób wielkich, bogatych i możnych państw. Ustanowiono w miarę tego liczne magistratury i urzędników różnego nazwiska, których nawet w konstytucji nie ma. Gdzież w konstytucji jeneralne dyrekcje żywności, skarbu, dóbr i lasów narodowych gdzie dyrekcje skarbu, gdzie intendentury dóbr i lasów narodowych po departamentach i t. d.“

Mówiąc o wydatkach na sprawy zagraniczne, wogólności uważa je poseł

za nieprodukcyjne. Wynosiły one złp. 200.000. „Cóż mamy, pyta, z naszych interesów zewnętrznych dla kraju dobrego. Handel z Moskwą całkiem zamknięty, z prawami dla ustanowionego pod dniem 15 września roku bieżącego przez króla pruskiego, wielkiego cła, także przecięty. Wprowadzać do nas wszystko wolno, a nam do drugich, albo nic zgoła, albo za wielką opłatą. Za naszemi paszportami do Moskwy jechać nie możemy, a im do nas wolno. Jakież więc mamy, czy mieć możemy interesy zewnętrzne i na co wspomniany wydatek?“

Bez względu na wydatki połączone z utrzymywaniem wojska, Godlewski wcale jego zmniejszenia nie żądał. Ogólna cyfra żołnierzy wynosiła w Księstwie 52.000. Poseł twierdzi, że wydatki na armję, wynoszące złp. 42,611.144 gr. 2 są zbyt wielkie. Powołuje się na niedawną pozostałość dla porównania, twierdząc, że w r. 1775 wobec zamierzonego powiększenia liczby wojska do 30.000 przewidywano wydatek 10 milionów. Konstytucja 3 maja zapowiedziała 100 tysięczną armję, a ta miała tylko 33 milionów pochłonąć. Krytyk nie poprzestaje na tem zestawieniu; zwraca się po materjał do państw ościennych, a w sposób charakterystyczny usprawiedliwia się z tej metody rozumowania: „.. Lecz kiedy dziś wszystko złe, co jest narodowem, kiedy nawet za dobry ton między pretendentami do wysokiej cywilizacji i gruntownego światła przyjęto ganić i gardzić, cokolwiek polak ustanowił i zdziałał; kiedy nawet mówić narodowym językiem nie moda, nie będę dowód aktualności mego twierdzenia na rzeczonych konstytucjach opierał. Odwołam się raczej do etatów wojsk saskich i pruskich“.

Cytuje też dalej nasz poseł, że w obu tych państwach armja, liczącą 30.000 żołnierzy, kosztowała 10 do 12 milionów złotych.

Reasumując wszystkie wydatki i zestawiając je z przychodami, Godlewski dolicza się niedoboru budżetowego, wynoszącego złp. 32,352.669 gr. 18. A obok tego dług państwa wynosił 40 milionów, wojsko zaś i lista cywilna od kilku i kilkunastu miesięcy niepłatne, są wierzycielami skarbu na poważną sumę 10 milionów.

Rezultaty z takiej administracji, konkluduje poseł, są bardzo widoczne a ich przyczyną,

1) że nie dokompletowano, w części źle dokompletowano, a w części przekompletowano statut konstytucyjny;

2) przez to zaprowadzono niestosowną do bogactwa kraju, niedogodną dla mieszkańców administrację, przepisano ogromną manipulację interesów rządowych tak dalece, że potrzebując koło 9-ciu tysięcy urzędników i oficjalistów, mając wszystkich prawie pisać umiejących z ujmą subjektów innym pożyteczniejszym dla kraju przedmiotom, do których już ludzi nie stało, nie mogą wydołać pracy, ztąd stagnacja w biegu administracji i powszechne zamięszanie;

3) administrowano fundusze krajowe bez pewnych i stałych zasad. Arbitralny był pobór, mniej oszczędne użycie wpływów, oboje zaś tak zawikłane,

że nawet z pewnością wiedzieć nie można, skąd weszło, gdzie, wiele i na co obrócone zostało, oraz jaki jest dzisiejszy stan dochodów krajowych?

4) ustanowiono wydatki bez oglądania się na receptę, (bo ta mniejsza jest jak wydatki). A z tego wszystkiego ten ogólny rezultat, zdaniem Godlewskiego, że mieszkaniec oddawszy wszystko co miał, przyprowadzony do ubóstwa i nędzy, nie jest w stanie połowy dawać, ile dawał, a rząd mając tyle funduszów, zaciągnąwszy znaczne długi w kraju i zagranicą, opędzić potrzeb kraju nie może.

Surowa to krytyka, jak i wogóle cała ocena ówczesnej administracji. Poseł nasz, wszakże, przy całym swoim logicznym toku myśli za mało uwzględniał ówczesne stosunki krajowe, za mało liczył się z położeniem państwa i jego stosunku do Francji. Mówiąc o cłach, pomijał, że Księstwo wciągnięte było do ogólnego systemu kontynentalnego, przeciwko Anglji skierowanego. Rozpatrując wydatki na armję i zestawiając je z Prusami i Saksonją, zgoła nie zwracał uwagi na to, że wojsko Księstwa, na usługach niemal Francji będące, ustawicznie po za granicami kraju operowało. Wreszcie nie znał Godlewski wewnętrznej pracy ministrów, słowem całej administracji centralnej. Gdyby był bowiem z nią się zapoznał, gdyby dotarł do akt i papierów, będących niemym świadkiem wytężonej działalności, byłby wiedział, iż wszystko prawie, o czem mówił, stanowiło przedmiot gorącego zajęcia się ze strony rady stanu i poszczególnych ministrów. Może kiedyś zdołamy udowodnić, że i podział władz oraz rozgraniczenie ich kompetencji, że organizacja szczegółowa i zamiary zaprowadzenia oszczędności, — wszystko to znalazło odbicie w stosach operatów, oraz korespondencji władz ówczesnych.

Przytoczony przez nas w głównych zarysach głos Godlewskiego został uzupełniony przedstawionemi przezeń projektami oszczędności budżetowych. Noszą one tytuł „Adnotacje do głosu dnia 17 grudnia 1811 roku mianego, zawierające projektującą się w wydatkach krajowych oszczędność.“ Niezależnie od tego na końcu głosów 28 rozmaitych tablic statystycznych, a między niemi projekt budżetu na rok 1812/13 ułożony przez Godlewskiego, zakończony względnie nieznacznym niedoborem bo tylko złp. 3,735.654 gr. 21 wynoszącym.

Z mów przez posła marjampolskiego wypowiedzianych zasługuje jeszcze na zaznaczenie głos z d. 19 grudnia 1811 r. w przedmocie podatku stemplowego, którego projekt na razie odrzucony został dzięki właśnie opozycji Godlewskiego, wreszcie mowa z d. 22 grudnia 1811 r. co do poboru produktów w naturze na rzecz wojska wygłoszoną została z powodu nieprzyjęcia go przy pierwszem głosowaniu. Zaklina on w niej posłów, żeby przy wotowaniu nie liczyli się z oskarżeniem, iż wbrew życzeniom rządu postępują.

Inne przemówienia, jako mniejsze, pomijam.

A teraz parę uwag ogólnych. Wykazał Godlewski w swych mowach niepowszednie zdolności finansowe, dowiódł, iż gospodarstwo skarbowe było dlań rzeczą nie obcą. — Jeśli przytoczone przez nas powyżej względy kazałyby inaczej nieco całą opozycję naszego posła ocenić, to w każdym razie niezasłu-

giwał on na takie ryczałtowe potępienie, jakie go ze strony współczesnych spotkało.

Zresztą opozycja Godlewskiego nie była odosobnioną. — Wyrażała się w niej opinia bardzo poważnej części kraju, a nawet wielu instytucji publicznych. — Mamy właśnie przed sobą podanie rady departamentu warszawskiego z d. 20 grudnia 1810 r. do króla wniesione[1]), gdzie mieści się cały szereg zarzutów i skarg, podobnych do tych, które później trochę publicznie wypowiedział człowiek, zasługujący na wdzięczną pamięć u potomności.

Warszawa. *Henryk Konic.*

[1]) Archiwum b. Komisji skarbu, kolekcja dekretów królewskich, vol. VI. od września 1810 r. do Marca (włącznie) 1811 r.

Do Aleksandra Świętochowskiego.

Zawszem widziała łódkę twoją drobną,
Po wielkiem morzu płynącą osobno,
A tak spokojną, jakbyś wśród ogromu
Wód oceanu — czuł w własnym się domu.

Sam byłeś. Żadne nie pchały cię wiosła,
Ni wzdęta żaglów pierś tchnieniem cię niosła;
U steru łodzi sam stałeś, odbity
W nieskończoności głębie i błękity.

A gdy się wicher zrywał, i dokoła
Okręty masztów uniżały czoła,
Spiesząc, gdzie w porcie far jasny się pali,
Łódź twoja cicha leżała na fali.

Za tobą były bezpieczne zatoki,
Tyś w burze płynął przez wiry i mroki,
I w nawałnicę, gromami co dyszy,
Niosłeś coś z własnej pogody i ciszy.

Ktoś jest? Dlaczego nieznana ci trwoga,
Którą drży nawy ogromnej załoga?
Jaka cię gwiazda prowadzi i trzyma
Nad przepaściami, złotemi oczyma?

Wiem! Tyś jest żeglarz, co w kruchej łupinie
Zysków nie spławia, po zyski nie płynie, —
Co łódź odbiwszy wskróś srebrnych pian śniegu,
Nawet swe serce zostawia na brzegu.

Wiem! Tyś jest żeglarz, co w drodze nie liczy
Ani strat swoich, ni swoich zdobyczy,
Bo nie dla siebie płynie, i zdaleka,
Na drugim brzegu, zapłaty nie czeka.

Wiem! Tyś jest żeglarz, wskróś burzy co słyszy
Pieśń wiekuistej harmonji, a ciszy.
Co nawet wpośród własnego rozbicia
Czuje się kręgiem objęty wszechżycia!

Nicea. *Marja Konopnicka.*





Zbiorek pieśni ludowych Joachima Lelewela.

Przed ostateczną rozproszką cennych zbiorów w Woli Cygowskiej właściciel ich, Prot Adam Jacek Lelewel, któremu lata sędziwe i stosunki majątkowe nie dozwoliły, pomimo usiłowań, zabezpieczyć należycie skarbów, troskliwie gromadzonych przez kilka pokoleń, podarował jednemu ze swych przyjaciół, a czcicieli pamięci jego brata, „sexternik“ ze złożonego w ósemkę arkusza żółtawego papieru. Zeszyt ów, jak świadczył ustnie i w notatce na kajeciku „pan Prot,“ był pisany przez Joachima w r. 1801. Papier ma znaki wodne, między innemi orła pruskiego, wskazujące pochodzenie z jakiejś fabryki w Prusiech, pod których panowaniem Warszawa wówczas zostawała. Wspomniana wyżej notatka Prota była zrobiona dawno, może zaraz po opuszczeniu przez Joachima kraju; wskazuje to dawniejszy charakter pisma pana Prota i papier, użyty na okładkę, z wodnym napisem: P a p i e r p o d s t e m p e l 1 8 3 0. Treść zeszytu stanowią krakowiaki i kilka innych piosnek ludowych lub przez lud przyswojonych.

Wyznajemy, iż oglądaliśmy po raz pierwszy ów kajecik z powątpiewaniem o autentyczności jego pochodzenia. Pismo wydawało się nam zbyt wyrobionem, jak na 15-letniego chłopca, a i dziwnem nieco zajęcie się przyszłego historyka poezją ludu, która dopiero później doczekała się gorliwych zbieraczów. Wątpliwości te wszakże pierzchnęły, gdy, obok wyraźnego świadectwa pana Prota, „serdecznego stróża“ pamiątek rodzinnych wogóle, a po starszym bracie w szczególności, stwierdziliśmy naocznie podobieństwo pisma w kajeciku do autografów z owej epoki późniejszego samotnika brukselskiego, oraz gdy przypomnieliśmy sobie przebieg jego lat pacholęcych. Poświęcimy

tu im trochę miejsca, więcej może, niżby z napisu nad tym artykułem wypadało.

Dzięki zdolnościom i umiejętnemu kierownictwu, Joachim rozwinął się wcześnie i szybko. Urodzony w Warszawie (przy ulicy Długiej, w domu noszącym teraz nr. 4), w marcu 1786 r., był — jak powiada w swych P r z y g o d a c h — „niedołężny, chimeryk, upornie wymagający, nieutulony i nieuciszony płaksa, niańce i rodzicom wielce uciążliwy. W czwartym zaledwo roku z rąk piastunki krzepcej na nogach stanąłem.“ Pomimo to, — pisze dalej — „pociąg do zatrudnienia wczesno się pojawił w moich dziecinnych zabawach... Cacek nam nie dawano, nie miałem ich, a śmiano się, że majstruję, że coś koncypuję. Z tych majsterstw niejedne wywołały żarty, drwiny, co mię zasępiało, a nie odstręczało: kryłem się, swojem płatał a rozmyślał nad czemś nowem... Postrzegłem, że ostatni dzień tygodnia zwać sobotą jest nie do rzeczy: raczej to jest po piątku — s z ó s t e k. Zrazu śmiech z tego, potem napomnienia, groźby, plagi za upór, a mnie myśleć: czy to stosownie być karanym za obstawanie przy trafnem widzeniu? Rad nierad, po niemałym namyśle, wypadło umilknąć, w skrytości dla siebie s z ó s t e k chować; a unikając wymówienia soboty, mówiłem: pojutrze, jutro, wczora, przedwczora, — byle choć tak na swojem postawić.“

W innych wypadkach potrafił inaczej sobie poczynać. Przytoczymy tu drobny, ale charakterystyczny epizod, z notatek pana Prota, robionych dla przyjaciela, jak się zdaje, nigdzie nie ogłoszony. W r. 1794, po 24-m października, chroniono się w Warszawie do mieszkań ambasadorów. Rodzice Joachima znaleźli przytułek u nuncjusza papieskiego: „W wielkiej tu izbie Joachim z rówiennikiem Wichlińskim podniósł wielką sprzeczkę. Wichliński mówił: k u ń, Joachim: k o ń. Ze swarów przyszło do walki na pięście. Joachim, silniejszy, wziął górę. Ojcowie musieli w to wdać się, uspokoili, harmonja powróciła...“

Mając lat dziesięć, dostał „krótką wiadomość wszystkich nauk“ (encyklopedyjkę małą [1]). „Podobała mi się bardzo, alem nalazł niedostateczną; zamierzyłem tedy coś lepszego wygotować“ — i bierze się do jej dopełniania z podręczników specjalnych. „Od owego czasu zrodził się i wzrastał pociąg do autorstwa, a poczęło się prawdzić francuskie przysłowie: Czego się chcesz nauczyć, napisz o tem dzieło.“

Przeniesienie się rodziców na wieś, do Woli Cygowskiej, przerwało pracę nad encyklopedją. Joachim uczy się na wsi praktycznie astronomji, rozpatrując konstelacje i „nocny gwiazd przechyłek,“ a zarazem biega za motylami, owadami, rozróżnia rośliny i ptaki. Od r. 1799 gotuje się do szkół wespół z braćmi ciotecznymi, Cieciszowskimi, w domu ich matki, w Okrzei, aż

[1]) Tak nazywa tę książkę sam Joachim w P r z y g o d a c h. Było to zapewne „Krótkie zebranie wszystkich nauk ku pożytkowi młodzi (Abrégé de toutes les sciences à l'usage des enfants des deux sexes)“, po polsku i po francusku. Zygmunt Wolski w „Spisie wydawnictw Gröllа“ wymienia cztery wydania tego dziełka, z lat: 1768, 1773, 1781 i 1787.

do połowy 1801 r., w którym wyjechał do konwiktu Pijarów w Warszawie. Z listów jego, przed opuszczeniem wsi do braci pisanych, widzimy, iż zajmował się gieometrją, botaniką, zoologją, fizyką, astronomją, geografją; rysował i malował wyobrażenia różnych zwierząt i roślin, mapy i całe atlasy; kreślił dzieje narodów wszystkich części świata. W roku 1800 układa według kronik „inwencję własną“ — plan oblężenia Pskowa za Batorego; w tymże roku zapisawszy „dwie księgi“ dziejami Polski, trzecią poświęca opisom województw i „treści praw cywilnego i politycznego.“ Pisząc list z dnia 29-go grudnia 1800 r., przypomina sobie, „iż to za parę dni i rok i wiek nowy się zacznie...“ To, co nie budziło żadnej wątpliwości w 14-letnim chłopcu, było ostatniemi czasy kilkakroć głęboko rozważane na szpaltach naszych dzienników: czy wiek XX rozpocznie się w 1900 czy 1901 roku?

Nieco zagadkowy jest ustęp z listu z 16-go marca 1800 r.: „Wydało się, że Poliński nie miał żadnej żony, tylko amantki. Pokazuję mu duchy; pokazałem mu szkielet jego matki nieboszczki i ojca nieboszczyka i niejaką Rościszewską, w której się on teraz kocha, ale która za niego nie pójdzie. Pokazywałem mu też w perspektywie jednego żyda i trupią głowę...“.

Od początku 1801 r. zaczyna z polecenia ojca, dla wprawy, pisać do brata po francusku, i w ostatnim takim liście przed wyjazdem do Warszawy, donosi, że podzielił historję Burgundji na pięć okresów, i każdy z nich bliżej określa.

Znajduje czas i na rozrywki: tańczy niekiedy na balikach wiejskich, bierze udział w teatrach amatorskich, grywa w szachy z panem Adamem (Cieciszowskim) i — wygrywa, „co się rzadko komu zdarza.“

Nic tedy dziwnego, że będąc tak rozwiniętym, folgując tak rozlicznym talentom i popędom, zwrócił także uwagę na pieśni ludowe, rozbrzmiewające naokół, że pisywać je począł przed samem opuszczeniem ustroni wiejskiej i poświęceniem się całkowitem pracy naukowej i obywatelskiej.

W listach swych od r. 1799 do 1801, w którym powstał zbiorek krakowiaków, Joachim wymienia kilkakrotnie Wolę Cygowską (pow. Radzymiński), Okrzeję, Wolę Okrzejską, Jarczew i Wojcieszków (pow. Łukowski), w których mieszkał lub odwiedzał powinowatych. Z tych tedy okolic powinny przeważnie pochodzić piosenki, zebrane przez autora Ksiąg Bibljograficznych. Potwierdzają to dwa następne krakowiaki:

Na kłoczewskiem bagnie rybka wody pragnie —
Idźcie za mąż, panny, bo wam tak niełądnie.

Oj kłoczewska droga wysypana kminem,
A tamtejsze panny pachną rozmarynem.

Kłoczew leży niezbyt daleko od wymienionych wyżej wiosek, w pow. Garwolińskim, nad rzeką Okrzejką, wypływającą z Woli Okrzejskiej, a wpadającą do Wisły.

Mając zamiar treść całego zbiorku ogłosić gdzieindziej, tu nadmieniamy tylko, iż zawiera krakowiaków i innych piosnek około stu; niektóre są podane z warjantami, nad niektóremi rytm jest oznaczony; samogłoska *a* jest częstokroć kreskowana.

Pamięć o młodym zbieraczu prawdopodobnie zatarła się w trzeciem czy czwartem już pokoleniu ludu łukowskiego; ale wiecznie odradzające się i wiecznie świeże uczucie serdeczne dotychczas znajduje tam wyraz w słowach piosnki, zapisanej niemal przed wiekiem na bibulastej kartce okrzejskiego zbiorku:

Oj, za lasem moje wołki, za lasem!
O, mam ci ja fujareczkę za pasem!
A gdy ja ci na fujarce zacznę grać,
Usłyszy mnie moja miła, idąc spać...

Warszawa. *Ludwik S. Korotyński.*

DO RODOWODU KOŚCIUSZKÓW.

(Sfałszowany dokument).

Za pośrednictwem jednego z przyjaciół moich nieznany mi pan zaprotestował przeciwko wiarogodności mojego rodowodu Kościuszków Siechnowickich, mieniąc się prawym potomkiem miecznikowicza brzeskiego, Józefa Kościuszki, którego ja przedstawiłem jako bezżennego. Mogłem odpowiedzieć na tę protestację tylko powątpiewaniem, gdy w książce swojej o Kościuszce[1]) (Tadeuszu, generale i N. Naczelniku S. Z. N.) złożyłem dowody, że Józef, oboźny, następnie eksoboźny brzeski, zabrnąwszy w długi i postradawszy całe swoje mienie, otrzymał od stryja swego „sercem kochającego“ Jana Nepomucena w r. 1778 radę schronienia się przed „wiatrami światowymi“ w stanie duchownym, lecz taka rada nie wykluczała możliwości małżeństwa wcześniejszego, albo późniejszego od daty powołanego listu. Żaden dokument na przestrzeni lat 20, od 1769 do 1789 r. nie zawiera wzmianki o żonie, lub o dzieciach Józefa; ale z negacji nie można jeszcze wyciągnąć twierdzącego wniosku.

Niedawno indukcja moja doznała nowego wstrząśnienia. Spokrewniona z Kościuszkami po kądzieli osoba, wręczyła mi tekę z kilku dokumentami. Jeden burzył całą moją konstrukcję. Jestto testament „Józefa Kościuszki, łowczego województwa Brzeskiego, syna Ludwika Kościuszki miecznego W-a B-go“, podany do akt grodzkich brzeskich przez patrona i komornika Aloizego Miłaszewskiego na Roczkach Decembrowych, a spisany „roku 1794, dnia 1 Oktobra“. Cóż to za cud? Miałem przecie w ręku sepulturę z podpisem księdza Zaręby, proboszcza parafji Wisznica, stwierdzającą, że Józef pochowany został o $5^1/_2$ lat wcześniej, 15 maja 1789 r. Rozczytując się dalej, znajduję niemniej dziwne rzeczy: testator szacuje dobra swoje Zdzitowiec alias Czuryłowszczyznę wraz z częścią Siechnowicz na 160.000 zł., w gotowiznie pozostawia 40,000, gdy Józef, rzeczywisty miecznikowicz brzeski oboźny, lub eksoboźny, nie łowczy, spędził ostatnie lata swego życia w nędzy, przyjmował od siostry Estkowej po 10 dukatów z „winną wdzięcznością za tę łaskę i do-

[1]) Kościuszko, biografja z dokumentów wysnuta przez K. Kraków 1894 str. 93—97; 179—180, a w przypiskach n-ry 209—225 i 364—366.

broczynność", a dokumentem z dnia 8 sierpnia 1786 r. zeznawał „Wmu JP. Thadeuszowi Kościuszkowi Generałowi Stanów Złączonych Amerykańskich", jak wielkie krzywdy wyrządził mu w „ruchomości niedzielnej, na nas obydwóch spadającej". Nareszcie testament wymienia „sercem kochaną małżonkę Annę z Szemetów, najstarszego syna, księdza przeora mozyrskiego, który „w dziesięcioro wybrał z części swojej dwóch młodszych, Seweryna i Kazimierza, którym się przekazuje dziedzictwo, oraz córkę, która jest ksienią w klasztorze Skimbarowskim. Ale te osoby, z małemi zmianami w imionach, stanowią potomstwo Józefa łowczego z linji starszej Kościúszków Iwanowiczów i są wymienione w rodowodzie przezemnie sporządzonym.

Szczęściem w tej samej tece znalazł się inny testament, podany tak samo przez patrona i komornika Aloizego Miłaszewskiego na Roczkach Decembrowych Grodzkich, ale o 22 lat wcześniej, pisany w Zdzitowcu R. 1772 dnia 1 Oktobra, z kodycylem późniejszym dnia 24 Novembra 1772, podpisanym własną drżącą ręką przez Józefa Kościuszkę. Stylizacja jest taka sama, nawet wstęp jest powtórzeniem dosłownem: „Ponieważ po przestępstwie pierwszych Rodziców naszych w raju Boski nieodmienny stanął dekret na człowieka śmiertelności, przeto Ja, Józef Kościuszko, Łowczy Wa Brzeskiego, będąc in declivio wieku swego przy zbyt słabym zdrowiu, na umyśle jednak z łaski Boskiej przy zupełnym rozumie i dobrej pamięci, wyznaję tym ostatnim woli mojej testamentem" i t. d. aż do końca z wymienieniem tych samych pieczętarzy Rafała Nietyxy i Józefa Wismonta. Wszakże imiona członków rodziny są podane dokładniej, a zupełnie z naszym rodowodem (co do synów) zgodnie: „Pan Leon, syn mój, że już wybrał w dziesięcioro cząstkę na siebie należącą, nic mu nie zapisuję; Xiędzu przeorowi mozyrskiemu, synowi memu 1.000 zł, zapisuję; panu Edwardowi synowi memu 1.000 zł. Pan Bruno, chociaż już wybrał cząstkę swoją, jednak jeśli się będzie komportował ze mną, z matką, z bracią i siostrami, zapisuję mu 1.000 zł. Panu Kazimierzowi, synowi memu także zapisuję 1.000 zł. Córkom Kostusi i Johasi po 1.000". Atoli wszystkie sumy płacone być mają nie gotowizną, bo testator jej nie posiadał, lecz wartością folwarku Zdzitowca alias Czuryłowszczyzny, taksowaną tylko na 15.200 zł. Skutkiem tak wielkiej różnicy w sumie ogólnej różni się rozkład na pojedyncze legaty.

A więc moje imiona, oparte na ośmiu innych dokumentach, ostały się; Nie dość na tem, znalazły one potwierdzenie w trzecim jeszcze testamencie, z tej samej teki, sporządzonym d. 6 maja 1849 roku przez potomka jednego z wymienionych powyżej synów, mianowicie Kazimierza, który ku memu wielkiemu zadowoleniu wyliczył cały szereg przodków swoich: „Ja Kazimierz, syn Kazimierza, wnuk Józefa, prawnuk Pawła, praprawnuk Chryzostoma Kościuszków" — tak właśnie, jak jest w moim rodowodzie linji Iwanowiczów.

Jakież znaczenie przyznać mamy najpierwszemu z omówionych testamentów, noszącemu datę 1 Oktobra 1794 r.?

Jest niewątpliwie falsyfikatem.

Fałszerstwo mieści się: 1) w dodaniu do imienia „Józef“ określenia: „syn Ludwika Miecznego W-a B-o“ 2) w podniesieniu szacunku Czuryłowszczyzny z 15,200 na 160,000 zł. 3) w dodaniu do niej części Siechnowicz „danych mi od stryja Dawida“ 4) w rozkładzie poszczególnych legatów między zmniejszoną ilość dzieci, 5) w przeróbce roku 1772 na 1794.

Któż to zrobił i w jakim celu?

Śledztwa kryminalnego wytoczyć i przeprowadzić nie możemy. Do odpowiedzialności należało pociągnąć sąd powiatowy brzeski, który w r. 1841 poświadczył zgodność wypisu z księgą grodzką. Ale czy pp. sędzia i kawaler Tołoczko, powiatowy strapczy (prokurator) Poźniak i sekretarz Żeleszkiewicz zawinili tylko niedbalstwem, czy współudziałem w fałszerstwie? Tego się nie dowiemy.

Celu głównego domyślać się możemy z legalizacji podpisów: sądu przez wice-gubernatora grodzieńskiego, tego znów przez kancelarję Wojskowego Gubernatora Warszawskiego, nareszcie przez kancelarję dyplomatyczną Namiestnika $^{6}/_{18}$ lipca 1844 r. Tak poświadczają się dokumenty, wysyłane za granicę. Toć właśnie wybierali się do Ameryki spadkobiercy, a raczej poszukiwacze spadku po Tadeuszu Kościuszce, żeby się upominać u rządu Stanów Zjednoczonych tych gruntów, które były nadane za służbę wojskową w roku 1783, a z których sam obdarowany nie korzystał za życia. Wańkowicz i panna Narbut legitymowali się z pochodzenia od sióstr Tadeusza, Żółkowskiej i Estkowej; komuś z odleglejszych członków rodu przyszła myśl zaimponować nazwiskiem Kościuszko“ w procesie legitymacyjnym: a więc wywieść się od jego brata rodzonego. Trzeba tylko było przerobić bezdzietnego i bezżennego eks-oboźnego na patrjarchę niezbyt licznego potomstwa. I dokazał tej sztuki jakiś pomysłowy jurysta na testamencie Kościuszki Józefa, spokrewnionego w 12-m stopniu z braćmi rodzonymi Tadeuszem i Józefem, dopisując tytuł miecznikowicza i część Siechnowicz, powszechnie znaną pod nazwą Dawidowszczyzny, a przytem powiększył dziesięciokrotnie taksę fortuny i dodał 40,000 zł. w gotowiźnie bez żadnej konieczności prawniczej, zapewne dla dobrego tonu, dla szumniejszej rekomendacji poszukiwacza wymarzonych miljonów w Ameryce.

Duży plik pism, dotyczących windykacji spadku po Tadeuszu Kościuszce, znajduje się w Rapperswylu: możnaby więc wynaleźć w nich i winowajcę, lub intelektualnego sprawcę fałszerstwa, kierując się domysłem prawa rzymskiego: *is fecit, cui prodest.* Ale czy warto wszczynać takie badanie? Małożto ludzi na świecie wyzyskiwało niegodnie zasługi i sławę wielkich członków rodu swojego? W obecnym wypadku dla zaspokojenia poczucia moralnego wystarczy zaznaczenie, że fałszerz celu swego występnego nie osiągnął, bo nic od rządu amerykańskiego nie dostał. A gdyby nawet coś dostał, nie byłoby stąd żadnego pożytku ani dla kraju, ani dla powiatów Brzeskiego i Kobryńskiego, ani dla rodu, ani dla przyszłości. Historyk nie ma nic do czynienia ze sprawami takich gadów społecznych.

Warszawa. *Tadeusz Korzon.*



Stare prawo w nowej formie.

Nie zapomnę nigdy, z jakim zamętem uczuć i myśli wychodziłem z berlińskiego „Deutsches Theater“ po przedstawieniu „Tkaczów“ Hauptmann'a... Czułem, że treść oraz idea sztuki nurtuje we mnie jak świeżo ogniem podniecony ukrop — doznałem na chwilę ściśnięcia serca.

Z wzorowych przedstawień na pierwszorzędnych scenach świata otrzymałem już nieraz wrażenia podnioślejsze może i bardziej poetyczne, czerpałem rozkosze, które dla mnie stanowią największą biesiadę ducha — jednakże nigdy nie byłem bardziej do głębi duszy przejęty, przenikniony, zelektryzowany.

Sztuka przedstawia niedawną przeszłość, akcja jej dzieje się bowiem w niemieckiej wsi fabrycznej przed pół wiekiem, a jednak porusza ona najgłówniejsze zagadnienie społeczne naszych czasów, narzuca się słuchaczowi siłą bezpośredniego złudzenia, obrazem prawdy, która działa tak silnie i niepokojąco jak rzeczywistość sama. Pod względem artystycznym uderzył mnie tu trjumf zupełny realizmu, w którego trwałą przyszłość na scenie nigdy nie wierzyłem i teraz jeszcze nie wierzę. Prawda, że tu nie był realizm sekciarski, przesądzający dla powziętej z góry doktryny patologiczne lub jaskrawe strony przedmiotu. Hauptmann przedstawił tylko nędzę i upośledzenie człowieka pracy w całej okrutnej prawdzie, przedstawił gorycz życia jednostek zamienionych na bezmyślne narzędzia robocze, wreszcie zezwierzęcenie dusz w objęciach nędzy wśród nieustannej troski o grosz, ledwie starczący na odpędzenie głodu.

Z początku dramat wydawał mi się pod względem literackim jakby próbą artystycznej anarchji, łamiącej wszystkie dotychczasowe prawa i konwenanse. Wre on życiem, akcją potężną, a starcie wrogich czynników w akcie czwartym wybucha z żywiołową siłą.

Nie posiada on żadnej bajki w dzisiejszem znaczeniu tego słowa, nie posiada postaci głównych, koło których skupiałby się interes sztuki, nie ma zawikłań, epizodów z niespodzianych zdarzeń, nad którymi łamią sobie głowę fabrykanci sztuczek, majstrowie od „fiseli“ teatralnych.

Działające postacie ruszają się całym tłumem, fala ludzka przelewa się przed oczami w malowniczym bezładzie życia, wypadki biegną jedne za drugimi szybko i gorączkowo.

W akcie piątym na scenie znałazłem zupełnie nowe figury; poprzednie już się nie pojawiają, porwane toczącym się za sceną biegiem wypadków. Przy końcu sztuki pada ofiara przypadkowa tragicznego starcia namiętności.

Bezsilny płacz dziecięcia, wobec trupa dziadka, który zwisł na warsztacie, kończy sztukę jako wielka, rzewna skarga bólu i nędzy bez jutra.

Zdawałoby się, że ten akt V., napisany wbrew wszelkim tradycjom i prawom literackim, jest luźnie przyczepionym epizodem, ale na pozór rzeczy biorąc, wszystko w tej sztuce dziwnej a niezrównanej jest epizodem.

W tym akcie jednak autor zawarł głęboką ironję losu, ukazał z przenikliwą prawdą to niszczące działanie zawieruchy życiowej, która pędzi ślepo, żywiołowo obejmuje winnych i niewinnych w swym śmiertelnym zamęcie.

Człowiek, który stał przy porządku, ufał w sprawiedliwość, nie brał udziału w robotniczem wrzeniu, pada tu ofiarą zamieszek. Autor, jak wielu współczesnych realistów, przedstawia tu nielitościwe okrucieństwo życia, szarpie serce widza i każe mu się domyślać, że po zapadnięciu kurtyny w świecie, który on odmalował, może nastanie ład powierzchowny, ale dawna nędza i niedola istnieć będzie, rodząc w sercach ludzkich gorycz i nienawiść.

W tem zakończeniu Hauptmann streścił palący charakter sprawy, która stanowi oś jego dzieła.

To jest tragedja pracy ujętej w kluby systematu kapitalistycznego, tragedja pokazana w nowej artystycznej formie, będącej jaskrawem przeciwstawieniem wobec wszystkich tradycji i reguł literackich. A jednak obejmując myślą całość dzieła, przekonamy się, że, pomimo pozornego bezładu kompozycji, sprawia ono imponująco jednolite wrażenie. Dla czego? bo niema w niem ani jednej sceny, ani jednego słowa, ani jednej postaci, któraby się nie wiązała z naczelną ideą sztuki. Ta ideja nie jest tutaj bynajmniej formułką literacką, ale tętni we wszystkich częściach dramatu jako gorące uczucie sympatji dla maluczkich i protestu wobec rzeczywistości.

Na tem polega artyzm Hauptmann'a, że w ramach plastyki ściśle realistycznej, zapomocą szeregu scen pełnych prawdy, schwytanej na gorącym uczynku, uwydatnił naczelne uczucie sztuki z niesłychanem napięciem i przez to w nowy zupełnie sposób osiągnął wrażenie artystycznej jedności. Treścią, osnową jego dzieła nie jest wcale historja ułożona misternie z ludzkich uczuć i namiętności, ale uczucie którego tętnem tysiące serc biją jednocześnie. Pomimo rozstrzelonej pozornie akcji jedność tematu występuje tu bardzo wyraziście i jest zarazem rdzenną „immanentną“ właściwością dramatu.

Zdaje mi się, że sam autor nie zdawał sobie dosyć jasno sprawy z tego, na jakiej drodze doszedł do podobnego rezultatu. Najnowsza jego sztuka „Florjan Geyer“, pisana metodą zewnętrznie podobną do „Tkaczów“, nie sprawiła zamierzonego wrażenia. Temat historyczny, przedstawiony luźnie, nie wydał dzieła o takiej wewnętrznej spójni. Szereg krwawych albo brutalnych epizodów z wojny chłopskiej nie miał tego spoiwa, które w „Tkaczach“ wytwarzało harmonję czysto idealną pomimo realistycznego charakteru dramatu.

Niepowodzenie „Florjana Geyera“ jest zapowiedzią, że dzieła pisane tą metodą mają wątpliwą przyszłość na scenie.

Rzecz to bowiem bardzo trudna zapanować nad masą luźnych scen tylko mocą wewnętrznego uczucia lub ideji, która w „Tkaczach“ posiada wyjątkową suggestyjną siłę porywającą słuchacza. Przedmiot „Florjana Geyera“ nie ma tego znaczenia, należy do przeszłości przywalonej bezpowrotnie gruzami wielkiej rewolucji. Dziś takie rycerstwo, jakie maluje Hauptmann we „Florjanie Geyerze“, jest upiorem, nikogo nie przerazi i reprezentuje sprawę, która zeszła z porządku dziennego. Tymczasem w „Tkaczach“ wszystko tętni żywotnością, porusza współczesną duszę zbiorową słuchacza. Hauptmann jest tu stanowczym rewolucjonistą literackim pod względem formy układu i budowy, ale mimowoli może zachował stare prawo jedności artystycznej.

Szkolarze i teoretycy pojmowali to prawo powierzchownie, pseudoklasycyzm francuski zbudował ciasną i krępującą formułę trzech jedności dla dramatu. Nie jest ono jednak przepisem teoretyków, formułą ukutą przez akademje, które zwykle bywają orędowniczkami strupieszałości albo rutyny.

W różnych epokach komentatorowie scholjaści i niepowołani prawodawcy określali prawa estetyczne jako szereg formuł i nakazów obowiązujących dla pieśniarzy i twórców. Twórcy poetyki w Indjach, uczeni aleksandryjscy, fabrykanci kodeksu akademji francuskiej, nasi pseudoklasyczni krytycy z epoki przed-Mickiewiczowskiej, wszyscy pojmowali istotę praw estetycznych powierzchownie, formalistycznie. Biorąc kilka cech zewnętrznych z pewnej grupy utworów tworzyli normy mające raz na zawsze obowiązywać produkcję literacką, a nie mieli pojęcia nawet przybliżonego o wewnętrznym mechanizmie prawdziwie twórczych umysłów.

Nic dziwnego, że estetyka taka w zastosowaniu krępowała nawet rzeczywiste talenty jak Kornela, Racine'a, że tworzyła szkołę fałszywą i konwencjonalną, że padła wreszcie ośmieszona pod ciosami naukowej i literackiej krytyki.

Nowsza estetyka ustaliła pojęcie praw twórczości zupełnie odmiennie. Wynikają one z natury twórczych umysłów, z logiki procesu twórczego, z ustroju warunków społecznych, w których rozwija się działalność artysty. Prawda, że na tem polu filozofja sztuki nie zaszła jeszcze daleko i rozpoczęła, właściwie mówiąc, pracę analityczną, wspomagana ostatniemi czasy przez literaturę porównawczą i etnografję, badającą początkowe formy rozwoju cywilizacji.

Badania te w szczegółach może odsłonią tajemnicę działania fantazji, dotychczas nieodgadniętą. Nie stwierdzają one jednak majaczeń zwolenników anarchji literackiej. Arcydzieła mistrzów uczą nas, że prawo jedności i harmonji w sztuce jest trwałe i zawsze obowiązujące. Sekciarskie wypaczone doktryny nie stworzą nigdy wspaniałej i prostej sztuki, której tajemnicę posiedli dawni wieszcze.

Prawo jedności opiera się na podstawie psychologicznej, na zakresie wrażliwości i percepcji słuchacza lub widza, na potrzebie skupienia siły twórczej u artysty. Aby stworzyć wielkie dzieło, artysta musi bardzo silnie odczuć

i wyosobnić w duszy jego ideję i treść naczelną, musi — za pomocą tego, co Taine nazwał „zbieżnością efektów“, pokonać materjał i urobić go dla swych pomysłów. Aby słuchacz lub widz odczuł potęgę dzieła, nie może ono przekraczać granic jego wrażliwości, musi być pochwytnem dla inteligencji, bo inaczej wyda się, nie całością, ale zlepkiem niezdarnym.

Prawo jedności wynika więc z naturalnego uwarunkowania pracy artysty i stosunku jego do rzeszy społecznej, dla której pracuje.

Oryginalność Hauptmann'a polega na tem, że w nowy a bardzo śmiały sposób potrafił w „Tkaczach“ to prawo zachować, i temu to właśnie zawdzięcza w znacznej części siłę wrażenia dramatu.

Rewolucjonista literacki stwierdził mimowiednie starą zasadę, którą sparodjowało albo skrzywiło plemię szkolarzy. Niech to będzie przestrogą dla fabrykantów nowych doktryn i sekciarskich sztandarów, dla płytkich nowatorów, którzy oryginalność opierają tylko na zaprzeczaniu metod lub szkół istniejących. Rozwój sztuki podlega prawom ewolucji, i nie może być zmieniony na poczekaniu wedle urojeń symbolistów, instrumentystów, wibrystów, impresjonistów oraz innych maniaków patrzących na sztukę i życie przez rozmaicie zabarwione a maleńkie szkiełka.

Żadna rewolucja ani reforma artystyczna nie może gwałcić zasadniczych praw tworzenia, żadne sekciarskie brednie nie nadadzą trwałości dziełom chorobliwym i sztucznym, nie zastąpią szczerości uczucia i polotu fantazji, nie załatają braku talentu blagą i frazesem.

Kraków. *Józef Kotarbiński.*

Stanowisko filozoficzne Aleksandra Świętochowskiego.

Aleksander Świętochowski zajmuje jedno z najwybitniejszych stanowisk we współczesnej naszej literaturze. Zawdzięcza on je przeważnie swym pracom literackim, gdyż nie wielu zapewne czytelnikom znane są jego prace naukowe, chociaż te, oceniane tylko pod względem literackim, bynajmniej nie ustępują tamtym, a przewyższają je o tyle, że będąc systematycznem rozwinięciem pewnych zasad, odpowiadają, nie chwilowym zagadnieniom, lecz zagadnieniom trwałym, które zawsze będą zajmować umysł ludzki i nigdy nie zestarzeją się. Nie moją rzeczą zajmować się jego pracami literackiemi. Potrąciwszy jednakże o nie mimochodem, muszę zauważyć, że wszystkie one o tyleż są dziełem myśliciela, ile i poety. Jeżeli jako poeta okazuje się on w nich mistrzem, który umie przyoblec najoderwańsze myśli w widome kształty i nakazać każdemu uczuciu mówić o sobie właściwemi słowy, to jako filozof, porusza zagadnienia żywotniejsze i przedstawiając je w formie poetyckiej, ma na celu nie tyle względy estetyczne, ile cywilizacyjne. Chodzi mu przedewszystkiem o podniesienie poziomu umysłowo-moralnego naszego społeczeństwa. Przyjęta przez niego forma poetycka jest tylko środkiem, który on uznał za najskuteczniejszy. Ten sam cel mają i jego prace z dziedziny filozofji. Nie zajmuje się on w nich szczególnemi jakiemiś zagadnieniami, ważnemi pod względem naukowym, ale obchodzącemi tylko specjalistów, lecz takiemi wyłącznie, które interesują ogół, których rozwiązanie rozjaśnia horyzont umysłowy, prostuje panujące mniemania, rozprasza uprzedzenia i tendencyjne fałsze.

Pierwszą jego pracą w tym kierunku była rozprawka, zamieszczona w wydawanym we Lwowie tygodniku *Tydzień* z r. 1874 pod nagłówkiem: O Dziedziczności Charakteru. W niej dowodzi autor wbrew Darwinowi i Spencerowi, że człowiek odziedzicza po swych przodkach, nie gotowe instynkty i skłonności, lecz ich możność, i że ich rozwój zależnym jest od warunków, w jakich żyć będzie zmuszony. „Komórka Darwinowskiej Pangenezy,

powiada autor, czyli zaród nowego organizmu otrzymuje od swego życiodawcy, tylko możliwości nabycia podobnych mu cech, o ile podobnemi będą warunki ich rozwoju".

Rozprawka ta była przygotowaniem niejako do głównej jego pracy, napisanej po niemiecku w celu otrzymania stopnia doktora filozofji w Lipskim uniwersytecie pod tytułem: „Ein Versuch die Entstehung der Moral-Gesetze zu erklären". *Revue Philosophique* pismo wydawane przez Ribot'a, zamieściło obszerny rozbiór tej pracy, przyznając jej niezmierną ważność i wykazując z jednej strony gruntowną wiedzę autora, z drugiej — samodzielność w wyprowadzaniu wniosków, jakie nastręczają badane przez niego fakty. Pracę tę, wydaną w r. 1876, w roku następnym ogłosił autor po polsku, rozszerzywszy ją znacznie i uzupełniwszy wstępem, w którym podaje krytyczną ocenę wszystkich mniemań, odnoszących się do początku praw moralnych, zacząwszy od filozofów greckich, a skończywszy na współczesnych. Dzieło to, zawierające 252 stronic druku, nosi tytuł: „O powstawaniu praw moralnych".

W bliższy rozbiór tego dzieła, będącego rzeczywistem wzbogaceniem naszej literatury filozoficznej, tak bardzo ubogiej w prace samodzielne, wchodzić nie mogę. Poprzestanę tylko na zaznaczeniu przewodniej jego myśli i na wskazaniu wyniku ostatecznego, do jakiego autor w niem dochodzi. W przekonaniu autora zjawiska życia ludzkiego winny być badane tą samą metodą, co i zjawiska przyrody. Mając przeto odpowiedzieć na pytanie: w jaki sposób powstały prawa moralne, obowiązujące obecnie człowieka żyjącego w społeczeństwie ucywilizowanem? — potrzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę z tego, czem są te prawa, co przez nie należy rozumieć? Zapatrywano się na nie do ostatnich czasów, jako na pewne reguły postępowania, ktorych źródłem jest instynkt wrodzony, uczucie moralne, właściwe każdemu człowiekowi, jako dar nadprzyrodzony. Bliższe atoli obeznanie się ze zwyczajami ludów na wpół dzikich i barbarzyńskich, jako też społeczeństw, mających różną od naszej cywilizację, wykazało dowodnie, że takich instynktów wrodzonych, takich uczuć moralnych o nadprzyrodzonym początku nie ma i być nie może. U różnych ludów i w społeczeństwach odmiennej cywilizacji obowiązującemi są często reguły wręcz przeciwne naszym, a których nie można zwalać na karb jakiegoś zwyrodnienia natury ludzkiej: odpowiadają one najdokładniej warunkom ich bytu, pozostają w zgodzie z ich zapatrywaniami, tak religijnemi, jak i społecznemi. Nie można ich także uważać za skutek dowolnego nakazu prawodawców i reformatorów, radzących się w tem wyłącznie swego własnego interesu, lub interesu swego stronnictwa, gdyż taki nakaz, ażeby mógł stać się obyczajem, musi mieć grunt dla siebie w uczuciach i w warunkach bytu. Tym sposobem prawa moralne nie mogą być czem innem, jak wytworem doświadczenia dziejowego. Jak prawa przyrody nie są jakiemiś bytami abstrakcyjnemi któreby istniały ponad zjawiskami i niemi rządziły, lecz są po prostu oddziaływaniem na siebie tych zjawisk mocą własności, stanowiących ich istotę; tak samo prawa moralne są oddziaływaniem na siebie ludzi żyjących

w społeczeństwie — oddziaływaniem, mającem swe źródło w ich uczuciach popędach i mniemaniach. Nastręcza się tu atoli pytanie nader ważne, od którego rozwiązania zależy przyjęcie powyższego poglądu na prawa moralne, jako na wytwór dziejowego doświadczenia. Człowiek pozostaje zawsze sobą i wyjść z siebie nie może. Jest on zawsze egoistą w tem znaczeniu, że dąży do tego, co dlań jest przyjemnem, unika zaś tego, co mu przykrość sprawia. W jakiż sposób na tle egoizmu, stanowiącego istotę natury ludzkiej, mogły wytworzyć się sympatja i uczucie moralne wymagające poświęcenia się na rzecz drugich, a zatem będące zaprzeczeniem egoizmu? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba pamiętać, że jakkolwiek człowiek może czuć własne tylko przyjemności i przykrości, nie wynika stąd przecież, ażeby przyjemności i przykrości innych miały być dla niego całkiem nieprzystępne. Mogą się one stać jego własnemi, dzięki przypomnieniu tego, czego sam w życiu doświadczył, i dzięki wyobraźni, która go przenosi w położenie, w jakiem jego bliźni znajduje się. Egoizm nie jest jeszcze tem samem, co samolubstwo. Zresztą w postępowaniu swem człowiek nie zawsze kieruje się samem tylko uczuciem przyjemności lub przykrości. Rządzą nim przeważnie potrzeby tak naturalne, jak i sztuczne i które on musi zaspokajać bez względu czy są przyjemne lub przykre w swych następstwach. Jedną z takich potrzeb, i to najgwałtowniejszych, jest wspólne pożycie z innymi ludźmi. Towarzyski byt człowieka nie jest jego stanem sztucznym, obmyślonym przez rozumny egoizm, jako mniejsze zło, zapobiegające większemu, lecz stanem naturalnym. Rodzi się on w społeczeństwie i w niem żyje, rozwijając się pod jego wpływem i do jego warunków przystosowując się. W społeczeństwie tylko staje się on człowiekiem, po za niem jest zwierzęciem dwunożnem. Otóż, jak pod wpływem świata fizycznego powstają w człowieku pewne upodobania i niechęci, pewne potrzeby, tak samo pod wpływem warunków społecznych wytwarzają się w nim sympatja i uczucie moralne. Nie wytwarzają się one z niczego, lecz mają swe źródło w popędzie płciowym i w uczuciach rodzinnych. Sympatja i uczucia moralne, ograniczone z razu do ciasnego koła ludzi, w miarę rozwoju społeczeństwa co raz bardziej rozszerzają się i obejmują, nie samą już tylko rodzinę, ale plemię, naród, a w końcu całą ludzkość. W ten sposób sympatja i uczucie moralne stają się potrzebami natury ludzkiej, o tyleż przyrodzonemi, o ile przyrodzonym jest sam byt towarzyski człowieka. Są one wytworem dziejowego doświadczenia ludzkości, ale wytworem, który ma swe ugruntowanie w naturze ludzkiej, w jej instynktach i skłonnościach. Objawiając się z razu nawpół świadomie i mimowolnie, stają się one z biegiem czasu przepisami postępowania wyraźnie uświadomionemi, obowiązującemi jako prawa, bądź z góry nadane przez wielkich reformatorów, występujących w charakterze zesłańców niebieskich, bądź wypisane w duszy ludzkiej przez samego Boga, który na ich straży postawił sumienie. Że uczucie moralne, tak samo jak i sympatja, jest objawem naturalnym w życiu ludzkiem, świadczy o tem fakt, że pewne jego ślady napotykamy już wśród zwierząt, o których przecież nie

można powiedzieć, ażeby otrzymały je z góry jakąkolwiek drogą, a przynajmniej nie powie tego żaden z obrońców nadprzyrodzonego początku praw moralnych.

Streszczając cały przebieg rozumowania, podaje autor następującą odpowiedź na pytanie: skąd powstają prawa moralne? „Prawa moralne powstają z utrwalonych norm społecznie zjednoczonej i uporządkowanej ludzkiej woli. Ich rodowód, w głównych stopniach zawarty, przedstawia się w szeregu następujących przemian: z popędów woli rodzą się czyny, z czynów ich normy (obyczaje), z norm ich formuły — moralne prawa.“

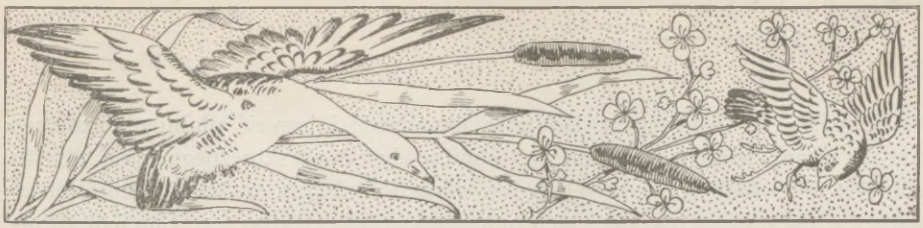
W zakończeniu swego dzieła przyrzeka autor opracowanie nowego, które, będąc dalszym jego ciągiem, ma przedstawić dziejowy rozwój praw moralnych. Czy autor spełni kiedy swe przyrzeczenie? Być może, że zrażony obojętnością, z jaką jego praca została przyjęta, zaniechał swego zamiaru, mając przekonanie, że dla naszego społeczeństwa nie przyszedł jeszcze czas na tego rodzaju zagadnienia, że potrzeba dla nich wprzód grunt przygotować, oczyszczając go z chwastów i powoli go uprawiając.

Jakoż takiem karczowaniem ojczystego pola pod nowy zasiew są bezwątpienia jego prace literacko-artystyczne i redakcyjne. Dążnością stałą jednych i drugich jest zwalczanie przesądów i złej wiary, oraz rozszerzanie widnokręgu myśli i skierowywanie jej ku zagadnieniom obchodzącym cały świat dzisiejszy.

Bądź co bądź po ogłoszonem w r. 1877 dziele: „O powstawaniu praw moralnych“ mamy do zanotowania tylko dwa jego zarysy: o Wolterze i o Epikurze i tłómaczony przez niego pierwszy tom Historji Materjalizmu Lange'go.

Zarysy jego, prawdziwe perły naszej literatury popularnej, poświęcone są pamięci dwóch wielkich osobistości, których zła wola i nieuctwo dotąd nie przestaje obrzucać potwarzą, przedstawiając ich jako wyrzutków rodzaju ludzkiego, poniżających jego godność. Tłómaczenie dzieła Lange'go nie małą także stanowi zasługę naszego autora. Dzieło to, nacechowane bezstronnością w ocenianiu teorji filozoficznych, po raz pierwszy dało poznać naszemu społeczeństwu, o co w nich chodzić powinno, a mianowicie, że ostatecznym celem poznania jest prawda i że wobec niej muszą umilknąć wszelkie namiętności i uprzedzenia stronnicze.

Lwów. *Władysław Kozłowski.*



WIEDZA PRZYRODNICZA

w wieku dziewiętnastym i jej rzekome bankructwo.

Czy istniał naprawdę wiek kamienia ciosowego i wiek kamienia gładzonego, archeologowie długo może jeszcze spierać się będą; gdy mówimy o wieku odrodzenia i o wieku oświecenia, nazwy te wydawać się mogą niedostatecznie uzasadnione, ale gdy dobiegające do schyłku stulecie jako wiek rozwoju wiedzy przyrodniczej określamy, nie zaprzeczy temu i daleka potomność. Choćby bowiem pęd swój nabyty nadal zachowała i dalej jeszcze prędkością coraz przyśpieszoną posuwać się miała, to zawsze blask, jaki rozlała na mętne tło stulecia naszego, olśniewać będzie widza, rozpatrującego je z oddalenia czasów. Blask ten zapewne wzmoże się jeszcze w przyszłości, jest wszakże już tak potężny, że nie zaćmi się wobec rozjaśnienia dalszego, jak płomień świecy, który cień rzuca na pole, światłem elektrycznem oblane.

Przypadkowe to zestawienie świecy i światła elektrycznego nasuwa nam dobitną do słów powyższych ilustrację. Aż do końca wieku ośmnastego, od czasów bodaj najdawniejszych, odkąd ogień człowiek krzesać zaczął, sztuczne oświetlenie wieczorne przetrwało bez zmiany. Ognisko na kominku płonące, świeca łojowa, a na dworach pańskich woskowa, mała wreszcie lampa starożytna, która przetrwała dotąd jako lampka nocna, — to było wszystko, na co się wieki ubiegłe zdobyły. Przed stu laty dopiero ukazała się lampa argaudowa z knotem walcowym i opatrzona kominkiem szklanym, ale zanim wynalazcy wyczerpali pomysły swoje na jej udoskonalenie, już olej skalny wyrugował z użycia oleje roślinne i zapłonął w lampach budowy prostszej, obywającej się bez mechanizmów zawiłych. Tymczasem z łoju wydobyto trudniej topliwy kwas stearowy, świece stearynowe zastąpiły zarazem i wstrętne łojówki i kosztowne świece woskowe, a pamiętne szczypce do objaśniania czyli do obcinania knotów usunęły się do zbiorów starożytności. Gdy zaś proces palenia należycie zrozumiano, nauczono się wyrób gazu z obrębu samegoż płomienia przenieść do

oddzielnych i oddalonych zakładów, a dogodność i jasność płomieni gazowych budziły przez chwilę mniemanie, że technika oświetlania sztucznego już u szczytu stanęła; ale wtedy znów na placach i ulicach miejskich, w budowlach publicznych i w mieszkaniach prywatnych zajaśniało światło elektryczne. Gaz jednak nie łatwo daje się pokonać, a tocząca się między gazowem i elektrycznem oświetleniem walka ciągłem znamionuje się jednego i drugiego ulepszaniem. Pewnego rodzaju przymierzem między niemi jest, pełne zalet różnych, nowe światło acetylenu, gaz ten bowiem wywiązuje się z przetworów otrzymywanych działaniem procesów elektrycznych. Tak olbrzymi przebieg, od świeczki łojowej aż do potężnej lampy łukowej spełnił się w ciągu jednego tylko, bieżącego stulecia; ale pojmujemy, że nie jesteśmy jeszcze u kresu doskonałości, gdyż wszystkie metody dotychczasowe wymagają nadmiernego nakładu energji i osiągają się jedynie kosztem strat znacznych. Zadanie wszakże jasno jest już określone: trzeba zdobyć sposoby wywoływania tych tylko drgań ograniczonej szybkości, które w oku naszem poczucie światła wzniecają, a przewidujemy nawet, jaką drogą cel ten ostateczny da się osiągnąć.

Udoskonalenie oświetlenia sztucznego przedstawia uderzający przykład usług praktycznych, jakie nauka człowiekowi przynosi i byłoby chyba zbytecznem przypominać jeszcze koleje i parowce, telegrafy i telefony, motory i maszyny, fabryki o olbrzymich kominach i drobne udogodnienia życia codziennego; wszystkie te nieprzeliczone zastosowania wiedzy przyrodniczej, — „...jej pożytki kto wypowie zaraz wszytki“.

Zwróćmy się raczej do nauki samej, do jej rozwoju w wieku dziewiętnastym, strzegąc się tylko błędu krótkowidzów, których wzrok zaledwie najbliższy obszar obejmuje, a blaskiem odkryć nowych zamroczony, przeszłość cieniem zasnuwa i zasług jej zgoła nie dostrzega.

Nie w naszym dopiero wieku nauka się zrodziła; fundamenty jej silne dawno już założone były, wznosiły się piętra, a w niektórych działach ponad gmachem wieże już w górę strzelały. Drogi badań były utorowane, metoda doświadczalna dawała już klucz wypróbowany do tajników przyrody, a matematyka na takiem już stanęła wzniesieniu, że najbardziej zawiłej dedukcji bezpiecznie służyć mogła. Wiek dziewiętnasty nauki nie stworzył; zasługą jego jest tylko, że ze spuścizny przeszłości skorzystać umiał, w bogactwo ją zdumiewające przetworzył i skarby sowite czasom następnym przekazuje. Obraz ich naszkicować tu możemy wprawdzie rysami tak grubemi tylko i pobieżnemi, jak owe malowidła, które sztukmistrze w cyrkach kilku pociągami pędzla kończą; ale nie o dzieje nauki przecież nam tu idzie, — nie opowiadam, rozważam tylko; pragnę tu uprzytomnić jedynie kilku przykładami różnicę, jaka w wiedzy przyrodniczej, w naszej znajomości natury, jej praw i jej objawów, zaszła od świtu aż do zmierzchu stulecia.

Com tu o wieżach wspomniał, tyczy się przedewszystkiem astronomji, najstarsza ta bowiem część całego gmachu nauki wydawała się nieledwie zupełnie ukończoną. Całą astronomję dawną, w istocie rzeczy, wypełniało jedynie badanie ruchów brył, układ słoneczny stanowiących; była to właściwie tylko nauka o biegu planet, której punkty wytyczne oznaczają nazwiska Hiparcha, Ptolemeusza, Kopernika, Tychona de Brahe, Kepplera, Newtona, Laplace'a. W końcu już zeszłego stulecia mechanika nieba do tak wysokiej doskonałości doprowadzona była, że zasady jej dozwalały, aż do drobnych szczegółów, wyjaśnić wszelkie zboczenia w biegu planet, powodowane przez ich wzajemne na siebie oddziaływania.

Natura wszakże tych ciał niebieskich, budowa ich fizyczna pozostawała nieznaną; przypadkowo chyba który astronom o pytania te potrącił, — o słońcu, o planetach snuto domysły dowolne, niedorzeczne często. Astronomja kwestje te słusznie z obrębu swych dociekań usuwała, nie posiadała bowiem żadnych zgoła wskazówek do ich rozwiązywania; luneta dozwoliła wprawdzie dostrzedz góry na księżycu, plamy na słońcu, te lub owe szczegóły na powierzchni planet; obserwacje te wszakże do głębszych wniosków mało były podatne. Udoskonalenie lunet dozwoliło też astronomom wysunąć się poza kresy układu słonecznego, a zwłaszcza potężne teleskopy Herszla znacznie powiększyły w ciągu ostatnich dziesięcioleci zeszłego wieku znajomość gwiazd stałych; wiedziano już więc wtedy, że są one tylko pozornie stałemi, w rzeczywistości zaś posiadają ruch własny; znano już gwiazdy podwójne, wielokrotne, zbiorowiska gwiazd, mgławice.

Sam początek nowego stulecia, pierwsza noc jego upamiętnioną została odkryciem nowej planety, pierwszej z tłumnego roju, krążącego między Marsem a Jowiszem; w połowie zaś wieku rozbiór zakłóceń w biegu Urana dostrzeżonych dał możność Adamsowi i Leverrierowi odkrycia Neptuna. Odkrycie to planety, dotąd nieznanej, drogą rachunku jedynie z teorji wysnute, potwierdzając w uderzający i wspaniały sposób zasady, na których się wspiera, stanowi najwymowniejszy dowód ich rzetelności i jest uwieńczeniem ostatecznem astronomji układu słonecznego. Znajomość jednak gwiazd stałych rozwijała się powolnie. Poznano wprawdzie, że prawa ciążenia nie ograniczają się li tylko do naszego systemu planetarnego, wyczytano je bowiem i w ruchach gwiazd podwójnych; do katalogów zaciągano gwiazdy coraz drobniejsze i położenie ich na niebie coraz ściślej oznaczano; śledzono ich biegi i zrozumiano, że słońce nasze również nie pozostaje w spoczynku, ale wraz z orszakiem swych planet przesuwa się w przestrzeni świata; zdołano nawet oznaczyć odległość pewnej liczby gwiazd stałych, co było przedmiotem gorących pragnień i usilnych poszukiwań stronników i następców Kopernika, — ale wszystko to było jakby tylko uzupełnieniem astronomji dawnej, a coraz widoczniej wyczerpywała się moc jej metod; na wysokości, do jakiej się wzbiła, drogi dotychczasowe urywały się, były już dalej nieprzebyte. Zdawało się, że astronomja jest już u kresu, u samego szczytu swego rozwoju. Ale wtedy właśnie odsłoniła

się droga nowa zupełnie, która jej naraz ukazała widoki nieprzewidywane, niespodziane i rozległe, niezmierzone pole nowych dociekań przed nią rozwarła. Drżący promień światła, od gwiazdy dalekiej przybywający, na widmo barwne przez pryzmat rozszczepiony, ujawnia nam jej budowę fizyczną i skład chemiczny, ruchy jej nawet. Odkrycie więc analizy spektralnej dało początek astrofizyce, obserwatorja ożywiły się świeżą działalnością, zgrzybiała nauka stała się znów młodzieńczą, jak feniks do nowego odrodziła się życia. Astronom nowych zyskał sprzymierzeńców, ze starą swoją lunetą połączył spektroskop, fotometr, ciemnię fotograficzną, a przy ich pomocy poznaje i bada szczegóły, dla najpotężniejszych teleskopów niedostępne; rozstrzyga kwestje, o których nawet nie zamarzyli dawni poprzednicy jego. Gwiazdy dla astronoma nie są to już punkty tylko, których ruchy ma wyśledzić i ująć w formułę matematyczną, ale światy, których poznać ma budowę, ustrój i rozwój; rozjaśniają się tajemnice mgławic dalekich, również jak blizkich komet i gwiazd spadających, a nawet pojęcia kosmogoniczne zyskują pewną ścisłość i uzasadnienie naukowe. O tem wszystkiem trzy ostatnie dziesięciolecia nauczyły nas więcej, aniżeli wszystkie wieki ubiegłe.

Rozwój różnych działów fizyki, od samego jej początku, odkąd wyłoniła się z pierwotnej filozofji natury, szedł bardzo nierównomiernie, a różnice te wybijają się silnie jeszcze na przełomie zeszłego i bieżącego stulecia. W tej właśnie epoce ogłoszona „mechanika analityczna“ Lagrange'a świadczy o wysokiem wydoskonaleniu, o wykończeniu już tego zasadniczego działu fizyki. Odtąd ma się mechanika uzupełniać już tylko dogodniejszemi może sposobami traktowania swych zadań, rozwiązywaniem różnych zagadnień zawiłych, rozstrzyganiem pytań specjalnych, które rozwój innych części fizyki nastręcza; potężne zaś uogólnienia, jakie są cechą obecnej doby w matematyce, okażą się niewątpliwie i dla mechaniki pożytecznemi, nowe jej drogi torując.

Równie jak mechanika do rozważań matematycznych podatna, a stąd również w czasach starożytnych już zrodzona, uległa w początkach stulecia optyka nagłemu przeobrażeniu i obszar swój znacznie rozprzestrzeniła, a to przez odkrycie, albo raczej przez dokładniejsze poznanie, objawów interferencji i polaryzacji, dawna zaś walka teorji emanacyjnej i teorji undulacyjnej światła zakończyła się wreszcie zwycięstwem ostatniej, gdy wszystkie te objawy zdołała ująć i z zasad ogólnych, z praw ruchu falowego wysnuć, przewidując nadto szereg zjawisk tak zawiłych i występujących w warunkach tak szczególnych, że doświadczenie bezpośrednie nigdyby uchwycić ich nie zdołało. Te krzyże jasne i czarne, te linje różnobarwne, tak dziwacznie i tak prawidłowo zarazem w formy geometryczne skręcone, stanowią dla oka obraz również powabny, jak zadowolenie, jakie teorja ich umysłowi sprawia. Światło w wyobrażeniu naszem traci charakter materjalności i przedstawia nam się odtąd jako objaw ruchu, a zmiana ta pojęć, rozszerzając nagle obszar wiadomości naszych, świadczy zarazem o doniosłości teorji w badaniach przyrody i niweczy wstręt ku hypotezom, który tak długo postęp fizyki hamował.

Obok tak wysokiego rozwoju teoretycznego optyki i dzielność nowych metod doświadczalnych nieraz się w niej wybijała, a najwidoczniej może w oznaczeniu szybkości światła z doświadczeń ziemskich, co wydawało się dawniej zgoła niemożebnem. Wyjaśnienie linij ciemnych, przerzynających widmo słoneczne, zrodziło analizę spektralną, ale dla ogółu wymowniejszem jest odkrycie sposobów utrwalania obrazów ciemni optycznej, fotografja bowiem, oddając nauce usługi coraz liczniejsze, związała się ściśle z potrzebami życia zwykłego. Z tego względu zrozumiałym też będzie i pożytek, z udoskonalenia optyki fizjologicznej płynący, gdy przypomnimy zwłaszcza, że wynalazek wziernika ocznego czyli oftalmoskopu dał okulistyce możność dokładnych badań oka.

I w dziejach akustyki ma początek stulecia epokowe znaczenie, wtedy bowiem dopiero dawniejsze badania metematyczne nad drganiem strun i fujarek złożyły się w całokształt usystematyzowany dzięki usiłowaniom Chladniego, który dał początek akustyce doświadczalnej, głównie przez odkrycie słynnych linij węzłowych, czyli figur nazwiskiem jego oznaczanych, a usypujących się przy drganiu płyt brzmiących. Budząc żywe zajęcie, misterne formy tych linji krzywych zachęcały do doświadczeń dalszych, które ze swej strony dawały podnietę do doskonalenia teorji, przez matematyków zeszłowiecznych przygotowanej, istnem zaś uwieńczeniem tych badań było rozwiązanie przez Helmholtza nieuchwytnej dotąd zagadki o przyczynie różnej dźwięczności tonów, pochodzących ze źródeł różnych, za czem poszło wyjaśnienie powstawania samogłosek i sztuczne wywoływanie ich brzmień przez skład tonów prostych. Nie poprzestano na budowie przyrządów, umożebniających dokładne liczenie drgań głosowych, ale zmuszono ciała brzmiące, by same drgania swe wypisywały, aż wreszcie ze zdumieniem poznano, że falowania tak ujęte są w każdej chwili gotowe do odtwarzania dźwięków, które początek im dały.

W sprzeczności z optyką jest nauka o cieple, w istocie rzeczy nowego dopiero pochodzenia, zasadnicze bowiem pojęcia ciepła właściwego i ciepła utajonego zrodzić się mogły jedynie na podstawie pomiarów termometrycznych, wynalazek zaś, a raczej wykończenie, termometru przypada dopiero na drugą połowę wieku ośmnastego. W bieżącem więc stuleciu trzeba było dużo jeszcze łożyć pracy na oznaczenie rozszerzalności ciał, prężności par i innych liczebnych danych cieplikowych, których znajomość okazała się również niezbędną dla nauki, jak i dla techniki, podległej już teraz motorom parowym i od ulepszeń ich ściśle zależnej. W tymże czasie uwagę fizyków zaprzątnęło ciepło promieniste, a gdy poznano, że ciemne promienie cieplikowe tak samo się odbijają i załamują, tak samo się krzyżują i polaryzują, jak promienie świetlne, stało się też jasnem, że między temi, tak napozór odrębnemi, objawami ilościowe tylko zachodzą różnice; chociaż jednak w ten sposób ustalało się stopniowo pojęcie o identyczności światła i ciepła promienistego, cieplik czyli ów płyn nieważki, który miał istotę ciepła stanowić, rozwiał się dopiero po roku 1840, pod naciskiem odkryć wykazujących równoważność liczebną ciepła i pracy mechanicznej. Jest to początek nowego w dziejach fizyki okresu, a w żadnej

może innej jej epoce również rozległy naraz nie odsłonił się widnokrąg. Mgliste pierwotne pojęcia o przeobrażeniach sił natury znalazły wyjaśnienie w zasadzie zachowania energji, która dopiero dała gruntowną podstawę do jednolitego pojmowania objawów przyrody i ilościowego ich rozpatrywania. Z drugiej strony, skoro ciepło za objaw ruchu najdrobniejszych cząsteczek ciał uważać zaczęto, utorowało to tem samem dostęp do wewnętrznej budowy ciał, drogę szerszą i pewniejszą, aniżeli jakiekolwiek inne ścieżki, któremi próbowano do niej dotrzeć. Teorja cynetyczna gazów w szczególności wytworzyła nową dziedzinę fizyki matematycznej, a zdumiewające jej obliczenia prędkości cząsteczek, a nawet ich wymiarów, dają dowód mocy, jaką już zdobyć zdołała; w analogji zaś do niej rozwijająca się teorja roztworów usprawiedliwia nadzieję, że w przyszłości podobnaż znajomość i innych stanów skupienia materji da się osiągnąć. Potęga znów nowych metod doświadczalnych w tym dziale fizyki ujawniła się najwidoczniej skropleniem czyli przeprowadzeniem w stan ciekły gazów najtrwalszych, najoporniejszych, w czem trjumfy najwyższe przypadły w udziale pracowni starej wszechnicy polskiej.

Dzieje elektryczności w wieku dziewiętnastym odrazu biorą początek sławny, na sam bowiem rok 1800 przypada odkrycie stosu Volty, a pod wpływem przyrządu tego, tak prostego pierwotnie, gromadzi się rychło taka obfitość faktów coraz nowych, że nauka o elektryczności przerasta objętością wszelkie inne części fizyki. Rozgłośne odkrycia, z których każde odrazu gotowe jest do niespodziewanych usług praktycznych, nieprzerwanym ciągiem idą jedne za drugiemi. Ledwie dostrzeżono, że prąd galwaniczny rozkłada wodę, wydobyto metale z alkalijów, które do owego czasu uważane były za pierwiastki, a za tem poszedł szybki rozwój elektrolizy. W r. 1820 po raz pierwszy zapłonęło silne światło elektryczne; w tymże czasie dostrzeżono zboczenie igły magnesowej pod wpływem prądu, co wywołało dalsze badania nad wzajemnem działaniem prądów elektrycznych i magnesów, a odkrycie, że żelazo pod wpływem prądu staje się magnesem zespoliło ściśle elektryczność z magnetyzmem. Do teorji i obserwacji magnetyzmu ziemskiego wprowadzono ścisłość astronomiczną, a zależność natężenia prądu od siły elektrowzbudzającej stosu i od oporu ujęto w prawo ścisłe, które objawy te uczyniło dostępnemi do rozważań matematycznych. Szereg tych odkryć galwanicznych uwieńczony został wykryciem indukcji, to jest wzbudzania prądów przez prądy i magnesy, a na zasadach tych oparte maszyny indukcyjne, maszyny magneto- i dynamo-elektryczne stały się potężniejszem i dogodniejszem źródłem elektryczności, aniżeli stosy galwaniczne.

Wprowadzenie pojęcia potencjału i linij sił magnetycznych dało sposób ogólniejszy matematycznego traktowania elektryczności, a przez czas długi przygłuszone zajęcie dla elektryczności statycznej ożywiło się na nowo przez wynalezienie maszyn influencyjnych. Wyładowania elektryczne, w pewnych szczególnych warunkach zachodzące, dowiodły nam istnienia pewnych objawów, pewnych promieni niewidzialnych, które prowadzą nas w dalsze obszary zja-

wisk, zmysłom naszym bezpośrednio niedostępne. Potrzeby naukowe, a bardziej jeszcze praktyczne, znagliły do obmyślenia nowego układu miar elektrycznych, wiążących się bezpośrednio z jednostkami mechanicznemi, co tem samem przyczynia się do ściślejszego zespolenia odrębnych dawniej działów fizyki. Porównanie różnych jednostek elektrycznych, elektro-magnetycznych i elektro-statycznych, dało możność oznaczenia szybkości, z jaką rozprzestrzeniają się działania elektryczne, a doświadczenia nader staranne przekonały, że jest to taż sama, dawno już znana, szybkość, z jaką rozchodzi się światło. Zgodność zaś taka nie może być przypadkową, ale świadczy raczej że w przeprowadzaniu światła i elektryczności jeden i tenże sam środek, jeden i tenże sam eter pośredniczy. Stąd więc wypłynęła teorja elektro-magnetyczna światła, przyjmująca, że drgania świetlne są rezultatem zakłóceń elektro-magnetycznych, promienie zaś elektryczne zdołało w samej rzeczy uchwycić doświadczenie bezpośrednie. Promienie te nietylko ulegają interferencji, jak promienie świetlne, ale okazują i wszelkie inne właściwe im objawy, — odbijają się, załamują, polaryzują; są to więc zjawiska pokrewne, jednej kategorji, ilościowo tylko, ale nie jakościowo między sobą różne. Zagadka elektryczności nie jest jeszcze przy schyłku stulecia zupełnie wyjaśniona, niknie już wszakże tajemniczość, która ją niedawno tak silnie osłaniała. Elektryczność i eter, energja i materja, są to rozdziały rozpoczęte, ale dokończenie ich teraźniejszość potomności przekazuje.

Z kolei nastręcza się teraz chemja, ale olbrzymi jej wzrost w wieku dziewiętnastym wymagałby ram znacznie obszerniejszych, aniżeli je tu do rozporządzenia mamy. Nie chcąc zaś zadawalniać się ogólnikami zbyt pobieżnemi przestanę na tem, com o astronomji i fizyce napisał, już to bowiem daje oparcie dostateczne do pewnych wniosków, czy też do uwag tylko, które się tu na zakończenie nasuwają.

W połowie stulecia, w Warszawie, na rogu ulicy Miodowej i Kapitulnej, istniała szkoła, tytułująca się pensją wyższą męską choć prócz klasy trzeciej, utajonej przed ówczesną władzą edukacyjną, miała zaledwie dwie klasy i klasę wstępną, czyli, jak wówczas mówiono, klasę podpierwszą. Przełożony tej pensji wyższej, pan Puc, dawny podobno oficer wojsk polskich, tak często bywał w stanie niepoczytalnym, że zarząd szkoły objęła jego żona, a klasę podpierwszą zagarnęła w wyłączną swą władzę i sama uczyła kilkudziesięciu malców, siedzących dokoła długiego stołu. Z ówczesnych tych malców nie wielu już tylko uwija się po ziemi i ci już zapewne zapomnieli o tej dawnej swej nauczycielce, ale mnie, śród zamglonych wspomnień owych czasów dziecinnych, utkwiło w pamięci zdanie, które ona często, bodaj czy nie codziennie, przytaczała — „żyjemy na początku drugiej połowy wieku dziewiętnastego, wieku postępu, oświaty i cywilizacji“. Powtarzaliśmy za nią wszyscy uroczyste to zdanie i wryło się ono w umysł mój głęboko. Przejmowało mnie osobliwą

rozkoszą, byłem dumnym synem tego potężnego wieku postępu, widziałem wyraźnie ten bieg prostolinijny, którym ludzkość sunęła naprzód, ku przyszłości wielkiej, promienistej. Lecz — przyszło wkrótce z poetą powtórzyć:

Lecz, ach, już na połowie drogi
Źrenicę zaćmił rąbek łez.

Ta droga prostolinijna zachwiała się widocznie, zakrzywiła i wstecz zwróciła spadkiem powolnym najpierw, a potem coraz naglejszym, gwałtowniejszym. Przebrzmiałe, zapomniane już hasła na nowo wydobyto, umysły ogarnęło znużenie, a sama ociężałość ku dołowi spychać je zaczęła. W polityce, w życiu społecznem rozległo się straszne — „ausrotten“, a w literaturze nawet zstąpiła poezja ze swych wyżyn, miejsce jej zajęła nudna powieść i ckliwa nowela; sztuka zeszła na użytek powszedni i ocenia się wedle drobnej skali, o ile jest z życia wzięta. Co mi się zatem ruchem postępowym wydawało, było to wynikiem błędnego sądu jedynie; drobny odłamek linji krzywej za linję prostą przyjmowałem. Nie masz toru prosto wytkniętego, kołowanie tylko; po fali przypływu następuje odpływ, wezbranie i opad kolejno po sobie idą. Po okresie działalności następuje ospałość, po locie górnym pełzanie poziome, po głosach miłości brzmią hasła nienawiści, ledwie jedno pokolenie krzyknąć „naprzód“ zdążyło, już drugie sromotnie tył podaje. Nie istnieje więc postęp, jest kołowanie tylko; siebie i nas łudziła dawna nauczycielka, która wreszcie, jak słyszę, sama na dewocji w Częstochowie osiadła i tam niedawno dopiero w sędziwych latach zmarła. Niezupełnie się jednak myliła: nie wszystko w kółko się tylko kręci; jest przecież postęp widoczny, potężny, — postęp wiedzy przyrodniczej. Niezmordowana kroczy stale naprzód, dalej i wyżej, gromadząc zasoby coraz nowe, wciąż w moc i potęgę rosnąc. Ona tylko jest istotną wyrazicielką postępu, tryumfom jej nikt chyba przeczyć się nie ośmieli.

Gdzież tam, — znaleźli się właśnie tacy, co ją palcami wytykają, drwią z jej postępów, zdobyczy, odkryć, ukazują ją tłumom i krzyczą głośno w dzień biały: nauka zbankrutowała!

Jakto, — więc nauka majątku nie posiada żadnego; to, co zdobyła mozolną pracą, skrzętnem gromadzeniem ziarn drobnych i gienjalnemi obrotami ducha, to wszystko ma być tylko szych pozorny, liczmany fałszywe, to wszystko nie złoto, ale papiery bez wartości? Bankructwo wszakże poznać mogą jedynie sędziowie handlowi, ocenić je może tylko buchalter, który umie w księgach kupieckich czytać i bilans z nich sporządzić. Fałszywe pogłoski i kłamliwe artykuły gazeciarskie umilknąć muszą wobec wyroku znawców. Oszczercy zaś i oskarżyciele nauki czyż z rzędu jej znawców się biorą, czy żywot swój na nauce strawiwszy, potem nicość jej głoszą? Przedrzeźniają głos Fausta, ale nie poznali, jak on, wszystkiego. Podstępnie, lub w dobrej wierze nawet, wydobywają ustępy bez początku i końca, zestawiając urywki wzajem do siebie nienależące, czepiają się wyrazów, podsuwają czcze frazesy, narzucają nauce kwestje, o których ona nie myśli, i ze strzępów takich akt oskarżenia układają. Nie masz podobno gorszej męki nad rozmowę ze ślepymi o kolorach; w ta-

kich razach najlepiej artować się radą biskupa warmińskiego i na pytania nie odpowiadać wcale.

Ale nie przed trybunał handlowy wzywają naukę oskarżyciele; przed sąd wloką ją kryminalny. Zarzucają jej bankructwo podstępne: nie spełniła zobowiązań, dawała przyrzeczenia, których dotrzymać nie mogła. Ależ nauka nigdy nic nie obiecywała, przyrzeczeń żadnych nikomu nie dawała! Prawd, które ma odkryć w przyszłości, dziś jeszcze nie zna i ich nie zapowiada. Nie wie, co jeszcze jest przed nią utajonem. A jeżeli kiedy, wyobraźnią porwani, przyszłe jej trofea przewidywać chcemy, to rzeczywistość przewyższa najśmielsze rojenia. Któż niedawno jeszcze mógłby sądzić, że odsłoni nam się skład chemiczny gwiazd najdalszych, że mierzyć będziemy wielkość najdrobniejszych cząstek materji; kto przypuszczał kiedykolwiek, że z odległości setek mil będziemy mogli rozmawiać, albo też, że płyta fotograficzna uchwycić zdoła obraz przedmiotów, dla oka naszego utajonych. Nauka nie przyrzeka, daje wszakże więcej, niż od niej oczekujemy.

Ale nauka zbankrutowała, mówią, bo nie wie wszystkiego.

Temu nikt nie przeczy. Niewątpliwie, nauka nie zna wszystkiego. Pomimo całego jej blasku dzisiejszego posiada drobną zapewne tylko cząstkę tego, co jej do poznania pozostaje. Czyż jednak bankrutem jest, kto wszystkich skarbów w skrzyni swej nie skupił? Tego raczej należałoby bankrutem nazwać, kto wszystko już osiągnął, wszystko zdobył, bo działalność jego jest już wyczerpana i dążeń jego cel żaden nie podsyca.

Przed laty w jednem z pism humorystycznych niemieckich widziałem obrazek, przedstawiający ostatnie chwile zlodowaciałej, zamierającej już ziemi. Wszyscy już ludzie wyginęli, a pozostał tylko ostatni król, który wszystką władzę nad całą ziemią dzierżył, i ostatni bankier, który wszystko złoto zagarnął, a śród tej cichej i mroźnej pustyni król domagał się pożyczki, bankier zaś żądał za nią ustępstw od władzy absolutnej. Do uzupełnienia obrazu tego brakło jeszcze wszakże ostatniego mędrca, któryby już wszystką wiedzę posiadł. Siedziałby obok tamtych, z wyczerpaną swą myślą, bardziej jeszcze od nich ponury, bo nie miałby już żadnych pragnień, ani nic do żądania.

Tak źle nie będzie wszakże. Nauka jest nieskończona, jak szereg liczb naturalnych. Jakkowiek wielką pomyślimy liczbę, za dorzuceniem jedności otrzymamy liczbę większą; tak też i w nauce odkrycie każde prowadzi za sobą odkrycia dalsze, za każdem odsłania się nowe pole badań. Prędzej, zaiste, ród ludzki kres swój znajdzie, aniżeli nauka do końca swego dobiegnie.

Jest jeszcze zarzut jeden, — że nauka szczęścia nie dała. To prawda, i sprzeczać się o nią nie będziemy; nauka szczęścia nie dała, bo szczęście nie jest udziałem człowieka, który na nikłą chwilę z natury do świadomości powołany, od urodzenia dźwiga w sobie zaród cierpień i śmierci. Szczęście człowieka łudzeniem jest tylko i zagłuszaniem. Łudzi nas natura ponętą życia i łudzi nas duch porywami ideału. W rozkoszy każdej szukamy tylko zagłuszenia ciągłych bólów i dolegliwości naszych, czy to cel ten znajdujemy śród

gwarnej biesiady lub w uściskach kochanki, czy też w celi klasztornej albo w czynach miłosierdzia. Takiego wszakże szczęścia w sowitej mierze udziela nam nauka; najwyższą treścią wypełnia nicość naszą i najdzielniej odrywa nas od cierpień i dolegliwości chwili. W dążeniu do prawdy ukazuje nam ideał przewodni, a zarazem darami swemi warunki materjalnego istnienia naszego polepsza. Ileż to rodzin obecnie na ziemi byt swój przez fotografję utrzymuje, a iluż ludziom dały zajęcie tysiączne inne wynalazki! Przy udziale też wiedzy przyrodniczej pójdzie i dalsza poprawa stosunków społecznych, bo ona tylko jest żywiołem postępu, w niej i przez nią wszelki postęp się dokonywa.

Warszawa. *Stanisław Kramsztyk.*

List Drugiego Dymitra Samozwańca

do

MIKOŁAJA WOLSKIEGO, Marszałka wielkiego koronnego.

NOTATKA HISTORYCZNA, (1608 r.)

W ogłoszonej przed laty przez ś. p. Aleksandra hr. Przezdzieckiego „Wiadomości bibljograficznej o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie po niektórych bibljotekach i archiwach zagranicznych“ (Warszawa, 1850 r.) na str. 135 mieści się wzmianka o liście Dymitra II Samozwańca do Mikołaja Wolskiego, marszałka wielkiego koronnego, za panowania Zygmunta III, wysłanym dnia 2 stycznia 1608 r. z Brańska, z podziękowaniem za doznaną pomoc i z prośbą o dalszą opiekę.

List wzmiankowany przechowuje w oryginale Archiwum Medyceuszów we Florencji *(Archivio Mediceo Vecchio)*, pod Nr. 145 działu *Affari di Polonia* z lat 1541—1625. (Filza 4292).

Jeszcze przed dziesięciu laty, za życia ś. p. Teofila Lenartowicza, korzystając ze stosunków poety z miejscowemi we Florencji władzami archiwalnemi, wyjednałem był sobie odpis owego dokumentu. Obecnie, gdy z powodu ogłoszenia przez ks. Pierlinga, charakterystycznego polskiego listu pierwszego Dymitra Samozwańca do papieża Klemensa VIII z d. 24 kwietnia 1604, (o którym już Szujski, w r. 1867, w cennej swej rozprawie: Maryna Mniszchówna i obaj Samozwańce. Opow. i roztrząs. wyd. pośmiertne. T. I. str. 234, podał był wiadomość) podjęto w nauce na nowo kwestję stosunku Samozwańców do Polski (*Istor. Wiest.* maj 1898. *Dod. liter. do Kraju* N N. 18, 19, 21. w art. K. Waliszewskiego), sądzę, że nie będzie bez interesu dla historji, ogłoszenie osnowy pomienionego listu z archiwum Medyceuszów.

O Mikołaju Wolskim, jak dotąd, oprócz drobniejszych zarysów bjograficznych, posiadamy jedynie niewielką monografję Ludwika Zarewicza, w książce *Zakon Kamedułów* (Kraków, 1871), jakkolwiek ów mąż stanu z powodu stanowiska swojego w dziejach Polski za Zygmunta Augusta, Walezego i Zygmunta III, zasługiwałby na bardziej wyczerpujące w historjografji ojczystej uwzględnienie.

Pozostawiając do stosowniejszej pory, o ile siły i okoliczności pozwolą, spożytkowanie bogatego zasobu nowych materjałów źródłowych do życiorysu starosty krzepickiego, jaki w szeregu lat gromadziłem; obecnie pragnę poświęcić krótką notatkę listowi Dymitra II z r. 1608 i wyjaśnić przypuszczalny powód znajdowania się owego listu we Florencji, jakoteż powód zwrócenia się Samozwańca do Wolskiego, z prośbą o łaskawe względy.

Stosunki Wolskiego z Dymitrem Samozwańcem I-szym zarejestrowała już historja w opisie uroczystości odbytych w latach 1605—1606 z okazji zrękowin tegoż z córką wojewody sandomierskiego, Mniszcha — Maryną.

Gdy zimową porą 1605 roku zjechał był do Krakowa Jan z Olszyn Buczyński, celem zakupienia dla Samozwańca klejnotów ślubnych, marszałek Wolski był pośrednikiem w wybraniu u kupca medjolańskiego, Jana Antoniego Cellarego, owych kosztowności za 11.690 Złp., które skarb moskiewski miał wypłacić Cellaremu za przybyciem tegoż z wybranym towarem do Moskwy. Wysłał nadto marszałek swego synowca, Adama Wolskiego na wesele i koronację do Moskwy, z bogatemi darami dla Maryny. (Zarewicz, *loco cit.* 169).

Po zamordowaniu Samozwańca I, sekretarz tegoż, Miechowicki, stanąwszy na czele nowego spisku, wysunął na widownię działania znanego „Tuszyńskiego wora“ i dobrał sobie do pomocy wspólników, którzy autentyczność mniemanego Dymitra poświadczyć mieli na podstawie rzekomych jego stosunków z Maryną i dostojnikami dworu polskiego. (Szujski: *loco cit.* T. I. 258).

W Rzymie, gdzie właśnie w listopadzie 1607 r., już za papieża Pawła V, bawili synowie wojewody Mniszcha, interesowano się żywo sprawą Samozwańca.

Bracia Maryny zapewniali kardynała Borghese, iż Dymitr żyje, że go nie uśmiercono podczas zamachu z 27 maja 1606 r. w Moskwie. O wieściach tych pisał kardynał do nuncjusza Simonetta w Polsce, prosząc o ich rychłe stwierdzenie. (Sołowiew. *Istoria Rossii,* wyd. ost T. VIII. Rozdz. IV. str. 842).

Niewątpliwie, bracia Maryny donieśli twórcy spisku, Miechowickiemu, iż we Włoszech bawi Mikołaj Wolski, sprzymierzeniec Samozwańca, a było to właśnie w czasie, gdy Zygmunt III wysłał był do Florencji wielkiego marszałka, z okazji zaślubin Wielkiego księcia Toskańskiego, Kuźmy II, z arcyksiężniczką Marją Magdaleną, rodzoną siostrą królowej polskiej, Konstancji. (Zarewicz, 160).

Niewątpliwie również, z porady Miechowickiego napisał był „Tuszyński wor“ z Brańska d. 2 stycznia 1608 r. list do Florencji, przypominający Wolskiemu znane jego zajęcie się sprawą pretendenta.

Brańsk (Briańsk), jedno z najstarszych miast w gub. Grodzieńskiej, miał zamek obronny na sztucznej górze przy ujściu Branki do Nurca.

Zatrzymał się w nim Samozwaniec w pochodzie bojowym na zdobycie Moskwy i tam zgromadził kupy zbrojne, ściągane zewsząd przez Rożyńskiego, Lisowskiego i Sapiehę.

W rękopisach bibljoteki Tarnowskich w Dzikowie przechowuje się uzupełnienie djarjusza pochodu Samozwańca na Moskwę, cytowanego przez Ka-

ramzina, a przedrukowanego przez Turgieniewa w *Monum. Russiae hist.* T. II. 156—196.

Właśnie pod datą 1 Januari 1608 r. jest w nim wzmianka o nowinie, która w dzień Nowego roku przyszła „iż Dymitr z wielkiem wojskiem i Polaków nie mało ze sobą mając“ pod Moskwę się pomyka. Jednocześnie z bojowemi przygotowaniami pracowała i kancelarja dyplomatyczna Samozwańca, dowodem tego jest ów list do Wolskiego z archiwum Medyceuszów następującej osnowy:

Dimitrius Ivanovic, Caesar totius Russiae, Magnus Dux Moschoviae, Dimitroviae, Ugleniae, Grodeciae, etc. etc. aliorum multorum Regnorum, Hordae Scitarum et aliarum Provinciarum finitimarum, Moschoviae Dominus ot haeres.

Omni tempore insignem benevolentiam, fidem Vestram, erga Nos experti sumus, neque jam quicquam dubitamus, quin eandem experiemur. Elapso etenim tempore in recuperando Dominio et Regno Nostro, summum studium et amorem Sacrae Regiae Majestatis agnovimus, tum et auxilium haud postremum ab eadem S. R. M. nobis exhibitum ac prestitum fuit. Nunc quoque mediante intercessione fideque vestrarum id ipsum in restauranda nostra Sede et consumenda ac extirpanda proditorum nostrorum fraude, quae jam Dei beneficio fracta et debilitata apparet: efectum intercessionis fidei Vestrae uti speramus, assequemur. Iterum atque iterum rogatam velim fidem Vestram ut ex parte fidei Vestrae in acquirenda et obtinenda s. justitia nobis auxilio sis, quod omni officiorum genere recompensare parati sumus.

Datum in Provinciis nostris ex castris pene Branciae, die 2 Januarii anno 1608.

Dmitr, Car.

tergo:

Al Possente Sig^re^ Signore Niccolo Volski, Maresciale della Corte della Corona, Capitano di Krzepize, amico sincero et caro. *)

Czy „Tuszyński wor“ ów, według Bussoviussa, djak z Białorusi, według Marchockiego, syn bojarski ze Starodubia, nazwiskiem Wierowkin, czy też, według Wielewickiego, sekretarz pierwszego Dymitra, Bohdanko zwany, własnoręcznie powyższy list nakreślił i czy wogóle można mu przyznać znajomość łaciny? Kwestja ta wymagałaby jeszcze oddzielnej dyskusji. Sołowiew przyta-

*) Doświadczaliśmy zawsze niepomiernej życzliwości i wierności Waszej względem Nas i nie wątpimy, że zawsze jej doświadczać będziemy. Poznaliśmy niemniej, odzyskując Państwo i Rządy Nasze, najwyższą życzliwość i pieczołowitość Jego Królewskiej Mości, jakoteż doświadczyliśmy pomocy ze strony J. K. Mości Nam okazanej.

I obecnie dzięki Waszej Wierności mamy nadzieję odzyskać Stolicę Naszą po zniszczeniu i wytępieniu zdrady odstępców Naszych, która się już złamaną i osłabioną okazuje. Ponownie zatem odwołując się do Wierności Waszej pragniemy z niej skorzystać. Bądź Nam pomocą w odzyskaniu sprawiedliwości, a wszelkiemi sposoby postaramy się okazać Wam wdzięcznym. Dan w Prowincji Naszej z obozu pod Brańskiem d. 2 stycznia 1608 r.

cza niektóre zdania przystawów, jawnych sojuszników Samozwańca, jakie wypowiedzieli posłom Wasila Szujskiego, wysłanym do Polski, z misją przekonania Zygmunta III o szalbierstwie nowego pretendenta. Zdaniem owych przystawów, ten ostatni jakoby „po polski goworit, gramotie polskoj był gorazd i po łatyni goworyt' umieł." *(Loco cit.* str. 835).

Wątpliwości wszakże nie ulega, co zresztą stwierdza Szujski *(loc. cit.* str. 258), że ów drugi Dymitr, był „kreaturą polską" i że we wszystkiem do rad swego kierownika Miechowickiego się stosował. Nasuwa się przeto logiczny domysł, że autorem listu mógł być jedynie Miechowicki i że zwrócenie się jego do Mikołaja Wolskiego było w danej chwili jedynie politycznym, a wysoce zręcznym manewrem.

Warszawa. *Alexander Kraushar.*



POSTĘP — I CZŁOWIEK.

Czy jest postęp? Młody pytanie takie uważa za bluźnierstwo. Staremu pobluźnić wolno: czy jest postęp? W pytaniu takiem wyraża się nie sama tylko ciekawość rozumu. Żadna natura, bądź przecywilizowana, chora na nadczułość, bądź dzika jeszcze, niedostatecznie sheblowana przez cywilizację, bez serdecznego bólu postawić go nie może. Zowią ból ten p e s s y m i z m e m — nazwa niezdarna, bez logicznego gwałtu pokrywa tylko liche zjełczenie z braku osobistego szczęścia, które człowiek miał bez własnej zasługi, a utracił z własnej winy, a że jej nie uznaje — narzeka.

Ten ból, co przy każdem zapytaniu o postęp się odzywa, musi mieć podnioślejszą przyczynę, dalej sięgający promień czucia. Koło nim zakreślone ogarnia naturę i ludzkość, całość bytu w czasie i przestrzeni, i wszystkie nędze istnienia, i wszystkie zakryte lub zagrodzone przed duchem ludzkim drogi — wszystkie nadzieje i rozczarowania, bunty i klęski, i całą tę wreszcie beznadziejność walki z rzeczywistością rzeczywistości orężem Gdy życie nauczyło człowieka odrywać się od siebie, w świat patrzeć i tętna świata wyczuwać, nauczyło go zarazem i nad światem cierpieć. Pytanie: czy jest postęp? przestaje być wtedy bluźnierstwem; staje się prawem myśli dojrzałej do wątpienia, serca dojrzałego do odczuwania innych w sobie. Głupcy tylko schodzą ze świata wesoło. Ciężką jest śmierć, ale stokroć cięższem życie. Dla tych, którzy przez ziemię nie prześlizgnęli się jak przez wywoskowany salon, rzeczywistość przeżyta jest ową platońską jaskinią: na ściany z ogniska, rozpalonego w tyle, za plecami, padają krwawe blaski, po ścianach przesuwają cienie ogromne, poczwarne, jedne nad drugiemi skłębione; a człowiek nawet odwrócić się nie może, aby zobaczyć co je wywołuje. W chwili, gdy nas wielka jaka tajemnica przytłoczy, wielkie jakie w ludzkości bezprawie rozedrze, życie nie inaczej nam się kształtuje. Jest to pogląd serca, co cierpi.

A rozum? Rozum patrzy spokojniej, trwalej i pewniej. Na pytanie: czy jest postęp? przedewszystkiem odpowiada wytknięciem granicy pomiędzy myślą

a życiem, następnie zaś co innego widzi w myśli, a co innego w życiu. Nieuctwo tylko lub ciasnota rozmyślna, samolubnego panowania nad umysłami pragnąca, przeczyć może postępowi umysłowemu. O umysłowych bankructwach prawić wolno tylko tym, którzy sami nigdy niczego dorobić się nie zdołali, uszanować nawet prawdy się nie nauczyli i żyją na łaskawym chlebie przesądu lub konwenansu. Dość tylko pierwszych lat nauki uniwersyteckiej, aby dostrzedz wielką, arytmetyczną różnicę między wczoraj a dzisiaj i szlachetną dla wiedzy zapłonąć miłością. Najmarniejszy dziś umysł w nauce więcej i lepiej wie, niż najpotężniejszy w starożytności. Możeby oni, ci starzy, ze swemi gienjuszami zrobili więcej, gdyby robili dzisiaj; ale my mamy nad nimi wyższość dzisiejszości, przewagę wiekowej pomysłowości i wprawy. W wiedzy naszej są zdobycze nieodwołalne, niecofnione, które przetrwają, dopóki stanie człowieka na ziemi. Jeżeli z piersi męża naukowego wyjdzie krzyk *Ignorabimus!* — to krzyczy w nim jego wyobraźnia, nie rozum. Nauka wprawdzie z natury, z form wszechbytu nie wydobywa nam tego, co w niej odczuwamy jako najmniej materjalną jej syntezę; nie pochwyci przewijającej się przez zjawiska nieskończoności: ale też wydobywanie takie i pochwytywanie nie jest powołaniem, obowiązkiem i celem naukowego rozumu. I gdyby nawet kiedyś okazać się miało, że w wyrozumiewaniu natury umysł ludzki tę wielką niewiadomą świata, od której zależy poznanie istoty bytu, przenosi tylko z jednej tajemnicy na drugą; gdyby, zamiast całości prawdy ostatecznej, wszystkie inne uogólniającej, otrzymywać miał ciągle tylko coraz większy, ale nigdy niedocalony ułamek — jeszcze i wtedy zdobycze jego miałyby prawo do uznania, do czci tem głębszej, im boleśniejszym byłby wiekuisty niedobór upędzającego się po wszechświecie rozumu.

Ciemnym być potrzeba, aby obok postępu nauk przyrodzonych nie dostrzedz ogromnego wykształcenia się umiejętności historycznej, nauki o człowieku w najobszerniejszym zakresie, powstałej w naszym dopiero wieku, i lekceważyć całą naukę i wiedzę bytu uspołecznionego, która wzbogaca się codziennie i kroczy ustawicznie naprzód i wrócić się już z drogi nie może, bo wola, która ją w ruch wprawia i w ruchu utrzymuje, silniejszą jest niż wszystkie kataklizmy społeczeństwom ludzkim grożące.

Wobec tych prawd zdrowego rozsądku owo bankructwo może być tylko głupstwem, które, ilekroć jeszcze się podniesie, zawsze samo siebie strawi. O teraźniejszy majątek, o przyszły dorobek i o samą rzetelność wrzekomego bankruta spokojnym być można. Postęp w wiedzy, widoczny dla wszystkich nieprzysłaniających sobie wzroku, w zastosowaniach jej zdumiewa. A jak żaden umysł niespętany i nieopętany nie wątpi o wyższości wiedzy dzisiejszej nad dawniejszą, tak w żadnym też nie powstanie wątpliwość: która z dwu sztuk jest wyższą, starożytna czy nowożytna. Ta, która jest naszą, ma i więcej wyróżniczkowania w treści i więcej doskonałości w formie, jest bujniejsza, głębiej sięga w człowieka; a to jedno już wystarcza do uznania jej za wyższą.

Tak jest w sferze myśli. A życie?

Buckle w literaturze naukowej, ogromna zaś większość ludzi myślących w głębi swej samowiedzy, postępu moralnego w dotychczasowej przeszłości nie widzi. I rzeczywiście w człowieku stadowym, w stadzie ludzkiem — niższym stopniu ludzkości, postęp ten, jeżeli jest, to chyba tylko pod drobnowidzem wykryć się pozwoli. Zagadnienie postępu sprowadza się tu do innego: do zagadnienia zmienności natury ludzkiej, zmienności kategorycznie, jak sam postęp, dodatniej. Czy zmienność wykazana już w formach zewnętrznych, organicznych, cielesnych, powtarza się też i w wewnętrznych — w całości bezwiednych popędów, któremi jedynie wypełnić możemy pojęcie natury ludzkiej, nie tego lub owego osobnika, ale całego rodzaju, z samem istnieniem już mu danych? Natura ta pośrednio lub bezpośrednio odkłada się, osadza w dziejach, i dzieje też są jej sprawdzianem. Historja, odbijająca dzieje — a przynajmniej do odbijania ich w sobie powołana — jest księgą natury ludzkiej. Czy ją utrzymamy, tę naturę, na jej pojęciowym poziomie, czy też ją do potęgi ducha w niej działającego podniesiemy, zawsze wybłyśnie z niej człowiek jako rodzaj, z prawem, trzymającem go w jarzmie, z wyrokiem skazującym go na pochód po tej samej drodze w przyszłości, po której toczył swą przeszłość. Psychologja, zarówno jak fizyologja człowieka w dziejach wykazuje ciągłą prawie tożsamość objawów, a więc i treści i siły je wywołującej.

Występuje przedewszystkiem życie obyczajowe. Obyczaje nie są wcale dziś lepsze, tylko lepiej ukrywane niż dawniej. W starożytności nie sam tylko Sokrates i nietylko gotów był żyć w szklanym domu: każdy przy danej wysokości uspołecznienia i cywilizacji materjalnej do pewnego stopnia w szklanym domu żyć musiał. Dziś, gdy się widzi mniej wprawdzie rozbójników, ale więcej oszustów, złodziei i kłamców, gdy się patrzy na wciskającą się wraz z uspołecznieniem i cywilizacją obłudę, gdy się słucha jęków prawdy ze stosunków ludzkich wyganianej, — nie podobna jest nie zadać sobie pytania: Żali owo życie dawniejsze, lepsze czy gorsze, nie było od dzisiejszego organiczniejszem? Żali dobrych popędów uspółecznionej natury ludzkiej pod pozorem wyręczania ich, nie gnębią w istocie, nie wypierają mechaniczne urządzenia, których rozpędową siłą jest bezduszność? Cywilizacja, szerząc zewnętrzny porządek, niejako materjalizując ducha, wprowadza i w samo życie mechaniczność, powierzchowność i materjalizm, a taki typ życia do podnoszenia natury ludzkiej przyczyniać się nie może.

Człowiek zbiorowy w innej jeszcze i inną żyje naturą. Samo współistnienie do owych żywiołowych zasobów i sił dodaje swoje własne. Obok natury zbudowanej przez demiurga świata staje natura budowana wciąż przez zbiorowego człowieka: natura społeczna. Składają się na nią porządki, instytucje, obyczaje, prawa, porywy i wstydy, skłonności i wstręty, ideały i upodobania, same wreszcie koleje życia, pochwytywane przez historją. Z tego wszystkiego powstają węzły łączące ludzi, ale powstają też i jarzma ich tłoczące i pęta, z których daremnie wyswobodzić się pragną, gdy je raz już dobrowolnie powkładali. Pęt takich jest coraz więcej, i coraz więcej być musi, bo życie ogólne różniczkuje się coraz bardziej, a każda

rożniczka przynosi nowe ogniwo. *Vis grata* kryminalistów odgrywa większą w życiu człowieka rolę, niż czysty do rozkoszy pęd i czysty od gwałtu wstręt. Świadomość rdzenna, filozoficzna ma w całym tym ruchu ludzkiego mrowiska udział nad wyraz mały. Najtrzeźwiejsi nawet przypominają nieraz pijanych; upajamy się nawet trzeźwością. Jeżeli usuniemy niegodne rozsądku pojęcie losu, człowiek przedstawi się nam jako produkt, nietylko woli i bezwiedności, wręcz — ślepych popędów i kaprysów własnych, ale także jako produkt woli i kaprysów najbliższego mu kręgu istnienia, w którym zbiegają się obie owe natury — społeczna w żywiołowej rosnąca.

W naturze społecznej najważniejszym w czasach nowożytnych jej czynnikiem jest państwo, ze wspólnym dla wszystkich strychulcem, i wspólną też na wszystkich maczugą. Ono to przedewszystkiem, obejmując współśrodkowe koła obyczajowo-społecznego, ekonomicznego i kulturowego bytu człowieka, wtłacza w niego gwałtownie mechaniczność, nie dbając o siłę, skłonność, pobudkę, o samo nawet prawo istoty ludzkiej, wymaga tylko spełniania pewnych zewnętrznych czynności, składania pewnych materjalnych znaków zależności, pewnych osobniczych wartości, potrzebnych dla tego całokształtu istnienia uspołecznionego, który samo wytwarza i podtrzymuje. Przez takie odrywanie promieni od ognisk, potoków od źródeł, przejawów od sił, istoty ludzkie znieprawiać się muszą. Sama już natura ludzka, naturę społeczną przenikająca i przez nią na jaw wyprowadzana, przejawiając się w wielości, wydawać z siebie musi kłamstwo i obłudę — pancerze przeciw znojnej zawsze rdzenności i prawdzie: ileż zaś jeszcze złego dodaje tu od siebie państwo!

A złe fałszu jest może większem od innych i silniejszą przejmuje trwogą. Gdyby się jeszcze nic nie zmieniało na lepsze, ale tu wszystko zmienia się na gorsze. Cywilizacja wszczepia nam kłamstwo: pełno go w instytucjach, prawach, w powołaniach, zdaje się, najczystszych, w naukach, wrzekomo prawdy poszukujących, w poezji nawet i zachwycie i w tej wreszcie świętości, wszystkie niedole i nędze życia człowiekowi opłacającej — w ideale. Płytkość, powierzchowność rodzić może tylko nieszczerość i obłudę. W żywiołowej naturze żyjemy organicznie; we własnej społecznej mechaniczność czyli fałsz jest prawem, któreśmy życiu swemu nadali. Wszystko tonie w konwencjonalizmie; od najpoważniejszych do najbłahszych zakresów współistnienia wszystko w nim nurzamy. Skądże się ma brać dobro w całości, gdy go niema organicznie wrosłego w części? Jeżeli życie w ludzkości nie ma być kłamstwem, oznaczać może tylko zbliżanie się cząsteczkowe jednych do drugich, mocą wewnętrznej w nich siły, wtapianie pojedynczych jestestw człowieczych w wielką istotę zbiorową, przetwarzanie człowieka podmiotowego na przedmiotowego, który, będąc z konieczności ilościowo większym od swego materjału, o tyle jedynie będzie i jakościowo od niego wyższym, o ile sam materjał i ponad ową pierwotną, żywiołową, biologiczną, i ponad następczą, społeczną, historyczną naturę wzbić się zdołał. Postęp, czyli doskonalenie się całości potrzebuje doskonalności cząstek:

a ta właśnie doskonalność ucieka wciąż przed umysłem, pragnącym rzeczy widziane dostrzegać i rozważać wielostronnie, więc ostrożnie.

Ten sam egoizm, który, dostarczając energji, podtrzymuje życie, odejmuje mu czystość moralną i ład. Egoizm ten jest jedyną siłą rozpędową wielkiej gromady ludzkiej. Nie to, że człowiek siebie odczuwa, w sobie żyje, dla siebie zbiera, ale to, że poza siebie wyjść nie może, a z żądzy swojej czyni dla siebie prawo, nie pozwala stawiać tezy postępu moralnego. Świat dla egoizmu istnieje o tyle, o ile oś świata przez własny jego miąższ przechodzi. Ma i ziemia swą oś, i naokoło niej wiruje; ale ma także i swe słońce, i naokoło niego krąży: człowiek w gromadzie szczerze, organicznie, z własnej woli, niepoganiany niczem, obraca się tylko naokoło samego siebie; żaden ideał od grubych interesów egoizmu go nie oderwie. Typ takiego egoizmu, mechaniczności i płytkości, fałszu i obłudy nazywa się filistrem — specjalna zoologiczna odmiana jestestw w ziemskiej przyrodzie. Typ ten jest największą, nietylko obyczajowego, ale i społecznego postępu zawadą. I jeżeli potrzeba dziś jeszcze w bycie ogólno-ludzkim krzyku *Ecrasez l'infame,* to tu. Zwierz ten wszystko żre, co napotka, a tępi, czego nie pożre, czego organizm jego nie zdoła sobie przyswoić, więc przedewszystkiem to, co duszę ponad powszedniość, małostkową użyteczność i drobiazgowe dreptanie wynosi. Filister to tylko dobrze robi, co do komory swojej dla siebie zwieść może; wszystko inne fuszeruje: miłość, miłosierdzie, rodzicielstwo, obowiązek społeczny, naukę, oświatę, sztukę, wychowanie, samą wreszcie uczciwość. Przed nożem zmysłowej pospolitości, zbywającej i spychającej interesa nie-swoje i nie-znikome, nie ostoi się nic.

Wpływ wychowawczy państwa, mimowolny, nieuchronny, sączący się jak skutek z przyczyny, jak stan z ośrodka, przejmuje nawskróś życie zbiorowe. Odśrodkowy egoizm jednostek, stadowy konwencjonalizm, ubierający się w papierowe hełmy i tarcze i drewniane pałasze dobra; mechaniczność państwa, nałóg i moda społeczna — wszystko składa się na to, aby nie było rzeczywistego, obyczajowego, w najrozleglejszym zakresie, postępu. Człowiek dziejowy, jako siła i źródło, stoi dziś na tym samym punkcie, na jakim stał za czasów Homera, który go znał już jako z istot ziemskich najnędzniejszą. Prawo międzyczłowiecze, jak prawo międzynarodowe, jest zbiorem przepisów etykiety, przyzwoitości, a człowiek-zwierzę po dawnemu na wielkiej, jak na tysiącznych małych arenach świata, szaleje. Zmalało tylko fizyczne, bezpośrednio działające i napawające się okrucieństwo lub zmysłowość — jak mówimy, obyczaje złagodniały, a stało się to pod policyjnym wpływem państwa. Mędrzec lub statysta, muskający tylko zadania życia, człowieka i świata, nie jest mniejszym fałszerzem od sklepikarza, niedoważającego biedactwu lichego towaru.

Arytmetyczna i przestrzeniowa ludzkość, z całą tą swoją cywilizacją i kulturą wygląda wciąż jeszcze jak przed wiekami: dzika puszcza, ryk i jęk, chrzęst i łomot, walka, rozbijanie i śmierć. Powierzchnia inna, łagodniejsza; głębie takie same. Życie obyczajowe układniejsze, delikatniejsze, ale czy istotnie lepsze? Moralności równie mało, jak mało jej było przed wiekami; ale nikt

nie będzie się jej dopominał od masy. Im dłużej się żyje, tem jaśniej się widzi, że moralność jest sztuką wytwarzania pięknych czynów i że potrzeba do niej taksamo gienjuszu i talentu, jak do poezji, malarstwa lub rzeźby. Wolno wszakże od cywilizacji domagać się uczciwości i prawdy, a jakże nieskończonym jest ten *cahier de doléance,* który właśnie tutaj troska o wszystkich podaje Przeznaczeniu!

Czy zatem odmieniła się natura ludzka na lepsze, czy można mówić o jej doskonalności, o postępie? Jeżeli postęp jest, to z bardzo małym, zaledwie dostrzegalnym wykładnikiem, a gdyby już koniecznie stwierdzić go wypadło, to chyba tylko w obrębie zbiorowego, wieloosobowego sumienia. Przybywa stosunkowo coraz więcej dusz odczuwających zło, które jest, dostępnych dla marzeń o dobru, którego niema. Duszom niezdolnym rozstać się z nadzieją lepszej dla świata przyszłości słaby ten wykładnik doskonalności społeczno-żywiołowej natury ludzkiej wystarczyć musi.

Więc innej kotwicy już niema? Jest. W postępie wiedzy. Nie dlatego, aby wiedza sama przez się, bezpośrednio czy też w zastosowaniach swoich, miała uszczęśliwiać, t. j. wzniosłe trwogi koić, a skalę życia praktycznego podnosić, ale dlatego, że będzie coraz bardziej rozszerzała zakres czysto-myślowej działalności, oczyszczającej człowieka z małostkowego egoizmu, co-to — „goni za żywiołkami drobniejszego płazu“ — i uduchowiającej jego istotę. Wpływ ten będzie bardzo powolny, ale nie być nie może. Choćbyśmy zupełnie o człowieku nerwowo-mięśniowym zwątpić mieli, pozostanie nam jeszcze wiara w rozum, który w człowieku i przez niego tylko istnieje. Z tej wiary płynie pierś rozgrzewające, tętno serca przyśpieszające przewidywanie, że nowe formy bytu, nowe mechanizmy uspółecznienia, które przyszłość z siebie wyda — nie będą miały charakteru w stosunku do dawniejszych wstecznego; że, owszem, zwolna, po przewrotach i nawrotach, przez góry i padoły, przez wybuchy i omdlenia energja rozumu ludzkiego wzbijać się będzie na coraz wyższy stopień działalności umoralniającej.

Prócz postępu umysłowego myśl wątpiąca o ogólnym, żywym a upragnionym, ma jeszcze jedną od zupełnego zwątpienia ucieczkę: do dusz wyższych, żyjących ideją i dla idei. Były takie dusze zawsze i będą i z mocy samego prawa wielości i różnicy być muszą, bo gdyby nawet cywilizacja uspółeczniająca wielkie bryły na proch rozcierać a z prochu nowe kształtować miała, natura będzie od niej silniejszą i najwyżej zorganizowane istoty przed jej żarnami ocali. Właśnie z owej niezmiernie słabej zmienności natury ludzkiej wynika i stateczność tego jej objawu, który takie jednostki wyższe na świat, choć skąpo, wyrzuca. W największej, z czystego nasienia logicznego najbujniej rozrosłej, a przytem porządkiem i szczęściem ubłogosławionej demokracji — jednostki takie tworzyć będą arystokrację ludzkości, a jak funkcji tego świętego hufca żadne najsubtelniejsze nawet mechanizmy nie zastąpią, tak jego samego najstraszliwsze drapacze ze społecznego gruntu nie wyrwą. Lecz i tych drapaczy niema się co obawiać. Najobłędniejsza nawet energja społeczna może

mleć tylko to, co z istoty swej przeznaczone jest na dziś: człowieka mającego coś do powiedzenia światu, coś do stworzenia na nim, we własnym interesie swoim zachowa dla jutra — a to jutro będzie przecież nieskończone, jak nieskończonym jest sam ruch uspołecznienia, cywilizacji i kultury. Jedyna ta rzetelna, potrzebna i niezbędna arystokracja, wyższość swą wyrażając w genjalności uzdolnień, w spełnieniach jej znowu, w czynach, okazywać się będzie coraz powszechniej człowieczą, coraz wielostronniejszą i głębszą. Pałace i zamki z czystej myśli, z form rzeczywistości, z materji nauki i sztuki, w oderwaniu od życia już jej nie wystarczą. Genjalność z teoretycznej stawać się będzie coraz bardziej praktyczną. Obok genjuszów w stylu dzisiejszym pojawią się ukształtowane w stylu dobie dzisiejszej nieznanym. Ruch życia zacierać będzie przeciwieństwa pojmowania i odczuwania, przekonania i porywu, rozumu i wiary, aż wykształci w duchu ludzkim, w te wyższe genjalne jednostki rozkwitłym, jednię sił i do najwyższej podnosząc go potęgi, przemieni w czujący rozum. Pracą tego rozumu stanie się, że coraz więcej ludzkości żyć będzie w człowieku kultury, coraz mniej człowieka żywiołowego dostawać się będzie do ludzkości. Genjusz, dotychczas główny pracownik w nauce, umiejętności i sztuce, pójdzie sam, dobrowolnie do ciężkich robót w kopalniach życia — i nie pozwoli na zupełną fuszerkę.

„Wiedza to potęga“ — zapewne, ale potęgą jest i serce. Przyszłość wyda hasło: Z rozumem i sercem! I nie będzie się serca swego wstydziła pierś męzka, dlatego, że pojęcie samo ośmieszyły westchnieniami swemi podlotki, że je maluczkość życia rodzajowego spospolitowała i uczyniła czemś podniosłości duchowej niegodnem. Pod hasłem, wyrażającem istotną potęgę ducha, jako syntezy niezmysłowych sił i popędów człowieka, równolegle z uduchowianiem się umysłowem przez wiedzę, pójdzie czuciowe przez miłość człowieka dla człowieka, która z dzisiejszą naszą miłością nic zgoła wspólnego nie ma. To tylko, co jeden człowiek rzeczywiście dla drugiego odczuje i z koniecznością nieprzepartą spełni, będzie miało wagę, jako czyn filantropji, miłosierdzia, lub najogólniejszego a najgłębszego altruizmu. Na żadne udawania, blichtry, surrogaty uczuć nie będzie w tej przyszłości miejsca. Zakon idei jest surowym, a życie pod sterem owych dusz wyższych takim tylko zakonem być może. Do idei sprowadza się wszystko, co jest: ideja tylko jest rzeczywistością istotną, a nie to, co my banalnie rzeczywistością nazywamy. Człowieka, który ma przeżyć swoją klepsydrę pogrzebową, energja jego własna, pospołu z energją obracającego się kręgu jego istnienia, przetwarza ustawicznie na myśl i uczucie, a czyni to tak, że on sam tego nie spostrzega. I śmierć, ta dusicielka człowieka, staje się dlań rodzicielką, gdy, zdzierając cielesną powłokę z tego, co czuł i myślał, daje mu trwalszy od doczesnego żywot w pamięci tych, którzy po nim zostaną. Światem rządzą, nie ludzie, ale myśli i uczucia ludzkie: postęp do tego dążyć powinien, aby jak najlepsze rządziły jak najlepiej.

Życie pod temi rządami takiem tylko być może, jakim ludzie człowiek wewnętrzny w rdzeniu swych myśli i uczuć — człowiek prawdziwy, rzetelny, niesfałszowany przez konwenans, nie zdziczały przez egoizm. Na nic się nie

zdadzą najdoskonalsze, ale z zewnątrz zawsze tylko działające mechanizmy. Natura nikim się nie wyręcza, nikomu nie daje pełnomocnictwa do działania: i najgenjalniejszemu nawet mechanikowi społecznemu praw swoich nie odstąpi. Odkopywanie człowieka wewnętrznego z pod życia rodzajowego, zastępującego ideję namiętnością żywiołową, rozbudzanie i rozjaśnianie jego samowiedzy znojem i czarem obowiązków społecznych, szczepienie na niej, nie westchnień i mar, ale poważnych ideałów, będzie zadaniem owych dusz wyższych, w które więcej jeszcze, niż w umysłowy postęp wierzyć potrzeba, aby nietylko trwać, ale i żyć, a żyjąc, dla świata nie zamrzeć.

W marzeniu o przyszłości z tych dusz czystych, lgnących do człowieka, wytwarzają się hufce nowego rycerstwa, zastępy nowego apostolstwa i kapłaństwa: wychowawcy, nauczyciele i przewodnicy młodości, wiekuistego zdroju wszelkiego fizycznego i duchowego życia człowieczego na ziemi, pierwszego rucha wszelkiego idejowego postępu. Jakiekolwiek formy przybierze życie pospólne, rodzajowo-społeczne, przyjdzie czas, że rozum wyrwie funkcję wychowawczą z niewoli zwyczaju i odda w moc idei, mądrości i umiejętności; niedbalstwo, niedołęztwo i lekkomyślność utracą prawa należące się trosce, sile i powadze największego obowiązku człowieka względem istot ludzkich. Dzisiejsze wychowanie wzbudzać może tylko żądzę urzeczywistnienia organizacji, jaką Plato nakreślił dla swego arystokratycznego państwa wybranych.

Umysł, gdy o duchach wyższych marzy, ma wzrok nieruchomie utkwiony w taką organizację człowieka zbiorowego, która indywidualizmu ludzkiego nietylko miażdżyć nie będzie, ale mu rzetelne środki rozwoju i środki czynu zapewni. Postęp, któryby jedność pogrążał w wielości, sam skazywałby się na bezpłodność, niemrawość i barbarzyństwo, bo odjąłby sobie jedyne zasilające źródło — indywidualność i genjusz ludzki; byłby postępem — ale wstecz.

Świat człowieka na ziemi toczy się nieustannie ku konstellacji racjonalistycznego idealizmu, w którym ideały, nietylko uznawać, ale i wytwarzać będzie rozum. Coraz większe uduchowianie się w nauce, umiejętności i sztuce, coraz głębiej przenikać będzie człowieka wewnętrznego, a jeżeli go tylko rozbudzić zdoła, już go temsamem i postęp moralny dla siebie pozyska. Stopniowo przyjść może — ale czy przyjdzie? — czas, kiedy w ogromie istnień ludzkich moralność przestanie występować jako sztuka pięknotwórstwa moralnego, spełnianego przez wyjątkowe tylko jednostki, a stanie się emanacją okiełznanej, uporządkowanej, poprawionej natury ludzkiej, aż z mrowisk społecznych przeniknie i do puszcz wielko-dziejowych. Wtedy dopiero ustać będzie mogło panowanie gwałtu, bo gwałt nie znajdzie już ani czcicieli, ani narzędzi, ani widowni i osamotniony w ślepych popędach ludzkości zamrze. Poeta wtedy nie będzie potrzebował, jak dziś, wołać:

Naprożno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia:
On tylko nowy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

On do sumienia ludzkiego w żadnym już kształcie nie wtargnie.

Mary! Czcze marzenia! A jeżeli nie, jeżeli w tych myślach tętni rzeczywiście przyszłość — czyliż nie trzeba drżeć o czas, aby się nie wlókł zbyt długo? Kto wie, czy nie wtedy dopiero dobrze żyć się nauczymy, gdy nam do życia wogóle sił już braknąć zacznie? Kto wie, czy nie jest to przekleństwem naszej natury, że dobroć i czystość wraz z egoizmem zabijać w nas muszą i energję, do działania i złym i dobrym zarówno potrzebną? A i owych ognisk i pochodni wiedzy, ołtarzy piękna, owych dusz wyższych, jakże jest i będzie mało na te miliony i miliardy istot ludzkich, które, podtrzymując życie ogólne, jednocześnie i na niem ciężą? Na tej ziemi nieraz największe smutki sączą się z największych radości.

Ale niepodobna o postępie tak zwątpić, aby nawet rozsądek mógł utracić przeświadczenie o rzeczywistości postępu ilościowego w nauce, wiedzy, umiejętności i sztuce, jako działu ogólnej kultury i cywilizacji, a rozum nie widział, że postęp ten rozpościera się nietylko na ilość, ale i na jakość. Z owego ruchu kulturalno-cywilizacyjnego, jako jego skutek wynika coraz ściślejsze zżywanie się człowieka z naturą poza-człowieczą, przestrzeniową, wyzyskiwanie jej, a w potrzebie i ujarzmianie. W zakresie stosunków międzyczłowieczych ten ruch, przerabiając człowieka podmiotowego, zjednostkowionego, na wspólny rozum i wiedzę, na popędy społeczne, prawa i instytucje, — z nich właśnie wytwarza kapitał, dorobek i formy istnienia Ludzkości. Taki bjologiczny ilościowy postęp przez tysiące lat nie utożsami się z owym jakościowym, którego potrzebę wszyscy odczuwamy; wzbogaca jednak rzetelnie Ludzkość pewnemi dobrami narastającemi przez sam czas, a ułatwiającemi człowiekowi dobieranie się przez materję do ducha: prawo, treść i cel życia w pojęciu filozoficznem. Sam postęp materjalny bezwiednie toruje drogę duchowemu; ciężką pracę fizyczną zwalając na machinę, nietylko wyzwala i usamodzielnia, ale i do innej, delikatniejszej powołuje. Postęp nauki, wiedzy i sztuki, uwarunkowany przez genjalność i pracowitość, toczy się niepowstrzymanie samą pożądliwością myśli, a ów cywilizacyjno-kulturalny ruch życia — życia tylko potrzebuje, aby być i tworzyć. „Jaknajlepiej“ jest hasłem pierwszego; „jaknajłatwiej i najprędzej“ — hasłem drugiego. Spełnia się też łatwo i prędko; złe czy dobre, płytkie czy głębokie pobudki działań nic go nie obchodzą: idzie mu o sam zewnętrzny skutek działania. Choćby życie zbiorowe miało być jak najgorszem, ruch musi być jak największym. Raz rozbudzone wyższe i niższe popędy nie ustają już w biegu. Ludzkość w ruchu jest jak wielki polip: w kim krew przyszłości poczuje, tego chwyta, wysysa, na nową myśl, na nową formę bytu zamienia, a czego sama nie zużytkuje, to grabarzom — i historykom zostawia. Ale nad tym polipem w mrok spowitym pała daleka łuna ideału. W niej jest wszystko to, co cierpiący rozum ludzki na ukojenie swoje znaleść może.

Warszawa. *Stanisław Krzemiński.*



IDEA A ŻYCIE.

(Rodowód idei).

I.

Strumyk, który podczas ulewy powstał na drożynie, żłobi tam łożysko według praw rządzących tworzeniem się koryta olbrzymiej Amazonki. Drobne zmiany, z dnia na dzień nastające w organizmach zwierząt domowych, odbywają się według zasad, jakie działając w ciągu wieków, przywodziły przerództwu gatunków. Przyroda ujawniła w podrzędnym przebiegu te same sprężyny, które występują w wielkim.

Sfera zjawisk socjologicznych przedstawia podobny obraz. Dokładny rozbiór pojedynczej zmiany, która nastała w życiu gromadnem, zdoła zaznajomić nas z czynnikami ewolucji społecznej, oraz wyjaśni naturę kataklizmów i reform.

Zastanówmy się nad reformą wyborczą r. 1832, która zniosła przywileje wyborcze „zgniłych mieścin“ w Anglji.

Manchester, Birmingham i inne ogniska przed paru wiekami nie istniały lub były osadami bez znaczenia. Manchester np. w r. 1750 liczył zaledwie 19 mieszkańców! Rozrost tych zer społecznych odbywał się pod wpływem pobudek i celów natury prywatnej: ktoś założył tam warsztat, ktoś inny brał się do handlu, budował dom lub otwierał kantor. Miasto nadzieją zarobków ściągało coraz nowych mieszkańców, każde zaś takie rozszerzenie przyspieszało rozwój dalszej pomyślności. Powstawały w kraju nowe ogniska życia rzutkie i zamożne. Natomiast dawne miasta, ongi wpływowe i bogate, podupadały, skutkiem podobnych czynników, tj. żywiołowego parcia interesów prywatnych. Zachodziły zwolna zmiany na przestrzeni całego kraju w rozmieszczeniu gościńców i dróg, mieszkańców i osad, bogactw i przemysłu; słowem s i ł w y t w ó r c z y c h, i punkt ciężkości ekonomicznej narodu sadowił się gdzieindziej. Rozwój odbywał się żywiołowo, w tem znaczeniu, że uczestnicy jego nie zastanawiali się nad skutkami działalności swojej, skoro zmiany w rozmieszczeniu i napięciu sił wytwórczych dorosną ilościowo pewnych znacznych rozmiarów. Krzątaniu się ówczesnemu nie przyświecały cele „społeczne“, pogoń za zarobkiem (tj. interes prywatny) była jedyną sprężyną czynów.

Zmiany te z biegiem czasu nadały Anglji zgoła nową fizjognomję. W wieku XVI, nawet w wieku XVII, kraj był zaludniony dość jednostajnie. Istniały miasta, lecz z wyjątkiem Londynu nie odznaczały się ogromem swoim. Tymczasem wiek XVIII stwarza podział kraju na okręgi wiejskie i przemysłowe, i daje początek wielkim miastom. Na tym szczeblu i jako jego wynik ukazuje się pewien rozdźwięk społeczny. Zmiany czysto materjalne, dotyczące, zdawałoby się, tylko sfery rzeczowej życia, rodzą z siebie nowe potrzeby i nowe aspiracje. Między innemi powstaje idea reformy prawa wyborczego. Rządzi bowiem Anglją zasada konstytucyjna, lecz Manchester i inne miasta nie mają dostępu do parlamentu, lub, jeśli mają, to bardzo ograniczony.

Rzecz to naturalna! Ustawa wyborcza powstała za czasów dawnego rozmieszczenia sił wytwórczych. Od r. 1677 nie reformowano zasad reprezentacji miejskiej, ani też nie tknięto podstaw przedstawicielstwa, służącego hrabstwom. Konstytucja ta była ongi bardzo stosowna i odpowiadała ówczesnemu ukształtowaniu sił wytwórczych, przynajmniej nie widzimy tam rozdźwięku pomiędzy rozmieszczeniem ludności i bogactwa a potrzebami politycznemi obywateli. Ale życie w pewnym okresie rozwoju, wypowiedziawszy w niej swoje potrzeby, poszło dalej: pomiędzy jego wymaganiami a literą prawa wyborczego powstała rażąca dysharmonja. Gdy więc niektóre ogniska przemysłu i handlu nie mają niekiedy ani jednego przedstawiciela w parlamencie, natomiast kilkudziesięciu zaściankom przysługuje to prawo: Winchelsea liczy (w r. 1784) tylko trzech wyborców, Bissineg jednego, Old Sarum, mające tylko 5 chat, wysyła dwóch posłów. Było nawet miasteczko zatopione przez morze i pomimo tego posiadające przedstawiciela w izbie gmin: właściciel przyległego brzegu w łódce odbywał komedję głosowania! Większość takich *rotten boroughs* należała do arystokraji rodowej, która faktycznie mianowała posłów i przeinaczała izbę gmin na komitet, dbający przedewszystkiem o interesy landlordów.

Siły wytwórcze, ześrodkowane w wielkich miastach, były niemal odsunięte od zabierania głosu w parlamencie, co narażało na szwank dobrobyt materjalny nowych ognisk życia: na kapitalistów spadał nadmierny ciężar podatków, z powodu ceł na zboże musieli oni płacić wysokie zarobki, nie otrzymywali ze strony państwa takiego poparcia, jakiego doznaliby, gdyby obrońcy ich interesów zasiadali liczniej w izbie gmin. Pomiędzy istniejącą ustawą wyborczą a potrzebami i interesami przedstawicieli nowych sił wyborczych rozpoczyna się zatarg, który w miarę rozwoju nowych potęg materjalnych staje się coraz wyraźniejszym. Wreszcie dochodzi do jawnej walki. Hasła, z któremi wystąpią miasta są z góry narzucone im przez naturę pierwiastków rzeczowych. Koła przemysłowe Manchesteru i Birminghamu będą domagały się przystosowania ustawy wyborczej do wymagań „życia“, t. j. zażądają zniesienia przywilejów mieścin i nadania prawa wyborczego ogniskom handlu i przemysłu. Na tem podłożu ukazuje się idea reformy wyborczej. Jest ona sformułowaniem potrzeb pewnej grupy społecznej, hasłem, w którem streszczono wymagania nowych sił wytwórczych.

Rozwój, póki ograniczał się tylko sferą stosunków wytwórczych, odbywał się bez współudziału świadomości społecznej. Jedyną sprężyną była pobudka czysto prywatna. Ci wszyscy, którzy swoją działalnością sprowadzali w społeczeństwie zmiany w rozmieszczeniu sił produkcyjnych, ani przeczuwali, że z czasem w następstwie ich zabiegów ukażą się takie stosunki, które wydadzą na świat ideę reformy politycznej. Przebieg odbywał się z początku żywiołowo, człowiek w nim uczestniczył, nie stawiając celów społecznych, tylko prywatne. Zmiany ilościowe jednak, doszedłszy pewnego napięcia, dały początek jakościowym, tak, iż zjawiły się nowe aspiracje prawno-polityczne. Zamiast żywiołowej nastaje działalność świadoma. Idea reformy, sformułowana raz jeden, staje się najpotężniejszą dźwignią w walce przeciw istniejącej ustawie. Rozpowszechnia ona świadomość jeszcze nieuświadomionych, acz już życiem drgających interesów materjalnych. Jest hasłem, organizującem armję społeczną — „partję", która przypuści szturm do dotychczasowej konstytucji. Wszczyna się agitacja, w której chodzi o rozpowszechnienie nowego hasła i o zgrupowanie rzeczników. Idea użytkuje z samolubstwa klasowego i z popędów moralnych, odwoływa się do poczucia „sprawiedliwości" i do logiki, oddziaływa na strony emocjonalne.

Słowem, rozpatrzony przebieg społeczny możemy streścić jak następuje:

1. W łonie społeczeństwa, pod opieką istniejącego otoczenia, rozwijały się w sposób żywiołowy nowe stosunki materjalne. Sprawa obywa się bez celów społecznych. Jest to okres pracy organicznej, przygotowawczej.

2. Na pewnym szczeblu rozwoju nowe interesy prywatne napotykają, w pogoni za dobrobytem, przeszkody w istniejącej ustawie prawno-politycznej. Powstaje antagonizm nieświadomy — instynktów i uczuć, aż wreszcie idea, formułująca aspiracje nowych sił wytwórczych, wieńczy swojem ukazaniem się to dzieło djalektyki społecznej. Nastaje ona jako zjawisko wtórne, pochodne, tj. na podkładzie już istniejących stosunków rzeczowych. W tem znaczeniu życie jest pierwiastkiem przewrotowym, idea zaś tylko sformułowaniem dążeń tego podłoża zasadniczego.

Nie ona to stwarza tendencje i prądy społeczne, lecz zjawia się jako wygłoszenie pewnych już istniejących potrzeb i tylko organizuje stosowne żywioły.

3. Z ukazaniem się idei, rozwój żywiołowy zamienia się na walkę świadomą. Odpowiednia grupa interesów w społeczeństwie dochodzi do poznania warunków społecznych swojego dobrobytu. Idea staje się w tym okresie czynnikiem pierwszorzędnej doniosłości: nieświadome bełkotanie — że tak rzekniemy — instynktów i zawiści, interesów i potrzeb przechodzi w fazę mowy członkowanej.

Z temi uogólnieniami przejdziemy do rozbioru niektórych rysów rozwoju dziejowego Europy średniowiecznej i nowożytnej.

II.

Wzrost miast jest punktem wyjścia dla całego rozwoju dziejowego chwili obecnej. Swojem pojawieniem się w wieku VIII i następnych zwiastują one nowy okres w układzie sił wytwórczych, prowadzą bowiem do oddzielenia rzemiosła od roli, do specjalizacji i, co zatem idzie, do ulepszania techniki przetwórczej i do zwiększenia wydajności pracy. Ewolucja odbywa się zwolna, ale w sposób ciągły. „Jak przyroda, tak samo historja nie robi skoków, chyba, że jej bieg dozna przeszkód, — powiada Maurer we wstępie do Historji ustawy miejskiej. W naturze wszystko rozwija się samorzutnie z zalążka. Miasta powstawały tak samo, tj. samoistnie a żywiołowo, z pewnego zarodka".

Zarodkiem tym była ustawa gminna.

Organizacja gminy, przynajmniej w Niemczech, polegała na zasadach, jakiemi jeszcze dzisiaj rządzi się obszczyna wielkoruska. Grunta są podzielone pomiędzy włościan, ale gospodarz nie miał prawa bezwzględnego rozporządzania uprawianym kawałkiem ziemi. Nie mógł odprzedać zagonu bez przyzwolenia sąsiadów, ani uprawiać dowolnie, gmina bowiem użytkowała z ogółu łanów po żniwach jako wygonów bydła i wymagała, ażeby wszyscy zasiewali i sprzątali jednocześnie. (W wielu gminach istniał perjodyczny podział przestrzeni ornej.) Łąki i paśniki znajdowały się we wspólnem użytkowaniu. Nawet w okresie późniejszym, ze wzrostem gospodarstwa wymiennego, członkom gminy nie wolno było wywozić na zewnątrz, bez zezwolenia towarzyszy, drzew i węgli, siana lub słomy, ryb i raków. Przedmioty wyrobione w osadzie, np. olej i pługi, garnki lub powrozy, wytwórca naprzód wystawiał na sprzedaż na rynku wioskowym, i dopiero, gdy nie zjawiał się nabywca miejscowy, mógł wywieść je poza granice osady. Lecz każdy członek gminy nawet wtedy mógł dogonić kupca i w obrębie posiadłości gminnej zwrócić kwotę zapłaconą. Taka ustawa wioskowa pociągała konieczność istnienia organizacji zarządzającej. Ogół członków na ogólnem zgromadzeniu postanawiał co do użytkowania z podzielonej i wspólnej przestrzeni, wyznaczał liczbę sztuk bydła, którą któryś z gospodarzy wysyłał na paśniki, określał terminy orki, siejby i żniw, umawiał się z najemnikami wioskowymi (gajowymi, pasterzami itd.)

Z takiego właśnie zalążka tworzą się miasta.

Stare pogańskie horodyszcza, rządzące się zasadami gminnemi, stawały się siedzibą dworów biskupich lub fundacji klasztornych i zamieniały się na miasta; z obozów i folwarków książąt powstawały osady; wreszcie wzrastały w zamożność sioła przy zbiegu dróg naturalnych. Rozwój ów odbywa się na podłożu ustawy gminnej. W spadku po niej pozostał „mir", tj. zgromadzenie obywateli-rolników, naradzające się nad użytkowaniem z gruntów i spełniające obowiązki władzy policyjno-administracyjnej i sądowej. W miarę wzrostu miasta potrzeby publiczne mnożą się i czynności organów publicznych stają się coraz liczniejszemi i różnorodniejszemi. Obowiązki zarządu spadają z konieczności na organizację, którą tworzące się miasto otrzymało w puściźnie po dawnej wiosce — właśnie na ów „mir". Nawet nie mogło

być inaczej. Ongi był obywatelem siedzący na ziemi dziadów — „dziedzic“, przybysz zaś był człowiekiem obcym, tj. nienależącym do korporacji wioskowej, do której wchodziło się przez ojców.

Osiadając na obczyźnie, potrzebował opiekuna i zostawał klijentem rolnika, na którego gruntach ulokował się. Jest to okres, w którym grunta nie są jeszcze towarem, tj. przedmiotem sprzedaży i kupna, przychodnie ubodzy i nieliczni, ustawa zaś miejska nieprzygotowana na pomieszczenie nie-obywateli. Dopiero później, gdy żywioł napływowy wzrósł w obfitość, poddaństwo osobiste zamieniło się na zależność nieosobistą — od miasta. Ale jeszcze i wtedy nie przypuszczają tu „cudzoziemców“ do obywatelstwa. Nastąpi to dopiero naówczas, kiedy przybysze posiądą zamożność wraz z poczuciem interesu stanowego, tj. z luźnej, podrzędnej grupy w mieście zamienią się na przedstawicieli panujących tam sił wytwórczych. Z napływem pierwiastków obcych obok gminy pierwotnej, rolnej, z biegiem czasu zamieniającej się na organizacje zarządu municypalnego, tworzą się inne, w początku mające charakter czysto prywatny. Są to cechy i gildje.

Na tym szczeblu rozwoju ujawnia się antagonizm pomiędzy dawnymi rodami rolników, dzisiaj zaś patrycjatem, który piastuje władzę w mieście na mocy pochodzenia, a plebejuszami, tj. rzemieślnikami, którzy wyszli z pośród żywiołu napływowego.

Przywileje polityczne rodów były zjawiskiem normalnem, póty, dopóki źródłem utrzymania mieszkańca była uprawa gruntów i rolnicy przeważali liczebnie. Ale gdy cechy stały się ogniskiem zamożności, stosunki przybierają inny charakter. Co uchodziło ongi za rzecz naturalną, teraz w oczach rzemieślnika zaczyna zakrawać na krzywdę. Obywatele, pochodzący od dawnych rolników, byli swobodni od ciężarów miejskich, pomiatali gminem, marnotrawili fundusze miasta, frymarczyli wymiarem sprawiedliwości. „Niema końca podatkom, narzekają cechy; niewiadomo gdzie podziewa się złoto i inne mienie, bo długi nietylko nie zmiejszają się, lecz owszem jeszcze rosną!“

Antagonizm wzrasta. Głucha nienawiść zaczyna fermentować śród plebejuszów, później sarkanie zamienia się na sformułowane aspiracje polityczne, których zawartość można z góry przewidzieć. W epoce wojen krzyżowych bójki pomiędzy patrycjatem a plebejuszami są w miastach nad Renem zjawiskiem codziennem: ród któryś swoją butą obraził „hołotę“, sądy wydały wyrok niesłuszny, a już cechy ciągną przeciw ratuszowi. Rzemieślnik, którego przodek był zadowolony, iż udzielono mu schronienia, domaga się nadania ustawie municypalnej charakteru demokratycznego. Historja rzeczypospolitych włoskich, municypalności niemieckich lub flandryjskich i innych, polega właśnie na takiem zawikłaniu dziejowem [1]). Wszędzie działają tam te same siły dziejowe,

[1]) Pokrewne warunki stworzyły takie same zawikłania w starożytności. Atoli podkład w Grecji i Rzymie był inny — plebejusze byli, nie przedstawicielami nowych sił wytwórczych, lecz współzawodnikami patrycjuszów, za pomocą praw politycznych usiłującymi zabrać część łupu, pobieranego przez optymatów z pracy niewolników.

ale wynik bywa odmienny, stosownie do stosunku walczących nawzajem potęg, dojrzałości uczestników walki, wreszcie otoczenia historycznego, wśród którego odbywały się zapasy. Rody staromieszczańskie wyniosły się z niektórych miast zupełnie, albo rozpłynęły się w gminie cechowym. W innych patrycjat zatrzymał władzę, dopuszczając plebejuszów, zorganizowanych w cechy, tylko do udziału w radzie miejskiej, lub powstaje reprezentacja podwójna: rada wyższa składa się z przedstawicieli rodów, niższa — z cechów. Gdzieniegdzie rady tworzą cech własny, *Richerzech, Hausgenossenschaft*, równoprawny z innymi: miasto otrzymuje organizację cechową, każdy zawód ma określone prawa w zarządzie miejskim, własne urzędy sądowe i nawet wojskowe.

Rozwój rzemiosł i handlu oddziałał nietylko na to, kto ma wodzić rej w grodzie, ale także na całą atmosferę społeczną, unoszącą się nad miastem. Przedstawiliśmy zwyczaje wymienne, właściwe marce, oraz istniejącą w niej organizację własności. Duch gminy nie sprzyja swobodnej grze potęg wytwórczych, które z biegiem czasu powstają wśród murów miasta. Wzrostowi handlu i przemysłu towarzyszy przewrót w całej prawnej organizacji dawnej marki: ze stowarzyszenia giermańskiego, opartego na zasadzie urodzenia, zamienia się ona na wolną korporację — ktoś staje się jej członkiem, nie przez posiadanie kawałka gruntu na jej terytorjum, ale w następstwie zapisania swojej osoby w urzędzie municypalnym. Nasze obecne instytucje i poglądy prawne, nawet niektóre zasady moralne i upodobania artystyczne zrodziły się w powstających miastach, pod wpływem rozwoju nowych sił wytwórczych. „Winniśmy patrzeć na miasta, jako na zwiastunów dzisiejszego porządku rzeczy!“ pisze Maurer w przedmowie do Historji ustawy grodzkiej.

O wolności handlu nie było nawet mowy w początkach. Gminy rolne ani zamek dostojników państwowych nie znały jej, ani nie tolerowały swobody osobistej. Każdy musiał być czyimś lennikiem, jeśli nie chciał mieć wszystkich przeciw sobie. Targi, powstające w grodach, są retortą, w której tworzą się stosunki, oparte na pojęciu o swobodzie czynów — sprzedawca względnie nabywca muszą mieć zupełną niezależność ruchów, o ile rzecz dotycze towaru. Ze wzrostem miasta coraz szersze koła, porwane przez wir miejski wymiany i zarobków, potrzebują takiej swobody, nawet gdy chodzi o inne sfery życia. Zjawia się coraz liczniej majątek, będący osobistym dorobkiem; ci zaś, którzy swoją zapobiegliwością doszli do grosza, rozporządzają dowolnie takiem mieniem, — nie tak jak w gminie, w której spadkiem ziemi, jedynego bogactwa, rządziła zasada gminna, później zaś zwyczaj. Testament, powstawszy wśród kupiectwa, za przyzwoleniem pana staje się udziałem rzemieślnika, później zaś wszystkich obywateli grodu. Kupcy też, jako ludzie wolni, podlegali od początku sądom publicznym, cesarskim. Z biegiem czasu z konieczności rozszerzono ów przywilej na całe miasto podczas targów i jarmarków, aż wreszcie zamieniły się one t. j. sądy, na instytucję trwałą. Gród składa się pierwotnie z przedstawicieli wielu grup, z których każda posiada odmienną jurysdykcję: wolni

członkowie gminy byli pod prawem krajowem, rzemieślnicy pod dworskiem, lennicy pod dworskiem i służbowem, wszyscy zaś pod marchialnem. Sąd cesarski, na użytek kupców podczas targów, wyrugowywa powoli współzawodników i jest źródłem dalszych zmian, powstających w miarę potrzeby. Zniesienie władzy pańskiej oraz konieczność utrzymania porządku w mieście powołują szereg przepisów karnych i prowadzą do udoskonalenia dochodzenia; dawne sądy boże wychodzą ze zwyczaju i ukazuje się instytucja, będąca zarodkiem sądownictwa dzisiejszego.

Swoboda, panująca na rynku, nie mogła rozwijać się, spętana zwyczajami marki i poddaństwa, spólności rodowej i ograniczeń działalności osobistej. Wraz z rozrostem wymiany i rozpowszechnianiem się „prawa kupieckiego“ nastaje więc uruchomienie gruntów, tembardziej zaś towarów; ukazuje się wolność osobista, odmienna od arystokratycznej, stanowiącej zasadniczy rys gminnowładztwa rodowego, dziewczęta są dopuszczone do udziału w spadkach, zjawia sie wspólność majątkowa małżonków zamiast dawnej odrębności. Nowa ta atmosfera pojęć i zwyczajów tworzyła się zwolna. Miasta działały po omacku. Na podstawie wskazówek empirji codziennej formułowały one swoje potrzeby i otrzymywały sankcję na nowe prawa, t. j. nadania książąt. Dokumenta takie już w wiekach XII i XIII służą za podstawę życia grodzkiego. Przywileje dotyczą wolności sprzedaży i kupna, swobody robienia testamentów lub zawierania związków małżeńskich. Rozwój stwarza nieustające zatargi pomiędzy dawnym zwyczajem a „duchem czasu“ — powstaje nieokrzesana naprzód, później coraz substelniejsza kazuistyka co do różnicy pomiędzy mieniem ruchomem a nieruchomem, zapracowanem a odziedziczonem, lub co do zwyczaju wyznaczania opiekunów, przypuszczenia kobiet do spadku. Doskonali się prawo osobiste i nowe rodzinne, rzeczowe i spadkowe. Odkrycie pomników prawa rzymskiego (w Niemczech w wiekach XV i XVI) znakomicie ułatwia zapanowanie nowego porządku rzeczy. Tem to tłómaczy się takie szybkie rozpowszechnienie spadku po starożytnym Rzymie — w sposób jędrny sformułował on to, ku czemu parło życie przez szereg odruchowych, sporadycznych doświadczeń. Prawo to swoją powagą mądrości wiekowej przyczyniło się do rychlejszego usunięcia przeszkód, które w innym razie dawny zwyczaj uporczywiej stawiałby rozwijającemu się porządkowi rzeczy.

I nowe poglądy etyczne rodzą się w gwarze miejskim. Rozwój handlu stworzył zasady moralne, których dawny barbarzyniec nie znał: solidarność gminna potępiała nawet umiarkowaną lichwę, kościół zaś ją wprost wyklinał. Pod działaniem wzorów rynkowych zamienia się ona jednak na instytucję trwałą, powszechną, „moralną“. Natomiast rozbój, owo źródło dochodów i honorów podczas barbarzyństwa, zostaje po raz pierwszy w dziejach napiętnowany jak zasługuje. Żywioły miejskie przeciwstawiają mu dorobek, zdobyty własną pracą, i oszczędność. Wraz z tem liczykrupstwo i inne przywary uchodzić zaczynają w grodach za zalety. Kampanja w obronie utylitaryzmu indywidualnego, samopomocy, oszczędności, którą prowadzą apostołowie mieszczaństwa,

powstała na podłożu stosunków i widnokręgów, zrodzonych w grodzie średniowiecznym.

Nawet upodobania, rozrywki i zapatrywania estetyczne nie wyłamują się z pod zależności od stosunków rzeczowych. Wstręt od rozrywek fizycznych, od zabawy konnej i orężnej, kult kunsztu książkowego są dziełem miasta. Że epoka odrodzenia przypadła na czasy największego rozkwitu rzeczypospolitych włoskich, jest to rzeczą nie przypadku, ale konieczności dziejowej.

W analizie naszej przedstawiliśmy jak rozwój miast, tj. pewnego ugrupowania sił wytwórczych w społeczeństwie, oddziaływa na różne sfery prawa, etyki i estetyki, jak wreszcie na podłożu stosunków rzeczowych powstają pewne antagonizmy i aspiracje polityczne. Moglibyśmy zrobić ten rozbiór jeszcze dokładniejszym, ale szczegóły te nie dodałyby nowych rysów do nakreślonego obrazu. Natomiast uzupełnimy powyższe wywody innemi: wykazaniem skutków, jakie miasta swoim wzrostem sprawiły w całym ustroju feudalnym.

III.

Rozpatrując miasto jako całość samodzielną, nie uwzględnialiśmy jej stosunku do reszty kraju. Zajmowały nas jedynie przebiegi, odbywające się wewnątrz murów grodzkich, antagonizmy tam powstające i idee, które się zrodziły w atmosferze życia miejskiego.

Ale miasta były tylko oczkami w sieci powstającego organizmu wymiennego, który rozpościerał się zwolna nad całym krajem.

Po upadku monarchji rzymskiej pustka zaległa nawet w dzielnicach, które dosięgły wyższej kultury. Był to okres rozstrzelenia ludzi i autonomji lokalnej, niepokojów i zatargów pomiędzy pojedyńczemi dzielnicami, samowolnego wymiaru zemsty względnie sprawiedliwości. Rzadkie zaludnienie było rozproszone wśród nieprzerwanego pasma kniej i rządziło się zasadami gospodarstwa naturalnego. Jedynie na zamkach książąt i wyższych dostojników państwowych można było znaleść produkta, pochodzące z daleka.

Właśnie w takich warunkach ukazują się pierwsze oczka przyszłego systemu wymiennego.

W początkach, gdy takie ogniska dopiero powstawały, gdy szlaki, nie zaś gościńce prowadziły do nich i dopóki nie istniały jeszcze jarmarki, na które zdaleka ściągaliby kupcy, dopóty nieobecność sprężystej władzy państwowej, utrzymującej porządek i bezpieczeństwo, były względnie obojętne dla łyków miejskich. Z biegiem czasu sytuacja ulega zmianie, i brak centralizacji w kraju powstrzymywać zaczyna rozwój sił wytworczych, związanych z wymianą produktów i wzrostem rzemiosła. Drogi są niepewne. Nietylko bandy opryszków, ale nawet książęta trudnią się rozbojem — bezkarnie, bo niema instancji, któraby powściągnęła samowolę, nawet nie uchodzącej za samowolę tylko za przywilej stanu rycerskiego. Zamieszki i wojny nie znają przerwy, po kraju

włóczą się oddziały, które podczas wojny służą jako zaciężni, z nastaniem zaś pokoju łupią zarówno swego, jakoteż wroga.

Prędzej lub później miasta musiały zetrzeć się z warstwami, broniącemi takiego stanu rzeczy.

Zapasy wzajemne toczą się początkowo rozstrzelone i niezwarte, jak zresztą nie mogło być inaczej przy ówczesnem rozproszeniu sił wytwórczych, ześrodkowanych w miastach; każde z pośród miast własnym zachodem odpierało ujemne skutki feudalizmu lub zawierało z sąsiadami sojusz zaczepno-odporny, ażeby pospołu zapewnić bezpieczeństwo handlowi. Następuje to zresztą już w okresie późniejszym, gdy grody stały się tak zamożnemi i ludnemi, że miewały własną załogę zbrojną. W epoce wcześniejszej szukają one opieki. Monarchowie nadają miastom „przywileje pokoju“, polegające na tem, iż kupcy, udający się w pewnej porze na jarmark, są pod specjalną ochroną powagi monarszej i ci, co gwałcą tę wolę, będą mieli rozprawę z obrażonym jej przedstawicielem. Już Karol W. daje kupcom strasburskim, krom wolności celnej wzdłuż i wszerz monarchji i prawa trzymania orszaku zbrojnego, taki *Marktfrieden*. Zwyczaj ten rozpowszechnia się. Biskupi i panowie udzielni nadają „pokój“ naprzód tylko pojedynczym kupcom i ich potomkom, później przywilej przeszedł na warstwę całą, jeszcze później na wszystkich mieszkańców miasta. Ale to zapewnienie ma niewielką doniosłość tam, gdzie władza królewska nie rozporządza na poparcie swojej woli dobitniejszemi argumentami. Są okresy, w których skuteczniej działa opieka kościoła: miasto kupuje „pokój św. Piotra“ — *quietam pacem* — synody biorą pod protekcję pewne dni w roku, i kto wtedy skrzywdzi kupca, ulega ekskomunice. Niektórzy książęta trzymają drużyny, za pewną opłatą towarzyszące karawanom. Jest to nawet źródło znacznych dochodów dla wielu panów.

Takie to instytucje powstają pod wpływem wzrostu grodów i swoim charakterem świadczą, że spokój publiczny i bezpieczeństwo są warunkami nieodzownemi dla istnienia miast, jak znowu ciągłe zamieszki i niepokoje są treścią aspiracji panów feudalnych.

Pod osłoną „pokoju“ grody dochodzą do zamożności i siły. Zjawiają się w nich zaciężnicy, niektóre miasta wojują nawet z mniejszymi pankami i dotkliwie udowadniają im, iż pocisk z procy i strzała z łuku mogą być tak samo groźne, jak miecz i kolczuga.

Poskromienie panów feudalnych i ujęcie ich w karby przez władzę monarszą, rozpędzenie zbrojnych orszaków na zamkach prywatnych, zagarnięcie przez państwo obowiązków policji i wymiaru sprawiedliwości: takiemi są dążenia, do których dochodzi mieszczaństwo średniowieczne pod żywiołowem parciem rozwoju. I grody nie tylko wygłaszają takie ideje, lecz nadto stwarzają pierwiastki, potrzebne do wcielenia w życie tych aspiracji i oddają je na usługi tej potędze społecznej, która mając takie same zamiary, rozporządza kazuistyką prawa feudalnego, tj. działa na podstawie jego zasad. Jestto władza monarsza. Teoretycznie jej przedstawiciel uchodzi za źródło władzy panów i książąt.

Ale prawo to, wypływające z faktycznej budowy monarchji Karola V., było długo martwym tytułem. Powaga panujących podupada skutkiem rozstrzelonego stanu sił wytwórczych, wzmaga się zaś w miarę tego, jak rozwój handlowy wiąże nawzajem coraz dalsze okolice. Miasta są przodującym posterunkiem wzrostu władzy centralnej — jako ogniska sił wytwórczych, pociągających za sobą zwartość wysiłków na przestrzeni kraju, i jako źródło środków materjalnych i duchowych, potrzebnych do ukrócenia samowoli feudalnej. Pospołu z monarchami spiskują oni przeciw baronom, dostarczają prawników, którzy usuwają przeszkody tkwiące w uprzedzeniach ówczesnych, dostarczają pieniędzy, stwarzają nową organizację wojenną — piechotę, przyczem odkrycie prochu podkopuje ostatecznie znaczenie rycerstwa jako potęgi zbrojnej.

Nowoczesna centralizacja i dzisiejsze funkcje państwa to tylko ostatnie ogniwa pasma rozwojowego, które poczęło się w wiekach VIII—XII oddzieleniem rzemiosła od rolnictwa, ześrodkowaniem przemysłu w miastach i rozwojem wymiany pomiędzy ogniskami takiej produkcji przetwórczej.

IV.

Nastanie prawidłowej a ożywionej wymiany pomiędzy miastami wymaga istnienia dróg komunikacyjnych, bezpieczeństwa publicznego (tj. zaprowadzenia policji państwowej), poskromienia panków. Powstawszy zaś, sprowadza już dalsze następstwa: rozsadza ustawę prawno-polityczną, która nastała w ciągu pierwotnego okresu historji miast, oraz na podłożu gęstszego zaludnienia i wzmocnionej pewności bytu. To, co było ongi urządzeniem postępowem, zamienia się z biegiem czasu na pęta dalszego rozwoju.

Nie będziemy analizowali tych przebiegów w całej rozciągłości. Zatrzymamy się tylko nad jednym ustępem — wiekiem XVIII we Francji. Wszędzie wśród miast, na roli, powstają tam, pod wpływem nowego ukształtowania stosunków wytwórczych, nowe hasła, będące w rozdźwięku z ustawą prawno-polityczną „starego porządku rzeczy“, natomiast w zgodzie z nowemi potrzebami życia.

Zasady organizacji rzemiosł były bardzo proste. Hierarchja, tam istniejąca, wynikała z samej natury procederu: ażeby posiąść pewien kunszt, trzeba było odpowiednio wyćwiczyć rękę i poznać tajemnice zawodu. Uczeń, odbywszy terminowanie, stawał się czeladnikiem, ten zaś, otrzymawszy godność majstra, wchodził do cechu. Cech był początkowo organizacją pomocy wzajemnej i walki klasowej (posiadał wiele wspólnego z duchem *Trade-unionizmu* dzisiejszego), z czasem zaś, gdy dawne zadania ustały, zamienił się na urządzenie regulujące stosunki rynkowe i zabezpieczające członków przeciw nadmiarowi współzawodnictwa wzajemnego. Rynek średniowieczny nie wychylał się poza mury miejskie, brak zaś dróg komunikacyjnych ochraniał go od dowozu towarów z zewnątrz. Cechy swoją siecią objęły troskliwie takie niewielkie a odosobnione ognisko wymiany i spełniały tam to samo zadanie, o jakiem marzą *trusty* dzi-

siejsze w zakresie stosunków narodowych i nawet międzynarodowych. Chodziło o to, ażeby każdemu z członków wydzielić na rynku możliwie jednakie szanse sprzedaży towaru. Niewolno było majstrowi trzymać więcej nad pewną liczbę uczniów i czeladników, wytwarzać inne przedmioty niż dozwolone, sprzedawać towar poniżej taksy, odciągać odbiorców od sąsiada. Korporacja, otrzymawszy w rozwoju dziejowym pewną postać, dogodną dla interesu uczestników, trzyma się jej uporczywie, niepomna, że życie rozwija się dalej i stwarza rynek narodowy. W miarę wzrostu ludności i natłoku kandydatów, godność majstra przekształca się na synekurę i nawet na urząd dziedziczny. Z demokratycznej promocji w miarę nabywania wprawy zawodowej, hierarchja przekształca się na urządzenie, ograniczające liczbę samodzielnych warsztatów. *) Zwłaszcza zaś cechy grzeszą zupełną nieudolnością rozszerzenia podstaw produkcji. Dopóki rynek odbiorczy ograniczał się paru lub kilkunastu tysiącami mieszczan, warsztat musiał posiadać nieznaczne rozmiary. Z nastaniem wymiany pomiędzy miastami zjawia się możliwość połączenia większej liczby wytwórców w tym samym warsztacie. Ustawa cechowa, oddzielająca nawzajem pojedyncze fachy bardzo skrupulatnie (tak, iż powóz np. zanim został wykończony, odbywał wędrówkę od cechu do cechu), ograniczająca liczbę czeladników w pojedynczym zakładzie oraz ilość wyrobu, sprawiła, że nowe siły wytwórcze, odpowiadające wymaganiom rozszerzonego rynku, rozwinęły się w takiej Anglji nawet nie w miastach, tylko w ustroniach wiejskich, i że nie rzemieślnik, lecz kupiec był działającą osobą postępu wytwórczego. Cechy z organizacji postępowej, jaką były w epoce wieków XII—XVI, są w wieku XVIII przeszkodą dalszego postępu i tylko źródłem wyzysku. Właściwa im ustawa przeszkadza wzrostowi podziału pracy w zakładzie, oraz jak każdy monopol nakłada ceny wygórowane, jakkolwiek istnieje już w kraju możliwość innych — niższych, wreszcie temperamentom ruchliwym zagradza drogę do dobrobytu. Im zaś rozleglejsze wymiana stwarza rynki, i tem samem umożliwia wraz z zastosowaniem podziału pracy wyższe wzory produkcji, tem cechy stają się instytucją coraz bardziej przestarzałą. Rzecznicy nowych sił wytwórczych żądają wolności procederu, tj. zniesienia ograniczeń cechowych. Z tem samem występują też czeladnicy i przybysze-majstrowie. Spożywcy, zepsuci istnieniem tańszych produktów, w imię własnego interesu domagają się urzeczywistnienia wolnej konkurencji. Na widowni dziejowej rozbrzmiewa więc nowe hasło: *Laissez faire, laissez-passer*. Nawet filister najpospolitszy uważa dzisiaj za swój obowiązek dowieść krytycyzmu naigrawaniem się z tej potężnej zasady, która zjawiła się w historji jako wyraz nastania nowych sił wytwórczych, zbyt potężnych, ażeby zdołały rozwijać się w pętach cechów, i była zwiastunką wy-

*) Nawet majster, przybywający z innego miasta, tracił prawo posiadania własnego zakładu. Zwyczaj ten, naturalne następstwo bojowego charakteru cechów i odosobnionego położenia miast, z instytucji normalnej, tj. nikomu niezawadzającej podczas okresu odosobnienia wzajemnego, stał się z biegiem czasu nadużyciem.

zwolenia człowieka z pod ciasnych, ograniczonych warunków bytu materyalnego i podobnież z niedalekich widnokręgów umysłowych właściwych drobnym rzplitom miejskim.

Wzrost bezpieczeństwa publicznego i gęstość zaludnienia, zastąpienie gospodarstwa naturalnego przez pieniężne i t. d. doprowadziły do ukazania się podobnego niezadowolenia w zakresie stosunków wiejskich. Jak powstała zależność poddańcza, nad tem się nie będziemy zastanawiali, poprzestaniemy tylko na wzmiance, że niekiedy była to puścizna po niewolnictwie, jeszcze częściej stosunek zawarty ongi w drodze dobrowolnej umowy lub narzucony wolnym kmieciom przez rozwój urządzeń feudalnych. Bądź co bądź jednak, w pewnym okresie dziejowym ta instytucja była racjonalną, tj. uchodziła wśród zainteresowanych za rzecz moralną, prawowitą i konieczną, nawet pożyteczną. Za Karolingów np. wolni kmiecie masowo oddają się pod opiekę kościoła i dostojników państwowych, co zapewnia im bezpieczeństwo podczas niepokojów. Włościanin uważał stosunek poddańczy za wymianę wzajemną usług: pan bronił jego mienia od grabieży i zwierząt drapieżnych oraz spełniał obowiązki policji, kmieć zaś w zamian dawał czynsze i naturalja, odrabiał pańszczyznę. Każda z licznych powinności poddańczych posiadała początkowo jasne i wyraźne znaczenie. Była niczem innem, tylko sformułowaniem pewnego stosunku rzeczowego, który powstał na podłożu ówczesnych poglądów, zwyczajów i potrzeb — za dobrą mniej więcej wolą obu stron. Osepy, straże, przewody przedstawiały się umysłowi ówczesnemu jako kategorje żywe, racjonalne, i trzeba było dopiero nieuctwa obrońców synekury szlacheckiej i fuszerki obozu liberalnego, ażeby zaczęto wyprowadzać prawa feudalne jedynie z gwałtów i bezprawia. Nie brakło, naturalnie, nadużyć, bo prawo pięści jest wielką zasadą organizowania się ustroju feudalnego. Lecz nie godzi się zapominać o tem, że w wiekach IX i X, właśnie wtedy, gdy tworzyły się podwaliny późniejszego poddaństwa, rycerz nie odróżniał się od kmiecia zbytnio nawet uzbrojeniem i na nadużycia jednej strony druga zdołałaby odpowiedzieć czemś realnem. Zależność powstała tylko dlatego, że przyszli poddani, o ile nie byli niewolnikami lub nie pochodzili z pośród podbitych ludów, a zatem, o ile nie stali poza obrębem ustawy rodowo-plemiennej, zawierali stosunek poddańczy dobrowolnie i dla własnej korzyści. Ongi, za Tacyta, gdy jeszcze pędzono nie zbyt osiadły tryb życia, plemię rozpadało się na wojaków, którzy szli na wyprawę, wówczas, gdy pozostali pracowali na siebie i na nich. Następnego roku tamci zostawali przy pługu, oracze zaś imali się miecza. Za czasów feudalizmu ów podział zajęć opiera się na innej zasadzie, kmiecie zaś swojem zachowaniem uświęcą tę właśnie zasadę jak rzecz moralną i racjonalną, tj. w gruncie rzeczy pożyteczną. Poddaństwo rozrasta się na podłożu przeszłości historycznej, tj. zwyczajów demokracji wojskowo-rodowej i powstających z niej norm prawnych, takich jak osławiona maksyma *nulle terre sans seigneur* — pod wpływem żywiołowo rodzących się i rozwijających potrzeb. Wszelka zaś umowa ustna, wszelki luźny i czasowy stosunek, w szrankach gospodarstwa natural-

nego, przybiera, bo przybrać musi, charakter prawa rzeczowego. I gdy w okresie późniejszym rycerstwo krzywdzi poddanych, ci zaś odpowiadają na to rokoszami, nawet wtedy w umyśle uciemiężonych niekiedy napróżno poszukiwalibyśmy idei zupełnego stargania więzów poddaństwa: była tam tylko chęć nadania im „sprawiedliwszego“ ukształtowania. Dopiero gdy bezpieczeństwo publiczne powstało pod osłoną wzrastającej władzy państwowej, gdy rozpędzono drużyny zamkowe, spełniające ongi, pomimo wszystkiego, obowiązki stróżów ludu, gdy wymiar sprawiedliwości stał się zadaniem państwa, dopiero wówczas nastają czasy, odzierające powagę pana nawet z pozorów racjonalności. W tym okresie przywileje są dla włościanina czemś niezrozumiałem. Może uchodzą jeszcze za nietykalne, dzięki powadze religji i zwyczajów, ale bynajmniej nie za pożyteczne. Pan np. zajmował się ongi tępieniem szkodników (wilków, lisów i t. d.) ku pożytkowi rolnika. Lecz gdy zwierza zabrakło, zaczęto go ochraniać, zachowując na czas obław, chociażby niszczyły zasiewy kmiecia. Prawo pańskie z pożytecznego niegdyś, djalektyką rozwoju społecznego, wyrasta na szkodliwe, wywołujące systematyczne narzekania i sarkania wśród włościan. Wzrost produkcji zboża na sprzedaż i wogóle gospodarstwa pieniężnego jedynie pogarsza stosunki, które przestarzały się, bo wzmaga łapczywość pana na krwawicę poddańczą. „Krzywdy“ codzienne — bierzemy ów wyraz w cudzysłowie, ażeby zaakcentować historyczny charakter tej kategorji społecznej, — budzą głuche rozdrażnienie. Nienawiść, niejasna z początku, zaczyna podkopywać szacunek tradycyjny, aż wreszcie staje się tonem zasadniczym w duszy poddanego. Dochodzi do wybuchów rozpaczy, bezmyślnych, jak ów instynkt tajony, dzikich, jak ponurą była nędza i ciemnota. Wreszcie „myśl krytyczna“ rozjaśnia te mroki. Ktoś zrozumiał ducha czasu, dał bezwiednemu a żywiołowemu parciu brzmienie członkowane, poczucie krzywdy ujął w jasno określoną ideę — wolności osobistej, własności wytworów swojej pracy, zniesienia przywilejów pańskich. To, co było ongi moralnem, staje się krzyczącem bezprawiem, bo z pożytecznej instytucji zamieniło się na źródło tylko wyzysku — nic więcej i zagradza drogę wzrostowi dobrobytu uciemiężonych.

Rozwój wymiany, na pewnym szczeblu rozwoju wyodrębniwszy miasta z pośród społeczeństwa i nadawszy im samodzielność, jeszcze na dalszym niesie zagładę tej autonomji, jakoteż i niezależności prowincji. Za gospodarstwa naturalnego, gdy każda wioska, i tembardziej każda okolica, pokrywała potrzeby swoje własnymi produktami, panowała na niewielkiej względnie przestrzeni znaczna rozmaitość zwyczajów, o której dają pojęcie nasze *Volumina legum* pod r. 1631, uskarżające się na obfitość miar: „Iż wielka waryacya w korcach miast i miasteczek ziemi Łomżyńskiej, przeto postanawiamy, aby korzec sprawiedliwie wymierzony z korcem miasta główniejszego dla sprawiedliwego odmierzania był przed Ratuszem wystawiony bez wszelakiej płacy“. Każda prowincja rządzi się odmiennem prawem, ma inne wagi i miary, zaprowadza myta i cła. Póki wir wymiany jest słaby, były to rzeczy obojętne nawet dla

tych, którzy znajdowali się w obrębie jego działania, tembardziej zaś dla reszty, żyjącej według zasad gospodarstwa naturalnego. I ta puścizna zaczynała krępować rozwój handlu — na pewnym poziomie. Ilość towaru wzrosła, dobrobyt coraz szerszych warstw narodu zaczął zależeć od łatwości transportów i wogóle obrotów: tymczasem niejednostajność zwyczajów i urządzeń pętała swobodną grę wyrachowań osobistych. Poszkodowane interesy wyłaniają aspirację odpowiednią — ujednostajnienia kraju. Idea ta, jako samorzutne a masowe parcie społeczne, zjawia się wśród warstw, których dobrobyt najczęściej doznaje uszczerbku skutkiem rozczłonkowania kraju — wśród kupców. Jest to grupa, stykająca się z różnemi dzielnicami przyszłego narodu, wolna dzięki temu od rysów prowincjonalnych i uczuciowo najbardziej wyrobiona dla zrozumienia, przyjęcia i ugruntowania idei jednej niepodzielnej narodowości, w której obrębie prawa i urządzenia, wagi i monety winny być jednako ukształtowane.

W różnych więc zakresach życia społecznego, pod wpływem zmian w ukształtowaniu stosunków materjalnych, które zaszły w sposób żywiołowy, jedynie w następstwie inicjatywy prywatnej, powstały zgoła nowe potrzeby. Zaciasno im w ówczesnej ustawie prawno-politycznej — zaciasno w tem znaczeniu, że istniejące urządzenia, a więc cechy i monopole, juryzdykcja patrymonialno-pańszczyźniana i samodzielność prowincji, samowola centralizacji państwowej i przywileje arystokracji rodowej, powstrzymują dalszy rozwój dobrobytu kół, które są głosicielami nowych aspiracji. Instytucje wymienione ukazały się niegdyś jako sformułowanie materjalnych potrzeb i widnokręgów ówczesnych pokoleń, ale ku schyłkowi wieku XVIII są tylko zawadą dla dalszego postępu. Na pewnym szczeblu rozwoju stosunków materjalnych, nowe potrzeby dają początek odpowiedni ideom, które tem odważniej zabierają głos w społeczeństwie, im podłoże rzeczowe wzrasta bardziej w potęgę. Podkład zaś ów wzrasta i nawet musi wzrastać. Tam bowiem, w głębi życia narodowego, istnieje pewien żywioł przewrotowy, pchający wymianę na coraz szersze tory, choć sam jest jej dziełem. Jest to podział pracy wewnątrz warsztatu: złożona robota rzemieślnika rozpada się na szereg prostych czynności, powierzonych każda innemu pracownikowi, skutkiem czego wydajność pracy ludzkiej jest większa, towar tańszy, że już nie mówimy o możliwości zamiany z czasem takiego ujednostajnionego wysiłku mięśni przez maszynę. Warunki dziejowe wyznaczają tym nowym metodom produkcji nawet miejsca lokacji — poza obrębem miast historycznych, spętanych przez ustawę cechową (w ten sposób dawne grody w Anglji zeszły na „zgniłe mieściny“, nowe ogniska zaś wyrosły w ustroniach). I inni ludzie, wolni od rutyny rzemieślniczej, poprowadzili to dzieło — dlaczego inni i jak, nad tem nie będziemy się zastanawiali. Wytwór wydostawszy się z rękodzielni, dzięki rzutkości swoich panów, przedostaje się w najdalsze zakątki kraju, taniością swoją zwycięża przedmioty produkcji cechowej, przyspiesza tętno wymiany, co znowu wpływa podniecająco na produkcję. Rękodzielnia (oraz zrodzona z niej fabryka) jest sprężyną nieustającego przewrotu, który z czasem połączył dalekie

lądy sieciami drutów telegraficznych, udoskonalił środki przewozowe, stworzył wzory olbrzymiej centralizacji przemysłowej na podstawie narodowej i nawet międzynarodowej, ujarzmił przyrodę, nauce oddał ster nad umysłami.

Nowe metody produkcji (i wymiany) powołały do życia warstwę społeczną, odmienną od dotychczas istniejących żywiołów miejskich — „burżuazję". Należał do niej przemysłowiec, narzekający na reglementację cechową, i kupiec, który rozwoził po kraju towar rękodzielniczy, i rentjer, żyjący z procentów i pragnący taniego zaspokojenia swoich potrzeb, i przedstawiciel wolnych zawodów, związany z nimi pochodzeniem i brakiem praw w społeczeństwie. Warstwa ta zgromadza w swojem ręku bogactwa materjalne i wiedzę. Parta poczuciem własnej siły i godności, podniecana interesem codziennym, wrażliwa umysłowo na zagadnienia życia, wysnuwa ona nowe aspiracje dziejowe, hasła zaś jej i ideje staną się kiedyś zasadami Deklaracji praw człowieka, tj. nie człowieka oderwanego, ale należącego do pewnej epoki i przebywającego w pewnem otoczeniu. W jej dążeniach streszczają się aspiracje wszelkich kół narodu, prócz szlachty i cechów. Idea, powstawszy w taki materjalny sposób i będąca słowem, które dobrano stosownie do potrzeb życia, rozpowszechnia się po kraju, obudza świadomość wśród przedstawicieli upośledzonych interesów i organizuje potężną armię dziejową — stanu trzeciego. Antagonizmy, istniejące w łonie jej zastępów, milczą w obliczu wspólnego wroga i wystąpią kiedyś dopiero po zwycięstwie. Włościaństwo, zaspokojone usunie się pierwsze z pośród grup, które wzięły udział czynny w dramacie historycznym nadania ustawie prawno-politycznej charakteru zgodnego z wymaganiami nowych sił wytwórczych. Poczem rozpocznie się akt drugi — walki gminu miejskiego, z burżuazją, walki obfitującej w szczerość uczuć, potęgę temperamentów, oryginalność charakterów.

Atoli po za właściwościami duchowemi ukrywają się tam interesy klasowe, które użytkują z namiętności i zawiści indywidualnych jako z narzędzi walki społecznej.

V.

W naszej analizie wyszliśmy z ukształtowania stosunków społecznych, które pozostawiła po sobie rodowość barbarzyńska, zwycięska zaborczyni terytorjów Rzymu. Przyjęcie chrześcijaństwa przez ludy germańskie stworzyło atmosferę międzynarodową, której skutków nie godzi się zapoznawać, — podłoże dziejowe całego badanego okresu, które uwydatniło zwłaszcza wtedy swoje siły, gdy wymiana z miejscowej stała się szerszą

Zabór dał początek stosunkom, będącym z jednej strony źródłem poddaństwa, z drugiej zaś lennictwa. Barbarzyńcy, osiadając na roli, tracą dawną spójnię plemienną. Powstaje autonomja lokalna, ta najistotniejsza podwalina hierarchji feudalnej. Na razie jest to dla nas rzeczą obojętną, jak wyglądała owa więź pierwotna, z której rozwijają się dalsze stosunki. Zaznaczamy tylko

jej istnienie, jako podścieliska historycznego, i zwróciliśmy się do badania kolejnych ogniw powstających z biegiem wieków. Wśród takiego otoczenia, tj. zaboru, rozpadającego się na pojedyńcze niezależne dominja, zjawiają się miasta, jako ogniska nowej siły wytwórczej — rzemiosła i handlu. Zamki książąt, dwory biskupów i klasztory są opoką, dokoła której osadza się nowotwór, w miarę swego wzrostu stwarzający atmosferę nowych idei i pożądań, uprzedzeń i zapatrywań, później zaś urządzeń. Miasta z biegiem czasu stają się supłami sieci wymiennej, pokrywającej kraj cały, przyczem naprzód tworzą się ogniska, potem zaś ukazują się nici, wiążące je nawzajem. Nastaje nowe rozmieszczenie sił wytwórczych (w tej liczbie ludności i bogactw), tworzą się nowe instytucje, zawsze jako następstwo zmian w otoczeniu materjalnem. Powstaje szereg antagonizmów, które zwolna doznają rozwiązania na drodze przystosowywania ustawy prawno-politycznej do potrzeb, wyzwanych do bytu przez nowe warunki rzeczowe. Tworzy się nowoczesne państwo, oparte na reglementacji przemysłu, przywilejach szlachty i pańszczyzny, oraz rządzące się zasadą Ludwika XIV: *l'état c'est moi*, przynajmniej tak było we Francji, gdzieindziej bowiem siły dziejowe poszły inną drogą, choć pierwiastki były podobne. Rozszerzona wymiana przyczynia się do wykłucia nowych metod w produkcji, doskonaląc zaś technikę handlu i oddziaływając na środki przewozowe, zbliża nawzajem wytwory dalekich okolic. Dołączają swój wpływ jeszcze inne czynniki: wzrost ludności np. i bezpieczeństwa publicznego. Pod działaniem całokształtu nowych stosunków zwolna rodzi się zatarg pomiędzy potrzebami życia a ustawą prawno-polityczną, kończący się upadkiem „dawnego porządku rzeczy“, powstaje tegoczesny ustrój — mieszczański.

I w jego głębiach odbywa się dalszy rozwój potęg wytwórczych — za ogólnym a żywiołowym, tj. nieświadomym współudziałem wszystkich członków społeczeństwa. I ten, co pragnie nastania pewnych stosunków, i ich zawzięty przeciwnik, działają solidarnie na rzecz postępowego rozkwitu sił produkcyjnych. Gumplowicz usiłuje gdzieś wykazać, że robotnik gnębi towarzyszy, kupując tani towar i, co za tem idzie, zmuszając pryncypałów do płacenia nizkich zarobków. Właśnie owa, tak po jezuicku wyzyskana, pogoń za tanim (co nie znaczy jeszcze: lichym) towarem sprawia, że metody produkcji, manifestujące się w technice nietylko wytwarzania, ale także rozpodziału produktu i rozmieszczenie przedsiębiorstw na przestrzeni kraju, jedne zanikają — te które przy tej samej jakości towaru ponoszą większe koszta, inne zaś postępowe, zwyciężają. Nabywając przedmioty powszedniego użytku, nie przypuszczamy, że z dnia na dzień i może nawet z godziny na godzinę przyczyniamy się do centralizacji przemysłowej i ruiny rzemiosła, do organizowania brygad fabrycznych, w dalszym zaś ciągu do wzrostu żywiołów miejskich, do żywego obrotu soków społecznych i t. d., słowem do powstania podłoża materjalnego dla idej i aspiracji, których niejeden z pośród nas jest stanowczym przeciwnikiem. Czyny codzienne, żywiołowe, niewybiegające treścią po za interes czysto osobisty, niszczą naszą własną robotę świadomą, tj. świadomą pod względem społecz-

nym. Właśnie w takiem ich zachowaniu się tkwi pierwiastek konieczności, z jaką na widowni dziejowej zjawiają się pewne idee.

Zmiany, nastające w dziedzinie stosunków materjalnych, układają się w pasmo postępowe. Wszędzie tam, w przejściu od pracy przetwórczej rolnika do wyodrębnionego rzemiosła, od rynku miejscowego do wymiany wzajemnej wytworów dalszych okolic, od pracy poddańczej na roli do wolnej, od trybu rzemieślniczego produkcji do podziału pracy zewnątrz warsztatu, od niego zaś do maszyny, mamy przed sobą, w kolejnem powiązaniu stosunków, ogniwa coraz doskonalsze, wysnuwające się rodowodowo pod wpływem żywiołowego parcia świadomości tylko prywatnej. Ten sam wysiłek wynagradza wytwory większą ilością produktów, lub tą samą, ale wyższej jakości.

Postęp ów odbywa się samorzutnie a żywiołowo, i nawet nie może odbywać się inaczej. Siły przyrody, oraz bogactwo, pozostawione przez ubiegłe pokolenia, znajdują się w ręku niezależnych nawzajem jednostek i mogą być wprawione w ruch wytwórczy tylko za inicjatywą prywatną. Ulepszenia metod produkcji i wogóle zmiany w ukształtowaniu stosunków rzeczowych nastają jako dzieło pewnych osób, które dokonawszy tego, usiłują wyzyskać wszelkie korzyści. Wewnątrz społeczeństwa tworzy się zwolna nowe jądro stosunków materjalnych, wraz z niem zaś nowe potrzeby i aspiracje, idee i poglądy. Rozwój ów przypomina poniekąd ewolucję kolejną motyla — nie wszystkie komórki gąsienicy przechodzą w odpowiednie części poczwarki, bo tam, w organizmie początkowym powstaje ośrodek, wyrastający na twór nowy, wówczas gdy reszta komórek ginie. Rozbicie narodu na gospodarstwa indywidualne daje początek podobnego rodzaju przebiegom — przynajmniej w Europie w okresie wieków VIII—XVIII. Zmiany postępowe dla dalszych swoich ogniw obierają nieustannie nowy punkt wyjścia. Nie rzemieślnik np. był inicjatorem rękodzielnictwa i nie miasto cechową jego ojczyzną.

Powtarza się to stale w ciągu wieków. Nowe potęgi wytwórcze powstają zawsze tylko w pewnych punktach terytorjum społecznego, ogarniają tylko pewną grupę osób, przekształcając warunki materjalne jej bytu, wydzielają ją z pośród reszty narodu, narzucają jej nowe potrzeby, później zaś nowe ideje, wreszcie przeciwstawiają ją istniejącej ustawie prawno-politycznej, która krępuje jej rozwój. Nowa warstwa zwycięża, jeśli jej podłoże rzeczowe dosięgnie odpowiedniej mocy, i wciela w życie swoje idee w rozciągłości bez względnej lub osłabionej kompromisami, odpowiednio do podścieliska historycznego, na którem rzecz się odbywa. Ewolucja dziejowa idzie po przez antagonizmy, które występują na jaw jako świadome dążenia społeczne po krótszym lub dłuższym okresie organicznego wykluwania. Spoczywa tam, w głębi, zawsze możliwość kataklizmów dziejowych, acz nie konieczność. Pod działaniem zapobiegliwości prywatnej, organicznej, w codziennym zbiegu interesów i potrzeb osobistych, na widnokręgu dziejowym ukazuje się nowe zawikłanie. Życie w zmiennym potoku przynosi jakby wciąż nowe zadania społeczne, oraz — co jest wypowiedzeniem tego samego w innej formie — organizuje siły społeczne do pod-

jęcia ich i środki do rozwiązania. Nie trzeba posądzać dziejów o fatalizm, innemi słowy o to, że rozwiązanie nastąpić może bez udziału człowieka, który tylko z założonemi rękoma będzie przypatrywał się wypadkom. Istota ludzka bowiem, stworzywszy zadanie żywiołowe, zdoła je rozwiązać tylko w sposób świadomy. Może się zdarzyć, że mimo istnienia warunków nie będzie umiała sformułować go należycie, lub uskuteczniwszy to, skutkiem braku dzielności antropologicznej i polotu krytycznego, nie będzie miała sił odpowiednich do urzeczywistnienia swoich aspiracji.

Jeszcze jedno.

Nowe ideje zjawiają się w społeczeństwie jako wynik zmienności warunków materjalnych bytu, w powyższym zaś specjalnym przebiegu — postępowego rozwoju sił wytwórczych. Są one zjawiskiem wtórnem na widowni dziejowej, tj. pochodnem: stosunki rzeczowe, rozwijające się bez udziału świadomej myśli społecznej, muszą zjawić się wprzódy, zanim ukaże się ich sformułowanie w nowej ideji społecznej. Materja panuje nad myślą, jest czynnikiem przewrotowym, ściślej: dającem hasło przewrotu. Naturalnie, zaznaczając taką wtórność ideji, bynajmniej nie chcemy wykierować jej na kopciuszka bez wpływów, jedynie analizujemy jej rodowód. Owszem, rola jej jest potężna: owładnąwszy umysły, stwarza ona armję, która wcieli nowe ideały w życie. Nasze pojmowanie powiada tylko, że idea nie rodzi się jak Minerwa z głowy Jowisza bez zapłodnienia, że nie jest tworem, pozbawionym mięsa historycznego, ani sprężyną, która każdego może podnieść. Twierdzi ono, że ukazanie się pewnego hasła po raz pierwszy w dziejach jest zależne od miejsca i czasu, że skład armji walczącej nie jest dowolny, ale powstał z osób, które w swojem otoczeniu codziennem znalazły odpowiednie wzory zrozumienia ideji, w interesie zaś własnym — pobudki działania; przyznając sformułowanemu słowu wielką doniosłość, zaprzeczamy tylko ażeby stało ono ponad warunkami historycznemi i ażeby „bohater“, „mąż wielki“, „umysł krytyczny“ zdołali nadać stosunkom społecznym dowolną formę. Istnieją inicjatorzy i mistrzowie, wodzowie i kierownicy; obecność ich przyspiesza lub opóźnia rozwiązanie wysnutego przez życie zadania, ale nie stwarza go.

VI.

Wywody nasze dotyczą tylko Europy zachodniej w ciągu wieków VIII—XVIII — nic nadto. Wprawdzie podczas rozbioru dziejów ustawy miejskiej, wskazaliśmy pewne rysy historji πόλεων starożytnych. Nie wynika stąd jednak, ażeby do epoki ówczesnej dały się zastosować otrzymane przez nas uogólnienia w całej swej rozciągłości. Siły społeczne, tam działające, kształtowały się inaczej; jedynie żywiołowość rozwoju pozostaje ta sama, bo wypływa z natury własności prywatnej.

Rzym np. rozwija się w otoczeniu społeczeństw plemiennych, nie połączonych wspólnością kultu, lecz opartych, każda, na czci specjalnych przodków,

co utrudnia zbratanie wzajemne. Wzrasta w potęgę drogą zaborów, które naprzód doprowadzają do ruiny kmieci-obywateli rzymskich, później zaś włościan plemion ościennych. Tą drogą powstają plebejusze, gromadzący się w mieście. Rozpoczynają się zapasy klasowe, w których plebejuszom chodzi o uzyskanie praw politycznych i powrócenie do warsztatu pracy — ziemi. Lecz wśród szczęku oręża nie ma miejsca na drobną osadę rolną. Patrycjusze zaokrąglają majątki swoje, zwłaszcza od kiedy zaczęli uprawiać je przy pomocy niewolników, i okrywają niesławą zarobek, pochodzący z wysiłku własnych mięśni. Na pewnym szczeblu rozwoju plebejusze przestają więc marzyć o własnej pracy i na uzyskane prawa polityczne patrzą jak na źródło zarobku, pobierając w ten sposób pośredni część dochodów z pracy niewolnika. Demoralizacja polityczna wzrasta. Wojny dają do ręki niektórym rodom olbrzymie bogactwa. Jednocześnie wzmaga się zorganizowana potęga zbrojna, coraz mniej związana z Rzymem wspólnością krwi. Nastaje okres prób narzucenia przez magnatów jednowładztwa indywidualnego, prób kończących się utrwaleniem cesarstwa, zanikiem patrycjatu rodowego, zepchnięciem plebejuszów do poziomu zwykłej hołoty, zwiększonej napływem przybyszów ze wszystkich stron świata. Wreszcie dalsze zmiany doprowadzają do tego, że w kraju powstaje nowa potęga: pretorjanie, i że cesarz jest tylko wykonawcą ich rozkazów. Jest to epoka rozkładu, ludy germańskie zaś najazdem swoim przyspieszają konanie. Włochy, wyjałowione za niewolnictwa, przechodzą od latifundjów do kolonatu, tj. rozpadają się na gospodarstwa włościańskie, dla których gościńce, wodociągi i inne dzieła wyższej kultury są zbyteczne.

Ogniwa tego rozwoju wysnuwają się z siebie nawzajem na drodze djalektyki rozwojowej. Po przez drobne zmiany nastaje nowy ustrój stosunków rzeczowych, wyłaniający nowe poglądy i uczucia i z takiego rozczynu wysnuwający nowe urządzenia. Produkcja rolna, oparta na bezpośredniej pracy obywateli, przejście ziemi w ręce patrycjuszów i zamiana kmieci na walczących o równouprawnienie plebejuszów, latifundja niewolnicze i demoralizacja plebejatu, żyjącego ze sprzedaży praw politycznych, rywalizacja możnowładców, wzrost potęgi wojska i ogłoszenie cesarstwa, wyjałowienie ziemi i zamiana latifundjów na kolonaty: oto kolejne ogniwa rozwoju Rzymu. W Europie zachodniej wymiana była punktem wyjścia przewrotu, tam zaś wojna. Czy zaś zmiany owe szły w kierunku zwiększonej wydajności, obawiam się twierdzić, z wyjątkiem jednego ogniwa — przejścia latifundjów w kolonaty.

VII.

Chodziło nam tylko o rodowód ideji, przytem takiej, która nie przebrzmiała zapomniana, ale wyryła zawartość swoją na przebiegu dziejów. Istnieją bowiem ideje, które zjawiają się w pewnej epoce, jako płód wyobraźni rozgorączkowanej lub pół-wieszczego przeczucia dopiero kiełkujących antagonizmów i są z góry skazane na bezpłodność historyczną. Ich ukazywanie bynajmniej nie

jest rzeczą dowolności i przypadku, ale szczegółowszy rozbiór ich początków na razie nie przedstawia dla nas interesu. Bądź co bądź są one fermentem, rozsadzającym pewien ustrój i zwiastującym nastanie nowego. Tymczasem w naszej analizie pragnęliśmy zbadać rozwój tylko tych, które są sprężyną dziejów i pojawiwszy się raz jeden, nie zostają zagłuszone ani niewysłuchane, lecz stają się hasłem walki dziejowej. Co więcej, w powyższem przedstawieniu zajmowaliśmy się tylko temi, które zwyciężyły, tj. wcieliły się w odpowiednie instytucje i urządzenia.

W zastosowaniu do takich ideji, tj. ideji w całem znaczeniu historycznych, nasze pojmowanie powiada:

1. Pod wpływem inicjatywy prywatnej zwolna powstają w narodzie nowe stosunki materjalne, nowe „siły wytwórcze“. Rozwój ich, ze stanowiska świadomości społecznej, odbywa się mechanicznie i żywiołowo, tj. nie przyświecają mu cele społeczne, tylko osobiste. Chodzi tam tylko o zaspokojenie najpospolitszego interesu indywidualnego, i nikt nie zadaje sobie pytania: jakie skutki wydadzą z biegiem czasu takie wysiłki?

2. Nowe stosunki rzeczowe rozwijając się „ewolucyjnie“, „organicznie“ poprzez szereg nieznacznych zmian ilościowych, stwarzają z czasem nowe potrzeby wśród grup znajdujących się w obrębie ich działania; przyczem istniejące te potrzeby są jednocześnie bodźcem do dalszego postępu tworzącego się jądra materjalnego. Można to wyrazić inaczej, mianowicie, że dobrobyt powstającej warstwy wiąże się jaknajsilniej z rozrostem odpowiedniego podłoża rzeczowego.

3. Na pewnym szczeblu rozwoju dochodzi do antagonizmu pomiędzy potrzebami, które w powyższy sposób powstały, a atmosferą prawno-polityczną, istniejącą w narodzie. Budzą się wśród zainteresowanych uczucia zawiści i namiętności wraz z pewnemi niejasnemi aspiracjami, dochodzi nawet do żywiołowych wybuchów namiętności. Wreszcie nowe potrzeby doznają ostatecznego a świadomego sformułowania — w nowej ideji, która rozpowszechniając się, jedynie organizuje armję społeczną z pośród przygotowanych pierwiastków. Ideja zjawia się więc w rozwoju społecznym jako zjawisko wtórne, pochodne, jest ona dziełem faktów i ich odźwierciedleniem w mózgu ludzkim. Antagonizm występuje w tym okresie w całej rozciągłości, rozwój z ewolucyjnego i organicznego przybiera wprost przeciwny charakter, w którym tkwi zawsze możliwość kataklizmów i przewrotów.

4. Wyłoniona ideja jest w gruncie rzeczy sformułowaniem zadania, które życie powoli stworzyło w sposób żywiołowy i mechaniczny, i wskazuje, na jakiej drodze zainteresowani będą szukali rozwiązania, tj. jakie urządzenia prawno-polityczne odpowiedzą ich aspiracjom. Rozwój zaś nietylko stwarza zadanie, ale zarazem przygotowywa i nagromadza środki jego rozwiązania. Są to warstwy, powstające zwolna z wzrostem odpowiedniego podłoża materjalnego, ich bowiem dalszy dobrobyt wiąże się ściśle z zapewnieniem tej osnowie rzeczowej wymaganej swobody ruchów, którą krępuje istniejąca konstytucja spo-

leczna. Stanowią oni materjał na armję społeczną, która winna urzeczywistniać nowe hasła. Ideja, rozpowszechniająca się, jedynie niejasnym dążeniom nadaje charakter świadomy, rozstrzelone siły wiąże w całość, wskazuje im przyczyny i cele. W tym okresie rozwoju świadomość staje się czynnikiem pierwszorzędnej doniosłości: uwydatnia się znaczenie inicjatywy społecznej pojedynczych osób, ich talentu i dzielności. Dla akcji świadomej otwiera się bardzo szerokie pole.

*

Poddaliśmy rozbiorowi jedynie rodowód nowych idej oraz stosunek działalności świadomej do żywiołowej w rozwoju społecznym. Koleją rzeczy trzeba byłoby teraz zbadać wpływy podłoża historycznego, wśród którego ideja pewna zjawia się, oraz oddziaływanie jej na okolice, w których stosunki nie dojrzały o tyle, ażeby wyłonić ją samoistnie. Powyższy więc rozbiór jest bardzo niedokładny, bo stanowi tylko cząstkę szerszych przebiegów, które winniśmy byli rozczłonkować sztucznie na oddzielne nici dla uproszczenia analizy i z których poprzestaliśmy tylko na jednej.

Warszawa. *Ludwik Krzywicki.*



PIEŚŃ HUNNÓW.

(Z TRAJEDJI: ATTYLA).

Z wichrów poświstem, z gromów łoskotem
We krwi strumieniach i ogniu łun:
Wilczym rozpędem, krogulczym lotem
Wrosły do konia w świat pędzi hun!

Hunny nie znają grodów kamiennych,
Ni wiedzą co to socha i pług:
Łup ich na ostrzu grotów płomiennych,
Na zdobycz świata wiedzie ich Bóg.

Nie ma ojczyzny hun światowładny,
Bo mu ojczyzną jest cały świat:
Zuchwały, celny, szybki a zdradny
Na całą ziemię ulewą spadł.

Na dzikie stepy — na ciemne puszcze —
Na wsi i miasta — na grzbiety gór —
Potopem hunnów spadają tłuszcze —
I góra stęka — w gruz idzie mur.

Wszystko jest nasze — wszystko nam łupem —
A kędy staniem, tam dymy zgliszcz —
A kto nam wrogiem — ten legnie trupem:
Dalej więc, hunnie, pal, łam i niszcz.

Dwanaście królestw haracz nam składa,
Dwanaście koron wieńczy nam skroń:
Hyperborejskich ludów gromada
W pokorze nam swą oddaje dłoń!

A któż jest władcą narodów tyla?
Przed kim drży Wened i Czud i Got?
Święty bicz boży wielki Attyla —
W posady świata walący młot!

Chwała-ć, Attylo, zniszczenia boże,
Coś zszedł na ziemię jak niebios gniew:
Za zbrodnie Rzymu, utocz krwi morze,
Niechaj Rzym pije swą własną krew!

Biada ci, Rzymie, biada — przekleństwo —
Pójdziesz na gruzy, popiół i dym:
Chwała Attyli — hunnom zwycięstwo,
Hej, krwi i ognia! Na Rzym — na Rzym!

Warszawa. *Antoni Lange.*

SPOTKANIE.

„Chwilowo bawię w Warszawie. Przed wyjazdem zagranicę chcę zobaczyć ciebie. Jeśli nic nie masz przeciwko temu, napisz, gdzie i kiedy możemy się spotkać. *Anna Grodecka* (dawniejsza Cytowicz)."

Odczytała kartkę z irytacją.

Głupia Anka, jak można pisać w ten sposób do kogoś, z kim się blizko żyło przed laty. Dziewięć lat — to przecie nie tak duży przeciąg czasu, a w ich życiu nie wiele zmian zaszło. W ich życiu? Zaprędko uogólnia to, co może powiedzieć tylko o sobie. Siedziała ciągle w tej samej dziurze, dawała lekcje i żyła z dnia na dzień w atmosferze trosk, kłopotów, wrażeń tępych i jednostajnych.

Życie Anny było odmienne. Dziewczyna zamożna, niezależna umiała wypełnić każde mgnienie treścią bogatą i różnorodną, stąd ta werwa, ten temperament fantastyczny i nieujarzmiony.

Siadła przy biurku i pismem nerwowem, nierównem odpisała: „Anko moja! Oczekuję Cię jutro o szóstej wieczorem (u siebie rozumie się). Dziś jestem bardzo zajęta. Spodziewam się słówka odpowiedzi. Do miłego widzenia.

Twoja *Zosia*".

List Anny wywołał szereg wspomnień i rozmyślań.

Odtwarzała dziś z zdumiewającą plastyką i dokładnością każdy niemal moment ich wzajemnego stosunku.

Co się zrobiło z dawniejszej Anki? Za szkolnych czasów był to dzieciak wrażliwy, giętki, zdolny i tak jakoś kokieteryjnie-ambitny. Usposobienie miała zmienne, nierówne, niekiedy dziecięco-figlarne, a częściej posępne i chmurne. Dużo tam było porywów fantazji.

Po ukończeniu gimnazjum wyjechała na uniwersytet, potem widywały się dorywczo.

Komiczna była jako studentka, niby mądra, niby uświadomiona, niby nad czemś bolejąca, a w gruncie rzeczy taka jeszcze dziecinna ze swoim kultem dla męskiej logiki. Zginając przed nią kolana, starała się każdą swą myśl budować podług szkolarskich przepisów. Jej sylogizmy prawidłowsze były od sylogizmów Arystotelesa.

Jednak ten mały, podówczas niespełna szesnastoletni dzieciak miewał swoje katusze. Zetknęła się wtedy bardzo blizko ze społecznemi zagadnieniami

Obowiązki ciężkie, nieodzowne stanęły przed jej oczyma, a ona, dzieciak rozpieszczony i samolubny, czuła, że im nie sprosta.

Pomimo to jednak, nie mogła wykreślić ich zupełnie z programu życia: sprzeciwiało się temu sumienie.

W potoku frazesów, słów błyskotliwych, a szybko gasnących, rozbrzmiewały niekiedy akcenty bólu.

Ha! co się z nią stało? Z zachodu los pchnął ją na wschód daleki.

Nie pisały odtąd do siebie.

Niekiedy dochodziły do Zosi jakieś niewyraźne echa, urywkowe wiadomości, że Anka pracuje, uczy się, że spoważniała i posmutniała bardzo, Przed trzema laty rozeszła się pogłoska o jej zamążpójściu. Potem wszystko ucichło.

Rozmyślania przerwał posłaniec.

„Droga Zosiu, — pisała Anka. — Jutro przyjdę do Ciebie. Dziś będę na obiedzie u Gieni. Może wstąpisz do niej na chwilkę?

Twoja *Anna*".

Zastanowiła się trochę. No cóż, może opuścić lekcję i pójść do Gieni? Nie lubi jej wprawdzie, lecz przecież trudno na wszystko zważać.

Dobrze jest od czasu do czasu przyjrzeć się starym, dobrym znajomym... To wzmacnia nerwy, a jak poucza!

Ubrała się i wybiegła z domu.

Nastrój zmieniał się powoli. Nie trzeba znowu tak bardzo się rozczulać. Stare, głupie, dawne związki zawierały się na oślep w nieopatrznej młodości. Dzisiaj tak mało między niemi wspólnego. Anna bądź co bądź była tylko modną zdemokratyzowaną panną, a Zosia... Boże kochany, Zosia nie wie sama, czem była! Albo to życie pozwoliło jej być czem?

Jej demokratyzm jest niewątpliwy, lecz to zasługa nie duszy, a tylko tej marnej egzystencji, co wiecznie wisiała pomiędzy niebem a ziemią.

Zresztą po co oskarżać los? Była głupią dziewczyną, jucznem bydlęciem. Po to tylko miewała porywy, aby tem ostrzej odczuwać swe jarzmo. Nie próbowała go nigdy zrzucić.

Czy żyła w przeciągu tych dziewięciu lat, czy poza pracą wyrobniczą i przymusową robiła coś nie dla chleba? Szukając gorliwie, znalazłaby trochę prób i usiłowań, lecz o nich mówić nie warto.

Czy choć żyła dla samej siebie, czy uszanowała przynajmniej swoje indywidualne potrzeby? Gdzie tam! Jej biedne ja było bardziej pokrzywdzone przez nią niż ogół; obchodziła się z niem, jak z istotą kochaną silnie, lecz despotycznie: wychowywała sama siebie, a kunszt ten, jak wiadomo, polega głównie na tłumieniu i hamowaniu naturalnych porywów. Obcinała nożycami rozsądku najpiękniejsze, najbujniejsze pędy swej duszy.

Głupia rzecz te spotkania! Człowiek mimowoli zaczyna grzebać haczykiem analizy w starym, brzydkim śmietniku przeszłości. Tak mało wartościowych skrawków!

Zosia uczuwa coś nakształt migreny.

Dobrze, że idzie na lekcję. Dzieciaki zaabsorbują jej myśl, nie będzie miała czasu na rozmyślania.

Po lekcji wraca do domu i ubiera się bardzo starannie. Chce ładnie wyglądać, aby na wstępie nie wyczytać z oczu koleżanki, że postarzała i zbrzydła.

Na ulicy ogarnia ją znowu gorączka wspomnień.

— Anka .. co się z nią stało... wyjeżdża zagranicę, lecz w jakim celu? Pewnie będzie przemawiała do mnie dobrotliwym tonikiem osoby z szerokiego świata. Ta dobrotliwość dźwięczała niekiedy i za dawnych czasów.

Otóż dom, w którym mieszka Eugienia. Razem z Zosią wchodzi jakaś wysoka, okazała dama. Może to Anka? Odrzuca tę myśl z niechęcią: czyżby jej koleżanka wyglądała już tak staro? Zrównawszy się z nieznajomą, przyjrzała się jej badawczo.

Rozumie się, nie Anna.

Dzwoni silnie. Drzwi otwiera Gienia z okrzykiem:

— Świetnie zrobiłaś, żeś przyszła!

Na ten okrzyk wybiega Anka. Przez chwilę patrzą na siebie.

No, chwała Bogu, nie bardzo się zmieniły i to ogromnie ułatwia przywitanie. Następują zupełnie szczere, pozbawione cienia afektacji pocałunki.

Wchodzą do jadalni na poobiednią herbatę. Siedzi tu pani Cytowiczowa, bratowa Anny.

Z początku rozmowa niebardzo się klei: trochę śmieją się, trochę żartują.

Zosia czuje, jak jej serce ogarnia miła, rzewna wesołość, jakaś łagodna melancholja wspomnień, jakieś młode, orzeźwiające, naiwne niemal powiewy uczuć.

Przygląda się koleżance.

Mało zmieniona, ba, wyładniała nawet. Cera piękna, matowa, jak dawniej, włosy krótkie, kasztanowate, usta nieprawidłowe, lecz miłe wdziękiem uśmiechów.

To samo czoło, te same ocz... nie, co znowu...

Zosia przygląda się uważnie. Boże mój, Boże, co ona ma w tych oczach? czy w nich zagasły już na zawsze dawne, wesołe połyski?

Całe szczęście, że Gienia trajkocze z Cytowiczową. Dzięki jej Zosia może mniej mówić, a więcej obserwować. Robi więc spostrzeżenia, a każdy rys uchwycony w Annie budzi w niej miłe, słodkie uczucie.

Grodecka odzywa się rzadko. Zdania jej są pełne, okrągłe (stara logiczna tresura); ton mowy spokojny, taktownie-zarozumiały, ton osoby rozumnej, która wie, że ją za taką uważają. Uśmiecha się często ustami, bo oczy?...

Ona ma coś bardzo smutnego w oczach.

Zdarzało się to i dawniej, lecz wówczas był to trjumfalnie obnoszony po świecie smutek młodości, która sądzi, że jest on niezbędnym dyplomem dusz dojrzałych i szlachetnych.

Dziś go maskuje pozorami pogody, a ta dyskretna powściągliwość świadczy tylko...

Zosia przestaje rozmyślać, gdyż rozmowa schodzi na ciekawe tory. Anka jedzie na uniwersytet.

Zarzuciła przyrodę, a zajęła się natomiast naukami społecznemi. Trochę wpłynął na to mąż. Nie żałuje zamiany: poprzednie studja dały jej metodę, teraźniejsze — zadowolenie. Zawsze ją pociągali przedewszystkiem ludzie. Ostatnie dwa lata spędziła na Syberji, gdzie mąż jej studjował urządzenia gmin tamtejszych. Owoc tych badań ukaże się niebawem w druku.

— Pomagałam mu dużo w tej pracy i przez co wykształciłam się w kierunku socjologicznym. Teraz spróbuję wystąpić samodzielnie, przedtem jednak trzeba zapełnić pewne luki.

Zosia jest trochę stropiona... Uczony... wspólnie pracują... Czemuż więc Anka tak dziwnie wygląda, skąd ten smutek, to zaćmienie?

— Czy mąż z tobą jedzie? — pyta raptem Gienia.

Twarz Grodeckiej mroczy się i sztywnieje.

— Nie, sama.

— Co, sama? Słyszałaś Zosiu? Kobieta młoda, ładna porzuca męża i jedzie na studja! A kochają się i, wyobraź sobie, są bardzo szczęśliwi?

Anna rusza ramionami.

Cóż w tem dziwnego? Przedewszystkiem jedzie na krótki czas, a potem znowu powróci. Zresztą mąż jej obecnie ma tyle pracy, że to osamotnienie wyjdzie mu tylko na dobre.

Zosia już coś odczuwa, a chce przyjść przyjaciółce z pomocą.

— Słusznie robicie: miłość i małżeństwo — to żadna atmosfera dla poważnych studjów.

Anna, nie rozumiejąc jej intencji, odpowiada z pośpiechem;

— Co znowu? moja uczoność nie przeszkadza ani trochę mężowi, przeciwnie znosi ją z rzadką tolerancją.

Gienia ma ochotę jeszcze coś powiedzieć, lecz Zosia pospiesznie zmienia temat.

— Czy pamiętacie ten dzień, kiedy opuściłyśmy szkołę? Pamiętacie? Mało w nas było radosnego trjumfu młodości. Swoją drogą miałyśmy sporo bojowniczego impetu. Co się z nim stało?

— Szczęśliwe czasy — wzdycha trochę konwencjonalnie Gienia.

Zosia oburza się.

— Daj pokój! Żałujmy źle zużytkowanej młodości, roztrwonionych sił, straconych nadziei, przekwitającej urody, ale nigdy szkoły. Powiedz tylko, moja droga, co nam dała szkoła prócz anemji i neurastenji? Chcesz coś powiedzieć o solidarności koleżeńskiej? My z Anką wiemy, z jakim mozołem utrzymywałyśmy jej pozory wśród towarzyszek. Równość? Śmiej się z tego! Wiesz dobrze, że tam były te same pięknie wyodrębnione warstwy, co i na całym świecie.

Anna zamyśla się.

— Wiesz co — mówi wolno — ja żałuję okresu szkolnego. Teraz marnie się żyje, bo już dusza nie rośnie.

Zosia przeczy: ona spostrzega w sobie i teraz duże zmiany. Pewne rysy zanikają, inne zjawiają się natomiast.

Anna wzrusza ramionami.

— Umysł wzrasta, dusza nie — mówi Grodecka tonem sawantki, czem ogromnie przypomina dawną Ankę.

Lecz ta mądra nutka szybko znika, pozostaje tylko ton szczerego smutku.

— Czyż nie odczuwacie tego, że dusze nasze nie zdobywają się już na nowe uczucia? Wymijamy dziś spokojnie osoby i przedmioty dawniej kochane, dziś oceniane tylko.

Zosia wzdryga się.

— Od czasu naszego rozstania nie zawierałam już wcale stosunków przyjaźni.

Wstają od stołu, aby przejść do salonu. Zosia raptem zaczyna się śmiać.

— Daj pokój, Anko, dusza rośnie! Przecież w tobie od niedawna zapewne wyrosły dwie cenne, nowe zalety: rezygnacja i tolerancja.

— O tak, a to piękny nabytek, — przyświadcza Anna. — Zaczęła chodzić po pokoju. Zosia obserwuje ją uważnie. Jest niby ta sama, a jednak inna. Postawa smukła, zgrabna, ubiór staranny, jak dawniej, znikł tylko dawny, ruchliwy, niespokojny wdzięk, młodzieńcza giętkość postaci. W kształtach jej znać pewien rozkwit, pewną rozłożystość, spokój i powagę. I chód odmienny. Ani śladu dawnej, wdzięcznej elastyczności. Chodzi wolno i dosyć ciężko, jak ludzie, co mają głowę, pełną trosk i myśli.

Zosia siada na fotelu, Grodecka podchodzi do niej i klęka na nizkim taboreciku. Światło lampy pada na jej twarz. Wydaje się ona Zosi bardzo dojrzałą, starą niemal. Napróżno jednak szuka śladów zmarszczek, skaz lub fałd.

Płeć bardzo biała, delikatna i gładka, oczy czyste, usta świeże, a pomimo to znać, że czas zwolna przeleciał nad nią. Jest w tej twarzy jakieś przyćmienie.

— Powiedz mi — odzywa się serdecznie Anna — jakeś przeżyła te dziewięć lat?

Zośka rusza się niespokojnie. Ciche, serdeczne zacisze zostało zmącone pytaniem.

— Bo ja wiem — odpowiada po krótkiem milczeniu.

A tak wielką jest w niej chęć utrzymania atmosfery zaufania i serdeczności, że nie może milczeć.

— Poczekaj i nie śmiej się tylko, gdyż spróbuję być malowniczą w swej odpowiedzi. Wyobraź sobie góry, a wśród nich wędrowca, jadącego na mule. Wędrowiec rozgląda się wokoło, choć widoki nie są bynajmniej ponętne, rozgląda się, bo już taką ma naturę. Muł stąpa zwolna, ostrożnie, stęka pod jukami, nie rozumiejąc nawet dokąd i po co idzie. Wyobraź sobie teraz, że ten turysta i ten muł — to jedna istota, a będziesz miała zarys mego życia. Jęczałam pod jukami, jak muł, a rozglądałam się po świecie, jak turysta. Nadmienię ci tylko, że więcej miało zwierzę do dźwigania, niż człowiek do podziwu. No, nie śmiej się, Anko.

Grodecka nie śmiała się wcale; w jej oczach malowało się serdeczne współczucie.

— Zosiu — zapytuje — czy ty pisujesz?

— Pisuję.

— Drukujesz?

— Nie.

— Dla kogo więc pisujesz?

Uśmiech.

— Dla siebie i dla szuflady. Najczęściej jednak palę.

— Dlaczego?

— Ach, to takie proste. Moje życie i moja dusza składają się na to, że nie mogę tworzyć zdrowo i harmonijnie. Zjada mnie brak czasu i podniet. Tworzę rzadko, wybuchowo, dotknięta zazwyczaj jakąś bolesną ostrogą. Tworzę w nocy. Pomyśl tylko, Anno, co może dobrego podszepnąć ból, gorycz, noc i tęsknota? Przecie zostało mi trochę poczuć społecznych, które nie pozwalają na szerzenie zarazków moralnych. Chciałabym coś pisać na temat *sursum corda*, a nie umiem, nie mogę.

— Więc po co pisujesz?

— Bo ja wiem? Gdy opanuje człowieka głupi popęd bazgralski, trudno nie pisać.

I pomimo surowego potępienia prac swoich dorzuciła z odcieniem żalu:

— Teraz rzadko mię nawiedza.

Anna interesowała się coraz bardziej.

— Jakie tematy wybierasz najczęściej?

— Dziwaczne, naprzykład: bojaźń życia, choroby woli, złudzenia wyobraźni i uczuciowe omyłki.

Oczy Anny zabłysły.

— Poczekaj — przemówila — bojaźń życia? to coś ciekawego!

Zosia ożywiła się i pomimo całej tyranji dla dzieci swego ducha pragnęła przedstawić je barwnie i plastycznie.

— Bojaźń życia — zaczęła — różnie wygląda. Ja biorę człowieka dużej wrażliwości, pragnień wielkich, a niezaspokojonych. Gniecie go przez długie lata tyranja dni powszednich, oślepia szarość życia, ogłusza brak dźwięków pełnych, harmonijnych. W tych warunkach zatraca on powoli zdolność upajania się pięknem, rozkoszą, szczęściem, a jednak, Bóg wie po co, przechowuje w duszy utajone pragnienia i tęsknoty. Nie prowadzą wprawdzie one do niczego, lecz za to są mistrzowskiemi narzędziami wewnętrznej katuszy. Biorę takiego człowieka i stawiam wobec natury pięknej, potężnej. Czy myślisz, że go ona ukoi?

Nie doczekawszy odpowiedzi, mówiła dalej:

— Upajają się nią tylko szczęśliwi, lub ci, co potrafią być szczęśliwymi. Upośledzeni przez los i życie odczuwają głęboko kontrast pomiędzy otaczającemi dekoracjami, a swoją wewnętrzną nędzą. Natura gnębi ich, przeraża, jej potęga drażni ich słabość, jej pełnia — pustkę duchową... Powstają w piersiach namiętne pragnienia obok rozpaczliwej niemocy.

Z głębi duszy podniósł się cień mroczny i osiadł w oczach mówiącej.

— Biedne istoty, chore, kaleki, bezbronnie obnażone, niby ze skóry obdarte. Nic nie osłania wrażliwości ostrej, nadczułej, drgającej z bolesnym wysiłkiem pod każdym silniejszym akordem. Znasz takie typy? Marny gatunek! Tak pragną życia, a tak przed niem tchórzą... świeży kwiat, świeże serce budzą w nich zachwyt obok obawy... Obawa zwycięża...

Anna milczała.

Po dłuższej przerwie rzuciła znowu pytanie.

— A jak przedstawiasz miłość?

Zosia zaśmiała się nerwowo.

— Ach zawsze nieszczęśliwie — rozpoczęła półżartem. — Staropanieństwo zagląda mi w oczy, nic więc dziwnego, że pesymistycznie traktuję te sprawy. Stąd utwory me obfitują w serca czcze, lub zranione, w dusze burzliwe, niespokojne.

— No, no, opowiadaj serjo, — napomniała ją Anna.

— Więc serjo! Dam Ci próbkę. Istnieje sobie na świecie jedna dusza dziewczęca, bardzo niespokojna i bardzo gorąca. Żyje sobie, kocha, cierpi, protestuje, walczy, wątpi, rozpacza nawet, a gdzieś w skrytkach swej myśli pieści nadzieję nieuchwytną a wdzięczną. Przypuszcza, że w dalekiej przyszłości czeka ją jakieś szczęście, czy jakaś boleść, jakaś ofiara, lub czyn wielki i wzniosły. Tą myślą żyje. Tymczasem lata przechodzą i nic nie dają dziewczynie prócz nikłych, rytmicznych wstrząśnień. W jej wnętrzu, niespostrzeżenie dla niej samej, zachodzi wielka zmiana: na powierzchni dawnej duszy narasta inna, nowa, zewnętrzna, taka dusza — futerał. Ona działa, sądzi, myśli i czuje we dnie powszednie, jest spokojną, rozsądną, dosyć w życiu wygodną... Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że niekiedy z pod duszy-powłoki wysuwa znękaną a zawsze burzliwą głowę dusza pierwszej młodości. Dni jej panowania są rzadkie, ale znamienne. Cała istota dziewczyny gnie się wtedy i szarpie w gwałtownych porywach, cała istota wstrząsa się od zgryzot i płaczów wewnętrznych.

Urwała.

— Zosiu — pyta się Anna — to dzieje duszy, a gdzie jej miłość?

— Bądź spokojną, gdzie jest Psyche, tam znajdzie się i Amor.

Otóż pewnego dnia dusza-futerał przemówiła z właściwym sobie rozsądkiem: Byłam dotąd błędnym rycerzem idei wielkiej miłości, całe życie spędziłam na samotnej tułaczce i bezowocnych poszukiwaniach, dość tego! Miłości nie znalazłam i kto wie, czy jestem do niej zdolną, trzeba teraz pokierować się rozsądkiem. Domyślasz się reszty, Aniu!

— Może — szepnęła — lecz ty kończ swoje.

— Epilog pierwszej części: małżeństwo z zasady. Część druga: pewnego pięknego dnia ocknęła się z letargu dusza młodości, owa biedna spętana Psyche i wiesz, czego zażądała od Amora? Prawdziwie zabawnych rzeczy! Całkowitego zespolenia serc i umysłów, wzajemnego wczuwania się, wmyślania, pełni

uczuć, różnorodności momentów współżycia. Jak ci się podobają tego rodzaju aspiracje?

— Kończ.

Koniec łatwy do przewidzenia. Któż może spełnić takie chimery? Rozstaje się z mężem, idzie w świat. Rozumie się, że marnieją oboje.

Anna zrywa się z miejsca.

— Przejdźmy się trochę.

Wstają i chodzą po pokoju.

— Twe pomysły nie są tak dziwaczne, możnaby je zużytkować.

Zośka śmieje się.

— O, moja droga, ja daleko rozsądniej opowiadam, niż piszę. W mowie posiadam pewną tresurę jasnego dnia, pewien spokój — trzeźwość. W piśmie to zanika. No, dość już o mnie.

Z akcentem zazdrości dodała:

— Ty masz więcej do opowiadania, twoje drogi otwarte, cele szerokie, masz pracę, którą kochasz.

Z nieopisanym akcentem szyderstwa odparła:

— O, mam!

Zaczęła krążyć po sali prędko i porywczo.

— Do twoich tematów dorzucę ci nowy, czy dobrze? Typ dekadentki... krzywisz się? Powiadam, że nowy, zupełnie nowy. Dekadenci zwyczajni nic nie robią, w nic nie wierzą, tylko analizują, krzywiąc nosem na to lub owo. Dam ci typ zgoła inny, pozornie zagadkowy, lecz uspokój się, będę kluczem, za pomocą którego otworzysz tę tajemnicę. Typ taki pracuje, rusza się, dąży do czegoś, poświęca się nawet, a w duszy ma... próżnię uczuciową. To straszne nieszczęście taka próżnia, jeśli ją spostrzegamy w sobie. Ja spostrzegłam od dawna, ale dziś gnębi mię ona silniej niż dawniej, może dlatego, że wówczas łagodził ten brak pewien zakątek duszy, wypełniony... miłością...

Zawahała się przez chwilę.

— Myślałam, że czyny zastąpią uczucie, gdzie tam! Czyn powinien być wyrazem uczucia, a nie jego surogatem. Uczucie tylko może być motorem życia, a jeśli go zbraknie, nic nie zapełni tej luki. Czyny zaspakajają tylko sumienie, lecz nic nie dają człowiekowi.

— Jak wiesz, pracuję na niwie wiary w przyszłość, w postęp, w doskonalenie się ludzkości. Pracuję tak, a wiesz, co myślę? Myślę, że najlepiej byłoby nie żyć. Jestem z natury dość uczciwą i konsekwentn, sądzę zatem, że trzeba albo umrzeć, albo żyć i pracować dla tego, co najlepsze. Nie miałam odwagi umrzeć, więc stanęłam po stronie nieszczęścia i bólu. Pracuję.

Była bardzo znużona.

— Mówiłam dziś dużo, a odzwyczaiłam się już od tego. Moje teraźniejsze otoczenie składa się z ludzi rozumnych, zrównoważonych i jednolitych: tacy nie bawią się psychologicznemi zabawkami.

— Czasami wielbię takie natury, a czasem czuję do nich niechęć;

zależy to od tego, jako sobie tłómaczę podstawę tej jednolitości. Niekiedy przypisuję ją skoncentrowanej uczuciowości, niekiedy ślepej doktrynie, odrzucającej wszystko, co nie pasuje do jej ramek. W każdym razie obce im są olbrzymie obszary życia.

Z pewnym wysiłkiem dodała:

— Nawet mój mąż nic nie wie o tych zakątkach duszy, gdzie ukrywa się myśl psychologizująca. Nie zamykam ich przed nim, lecz on tam nigdy nie wchodzi, nie podejrzewa nawet, że istnieją podobne kryjówki.

Znowu zamilkła. Posmutniały obie.

Na zmartwychwstałą w cieple dawnych wspomnień przyjaźń spadł nagle zimny szron przebytych bolów i zawodów. Pod jego dotknięciem serca ścisnęły się bojaźliwie i nieufnie, a usta zawarły na dłużej. Milczenie przerwała Cytowiczowa propozycją rozejścia się. Nikt nie oponował. Pożegnały Eugienię i wyszły. Na rogu ulicy Anna z Cytowiczową wsiadły do dorożki, a Zosia poszła dalej sama.

— Do jutra, zawołała Grodecka, odjeżdżając.

Na drugi dzień wieczorem Zosia z niepokojem oczekiwała przybycia koleżanki. Odczuwała pewne skrępowanie i głuchą obawę. Wczorajszy paroksyzm otwartości minął bez śladu; nie miała ochoty wywoływać go na nowo.

— Weszłyśmy na spadzistą ścieżkę wynurzeń, — myślała. Wczoraj skończyło się na ogólnikach, lecz dziś... Nie potrafię się obnażać, a trudno być nieszczerą. O czem mówić będziemy?

Myśli te dręczyły ją. Pewne fakty z przeszłości, bolały tak bardzo, że sama radaby je zapomnieć, a tu ktoś miły, bezwiednie niedyskretny dotknie tej rany. Ba, kto wie, czy nie ogarnie jej znowu wczorajsza gorączka wynurzeń.

A Grodecka? Co to biedactwo dźwiga w wyziębionem swem sercu!

To tak niemiło mówić o swych uczuciach. Nie są już pensyonarkami... Głupio i śmiesznie rozprawiać o zawodach dusz, co oddawna już przestały „rosnąć". Godziny mijały, a nikt nie przychodził.

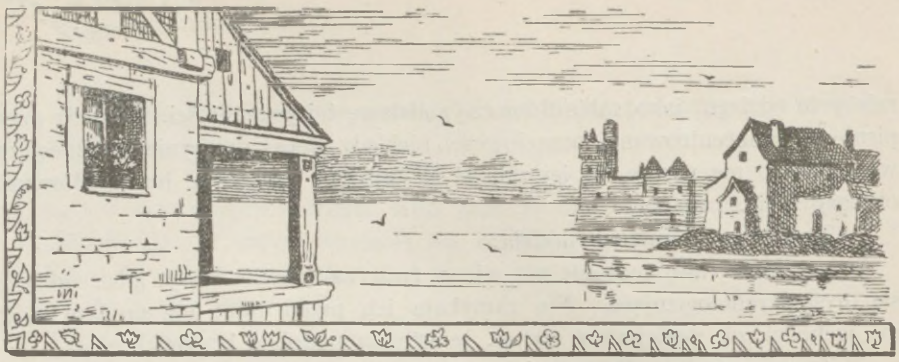
— Coś jej wypadło — myślała Zośka — może przyjdzie jutro.

Lecz Anna nie przyszła wcale, a tylko przysłała kartkę niedużą i wytworną.

„Droga moja — pisała — nie byłam wczoraj z powodu migreny; dziś o północy wyjeżdżam... Zosiu, nie pal swych utworów, bo najciemniejsze zakątki duszy mogą niektórym wiele rzeczy rozjaśnić. Te dwa tematy, o których wspominałaś, opracuj i wydrukuj. Mam nadzieję, że od autorki dostanę po egzemplarzu. Tam odnajdę sporo z tego, czegoś nie zdążyła opowiedzieć podczas krótkiego naszego spotkania.

Twoja *Anna*".

Warszawa. *Lasota.*



Próbka komizmu zeszłowiecznego.

Leży przed nami rękopis in folio, znacznie przez czas i robactwo zniszczony, z wiele mówiącym tytułem: „Liber dramatum Collegii Crasnostaviensis Soc. Jesu ab anno Domini 1732“; doprowadzono go do r. 1750. Mieści się w księdze spora ilość dramatów szkolnych polsko-łacińskich, jakie wówczas w modzie były. Jedna ze sztuk, pochodzenia miejscowego, ma za przedmiot wyśmianie skąpstwa. Tytuł nosi: „Siccitas liberali dictione elusa et proscripta calamo“, coby przełożyć można: „Sknerstwo szczodrą mową wyśmiane i piórem ukarane“. Przedstawiono tu skąpca Wędzigrosza, który zdobywszy wielki majątek, cieszy się widokiem złota, odmawia sobie nawet najniezbędniejszych rzeczy, zostaje wreszcie sprytnie wywiedziony w pole i okradziony przez trzech rzezimieszków; kończy sztukę sąd nad nimi. Rzecz napisana jest po łacinie ze scenami polskiemi, w których dowcip ówczesny się przebija; takie sceny, jak z kucharzem, żołnierzami, gośćmi i szlachcicem w sądzie, należą do tak zwanych intermedjów ówczesnych, mających na celu rozweselenie publiczności; zresztą cała ta gra od początku do końca do przedstawień komicznych należy.

Przytaczamy tutaj pierwszą scenę polską z tej sztuki: Wędzigrosz każe służącemu przywołać kucharza, aby mu wieczerzę zgotował, wolałby jednak nie jeść, gdyż wstrzemięźliwość bardzo jest zbawienną, a wydawanie pieniędzy nieprzyjemnem.[1])

Wędzigrosz (do kucharza) Ej miły bracie, jużem się też przepościł; gdybyś mi co smacznego a nie drogiego nagotował.

Kucharz. Na dyspozycji rzecz należy. Rozporządź Waćpan, a ja w lot na pierwszą po północy zgotuję.

[1]) Pisownię zmieniamy na dzisiejszą.

Wędzigrosz. Pierwsze niech będzie co ciepłego, drugie żółto-gorące, trzecie — najukochańsza — moja potrawa, wszak wiesz? Przydaj co na zimno; może być i volatile.[1])

Kucharz. Na tak przepyszną kolację, trzeba najmniej złotych trzydzieści.

Wędzigrosz. Hebes z ciebie wierutny, partacz! każdyby tak potrafił wziąć i zgotować. Chcesz pokazać kucharską sztukę, z niczego coś wyrób.

Kucharz. Mniejsza o to, krótki czas, pokażę przemysł kucharski.

Po chwili sługa donosi, że potrawy są gotowe i nakrywa stół obrusem. Wędzigrosz gniewa się na to, gdyż płótno 15 groszy kosztuje. Gdy potrawy przynoszą, mówi z gniewem: „A pókiż tego noszenia będzie! Wszystkąście gadzinę[2]) wyrżnęli!

Kucharz. Nie turbuj się WPan, i fenika to WPana nie kosztuje.

Wędzigrosz. Toś mi poczciwiec! Mam też apetyt niezmyślony. Bodaj wam się co zostanie. Jestże wszystko wedle woli mojej?

Kucharz. Do odrobiny.

Wędzigrosz. Ale to pierze!

Kucharz. Nad pierze niema nic cieplejszego. Powoli, bo się WPan o żółto-gorące sparzysz!

Wędzigrosz. To szczery ogień!

Kucharz. Ale i żółty i gorący!

Wędzigrosz. O wielką mię gorączkę przyprawisz tak rozpalonemi potrawami. Jest tu co na zimno?

Kucharz. Są Mości Panie rękawice, to *volatile.*

Wędzigrosz. A najukochańsza potrawa gdzie?

Kucharz. Są Mości Panie, wnętrzności baranie *alias* bembochy, lelochy,[3]) płuca.

Wędzigrosz. Widzę, nie z jednegoś pieca chleb jadł, przebieglec-eś wielki. Nakarmiłżeś mię, nakarmił konfuzją.

Kucharz. A czego WPan chciał? Inaczej z niczego nic nie będzie. Darmo to bicz z piasku kręcić, i mucha samym wiatrem nie żyje.

Widząc, że inaczej wieczerzy nie będzie jadł, decyduje się Wędzigrosz wydać kucharzowi potrzebnych do niej rzeczy i mówi:

„Przynieś naczynie, tylko mierne“. Tu narzeka, że mu myszy szkodę w ziarnie czynią.

Kucharz. Rzecz dziwna, że tak dobrego WPana kota myszy się nie boją.

Wędzigrosz. Cóż chcesz, to albo ty, jakom słyszał, że sypiać nie możesz, to myszy łapaj.

Kucharz. Ej! bawi mię WPan, a już ku zachodowi nachylone słońce.

Wędzigrosz. Trzydzieści na mnie, dwadzieścia ziarnek na ciebie, na niego

[1]) Latające tj. coś z ptactwa.

[2]) Jak dziś u ludu — drób.

[3]) Bembochy to co dziś bebechy tj. wnętrzności; lelochy — zapewne toż samo, wyraz skądinąd nieznany.

(tj. na sługę) trzy. Jeszcze mąki na kluseczki weź i kapusty; kiedy hulać, to i hulać!

Kucharz. Trzebaby do tego masła!

Wędzigrosz. Ba jeszcze? Łoju, łoju albo skwarek! kluski mogą być tłusto z mydłem. Kapusty nie wycadzaj, a będzie do rosołu, do grochu weź słoniny po trosze, będzie dłużej: miarą kocie, idzie o cię.

Kucharz. Skromno WPan słoniny dałeś.

Wędzigrosz. To widzisz, myśliwskim terminem mówiąc, będzie skromna,[1]) to jest tłusta wieczerza. *Servata valent.* Trzeba to tego mieć na miesiąc.

Dalej rozkazuje Wędzigrosz słudze przynieść napoju. Sługa pyta, czy nie wina węgierskiego krasnostawskiego, wódki lub piwa. Ale Wędzigrosz dowodzi, że najlepszym napojem jest gęsie wino, rybie mleko czyli woda słodka. W dalszym ciągu sztuki nie dano było Wędzigroszowi zjeść tego dnia tak sutej wieczerzy, gdyż przyszli goście, zjedli wszystko, a nawet głęboko ukryte wino wypili.

Ze starego rękopisu przepisał

Lublin. *Rafał Lubicz.*

[1]) Tak samo dziś u myśliwych i w gwarach skromny znaczy tłusty.



WADY ODZIEDZICZONE.

Do naszych wad odziedziczonych, utrudniających rozwój społeczny, należy także fałszywy arystokratyzm i pewna szczególna organizacja umysłu polskiego. Nie mają one wprawdzie organicznego związku ze sobą, lecz są najwybitniejsze i dlatego kładę je obok siebie.

Co to jest arystokracja i arystokratyzm? Prawdziwa arystokracja polegaćby powinna na wyższości umysłu i obejścia, treści i formy, na wyższości ducha i życia. Prawdziwa arystokracja powinna być wykwitem zarówno estetycznym, jak umysłowym i społecznym. Byłaby wówczas zupełnie usprawiedliwioną. Człowiek wogóle swój pobyt na ziemi usprawiedliwić tylko może myślą, pracą i doskonaleniem się.

Arystokratyzm nie jest bynajmniej wyłączną cechą tej klasy społecznej, którą nazywamy arystokracją. Arystokratyzm jest cechą wszystkich warstw i typów społecznych. Wygalonowany szwajcar ma takie same poczucie swej wyższości wobec stróża kamienicznego, jak hrabia galicyjski wobec łyka krakowskiego, który nie ma jeszcze ani tytułu, ani urzędu w szlachetnej hierarchji cesarsko-królewskiej.

W społeczeństwie polskiem silnie rozwinęła się manja arystokratyczna. Manją tą są zarażeni aż do komizmu przedewszystkiem utytułowani i nieutytułowani parwenjusze i dorobkiewicze. Z ironji zawistnego losu, im bardziej upadała Rzeczpospolita, im głębiej tonęła nawa narodowa, tem więcej przybywało polskich hrabiów. Stulecie obecne, które miało być wiekiem humanizmu, braterstwa i cywilizacji, jest w istocie wiekiem wzbogaconych i opasłych parwenjuszów. Ludzie, oznajomieni z heraldyką i dziejami kraju wiedzą, jak się u nas roi od kreowanych hrabiów. Manja tytułów rośnie w postępie gieometrycznym.

Ta arystokratomanja tak panuje w społeczeństwie polskiem, że poczytywać ją należy za chorobę społeczną, brzydką, groźną i rozkładową. Doznaje się wstrętu i uczucia gorżkiego komizmu, na widok utytułowanych parwenjuszów,

którzy świeżo czy to przez małżeństwo, czy w inny sposób otrzymanym tytułem popisują się przy każdej okazji, i nawet bez okazji; na widok plebejuszów ducha krzykliwie i ostentacyjnie odgrywających rolę patrycjuszów; na widok tego pędu do próżności i tytułów, jaki ogarnia klasy mieszczańskie i pracujące zawodowo.

Ci, którzy burzyli stare przywileje, powstałe na pniu społeczeństw średniowiecznych, nie przewidywali, że z tych przywilejów pozostał nietknięty jeden — pieniądz, który za nie wszystkie wystarczy, który będzie podwaliną nowego feudalizmu, tem różniącego się od dawnego, że średniowieczny fundował się na polu bitwy, współczesny — w szacherce giełdowej i wyzysku pracy.

Dziwną też jest i dziwniejszą zapewne jeszcze będzie arystokracja, jaką wytworzyły te czasy. Składa się ona z niedobitków starej arystokracji rodowej, która sprzedaje swoje nazwiska i herby nadętym i głupim parwenjuszom; ze wzbogaconego mieszczaństwa żądnego właśnie tych herbów i nazwisk; z kosmopolitycznych bankierów, awanturników i rozmaitych indywiduów z pod ciemnej gwiazdy, które potrafią wykazać taką a taką wysokość rocznego swego dochodu.

Cóż będzie łącznikiem między temi żywiołami? Na to bardzo trafnie i świetnie odpowiedział w swoim czasie Mickiewicz: „Filozofowie szkoły Woltera, żydzi bankierzy i potomkowie bohaterów krucjat, łączą się razem we wspólnym interesie. Rozdzieleni dotąd przekonaniami religijnemi, przegrodzeni uczuciami politycznemi, znajdują w końcu wspólny wszystkim dogmat — interes.“

Takie są znamiona arystokracji współczesnej. Obok cech ogólno-europejskich, które wypływają z natury tej pieniężnej epoki, nasze stosunki mają jeszcze cechy szczególne i z pewnością tak śmiesznie rozwiniętej manji arystokratycznej, jak u nas, nie ma w żadnem społeczeństwie europejskiem. Ta arystokratomanja panuje na wsi, w mieście, w gminie, w parafji, w salonie, w restauracji, na ulicy i na spacerze. Zarażona jest tą chorobą szlachta, mieszczaństwo, kupcy, hrabiowie, kantorzyści i szwaczki. Im mniej w warunkach społecznych jest pola i środków do odznaczenia sie, czy to pracą, czy talentem, czy umiłowaniem idei powszechnych, im mniej gruntu, na którymby powstać mogła arystokracja zasługi, tem więcej próżności wśród tak zwanych średnich i wyższych warstw społecznych.

W Galicji powstała sztuczna arystokracja. Istna plaga tamtejszych stosunków; robi ona temu krajowi opinję siedliska dzikiej i ciemnej reakcji. Nawet Tarnowski, pomimo swoich patrjarchalnych usposobień, powiada, że gdy się przyjeżdża z Galicji, trzeba zrobić wiele usiłowań, zanim się przekona ludzi, że się nie jest hrabią galicyjskim. Utytułowani parwenjusze są plagą społeczeństwa i smutno myśleć i patrzeć, jak ich ciągle przybywa, jak na miejscu rozsypującej się w gruzy arystokracji rodowej, potężnieje coraz więcej nowa arystokracja, bynajmniej nie lepsza, samolubna i arogancka, chciwa i pretensjonalna, bez tradycji i bez idei, z jedynym dogmatem rubla i guldena, z pogardą dla ludu i jego praw dla ziemi i pracy. Nazywa się ona głośno i butnie konserwatywnym żywiołem społecznym. Rzecz prosta, wiadoma, co oznacza

taki konserwatyzm. Oznacza konserwowanie swojej synekury społecznej i swoich przywilejów, oznacza nienawiść reformy i lepszego losu klas niższych.

Obok tej wady społecznej, głębiej w skutkach sięgającej, niż na pozór zdawać się może, mamy drugą wadę, także po ubiegłych wiekach i pokoleniach odziedziczoną, wadę umysłowości naszej, którąbym nazwał brakiem narządu analitycznego w mózgach polskich. Występuje ona szczególnie na jaw w postępowaniu i rozumowaniu politycznem.

Nie darmo jesteśmy polakami, potomkami swoich przodków, synami narodu, którego mózg polityczny jeszcze ku końcowi szesnastego stulecia podległ częściowemu porażeniu i bardzo powoli funkcje swoje odzyskuje. Nieład myśli, chaos wrażeń, upajanie się na ślepo słowami i hasłami, których istoty nie sprawdzamy — to przyrodzone prawie cechy naszej organizacji narodowej, właściwe i białym, i czerwonym, i lojalnym i nieprzejednanym. Rozpacz ogarnia, kiedy się widzi to panowanie słów i haseł, kiedy lekkomyślność i krzykliwa głupota pozują na powagę. Umysł polski łatwy i zapalny, wrażliwy i kosmopolityczny, nie posiada tej dyscypliny wewnętrznej, tego daru dokładnych definicji, tego porządku w rozumowaniu i postrzeganiu, które są niezbędne do wykształcenia rozumów i charakterów, do działania, sądzenia i wnioskowania. Warunki zewnętrzne, zmierzające wprost do zamknięcia pewnych kategorji pojęć i obniżenia charakterów, utrwaliły panowanie opinji szablonowych, słów głośnych i wrażeń przelotnych. Długi stan bolesnego naprężenia nie sprzyja rozwojowi pozytywnych zalet charakterów. Nasz temperament wydaje poetów, powieściopisarzów i artystów; brakuje nam myślicieli, analityków i uczonych. Entuzjazmowi naszej duszy towarzyszy lenistwo naszego umysłu. Jesteśmy najwrażliwszą i najpowierzchowniejszą gromadą ludzką w Europie. Nawet te stronnictwa i grupy, które ogłosiły światu i narodowi, że posiadają monopol na rozum polityczny, ujawniły niezgorzej od innych odziedziczone wady społeczne i umysłowe.

Uparta ciasnota poglądów nie jest rozumem politycznym. Taki „rozum“ w swojej ślepocie lub zacietrzewieniu pragnąłby życie narodowe sprowadzić do jednej ograniczonej formuły, do płaskiego poziomu chwili. Nie rozumie on ani idei historycznej, ani temperamentu rasy, ani nieskończonego łańcucha wspomnień i tradycji, łączącego odległe pokolenia z obecnem. Nie utożsamiajmy rozumu politycznego z kupiecczyzną, bo w takim razie najlepszych polityków dostarczałyby sklepy korzenne i łokciowe. Człowiek, obdarzony istotną inteligiencją polityczną, będzie miał tę wyższość umysłu i wrażliwość, które go utrzymają w trwałem współczuciu i współrozumieniu z duszą narodową, z jej wykwitem historycznym, z jej podaniami, marzeniami i ofiarami.

Życie nasze jest tylko dalszym ciągiem poprzedniego, wyobrażenia tradycji przenikają nasze własne pojęcia, walczymy z osiadłym u nas duchem ojców lub mu ulegamy, posiadamy nowoczesne pojęcia, lecz stare zwyczaje i odruchy. To nieskończona wojna pokoleń: ci, których popioły spoczywają dawno w grobach, żyją i działają u nas i przez nas. Żywi grają bezustannie benefis na

rzecz umarłych. Wady odziedziczone sprawiają, że jesteśmy społeczeństwem zgnębionem, rozproszonem, nerwowem i egzotycznem w pewnych grupach, zacofanem, zaniedbanem i nieokrzesanem w masach. Nie ma drugiego narodu w Europie, z takiemi przeciwstawieniami i sprzecznościami, z takim brakiem wspólnych mianowników, z tak małem poczuciem karności wewnętrznej, z taką masą luzem krążących egoizmów, niezwiązanych żadną nicią i hasłem.

Warszawa. *Bolesław Lutomski.*





O czem trawa gada.

Dobra mi chwilka padła od rana:
Leżę sobie w stogu siana,
Woń traw, drzew płynie dokoła:
Łączą się z sobą, pierś zalewają;
Jakby dłoń Boża dotknęła czoła
Bole się koją, troski znikają...

Jak tu rozkosznie! Wietrzyk powiewa,
Skowronek wzleciał i piosnkę śpiewa;
Rzeczka rozkuta z pętów lodowych
Pieści, całuje skroń siostry ziemi,
I pod uściski ich piastuńczemi
Strzela rój trawek — dzieci majowych...

I ja skroń chylę — zda się, że słyszę
Drganie tętn ziemi — jam jej dziecięciem!
I tonę z trawką, z falą, z ptaszęciem
W jej wiekuistą piękność i ciszę...

Roztopiła się istota ma cała,
W jedną miłość ze światem się zlała:
Żółć, zwątpienie już się w niej nie mieści
I łzy dawne z oczu mi nie biegą —
Wszechświat odjął połowę boleści
A pół szczęścia oddał mi swojego!

I nic już przy mnie, ni nademną:
Nie wiem czyli mi jasno, czy ciemno,
Czy radośnie, czyli też boleśnie?
Tylko chciałbym tak pozostać we śnie
I przez wieki słuchać pieśni świata,
Pieśni zgody, co może brzmieć będzie
I śród ludzi, gdy los ich pobrata,
I gdy szczęście rozleje się wszędzie.

W przyrodzie niema sieroty!
Ona matka — i jej łańcuch złoty
Wszystkich łączy. Kto brata ni drużki
Niema sercu — niech popatrzy bacznie;
Jak skinieniem czarodziejki-wróżki
Zdrój miłości w pierś mu spływać zacznie.

Cała ziemska sfera
Jak swemu piersi otwiera.

Kwiat miękkie puchy pod skroń mu podściele,
Ptaszę zaśpiewa piosnkę w puszcz kościele,
Gwiazdka pośle błysk promienia;
Poczujesz się synem, bratem
Całej przyrody, jak w chwili stworzenia,
Gdy pierwsza jutrznia zabłysła nad światem.

I jam kropelka w tym oceanie,
Tylko dziś w ludzkiej postaci.
Jutro — któż zgadnie, co się stanie,
Gdy dług doczesności spłaci?

Może to wątłe ludzkie ciało,
Gdy w ziemi skryte spróchniało,
Odradza się znów kwiateczkiem?

Może da pokarm krasnej kalinie?
Skryje w gałązki ptaszę z gniazdeczkiem
I z cienia piosnka popłynie?
Ptaszę się zbrata z liści szelestem —
I może kiedy potęgą cudu
Piosenka dźwięknie: „Przy tobie jestem,
O ziemio moja, ja — spiewak ludu!“

Kto wie? może ja żyłem przed laty,
Jak roślina lub ptaszek skrzydlaty?
Dziecię? starzec? nie wiem — wy wątpicie?
Wszakże ciało nie atomy drobne —
Źródło jedno, choć kształty osobne:
Liść, kwiat, owoc, próchno — i znów życie.

Dałaś matko i weźmiesz to życie, —
Tak być musi — i tak być powinno;
Przetopisz je, przekształcisz w nowym bycie
Twą dłonią wiekuiście czynną.
Tak być musi — a więc czemuż mi smutno?
Jak dziecku odebranej łątki,
Jak ptaszynie, gdy piosnkę nagle utną,
Żal mi snów ludzkich pamiątki,
Żal serc, które obok mego biły,
Myśli orlich, wspólnej pracy ładu;
A dziś — nie wiem, gdzie szukać ich śladu?
Więc klnąc, płacząc, padam na mogiły.

Boś ty, ziemio nasza, taka śliczna!
I tak dzieciom twoim ulubiona!
Jak strop nieba kąpie toń kryniczna
Ty odbita lśnisz nam w głębi łona.
Gdyby Bóg przestrzeń swych niebios ogromną
Zalał blaskiem i czarem bez końca —
Jeszcze dzieci twe ciebie nie zapomną,
Matko nasza krwią i łzami lśniąca!
Jabym w niebie chciał mieć dworek biały,
Kędym leżał dziecięciem w kolebce;
Niech rycerskie dumne pieśni chwały
Stary dąb ponad głową mi szepce;
Niechaj morze woni mię opłynie
Od lip starych z ojców mych ogrodu,
Chcę mieć wszystko w wieczności krainie
Czem pierś moja dyszała za młodu.
Wszystko! Nie! to nad Twą nawet moc, Boże!
Raz kwiat kwitnie, pierś drga snem młodości,
Myśl się rwie, z orły pod niebem gości,
Lecz tak drugi raz czuć — czyż sił stać może?
Nie! Gdy Bóg jest? to mądry, miłosierny,
On mrącym niepamięci śle anioła;

Zetrze nas w proch na piersi matki wiernej
I w nowych kształtach do życia powoła.

. . . . . .

Więc zrywam się z posłania, choć sen był słodki...
Wszak i po mnie ludzie będą;
Pochwycą pieśni dawnej zwrotki
I z niemi w kole życia siędą!
To dziatwa, to synowie moi ---
Z tych samych prochów i z krwi bratniej;
Ich orszak często w oczach mi stoi
Jak sen mej duszy ostatni!

. . . . . .

Młot w dłonie! spiesz się do trudów — drużyno!
W miarę klęsk zapał się wzmaga:
Kujmy — przy pracy niechaj pieśni płyną,
Może się dola ubłaga?
Dziatwa podrośnie — a my spracowani,
Spokojnie zejdziemy w ziemię,
Szepcąc: „My wierne sługi twe, o pani!
Pobłogosław ludzkie plemię.
Zabierz nas z życiem, z sercem naszem wszystkiem,
Mniejsza czem będziem w zagrobie —
Czy duchem wolnym? czy zdeptanym listkiem?
Byle być wiecznie przy tobie!“

O zmroku.

Oto zmrok zapadł — ziemia uciszona
Pełnemi pierśmi oddech nocy pije;
Srebrzyste lilje otworzyły łona,
I pragniesz kochać, i drżące ramiona
Zarzucić komuś na szyję.

Najlżejszy powiew drzew liści nie trąca,
Śnią o rozkoszy zadumane róże;
Zda się pokoju przyrody nie zmąca
Nic — tylko jakaś gwiazda spadająca
Zagasła w niebios lazurze...

Tak dusza ludzka przycisza swe bole,
O całodziennych troskach zapomina;

Zmarszczki się gładzą na wyniosłem czole
I duch, w promienną strojny aureolę,
Ku niebu skrzydła rozpina.

Zda się, nic jego spokoju nie zmąca;
Jakby pozbywszy ciężaru istnienia
Pływał na blasku srebrnego miesiąca;
Wtem nagle — niby gwiazda spadająca —
Przeleciał odblysk wspomnienia...

I błoga cisza pierzchła w jednej chwili
Pod tchnieniem tego przeszłości anioła:
Kiedy przyroda puhar szczęścia chyli,
Chwili spokoju, chwileczki motylej
Człowiek osiągnąć nie zdoła.

Cisza.

Cisza nakoniec. Po długim dniu znoju,
I trosk poziomych i marnych zabiegów,
Dusza osiąga godzinę spokoju
Jak łódź zbłąkana, gdy dosięgnie brzegów.

W głos rozśpiewały się polne koniki,
Od białych floksów płynie zapach miodny
I błędne z niebios spływają ogniki
W przestwór srebrzysty, przezroczy, pogodny.

Świat taki piękny, iż chce się uwierzyć,
Że nic prócz szczęścia i czaru nie mieści;
Tylko, że dosyć w pierś własną uderzyć,
By jękła krzykiem bezdennej boleści...

Świat taki piękny w cichą noc sierpniową!
Oto na falę księżyc blaski sieje
I drga w powietrzu jakieś wielkie słowo
Ukoju; — wiosny iszczą się nadzieje:

Przez dzień pod sierpem opadały kłosy
I krasny owoc dojrzewał na drzewie,

A teraz jeszcze pracowników głosy
Zmieszanym gwarem wiatr niesie w powiewie.

Cisza nad ziemią — i cisza na niebie;
Rosa perłami na kwiatach osiada,
A pieśń ma rwie się i leci do ciebie
I jak kwiat wonny na piersi ci spada.

Cisza nakoniec. Tylko drzewa szumią
I swoją cichą, tajemniczą pieśnią
Zganiają troski, bóle serca tłumią
I dają duszy nad tą ziemską cieśnią

Godziny śmiałych wzlotów, złotych marzeń;
Chwile wędrówki po słonecznych światach,
Kędy duch szuka podnioślejszych wrażeń
Lub odpoczynku chwili — snu na kwiatach.

W taką godzinę otwiera swe wnętrze
Pierś ludzka — niby podwoje kościoła —
Wszystkiemu, co jest najwyższe, najświętsze,
I chwilę życiem przeżywa anioła.

W taką godzinę myśl moja rwie pęta,
Tryjumfująca nad życia żałobą,
By lecieć do cię. — Godzina to święta,
Bo tę godzinę ja przeżywam z tobą!

Adam M-ski.

Odkrycia archeologiczne na wydmach stopnickich.

Gdybyśmy mieli mapę archeologiczną kraju, okazałoby się, że odkrycia dotyczące prahistorji rozrzucone są na podobieństwo drobniutkich wysepek na obszernem morzu niezbadanej powierzchni kraju. Nigdzie prawie nie dostrzeglibyśmy większej wyspy, wskazującej na systematycznie prowadzone poszukiwania. Znajomość kraju pod względem archeologicznym jest dotąd ułamkową i jednostronną, a większość odkryć dziełem przypadku. Wyorał ktoś urnę lub bronz przedhistoryczny, zainteresowany archeolog przyjechał, przeprowadził badania odkrytego zabytku i odjechał, bo spieszył gdzieindziej zbadać nowe przypadkowe odkrycia.

Mnożą się w ten sposób odosobnione dane — ale nie pozwalają na wyprowadzenie ogólniejszych wniosków.

W poczuciu, że systematyczne badania przywyższają dorywcze, choćby nawet były mniej owocne pod względem ilości oraz jakości odkryć, — obrałem za pole poszukiwań powiat stopnicki, nietknięty jeszcze stopą archeologa, i zająłem się przedewszystkiem zabytkami podległemi najszybszej zagładzie, więc pracowniami przedhistorycznemi. Rezultaty badań sześcioletnich przeszły najśmielsze moje oczekiwania. Do roku 1892 odkryłem takich stacji 25, do obecnej chwili 86. Pomijając zdobycie pewności, że powiat stopnicki jest gęsto usiany stacjami neolitycznemi, pomijając odkrycie mnóstwa okazów charakteryzujących wiek neolityczny, znalazłem się w posiadaniu wielkiej ilości typów i okazów miniaturowych narzędzi krzemiennych, znanych zaledwie kilku archeologom i uważanych dotąd za rzadkość, a do ostatnich lat jeszcze nieocenionych należycie pod względem naukowym. Ta serja narzędzi przedhistorycznych, obfitością swoją odrazu zwróciła uwagę moją na stacjach stopnickich. Ponieważ po największych prawie muzeach nie widziałem podobnych narzędzi, a i w literaturze mało jest o nich wskazówek, wydało mi się, że albo są jeszcze na wielu stacjach Zachodu, ale dziwnym trafem nie zwrócono na nie uwagi, — albo też drobne te, nikłe i delikatne przedmioty uległy zniszczeniu wraz z większością stacji Zachodu, zanim zdołały zwrócić uwagę zbieraczy.

Gdym opisał przed dwoma laty zawartość jednej większej stacji pod wsią Ossówką[1]), obfitość tych narzędzi obudziła podziw wielu wybitnych archeologów, choć większość, po dawnemu, interesując się powszechnie znanymi typami z mojej stacji, na te właśnie najciekawsze, nie zwróciła wcale uwagi.

Cóż to są za przedmioty, których legjon archeologów prawie nie zauważył dotąd na całym obszarze Europy, a których w jednym powiecie zebrałem może dwadzieścia razy więcej, aniżeli ich posiadają wszyskie publiczne i państwowe muzea razem wzięte?

Są to przedmioty dokładnie i celowo wykończone, o rozmiarach często niedochodzących jednego centimetra, — są to narzędzia tak drobne, że mimowoli cisną się do wyobraźni krasnoludki i chce się wierzyć, że to są raczej dzieła ręki tych bajecznych karzełków, aniżeli ludzi o naszym wzroście. Gdyby to były wytwory kaprysu lub przypadku, znane z jednej szczupłej okolicy, obojętność dla nich byłaby usprawiedliwioną; ale już przed dwudziestu laty znajdował je w małej ilości na kilku stacjach krajowych i opisał prof. Józef Przyborowski a po nim inni. We Francji również odkryto niektóre już przed kilkunastu laty w przedhistorycznych grotach. W ostatniem znów dziesięcioleciu pewną ilość

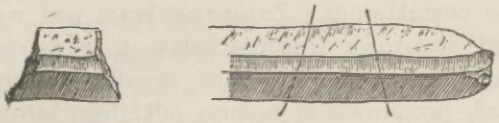


Fig. 1.

typów znaleziono w kilku odległych od siebie punktach Francji, Włoch, Hiszpanji, Portugalji i Niemiec. Fakta podobne dowodzą, że jest to tylko lekceważona i zaniedbana kategorja narzędzi, cechujących pewien lud, albo, co trafniejsza, pewien okres czasu. Ostatnie dopiero trzechlecie potwierdziło podobne przypuszczenie. Sygnalizowano już odkrycie podobnych narzędzi z kilku nowych miejscowości w Indjach,[2]) w Rosji na Krymie,[3]) w Anglji[4]), Belgji i Francji[5]) w niektórych miejscach w znacznej nawet obfitości. Takie fakty nadały nagle owym drobiazgom szersze znaczenie. Okazuje się, że i dawniej znajdowanoby je w wielu miejscach, gdyby baczność i kompetencja archeo-

[1]) Instruments de silex préhistoriques recueillis près du village d'Ossówka. Avec 22 planches, compr. 1602 specimens. Warszawa 1895 r. (po polsku i francusku).

[2]) J. Brown. On some small highly specialized forms of stone implements found in Asia, north Africa and Europe. Th. Wilson. Minute stone implements from India, 1894.

[3]) C. Mereszkowski. Rapport sur des recherches préliminaires sur l'age de la pierre en Crimée (Bull. de la Soc. russe de Géogr. t. XVI.)

[4]) W. J. Levis Abbott. Note on a remarcable Barrowat Sevenoaks. Note on some specialised and diminutive forms of Flint Implements (Journ. of the antropol. Inst. of Gr. Brit. 1895 vol. XXV.

[5]) Adr. de Mortillet. Les petits silex taillés à contours géometrique (Revue de l'école d'Anthropologie) Novembre 1896 r.

logów-obserwatorów, wykształconych na wzorach skandynawskich, nie została pochłoniętą przez narzędzia i typy okazalsze, analogiczne ze skandynawskiemi.

Dawniejsi zbieracze uważali snadź wszystko, co nie było im znane, za wióry i odpadki, więc nasze drobne narzędzia albo ginęły niepoznane w morzu bezwartościowych ułamków, albo nawet zebrane, podzielały ich los i wyrzucenie na śmiecie.

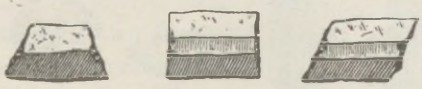


Fig. 2 Fig. 3 Fig. 4

Dlatego to właśnie muzea archeologiczne nie posiadają ich prawie wcale a w żadnem nie widziałem zupełnej ich kolekcji.

Nie miejsce tu na szczegółowy opis tych narzędzi, więc poprzestanę na podaniu najważniejszych typów w rysunku, ograniczając się krótką ich charakterystyką.

Pragnąłem jedynie zaznaczeniem faktu zwrócić uwagę szerszego koła miłośników i zbieraczy na nasze niepozorne wydmy oraz ich zawartość, jakoteż powtórzyć radę, która nigdy za często nie może być przypominaną: że przy eksploatacji zabytków archeologicznych należy baczyć nawet na to, czego nie znamy i o czem wątpimy, azali może mieć jakieś znaczenie. Lepiej też zebrać sto przedmiotów obojętnych dla nauki, aniżeli pominąć jeden ważny. Rozklasyfikowanie i ocenę dokumentów można zostawić doświadczeńszym oraz czasowi. Głównie zaś starać się zebrać porządnie materjał podstawowy.



Fig.
7 8 9 10 11.

Gdyby w ten sposób zbierano, — nauka rozporządzałaby już oddawna obfitym materjałem porównawczym w przedmiocie naszych drobnych narzędzi krzemiennych, których wielka ilość co rok, dzięki uprawie nieużytków, ulega bezpowrotnej zagładzie.

Jakie było przeznaczenie większości owych narzędzi — trudno na to odpowiedzieć. Niektóre należą do kategorji grotów, używanych do strzał, ale pewna ilość typów nie mogła być grotami — ani narzędziami do krajania. Tych użytek jest dotąd ciemny.

Do grotów należy przedewszystkiem bogata w okazy kategorja tabliczek, sporządzanych przez ukośne rozłamanie w poprzek wióra krzemiennego (fig. 1) i ogładzenie boków tępych przez odpowiednie szczerbienie. Są to najdawniej poznane groty dłutowate czyli tak zwane „strzałki o ostrzu poprzecznem". Pomimo, że uważane są za rzadkie, zebrałem dokładnie wykończonych parę tysięcy okazów. Wszystkie dadzą się sprowadzić do następujących typów:



Fig.
5 6 18 19.

1. Groty o kształtach trapezu (fig. 2)
2. „ prostokątne (fig. 3)
3. „ romboidalne (fig. 4)
4. „ nieregularne (fig. 5)

Każda z tych kategorji dzieli się jeszcze na prawidłowe (o ostrzach równoległych) i nieprawidłowe, (o ostrzach nierównoległych) oraz na groty o tępej linji boków prostej albo też krzywej (wklęsła lub wypukła). Panującym i normalnym typem jest trapez o ostrzach równoległych i bokach prostych (fig. 1). Wielkość tych narzędzi jest rozmaitą; w mojej kolekcji zawiera się pomiędzy 6 mm.—32 mm. wysokości, 8 mm.—25 mm. szerokości u podstawy trapezu. Większość mierzy około 12 mm. wysokości na 16 mm. szerokości u podstawy, a średnia z 1200 przemierzonych, nieuszkodzonych okazów wyraża się liczbami 13 mm. wysokości 15 mm. szerokości u podstawy 11.1 mm. w krótszem ostrzu. Są pomiędzy niemi bardzo wązkie a także bardzo szerokie. Te ostatnie stanowią naturalne przejście do dwóch innych kategorji narzędzi zagadkowych,



Fig.
12 13 14 15.

których typem jest figura 5-ta oraz figura 6-ta oraz figury 7, 8, 9, 10—15. Pierwsza kategorja nieliczna należy u nas do rzadkości — druga stanowi bogatą w odmiany serję tak zwanych ostrzów trójkątnych również zagadkowego użytku.

Pewna ich część mogła służyć za groty — inne formy czekają jeszcze na zdeterminowanie.

Inną serję, o której parę tylko wzmianek znajduję w literaturze specjalnej, składają grube, zatępione po obu stronach (bokach), zaostrzone nieco na końcu albo zupełnie prawie tępe drobne narzędzia wałeczkowate. Do nich zbliżają się krótkie, z obu końców zupełnie surowe i tępe grube narzędzia, noszące na bokach ślady zupełnego zatępienia. Tych kontury są zupełnie nieregularne.

Do tej samej kategorji należą, zdaje się niezmiernie małe skrobacze, przeważnie krótkie, krążkowate (figura 16, 17, 18, 19) o kształtach regularnych lub nieregularnych.

Należy tu także mnóstwo drobnych grotów do strzał, umiejętnie wyrobionych przez łupanie bez szczerbienia (fig. 20, 21) wszelkich kształtów. I tych brak zupełnie po zbiorach, a w literaturze prawie ich nie uwzględniano.

Obfitość drobniutkich wiórów w postaci wysmukłych i listkowatych narzędzi niedokończonych lub popsutych, jakoteż maleńkie rdzenie *(nuclei)*, nieprzenoszące długością $1^1/_2$ cm. uzupełniają ten dobór iście lilipucich okazów przemysłu przedhistorycznego.



Fig.
16 17 20 21.

Odkąd zwrócono uwagę na te narzędzia, spodziewać się należy, że nauka wkrótce rozstrzygnie liczne pytania, wiążące się z temi okazami, n. p. dotyczące rzeczywistego ich wieku. Dziś zdaje się, że należą one do początków okresu neolitycznego; tu i ówdzie jednak stwierdzono ich wiek mezolityczny.

Warszawa. *Erazm Majewski.*

„MAŁY EYOLF“ IBSENA.

Dla niektórych wyrobionych natur, najmilszemi będą zawsze w literaturze utwory, dotykające subtelnych i zawiłych kwestji, których pojawia się coraz więcej, w miarę, jak otaczające warunki stają się bardziej skomplikowanemi i komplikują też wszystkie stosunki ludzkie. Z pomiędzy wszystkich zaś najwięcej przedstawia różnolitych trudności kwestja wzajemnego stosunku małżonków.

Kwestja ta oddawna ogarnęła całą niemal literaturę. Stosownie do czasu, społeczeństwa, osobistych poglądów, przedstawiano ją ze strony religijnej, etycznej, utylitarnej, uczuciowej, tradycyjnej. Osnuto na niej niezliczoną liczbę utworów tak tragicznych jak komicznych, a przecież nie wyczerpano jej wcale.

Rzecz to naturalna. W miarę jak zmieniały się zapatrywania i pojęcia, zmieniać się musiały poglądy autorów, kwestja przybierała coraz nową postać, rozszerzała się, zahaczała o inne, przedstawiając też coraz nowe trudności.

Jeśli sharmonizowanie i zjednoczenie się dwóch osobników nie było rzeczą łatwą, nawet wówczas, gdy jedna strona prawnie i obyczajowo poddaną była drugiej, gdy pozostawało jej tylko poddać się i cierpieć w milczeniu, o ileż wzmogły się trudności, gdy dawna towarzyszka, wychowywana specjalnie na potulną żonę, poczuła się do równych praw i zaczęła wychodzić coraz więcej ze swej biernej roli. Musiały wówczas zaostrzyć się starcia, walki, niechęci, zadrażnienia wzajemne, a historja wielu z pozoru zgodnych małżeństw, gdyby była znana dokładnie, dałaby pole do mnóstwa ciekawych spostrzeżeń. W zakresie ścian domowych odgrywają się tragiedje, których się nikt nie domyśla.

Skomplikowane indywidualności nie dają się wtłoczyć w zwykłe ramy, oddziaływanie na siebie dwóch natur nieraz sprzecznych, obniżanie lub podnoszenie poziomu etycznego i umysłowego pod wpływem współmałżonka, zanik lub rozwój pewnych stron charakteru, nacisk wywierany w tym kierunku, wreszcie przewaga zwykła strony mniej szlachetnej jako samolubniejszej i więcej

bezwzględnej, są to czynniki dramatyczne, niewyczerpane w swych kombinacjach.

Nieraz życie z pozoru płynie jednostajnie, a jednak kryją się w niem ciągłe niepokoje, powstają nagłe bunty skazanych na milczenie pierwiastków, które burzą w jednej chwili pracowicie, latami całemi wyrobiony spokój. Ale tego rodzaju tematy, nie dadzą się zbyć szablonową formułą, wymagają historjografów, zdolnych odczuć drgnienia zaledwie zrozumiałe, cierpienia bez wyraźnej nazwy, kalectwa moralne wywołane anormalnemi warunkami bytu, żywiołowe siły wybuchające wbrew wiedzy i woli, są więc dostępne tylko dla niektórych. Istoty gruboskórne nie zrozumieją ich wcale. Dlatego to najsubtelniejsze utwory Ibsena jak: „Rosmersholm“, „Oblubienica morza“, „Dzika kaczka“ wzbudziły mniej zajęcia od sztuk poświęconych kwestjom społecznym, a sam Ibsen liczy garstkę tylko wielbicieli a mnóstwo obojętnych. W chłodnym klimacie Skandynawji miłość bywa więcej refleksyjną niż namiętną, łatwiej więc tym, co ją odczuwają, zdać sobie sprawę z jej czynników, zanalizować ją i zrozumieć. Takie, wysoko wyrobione postaci, wprowadził dramaturg do jednej z ostatnich sztuk swoich „Mały Eyolf“ poświęconej specjalnie stosunkowi dwojga małżonków, Almersa i Rity. Przedstawia ona ujęte w sceniczne ramy, jedno z najgłębszych studjów psychicznych, jakie wydała literatura lat ostatnich.

Pomiędzy dwojgiem ludzi, rozkochanych w sobie pozornie, istniał od pierwszej chwili rozdźwięk i nieporozumienie ciągłe, zagłuszone tylko chwilami wybuchem namiętności. Jest to niezawodnie położenie większej części małżeństw, tych nawet, które pobrały się z miłości, niema tu więc nic wyjątkowego, jest historja powszednia, tem boleśniejsza, że powszednia. Wielu jednak nie zdaje sobie dokładnej sprawy z położenia, ale tu wchodzą jednostki wyrobione i zdolne analizować swoje uczucie, którym w chwili katastrofy, otwierają się odrazu oczy na wzajemny stosunek.

Piękna, bogata, samolubna Rita, poślubiła ubogiego nauczyciela. Czyniąc to, dała mu wszystko, o czem człowiek zamarzyć może: gorącą, bezinteresowną miłość, materjalną niezależność, dostatek, a więc możność poświęcenia się umiłowanym studjom filozoficznym. W zamian żąda tylko od niego zupełnego oddania się. Dla niej nic nie istnieje poza mężem, dla niego także nic poza żoną istnieć nie powinno.

Wymagania te występują po ślubie i wychodzi na jaw fakt, że związek ich, nie oparty na wzajemnem porozumieniu, na dążeniu do jednakich celów, musi przynieść zawód obojgu.

W tych warunkach żyje wiele par małżeńskich i wyrabia sobie *modus vivendi* oparte na wzajemnych ustępstwach, zadawalnia się zwykłą dolą, ale Almers i Rita takimi ludźmi nie są. Każde z nich ma swój ideał i dąży do jego urzeczywistnienia. Rita obniża pod każdym względem poziom męża, zamiast podzielać jego naukowe prace, cieszyć się jego sławą, nienawidzi zajęć zabierających mu czas, odrywających od niej myśli, nawet czasami nienawidzi własnego syna, gdy ojciec mu się wyłącznie poświęca. Mąż powinien należeć

do niej, tylko do niej. Wszakże wybrała go wśród tylu świetniejszych współzawodników, którzy ubiegali się o jej rękę i oddała mu się cała. A jednak czuje, że w tym wiernym, wzorowym mężu nie odstępującym jej nigdy, od lat dziesięciu wspólnego pożycia, są jakieś zakąty duszy dla niej niedostępne, są jakieś myśli, których ona nie rozumie, pragnienia, których zaspokoić nie może, słowem, że on posiada jakiś własny świat, z którego ona jest wykluczoną, — i nie może się z tem pogodzić.

Almers cierpi nad wyłącznością samolubnej miłości, jakiej jest przedmiotem, dusi się wprost w ciasnem kole, które go określa. Rita męczy go swoją źle zrozumianą troskliwością, nie daje mu zatapiać się w pracy umysłowej, będącej mu osłodą życia, nie daje mu nawet zająć się dzieckiem, biednym kaleką Eyolfem, chociaż pierwszym obowiązkiem rodziców, jest uczynić mu znośną egzystencję, oni sami bowiem stali się przyczyną jego nieszczęścia. Zajęci sobą, przez chwilę zapomnieli o dziecięciu, które upadło tak nieszczęśliwie, że na zawsze zostało kulawem i ułomnem. Z tego powodu trapią Almersa wyrzuty sumienia, a przytem kocha on małego Eyolfa całem swem zranionem sercem. Wskutek ciągłych udręczeń zapada on po dziesięciu latach małżeństwa w jakiś stan apatji czy melancholji, praca umysłowa staje się dla niego niemożliwą, traci wszelką inicjatywę, wszystko staje mu się obojętnem, tak, iż nikt nie poznałby w nim wesołego i energicznego młodzieńca, jakim był niegdyś. A jednak czasy jego kawalerstwa były bardzo ciężkie, walczył o chleb powszedni, zdobywając go dla siebie i przyrodniej swej siostry, Asty. Przypomina on sobie pomimo to z rozkoszą te lata i sama ich pamięć ożywia go. Jakże był wówczas szczęśliwym! Nieraz wprawdzie było głodno i chłodno, żyli z Astą w nieustannych kłopotach, ale kiedy po dniu pracowitym, siadali obok siebie wieczorem, zamieniając myśli, zwierzając się ze swych nadziei, pragnień, marzeń, zapominali o wszystkiem innem. Byli sobie wzajem podporą i osłodą, wspólne życie nigdy im nie zaciążyło — przeciwnie, czyniło ich coraz bliższymi sobie, rozumieli się tak doskonale, że wzajem odgadywali swe myśli. Chęć zapewnienia przyszłości Asty była nawet jedną z pobudek, jakie Almersa skłoniły do niefortunnego małżeństwa. Siostry jednak nie mógł trzymać przy sobie; zrozumiała ona odrazu, iż byłaby zbyteczną pomiędzy braterstwem, bo Rita okazywała się zazdrosną o każde uczucie męża, Asta więc żyła w oddali a dumna i niepodległa pracowała sama na siebie.

Lekarze przepisali Almersowi kilkotygodniowy samotny pobyt w górach, bo chociaż nie skarży się na nic, jednakże znać, że zamiera powoli, jak roślina pozbawiona powietrza i słońca, sam czuje, że mu zmiany potrzeba. Może orzeźwi go czysta atmosfera wyżyn, może w samotności odnajdzie samego siebie i zdobędzie potrzebne siły do skończenia rozpoczętego dzieła, nad którem od dawna pracuje. W to dzieło „O odpowiedzialności“ włożył całą swoją wiedzę, ono rozszerza mu się pod ręką i coraz nowe pomysły nasuwa.

Rita jego potrzeby samotności pojąć nie może, buntuje się, rozpacza czuje, że jej się dzieje krzywda i ze swego stanowiska ma słuszność. Ona także

ma w sercu wiele nagromadzonych żalów do męża. Był on zawsze jej myślą jedyną, przecież odczuwa, że staje mu się coraz więcej obcą, że on ucieka teraz przed nią, przed jej troskliwością, przywiązaniem. Dlaczegoż nie jest kochaną jak nią być powinna?

Samotność powraca Almersowi równowagę! Miał czas wejrzeć w siebie i wytknąć sobie drogę na przyszłość. Nie chodzi mu już o szczęście, ale o spełnienie obowiązków. Zrozumiał, że zbyt mało dotąd zajmował się swem dzieckiem i że najważniejszą odpowiedzialnością, jaka na nim ciąży, jest nadanie takiego kierunku jego umysłowi, ażeby zwrócił się do zajęć dostępnych sobie pomimo kalectwa.

W tej pracy wychowawczej, tak jak w każdej innej, żona pomocą mu być nie może. Nie zajmowała się ona nigdy systematycznie dzieckiem, które jej często zawadza, które ją bezświadomie dręczy widokiem swego kalectwa, ale ulega nierozważnie wszystkim jego fantazjom, nie zastanawiając się nad ich następstwami. Almers postanawia być dla syna ojcem i matką zarazem. Umocniony tą myślą powraca do domu, i może byłby znalazł względne szczęście w spełnieniu obowiązków. Ale tu następuje katastrofa. Eyolf się topi, i to w oczach gromady silnych, zdrowych rówieśników, którzy mu żadnej pomocy nie dali. W położeniu, w jakiem znajdowali się Almers i Rita, katastrofa zjednoczyć ich nie mogła.

Ona próbuje tłómaczyć mu, że czas powinien złagodzić ich boleść, że mogą porzucić te miejsca, podróżować, rzucić się w wir świata, że są młodzi jeszcze a cała przyszłość leży przed niemi, że muszą zapominać, bo inaczej życie byłoby niemożebnem.

Podobne pociechy dostateczne dla pospolitych natur, nie trafiają do serca zbolałego ojca. Przeciwnie, uwydatniają tylko rozdźwięk, jaki na każdym punkcie pomiędzy małżonkami istnieje.

Almers odpowiada żonie, że miłość ich była tylko gorejącym ogniem, który wygasnąć musiał i wygasł w nim rzeczywiście. Nic ich już po śmierci dziecka nie łączy, mogą iść każde w swoją stronę. Niech ona szuka pociech w podróżach i wśród świata. Niech zburzy ten dom i ogród i przystań, gdzie Eyolf śmierć znalazł i niech tym sposobem ukarani zostaną pozbawieniem zarobku i miejsca zabawy ci niegodziwcy, którzy mogli uratować ich dziecko, a nie uczynili tego.

Rita niech się o niego nie troszczy, on powróci do dawnego życia, zamieszka znowu z Astą i tak jak niegdyś pracować będą we dwoje. Przy siostrze otrząśnie się on z odrętwienia, w jakie popadł przez lata marnie spędzone, stanie się znowu czem był dawniej, zwiąże nić swego życia z przeszłością.

Asta odkrywa mu wówczas tajemnicę od kilku dni dopiero sobie znaną. Właściwie nie są oni rodzeństwem, nie mogą więc dalej pozostawać z sobą w dawnych stosunkach. Almers jednak tego nie rozumie. Odkrycie tajemnicy jej urodzenia, nie zmieniło wcale jego uczuć, były one zawsze czyste i takiemi pozostaną. Asta nie przestanie być dla niego ukochaną siostrą, pragnie tylko

tego związku dusz, który im obojgu wystarczał i dawał im zupełne szczęście. Asta była kobietą, z którą Almers powinien był pójść drogą życia. Przy niej rozwijałby się, zamiast upadać, nie miałby nigdy chwil zwątpienia i apatji, nie szukałby jak teraz daremnie samego siebie. Oboje rozumieli się tak doskonale, dopełniali wzajem.

Rita była wcieleniem złudnych mirażów szczęścia, jakie stają na drodze życia, Asta tego spokoju duszy, który być powinien udziałem człowieka i dać mu siły do walki i pracy. Almers wybrał fałszywą drogę i za to pokutuje. Sam nieszczęśliwy, stał się bezpożytecznym. I on i Rita zamknęli się w ciasnem kole własnych uczuć i zawodów, zapominając o reszcie świata. Jednostka odosabnia, chociażby chciała — nie może, jest ona ogniwem społecznem, nie wolno jej zrywać z niem solidarności, a jeśli je złamie, prędzej lub później będzie za to, ukarana. Almers i Rita w swem samolubstwie, nie zwrócili nigdy uwagi na to co ich otaczało. On jakby na szyderstwo pisał filozoficzne dzieło „O odpowiedzialności“, a nie zrozumiał, że odpowiedzialnym był za ciemnotę i złość dzieci ubogich rybaków, że on niezależny i świadomy, powinien był ich nauczać, wieść do dobrego. Odpowiedzialność spadła na niego w postaci śmierci małego Eyolfa, któremu nikt nie dał pomocy w chwili niebezpieczeństwa.

Wobec nieszczęścia mąż i żona sumują swoje rachunki przeszłości. Rita przerażona myślą, iż na zawsze stracić może ukochanego, wgląda w siebie, pojmuje iż miłość jej była szkodliwą i samolubną. Poczucie win spełnionych zbliża ją do Almersa. Zawinili oboje, pokutować im potrzeba zarówno. Jakąż będzie ta pokuta? Do przeszłości wracać im niepodobna. Grób nie odda im tego, co utracili. On nie może już być tym Almersem pełnym bujnych porywów, który z Ritą żył marzeniami.

Wśród grozy wzajemnych wyrzutów i wyznań rozświetla się przed niemi droga przyszłości. Nie znajdą już na nich szczęścia, które zmarnowali, ale spełnią zaniedbane obowiązki.

Oto oboje pozostaną razem i wychowywać będą te biedne, ciemne okrutne dzieci, co były ostatecznym powodem śmierci ich syna. One teraz powinny zająć jego miejsce, bawić się jego zabawkami, czytać jego książki, a Rita kochać je będzie macierzyńskiem sercem, którego dla Eyolfa nie miała.

Może wówczas spokój stanie się jeszcze ich udziałem, może zbudzą się dawne uczucia w uszlachetnionej formie, a tymczasem dźwigać będą odpowiedzialność za grzechy i omyłki.

Rzecz godna zastanowienia i stanowiąca odrębność „Małego Eyolfa“. Do katastrofy małżeńskiej nie potrzeba tu wcale osób trzecich tak nieodzownych w sztukach francuskich, któreby zakłóciły spokój domowy przez nowe uczucia. Bohaterowie ibsenowscy są na to za nadto uczciwi albo też zanadto chłodni, nie dają się unosić namiętnościom, sterują niemi zawsze. Przytem osoby trzecie są tu niepotrzebne, małżonkowie sami potrafią zatruć sobie wzajem życie i uczynić je wprost niemożliwem.

Zastanawiając się nad tym nowem zastępem bohaterów, wprowadzonych przez Ibsena do literatury, przekonać się łatwo, że główną ich, wszystkim wspólną cechą, jest niczem niepohamowane poczucie indywidualności a zadaniem życia, rozwój bezwzględny tej indywidualności, dlatego też bez wahania rozrywają tamujące ją węzły. Tu leży klucz ich postępowania, stąd wypływają fakty, których nasza etyka ani przyjąć, ani rozumieć nie może, jak chęć Almersa rozstania się z Ritą w chwili wspólnego osierocenia, jak swoboda wyboru zostawiona „w Oblubienicy morza“ Ellidzie przez doktora Wangla, gdy leci ona do zguby, jak w „Norze“ matka porzucająca drobne dzieci, ażeby nauczyć się życia, jak wreszcie samobójstwo Jadwigi w „Dzikiej kaczce“ lub Heddy Gabler. Dziecko i dojrzała kobieta zabijają się z jednego powodu; oto życie takie, jakieby je mieć chciały, stało się dla nich niemożebnem.

Jeśli więc jednostka nie może się oprzeć warunkom łamiącym jej indywidualność, pozostaje jej śmierć tylko...

Warszawa. *Walerja Marrené Morzkowska.*



Duch bajek indyjskich.

Przez wyraz „bajka“ rozumiem nie fantastyczną baśń, lecz ową alegorję dydaktyczną, której typ stworzył podobno Ezop, a którą Fedr w Rzymie, Lafontaine u Francuzów a Krasicki u nas doprowadzili do wysokiego stopnia rozwoju.

Piśmiennictwo staro-indyjskie, jedno z najbogatszych na świecie, posiada również olbrzymie zbiory owych drobnych utworów dydaktyczno-epicznych.[1] Wiele z tych opowiadań przypomina, jeżeli nie treścią, to pomysłem, bajki Ezopa oraz późniejszych jego naśladowców i kontynuatorów.

Tak się rzecz ma np. ze znaną i u nas z dowcipnej przeróbki Krasickiego historją o starej czapli, która:

....jak to bywa:
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już łowić ryb nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła,

że, narzuciwszy rybom obłudnie swoją przyjaźń i pomoc, pożerała naiwne stworzenia póty, póki jej nie zadusił mądry rak, co przejrzał zdradziecką politykę zbrodniarki. Bajka ta w IV księdze „Histopadeszy“[2] opowiedziana jest w ten sam sposób prawie, jak u fabulistów europejskich.

Słynna i wdzięczna historyjka lafontenowska o mleczarce, idącej na targ

[1] Największy zbiór zowie się „Pan cza tantra“ (pięcioksiąg). Z niego powstała „Histopadesza“ (przyjazna nauka, dobra rada) jedna z najpopularniejszych książek w Indjach. Dalej idą „25 opowiadań Wetali“, „70 opowiadań Papugi“, „32 opowieści tronu Wikramadity“ (może pośredni prototyp sofy Crebillona?). Nakoniec wielki „Ocean rzek bajecznych“. Właściwe „bajki“ mieszczą się głównie w dwóch na początku wymienionych zbiorach. „Opowiadania Wetali“ są to fantastyczne nowelle o oryginalnem zakończeniu w formie zagadki: „jak należy rozwiązać dany konflikt“. Reszta to raczej zbiory „baśni“, niżeli „bajek“.

[2] „Histopadesza“ przekł. niem. J. Hertela. Lipsk. 151.

i marzącej o zarobkach i bogactwie, które nikną wraz z mlekiem wylanem z rozbitego garnka, ma także swój odpowiednik w obu głównych zbiorach bajek staroindyjskich. Bohaterem opowieści jest tam atoli nie kobieta, lecz ubogi bramin, Wedasarma, z miasta Dewitaki.[1]). Dostawszy misę mąki ryżowej, chciał ją sprzedać i rozpocząć handel, by, po zdobyciu dużego majątku, pojąć cztery żony i kochać najmłodszą z nich, pozostałe zaś a zazdrosne towarzyszki życia utrzymywać w ryzach kijem. Roznamiętniony fikcyjnym gniewem, rzucił Wedesarma kij, rozbił naczynie z mąką i obrócił w niwecz wszystkie swoje rojenia.

Analogicznych przykładów dałoby się odnaleść więcej. Owo podobieństwo motywów, naprowadzało uczonych na różne przypuszczenia. Jedni twierdzili, że Indowie otrzymali swoje bajki od Greków, u których, jak wiadomo, ta gałąź literatury kwitła już na parę wieków przed Chrystusem (Ezop um. około 560 przed Chr.). Inni badacze sądzili, że, nie Grecy Indów, lecz Indowie Greków nauczyli bajkopisarstwa. Głównym argumentem na korzyść tej hypotezy jest charakter lisa w wielu bajkach greckich, gdzie zwierzę to przypomina swoją podłością i tchórzliwością raczej indyjskiego szakala, niżeli obrotnego, chytrego, ale odważnego w gruncie rzeczy, mykitę nowszych bajek europejskich. Właściwości te występują zwłaszcza w scenach, kiedy lis styka się ze lwem. Tak np. w 5-ej bajce Ezopa, lis, spostrzegłszy po raz pierwszy króla zwierząt, blizkim jest śmierci ze strachu i dopiero stopniowo przyzwyczaja się do widoku czworonożnego monarchy.[2]) Otóż ponieważ w bajkach indyjskich występują tylko szakale, których w Grecji nie było, zmieniono je przy hellenizacji bajek na lisy, pozostawiając jednak podkład psychologiczny oryginału. Tego zdania jest Keller, a po części i Schroeder w swojej „Historji literatury i kultury indyjskiej". Trzecia grupa badaczów, z Jakóbem Grimmem na czele, przypuszcza, że część motywów fabulistycznych powstała jeszcze w epoce, kiedy i Grecy i Indowie i inne plemiona aryjskie stanowiły jedną rodzinę.[3])

Kto ma słuszność? dochodzić nie będziemy, faktem jest jednak, że, obok bajek, przypominających żywcem utwory Ezopa, istnieje cały szereg opowieści o kolorycie tak odrębnym, tak specyficznie indyjskim, że o ich zamiejscowem pochodzeniu nawet mowy być nie może. O duchu tych właśnie — stojących niejako po za dyskusją — bajek, słów parę powiedzieć zamierzamy.

Charakterystyczną cechę bajki europejskiej stanowi pewien chłód i trze-

---

[1]) Streszczamy według „Histopadeszy". W „Pan cza tantrze" przebieg akcji jest cokolwiek odmienny.

[2]) „Aesopische Fabeln" przekład Bindera.

[3]) W nowszych czasach mogły bajki indyjskie wpływać wprost na literaturę europejską, gdyż w VI w. po Chr. przełożono „Pan cza tantrę" na perski djalekt „Peklewi"; z tego tłómaczenia powstały przeróbki arabskie. Jednę z nich przełożono na grecki (XI w.) i na hebrajski; z hebrajskiego (w w. XIII) Jan z Capuy przetłómaczył bajki na łacinę, a ów tekst łaciński posłużył hrabiemu Eberhardowi z Würtembergji za podstawę edycji niemieckiej (w. XV); praca Eberharda została przełożona na wszystkie prawie ważniejsze języki europejskie.

żwość, wynikające stąd, że w utworach tego rodzaju fantazję i uczucie usunął na drugi plan rozsądek, i to ów ciasny, praktyczny rozsądek, będący bożyszczem i wyrocznią filistrów. Sąd bajkopisarza zgadza się prawie zawsze z sądem większości. Moralność naszej bajki — to zdrowa moralność przeciętna, daleka od wszelkich heroicznych wybryków.

„Pracuj i poprzestawaj na małem; bądź ze wszystkimi dobrze, bo nawet najdrobniejsza istota może ci pomódz, lub zaszkodzić“ — te i tym podobne utylitarne przepisy życiowe stanowią istotę etyki apologu, w którym praktyczny prostak tryjumfuje zawsze nad marzycielem i filozofem.

Prócz tego, wskutek satyrycznego przeważnie nastroju, w bajkach europejskich rzadko bardzo spotykamy postaci i czyny podniosłe i szlachetne, a zawsze prawie same wady i ułomności ludzkie, wcielone w stałe typy zwierząt, które wprowadza się do akcji, jako coś gotowego i znanego powszechnie, bez troski o subtelności charakterystyki indywidualnej. Wszystko to nadaje opisom jędrność i zwięzłość, graniczącą z ubóstwem i suchością.[1])

Otóż, co w bajkach indyjskich uderza przedewszystkiem, to właśnie pełność i bogactwo opisów.

W zbiorach pojedyncze poemaciki nie są poukładane koło siebie mechanicznie, lecz wiążą się zawsze w pewną organiczną całość przez wprowadzenie na scenę żywej osoby opowiadacza, który — jak sułtanka Szeherezada w „1001 nocy“ — dąży do jakiegoś specjalnego celu.[2]) Oddzielne bajki znowu służą do ilustrowania różnych maksym i sentencji moralnych i zwykle tok jednego opowiadania zostaje przerywany przez początek nowego, z którego rodzi się niekiedy trzecie i czwarte, by dopiero przy końcu rozdziału, księgi i t. p. dojść do kresu.[3])

Większość bajek ma, jak i u nas cel satyryczno-moralny, ale sposób, w jaki autor myśl swoją uzmysławia, różni się od naszego nieskończenie. Niektóre opowiadania — zwłaszcza o niewiernych żonach i mazgajowatych mężach[4]) — są poprostu dowcipnemi nowelkami, których by się Maupassant nie powstydził. Inne znowu przypominają baśnie czarodziejskie. Przykład najlepiej nam to objaśni:

Pokutnik Mahatapas znalazł myszkę, która wypadła z dzioba wrony. Zdjęty litością chowa zwierzątko przy sobie, a widząc, że kot pragnie je pożreć, zamienił, siłą swych zasług pokutniczych, myszkę w kota; kiedy zaś pies napadł na owego kota, asceta zrobił go psem, a w końcu nawet tygrysem. Ponieważ jednak, i sam pokutnik, i jego otoczenie, traktowało i nazywało

---

[1]) Lessing („Abhandlungen über die Fabel“) uważał tę zwięzłość za konieczną i miał za złe Lafontaine'owi, że odbiegł od klasycznych wzorów Ezopa i Fedra i ozdabiał zbytecznie swoje bajki. Utwory fabulistyczne samego Lessinga są wzorami lakoniczności.

[2]) Układ oraz większość bajek w zbiorze znanym pod nazwą „1001 nocy“ pochodzi z Indji Wschodnich.

[3]) Owo przeplatanie akcji głównej epizodami spotykamy i w wielkich epopejach indyjskich.

[4]) Histopadesza I. 5, 7; II. 6; III. 5; IV. 5. (według tekstu Narajany, przekład Hertela).

dalej owego tygrysa — myszką, zwierzę się rozgniewało: „Dopóki będzie żył asceta, ludzie nie przestaną mnie hańbić opowiadaniami o mojem pochodzeniu". Aby raz położyć koniec temu wszystkiemu, niewdzięczny drapieżnik postanowił zamordować ascetę, który jednak, spostrzegłszy, co się święci, zamienił napowrót tygrysa — w maleńką myszkę (Histopadesza IV.).

Że mamy tu do czynienia z typową bajką, dowodzi cały charakter opowiadania, które nie posiada celu samo w sobie, lecz illustruje tylko — i to w sposób przewyborny — opinję autora o próżności i niewdzięczności wszystkich dorobkiewiczów.

To jednak, co u nas przybrałoby formę ostrej, trzeźwej i lakonicznej satyry, zamienia się w Indjach we wdzięczną i szeroko rozwiniętą baśń, w której fantazja, nie tylko nie została zdetronizowaną przez rozsądek, ale niemal nad nim przewodzi, bez szkody atoli dla moralnego nastroju i natury dzieła[1]).

Równouprawnienie wyobraźni z rozsądkiem stanowi zatem jedną cechę, wyróżniającą apolog indyjski do europejskiego. Suchy morał bajki ukrywa się tam nie pod kusym i szarym płaszczykiem, lecz pod barwną, wzorzystą i suto udrapowaną szatą.

Na tem jednak nie koniec. Nietylko owa szata, ale i sam morał różni się niekiedy krańcowo od naszego, obok bajek satyrycznych bowiem, bajek, w których poeta przedstawia i chłoszcze wady, istnieje cały szereg opowiadań, apoteozujących dobre skłonności, szlachetne uczucia, oraz czyny bohaterskie.

W „Histopadeszy" np. cała pierwsza księga ujętą została w ramy opowieści o poświęceniu i przyjaźni.

Król Gołębi „Pstroszyj" zbliżył się ze swoją świtą do sideł, na których leżała przynęta w postaci ziarnek ryżu. Gołębie pragną się rzucić na strawę, król je ostrzega, ale napróżno, i za chwilę całe stado zostaje ujęte w pułapkę. Ponieważ siatka jest lekka, a gołębi dużo, unoszą się wszyscy w górę i dążą do króla myszy, Złotowłada, który, jako przyjaciel Pstroszyja, ma przegryść więzy. Złotowład gotów jest to uczynić, ale, nie wiedząc, czy mu starczy siły i zębów na oswobodzenie wszystkich gołębi, pragnie uwolnić najpierw swego królewskiego druha. Pstroszyj atoli odpowiada: „nie! najpierw pogryź więzy krępujące moich poddanych. Napróżno Złotowład tłómaczy mu swoją niemoc;

[1]) Potężny asceta czarownik odgrywa w bajkach indyjskich taką samą rolę, jak w greckich Jowisz i t. p. Jest to niejako „*deus ex machina*", tylko bliżej związany z ludzkością, niżeli bogowie. „W Panczatantrze" pewien asceta zamienia mysz w dziewczynę, wychowuje ją jak córkę, i pragnąc wydać dobrze za mąż, sprowadza jej bogów słońca, wiatru i t. p. Uczłowieczona mysz nie czuje pociągu do żadnego z tych wielkich potentatów i serce jej budzi się dopiero w chwili, kiedy ujrzała — szczura. Pokutnik zamienia dziewczynę w mysz i wydaje ją za pokrewnego rodem kochanka. Jest w tej bajce głęboka znajomość natury ludzkiej, a specjalnie kobiecej. „Gęś nie może pokochać lwa" — wołał Wokulski w „Lalce" Prusa, Heine zaś pisał o owej starej, jak świat, lecz wiecznie nowej historji, której bohaterowi „pęka serce z boleści". Nasi poeci i romansopisarze brali tę rzecz zawsze ze strony tragicznej, dla autorów indyjskich, przywykłych do kastowego ustroju społeczeństwa, wybór małżonka, pokrewnego rodem i duchem, był objawem naturalnym i prostym.

król gołębi woli sam zginąć, niżeli zostawić naród bez ratunku. „Mędrzec — powiada — powinien oddać majątek i życie dla uratowania innych od zguby: a ponieważ, czy tak, czy owak, umrzeć musimy, lepiej, ażebyśmy umierali, spełniając dobry uczynek; ciało żyje krótko, cnota trwa do końca świata; ciało składa się tylko z kości, tłuszczu i błota, należy więc dbać o imię, które pozostanie, a gardzić tem, co znikome". Wzruszony taką szlachetnością Złotowład zbiera się z siłami i uwalnia całe stado wraz z królem, z więzów[1]).

W bajce tej szlachetność nie wychodzi jeszcze z granic możliwości; w niektórych opowiadaniach jednak uczucie altruizmu doprowadzone zostaje do nadludzkiej, chorobliwej niemal egzaltacji.

Tak np. w „Panczatantrze" znajduje się historja myśliwca, który, złapawszy gołębicę, chroni się przed burzą pod drzewo, gdzie mieszka małżonek ujętej w niewolę samicy. Ta upomina męża, ażeby, szanując prawa gościnności, nietylko nie mścił się na przybyszu, ale nakarmił go i napoił. Gołąb, nie mając czem przyjąć gościa, sam się piecze w ogniu. Wzruszony tem myśliwiec wypuszcza z sideł samicę, która, nie chcąc przeżyć męża, rzuca się także w płomienie, jak to uczciwej wdowie indyjskiej przystało.

W innej bajce („Histopadesza" III, 7.), rycerz z podkasty Radżputów[2]) imieniem Wirawara, zabija własnego syna — który sam tego pragnie — na ofiarę u ołtarza krwawej bogini Durgi, pragnąc przez to zatrzymać uciekające szczęście swego monarchy. Po złożeniu ofiary, Wirawara i jego żona, nie mogąc przeżyć straty syna, odbierają sobie życie. Król, patrzący na to wszystko z ukrycia, pragnie iść za ich przykładem, ale bogini Durga wstrzymuje jego ramię i wskrzesza szlachetnego rycerza wraz z całą rodziną.

Podobnych rzeczy w naszych rozsądnych bajkach nie spotykamy. Ta wybujałość uczuć szlachetnych, te „orgje" poświęcenia stanowią charakterystyczny rys literatury indyjskiej w epoce powedyckiej.

Uczeni widzą w tem wpływ buddyzmu, ale w gruncie rzeczy sam buddyzm także nie przyszedł z zewnątrz, lecz wyrósł samoistnie z pnia braminizmu, od którego różni się jeno powierzchownemi cechami, nie zaś etyczno-filozoficznem jądrem swej doktryny.[3]) Wszystko co Budda podniósł do godności zasady, istniało już w zarodku w „Upaniszadach" i dlatego właśnie możliwem było oddziaływanie nowej wiary na starą, która pod jej wpływem, odmłodziła i zreformowała się do tego stopnia, że najważniejsze punkty obu doktryn utożsamiły się prawie, zwłaszcza zaś cała etyka, oparta na rozwiniętem krańcowo uczuciu altruizmu. Należy więc przypuszczać, że owa reforma była wynikiem jakichś głębokich potrzeb, drzemiących w łonie owoczesnego społeczeństwa

[1]) Z powyższą bajką łączy się cały szereg bajek o wzniosłej przyjaźni, którą Złotowład zawarł z krukiem, żółwiem i gazellą.

[2]) „Królewscy synowie" — szlachetny odłam kasty wojowników, który wydał ze swego łona Sakjamuniego — Buddę.

[3]) Buddyści zasłużyli na nienawistne miano heretyków przez to głównie, że nie uznawali świętości Wed (Max Müller).

indyjskiego, potrzeb, o których, wskutek braku historycznych danych, nic stanowczego powiedzieć nie można.

Ten sam duch atoli, który wywołał reformę, ożywił swem tchnieniem i całą późniejszą twórczość poetycką: stare epopeje narodowe uległy tendencyjnym przeróbkom i uzupełnieniom, nowonarodzony zaś dramat wstąpił odrazu na drogę, wiodącą do ukochanych przez społeczeństwo ideałów.

Przeduchowienie tych dwóch najważniejszych działów literatury nie wystarczyło Indom, zwrócili się więc i do rodzajów podrzędniejszych, a między innemi do bajek, które, jako utwory dydaktyczne, z natury swojej najmniej się do tego nadawały.

Nie mogąc wyłączyć z nich absolutnie ujemnych satyryczno-obserwacyjnych pierwiastków — to równałoby się bowiem sprowadzeniu całego rodzaju literackiego *ad absurdum* — postarali się poeci indyjscy zrównoważyć owe niesympatyczne dla nich żywioły, przez wprowadzanie do swoich antologji bajek, nacechowanych niezwykłą, nadnaturalną podniosłością nastroju etycznego, uplastycznianą nietylko w negatywny, t. j. satyryczny, ale i w pozytywny, t. j. czysto opisowy sposób.

To też, kiedy pomiędzy bajkami Ezopa z jednej, a Iljadą i Odyssеją, oraz tragiedjami Eschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa z drugiej strony, istnieje niemała różnica; kiedy niedoceniony przez współczesnych Lafontaine zdaje się należeć do innej, niż Corneille i Racine rodziny: bajki indyjskie ożywione są tym samym heroicznym duchem, co epopeje i dramaty.

Wszystko to potwierdza ów dawno zauważony fakt, że literatura indyjska z epoki powedyckiej, przy niesłychanem bogactwie i oryginalności wytworów, jest w swojej istocie wewnętrznej najbardziej jednolitą ze wszystkich literatur świata.

Prócz wielu innych powodów, niemało się zapewne przyczyniło do tego zupełne prawie usunięcie od wpływów obcych, zewnętrznych, które w dziejach piśmiennictwa nadgangesowego odegrały rolę minimalną.

Warszawa. *Ignacy Matuszewski.*



BEZ PIEŚNI.

Dawniej, gdy boleść rwała serce moje,
Pieśnią koiłem łzy, rozpacz, żal;
Dziś pierś mi pali, suszy łez mych zdroje,
Jak grób zamknięta — zimna jak stal.

Co kochać może dusza — przekochałem,
Lecz łza przejadła miłość jak rdza.
Co ścierpieć człowiek może — przecierpiałem,
Lecz kwiat boleści zwiądł także: łza...

Z rozdartą piersią już nie śpiewam pieśni,
Bo w pieśń jak wcielić bezbrzeżny jęk?
Gdy beznadziejne serce nawet nie śni,
Jakże wydobyć natchnienia dźwięk?
Grób jeden zdolny, później albo wcześniej,
Zgłuszyć na wieki łańcuchów szczęk...

Bruksela. *Henryk Merzbach.*

Mickiewicz nauczycielem prawa.

Mickiewicz nauczał literatury, historji i prawa w szkole akademickiej kowieńskiej w latach szkolnych 1819/20 i 1820/21 oraz po otrzymaniu rocznego urlopu w 1822/23 r. W dotychczasowych monografjach o Mickiewiczu (Chmielowski, Kallenbach, Wład. Mickiewicz, Tretiak) luźne znajdujemy tylko ustępy o tej jego pedagogicznej działalności. Wszystkich piszących zajmował przedewszystkiem poeta, to słońce wschodzące, którego odblask miał wkrótce tak świetlanym i wspaniałym promieniem zajaśnieć na horyzoncie poezji polskiej.

Obszerniejszą rozprawkę o „Mickiewiczu, jako nauczycielu w Kownie“, zamieścił p. Kazimierz Wróblewski w lwowskiem czasopiśmie *Muzeum* (zeszyty: 3, 4 i 5 z 1897 r.), gdzie wspomniał też mimochodem o jego wykładach z dziedziny prawa.

Brak odpowiednich materjałów nie dozwolił p. Wróblewskiemu w jego sumiennej i ze znajomością rzeczy napisanej pracy, przedstawić wyczerpująco całego planu i zakresu wykładanych przez poetę przedmiotów, a tem samem i nauki prawa.

Programy wykładanych przedmiotów ogłaszały prawie corocznie ówczesne szkoły średnie pod różnymi tytułami, jak n. p. „Wykład materji nauk“, „Treść nauk“, „Prospekt nauk“, „Dowody rocznego postępu w naukach“ itd.; ogłosiła je też i szkoła kowieńska w dwóch następujących po sobie latach, jako „Materje nauk w szkołach akademickich kowieńskich za rok 1817/18 i za rok 1818/19“. O tych dwóch programach, które wyszły w Wilnie, znajdujemy wiadomość w Biblijografji Estreichera (pod wyrazem: Kowno, t. X. str. 64 i 69), oraz w Encyklopedji Wychowawczej (artykuł p. t. „Biblijografja pedagogiczna polska“, t. II. str. 138). Lecz p. Wróblewski, wzmiankując tylko o jednym z tych programów za rok 1819, dodaje zarazem, „że mimo starań, książki tej przejrzeć nie mógł“. Druki te muszą bez wątpienia do niezwykłych należeć rzadkości, gdyż nie udało mi się ich odnaleść, pomimo usilnych poszukiwań w żadnej z bibljotek publicznych w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Wilnie, Petersburgu i Kijowie, ani też w żadnym ze znaczniejszych księgozbiorów prywatnych. Jednak i bez tych „Materji Kowieńskich“ postaram się odpowiedzieć zadaniu w artykule niniejszym zakreślonemu.

Wiadomo, że z mocy ustawy z dnia 4 kwietnia st. st. 1803 roku jeden z czterech wydziałów uniwersytetu wileńskiego, mianowicie wydział nauk moralnych i politycznych miał dziesięć następujących katedr: 1) logiki i metafizyki, 2) filozofji moralnej, 3) prawa natury, politycznego i narodów, 4) ekonomiki politycznej, 5) prawa cywilnego i kryminalnego znaczniejszych dawnych i współczesnych narodów, 6) prawa cywilnego, kryminalnego rosyjskiego i polskiego. 7) historji powszechnej, 8) pisma świętego, 9) teologji dogmatycznej i 10) teologji moralnej.

Niezależnie od tego szerokiego i koniecznego wykładu na naukę prawa zwrócono też uwagę i w programatach szkół średnich. Istniejące do owego czasu na Litwie i Rusi szkoły zakonne i świeckie, pozostawiały bardzo wiele do życzenia pod względem swych urządzeń, wykładów i ciała nauczycielskiego. Najpilniejszej reformy co do osób, jak pisze w „Pamiętnikach o Janie Śniadeckim“ Michał Baliński, wymagały szkoły świeckie; w ciągu kilku lat bowiem od upadku kraju do odnowienia uniwersytetu, gubernatorowie mieli władzę mianowania do szkół nauczycieli. Namnożyło się zatem wiele takich, że wypadało koniecznie pozbyć się ich dla niezdatności lub nieobyczajności.[1])

Wzmiankowana ustawa uniwersytecka podzieliła zakłady naukowe średnie na gimnazja i szkoły powiatowe. W gimnazjum było „sześć klas nauk“ i dla dawania onych sześciu starszych nauczycielów i czterech młodszych. W szkole powiatowej, która nas w tej chwili zajmuje, były „trzy klasy nauk“ i trzech starszych nauczycieli: 1) nauczyciel fizyki i gieometrji, 2) moralnej nauki, literatury i łacińskiego języka, 3) nauczyciel pierwszej i drugiej klasy łacińskiej i polskiej gramatyki, początków arytmetyki, gieografji i moralnej nauki, nadto trzech młodszych: do rysunków, rosyjskiego, francuskiego lub niemieckiego języków.[2]) Ustawa jednak, określając te kategorje nauk, nic nie wzmiankuje o tem, na ile klas mieli być podzieleni uczniowie. Wiadomość ta znajduje się dopiero w „Projekcie nowego urządzenia szkół w wydziale naukowym wileńskim“. Projekt ten drukowany w języku polskim i rosyjskim, zapewne w drukarni wileńskiej akademickiej, nieznanym jest Estrejcherowi, ani też autorowi artykułu o „Bibljografji pedagogicznej polskiej“ w Encyklopedji Wychowawczej. Orzeka on, że w gimnazjach i szkole powiatowej będą trzy klasy i czwarta dodatkowa, zaś do wykładu nauk wciągnięto nadto: miernictwo i rysunki topograficzne, początki logiki, naukę o handlu z buchalterją kupiecką, statystykę rosyjską, chemję, technologję, gospodarstwo i architekturę wiejską. W wykonaniu tego programu zajść musiały pewne zmiany i modyfikacje, gdyż ten podział nauk na sześć klas w gimnazjach i na trzy klasy w szkole powiatowej zrównał się zupełnie. W gimnazjach bowiem i w szkołach powiatowych wkrótce było sześć klas uczniów, albo też trzy klasy z trzema wyższymi oddziałami. Zapewne nad nową ustawą wzięła górę dawna praktyka szkolna przez komisję

[1]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim. Wilno, 1865. T. I. str. 477.

[2]) Jan Baliński: Dawna Akademja Wileńska. Petersburg, 1862, str. 582 i n.

edukacyjną ustalona, gdyż n. p. w szkole nowogrodzkiej było klas sześć,[1]) a wreszcie Jan Śniadecki, jako nowy od 1807 r. rektor uniwersytetu i kierownik wszystkich zakładów naukowych na Litwie i Rusi, doprowadził je do jednostajności w nauczaniu i przestrzeganiu porządku szkolnego.

Różnica między gimnazjum a szkołą powiatową polegała na tem, że w pierwszem uczono obu języków klasycznych a w drugiej tylko łacińsko-polskiej gramatyki. Następnie: w gimnazjach każdy prawie przedmiot wykładał osobny nauczyciel, zaś w szkole powiatowej jeden nauczyciel miał sobie powierzony wykład kilku przedmiotów. W ten sposób, jak to widać z przytoczonego wyżej planu, tworzono pewne grupy i łączono fizykę z gieometrją, początki arytmetyki i gieografji z moralną nauką dla klas niższych, zaś literaturę z historją i prawem dla klas wyższych. Skład nauczycielski przeto w szkole powiatowej był o połowę mniejszym niż w gimnazjach. Było to uczynione zapewne dlatego, że wedle „Projektu“ urządzenie szkół powiatowych miało pierwotnie na celu „przygotowanie uczniów do słuchania nauk w gimnazjach i ułatwienie dzieciom rozmaitego stanu nabycia wiadomości stosownych do ich potrzeb i przemysłu“.[2]) Miano też zapewne na uwadze i względy oszczędnościowe, gdyż do szkoły powiatowej uczęszczało znacznie mniej uczniów niż do gimnazjum.

To też było powodem, że uniwersytet wileński przy odnowieniu swojem znaczną liczbę szkół pozostawił zgromadzeniom zakonnym, jedynie w celu oszczędzenia funduszów swoich.[3]) Był to ze strony uniwersytetu błąd wielki, gdyż księża, nie odbywszy nauk uniwersyteckich, nie mogli ich wykładać ani pożytecznie, ani też zgodnie z systematem przyjętym w szkołach świeckich.[4]) Lecz Śniadecki, oddawszy się z całą gorliwością tej sprawie, przeprowadził reformę, która wartość szkół zakonnych podniosła znakomicie.

Po tem wyjaśnieniu zrozumiemy łatwo, dlaczego to Mickiewicz był nauczycielem prawa.

Czteroletni kurs nauk w uniwersytecie wileńskim poeta odbył z końcem roku szkolnego 1818/19 i otrzymał stopień kandydata filozofji. Jako kandydat do stanu nauczycielskiego pozostawał z mocy § 34 ustawy uniwersyteckiej na koszcie skarbowym. Otrzymawszy zaś w dniu 23 listopada 1819 r. nominację na nauczyciela szkoły powiatowej kowieńskiej do wykładu historji, literatury i p r a w a, zmuszony był przyjąć posadę taką, jaką mu władza szkolna wyznaczyła.

Szkołę kowieńską Śniadecki utworzył w 1807 r. w miejsce dawnej, utrzymywanej przez franciszkanów i postanowił ją, zarówno jak i gimnazjum świ-

[1]) Prospekt nauk dawanych w ciągu rocznym dla szlachetnej młodzieży w szkołach powiatowych nowogrodzkich zgromadzenia XX. Dominikanów roku 1803.

[2]) Projekt nowego urządzenia szkół § 34 i nast.

[3]) Baliński. Pamiętniki. T. I. str. 477.

[4]) Baliński. Pamiętniki. I. 477.

słockie opatrzeć dobranemi nauczycielami.[1]) Za takiego uniwersytet uważał zapewne Mickiewicza.

Ten urzędowy tytuł nauczyciela literatury, historji i prawa powtarza się w kalendarzykach politycznych za lata 1819—1823. Ten sam tytuł nosił i Stanisław Dobrowolski, dozorca szkoły kowieńskiej, poprzednik Mickiewicza na tej katedrze. Aczkolwiek w różnych aktach z tego czasu rozmaicie tytułują Mickiewicza, jak np. „nauczycielem wymowy, prawa i historji", „nauczycielem literatury i historji", „nauczycielem literatury, historji i moralnych nauk", albo też nauczycielem tylko „historji i literatury", nie ulega jednak wątpliwości, że Mickiewicz wykładał historję, literaturę i prawo, o czem sam wreszcie donosi ks. Czartoryskiemu w liście datowanym z Wilna d. 29 marca 1822 r., w którym prosi o dalsze uwolnienie od obowiązków nauczycielskich i pomoc na wyjazd za granicę. „Rok ten uwolnienia — pisze — już jest blizki końca, znowu więc konieczny jest powrót do szkoły, zawsze dla zdrowia mojego niebezpieczny i oderwanie się zupełne od zatrudnień literackich, na które zbyt mało pozostaje czasu przy dwudziestogodzinnem na tydzień uczeniu w szkole tak różnych przedmiotów, jakiemi są: literatura, historja i prawo.[2])

Jaki był w szkole kowieńskiej zakres wykładu prawa, który nas obecnie zajmuje, mogłyby nas najdokładniej objaśnić, jak to już wyżej zaznaczyłem, programaty tej szkoły, a do których nauczyciele stosować się byli obowiązani. Lecz niepodobna nawet przypuścić, ażeby wykład ten w szkole kowieńskiej różnił się znacznie od nauki prawa w innych szkołach na Litwie. Z porównania bowiem programów tych szkół widzimy, że plan i zakres wszystkich nauk, a więc i nauki prawa, były wszędzie jednakowe a zgodne z tym „układem nauk i porządkiem między niemi", jaki dla szkół wojewódzkich zaprowadziła komisja edukacyjna.[3])

„Naukę moralną" w szkołach wojewódzkich przeznaczono do wykładu we wszystkich siedmiu klasach i „nauka ta na Prawie natury zasadzona, stopniami prowadzona, zakończy się na Prawie Politycznem, na Prawie Narodów i wiadomości Prawa Polskiego". Porównywając programaty wszystkich szkół ówczesnych, dochodzimy do wniosku, że plan nauk był prawie wszędzie jednakowy, że „naukę moralności", oddzieloną zupełnie od nauki religji, wykładano w trzech niższych klasach.[4]) Nauka ta obznajamiała uczniów z ich obowiązkami względem rodziców, nauczycieli, domowników, sług, bliźnich, oduczała

---

[1]) Baliński. Pamiętniki. I, 482.

[2]) Korespondencja IV.

[3]) Układ ten wydrukowano po raz pierwszy (1777 r.) w postanowieniu ks. Hugona Kołłątaja, jako wizytatora delegowanego w imieniu Komisji Edukacyjnej do reformy szkół. Przedruk u Michała Balińskiego: Pamiętniki o Janie Śniadeckim. T. I. str. 5—20.

[4]) Niedokładną jest wzmianka p. Wróblewskiego, że „w Krzemieńcu była osobna katedra prawa, to też w wyższych klasach nie uczono nauki moralnej". Nauka ta nietylko w Krzemieńcu, lecz i we wszystkich szkołach ówczesnych była wykładaną tylko w trzech pierwszych klasach.

od kłamstwa, obmowy, obłudy, uczyła skromności, łagodności, grzeczności, ochędóstwa itd. Na trzech zaś wyższych klasach prowadzony był wykład prawa, identyczny we wszystkich szkołach litewskich, który rozpadał się na: prawo natury, prawo polityczne i prawo narodów. Taki też bez wszelkiej kwestji był wykład nauki prawa, który w trzech wyższych klasach szkoły kowieńskiej prowadził Mickiewicz. [1])

Wykłady te zresztą w różnych szkołach utożsamiał i sprowadzał, że tak rzekę, do jednego mianownika, używany przez nauczycieli podręcznik. Trudno nawet przypuścić, ażeby bez niego obejść się mógł nauczyciel tego przedmiotu i ucząca się młodzież. O tych podręcznikach istnieć musiała oddzielna instrukcja, o niektórych zaś wzmiankują czasem progmaty szkolne w „Materjach nauk".

Uboga podówczas literatura prawnicza polska nie dostarczała obfitego materjału pomocniczego dla nauczycieli. Początkowo np. w szkole krzemienieckiej Antoni Jarkowski — pierwszy profesor na katedrze prawa, wykładał na podstawie dzieła Hugona Kołłątaja, w niewoli napisanego p. t.: „Porządek fizyczno-moralny czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z praw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia". Jarkowski korzystał nawet z rękopisu udzielonego mu przez autora [2]), gdyż dzieło to wyszło z druku dopiero w 1810 r. [3]). Gdy jednak Kołłątaj zauważył „troskliwość Czackiego za dziełem ks. Stroynowskiego", sam Jarkowskiemu poradził tego używać podręcznika.

Przyczynę tego znajdujemy wyjaśnioną dokładnie w liście Kołłątaja do Jarkowskiego z d. 18 października 1805 r. ze Stołpca pisanego [4]). Autorem tego podręcznika był ks. Hieronim Stroynowski (ur. 1752 r., na Wołyniu, um. 1815 r.) biskup wileński i zasłużony rektor tamecznego uniwersytetu; wykładał on początkowo naukę prawa natury, prawa politycznego, prawa narodów i ekonomji politycznej w konwikcie warszawskim młodzi szlacheckiej (Konarskiego). Dzieło jego p. t.: „Nauka Prawa Przyrodzonego, Politycznego, Ekonomiki politycznej i Prawa Narodów przez X. Hieronima Stroynowskiego S. P. Teologii i oboyga Prawa Doktora, Publicznego Professora Prawa Natury i Politycznego w Szkole Główney W. X. Litt. dla użytku uczniów i słuchaczów do druku podana" ukazało się w Wilnie w Drukarni Królewskiej przy Aka-

[1]) W Krzemieńcu oprócz wymienionych czterech działów prawa wykładano nadto: statystykę powszechną, prawo rzymskie, prawo polsko-litewskie, prawo graniczne polsko-litewskie i rosyjskie oraz encyklopedję prawa i do każdego prawie z tych przedmiotów oddzielni byli profesorowie. Czacki bowiem zamierzał, zgodnie z myślą Kołłątaja, podnieść Krzemieniec do godności uniwersytetu i w tym celu zawczasu już sposobił sobie odpowiednich profesorów. W gimnazjach wołyńskich wykładano też oprócz tylokrotnie wspomnianych działów prawa, naukę prawa krajowego cywilnego i karnego oraz o sądach i przewodzie sądowym.

[2]) Michał Rolle. Ateny Wołyńskie. Szkic z dziejów oświaty w Polsce. Lwów, 1898. str. 83 i 84.

[3]) Tom I. w Krakowie, druk J. Maja w 8-ce str. XIX. 220 i niel. 17.

[4]) Korespondencja listowna z Tadeuszem Czackim. Tom III. 296 — 307.

demii Roku 1785 (8⁰ str. 352 i rejestru k. 5). Następne wydanie również w Wilnie i w tejże drukarni 1791 r. (8⁰ str. 348 i rejestru k. 5). Trzecie wydanie ukazało się ponownie w Wilnie, 1805 r. (8⁰ str. 266 i rejestru k. 4), tegoż zaś roku przedruk, jako wydanie czwarte w Warszawie, w drukarni Nr. 646 przy Nowolipiu założonej przez Mostowskiego na potrzeby wielkiego wydawnictwa: „Wybór pisarzów polskich", do którego weszło i dziełko Stroynowskiego. Książka ozdobioną jest wizerunkiem autora, wyrytowanym przez L. Weissa podług portretu Jana Rustema (8⁰ str. 304 i rejestru k. 4). Prócz zaś tego w tymże roku pojawiły się w Warszawie odmienne przedruki, z tymże samym co poprzednio tytułem, jako edycje czwarte dzieła Stroynowskiego (8⁰ str. 266 i rejestru k. 2. oraz 8⁰ mn. str. 248 i rejestru k. 4). Te dwa nielegalne przedruki, zapewne bez wiedzy autora dokonane (Estreicherowi nieznane) dowodzą wielkiej poczytności dzieła Stroynowskiego. I w istotcie tak być musiało, dzięki pochlebnej ocenie ówczesnych sfer kompetentnych [1]).

Ofiarowana przez autora królowi Stanisławowi Augustowi przy odwiedzeniu akademji wileńskiej w 1797 r.[2]) książka Stroynowskiego, uważana przez Czackiego za potrzebną dla całej społeczności, była też przez długi czas używaną po szkołach jako elementarna i wzorowa[3]). Obejmuje ona niepowiązane z sobą cztery działy, a mianowicie: wykład t. z. prawa natury, zasadniczych pojęć z ekonomji politycznej, z prawa państwowego, pojętego w obszerniejszem znaczeniu jako ustrojowego i administracyjnego — oraz prawa międzynarodowego. Nie jest zaś dziełko Stroynowskiego żadną encyklopedją umiejętności społecznych, lecz w samej rzeczy, dobrym na owe czasy podręcznikiem szkolnym, będącym wstępem metodycznym do specjalnych wykładów. Powodzenie zaś długie i znaczne zawdzięczało jasnemu, przystępnemu i treściwemu przedstawieniu przedmiotu, oraz logicznej i umiejętnej metodzie. W wymienionych

---

[1]) Na początku wszystkich wydań znajdujemy taką polecającą dzieło to kartę:

„Wypis z protokułu Obrad Szkoły Główney W. X. Lit. Roku 1785 dnia 23 Listopada Akademia odebrawszy raport od JJ. XX. Dawida Pilchowskiego Prezydenta Collegij Moralis i Professora Literatury, Tomasza Hussarzewskiego Professora Historyi powszechney, Gwilhelma Kalińskiego Profesora Teologii Moralney i Historyi Kościelney, jako wyznaczonych przez się Komissarzów do czytania pisma pod tytułem: Nauka Prawa Przyrodzonego &; przez JX. Hieronima Stroynowskiego Professora Prawa Natury w Szkole Głównej W. X. Litt. sądzi to dzieło bydź godne druku.

Wypis ten podpisem ręki mojey zaświadczam. Dan w Wilnie 26 Listopada 1875. *Kazimierz Naruszewicz*, Sekretarz Szkoły Główney W. X. Lit. mp.

Czytałem z pociechą to dzieło, i tym z większą chęcią je aprobuję, im prawdziwszego pożytku w umysłach ludzkich z tey nauki spodziewać się mogę, tak z istoty rzeczy, jako też z łatwości i doskonałości wykładu oney.

Imprimatur — Ignatius Eppus. (Świadectwo Ignacego Massalskiego, biskupa wileńskiego).

[2]) Mowa ks. Stroynowskiego przy ofiarowaniu swego dzieła królowi wyszła w Wilnie 1802 r. (Estreicher. Biblijografia IV. 393.

[3]) F. M. Sobieszczański. Enc. Pow. S. Orgelbranda. T. XXIV. art. O Hieronimie Stroynowskim, str. 227 i n.

działach umiejętności autor stoi na stanowisku współczesnych sobie pisarzy, a ogólnikowo wyrozumowane zasady porządkuje systematycznie.

Już w jednym z najwcześniejszych, bo z samego początku tego wieku, programów dla szkół grodzieńskich pod rozdziałem: „Moralna nauka, prawo, historja, geografja“ znajdujemy taką dla nauczycieli co do uczniów klasy V-ej wskazówkę: „Z Prawa przyrodzonego. Pierwsze wyobrażenie prawa, Należytości, powinności i dalsze tej Nauki wyjaśnienia stosować będzie do układu Autora Księgi pod tytułem: Nauka Prawa przyrodzonego.[1]) Następnie o tym przewodniku wyraźnie wspomina „Wzór i porządek, które na akcie publicznym w Gimnazjum Wołyńskiem od października 1805 r. do ostatnich dni lipca 1806 r. dawane będą“, a między innemi dla szkół litewskich, n. p. w programie szkoły powiatowej słuckiej za r. 1822: Klasa III. Nauka moralna dla oddziału niższego. Prawo Przyrodzone dla uczniów oddziału wyższego podawane było w całej rozciągłości podług dzieła Hieromina Stroynowskiego. Klasa IV. Prawo. Prawo ekonomiki politycznej dla uczniów niższego oddziału. Prawo narodów dla uczniów wyższego oddziału podług dzieła Hieromina Stroynowskiego.[2]) Książka Stroynowskiego używająca oddawna takiego rozgłosu doczekała się nawet tłómaczenia w języku rosyjskim. Przekładu dokonał Bazyli Anastaziewicz (Petersburg 1809 r.[3]). Dziwną wobec tego wydaje się wiadomość, którą podaje Estreicher, jakoby prof. Bonifacy Garycki oskarżał Stroynowskiego o plagjat rękopisu jego prelekcji uniwersyteckich.[4])

Oprócz Stroynowskiego spotykamy jeszcze w literaturze prawniczej dzieła, o których mógł słyszeć, lub które nawet mógł znać Mickiewicz za czasów profesury swojej w Kownie. Należą tu: Michała Czackiego: „O prawie przyrodzonem czyli o powinnościach i stosunkach człowieka moralnego“ (Warszawa 1803, str. 270), albo też Feliksa Słotwińskiego: „Rozprawa o historji prawa natury i systematach różnych jego pisarzów“ (Kraków 1812, str. 71), oraz „Prawo natury rządowe stosownie do porządku K. A. Martiniego, zasad Zeillera, a metody F. Eggera ułożone.“ (Kraków 1815, str. 448). Nie ulega wszakże żadnej wątpliwości, że za podręcznik do nauki prawa w gimnazjach ówczesnych używano wyłącznie dzieła Stroynowskiego.

W przekonaniu tem wreszcie ostatecznie utwierdzają liczne programaty szkolne już po reformie się zjawiające. Niektóre z nich, jak to widzieliśmy, wymieniają wprost książkę Stroynowskiego, inne przemilczają wprawdzie na-

[1]) Experyment roczny uczniów edukujących się w szkołach Grodzieńskich zgromadzenia XX. Dominikanów i w W. Mieście Gubernskim Grodnie Roku 1802 Miesiąca Czerwca.

[2]) Treść nauk dawanych w ciągu roku szkolnego w szkole powiatowej słuckiej i t. d. podana do publicznego uczniów popisu w dniu 29 czerwca roku 1822. W Wilnie w Drukarni XX. Pijarów u Aleksandra Żółkowskiego.

[3]) Anastaziewicz tłómaczył z 4 wyd. warszawskiego i przełożył też na język rosyjski prace Tad. Czackiego: O dziesięcinach; O zaczątku Ukrainy i początku kozaków (Z Pamiętnika Warszawskiego 1801 r.); O żydach; Czy prawo rzymskie było zasadą praw litewskich i polskich? (Estr. II. 230).

[4]) Estr. IV. 393.

zwisko autora, jako rzecz zbyteczną, lecz za to w rozdziałach odnoszących się do wykładu prawa, wszystkie przedrukowują niemal dosłownie całkowity „Rejestr materji“ w czterech częściach tego dzieła zawarty. Przyczem na klasę IV-tą przypada wykład prawa przyrodzonego, na V-tą ekonomika polityczna, na VI-tą wreszcie prawo polityczne i prawo narodów. Nie podobna przeto nawet przy braku „Materji kowieńskich“ ani na chwilę jedną przypuścić, ażeby wykład prawa w szkole tej inny był, niż gdzieindziej, oraz, żeby Mickiewicz posiłkował się inną książką, niż dziełem Stroynowskiego. Mylnie więc twierdzi p. Wróblewski, że „Mickiewicz, który się prawa w uniwersytecie nie uczył, nie miał do tej nauki odpowiedniego podręcznika“. Wprawdzie we wspomnianym wyżej liście do ks. Czartoryskiego poeta pisze o „ciężkiej pracy, jaką nauczyciel, zwłaszcza pierwszoletni, podejmować musi, nie mając pod ręką książki elementarnej i żadnych pomocy naukowych, nieumiejący doświadczeniem miarkować zapału młodzieńczego, która to praca tak szkodliwy wpływ na zdrowiu jego wywarła“, lecz w liście tym młody profesor cały nacisk kładzie na wykładaną przez siebie literaturę, pomijając zupełnie naukę historji i prawa. Może więc te narzekania nie odnoszą się ani do wykładu historji, który dla Mickiewicza nie mógł być wcale rzeczą trudną, ani do wykładu nauki prawa. Nasuwa się tylko pytanie, czy do wykładu tego przedmiotu miał odpowiednie przygotowanie?

Jako słuchacz wydziału literatury i sztuk wyzwolonych, nie uczył się prawa na uniwersytecie i żadnego w tym przedmiocie przygotowania nie miał. Wszelako wykład tej nauki w najogólniejszych zarysach, na podstawie odpowiedniego podręcznika, nie mógł przedstawiać dla tak gienjalnego umysłu zbyt wielkich trudności. Gdyby Mickiewicz obowiązkowi temu podołać nie mógł, nie byłby się niezawodnie podjął wykładu, który tak logicznie w szkołach powiatowych z nauką literatury i historji na jednej połączony był katedrze. Tymczasem z tego ogólnego szacunku i sympatji, jaką cieszył się w gronie starszych od siebie wiekiem kolegów kowieńskich, wnieść można, że był nietylko poetą, lecz i nauczycielem niepowszedniej miary. Jemu to właśnie polecono napisać mowę, którą na popisie publicznym wygłosił uczeń Bernard Gedymin w dniu 30 czerwca 1820 r.[1]) W raporcie radcy Jana Budziłowicza, z dnia 4 maja 1820 r., który z polecenia uniwersytetu wileńskiego zwiedzał szkołę kowieńską, jest wzmianka: „że w Kownie znalazł pana Mickiewicza bardzo dobrze swój przedmiot dającego“.[2]) Tą pochlebną oceną było niezawodnie objęte i prawo, gdyż inaczej wizytator uczyniłby dla niego wyjątek.

[1]) Opis tego uroczystego aktu znajduje się w korespondencji z Kowna w Nr. 87 „Kurjera Litewskiego“, gdzie też wymieniono nagrodzonych na popisie uczniów. Z klasy I: Józef Zorewicz i Gasper Romanowski. Z klasy II: Franciszek Sabiński, Franciszek Pawłowicz i Michał Waszkiewicz. Z klasy III. pierwszoletniej: Bernhard Gedymin i Polikarp Wimbor. Z klasy IV. pierwszoletniej: Feliks Tański.

[2]) Teodor Wierzbowski. Mickiewicz w Wilnie i Kownie. Bibljoteka Warszawska, 1888. Zeszyt kwietniowy, str. 30.

Mickiewicz, już jako syn prawnika, mógł mieć pewne, choć pobieżne o prawie wyobrażenie, może nawet niejedną książkę prawną w młodym wieku przeczytał. Klasa prawników liczną była bardzo za ostatnich lat Rzeczypospolitej, stąd i znajomość prawa dość rozpowszechnioną. Dodajmy wreszcie rzecz najważniejszą, że w klasie IV, V i VI uczył się prawa w szkole powiatowej księży dominikanów w Nowogródku. Przedmiot ten wykładali kolejno ks. Marcin Rokicki i Jakób Morawski na podstawie dzieła Stroynowskiego, jak widać z treści, przytoczonej we wzmiankowanym wyżej „Prospekcie Nauk“ tej szkoły z 1803 r., oraz innych programatów z tego czasu. Mógł więc Mickiewicz, bez wielkiego trudu, wykładać przedmiot, którego się sam uczył i to z tej samej książki. Pewne przeto obeznanie się z prawem znajdujemy w pismach poety. „Pan Tadeusz“ jest też nazwany „Ostatnim zajazdem na Litwie“ i w samym tytule nosi termin z dawnego prawa polskiego. Poeta objaśnia go jako sposób zbrojnego wykonania wyroków cywilnych, zaś osnowa powieści, wije się, jak wiadomo, około procesu Horeszków z Soplicami. W dalszej też działalności Mickiewicza, w jego prelekcjach paryskich i poglądach na pierwotny ustrój państwowy słowian („Pierwotne dzieje Polski“), w jego artykułach i odezwach treści społecznej i politycznej, drukowanych po większej części w „Pielgrzymie Polskim“ i w dzienniku *„Tribune des peuples“* znajdujemy bardzo często poruszane zagadnienia z różnych dziedzin prawa. Do takich np. należą: „Projekt obrony więźniów stanu przed trybunałem berlińskim w 1842 r.“, „O dążeniu ludów ku nowemu systematowi podatkowania, tudzież o ekonomistach, kameralistach, statystykach, administratorach“, „O konstytucji 3-go maja“, „O odpowiedzialności Rządu według pojęć ludu“ i inne, w których nie występuje wprawdzie pisarz posiadający wykształcenie prawnicze, lecz taki, który mając ogólne o przedmiocie wyobrażenie, żadnych błędów nie popełnia.

Na tę znajomość prawa złożyło się bez wątpienia wiele postronnych okoliczności: ludzie, z którymi poeta przestawał, potrzeby, które go otaczały, stosunki, które zawiązywał, wielkie ideje, które zapalały jego umysł i wogóle wartką falą płynące życie publiczne, które go w wir swój porywało, lecz niemniej śmiem twierdzić, że podstawą do tych działań i występów głośnych, były może wykłady prawa w szkole kowieńskiej. One wykształciwszy poniekąd umysł w kierunku prawniczym, nadały zarazem poecie moc, odwagę i pewność siebie w życiu publicznem.

Wprawdzie p. Wróblewski twierdzi, że „godziny poświęcane nauce tego przedmiotu nie należały do najprzyjemniejszych chwil nauczycielskiego zawodu Mickiewicza“, lecz jest to tylko domysł niczem nieuzasadniony i oparty na przypuszczalnym braku odpowiedniego do tej nauki przewodnika.

Bez kwestji zajęcia szkolne nie odpowiadały poetyckiej naturze Mickiewicza, zaś ten pedagogiczny okres w jego życiu przypadł właśnie w chwili wielkiego przewrotu w jego pojęciach twórczych, nieszczęśliwej miłości do Maryli, a następnie i jej ślubu z Wawrzyńcem Putkamerem. Gdy do tych cierpień moralnych dodamy pracę szkolną i życie niehygieniczne, spowodowane przez

noce bezsenne, nadmierne palenie fajki i nadużywanie czarnej kawy, co wszystko podkopało bardzo zdrowie poety, to utwierdzimy się w przekonaniu, że nietylko wykłady nauki prawa, lecz cały pobyt w Kownie do zbyt przyjemnych w życiu jego nie należał. Zajęcia szkolne i wykłady chociaż najbardziej umiłowanego przedmiotu nie mogły zagoić rany zbyt świeżej, gdyż silne uczucie miłości zwykło wszelkie inne myśli i działania spychać na plan dalszy. Nie mogło też ono, jak słusznie zauważył prof. Tretjak („Mickiewicz w Wilnie i Kownie", Lwów, 1884) „ukoić rozmarzonej duszy poety, której ciemno i duszno było w ciasnej atmosferze małomiejskiej, zdala od tego ruchu gorączkowego, który się tak świeżo wzbudził wśród młodzi uniwersyteckiej".

Jakoż w listach do przyjaciół: Zana, Jeżowskiego, Czeczota z 1823 r. już z czasów drugiego okresu pobytu w Kownie, spotykamy liczne wzmianki o tem przygnębiającem usposobieniu poety. Sam zaś o sobie pisze z Kowna do Franciszka Malewskiego: „Przywykłem do wielu rzeczy. Kowno dla mnie staje się domem, Wilno gościną, Nowogródek zagranicą. Dawniej duszą byłem w Wilnie; teraz nie mam tam chęci jechać. Przywykam do szkoły, bo mało czytam, mało piszę, często myślę i cierpię, a zatem potrzebuję zatrudnienia ośłego".[1])

Taki był stan duszy poety, z którego dokładnie zdawał sobie sprawę i wywnętrzał się przed przyjaciółmi swymi. Po nad tym stanem jednak górowała ideja szlachetnie pojętego i spełnianego obowiązku. W wierszu „Do malarza" powiedział poeta:

„Lecz kto szczery Akadema, hołdownik Minerwie,
Żmudzkich łbów obuczaniem rychło pierś oberwie",

a ta niepochlebna o jego uczniach kowieńskich wzmianka, przekonywa tem więcej o tem, że nadmierna praca szkolna podkopała jego zdrowie i siły. Świadectwo dra Kowalskiego stwierdza, że Mickiewicz, cierpiąc na silne bóle w piersi i plucie krwią, dłużej na stanowisku swojem wytrwać nie mógł, a Dobrowolski, dozorca szkoły kowieńskiej, w raporcie przesłanym Twardowskiemu, rektorowi uniwersytetu wileńskiego, pod datą 2 września 1823 r. tak pisze o jego nauczycielskiej działalności: „Ile mu słabe zdrowie pozwalać mogło, zawsze z usilnem staraniem lekcje szkolne odbywał i pozostałe od obowiązków godziny własnym naukom w samotności oddawał; nic nagannego a wszelkie godne przymioty powołania swojego w ciągu trzyletniej tutaj bytności jednostajnie w sobie widzieć dawał..."[2])

Warszawa. *Leopold Méyet.*

[1]) Kor. I. 5. list pod datą 22 novembra v. septembra 1822 r.
[2]) T. Wierzbowski: l. c. str. 38.

Kamień.

Kamień od wieków drzemał i niekształtną bryłą
Zawalał ludziom drogę, — raził wzrok przechodnia;
Więc każdy głaz omijał, zżymając się co dnia
Na jego postać grubą, brzydką i otyłą.
Raz w przystępie niechęci człek z niezwykłą siłą
Uderzył weń toporem, kamień jak pochodnia
Rzucił miliony iskier...

Jak gwiazda przewodnia
Rozświeciły mu drogę trudną i zawiłą...
I człowiek wnet ukochał głaz dotąd milczący
I wyrzeźbił wspaniały zeń posąg olbrzyma,
Ten dzierżąc w dłoni swojej promień gorejący,
Spogląda w serce świata mądrości oczyma.

Warszawa. *Zuzanna Morawska.*



Percy Bysshe Shelley.

Magnetyzująca kobieta do swego medjum.*)

„Śpij, śpij! Zapomnij troski świata...
Już na czole ręka leży...
Nad Twym mózgiem duch mój wzlata...
Nad sercem litość, przyjacielu biedny —
A z mych palców płynie świeży
Prąd życia sił, co, krążąc w Tobie, błogą
Moc przeciw troskom życia szerzy...
Sił, co się wszakże zlać w istności jednej
Z Twemi nie mogą.

„Śpij, śpij! Nie kocham Cię — a przecie,
Gdy myślę, że ten, co w dolę
Moją wplata samo kwiecie,
Tak jak w Twe losy chwasty nieprzerwanie —
Te same cierpiałby bole,
Jak Ty zgubiony i nie moja ręka
Leżałaby na jego czole,
Jak ta na Twojem, łagodząc konanie —
Serce mi pęka

*) Wiersz ten ukazał się po raz pierwszy w *Shelley Papers*. Okoliczności, w jakich powstał, wyjaśnia pamiętnik kapitana Medwina. „Shelley podlegał dotkliwym cierpieniom, które niewątpliwie zapowiadały fatalny koniec; każdy gwałtowny paroksyzm groził śmiercią wobec rozstroju nerwowego. Byłem świadkiem stosowania magnetyzmu w Indjach i w Paryżu, więc, na usilną prośbę poety, zgodziłem się wypróbować na nim jego skuteczność. Sam Mesmer nie mógłby się spodziewać lepszych następstw. Położenie ręki mej na jego czole w jednej chwili mogło położyć kres cierpieniu i pogrążyć go w sen magnetyczny, który (w braku lepszego wyrazu) jest nazywany somnambulizmem. Pani Shelley i inna jakaś dama były przy tem obecne. Doświadczenie powtarzałem niejednokrotnie. Podczas transu zadawałem Shelley'owi pytania. Odpowiadając zawsze głos swój na ton mojego głosu nastrajał. Zapytywałem go o cier-

„Śpij, spij! Snem śmierci... snem, co w bycie
Nieurodzonych się splata...
Zapomnij miłość i życie...
Zapomnij, że na cierpień wrócisz drogę...
Zapomnij bezmyślną świata
Wzgardę, stargane zdrowie, sny, co poją
Młodzieńczy wiek, który ulata
Z nimi i mnie zapomnij, gdyż nie mogę
Nigdy być Twoją.

„Jak z chmur brzemiennych burzą w lecie,
Deszcz z płaczącej duszy mojej
Mży na Ciebie zwiędły kwiecie,
Muzyką niemą Twoje sny owiewa
I zapachem mózg Twój koi
I w mrocznem łonie Twem jasnością prószy...
Powtórna Ci się młodość roi —
Moja istota w głębie Twej się zlewa...
Włada w Twej duszy.

„Czar już podziałał. Jest Ci lepiej?“
„Lepiej mi — tak dobrze“ — rzecze
Śpiący, „powiedz, co pokrzepi,
Kiedy się zbudzisz, cierpiącego ducha?
Czem Twej głowy ból uleczę?“
Tem czem zabiłabyś mi duszę ranną!
Niech jeszcze tu mój byt się wlecze!...
Dziś do zerwania mojego łańcucha
Nie kuś, Joanno!

Przełożył z angielskiego

Warszawa. *Władysław Nawrocki.*

---

pienia i lekarstwo na nie — zwykłe to magnetyczne praktyki. Opowiadał mi: „To coby uleczyło — to i zabiłoby mnie“. Zasługuje na uwagę, że w wypadku opisanym przez Dr. Tritchler'a młody chłopiec Mateusz Schwir, będąc zamagnetyzowanym, mówił pofrancusku, tak jak Shelley po włosku. Improwizował on mianowicie wiersze po włosku, w którym to języku nigdy nie mógł pisać poezji. Shelley bywał następnie magnetyzowany przez kobietę, do której zwraca się w tym wierszu; przytoczone strofy utkwiły mi w pamięci. Odpis wiersza, zakomunikowany mi przez kapitana Trelawny'a, ma za nagłówek uwagę: „Tylko dla Jane i Williamsa“. Z naturalnego biegu rzeczy wynika, o czem zresztą i Medwin mówi gdzieindziej, że magnetyzującą lady była Jane Williams, małżonka Edwarda Williamsa, który wraz z Shelley'em znalazł zgon w falach Śródziemnego morza. *(Przypisek W. M. Rossetti'ego).*



Z notat słownikarza.

Ktokolwiek zastanawiał się krytycznie nad zjawiskami językowemi, temu znany jest fakt zastępowania wyrazu właściwego innym, podobnym brzmieniem, a choćby różnym co do znaczenia. Gdy zechcemy dochodzić początku podobnego zjawiska, w każdym szczegółowym wypadku, zawsze, jako sprawca, okaże się tu słoworód ludowy, któremu u nas poświęcił piękną pracę p. J. Karłowicz. W rozprawie tej znalazłoby się wiele przykładów, wyświetlających zjawisko, o które chodzi. W przysłowiu: zwąchał piżmo nosem — zastąpiono wyraz *piżmo* przez *pismo,* które przecież nic w sobie do wąchania nie ma; chlorek nazywają po pralniach *florkiem.* Pobudką do takiej zamiany jest najczęściej chęć zastąpienia wyrazu już niezrozumiałego przez zrozumiały i powszechnie powtarzany. Czasami chodzi o to tylko, ażeby tym sposobem zrobić wszystkie wyrazy w zdaniu zrozumiałymi, bez względu na to, że może przez taką operację zdanie straci właściwe lub wszelkie znaczenie. Przykład tego mamy w przysłowiu: Św. Urszula perły rozzuła, w którem wyraz *rozsuła* (rozsypała) zastąpiono przez nieodpowiedni *rozzuła.*

Nad jednem z tego rodzaju zjawisk postanowiłem bliżej się zastanowić.

Przysłówek *rzewnie,* oprócz powszechnie dziś znanego znaczenia, wyrażał i: *żywo, serdecznie, szczerze, gorliwie, żarliwie* (starosł. *revn* = gorliwy). Tak naprzykład przysłowie powiada: Kto miłuje rzewnie, ten szaleje pewnie (Rysiński, w. XVIII), a w „Ezopie“ księcia Jabłonowskiego (w. XVIII) czytamy: Przysłać mu obiecał człeka, który mu rzewnie, jak sam zechce, na wszystko odpowie. Jakby rozszerzenie tego znaczenia widzimy w zdaniu: Zjecie, wypijecie, co wam się rzewnie spodoba (Józef Ossoliński, w. XVIII), — albo w używanych dzisiaj zrzadka sposobach mówienia: co mu się rzewnie zachce; na co rzewnie spojrzy, wszystkiego pożąda; robi, co mu się rzewnie spodoba i t. p. Wskutek takiego rozszerzenia znaczenia naszego przysłówka, *rzewnie* w tym razie zastąpić można przez: *tylko, — w życiu, — w świecie, — na świecie, — kolwiekbądź,* chociaż przy czasownikach wyrażających chęć, upodo-

banie, znaczenie jego i na tym stopniu zwraca się ku znaczeniu zasadniczemu (por. bułg. *revne se* = podoba się). Tak rozszerzony zakres znaczenia przysłówka *rzewnie* schodzi się z znaczeniem przymiotnika *żyw,* jakie widzimy w zdaniach takich, jak: wszelkimi żywymi sposobami (Józef Ossoliński, w. XVIII), żadną żywą miarą (Bohomolec); miej sekret, abyś to nie powiedziała żywemu człeku (Jabłonowskiego „Ezop", w. XVIII); żywego ducha, żywej duszy niema. U Paszkowskiego (tłómacza Gwagnina, w. XVI) czytamy: coby jeno żyw Jego Mość chciał, to jemu dać. Tu „żyw" występuje zupełnie w tem samem znaczeniu, co *rzewnie* po rozszerzeniu znaczenia tego przysłówka. Często bowiem osiąga się ten sam skutek przez określenie podmiotu, co i przez określenie orzeczenia, jak to widać z sposobów mówienia: *rad* go widzi = widzi go *chętnie*; chłopczyk, *ciekawy,* zaglądał przeze drzwi = *ciekawie* zaglądał i t. d. Tym sposobem zdanie, o którem mowa, zmienićby można na: coby jeno *rzewnie* chciał... Wobec tego pokazuje się, że gdybyśmy od *żyw, żywy* w znaczeniu, o które chodzi, urabiali przysłówek, to odpowiadałby on zupełnie przysłówkowi *rzewnie.* Takiego jednak przysłówka nie mamy, a brak ten zastępujemy przez wyraz *żywnie:* panu jego wolno z nim uczynić, co pan jedno żywnie chce (Orzechowski, w. XVI); wolno im jakie chcą i które żywnie chcą psoty płodzić (Seklucjan, w. XVI); gdzie jeno żywnie chcesz (Januszowski, w. XVI); co żywnie chcesz; o czem żywnie zamarzy; co ci się żywnie spodoba. Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że przysłówek ten wyprowadzaćby można tylko od przymiotnika *żywny,* którego znaczenie jednak wcale się tutaj nie nadaje (znaczy on ożywczy albo ożywiony), to nasunie się pytanie, skąd taka anomalja? Odpowiedź na to nietrudna: w poczuciu mówiących *żywnie* nie jest przysłówkiem od *żywny,* ale zmienioną postacią wyrazu *rzewnie.* Pochop do takiego formalnego zbliżenia tych wyrazów dały ich jednakowe znaczenia, począwszy od zasadniczego znaczenia wyrazu *rzewnie* (żywnie mi się ta książka podoba — Troc, w. XVIII), a kończąc na najpóźniejszem (Bóg, gdy żywnie każe krzemieniowi, ten wielkością wód linie — Kancjonał gdański).

Niektórzy, widocznie pod wpływem języka rosyjskiego, inaczej odczuwali znaczenie przysłówka *żywnie.* Dla nich *żyw* w zdaniach takich, jak: coby jeno żyw Jego Mość chciał — znaczyło — *bądź,* a zdanie: co jedno żywnie chce — znaczyło: co jedno żyw nie chce, czyli: cobądź nie chce. Tylko tem przypuszczeniem da się objaśnić wyrażenie księdza Abrama Bzowskiego w „Różańcu" (w. XVI): niechaj będzie jakiego nieżyw stanu, t. j.: jakiego niebądź stanu, jakby się inaczej wyraziły osoby, o których mowa.

Warszawa. *Władysław Niedźwiedzki.*



Pro memoria.

1.

Filozofja jest szmatą — komu się udało
Owinąć nią i ogrzać swą duszę skostniałą.

2.

Znam silnego szatana, z którym się szamocą
Rówieśni mego wieku: on zwie się niemocą.

3.

To, co w człowieku wiecznie potwierdza i przeczy,
Jest jedyną wartością i miarą wszechrzeczy.

4.

Nieraz bieżysz z latarką w otchłań duszy ciemną,
Szukasz myśli i błądzisz w ciemnościach daremno.

5.

Gdybyście oko głębiej w wieczność zatopili,
Mniej nieślibyście ofiar dla znikomej chwili.

6.

Człowieku! Dotąd duch twój jest jeszcze mgławicą
Z miljonem gwiazd, ukrytych przed twoją źrenicą.

7.

Znam głębię. Nadaremnie śród jej mrocznej fali
Ołowiankę badania mędrcy zapuszczali;
Zda się, że ustawicznie dno głębiej ucieka,
Dno najskrytszych tajemnic, dno duszy człowieka.

8.

Wiecznie będzie w zapasy rzucał się duch młody;
Milszy mu znój zwycięstwa od ospałej zgody.

9.

Upadkiem nie są twarde oków hamowidła;
Najniżej ptak upada, który złamał skrzydła.

10.

Wy ubodzy na duchu! Sny wasze spokojne,
Obca wam noc bezsenna, obce wam dni znojne!

11.

Ilekroć czoło stawiasz tytanim mozołom,
Licz na twych nieprzyjaciół, nie wierz przyjaciołom.

12.

Kochaj twych nieprzyjaciół: oni ducha twego
Niby archaniołowie od upadku strzegą.

13.

Wróg twój jest ciepłomierzem twojego natchnienia;
Gdy się wznosisz, on wtedy sięga punktu „wrzenia".

14.

Na twórców nowych dążeń, twórców nowej cnoty,
Ludzkość czeka z nagrodą na szczycie Golgoty.

15.

Nie ten z rodu Kaimów, który łzy wyciska,
Ograbił wsie i grody, posiał cmentarzyska,
Lecz ten jest niszczycielem swojego stulecia,
Kto ducha bliźnich odarł z powabów i kwiecia.

16.

Niczem zaraza, plagi i wojen żelazo;
Niemoc ducha najsroższą ze wszystkich zarazą.

17.

Plemię śmierci! Gdy dzieckiem zwracasz na świat oczy,
Jeszcześ nie żył, już robak serce twoje toczy.

18.

Wiecznie padać i wstawać jest gienjuszów losem,
Wiecznie wstawać i padać — dziełem zwykłych ludzi;
Nie zostanie ten w dziejach duchowym kolosem,
Kto za stu nie spoczywa, za stu się nie trudzi.

19.

Nie ufaj sile więzów, to nitki pajęcze:
Gdy marznie woda w beczce, pryskają obręcze.

20.

Duchu ludzki, tyś drzewem! Gałęziami swemi
Sięgasz nieb, lecz korzenie pozostaną w ziemi.

21.

O znikoma nadziejo owych duchów, które
W skorupie innych bytów chcą skryć swą naturę!

22.

Z pożarów twego ducha i z myśli popiołów
Zlepiłeś twego boga i twoich aniołów.

23.

Przeklęty ród proroków, co bliźnim zacienia
Ożywcze źródła ziemi religją zrzeczenia.

24.

Człowiek w świat cudów chaos pierwotny zamienił,
On jest stwórcą wszechrzeczy, bo on je ocenił.

25.

Tylko ślepych i chromych kaleki duch wzlata
W mistyczny zaświat z progów realnego świata.

26.

Wstrętny mi jest ten motłoch, który chyli głowy
Przed nadętą wielkością cnoty urzędowej.

27.

Bohaterze! Pojmuję dlaczegoś wyniosły,
Bo z twoich namiętności twe cnoty wyrosły.

28.

Potomność laur zawiesi u twojego czoła,
Jeśli szatana w sobie przemienisz w anioła.

29.

Stłumiłeś w sobie wroga; nieskończona praca,
Wróg twój w sen się przedzierżgnął i raz jeszcze wraca.

30.

Dzień spłasza widma wspomnień, lecz za to noc głucha
Nasyła te upiory, by nękać nam ducha.

31.

Jeśli chcesz spać spokojnie, niedosyć, że zgodnie
Na łożu swych występków usną twoje zbrodnie,
Nie pierwej skroń znużoną oplecie sen złoty,
Nie pierwej zaznasz ciszy, aż usną twe cnoty.

32.

Charakter fundamentem twej pracy duchowej;
Na kruchym fundamencie nie wzniesiesz budowy.

33.

Ilekroć zmywasz ciało, czy wspomnisz o duszy,
Że i ją pył codziennych wydarzeń zaprószy?

34.

Zbrodniarz zawsze przeżyje klątwę swego gminu,
Jeśli go nie zabije widmo złego czynu.

35.

Gienjusz słońcem; ciemności słońca nie oblegą,
Tylko ziemia się ciągle odwraca od niego.

36.

Sztuka jest wielką szwalnią, w której, bracia moi,
Gienjusz kraje i szyje, talent tylko „kroi".

37.

Orzeł wzbił się nad ziemię — i wtedy odrazu
Mistrz lotu zmalał w oczach zazdrosnego płazu.

38.

Nieraz uczucia szałem człowieka ogarną,
Lecz w łupinach szaleństwa tkwi rozumu ziarno.

39.

Wiatr siłą, która tyle puszcz leśnych zwaliła.
Ach i duchem pomiata niewidzialna siła!

40.

Słowo jest szatą myśli. Nie zawsze poznacie
Wartość myśli, gdy chcecie sądzić ją po szacie.

41.

Dla nazbyt długich uszu przezorne stulecie
Obmyśliło kryjówkę w doktorskim birecie.

42.

Czy ci tak trudno dźwignąć brzemię twego życia?
A wszakże pychę swoją dźwigasz od powicia!

43.

Przed mędrcem czas ucieka jak młodzian wesoły
I nieraz by go mędrzec rad chwytał za poły;
Przed głuptakiem czas lezie jak stary maruda,
Gawędząc z swą małżonką, która zwie się nuda.

44.

Szczęście to uśmiechnięty przy drodze kwiat róży;
Często go pielgrzym mija w pośpiechu podróży.

45.

I w najsłodszej kobiecie jest perła gorczycy,
Którą rzuca mężowi do szczęścia szklannicy.

46.

Potężne muchy czasu krytycznemi wzloty
Ominą twe przywary, opstrzą twoje cnoty.

Warszawa. *Andrzej Niemojewski.*

Spotkanie z Świętochowskim.

Jeśli chcesz zrozumieć poetę — głosi znany wiersz niemiecki — to pójdź do krainy, w której żył i tworzył. Być może, iż zasada ta, antycypująca teorję Taine'a, jest słuszną, gdy idzie o utwory poety; lecz poetę samego, jako człowieka i indywidualność, poznacie lepiej, jeżeli go wyrwiecie z zwykłego otoczenia. Wówczas dopiero, uwolniony od tysiąca względów, które polot jego krępują, daleki od osób, które miłością swą lub nienawiścią, pochlebstwem lub szyderstwem, zarozumiałością lub powszedniością swą mącą drażliwe usposobienie jego; wówczas tylko zrzuciwszy maskę gburowatego mizantropa, którą odstrasza natrętnych, poeta stanie się sobą, odsłoni prawdziwą twarz swą, promieniejącą natchnieniem i wyśpiewa pieśń własnej indywidualności.

W takich to szczęśliwych warunkach poznałem Świętochowskiego i temu zawdzięczam, że w ciągu kilku dni, spędzonych z nim daleko od kraju, usłyszałem z tej tajemniczej pieśni duszy więcej może, niżbym pochwycić zdołał przez kilka lat — w redakcji *Prawdy*.

*

Było to na jesień 1889 r. Świętochowski, znużony kilkuletnią nieprzerwaną pracą, wybrał się wówczas w podróż do Salzburga i Szwajcarji. Spotkałem się z nim w Wiedniu. Miasto było o tej porze niemal puste, teatry zamknięte, a w dodatku deszcz prószył bezustannie; lecz wyznaję, że rozmowa z Świętochowskim, czar pierwszych wrażeń otrzymanych od człowieka tak wybitnego i dla mnie sympatycznego, nie pozwalały mi wcale odczuwać owego braku rozrywek wielkomiejskich i melancholji niepogody.

Nietylko to, co mówił, było niezmiernie zajmującem; ale szata, w którą ubierał myśli swe, sposób, w jaki je wygłaszał, zmiany, którym ulegał wyraz jego twarzy i rysunek całej postaci, przykuwały moją uwagę. Bo jeżeli Świętochowski jest mistrzem żywego słowa, jeżeli świadomie włada językiem jakby instrumentem wielostronnym, pełnym potęgi i wdzięku, to nerwy jego nieświadomie grają na rysach jego i na postaci, które wtórują słowom jego, niby drugi instrument, odzywający się echem.

Ta postać, fizycznie okazała, lecz uduchowiona, ta głowa zarysowana jędrnie, lecz obleczona dziwnym, kobiecym niemal powabem, niby tkanką promienną i miękką, zmieniały się w samej rzeczy tak, że chwilami trudno było uwierzyć w jedność i tożsamość różnorodnych typów, które w ciągu rozmowy przesuwały się przed oczyma. Ile razy Świętochowski mówił poważnie, miałem przed sobą skończony typ myśliciela-męczennika: czoło poza włosami rozwianemi, poorane pługiem myśli, policzki zapadłe nieco, otoczone długą brodą, oko przymrużone boleścią, uśmiech pełen melancholji; to apostoł na stos prowadzony, lub Galileusz, więziony za prawdę. Lecz w tem nagle, zapalając cygaro, które trzymała jego biała, drobna, delikatna ręka, — pełna wdzięku i wyrazu — uśmiechnął się wesoło, czoło mu się rozjaśniło, oczy błysnęły dowcipnym pomysłem; odmłodniał o lat piętnaście i przechylając się na krześle z niewymuszoną elegancją człowieka najlepszego towarzystwa, wyglądał na młodego polityka lub publicystę, który, jak Lassalle, umie łączyć demokratyczne zasady z pewną arystokracją ducha.

*

Arystokracja ducha — oto też pierwszy i główny rys, który wystąpił w słowach Świętochowskiego, kiedyśmy rozpoczęli rozmowę na odwieczny, a jednak zawsze świeży temat: poeta a świat... W tej nieświadomej samocharakterystyce, którą zawiera rozmowa podobna, Świętochowski stanął przedemną jako nieugięty, najczystszej krwi arystokrata duchowy, który zamknięty w pracowni swej, czuje się królem, władcą potężnym, panem skarbów nieprzebranych, który w poczuciu siły swej i wartości umysłowej swej pracy, umie gardzić nietylko bogactwem, ale zaszczytami, sławą, powodzeniem, uznaniem współczesnych.

I czemużbym nie miał wyznać tego? Ta potęga wewnętrzna, tak rzadka nawet u ludzi istotnego, wielkiego talentu; ta potęga indywidualności, odpychająca zazwyczaj dla ludzi, którzy nienawidzą wszystkiego, co przerasta ich miarę — ona najbardziej w Świętochowskim mnie ujęła. Oto granit intelektualny, na którym stają dzieła prawdziwej wartości.

— Żyję samotny — mówił Świętochowski — nie naginam się do wymagań towarzyskich, bo jestem w sobie samodzierżcą, autokratą absolutnym. Urządzam sobie życie, jak mi się podoba; a jeżeli to się innym takim mocarstwom dwunożnym nie podoba, to mi to obojętne... Odcinam się od świata, bo nie chcę, by mnie rozkradali. Jeśli ktoś nie jest nędzarzem umysłowym, jeśli przedstawia wartość jakąkolwiek, ludzie nań się rzucają i rozchwytują go po kawałku. Niechaj dobry matematyk zjawi się w towarzystwie, w tej chwili dziesięciu z obecnych zacznie go rozkradać. Niech wejdzie kobieta piękna, dwudziestu ją rozkradnie. Niech wejdzie człowiek mądry — rozerwą rozum jego i nic mu nie zostanie. Nie chcę dać się rozkradać za szklankę herbaty. Obcuję jak najmniej, by zachować odrębność, odmienność swą; to jedyne, co stanowi wartość człowieka. Kto dużo obcuje, z konieczności w końcu

staje się podobnym do szarego ogółu. Czy widzisz pan ten kamień spławiony, okrągły, służący za przycisk? To symbol: kiedyś i on miał postać odrębną, indywidualną; ale woda, która go spławiła gdzieś z północy aż tu, zabiła tę odrębność — otarła go aż do okrągłości. Nie chcę zdobić stołów ludzi jako taki przycisk wypolerowany...

*

Rzecz dziwna, że pisarz, umiejący tak wysoko cenić wartość odrębnej, własnej indywidualności, w poezji nie był sobą od pierwszej chwili. Poznałem Świętochowskiego w okresie przełomowym dla poetyckiej jego twórczości. Autor realistycznych nowel i pozytywistycznych dramatów, które tyle budziły zachwytu i entuzjazmu, uczuł nagle i czuł coraz wyraźniej, że właściwe jego natchnienie w inne porywa go sfery. Realizm, naturalizm, pozytywizm w sztuce, cały prąd ten estetyczny, przemożny w chwili kiełkowania jego talentu, wydawał mu się wówczas ciasnym, zaczął go był krępować i dusić. Obudził się w Świętochowskim poeta-filozof, pierwsze zarysy wielkiego, filozoficznego dramatu powstawały w jego duchu; rzeźbiarz własnej indywidualności znalazł wreszcie modłę odpowiednią.

Zwiedzaliśmy muzeum etnograficzne. Świętochowski z wielkiem zajęciem studjował pomniki okresu pierwotnego, na którego tle odgrywać się miał jeden z aktów dramatu, zajmującego go wówczas.

— Dziś dopiero — mówił — czuję się zupełnie sobą; jestem jak kozica górska, co ginie w dolinie i wspinać się musi na najwyższe szczyty. Oddalony od brudów życia realnego, w czystem powietrzu myśli mogę oddychać i czuję się swobodnym.

Z tej wyżyny artystycznej, na której poeta zostaje sam z utworem swym, wobec pokoleń przyszłych, jakżeż drobnem i nędznem wydawać mu się musi uganianie się za powodzeniem, stanowiące główną troskę innych pisarzy! Toteż Świętochowski z humorem wyrażał się o dramatopisarzach, trawionych gorączką jaknajrychlejszego wystawienia sztuk swych:

— Nieszczęśliwy to człowiek, taki autor sceniczny! Wymęczył się rok lub dwa, wydusił wreszcie sztukę. Zwołuje *meeting:* przychodzi dziesięciu szewców, dwudziestu krawców, 50 oficerów i 100 kupców, słuchają uważnie i powiadają mu w końcu: Przyjacielu, głupstwoś napisał. Sztuka pogrzebana. Wysuszył sobie głowę, wymyślił efektowny tytuł, wsiadł na aktorów jak dżokej na konia wyścigowego: nic nie pomogło! Pogrzebana! Czyż podobna w ten sposób utwór talentu czynić zawisłym od sądu zbiegowiska ludzi, nieraz najniekompetentniejszych?

To lekceważenie sławy za życia, ta obojętność dla bezpośredniego powodzenia utworów swych, jest niezmiernie rzadkiem zjawiskiem w czasach dzisiejszych. Flaubert był podobnym umysłem. Oto, co napisał do przyjaciela swego Maxime'a du Camp, który zwykł był uganiać się zbyt energicznie za rozgłosem bezwłocznym: „B y ć z n a n y m — to nie stanowi bynajmniej gló-

wnego mego zajęcia. Zadawalnia to tylko ludzi bardzo miernych. Zresztą, czyż można zdobyć sobie pewność jakąś w tym nawet kierunku? Rozgłos, chociażby największy, nie wydaje się nigdy dostatecznym; kto nie jest półgłówkiem, ten umierając nie wie nigdy, jakie ma imię... Pojmuję pośpiech u tych, którzy chcą być tylko fabrykantami literackimi. Lecz jeśli dzieło twe jest istotnie dobre, jeśli jest prawdziwem, obudzi ono odgłos za sześć miesięcy, za sześć lat lub — po tobie, cóż na tem zależy?"

Tak czują i myślą tylko artyści o wielkiej sile moralnej i ci, których talent, stroniąc od życia konkretnego i kwestji współczesnych, lubuje się w absolucie.

*

Zrozumiałem lepiej ten oderwany, absolutny kierunek, który Świętochowski, ulegając wewnętrznemu głosowi, obrał dla poetyckiej swej twórczości, kiedym się z własnych ust jego dowiedział o głębokiem jego zamiłowaniu do muzyki. Rys ten, o który nie byłbym dawniej posądzał redaktora trzeźwej, pozytywnej, naukowo-społecznej „Prawdy", rozszerzył mi i rozjaśnił niezmiernie artystyczną indywidualność Świętochowskiego.

Autor „Pięknej" czuje szczególne uwielbienie dla Mozarta. Podróż jego była właściwie pielgrzymką do rodzinnego miasta twórcy „Zaczarowanego fletu". Z jakim entuzjazmem, wróciwszy z Salzburga, opowiadał mi o pamiątkach zgromadzonych w Mozarteum! Z jak głębokiem zrozumieniem dla czaru muzyki opisywał symfonię śpiżową, którą grywa dzwonnica salzburska!

Przypadek zdarzył, że właśnie i Paderewski bawił wówczas w Wiedniu. Spotkaliśmy się z nim w „Kawiarni centralnej"; i znowu toczyła się rozmowa o muzyce. Świętochowski przypomniał historję powstania „Menueta", który Paderewski skomponował, by przekonać gorącego wielbiciela Mozarta, że i dziś jeszcze pisać można tak, jak ów mistrz pisywał. Z Mozarta rozmowa przeszła na Wagnera. Świętochowski potępiał muzykę Wagnera w sposób gwałtowny, może nawet nieco jednostronny, właściwy ludziom o temperamencie artystycznym i o wyrobionym, samodzielnym smaku. Paderewski, chociaż sam krytycznie na Wagnera się zapatruje, musiał go jednak bronić wobec filipiki Świętochowskiego. I ja nie podzielam poglądu autora „Duchów" na Wagnera, lecz słowa Świętochowskiego przekonywały mnie, że komórki jego mózgowe były stworzone dla muzykalnego myślenia, i że poeta ten byłby może wielkim muzykiem, gdyby nie był został — Okońskim.

*

Im bardziej poznawałem właściwy charakter umysłu i talentu Świętochowskiego, tem bardziej byłem zdumiony, że z wysokim polotem swym, z wstrętem do świata codziennego, łączyć umie działalność publicystyczną. Oto piękna odpowiedź, którą mi dał Świętochowski, kiedym go prosił o wyjaśnienie psychologicznej tej zagadki:

— Gdyby mi ktoś kazał ludzi nosić, myć ich, ocierać im nosy, powiedziałbym, że nie chcę, nie zrobię tego; ale niech ci ludzie będą mojemi dziećmi: ja je poniosę i umyję i nosy im otrę, bo je kocham, bo to moje. Oto, dlaczego mogę być publicystą: kocham społeczeństwo me, ono jest mojem, więc je obsłużę jak niańka, i najdrobniejsza rzecz w niem mnie obchodzi.

Nie tak brzmiały słowa Świętochowskiego. Były one piękniejsze, o wiele piękniejsze. Kto go po raz pierwszy spotyka, ten nie może się nadziwić sile i wdziękowi jego języka. Jest to język pełen olśniewających zwrotów; słysząc go, rzekłbyś, że kopalnia djamentów przed tobą się otworzyła. Dowcip trafny i częsty, lecz nigdy nie zjadliwy; obrazy, przenośnie, pełne żywiołowej poezji, przejęte oryginalną wonią. Być może, iż wymowa Świętochowskiego daje się czasem porwać użytemu raz porównaniu, że idąc za szczęśliwym obrazem, tworzy analogje, na które prawda rzeczywistości już nie pozwala; lecz w zasadzie improwizacje te mają zdumiewającą trafność i tchną bezwiedną przenikliwością gienjuszu. I nawet wówczas, kiedy wywołują u słuchacza protest, bywają, nie mniej przeto, pięknemi i odźwierciedlają umysł słoneczny, na wskróś artystyczny.

*

Zanim skończę te wspomnienia, chciałbym przytoczyć jeszcze dwa urywki rozmów, które przyczynią się może do właściwej charakterystki poety-myśliciela, posądzanego przez pewną część naszego ogółu o oschły pozytywizm.

Mówiliśmy o filozofji Spinozy, o sztuce neutralizowania wrażeń i namiętności za pomocą rozumowania, o owej etyce, która przepisuje zachowywanie równowagi filozoficznej i uczy sposobów zdobywania tej równowagi, niczem niezmąconej. Świętochowski etyki tej nie uznaje, nie uznaje jej dla siebie przynajmniej, a sposób, w jaki się o tem wyrażał, świadczy wymownie, że temperament artystyczny przeważa w nim nad pierwiastkiem „suchej filozofji“:

— Nie chcę wyciągać z siebie drugiego ja — mówił — któreby miało powołanie i obowiązek mentorowania mi i kontrolowania każdego z mych wrażeń; nie chcę wytwarzać w sobie drugiej, sztucznej istoty. Zresztą, czyż znoszenie wrażeń jest istotnie możliwem? Etyka Spinozy, to nie wynik filozofji, lecz natury jego. Czy warto naśladować tę naturę? Cóżby z życia zostało, gdyby się człowiek pozbył radości i smutku? Nie — wolę być sobą, takim, jakim mnie przyroda stworzyła..

Innym razem rozmowa toczyła się o religji, o widokach trwania lub upadku dzisiejszych religij, o idei odrodzenia religji w duchu nauki dzisiejszej, w formach zgodnych z pojęciami ludzi nowoczesnych.

— Czasy nasze — rzekł Świętochowski — to epoka zajęta wyłącznie kwestją najtańszej produkcji. Lecz póki nie będą rozwiązane zagadki świata, póty religja, jako system łatwego i uspakajającego poznania, będzie dla ludu niezbędną i istnieć nie przestanie. Czy powstanie nowa jakaś religja inteli-

giencji? któż to przewidzieć może? Co do mnie, chętniebym należał do takiej gminy wybranej, i nieraz czuję potrzebę zetknięcia się z ludźmi, którzy mają „ów worek czystego powietrza, z gór przyniesionego“... Wśród tej gonitwy materjalistycznej, wśród tych walk drapieżnych, tego rozkładu i rozkwitu, które cechują nasze czasy, widzę nieraz błyski, zwiastujące jakąś Niedzielę Ludzkości i wierzę, że po naszych czasach przyjdzie okres, w którym człowiek porzuci to nurzanie się całkowite w błocie zarobkowania, i pójdzie znowu za hasłami lepszemi, czystszemi!

. . . . . .

Paryż. *Alfred Nossig.*





NATURA I KULTURA.

Widzimy, że w świecie rządzą niezmienne prawa, za których wpływem tenże świat nieustannie się zmienia.

Świat wciąż się zmienia i to stale w pewnym kierunku — w kierunku rozwojowym. Oto w jednej cząsteczce nieskończonej przestrzeni, chaotyczna masa rozżarzonych gazów wytwarza słońce i krążące wokół niego pierścienie, które się zwijają w gorejące kule gazowe, z kul tych gazowych wytwarzają się znowu krążące wokół nich pierścienie, a z tych kule wtórne. Wszystko to stygnie zwolna — do punktu, w którym dalsze dzielenie się na nowe planety i księżyce staje się niemożliwem. Występują natomiast dalsze konieczne przemiany na każdej z planet, na każdym z księżyców. Saturn ze swojemi pierścieniami i inne gwiazdy stałe dowodzą, że ruch rozwojowy i w innych dziedzinach nieskończonej przestrzeni się odbywa. Losy jednej z planet są nam najbliżej znane. Jedna z kul gorejących — ziemia nasza — stygnąc, ulega organizacji. Wytwarza się na obwodzie ziemi skorupa z licznemi różnej natury chemicznej warstwami. Najbardziej na zewnątrz powietrze, a tuż pod niem woda, dzięki ukształtowaniu się nierównemu powierzchni, wytwarza oceany, morza, jeziora, rzeki, taż woda nowe wywołuje zmiany w kształcie powierzchni skorupy. Powietrze i woda przygotowują najzewnętrzniejsze warstwy skorupy w ten sposób, że stają się one łożyskiem, na którem musi powstać świat organiczny: świat zrazu najniższych ustrojów. Następuje wspaniały rozwój istot organicznych, równoległych i wzajem od siebie zależnych dwu królestw: roślin i zwierząt. Królestwo zwierząt przedstawia zdumiewający rozwój od pierwotniaków do kręgowców, śród ostatnich od ryb do ssących, śród ssących od stekowców do małp, do króla wreszcie życia ziemskiego do — człowieka.

* * *

W miarę występowania na widownię bytu nowych jego form występują na jaw nowe jakoby prawa. Ale to nie są prawa nowe, to są tylko nowe

konsekwencje niezłomnych praw zasadniczych bytu. Kiedy materja i siła istniała tylko pod formą wirujących, niepojętej prężności i ciepłoty gazów, nie mogły naturalnie urzeczywistniać się prawa rządzące związkami chemicznemi w temperaturach nizkich, lub w stanach roztworzonych; niemniej w naturze atomów żelaza n. p., wtedy jednego z mieszaniny gazów, zawierała się konieczność, że w roztworze chlorku wodoru wytworzyć musi chlorek żelaza — w naturze atomów sodu, że w solach będzie im nadawał cechy, które nazywamy alkalicznością. Podobnie węgiel, który wonczas był gazem wielkiej prężności, piastował w sobie te wszystkie konieczności, które obowiązują jako prawa chemiczne dzisiejsze związki węgla, związki świata organicznego.

Z chwilą pojawienia się życia na ziemi, ujawniły się prawa fizjologiczne — nie prawa nowe, ale nowe powikłanie praw zasadniczych, związanych z istotą pierwiastków chemicznych — najpierwotniejszych form bytu; wszystko to jedno, czy liczba pierwiastków chemicznych odpowiada przyjętej dzisiaj przez chemję, czy jest może dużo mniejszą.

Prawa biologiczne, to wyższe powikłanie fizjologicznych.

Prawa fizjologiczne warunkują istnienie i regulują gospodarstwo wewnętrzne każdego ustroju żywego, samego w sobie; z praw tych wypływają prawa warunkujące współistnienie całego świata, ożywionego w przestrzeni i rozwój jego w czasie, są to prawa biologiczne.

Dzięki prawom biologicznym istoty uledz musiały wielkiemu procesowi rozwoju, przystosowywały się do zmieniających się warunków fizycznych powierzchni ziemi, nieodpowiednie, niedoskonałe ginęły, utrwalały się coraz to doskonalsze coraz wyższe, wobec pojawiania się form coraz wyższych, zachowywały się te tylko z mniej doskonałych, których byt jest koniecznym dla współistnienia całego gmachu. Powstał świat ludzki, i przejrzał się wszechświat w jego świadomości; owszem, w miarę rozwoju tegoż świata i potęgowaniu się poznania i świadomości — wszechświat coraz to dokładniej w nim się przegląda.

Jako prawa mechaniczne i fizyczne w powikłaniu wyższem przeobrażają się w prawa chemiczne; prawa mechaniczne, fizyczne i chemiczne w wyższem powikłaniu przeobrażają się w prawa fizjologiczne; prawa znowu mechaniczne, fizyczne, chemiczne i fizjologiczne w wyższem powiązaniu przeobrażają się w prawa biologiczne — tak też, wnosić musimy, jeden z głównych czynników stanowiących o rozwoju ludzkości i stosunku jej do otaczającego świata a mianowicie kultura ludzka, jest jednym z wyższych przejawów praw biologicznych i jest wiązką praw naturalnych, które rządzą i kierują bytem w takim a nie innym kierunku.

Kultura tedy ludzka, której jednym ze współczynników jest inteligiencja ludzka, jest zjawiskiem przyrody tak, jak zjawiskiem przyrody było wytworzenie się skorupy ziemskiej lub powstanie na jej powierzchni pierwszych objawów życia. Jako instynkty zwierzęce są środkiem, którym natura kształtuje stosunki rodzajów zwierzęcych, ich trwanie i rozwój, tak zasób intelektualny ludzkości,

stanowiący o jej pracy, jej dążeniach, jej aspiracjach, jest środkiem w rękach natury ku kierowaniu rozwojem ludzkości i zmuszaniu jej do spełnienia koniecznego jej przeznaczenia. Słowem, świadomy i twórczy gienjusz ludzki, to czynnik naturalny, a ludzka cywilizacja jednem ze zjawisk przyrody.

Niewłaściwem jest też, choć powszechnie przyjętym zwyczajem przeciwstawianie zbyt jaskrawe cywilizacji naturze, oddzielanie bezwzględne praw rozwoju kultury ludzkiej od praw rządzących wszystkiemi innemi zjawiskami w naturze.

Czem był świat ludzki bez ognia? czem był bez języka? bez tradycji? bez etyki? Odjąwszy w myśli to wszystko, co najpierwotniejsza nawet cywilizacja mogła już dać ludzkości, przedstawi nam się obraz istot, których prarodzicielstwo, z pewnego niewłaściwego zresztą punktu widzenia, próżności naszej nie schlebia bynajmniej. Ale jednak ci najpierwotniejsi ludzie byli bądź co bądź ludźmi! i jakakolwiek była ich kultura, była ona kulturą ludzką; była to bez wątpienia kultura, nieodpowiadająca właściwie współczesnemu pojęciu tego wyrazu, była to kultura niemowlęca raczej, wiązka instynktów podobniejszych raczej do instynktów społecznych goryli, szympansów, ba pszczół, mrówek aniżeli do kultury naszej współczesnej lub greckiej, hebrajskiej, indyjskiej, chińskiej. Gdy wszakże społeczne instynkty zwierząt uznajemy za objawy czynników naturalnych — uznawać musimy instynkty społeczne ludzi pierwotnych lub dzisiejszych Papuasów lub Buszmanów również za objawy czynników naturalnych. A gdzież są między najniższemi a najwyższemi formami kultury ludzkiej widoczne linje graniczne? linij takich nie masz wcale, bo w pochodzie dziejowym rozwoju cywilizacji ludzkiej są tylko powolne, stopniowe, niewyraźne przejścia. Nie mamy tedy żadnej racji najwyższej nawet formy kultury ludzkiej mieć za coś innego, niż za przejaw czynników naturalnych.

Władza tedy intelektualna ludzka w zetknięciu z innymi fenomenami przyrody, wytwarza nowe, wysoce doskonałe zjawisko w przyrodzie t. z. cywilizacją, która jest zmienną jak wszystkie zjawiska w naturze, która stopniowo się przetwarza w coraz to doskonalsze formy, tak jak do form doskonalszych dążą w innych dziedzinach przejawy natury.

Gdy kultura ludzka wogóle, więc i wyższa jej forma cywilizacja jest funkcją natury, czyż nie upoważnia nas to do absolutnej obojętności odnośnie do spraw społecznych? Wszakże tor historji musi pójść wedle niezłomnych praw natury bez względu na zapał nasz lub naszą obojętność.

Jako zapewniła sobie natura trwanie rodzajów przez wszczepienie w indywiduum potężnego instynktu płciowego, tak też wszczepiła w człowieka potężną miłość prawdy, dobra i piękna i zaszczepiła tem samem w łono ludzkości ferment rozwoju i postępu ciągłego na drodze duchowego rozwoju.

Gdy namiętnie bronimy danego poglądu filozoficznego, czy ideału społecznego, czynimy to z tem większym zapałem w przeświadczeniu, że działamy w myśl koniecznych praw natury. Gdy niepokoi nas pytanie, azali zwyciężą

ideje, które prawdziwym będą wyrazem rzetelnego rozwoju ludzkości, uspokójmy się, że ludzkość musi pójść tam, kędy świeci ideał doskonałości — bo dzieje ludzkości idą w myśl dziejów świata, więc dążyć muszą do szczytów coraz wyższych.

Gdy zaś cywilizacja jest wyrazem niezłomnych praw natury — jakkolwiek mylić się możemy w uznaniu drogi, po której się dotrze do ideału prawdy, dobra i piękna, uspokajać nas winno przekonanie, że bądź co bądź na właściwą drogę duch ludzkości wstąpi, bo kultura ludzka jest funkcją wszechpotężnych, wszechmądrych, a niezłomnych praw natury.

Warszawa. *Dr. Henryk Nusbaum.*

Idea transformizmu i obecny rozwój biologji.

Zamierzając skreślić drobny jaki przyczynek do dzieła zbiorowego, ku uczczeniu znakomitego naszego pisarza i publicysty, Aleksandra Świętochowskiego, postanowiłem rzucić kilka myśli o wpływie idei transformizmu na obecny rozwój biologji. Z dwóch względów temat ten wydał mi się stosownym.

Któż z nas nie pamięta owych czasów, gdy w siódmym i ósmym dziesiątku lat, zdążającego ku schyłkowi stulecia, zaczęły do nas z zachodu przenikać odgłosy wielkich teorji przyrodniczych i filozoficznych i gdy młoda szkoła t. z. pozytywistów wystąpiła do śmiałej i zaciętej walki ze skostniałemi ideami starej. W tym wielkim boju duchowym odegrał jedną z pierwszorzędnych ról Aleksander Świętochowski. Odwaga w wypowiadaniu prawdy, jasny i niezwykle trzeźwy umysł, niewzruszona stałość przekonań i niezrównany talent pisarski złożyły się na to, że publicysta ten stał się w swoim czasie niejako przywódcą owego ruchu umysłowego w Warszawie.

W owym to czasie przenikać do nas zaczęły z zachodu wielkie idee filozoficzno-biologiczne; pisma Darwina, Häckla, Huxley'a, Vogta, Büchnera i wielu innych myślicieli gorączkowo niemal były czytywane przez szerokie warstwy wykształconego naszego ogółu. Nowe idee wywoływały walki i burze, prasa konserwatywna obawiała się popularyzowania teorji transformizmu, młoda i postępowa szeroko ją rozpowszechniała, a Aleksander Świętochowski, redaktor kilku z koleji najbardziej poczytnych czasopism, występował zawsze jako gorący zwolennik teorji ewolucji, a raczej nie będąc sam przyrodnikiem, jako szermierz tych wszystkich kierunków w filozofji, które pod wpływem teorji descendencji powstały, i na całości wiedzy ludzkiej potężnie zaważyły. Z tego względu poruszenie przy niniejszej sposobności kwestji, którą niżej omówić zamierzam, wydaje mi się najzupełniej stosownem.

Ale inna jeszcze okoliczność skłania mię do tego. W nauce teorja transformizmu odniosła z biegiem czasu najzupełniejsze zwycięstwo, a niema dziś ani jednego naukowego zoologa, botanika, fizjologa, anatoma, lekarza i t. d., który wierzyłby w niezmienność gatunków i który nie przyjmowałby stopnio-

wego rozwoju świata organicznego. Wpływ, jaki wywarły i dziś jeszcze wywierają idee darwinistyczne na rozwój i postęp biologji, tak jest olbrzymi, iż trudno prawie znaleźć w dziejach wiedzy inny przykład analogiczny; z tym wpływem daje się chyba porównać doniosłość odkryć Kopernika, Keplera i Newtona dla postępów astronomji i fizyki. Ale oto dzisiaj wskutek ogromnego rozwoju nauk biologicznych, wskutek różnicowania się ich na liczne bardzo gałęzie i gałązki, i wreszcie wskutek olbrzymiego nagromadzenia się nowych faktów grup pod wpływem ulepszających się bezustannie metod badania i wzrastających środków naukowych — pisarze, nieumiejący orjentować się w tych różnorodnych kierunkach, tracą z oczu nić przewodnią i nie dostrzegają, że wpływ dodatni teorji transformizmu wciąż jeszcze istnieje, że pod jego właśnie działaniem otwierają się w obecnej chwili dla biologji nowe horyzonty badań, prowadzące umysł na świeże tory uogólnień przyrodniczo-filozoficznych.

W jednym z miesięczników warszawskich umieszczono niedawno rozprawę p. t. „Następcy Darwina i losy darwinizmu“, w której autor dochodzi do następujących wniosków: „W istocie jeśli darwinizm dziś wywiera po części ujemny wpływ w zakresie naukowym... to wpływ ten polega na pewnem wyczerpaniu jego żywotności, na potrzebie nowych pobudek i nowych dróg... Wśród pracowników na polu wiedzy, większość należy do takich, którzy idą raz wytkniętemi ścieżkami i nie szukają, ani torują nowych. Gdy Darwin pokazał nowy gościniec, całe mrowie mniejszego ludku rzuciło się nań i wkrótce wygryzło wszystko, co się wygryźć dało; kierunek ten zaczyna jałowieć, badania wyradzają się w małostkowe poszukiwania domniemanych gienealogji lub pokrewieństw.“

Wykazać bezzasadność powyższego twierdzenia, w ciasny bardzo sposób przedstawiającego wpływ poglądów ewolucyjnych na dzisiejszy stan i rozwój biologji, — oto zadanie niniejszego szkicu, w którym ze względu na brak miejsca tylko w najogólniejszych zarysach postaram się rzecz uwydatnić.

Wielkie teorje naukowe porównać można do potężnych katastrof w przyrodzie, po których pozornem przeminięciu przez długie, długie lata, wykazać się dają niezatarte ślady pod różnemi objawiające się postaciami.

Olbrzymia lawina, wytrącona z równowagi, spuszcza się po pochyłościach góry w doliny, po drodze kruszy opoki kamienne, roztrąca skały, na jej przedzie piętrzą się moreny; nie masz dla niej przeszkody, wszystkie zapory pokonywa bez wysiłku, toruje sobie drogę, ściera wszystkie sterczące głazy, wygładzając powierzchnię, po której się posuwa. Ale gdy z niedostępnych wyżyn w niziny się spuściła i tu spoczęła, nie kończy się jej pochód. Tysiączne strumyki, zasilone olbrzymiem jej ciałem, roznoszą je na wszystkie strony świata; z tych strumyków początkowo hałaśliwych i nieokiełznanych powstają wartkie potoki, a z nich szerokie koryta rzek, majestatycznie i spokojnie, lecz nierównie potężniej toczących swe wody, coraz dalej i dalej.

To samo ma miejsce z wielką teorją naukową. Jako potężny płód wy-

żyn ducha ludzkiego toruje sobie drogę ku szerszym masom, zwalcza przesądy, pokonywa opozycje, roztrąca śmiało skamieniałe i zatęchłym mchem starości otulone dogmata naukowe, i wreszcie na szerokich podstawach osiada zwycięsko na stałym gruncie. Ale wówczas dopiero rozpoczyna się ujawniać wielka jej rola. Tu i ówdzie tryskają z niej życiodajne krynice myśli, które wybiegając w najróżnorodniejszych kierunkach, z początku kroczą omackiem, lecz pod jej tchnieniem coraz to pewniejszą obierają drogę. Umysły ludzkie zapłodnione wielką teorją, z przedziwną łatwością wyszukują sobie nowych dróg badań, zwracają się ku nietykanym dziedzinom, a tak rośnie i potężnieje umiejętność pod wpływem pierwotnego impulsu.

Takim wspaniałym bodźcem dla rozwoju nowoczesnej biologji była teorja descendencji. Jej zawdzięcza ona swój olbrzymi wzrost i rozwój w drugiej połowie bieżącego stulecia, pod jej wpływem powstały liczne gałęzie tej umiejętności, odsłoniły się pewne nowe nietknięte całkiem dotąd dziedziny badań, a jakkolwiek umysły ciasne nie dostrzegają tej łączności budzących się dziś nowych kierunków z przebrzmiałą pozornie teorją descendencji, to jednak bliższa analiza wykazuje jak najwyraźniej, że łączność ta istnieje w całej pełni. Nowe źródła, świeże, życiodajne krynice, oraz majestatycznie toczące swe fale wielkie rzeki nauk bjologicznych — to wszystko aż dotąd zasilane jest obficie przez ideę transformizmu, która po przebrzmiałych walkach dawno już osiągnęła niewzruszone zwycięstwo w nauce.

Teorja transformizmu wykazawszy związek gienetyczny pomiędzy istniejącemi dziś grupami istot organicznych, wywarła wpływ dodatni na postęp tych wszystkich umiejętności morfologicznych, które traktują porównawczo budowę i rozwój zwierząt (anatomję porównawczą i embrjologję porównawczą). Otóż kierunek badań w tym duchu prowadzonych nietylko nie zaczyna jałowieć, lecz, wprost przeciwnie, znajduje się dopiero, rzec można, na drodze do pełni rozkwitu.

Niedawno dopiero przekonano się, że wnioski co do pokrewieństwa grup poszczególnych i co do gienealogicznych ich stosunków wyprowadzać można ściśle naukowo tylko na podstawie nader szczegółowych badań anatomo-porównawczych i embrjologicznych (uwzględniających wszystkie strony organizacji), które obejmować muszą możliwie jak największą ilość gatunków. To, co dotychczas uczyniła dla filogenji (nauki o rodowym rozwoju) biologja, było tylko kreśleniem dziejów gienealogicznych w grubych bardzo zarysach, niejako szkicowo, dla ścisłych atoli i na pewnych podstawach opartych dociekań w tym względzie leżą jeszcze przed nami odłogiem obszerne horyzonty badań. Że na tem polu dla ludzi, nieobejmujących całości morfologji lub powierzchownie wnioskujących, nastręcza się pole do nienaukowego i płytkiego teoretyzowania, przypominającego pewne kartki z dziejów „naturfilozofji“ niemieckiej przeszłego stulecia, to nie wina kierunku, lecz pojedyńczych jednostek, za których grzechy nauka odpowiadać nie może.

Nazwać obecne badania nad pokrewieństwem form zwierzęcych „mało-

stkowemi", może tylko ten, kto sam z temi badaniami nie jest gruntownie obznajmiony. Czyż dążenie do poznania i zrozumienia dziejów świata organicznego, do wyjaśnienia sposobu, w jaki organizacja od form najniższych zmieniła się, przeobrażała i różnicowała wytwarzając niezliczone mnóstwo postaci różnorodnych — można nazwać małostkowem?

Wobec głównej ogólnej myśli teorji descendencji, że świat organiczny stopniowo się rozwinął przez szereg przemian ustrojów — pytania jak w tym lub owym wypadku te przemiany się odbywały, są mniej albo więcej szczegółowemi, ale nie małostkowemi. Z zupełnie takiem samem prawem moglibyśmy nazwać w dziedzinie fizyki małostkowemi, świetne odkrycia Maxwella i doświadczenia Hertza, dokonane w ostatnich latach nad elektromagnetyczną teorją światła, które wykazały, że fale elektryczne podobnie jak i świetlne są tylko wynikiem ruchu eteru, małostkowemi dlatego, iż zasada zachowania energji jako idea ogólniejsza, od dłuższego czasu jest już powszechnie znana i przyjęta.

Tak tedy w dziedzinie dwóch najważniejszych gałęzi nauk morfologicznych: anatomji i embrjologji porównawczej, teorja descendencji przyświeca bezustannie badaczom; wpływ jej ani na chwilę nie ustał, idea przewodnia co do pokrewieństwa form organicznych, co do homologji (odpowiadanie sobie) pewnych narządów w szeregu postaci i t. d. jest górującą w dzisiejszych badaniach morfologicznych, a skutki tego naukowe są niesłychanie wielkie, albowiem tą drogą dochodzimy nietylko do poznawania organizacji, ale co ważniejsza — wyjaśnienia jej, do rozumienia. Nietylko atoli w tych gałęziach biologji idea descendencji okazała swój wpływ dodatni.

Wychodząc z zasady ewolucyjnej, iż świat organiczny rozwinął się z istot o budowie bardzo prostej — z pierwotniaków pozostających w stadjum komórki, a dalej, że najprostsze ustroje jednokomórkowe powstać musiały niegdyś w dziejowym rozwoju ziemi naszej z przyrody nieożywionej — biologowie przyszli do przekonania, że zrozumienie skomplikowanych objawów życia u istot wyższych uwarunkowane jest przedewszystkiem przez poznanie czynności fizjologicznych ustrojów najprostszych, a przedewszystkiem protoplazmy, tego ogólnego podścieliska wszystkich zjawisk życiowych. Ta idea, która jest tylko dalszem rozwinięciem pojęć ewolucyjnych, dalszą konsekwencją, do jakiej dojść musieli wszyscy wyznawcy transformizmu, spowodowała zwrócenie się w nowszych czasach ku nowej, a tak mało dotąd opracowanej dziedzinie badań nad biologją komórki organicznej.

Zrozumiawszy, iż protoplazma jest podścieliskiem życiowem, wspólnem wszystkim ustrojom naszego globu, zwrócono się tedy w ostatnich kilkunastu latach do badań nad jej organizacją i czynnościami. Nie tu miejsce wymieniać setki nazwisk wybitnych uczonych, którzy położyli niespożyte zasługi w tej dziedzinie; przypomnijmy sobie tylko prace takiego Naegelego, Engelmanna,

[1]) Mam tu na myśli np. niektórych zoologów amerykańskich.

Leydiga, Flemminga, Köllikera, Bütschli'ego, Frommanna, Altmanna, Hertwiga, Verworna i wielu wielu innych. Wynikiem tych poszukiwań było powstanie nowej niejako gałęzi biologji. Od czasu, gdy w r. 1839 Teodor Schwann odkrył komórkę zwierzęcą, nauka o budowie komórkowej, t. z. histologja, szybkim rozwijała się krokiem, ale dopiero w ostatnich kilkunastu latach zaczęto zapuszczać się bardzo głęboko w biologję komórki, a przyczyną, raczej bodźcem było to bezwiedne może w wielu razach przeświadczenie o tem, iż komórka w myśl teorji descendencji jest zasadniczym punktem wyjścia dla wszystkich organizmów.

Zasadnicza idea, która kierowała i kieruje dotąd badaczami na tem nadzwyczajnie wiele obiecującem polu, jest ta, że w protoplazmie tkwią już najpierwsze zawiązki tych wszystkich objawów życiowych, które właściwe są w ogólności ustrojom. Przedewszystkiem zatem plazma musi mieć stosunkowo złożoną bardzo budowę, a dalej winna spełniać czynności bardzo różnorodne. Badania wykazały rzeczywiście, że tak jest; wykazano, że w kurczliwości plazmy kryje się zagadka skurczu mięśni i ruchów serca, w przemianie materji plazmy zagadka chemicznych przemian, towarzyszących życiu ustroju wielokomórkowego, we wrażliwości *(irritabilitas)* plazmy — problemat życia psychicznego ustrojów wyższych. Stąd to rozwinął się z czasem nowy kierunek w badaniach biologicznych, który ochrzczony został mianem „cellularnej (komórkowej) fizjologji", a który budzi się dopiero za dni naszych (przedstawicielami jego są: Max Verworn, Stahl, Pflüger, Mietschnikoff, Pfeffer, Massart, Leber, Buchner i liczni inni badacze).

Kwestja dziedziczności i zmienności, której doniosłość wykazała teorja descendencji, była od chwili pojawienia się pism Darwina przedmiotem badań szczegółowych, lecz dopiero w ostatnich latach weszła ona na nowe tory i dziś dała początek nowej niemal gałęzi poszukiwań biologicznych.

Już Darwin w swojem wiekopomnem dziele o zmienności zwierząt i roślin w stanie kultury czuł potrzebę teoretycznego wyjaśnienia objawów dziedziczności i wymyślił znaną hipotezę „pangenezy", według której ze wszystkich komórek ciała odrywają się jakoby drobne materjalne cząstki, wędrujące do komórek płciowych, wskutek czego te ostatnie mają zdolność wytwarzania nowego osobnika, odziedziczającego najdrobniejsze nieraz znamiona po rodzicach; owe cząstki bowiem, pochodzące ze wszystkich komórek ciała rodzicielskiego, mogą dać początek komórkom zarodka, podobnym do tych, z jakich same powstały. Darwin tedy widział w owych hypotetycznych cząstkach (pangenach) materjalne podścielisko dla znamion dziedzicznych, przenoszących się z przodków na potomków. Również i teorja Herberta Spencera „jednostek fizjologicznych" dążyła do wyjaśnienia objawów dziedziczności. Wszelako jak długo poszukiwania empiryczne nad komórkami płciowemi, nad zapłodnieniem i rozwojem embrjonalnym na nizkim znajdowały się stopniu, kwestja powyższa była prawie niedostępną dla ściśle naukowych badań eksperymentalnych. W nowszych wszakże czasach, dzięki udoskonaleniu środków i metod badania

mikroskopowego, zdołano odsłonić liczne bardzo tajemnice rozwoju, a kwestja teoretycznego tłómaczenia objawów dziedziczności i zmienności na nową weszła drogę. Z jednej strony zdobycze faktyczne osiągnięte przez cały szereg biologów jak Fola, Hertwiga, Boveri'ego, Strassburgera i t. d., z drugiej dociekania teoretyczne Galtona, Brooksa, Wiesnera, Hugo de Vries'a, Roux'a, Oskara Hertwiga, Augusta Weismanna, Haacke'go, Yves Delage'a i wielu innych autorów — przyczyniły się do tego, że kwestja dziedziczności stanowi w tej chwili jeden z najżywiej opracowywanych rozdziałów biologji.

Jak zwykle w rozwoju nauki, tak też i w tym wypadku, jedna kwestja ogólniejsza zrodziła cały szereg pytań poszczególnych, nad których rozwiązaniem pracować jeszcze będą liczne pokolenia uczonych. Zrodziły się pytania, jakie składniki komórek płciowych (jaja i ciałka nasiennego) są siedliskiem znamion dziedzicznych, pod jaką postacią zawiązki tych znamion kryją się w komórkach rozrodczych i wogóle czy wszystkie zawiązki tych znamion faktycznie istnieją w elementach płciowych, w jaki sposób zaczątki cech uzewnętrzniają się podczas rozwoju i nadają pewne określone piętno dziedziczne potomkowi, dalej jaki jest udział i wpływ warunków zewnętrznych na procesy rozwojowe, czy i o ile znamiona nabywane przez rodziców podczas ich życia indywidualnego przenosić się mogą na potomstwo i stawać się dziedzicznemi? Z tymi ważnymi problematami biologicznymi w bezpośrednim związku są i inne ogólniejsze zagadnienia, dotyczące n. p. śmiertelności ustrojów najprostszych, pozostających w stadjum komórki, powstawania płci i t. d. i t. d. Odpowiedzi na wszystkie te pytania szuka biologja współczesna nie w samych tylko teoretycznych dociekaniach, ale przedewszystkiem na drodze badań eksperymentalnych. Wprowadzenie doświadczalnej metody do poszukiwań morfologicznych doprowadziło już do wyjaśnienia niejednego z powyższych zagadnień, a rozwijający się dziś szeroko nowy kierunek tych badań jest wielce obiecujący na przyszłość. Dzięki pracom Roux'a, Driescha, Loeba, Chabry'ego, O. Hertwiga i wielu innych, gromadzi się dziś coraz więcej materjałów faktycznych do nowej nauki, t. z. „mechaniki rozwoju organizmów“ („Entwicklungsmechanik“), a powstały nawet specjalne, od kilku lat istnjejące czasopisma naukowe, poświęcone wyłącznie tej nowej gałęzi biologji. Mamy np. przed sobą ostatni zeszyt *Archiv für Entwicklungsmechanik der Organismen,* czasopisma wydawanego przez prof. Wilhelma Roux'a i oto znajdujemy tam szereg prac interesujących, poświęconych doświadczalnemu badaniu najgłębszych zagadnień biologicznych, związanych wszakże jaknajściślej z teorją transformizmu, jak np. studjum Davenporta i Castle'a o aklimatyzacji organizmów do wyższych temperatur, rozprawę Morgana i Driescha o analizie pierwszych stadjów rozwoju jaja, prace o zapłodnieniu sztucznie otrzymanych fragmentow jaja i rezultatach tegoż, studja nad zmiennością ustrojów podczas ich rozwoju i t. d.

Nietylko jednak anatomja porównawcza, embrjologja, biologja komórki i systematyka zwierząt i roślin, dążąca do ugrupowania jestestw żyjących według skali ich naturalnego pokrewieństwa, rozwijają się za dni naszych pod

nieustającym wpływem teorji descendencji. Idea transformizmu, przeświadczenie o związku genetycznym istot żyjących, doprowadziły dalej do porównawczego traktowania nauki fizjologji. Gdy niedawno jeszcze badano funkcje dorosłego ustroju samego w sobie, traktowano fizjologję jako fizykę i chemję jednostki, to dziś coraz bardziej zarysowują się kontury nowej ery dla fizjologji, a mianowicie: fizjologji porównawczej, której zadaniem ma być wyśledzenie stopniowego rozwoju i komplikowania się czynności życiowych w łańcuchu jestestw od najniższych postaci, stopniowo do form, coraz wyższe zajmujących miejsce na drabinie ustrojów. Piękne prace Fredericq'a i Vandevelde'a, Plateau, Yunga, Krukenberga, Engelmanna, Eimera, G. J. Romanesa, V. Grabera, Loeba i wielu, wielu innych uczonych lat ostatnich położyły trwałe fundamenta pod gmach fizjologji porównawczej, dla której stają otworem zaledwie ogarnąć się dziś dające horyzonty. Przypomnijmy sobie np. jak piękne rzuciły światło poszukiwania Lenhosseka, Retziusa i innych nad systemem nerwowym u zwierząt bezkręgowych na sprawę czynności układu nerwowego u kręgowców.

Przez zastosowanie nowych metod (Golgi'ego, Ramon y Cajal'a, Ehrlicha) badania systemu nerwowego u robaków, stawonogów, mięczaków i kręgowców przez odkrycie doniosłego faktu, że system ten składa się u wszystkich zwierząt z pewnych jednostek morfologicznych t. z. neuronów, oraz przez porównanie prostszych stosunków, zachodzących u zwierząt niższych, z bardziej złożonemi, właściwemi kręgowcom — zdołano zrozumieć pewne strony fizjologji układu nerwowego, które dotychczas błędnie sobie przedstawiono.

A nawet i w patologji porównawcza metoda zyskuje sobie sprzymierzeńców i obecnie zaczyna się rozwijać umiejętność, badająca procesy chorobowe np. zapalne nietylko u człowieka i zwierząt domowych, ale zarówno też u niższych organizmów. Że i ta, młodziutka bardzo gałąź biologji, zrodziła się jako konsekwencja poglądów ewolucyjnych, najwymowniej dowodzi tego fakt, że najgłówniejszym jej szermierzem jest prof. Mietschnikoff (w instytucie Pasteur'a w Paryżu) z zawodu zoolog, z krwi i kości darwinista, uczony, który położył już dawniej ogromne zasługi na polu embrjologji porównawczej, traktowanej przezeń zawsze ze stanowiska teorji desendencji.

Jeśli wreszcie zwrócimy uwagę na to, jak doniosły wpływ wywarła idea transformizmu na rozwój antropologji i psychologji porównawczej (co do tej ostatniej dosyć jest np. wspomnieć o kierunku prac Romanesa i jego uczniów) dojdziemy do wniosku, że idea ta w iście cudowny sposób zapłodniła wszystkie gałęzie biologji współczesnej i że kierunek przez nią wytknięty nietylko nie zjałowiał, nietylko nie wyczerpał się, lecz przeciwnie jest niewyczerpanem i niezgłębionem źródłem, z którego biologja współczesna pije pełną piersią i pić będzie tak długo, jak tylko myśl ludzka dociekać będzie zagadek życia.

Lwów. *Prof. Dr. Józef Nusbaum.*

Sam na sam.

I.

Ulicami, źle oświetlonemi przez rzadko rozstawione latarnie, szybko biegła do domu. Paru godzin tylko brakowało do północy. Była niespokojną o siostrę, która zrana czuła się gorzej niż zwykle, ale właścicielka zakładu krawieckiego aż do tej chwili zatrzymała przy robocie wszystkie pracownice. Nic dziwnego: karnawał; roboty — co niemiara! Ona, panna do kroju, najwięcej ma i pracy i odpowiedzialności. Ale mogłaby szczycić się tem, że w 23-cim roku życia jest już najbieglejszą i najlepiej opłacaną pracownicą w najsłynniejszym zakładzie krawieckim tego miasta. Mogłaby także cieszyć się, że matka i siostra żyją przeważnie z tego, co ona zarabia, bo nauczycielską pracę siostry przerwała choroba już od kilku miesięcy. To gorsza, że serce jej stało się od pewnego czasu nieprzystępnem dla uczucia chluby, zarówno jak uciechy; na dno jego zapadł ból i czyni je ciężkiem jak kamień.

Z ciężkim kamieniem w piersi prędko biegnie po ślizkich chodnikach. Środkiem ulicy leży śnieg, chodniki oszklone cienką warstwą lodu. Ale ona przywykła do dziennej i nocnej bieganiny po mieście, do ślizgawicy, do zimna i do samotności za domem i w domu.

Był moment, z paru miesięcy złożony, w którym zrobiło się jej na świecie jak w raju. Przeszedł na zawsze i nic dziwnego! Siostra jej, Klemunia, piękniejsza od niej, nadewszystko więcej wykształcona i dystyngowana, od pierwszego poznania się z panem Zbigniewem oczarowała go i podbiła. Ona, Kazia, wygląda przy niej, jak świeca przy słońcu.

Gdyby pan Zbigniew nie był nigdy przestąpił progu ich domu... Ale to było niepodobnem. Poznała go w magazynie, gdzie parę razy towarzyszył to matce swojej, to siostrze, a potem zaczął umyślnie spotykać się z nią na ulicach, witał się serdecznie, rozmawiał długo, tak rozmawiał i tak na nią patrzał, że od tego stawało się jej na świecie jasno i ciepło jak w maju, lub w raju. Uwierzyła w to, że ją pokochał. Być kochaną! O Boże! jakież to wielkie szczęście, dla niej zwłaszcza, której nikt nigdy nie kochał, bo ojciec odumarł ją bardzo wcześnie, a matka przepadała za Klemunią. Ją — znosiła. Ma się rozumieć; cóż miała czynić, skoro już raz urodziło się to dziecko, nie wiedzieć

dlaczego niemiłe? Dla oczu ludzkich, przez dobroć serca zresztą, nie krzywdziła jej nigdy fizycznie. Ale nic nadto: żadnych czułości, pieszczot, zwierzeń. Klemunia zaledwie od ziemi odrosła, była już przyjaciółką matki. W szare godziny rozmawiały pocichu, z rękoma zarzuconemi wzajem na szyje: matka zwierzała się przed nią ze swych trosk naprawdę dużych, Klemunia wymyślała różne pociechy, rady. A ona, Kazia, siedziała w drugiej izdebce sama jedna, naprawiając bieliznę i suknie dopóty, dopóki matka nie zawołała:

— Kaziu, nastaw samowar!

Po herbacie, to samo, matka z Klemunią przy lekcji, albo przy czytaniu, a Kazia znowu szyje, albo czyta sama jedna, trochę ukradkiem. Bo matka pochodziła z dobrej rodziny, znała obce języki i uczyła ich Klemunię.

O Kazi powiedziała: niema zdolności! Będzie szwaczką.

Została szwaczką wyborną, dobrze opłacaną, a pomimo, że to i owo ją zasmucało, niedawno jeszcze była wesołą jak szczygieł. Siostrę uwielbiała za jej piękność i rozum; każde słowo matki, choć trochę serdeczne, wprawiało ją w humor tak świetny, że z jej opowiadań i figlów śmiała się nawet matka obojętna i siostra rozumna. Miała w sobie niezwykły zapas młodości, siły, nadziei. Nadziei długo nie nazywała po imieniu, ale przed rozpoczęciem pracy i po jej ukończeniu, topiąc wzrok w jutrzniach porannych i w wieczornych zorzach, więcej czuła niż myślała, że stanie się z nią wkrótce coś nowego, radośnego. Słyszała wtedy śpiew słowika w dalekim lesie. Lasem była przyszłość, słowikiem miłość. Aż stało się to, co przeczuwała. Z za jutrzenki, czy z za zorzy, wypłynęła postać młodzieńca, który najwyraźniej okazał, że ją kocha. Pokochała go całem sercem ufnem i sierocem. Nie w lesie już, ale w niej samej słowik zanosił się od śpiewu. Tylko, że romans prowadzony na ulicy obrażał jej skromność; nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego, ale obrażał: Wymogła ona na panu Zbigniewie, aby zapoznał się z jej matką i zaczął bywać w ich domu. Ach, gdyby była nie uczyniła tego! Gdyby postępowała tak, jak wiele jej koleżanek, którym podobne skrupuły ani w głowie powstają! Owszem; uczyniła dobrze. Gdyby wszystko wróciło, uczyniłaby tak samo... Jednak... Boże! jak smutno na świecie! Ulice takie ciemne i puste, pod stopami lód ślizki od śniegów, których pełno dokoła, chłód bije; chłodem siecze wiatr zlatujący od nieba, czarnego jak otchłań. W piersi fala gorąca płynie ku gardłu i ciśnie się do oczu.

Obejrzała się; nikogo nie było dokoła. Tylko w jednym z wysokich domów rząd okien gorzał od świateł i wylewał na pustą ulicę tony skocznej muzyki. Przypadła czołem do słupa latarni i pod lecącemi górą dźwiękami polki zapłakała głośno, krótko. Potem zaczęła znowu prędko iść dalej.

Czegóżby nie dała za to, aby przestać o tem myśleć! Nie może. Od kilku już tygodni tylko o tem myśli, myśli, aż czasem głowa pęka i żyć się nie chce; a przestać myśleć o tem nie może. To jak dwa ćwieki wbite głęboko: jeden w głowę, drugi w serce.

Ma się rozumieć; adwokat i nauczycielka, para daleko lepiej dobrana,

niżeli adwokat i szwaczka. Klemunia zresztą jest tak śliczną, dystyngowaną, rozumną! Tylko... gdy po raz pierwszy pan Zbigniew wszedł do ich domu, mogłaby doprawdy nie tyle, nie tak z całej siły kokietować go spojrzeniami, ruchami, rozmową, nawet włosami, które niby wypadkiem rozsypały się jej na plecy, podobne do płaszcza z czarnego jedwabiu!

Przecież wiedziała, że jest to prawie jej narzeczony i jak go kocha.

Nie taiła się przed nią z niczem, wszystko przed nią wyznała. A ona, uczyniła znowu wszystko, co mogła, aby go jej odebrać. Podobał się jej z powierzchowności i wykształcenia; był przytem świetną partją. Klemunia zapragnęła go dla siebie, a ponieważ mogła, więc zdobyła. Siostra! kochana i uwielbiana siostra, za którą Kazia skoczyłaby bez namysłu w ogień i w wodę! Cóż? Widać tak jest na świecie, że kiedy idzie o własne szczęście, można zdeptać nawet — siostrę. Ale — niech tam! Niech im Pan Bóg da wszystko: zdrowie, szczęście, życie długie, to wspólne, we dwoje...

Znowu nieznośne łzy... Ale tym razem niczego nie dokażą. Wstyd i źle płakać tak często. Czasem, cóż robić? Kiedy już wytrzymać nie można, człowiek słaby poddać się musi, ale płakać często... na siostrę, byłoby szpetnie. Jeszcze, broń Boże, łzy te padną na jej głowę! I bez tego Klemunia jest biedną, ach, jak biedną! Ta jej choroba, niewiadomo jeszcze, jak się skończy. Taka szczęśliwa, a nie wiadomo, czy to szczęście długo trwać będzie. Kazia wybłagała u lekarza nazwę choroby i — zapomniała. Dwa wyrazy łacińskie wyleciały z pamięci, lecz to pamięta, że Klemunia jest chorą na serce. I jeszcze jedną rzecz okropną powiedział lekarz... nie chce o niej myśleć poprostu, myśl jej ucieka od tego ze strachem przeraźliwym.

Więc nie tylko w oczy, ale i za oczy, nietylko postępkami, lecz uczuciem i myślą nie trzeba czynić nic przeciw Klemuni; ani wyrzekać na nią, ani płakać z jej powodu, bo nuż te łzy ..

Powiadają, że łzy skrzywdzonych przynoszą krzywdzącym nieszczęście, a przecież była to krzywda... krzywda! Otóż i znowu myśl zła i niepotrzebna. Taką walkę miłości z boleścią, przebaczenia z urazą, toczy już od kilku tygodni i doprawdy, czasem wolałaby już nie żyć.

Cel, do którego dąży, niedaleko. Trzy okna u szczytu wysokiej kamienicy, nad dachem. Dwa pokoje z kuchenką na strychu, za które właśnie wczoraj, pieniędzmi zapracowanemi w zakładzie krawieckim, zapłaciła półroczne komorne. Kiedy przyniosła pokwitowanie właściciela domu, pragnęła, aby matka choć pogładziła ją po twarzy, choć powiedziała jej jakie miłe słówko. Nie uczyniła tego. Odkąd Klemunia jest zaręczoną i chorą, nic oprócz niej na świecie nie widzi. Kiwnęła głową, schowała kwit do szkatułki i dalej czytała Klemuni leżącej na szezlongu. Ten szezlong ona także kupiła dla chorej siostry. Klemunia uradowana, zarzuciła jej ręce na szyję i serdecznie ją ucałowała. Od tego uścisku siostry stała się pełną cichej, lecz przejmującej radości. Tylko, że nazajutrz Klemunia wyśmiewała materję w kraty, którą sprzęt był obity. Cóż, kiedy obite materją piękniejszą były bardzo drogie.

Dwa okna nad dachem jasno oświetlone, w bawialnym pokoju pali się duża lampa, więc pna Zbigniew jeszcze nie odszedł. Siedzą sobie pewno jedno przy drugiem, ona na szezlągu, on na krześle i z cicha rozmawiają.

Od paru tygodni są narzeczonymi i żeby nie choroba Klemuni, w karnawale wzięliby ślub, a tak, niewiadomo jeszcze, kiedy to nastąpi.

Matka cieszyła się z tych zaręczyn, rozpłakała się z radości, kiedy pan Zbigniew wkładał na palec Klemuni pierścionek z szafirem. Klemunia była upojona szczęściem; pan Zbigniew rozpromieniony, mięszał się tylko trochę, ilekroć Kazia znalazła się blizko niego. Nie chcąc sprawiać przykrości panu Zbigniewowi, przytem widząc, jak wszyscy troje byli sobą wzajem zajęci, aż pochłonięci, poszła do sypialnego pokoju i szyła dla Klemuni błękitny szlafroczek. Nikt oddalenia się jej nie zauważył, ani troszczył się o to, co ona mogła czuć i myśleć. Zabranie jej człowieka, którego kochała, wydawało się wszystkim rzeczą tak prostą, że nikomu do głowy nie przychodziło.

Może Klemunia i uczuła potem jakie skrupuły, bo stała się dla niej czulszą, niż przedtem. Całowała ją czasem, zwierzała się przed nią ze wszystkiego co zachodziło pomiędzy nią a panem Zbigniewem. Ją ta serdeczność siostry ujmuje, ale nie pociesza. Przeciwnie; im więcej kocha Klemunię, tem mocniej ją boli, że to ona, ona właśnie... Ale niech tam! Niech tylko wyzdrowieje, dla siebie, dla pana Zbigniewa i dla matki, bo co stałoby się z matką, gdyby broń Boże... Nie; nie trzeba nawet myśleć o tem. Komu Pan Bóg dał takie wielkie szczęście, temu chyba życia nie odbierze.

Co się dzieje na ulicy, przy której znajduje się ich mieszkanie? Wysoki gmach, mieszczący w sobie resursę publiczną, jak raz naprzeciw ich mieszkania, goreje od świateł; u bramy stoją policjanci, przed bramą zajeżdżają sanie i karety na kołach. Brzękadła na uprzęży końskiej dzwonią, koła skrzypią po śniegu, stangreci wołają: z drogi! z drogi! policjanci kłócą się z tłumem gapiów ulicznych. A z wysoka, z wysoka, zlatują na ulicę huczne dźwięki orkiestry. Różne instrumenty dęte: trąby, bębny, flety, klarynety grają wesołego kontredansa. W resursie bal. Nic dziwnego; wszak to karnawał. Trzeba tylko zręcznie przebiedz wszerz ulicę, aby nie wpaść pod konie, których wiele biegnie w jedną stronę i w drugą, u sań i karet nadjeżdżających, odjeżdżających. A tu, w kaloszach starych i rozdeptanych, uciekając przed końmi ślizga się co chwilę i o mało jednego nie zgubiła. Ot i zgubiła! Zagrzązł i pozostał w śniegu. Dopadła chodnika, obejrzała się, dawna wesołość ją ogarnęła. Ze śmiechem zawołała do zgubionego kalosza: Bądź zdrów, holenderski śledziu!

2.

W głębi skromnej bawialni, pani Antonina Tarczyńska, wdowa po jeometrze siedziała na kanapie obok pani Anieli Szumskiej, wdowy po lekarzu. Obie panie mieszkały w jednym domu; bardzo się nawzajem szanowały i lubiły. Znajdowały się w tym wieku, w którym kobiety stają się mniej więcej

do siebie podobne. Włosy siwiejące, czoła pomarszczone, oczy wklęsłe, wargi zwiędłe i zarysowujące nawet w uśmiechu linję zmęczenia lub goryczy. Staranne ubrania okazują, że obie panie życzą sobie utrzymywać się na pewnym tonie, zdala od nędzy wstydzącej się żebrać.

Ciemne suknie i czarne czepeczki na siwiejących włosach, ale przy sukniach jakieś kokardki, frendzelki, a czepeczki przytwierdzone do włosów błyszczącemi szpilkami z bardzo lichego metalu. Wdowa po lekarzu jest trochę grubą, rumianą, z czerwonemi, krótkiemi rękoma. U wdowy po jeometrze, szczupłość kibici, bladość cery, delikatność rąk świadczą o słabem zdrowiu, dobrem urodzeniu i niezatraconej w ubóstwie dystynkcji. Matka Klemuni i Kazi ma pozór kobiety dystyngowanej, mocno zgryzionej w zębach czasu i może dlatego kapryśnej. Ale też i uczuciowości dużo maluje się na jej cierpiącej twarzy. Głosem cichym, jakim zazwyczaj mówią osoby chore na płuca, powoli, lecz z zajęciem, prowadzi z sąsiadką rozmowę o drożyźnie produktów, o niezwykłej obfitości śniegów tegorocznych, o nieznośnych przywarach dziewczyny, świeżo do służby przyjętej.

Sąsiadka ogranicza się zrazu na krótkich odpowiedziach, ale potem głos zabiera i od przywar właściwych klasie służących przechodzi wprost do kazania niedzielnego i zachwytów nad krasomówstwem uwielbianego powszechnie kaznodzieji. Giestem pełnym namaszczenia, rozstawiając krótkie i czerwone ręce, powtarza wyjątek z budującego kazania, lecz ogromnie tekst egzageruje. Kaznodzieja był lepszym chrześcijaninem, czy większym filozofem i daleko oszczędniej niż ona rozporządzał się epitetami, gromiącemi ludzkie złości i zdrożności. Zaokrągliwszy okres mówczyni milknie, spogląda na sąsiadkę, wzdycha i dodaje:

— Tak, tak!

Pani Antonina wzdycha także i powtarza:

— Tak, tak!

Przyczem na tle wysokiej poręczy kanapy, obie wstrząsają siwiejącemi głowami, w czarnych czepeczkach.

Gdy duet na kanapie umilkł, wyraźniej dał się słyszeć drugi, w rogu pokoju. Tam także dwa głosy mówiły, raczej szeptały. Nie było z czem się ukrywać, ale cień i szept to rodzime żywioły zakochanych.

Dwudziestoletnia panna, leżąca na szezlongu, sprzeczała się z trzydziestoletnim mężczyzną, siedzącym przy niej na krześle, o wyższość romantyzmu nad realizmem w poezji i powieści. On obstawał przy realizmie; ona była fanatyczną zwolenniczką romantyzmu. Sama przedstawiała zjawisko, które mogło sprawiać rozkosz oczom zarówno realisty, jak romantyka. Szezlong stał w cieniu wysokiej komody, a w tym cieniu twarz Klementyny, ślicznie zarysowana, przybierała pozór białej lilji. Była białą i delikatną, z wielkiemi ciemnemi oczyma i dużym węzłem czarnych włosów z tyłu głowy. Wysmukłą kibić malowniczo opływał błękitny szlafroczek z materji taniej, ale bardzo ładnie zrobiony przez Kazię. Pan Zbigniew miał zgrabną postawę, śniadą cerę bruneta,

ładne wąsiki i co chwila próbował wspierać się łokciem o brzeg komody. Ale komoda była zbyt wysoką na ten użytek, i łokieć zsuwał się z niej nieprzezwyciężenie, co sprawiało panu Zbigniewowi dużą niedogodność. Więc stanowczo obrawszy sobie inną pozę, wyszeptywał przed narzeczoną obronę realizmu w poezji prawie z takiem krasomówstwem, z jakiem dziś, w godzinach południowych, bronił przed sądem jednego fałszerza monety i dwóch podpalaczy.

Gdy umilkł, Klementyna z zamyśleniem wstrząsnęła śliczną główką i z koleji wyszeptała cały szereg imion, z których każde było argumentem wcale poważnym.

— Szyler, Bajron, Wiktor Hugo, Mickiewicz, Słowacki...

Słowa rozmowy, jakkolwiek wymawiane z cicha, dolatywały uszu pań siedzących na kanapie. Pani Antonina zajaśniała jak słońce.

— Słyszy pani? jakie to u nas rozmowy się prowadzą!

Pani Aniela od przyjacielskiego współczucia uśmiechnęła się szeroko.

— A jakże! Tacy rozumni i wykształceni oboje!

— Żebyż tylko nie ta jej choroba! szepnęła wdowa po jeometrze i naraz zgasła jak zdmuchnięta świeca.

— A co? odszepnęła wdowa po lekarzu; możeby i zawieść ją do tej znachorki w Baranowie? Jak pani myśli?

Na szezlongu, w cieniu komody, melodyjny choć przyciszony głos kobiecy mówił.

— Don Carlos, Child Harold, Ernani, Konrad Wallenrod, Balladyna...

— Paru z tych dzieł nie czytałem.

— Przeczytamy je razem. Dobrze?

— Będę wdzięczny; będzie pani Beatryczą moją!

Pani Antonina mrugnęła powiekami ku sąsiadce.

— A co!

Sąsiadka odmrugnęła.

— Aha!

W tej chwili w kuchence, graniczącej z bawialnią, dało się słyszeć stuknięcie drzwiami, potem tupot nóg otrząsających śnieg z obuwia, potem szelest zrzucanej odzieży, aż do pokoju wbiegła dziewczyna mniej niż średniego wzrostu, z ruchami żywemi, z cerą i zarysem twarzy, które czyniły ją podobną do polnej róży.

Ciemne włosy miała rozrzucone od wiatru, uszy zaczerwienione od mrozu i usta śmiejące się, czerwone jak koral.

Czy jej dobrze było, czy źle, czy miała ochotę do śmiechu, albo do płaczu, zawsze wchodziła do domu z uśmiechem, albo ze śmiechem. Dość tu było smutku i bez niej, z powodu trosk i słabego zdrowia matki, a teraz szczególniej, z powodu choroby Klemuni. Tego tylko brakuje, aby ona przynosiła tu z sobą dąsy, lub lamenty. Przytem pan Zbigniew, nie powinien nigdy widzieć jej smutną. Żeby ją na kawałeczki krajano jeszczeby w jego obecności nie

jęknęła, ani zapłakała, lękając się, aby nie pomyślał, że jęczy i płacze nie od tego, że krają, ale od tego, że on ją porzucił. Więc śmiejąc, się przebiegła pokój, schyliwszy się pocałowała matkę w rękę, przyjaciółkę matki gdzieś około łokcia, a czyniąc to, mówiła żywo, głosem świeżym jak wiosna.

— Co się to dzieje około naszego domu! Co się dzieje! Resursa oświetlona, muzyka grzmi, powozów mnóstwo, a tak trudno rozminąć się z końmi, że, uciekając przed nimi, kalosz zgubiłam.

— Bardzo interesującą historję opowiadasz... o starym kaloszu! łagodnie lecz nie bez smutnej ironji zauważyła pani Antonina.

— Panna Kazimiera zawsze w dobrym humorze, wesoła jak szczygiełek, — uśmiechnęła się pani Aniela i znacząco przeniosła wzrok na Klementynę.

Znaczenie spojrzenia tego było takiem: „siostra chora, a ona chichocze... brak serca!“

Pani Antonina zrozumiała i gdy Kazia zgrabnie okręciwszy się przed kanapą, poszła ku szezlongowi, cicho szepnęła:

— Serce ma najlepsze, ale taka to już natura — otwarcie kochanej pani powiem — prosta, prozaiczna!

Kazia po przyjacielsku uścisnęła rękę pana Zbigniewa.

— Dobry wieczór panu! Jakże sprawy dzisiejsze? Czy podpalacze poszli w świat, aby go znowu podpalać?

Pan Zbigniew odpowiedział:

— Poszli, proszę pani. Wygrałem sprawę. Ale to drobnostka.

— Wcale nie drobnostka! To jest zawód pana, powołanie, obowiązek...

Pochyliła się ku siostrze.

— Jakże się czujesz? Zrana było ci...

Klementyna z niecierpliwością przerwała:

— Nic mi nie było zrana i teraz czuję się doskonale...

Wstydziła się trochę przed panem Zbigniewem tego, że choroba jej trwa tak długo, lękała się znudzić go, zrazić.

Kazia wiedziała o tem.

— To prawda! zawołała: Wyglądasz znakomicie; widać, że wszystko już przeszło.

Klementyna zwróciła się do pana Zbigniewa.

— Od czego zaczniemy nasze wspólne czytania?

— Ułożenie programu należy do pani.

— Więc od jutra „Don Carlos“.

Uderzyła w dłonie; oczy jej świeciły w cieniu jak brylanty.

— Ach, jak to będzie miło, miło, codzień czytać wspólnie jaką godzinkę. Ale... czy pan umie po niemiecku?

— Znakomicie!

— Czego pan nie umie! wszystko!

— Jedno nadewszystko.

— A co?

Wiedziała z góry, jaką będzie odpowiedź, jednak, z wyrazem figlarności w oczach zapytywała.

— Co pan umie nadewszystko? Co?

Pochylił się i szepnął.

— Kochać!

Poczem już oczy ich przestały widzieć świat, bo utonęły jedne w drugich.

Kazia odeszła i stanęła przy stole, na którym paliła się spora lampa, przed dwiema paniami, siedzącemi na kanapie. Pani Antonina mówiła do pani Anieli.

— Moja droga pani, jabym ją na ręce wzięła i na koniec świata zaniosła, byleby ratunek znaleść!

— Ale zdaje się, czy to być może? Taka ciemna baba!

Pani Aniela nadęła się, pogrubiała.

— Mój nieboszczyk mąż mówił zawsze: „wiedza ludzka ma granice!“ Promskiemu tatar różę zamówił i jak ręką odjęło. Wiedza ludzka ma granice, a wiara nie ma. Promski wierzył... a Rynkiewiczówna! Tak już była chora, że pannie Klementynie, gdzie do jej choroby! A jak ją ona okadziła, oszeptała, przez siedm dni, siedmioma szpilkami, po siedm razy nakłuła..

— Ta wiedźma? — jęknęła pani Antonina.

— Niech sobie i wiedźma! jeżeli pomaga biednym ludziom, to co? Czy panna Klementyna...

Tu poszeptała na ucho sąsiadce, która z koleji usta przyłożyła do jej ucha i zaczęła odszeptywać; przyczem, po bladych i aż prawie przeźroczystych policzkach matki Klemuni popłynęły dwie łzy, w świetle lampy srebrne.

Od tych łez matki, od szeptów dwóch pań, od trwającego ciągle w rogu pokoju duetu zakochanych głosów, uśmiech zgasł na koralowych wargach Kazi. Miała jednak ten zwyczaj, że gdy tylko uczuła, iż uśmiech ucieka z ust jej i już za nic pochwycić go nie można, a skóra na czole w sposób nieprzezwyciężony skupia się w zmarszczki, szła do roboty, do jakiejkolwiek zresztą roboty, byleby jasno tłómaczyła przed wszystkimi oddalenie się, milczenie i zmarszczkę na czole.

3.

Siedziała w malutkiej sypialni, przy stoliku, na którym zapaliła lampę i z jakichś tasiemek, skrawek, wyrabiała ozdoby mające na nowo uświetnić zniszczoną suknię matczyną.

Sypialnia miała kształt szuflady z jednem oknem; mieściła w sobie dwa łóżka, stolik z lampą i gotowalnię Klemuni, opiętą wesołym perkalem w kwiaty. Klemunia miała też i biureczko, które stało w bawialnym pokoju. Naturalnie, piękna panna musiała posiadać gotowalnię ze zwierciadłem, a nauczycielka dająca lekcje na mieście, biureczko. Szwaczka, mająca prawo do nazwy tylko przystojnej, nie pisze nic, a ubiera się to tu, to ówdzie, przed kawałkiem rozbitego zwierciadełka, wiszącym w kuchni, albo i bez żadnego zwierciadełka. Zresztą, rzeczy podobne wcale jej nie obchodzą. Co sprawia jej przykrość, to

że stolik, przy którym szyje, znajduje się u samych drzwi bawialni, tak blizko szezlonga Klemuni, że musi słyszeć każde słowo rozmowy, którą ona prowadzi z narzeczonym. Odsunęłaby dalej stolik, ale miejsca niema; poszłaby z robotą do kuchni, ale mogłoby to wyglądać na dąsanie się, albo na smutek, szukający samotności. Więc ze skrawków atłasu i kawałków tasiemki urządzając wcale gustowną ozdobę na zniszczonym staniku matki, Kazia siedzi pomiędzy dwiema pieśniami, z których jedna jest muzyczną, a druga miłosną.

Przez okno wlatują tu zupełnie wyraźne tony muzyki, grzmiącej w resursowej sali; z za drzwi dochodzą zupełnie wyraźne słowa zamieniane przez zaręczoną parą. Tony i słowa zlewają się w całość harmonijną. Jest to pieśń na dwa głosy, z akompanjamentem muzyki.

Bo gdy wieczór zbliża się ku końcowi, zaręczona para przestaje dysputować o względnej wartości szkół literackich i przed blizkiem rozstaniem dobywa z głębi serca słowa szczere. Zaczynają nazywać się po imieniu, mówią sobie ty.

— Więc wolałabyś ten domek z ogródkiem przy ustronnej ulicy, niż to piękne mieszkanie w środku miasta?

— O, tak! Bardzo chcę ogródka przy domu. Lękam się tylko, aby ustronne mieszkanie...

— Nie zaszkodziło interesom moim? Moja najdroższa, jedynym teraz ważnym interesem moim, jest twoje zdrowie i zadowolenie.

— Dziękuję. Anim śniła, aby mógł istnieć na świecie człowiek tak dobry, jak ty, Zbigniewie!

Kazia przestaje szyć, składa ręce na kolanach, patrzy na szereg okien, jak raz naprzeciw jej okna rozgorzałych od świateł, wylewających potoki tonów płomiennych i tęsknych. Prześliczny walc; płomienny jak namiętność, tęskny jak serce rozdarte.

— Moja droga, czy podobna kochać tak, jak ja cię kocham! Wszystkie myśli moje z tobą. Kiedy bronię sprawy przed sądem, muszę pilnie strzedz siebie, aby wśród wymieniania artykułów prawa, nie powiedzieć nagle: Klemunia!

Z cichym, głębokim śmiechem Klemunia zawołała:

— A toby też było pięknie!

— Gdybym mógł, wziąłbym cię na ręce i niósł na koniec świata, do zdrojów leczących i drzew śpiewających, abyś wyzdrowiała, sił nabrała, poweselała i zaraz, zaraz została zdrową, śliczną, szczęśliwą żoną pana Zbigniewa, młodego jeszcze, lecz już sławnego adwokata w tem wielkiem mieście Ongrodzie.

— Tyś zdrowie moje! Szczęście — najlepsze lekarstwo.

— Czujesz się szczęśliwą?

— Kochasz mię?

Okna przeciwległego gmachu śpiewały ciągle: la, la, la! niby wesoło, ale zarazem namiętnie, szalenie. Kazia doświadcza takiego uczucia, jakby jej w piersi coś rozdzierało się szeroko i jakby z tego rozdarcia płynęła gorąca

ciecz. To płacz, który zrywa się w niej, jak burza. Ale ona siedzi wyprostowana tylko z rzęsami wilgotnemi i zręcznie układa trzecią rozetkę z atłasu do stanika matki. Rzęsy zaraz oschną, a płacz stoi na dnie piersi nieruchomy.

Jakkolwiek w pokoju sąsiednim znajdują się jej najbliżsi, a w gmachu przeciwległym rojno i hucznie, ona czuje się tak samą jedną na ziemi, jakby ją otaczała pustynia. Ze zmarszczką na białem czole i z poważnym zarysem warg jak koral czerwonych, szyjąc ciągle, Kazia układa w głowie porównanie, na które może nie wpadliby nigdy ani Klemunia, ani Zbigniew, którzy tak lubią i umieją wyliczać imiona poetów i tytuły poematów.

Widziała dziś na mieście złożone nad rzeką i wiezione na wozach bryły, czy szyby lodu. Otóż, jej serce, to płomyk zamknięty w takiej szybie. Czworokątna, gruba, przezroczysta jak kryształ, a w niej, jak lampka blado-złota, pali się płomyk. Smutne i ciche są te lampy, płonące w szybach lodowych!

Teraz, przez okna resursowej sali leją się tony polki, szczerze wesołe, skoczne, nawet roztrzpiotane. W bawialni, dwa głosy z intonacją żalu zamieniają się słowami:

— Dobranoc, skarbie mój!

— Dobranoc, Zbigniewie!

Słychać szelest długiego pocałunku, którym usta, ozdobione ładnym wąsikiem, przylgnęły do pięknej ręki kobiecej.

4.

Po odejściu pana Zbigniewa, Klemunia uczuła się bardzo słabą. Nie darmo lekarz, stary przyjaciel domu, powtarzał ciągle: spokoju, spokoju! żadnych wzruszeń! A tu wzruszenia były ciągłe. Dla organizmu, mającego w sobie taką chorobę, wzruszenia radosne i miłosne, mogą być także ćwiekami do trumny.

W ów wieczór zaręczynowy naprzykład, Klemunia uczuła się tak niedobrze, że Kazia pędem strzały poleciała po lekarza. Atak minął prędko; ale dziewczyna, korzystając z krótkiego sam na sam, formalnie wzięła w oblężenie starego lekarza, którego znała od dzieciństwa. Wsunęła go we framugę okna i zastępując drogę do ucieczki, silnie za ręce pochwyciła.

— Panie! mój drogi panie! co z tego będzie? Jak się to skończy?

Oczy miała pełne strachu, a od latania po lekarza i lekarstwo, twarz całą w ogniu. Lekarz, który coś wiedział, a wiele się domyślał o historji dwu sióstr i pana Zbigniewa, popatrzył na nią z pod siwych brwi wzrokiem trochę przyjaznym, a trochę drwiącym. W taki sposób spoglądają ludzie na owieczki dobre i głupiutkie.

Lubi się je, bo dobre; drwi się z nich, bo głupie.

— No, nie wyskocz ze skóry od strachu! Gotowabyś w zastępstwie siostry siebie ofiarować na śmierć.

— Z największą ochotą! — wykrzyknęła, z oczyma roziskrzonemi jak brylanty.

— To głupio; człowiek powinien dbać o siebie, bo im więcej nie dba, tem więcej inni o niego także nie dbają. Pocóż...

— Ale Klemunia, Panie! Drogi kochany panie, proszę prędzej mówić, bo mama nadejdzie!

— Mama... powtórzył lekarz; otóż to! Mama!...

Głowa z siwemi włosy i z bladą twarzą w złotych okularach pochyliła się w krótkiem zamyśleniu.

— Powiedzieć? nie powiedzieć? Na wszelki wypadek, trzeba powiedzieć. Ty silna...

Oczy z za okularów błysnęły znowu uśmiechem, tym razem niedrwiącym, ale rzewnym.

— Oho! zuch dziewczyna! pracuje jak tęgi chłopiec i — o nic nie dba! No, to i wiedz wszystko!

Pochylił się i nad włosami jej, zwichrzonemi od latania po mieście, szeptał:

— Klemunia urodziła się z wadą serca... Miałem przecież honor poznać was obie, gdyście jeszcze brykały w kołyskach. Ale zrazu, była to drobnostka. Powiększyła się wraz z dojrzewaniem. Przytem biedy domowe, latanie na lekcje, latanie z lekcjami, irytowanie się przy lekcjach, słowem... co tu długo mówić? Przyczyny były... Zawsze są przyczyny. Teraz jest niedobrze. Jednak desperować jeszcze niema czego. To względne i bywa rozmaicie. Może wzmocnić się i żyć długo, bo to się zdarza... zdarza... ale może też nastąpić... kiedykolwiek, prędzej czy później... może nastąpić...

Zawahał się. Kazia drżała.

— Co? co? co może nastąpić?

Stary lekarz był wybornym operatorem, a jak powiadano, dlatego wybornym, że odważnym. Kiedy trzeba, to ciąć, a śmiało, bo mazgajstwo do jednego nieszczęścia dodaje drugie. Nie obchodziło się to dla niego bez pewnej irytacji, do której zresztą dużo przywykł. Więc jeszcze ciszej i jeszcze niżej nad jej uchem, trochę szorstko odpowiedział:

— No cóż może nastąpić? nagła śmierć!

I sam już teraz pomarszczoną ręką za rękę ją pochwycił.

— Tylkoż nie zemdlej!

Ani myślała mdleć. Biała jak papier, nawet z wargami białemi, silnie stała na nogach i z oczyma osłupiałemi szeptała:

— A mama? mama?

— Otóż to, mama. Dlatego i powiedziałem wszystko. Mama także ma wadę w biednem, zmęczonem ciele... nie sercową, inną, ale taki cios... Co tam długo mówić? W razie czego, trzeba ją przygotować, wzmocnić, otoczyć staraniami... broń Boże taką nowiną jak obuchem w łeb nie uderzyć, ani samej jednej nie zostawiać... Rozumiesz? Zresztą, w razie czego, przybiegnij po mnie.

Usunął ją, wziął kapelusz, biegł ku drzwiom. Od połowy pokoju wrócił.

— Tylko nie lękaj się bardzo. Wszystko jeszcze może być dobrze. A sama, zdrowa jesteś? co?

— Jak ryba! — z zapałem zawołała.

— I serce zdrowe? co?

Powieki jej zamrugały prędko, prędko, twarz znowu stanęła w ogniu, ale z błyskiem białych zębów wśród warg uśmiechniętych, zażartowała:

— Niech pan doktór będzie łaskaw przez tę swoją trąbkę osłucha mi serce, a przekona się, że zdrowe.

Tego wieczoru pan Zbigniew pozostał do późna i obchodził się z Klemunią, jak z chorem, najdroższem dzieckiem. Nadskakiwał jej, chodził na palcach, sam nalewał lekarstwo do kieliszka i brzeg kieliszka przykładał jej do ust.

Kazia poszła do kuchni, oba łokcie oparła o stół, twarz zakryła dłońmi.

Dziś miesiąc, jak raz dziś miesiąc, towarzysząc jej z magazynu do domu, powiedział:

— Byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł odbyć z panią przechadzkę tak długą, jak całe życie.

Przecież to były oświadczyny. Więc ona odpowiedziała:

— Dobrze, ale niech pan przyjdzie do nas, aby poznać mamę i Klemunię.

— Dobrze, — powtórzył, — ale pozwoli mi pani dziś jeszcze rączki swoje ucałować?

— Dobrze, — powtórzyła, — ale powiem mamie i Klemuni, że pan jutro przyjdzie.

— Jutro przyjdę.

U bramy domu, w cieniu wieczoru, pocałował ją w obie ręce i — w usta.

Wyprostowała się i przez kilka sekund rękawem sukni mocno wycierała sobie usta. Zdawało się jej, że jest na nich coś takiego, co i pali je i plami.

W tem spojrzała na buchający parą samowar. Jezus, Marya! A toż trzeba zgotować dla Klemuni dwa jaja na miękko, zalecone przez lekarza. I matka też, po doznanem przerażeniu, chce napić się herbaty!

Po kilku minutach, przynosząc siostrze zalecone pożywienie, z pogodą we wzroku i bardzo grzecznie zapytała pana Zbigniewa:

— Może pan chce herbaty? Jest gotowa.

5.

Wysoka, wysmukła, z ruchami, które pomimo osłabienia miały skończoną gracyę, z włosami, które uwolnione od szpilek, opadły na plecy płaszczem z czarnego jedwabiu, Klemunia wstała z szezlągu i zachwiała się na nogach. Matka podbiegła, objęła ją, zaprowadziła do łóżka, ucałowała ostrożnie, aby nawet pocałunkiem zbyt silnym nie urazić, — nad jej głową zakreśliła w powietrzu kilka krzyżyków i powiedziała Kazi, aby dopomogła rozebrać się siostrze. Sama odeszła do izdebki za kuchnią, gdzie od pewnego czasu sypiała. Była to dawniej izdebka Kazi, ale pani Antonina miewała przy chorej córce noce niespokojne i z namowy lekarza przeniosła się do ustronnego kąta. Jaka tam jest ta jej druga córka, to jest, ale chorej siostry strzedz będzie jak oka w głowie; o tem pani Antonina nie miała żadnej wątpliwości.

Klemunia mówiła z cicha:

— Żebyś wiedziała, Kaziu, jaka ja jestem szczęśliwa? Pan Zbigniew taki dobry! O mnie tylko, o tem co dla mnie, myśli. Ten dom z ogródkiem, który zawsze tak się podobał i mnie i tobie, pan Zbigniew...

Tchu jej trochę zabrakło.

— Zbigniew, śliczne imię, prawda? Otóż w tym domu z ogródkiem, pięć pokojów...

Jeszcze więcej tchu jej zabrakło.

— Nie mów już nic, Klemuniu; gdy rozbiorę cię i będziesz spokojnie leżała, opowiesz wszystko.

Błękitny szlafroczek, zdjęty lekkiemi jak motyle rękoma Kazi, już leżał na krześle. Kazia przyklękła i zdejmowała z drobnych stóp siostry śliczne pantofelki z pomponami. Nad pochyloną jej głową przeleciał szept:

— Tak mi niedobrze, Kaziu!

Ręce zdejmujące drugi już pantofelek drgnęły; Klemunia jęknęła.

— Tak nagle zdejmujesz! targnęłaś mię za nogę...

— Przepraszam, Klimciu!

— Bo widzisz, jestem ci wdzięczną, ty dobra — ale kiedy ten okropny ból w piersi nadchodzi...

— Czy czujesz, że nadchodzi?

Wtem nagle, za oknem coś huknęło, zagrzmiało, zaśpiewało i — umilkło.

— Jezus, Marjo! — krzyknęła Klemunia i z obłąkaniem w oczach zaczęła szeptać:

— Co to? co to? co to?

Kazia ogarnęła ją ramionami i do piersi przytuliła.

— Nic! nic! nie lękaj się! to muzyka! w resursie bal. Już od godziny nie tańczą, pewno wieczerzę jedzą. Przy wieczerzy toasty. To akompanjament do toastów!

Głowę jej położyła na poduszkach, nogi wyciągnęła na pościeli, leciuchno okryła kołdrą.

— Widzisz, Klimciu, — ja wiem, że to taki zwyczaj, bo do magazynu przychodzi mnóstwo ludzi, opowiadają, rozmawiają, a ja choć i nie chcę słuchać, słyszę. Kiedy kto przy wieczerzy jaki toast wzniesie, muzyka odpowiada: traf! traf! hucznie i krótko. Która też może być godzina? Już pewnie bardzo późno. Ciekawam, czy mama zasnęła? pójdę, posłucham pode drzwiami.

Mówiła cicho — i cicho wybiegła do kuchni. Robiło jej się straszno, tak straszno, że Bóg wie, co dałaby za to, aby oprócz niej ktokolwiek jeszcze był przy Klemuni. Ale któżby? Służąca, dwa dni temu przyjęta, obca, niezgrabna, głupia. Postała przy zamkniętych drzwiach izdebki matczynej i wróciła do łóżka siostry.

— Mama już zasnęła, trochę nawet chrapie. Śpij i ty. Ja prędziutko rozbiorę się i lampę...

Traf! Jakby się sufit nad głowami dwu sióstr zawalił, tak muzyka w re-

sursie huknęła, zagrzmiała, zaśpiewała i umilkła. Wązka ulica i dwie cienkie ściany, to prawie nic dla tylu naraz dętych instrumentów. Jakby za samem oknem świat z krzykiem i z grzmotem runął.

Klemunia siedziała na łóżku, podobna do liścia targanego przez wicher.

— Boże! Boże! Boże! jak boli... dusi... pod gardłem... Czy to długo... te toasty...

— Uspokój się! Klemuniu! moja złota! co tu robić? To nic złego... tylko wesołość... to wielka wesołość ludzka... Jak będziesz żoną p. Zbigniewa, może tak samo, kiedykolwiek, na jakim balu, przy wieczerzy... będzie ci wesoło! Czego tak chwytasz się za piersi? Boli? poczekaj! dam ci kropel i przyłożę kompres... zaraz! zaraz!

Przedtem już zdjęła była buciki, więc w pończochach, cicho jak kotka, przyniosła lekarstwo i kawał płótna, który zanurzyła w miednicy z wodą.

W domu i za domem panowała głęboka cisza. Klementyna szepnęła:

— Lepiej mi, nie chcę kompresu. Tylko... straszno! Tak mi czegoś straszno... boję się... usiądź przy mnie, weź mię za rękę. Co to takiego, że tak mi straszno?

Kazia usiadła na ziemi przy samem łóżku i ręce drobne, ale zgrubiałe, z kilku bliznami od nożyczek i żelazek, położyła na rękach siostry, białych jak lilje.

— Bo nie zważaj na tę przeklętą muzykę. Niech sobie gra! Co nam do tego? posłuchaj lepiej, jaką cudną suknię wykończyłyśmy dziś w magazynie. Cukierek! Nawet nie bardzo droga, ale taka ładna...

Wiedziała czem siostrę zająć może.

Klemunia szepnęła:

— A z czego?

— Wiesz? prawie z niczego. Wełna z trochę jedwabiu. Dwa kolory przygasłe: *bleu fané* i *brun malade*.

— Najładniejsze kolory... przygasłe!

— Myślę, że powinnaś koniecznie mieć w wyprawie taką suknię. Wizytowa. Będziesz przecie potrzebowała sukni wizytowej...

— Kiedy tak mało pieniędzy na tę wyprawę...

— Bądź spokojna. Już ja się postaram, abyś miała taką suknię...

— Wolałabym w jednym kolorze...

— To zrobię w jednym...

— Ale w przygasłym...

— Naturalnie. Czy jeszcze się boisz?

— Nie; strach przeszedł. Ale znowu ból... pod gardło lezie... aj! nieznośnie!... daj może kompres...

Traf! Traf! Wiwat! Trąby, bębny, flety, klarnety, huknęły, zagrzmiały, krzyknęły, zaśpiewały, i — umilkły.

Z nad białych poduszek, z podścieliska czarnych, wielkich, lśniących włosów, wzbił się cichy okrzyk:

— Ach! Ach!

Potem, w przywróconej pokojowi ciszy głębokiej, powiało westchnienie długie, zakończone czkawką tylko jedną, głośną. Kazia rzuciła się na siostrę.

Tymczasem lampa, na której dnie było już trochę tylko nafty, zaczęła przygasać. W mdlejącem jej świetle oczy Klementyny patrzały na pokój z pod niedomkniętych powiek, szkliste i nieruchome. Były dziwnie podobne do dwu zapotniałych szkiełek, których powierzchnia trochę błyszczy, lecz przez które zupełnie nic nie widać. Kazia głośno klasnęła rękoma, krzyknęła i wnet, z przerażeniem w oczach, obu rękoma przycisnęła sobie usta. Ale krzyk zgrozy już z nich wyszedł; w kuchence dało się słyszeć ciche otwieranie się drzwi.

— Mama! Mama! Mama! Co tu robić? — zaszeptała Kazia i nieprzytomnie okręciła się raz dokoła samej siebie. Lecz trwało to sekundę, po ktorej spiesznie wyszła do kuchni, drzwi za sobą zamykając.

W grubej ciemności napełniającej kuchnię dwa głosy zaszeptały:

— Czy to Kazia?

— Ja, Mamo!

— Co się u was dzieje? Ktoś krzyknął!

— Tak się mamie zdawało. To muzyka gra w resursie.

— Czego ty mi drogę zastępujesz? Pójdę spojrzeć na Klemunię.

— Ja drogi nie zastępuję, ale niech mama nie idzie, bo obudzi Klemunię.

— Czy zasnęła?

— Zasnęła.

— Muzyka jej nie budzi?

— Nie budzi.

— Czego ci głos zadrżał?

— Szklankę stłukłam wieczorem i teraz nastąpiłam na szkło.

— Klemunia śpi dobrze?

— Doskonale.

— A czego ty tu przyszłaś?

— Wody się napić.

— Po ciemku?

— Cóż ważnego? znajdę...

— Klemunia śpi?

— Śpi.

— Jeszcze ją obudzisz... łażąc nie wiedzieć czego.

— W pończochach chodzę. Niech mama już idzie spać.

— Chciałabym spojrzeć na nią.

— Lampa zgasła. Niech mama idzie spać...

— Czemuż ty mię tak prosisz, abym szła spać?

— Bo w jednej bieliźnie tak długo... przeziębić się można.

— To prawda. Zimno. A ją dobrze okryłaś?

— Okryłam. Dobranoc mamie.

— Klemunia śpi spokojnie?

— Najspokojniej.

— Już idę. Przed zaśnięciem, nie skarżyła się na nic?

— Zupełnie się nie skarżyła. Dobranoc mamie.

— Znowu ci się głos zatrząsł. Co to jest?

— A to szkło! Znowu nastąpiłam...

— Jakże można być tak niedbałą: stłuc szklankę i szkła nie uprzątnąć. Rozbierz się tylko cicho, aby jej nie obudzić.

— Nie obudzę.

Blada jak płótno i z rękoma drżącemi jak liście wsunęła się do sypialni. W coraz słabszem świetle dogasającej lampy zamknęła drzwi od kuchni i klucz w zamku skręciła. Pobiegła do drugich drzwi od bawialni, popchnęła w nich zasówkę; spróbowała potem jednych i drugich. Mocno zamknięte. Tak zostaną do rana. Jeżeli matka znowu przyjdzie, znajdzie drzwi pozamykane. Żeby niewiedzieć jak stukała, ona nie otworzy, uda, że śpi. Ale nie będzie stukać, z obawy przestraszenia Klemuni. Pomyśli, że to nieuwaga Kazi; położy się rozgniewana na nią, ale położy się i znowu zaśnie. Zresztą, może nie przyjdzie. Niech prześpi noc spokojnie, to jej doda trochę sił. Raniutko nastawi samowar, służącą pośle po lekarza i po pana Zbigniewa, obudzi i przyprowadzi tu panią Szumską. Kiedy matka się obudzi, będą tu ludzie, lekarz, herbata, wino... A wtedy...

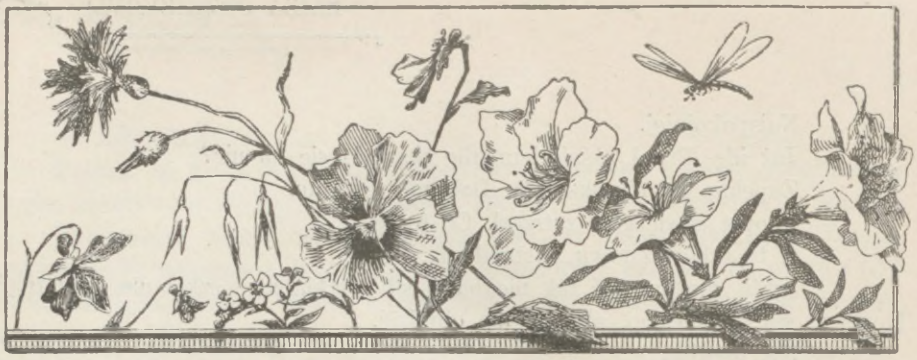
Załamała i zacisnęła ręce tak, że aż w stawach zatrzeszczały. Przystąpiła do łóżka siostry i spotkała się z patrzącemi z pod nieruchomych powiek, szklistemi, a jednak zgasłemi oczyma. Cofnęła się o parę kroków, aż do samej ściany. Ogarnął ją strach taki, że doświadczyła uczucia powstania włosów na głowie. Ale potem wielki żal zaczął walczyć z bojaźnią i zwyciężył. Przybliżyła się znowu i ruchem bardzo miękkim położyła dłoń na powiekach siostry. Widziała parę razy, jak ręce przyjazne zamykają oczy umarłym. Stała tak przez kilka minut, z jedną ręką na oczach siostry, z drugą spuszczoną na suknię, z twarzą nizko pochyloną i zalaną gęstemi łzami.

Wtedy za oknem okrytem roletą, rozlała się nuta walca, niby wesoła, lecz na dnie tak namiętna i żałosna, że wprost rozdzierająca. W resursie skończono jeść wieczerzę, toasty umilkły, tańce rozpoczęły się na nowo.

La! la! la! la! la! la! leciał ciemną ulicą walc balowy i tłumem tonów wpadał do szufladki z jednem oknem, w której Kazia, kluczem i zasówką, na długą noc zimową, zamknęła się sam na sam z trupem siostry.

Lampa zgasła.

Grodno. *Eliza Orzeszkowa.*



SONETY I. CISZIŃSKIEGO.

DWA SŁOWA.

Bóg i Ojczyzna! Dwa najszczytniejsze słowa,
Na ustach ludzkości wy zawsze gościcie,
Przez was człowiek w marmur, w płótno wlewa życie,
I dla was na wieki w sercu miłość chowa.

Ironja! Złudzenie! Kiedy dobro wiary
I ojczyzny żąda od nas poświęcenia,
Uczucie w egoizm straszny się zmienia
I w duszy zastyga idea ofiary.

Słowo, jak dźwięk pusty, wiatr cichy rozwieje,
I miłość zagaśnie, gdy jej nie ogrzeje
Święte i podniosłe czynów ukochanie;

Bo ten tylko odczuć i zrozumieć w stanie,
Co znaczą najdroższe i przeczyste słowa,
Kto w duszy gotowość do ofiar przechowa.

MATCE.

Imię Twoje w uszach słodko dzwoni, śpiewa,
I wysnuwa złociste sny, mary z duszy;
Potęgę uczucia słowo twoje wzruszy,
I czary anielską słodyczą rozlewa.

Aniele, stróżu mój! Kiedy duch zbłąkany
W ciemnościach zwątpienia targa się i miota,
Twój mi obraz, Matko, jak gwiazda lśni złota,
I Twoje wspomnienie goi wszystkie rany.

I czyje tak rzewnie spoglądają oczy?
I czyje to serce, gdy smutek zamroczy,
Najtkliwszą opieką, staraniem otoczy?

A jakaż nagroda może Ci być dana
Za miłość Twą, pracę, Matko ukochana?
Tylko Bóg zapłaci: proszę o to Pana!

POGRZEBANE SZCZĘŚCIE.

Gdzie szczęście życia zamarło na wieki,
Tam nie chodź nigdy. Unikaj wspomnienia,
Gdzie błysły pierwsze o szczęściu marzenia:
Inaczej łzami zakrwawisz powieki.

Tam zawsze boleść odnawia się w duszy,
Tam o niej mówi nawet ptaszę polne,
Tam gońce myśli do lotu niezdolne,
Tam nic już nigdy, nie zajmie, nie wzruszy.

Lecz jeśli bólu potęgą porwany,
Kiedy nadejdzie cichej nocy pora,
Pragniesz zapłakać u drogiej mogiły —

To spiesz samotny: tam zaczerpniesz siły,
Tam cierpieć dusza nauczy się chora —
I ukojenie tam znajdziesz na rany.

Z łużyckiego przełożyła
Melanja Parczewska.

Kalisz.



O cywilizacyjnem znaczeniu ulepszeń technicznych w druku i współczesnem znaczeniu prasy.

„Znaczenie prasy współczesnej jest olbrzymie i stanowi najwybitniejszy objaw naszej doby, bardziej znamienny, niż wszystkie zdumiewające odkrycia i wynalazki w dziedzinie techniki. Tę nadzwyczajną potęgę nadają prasie nie nowiny i wiadomości, któremi karmi czytelników, lecz pewien kierunek dziennika, myśl polityczna czy filozoficzna, która uwydatnia się w jego artykułach, w wyborze i układzie wiadomości i pogłosek i w oświetleniu dobranych faktów i poglądów. Zająwszy stanowisko obserwatora i sędziego zjawisk bieżących, prasa nietylko roztrząsa czyny i słowa, lecz przenika niewypowiedziane myśli i zamiary, pali kadzidła jednym, a drugich piętnuje; tych podziwia, tamtym grozi, jednych stawia pod pręgierz a innych robi przedmiotem zachwytu i wzorem do naśladowania; jednym daje nagrody i wieńczy, a innym gotuje kaźń równoznaczną z wyklęciem średniowiecznem“.

Temi słowy, nie spostrzegając, że popełnia błąd, który innym zarzuca, skreśla znaczenie prasy jeden z głośnych przedstawicieli wstecznictwa współczesnego. Wstecznictwo atoli autora uwydatnia się nie w powyższem skreśleniu znaczenia prasy, lecz w tem, że w całej jej działalności widzi on dowolność, nieupoważnione przedstawianie opinji publicznej i pod jej hasłem zaspakajanie własnego tylko interesu. „Kto są — pyta — przedstawiciele tej strasznej potęgi, przywłaszczający sobie pełnomocnictwo opinji publicznej; kto im dał prawo i mandat w imię całego społeczeństwa rządzić, obalać instytucje istniejące i powoływać do życia nowe ideały moralnych praw i prawodawstw? Ze wszystkich doniosłych powołań, tylko powołanie dziennikarza, którego władza nad wszystkiem się rozpościera, nie potrzebuje żadnej sankcji: gazeta staje się powagą w całem państwie i dla tej powagi żadne urzędowe uznanie nie jest wymaganem (*sic*). Utożsamianie prasy z opinją publiczną jest błędem zasadniczym. Żeby się o tem przekonać — dosyć jest rozważyć z jakich żywiołów i w jak przypadkowy sposób powstają często nowe czasopisma; najczęściej zaś mają one za cel wyłącznie robienie grosza, to jest dobrego interesu dla

wydawcy i dla osiągnięcia jego, nie wahają się schlebiać najniższym instynktom czytającej publiczności.

„Postrach liberalizmu, że ograniczenie swobody słowa, jest równoważne z pogwałceniem woli ogółu przez wolę mniejszości, przybiera odwrotną postać: złe instynkty i ciasne dążenia jednostek narzucają się ogółowi pod mianem opinji publicznej i tę opinję każą, a wśród mas sieją zepsucie."

O ile trafny jest ustęp powyższy o znaczeniu prasy, o tyle błędne są wywody o stosunku prasy do opinji publicznej, do państwa i prywatnego materjalnego interesu jednostki. W rozprawie mojej o rozwoju techniki i wpływie jej na cywilizację, usiłowałem uzasadnić pogląd, że technika nie zna ojczyzny, nie zna przywilejów stanowych, nie zna praw moralnych i wszystko, co na drodze swojego rozwoju spotyka, poddaje potężnemu procesowi ześrodkowania sił, w formie technicznie najkorzystniejszej. Najkorzystniejszą zaś formą jest ta, która zapewnia człowiekowi posiadanie dóbr dotychczasowych z najmniejszym nakładem pracy, a przez to umożliwia wytwarzanie nowych, dotychczas nieznanych. Cały pochód rozwoju technicznego przoduje rozwojowi etycznemu ludzkości. Etyka zawsze będzie dopędzała technikę.

Współczesny nader szybki rozwój techniki budzi wśród mas obawy o los moralności i sztuki. Rozwojowi techniki przypisuje wielu wyzysk pracy przez wielki kapitał, podstępne bankructwa olbrzymich przedsiębiorstw, nader niehygieniczne warunki bytu w wielkich miastach, złe strony militaryzmu, zboczenie w działalności prasy — i zapoznają ci krytycy, że w technice też mieści się lekarstwo na te rany społeczne.

W tem wyliczaniu ujemnych stron rozwoju techniki zboczenie w działalności prasy, zwyrodnienie jej woli społecznej, napozór ma tak słaby związek z rozwojem techniki, że zestawienie tych dwóch zjawisk wydaje się odrazu paradoksalnem. Bliższe rozpatrzenie się jednak w stosunku prasy do techniki druku wykazuje, że zachodzi między temi zjawiskami związek tak ścisły, iż tylko ze stanowiska rozwoju sposobów drukowania można wyciągnąć trwałe i niezbite wnioski o tem, czego od prasy wymagać, a co w niej potępiać należy. Że pogląd ten dotychczas był i jest u nas frazesem pustym, nic nie mówiącym, nie potrzebuję dowodzić; w przytoczonem na wstępie określeniu znaczenia prasy, spotykamy również rozdźwięk w pojmowaniu związku zachodzącego między rozwojem techniki a prasą. Autor określenia mówi: znaczenie prasy stanowi objaw bardziej znamienny „niż wszystkie zdumiewające odkrycia i wynalazki w dziedzinie techniki". Tymczasem olbrzymiego współczesnego znaczenia prasa nabrała, nie z innego powodu, jak tylko w skutek udoskonaleń technicznych w sposobach drukowania i odtwarzania słowa i myśli — udoskonaleń, które, z jednej strony udostępniły druk dla szerokich mas, tak piszących jak czytających — a z drugiej strony uczyniły z drukarstwa przedmiot wielkich przedsiębiorstw. Olbrzymie znaczenie prasy jest więc zjawiskiem równoznacznem z szeregiem technicznych wynalazków i udoskonaleń — a nietylko równoległem.

Jak gwałtowną jest w człowieku potrzeba upamiętnienia swojej myśli i czynów i przekazywania oświaty potomnym, świadczy wymownie assyrologja. Zwaliska miast starożytnej Assyrji składają się przeważnie z resztek pałaców królewskich. Pałace te, mówi I. Radliński, noszą nazwę ksiąg kamiennych i nazwa ta jest bardzo trafną. Budowę ich przedsiębrali królowie dla uwiecznienia swojego imienia i czynów. Na cegłach odciskano imię króla i powtarzano je wielokrotnie w napisach, zdobiących ściany. Napisy i płaskorzeźby, któremi pokryte były zewnątrz i wewnątrz ściany pałaców, zawierały obszerną i szczegółową kronikę czynów królewskich. Urywki tych kronik odtwarzane były w różnych częściach ornamentacji pałacu, a odbitki tych urywków na wyłącznie dla tego celu przygotowanych cylindrach i pryzmatach.

Zachowanie takiego pałacu było przedmiotem szczególnej pieczołowitości założyciela, — treścią umyślnych napisów, wezwań do następców i do pokoleń następnych, żeby miały pieczę nad pomnikiem.

Niektórzy z królów assyryjskich dbali również o oświatę ludu, zbierali utwory, sporządzali kopje wydatniejszych utworów i tworzyli w swoich pałacach bibljoteki. Księgi składały się z kwadratowych cegiełek, pokrytych z obu stron drobnem i ścisłem pismem. Taką bibljotekę Layard znalazł na zwaliskach pałacu króla Assur-Bani-Pola w Niniwie. Cegiełki tej bibljoteki, w liczbie 20.000, przewiezione zostały do Muzeum Brytańskiego. Najważniejsze z napisów króla Darjusza umieszczone zostały na skałach. Darjusz widocznie nie liczył na trwałość budowli, wzniesionych ręką człowieka, więc na skałach wykuł opowieści o swoich czynach, skały uczynił kartami swojej historji. Wybrawszy umiejętnie odpowiednie miejsca, rozrzucał potężną dłonią te karty po ogromnej przestrzeni swojego państwa. Napisy Darjusza znajdują się na miejscach, które ze względu położenia gieograficznego były, częściej od innych, odwiedzane przez ludność, bądź dlatego, że były na drodze do miast, które skupiały mieszkańców kraju, — bądź z powodu wspaniałości przyrody tych miejsc, bądź wreszcie dla szczególnego znaczenia miejscowości, uświęconych przez podania ludowe.

Zapatrywać się na rzeczone kamienne księgi i ceglane bibljoteki wyłącznie jako na sposób dogodzenia ambicji starożytnego wschodniego władcy, jest to zapoznawać inną stronę tej puścizny historycznej, mianowicie tej, że owi władcy nie mieli innego sposobu przekazywania dziejów i szerzenia oświaty.

Co mogło stanowić treść tak kosztownych sposobów przekazywania potomności myśli i słowa? Pismo było w owych czasach świętem naczyniem, w którem należało przechowywać rzeczy najwznioślejsze i nie profanować błahemi. Po wynalezieniu druku znalazł się on w tej roli — a pismo stało się przedmiotem codziennego użytku. Druk uczynił przystępnem dla szerokich kół możność rozpowszechnienia i przekazywania myśli. Jednakże dopiero za naszej pamięci masowe zastosowanie do budowy maszyn stali oraz udoskonalenie fotografji, łącznie z wynalazkami w dziedzinie chemji — zrobiły taki

postęp w sposobach drukowania i odtwarzania obrazów, że druk ostatecznie przestał być językiem pomników i skarbnicą świętości, a stał się narzędziem codziennego użytku, sługą najpodrzędniejszych rzemiosł i narzędziem najmniej idealnych przedsięwzięć.

Najdoskonalszą ocenę wynalazku druku stanowi w mojem pojęciu obrona jego wolności, we dwieście lat niespełna po wydrukowaniu pierwszej książki, podjęta w słynnym liście Miltona do parlamentu w 1644 r. „Nie jest gorszą rzeczą zabić człowieka, niż zabić dobrą książkę; wysilenia kilku wieków nie wystarczają czasem do odzyskania prawdy odepchniętej, a taka strata pociąga za sobą nieszczęścia dla całych narodów."

Tak wczesne zrozumienie znaczenia druku dla cywilizacji i jego swobody nie usunęło wszakże trwających dotychczas zapór w jego i jej rozwoju. Głównem ich źródłem była chęć posługiwania się drukiem, regulowania stosunków wewnętrznych w państwie, dla celów rządowych. Społeczeństwa oddawna usiłowały nadać drukowi szerokie rozpowszechnienie. Znana jest wielka liczba drukarń w Polsce w szesnastym i siedemnastym wieku, w dobie rozkwitu wszelkich swobód. Jakkolwiek tedy nie wszędzie w Europie rozwój drukarń i sposobów odtwarzania stoi na poziomie ulepszeń technicznych, w każdym jednak razie, doznały one w ostatnich dwudziestu leciech takiego przewrotu w użytkowaniu druku, że szczegółowo zastanowić się tu nad nim potrzeba.

Ponieważ druk stał się narzędziem dostępnem dla każdego i przedmiotem użytku codziennego, przeto czas już porzucić idealistyczną miarę w ocenie tego, co jest warte druku. Kwalifikacja w tej mierze nie uwarunkowuje się niczem innem, jak tylko mniejszą lub większą taniością drukowania. Innej miary nie ma i kto pojął, że to jest miara jedyna dla oceny, czy dany utwór zasługuje na wydrukowanie, dla tego — niejedno, napozór „głupstwo amerykańskie", w rodzaju listów amerykanek o fizjologicznem, historycznem, estetycznem i ekonomicznem prawie noszenia męskiego ubrania, staje się szczegółem charakterystycznym, godnym poważnego zastanowienia.

Historja afiszów i reklam pokazuje, że nawet między błahą pozornie treścią a wytworną szatą drukarską, w którą ta treść się oblokła, nie ma żadnej nieproporcjonalności — bowiem druk dzisiaj jest na usługi, nietylko społeczeństw, lecz jednostek. Przestał on być owem świętem naczyniem, w którem nie godzi się przechowywać myśli przewrotnych i głupich. Faktu odbijania pisma na maszynie drukarskiej nie podobna już dzisiaj utożsamiać z krytyką. Do niedawna zdawało się wielu, że myśl jest tą panią, na usługi której Gutenberg wynalazł prasę drukarską i że ona jedna tylko jest tą panią.

Obecnie z każdym dniem przekonywujemy się, że myśl staje się niejako sługą — a panem jest proces drukarski. Weźmy stosunek doniosłych i płodnych myśli w drukach czasów Kochanowskiego, Reja, Skargi, do ilości druków i drukarń ówczesnych, w porównaniu do tegoczesnego stosunku. Obecnie ilość druków nabrała znaczenia żywiołu, z którym trzeba się liczyć, jak z tłumem, który, gdy wylegnie w karby nie ujęty, to stanowi potęgę, lub szerzy wśród

samego siebie spustoszenie. Że druk jest panią, a myśl sługą — innego wniosku nie podobna zrobić na widok rozpanoszenia się w miljonach egzemplarzy takich pism, których istnienie wydaje się kaprysem lub występkiem.

Między jakościową i ilościową wartością drukowanego słowa, jak gdyby zachodzi odwrotne ustosunkowanie wartości w porównaniu z tem, które dodotychczas uznawaliśmy za słuszne.

Zarzut stawiany postępom technicznym w druku, że dzięki nim prasa szerzy zgorszenie dla interesu, że mniejszość narzuca się większości i że na to niema ani regulatora ani wędzidła, nie wytrzymuje krytyki. Różniczkowanie się usług druku i rozpowszechnienie wpływu prasy przy odpowiednich dla niej warunkach, prowadzi nie do narzucania większości — woli mniejszości lub odwrotnie, lecz do wypowiadania myśli przez tych, kto ją posiada na użytek tych, którzy z niej umieją korzystać; że przytem jest dużo takich, którzy z drukowanego słowa robią przybytek nie muz lecz rozpusty, to rzecz ludzka i zapobiegać jej można tylko mnożeniem pism uczciwych i rozumnych. Gwarancja co do tego, czy prasa danego kraju jest narzędziem złego. czy dobrego, mieści się w rozwoju moralnym i społecznym jednostek, kraj składających, lecz nie w siłach przesiewających pisma i druki i stawiających na nich etykietę *approbatur*.

Wszelkie sita utrudniają korzystanie z dobrodziejstw techniki w drukarstwie, a nie zapewniają ulepszenia treści rzeczy drukowanych. Żadne państwo współczesne, niestety, nie obdarza szczególną protekcją biednych, a uczciwych i rozsądnych, żeby im ułatwić konkurencję myśli i słowa z bogatymi, lecz przewrotnymi lub głupimi. Chrystus walczył z ciemnością moralną tylko słowem i nikt z nim inną bronią nie mógł walczyć, bo jej prawie nie było. O ileż trudniej byłoby mu działać w dobie maszyn Marinoniego i heljograwury, gdyby nie posiadał odpowiednich kapitałów i sankcji państwowej.

Oprócz głosu sumienia i wpływu oświaty ku poprawie prasy służy krytyka. Niech maszyna odbija wszystko, co się komu podoba, a krytyka niech czyści ten produkt, niech oddziela ziarno od plew. Pewne warunki ogólne, od nas niezależne (mówię o naszem społeczeństwie) wytworzyły i w dalszym ciągu sprzyjają utwierdzeniu się w naszych umysłach błędnego pojęcia o druku, jako o sicie i o redaktorach, jako o wyroczni w rzeczach tego, co się drukuje, a pojęcie to, jako przynoszące korzyść wydawcom i redaktorom jest przez nich z małymi wyjątkami podtrzymywane. Tymczasem drukowanie tak samo jak fotografowanie z jednej strony, a krytyka z drugiej, to są dwa zjawiska zupełnie różnej natury.

Wskutek przewrotu, jaki współczesne ulepszenia w druku uczyniły w cywilizacji, obawa o demoralizację z powodu drukowania rzeczy złych i słabych, mniej w istocie ma doniosłości, niż inna obawa, mianowicie o to, że przy mnożeniu się druków nie mamy odpowiednich środków rozróżniania, co w tej powodzi czytać, choćby to były tylko etycznie rzeczy wyłącznie dodatnie i nacechowane talentem. Tu dopiero występuje w pełni doniosłe znaczenie krytyki

przyszłości. Ilość może nam przynieść więcej szkody niż jakość. Wróg się zbliża, a jest nim właśnie powódź druków, która rozprasza i przywala umysły, nie zaś ujemość moralna, z którą walczyć zapomocą krytyki — cnota i prawda jest i będzie zawsze w gotowości i sile.

Tak tedy ulepszenia w sposobach drukowania wskazują niejako nową drogę dla praktycznej etyki, zamiast piekła, potępienia, wyklęcia, pokuty, zamiast ograniczeń *approbatur,* dają one narzędzie skuteczniejsze, mianowicie w rozpowszechnianiu, zapomocą miljonów egzemplarzy pism i obrazów i podawania ich człowiekowi we wszelkiej postaci, — zasad prawdy i dobra i przykładów bohaterstwa, ideału i cnoty. Ulepszenia te wskazują niejako, że istotnie możemy z czasem przejść od etyki negatywnej do etyki pozytywnej, czyli „etyki wyzwolenia", jak ją określa Lester F. Ward w *International Journal of Ethics.*

Łatwość i taniość drukowania nietylko zdemokratyzowała używanie druku, lecz zniżyła przeciętną wartość tego, co się za godne druku uważa. Powołanie pisarza stało się zajęciem, współpracownictwo literackie wystąpiło w roli proroków starożytności, natchnienie, jako główna kwalifikacja pisarza podzieliło swoje prawa z kronikarstwem i reporterją, oryginalność jednego talentu zaczęła się godzić z rozmaitością kilku talentów, kilku autorów, zaprzężonych do pracy nad jednym utworem. Rzymski klasyk nie przypuszczał, że nietylko kodeksy, lecz dzieła w szczupłej gałęzi wiedzy będą opracowywane przez siły zbiorowe, zorganizowane na wzór wojska, z naczelnym dowódcą, sztabem redaktorów i mnóstwem sekretarzów, zbieraczów, przepisywaczów itd. Sposób zbiorowego opracowania, zastosowany w 300 lat po narodzeniu Chrystusa przez Siedmdziesięciu do tłómaczenia Wulgaty, zastosowany bywa obecnie na każdym kroku do wydawnictw najpospolitszych, jako to: czasopisma, encyklopedje i dzieła specjalne, znane pod niemiecką nazwą *Archiv.*

Rozpowszechniony frazes, że prasa jest szóstem wielkiem mocarstwem świata, stał się źródłem wielu błędnych poglądów na zadania prasy i wykoszlawia ustawicznie jej działalność. Dzieje się to dlatego głównie, że frazes przytoczony zasłania i neutralizuje inny szerszy i głębszy pogląd, mianowicie, że dzięki rozpowszechnieniu w ułatwieniu druku, nietylko użytkowanie, lecz udział w prasie stał się jedną z potężnych potrzeb oświeconego człowieka. Nasze społeczeństwo miało bardzo dużo danych, żeby uznając tę potrzebę prawidłowo się rozwinąć. Nasza stara kultura, wstrzymana w swoim rozwoju, podzieliła losy znacznie młodszej bardzo ekstensywnej, która długo jeszcze, w różnych kątach swego wielkiego obszaru, rozmaicie będzie rozwiązywała nawet rację bytu wymienionej potrzeby. Dlatego też wciąż rozwiązujemy pytanie, czy czasopismo powinno być przewodnikiem, czy wyrazicielem opinji czytającej publiczności. Ulegając zakazowi traktowania pewnego ogromnego działu spraw ogólnych, które stanowiły długo główne natchnienie naszej prasy — stała się ona, wobec tego zakazu, nieczułą na wszelkie inne sprawy ogólnoludzkie. Ze zmianą warunków rozwoju myśli w tym niedostępnym kierunku,

publicystyka nasza postradała to, co ją podnosiło i żadne inne hasło wiedzy i postępu nie zapłodniło naszej prasy w tej mierze, żeby ją skierować na wielką drogę: — stała się ona sługą drobnych potrzeb i interesów przeważnie bieżącej chwili, wielkie zadania, hasła i potrzeby ogólno-ludzkie nie znalazły w prasie naszej, ani gruntu odpowiedniego, ani chętnych wyznawców; natomiast powszechne w Europie rozdrobnienie myśli, przeżycie się prądów dodatnich, zwyrodnienie duchowe odbiło się na naszej prasie i literaturze, jej kierunkach i działalności.

Doświadczenie uczy, że w dziennikarstwie, jak w każdym innym zawodzie i rzemiośle, współubieganie się ma granice jedynie w doniosłości technicznego wynalazku i w zasobie kapitału, a poza temi granicami podlega wszelkim wpływom interesu, pokrewieństwa, przyjaźni, przyzwyczajeń, a dopiero na dalszym planie — idei, zasad i społecznych potrzeb, oraz ogólno ludzkich zadań. Nic to nie znaczy, że dla wielu społeczeństw, jak np. dla naszego, prasa stanowi najpotężniejszą dźwignię rozwoju. Ten wzgląd niestety, ma wpływ bardzo słaby na ukształtowanie się naszych stosunków dziennikarskich. Na pierwszym planie widzimy w nich ludzi, którzy dają nakład na dziennik, lub książkę i zbierają z tego nakładu mniejsze lub większe zyski; na drugim — redaktorów i współpracowników, to jest płatnych urzędników, którzy obowiązani są dbać o to, żeby towar miał odbyt, więc stosują się do mody i gustu tłumu; na trzeciem — autorów o małym talencie i wielkim apetycie i groszową zdolność z zarozumiałością ceniącą na miljony swój towar, który nie wart szeląga; na czwartym — ludzi utalentowanych, przodowników myśli i słowa, z których nie wielu łączy powodzenie materjalne z moralnem; na ostatnim wreszcie planie — mnóstwo sił niewyzyskanych, niepowołanych, dlatego tylko, że dziennikarstwo jest poprostu cechem, że do niego szerokie koła obywateli dopuszcza, jak do cechu, do wspólnego ogniska, przy którem każdemu wolno się ogrzać i — swoją też gałąź dorzucić. „Druk przestał być świętem naczyniem“: przyszedł czas, żeby prasa przestała być cechem i z cechu stała się ogólnie dostępnem polem wygłaszania myśli. Do tego wniosku doszliśmy w tej rozprawie drogą analizy; gdzieindziej samo życie doprowadziło społeczeństwo do tego wniosku i widzimy już zastosowanie jego na wielką skalę.

„Potrzebuję oczu, uszów i mózgów wszystkich moich czytelników“ — woła J. W. Stead, — do pomocy w podjętem zadaniu, lecz jeszcze więcej potrzebuję pozyskać w każdej gminie całego angielskiego świata nazwiska i adresy gotowych jednostek, które nie szczędząc siebie, gotowe byłyby połączyć się ze mną we wspólnej pracy na kartach tego *Review*, dla dobrobytu narodu angielskiego na całym świecie.[1]) Naszem najwyższem zadaniem — powiada tensam publicysta — jest pomagać do wynajdywania mądrych i dać im sposobność wypowiadania myśli, — uczynić wszystko, co jest w naszej mocy, żeby ich powaga stała się silną między współczesnymi. Są oni bowiem solą ziemi, światłem świata i jest

[1]) *Review of Reviews*. Jan. 1894.

to obowiązkiem i przywilejem każdego obywatela wskazywać, że oni są jak położone na wzgórzach miasta, których zasłonić nie można. „Dziennikarstwo daje sposobność i możność zrobienia więcej. niż jakakolwiekbądź inna znana instytucja lub profesja“ (mowa tu o Anglji). Tajemnica potęgi prasy we wszelkiej postaci, jest ustalanie ścisłej łączności między kierownikiem czasopisma a jego czytelnikami i wytwarzanie w ich umysłach samowiedzy, że ich współpracownictwo jest niezbędne dla powodzenia pisma. Lada osobnik, w rzeczy która się dzieje lub działa pod jego nosem, jest daleko większą powagą, aniżeli najmądrzejsy z ludzi — z odległości.

Powyższe uwagi ogłoszone były przez J. W. Stead'a w *Contemporary Review* 1885 roku, a następnie w 1890 r., przedrukowane w osobnej odbitce zatytułowanej *How to halp* i rozesłana czytelnikom założonego wówczas przez niego miesięcznika *The Review of Reviews,* obecnie w świecie angielskim bardzo rozpowszechnionego. Odezwa ta do publiczności angielskiej *(English speaking world)* jest utworem nawskroś angielskim, w duchu pism tych reformatorów społecznych Anglji, którzy jak Carlyle i Ruskine według trafnego orzeczenia Gibbins'a: „budzili i dodawali ducha Anglji w wieku, w którym umysłowe i duchowe właściwości plemienia angielskiego, jak się zdawało ich współczesnym, zaczynały ustępować miejsca władzy materji“. Stead ma w sobie wiele z owych reformatorów i ta strona jego działalności, wśród naszych warunków, choć bardzo pożądana, nie mogłaby znaleść praktycznego zastosowania. Oprócz tego, łączy on w sobie mistycyzm Carlyle'a z purytańskim patosem odezw Kromwela do wojska, naprzykład, gdy zaczyna swoją odezwę od słów: „Wierzę w Boga, w Anglję i w Ludzkość!“ O potrzebie reformy społecznej mówi więc temi słowy: coś się popsuło w tem plemieniu i ono potrzebuje ratunku. Ta demokracja bez steru, przywalona ciężarem swojej roli, jako *imperium,* i nie mogąca zaspokoić własnych potrzeb, znajduje się na pochyłości.

Ratunek przyjść może od kościoła cywilnego, który stanowi prasa. Lecz prasa znajduje się również w upadku. „Mentor młodej demokracji opuścił filozofję i napełnia uszy Telemaka opisaniem spódnic Kalipsy i ostatnimi skandalami *from the Court.* Wielki czas, żeby się odezwał głos, jak głos *muezzina* z minaretu, któryby powołał wiernych do spełnienia obowiązków, jakie na nich wkłada wyznanie“. „Jest to pojęcie błędne, że demokracja utrwaliła się zupełnie wśród nas. Parlamentaryzm doszedł do największego stopnia rozwoju. Władza jaką nasz ustrój demokratyczny daje każdemu z nas, ludzi myślących i pragnących podjąć staranie, wyrazić myśl swoją w czynie — nie jest dostatecznie uświadomioną między nami“.

Zadanie prasy staje się coraz rozleglejszem i donioślejszem. Dotychczas, mówi Stead, nie straciłem wiary, że niejeden z naszych wydawców wielkich czasopism zechce poprzestać na rozsądnym dochodzie i poświęci nadmiar swoich olbrzymich zysków na rozwój czasopisma, jako narzędzia reformy społecznej i jako jeden ze środków rządzenia (*means of government*).

Jeżeli w klasycznym kraju samorządu i samopomocy daje się czuć po-

trzeba takiej apostrofy, to cóż mówić o innych krajach, nieskończenie mniej pod tym względem rozwiniętych!

Nasze dziennikarstwo, od lat kilkunastu, w ciągu których je obserwuję, przeżuwa wciąż dylemat, czy powołaniem czasopisma jest kierować opinją, czy też wręcz przeciwnie wyrażać opinję czytającej publiczności? Różne czasopisma warszawskie rozmaicie to pytanie rozwiązywały, lecz do rozwinięcia tego czy owego kierunku ani trochę się nie przyczyniły, nawet w tych szczupłych granicach, w jakich legalna działalność była dla nich dostępną. Jeżeli nie liczyć kurjerkowej reporterji, otwartej dla każdego współpracownika, to jedyną poważną próbką otworzenia szpalt dla każdego jest rubryka „O prawdę". W ostatnich kilku latach hasłem naszego dziennikarstwa stała się *actualité*, która w znacznej mierze usunęła na drugi plan pytanie: wyrażać czy kierować? Hasło to wszakże za nowe nie może być uważane, bowiem już Michał Grabowski doradzał je polskim dziennikarzom („Charitas". 251). Obok hasła *actualité* najnowsze czasopisma polskie unikają zaciągania się pod sztandar pewnego kierunku i barwy swoje wypowiadają w takich ogólnikach jak: „służba ideałów wiedzy, dobra publicznego, piękna i artyzmu", „zaspakajanie podnioślejszych potrzeb ducha ludzkiego". Proszę tylko zauważyć, jak tu daleko do wszelkiego apostolstwa i reformy, jaki brak poczucia w człowieku potrzeby wypowiadania swoich myśli, dzielenia się swojem doświadczeniem, swojemi spostrzeżeniami, dla oświecania współczesnych i potomnych, jaka nieobecność zrozumienia, że prasa współczesna powinna być udziałem każdego, nietylko jako czytelnika, lecz jako współpracownika i że do tego udziału czasopisma powinny przyciągnąć jaknajobszerniejsze koło ludzi, nietylko pisarzów z zawodu, lecz wszelkiej profesji. Naszym redakcjom idzie nie o to, lecz o długi szereg nazwisk znanych na polu piśmiennictwa i o możliwie wielkie koło przedpłacicieli.

Jest to rys bardzo znamienny, choć u nas mało podnoszony i mało zaznaczany. Źródłem jego jest głęboki rozbrat między zawodem dziennikarskim i ogółem publiczności, a szczególnie między tym zawodem a innymi zawodami. Ten rozbrat pochodzi głównie stąd, że dziennikarstwo jest jedyną gałęzią służby publicznej, do której wstęp nie jest przez żadne ogólne przepisy urzędowe zatamowany; rzeczony zawód przeto poczuwa się niejako do praw urzędowego stynowiska i, może mimowiednie, je wyzyskuje.

Nie pamiętam dziennika warszawskiego, któryby poważnie podniósł i w czyn wprowadził współpracownictwo czytelników: natomiast, z małym wyjątkiem, niema czasopisma, które przy narodzinach i jubileuszu, ominęłyby sposobność wyliczenia wszystkich znanych współpracowników i podkreślenia znakomitości, najczęściej niebiorących istotnie udziału w zasilaniu piórem czasopisma. Ten sposób widzenia potrzeb czasopisma i ogółu zaspakaja miłość własną wszystkich powołanych, choć nie zawsze zasłużonych znakomitości, podnosi w oczach czytającej publiczności splendor cechu literackiego, lecz z drugiej strony odstręcza ogół, nienależący do cechu, od współpracownictwa

i wytwarza przepaść między piszącymi a czytelnikami. Współpracownicy stali traktowani są przez redakcje inaczej, niż przygodni, do cechu dziennikarskiego nienależący. Wymownym jest w tym względzie fakt następujący. Kiedy jeden z naszych dzienników zabierał się do wydrukowania powieści jednego z najznakomitszych polskich autorów, to, dla zrównoważenia budżetu nadszarpniętego kilkunastotysięcznem honorarjum, rozesłał do wielu współpracowników zamiejscowych listy z zapytaniem, czy nie zgodzą się na obniżenie honorarjum z 3 kop. na 2 kop. od wiersza, ponieważ stan interesów wydawnictwa drożej płacić nie pozwala. Takie zapytanie otrzymał między innymi współpracownik, który w ciągu dziesięciu lat nie przestawał korespondować do tego dziennika z różnych stron i w swoim czasie był chętnie drukowany, kiedy pisywał z większego ogniska. Jeżeli taki krok przyniósł w rubryce wydatków za grosz korzyści, to pewno w rubryce dochodu sprawił dziesięć groszy strat, bowiem szanujący się współpracownicy byli tym postępkiem redakcji dotknięci i, pomimo przywiązania do stosunku z redakcją, oddali swoje usługi innym pismom, które małych zasług nie deptały dla zrobienia miejsca znakomitości.

Czy taki postępek redakcji nie jest geszeftem? — Czytelnik sam sobie odpowie; zarazem niech porówna, jak taka praktyka różni się od tej, której uczy I. W. Stead, kiedy mówi, że niezbędne są jemu uszy, oczy i mózgi czytelników dla wspólnej pracy. Łączność pomiędzy czytelnikami a redakcją w naszej prasie jest bardzo słabą. Jeżeli redakcja tak traktuje współpracownika, to o ileż bardziej lekceważy czytelnika. Dział prywatnej korespondencji redakcji z czytelnikami, często nacechowany wyniosłością i uszczypliwością, jest środkiem podnoszenia władzy redakcji; powagi ten środek zawodowi nie dodaje i nawiązaniu stosunku ściślejszego między redakcją a czytelnikiem nie sprzyja, lecz szkodzi. Redakcje przywłaszczają sobie władzę zwierzchników nad podwładnymi, nietylko względem stałych współpracowników, dla których ten stosunek częstokroć jest odpowiedni, lecz również względem współpracowników przygodnych, zupełnie od wydawcy i redaktora niezależnych.

Stosunek ten jest wprost aktem przemocy, ułatwiającym nadużycie; ułatwia on naprzykład redakcjom przyswajanie sobie cudzych prac w ten sposób, że odmawiając wydrukowania czegoś, redakcja czyni to dla interesu, albo w celu zachowania dla siebie inicjatywy, w odrzuconej pracy podjętej. Znam przykład podobny, kiedy czasopismo w 1885 roku odrzuciło artykuł, wskazujący potrzebę roztrząsania w naszej prasie stosunków ekonomicznych, jako przedstawiających, względnie do innych, największą swobodę działania i najwięcej wróżących krajowi korzyści — a w rok później oddało swoje szpalty na usługi artykułów ekonomicznej treści, niemal kronikarskich. — Wówczas też *Prawda* wprowadziła do swoich szpalt obfity dział ekonomiczny i za nią poszła cała prasa. Rada postronnego obserwatora, wypływająca ze znajomości szerokiego pola stosunków ekonomicznych i życia, bijącego pełniejszem niż nasze tętnem, nie miała posłuchu, natomiast hasło *actualité* zrobiło wyłom i otworzyło szerokie wrota dla ekonomicznych rozpraw i notatek.

Kto zrobił cokolwiek dodatniego i trwałego na tym świecie i poczuwa się do tego, że nie darmo jadł chleb tej ziemi, ten wie dobrze, że uznanie z zasługą nie idzie w parze i udzielane bywa tym, którzy najmniej mają danych, żeby z uznania skorzystać. W walce o byt nie może być inaczej. Po za obrębem przemocy, wyjątkowym mężom stanu, lekarzom i artystom (w tej liczbie poetom i powieściopisarzom) ludzie się ścielą do nóg i zapominają, że po ich ciele wybrańcy owi mogą stąpać, jak po bruku. W ogólnej zasadzie, istotne zasługi ocenione bywają po śmierci, to jest wtedy, kiedy obdarzony uznaniem, posługiwać się niem na swoją korzyść nie może. Przeciwnie, każda wartość istotna wywołuje dążność obniżkową wśród ogółu.

Zdawałoby się, że prasa powinnaby przeciwdziałać temu objawowi walki o byt i łagodzić jego skutki. W istocie dzieje się przeciwnie: wbrew największemu swojemu powołaniu, ona go zaostrza.

Jednem ze źródeł tego stanu rzeczy jest zawiść współzawodnicza, która prowadzi do świadomego i mimowiednego ignorowania zasobu sił literackich, jakiemi prasa krajowa mogłaby, gdyby chciała i umiała, rozporządzać. Obchodzenie się z pracą myśli lekceważące i myśl i pracę, czy to z powodu schlebiania pewnym warstwom społecznym, czy z chęci przywłaszczenia sobie inicjatywy, czy z powodu niewiadomości, kto jest autorem, czy wreszcie z powodu nieudolności redakcji i niezrozumienia zadań prasy — odstręcza poważnych współpracowników, którzy jedzą chleb z innych zawodów, nie z dziennikarskiego. Ktokolwiek z nich ma odpowiednie doświadczenie i zasoby myśli — powiada sobie, że w istniejących warunkach można pracować tylko w swojem własnem czasopiśmie i nie warto czasu darmo tracić, dopóki nie można założyć własnego czasopisma. Zasoby myśli i znajomości rzeczy są rozsiane obficie na prowincji i na ogół utworzą sumę większą, niż w głównych ogniskach działalności publicystycznej, gdzie się skupiają redakcje. Zasoby te są tylko dla prasy uśpione, w znacznym stopniu z jej winy. Faktu tego — prasa polska nie widzi, nie rozumie, a w części i skorzystać z niego nie może. W tym względzie idzie prasa nasza utartym szlakiem i sądzi, że dosyć jest mieć korespondentów w większych miastach; ci zaś, którzy zamieszkują miasta podrzędniejsze, nie są poszukiwani przez redakcje, nie są dla nich pożądani. Tak i na tem polu jesteśmy świadkami zwrotu w dążeniu do wielkich miast.

Kończąc to studjum, zaznaczam jako wniosek główny, że w prasie naszej, również i w innych, znajdujących się w pokrewnych warunkach, daje się odczuwać niedostateczne uświadomienie tego przewrotu, jaki wywołały ulepszenia techniczne w druku. Dzięki nim każdy człowiek ma obecnie możność stokroć łatwiej, niż dawniej, uczynić zadość jednej z największych potrzeb współczesnych — dzielić się z innymi owocem swojej myśli i przekazywać potomnym swoje doświadczenia. Jednocześnie daje się uczuć brak usiłowań w kierunku zapewnienia każdemu człowiekowi sposobu zaspokojenia tej potrzeby.

Dalej, człowiek badający z ustronia nasze stosunki dziennikarskie, musi przyjść do wniosku, że prasa polska, pomimo zewnętrznych nieprzyjaznych

warunków, niedomaga wewnętrznie, że posiada braki wynikające z zasklepienia się w pewnem ciasnem kole, którego żadna myśl krytyczna nie przenika, nie porusza i nie przetwarza. Te braki sprowadzić się dają do następujących głównych punktów:

a) Między prasą a czytelnikami istnieje przepaść.

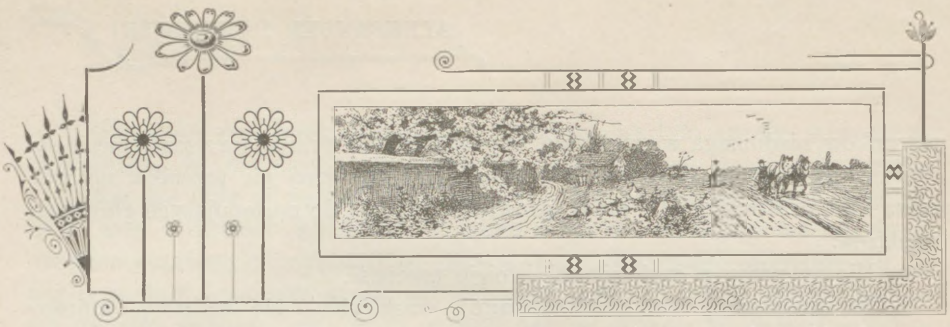
b) W zawodzie dziennikarskim panuje zasklepienie się cechowe, którego skutkiem jest wyraźna niechęć naszych dziennikarzy zawodowych do przedstawicieli innych zawodów.

c) Redakcje naszych czasopism przywłaszczają sobie pewną władzę, z czego wypływa lekceważenie głosu jednostek, mandarynizm i zwykłe nadużycia.

d) Wskutek małej ilości wielkich talentów, te, które są, wzbudzają w naszej prasie kult bałwochwalczy, wskutek czego prasa lekceważy sobie współpracownictwo poważne, użyteczne, a ściśle dziennikarskie, które w organizmie społecznym graćby mogło rolę niejako naczyń włoskowatych.

e) Wielką szkodę przynosi panująca w prasie naszej nieznajomość stosunków i ludzi w zakresie dającym najwięcej do myślenia o przyszłości. Wielką szkodę stanowi nieumiejętność wyzyskania sił rozsianych po różnych punktach wielkiego państwa.

Witebsk. *Aleksander Pawłowski.*



STRACH

Szkic społeczno-psychologiczny.

Dotychczas pozostały mi w pamięci straszne katusze, sprawiane wyobraźni skutkiem opowiadań niańki i innych starszych osób. Śród ciemności nocnych zrywałem się przerażony, widząc dokoła siebie jakieś mary, olbrzymie powykrzywiane twarze w powietrzu, błyskające ognistym wzrokiem. Prześladowany długo tą zgrają cichą a straszną, zapełniającą cały pokój od góry do dołu, zasypiałem nareszcie po to, ażeby halucynacje, trwające w ciemnościach na jawie, opanowały mózg we śnie. Całe piekło tańczyło przedemną, cała armia djabla, rogata, otaczała mię nieustannie i nikt oprócz mnie jej nie widział, nikt z blizkich nie chciał wziąć na kolana, obronić przed napastnikami. Zmęczony, ze zgorączkowanym mózgiem dziecięcym, jak zbawienia czekałem świtu po to, ażeby przez cały dzień słuchać potwornych baśni, rozsnuwać je w dalszym ciągu i iść następnie znowu na spoczynek z wyobraźnią chorą, widzieć dokoła kłębiące się węże i inne potwory, postaci zbójeckie i straszydła, zimny pot wywołujące.

Sądzę, że tego rodzaju katusze przebyło w dzieciństwie wielu moich znajomych, którzy dzisiaj uskarżają się na objawy neurastenji, upadają pod brzemieniem trosk, nawet niezbyt wielkich.

W roku 1895 wpadł mi w ręce Rocznik medycyny praktycznej, z któregom się dowiedział, że w Rostowie nad Donem lekarze zaczęli pomyślnie stosować muzykę Chopinowską do leczenia u dzieci choroby nerwów, znanej pod nazwą „strachu nocnego“ (*pavor nocturnus*). Jest ona właśnie wynikiem potwornych bajek, opowiadanych przez piastunki, tudzież straszenia dzieci przy lada sposobności. Wpływ muzyki na różne objawy życia duchowego i fizycznego dorosłych, szczególnie zaś dzieci, oddawna jest znany. Kojąco działa tylko muzyka przeciągła, melancholijna, w tonie minorowym; w majorowym — jak utrzymują lekarze — nie wywiera takiego wpływu. „Po walcach Chopina — stwierdza jeden z badaczów — dziewczynka prze-

spała całą noc snem spokojnym, nie doznając ani razu napadu strachu, który przedtem stale ją prześladował. Słodkie i serdeczne tony walca Chopinowskiego wpłynęły dziwnie uspokajająco na dziecię wrażliwe i rozpędziły wszelkie ślady przestrachu. Przeciwnie — odegrany na próbę jakiś marsz uroczysty wywołał protest dziewczynki."

Pavor nocturnus jest wszakże jednym tylko skutkiem straszenia, niepodobnym do tych męczarni, jakie na wstępie opisałem. Jego objawy djagnostyczne są następujące: nagłe przebudzenie się dziecka w kilka godzin po zapadnięciu w głęboki sen; wyraz wielkiego przestrachu, wzrok osłupiały, skierowany na jeden punkt, niby na widmo, brak świadomości; dzieci nie poznają nikogo, nie odpowiadają na pytania; skóra pokryta potem, wzmocnione bicie serca, tętno przyśpieszone, duszność, drżenie kończyn, temperatura normalna. Zwykle napad trwa od pięciu do trzydziestu minut, poczem dziecko znów odzyskuje przytomność i zasypia. Nazajutrz nic sobie nie przypomina. „Przyczyny tej choroby są dziedziczne lub przypadkowe. Dzieci blade, delikatne, chude, skrofuliczne, bezkrwiste, bardzo drażliwe i nad wiek rozwinięte, częściej jej ulegają; również dzieci rodziców bardzo wrażliwych i na nerwy cierpiących. Z przyczyn chwilowych głównie wymienić należy silne wzruszenia, gorączkę, choroby układu pokarmowego." Taką charakterystykę podaje Angelo Mosso, profesor fizjologji w Turynie. Wogóle dla uspokojenia dziecka na razie najłatwiejszy system pedagogiczny — straszenie, ujemnie działa na nerwy i charakter, zatruwa niejedną chwilę późniejszego życia.

„Trwoga, najrozmaitsze obawy — pisze Mosso — dokuczliwe przykrości, na zawsze pozostają w pamięci; niby złowróżbny bluszcz oplatają zdrowy rozsądek człowieka. Ciągle przychodzą nam na myśl obawy pierwszej młodości. Sklepienie głębokich piwnic, ciemne łuki mostu, ginące w mrokach zaułki, krzyże zatknięte śród krzaków i ciernistych zarośli cmentarza, światło migające zdala podczas ciemnej nocy, jaskinia samotna, omywana falami morskiemi, ruiny zamku niezamieszkałego, tajemnicza cisza wieży opuszczonej, wszystko to rozsiewa dokoła tchnienie bojaźni dziecinnej. Zdaje się, jak gdyby z głębi ducha swego dziecię raz jeszcze spoglądało na owe straszne sceny."

Urobienie trwożliwego charakteru i wrażliwych nerwów ludzi dorosłych trzeba przypisać w znacznej mierze owemu systemowi wychowania: straszeniu dzieci przez matki, mamki, niańki i wogóle całe otoczenie domowe. Ale niewątpliwie jest tu jeszcze wpływ potężniejszy, przekazywany przez wieki dziedzicznie. Najdawniejsze bowiem pokolenia z okrucieństwem pracowały nad zwyrodnieniem mózgu. Dzieci starożytnej Hellady i Romy straszono lamiami, ssącemi krew, maskami atellanów, cyklopami, czarnym Merkurym, który miał je porwać itd.

Ta dziedziczność bojaźni, wynikająca z potrzeby obrony przed zagładą, z konieczności unikania ciągłych niebezpieczeństw, znanych lub nieznanych, prześladuje nietylko ród ludzki, lecz i wszystkie zwierzęta globu ziemskiego od czasu jego istnienia. Małe kurczęta chowają się strwożone pod skrzydła

matki na widok szybującego u góry jastrzębia; młody pies, który nigdy wilka nie widział, jeży sierść i wyje nawet na widok skóry tego zwierzęcia. Fakty takie codzień możemy spostrzegać na każdym kroku, a dzieła znakomitych przyrodników zawierają mnóstwo przykładów instynktowego strachu zwierząt.

Człowiek pierwotny, któremu ze wszystkich stron groziły niebezpieczeństwa, musiał być nieustannie czujnym na każdym kroku, uzbrajać się przeciwko wrogom, szukającym zdobyczy. Ale nietylko dręczył go strach w walce o byt. Drżał on wobec sił nieznanych, padał twarzą na odgłos gromu, truchlał wobec gniewu bogów, drżał na myśl o bóstwach Złego. Tłumy naszych praojców żyły i ukrywały się pod wieczną grozą zjawisk tajemniczych, nieznanych, niewytłómaczonych. Z uwielbieniem dla mary niewidzialnej, dla zjawisk zagadkowych łączyła się trwoga, która wstrząsała człowiekiem od dzieciństwa do późnej starości.

I dziś spotykamy ludzi, którzy doznają wielkich męczarni i wzruszeń podczas burzy, nie z obawy piorunu lub pożaru, lecz z przyczyn nieokreślonych. Zjawisko to miałem sposobność spostrzegać zblizka. Moja matka doznawała paroksyzmów febry, które można byłoby nazwać febrą burzy. Następnie i ja sam ulegałem tym przypadłościom, pomimo, żem jeszcze nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa piorunów. Charakterystyczna przed burzą cisza w powietrzu napełniała mię niewysłowionym niepokojem; głuchy odgłos dalekich gromów wzmagał obawę, a podczas samej burzy wstrząsało mem ciałem zimno i gorąco. Później siłą woli i rozumowaniem pokonałem te przypadłości. Owe zjawiska są niewątpliwie dalekiem echem przeszłości, przekazaną przez długie szeregi pokoleń obawą wobec tajemniczych, niezbadanych sił przyrody. Ci, którzy w dzieciństwie doznali silnego wstrząśnienia np. podczas pożaru, ulegają przez całe życie wielkiemu wzruszeniu na widok ognia, chociażby on nie groził im żadnem niebezpieczeństwem.

Mosso opisuje następujący znamienny fakt: „Pewien stary żołnierz, którego zapytałem, kiedy największej zaznał trwogi, odpowiedział mi: „Raz jeden tylko w życiu straszny widziałem obraz i prześladuje on mnie dotychczas. Mam blizko siedmdziesiąt lat, nie zliczyłbym, ile razy śmierci w oczy zaglądałem, w żadnem niebezpieczeństwie nigdy odwaga mię nie opuszczała. Gdy wszakże śród cieniu lasu przechodzę obok samotnego kościółka lub w górach napotykam opuszczoną kapliczkę, przypominam sobie zawsze zapadłą świątynię w rodzinnej mej wiosce, strach mię ujarzmia i niespokojnie rozglądam się, szukając trupa człowieka zamordowanego, którego niegdyś, będąc jeszcze dzieckiem, widziałem, gdy wnoszono go do tej kapliczki, gdzie stara niańka groziła mi zamknięciem za nieposłuszeństwo“.

Wyobraźnia dziecka, przesycona trwogą ciągłą, wnosi te pierwiastki nieokreślonej obawy do jego duszy i utrwala w niej. Rodzi się charakter chwiejny, niepewny, łamie się wola przy lada przeszkodzie; strach jednostki oddziaływa na innych, wznieca zbiorowy popłoch, stwarza upadek ducha — poważny przedmiot dzisiejszych badań psychologicznych.

Znane jest powszechnie że tak powiem, opętanie tłumów przez strach podczas tłoku w świątyniach, pożaru teatrów i t. d. Dr. W. Szokalski w swojem dziele p. t. „Fantazyjne objawy zmysłowe“ opowiada następujący wypadek strachu zbiorowego. W r. 1807 jeden z bataljonów pułku de La Tour d'Auvergne, stojący w Palmie (Kalabrja) otrzymał rozkaz natychmiastowego wyruszenia do Tropei. Tam 800 ludzi musiało się pomieścić w starym, opuszczonym klasztorze, w którym, według legiendy miejscowej, coś straszyło nocami. Oficerowie śmieli się z tego. „Ale jakież było zdziwienie, skoro usłyszeli naraz o północy krzyk we wszystkich salach i ujrzeli żołnierzy, uciekających tłumnie. Przytomny temu zdarzeniu dr. Parent, lekarz pułkowy, wypytywał potem grenadjerów o przyczynę popłochu i wszyscy go zapewniali, że djabeł istotnie mieszkał w opactwie i że go wszyscy widzieli wbiegającego przez drzwi pod postacią wielkiego psa czarnego z ogromnemi kudłami, który przemknął po nich jak błyskawica i wybiegł przeciwną stroną, sprawiwszy im nie do opisania przykre w piersiach zadławienie.“ Trudno było skłonić wiarusów do przepędzenia w tej kwaterze nocy następnej. Zdecydowali się na to tylko w towarzystwie oficerów. Ale znowu wywołało popłoch to samo zjawisko, którego jednak oficerowie nie widzieli. Jestto wszakże innej natury popłoch — halucynacyjny, mało mający wspólnego ze strachem, o którym dalej mówić będziemy.

Dr. Herman Eichhorst zaznacza w swojej „Patologji i terapji“ (tom IV. str. 134), że w wielu razach przyczyną, wywołującą cukrową chorobę były niepowodzenia na giełdzie: strach wobec spodziewanych strat materjalnych usposabia skłonny organizm do szybkiego przyjęcia tej choroby. Cholera, jak wiadomo, najwięcej porywa ofiar śród tchórzów. Wogóle w zakresie fizjologicznym strach dostarczył badaczom obfitego materjału. Stwierdzono niejednokrotnie, że może on wywołać wszystkie objawy choroby zaraźliwej, nawet pomimo zupełnego braku rzeczywistej przyczyny epidemicznej. O takich wypadkach opowiada Jolly w pracach swych nad histerją i hipochondrją. Podczas epidemji wszyscy wogóle hipochondrycy czują się znacznie gorzej. Poważni uczeni przyznali fakt, że sam strach wywołać może wszystkie objawy wścieklizny. Znakomity lekarz, Bosquillon mniemał, że nie ukąszenie lub ślina psa chorego, lecz tylko strach jest przyczyną wodowstrętu. Lekarze, opisujący fatalny stan szpitalów podczas epidemji, wspominają o znacznej liczbie ofiar, zabieranych przez strach, zanim jeszcze wystąpiły u nich objawy zarazy. Jedni umierali nagle pod wpływem obawy, że będą umieszczeni w szpitalu, inni sami się zabijali. Szpital jest źródłem niewypowiedzianego strachu dla wielu chorych. Zwykle po zgonie jednej osoby na sali ogólnej, lekarze znajdują pogorszenie w stanie ciężko chorych; ci zaś, którzy się lepiej czują, proszą o uwolnienie z zakładu. Największy popłoch podczas takich zdarzeń wybucha w salach kobiecych. „Czuwający przez noc lekarz — pisze fizjolog turyński — musi co chwila ukazywać się, przepisywać środki uspokajające i wzmacniające, nie mogąc ani obecnością swą, ani sypanemi na wszystkie strony słowami pociechy zapobiedz napadom

kurczów i omdlenia. Wielu chorych ginie w szpitalach skutkiem strachu i zrozpaczenia, gdy prawdopodobnie wyzdrowieliby leczeni u siebie w domu".

W sprawozdaniu o chorobach, spowodowanych przez strach podczas oblężenia Strasburga w r. 1870, dr. Kohts opisuje spostrzeżone osobiście wypadki drżączki porażennej i konwulsji. Opowiadają, że podczas panowania szkorbutu na statkach, stan zdrowia marynarzy pogarszał się, ilekroć wzrastało niebezpieczeństwo żeglugi. Po każdej burzy wielu umierało, stan innych stawał się groźniejszym.

Larrey spostrzegł, że na polu bitwy i w szpitalach żołnierze należący do armji pokonanej z trudnością znoszą cierpienia, gdy ranni ze strony zwycięzców szybcej przychodzą do zdrowia. Fakty takie stwierdzono również podczas wojny francusko-pruskiej r. 1870.

Strach tedy działa zgubnie na duchową i fizyczną stronę zarówno tłumów jak i jednostek. Nie opuszcza on człowieka od kolebki do mogiły, a im silniej wżera się w wyobraźnię dziecięcą, tem uporczywiej dręczy przez całe życie. Jeszcze umysł nie zdążył otrząsnąć się z potwornych baśni i straszydeł, gdy w szkole nastają nowe katusze. Uczeń drży wobec każdego nauczyciela z osobna, drży przed ich całym kompletem, jako radą pedagogiczną, drży przed inspektorem i dyrektorem; drży w szkole z obawy złego stopnia, drży w domu z obawy przed karą, gdy nie może sobie poradzić z zadaniem lub z masą lekcji; drży przed każdym kwartałem w oczekiwaniu cenzury, drży, gdy ze złemi stopniami niesie ją do domu, przerażony myślą, jakie zmartwienie zgotuje rodzicom i jaką za to karę otrzyma. Drży wreszcie przed każdym egzaminem.

System szkolny — to często nieprzerwany łańcuch katuszy, wiecznego strachu o każdej porze dnia, wieczora, a nawet i nocy, gdy uczeń z rozstrojonemi nerwami, ze zmęczonym mózgiem, usnąć nie może, dręczony ciągłym niepokojem. Surowa, urzędnicza postawa nauczyciela, jego wzrok inkwirenta, śledzący każde poruszenie ucznia, podnieca niepokój, wzmaga skrytość młodzieży szkolnej, wytwarza niechęć do przewodników. W takich męczarniach i trwogach upływa najpiękniejszy wiek młodociany, z wyjątkiem jasnych, pogodnych chwil wakacji, zdala od twarzy urzędowo i badawczo nastrojonych, śród pól i lasów, gdzie można raz przecież zapomnieć, że guzik rozpięty w mundurku nie pociągnie za sobą kozy lub nawet wygnania ze szkoły.

Nareszcie młodzieniec otrzymuje patent; swobodnie oddycha i marzy z rozkoszą o studyach wyższych. Wstępuje na uniwersytet, lecz i tutaj niebawem opanowywa go strach w nowej postaci. Student co rok drży przed każdym egzaminem, nie sypia po nocach, czasem nawet traci przytomność i mdleje wobec profesora z nawału wzruszenia. Gdy nareszcie przebrnie te ogniowe próby, trwające po kilka tygodni, jedzie do domu zupełnie wyczerpany.

Ale czyż tylko podczas egzaminów strach go prześladuje! Mózg samodzielną pracą rozbudzony, snuje szerokie widnokręgi myśli, kąpie je w morzu wielkich uczuć i porywów, pała płomieniem pragnień dobra. Lecz oto niejedna taka pochodnia ducha i uczuć, zapaliwszy się szybko i gwałtownie —

znika; na ogień leją się nieubłagane strumienie zimnej wody; jakiś dziwny niepokój porusza młodem sercem, jakaś szczególna myśl rachunku sumienia, spowiedzi nieoczekiwanej a uciążliwej, napełnia udręczeniem duszę młodzieńca. Strach nad nim wisi szerokoskrzydły, otacza go zewsząd, trapi jego wyobraźnię widmami, notującemi myśli i czyny.

Straszydła, zmory z wieku dziecęcego, jakgdyby odżywają i rosną w realnych postaciach; słowa nianiek i mamek: „Przyjdzie dziad i zabierze!“ — odradzają się w mózgu, wołają jakimś ostrzejszym głosem. „Przyjdzie i zabierze“ — strach niewidzialny lecz obecny tuż z blizka na każdym kroku szepce do ucha tego drugiego, wewnętrznego człowieka, który jest w ciągłej rozterce z pierwszym zewnętrznym...

Nareszcie kończy się okres starannie pielęgnowanych ideałów, czystych kąpieli ducha. Zaczyna się życie praktyczne, pogoń za chlebem. Młodzież z uniwersytetów i innych zakładów naukowych, która na ławie szkolnej poprzysięgła dozgonną wierność czystym ideałom, podała sobie dłonie bratnie i związała je spólnością ducha, rozproszyła się po świecie szerokim w poszukiwaniu środków istnienia. Większość idzie na służbę do biur, urzędów wszelkich, zdobywa z trudem krzesło i skraj stołu. Tutaj dopiero ideały wchodzą w istną rozterkę z życiem. Kto przekracza próg tej instytucji — rozdawczyni chleba — ożywiony jeszcze tchnieniem niepokalanych uczuć i marzeń, ten popełnia samobójstwo swojej najlepszej, najszlachetniejszej cząstki ducha. Krew mu nieraz uderzy do twarzy i w głowie zahuczy, gdy to, co ukochał, co czcią bezgraniczną otoczył, ujrzy spryskane błotem. I w chwili, gdy mu się pięści zacisną, gdy za obelgę swoich ideałów, chce rzucić w twarz obelgę hołdownikom i rozdawcom karjery, przychodzi nagle Strach i swoją zimną, szorstką dłonią gładzi po głowie, karku, plecach i szepce na ucho: „A ojciec? a matka? a żona? a dzieci?!...“ I krew od głowy spływa do serca, kryształowe zdroje uczuć i marzeń chowają się gdzieś w jakąś bardzo głęboką skrytkę duszy, kark zesztywniały zaczyna się uginać, twarz harda i gniewna wykrzywia się pokorą. Powoli owe zdroje gdzieś w głębokiej skrytce ducha wysychają, zostaje sama próżnia, w którą mogą i kamienie spadać i strugi błota spływać. Zelżone ideały nie ozwą się, nie uderzą falą gniewu do mózgu, bo tam już zapanował i osiadł Strach.

Zapanował on nietylko nad jednostką, lecz ogarnął ogół, wszedł do jego duszy, serca i mózgu szronem: zamroził wszelkie porywy szczytne, uwięził myśl niezależną, zawładnął przedstawicielami opinji publicznej i za pośrednictwem ich słów, sączących się z pióra mętną strugą, wtargnął pod czaszki czytelników. Co onegdaj jeszcze oburzało, na co nie znajdowano słowa hańby, co wczoraj wywoływało zżymanie ramion, dziś już nietylko nie gniewa, nie boli, lecz nawet nie dziwi. „I cóż, że tak mówi? I cóż, że tak pisze?“... A on — „przedstawiciel opinji publicznej“ — tak mówi i tak pisze, bo mu strach jego własny cień w potwornych kształtach przed oczy podsuwa, bo on się boi nawet czytelnika, drży, ażeby go nie rozgniewać i nie stracić. Przysłu-

chuje się szmerom publicznym, pomrukom, zdaniom i dostraja się do tych, które są najliczniejsze, chociażby były najbezmyślniejsze.

Strach mrowiem posypał skórę ludzką i drażni ją nieustannie. Dopóki trapi jednostkę — jest mniej szkodliwym. Gdy zawisł nad ogółem, gdy znieprawił dusze mas całych, słowem, gdy się stał nieodłączną cechą urządzeń bytu w obecnej postaci — legł wielką klęską na społeczeństwie. Pod jego skrzydłami, jak drobne ptactwo pod skrzydłami odlatujących bocianów, kryje się i unosi wszelka niegodziwość, wszelkie plugastwo życia.

Strach, panując nad człowiekiem od najpierwotniejszych jego czasów, wciąż zmieniał postać w miarę zmiany warunków bytu i rozwoju społeczeństw. Zrazu pobudzał do czujności wobec niebezpieczeństwa i walki o byt, był zjawiskiem czysto fizjologicznem, albo też opanowywał umysły ciemne, gdy te znalazły się wobec zjawisk niewytłómaczonych i niezrozumiałych. Dziś zajrzał do wszystkich stanów społecznych i zawodów; napastuje miljonerów, napełniając ich dusze ciągłą trwogą o miljony, tudzież o zdrowie i życie; trapi dusze fabrykantów i giełdziarzy, drżących o swoje obroty; dręczy rolnika; spadając na interesy ludzkie w postaci wielkiego popłochu, stwarza olbrzymie klęski ekonomiczne; wreszcie doskwiera wszystkim rzeszom pracującym, nękanym ciągłą obawą o jutro. Tysiące nerwowców, zrujnowanych duchowo, nadwątlonych fizycznie, upadają pod brzemieniem rozpaczy i strachu wobec widziadeł nieuleczalnej choroby i śmierci. Wielu odbiera sobie życie, aby męczarnie te skrócić; wielu błąka się i tuła po świecie bez celu, ucieka przed marą wiecznie prześladującą i pomnaża szeregi siewców niezdrowia duchowego i bezczynności.

Strach stał się nieubłaganym wrogiem szczęścia ludzkości, niszczycielem myśli niezależnej, uczuć i ideałów wzniosłych, krzewicielem służalstwa, obłudy i wszelkiej podłości. Gdy jednak jako znamię urządzeń dzisiejszych, jako poseł niesprawiedliwości, dotyka on jednostki niezmiennie uczciwe i wierne ideałom, a pomimo to ulegające znękaniu, wtedy otwiera się przed wyobraźnią naszą ta niezmierzona, okrutna głębia cierpień ducha ludzkiego, ten ogrom tortur, na jakie nie zdobyłby się najohydniejszy oprawca z czasów inkwizycji. Pomyślmy, ile mąk duchowych mieści w sobie jęk dzwonka śród ciszy wiejskiej na gościńcu lub odgłos jego przy drzwiach w chwilach snu; ile bólu w całe jestestwo wlewa niesiona przez strach z lat dziecięcych pogróżka: „Dziad przyjdzie i zabierze!“ Rośnie ona z wiekiem i przyobleka kształty... „przyjdzie i zabierze!... szczęście, spokój, moc i pogodę ducha...“

Warszawa. *Zenon Pietkiewicz.*



DWA PYTANIA.

1.

Raz ujrzałem dziecinę różową
Z twarzą jasną i pieszczoną mową —
Główkę, w puchy szczęścia otuloną,
Położyła na matki swej łono.

A w tem starzec w odzieniu żebraczem
Twarz pokazał od zimna zsiniałą...
Dziecię z trwogą na twarz tę spojrzało
I do matki tuliło się z płaczem.

Czy to dziecię, co w blaskach się chowa,
Nie zna dotąd serc człowieczych mowy?
Czy w dostatków komnacie godowej
Miłosierdzia nie słyszało słowa?

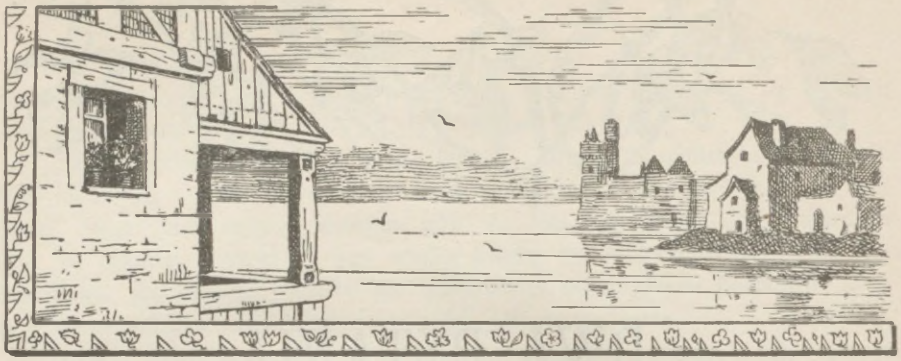
2.

Raz mnie dziecię tułacze spotkało,
I ujrzałem sine z głodu ciało,
I na stopach krwi wystygłej ślady,
A ból cichy na twarzyczce bladej.

Nie wstrzymało go moje pytanie,
Głos mój za niem pogonił daremnie:
Pełne trwogi, odbiegło odemnie,
Mrocznej nocy je skryły otchłanie.

Czy to dziecię, co w mrokach się słania,
Nie zna dotąd serc człowieczych mowy? —
W nędz swych cieniach i pustce grobowej
Miłosierdzia nie słyszy wołania?

Warszawa. *Antoni Pilecki.*



Militia est vita hominis super terram.*)

„Bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi“;
Kto więc godność człowieczą czuć i cenić umie,
Ten bojować wciąż winien siłami wszystkiemi,
Jakie tylko ma w duszy, sercu i rozumie.

Bojować, lecz nie biernie, jak ów, co te słowa
Wyrzekł w skardze bolesnej wonczas, gdy go za nic,
Dla próby tylko, oddał w moc czarta Jehowa,
Żadnych złości piekielnej nie stawiając granic.

Bojować, nie za siebie, nie wtedy jedynie,
Gdy w jego własną głowę biją gromy Boże,
Gdy swe mienie i szczęście ogląda w ruinie
I sam pada w męczarniach na jobowe łoże.

Bojować, nie o skarby i zaszczyty świata,
Nie o to, by samemu nurzać się w przesycie;
Lecz o to, by miał każdy to, czego utrata
Całych narodów łamie i znikczemnia życie.

O to, za co bez żalu dać warto ofiarnie
Wszystkie swoje radości, i mienie, i zdrowie,
I znieść mężnie najcięższe ciosy i męczarnie, —
O to, co się powszechnem ludzkiem dobrem zowie.

*) Księgi Job VIII 1.

A więc ze łżą o prawdę, o światło z ciemnotą,
O miłość z nienawiści rozpasaniem wściekłem,
Z przemocą o wolności prawej erę złotą,
Ze złem wszelkiem o dobro, więc o niebo z piekłem.

Straszne to i zażarte a potężne wrogi,
Moc bowiem sojuszników mają po swej stronie;
Kto więc pragnie odeprzeć, złamać gwałt ich srogi,
Musi dobrze opatrzyć siły swe i bronie.

A wszystkie siły jego — tylko w sile ducha,
Broń — tylko w ukochaniu poślubionej sprawy;
Niech więc duch będzie mężny, i czysty, i prawy,
Świętym ogniem miłości niechaj serce bucha.

A wtedy wstąpią w niego wszystkie moce one,
Niepożyte, cudowne, w jakie jest bogata
Każda z wielkich idei, które wziął w obronę,
A którym się należą z prawa rządy świata.

Wyzuły je z tych rządów bestyjalskie siły,
Bo zastępy, co dotąd z ich wrogów nawałą
Odwieczne wiodły boje, nie dość liczne były
I miały w sobie ducha i serca zamało.

Lecz byli też rycerze ich wierni i stali,
Z duchem mężnym i prawym, z sercem kochającem,
Co za nie w bojowaniu żywot swój oddali;
Z tych każdy z swej mogiły powstanie tysiącem

Podobnych sobie duchem i sercem szermierzy,
W których się moc idei onych świętych wcieli —
I na niebios zegarze nareszcie uderzy
Godzina tryjumfalna praw Bożych mścicieli.

Kto więc te prawa Boże czcić i cenić umie,
Niech walczy o nie ducha siłami wszystkiemi,
Z wiarą w sercu, z pewnością niezłomną w rozumie,
Że tak winien bojować człowiek na tej ziemi.

Warszawa. *Adam Pług.*

Z krwawego zdroju.

Nowela.

Erling wszedł do gabinetu, zsunął z ramion futro, zdjął kapelusz i rękawiczki, usiadł przy biurku, rzucił się w tył, oparł ręce na krawędzi fotelu i począł sam z sobą wieść jednę z tych rozmów bezlitośnych jak pojedynki, gdzie zwycięzca nie daje pardonu.

Odkąd był żonaty, — a stało się to nieszczęście przed rokiem, coraz częściej pozwalał buntowniczemu instynktowi uderzać tak w obwarowane potrójnym murem sumienie i coraz głębszy czynić w niem wyłom.

Nie kochał żony, — to przekonanie utrwalało się w nim niby jakaś prawda długim rachunkiem zdobyta, coraz naturalniej, coraz uporniej, a jednak nie śmiał, ociągał się wybuchem szczerości sprowadzić dla niej katastrofę, dla siebie rozpaczne wyzwolenie. Jak przyszło do fatalnego małżeństwa, dziś już sam nie wiedział. Ingerid wabiła go czarem nieodgadnionym, więc póty potężnym. Co kryło się za temi wązkiemi, małomównemi ustami, co w tych oczach zimnych i szarych z prawie niedostrzegalną źrenicą, jak u starego posągu; jaka silna dusza trzymała w nieruchomości tę głowę, tę kibić, te ręce na sztywnych kolanach złożone, że czasem godzinami widywał jej postać na jednem miejscu, zatopioną w książce, lub w księżycowym blasku zastygłą. Odgadnąć ją, uczyniwszy swoją, — to była pokusa silniejsza od jakiejś elementarnej niechęci zmysłów, co są stręczycielami natury i dogodnego jej celom doboru.

Więc zdarł zasłonę ręką pewną i niepowściągliwą. Ale zamiast odgadnąć sfinksa, odkrył kobietę: nieodmienną od tych, które tyle razy widywał, śledził, poznawał, przechodząc przez życie szerokiego świata, bywalec, spragniony wrażeń i syt doświadczeń, jak ten wiatr, co wszystkie na swej drodze sady i ogrody zwiedza, o wszystkie kwiaty się ociera, wszystkich wspomnienie zapachów z sobą unosi. Dziewczyna może chowała w sobie tajemnicę; podczas owych dumań i nieruchomych zapatrzeń może w jej kobiecym organizmie krążył i układał się przyszły świat, przyszła ludzkość kształtów jeszcze niewcielonych, z których powoli jak ze zwichrzonych mgławic wyłaniała się twarz nieznanego jeszcze a już wybranego, co sobą owe pochłaniał widzenie. I oto

w kobiecie cały ów nieuświadomiony wir i kołowrót marzeń skupiał się, ścinał, koncentrował w jednym, czysto ziemskim i realnym interesie, a ten tak oddalał ją od zdolności abstrakcyjnego myślenia i tak niweczył dawną wyobraźnię twórczą, że on artysta, od swej żony, zrazu tak niesłychanie ponętnej, nie otrzymywał już żadnej podniety prócz tej, którą sam wywołał. Czuł, że wygrał na niej wszystkie melodje, które wygrać było można i nie spodziewał się z osłuchanej pozytywki dobyć nowej pieśni.

To był stan nie do zniesienia. A przecież poczucie honoru i uczciwości, wdzięczność, czułość, wreszcie przywiązanie, które powstaje z długiego obcowania dwojga ludzi jednym skutych łańcuchem, zmuszały go kłamać, kłamać, by nie popełnić większej zbrodni. I tak dzień po dniu, noc po nocy. Spostrzegał, że nad jego domem niedoli zaciągała się ciemna chmura i coraz to zniżając kopułę, zaciskała ściany więzienia i groziła uduszeniem...

Otrząsnął się, potarł czoło, jakby zeń chciał zgarnąć niemiłe uczucie, otwarł szufladę, wyjął kilka zapisanych kart papieru i zabrał się do pracy. Tem zazwyczaj kończył smutne dumania; jedno dotknięcie pióra unosiło go odrazu w świat, gdzie malały ciężkie ziemskie troski. To, co pisał, było poetyckiem objaśnieniem pewnego problemu sztuki, który nurtował w nim oddawna; wysnuwał je z symbolu prostej baśni ludowej, którą przekształcał po swojemu i tworząc, szukał rozwiązania.

„A kiedy tak rycerz klęczy nad szklaną trumną, na liczko śpiącej patrzy, głową bije i ręce łamie, przychodzi starka jak gołąb siwa, podaje mu puginał, lśniący jak krucze pióro i powiada: Zabij, a ożyje. — Jakże ja ją zabić mam, kiedy ją kocham nad życie!... Serce rwie mu się z łona, trzy razy podnosi ostry nóż, trzy razy opuszcza ramię. — Nie, choćby stracić ją miał na wieki, nie uderzy!... I znowu nudzi i znowu biada, zapatruje się w śliczną śpiącą królewnę jak w jasne, martwe słońce zimowe, co nie grzeje a świeci, rozkosz oczu a serca ból...“

W tej chwili otwarły się drzwi pracowni i weszła Ingerid. Szła cichutko, uśmiechnięta, cała rzewna nieskończoną czułością, kornem poddaniem, bezgranicznem przebaczeniem wszystkich krzywd, których doznała i jeszcze doznać się spodziewa. Podeszła, położyła dłoń na ramieniu męża, pochyliła się nad nim i drżała jak gałązki wierzby nad strumieniem, w którym się przegląda, a który ciągle — jej ucieka. Erling opieszale odłożył pióro, spojrzał na nią, niby przymilony, ale z umyślnie zaznaczoną niechęcią.

— Przeszkadzam ci?... — spytała.

— Nie, moja droga, choć wiesz, że kiedy pracuję, lubię być sam. Proszę cię, nie jesteśmy już dziećmi, żeby się pieścić nieustannie; powinniśmy oboje mieć godziny bezwarunkowej swobody; tyle razy powtarzałaś mi to prawo małżonków, póki byłaś panną!...

Jaka stała piękna z nagłym smutkiem, który sfrunął jej na czoło! Erling poglądał na nią zdziwiony. Pierwszy raz zauważył, że ją smutek tak nadzwyczajnie zdobi. Na zwilżone oczy zachodziły jej powieki jak listki białej róży;

łuki krwi wyginały się ku górze, duże fałdy żłobiły w środku czoło jak u bolejącej Nioby, a kąty ust, w dół ściągane, napełniały się goryczą.

Więc istniało źródło nowego wdzięku, którego dotąd nie doszedł w niekochanej tej kobiecie; była w niej nawiązana struna, która czekała dotknięcia, obiecując wydać ton najbardziej wstrząsający, trjumfalny ton boleści. Poczynał na nowo kochać ją w tej urodzie cierpienia, miłością jakąś inną, zmysłowo okrutną.

Przyciągał ją do siebie, gładził po włosach, studjował z rozkoszą bicie jej serca, wyraz twarzy zalękły i tę tłumioną chęć łkania, co pragnęła wybuchnąć, a bał się spłoszyć czar wywołany.

Dzika żądza wpełzła mu do myśli. Może się zatem upajać pięknem, kiedy zapragnie; dość jednego szorstkiego słowa, a bolejąca Niobe stawa przed nim w żywej postaci. Wdzięczny też był żonie, że pogardza pospolitymi i grubymi objawami smutku: skargą lub płaczem tak nieestetycznym; niema boleść najpiękniejsza...

„...Klęczał rycerz nad trumną szklaną i kamieniał zapatrzony w przeźroczyste lica śpiącej dzieweczki. Ptaki przyzwyczaiły się doń, skakały po gałązkach tuż nad nim, czasem przechylały główki i patrzały pytająco na dziwnego kochanka. Tak, to było jego wymarzone kochanie: śnił ją chłopięciem, mężczyzną szukał po szerokim świecie, tu wreszcie znalazł martwą. Rozpacz ogarniała go, podnosił zabójczą a wybawczą broń... Nie, nie może uderzyć, nie może! Nóż zsunął się z bezwładnej dłoni, zsuwając drasnął w ramię śpiącą krasawicę. Drgnęła, otwarła oczy, podniosła się do połowy, spojrzała nań wzrokiem pełnym miłości, szczęścia, potem przestrachu, wymówki, rozczarowania i padła napowrót na białe atłasy.“

A życie dwojga skutych razem przez straszną omyłkę nędzarzy wlokło się bezmiernie i beznadziejnie dalej. I coraz większa nienawić gotowała się w piersi poety przeciw kobiecie, że nie umiała go zamienić w niewolnika. I coraz cichszy smutek odpłacał mu codziennym wyrzutem. Ona także przeczuwała, że stać się znów zagadkową, wyniosłą, szyderczą, okrutną, a podbije go i zdobędzie, — ale nie mogła, nie mogła!... Dlaczego tyle nienawiści za miłości tyle... myślała. I jakie prawo włada sercem ludzkiem, że taka zbrodnia jest możebna?... On zaś zapadł myślą w zawrotne tajniki swej artystycznej natury. Jak może zło harmonizować się z pięknem? Skąd ta rozkosz, która go ogarnia na widok, że ona cierpi i tem cierpieniem w oczach mu się mieni na czarowne zjawisko? Kiedy szorstko usuwał się od jej pieszczot, lub dobry jej wzrok chłodził obojętnem spojrzeniem, wtedy srebrny uśmiech nagle pierzchał, usta jej rozchylały się jak u konającego dziecka, przerażenie zachodziło w twarz, podkreślało oczy, rozszerzało wzrok, na czole zbierało się w dwie podłużne fałdy i jak piorun wpadało we włosy, które na kształt chmury kupiły się i rozwichrzały. Wtedy patrzał na nią z zachwytem, a nigdy w momencie szczęścia nie wydała mu się tak obco, tak ponętnie piękną. I mówił jej to, mówił często; ale zaledwie na bladą twarz odwołał rumieniec i uśmiechy, czar

pryskał; brzydła, stawała się pospolitą, on zaś rozstrojony powracał do swych ksiąg i marzeń. Wreszcie sprzykrzył sobie nawet tę jej boleść tak zawsze jednakową. Czyż nigdy nie wydobędzie z niej nic nad niemą rozpacz Nioby? Czyż nie istnieje piękno jeszcze wyższe, jeszcze gwałtowniej wstrząsające, jeszcze zupełniejszą dające syntezę rozkoszy w ogarnieniu zmysłów i uczuć i wyobraźni i tych niejasnych i niedoświadomionych instynktów artysty, co, jak pewne promienie światła widoczne się stają dopiero, gdy trafią na właściwe ciało.

Zapadał w dawną zadumę. Oto widział się na miejscu swego rycerza. Klęczy nad trumną zawieszoną między dębami, kołysaną na bluszczowych sznurach. Zwolna zapada w skamieniałość zapatrzenia. Wiatr przynosi zapachy storczyków i konwalji, rozśpiewana ptasia kapela jedną wielką falą wibruje mu w duszy. Przez szeleszczące liście przeziera światło słoneczne i chodzi po białych muślinach. To jak motyl spadnie na śnieżne ramię śpiącej i drży, to muska ją po twarzy i łudzi obrazem życia. A jeden płatek światła ciągle się waha między szyją i piersią i pokazuje miejsce, gdzie musi spać serce. Uderz... szepce coś i jakaś potęga popycha go do czynu. Jeden cios, a zmarła ożyje; jedna chwila strasznego przesilenia, a uczyni ją nieśmiertelną; jeden gwałt, zadany sobie i swej ludzkiej naturze, a obaczy nadziemskie piękno. Głowa mu pała, obłęd go ogarnia. Wiatr przycichł, wszystko zamilkło i stanęło, tylko płatek słońca buja się jeszcze, coraz wolniej, aż zatrzymał się pod lewą piersią.

Z przerażającym krzykiem rycerz spuszcza nóż, przebija liljowe ciało — a w tejże chwili anielska postać dźwiga się z trumny, uśmiechnięta, zachwycona. O dzięki ci, dzięki, mój rycerzu, — szepce; — obudziłeś mię do życia, jam twoja. Nachyla się ku niemu, wyciąga ręce...

Erling poczuł ramię owijające mu się koło szyi; obrócił się, za nim stała żona. Blade jej policzki gorzały brzydkim rumieńcem, spieczone wargi szukały jego ust.

— Odejdź, odejdź! — krzyknął wściekły z gniewu. — Czemu zawsze stajesz na mojej drodze? Przeklęta chwila, kiedym cię poznał, bardziej przeklęta, kiedym cię zapragnął i poślubił. Nieszczęście ty moje i zguba!...

— Mężu!... — szepnęła i zachwiała się. — Więc to prawda? Nie kochasz mnie, nie masz litości nademną?

— Nie kocham, nigdy nie kochałem. Nienawidzę cię, słyszysz, nienawidzę!..

Rozwarła szeroko oczy, krzyk urywany wybiegł z jej sinych ust, osunęła się i głową stuknęła o posadzkę. Erling stał i patrzał, nie zdając sobie sprawy z potwornej zbrodni. Wodził wzrokiem osłupiałym po jej martwiejącej twarzy, która w tej martwocie zaczęła nabierać pogody beznamiętnego spokoju. Nie boleść, nie radość, — śmierć.

Ale z natłoku nagłych wrażeń świtała mu świadomość, że przez jeden moment, przez jeden błysk momentu, widział to piękno najwyższe, o jakiem

marzył: wyraz najwyższego uniesienia, do jakiego jest zdolne zapoznane, obrażone, a kochające i przebaczające serce kobiece. Zrozumiał, że dla artysty rodzi się ono nie z najwyższego szczęścia, lecz z najwyższego cierpienia. Że takie piękno można oglądać i można stworzyć samemu, to napełniało go rozkoszną grozą, tylko, że tuż za nią w tropy postępował czarny bezbrzeżny smutek.

Paryż. *Edward Porębowicz.*



MEDYTACJE.

Rasy do których należy przyszłość, szukają ideji użytecznych; zużyci i dogorywający wzdychają do czystego piękna...

*

Sztuka ozdabia życie, które jednak wznosi się na wyższe szczeble doskonałości dzięki: twórcom religji, wielkim filozofom, gienjalnym działaczom państwowym, odkrywcom nowych prawd, wynalazcom nowych machin i sposobów, swiętym miłośnikom bliźniego...

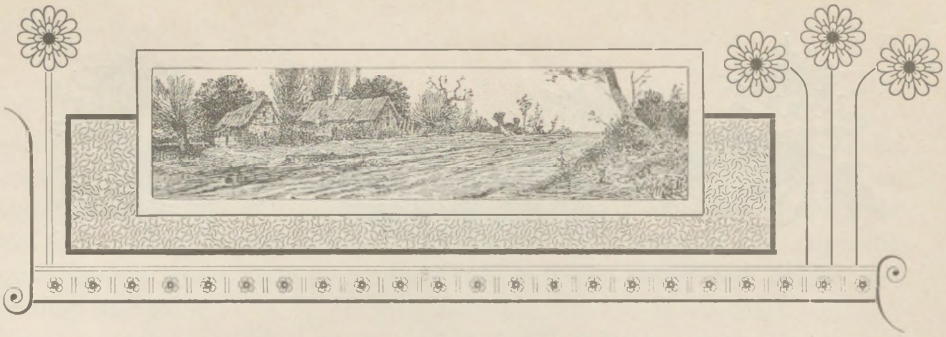
*

Działacz społeczny w tem jest podobny do chłopa, że zazwyczaj pracuje nie dla siebie i że wówczas, gdy trudzi się najciężej, obłazi go szpetne robactwo.

*

Co myśleć o społeczeństwie, w którem poezja zasłania wszystkie inne sfery życia, a laury oplatają nogi aktorom?...

Warszawa. *Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).*



Urywek nowoodnaleziony Ewangielji

według

PIOTRA APOSTOŁA.

W Egipcie górnym, w pobliżu wioski Akmim, wznosi się wzgórze, w którem odkopują obecnie groby zmarłych za panowania XVIII—XX dynastji, czasów, stanowiących, jak wiemy, złoty okres w dziejach starożytnego państwa Faraonów. Okres ten przypadał na środek drugiego tysiąclecia przed erą naszą. Do wzgórza, pokrywającego groby starożytne, przylega cmentarz, gdzie w ciągu wieków dziesięciu, od V do XV, naszej już ery, grzebano chrześcijan okolicznych. W miarę przybywania na nim zmarłych, rozszerzał się on ku północy i zachodowi. Odległość więc od wzgórza stanowi pewną, aczkolwiek w ramach bardzo obszernych, wskazówkę chronologiczną co do czasu pogrzebania zmarłego na tym cmentarzu.

Poszukiwania w grobach starożytnych, kryjących się we wnętrzu wzgórza, przenoszono i na cmentarz sąsiedni. W czasie zimy z 1886 na 1887 roku, gdy wskutek polecenia P. Grébaut, dyrektora komisji archeologicznej francuskiej, w Egipcie, robiono poszukiwania na tym właśnie cmentarzu, w części jego, gdzie, na podstawie powyższej wskazówki, prawdopodobnie grzebano pomiędzy VIII a XII wiekami, w trumnie nieznanego jakiegoś zakonnika znaleziony został rękopis.

Rękopis ten jest w języku greckim, a cechy jego zewnętrzne, naprzykład charakter pisma, potwierdzają datę, dającą się wyprowadzić z miejsca zajmowanego na cmentarzu przez odkopaną mogiłę.

Rękopis odnaleziony składa się z 33 kart, przedstawiających 66 stronic. Karty te mają wysokości 15 a szerokości 12 centymetrów, były razem zszyte i znajdowały się, niby w pochwie, w rodzaju pokrowca skórzanego. Na pierwszej stronicy krzyż koptyjski zastępuje tytuł. Na odwrotnej i dziewięciu innych (2—10) mieści się urywek, w którym przy końcu stronicy 10-tej czytamy następny ustęp: „My zaś, dwónastu uczniów Pana, płakaliśmy i smuciliśmy się, i każdy, zasmucony tem, co się stało, odszedł do domu swego. Ja zaś, Szymon Piotr, i Andrzej, brat mój, zabrawszy sieci nasze, odeszliśmy do morza...“

Dwie następne stronice są czyste. Siedem (13 – 19) zajmuje znowu inny urywek, w którym odnalezionych kilka wersetów, przechowanych przez rozmaitych pisarzy z Apokalipsy Piotra Apostoła, pozwala widzieć obszerniejszy od dotychczas znanych urywek Apokalipsy Piotra. Dwudziesta stronica znowu czysta. Nakoniec czterdzieści sześć (od 21 do 66) zawierają dwa ustępy, składające jedną całość, tylko odmiennem pismem, tj. każdy inną ręką pisany, utworu, dotychczas znanego tylko z przekładu na etjopski język i z kilku urywków w języku greckim. Tym utworem jest Księga czyli Apokalipsa Enocha. Odnaleziony urywek tej Apokalipsy stanowi mniej więcej czwartą część całości, a mianowicie, początkowe jej rozdziały, od 1 do 33. Wszystkich rozdziałów Księga Enocha posiada 105.

Odnaleziony rękopis wydał B. Bouriant w *Mémoires publiés par les Membres de la Mission archéologique française au Caire,* Vol. IX, fasc. 1. Paris, Leroux, 1892.

Wydanie rękopisu pozwoliło rozpocząć badania specjalne każdej z trzech jego części. Badania te z natury rzeczy nosiły charakter dwojaki. Należało, po pierwsze, opracować tekst grecki krytycznie, t. j. oczyścić z błędów, które się do niego wkraść mogły przez szereg przepisywań. Należało, powtóre, odnalezione części utworu porównać z dawniej znanemi, wykazać, co nowego dostarcza tekst nowo odkryty, w jakim zostaje stosunku do poprzednio znanej całości lub poprzednio znanych urywków, to jest, określić rzeczywiste znaczenie tego odkrycia w historji danej księgi.

Jak w tym przypadku dwojakie badania dały się tylko zastosować do dwóch części rękopisu, do drugiej, zawierającej urywek Apokalipsy Piotra, i do trzeciej, zawierającej początek Apokalipsy Enocha.

Ewangielja Piotra była dotychczas znana tylko z tytułu. Najmniejszego z niej urywku nie przechowali pisarze chrześcijańscy. Zawartość więc pierwszej części odnalezionego pod Akmim rękopisu stanowi pierwszy i dotychczas jedyny tylko urywek z tej Ewangielji.

Wobec takiego faktu badania nad pierwszą częścią odnalezionego rękopisu musiały się ograniczyć krytycznem opracowaniem tekstu. Dokonał tego Adolf Lods w dziele pod tytułem: *Evangelii Secundum Petrum et Petri Apocalypseos quae super sunt ad fidem codicis in Aegypto super inveti edidit... Parisiis, apud Ernest Leroux, 1892.* Piękna ta praca daje możność poznania pozostałości Ewangielji według Piotra.

Poprzednio atoli zwrócimy się do tych pisarzy chrześcijańskich, którzy tylko o Ewangielji Piotra wzmiankowali. Poznanie historji tego utworu, związanego z imieniem Piotra, o ile ta historja z kilku wzmianek poznać się daje, ułatwi poznanie samego utworu, choć z jedynego znanego z niego urywku, a następnie, porównywanie zawartości tego urywku z zawartością odnośnych rozdziałów innych, w całości przechowanych Ewangielji, wyjaśni stosunek Ewangielji według Piotra do innych, a nadto, choć w przybliżeniu, wskaże czas, w którym powstać ta Ewangielja mogła.

I.

Niedługim jest szereg pisarzy chrześcijańskich, którzy fakt istnienia Ewangielji według Piotra przechowali do naszych czasów. Zaledwo bowiem jest ich kilku. Pomimo jednakże swej tak nieznacznej ilości, w rozmaitych do utworu, o którym wzmiankują, jak to widać z charakteru samych wzmianek, stają oni stosunkach. Jedni — czerpią z niego swoje wiadomości i przeto powołują się na ten utwór, jako na uznaną powagę. Drudzy — bądź przytaczają różne okoliczności z dziejów tego utworu, bądź podają współczesne sobie o nim pojęcia i sądy.

Pisarze stanowiący pierwszą grupę są wcześniejsi od innych. Jest ich dwóch i oba już nie żydzi. Justyn, od rodzaju swych głównych dzieł, dwóch Apologji, czyli obron chrystjanizmu, przedstawionych cesarzowi rzymskiemu, Antoniuszowi, domniemanym jego następcom, senatowi i całemu narodowi rzymskiemu, przezwany Apologetą, żył w drugiem stuleciu naszej ery (jak przypuszczać można 114—168). Drugi, sławny z początkowych prób przystosowywania ówczesnej mistycznej filozofji greckiej do podań żydowskich i godzenia z niemi, Orygines, żył i działał w trzeciem stuleciu (185—254). Pierwszy chociaż urodzony w Palestynie, w Sichem, przezwanem za czasów rzymskich Flavia Neapolis, i piszący po grecku, stał się z wyboru rzymianinem. Drugi, urodzony w Aleksandrji, był z pochodzenia i języka grekiem.

Justyn oprócz wzmiankowanych Apologji i innych kilkunastu dzieł, które zresztą nie wszystkie do naszych doszły czasów, napisał był: „Djalog z żydem Tryfonem“. Jest to utwór wielce polemiczny. Walczą w nim nowe podania żydowskie ze staremi. Justyn staje w obronie nowych i zwycięsko pobija rabina Tryfona, przedstawiciela i obrońcę starych. Otóż w tym to utworze autor powołuje się na Ewangielją Piotra, „jednego z Apostołów“. Stało się to w okoliczności następnej:

W Ewangielji Marka czytamy: „A przechodząc (Jezus) nad morzem Galilejskiem, ujrzał Symona i Andrzeja, brata jego, zapuszczających sieć w morze, bo byli rybitwi. I rzekł im Jezus: pójdźcie za mną, a uczynię Was rybitwami ludzi. A oni zarazem opuściwszy sieci swoje, poszli za nim. A stamtąd troszeczkę odszedłszy, ujrzał Jakóba, syna Zebedeuszowego, i Jana, brata jego, a oni w łodzi oprawiali sieci. I zaraz ich powołał; a oni zostawiwszy ojca swego Zebedeusza w łodzi i z czeladzią, poszli za nim... I postanowił ich dwanaście, aby z nim byli, a iżby je wysłał kazać Ewangielją, i żeby mieli moc uzdrawiać choroby i wyganiać djabły: Symona, któremu dał imię Piotr, i Jakóba, syna Zebedeuszowego, i Jana, brata Jakóbowego, którym dał imię Boanerges, to jest synowie gromu...“ (I, 16—20; III, 14—17). O sposobie, jakim wezwał Jezus Symona i brata jego Andrzeja, Jakóba i brata jego Jana, by szli za nim, czytamy również u Mateusza (IV, 18—22). Tylko ten ostatni nic nie wzmiankuje, by Symona miał nazwać dopiero Jezus Piotrem, gdyż tak się wyraża: „ujrzał dwu braci, Symona, którego zwią Piotrem, i Andrzeja“. A przytem o przezwaniu Jakóba i Jana: „Synami gromu“ nic nie wie, czy też o tem

tylko zamilcza. Otóż Justyn, wspominając o tem podaniu, które tylko Marek przechował, nie na Marka się powołuje, jedyne, jak obecnie, źródło tego podania, lecz na Piotra, „jako on był w Ewangielji swojej zapisał (Dialog. c. Tryph. 106).“

Drugie świadectwo o istnieniu Ewangielji Piotra i znaczeniu jej jednakiem z innemi znajdujemy u Oryginesa. I oto z jakiego powodu. Wierny swojemu zadaniu zlewania w jedną całość greckiego nowoplatonizmu z podaniami żydowskiemi, te podania oświetla blaskiem mistycznym w Komentarzach do Ewangielji. Znanym jest następny ustęp z Ewangielji Mateusza: „Przyszedłszy do ojczyzny swojej (Jezus), nauczał je (tłumy żydów) w bożnicy ich, tak, iż się bardzo zdumiewali i mówili: Skądże temu ta mądrość i ta moc? Izaż ten nie jest on syn cieśli? Izaż matki jego nie zowią Marją, a bracią jego Jakób, i Jozes, i Symon, i Judas? A siostry jego izali wszystkie u nas nie są? Skądże tedy temu to wszystko? I gorszyli się z niego. Ale Jezus rzekł im: Nie jest prorok beze czci tylko w ojczyźnie swojej i w domu swoim. I nie uczynił tam wiele cudów dla niedowiarstwa ich (Mat. XIII, 54—58).“ Orygines w Komentarzach do Mateusza przy tym ustępie pisze: „Są tacy, którzy zapewniają, że bracia Jezusa byli synami Józefa, których on miał z pierwszej swej żony, przed ożenieniem się z Marją. Ci się opierają już to na Ewangielji noszącej tytuł Ewangielji według Piotra, już to na Księdze Jakóba (*Opera, t. XI, p. 223, Comment. in Evanga Matthaei*).“ Odosobniając Jezusa w kole braci i sióstr na podstawie podań żydowskich, Orygines ułatwia i przygotawia dalsze wyosobnianie w rodzinie, następnie w narodzie całym, plemieniu i nakoniec w ludzkości. Przechowane przez Piotra podanie tyczy się zarówno Jezusa jak i matki jego. Marja, rodząc raz, rodząc syna jedynego, poczętego w sposób nadprzyrodzony, pozostawała dziewicą; rodząc kilkakrotnie, syny i córki, już dziewicą stale pozostawać nie mogła.

Najobfitszych wiadomości o Ewangielji Piotra dostarcza Euzebjusz, biskup cezaryjski, przezwany Pamfilem wskutek przyjaźni z osobistością noszącą to imię. Żył on prawdopodobnie pomiędzy 267 i 338 rokiem, a więc w lat sto po Oryginesie. Postęp w wyrabianiu się dogmatów w chrystjanizmie (za życia Euzebjusza odbył się głośny w historji sobór chrześcijański, jako pierwszy pod opieką państwową, przy udziale przedstawicieli władzy) zmusił pisarzy chrześcijańskich do baczniejszego rozważania źródeł swych wiadomości, do wynoszenia jednych, zgodnych z wyrabiającemi się doktrynami, do odrzucania innych i potępiania z temi doktrynami sprzecznych.

Fakty, będące podstawą chrystjanizmu, podania o tych faktach, ten Chrystjanizm wytwarzające, oraz pojęcia na podstawie faktów i podań powstające w pierwotnem piśmiennictwie chrześcijańskiem w czworakiej występowały postaci: jako Ewangielje, Listy, Objawienia i Dzieje. Każdy z wybitniejszych działaczy bądź w rzeczywistości, bądź tylko w podaniu pisał Listy, opowiadał Ewangielją, wykładał swe poglądy polityczno-społeczne w Objawieniach, doczekiwał się swej biografji, albo raczej wspomnień o sobie w Dziejach.

Oto, co o utworach przypisywanych Piotrowi i z jego imieniem związanych pisze Euzebjusz w swej „Historji Chrystjanizmu“: „Co się tyczy Piotra, jeden list jego, który nosi nazwę pierwszego, za prawdziwy bez żadnych sporów jest przyjęty... List nazwany drugim, jak o tem dowiadujemy się od przodków, pomiędzy Święte Księgi Nowego Testamentu umieszczonym być nie powinien. Lecz ponieważ wielu ludziom pożytecznym być się wydaje, razem z innemi Świętego Pisma Księgami bywa odczytywanym. Księga zaś nazwana „Dzieje Piotra“ i „Ewangielja“ z nadpisem złożonym z jego imienia, a również „Księgi“ zawierające jego Nauczanie i jego Objawienie nigdy, jak wiadomo, za katolickie księgi nie były uznane; chociaż niektórzy ze starszych, jakoteż niektórzy i z młodszych pisarzy kościelnych z poczerpniętych w owych księgach świadectw korzystali... (*Historia Ecclesiastica, III, 3*).“ Do tego przedmiotu powraca autor nieco dalej, nalegając, by jedne księgi były odróżniane od drugich, a mianowicie prawdziwe od tych, które są przez heretyków rozpowszechniane i zawierają Piotra, Tomasza, Mateusza i niektórych innych „Ewangielje“, Andrzeja zaś, Jana i innych apostołów „Dzieje“. (*Historia Ec., III, 25*).“

Do wypowiedzianego w taki sposób wyroku o znaczeniu i wartości wśród innych utworów i Ewangielji Piotra, Euzebjusz w dalszym wykładzie „Historji“ dodaje następne objaśnienia. Wspominawszy o Serapionie, ósmym po apostołach biskupie antjocheńskim (*H. E., V, 22*) i o jego śmierci (*H. E., VI, 11*) przechodzi do jego prac i oto co o nich podaje: „Oprócz przytoczonych pozostała księga „O Ewangielji Piotra“, wyjaśniająca co w tej Ewangielji było błędnego. Księgę tą napisał Serapion z powodu niektórych w djecezji Rossumskiej (Rhossum, miasto w Cylicji, było położone nad brzegiem zatoki Issus) osób, jakie, wskutek tej Ewangielji od nauki prawdziwej do błędnej przeszły. Nie będzie zbytecznem przytoczyć z jego księgi te słowa, w których autor to, co sam o tej Ewangielji sądził, wykłada: My zaś, bracia, tak on przemawia, i Piotra i pozostałych apostołów jakby samego Chrystusa przyjmujemy. Lecz te pisma, które imię apostołów błędnie nadpisane noszą, będąc świadomi rzeczy i doświadczeni odrzucamy. Wiadomo nam bowiem, żeśmy je od poprzedników naszych wcale nie otrzymali. Ja, kiedym do was był przybył, sądziłem, że wszyscy wśród was ścieżki prawdziwej wiary się trzymają. Przeto, skoro niektórzy Ewangielję noszącą nadpis imienia Piotra mi przedstawiali, nie czytając jej, odrzekłem: jeśli to tylko rodzi waśni wśród was, czytajcie! Obecnie zaś, z tego, co mi o niej powiedziano, jasno dostrzegłem, że myśl ich ukrytą herezję taiła, przeto powtórnie do was przybyć pospieszę. Tak więc, bracia, wkrótce mię oczekujcie. Doszedłem bowiem, jakie poglądy wyznawał i do jakiej sekty należał Marcianus, który, sam nie rozumiejąc, co głosi, pozostawał z sobą w sprzeczności, jak o tem się dowiecie z tego, co do was napisano. Otrzymawszy wyżej wzmiankowaną Ewangielję od tych, którzy się jej nauczyli i wskutek ciągłego powtarzania ją rozpowszechniają, to jest od następców tych,

którzy Marciana poprzedzali, a których docetami[1]) zowiemy (z ich bowiem nauki liczne jego poglądy wypływają), doszliśmy do możności jej odczytania. Otóż w tej Ewangielji wiele rzeczy znaleźliśmy z prawdziwą wiarą naszego zbawcy zgadzających się; jednakże i niezgodne z duchem prawdziwej wiary do niej weszły, do których i wasze przyłączyliśmy pojęcia (*H. E. VI, 12*).“ Księga Serapiona „O Ewangielji Piotra“, tu przez Euzebjusza przytaczana, pochodziła prawdopodobnie z końca drugiego stulecia.

Po świadectwach Euzebjusza o Ewangielji Piotra, opartych poprzednio na własnem przekonaniu, a następnie na powadze Serapiona, który, jak to sam przyznaje, otrzymawszy rzeczoną Ewangielję od Docetów i Marcjanistów, poznał ją tak dokładnie, że zdołał odróżnić prawdziwą od błędnej w niej naukę, następują w porządku chronologicznym świadectwa Heronima (331—420) i Teodoreta (387—458).

Pierwszy tłómacz na łacinę zabytków starożytnego piśmiennictwa hebrajskiego i pierwotnych utworów chrześcijańskich, pisząc o przypisywanych Piotrowi utworach, rzecz następną wygłasza: „Księgi zaś, z których jedna została nazwana Dziejami, druga — Ewangielją, trzecia — Nauczaniem (*Praedicatio*), czwarta — Apokalipsą, piąta — Sądem (*Judicium*) do pism apokryficznych mają być zaliczone (*De vir. illustr. c. I*).“

Drugi, autor Historji Kościelnej i wielu innych pism religijnych, przyjmujący czynny udział w sporze Nestorjanów i Eutychjanów, twierdzi, że „Nazarejczycy... tak nazywanej Ewangielji według Piotra używali (*Haeret. fab. II, 2*).“

Gdy nakoniec okazała się potrzeba stanowczego zawyrokowania, jakie z pierwotnych utworów chrześcijańskich zgadzają się z wierzeniami, które z biegiem czasu powstały w tymże chrystjanizmie i przez większość wyznawców nowej tej religji za jedynie obowiązujące uznane zostały; gdy na schyłku V stulecia wszystkie utwory, które tylko doszły do owych czasów, zostały podzielone na tak zwane przyjęte, kanoniczne i odrzucone, niekanoniczne, czyli apokryficzne, — Ewangielja Piotra do rzędu tych ostatnich wyrokiem za Gelazego I (492—496) papieża zwołanego do Rzymu konsyljum (494) stanowczo okazała się zaliczoną.

W tym właśnie wyroku należy szukać przyczyny jej zupełnego zniknięcia ze zbiorów pierwotnych utworów chrześcijańskich.

Podaję przekład tej Ewangielji w tej formie i objętości, w jakiej ona przechowała się w rękopisie znalezionym w grobowiskach z pod Akmim.

[1]) Ustęp ten jest wielce ważnym w historji dogmatycznej Chrystjanizmu, stanowi bowiem pierwszą wzmiankę o nauce, czy też, z pewnego punktu widzenia, herezji docetów, docetyzmie. Według nich Jezus, jako syn boży, Bóg, osobiście, nie mógł być zarazem człowiekiem jako wszyscy ludzie, gdyż ciało ludzkie jest przeciwieństwem tego, co nazywamy bóstwem, boskością, Bogiem. Ciało przeto Jezusa było tylko pozornem ciałem, pokrywającem jego boskość, jego bóstwo. Pozorność ciała pociągała za sobą pozorność wszystkich funkcji i przypadłości cielesnych, więc rodzenia się, żywota, męczarni, śmierci. Jezus jako człowiek nie żył, tylko zdawał się żyć, cierpieć i umierać. Idea zaś poświęcenia, którą miał przedstawiać Jezus, wymagała rzeczywistości w cierpieniu i śmierci prawdziwej...

II.

1. Z żydów zaś nikt nie umył rąk, ni Herod, ni ktokolwiek bądź ze sędziów jego, chociaż obmyć ci chcieli. 2. Powstał Piłat; wtedy rozkazuje Herod król wziąć Pana, mówiąc do nich: „co wam rozkazano robić, róbcie z nim“. 3. Przyszedł zatem tam Józef, przyjaciel Piłata i Pana i gdy się dowiedział, że go ukrzyżują, podszedł do Piłata i prosił o ciało Pana dla pogrzebania. 4. I Piłat, posławszy do Heroda, prosił o ciało Pana. 5. I Herod odpowiedział: „Bracie Piłacie, chociażby nikt ciała nie zażądał, mybyśmy je pogrzebali, ponieważ sabbat nastaje; napisano bowiem jest w zakonie, nie godzi się, by słońce zachodziło nad ciałem zabitego w przededniu Azymów, święta ich.“ 6. Ci zaś, kiedy Pana porwali, popychali go, biegnąc i mówili: znaleźliśmy syna Boga, moc jego posiadającego.“ 7. I w szkarłat go przyodziewali i sadzali go na ławie sędziowskiej, mówiąc: „sądź sprawiedliwie, królu izraelski.“ 8. I jeden z nich, przyniósłszy koronę cierniową, włożył na głowę Pana. 9. A inni, stojąc plwali na oblicze jego; jedni za szczękę go chwytali; drudzy trzciną go kłuli; niektórzy go biczowali, mówiąc: „tak my czcimy Syna bożego“. 10. I przyprowadzili dwóch łotrów i ukrzyżowali pośród nich Pana; On zaś milczał, jakoby bólu żadnego nie uczuwał. 11. A gdy krzyż ustawili, na nim napisali: „Oto jest król izraelski.“. 12. A gdy położyli szaty przed nim, podzielili je i losy na nie miotali. 13. Jeden zaś z łotrów tych wymawiał im, mówiąc: „My wskutek złego, któreśmy zrobili, tak cierpiemy; ten zaś, który stał się zbawcą ludzi, cóż złego wam uczynił?“ 14. Ci rozgniewawszy się, rozkazali, żeby mu nie łamano goleni, by w męczarniach zginął.

15. Było południe i ciemności objęły całą Judeę i trwożyli się, a niepokoili, czy słońce już nie zachodzi, a on jeszcze żył; napisane bowiem u nich jest, że się nie godzi, by słońce zachodziło nad ciałem zabitego. 16. I jeden z nich rzekł: „Dajcie mu pić żółci z octem.“ I zmięszawszy, dali mu pić. 17. A więc dokonali wszystkiego i zgromadzili grzechy na głowy własne. 18. Wielu krążyło z pochodniami, sądząc, że noc nadeszła i padali. 19. A Pan zawołał, mówiąc: „siło moja, siło, opuściłaś mię“. A gdy to wyrzekł, skonał. 20. I w tym czasie rozpadła się zasłona świątyni jerozolimskiej na dwie części.

21. Wtedy wyjęli gwoździe z rąk Pana i położyli go na ziemi. 22. I cała ziemia się zatrzęsła i powstał strach wielki. Wtedy słońce pokazało się i dowiedzieli się, że dziewiąta godzina. 23. Obradowali się więc żydzi i oddali Józefowi ciało jego, by je pochował, widział on bowiem wszystko dobre, co był (Pan) uczynił. Kiedy zaś Pana otrzymał, obmył i obwinął (go) w płótno cienkie i zaniósł do grobu własnego, nazwanego ogrodem Józefa. 25. Wtedy żydzi i starsi i kapłani, zobaczywszy, ile złego sobie narobili, płakać poczęli i mówić: „Biada grzechom naszym! Zbliżył się sąd i koniec Jerozolimy.“

26. Ja zaś z towarzyszami moimi smuciliśmy się i, mając zranione dusze, ukrywaliśmy się. Byliśmy bowiem przez nich ścigani jako złoczyńcy, jako zamierzający spalić świątynię. 27. Z przyczyny tego wszystkiego pościliśmy i, bolejąc i płacząc, noc i dzień przesiedliśmy do sabbatu.

28. Kiedy zatem pisarze i Faryzeusze i starsi zgromadzili się i dowiedzieli się, że cały naród szemrze i bije się w piersi, mówiąc: „Ponieważ z przyczyny śmierci jego te wszystkie tak wielkie znaki się stały, patrzcie, jak sprawiedliwym był on.“ 29. Przerazili się starsi i udali się do Piłata, prosząc jego i mówiąc: 30. „Dostarcz nam żołnierzy, byśmy strzegli grobu jego przez dni trzy; by przypadkiem nie przyszli uczniowie jego, nie skradli go, a naród nie sądził, że on z martwych powstał i nam za złe miał.“ 31. Piłat zatem dał im Petronjusza centurjona z żołnierzami, by strzegł grobu. 32. I z nimi poszli starsi i pisarze do grobu. I kamień wielki, który tam się znajdował, z centurjonem i żołnierzami wszyscy razem przytoczywszy, przyłożyli do wejścia do grobu i siedem pieczęci nań nałożyli. 33. I namiot sobie rozbiwszy, grobu strzegli. 34. Nazajutrz zaś, gdy dzień sabbatu się rozwidnił, przybyły tłumy z Jerozolimy i sąsiednich okolic, by opatrzeć grób opieczętowany.

35. Nocy zatem następnej, kiedy rozwidnił się dzień niedzielny i dwaj żołnierze stali na warcie, wielki głos rozległ się na niebie. 36. I zobaczyli niebiosa otwarte i dwóch mężów z nich wychodzących, którzy wielkim błyszczeli blaskiem i na grobie stanęli. 37. Ten kamień zaś, który do grobu był przyłożony, sam się ruszywszy, odsunął się na stronę i grób pozostał otwartym. I oba młodzieńcy weszli do niego. 38. Skoro więc zobaczyli to ci żołnierze, zbudzili ze snu centurjona i starszych, byli bowiem i ci na straży. 39. I gdy żołnierze opowiadali, co widzieli, znowu widzą z grobu wychodzących trzech mężów, dwóch z nich podtrzymywali jednego, a krzyż podążał za nimi. 40. Głowy dwóch sięgały niebios; głowa zaś tego, który był przez nich prowadzony, przewyższała niebiosa. 41. I usłyszeli głos z nieba mówiący: „Czyście przemówili do tych, którzy zasypiali“. 42. I usłyszano potwierdzenie od krzyża: „tak“. 43. Złożyli więc radę między sobą, czy iść i donieść o tem Piłatowi. 44. Gdy ci rozważali to jeszcze, niebiosa otwarte znowu się pokazały i człowiek jakiś zstępujący i do grobu wchodzący. 45. Gdy to zobaczyli, centurjon i ci, którzy z nim nocą byli, pospieszyli do Piłata, opuściwszy grób, który strzegli. I opowiedzieli wszystko, co widzieli, wielce tem strwożeni, mówiąc: „Zaiste, synem był Boga.“ 46. Odpowiadając Piłat, rzekł: „jestem czysty od krwi syna Boga; wam to się wydawało dobrem.“ 47. Następnie wszyscy przystępując do niego prosili go i upraszali, żeby przykazał centurjonowi i żołnierzom, by ci pod żadnym pozorem nie opowiadali tego, co widzieli. 48. „Ważnem jest dla nas, mówili, za największe przestępstwo być odpowiedzialnymi tylko przed Bogiem, lecz by nie wpaść w ręce ludu żydowskiego i zostać ukamienowanymi.“ 49. Przykazał przeto Piłat centurjonowi i żołnierzom, by nic nie mówili.

50. Na rozświcie zatem dnia niedzielnego Marja Magdalena, uczenica Pana (która z bojaźni żydów, ponieważ ci gniewem pałali, poprzednio nie zrobiła była nad grobem Pana tego, co robić zwykły kobiety ku uczczeniu zmarłych i tych, których kochają), 51. wziąwszy z sobą przyjaciółkę, przyszła do grobu, gdzie był złożony. 52. I bały się, żeby ich nie zobaczyli żydzi i mówiły: „Ponieważ tego dnia, w którym ukrzyżowanym został, płakać i na-

rzekać nie mogłyśmy, teraz przeto przy grobie jego to zróbmy. 53. Lecz kto odważy nam kamień przy wejściu do grobu położony, żebyśmy, wszedłszy, przy nim usiadły i, co się należy, dokonały? 54. Wielki bowiem był kamień a my obawiamy się, by kto nas nie zobaczył. Jeslibyśmy nie mogły (odważyć kamienia) przy wejściu przynajmniej złożymy, cośmy przyniosły na pamiątkę jemu, będziemy płakać i narzekać, pokąd nie powrócimy do domu naszego." 55. Lecz gdy nadeszły, znalazły grób otwarty; gdy zatem, przystąpiwszy i nachyliwszy się, wewnątrz popatrzyły, widzą tam młodzieńca jakiegoś siedzącego po środku grobu, pięknego i w błyszczące szaty odzianego, który rzekł do nich: 56 „Poco przyszłyście? Kogo szukacie? Czy nie ukrzyżowanego tego? Powstał on i odszedł. Jeśli zaś nie wierzycie, przypatrzcie się i zobaczycie, że go w miejscu gdzie leżał, niema już. Zmartwychwstał bowiem i odszedł tam, skąd był zesłany." 57. Wtedy kobiety, przeląkszy się, uciekły.

58. Był już dzień ostatni Azymów i wielu odeszło po skończeniu święta, powracając do domów swoich. 59. My zaś, dwunastu uczniów Pana, płakaliśmy i smuciliśmy się i każdy zasmucony tem, co się stało, odszedł do domu swojego. 60. Ja zaś, Symon, Piotr i Andrzej, brat mój, kiedyśmy zabrali sieci nasze, odeszliśmy do morza; i był z nami Lewi Alfeuszów, którego Pan...

III.

Rozwój mytów i legiend religijnych, powstałych na podstawie danego faktu historycznego, podlega pewnym prawom stałym. W miarę bowiem oddalenia się od miejsca i czasu danego wydarzenia, to jest, wysuwania się obrazu z ram gieograficznych i chronologicznych, sam obraz bogaci się w szczegóły, urozmaica się dodatkowymi epizodami, a traci na ścisłości, jasności i jedności zasadniczej akcji. To właśnie narastanie z jednej strony szczegółów, z drugiej zaś gmatwanie się i zacieranie głównej akcji, pozwala określić stosunek chronologiczny, a nawet gieograficzny, jednego opowiadania do drugiego. Określenie zaś stosunku opowiadań do siebie daje możność wyśledzenia w mycie i legiendzie głównych zwrotów, powstałych z wyrabiania się w następujących po sobie pokoleniach coraz to nowszych pojęć o samym fakcie historycznym, co właściwie stanowi istotę mytu każdego i legiendy.

Jeśli, opierając się na tych uwagach, zechcemy oznaczyć miejsce, jakie Ewangielja Piotra zajmuje w rozwoju legiend chrześcijańskich, powstałych na podstawie znanego faktu historycznego: osądzenia i skazania na śmierć Jezusa w Jerozolimie przez żydów; wypada nam porównać wszystkie szczegóły znanego procesu i jego bezpośrednie następstwa, znajdowane w tej Ewangielji, z odpowiednimi szczegółami, znajdowanymi w innych, a mianowicie owych czterech, które służą za główne źródło naszych o tych wypadkach wiadomości.

Zacznijmy od początku naszego urywku. „Z żydów zaś nikt nie umył rąk, ni Herod, ni ktokolwiek ze sędziów jego, chociaż obmyć ci chcieli (1)." U jednego tylko Mateusza znajdujemy wiadomość następną, do której ten ustęp się stosuje: „Rzekł im Piłat: cóż tedy uczynię z Jezusem... Rzekli mu

wszyscy: niech będzie ukrzyżowany... A widząc Piłat, iż to nic nie pomagało, ale owszem, większy się rozruch wszczynał, wziąwszy wodę, umył ręce przed ludem, mówiąc: Nie jestem ja winien krwi tego sprawiedliwego...“ (Mat. XXVII, 22—24). Co u Mateusza wygląda już na przyrost, na szczegół w czasach późniejszych wtrącony, a więc niby drugorzędowy, u Piotra staje się trzeciorzędowym, wskutek zaznaczenia, że nikt z żydów rąk nie umył.

Dalej czytamy: „...Wtedy rozkazuje Herod król wziąć Pana, mówiąc... (2).“ Wzmiankowany tu Herod, syn Heroda Wielkiego, noszący drugie imię Antipas, żadnej nie gra roli w procesie Jezusa według kanonicznych Ewangielji. Jeden tylko Łukasz wzmiankę o nim czyni następną: „A gdy Piłat się dowiedział, iż był z państwa Herodowego, odesłał go do Heroda, który też w Jeruzalemie był w one dni. A Herod ujrzawszy Jezusa, uradował się bardzo, bo go zdawna pragnął widzieć, dlatego, iż wiele o nim słyszał i spodziewał się, iż miał ujrzeć jaki cud od niego uczyniony. I pytał go wielą słów; ale mu on nic nie odpowiadał. A przedniejsi kapłani i nauczeni w piśmie stali, potężnie skarżąc nań. Ale wzgardziwszy nim Herod z żołnierstwem swem i naśmiawszy się z niego, oblekł go w szatę białą i odesłał go zaś do Piłata (XXIII, 7—11).“ Tymczasem w naszym urywku Herod w procesie Jezusa staje się osobą główną; on to a nie Piłat wydaje wyrok na niego, on przemawia w imię judaizmu; członkowie Sanhedrynu są jego sędziami; Piłat do niego odsyła Józefa, gdy ten go prosił o ciało Jezusa. I w tym wypadku powtarza się to samo, co w poprzednim, tylko w większych rozmiarach. Szczegół drugorzędny, przez jednego tylko Łukasza wspomniany, otrzymuje znaczenie faktu głównego, decydującego, niedającego się pominąć. W jakim stosunku urywek Ewangielji Piotra stanął w poprzednim razie do Ewangielji Mateusza, w takim obecnie staje do Ewangielji Łukasza.

O Józefie w Marku czytamy: „A gdy już był wieczór, ponieważ był dzień przygotowania, który jest przed Sabbatem, przyszedłszy Józef z Arymatji, poczesny radny pan *(nobilis decurio)*, który też sam oczekiwał królestwa bożego, śmiele wszedł do Piłata i prosił o ciało Jezusowe (XV, 42, 43).“ O stosunku osobistym Józefa do Jezusa nic nie powiedziano. Łączyło ich obu oczekiwanie królestwa bożego. U Łukasza Józef jeszcze bardziej wyosabnia się z ogółu żydów, gdyż czytamy: „A oto mąż, imieniem Józef, który był senatorem, mąż dobry i sprawiedliwy, który był nie zezwolił na radę i uczynek ich (żydów), który też oczekiwał królestwa bożego, ten przyszedłszy do Piłata prosił o ciało Jezusowe (XXIII, 50—52).“ Ale jeszcze się do Jezusa nie zbliża. U Mateusza legienda robi krok dalej. „A gdy był wieczór, przyszedł człowiek bogaty z Arymatji, imieniem Józef, który też był uczniem Jezusowym. Ten przyszedłszy do Piłata, prosił o ciało Jezusowe... (XXVII, 57, 58).“ To samo u Jana, aczkolwiek mniej śmiało: „A potem prosił Piłata Józef z Arymatji, który był uczniem Jezusowym ale tajemnym dla bojaźni żydów, aby zdjął ciało Jezusowe.. (XIX, 38).“ U Piotra ów Józef jest już przyjacielem Piłata i Jezusa.

Przypatrzmy się teraz scenie i sposobowi naigrywania się z Jezusa w każdej z Ewangielji. U Marka dwie sceny, jedna odgrywa się przed Sanhedrynem, druga przed Piłatem. Pierwsza: „I poczęli niektórzy (z ludu) nań plwać i zakrywać oblicze jego i bić weń pięściami i mówić mu: prorokuj! A słudzy policzkowali go (XIV, 65).“ Druga: Żołnierze wprowadzili go do dworu, t. j. do ratusza i zwołali wszystkiej roty. A oblekłszy go w szkarłat i uplotłszy koronę z ciernia, włożyli nań i poczęli go pozdrawiać, mówiąc: bądź pozdrowiony, królu żydowski! I bili głowę jego trzciną i plwali nań, a upadając na kolana, kłaniali mu się, a gdy się z niego naśmiali, zewlekli go z szkarłatu i oblekli go w szaty jego własne i wiedli go, aby go ukrzyżowali... (XV, 16—20).“ U Mateusza także dwie. Pierwsza przed Sanhedrynem: „Tedy plwali (lud) na oblicze jego i pięściami go bili, a drudzy go policzkowali, mówiąc: prorokuj nam Chrystusie! Kto jest ten, co cię uderzył (XXVI, 67, 68).“ Druga, przed Piłatem: „Tedy żołnierze starościny, przywiódłszy Jezusa na ratusz, zebrali do niego wszystką rotę. A zewlekłszy go, przyodziali go płaszczem szkarłatowym. I uplotłszy koronę z ciernia, włożyli na głowę jego i dali trzcinę w prawą rękę jego, a upadając przed nim na kolana, naśmiewali się z niego, mówiąc: bądź pozdrowiony, królu żydowski! A plując nań, wzięli onę trzcinę i bili go w głowę jego. A gdy się z niego naśmiali, zewlekli go z onego płaszcza i oblekli go w szatę jego i wiedli go, aby był ukrzyżowany... (XXVII, 27—30).“ U Łukasza jedna tylko scena naigrawania się, odgrywająca się przed Sanhedrynem: „Lecz mężowie, którzy wespół trzymali Jezusa, naśmiewali się z niego, bijąc go; a zakrywszy go, bili twarz jego i pytali go, mówiąc: prorokuj, kto jest, co cię uderzył. I wiele innych rzeczy bluźniąc mówili przeciwko niemu (XXII, 63—65).“ Scena przed Piłatem pominięta całkowicie. U Jana nakoniec, również jak u Łukasza, także jedna, tylko już przed Piłatem. „A żołnierze uplotłszy koronę z ciernia, włożyli na głowę jego i płaszczem szarłatowym przyodziali go, a mówili: bądź pozdrowiony królu żydowski, i dawali mu policzki... (XIX, 2—3).“ Przed Sanhedrynem pominięta.

I tak. W dwóch Ewangieljach, u Marka i Mateusza, które dwie podają sceny naigrawania się, odbywające się przed Sanhedrynem i przed Piłatem; w pierwszej scenie, przed Sanhedrynem, występuje lud, pospólstwo, słudzy, więc sami żydzi; w drugiej, przed Piłatem, żołnierze rzymscy. Pierwsi wołają: prorokuj... i drudzy — bądź pozdrowiony, królu żydowski. U Łukasza druga scena, przed Piłatem, pominięta; lecz za to pierwsza, przed Sanhedrynem zgadza się w szczegółach i ogólnym charakterze z podaną u Marka i u Mateusza; występują żydzi i wołają prorokuj. U Jana pierwsza pominięta; lecz za to druga zgadza się z podaną u Marka i Mateusza sceną drugą przed Piłatem; występują żołnierze i wołają: bądź pozdrowiony, królu żydowski.

W urywku Ewangielji Piotra scena naigrywania się tylko jedna, przed Piłatem i to nie dlatego tylko, że urywek ten rozpoczyna się od chwili stawienia Jezusa przed Piłatem, więc, że druga, a właściwie poprzednia przed Sanhedrynem, a więc pierwsza, mogła pozostać w niedoszłej części rękopisu,

lecz, że z toku opowiadania i charakteru samego sceny przed Piłatem wypływa, że tylko jedna być mogła. Według poprzednich źródeł przed Sanhedrynem naigrawają się z Jezusa żydzi, przed Piłatem — żołnierze. U Piotra przed Piłatem, a właściwie po otrzymaniu rozkazu Heroda, skierowanego do żydów a brzmiącego tak: co wam rozkazano robić, róbcie z nim (2)". „Ci" to jest żydzi, występują w roli żołnierzy i „kiedy Pana porwali, popychali go, biegnąc i mówili: znaleźliśmy Syna Boga, moc jego posiadającego. I w szkarłat go przyodziewali i sadzali go na ławie sędziowskiej, mówiąc: sądź sprawiedliwie, królu izraelski. I jeden z nich, przyniósłszy koronę cierniową, włożył na głowę Pana. A inni, stojąc, plwali na oblicze jego; jedni za szczękę go chwytali, drudzy trzciną go kłuli, niektórzy go biczowali, mówiąc: tak my czcimy syna bożego (6—9)." Ponieważ żołnierze zastąpić żydów w naigrawaniu się przed Sanhedrynem nie mogli, gdyż ich tam nie było, a żeby aż dwa razy naigrywali się sami żydzi, przed Sanhedrynem i Piłatem też nie było podstawy, więc według Piotra jedna scena naigrawania się tylko być mogła i ta się odbyła przed Piłatem, a dokonali jej żydzi.

Jeżeli na zlanie w jedną scenę u Piotra dwóch scen naigrywania się według innych Ewangielji wpłynęła doktryna (do czego powrócę niżej), charakterystycznem w każdym razie w tem nawet skróceniu pozostaje działanie rozwoju legiendy, uwydatniające się w różnych narostach. Żydzi, według czterech tamtych Ewangielji, wołają do Jezusa w naigrawaniu się z niego: prorokuj! Żołnierze wołają do niego: królu żydowski. U Piotra żydzi trojakie wznoszą okrzyki. Okrzyk żydów: Prorokuj, z tamtych Ewangielji, łączą z okrzykiem żołnierzy: królu żydowski, i wołają: sądź sprawiedliwie, królu izraelski, gdy go, także nowy szczegół, na ławie posadzili sędziowskiej. A nadto naigrywają się po dwakroć z Jezusa, jako syna bożego. Inne szczegóły opowiadania, jakoto, odzianie w szkarłat, włożenie korony cierniowej na głowę, biczowanie i kłócie trzciną wskazują, że pomimo zmian wprowadzonych do Ewangielji Piotra wskutek doktryny i przyrostu legiendowego, ta Ewangielja główne zarysy sceny naigrywania się poczerpnęła z tego źródła, z którego poczerpnęły i cztery inne, z któremiśmy ją porównywali.

Po scenie naigrawania się u Piotra następuje bezpośrednio ukrzyżowanie Jezusa wśród dwóch łotrów. Marek oto jak zwięzłą podaje o tem wiadomość: „Ukrzyżowali też z nim dwu zbójców, jednego po prawicy, a drugiego po lewicy jego... Ci też, co z nim byli ukrzyżowani, urągali mu (XV, 27, 32)." Mateusz (XXVII, 38, 44) i Jan (XIX, 18) to samo i prawie w tych samych słowach powtarzają. U Łukasza już jest widoczny pewny przyrost legiendowy: „Wiedzeni (wespół z Jezusem) też byli i inni dwaj złoczyńcy, aby wespół z nim straceni byli... A jeden z tych złoczyńców, którzy z nim wisieli, urągał mu, mówiąc: Jeśliżeś ty jest Chrystus, ratujże siebie i nas. A odpowiadając drugi, gromił go, mówiąc: I ty się Boga nie boisz, chociażeś jest w temże skazaniu? A myć zaiste sprawiedliwie, bo godną zapłatę za uczynki nasze bierzemy; ale ten nic złego nie uczynił. I rzekł do Jezusa: Panie, pomnij na mnie, gdy

przyjdziesz do królestwa twego. A Jezus mu rzekł: Zaprawdę powiadam tobie, dziś zemną będziesz w raju (XVIII, 32, 39—43).“ U Piotra świadectwo jednego z łotrów już nie do drugiego lub Jezusa jest zwrócone, lecz do zgromadzonego narodu, gdy wyrzekł: „My wskutek złego, któreśmy zrobili tak cierpiemy; ten zaś, który stał się zbawcą ludzi, cóż złego wam uczynił.“ Za co poniósł karę od tychże żydów (v. s. 13, 14), gdyż „ci, rozgniewawszy się, rozkazali, żeby mu nie łamano goleni, by w męczarniach zginął.“ Opisując zaś w taki sposób karę tą autor jak gdyby napomykał, że łamanie goleni i do Jezusa było zastosowane. Czego znowu w innych trzech nie znajdujemy Ewangieljach, a u Jana nadto zaprzeczenie formalne w tych słowach: „Przyszli tedy żołnierze, a pierwszemu wprawdzie złamali golenie i drugiemu, który z nim był ukrzyżowany, ale do Jezusa przyszedłszy, gdy ujrzeli, że już umarł, nie łamali goleni jego (XIV, 32, 33).“

Porównamy teraz sceny podawania napoju Jezusowi i następienie po jego śmierci zjawisk wszelakich. U Mateusza znajdujemy: „A przyszedłszy na miejsce rzeczone Golgota... dali mu pić ocet z żółcią zmięszany, a skosztowawszy, nie chciał pić...“ I następnie: „Bieżawszy jeden z nich (ze stojących pod krzyżem), wziął gąbkę i napełnił ją octem, a włożywszy na trzcinę, dał mu pić... (XXVII, 34, 48).“ Podawanie picia powtarzało się dwa razy. U Marka: „I przywiedli go na miejsce Golgota... i dawali mu pić wino z myrrą, ale go on nie przyjął...“ I następnie: „Zatem bieżawszy jeden z nich (ze stojących pod krzyżem), napełnił gąbkę octem, a włożywszy ją na trzcinę dawał mu pić... (XV, 23, 36).“ U Łukasza jedno tylko podawanie: „Naśmiewali się też z niego i żołnierze (gdy został na krzyżu przybity), przystępując i ocet mu podawając... (XXIII, 36).“ U Jana także jedno podawanie i przy zmienionych okolicznościach, sam Jezus zażądał napoju: „Potem widząc sam Jezus, iż się już wszystko wykonało... rzekł: pragnę; a było tam naczynie postawione octu pełne, tedy oni, napełniwszy gąbkę octem, a obłożywszy ją hysopem, podali do ust jego... (XIX, 28, 29).“

U Piotra podobnież jak u Łukasza i Jana jedno tylko podawanie napoju, lecz to podawanie inny zupełnie nosi charakter niż w tych i nawet niż w dwóch poprzednich. U Mateusza i Marka podanie napoju po raz pierwszy, pomijając szczegół tyczący się jego zawartości, wypływa niby ze zwyczaju. Podawanie powtórne we wszystkich czterech wypłynęło z litości nad takim stanem Jezusa, chociaż, jak u Łukasza, połączony ten wyraz litości był z naśmiewaniem się żołnierskiem. U Piotra nie litość skłoniła żydów do podania Jezusowi napoju, lecz jakiś strach, napój zaś nie orzeźwić, lecz raczej miał zgon rychlejszy spowodować, aczkolwiek zawartość jego była ta sama, jaka u Mateusza przy pierwszem podaniu, a mianowicie ocet z żółcią. Inaczej trudno pojąć tego ustępu: „Było południe i ciemności objęły całą Judeę i trwożyli się a niepokoili, czy słońce już nie zachodzi, a on jeszcze żył... I jeden z nich rzekł: dajcie mu pić żółci z octem. I zmięszawszy, dali mu pić... (15—16).“

Zaś co do zjawisk. U Mateusza czytamy: „A od szóstej godziny stała

się ciemność po wszystkiej ziemi, aż do dziewiątej godziny." A gdy Jezus „oddał ducha, a oto zasłona kościelna rozerwała się na dwoje od wierzchu aż do dołu i trzęsła się ziemia, a skały się padały i groby się otwarzały, a wiele ciał świętych, którzy byli zasnęli, powstało, a wyszedłszy z grobów po zmartwychwstaniu jego, weszli do miasta świętego i pokazali się wielom (XXVII, 50—53)." U Marka: „Jezus oddał ducha. I rozerwała się zasłona kościelna na dwoje, od wierzchu, aż do dołu... (XV, 37, 38)." U Łukasza: „A było około szóstej godziny i stała się ciemność po wszystkiej ziemi aż do godziny dziewiątej. I zaćmiło się słońce, a zasłona kościelna rozerwała się w pół. A Jezus... skonał... (XXIII, 44—46)." U Jana wzmianki o żadnych zjawiskach wywołanych śmiercią Jezusa nie znajdujemy. Opowiadanie Piotra zbliża się najwięcej do opowiadania Mateusza. Tak samo zaćmienie słońca poprzedziło skonanie Jezusa; tak samo skonanie wywołało jeszcze inne zjawiska. To właśnie zaćmienie słońca, nastąpiwszy w południe (czyli o szóstej) zatrwożyło żydów, gdyż sądzili, że to już zachód, a było ono tak silne, że „wielu krążyło z pochodniami, sądząc, że noc nadeszła, i padali (18)." Jednakże zjawiska wywołane skonem Jezusu były skromniejsze według Piotra, od przytoczonych u Mateusza, gdyż ograniczyły się tylko rozpadnięciem się zasłony świątyni na dwie części i trzęsieniem się ziemi. Trzęsienie zaś to ziemi nastąpiło, gdy ciało Jezusa zdjęte z krzyża na niej położyli. W tym wypadku ślad przyrostu legiendowego pozostał tylko w objaśnieniu potęgi zaćmienia słońca faktem zapalenia pochodni, w podaniu skutków tego zaćmienia w obrazie naiwnej obawy żydów, że już o dwunastej w południe słońce zachodzić poczęło, nakoniec w ukazaniu bezpośredniej przyczyny trzęsienia ziemi.

Okoliczności i miejsce pogrzebania ciała Jezusa tak się przedstawiają: u Mateusza: „Józef wziąwszy ono (Jezusa) ciało, uwinął je w czyste prześcieradło i położył je w nowym grobie swoim, który był w opoce wykował, a przywaliwszy do drzwi grobowych kamień wielki, odszedł (XXVII, 59—60)." U Marka: „Piłat... zawoławszy setnika, pytał go, dawno li umarł (Jezus)? A dowiedziawszy się od setnika, darował ciało Józefowi. A on kupiwszy prześcieradło i wziąwszy go (Jezusa z krzyża), obwinął w prześcieradło i położył w grobie, który był wykowany z opoki i przywalił kamień do drzwi grobowych (XV, 44—46)." U Łukasza: „(Józef) zdjąwszy je (ciało Jezusa z krzyża), obwinął je prześcieradłem a położył je w grobie w opoce wykowanym, w którym jeszcze nikt nigdy nie był położony (XXIII, 53)." U Jana: „Szedł tedy (od Piłata Józef) i zdjął ciało Jezusowe. Przyszedł też i Nikodem (który był przedtem w nocy przyszedł do Jezusa), niosąc zmięszanej myrry i aloes, około sto funtów. Wzięli tedy ciało Jezusowe i uwinęli je w prześcieradła z onemi rzeczami wonnemi, jako jest zwyczaj żydom umarłe chować. A był na onem miejscu, gdzie był ukrzyżowany, ogród, a w ogrodzie grób nowy, w którym jeszcze nikt nie był położony; przetoż tam dla dnia przygotowania żydowskiego iż on grób był blizko, położyli Jezusa (XIX, 38—42)." U Piotra: „(Żydzi) oddali Józefowi ciało jego, by je pochował, widział on bowiem wszystko dobre,

co był Pan uczynił. Kiedy zaś Pana otrzymał, obmył i obwinął go w płótno cienkie i zaniósł do grobu własnego, nazwanego ogrodem Józefa (23, 24). „Przybywa więc nowy szczegół, że miejscowość, w której znajdował się grób, nosiła nazwę ogród Józefa i potwierdzenie wiadomości, znajdującej się u Mateusza, że ów grób był własnością Józefa. Z rozwoju bowiem legiendy wynikało, żeby miejsce pogrzebania ciała było wiadomem, a samo pogrzebanie nie było tylko przygodnem, niby tymczasowem (co ze słów Jana wnosić się daje, że tam, dla dnia przygotowania żydowskiego, iż on grób był blizko, położyli Jezusa), tylko stanowczem, legalnem, dokonanem przez samego właściciela grobu.

Zjawiska wywołane śmiercią Jezusa na krzyżu wywołały wielkie wrażenie na otaczających. U Mateusza czytamy: „Tedy setnik i ci, co z nim Jezusa strzegli, widząc trzęsienie ziemi i to, co się działo, zlękli się bardzo, mówiąc: Prawdziwieć ten był Synem bożym (XXVII, 54).“ U Marka, ponieważ te zjawiska ograniczają się rozerwaniem się zasłony kościelnej: „Tedy widząc setnik, który stał przeciwko niemu (Jezusowi na krzyżu), iż tak wołając, oddał ducha, rzekł: prawdziwie człowiek ten był synem bożym (XV, 39)“. Więc nie zjawiska, lecz wołanie Jezusa na krzyżu, zmusza go do takiego wyrzeczenia. U Łukasza znowu zjawiska: „A widząc setnik, co się działo, chwalił Boga, mówiąc: Zaprawdę, człowiek ten był sprawiedliwy. Także i wszystek lud, który się był zszedł na to dziwowisko, widząc, co się działo, bijąc się w piersi swoje, wracał się (XXIII, 47—48)“. U Jana, ponieważ niema wzmianki o zjawiskach, niema też i o tem, co one wywołały. U Piotra zato czytamy: „Wtedy żydzi i starsi i kapłani, zobaczywszy, ile złego sobie narobili, płakać poczęli i mówić: biada grzechom naszym! Zbliżył się sąd i koniec Jerozolimy (25).“ Jest to uroczyste zeznanie swego przestępstwa, a więc pośrednie przyznanie słuszności uczniom Jezusa.

Wielce ciekawem jest zakończenie aktu pogrzebania. Znajdujemy je tylko u Mateusza i Piotra. U pierwszego w takiej formie: „A drugiego dnia, który był pierwszy po przygotowaniu, zgromadzili się przedniejsi kapłani i Faryzeuszowie do Piłata, mówiąc: Panie, wspomnieliśmy, iż on zwodziciel powiedział, gdy jeszcze żyw był: po trzech dniach zmartwychwstanę. Rozkaż tedy obwarować grób aż do dnia trzeciego, by snadź przyszedłszy uczniowie jego w nocy, nie ukradli go i nie powiedzieli ludowi, iż powstał od umarłych; i będzie pośledni błąd gorszy niż pierwszy. Rzekł im Piłat: macie straż, idźcież, obwarujcie, jako rozumiecie. A oni poszedłszy, osadzili grób strażą, zapieczętowawszy kamień (XXVII, 62—66).“ U Piotra zaś: „Kiedy zatem pisarze i Faryzeusze i starsi zgromadzili się i dowiedzieli się, że cały naród szemrze i bije się w piersi, mówiąc: ponieważ z przyczyny śmierci jego te wszystkie tak wielkie znaki się stały, patrzcie, jak sprawiedliwym był on; przerazili się starsi i udali się do Piłata, prosząc jego i mówiąc: Dostarcz nam żołnierzy, byśmy strzegli grób jego... Piłat zatem dał im Petronjusza centurjona z żołnierzami, by strzegł grobu. I z nimi poszli starsi i pisarze do grobu. I kamień wielki, który tam się znajdował, z centurjonem i żołnierzami wszyscy razem przytoczywszy, przyłożyli do wejścia do grobu i siedem pieczęci nań nałożyli. I na-

miot sobie rozbiwszy, grobu strzegli (28—34).“ Rozwój legiendy u Piotra znaczny. Znamy już nazwisko centurjona, który dowodził oddziałem wojska. Wytłómaczono zagadkowe wyrażenie Mateusza: zapieczętowawszy kamień. Zwrócono uwagę na wielkość i ciężar bryły kamiennej, skoro wszyscy obecni musieli wziąć się do roboty, by ten kamień poruszyć z miejsca i do otworu grobowego go przytoczyć. Policzono ilość pieczęci. Nakoniec — rozbito namiot przy grobie, by wciąż i w znacznej ilości czuwać nad grobem. A z toku dalszego opowiadania wnosić należy, że nietylko sami żołnierze strzegli grobu, lecz w tem dopomagali im i żydzi. Te wszystkie szczegóły są wprowadzone w celu spotęgowania cudowności zmartwychwstania Jezusa. Jednakże, chociaż część druga naszego urywku, zawierająca opowiadanie o zmartwychwstaniu, już z natury samego przedmiotu opowiadania, dostarczyć by mogła więcej dowodów poszukiwanego legiendowego przyrostu, by nie przedłużać jeszcze dalej i tak już długiego porównywania, zatrzymuję się na tem miejscu.

Lecz przyrost legiendowy wyraża zawsze rozwój pewnych pojęć, dowodzi powstawania nowej doktryny, wykazuje wyrabianie się nieznanego dogmatu. Cóż więc ukrywa pod swym przyrostem legiendowym urywek Ewangielji według Piotra? Jaką doktrynę wypowiada? Jaki dogmat wygłasza?

Najpierwej uderza w tym urywku znaczne, w porównaniu z czterema innemi Ewangieljami, wzmożenie się antysemityzmu.

Chrystjanizm powstał w chwili wyosobnienia się pierwszych chrześcjan wśród żydów, a wzrastał on w miarę odrywania się od swego pnia pierwotnego, judaizmu. Odrywanie się to od judaizmu samo przez się musiało przybierać nieprzyjazny ku niemu charakter i nakoniec doszło do zupełnej sprzeczności i wzajemnej nienawiści. Wzrastanie antysemityzmu wśród chrześcjan oznacza więc wzrastanie i krzepnięcie samego chrystjanizmu. Z sekty żydowskiej stawał się on tą drogą nową, od judaizmu coraz się bardziej oswabadzającą i oddalającą, religją aryjską.

We wcześniejszym od innych zabytku piśmiennictwa pierwotnego chrystjanizmu, jakim są bezwątpienia „Dzieje Apostolskie“, Piotr tak przemawia do żydów: „Mężowie Izraelscy! słuchajcie słów tych Jezusa, onego Nazareńskiego męża, od Boga wsławionego u was mocami i cudami i znamionami, które czynił Bóg przezeń w pośrodku was, jako i wy sami wiecie. Tego za ułożoną radą i przejrzeniem bożem *(definito consilio et praescientia Dei)* wydanego wziąwszy, a przez ręce niezbożników ukrzyżowawszy, zabiliście... Bracia, wiem, żeście to z niewiadomości uczynili, jako i książęta wasze... (D. A. II, 22—23; III, 17).“ Więc Piotr w tem swojem przemówieniu umieszczonem w czasach blizkich po śmierci Jezusa, chcąc żydów usprawiedliwić i uniewinnić, twierdzi, że żydzi, spełniając nawet postanowienie i przejrzenie Boże, przez ręce bezbożników Jezusa zabili, i że to uczynili z nieświadomości.

Inaczej rzecz już się przedstawia w Ewangielji według Mateusza. Tam Piłat umywa ręce, zrzucając w ten symboliczny sposób odpowiedzialność za smierć Jezusa wyłącznie na żydów. Łukasz i Jan, również w inny sposób wykazując

niewinność Piłata, potęgują winę żydów w tym dramacie. Otóż w tym rozwoju antysemityzmu urywek Ewangielji według Piotra uwydatnia znaczny krok naprzód. Na umycie rąk przez Piłata jeszcze większy wciąż niż u Mateusza położono nacisk. Już nie tłum żydowski z właściwą tłumowi zapalczywoscią i zmiennością występuje przeciw Jezusowi i domaga się jego śmierci, ale Herod, jako przedstawiciel narodu całego. Żydzi sami tylko naigrawają się z Jezusa. Żydzi go ukrzyżowują, napajają octem i żółcią, by przyspieszyć zgon, żydzi ustawiają straż przy grobie i sami pilnują grobu. Władze rzymskie i żołnierze rzymscy są to raczej świadkowie śmierci i zmartwychwstania Jezusa, niż główni działacze, niż sędziowie i wykonawcy wyroku. Co więcej, zgodnie z przewodniczącą myślą autora, znajomość rzeczy żydowskich zaciera się w tym urywku. Wyliczenie dni świątecznych jest nieprawidłowe („był już dzień ostatni azymów i wielu odeszło po skończeniu święta“, werset 58, w dzień zmartwychwstania Jezusa); zasłona się rozpada w świątyni Jerozolimskiej, werset 20, jakby inna jeszcze istnieć mogła świątynia w pojęciu ówczesnych żydów, zwłaszcza, gdy się opisuje wypadki zachodzące w Jerozolimie samej.

We związku ścisłym, i jakby w zależności od wzrastania antysemityzmu w pierwotnym chrystjanizmie, pozostawał rozwój w nim nauki o osobie Jezusa czyli Chrystologji. W zabytkach piśmiennictwa chrystjanizmu pierwotnego rozwój ten uwydatnia się w nazwach dawanych Jezusowi, a następnie w słowach wkładanych w usta Jezusa, gdy przemawiał o żydach i o sobie.

I tak. W Ewangielji według Marka Jezus ciągle jest nazywany własnem swem imieniem, a ci, którzy doń przemawiają, zwią go nauczycielem. „A gdy (Jezus), czytamy w niej nawet, wychodził w drogę, przybieżał jeden, i upadłszy przed nim na kolana, pytał go: Nauczycielu dobry! Cóż czynić mam, abym odziedziczył żywot wieczny? Ale mu Jezus rzekł: przecz mię zowiesz dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko jeden, to jest Bóg (X, 17—18).“ To samo powtarza Mateusz (XIX, 16—17). U Marka tylko raz jeden nazwany jest Jezus Pan? (ὁ κύριος, *dominus*) i to w części nieautentycznej, przy końcu (XVI, 19). U Łukasza Panem jest już Jezus nazwany sześć razy. U Jana dwa razy, a nadto Jezus sam o sobie mówi tam tak: „Wy mnie nazywacie nauczycielem i Panem, a dobrze mówicie; bom ci jest nim. Ponieważ ja tedy umył nogi wasze, Pan i nauczyciel, i wyście powinni jedni drugim nogi umywać (XIII, 13—14)“. W urywku Ewangielji według Piotra Jezus stale jest nazywany Panem lub Synem Bożym, a przytem autor tego urywku wkłada w usta łotra dobrego takie słowa; „ten zaś, który stał się zbawcą ludzi, cóż złego wam uczynił (13).“ W tym duchu zmienia też autor słowa wyrzeczone przez Jezusa na krzyżu. U Mateusza czytamy: „A około dziewiątej godziny zawołał Jezus głosem wielkim, mówiąc: Eli, Eli, Lama sabachtani! to jest: Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił (XXVII, 46).“ To samo u Marka (XV, 34). W urywku zaś wyrazy Boże mój, Boże mój, są zastąpione innemi, „siło moja, siło moja (ἡ δύναμίς μου, ἡ δύναμίς μου; *virtus mea, virtus*

mea — w przekładzie Lodsa v. 19 — opuściłeś mię!“ Jezus, jako syn Boży, nie wzywa już Boga, lecz zwraca się do swej własnej siły, mocy, potęgi.

W rozwoju więc Chrystologji, jak i w rozwoju antysemityzmu, urywek Ewangielji według Piotra zaznacza wielki postęp.

Do jakich więc rezultatów doprowadza nas owe porównywanie tego urywku z odnośnymi rozdziałami w innych Ewangieljach, owo wykazanie w nim znacznego postępu antysemityzmu i Chrystologji?

Chyba do następnych:

Faktów żadnych noszących cechy historyczności urywek Ewangielji według Piotra nie zawiera; przeto zakresu historycznego samego wypadku, znanego z innych czterech Ewangielji, z któremiśmy ten urywek porównywali, nie rozszerza. Wzbogaca za to legiendową stronę opowiadania.

Podawana treść w ogólnych zarysach jest poczerpniętą z ogólnego tła opowiadań ewangielicznych, w których powstały i tamte cztery.

Przyrost legiendowy odbywał się w kierunku, który się uwydatnia głównie w Ewangieljach według Mateusza i według Łukasza, do jednej z których ten urywek się zbliża, ilekroć ten przyrost w nim się wzmaga.

Wzmaganie się przyrostu legiendowego w Ewangielji według Piotra wskazuje, że ta Ewangielja powstać mogła tylko później niż tamte cztery. W skutek czego stanowi ona przejście od tak zwanych Ewangielji k a n o n i c z n y c h do tak zwanych Ewangielji a p o k r y f i c z n y c h, jest ogniwem łączącem jedne z drugiemi.

Jeżeli za czas powstawania Ewangielji tak zwanych k a n o n i c z n y c h przyjmiemy lata 60—120 ery naszej, urywek Ewangielji według Piotra powstać mógł po r. 120 w zakresie lat jakich kilkunastu.

Błędne wyliczenie czasu świąt Azymów i uzupełnienie przymiotnikiem J e r o z o l i m s k a jedynej świątyni żydowskiej wskazuje, że powstała ona w nowem jakiemś ognisku chrystjanizmu pierwotnego, zewnątrz Judei leżącego.

Warszawa. *Ignacy Radliński.*



Kilka słów do gienezy „Rybki“ A. Mickiewicza.

Gienezą ballad A. Mickiewicza niedawno stosunkowo zaczęto się u nas zajmować, — co jest rzeczą poniekąd naturalną. Mickiewicz, robiąc dodatek tu i ówdzie „ze spiewu gminnego“ lub „myśl ze śpiewu litewskiego“ zwracał uwagę krytyki w jakiej stronie trzeba będzie szukać kiedyś początku tej lub owej ballady; łatwiej jednak było uwagę zwrócić, niż zebrać całą pozostałość poezji ludowej, rozejrzeć się w niej i wyszukać źródła twórczości wielkiego poety.

To też dopiero w najnowszych czasach do tej pracy zabrano się, a impuls wyszedł — czego się słusznie spodziewać należało — od etnografów. Jan Karłowicz zebrał w *Wiśle* z roku 1890 motywy ludowe do ballady „Lilje“, Henryk Biegeleisen w artykule »Tło ludowe do ballady A. Mickiewicza p. t. „Ucieczka“« *(Świt*, 1885) zgromadził podania różnych narodów, odnoszące się do porwania dziewczyny przez upiora[1]). Tenże krytyk w wydaniu dzieł Adama Mickiewicza (Lwów, 1893 t. I, str. 45 i nast.) podał bardzo pracowicie zebraną bibljografję do krytyki i motywów ballad, ułatwiając w ten sposób przyszłym badaczom obznajomienie się z literaturą badanego przedmiotu.

„Rybka“ wszakże nie miała szczęścia.

Bardzo ostro i niesłusznie ocenił ją dr. Józef Tretiak, który w pracy swojej, wogóle balladom poświęcił najwięcej miejsca („A. Mickiewicz w Wilnie i Kownie“ t. II. str. 44 i nast.). Dr. Piotr Chmielowski okazał się nietylko sprawiedliwszym, powtarzając treść jej wiernie i prawdziwie, chociaż pod względem wykonania uważał ją za utwór słaby, lecz głębiej wniknął w treść ballady, w jej ducha i tkwiącą w niej ideję postępową. (P. Chmielowski: „Adam Mickiewicz“ Zarys biograficzno-literacki, skreślił... t. I, str. 242).

Gieneza wszakże „Rybki“ jak była tak i pozostała niewyjaśnioną.

Łatwo poradzić sobie, gdy chodzi o zapożyczenie, że tak powiem, literackie, tematu, myśli lub obrazu nawet; ten lub ów pisarz wskazuje drogę

[1]) Do tej samej ballady Stanisław Z. umieścił „Przyczynek“ i t. d. (*Kurjer Lwowski*; dodatek liter. z roku 1896, nr. 3), wskazując miejsca analogiczne w „Ucieczce“ z ustępami piosnek łotewskich.

w nowym kierunku i przykładem swoim pociąga innych za sobą. Za kierunkiem i pisarzem postępując, nietrudno doszukać się wpływu i dotrzeć do źródła. Nie tak gładko wszystko idzie, gdy zachodzi potrzeba doszukiwania się źródeł twórczości w poezji ludowej.

Mickiewicz z tej czystej i obfitej krynicy czerpał niejednokrotnie, nietylko dlatego, że w niej znajdował podnietę swojej twórczości, lecz i dlatego także, że okres pisania ballad przypadł na czas rozbudzenia się zamiłowania do ludoznawstwa, którem bardzo żywo poczęły się interesować oświecone warstwy naszego społeczeństwa.

Mickiewicz lubił świat ludowy i znał go dobrze. Łatwo byłoby dowieść tego nietylko z tematów lub motywów poczerpniętych z poezji ludowej, lecz ze szczegółów i obrazów wziętych, a przeniesionych zarówno do ballad jak i do innych utworów.

Pobyt poety nad Niemnem i w Mińszczyźnie pozwala domyślać się, że tam czerpać musiał motywy ludowe, przedewszystkiem z żywych ust ludu wiejskiego. Zbiorów pieśni, jak dzisiaj, nie było, te zaś, które mogły być dostępne, odnosiły się do Rusi Czerwonej (Ignacy Czerwiński). O Chodakowskim mówiono dużo (1818 r.), lecz o zbiorach jego wiedziano tylko od Lacha Szyrmy, który w liście do redaktora *Dziennika Wileńskiego* wspomniał o tem, dając równocześnie próbki parafrazy dwóch pieśni ludowych *(Dziennik Wileński* 1818, t. I, str. 489, nr. 5, maj, 31 s. s.).

Zatem w okolicach pobytu Mickiewicza w latach dziecinnych i młodzieńczych musimy szukać źródła twórczości ballad. Nie ulega wszakże wątpliwości, że nie wszystkie motywy na miejscu, że tak powiem, odszukać się dadzą; niektóre z nich mogły się zatrzeć w pamięci ludu, lub też nie zostały jeszcze zapisane.

Probę takiego poszukiwania przedsięwziąłem co do „Rybki".

Przypomnijmy sobie przedewszystkiem główne motywy tej ballady.

1. Dziewczyna Krysia, zdradzona przez pana, który ją kochał i obiecał żenić się, wybiega z wioski, narzekając na zdradę kochanka, grozi mu zemstą i topi się, zostawiając dziecko pod lasem.

2. Wesele pana. Sługa słyszy płacz dziecka, bierze je, idzie nad wodę i przywołuje matkę.

3. Zjawienie się Krysi w postaci rybki, karmienie dziecka, przeobrażenie się i odpłynięcie.

4. Pan z panią przychodzą nad brzeg rzeczki, gdzie utopiła się Krysia — i giną bez śladu.

5. Przeobrażenie się pana i pani w głaz. Sługa domyśla się zemsty Świtezianki i odchodzi z dzieckiem.

Ponieważ mam mówić o genezie „Rybki", pozostawię przeto krytykę ballady na stronie, jakoteż drugi motyw — przeobrażenie się pana i pani w głaz.

W jakim języku mógł Mickiewicz słyszeć lub znać piosnkę lub podanie z motywem miłości i przeobrażenia się w rybkę? Albo w litewskim,

albo białoruskim, gdyż, ściśle rzecz biorąc, te tylko języki mogły być ludowymi. Warstwa społeczeństwa, która mówiła i śpiewała po polsku, była nieliczną, do świata ludowego prawie nie należała i znać mogła tylko te piosnki lub podania, które ze sobą przyniosła, lub pośród siebie pielęgnowała.

Nad Niemnem śpiewano piosnkę następującą. Przytaczam ją w przekładzie całkowicie („Pieśni ludu Nadniemeńskiego z okolic Aleksoty". Poznań, 1884, str. 20, nr. IX):

Tam w jodłowym borze
W głębokiem jeziorze
Piękna rybka pływa:
Oj nie rybka, nie rybka w jezioreczku pływa
Lecz oczarowana
Panna nieszczęśliwa.
Oj upleć mi siostro,
Siostro ukochana
Z jedwabiu siateczkę,
Z jedwabiu cienkiego.
Pobiegnę i rybkę
Łowić siatką będę.

Słoneczko wzejdzie, słoneczko się schowa,
Do sianka moja nie przylegnie głowa,
W nocy świecić nie będzie księżyca łuczywo —
Nie wrócę, nie wrócę chyba z rybką żywą.

Płakała siostra, matusia płakała,
Jakby ozimy listek drżąca stała.
Nie słuchał chłopak nikogo,
Do jeziora pobiegł drogą.

Słoneczko wschodzi, słoneczko zachodzi,
Do siostry, do matuli syn jej nie przychodzi.
Oj nie przyjdzie, nie przyjdzie, nikt go już nie zoczy,
Szczupak mu wyżera oczy.

Głównymi motywami tej piosnki są:

1. przeobrażenie się dziewczyny „oczarowanej" i „nieszczęśliwej" w rybkę i
2. zniknięcie bez śladu rozkochanego w niej chłopca, który się udał nad brzeg jeziora (wciągnięcie do wody).

Jeżeli odrzucimy przeobrażenie się pana i pani w głaz, który

...dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał —

oraz dopełnienia poety o ślubie i dziaku, jakoteż obrobienie artystyczne, odnajdziemy te motywy w „Rybce" co i w piosnce nad-niemeńskiej, a nawet niektóre szczegóły. W balladzie Mickiewicza Krysia mówi:

Tutaj drżę cała od chłodu
A ż w i r mnie oczki wyjada —

w piosnce zaś litewskiej obraz silniejszy:

Szczupak mu oczy wyżera.

w „Rybce“

...pan z żoną
Poszli przechadzką nad r z e c z k ę —

w piosnce nadniemenskiej „chłopak“

Do j e z i o r a pobiegł drogą.

Można przeto, sądzę, z pewnem prawdopodobieństwem przypuszczać, że główny motyw do „Rybki“ wziął Mickiewicz z tej właśnie piosnki, szczegółów zaś, dla nadania barwy ludowej służących, mogła mu dostarczyć poezja ludowa białoruska.

Przedewszystkiem uderzają w tej balladzie takie wyrazy jak np. k a m u s z e k, które możnaby bez wielkiego błędu do prowincjonalizmów litewskich zaliczyć. Spotykamy go bardzo często w ludowej poezji białoruskiej:

Szczekitała łastuszka na ziarie
Zapłakała diewoczka na morie,
Na biełom na k a m u s z k u siediuczy
Na bystruju rieczuszku gladiuczi.
. . . . . .
Z nimi menie z k a m u s z k a biełowa.

(Romanow: Sbornik białoruskij, Witebsk 1887 t. 2, str. 16, nr. 30).

Jak u mojho batiuszki sierед dwora
Biełyj k a m u s z e k liežit,
S pod k a m u s z k a bystra rieczka bieżit.[1])

(ibid. str. 132, nr. 80).

Na tem wszakże współudział — jeżeli można tak powiedzieć — poezji ludowej białoruskiej w tworzeniu „Rybki“ nie ograniczył się. Znajdujemy tam obrazy, prawie żywcem do ballady Mickiewicza przeniesione. Przypomnijmy sobie ustęp już po przeobrażeniu się Krysi w Świteziankę czy Syrenę, kiedy —

Płynie pod chrusty nadrzeczne.
I dziecię bierze do ręki
U łona białego tuli —
Luli, woła, mój maleńki,
Luli mój maleńki, luli. —

[1]) Przytoczyłem dwa ustępy z wyrazem „kamuszek“, mając na uwadze rozprawkę dra J. Tretiaka p. t. „O wpływie Mickiewicza na poezję T. Szewczenki“. Kraków 1892. Znalazłszy ten wpływ tam nawet, gdzie go było najmniej, t. j. w balladach Szewczenki, a raczej utworach zaliczonych do ballad, Tretiak między dowodami wpływu Mickiewicza na „Rusałkę“ Puszkina przytacza wyraz k a m u s z e k, używany przez Puszkina, a zapożyczony jakoby od Mickiewicza. Prawda, że wyrazu tego w słowniku Dala niema — nie mogło być nawet, — ale Puszkin, z prowincjonalizmami i odmianami rosyjskiej mowy obznajomiony, mógł słyszeć w używaniu ten wyraz nawet w Petersburgu, gdzie ludność robotnicza dotychczas jeszcze licznie z Białorusi napływa.

jakoteż inny — gdy „wierny sługa“ wychodzi z lasu:

Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie ł o z a gęsto spleciona
Wzdłuż wykręconej zatoki
Okryła rzeki ramiona —

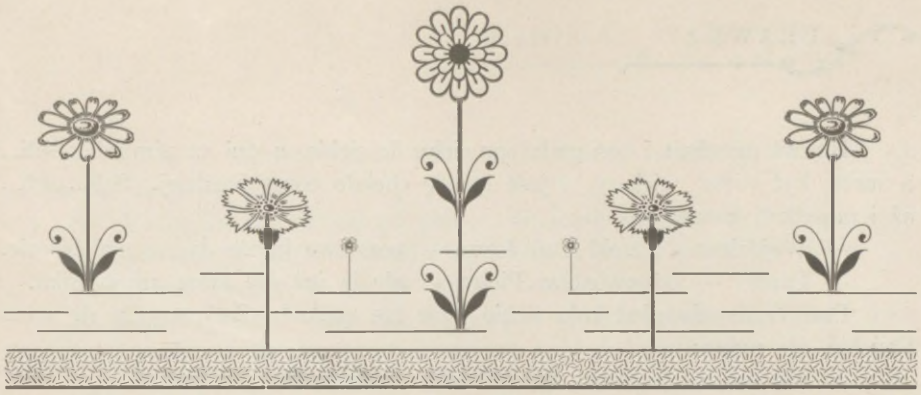
odpowiadają one zupełnie obrazowi poezji ludowej białoruskiej:

Nad r i e c z k o j u w i e r b a w wodu pochyliłaś
Tam sidieła diewka ditio kołychała.
Baj, baj ditiatka,
A gdie twoja matka?

(Romanow l. c., str. 264 nr. 8).

Nie myślę bynajmniej twierdzić, że zarówno uwagi moje jak i zbliżenia rozwiązują zagadkę genezy „Rybki“. Jest to tylko może początek i wskazówka dla innych.

Przemyśl. *Fr. Rawita.*



LEGIENDA WIGILIJNA.

...Szedł Pan Jezus ze św. Piotrem i Judaszem, gdzieś od Ujazda ku Piotrkowu.

Dawno to było, bardzo, bo gdzie teraz sucho — wody były, a gdzie teraz pola — lasy były i takie pustki, że co mila to wieś, a co druga — dwór pański stał.

Pan Jezus całkiem przemarzł, jako że i obleczenie miał mizerne i mróz był siarczysty, bo to było w wigilję Bożego Narodzenia.

Jeść im się chciało, a tu ani chałupy, ani karczmy, ani człowieka nigdzie, tylko bory a pustki. Posiadywali sobie z utrudzenia co staje, ale zaraz szli, bo wilcy i drugi zwierz dziki chodził stadami za nimi i wył, aże skóra cierpła.

Św. Pietrz wyłamał sobie niezgorszy kijaszek, a Judasz wziął kamień w garść, ale Pan Jezus im na to rzekł:

— Nie bójta się ludzie, Ja jestem z wami...

Św. Pietrz i Judasz się nie bali, ale zawżdy co zwierzak zły, to zły, a z kijaszkiem, abo z kamieniem w garści, przezpieczniej i śmielej człowiekowi iść.

Pod wieczór doszli do jakiegoś dworu i myśleli, że się tam ogrzeją i pożywią, ale dwór miały niemcy, które ich wygnały za wrota na bory, na lasy.

Św. Pietrza taka złość ścisnęła, że chciał kijaszkiem choćby ino raz niemca lunąć przez łeb, a Judasz gadał:

— Takim zły, Panie, takim zły, że choćby tę kokoszkę, co siedzi na płocie, wziąć — to wezmę.

Pan Jezus im na to:

— Scierzpcie... Ludzie są ciemne i dlatego głupie i złe. Tylko małpa małpie plecy szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien stawać i pomagać, jeszcze tak będzie na świecie.

Ruszył przodem i coś gadał po cichu do siebie, a oni za nim szli... szli... a mróz był coraz większy, i jeść im się chciało coraz bardziej. Szli... szli... aż i napotkali karczmę.

— Wejdziem — rzekł Pan Jezus — poczciwe ludzie dyć są na świecie.

— Panie! — odpowie św. Pietrz — ale ja już nie mam ani grosika.

Pan Jezus obszukał koło siebie i nic nie znalazł. Zafrasowało się serce Pańskie, ale mówi:

— Nie mam i ja. Może ty, Judaszu, co masz, to pożycz.

— Mam złoty! a miał dwa, ino, że mu było żal pożyczyć.

— Daj! kiedy więcej nie masz i ten złoty.

Pan Jezus przecież wiedział, że on cygani.

Judasz samą koprowiną wysupłał 28 groszy, daje i powiada:

— Podziały mi się gdziesik dwa grosze... bo sobie myślał, że choćby dwa grosze mniej straci.

Pan Jezus pieniądze wziął i zaraz do karczmy weszli.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! Witajcie ludzie, a skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Ze świata, moja pani karczmarko, ze świata. Zziębliśmy, głodniśmy, może nas pani czem pokrzepi, bo ledwo dech się w nas tłucze z utrudzenia.

— Chleba nam pani dajcie — rzecze św. Pietrz.

— Niema.

— No to choćby samego syra, abo kiełbasy...

— Niema, moi ludzie...

— Może pani mają choćby z miseczkę kapusty, abo i kartofli?

— Niema nic, bo przed wami jakieś ludzie byli i zjedli wszystko do ździebka.

— A gorzałkę macie?

— Gorzałka to jest, ale tylko prosta śmierdziucha, bo sprytu i słodkiej zabrakło.

— Może się napijecie? pyta Pan Jezus,

Judasz jeno splunął, a św. Pietrz rzeknie:

— I... półkwaterek jaki by nie zawadził, bo aże mi we wątpiach piszczy i na duszy już mi całkiem ckno.

— Śledzie może są? — powiada Judasz, bo żółtek łasy był na rybki.

— Niema śledziów.

— Cóż ja wam biednym poradzę! — narzeka Pan Jezus.

— Żebyście zapłacili, to znalazłaby się gąska może...

— Zapłacimy rzetelnie — powiada Pan Jezus. — Moiściewy, a to dajcie tę gąskę, zobaczymy i stargujemy.

Karczmarka przyniosła z komory gęś.

Najpierwszy obejrzał Judasz, jako że on przedtem był handlarzem i człowiek był znający — ale tylko gąskę zważył w ręku, dmuchnął jej w piórka pod brzuch i powiada:

— Chuda!... całkiem chuda. niby wiór. Mnie jednemu by starczyła, ale na trzech, na jeden ząb.

Św. Pietrz ino się drapał po głowie, bo jemu samemu by nie starczyło.

— Upieczcie ją pani — kazał Pan Jezus, a potem mówi do nich:

— Prawda Pietrze, że na nas trzech zamało?

— Zamało, Panie, żeby tak do niej z grzeczną miseczkę, abo i dwie kapusty, z bochenek chleba, toby na okrasę było dość, ale tak...

Pan Jezus pomyślał i rzekł.

— Zrobimy tak: teraz pójdziemy spać, to się głód trochę oszuka, a przez ten czas gąska się upiecze, a jak wstaniemy, to ją zje ten, któremu się będzie śniło najlepiej.

Pokładli się zaraz na przypiecku i posnęli.

W jaką godzinę czy dwie Pan Jezus przecknął.

— Wstawajcie!... a co ci się śniło, Pietrze?

— Śniło mi się, Panie, jakobym był twoim włodarzem, że i klucze miałem od gumien i łaskę, i chałupę swoją miałem, i żem ci, Panie, służył wiernie.

— Dobrze, dobrze, będziesz, parobku kochany, włodarzem moim — rzeknie Pan Jezus i ścisnął świętemi rączkami Pietrzową głowę. — A mnie się śniło, że byłem już w niebie, bo na świecie nie było już ani złych, ani ciemnych, ani biedaków; bo już wszystkie chłopy miały grunty, i wszystkim ludziom było docna dobrze.

— Twoja gęś, Panie, bo ci się śniło lepiej — odpowie św. Pietrz, i chociaż go mroczyło z głodu, markotności nie miał w sobie.

— A tobie, Judaszu, co się śniło? — zacznie Pan Jezus słodziutko, pozierając na żółtka, co się zwlókł dopiero z przypiecka, a oczy tarł, a poziewał.

— Mnie się, Panie, śniło .. że wstałem we śpiku i gąskę zjadłem... — odpowie cicho i ślepiami wierci podłogę.

— Juści... niezgorzej ci śniło, niezgorzej... Gospodyni, a dajcie nam tę gąskę.

Karczmarka przyszła i powiada, że ten żółtek gąskę zjadł, że nawet kosteczków dla psa nie zostało.

Pan Jezus spojrzał miękko na Judasza i powiada:

— Śniło ci się, żeś zjadł gąskę — Judaszu? całkiem dobrze ci się śniło...

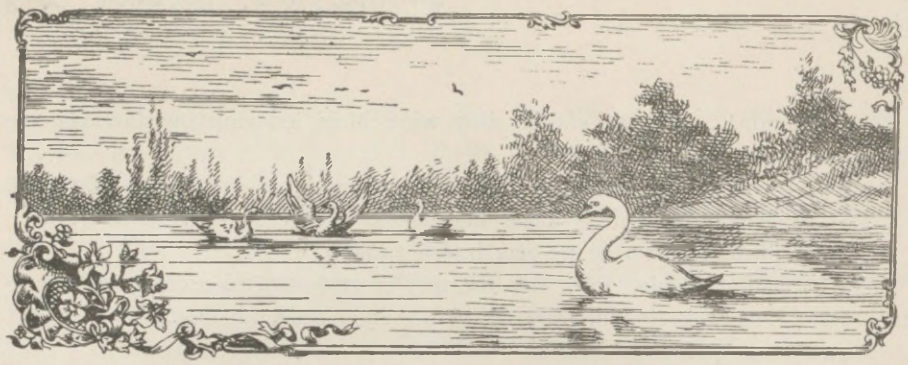
— Śniło mi się, Panie — odrzeknie cicho, — a nie patrzy, tylko skubie tę swoją żółtą brodę.

— Śniło ci się.. to już sobie tu zostań, Judaszu... Śniło ci się to, niechże ci się przyśni jeszcze, żeś zjadł gąskę i z kapustą i w kompanji, a my pójdziem, Pietrze, poszukamy takich, co nam nam jeść dadzą i nie ocyganią.

I poszli we dwóch.

I dlatego to teraz naród polski wigilje bardzo obserwuje, a żydy i jensze heretyki — nie.

Warszawa. *Władysław St. Reymont.*



Na sądzie.

. . . . . „O, Panie!
Jakiemże prawem oni tu przedemną?
Znasz moje życie; wiesz: nie upadł na nie
Z grzechów ni błędów żaden plamą ciemną.
Święte mi było każde przykazanie —
I nawet nie wiem, co znaczy w oporze
Przeciwko woli Twej broń podnieść, Boże!

Ilekroć zwodne błysły skąd ogniki,
Wzrok odwracałem; gdy pieśnią ponęty
Szatan wywołać chciał zmysłów bunt dziki,
Wstęp do mej duszy spotykał zamknięty;
Gdy groźby miotał, bym jak liść osiki
Drżał z trwogi przed nim, ja w każdej potrzebie
Jako bluszcz żerdzi, imałem się Ciebie.

Anim nie zginął na drzewie żywota
Odroślą martwą albo pasożytem;
Sto rąk, sto oczu miała moja cnota;
Przed nędzą mienie me nie było skrytem
I nie zamknięte były serca wrota.
Ilem ja razy winy zgładził cudze;
Ile otarłem łez ku swej zasłudze!

A jednak teraz... Skąd, o Panie, powiedz,
Gdy liczbę z życia skończonego dałem,

Widzę przed sobą innych, — co manowiec
Nie jeden przeszli i albo z zapałem
Tobie wypowiadali bój, lub nakształt owiec,
Gdy je wilk nagle po runie zaskubie,
Strwożeni, biegli oślep wprost ku zgubie!?

Ile upadków przebywali oni,
Ile zwątpienia i rozpaczy ile
Tych chwiejnych w życiu chwytało się dłoni,
A przecie teraz witasz ich tak mile.
Cóż one cienie od Twej zemsty broni
I w czem ich wyższość nademną, co w bieli
Niepokalanej wracam tu?“

— „Cierpieli!“

Lwów. *Stanisław Rossowski.*



ŻYCIE I SEN.

Poeta Leon przeżył zły dzień. Zrana obudził go szewc z rachunkiem za buty, dostarczone przed kwartałem, znoszone już prawie, a dotąd niezapłacone.

Około południa przyniesiono mu świeży zeszyt *Wzlotu*, „czasopisma poświęconego literaturze, nauce i sprawom społecznym“, w którym Hilary, poeta i krytyk, obszedł się z tomikiem jego poezji bez miłosierdzia, odsądzając je od wszelkiej wartości. Objad, który zjadł o drugiej pod „Złotą papugą“ nie nasycił go wcale. Co gorsza, pozostawił po sobie niesmak. Leon nie wiedział czy niesmak ten przypisywać margarynie objadu, czy złośliwej prozie krytycznego artykułu Hilarego? Zdawało mu się niegdyś, że jest dobrze opancerzony na wszelkie przykrości literackiego zawodu, tymczasem ta recenzja dotknęła go boleśnie.

Wtem przypomniał sobie, że o czwartej miał dostać zaliczkę od Feuerkinda, księgarza-wydawcy. Popędził więc w stronę ulicy Smoczej. Wpadł do księgarni zabłocony, zdyszany, o kwadrans na piątą. Feuerkind przyjął go chłodno.

— Czytał pan dzisiejszy *Wzlot?*

— Czytałem... Albo co?

— Tam pańskie poezje bardzo nie chwalą.

— Zawiść współzawodnika... — wyszeptał Leon, przypomnieniem recenzji niemile dotknięty.

— Niech będzie i zawiść!... Ale pan wie, że niechwalone książki w handlu nie idą. Pies się o nie nie spyta. Co ja wydrukuję i wydam, musi mieć markę krytyczną.

„Marka krytyczna“ była ulubionem wyrażeniem wydawcy z ulicy Smoczej. Kto ją posiadł, temu kłaniał się uprzejmie. Tymi, co jej nie zdobyli, albo utracili zdobytą, pomiatał.

— Przepraszam pana bardzo — ciągnął dalej, siląc się na grzeczność, przez którą, jak widły przez pęk źle uchwyconego z pokosu siana, wyglądało lekceważenie — ale ja już zaliczki dać nie mogę.

Leon zbladł.

— Pan... przyrzekłeś — wyjąknął.

— W innej chwili dałem obietnicę, a w innej ją cofam. Mnie marka krytyczna potrzebna. Niech się pan o nią postara... przepraszam, ale słyszę, że mnie wołają...

Kiwnął głową i zniknął w drzwiach, wiodących w głąb ciemnych składów, gdzie na półkach sosnowych, w ścieśnionych rzędach, mieściły się liczne jego wydawnictwa.

Leon wyszedł na ulicę.

Stanął i mimowoli wzrok spuścił ku ziemi, bo zdawało mu się, że płyty chodnika chwieją się pod jego stopami. Ba, skaranie!... Jeden z butów, na prawej nodze, rozwartą raną — jakby białkiem oka bez źrenicy — szyderczo nań patrzył. Widocznie, pędząc szybko i nieuważnie, rozedrzeć go musiał o kamień ostry, pogrążony w kałuży, a głębokich wyboi z błotem w tej dzielnicy miasta nie brakło. Niemy ale wymowny wyrzut niezapłaconego obuwia wzruszył go... i przypomniał recenzję. W głowie mu się zakręciło, serce ścisnęło, w uszach zaszumiało, nagłe i gwałtowne westchnienie wybiegło z piersi. Oparł się o mur kamienicy. Chwilę rozważał nad doznanemi wrażeniami... Potem poszedł dalej.

Ściemniać się zaczynało.

Na plantacjach już był panem siebie. Wydobył portmonetkę z kieszeni, nacisnął sprężynę, zajrzał do wnętrza. Przy paru rudych centach świeciły na dnie dwie szóstki o ołowianej cerze.

— Ha! cóż robić?! — pomyślał — Niesmak spędzić trzeba... Pójdę na kawę.

Skierował kroki ku cukierni, która daszkiem płóciennym wysuwała się w stronę drzew, przykrywając nim kilkanaście marmurowych stolików, kilkadziesiąt krzeseł żelaznych i kilka drewnianych doniczek ze smutnemi, pyłem obsypanemi oleandrami, fikusem wyginającym się ku światłu i feniksem o lekkich gałązkach, najeżonych listkami wązkiemi i ostremi jak lancety.

Siedzieli tam towarzysze: dziennikarze, publicyści, literaci, poeci, powieściopisarze, autorowie dramatyczni, fejletoniści, a otaczała ich gromadka zwykłych śmiertelników-admiratorów i przyjaciół. Jak księżyce krążyli oni tu przy słońcach, aby następnie odbitemi promieniami świecić wśród szarego tłumu. W kółku ostatnich miał Leon wielu wielbicieli. Wczoraj jeszcze, gdy się w cukierni zjawił, witali go życzliwie, żwawo z miejsc powstawali, aby się doń zbliżyć, rękę mu uścisnąć, usiąść przy wybranym przez niego stoliku. Dziś żaden się nie ruszył. Kiedy wszedł, pochylili głowy z przyzwyczajenia, ale pozostali przy Hilarym, zwróceni ku niemu blademi twarzami księżyców, jakby duszą całą zawieszeni na jego poruszających się wargach. Między nimi, na białym marmurze — w pośród szklanek, filiżanek i kieliszków pełnych i na wpół wypróżnionych — leżał ostatni zeszyt *Wzlotu*.

— Ten Hilary... — myślał Leon, kryjąc nogę z rozdartym butem pod stołem — nikt go nigdy nie zgani. Należy do stronnictwa, które swoich chwali zawsze. On im dworuje, oni jemu. Ja dworować nie umiem...

Mrok zapadać zaczął.

Leon wypił kawę, zapłacił, powstał i wysunął się niespostrzeżony na ulicę. Biegł na oślep z jednego końca miasta w drugi. Czuł, że smutkowi wygodniej w cieniach i odosobnieniu. Wiedział, że na niczyje współczucie liczyć nie może, zwłaszcza obecnie, gdy powodzenie, którem dotąd się cieszył, odwracało się od niego. Pod płomieniami latarni gazowych, mijając przechodniów, w oczach ich czytał nieprzychylne dla siebie usposobienie. Zdawało mu się, że mruczą: „Dobrze ci tak! Uznanie, jakiem cię otaczano, upokarzało nas, poniżało... zawadzało nam. Teraz jesteśmy sobie równi... a nawet wyżsi od ciebie. Znowu należysz do tłumu... Dobrze ci tak!“ Odwracał oczy, bo mniemał, że wzrok tych ludzi iskrzy się złośliwą radością. Buchała z niego jakaś żółta fosforescencja, rozsiewająca szerokie koła przenikliwych, dojmujących, bolesnych blasków.

Noc rozpięła swój czarny namiot nad miastem.

Znużony długą przechadzką, wrócił Leon do skromnego mieszkania. Nie zapalił lampy, bo nie czuł się usposobionym do pracy. Siadł na staroświeckiej, twardej kanapie, oparł głowę o poręcz i zasnął.

Śni mu się: domek mały, nizki, bielutki, przygnieciony olbrzymim słomianym dachem, na którym mech zielony rozpostarł kobierzec aksamitny. Krzewy bzu i jaśminu otaczają chatę w około, a przed gankiem, pochylonym nieco ku wrotom, dwie rozłożyste lipy brzęczą rojami pszczół, wysysających miody z ich kwiatów. Przez gęste liście stuletnich drzew przedziera się rumiana jasność poranka i pada snopami całemi na róże, lilje, piwonje, fijołki i konwalje, pokryte jeszcze brylantami nocnej rosy. Róża — zalotnica — udjamentowała się niemi najsuciej. Chwilami połyska cała i mieni się siedmioma barwami tęczy... a tęcz tyle, co kwiatów, co płatków — do serc podobnych — w kwiecie. W swej glorji promiennej dysze urodą i wonią... Ach! jak cudnie pachnie!

Na zwartej, ciemnej zieloności, przysadkowatego, przy ziemi szeroko rozsiadłego krzaku czerwienią się — niby głowy ścięte — pełne piwonje. Rosa na ich czerstwych policzkach podobna do świeżo przelanej krwi. To też jak z krwi świeżej bije z nich aromat życia! Wykwintna lilja wznosi dumnie w górę biały puhar, napełniony łzami nocy. Mistyczne, wychylające się z jej kielicha pręciki, zakończone żółtymi łebkami — brzemienne siłą odrodzenia — sypią pyłek złoty na jej mleczną suknię. Fijołek — niby skromny — ciemnoniebieskiem, wabiącem okiem z pośród traw wygląda, a konwalje, poruszane ledwie drżącą falą ciepłego powietrza, dzwonią jakąś melodję cichą całym pękiem swych białych sygnaturek. Zmieszane zapachy płyną... upajają... cieszą... zapominać każą o życiu.

Kraków. *Zygmunt Sarnecki.*

Pieśniarze jakuccy i ich pieśni.

Szkic etnograficzny.

Wśród uczonych badaczy północnej Syberji długo błąkał się pogląd, że jakuci nie mają pieśni, że wszystkie ich rymowane oraz nucone utwory są to okolicznościowe, nietrwałe improwizacje. Zdanie powyższe, wypowiedziane jeszcze w 1742 roku przez Gmelina [1]), powtarzali i inni autorowie, nawet po ukazaniu się znakomitego dzieła A. Middendorffa [2]), w którem znajdują się teksty kilku pieśni i nuty paru melodji. Przyczyna błędu stanie się zrozumiałą, gdy powiem, że większość podróżników nie umiała po jakucku i znała jakutów bardzo powierzchownie.

Jakuci chętnie śpiewają. Na polach, łąkach, drogach gęściej zaludnionych miejscowości często zdarza się słyszeć śpiew przeciągły, dziki, podobny do stłumionego wycia lub skrzypienia niesmarowanych osi jakuckiego wozu. Lecz nie trzeba sądzić o pieśni jakuckiej z tych urywków, wyśpiewanych nieraz przez ludzi zupełnie pozbawionych zdolności muzykalnych. Przewodnik prowadzący karawanę nuci sobie o drodze, o drzewach, o tem, co go czeka: miarowa melodja jego piosenki godzi się zupełnie z człapaniem koni i jest jak ono monotonną; w lesie, rąbiący drwa parobczak, powtarza uparcie w takt uderzeń „sie-kie-ra... sie-kie-ra... ostra sie-kie-ra...“ lub coś w tym rodzaju; dziewczyna śpiewa o swoich zawodach, zajęciu, uczuciach... zupełnie jak u nas, jak wszędzie. Tylko większa prostota melodji jakuckich, małe wymagania muzykalne i przyrodzona rytmiczność języka jakuckiego ułatwiają te improwizacje, robią je powszechnemi. Często są to nawet nie improwizacje a przyśpiewek, wyraz lub zdanie powtarzane nieskończoną ilość razy bez ładu i sensu; ku temu usposabia jednostajność zajęć i ubogość wrażeń zewnętrznych.

Mają jednak jakuci śpiewaków z powołania i pieśni o stałej melodji i treści. Aby poznać je, trzeba długo wśród jakutów przemieszkać, zbadać ich

[1]) Reisen durch Sibirien. 1742.

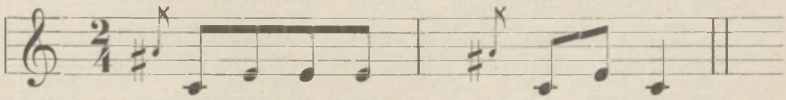
[2]) Reisen nach Ost- und Nord-Sibirien, 1843—44; 1860.

byt, zrozumieć ducha, przyzwyczaić słuch do dźwięków, obcych, niemiłych i odrażających. Z początku wszystkie pieśni wydają się podobnemi do siebie, jak podobnemi wydają się z początku i wszystkie twarze jakuckie. Powoli wypływają różnice i wyłania się pojęcie piękna.

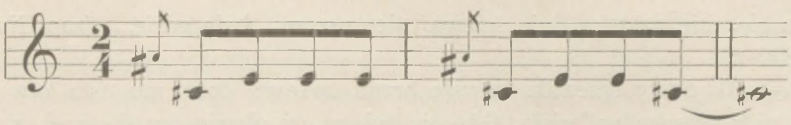
Pieśni jakuckie rozpadają się przedewszystkiem na dwie duże grupy: pieśni męskie i pieśni żeńskie. Każda z tych grup posiada rozmaite odmiany pieśni bohaterskich, miłosnych, dydaktycznych, religijnych, satyrycznych, bachicznych i wesołych piosenek o rytmie tanecznym. Pieśń wogóle nazywają jakuci: *yłły;* pieśni dydaktyczne, hymny, modlitwy — zwą: *tögöliù;* miłosne, żartobliwe, chwalebne, oraz improwizacje — *tuoër;* epiczne — *ołąchò.* Każda odmiana pieśni ma odrębną fizjonomję, odrębne melodje, których mieszać nie pozwalają wymagania dobrego smaku. Śpiewakowi wolno jednak snuć na ich tle barwy i arabeski własnego wynalazku. Im te są bogatsze, żywsze, im głębiej i silniej wstrząsają słuchaczów, tem większą jest sława śpiewaka. Ale epos i hymny muszą być śpiewane bez zmiany, dosłownie.

Śpiewacy jakuccy skarżą się, że słuchacze ich są wybredni, wymagający. Nieraz bywałem świadkiem popisów, gdy dwóch lub więcej śpiewaków ubiegało się przed licznem gronem krajowców o palmę pierwszeństwa. Śpiewali po koleji, wybierając dowolnie temata i melodje.

— „Ten słowa ładnie układa, ale głos ma gorszy, a ten ma głos słodki, ale słowa brzydkie!“ — mówili słuchacze. Słyszałem też wyrażenie: „śpiewa, niby za serce chwyta!“ Słuchają zwykle w skupieniu i zdanie wypowiadają w końcu poważnie i przyzwoicie. Podczas ustępów bardziej wzruszających, jurtę martwa zalega cisza, kobiety wstrzymują oddech, mężczyźni nieruchomieją i nawet po skończeniu śpiewu czas jakiś nikt się nie odzywa, nie szeleści, jakby bojąc się spłoszyć niezwykłego gościa. Środki, za pomocą których artysta jakucki wywołuje podobne wrażenie, są bardzo ograniczone. Zna on zaledwie kilka nut, które układa w rodzaj recytatywu; czasami śpiew przechodzi w deklamację skandowaną z silnym przydechem, przerywaną w odpowiednich miejscach pojedynczą, przeciągłą nutą basową. Tak podobno deklamowali grecy swoje pieśni bohaterskie. Przytaczam jako przykład urywek z *„ołąchò“,* śpiewu dziewczyny:



1)	Ba - rar kiu - nium	mah - gaj - da
2)	Kŏ - tŏr kiu - nium	kŏ - sŏj - da
3)	Sil - dżer kiu - nium	sy - rej - da
4)	Siuk - ter kiu - nium	siu - gej - da
5)	Ołо - ror kiu - nium	ąh - goj - da
6)	I - em chał - gyn	min bar - byn
7)	A - gam chał - łar	min bar - dym



8) Ar - ga u - o - ła ył - ła

1) Ubiegły dzień zmalał,
2) Wschodzący dzień minął,
3) Lecący dzień umknął,
4) Następny dzień przeszedł,
5) Przeżyty dzień padł,
6) Ma matka zostaje, ja idę!
7) Mój ojciec pozostał — odchodzę!...
8) Zabiera mię chłopiec z zachodu...

Jakuci śpiewają zazwyczaj siedząc, wstają tylko w chwilach szczególnego podniecenia i dopełniają śpiewu rytmicznemi poruszeniami rąk i tułowia. Chóralny śpiew słyszałem tylko parę razy. Rzecz odbywała się w głębokiej ciemności. Szaman, który pośrodku jurty śpiewał i bębnił, nagle umilkł a po krótkiej przerwie dało się słyszeć uderzenie krzesiwa o krzemień, snop czerwonych iskier oświecił grzbiet nizko nad ziemią schylonego szamana, jego głowę i bęben; jednocześnie w głębi zabrzmiał chór męskich głosów. Potem ucichł; — szaman znów grał i śpiewał, znowu nastąpiła przerwa, trzask krzemienia, snop iskier i z przeciwnego kąta jurty popłynął melodyjny chór głosów kobiecych. Drugi raz słyszałem śpiew chóralny podczas korowodu. Śpiewają zawsze unisono.

Nad chóralne śpiewy przekładają jakuci śpiew dramatyzowany. W tym celu umawia się kilku śpiewaków, znających dobrze tę samą rapsodję, każdy obiera odpowiednią swemu głosowi partję: jeden — bohatera, drugi — jego przeciwnika, inny — żony lub kochanki, konia, ducha; jeden wreszcie opisuje miejscowość, krajobrazy i akcję; schodzą się do obszernej jurty jakiego bogacza i śpiewają na przemian, jak wypadnie z toku, często noc całą. Niegdyś tak śpiewano słynne *„ołąchò“*, zawierające po kilkadziesiąt tysięcy wierszy. Obecnie wychodzi to z użycia; coraz trudniej znaleść odpowiednich śpiewaków, coraz rzadsi są zwolennicy śpiewu dość zamożni, aby karmić podczas długiej nocy i chór i słuchaczów, jak każe zwyczaj. Ta trocha pokarmu i sława — oto jedyne wynagrodzenie jakuckiego śpiewaka!

Słyszałem wszakże i o płatnych artystach. Powiadano mi w Namskim Ułusie, że „bogaty jakut Kniachija najął śpiewaka Artamona, aby mu śpiewał, gdzie tylko go spotka — w polu, w lesie czy u sąsiadów — żeby rzucał na żądanie Kniachji robotę, jadło, wstawał ze snu i śpiewał... Zato Artamon miał dostać — kobyłę. Artamon pochodził z Namskiego Ułusu z rodu Chamałgà. Głos jego posiadał dźwięczność *(dorgonnoch)*, śpiew — duszę *(iczillach)*. Kobiety mdlały, słuchając go i dostawały obłędu *(mänrijer)*, mężczyźni tak słabli, że jak małe dzieci wstać nie mogli“ (zap. Namski Uł. 1890 r.). O drugim znakomitym śpiewaku, Maczajar, z rodu Sałban powiadano, że „gdyby drugi taki się znalazł, to od ich pieśni z trzech drzew jednoby uschło... Temu płacili, aby tylko nie śpiewał!“ (zap. Namski Uł. 1890 r.). Przytoczę kilka zdań śpiewaków o śpiewakach:

— Znakomity śpiewak, jak znakomity szaman, jest skromny, nie prze-

chwala się, nie narzuca, nie śpiewa nieproszony, byle gdzie... (zap. Namski Ul. 1890 r.).

— „W duszy śpiewaka zawsze brzmi śpiew; dość mu usta otworzyć, aby z nich piosnka wyleciała. Gdy nie śpiewa, w głowie mu się mąci, w piersiach ściska... Prawdziwy śpiewak śpiewa nieustannie, nawet, gdy go nikt nie słucha. Z tego powodu nic mu się nie udaje, do niczego nie ma szczęścia!“ (zap. Namski Ul. 1891 r.).

— „Źle być zazdrosnym o śpiew! Gdy wielcy śpiewacy razem śpiewają, oszczędzają się wzajemnie, starają śpiewać jednakowo. Pieśnią można zabić. Śpiewak zwyciężony umiera!“ (zap. Namski Ul. 1891 r.).

— „Śpiewak nie może nie śpiewać, jak szaman nie może nie szamanić. Szaman płaci za to zdrowiem, śpiewak — szczęściem!“ (zap. Namski Ul. 1890 r.).

— „Śpiewak zawsze jest nieszczęśliwym; trwoży swą pieśnią duchów, zwraca ich uwagę na siebie.“ (zap. Namski Ul. 1891 r.).

Mimo tak straszne horoskopy, wielu z młodzieży jakuckiej pragnie zostać śpiewakami. Ale śpiewak jakucki prócz głosu, wyobraźni, smaku i uczucia musi posiadać potężną pamięć, musi zapamiętać nieskończenie długie poematy, pełne niezrozumiałych zwrotów, archaizmów, trudnych starożytnych nazwisk. Młody śpiewak uczy się od starego w ten sposób, że tamten śpiewa a on za nim powtarza, potem uczeń sam śpiewa a nauczyciel poprawia, aż do skutku. Nauka jednego rapsodu kosztuje od 30 kop. do rubla i więcej. Raz wobec mnie stara matka wyrzucała dwudziesto-kilkoletniemu synowi, że „ogarnięty namiętnością pieśni oddał za ładne *ołąchò* ostatni *bezmian*[1]) masła“.

— „My, jakuci, mamy śliczne pieśni o bohaterach, o starodawnych czasach. Nasi przodkowie do boju zawsze szli z pieśnią na ustach.“ (zap. Kołymski Ul. 1883 r.).

— „Są pieśni tak cudne, że naruszają porządek świata. Najlepszych swych pieśni śpiewak nie śpiewa przyjaciołom, ludziom, których kocha. Te pieśni mącą życie.“ (zap. Namski Ul. 1890 r.).

— „Są trzy pieśni wyrosłe z jednego pnia jak trzy rosochy drzewa: jest pieśń duszy ludzkiej, jest pieśń ludzkiego boga i pieśń szatańskiego oddechu. Od tej ostatniej właśnie schną rośliny.“ (Namski Ul. 1891 r.).

Rytm, rym i śpiew są u jakutów nierozłączne. Śpiewają oni czasem i nierymowane ustępy, ale rymowane śpiewają zawsze. Wierszy właściwie nie posiadają a tylko pieśni.[2]) Poeci jakuccy używają rymu i alliteracji, to jest kombinacji wyrazów, zaczynających się od tych samych sylab. Wiersz zaczyna się niekiedy od alliteracji a kończy rymem; nabywa przeto dźwięczności i spoistości zaiste metalowego wyrobu.

---

[1]) $2^1/_2$ funty.

[2]) Widziałem próby przekładów z Lermontowa, dokonanych przez inteligentnych jakutów. Lud prosty nie zna wierszy.

Ołąchò są to rapsody opisujące przygody jednego lub kilku bohaterów „lepszych od innych na długość cięciwy, a od jakuta na grubość kory brzozowej". Bohaterowie udają się w świat szukać przygód, żon, czasem mścić się za krzywdę matki, brata, za porwanie kochanki lub dochodzić ojcostwa. Przechodzą oni rozmaite koleje, staczają niezliczoną ilość bitew, doświadczają niepowodzeń, uczą się skromności, stałości, męstwa, wreszcie wracają z bogatymi łupami, z żoną, niekiedy z kilkoma żonami, zakładają domowe ognisko lub nowe gniazdo w odległym kraju, „gdzie za progiem gór, na poprzecznicach skał, łagodne leży niebo, gdzie słońce świeci jasno-białe, gdzie miesiąc się odmienia i noce idą wciąż za dniami, gdzie płyną bystre rzeczki i uśmiechają się ciche wody, gdzie las wyrasta prosty, wyborowy a trawa sięga lędźwi konia cztero-latka, gdzie wśród niedostrzegalnych granic, obszarów nieobjętych ściele się ukwiecona ziemia, ośmiokątna pramacierz wszechświata..."

Nie będę przytaczał wyjątków z *ołąchò*, są one zadługie i wymagają zbyt szczegółowych, obszernych komentarzy; w zamian jako wzór pieśni jakuckiej, pozwolę sobie podać przekład erotyku wzięty ze „Zbioru Wierchojańskich pieśni, bajek i zagadek" Chudjakowa.[1]) str. 10:

— „Ach, dzieci! Myśli mej głowy zręczni zmącili mężczyźni. Czy stoją, czy krążą, pod świecącym blaskiem kryją fałsz wewnętrzny, czarują udatnem słowem, zmuszają pożądać swej piękności, przenikają wzrokiem aż do serca, do samej wątroby!

— „Ach, dzieci! Gdybym pokochała człowieka, ogarnęła go uściskiem na parę, na kilka godzin, gdybym pocałowała go, wchłonęła jego zapach, zbliżyła do swego serca — to czyżbym nie została szczęśliwą nawet po rozstaniu i, gdy ciało moje zbrzydnie, zwolnieje jak woda, osłabnie jak spróchniałe drzewo, czyż nie powiem, że w młodości byłam szczęśliwą?... Ehaj!

— „Ach, cudzoziemcze! Siedzisz, słuchasz i myślisz: co mądrego powiedzieć może kobieta-dziewica, mająca myśl krótką, pamięć drobną, odzież twardą? Ehaj!

— „O ludzie-mężczyźni! Wy mniemacie, że nawet najlepsze z kobiet-dziewic nie mają serca zdolnego pokochać! Och, gdybym była pewna, że język mój, że mowa, że głos mego gardła zdolne są poruszyć serca wasze, rozbić je litością, zmusić do myślenia o mnie dobrze, spiewałabym ja bez przerwy, śpiewałabym ja!... Zamieniłabym się w odgłos dźwięku, w upiększenie słów, roztkliwiła serca wasze, poruszyła waszą myśl kamienną, roztopiła lodowatą pamięć, aż osłablibyście jak małe, nieumiejące siedzieć dziecię... Uroczyłabym was śpiewem, że nie moglibyście ani wstać, ani się ruszyć...

— „Ach! Wy, z głosem śpiewającego ptaka, w ubraniu lśniącem jak

[1]) Chudjakow, zasłużony rosyjski folklorzysta, posądzony był o należenie do spisku Karakozowa, wysłany do Wirchojańska, zwarjował tam po kilkuletnim pobycie i umarł. Zostawił cenne prace, z których ocalała mała tylko cząstka, wydana niedawno przez Towarzystwo Gieograficzne.

skrzydło cyranki, przepasani tęczą, rozejdziecie się w różne strony świata. Będziecie świecić tam, jak spadająca gwiazda, co kreśli niebo, będziecie błyszczeć jak błyskawica, będziecie zniewalać do pożądania i kochania!... A ja, o pacholęta, błądząc z kąta w kąt, śnić będę i chować was w pamięci, roztkliwiać serce — wątrobę, myśleć o was i uważać się za szczęśliwą — samotna i cierpiąca. Ej!... — Ach, chłopcy! Ach, piękni ludzie! Nie pomyślcie z gniewem: co za szkaradna, ośmieliła się spojrzeć na nas?! Cóż uratuje mię od was? Czyż obwinię urodę waszą? Czyż oskarżę doskonałość waszą? Ach, smutno mi! Lepiej gdybym piękna i znakomita zmąciła myśli wasze! Ach, tęskno mi! Więc odejdziecie zagniewani i obrażeni? Wszak piękni i brzydcy pieszczą oczy blaskiem słońca a ono nie obraża się o to!

— „Ach, dzieci! Powiadają, że na tamtym świecie jest Pan, który zapisuje złe i dobre, grzechy i cienie. Czyż ten Pan obwini mię za powiedziane słowa, za to, że rozkochanemi oczami spojrzałam na doskonalszych odemnie, że pomyślałam, iż wszyscy powinni być mi równi? Czyż wniesie On, dzieci, słowa te w czarne pisanie?!

— „Ach, dręczyciele! Z uśmiechem, jako cień, znikacie wy, podobni do zachodzącego słońca, kryjecie się za górą, oddalacie... oddalacie i niema was... Ale jak od słońca pozostaje na górach jasny odblask, tak w mej pamięci i myśli zostanie po was wspomnienie... Ehaj!

Warszawa. *Wacław Sieroszewski.*

Przygody rękopisu.

(Przyczynek do historji stosunków prasowych w Księstwie Warszawskiem).

Sekretarz jeneralny prefektury płockiej, Jan Plichta, pod datą 1 lipca r. 1811 opublikował drukiem zawiadomienie o przekładzie na język polski dzieła byłego profesora filozofji w Halli, członka komisji prawodawczej w Petersburgu, Ludwika Henryka Jacob'a p. t. „Zasady prawodawstwa policyjnego czyli administracyjnego". Rzeczonem zawiadomieniem zapraszał tłómacz publiczność do przedpłaty i zapowiadał wyjście dzieła w czasie najbliższym. Rzeczywiście „Zasady prawodawstwa i instytucji policyjnych" wyszły, lecz w kilka lat po ogłoszeniu prospektu, śród innych zupełnie warunków politycznych, — w r. 1815. Zwłoka tak znaczna wynikła nie z opieszałości Plichty i nie z braku funduszów; spowodowały ją trudności, które charakteryzują pewną stronę życia publicznego w Księstwie Warszawskiem.

Konstytucja Księstwa o zagwarantowaniu obywatelom swobody słowa i prasy zamilczała zupełnie. Milcząc w tej materji, zabraniała sejmikom i zgromadzeniom gminnym w jakiekolwiek wchodzić dyskusje, uchwalać przedstawień i próśb; izbę poselską, z wyjątkiem członków rady stanu i komisji sejmowych, pozbawiła prawa wyrażania opinji o wnoszonych do niej przez rząd projektach. W duchu konstytucji tkwiła kontrola rządu zarówno nad słowem żywem, jak nad drukiem; wykonywanie jej weszło z natury rzeczy do atrybucji ministra spraw wewnętrznych, który posiadał w tym względzie władzę dyskrecjonalną, albowiem ustawy cenzuralnej nie było. Przy organizacji ministerjum spraw wewnętrznych cenzura pism zaliczoną została do wydziału instytutów publicznych. Minister Łuszczewski reskryptem z 7 sierpnia r. 1810 cenzurę na prowincji powierzył prefektom departamentów.

Plichta, jako sekretarz jeneralny prefektury, oprócz innych obowiązków urzędowych pełnił faktycznie funkcję cenzora w obrębie departamentu płockiego. Nie uważał za stosowne zabraniać sobie drukowania przekładu książki profesora niemieckiego; po ogłoszeniu prospektu nadpływającą przedpłatę przyjmował, gotów do oddania rękopisu pod prasę. Czuł się być w porządku tem bardziej, że szef jego, prefekt Rembieliński, odezwą z 8 sierpnia r. 1811 upraszał ministra o protekcję urzędową dla przekładu dzieła Jacob'a i zawodu nie doznał. W odezwach do departamentów minister zachęcał do prenumeraty dzieła, przyczem pochwalał gorliwość i pracowitość tłómacza. Nadspodziewanie zjawiły się trudności.

Arcybiskup gnieźnieński, ks. Raczyński, wystosował do ministra spraw wewnętrznych odezwę, w której upraszał o ścisłe roztrząśnięcie dzieła Jacob'a i o wzbronienie drukowania przekładu, jeżeliby zawierał zapatrywania szkodliwe dla religji i kraju. Minister reskryptem z 16 sierpnia zażądał od prefekta płockiego nadesłania rękopisu. Gdy Rembieliński przedstawiał trudności w wykonaniu rozporządzenia, Łuszczewski rozkaz ponowił. Na reskrypt powtórny prefekt odpowiedział pismem polemicznem. W postąpieniu ministra upatrywał prześladowanie Plichty; uszczuplanie władzy, nadanej prefektom reskryptem z 7 sierpnia r. 1810; pobłażanie przesądom, tłumienie światła; niemożność nadesłania rękopisu usprawiedliwiał nieczytelnością jego, obawą zwłoki druku i t. p. Dodał wreszcie, że Plichta woli raczej zrezygnować z druku, niż poddawać pracę swoją roztrząsaniu. Minister, dotknięty treścią i tonem odpowiedzi, wystosował pod datą 24 sierpnia r. 1811 trzeci reskrypt „do rąk własnych“ prefekta, i „raz ostatni“ żądał przysłania rękopisu. Nie taił zadziwienia, że prefekt w piśmie swojem przekroczył granicę korespondencji urzędowej. Zarzuty zbijał, domysłom zaprzeczał. Nie ma zamiaru prześladować Plichty, skoro pochwalił go w odezwach do departamentów. „W mocy jest zawsze ministra spraw wewnętrznych zwrócić sobie w pewnych przypadkach całkowitą tę władzę, której część Wmu prefektowi co do cenzury pism reskryptem dnia 7 sierpnia r. z. udzielił“. Z przyczyn „sobie wiadomych“, dla których zażądał przesłania rękopisu, „nie winien się usprawiedliwiać“. Za błahe poczytuje przeszkody w wykonaniu rozkazu. Dodał w końcu, że nic nie ma przeciwko zaniechaniu druku dzieła, byleby Plichta winę zawodu względem prenumeratorów w odezwie publicznej wziął wyłącznie na siebie. „Wszelkie inne obwieszczenie wprawiałoby w błąd publiczność; przejście zaś w niem za obręb pismom, na jaw wydawanym, zakreślony, mogłoby nawet wydawcę na odpowiedzialność wystawić“. Tym razem prefekt reskryptowi zadość uczynił; przy odezwie z 28 sierpnia rękopis, istotnie nieczytelny, wysłał do Warszawy.

Minister znalazł w dziele Jacob'a wiele zapatrywań nieprawomyślnych. Pomijając propagowanie tolerancji religijnej, raziła go zalecana przez autora, a nielicująca z systemem kontynentalnym Napoleona zasada handlu wolnego. Nie chcąc wdawać się w korespondencję, wezwał tłómacza do stolicy. Przybył Plichta do Warszawy 11 lutego r. 1812; w rozmowie z ministrem, żądającym „z przyczyn i widoków sobie znajomych“ modyfikacji lub opuszczenia niektórych rozdziałów, — oświadczył gotowość zaniechania druku. Reskryptem z 16 lutego Łuszczewski, zwracając rękopis, zawiadomił prefekta, że drukowanie tłómaczenia zostało wstrzymane. „Że zaś z porządku rzeczy wypada, iż tłómacz prenumeratorów dotychczasowych o zamiarze zaniechania druku dla zwrócenia im prenumeraty uwiadomi, zaczem, uprzedzając podobne ogłoszenie, aby w niem nie dać powodu do błędnego publiczności o zakazie dzieła wyobrażenia (gdyż zmiany lub zamilczenie niektórych twierdzeń nie stanowi zakazu), minister spraw wewnętrznych przyłącza wzór, podług którego tłómacz najsto-

sowniej obwieszczenie swoje do pism publicznych podać może". Załączony wzór następujące zalecał Plichcie usprawiedliwienie się przed publicznością: „Gdy spostrzegam, iż dotychczasowa liczba prenumeratorów nie odpowiada memu zamiarowi i druk tłómaczenia mego przedsięwziętym być nie może; przeto... mam sobie za powinność uwiadomić szanownych prenumeratorów, którzy już dotąd rzeczone dzieło prenumerować zaczęli, iż drukowanie jego wstrzymać jestem zniewolony... Zaliczona część trzecia prenumeraty każdemu odesłaną zostanie".

Niebawem Łuszczewski umarł. Na prośbę Plichty prefekt Rembieliński, przesyłając rękopis zastępcy ministra spraw wewnętrznych, nalegał na cofnięcie zakazu. Zastępca oświadczył, że dzieło z wielu względów drukowane w całości być nie może; zresztą po decyzję w tej sprawie odesłał interesowanych do nowomianowanego ministra, Mostowskiego. Nie omieszkał prefekt zwrócić się i do nowego ministra, który jednak z powodu wypadków wojennych decyzji nie wydał.

Po wojnie Plichta nowe przedsięwziął zabiegi u rządu prowizorycznego. 7 czerwca r. 1814 wystosował do księcia Lubeckiego list, w którym udowadniał bezzasadność zarzutów, czynionych dziełu Jacob'a. Profesor niemiecki książkę swoją pisał i wydał w państwie rosyjskiem, „gdzie zapewne powaga rządu i religji przynależnie jest uważana". Dzieło to drukowane było również w Saksonji, w kraju temu samemu podległym monarsze, co Księstwo Warszawskie. Drukowane było i w Królestwie Westfalskiem, rządzonem według tych samych zasad, co Księstwo. W szkole administracji i prawa, założonej w Warszawie staraniem ministra sprawiedliwości Łubieńskiego, profesor Wołowski wykładał naukę polityczną według Jacob'a, o czem zawiadamiał w gazetach. Powoływał się wreszcie Plichta na dzieła: Schletzera i Harla, tłómaczone przez prefekta Gliszczyńskiego; na Schmita w opracowaniu Znoski; wreszcie na Surowieckiego „O upadku przemysłu i miast w Polszcze", — drukowane w Księstwie bez przeszkód, chociaż zalecają tolerancję religijną i hołdują zasadzie wolnego handlu. Przypisawszy w końcu zakaz Łuszczewskiego szykanie osobistej, upraszał o wydobycie rękopisu z archiwum ministerjum spraw wewnętrznych i o wydanie decyzji przychylnej.

Dyrekcja ministerjum spraw wewnętrznych przy odezwie z 15 lipca r. 1814, podpisanej przez księcia Lubeckiego, przesłała rękopis Plichty członkowi Rady najwyższej, aktualnemu radcy tajnemu Wawrzeckiemu, któremu powierzoną była cenzura w Księstwie Warszawskiem. Wawrzecki roztrząśnięcie rękopisu polecił Lachnickiemu, który zwrócił się po opinję do prałata katedry wileńskiej, ks. Bohusza.

Ksiądz prałat w sierpniu r. 1814 wypracował na piśmie krytykę, w której zarzucał dziełu Jacob'a nieścisłość definicji, niefilozoficzność, głównie zaś — propagowanie irreligji i ateizmu. Zbijał także twierdzenia, jak: „Próżniakami są mieszkańce klasztorów"; „Fundusze, obowiązujące członków klasztornych do tak mniemanych nabożnych czynności, w teraźniejszych czasach za bezużyteczne i bezcelne uznanych, mogą być przez rząd na coś pożyteczniejszego

obrócone"; „Rząd ma prawo znieść klasztory, dochody ich zabrać na skarb, albo obrócić na chorych, na sieroty, na ulepszenie rolnictwa"; „Nic nie ma zdolniejszego na uwiecznienie przesądów, zabobonu i błędów nad beneficja, których pozyskanie od wyznania pewnych form zależy"; „Irreligja i ateizm nie jest występkiem politycznym, bo nie jest czynem"; „Człowiek może być moralny w praktyce, a w teorji być przeświadczonym o mylności praw religijnych" i t. p.

Opinja cenzora wstrzymałaby prawdopodobnie znowu druk dzieła, gdyby nie zmiana stosunków. Konstytucja z r. 1815, zaręczająca wolność druku, dozwoliła sumiennemu i wytrwałemu tłómaczowi zamiar swój uskutecznić.

Warszawa. *Władysław Smoleński.*



POGRZEB WIOSNY

PIEŚŃ.

Zachmurzyły wichry niebo, świat śniegiem zawiały,
I wiosenkę w kwieciu ziela całun okrył biały...
W pełni życia leży sztywna, twarz owiana mrokiem...
Z chmury słonko na swą córuś patrzy krwawem okiem...
Głucho w gajach, głucho w polach i głucho na niebie...
Pod białemi liśćmi ptaszki tulą się do siebie...
Drogą widać lud skostniały, gromadkę żebraczą...
Jak za swoją, za matuchną, dzieci idąc, płaczą...
Jaskółeczka, ptasia wieszczka, wciąż fruwa przed niemi...
Muska ziemi płachtę śnieżną skrzydłami czarnemi...
Podlatuje aż do czoła swej śpiącej królewnie,
I głosikiem ucinanym poświstuje rzewnie:
— Nie smućcie się ptaszki, kwiatki! utulcie się dzieci!
Jeszcze słonko jest na niebie! jeszcze w chmurach świeci!
Jeszcze świeci, choć nie grzeje, choć się zamróz szerzy!
A matuchna nie umarła, jeno bez tchu leży...
Lecz gdy świt rozprószy chmury, gdy błyśnie zaranie...
Z ciepłem słonkiem na niebiesiech ona wstanie, wstanie!

Kalisz. *Stefan z Opatówka (Stefan Giller).*

Z CYKLU „NASTROJE“.

Gorycz, melancholja, rozpacz, zniechęcenie...
Już świat się osuwa ze spróchniałych posad,
Więc duszę ogarnia cisza i zmęczenie,
Łzy pije i mętny pozostawia osad.

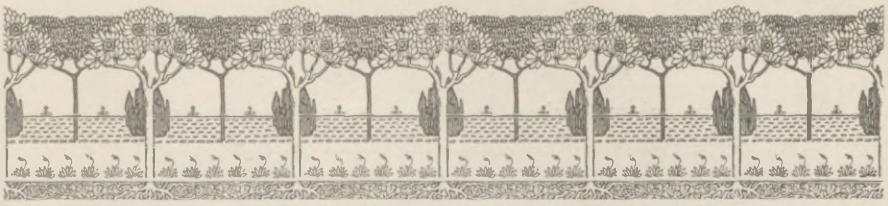
Spróchniały twe mocne korzenie, o wieku!
Robaka pokrywa nadpęknięta kora...
Więc brak nam dla duszy cudownego leku,
I inni my dzisiaj, niźli byli wczora.

I bieżym wciąż naprzód do strasznej otchłani,
Co wabi ku sobie ciszą, kusicielka...
Wciąż naprzód, choć droga ta stopy nam rani,
Choć serce nam ściska boleść silna, wielka.

A gdy się przed nami już przepaść zaczerni,
I w swe pożądliwe nas mami objęcia,
Stajemy bez ducha, tchórzliwi i bierni,
Przeżyci, lecz jednak dalecy zaśnięcia.

I tak się nam dziwnie to życie przeplata,
Że nigdy nie wiemy, co dać, co wybierać,
Że smutni dążymy, by zejść z tego świata,
I smutni stajemy, gdy przyjdzie umierać.

Warszawa. *Kazimierz Sterling.*



BUK.

Gdzieś w lesie buk wybujał. Czoło mu kąpały
Obłoki, głowa w słońcu utonęła złotem;
Ponad wszystko naokół podniósł się zuchwały:
Oddychał błyskawicą, wichurą i grzmotem.

A tuż pod nim u stóp mu krzewów legjon cały
Ginie, spragniony słońca, pod jego namiotem.
Czciciele, zaczadzone dymem jego chwały,
Nikłe, bezduszne, wyschłe, kładą się pokotem...

Kiedyś czasu potęga wstrząśnie drzewem starem —
Runie, a tuż opodal jakiś buczek świeży,
Jak nowy bóg, wystrzeli młodych sił nadmiarem...

Chwilę odetchną tłumy, błysk oko rozpali...
Potem cieśń... Znów zakipi bój nędznych szermierzy,
Tratowanie, przekleństwa... i tak daléj, daléj...

WIERZBA.

Nad wodą wierzba stoi pochylona, krzywa;
Drżeniem każdy jej liść spotyka wiatru wiew;
Za każdem z takich drżeń żałobnie się odzywa
Coś, niby cichy jęk i rozełkany śpiew...

A wiesz ty, sturamienna i zielonogrzywa,
Za com ukochał cię tak ponad wszystkie z drzew?
Dlaczego myśli rój za tobą tak się zrywa,
Jak za okrętem w dal stado spłoszonych mew?

Ot, że mi w twojem czarnem niepozornem drewnie
Serce rodzone drga, dusza mi blizka gra,
Ot, że nam rozdzielono równo i pokrewnie

Jeden serdeczny ból na organizmy dwa.
Ot, że stygniem oboje w pragnieniu junaczem, —
Stoim: za siebie płaczem, i za innych płaczem.

Warszawa. *Władysław Sterling.*



Cudowny kamień w Gwineji.

(Z cyklu poezji prozą: „Łzy i Uśmiechy").

W głębi gorących lasów Gwineji, w niedostępnej ustroni, w cieniu drzew splątanych, głęboko w ziemię wryty, trawami osłoniony — leży cudowny kamień.

Na całym lądzie Afryki jeden tylko taki jest, może na całym świecie jeden tylko! Chociaż on w gąszczach schowany, choć żadna tamtędy nie prowadzi droga, ani do wybrzeża Złotego, ani do pięknej Monrowji, ani do bystrego Senegalu, ani do legowisk, gdzie słoń swe zęby kosztowne składa, — to przecież, skręca tam często karawana, nim się w piaski Sahary zanurzy, nim błękitnego Atlantyku dobije, lub przynajmniej odrywa się od niej ciekawy wędrowiec, a już samotnie podróżujący Arab, Murzyn lub Zulus dziki kroki swe zawsze w to miejsce kierują i w zaroślach kamień odnajdą.

A warto, oh, jak warto wędrować do tego głazu zimnego, niby martwego, niemego!

W piersiach jego czarodziejskie mieszka życie, wielka tajemnica przyszłości; a kto na nim głowę złoży i myśl swoją tak uciszy i uczucie opanuje, że na jedną choćby chwilę zapomni całkiem o sobie, i serce całe napręży na ciche szepty przyszłości, w kamienia pozornym grobie, wewnętrzną mowę usłyszy, która mu cuda wysnuje i wrota tajemniczości przed jego duszą otworzy...

W gęstwinie zeszło się kilku pielgrzymów, każdy z innej przybył strony, a każdy pragnął wyrocznię dla siebie usłyszeć.

Patrzcie, ten Arab znędzniały, spalony żarem pustyni, któremu dżuma zabrała rodzinę całą, sierota, żeby smutek rozerwać, puścił się w świat, zgraji wrażeń wołając, aby mu biczowała duszę, byle nie czuć bólu i tęsknoty, i oto odszukał cudowny kamień, głowę na nim złożył, oczy zmrużył, duszę wytężył i słucha w półśnie... Patrzcie! żółtość jego twarzy mieni się w słoneczną pogodę, wpół otwarte oczy pałają, usta rozchylone okrążać uśmiech zaczyna, na

skroni drga żyła silnych wzruszeń. Śni. To nie jest tylko spoczynek po trudzie, to nie jest zapomnienie cierpień tylko, to nie błoga, chwilowa, snu nieświadomość, — on promienieje jakiemś widzeniem wewnętrznem, używa nadzwyczajnego stanu uniesień, słodyczy niewysłowionej, szczęśliwy wciska głowę w głaz i słucha i oderwać się nie może... słucha z namiętną uwagą, hamowaną niecierpliwością, najcichszą rozkoszą... O Allah! Allach, jesteś Wielki!

A potem, Arab się zrywa, rzeźki, radosny, ręką oczy przeciera, lekko na grzbiet wielbłąda wskakuje, i dalej.

— Stój! — krzykną towarzysze — powiedz, co ci się śniło?

— Przyszłość widziałem! Opowiedzieć trudno. Co za szczęście, znajdę jeszcze na świecie miłość! Nie pytajcie więcej; kto chce wiedzieć, niech głowę położy na kamieniu i słucha.

Przystąpił bliżej murzyn; kudłatą, czarną głowę rzucił silnie o głaz, jakby nią pukał w zamknięte wrota zagadnień przyszłych czasów. Po chwili, twarz mu piknieć zaczęła.... Poważnie wydłużyły się rysy, czoło pod myśli napływem się wzniosło, usta przymknęły się kształtnie z wyrazem dumy; słuchał spokojnie wyroków swej doli, potem się nagle wyprężył, wyprostował, i wyniosłym krokiem ruszył ku gęstwinie, gdzie muła swego i juki zostawił.

— Stój! — krzykną towarzysze — powiedz, co ci się śniło?

— Przyszłość widziałem! opowiedzieć trudno. Co za szczęście! znajdę na świecie — wolność!

Po nim przystąpił dziki zulus, brzydki, zły, niesforny, przeżuwając ostatki surowego, suszonego mięsa, z głupim wzrokiem, niedbałemi usty, niekarnemi ruchami, a złożywszy głowę na kamieniu, kręcił się na wszystkie strony; proroczy sen go się nie imał; słowo cudownych wyroków nie łatwo przedostać się mogło przez te ohydnie zatłuszczone i splątane włosy; nie wiedząc sam, czego pragnie, a pełen, głucho i ślepo nurtujących w nim żądz człowieczych, wił się kapryśnie wśród trawy, nieuważny i roztargniony. Ale moc musiała mieszkać olbrzymia w piersiach tego granitu, bo uspokajał się i on nieznacznie, smętna ciekawość go opanowała, przymrużył oczy i słuchał wreszcie, ustami poruszając, jakby pił z niewidzialnego źródła, i miękł w swej dzikości stopniowo, powoli. A gdy po długiej chwili wstał, był jak przemieniony, spokojny, łagodniejszy, skupiony w sobie, spojrzał w błękity i zabierał się do odejścia.

— Stój! powiedz, co ci się śniło.

— Przyszłość widziałem, opowiedzieć trudno, ach, co za szczęście! znajdę jeszcze na świecie boską — prawdę!

Teraz przystąpił czwarty wędrowiec. Wahał się chwilę, czy doświadczyć ma cudowności kamienia, czy może nie warto? Te dzikie prostaki mogą w takie brednie wierzyć, ale on, po europejsku wychowany, biały człowiek, który za kark trzyma wszystkie zwierzęta, plemiona i ideje, on, żeby swe czoło kładł na jakimś tam kamieniu czczonym przez tych niewolników i barbarzyńców!

Chyba dla żartu, dla wrażenia? Żądza wrażeń przemogła i ucywilizowana głowa położyła się na głazie.

Dziwna to była głowa. Niespokojna, drgająca nerwami wszystkiemi, z nieokreślonym wyrazem pożądania, przesytu i nudy; na ustach zamiast uśmiechu, siedział wstręt jakiś, jakby po dnie czary, w oczach skakała niespokojna iskierka, na czole pięknem i dumnem wiła się jednak sieć lekkich zmarszczek świadczących o zwycięskich pokus potędze, a w rzedniejących włosach tej trzydziestopięcioletniej głowy plątały się już księżycowe niteczki, Skronie mu uleżeć nie mogły w spokoju, zmęczony był ten człowiek bezmiernie i smutny... Namiętność araba, pragnienia murzyna, zuchwalstwo zulusa, wszystko korzyło się wreszcie pod działaniem cudownego kamienia, ale ta rozerwana w sobie dusza, opanować, ukoić, pocieszyć się nie dawała. Podnosił się i kładł znowu, uśmiechał się, to wzdrygał, zaciekawiał i szydził, ale uleżeć nie mógł. Rwał się w rozdrażnieniu swojem i szarpał; roje dawnych wrażeń powstawały w nim, co chwila przecinając drogę nowym, tworząc stos połamanych zjawisk w duszy, dzieląc ją na krótkotrwałe a przykre stany, których ogólnym skutkiem było niezadowolenie i nowej zmiany żądze. Raz, świt genjalnej myśli błyskał mu w oczach, a mądra bruzda skupiała w swej głębi sieć owych lekkich zmarszczek rozpiętych na czole, — raz znów kaprys wargi wykrzywiał i apatja jak szronem pokrywała rysy; to namiętność wystąpiła nagła i niepohamowana, to bezbrzeżne znudzenie ją gasiło. Raz, wzbijał się duch o doczesne brzegi ciała z potęgą oceanicznego żywiołu, raz przypływał leniwie do portu zmysłów, tworząc nieczynne zastoje i limany. Człowiek ten bywał wszystkiem na chwilę, a niczem na dłużej; z możnością wielkiej twórczej siły tlał w jakiejś niedbałej nieodpowiedzialności za swe stany, a czując, że tak jest, dręczył się tem boleśniej.

Pielgrzymi, którzy na kolej swoją czekali, ludzie ras dzikich, bujnych, niewyczerpanych męczącem życiem naszego świata, patrzyli na europejczyka z litością, pogardą lub obrzydzeniem zmieszanem z obawą, szepcząc między sobą niechętnie:

— Biały człowiek... on się niczego nie dowie... przeklęty! Glista ruchoma, nie człowiek! On trupa ma w piersiach, umarł od wewnątrz i jest chodzącym cmentarzem samego siebie „Czarownik!“ coś szepcze sam, a nie słucha, jeszcze nam moc kamienia zamówi!

On na szczęście nie zrozumiał, co mówili i ruszał się dalej i szarpał na orkanie swych nerwów... Różnorodną wiedzą współczesną zmęczony umysł, wrażeniami stu wystaw, muzeów, widowisk przeładowana pamięć, podrażniona nadmiernie wyobraźnia, nie mogąc nadążyć tłoczącym się zjawiskom, wyszukana zmysłowość, przyduszone uczucie, przyćmione sumienie, gwałtowna praca, walka o byt i rodzący się w niej egoizm, przytem nieutulne pragnienie szczęścia, a do tego wielki talent, — cały ten materjał psychiczny wduszony w zwątlałe ciało, czynił z tego człowieka nieumiarową osobistość, wybitny typ jednej fali ludzkiej płynącej oceanem społeczeństwa.

Tymczasem wymowne działanie kamienia biło potężnie o duszę artysty. Powoli koił się jednak. Nie, nie był on jeszcze przeklęty, nie był jeszcze stracony, pożarty. Ale był chorym orłem, którego trzeba było ratować. Wyjąć mu ten cierń z piersi, a odetchnie, zdjąć mu ten ciężar ze skrzydeł — a poleci; pocieszyć go, utulić, ogrzać, umiłować, a ożyje i wzniesie się na swoje wyżyny. Zamknął oczy i spał długo, głęboko, jakimś tytanicznym snem, który pokrzepia po chaosie doświadczeń, pierwotne wskrzesza siły i zdrowie wraca duszy...

Kamień, jakby sobie upodobał to dziecię, zgnębione światem, dał mu pełniejsze niż tamtym wielkich idei widzenia; lał w duszę żądzę swobody i świętej prawdy zdrój czysty, miłości słodkie pragnienia, i marzył wędrowiec młody z całym zapałem artysty na bujnych skrzydłach natchnienia, lecąc w przyszłości bezdroże; i był na chwilę szczęśliwy, jak tylko człowiek być może, silny, czujący, wrażliwy, na łonie cudnej przyrody pijąc piękności zdrój czysty... I kamień szeptał mu długo o wielkiej twórczej potędze, aż się artysta ocucił, zerwał, powitał serdecznie towarzyszy, ściskając ich czarne dłonie i promienny zabierał się do odwrotu.

— Stój! co ci się śniło?

— Przyszłość widziałem! opowiedzieć trudno, któż to wypowie! ach, co za szczęście, znajdę jeszcze na świecie — natchnienie!

Potem rozeszli się wszyscy, gęstwina zasuwała się złotawym blaskiem zachodu, życie cichło dokoła. Na dzikich brzoskwiniach wisiały bez ruchu purpurowe puszyste owoce; na liściu palmy sagowej siedział malutki ptaszek, rodzaj kolibra i płonął jak djament w kosztownych swych piórkach. Zaszeleściały liście, trzasnęły gałązki, coś się po pniu drzewa zsunęło na ziemię, z środka splątanych roślin wysunęła się rudawa, kudłata głowa, o wstrętnych rysach, zwierzęca a mądra, potem wysunęły się kudlate ramiona, postać cała; upewniwszy się, że niema nikogo, stworzenie jednym skokiem było przy kamieniu, położyło głowę, słuchało chwilę, zerwało się, ryknęło śmiechem szyderczym i wpadło w las... Po orangutanie przyszedł poważny słoń, podumał, ludzi nie przedrzeźniał, jeno patrzył długo na kamień, próbował podważyć, ale bez skutku, więc się cofnął z godnością, obejrzał raz jeszcze, i poszedł, tworząc w zaroślach ciemny tunel za swoją osobą. Potem, przyleciał jakiś ptaszek, siadł na głazie, zaczął piosnkę, ale mu nie szła, może był senny, zaostrzył więc dzióbek o granit i frunął do gniazda. Później płaz ciemy przemknął po kamieniu, przylgnął do płyty, drgnął na niej, wstrząsnął się, i smyrgnął w zioła; a za nim motyl jaskrawy nadleciał, musnął po głazie zmęczonemi skrzydłami, i powlókł się umrzeć w gęstwinie powojów, co na noc otwierają swe podłużne kwiaty, jak trumny białe dla owadów.

Czy cudowny kamień i zwierzętom wróżbę przyszłości powierzał?... czy i dla nich miał jakie słowo tajemnicze, jaki ukryty los?... Któż zgadnie? Kto potwierdzi? któż zaprzeczy?

Potem las wysrebrzać się zaczął od promieni księżyca, duszna zwrotnikowa noc oddychała głęboko, namiętnie, upajającemi woniami... Na kamieniu

zebrała się drobna rosa, jak szron perłowy, i błyszczała świetnie na piersiach głazu, a pod arkadami ogromnej agawy sunęły dziwne postaci z mgły i promieni, łączyły się, rozdzielały, pojawiały i nikły... powstawał świat bezcielesny już prawie, w złudnej szacie światła i wyziewów, skupiał się, plątał nad kamieniem i skraplał, lub ulatywał w bezbrzeżne sfery i pierzchał...

Czyżby i ten świat tęsknił jeszcze, szukał czegoś, pragnął... Któż zaprzeczy? Bo któż to może wiedzieć...

I tak leży cudowny kamień w głębi gorących lasów Gwineji, a kto na nim głowę złoży, wewnętrzną mowę usłyszy, i tajemnicę przyszłości, i szczęścia gorące tchnienia i prawdy słowa krzepiące, i żywe tętno miłości, i twórcze rytmy natchnienia...

Może i my byśmy tam poszli posłuchać? co? Ach, jakby to dobrze było oprzeć zmęczoną głowę na piersiach tego dobrego kamienia...

Dawniej, to inny jakiś był zwyczaj, opierało się głowę poprostu na ludzkiem sercu i słyszało się to samo... Ale wszystko się zmienia... Duch i świat toną w epokach przemian i coraz nowemi krążą drogami. Może to taka teraz epoka gieologiczna, że żyją głazy, a kamienieją piersi, że mówią kamienie, a milczą serca?

Ale wasze serca są wyjątkami w tej formacji? Nieprawdaż? Wy jeszcze marzycie, kochacie, tworzycie?

Ale ty, ty jeszcze miewasz godziny myśli, uczucia, natchnienia? Nieprawdaż?

Och, nie mówcie mi, nie mów mi, że tak nie jest, bo by mi lepiej było powędrować do Gwineji, i w cieniu pierwotnych lasów, rozdumaną głowę złożyć na tym dobrym, cudownym kamieniu.

Warszawa. *Szczęsna.*

Pessymizm i optymizm

(Aforyzmy)

Pozioma dusza, lecz obrotne gęby,
Serca zajęcze a tygrysie zęby —
To najcelniejsze są chwili zalety,
Kto je ma, trafi z pewnością do mety.

*

I samochwalstwo nie zgorzej popłaca:
Drogę do bytu rozgłosem wyzłaca;
Mniejsza, że w końcu wyjdą z worka szydła,
Byleś serdecznych ogolił bez mydła.

*

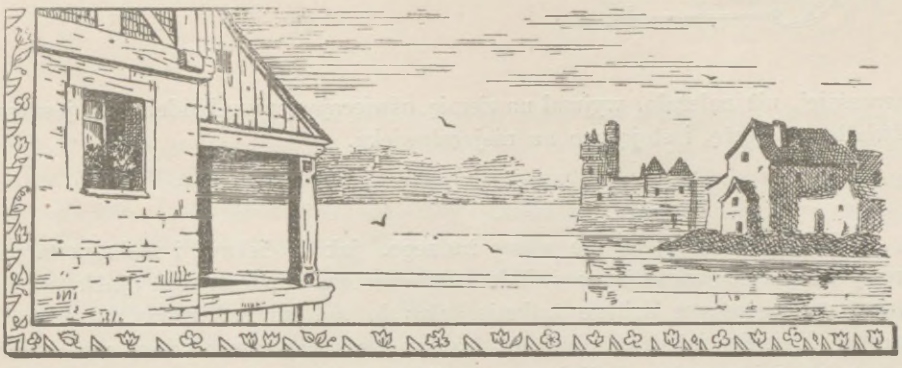
Gdy chcesz być mężem, który się nie łudzi,
Zmyślaj uprzejmość dla świata i ludzi:
Za udawanie powiedzą, żeś prawy;
Za szczerą miłość, rzekną: baran łzawy.

*

Gdy chcesz być mistrzem, to nieś myśl wysoko,
Miej w sercu miłość i harmonji miarę,
Miej dla szczegółów i całości oko,
Wesele w duszy i płomienną wiarę!

Czy za to będzie małmazja, czy woda,
O tem sądzili wielcy ludzie ducha:
Że się dla piękna poświęcić nie szkoda,
Lecz wstyd duchowi pracować dla brzucha.

Lwów. *Teofil Szumski.*



Z JAKUCKIEGO OLIMPU

Jurdiùk Ustùk Us

Ustępy z niedrukowanej całości, dedykowanej Szanownemu Jubilatowi.

«Nie żałuj chleba, rzuconego w fale
żywota ludzi» *Ekklezjastes.*

I.

...Strach, z którym uciekano z dachu jurty, był zjawiskiem bardzo naturalnem, gdyż, jak to wszyscy bez wyjątku przyznawali, ów ktoś, nieruchomo stojący na dachu, nie był jakimś złym lub nawiedzonym człowiekiem, nie był on bowiem istotą ziemską. Nie był to jednak i jakiś *acaràj*[1]) złośliwy, ani też *abasy*[2]) zwyczajny, ale był to sam *Ut tojòn abasy*[3]) to jest najstarszy djabeł w swej własnej osobie.

Tak było niewątpliwie, gdyż na dachu wszyscy najwyraźniej słyszeli słowa, powtarzane bez wytchnienia:

— *O Kiùn, o ajy Tangará*[4]), powróć! Powróć *yrachtahy*[5]), powróć na chwilę jedną!... — a któż, pytać się godzi, jak nie sam herszt djabelski, mógł się w ten sposób wśród nocy ciemnej modlić do słońca? Któż, jak nie on, niegodziwy, mógł tak urągać światłu dobroczynnemu i wzywać je do powrotu wtedy, gdy ostatnie jego promienie noc ponura już oddawna zgasiła?

A któż rozsądny nie ulęknie się djabła, choćby w najprzyjemniejszej postaci, chociażby i modlitwę czyniącego? Uciekali tedy wszyscy niebezzasadnie, ciekawość niewczesną strachem przypłacając i wieści trwożne roznosząc naokół. I oto trwoga i popłoch wśród mieszkańców jurt bliższych i dalszych stały się tak wielkiemi, że *Yj*[6]) srebrnolicy przyspieszył biegu i z poza chmur ciemnych

[1]) Djablik. [2]) Djabeł. [3]) Dosłownie: Wielki pan djabeł. [4]) O słońce, o wielki Boże. [5]) Oddalony, daleki. [6]) Księżyc.

Wszystkie wyrazy jakuckie mają akcent na ostatniej sylabie. *Autor.*

wcześniej, niż należało, wyjrzał na ziemię, oświecając swem bladem, ale jasnem, światłem, i jurtę, i stojącego na niej człowieka.

* * *

Tak, człowieka, a nie *abasy* żadnego, jak to ciekawi i małoduszni już roznieśli. Gdy bowiem jasne światło oświeciło twarz mniemanego djabła, wciąż powtarzającego swe dziwne żądanie, okazało się, że na twarzy tej niemasz nawet i cienia jakiegoś urągania bóstwu dobroczynnemu, lecz przeciwnie, wszystkie jej rysy harmonijnie i wyraziście odzwierciadlały ów zachwyt pełen rzewnej wdzięczności, z którym każdy *ciny Sachà*[1]) zawsze zwraca się do słońca.

I rzeczywiście, człowiek ów, być może, złudzony jasnem światłem księżyca, zwrócił się teraz ku jego srebrzystemu obliczu i szeptać zaczął wyraźniej:

— O Ty, który jesteś wysoko na niebiosach,
O Ty, który jesteś „jak w wodzie tak i pod ziemią"!
Rzuć jedną garść promieni swych życiodajnych,
Rzuć jedną garść promieni swych na jej główkę,
Dotknij jej serca, które bić już przestało,
Przywróć blask żywy jej źrenicom zamglonym!
O, Panie nasz daleki, bądź dziś gościem moim!
Ty, coś sam wieczny, nie zabieraj jej życia krótkiego!
O, wielki jasny Boże, powróć mi *Iueriù*[2]) moją!...

* * *

Nikt jednak z ludzi wówczas tego nie słyszał i nikt w noc ową nie dowiedział się, że na dachu stał, nietylko człowiek zwyczajny, ale gospodarz tej samej jurty *Us*[3]), w okolicy całej dobrze znany, nie jako prosty rzemieślnik, ale prawdziwy *Jurdiùk Ustùk Us* t. j. majster wyższego rzędu, mistrz swego dzieła. — Ów mistrz jednak niejedno tylko dzieło uprawiał; był on bowiem i kowalem i *Kiemiùs Usà*[4]) doskonałym i kołodziejem jakich mało i *ałtany Usanàr* t. j. dziwne rzeczy z miedzi wyrabiającym, jednem słowem, był to „majster do wszystkiego" i jako taki, byłby, bezwątpienia, przez niejednego z ciekawych, zaglądających mu w oczy, poznanym, gdyby nie jedna jeszcze okoliczność.

Majster, jak o tem dokładnie wiedziano, miał stosunki ze światem, z którym ludzie radzi zaznajamiają się, jednakże zawsze chętniej przez pośrednictwo osób trzecich, wiedząc, że dokładniejsza osobista znajomość następuje zwykle wśród okoliczności niepożądanych. Majster, chociaż praktyk szamańskich przed ludźmi nie wykonywał, był co najstraszniejsze, *Ojun'em*, t. j. szamanem tajnym. Czy obcował on ze złemi, czy z dobremi duchami, czy obcował z niemi sam, czy też przez swą żonę, też szamankę, którą on „Radością" na-

[1]) Prawy jakut. [2]) *Iueriù* — radość, podobnego rodzaju imiona pospolite są u jakutów używane jako imiona własne. [3]) Majster. [4]) Złotnik — a właściwie majster wyrobów ze srebra.

zywał, nie zmieniało to wcale stanu rzeczy, który był takim, że, o ile spieszono doń w dzień, o tyle unikano go w nocy. To też kiedy przy słońcu, a szczególniej, gdy tłumnie podążano do niego z narzędziami, a do *Iueriù* z niemocami wszelakiemi, i ze świecą nie znalazłby człowieka, któryby wątpił o bezpośrednich stosunkach majstra i jego żony z *Ar ajy tojon'em*, wielkim jasnym bogiem — wieczorem nikt by się nie założył i o tygodniowe cielę, czy majster niema wprost przeciwnych stosunków? W nocy zaś każdy już ręczył własną głową, że i owa zręczność, i zioła, i mądrość niezwykła, są to sprawki oczywiste samego *Ułtojòn abasy* — herszta głównego wszystkich sił szatańskich.

Zrozumie tedy każdy, dlaczego w pośród wielkiej ilości mężnych, pragnących dowiedzieć się, kto stał na jurcie, nie było nikogo, ktoby wątpił, że samego *Ułtojòn abasy* własnoocznie oglądał, nikogo wreszcie, ktoby, poczuwszy ziemię pod nogami, pomimo strachu nie doznał i radosnego uczucia. Oglądanie rzeczy nadzwyczajnych nie często się zdarza, a że samo pojęcie nadzwyczajności, jakkolwiek nie zawsze korzystnie, aleć pomimo to, zawsze dość wyraziście człowieka od bydlęcia odróżnia, słuszna więc, że oglądanie czegoś podobnego dreszczem rozkoszy serca ludzkie napawa.

* * *

Na jurcie tymczasem rzeczywiście działy się rzeczy dziwne.

Ludzie oddawna znikli z okolicy, a majster wciąż stał na dachu nieruchomy, prośbę swą błagalną bez przerwy powtarzając.

Księżyc jasno oświecał krajobraz ponury; tajga szeleściła swym szeptem strasznym i tajemniczym, jak oddźwięk nieskończoności, pociągającej i przerażającej swą głębiną.

Myśl majstra falą burzliwą biła ku niebiosom.

— *O yrachtahy*![1]) — jęczał on boleśnie i, tłumiąc oddech, wpijał się w jasne oblicze srebrnolicego.

I, — o, dziwo... *yrachtahy*!... jękła i tajga jękiem głębokim, a na twarz majstra wybił się zachwyt niemej radości. O! bo wie on dobrze, boć nie napróżno był szamanem, że nie tajga to jęczy, ale duchy, duchy dobre, każdą kruszynę przenikające, niosą w dal wysoką echa jego prośby bogobojnej.

— *O biugiùn mi-eche yałłá*[2])... wydobywa się jeszcze z piersi znękanej.

— *Mi-echè yałłá*[3]) — jękiem bólu żywego szeleszczą jodły i modrzewie.

— *Yałłá*[4]) — szepcą wargi już głosu pozbawione.

— *Yałłá... yałłá* — wtórują mu listki i igły leśne.

* * *

[1]) Oddalony, daleki. [2]) Bądź dziś gościem moim. [3]) Bądź gościem moim. [4]) Bądź gościem.

...Wtórują mu szeptem listki i igły leśne, wtórują dźwiękiem niesłyszalnym piaski sypkie, mrukiem głuchym kamienie nieruchome, wtóruje wszystko, co ręką bożą stworzone.

— *Yałłá, yałłá!*... huczy echo okolne; huczy, bo któż zliczy liście i igły leśne, ziarnka piasku wiatrem poruszanego, krople rosy perełkami wszędy nanizane? Więc, choć ucho ludzkie nie usłyszałoby ani jednego z tych szeptów cichuteńkich, ani jednego z tych nikłych dźwięków srebrzystych, ani jednego z tchnień, powłokami kamiennemi dławionych, nasz majster słyszy najwyraźniej modlitwę złączonej przyrody.

Słyszy on, jak głosów niezliczonych miljony, z głębin wód i przestworów ziemi miarowo wydychane, burzy odległej stłumione oddechy biją i biją w dal wysoką...

* * *

Tak i północ nadeszła. Srebrnolicy już dobiegł do połowy swej drogi, gdy raptem wśród szumnych fal modlitewnego gwaru przyrody rozległ się krótki, ostry i czysty jęk zbolałej duszy majstra. Jak rdza bowiem zjada twarde żelazo, tak cierpienie wielkie strawiło jego powłokę ziemską i dusza zbolała opuściła swe ciało znękane, aby niezwiązana więzy ziemskiemi zanieść mogła swą prośbę bezpośrednio ku Panu.

Wyprzedzając fale ech ziemskich, wzbił się ku niebiosom jęk duszy czystej, wzywając pomocy Przedwiecznego.

I nie umilkły jeszcze we wnętrzach tajgi głębokiej ostatnie echa bolesnej skargi majstra, gdy cisza martwa zapanowała nad gwarem niedawnym. Mgnienie tedy jedno — i wstrzymały swój oddech wszystkie stworzenia, na ziemi istniejące; mgnienie jedno — i zwisły listki, co przed chwilą życiem pełnem drgały; mgnienie jedno — i wszystkie wody zatrzymały swój bieg, nawet w łożyskach gwałtownie spadających, a najswywolniejsze, najdrobniejsze fale pospiesznie zaczęły tulić w głębiny wodne ślady kręgów najmniejszych, surowo nawołując bardziej rozigrane: „Ciszej, siostry, niżej!..“ — Ciszej, niżej, ciszej!... — bo ten, co jest *Usùn jujelèch* [1]), ten, co jest wśród bogów najpierwszym, ten, co przebywa poza niebiosami dziewięcioma, ma spojrzeć na ziemię...

* * *

Takim jest bowiem przywilej prawdziwego i czystego cierpienia.

Wiele łez spływa z oczu ludzkich w dni jasne, więcej jeszcze wypływa ich w noce ciemne i, gdyby zebrać łzy ludzkie, rok rocznie wylewane, jezioro byłoby nie małe i rzeka też płynęłaby zeń dość znaczna. Czy jednak wśród tego morza łez ludzkich dużo jest łez czystych, niezasłużonych, niewinnych?

Usùn jujelèch dokładnie wie o tem, my zaś tyle tylko wiemy, że każde czyste cierpienie dochodzi do Przedwiecznego, wiemy, że od żadnego oko Jego

[1]) Wieczny, przedwieczny.

nigdy się nie odwróci, wiemy, że każde takie Jego spojrzenie cisza martwa skupionej przed Nim przyrody spotyka, wiemy, a ci, którym wiele wiedzieć jest danem, zgodnie to stwierdzają, że cisza taka niezbyt często się zdarza.

II.

...*Yj*[1]) znikł i ciemności znowu otoczyły majstra, ale i ciemności tych już on nie widział, wsłuchany w głos potężny, co z niebiańskich ust srebrnolicego odbił się w duszy spragnionej radosną wieścią zmartwychwstania.

— We mnie i w dziecięciu naszem życie *Iueriù* mojej — powtarza *Us* w skupieniu głębokiem, bojąc się przepomnieć dźwięku jednego ze słów, będących dlań magiczną deską ratunku, przez niebiosa podanego.

— We mnie i w dziecięciu naszem życie *Iueriù* mojej — powtarza *Us* z mocą coraz większą, a w oczach jego widnieją już błyski złowieszcze uporu, co się przed niczem nie cofa.

Hen, hen! na najdalszych widnokręgach zaczynają się rozsuwać ciemności nocne. Z głębin zaświatowych pędzą ku ziemi zorze poranne, okazując na niebiosach wszystkie piękności zbliżającego się słońca.

Już, już mienią się barwy przedziwne, coraz silniej grają blaski srebrzyste! Nie dla *Us'a* jednak te cuda.

Oko majstra nie spojrzy nań nawet i okrzyk radosny, okrzyk weselny:

— *Tangarà saryachà*[2]) — nigdy już nie wyrwie się z ust jego.

Oko majstra docieka innych tajemnic, umysł rozwiązuje inną zagadkę, zagadkę, której brzmienie tak krótkie i niezłożone:

— We mnie i dziecięciu życie *Iueriù* mojej.

* * *

Budzą się roje śpiewaków leśnych; ze skrajów tajgi, z łąk i gajów już dźwięczą, niby bezładne, a tak miłe, głosy grajków bożych. Zaschłe gardziołka, zziębłe dzióbki pospiesznie dostrajają się do tej muzyki wszechświata, co, brzaskami zorzy zwiastowana, wkrótce zagra na strunach promiennych swą pieśń świetlaną.

Z brzęczeń i świstów, z huczków i świerkań nieskładnych, z trelów i tonów melodyjnych szykuje się chór, co z muzyką złotostrunną słońca w jeden hymn się zleje.

Już, już zorze purpurowe zajęły połowę widnokręgu. Krasawice niebios najzdobniejsze swem tchnieniem rzeźwem, młodzieńczem zganiają sny najtwardsze: poruszyły się więc listki jeszcze nieme i szmer uwielbienia wionął po tajdze.

Już, już czuwają wierzchołki smukłe, już szemrzą konary rozłożyste;

[1]) Księżyc. [2]) *Tangarà saryachà* w języku potocznym znaczy: dnieje. Jednakże dotychczas w języku pieśni i modlitwy znaczy: Bóg się zjawia, co się równa naszemu Bóg się rodzi, z tą różnicą, że my raz na rok, a jakuci co dzień wznoszą okrzyk radosny.

jeszcza jedna — dwie chwile i bledną wielkie cuda świetlane, bo ponad blaski jarzące, ponad purpury i szkarłaty niebieskie strzela jeden jedyny promień złocisty — promień Przedwiecznego:

— *Tangarà saryachà*!

Tangarà saryachà! Zgodnie uderzyły grajki i śpiewaki nieuczone, nieugięte olbrzymy leśne z szumem pochyliły swe wierzchołki siwe, korząc się przed Bogiem bogów... *Tangarà saryachà*! śpiewa w upojeniu twór najdrobniejszy; *Tangarà saryachà*! falą wielką płynie ku niebiosom.

* * *

Nieruchomym i milczącym wśród radosnego poruszenia wszej przyrody pozostał tylko *Us* jeden. Zatopiony w swych myślach i uczuciach, był on jak ów rozbitek, którego ręka kurczowo przyrosła do deski, przypadkowo uchwyconej, ale którego ogrzewają już tylko promienie słoneczne, ocalają — same fale rozhukane.

I był nasz *Us* tak znękanym i zbiedzonym, że zaledwie scichły ostatnie dźwięki hymnu porannego, zewsząd zwrócono się doń ze współczuciem i pociechą.

Perły rosy djademem okoliły jego czoło rozpalone; wietrzyk chłodny pieszczotliwie studził skronie zbyt gorące: drobne ptaszyny, tylokrotnie przezeń karmione, z trwogą zalatały wokół, starając się swem głośnem świergotaniem ocucić i oprzytomnić *Usa*.

I byłby może nasz *Us* uległ kojącemu wpływowi przyrody i, w promienie świetlane wpatrzony, wsłuchując się w świergotanie przyjazne, łagodnym powiewem wiatru kierowany, poszedłby po świecie szerokim, jak tylu podobnych doń nieszczęśliwców idzie. Sam umaiłby swe czoło wieńcem, którego mu nie dano, w kawałku drzewa odnalazłby *Iueriù* swoją i obumarły duchowo, możeby prędko doczekał i śmierci cielesnej, a może odzyskałby jeszcze i życie całkowite, gdyby był *Usem* tylko. On był jednak *Jurdiùk Ustùk Usem*, był mistrzem, a wie przecież i dziecię małe, że nie w krzewy drobne uderzają wichry zaciekłe, gromy biją najczęstsze. Tak bowiem od początku postanowił Przedwieczny, tak było i tak będzie do końca.

III.

...Majster zamilkł, ale lica jego gorzały takim zachwytem, a słowa brzmiały takim zapałem, że tłum, z gorących czcicieli życiodajnego światła złożony, ścisnął się w okół jeszcze szczelniej. — *Jurdiùk Ustùk Us* — szeptać już nawet zaczęto to tu, to owdzie, ale scichło wszystko, gdy Majster, zwracając się, to do tłumu to do słońca, zaczął znowu:

Gdy wrogi nurt tak skurczy męża ramię,
Że znika dlań nadziei wszelkiej ślad,
Czyż hańbą jest, skracając cierpień chwile,
Śmiertelny raz we własną zwrócić pierś?

O, stokroć nie! Lecz cóż uczynić winien
Mąż, który tak pod śmierci idzie cios,
Jak dziewczę to, co, ślubnym zdobne strojem,
Biegnie, by pić weselnych uciech czar?

Co czynić ma mąż, co o życie swoje
I jego kres o tyle tylko dbał,
O ile bieg wędrówki jego ziemskiej
Wszechcierpień nić na wieki stargać mógł?

Co czyni mąż... któremu cudne blaski
Nadziei już złociły ciężki trud;
Lecz w chwili tej, gdy ujrzał słońca zorzę,
Szydercza śmierć wyszczerza zęby doń?

Bo kocham cię, nieszczęsna ludzka trzodo,
I razem z tą, w którą twój godził młot,
Jam z nieba chciał sprowadzić dla cię zdroje
Nieznanych prawd i ludzi zrobić z was!...

Jak cypel skał, sterczący z głębin morza,
W którego pierś uderza wściekłość fal,
Tak w pośród Was jam życie przeszedł całe
I szydząc z burz, niezłomniem patrzył w cel.

Gdyż w piersi mej tchnie duch, co rządzi światem,
I u mych stóp żywiołów kruszy moc,
Bom dociekł sam nieznanym dla was znojem,
Że każdy z Was tu bogiem mógłby być!

Więc komuż dam spuściznę swoją świętą,
Gdy wokół mnie mówiących bydląt tłum
I słabych dusz dziecięce te rozumy
Roztrwonią skarb, zmarnują krwawy trud?

O, Boże mój, pomagaj słudze Twemu
Podtrzymuj mnie! a jeśli czynię źle,
O Stwórco nasz, niech grom Twój godzi we mnie,
Gdyż czynię to, co owoc pewny da! —

I majster znowu przestał mówić, ale ci, co stali bliżej, widzieli, jak ciągle poruszały się wargi jego, szepcąc bez przerwy:

O, wielki jasny Boże, zmiłuj się, zmiłuj się, zmiłuj!

IV.

...Gdy stos był gotów, stara szamanka zaniechała swych żalów i, ująwszy kosztur, poszła w okół stosu i jurty. Po kilkakrotnem obejściu zatrzymała się naprzeciw słońca i, zwracając się doń, mówiła powoli i głośno:

Boże, coś mi dał przeżyć sto wiosennych roztopów,
Wiesz, że, służąc Ci wiernie, wdzięcznąm była za wszystko,

Nic nie pragnąc dla siebie, niosłam prośby za ludzi. —
Dziś więc, stojąc nad grobem, z sercem ciężko skrwawionem,
Gdy mi oczy zapadłe ból wyżera surowy,
Błagam, słuchaj łaskawie prośby mojej ostatniej —
O, wielki, jasny Boże, zlituj się, zlituj się, zlituj!

Powtórzywszy to wezwanie z każdej strony świata, szamanka zapaliła stos, a gdy suche drzewo, wybuchając odrazu ogromnym słupem ognia i dymu, wkrótce objęło i jurtę, staruszka, chodząc powoli wokół ogromnego ogniska, przystawała ze strony słońca i zwracając się doń, za każdym razem zawodziła miarowo i śpiewnie jeden ustęp swej prośby:

Wichry górne i chłodne zawróć z drogi wytkniętej,
Niech nie pędzą na ziemię chmur deszczami brzemiennych;
Lecz gdy spalą się szczątki martwe dzieci mych drogich
Huraganu porywem wznieś je, Boże, ku sobie
W podniebiesia błękitne!...

Tam je chmury przytulą, stamtąd z gromy swojemi
Rzuć je deszczem ognistym na te czoła miedziane!
Sromem mordu niech palą te stworzenia plugawe,
Co, jak nędzne robactwo, żyją całe stulecia
Pracą mrówczą i myślą zgładzanych!...

O wysłuchaj, Przedwieczny, co się dzieje na ziemi:
Tu dziś piętnem sług twoich pasmo cierpień wymyślnych,
Którem z dziką rozkoszą darzą skrzętni oprawcy
Każdą swoją ofiarę... póki drgnienie ostatnie
Rozbestwienia nie przerwie...

Wtedy ręce skrwawione rzeźbią groby misterne,
Zamęczonym okrutnie stypy sute sprawiają,
I kraczący nad żywym głośno kadzą zmarłemu.
Oplwanego bez winy czczą bezmyślnie po śmierci
Fanatyczni czciciele umarłych!...

Przerwij więc, o, litościwy, pasmo cierpień zbyt wielkich!
Życiem trojga pokoleń, już przeżytem przezemnie,
Świadczę wobec tych trupów, że nadludzkie wysiłki
Zawsze zmoże zwycięsko każdy zbrodniarz rozumny,
Wyzyskując głupotę mówiących!...

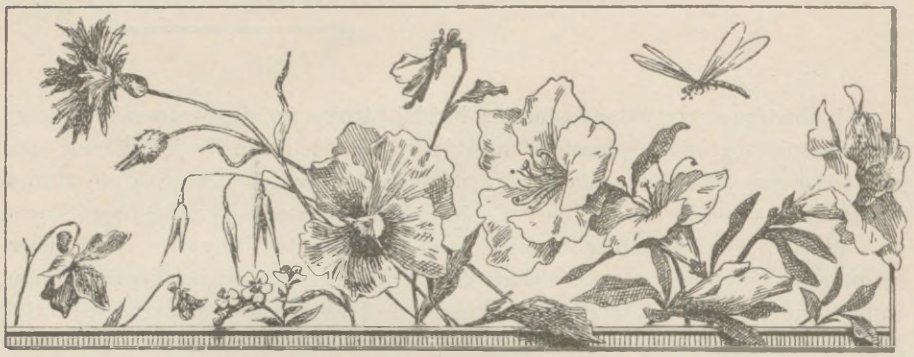
Bądź więc dla nas miłościw, znieś cierpienia bezpłodne!
I niech pamięć o czystych, wiernych tobie na ziemi,
Którą tu przechowują świętokradzkie grobowce,
Ginie odtąd, nie mamiąc wieńcem sławy cierniowej
Nowych ofiar instynktom krwiożerczym!

O, wielki, jasny Boże,
Nie chcę czci od morderców!
Bądź miłościw nieszczęsnej,
Weź te szczątki do siebie,
I nie bezcześć ich czcią tych obłudnych!

I powtórzywszy ustęp ostatni z każdej strony świata, szamanka, znowu niepomiernie rozżalona, przestała mówić; łkania suche dusiły ją, a choć usta jej jeszcze czas jakiś poruszały się żywo, a ręce, to groźnie zwracały do tłumu, to błagalnie wznosiły ku niebiosom, nie słyszano już od niej ani jednego słowa.

Martwa cisza zapanowała teraz nad gwarem niedawnym; nawet świergot ptactwa, wystraszonego ze swych kryjówek potężnemi słupami ognia i dymu, umilkł zupełnie i tylko trzask tego ognia i skwierczenie palących się zwłok „Iueriů“ i *Jurdiůk Ustůk Usa* słychać było na rozległej równinie.

Petersburg. *Adam Szymański.*



FRAGMENT.

Cóż jest prócz ciebie, istności pierwotna,
Godnego myśli, co pęta zdruzgoce
I krwi ofiarą ducha wzmógłszy moce,
Staje się górna, dumna i samotna.

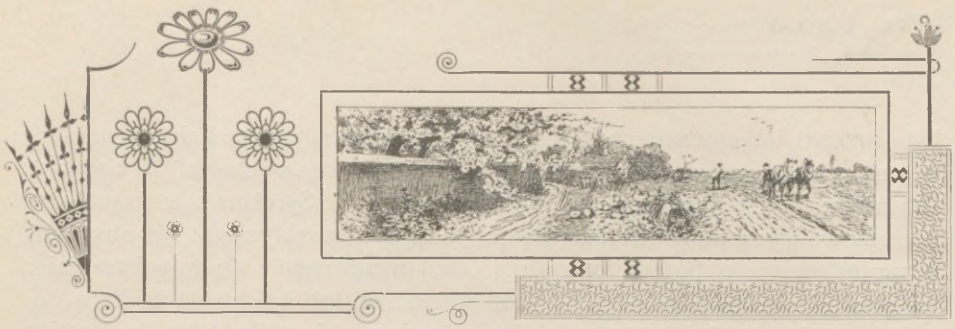
Tam, ku bezmiarom idzie ona przez twą
Wieczność i pełnię; tobą się oczyszcza,
I depcąc nędzne ziemskich złud bożyszcza,
Przeczuwa Boga olbrzymie królestwo.

Tyś jako strumień letejski jest dla niej,
Kędy swe skrzydła wniebowstępne pławi,
Kiedy je życie skala i okrwawi
I chce ją strącić do zgryzot otchłani.

W tobie jest wszystko — i ten ład jest wieczny,
Co duszę smutną, rozbolałą, krwawą
Ucisza, mówiąc: we mnie moc i prawo,
Pierwsza przyczyna — i cel ostateczny.

Zakopane.

Kazimierz Tetmajer.



Syrokomli dwa szkolne „patenta na mądrość".

„Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłeś w przyszłość płomienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą!

A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: „Doprawdy, będziem wielcy ludzie!"

— Gawędzi w „D ę b o r o g u" Kondratowicz, wspominając rzewnie szkolne czasy u Dominikanów — jasne dni swoje, kiedy to wrażliwe serce dziecinne, przylgłe do murów klasy, tak proście wierzyło w mądrość księży-profesorów: „Przysiągłbyś, że to prawda, że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy". O wychowaniu szkolnem Syrokomli sporo, acz może niedość dokładnych, znajdujemy szczegółów w życiorysach przez Kraszewskiego, Korotyńskiego i Tyszyńskiego skreślonych, tudzież w paru autobiografjach poety i jego poematach wreszcie. Pokusiliśmy się na ten szkic — dopełnienie drobin, znalazłszy do tego wątek w paru ciekawych szmatkach mocno nadbutwiałych, w poświadczeniach szkolnych, z których korzystanie zawdzięczamy uprzejmości zacnej syna poety, p. Władysława Kondratowicza (urzędującego, jak wiadomo, w wileńskim banku ziemskim). Jak się uczył Syrokomla w Nieświeżu, o tem sam rad opowiada dość szeroko, za to o nowogródzkiej szkole świeckiej, gdzie ukończył 5-tą klasę, milczy: „żadnych z niej nie powziąłem wrażeń, żadnej naukowej korzyści". We 20 lat później ta szkoła w Nowogródku, staraniem śp. Konstantego ks. Radziwiłła zamieniona na gimnazjum (stąd pochodzi jeden z błędów życiorysowych, że w gimnazjum Kondratowicz się kształcił), była dla Nowogródczyzny (świadczy Winc. Korotyński) „jedyną krynicą cokolwiek większej oświaty publicznej". Nowogródzka „szkoła świecka", jako powstająca na gruzach szkoły podwydziałowej dominikańskiej, właśnie za czasów Kondratowicza

była przezeń lekceważona; poprzednio Dominikanie za zwierzchnictwa uniwersytetu wileńskiego w niej wykładali — w niej się wychował Mickiewicz... Kraszewski najniechybniej się myli przypuszczając, iż Syrokomla zaokrąglił swe początkowe wychowanie szkolne (innego, po za autodydaktycznem, nie otrzymał) u protestantów w Słucku, przypisując stąd rozmiłowanie się w polszczyźnie: nie masz o tem ani wzmianki w autobiografjach lub jakichbądź źródłach, ani nawet reminiscencji w utworach Kondratowicza (nie uniknęłoby się przecież odnośnego wybryku żartu z bambizów, skoro tak np. zbluźniło się uciesznie z kardynałów święconej pomady dla Napoleona III-go — w wierszu do Rumbowicza); zresztą wiedziałby o tem i Pług i zamieszkały w Wilnie kolega, Cebrowski (ex-pedagog miejscowy), do którego udawaliśmy się po informację.

Pilno nam jednak do Nieświeża, do tych „patentów na mądrość", jak się sam Syrokomla wyraża, — do tych szkolnych półarkuszów szarej bibuły, mocnym inkaustem poznaczonych stopni. Pieczęć herbowna wyciśnięta (snadź sadzą od świeczki) na poświadczeniu ma w otoku napis: *Sigillum Scholae Publicae Neswisiensis O. P.* W tłómaczeniu z oryginału rosyjskiego rzecz brzmi, jak następuje: Nieświeska szkoła powiatowa niniejszem poświadcza, że Ludwik Kondratowicz wstąpił do liczby uczniów klasy II-ej; wciągnięty do księgi pod N 44 wykazał w naukach postępy następujące: W religji celujące, w językach: rosyjskim celujące, łacińskim dobre, polskim celujące, niemieckim celujące, francuskim celujące, w naukach: arytmetyce celujące, gieometrji celujące, gieografji dobre, zoologji celujące, kaligrafji celujące. Sprawowania się był chwalebnego, zdolności jego dobre, pilność przykładna.

Żadnych dat i podpisów na cenzurce tej nie znajdujemy. Zajrzyjmy więc do urywków własnego pamiętnika poety z roku 1844, użytkowanych przez najwierniejszego i najbliższego druha Kondratowicza, Wincentego Korotyńskiego w *Tyg. Powszechnym*, w jego uroczych, arcy-zajmujących „Obrazach z pobrzeży Niemna" (napraszających się do wydania w książce oddzielnej), zajrzyjmy i do innej autobiografji, tak wybornie skomentowanej przez p. Wł. Korotyńskiego (syna) w r. z. w książczynie p. n. „Syrokomla o sobie". Głosi tedy rzeczony pamiętnik, iż „5 września 1833 roku byłem formalnie wprowadzony do klasy drugiej". Dalej skromnie powiada Kondratowicz: „Uczyłem się nieźle, choć miałem słabą pamięć, lecz za to wielką zdolność pojmowania. Zrazu siedziałem w ciżbie szkolnej, potem zwróciłem na siebie uwagę i zostałem trzecim uczniem, a choć u nas nie było miejsc przepisanych, jakby zmownie pod koniec roku zasiedliśmy następną koleją: Gąsiewski Hipolit, Ciekawy Walery, Kondratowicz Ludwik, Mołczanowicz Józef, Śliwiński Mieczysław — i było to stopniowanie naukowe: składaliśmy poczet celujących uczniów". „U nas wtedy był prefektem ks. Hieronim Bajkowski, człowiek z nauką, z umiejętnością prowadzić dzieci i natchnąć je ku sobie szacunkiem i przywiązaniem. Trudno wyrazić ileśmy go kochali i szanowali. Dalsi nauczyciele byli mniej lub więcej odpowiedni swoim obowiązkom. Najbardziej kochałem ks. Czernickiego, który dawał łacinę i język polski, nie lubiłem Zubrzyckiego,

który dawał język niemiecki, a lękałem się Jakumowicza, profesora religji, Sokołowskiego — historji naturalnej i Rogalskiego — języka francuskiego, bo byli srodzy, lecz dwaj pierwsi nigdy mnie nie znaleźli nieprzygotowanym, a ostatni, choć mi palił ogniście w łapę, nieźle wyuczył po francusku i do dziś dnia jest moim przyjacielem". We wdzięcznym a tak charakterystycznym obrazie lat szkolnych w Nieświeżu odmalował autor Dęboroga sylwetki pp. nauczycieli z natury. Ksiądz-francuz —

...„Ospowaty, łysy,
Niesie pod jedną pachą francuskie wypisy.
Pod drugą sarnią nóżkę, a w niej z pod kopyta,
Cztery konopne sznurki jak kwiatki wykwita.

„Głowę na bok przechyli i przy ławce stanie...
Ale kto się w wybiorze gramatycznym stropi,
Tak mu łapę wysmaga sznurkami z konopi".

Okazuje się jednak, że nietylko trzej ostatni profesorowie byli srodzy, ale nawet z początku i nauczyciel kaligrafji, albowiem czytamy w autobiografji („o sobie" Syrokomla): „Pierwsza linja bakalarska spoczęła na mojej łapie roku pańskiego 1833, i to za nierówne ciągnienie pękatego „żywota" litery B, którą (literę) gwałtowne wstrząśnienie mej ręki rozwiązało i porodziło ogromnego żyda. Dzięki tej metodzie uczenia pisać, nigdy nie nauczyłem się stawiać równych liter i porządnych linji, jak tego masz wyraźne dowody na obecnem pisaniu" (do Ant. Marcinkowskiego, przed 45 laty). I ten list atoli i ogromna większość innych rękopisów Kondratowicza świadczy przeciwko oskarżaniu się o nierówność liter i nieporządne linje; zresztą powyższe świadectwo szkolne wykazuje nawet stopień celujący z kaligrafji (dowód, że metoda linijna ks. bakałarza nie poszła w las)...

Drugie poświadczenie szkolne jest już sporządzone dokładnie:

„Nieświeska szkoła powiatowa niniejszem poświadcza, że Ludwik Kondratowicz wstąpił do liczby uczniów klasy trzeciej; wciągnięty do księgi pod Nr. 6 wykazał w naukach postępy następujące: W religji dobre, w językach rosyjskim dobre, łacińskim dobre, polskim dobre, niemieckim celujące, francuskim dobre, w gieometrji dobre, algiebrze mierne, arytmetyce dobre, historji dobre, gieografji dobre, botanice celujące, mineralogji celujące, kaligrafji dobre, rysunkach mierne. Sprawowanie się jego dobre, zdolności dobre, pilność mała. M. Nieśwież 1835 roku dnia 29 czerwca. Prefekt szkoły ksiądz Bajkowski. „Nadto papier zaopatrzony jest w No 167 i pieczęć łacińską (opisaną powyżej).

Dokument, i ten również w oryginale, rosyjski. Ks. prefekt zatytułował się jako smotryteł. Charakter pisma: w poświadczeniu — schemacie, w stopniach wystawionych, wreszcie w podpisie ks. B. — wszędzie odmienny. Świadectw szkolnych z klasy czwartej, jak również piątej, nowogródzkiej nikt z krewnych poety nie posiada. Ogólniejszą wszakże, acz bez dokładności skrupulatnej, charakterystykę szkolnego powodzenia Syrokomli skreślił on w pomienionym

liście do Marcinkowskiego, cytowanym przez Wł. Korotyńskiego: „Nauki początkowe do klasy V (którą skończyłem r. 1837) odbyłem u dominikanów w Nieświeżu... Wdzięczen im jestem, iż pod moralnym względem wyrobili we mnie tę skrupulatność sumienia, z którą mi dobrze w dalszem życiu. Do 1839 r. uczyłem się z obowiązku, i oto rys mojej głowy, skreślony według szkolnych poświadczeń: Religja, języki łaciński, francuski, nauki przyrodzone, historja, gieografja, statystyka — bardzo dobry. Język polski, język niemiecki (którego nic a nic nie umiem) — celujący. Matematyka z całym ogonem pomocniczych nauk — mierny itd. Na końcu moich patentów na mądrość było: zdolności dobre, pilność mała, nie iżbym doprawdy był hultajem, bo pracowałem wciąż nad ukształceniem mózgowni, — ale pracowałem swobodnie i nie wedle tych reguł, jakiemi łeb mój okować chciano. Przy charakterze powolnym, rozważnym, nieśmiałym, zachowałem jednak niepodległość umysłu i niewiarę we wszelką „powagę“.

Bardzo jest prawdopodobnem, że Kondratowicz w klasach IV i V mniej ochoczo badał, czytał, pisał..., gdyż jak sam powiada w pamiętniku (Obrazy Winc. Korotyńskiego) począł nudzić szkołą, marzyć, kochać się (w dwunastym roku życia!)... a nowogródzkiej klasy nie lubił, żadnej nie wyniósł z niej korzyści. Wyraźnie tedy, a li tylko może, miał głównie na względzie w omawianych sukcesach szkolnych owe II i III-cią klasy, gdzie stopnie roczne z matematyki dostały się Kondratowiczowi z początku celujące a potem dobre (z jednej tylko algiebry mierny), więc chyba nie miał racji poeta nazywać siebie miernym matematykiem szkolnym, skoro nawet utrzymuje, że miał „wielką zdolność pojmowania“. A znów skoro wówczas należał K. „zawsze do najcelniejszych uczniów“, a prefekt świadczył o zdolnościach dobrych a pilności małej (w II-ej jednak klasie była ona wzorową), skąd mógł posiadać, jak sam pisze „słabą pamięć“, skoro wychowanie naonczas zasadzało się właśnie na pamięciowem rozwijaniu umysłu? Nie wierzył w szkołach „we wszelką powagę“ — a nauczanie przecież gruntowało się wówczas wyjątkowo na powadze... Bądź jak bądź, na niedostatecznem swem ukształceniu szkolnem, półświeckiem, jakkolwiek umysł bardziej niezależnie, oryginalniej u przyszłego poety się wyrabiał, krytyczniej od wielu kolegów wyostrzał swój rozum, — wszelako podkład do pewnej niezbędnej systematyczności w samokształceniu utrwalił mu się w pedagogice szkolnej. Nie mógł więc z początku Kondratowicz nie wierzyć proście a głęboko w powagę bakałarzy zakonnych, jak to w szczerości serca wyśpiewał w „Dęborogu.“ „Złotych brył nauki wydobytych w trudzie“ nie skruszał później oskardem analizy — lirę sobie ukuł rozgłośną i krzyż Chrystusa. Z rękoma na nich skonał... Snadź w płomienistej duszy lirnika litewskiego to narzędzie pieśniarskie i to godło wiary zhartowały się należycie, skoro do grobowej deski czerpał z nich moc i pokrzepienie.

Wilno. *Lucjan Uziębło.*

PRZYSIĘGI.

Przed wielkiem mahoniowem biurkiem, założonem stosami papierów, notatek, listów i książek, siedział niemłody już, lat około sześćdziesięciu mieć mogący mężczyzna.

Surowy wyraz ust jego i oczów świadczył o twardem, dalekiem od wszelkiej uczuciowości usposobieniu; pocięte grubemi zmarszczkami czoło zdradzało przebyte w życiu troski; zdrowa, czerstwa niegdyś cera, cera wieśniaka dziś przybladła, mówiła o nurtującej starca chorobie.

Tak, od roku już z każdym dniem czuł coraz większy sił upadek. Lekarze zalecali mu wielki spokój, unikanie wszelkich wrażeń, usunięcie się od pracy. Któryś z nich zapytał go kiedyś:

— A interesy swoje masz pan w zupełnym porządku?...

To znaczyło:

— Możesz umrzeć każdej chwili; czy spisałeś testament?...

Testament, testament!...

Krwawą swoją pracę, to, co ukochał, czem żył, oddawać komuś na stracenie, na to, aby po kilku latach wierzyciele rozgospodarowali się w każdym zakątku cichego tego dworu wiejskiego, do którego, prócz kilku zaufanych przyjaciół nie wpuszczał od lat paru nikogo?...

Kto prawnie dziedziczył po nim majątek?... Zadłużony brat stryjeczny, przy którego gospodarce po dwóch latach majątek przeszedłby w ręce żydów, i bratanek, hulaka, którego wymagań nie mogły pokryć miljony...

Brr... otrząsnął się z niechęcią.

Ogarnął go żal skąpca, któremu wyciągają ściskany w dłoni dukat.

Nie mógł, nie, za życia nie mógł sam, z własnej woli przekazać komuś ziemi, którą codzień pieścił spojrzeniem, dworu, w którym dotąd on sam jeden miał prawo rozkazywać, chwalić, karcić i sądzić.

Nie mógł, nie mógł.

Po śmierci jego niech rozdrapią wszystko, co ma: nie będzie wiedział

o tem. W dusznym, ciemnym grobie nie usłyszy, nie zobaczy nic; nie dojdą go echa zarówno pokrzywdzonych i obdarowanych przez prawo... Otrząsnął się znowu. Dreszcz nieprzyjemny przeszedł go od stóp aż do głów. Nie lubił myśli o śmierci, a jednak od miesiąca oblegała go ona wciąż, nie dając mu ani chwili spokoju, nigdy zaś tak wyraźnie, jak dzisiaj, nie odczuwał pustki i osamotnienia swego.

Mieć kogoś blizkiego, komu by wierzył, że krząta się koło niego dla niego samego, nie zaś dla jego pieniędzy!...

Zadzwonił trzy razy gwałtownie.

Nie chciał być sam w tej chwili: czegoś lękał się dziwnie...

Cicho, na palcach weszła dosyć jeszcze młoda, lat około czterdziestu paru mieć mogąca kobieta, zdumiona tem, że o niezwykłej porze pan wzywał ją do siebie. Wchodziła tu zawsze z rana tylko, przynosząc gazety i listy z poczty, po obiedzie dla przygotowania panu wody źródlanej z ulubionym sokiem malinowym i wieczorem ze sprawozdaniem z całodziennego ruchu gospodarstwa kobiecego. Po południu pan lubił być sam. Nawet kiedy przyjeżdżali w tej porze codzienni goście, nie pozwalał wpuszczać do siebie nikogo.

— Jutro rano posłać konie po doktora — zawołał, nie wiedząc właściwie, co powiedzieć.

— Niech przyjeżdża natychmiast. Jestem niezdrów; może mi co poradzi...

Głogowska stanęła jak wryta.

Już chciał powiedzieć krótko, zwięźle, ostro, jak zwykle:

— Na co czekasz?

Spojrzał jednak na nią. Łzy miała w oczach; usta jej drżały; o coś chciała spytać.

Zmiękł więc i łagodnie dodał:

— Nic takiego; przeziębiłem się trochę; to przejdzie...

Chciał ją zostawić. Niechby usiadła sobie gdzie w kącie spokojnie, aby tylko czuł blizkość żywej jakiej istoty przy sobie, mimo woli jednak, z przyzwyczajenia, skinął głową na znak, że nie potrzebuje już nic od niej.

Wyszła cicho. Nie było słychać nawet jej kroków.

Gdy zamknęła drzwi za sobą, on znowu pochylił się nad biurkiem. Tym razem oparł łokieć o krawędź jego i podtrzymując dłonią podbródek, wpadł w zamyślenie.

Życie upływa tak prędko!... Dwadzieścia kilka lat temu, tak dawno, a jednak — pamięta chwile te, jak żywe.

Stracił chorego brata, stracił chorego niedołężnego ojca, przyszła wreszcie kolej na gospodynią, starą pannę Zuzannę, która wychowała ich wszystkich.

Osiemdziesięcioletnia staruszka zmarła nagle, klęcząc przed kominkiem w swoim pokoju, gdzie przegotowywała śmietankę dla ukochanego swego Zygmusia.

Trzeba było kogoś do zajęcia się całem gospodarstwem i domem. Rządca

z sąsiedniego folwarku, Głogowski, przywiózł mu siostrę swoją, dwudziestoletnią, czerstwą, ładną, a przy tem łagodną i potulną, jak baranek, dziewczynę.

Widywał ją ciągle; oczy jej, dobre, słodkie, jasne przypominały mu jedne jedyne, jakie kochał w życiu...

Tak to poszło jakoś prędko... Ona nie odmawiała mu niczego: byłaby wskoczyła w ogień. w wodę dla niego... Nieśmiałe, ale namiętne i chciwe jej uściski, serce, bijące pod dłonią jego, jak młotem, mówiły mu, że kocha go nad życie...

Mieli kilka lat uniesień, zachwytów, rozkoszy, w ciągu których ona nigdy jednak nie wychodziła z roli pokornej, uległej, biernej sługi, on zaś — pana i władcy, któremu wolno bawić się z poddanką swoją bezkarnie.

Przeszły zachwyty, uniesienia, pozostał unormowany siłą przyzwyczajenia stosunek dwóch istot, które lgnęły do siebie, pomimo wyższości hierarchicznej jednej a niższości drugiej. Świat tolerował go pobłażliwym uśmiechem, a krewni z przerażeniem pytali tylko:

— Czy nie ożeni się aby?...

Szorstko. niecierpliwie chory szarpnął się na krześle i wstrząsnął głową, jakby dla odpędzenia złych myśli i wspomnień. Nie cierpiał rozpamiętywania przeszłości. Gardził tkliwością uczuć. W godzinę po śmierci ojca i brata wyglądał tak, jak gdyby nie dotknęło go żadne nieszczęście: krzyczał tylko trochę głośniej na folwarku i karcił lokaja Józefa, na którym skrupiały się zwykle wszelkie złe humory pana.

I teraz pogwizdując, wziął książkę w rękę. Musiał przecież rozpędzić w jakikolwiek sposób obsiadujące go zewsząd, jak mrówki, myśli.

Czytanie nudziło go dziś jednak. Wogóle na nic nie miał ochoty. Wszystko go niecierpliwiło i męczyło.

Jakie głupie, niedołężne, nędzne, podłe to życie!...

Gdyby miał synów!...

Szarpnął się na krześle jeszcze niespokojniej, zmarszczył brwi, nachmurzył czoło.

Synów, synów!...

Zakrył twarz rękami, jak gdyby chcąc przysłonić cisnące mu się pod powieki obrazy.

Widział wyraźnie dwóch tęgich, czerstwych i zdrowych chłopców, którzy tu przyjeżdżali ze szkół co lato. Głogowska nazywała ich siostrzeńcami swymi, oni ją ciotką. Młodszy podobny był do niej, jak gdyby kto skórę zdjął z jej twarzy, starszy — spostrzegał to sam i słyszał, jak szeptano w koło, — przypominał jego żywcem. Nie mógł zaprzeć się ich. Krew z krwi jego, kość z jego kości, a jednak nie wolno mu było, raczej nie pozwalał sam sobie nazwać ich dziećmi swemi!...

Głupie, nędzne życie!...

Słońce zachodziło wśród blasków purpury, którą dziś przysłaniał jakby kir żałoby.

Co się z nim stało?... Tak było mu smutno, jak jeszcze nigdy. Czyżby śmierć już zawisła nad nim tuż, tuż blizko?

Wstał, wyszedł przed dom. Pochylony nad krzakiem róż sztamowych, które sam zasadził, zdjął z nich kilka liszek.

Te róże, ta ziemia, ten dwór i ogród, sąsiednie folwarki, łąki i pola, w czyje ręce przejdzie to wszystko za rok, za miesiąc, a kto wie — może dziś jeszcze?...

Serce jego biło szybko, gwałtownie. Krew przelewała się z głuchym szmerem, który chwytał uchem wyraźnie.

Całą jego istotę opanowało takie omdlenie i osłabienie, że przerażony uginającą się jakby pod stopami jego ziemią i wielką otwartą przestrzenią, wrócił do swego pokoju czemprędzej.

Tak, niechybnie, umrze już niedługo: musi zostawić testament; inaczej zadłużeni krewni, jak zgłodniałe kruki, rzucą się na ziemię jego, wyssą wszystkie z niej soki, a za rok — sprzedadzą żydom.

Więc co zrobić? Komu ją zapisać?...

Dwaj czerstwi, zdrowi, na roli wychowani, a więc do roli przywiązani chłopcy; oni jedni mogliby pokochać ziemię tak, jak on ją kocha; oni jedni umieliby ją podtrzymywać i pieścić, jak on ją podtrzymywał i pieścił...

Cóż z tego, że za życia nie uznawał ich za synów?... Po śmierci niech świat cały dowie się o tem. Ludzie potępią go może, ale ziemia, ta kochanka jego, w ich rękach tylko nadal istnieć może...

Szybko, energicznie zasiadł przed biurkiem, wziął pióro do ręki i na wielkim arkuszu papieru począł coś pisać. Kreślił jedne wyrazy, na miejsce ich wprowadzał inne, wreszcie energicznym charakterem męskim zapełnił kilka stronnic.

Synom swoim, Zdzisławowi i Juljanowi Głogowskim, przekazywał cały majątek z prawem dożywocia dla matki ich, Julji Głogowskiej.

Rozporządziwszy kilkunastoma mniejszemi i większemi sumami na rzecz ubogich krewnych, oficjalistów, służby dworskiej i kilku bardziej zasłużonych chłopów, padpisał nazwisko, zapalił lampę i zabrał się do odczytania aktu ostatniej swej woli:

„Zdzisława i Juljana Głogowskich czynię głównymi spadkobiercami swymi. Zdzisławowi, jako starszemu, przekazuję na własność wieczystą dobra Sosny wraz z folwarkami Wólką i Jałowcem, Juljanowi...“

Wtem stanął.

Czyjś głos, jakby w powietrzu, szepnął mu wprost do ucha:

— Zdradzasz przysięgę...

Rozejrzał się do koła. Nikogo nie było w pokoju. Nad płomieniem lampy furkała tylko ćma czarna, łopocząc niedołężnie skrzydłami. Odsunął papier i, westchnąwszy głęboko, ukrył twarz w dłoniach.

Tak, zdradzał przysięgę: nie wolno mu było obcemu nazwisku przeka-

zywać dziedzicznego mienia. Konającemu ojcu przyrzekł, iż nie uczyni tego nigdy.

Z za grobu przypominano mu o tem.

Więc cóż? Dać synom nazwisko? Adoptować ich? Tygodniami całemi czekać na załatwienie odpowiednich formalności, kiedy życie jego na włosku?...

Poprawił się na krześle i, podniósłszy głowę, utkwił wzrok w krążącą dokoła płomienia lampy ćmę czarną.

Wtem błysnęła mu jasna, trzeźwa myśl. Oburzy na siebie rodzinę, zadziwi serdecznych przyjaciół, lecz uczyni zadość poczuciu sprawiedliwości: jutro, pojutrze, jaknajprędzej, może dziś jeszcze weźmie ślub z tą, która w rzeczywistości była żoną jego już oddawna; dzieci jej uzna za swoje.

Ćma furknęła głośniej. Przez uchylony lufcik wpadła druga, biała i obie, to unosząc się w powietrzu, to opadając na dół, bliżej płomienia, zaczęły zawodzić taniec szalony.

Tak jest, weźmie ślub, uzna synów za swoich...

Wyprostował się, wstał, przeszedł kilka razy przez pokój i stanął nagle.

Znowu głos jakiś szepnął mu wprost do ucha:

— A przysięga, dana niegdyś tej, którą kochałeś, że nie ożenisz się nigdy?

Usiadł napowrót przed biurkiem i, ukrywszy twarz w dłoniach, westchnął ciężko.

Całe życie ubiegłe stanęło przed nim w zmienianych szybko ale wyraźnych obrazach.

Miał lat dwadzieścia cztery, gdy pokochawszy córkę biednego oficjalisty, postanowił ożenić się z nią, ojciec jego jednak, dumny stary szlachcic, zabronił mu nawet myśleć o tem.

W szale uniesień chciał wykraść młodą siedemnastoletnią Zofją, poślubić ją potajemnie i wyjechać za granicę, ona wszakże oparła się temu stanowczo.

— Wola rodziców święta; łamać jej nie mamy prawa — powtarzała z pokorą istoty, którą katechizm oraz nauki matki nauczyły czci i posłuszeństwa dla starszych.

Nie pomogły zaklęcia kochanka i namowy przyjaciółki, która ułatwić im miała ucieczkę. Blada, drżąca, powtarzała wciąż przez łzy:

— Wola rodziców święta; łamać jej nie mamy prawa....

W miesiąc potem wstąpiła do klasztoru, wymógłszy na nim wszakże przyrzeczenie, iż do końca życia będzie jej wierny i nie ożeni się nigdy. Pamiętał chwile pożegnania: stanęła mu teraz w myśli, jak żywa. Byli w małej, dzikiem winem obrośniętej altanie. Cicha noc wiosenna patrzyła na nich ze smutkiem. Liście drzew w ogrodzie szeleściały lekko. Drżały na trawnikach krople rosy. Niebieskawe ogniki świetojańskich robaczków połyskiwały z daleka. Wielka smętna twarz księżyca lała potoki blasku.

Zofja, tuląc się do niego, szeptała:

— Nie tracę ciebie, myślą bowiem i uczuciem zawsze z tobą żyć będę. Głos twój słyszę, choć ciebie niema przy mnie; wzrok twój ściga mię, jakkol-

wiek jesteś daleko... Nie, to nieprawda, że istnieje rozłączenie: miłość ma się w sobie, dla siebie zawsze i wszędzie.

Posłuchał jej ze zwieszoną na piersi głową, ponury, smutny, zamyślony.

— Może kiedy, widząc ładną, młodą i wesołą dziewczynę, pokochasz ją, zapomnisz o mnie, zatęsknisz do rodzinnego życia... — mówiła dalej, w smugę blasku księżycowego wpatrzona. — O, wtedy jednak, jak cień, stanę między wami. Przysiągłeś mi miłość i wierność: pamiętasz... Nie zwolnię ciebie z przyrzeczenia tego nigdy. Tyś mój, mój na zawsze! Zdaleka od ciebie, żywa czy umarła, przeczuję zdradę twoją...

Podniosła głowę. Białe jej czoło przecięła gruba zmarszczka pionowa. Na ustach łagodnych i słodkich osiadł wyraz ponurej groźby.

Wzrokiem żądała od niego powtórzenia przysięgi.

Zsunął się z ławki: Całując drżące jej stopy, kolana i ręce, rzekł zdławionym przez łzy głosem:

— Nie pokocham nikogo i nie ożenię się nigdy.

Kłęby szarych obłoków zasunęły w tej chwili srebrną tarczę księżyca. Mrok zawisł w przestrzeni. Zniknęła mu nagle z przed oczów sylwetka bladej twarzy dziewczyny. Gdyby nie to, że trzymał jej ręce w swoich, sądziłby, że rozwiała się przed nim, jak mgła lotna w powietrzu.

Zaszlochał głośno, on, który nie płakał nigdy, w którym rodzina i otoczenie wyrabiały od lat najmłodszych surowość charakteru i uczuć.

Czterdzieści lat blizko minęło od tego czasu.

Narzeczona jego zmarła w klasztorze, cisnąc do ust w chwili konania pamiątki od niego, a on... czy dotrzymał jej przysiąg wierności...

Zdawało mu się, że tak, ksiądz nie związał bowiem dotąd stułą ręki jego z ręką innej kobiety, — lecz czyż chodziło tylko o błogosławieństwo kościoła, o utrwalenie związku przez prawo a nie o własne jego serce, które tamta, nieboszczka, pragnęła mieć dla siebie wyłącznie...

Rysy jej tak dalece zatarły się w mózgu jego, że gdyby dziś stanęła przed nim, piękna i młoda, jak niegdyś, nie poznałby jej może...

Porywy krwi i namiętności rzucały go niegdyś w objęcia różnych kobiet. Ani spostrzegł, jak z głębi duszy usunął się zwolna wizerunek tych jednych, jedynych oczów, jakie kochał w życiu: zastąpiły je nie poezja, nie romantyzm, nie czar marzeń i uwielbienia, lecz wygodne i łatwe porywy namiętności, która przeszła w przyzwyczajenie.

Od lat dwudziestu kilku znał tylko jedną, jedyną, pokorną, cichą, łagodną i posłuszną kobietę, która była echem jego woli.

Jej właściwie dochował wiary...

Przysięgę, daną Zofji, złamał już oddawna, nie wiedząc prawie o tem, nie robiąc sobie z tego wyrzutów, gdyż pozornie był wolnym ..

Cicha noc letnia zaglądała przez szyby okien do wnętrza pokoju. Płomień lampy drgał i syczał: dogorywała w nim ćma czarna, która, opaliwszy sobie niedołężne skrzydła, wpadła w sam jego środek. Druga — biała odfrunąwszy

pod sufit, przyczepiona do niego, zdawała się śledzić myśli i postanowienia chorego starca.

— Co znaczą przysięgi? — Pytał sam siebie Zygmunt, szukając sankcji sumienia dla aktu ostatniej swej woli.

— Kiedy je dajemy? — Pod wpływem silnych wrażeń, gdy mówi za nas nie rozum, nie trzeźwe pojęcie rzeczywistości, lecz uniesienie i gwałtowne porywy chwili...

— Czyż pijany odpowiada za czyny, popełnione w szale odurzenia lub chory za słowa, wymówione w majaczeniach gorączki?...

— Nie, stokroć nie.

Podniósł głowę, poprawił się na krześle.

A więc jutro, pojutrze, jaknajprędzej weźmie ślub z tą, która mu była żoną przez lat dwadzieścia kilka, testament zaś spisany tak, jak jest zostawi tymczasem na biurku u siebie: śmierć wisi nad głową jego; lada chwila może zejść z tego świata, skrzywdziwszy kochankę swą, ziemię i... własne dzieci... Śmiało, energicznie wziął pióro do ręki. Pod nazwiskiem swojem podpisał wyraźnie datę i nazwę miejscowości, w której testament został sporządzony, następnie sięgnął po pieczęć rodową... Wtem coś zaszeleściało. Z gałęzi topoli przed oknem spadł może ptak uśpiony. Chory drgnął całem ciałem.

Wstrząsnął nim strach zabobonny.

Wyraz bezradnej niemocy odbił się w bladych, mętnych jego oczach, na obwisłych policzkach i drżących, jak u przerażonego dziecka, wargach.

Nie mógł złamać przysiąg dwukrotnych, nie, nie mógł, nie mógł!...

Więc cóż?... Raczej skrzywdzić własne dzieci, aniżeli zadać gwałt temu, co uświęciły wiekowe, rozumne czy też niedorzeczne tradycje społeczne?...

Tracił możność rozumowania. W umyśle jego powstał chaos najsprzeczniejszych pojęć, nad któremi unosiło się jedno, jedyne wrażenie: wrażenie strasznej, męczącej, przesądnej trwogi..

Z głuchym jękiem schwycił za pióro i drżącą zygzakowatą linją przekreślił pierwszą stronę spisanego naprędce aktu ostatniej woli swojej. Nie zdążył odwrócić drugiej, gdy palce jego skurczyły się i rozkurczyły nerwowo, w piersiach, w gardle coś zadławiło go strasznie, w mózgu zahuczało, w oczach pociemniało.

Wyciągnął się, jak struna.

W chwilę potem już nie żył.

Warszawa. *Cecylja Walewska.*



Na prostaczą nutę.

Nie wiem, co słońcem przezwali uczeni,
I jak się ono naprawdę nazywa,
Lecz wiem, że promień, ten jasny, z przestrzeni,
Calutką ziemię zakuł w swe ogniwa,
I odtąd ona wiecznie po przestworze
Biegnie do słońca, a dobiedz nie może.

A jakie ono i jasne i duże!...
Jemu dla wszystkich starczy tej jasności,
I choć je chmurą zakrywają burze,
I choć go skąpo mają ludzie prości,
To już mu widać i tak rozkazano,
By gasło w wieczór, a wschodziło rano...

Czasem to człeka jakaś najdzie zmora,
Że do uśmiechu wcale jest daremno,
A dusza taka pochmurna i chora,
Jakby naprawdę było wokół ciemno...
Lecz niech-no jeden, jeden promień złoty,
A wnet do życia tyle jest ochoty...

Wiem ja co nie bądź, choć-em nieuczony,
Że bez słoneczka wszystko-by zmarniało,
Za nic te wszystkie posiewy i plony,
Za nic byłoby ono człeka ciało —
I bez słoneczka, co łzy deszczów suszy,
Tożby i człowiek nie miał w sobie duszy!

Ono już takie, jak rosa na łące:
Żywi człowieka, jak ta rosa kwiaty;

Przez nie-to człowiek ma serce gorące,
Przez nie i rozum w światło jest bogaty, —
I każdy człowiek w swojej życia dobie,
Cząsteczkę słońca zawsze nosi w sobie.

Ja nie wiem jaką słońce to ma postać,
I czy ma promień każdy, niby strzałę;
Bo mi do głowy nie mogło się dostać,
Ale do serca — to wpłynęło całe:
To też, choć światło ledwie się tam budzi,
Serce już może ogrzać dużo ludzi.

Coby to było, gdyby w mojej chacie
Brakło promienia tego, co mnie żywi!
O, wy to wiecie, ludzie, bo je znacie,
Jak są bez słońca ludzie nieszczęśliwi:
Dla nich to cały świat z dolą sierocą
Jest niby grobem z wiekuistą nocą.

Straszno pomyśleć!... to też gdy dzień kona
I na mą chatę noc się kładzie cicha,
Płacząc, ku niebu wyciągam ramiona,
Bo coś pierś dławi i tak ją rozpycha,
Że krzyk bolesny tę ciszę roztrąca:
— Boże! daj jutro doczekać mi słońca!

Warszawa. *Józef Waśniewski.* [1])

[1]) Zmarł w Warszawie d. 19 lutego 1897 r.

PŁACZ SŁOWIŃSKI.[1]

(Rzecz osnuta na tle walki Słowian Nadbałtyckich z Niemcami w XII w[2]).

I.

Płacz, Słowińska ziemio cała,
Niech powieje Tobą żal!
To nie Piena[3] tak rozlała:
To rwą Niemcy nakształt fal.

Lecą kruki, lecą, kraczą:
„Uciekajcie, ludzie, z chat,
„Z dziećmi, z głodem i rozpaczą
„Do mogiły, albo w świat!“

Przeleciały wielką siłą
Nad strzechami naszych siół...
Oj, nam stokroć lepiej było
Ledz w mogilny, cichy dół!

Nam się zdało, że, jak matka,
Bór nas przyjmie w doli złéj;
Że strudzonych do ostatka
Noc okryje płaszczem z mgły;

Że Bóg z nieba na sieroty
Spojrzy jasnem okiem gwiazd;
Że tym ptakom da sen złoty,
Co śpią zdala od swych gniazd.

---

[1]) Słowińcami dotychczas nazywają się resztki słowiańskiej ludności, rozrzuconej na przestrzeni między Odrą a Kołobrzegiem.

[2]) W X wieku Otton Wielki, cesarz niemiecki wydał rozkaz wymordowania całego narodu Redarów, jednego z plemion Lutyckich; a w XII wieku na ocalałych jeszcze w lasach Wagirów (plemię Obotryckie) robiono literalnie obławy, paląc ich osady i wymordowując ich bez litości.

[3]) P i e n ą dotychczas się nazywa jedno z ujść Odry (Peene).

Przeciągnęły tłumy wioską;
Z płaczem każdy biegł, kto żyw;
Na opiekę zdano Boską:
Chaty, sady, zbiory żniw...

I w bór pierzchli nocną porą
Ci skazani, choć bez win...
A nas było tylko czworo:
Ja i żona, córka, syn, —

Tylko czworo, garstka taka,
Że ja nie wiem, czyby mógł
Nas, ukrytych, z poza krzaka
Dojrzeć żbika okiem wróg.

Lecz wróg dojrzał. Straszna siła,
Co do chaty ciągnie swej,
Ona tylko nas zdradziła —
Bo zdrad niema pośród kniej...

„Ja tam pójdę! — rzekła córka,
Gdy dzień pierwsze brzaski kładł.
„Ja tam pójdę, tam z pagórka
„Spojrzę, ojcze, na nasz sad!“

I łkać jęła pocichutku ..
I spojrzałem w dziecka twarz:
Była pełna łez i smutku,
Taka smutna jak kraj nasz.

Pomyślałem krótką chwilę...
„Chodźmy wszyscy, chodźmy tam,
„Jedna — chata i w mogile
„Jednej przyjdzie spocząć nam“.

I wracaliśmy już sami,
Pół szczęśliwi, trwożni pół,
Z psem, co chwytał wiatr nozdrzami
I o milę wroga czuł.

Ale wróg miał lekkie stopy
I był pełen wielkich zdrad:
Mewą płynął przez roztopy,
Lisem się wśród łąki kradł;

Złą godziną pełzał w lesie,
Echem jakiemś biegł wśród drzew...
Nam się zdało, że bór niesie
Na swych listkach jakiś śpiew;

Że nam gra tak piersią całą
Uroczyste szumy kniej:
A to w sercu tak nam grało,
Grało koło chaty swej.

Stała chata i tak samo
Okienkami mruga w las
I rozwartą swoją bramą,
Rzekłbyś, cicho woła nas:

„Chodźcie do mnie, nadzy, głodni!
„Gdzie ja jestem, tam Bóg jest".
A my szliśmy krwawej zbrodni
Krwawy w niej odebrać chrzest.

Wtem pies warknął z głuchym jękiem:
Oj, za późno ostrzegł mnie...
Co tam było za okienkiem,
Włos się jeży, gdy dziś śnię.

Jak robactwa pełna chata,
Jakby z drzwi się połóz wił,
Tylu pełza i wylata,
Pełnych jadu, grozy, sił...

Otoczyli nas do koła —
Twarze srogie, długi wąs,
Rude brody, chmurne czoła,
Dalej w wrzaski, dalej w pląs:

— „Ha, słowiński pies-poganin,
„Ha, jaszczurczy jego ród,
„Co nam nie chce płacić danin
„I z książęty wojnę wiódł..."

— „Ni ja wiodłem kiedy wojnę,
„Ni ja książąt jasnych znam;
„Życie moje tak spokojne!
„Tu ma chata, pole tam".

— „Co ich słuchać?! Na śmierć z niemi!“ —
Krzyczą, wznosząc stosy drew.
A ja zgiąłem kark do ziemi,
Choć kipiała w sercu krew.

Do nóg usta im przywarłem:
— „Toż ma żona, córka, syn;
„Mnie ukarzcie za to gardłem,
„Ależ oni są bez win!“

Odepchnęli mię i wrzeszczą,
Jakby niemi miotał szał,
Że aż skargą ech złowieszczą
Bór strwożony w koło drżał.

Syn mój, żywiąc zemstę w łonie,
Gdy szaleli, pełni żądz,
Wpadł do lasu z psem przez błonie;
Popędzili za nim, klnąc.

A już dzień nam zmierzchać zacznie;
Przeszła długiej nocy ćwierć...
I spojrzałem na tłum bacznie
I czytałem w rysach — śmierć!

Jeden wróg snadź sercem młody
Dziecko kusił mi jak wąż:
— „Ach, pożałuj swej urody,
„Ach, pójdź ze mną! — szeptał wciąż. —

„Będziesz miłą i pieszczoną,
„Będziesz żoną drugą mi“.
Oczy jej jak gwiazdy spłoną
I skroń chmura gniewu ćmi.

— „Precz odemnie!“ — zawołała,
Lica krasząc barwą róż —
„Pierw nim dotkniesz mego ciała,
„Pierw rozdzieli nas ten nóż“.

„Nie! w kwiat czoła nie ustroję,
„Ni mnie nazwie żoną — zbój,
„Dym wygryzie oczy moje,
„Wiatr rozwieje popiół mój!“

— „Dobrze, córko, dobrze! — rzekłem —
„Lepsza śmierć, niż hańba ta“ —
I zmierzyłem okiem wściekłem
Tego Niemca, tego psa!...

— „Więc giń!“ — krzyknął. A ci wściekli,
Jakby wstąpił w nich zły duch,
Z mych gołąbek szaty zwlekli,
Z mych męczennic biednych dwóch;

I pod głowę głaz im dali,
A pod ręce stosy drew,
A pod nogi im sypali
Wiązki kłosów — Boży siew.

I noc była nad ich głową,
Kwiat na piersi sypał maj;
A dokoła pieśń majową
Śpiewał cały święty gaj.

I przywlekli mię do słupa:
— „Psie, pokory tu się ucz!
„Stój, aż będzie już zgliszcz kupa,
„Stój i patrz, nie żałuj ócz!“

„Później przyjdzie kolej na cię!“
Ach! sam nie wiem, czy to sen...
Taki straszny śniłem w chacie...
Wiem, że młody, straszny ten,

Podszedł z cicha i płonącą
Żagiew cisnął tam na snop,
I płomienie z lekka trącą
Końce mojej córki stop.

„Stargam więzy!“ lecz powrozy
Były mocne, a tłum drwi —
I patrzyłem wzrokiem zgrozy,
Z oczu lejąc krople krwi.

Łez nie było dla tej męki,
Łez zabrakło oczom już;
Konających ciche jęki
Grzmiały mi jak ryki burz;

I, ujrzawszy z ognia do mnie
Wyciągniętych czworo rąk,
Wpół omdlały, nieprzytomnie
Długo wiłem się wśród mąk.

II.

I szła lasem wielka trwoga,
Uderzyły drzewa w krzyk;
Lecz czyż doszedł głos do Boga,
Co gdzieś w gwiezdnych stropach znikł?!

O, wczas mąk narodu mego,
Ty, niebieskich panie sił,
Gdy do Ciebie jęki biegą,
Gdzieś Ty, wielki Boże był?!

Zgasło. Wszyscy w noc tę ciemną
Poszli dalej gdzieś w bór nasz;
I zostało trzech nademną,
A ten młody sprawiał straż.

I tak legli spać pijani...
Wtem szmer jakiś słyszę znów:
Tam z mgły nocnej, jak z otchłani,
Coś się wiło nakształt snów.

To był syn mój, skarb mój wszystek,
A nóż w ręku lśniący miał,
A szedł cicho, — nie drgnął listek, —
Szedł do sennych owych ciał.

przebijał wrogom gardła
II słyszałem jego śmiéch
Nad tą zgrają, co tak marła:
Straszny był, lecz prędko zcichł.

Później przeciął więzy moje,
Ucałował zgliszczów pył,
I uciekliśmy we troje:
Ja, i on, i pies, co wył...

III.

Przeszły lata. Chodzę, brodzę,
Z nożem w ręku, z nożem tym

I zabijam ich na drodze
I ich wioski puszczam w dym.

Syn mój umarł. Ziemia wszystka
Drży w niewoli, ludzie mrą...
Jak kukułka, nie mam listka,
Gdzie przytulić głowę mą.

Płyną lata, jak łzy z powiek...
Pies zdechł nawet — wierny pies;
Lecz jam wytrwał, bom ja człowiek,
Bom ja dziecię krwi i łez.

Straszny jestem. Wilk ucieka
Od mych bolem wściekłych lic,
Staje trwożny i z daleka
Lśni oczami nakształt świec.

Niby jeleń chyży pędzę,
Jak żubr ryczę pośród pust,
Na tę mękę, na tę nędzę,
Chwytam zimny śnieg do ust...

I uciekam w nocnej ciszy,
Bo mi zdaje się, że wciąż,
Nie wiatr w liściach, lecz wróg dyszy
I szeleści, niby wąż.

I uciekam przez tumany,
Bo mi zdaje się, że łka
Głos mej córki ukochanéj
W gaju, z drzewa albo krza.

I przede mną wciąż latają,
Jak ognistych ptaków rój,
Dusze zmarłych, lekką zgrają,
Na straszliwy zowiąc bój.

Raz zbłądziłem na me zgliszcze,
I na okrąg pustych pól...
Wiatr w płaczących wierzbach świszcze,
Jakby niemi miotał ból.

I wyrosła tam topola,
Gdzie spalono córkę mą:

Wichry te, co ciągną z pola,
Tęskną skargę w listkach dmą.

I usiadła tam gołąbka
Na topoli — cicha tak;
Zda się, z białej chmurki rąbka
Był ów biały Boży ptak.

Popatrzała na mnie z wierzchu...
Tak żałośnie okiem swem
I rozwiała się wśród zmierzchu...
Duch to jej był? czy ja wiem?

I uciekłem. Nie mam listka,
Gdzie przytulić głowę mą.
Drży w niewoli ziemia wszystka
I w niewoli ludzie mrą.

Pieno, Pieno, bądź przeklęta!
Tyś na piersiach niosła swych
Wrogów na nas, niebożęta,
Nam na hańbę i na śmiech!

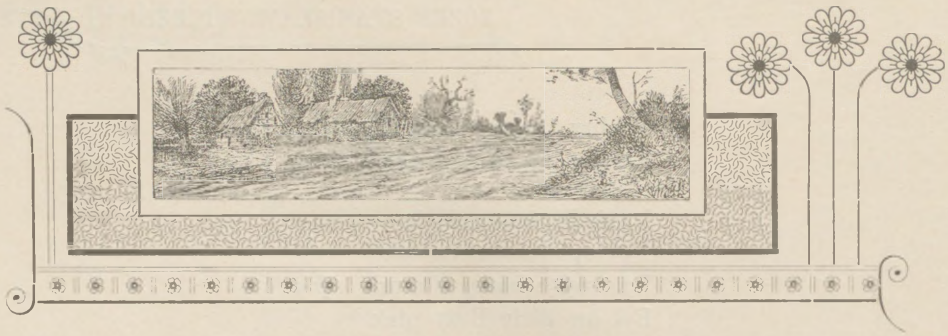
Wyschnij, zniknij z ziemi łona!
Słońce, świadku naszych mąk,
Ponad ludem, który kona,
Zgaś swój jasny, święty krąg!

Wichrze, przyjdź i w dniu zagłady
Ich, jak pyły z ziemi zwiej!
Ziemio, wstrząśnij swe posady
I zioń ogniem z piersi swej!

W nocy zniszczeń tajemniczéj,
Niebo, strop swój na nich zwal!
Morze, zalej kraj zbrodniczy
Bezmiarami swoich fal!

Niech do Boga w górę strzeli
Jęk z miliona bladych warg!
By tam w niebie usłyszeli
Płacz słowiński, pełen skarg!

Mińsk Litewski. *Józef Stanisław Wierzbicki.*



JOHN RUSKIN[1]

Pojęcie postępu jest dotychczas czysto podmiotowe, gdyż nie istnieje dlań żadna miara dokładna. Wprawdzie może nam statystyka dowieść, iż poziom śmiertelności spada, a płacy roboczej wzrasta, ale to bynajmniej nie byłoby jeszcze dowodem, że suma błogości wewnętrznej z biegiem czasu się zwiększa. I owszem, można przypuszczać, iż w miarę coraz lepszego zaspakajania potrzeb, wzrasta w człowieku zakres żądz i zdolność cierpienia. Ewolucja społeczna jest rzeczą żywiołową, w której przyjmujemy udział z musu, wcale nie wiedząc, czy ona z czasem doprowadzi nas do powszechnego pesymizmu, czy też do zadowolenia. Ruskin np. przypuszcza, iż formy średniowieczne pożycia zapewniały ludziom więcej szczęśliwości, niż obecne. Jest to hypoteza tyleż uzasadniona, co i wprost odwrotna, przewidująca urzeczywistnienie raju na ziemi dopiero w przyszłości. Niestety, wszystkie zarysy nowej budowy społecznej — takiego Morusa, Fouriera lub Bellamy — tchną melancholją domów niedokończonych, a które nigdy zamieszkałymi nie będą. Plany te są zbyt wązkie i ciasne, by mogły pomieścić całe bogactwo psychologiczne jednostki ludzkiej. Natomiast pomysły społeczne Ruskina są jak zarodki, które być może nigdy w stworzenia dojrzałe się nie rozwiną, w których jednak serce bije. Takiemi były nasiona życia, zawarte w dłoni Zeusa, zanim zapłodnił niemi światy.

By zrozumieć człowieka w całej jego złożoności, trzeba być nietylko ekonomistą i socjologiem, ale estetykiem i filozofem. Takim jest Ruskin. On nie zamienia kwestji społecznej na sprawę jakiejś alimentacji publicznej i powszechnego komfortu, nie oddziela jej od zadań sztuki i piękna. Jego zdaniem, piękno nie powinno być jakąś ozdobą zewnętrzną, rozrywką po pracy, lecz

[1]) Najlepsze prace o Ruskinie są następujące: *Collingwood:* Life and Works of J. Ruskin 2 v. 1893. — *Smart*: J. Ruskin, his life and work. — *Milsond*: J. Ruskin et l'esthétique anglaise. — *Cook:* Studies on Ruskin. — *R. de la Sizeranne:* La Religion de la beauté. Rev. des deux mondes, 1895. *Baillie*: J. Ruskin Aspects of his thougths and teachings.

centrem, słońcem życia, które wszystko w ruch wprawia. Nasz wiek przemysłowy zagasił to słońce, zasypał, zamulił drogi prowadzące od świata materjalnego do idealnego. Działalność artystyczna i społeczna powinna je rozczyścić, by przed ludźmi błysnęło ponownie piękno, ten czar tajemniczy, przenikający wszystkie rzeczy. Wówczas uwielbiać będą wszystkie stworzenia, kamienie, rośliny, zwierzęta, ludzi. Napełni ich jeden wielki hymn miłości. Zło zniknie jako dysharmonja, kult piękna zmieni nawet etykę — trzeba go tylko wprowadzić w sam środek bytu.

I.

John Ruskin urodził się w r. 1819. Ojciec jego, John James Ruskin, tory, presbyterjanin, był kupcem winnym a zarazem istotnym znawcą, miłośnikiem sztuki i piękna przyrody. Syn otrzymał po nim w puściźnie ten zapał estetyczny.

Dzieciństwo spędził w mgłach Londynu, później rodzice osiedli w Herne Hill (Surrey), i tu zaczął poznawać piękno rzeczy nieożywionych. Dom otoczony był wielkim ogrodem, w którym najchętniej przebywał, oglądając kwiaty. Rozdzierał je często na kawałeczki, by poznać wszystko, co w nich poznać mógł oczyma dziecka. Była to, nie ciekawość chorobliwa — tak przynajmniej Ruskin w swych wspomnieniach („Praeterita“) zapewnia — lecz pierwsze przejawy estetycznej admiracji, zamiłowania do prawdy i do nauk przyrodzonych.

Matka, kobieta cicha i dobra — jedynym przedmiotem jej nienawiści było papiestwo — wtajemniczała go w piękno Starego i Nowego Testamentu. Wpływ ten pozostawił później ślady niezatarte na wszystkich dziełach wielkiego pisarza. Nie mniej ważne pod tym względem były pielgrzymki artystyczne, które całą rodziną odbywali. Dziesięcioletnim chłopcem Ruskin zwiedził Szkocję i Francję, oglądając muzea, ruiny, zamki, klasztory. Poznawał świat nie z książek, i opowieści, lecz w jego formach oczywistych i dotykalnych. Do tej epoki należy wiersz, którym go natchnął widok jezior i gór Szkocji. „Wszystko, co sztuka zrobić może, jest niczem — powiada do przyrody — wobec ciebie. Ręka człowieka wzniosła góry pigmejczyków i grobowce olbrzymów. Ręka natury wzniosła szczyty gór, ale nigdy nie kopała mogił«. Zbiera po drodze szkice, bada kolory, odcienia. Nie znając języków obcych, z radością jednak pogrąża się w tłumy cudzoziemskie, by oceniać każdy ruch dla jego piękna, każdy głos dla dźwięku: wydaje mu się, iż jest na balecie lub operze.

W domu zajmuje się głównie zbieraniem kwiatów i kamieni. Kocha naturę tembardziej, iż oprócz rodziny nie zna żadnej żywej istoty. Wychowywał się zdala od rówieśników. Przy takiej dyscyplinie duchowej, wszystkie zdolności dziecka zwróciły się wyłącznie prawie do analizy form i krajobrazów. Jego poczucie estetyczne rozwijało się ze szkodą dla innych władz. Nie lubi ludzi, których twarz mu się nie podoba. Do gieometrji ma zamiłowanie, natomiast nie cierpi algebry. Cały świat wydaje mu się jakby miał tylko sens artystyczny, był stworzonym tylko dla rozradowania lub udręczenia wzroku. Sądzi, iż nasiona

i owoce istnieją tylko po to, by były kwiaty, nie zaś kwiaty dla nasion i owoców. Mając lat 14, poznał Szwajcarję, i od tego czasu zrodziła się w nim miłość głęboka, niewzruszona ku Alpom. Przyroda poraz pierwszy wystąpiła przed nim, nie w szarych odcieniach północy, lecz w niebieskim przepychu południa, w swej wielkiej, dzikiej, wolnej nagości; od tego czasu cały kierunek jego życia ostatecznie ustanowiony został.

Oto w jaki sposób opisuje pierwsze swe spotkanie z Alpami: „...Naraz — patrzcie!... tam daleko! Nikomu z nas nie przyszło na myśl, by to były obłoki. Te kontury były jasne jak kryształ, zaostrzone na czystym horyzoncie nieba i zabarwione na różowo przez zachód słońca. To przewyższało nieskończenie wszystko, cośmy sobie wyobrażali w myśli lub marzeniu. Gdyby mury raju utraconego naraz się pojawiły, nie wydałyby się nam piękniejszymi ani bardziej wzniosłymi... Zstąpiłem tego wieczora z terasy Schaffhuzy z losem ostatecznie utrwalonym, we wszystkiem, co on później miał mieć w sobie świętego i pożytecznego. Na tę terasę i na brzegi jeziora Gienewskiego me serce i ma wiara przenoszą się przy każdem uczuciu szlachetnem, które w nich bije i przy każdej myśli pociechy lub spokoju".

Od tego czasu kontemplacja natury staje się dlań, nie rozrywką, lecz powołaniem: myślą, wolą, sercem, należy do niej i do tych, co, jak Turner, mu ją objawiają i tłómaczą. „To uczucie — powiada o miłości natury — nie może być zrozumiane przez tego, kto go nie przechodził. Słowa Woodswortha „to mnie prześladowało, jak namiętność" nie dobrze to tłómaczą, gdyż to jest namiętnością. Trzeba tylko określić, w czem ona się różni od innych namiętności. Jakiego rodzaju uczuciem ludzkiem, w najwyższym stopniu ludzkiem, jest uczucie, które kocha kamień dla samego kamienia, obłok dla obłoku? Małpa będzie kochała małpę dla niej samej i orzech dla owocu, ale nie kamień dla kamienia. Dla mnie kamienie były zawsze chlebem"...

Mając lat 16 zakochał się w córce Francuza, który był wspólnikiem handlowym jego ojca. Był wówczas wyrostkiem niezręcznym i nieśmiałym. „Przy każdej sposobności zostania sam na sam z ukochaną Adelą, która była Hiszpanką z pochodzenia, Francuzką z wychowania i katoliczką z serca, rozmawiałem z nią o niezwyciężonej Armadzie, o bitwie przy Waterloo i o doktrynie transsubstantacji" — pisze Ruskin o kilkadziesiąt lat później. Matka oparła się małżeństwu ze względów religijnych, ale namiętność wpiła się w jego serce i trwała cztery długie, męczące lata. Nie mógł zapomnieć. Pojechano z nim do Francji, do Włoch. Napróżno! Bezmyślna apatja zawładnęła nim w zupełności. Nareszcie ujrzał ponownie Alpy i zaczął się odradzać. To nie powietrze alpejskie, lecz duch uwielbienia ku górom go zbawił.

Miłość natury wyleczyła go z zawodów sercowych; od tego czasu należy do niej w zupełności. Pierwsze jego artykuły drukowane w pismach naukowych traktują o rozmaitych kwestjach z fizyki i fizjografji. Na uniwersytecie oksfordzkim — dokąd matka mu towarzyszyła, by go nie zostawiać samego — studjował najrozmaitsze dziedziny wiedzy, kierując się głównie fantazją i upodo-

baniem. Słuchał tylko tych profesorów, którzy mieli styl w twarzy, odzieniu i ruchach, i przypominali mu bądź Holbeinowskiego „Erazma", bądź „Melanchtona" Dürera. W r. 1839 otrzymał nagrodę za poezję i zajął się malarstwem, które studjował pod kierownictwem Copleya Fieldinga i I. D. Hardinga. Ale wszystko to były tylko przygotowania do jego pracy krytycznej, której miał przyświecać wciąż ten sam ideał: miłość natury.

W roku 1843 wypuścił pierwszy tom swych „Malarzy nowożytnych" *(Modern Painters);* napisał go w obronie Turnera i dla pokazania, iż jest on pejzażystą najbardziej „naturalnym", jaki kiedykolwiek istniał. By zebrać materjały do dalszego ciągu swego dzieła, jedzie do Włoch i wydaje w r. 1846 drugi tom, gdzie rozbiera z tego samego punktu widzenia malarzy dawniejszych Rzymu i Wenecji, a w latach 1855, 1856 i 1860 — III, IV i V tomy przeznaczone na krytykę malarzów współczesnych. Ten jednostronny punkt widzenia, jakkolwiek z czasem zmieniany, rozszerzany, był źródłem masy zdań paradoksalnych, które potężnie przyczyniły się do rozgłosu autora. Estetyk kazał zachwycać się poprzednikami Rafaela, a zarazem stanąć w obronie współczesnych prerafaelitów, którzy także powoływali się na naturę.

Ten sam nareszcie ideał przyświeca Ruskinowi w jego poglądach na architekturę, wyłożonych w „Kamieniach Wenecji" *(The Stones of Venice 1853)* i w „Siedmiu Lampach Architektury" *(The Seven Lamps of Architecture, 1849).* I w tej dziedzinie sztuka gotycka ma przedstawiać naturalność wobec manieryzmu epoki odrodzenia.

Ta miłość przyrody, dochodząca do jakiegoś mistycznego marzycielstwa jest głównym rysem fizjonomji duchowej Ruskina. Ona wyleczyła go z pierwszych zawodów sercowych, a następnie pozwoliła mu przeżyć i inny cios tegoż rodzaju. Pod wpływem rodziców ożenił się w r. 1848 z piękną dziewczyną, która po sześcioletniem pożyciu go opuściła. Ten przełom łatwiej mu było znieść, niż pierwszy, który długo jeszcze odbijał się w nim echem bolesnem. „Kto wie — powiada z żalem w „Praetereta" — czembym się stał, gdyby wówczas miłość była ze mną, a nie przeciw mnie, gdybym miał radość uczucia dozwolonego i zachętę nieobliczoną j e j sympatji i j e j admiracji".

Wkrótce potem życie spokojne, które dotychczas pędził, przestało mu wystarczać: inna strona jego duszy zaczęła wołać o pokarm. Znajdując się w ukochanych Alpach, pośród najwspanialszych widoków, stawia sobie pytanie: czy ma prawo bezczynnie oddawać się swej namiętności ku naturze? W marcu 1863 r. pisze do przyjaciela: „Samotność jest tu wielka, ale spokój ten czyni na mnie wrażenie, jakgdybym był pochowany w kłębie trawy na polu bitwy zalanem krwią i jakby zewsząd krzyk rannych dobiegał do mych uszu... Jest mi bardzo źle, rozdzieranym pomiędzy żądzą pokoju i poczuciem tego strasznego wołania zbrodni ludzkiej, której trzeba przeciwdziałać, i nędzy ludzkiej, której trzeba pomagać".

Przypomina sobie, iż w tych cudownych pejzażach żyją nieszczęśliwi chłopi, zapomina na chwilę o Turnerze, o estetyce, czyta ekonomistów, poznaje, iż

są głupi z tem ogólnem swem zadowoleniem, i nareszcie, opierając się na Carlyle'u, buduje sobie cały system pojęć społeczno-ekonomicznych i energicznie zaczyna go wcielać w życie. Zakłada i popiera kolonje rolnicze i przemysłowe, oparte na nowych zasadach społecznych, i cały szereg innych przedsięwzięć tego rodzaju, jak domy ze zdrowemi mieszkaniami robotniczemi, szkoły, muzea artystyczne dla ludu i t. d. Pięć miljonów pozostawionych przez ojca rozeszło się w ten sposób: sprzedaje wówczas swe obrazy i kosztowności. Ale i potem jeszcze nie uważa, iż by zrobił wszystko, co zrobić był powinien. Wyrzuca sobie dobrobyt swego życia. „Siedzę tu, probując zreformować świat — powiada do jednego ze swych przyjaciół — a tymczasem powinienbym rozpocząć od siebie samego. Chcąc dokonać dzieła św. Benedykta, trzeba samemu być świętym. A tymczasem żyję sobie tu pośród kobierców tureckich i obrazów Tycjana"...

Istotnie, to reformowanie ludzkości staje się już obecnie polem karjerowiczowstwa, zdobycia wpływu i bogactwa. Niema rzeczy obrzydliwszej, nad widowisko osób majętnych, które idą nieść biedakom „dobrą nowinę", prawić im kazania o cnocie, równości, poświęceniu. Jeżeli ich przekonania są im istotnie tak drogie, to mogą przecież uczynić dla nich ofiarę ze swych wygód materjalnych, które apostołom wcale nie przystoją. By mieć prawo przemawiania do biedaków, prowadzzenia ich do ziemi obiecanej, trzeba żyć jak ci biedacy. Pod tym względem przykład Tołstoja, to pośmiewisko obłudników, jest niewymownie pięknym i wzniosłym. Nic tej sprzeczności zagładzić nie zdoła, i Ruskin otwarcie się do niej przyznaje, a zresztą on czynił wszystko, co mógł, by przynajmniej zbliżyć się do ideału: brał lekcje zamiatania ulic i mularstwa ściennego. Często ze swymi uczniami zastępuje brukarzy w ich pracy. O Tołstoju powiadał: „To będzie mój następca", a Tołstoj o nim: „Jest to jeden z największych ludzi naszego wieku".

Te ćwiczenia mięśniowe mają jeszcze inny sens: są protestem przeciw pracy maszynowej, która jest brzydka i niezdrowa. Ruskin jest namiętnym zwolennikiem przemysłu drobnego, ręcznego — który łatwiej pogodzić się może z wymaganiami estetyki — i zarazem wrogiem zapamiętałym kolei żelaznych. One to psują najładniejsze krajobrazy i demoralizują ludność.

— Miasto Ulverstone — powiada z tego powodu — jest odległe odemnie o mil 12, z czego 4 mile drogi górskiej koło jeziora Coniston, 3 doliną przez pastwiska i 5 brzegiem morskim. Trudno znaleść przechadzkę ładniejszą i zdrowszą. Za dawnych czasów, gdy chłop z Conistonu miał interes w Ulverstonie, udawał się tam pieszo, nie tracił nic oprócz skóry swych butów, pił u strumyków i, jeżeli wydał kilkanaście groszy, gdy doszedł do Ulverstone'u, był to koniec świata. Obecnie ani by mu przez myśl nie przeszło postąpić w ten sposób. Idzie naprzód 3 mile w kierunku odwrotnym, by znaleść stację kolejową i następnie odbywa 24 mile jazdy, by dojść do celu, płacąc 2 szylingi za miejsce. W ciągu drogi siedzi bez myśli, bez zajęcia, pokryty kurzem, i jest mu albo za zimno, albo za gorąco. W obydwu wypadkach pije piwo na 2—3 stacjach w towarzystwie znajomego, rozmawia, nie mając nic do powiedzenia,

a takie rozmowy są zawsze wadliwe. Przybywa do Ulverstone'u znużony, nawpół pijany, zdemoralizowany i o 3 szylingi uboższy, niż rano".

By być w zgodzie z tem przekonaniem, Ruskin nigdy koleją ani sam nie jeździ, ani nawet rzeczy swych nie przewozi. Używa tylko karety i wozów.

Jest sam wydawcą swych dzieł. Ma własną księgarnię, położoną o kilkanaście mil za miastem, śród pól i lasów. Nie zawiera ona ani maszyn, ani subjektów pracujących dla płacy i pozbawionych inicjatywy osobistej. Zakład prowadzą uczniowie i przyjaciele Ruskina, artyści, pisarze.

Z naturą apostoła, która chce pracować dla dobra ludzi i każde słowo natychmiast w czyn zamienić, nic dziwnego, iż ściągnął na siebie posądzenie o nietolerancję i dumę. Wrogowie pochwycili masę sprzeczności zawartą w jego teorjach, by go wystawić na pośmiewisko.

Istotnie, o każdej kwestji wypowiadał dziesięć zdań rozmaitych, a często odwrotnych. Tyranja społeczna wymaga, jeżeli człowiek w 20-tym roku wypowiedział jakieś twierdzenie, by następnie przez całe życie wlókł za sobą tę taczkę. Wszystko w naturze się zmienia, obłoki, drzewa, zwierzęta — nic nie trwa: czemuż by tylko jeden człowiek miał zostawać niezmiennym? Ruskin myślał w różnych epokach inaczej — a ponieważ był szczerym — pisał inaczej. Pedanci powiedzieliby: czemuż nie czeka, aż poznał ostatecznie prawdę, by ją wówczas dopiero wypowiedzieć? Otóż, niestety, pogrążeni jesteśmy w niewiadomości bez granic i niema żadnego dowodu, iż ostatnie nasze zdania są bardziej prawdziwe niż pierwsze. Dlatego powinny nas interesować wszystkie jednakowo. Dusza jest tem bogatsza, im więcej wizji rozmaitych świata jest w stanie wytworzyć. To tylko drobne duszyczki systematycznie zasklepiają się naraz w jakimś jednym poglądzie, z którego nic już wypędzić ich nie zdoła. Ot przykłady sprzeczności u Ruskina: jako protestant napadał na renesans, ale był zachwycony pięknem estetycznem papiestwa i w tym sensie nawet zmienił swe poglądy religijne. Ten demokrata ma zamiłowania i smaki arystokratyczne, a od ludu, dla którego chciałby wszystko zrobić, wymaga zarazem biernego posłuszeństwa. Czyni on niechcący wrażenie wielkiego pana, który swe fantazje zaspakaja na skórze biedaków, nie bardzo się licząc z ich własną chęcią. Nie tylko nie chce, by śród członków wymarzonego przezeń społeczeństwa panowała „wolność" i „równość", ale chętnieby ich przyodział w ubiory własnego pomysłu. Byłoby to bardzo ładne, ale przypomina potrosze kaprysy Wilde'a: zauważywszy przed swym domem biedaka, którego łachmany obrażały wzrok, obmyślił sam *un costume de mendiant*, kazał go uszyć u najpierwszego krawca Londynu i podarował biedakowi, który od tego czasu nosi odzież pełną stylu.

Z niektórych rysów możnaby nawet sądzić, iż Ruskin ugania się za oryginalnością, jak to czynią „esteci", których uważa za osobistych swych nieprzyjaciół. Tak nie jest; ale w każdym razie jest to istota nader złożona i dlatego w znacznym stopniu komedjant nieświadomy. Określenia szczerości i nieszczerości są tu nieodpowiednie.

II. Teorje estetyczne Ruskina.

Modern Painters rozpoczęte były w roku 1843, gdy autor miał 24 lata, dokończone zaś dopiero w r. 1860. Dzieło nosi ślady wszystkich zmian, które Ruskin w tym okresie przechodził: stąd masa sprzeczności, nawet w poglądach zasadniczych. Zaczął od realizmu najelementarniejszego: jedynem zadaniem malarstwa jest odtworzenie rzeczywistości. Czyni to w imieniu „miłości natury i pokory chrześcjańskiej. Świat jest dziełem Boga, które człowiek powinien uwielbiać na klęczkach, nie powinien zaś, na wzór szatana, przeciwstawiać swych własnych pomysłów pomysłom Przedwiecznego. To tylko zarozumiałość głupców może przypuszczać, iż ich fantazje mogą kogokolwiek interesować. On się dziwi, jak można obmyślać krajobrazy nieistniejące, kiedy mamy tyle cudownych, które trzeba tylko przenieść na płótno, by wzbudzić zachwyt powszechny.

Nic dziwnego, iż w ten sposób doszedł do wniosku, że „wartość obrazu jest zależną od liczby i znaczenia wiadomości o świecie rzeczywistym, których on nam dostarcza". Zarazem jednak okazuje się, iż pozór zewnętrzny nie jest bynajmniej tym realizmem, o który jemu chodzi. I owszem, chwytanie podobieństw, naśladownictwo przyrody było, zdaniem Ruskina, jednem z głównych źródeł upadku sztuki, gdyż uganiając się za prawdą powierzchowną, artyści spuszczali z widoku prawdy głębokie i charakterystyczne, mianowicie wszystko, co się tyczy funkcji, stosunków, natury wewnętrznej rzeczy. Malarz powinien być zarazem uczonym, który rozumie energje ukryte zjawisk przedstawianych, ich sens, pochodzenie i cel. Krajobraz powinien w najdrobniejszych nawet szczegółach zadowolić wymagania gieologa i biologa, obraz historyczny — archeologa i dziejopisarza. Jednocześnie malarz powinien być filozofem i poetą: jego utwory powinny wzbudzać w widzu wszystkie wzruszenia artystyczne, moralne lub religijne, które sceny przedstawione byłyby w stanie, w rzeczywistości wzbudzić. Wszystko to nie jest, zdaniem Ruskina, kompozycją, ani wynalazkiem, wszystko powinno być z natury brane: obraz przedstawiający wybuch Wezuwiusza lub ukrzyżowanie Chrystusa jest dobry tylko wtedy, gdy wzbudza w nas zupełnie też same uczucia, jakie wzbudzałby w nas widok bezpośredni tych scen. Powołując w ten sposób wszystkie władze ducha do współdziałania w twórczości, Ruskin wymaga zarazem, aby one zadawalały się objaśnianiem zjawisk rzeczywistych, wyobrażenia zaś artysty powinny grać rolę zupełnie bierną, jego „ja" nie powinno nigdy czynnie występować.

A więc malarz ma przedstawiać zjawiska, nie tak, jak one się odbijają w jego umyśle, gdyż to odbicie jest niezupełne i zepsute lecz jakiemi są w rzeczywistości. Jak gdyby można było znać rzeczy, jakiemi są w rzeczywistości. Od czasów Kanta doskonale jesteśmy przeświadczeni, iż nigdy tego wiedzieć nie będziemy. Jakże naiwnem jest także mniemanie, iż wzruszenia moralne, filozoficzne czy religijne, które artysta umie zakląć w płótnie, znajdują się „w naturze" samej i że malarz powinien je tylko ślepo i biernie oddać!

Tak ograniczać sztukę do „prawdy", to zapoznawać najgłębszą jej istotę: w tyglu wyobraźni wszystkie materjały mogą się zamienić na złoty kruszec

piękna, i dlatego nie sądzimy, by warunki naukowe, stawiane przez Ruskina — o ile one przez ten tygiel, t. j. przez mózg artysty przetworzone zostaną — nie mogły wydać utworów pięknych: świadectwem obrazy Prerafaelitów. Ale i ten wypadek nie dowodzi prawdziwości teorji Ruskina, i owszem, on ma miejsce wbrew tej teorji, a tembardziej nie widzimy potrzeby odsądzania od czci i wiary innych kierunków. Wprawdzie istnieje wiele utworów, które, wcale nie odstępując od podkładu dziejowego lub przyrodzonego, są piękne. Ale ileż mamy całkiem fantastycznych, a odpowiadających najbardziej wyszukanym wymaganiom sztuki? Ileż takich, gdzie czynnik realny wiąże się w sposób harmonijny i artystyczny z czynnikiem wyobraźni? Prawda poetyczna nie powinna być mieszana z historyczną lub przyrodzoną: aby pewien fakt był prawdziwy w poezji, nie koniecznie ma pochodzić z rzeczywistości. Wszelkie z góry narzucone systemy są w estetyce błahe i próżne. Granice rzeczy dozwolonych są tu zakreślone przez granice możliwych. W tej dziedzinie powodzenie jest jedynym miernikiem cnoty. Co jednemu wolno, nie przystoi drugiemu.

Jedno tylko nie ulega wątpliwości: iż sztuka jest syntezą subjektywną dlatego, iż każda działalność duchowa nią jest. Artysta może używać wszystkich danych nauki i prawdy, ale dodając do nich zawsze coś, co w jego własnym mózgu zawierać się winno: czynnik syntetyczny, twórczy. Wprawdzie i uczony wprowadza ten czynnik w martwą naturę: ale to będą prawa logiki, formy myślenia, które po za naszym mózgiem nie istnieją, moralista: czynnik dobra, nareszcie poeta, malarz, wogóle artysta — czynnik wzruszenia, chociażby nielogicznego, chociażby niemoralnego. A i my, zwykli śmiertelnicy, nigdy „natury“, ani „prawdy“ znać nie będziemy; one muszą zawsze przejść przez jedną z tych operacji syntetycznych, a zwykle przez wszystkie trzy jednocześnie, z przewagą jednej lub drugiej, co sprawia, iż każdy z nas „naturę“ i „prawdę“ inaczej pojmuje: subjektywnie. Jeżeli wymagać będziemy od artysty, nie specjalizacji, lecz stanowiska ogólno-ludzkiego, to zbliżymy się najbardziej do wymagań Ruskina; ale to nie przeszkadza, by teorja, na której on te wymagania opiera, nie była mylną i by praca umysłowa artysty, jak i każdego śmiertelnika, nie była syntezą subjektywną — wprost dlatego, iż objektywnej natury, rzeczywistości nigdy znać nie będziemy.

Pomimo nader subtelnej djalektyki, sprzeczność wewnętrzna w wymaganiach Ruskina od sztuki pozostaje nienaruszoną. Z jednej strony chce on, aby obraz był tylko przedmiotowem sprawozdaniem, bez udziału duchowego artysty, z drugiej — obraz ma być pełen uczucia i myśli, co właśnie wymaga współdziałania osobistości twórczej, syntezy, o której powyżej mówiliśmy. Napróżno Ruskin stara się z delikatnych sofizmatów rzucić most nad tą otchłanią: ona pozostaje niepokonaną. Zobaczymy to na jego teorji „imaginacji“, której z biegiem czasu zaczął udzielać w sztuce coraz więcej miejsca, obok wymagania „prawdy“. Kompozycja — mówi Ruskin — polega na świadomem obrachowaniu środków i zastosowania ich do określonego celu; imaginacja natomiast tworzy jednym rzutem całość organiczną: tu nie może być mowy

o pracy logicznej, gdyż artysta nie ma nawet świadomie postawionego celu, ku któremuby podprowadzał szczegóły. Jest to proces niepojęty, który posiada pewne analogje z procesem chemicznym: czynniki pokrewne, zdolne wytworzyć całość wyższą, łączą się nieświadomie pod wpływem imaginacji „jednoczącej". Do tego gatunku, wskazanego już przez Coleridge'a i Schellinga, Ruskin dodaje dwa inne: imaginację „przenikającą" i „kontemplującą".

Logika analizuje i od powierzchni rzeczy przechodzi do środka. Imaginacja natomiast przenika odrazu do istoty rzeczy; ona ją chwyta w lot, bez uprzedniej analizy, wskazując źródło, z którego wypływają wszystkie szczegóły. Ona jest dedukcją, a nie indukcją.

Nareszcie trzecia własność imaginacji polega na tem, iż ona umie wyrwać i odosobnić jedną tylko jakąś stronę rzeczy i rozpatrywać ją samą w sobie.

Tym władzom imaginacji — które można zresztą uważać za działalność mózgową, za cerebrację nieświadomą — Ruskin z biegiem czasu przypisywał coraz więcej znaczenia. Porzucając realizm naiwny pierwszego tomu „Malarzy nowożytnych", przyjmuje w dalszym ciągu wszystkie, chociażby najbardziej kapryśne i fantastyczne wytwory wyobraźni. Idąc coraz dalej po tej drodze, doszedł nareszcie do wyznania, iż artysta ma przedstawiać rzeczy nie takiemi, jakie są w naturze, lecz jakiemi przejawiają się w naszym duchu. Przyparty w ten sposób do muru przez rozwój swej własnej djalektyki, Ruskin powinien był, wydawałoby się, odwołać pierwszą swą teorję. Ale bynajmniej, on stara się tylko zarzucić między pierwszą a drugą most sofizmatów, który ma pogodzić obiedwie. A mianowicie: źródło piękna widzi, nie w naszych wrażeniach, lecz w idei zawartej w rzeczach samych. Każdy rodzaj piękna jest tylko śladem pewnej doskonałości boskiej, którą Stwórca pozostawił na swych dziełach. Każda realność jest tylko wcieleniem pewnego atrybutu Boga i przyciąga dlatego jakąś cząstkę boską naszej natury, odzwierciadla się w naszej imaginacji. A więc jedność świata jest oznaką wszechpojętności Boga, spokój jego wieczności, symetrja — sprawiedliwości, czystość — energji i t. d. Imaginacja artysty spostrzega właśnie te „realności", poznaje prawdę i istotną naturę rzeczy.

Widzimy z tego, iż realizm Ruskina pochodzi w linji prostej od Platona, dla którego rzeczy istniejące są niczem więcej, jak tylko zwykłymi cieniami, a rzeczywistość kryje się w typach rzeczy niewidzialnych. Odtworzenie tych typów stanowi, według Ruskina, prawdziwy cel sztuki i naturalne zadanie imaginacji, która jest zresztą spokrewniona z nimi w boskości pojętej na wzór panteizmu Schellingowskiego. W każdym razie nie przyznaje, by piękno polegało na pewnym stosunku między nami i rzeczywistością, i dlatego cała nowoczesna estetyka, oparta na fizjologji zmysłów, jest dlań księgą zamkniętą. By sobie objaśnić czar wywierany przez wielkich kolorystów, tworzy odpowiednią mitologję alegoryczną. W każdej barwie upatruje wcielenie mistyczne jakiejś cechy moralnej.

Wszystko to wypływa z fałszywego dylematu „prawdy" i „kłamstwa", w który Ruskin chciał zamknąć sztukę. Czy istotnie ona jest tylko odbiciem

natury, dlatego, że artysta musi kombinować czynniki zawarte w przyrodzie? Ten spór daje się łatwo sprowadzić do kwestji o niezniszczalności materji i siły. Czyż chemik, który z dwóch ciał istniejących tworzy trzecie, nie dodaje nic nowego do natury? Ba, czy i kucharz, który z kawała polędwicy robi befsztyk, nie jest swego rodzaju twórcą? Czyż artysta, który materjały wzięte z rzeczywistości układa według własnej swej myśli i emocji, nic do natury nie dodaje?

Sztuka jest grą wrażeń, ich źródłem pierwotnem jest rzeczywistość, ale wyobraźnia może je układać i wiązać w kombinacje, których przyroda nie zna. Ruskin przypuszcza zupełnie dowolnie, iż wyobraźnia, która chwyta fałsz, nic nie chwyta; ależ ta dowolna gra wrażeń jest swego rodzaju fałszem: ona nie jest odbiciem natury, lecz wprowadzeniem do niej rzeczy nowych. I dlatego chimerycznem jest żądanie, by sztuka chwytała tylko „prawdę".

Wszystkie sympatje Ruskina należą do t. zw. malarzy pierwotnych, pełnych symbolizmu i ekspressji; Rafael zdetronizował sztukę, mającą na celu „prawdę", a wprowadził na jej miejsce sztukę „pięknych póz" i „kłamstwo". Malarze dawniejsi, średniowieczni mieli na celu tylko przedstawienie rzeczy takiemi, jakie są, a ich symbole świadczą tylko o ich prawdziwości. Wraz z Rafaelem sztuka przestała być realną: jego płótna to „machinacje na zimno pięknych pozorów i wyszukanych wdzięków podług formułek akademickich".

Nie mniej bezlitośnym jest krytyk względem Michała Anioła. Jego Mojżesz, Dawid, Izajasz i t. d. to tylko potężni atleci o stalowych mięśniach. „Ale czyż wyobrażacie sobie, aby te utwory nasunęły wam na myśl kiedykolwiek czyny tych ludzi?" — zapytuje autor.

Natomiast arcydziełami dla Ruskina są obrazy w rodzaju „Rodziny świętej" Tintoreta, gdzie na tle oddalonem widnieje stary mur na pół zrujnowany i obok niego początki nowej budowli Są to symbole, któremi artysta daje do zrozumienia, iż stara epoka żydowska jest na ukończeniu, następuje zaś nowa — chrześcijańska.

Na innym obrazie tegoż malarza, „Ukrzyżowanie", zachwyca Ruskina osioł pasący się na uboczu Kalwarji i mający świadczyć o materjalizmie żydowskim. Zdaniem krytyka angielskiego obraz powinien być sądzony na tychże zasadach, co książka, a malarz jest tylko wówczas wielki, gdy jest wielki, jako myśliciel i poeta. „Najlepszy obraz — powiada — jest ten, który zawiera najwięcej myśli i myśli najwyższych", i dodaje, iż „myśli najwyższe są te, które najmniej zależą od formy, która je przyobleka". Doskonałości technicznej Ruskin przypisuje bardzo mało znaczenia. To żądanie idei, tylko idei, w rzeczach poświęcanych zwykle wyłącznie formie jest dowodem osobowości potężnie rozwiniętej, i która nie daje się specjalizować. Również wszystkie jego sprzeczności okazują głębie duchowe niezróżniczkowane, niewyczerpane. Po pewnym czasie każdy pisarz staje się zwykle rozpaczliwie znanym, gdy cała jego natura wewnętrzna już się zróżniczkuje i przybierze formę jasnych koncepcji — nic niespodzianego zeń trysnąć nie może. Nie ma w nim żadnej sprzeczności,

jest prawidłowy jak figura gieometryczna i czyściutki jak magazyn dobrze utrzymany. Na Ruskinie, natomiast możnaby sądzić, iż proces jego formacji wewnętrznej jeszcze się nie zakończył: w nim jądro duchowe nie rozłożyło się na oczywiste listki kwiatu t. j. na istniejące pojęcia społeczne. I dlatego on zachował zdolność intuicji i twórczości. Zastanówmy się nad tem bliżej.

Poznanie może kroczyć dwiema drogami: albo analizą — t. j. drogą wytworzoną przez rozwój społeczny, oparty na specjalizacji, albo intuicją, która chwyta naraz istotę rzeczy, przyczem procesy logiczne odbywają się uprzednio i niepostrzeżenie, po za progiem świadomości. Człowiek pierwotny, o duchowości niezróżniczkowanej, poznawał w ten właśnie sposób. To, co my teraz odczytujemy drogą moralnej syllabizacji analitycznej i jeszcze mozolniejszej syntezy świadomej, człowiek pierwotny chwytał w lot drogą gienialnej intuicji — która jest analizą i syntezą skróconą i nieświadomą — i która, jak błyskawica, rozdzierała mu mroki. Wszystkie wynalazki i odkrycia z czasów historji są niczem w porównaniu ze zdobyczami przedhistorycznemi. Czem jest np. cała literatura w porównaniu z wynalazkiem i wytworzeniem języka? Fraszką! I jakie głębie pojmowania języka w swej budowie wewnętrznej zdradza! Obecnie np. tylko po mozolnych dociekaniach analiza duchowa znajduje pokrewieństwo między uczuciami zemsty i wdzięczności. Dla słowianina pierwotnego to pokrewieństwo było oczywistem, jak to widzimy, ze wspólnego pierwiastku dla pojęć nagrody (mzda) i zemsty (mścić). Na językach można najlepiej się przekonać, jak nieuzasadniony jest przesąd, jakoby postęp w społeczeństwie pierwotnem opierał się tylko na odkryciach i wynalazkach przypadkowych: my tu na każdym kroku odnajdujemy promienie gienjalnej, intuicyjnej świadomości. Ogień, dźwignia, koło, wóz, naczynia, przyswojenie zwierząt, uprawa roślin i t. d. — wszystkie te wynalazki należą do tejże dziedziny psychologicznej. Następny rozwój społeczny, historyczny, charakteryzuje się głównie podziałem pracy, specjalizacją, która do duszy ludzkiej wprowadziła czynnik analizy i myślenie logiczne t. j. takie, które u wszystkich w jednakowy sposób się powtarza. Ale dlatego właśnie siły intuicji coraz bardziej wyczerpują się i dlatego, gdy pisarz dochodzi do kresu swej formacji t. j. gdy całe jego wnętrze duchowe rozłożone zostaje na istniejące pojęcia społeczne, staje się niezdolnym do twórczości. To tylko poeci najtrudniej poddają się tej tyranji zewnętrznej i najdłużej zachowują nienaruszone siły intuicji i imaginacji. Takim poetą i jednym z największych naszego wieku jest Ruskin. Jeżeli w jego dziełach wskazać można wiele sprzeczności, to zarazem zawierają one cały ocean piękna. On nie dał się zamknąć w żadnej specjalności, ma oczy utkwione we wszystkie prawie dziedziny myśli i wszędzie jest oryginalny. Specjalizacja prowadzi nawet natury zdolne do bezpłodności: przesąd pożytku społecznego każe nam zwykle zamykać oczy na elementarną zasadę hygjeny duchowej. Ten brak specjalizacji pozwolił Ruskinowi zachować dotychczas młodość ducha. On jest żywym protestem przeciw tej tyranji społecznej, zabójczej, która jest, choć jej nie spostrzegamy, a także przedstawicielem kultu szlachetnego „ja“, jedynego,

który po upadku wszelkich innych kultów pozostał nienaruszony. Na czem ten indywidualizm Ruskina polega, najlepiej widzimy z jego napadów na wiek odrodzenia. Myśl, uczucie, wyobraźnia miały zniknąć wówczas z dziedziny sztuki i ustąpić miejsca powierzchownemu sensualizmowi, próżnej ostentacji i rzemieślniczej zręczności. Jest to pogląd tak niesłuszny i tak stronniczy, iż objaśnienie jego znaleść można tylko w namiętnościach religijnych autora. Ten protestant i antipapista przypisywał upadek sztuk pięknych zanikowi ducha chrześcijańskiego i odrodzeniu się pogaństwa. Ruskin występuje przeciw renesansowi nie tylko w imieniu religji, ale także w imieniu demokratyzmu. Architektura ówczesna, zdaniem jego, powtarzając formuły greckie i rzymskie, wykazywała z jednej strony pogardliwy pedantyzm, będąc zrozumiałą tylko dla uczonych, dla tych, co czytali Witruwiusza, z drugiej zaś — miała wrzekomo na celu poniżyć biedaka: i swym chłodem arystokratycznym i pretensjonalną godnością własną, która wieje z tych kamieni i nareszcie przygniatającym ciężarem bogactwa, o którem świadczą potężne masy budowli, emfatyczne powtarzania, liczne kolumnady. Słowem, cały system budownictwa ówczesnego miał być wyrazem ducha arystokracji, kleru i uczonych. Jest to sztuka sensualizmu i etykiety, pochlebstwo z marmuru i kamienia pod adresem rozpanoszonej próżności, która tchnie pogardą. Wszystko ma tu na celu pompę i zbytek, a skrzętnie omija każdy szczegół, który mógłby zainteresować myśl, jakby z obawy odwrócenia uwagi od wystawy wspaniałości. Artysta nie ma tu nigdy zamiaru zgotowania dla wszystkich dostępnej uczty rzeźbionych liści i kwiatów, lub scen śmiesznych i wzruszających, jakie znajdujemy na katedrach gotyckich: on jest pedantem, który chce pokazać tylko swą znajomość pięknych obyczajów i czystość klasyczną swego smaku.

Ruskin stara się wyzwolić architekturę z pod ciążenia tych reguł praktycznych; wskazuje jej natomiast nowe reguły moralne, które zresztą nie krępują, jego zdaniem artysty, lecz pozwalają mu swobodnie oddawać się polotom swej fantazji. Żąda on od artysty, aby się wyzwolił od próżności, drobiazgowości, dążenia do zysku i aby natomiast kierował się oszczędnością, poświęceniem, niezależnością ducha, wyrozumiałością! W tych granicach trzeba tworzyć zupełnie swobodnie, a nie zadawalać się mechanicznem zastosowywaniem uświęconych formułek.

Nienawiść, którą czuje do wieku odrodzenia, Ruskin przenosi i na pogaństwo. W sztuce greckiej np. znajduje tylko formalizm, co ma wrzekomo stąd pochodzić, iż starożytność poświęcała jednostkę gminie i państwu. Z drugiej strony, z cech indywidualnych, Grecy rozwijali tylko miłość własną, dumę, miłość sławy. Dlatego też Grek, zadowolony z siebie zwracał uwagę tylko na człowieka, otaczająca natura wcale go nie obchodziła, lub bardzo nie wiele. Krajobraz miał tu tylko tyle znaczenia, o ile był tłem i mógł wydzielić osobę ludzką; w sztuce greckiej istnieje wciąż harmonja i symetrja, jakiej w naturze nie spotykamy, a jeżeli w budowlach greckich znajdujemy wizerunki liści lub kwiatów, to niesłychanie uproszczone, służące tylko za znak pewnej myśli

ludzkiej. Dopiero chrześcijaństwo wprowadzeniem cnót pokory i samopoświęcenia mogło odwrócić uwagę człowieka od niego samego i skierować ją na świat zewnętrzny. Z drugiej strony wyzwoliwszy go wrzekomo z poddaństwa ogółowi, wyzwoliło sztukę z formalizmu, w jakim była skrzepła. Dlatego też wszystkie zachwyty Ruskina należą do architektury gotyckiej. Tutaj rzeźbiarz oddaje wdzięk kwiatów, liści, istot żywych z objektywizmem, przez miłość ku nim samym. Intencje dekoracyjne i zamiłowanie symetrji ustępują na plan dalszy, a wmiarę rozwoju natchnienie osobiste w zupełności się wyzwala z pod tradycji i metod ogólnych: artysta staje się wolnym, pracuje dla chwały Boga i natury.

Widzimy więc, iż indywidualizm Ruskina, który tak potężnie się wyraża w proteście przeciw specjalizacji jest zarazem mocno skrępowany całą masą przesądów natury religijnej, moralnej i politycznej. To było źródłem jego licznych wahań się i niesprawiedliwości względem pogaństwa i wieku odrodzenia. Nigdy indywidualizm ludzki nie był tak pysznie rozwinięty, w znaczeniu harmonji i zdrowia, jak w Atenach: więzy, które państwo i gmina nakładały na jednostkę, zaczęły się tam rozluźniać. Można śmiało uważać za jedno z największych nieszczęść ludzkości, iż nić ówczesnego rozwoju zerwaną została. Zamiast jednostki na widowni, od tego czasu ukazuje się gromada: świadectwem właśnie architektura gotycka, która w najwspanialszych swych okazach była dziełem bezimiennem wieków i pokoleń. Przypomina raczej mrowisko lub ul, niż dzieło jednostki twórczej, jaką była sztuka w Grecji. A Ruskin chce nas przekonać, iż architektura gotycka była wyrazem indywidualizmu! Ależ ten indywidualizm zaczyna się dopiero budzić ze snu wiekowego, w który pogrążyła ludzkość abstrakcja chrześcjańska, za czasów odrodzenia. Krytyka Ruskina opiera się pod tym względem na zwykłem nieporozumieniu. Oskarżenie, które rzuca na renesans, mają głębokie podobieństwo do napadów, skierowanych przez reformację przeciw katolicyzmowi, gdy uczyła, iż kościół niesłusznie przyswaja sobie wyłączną znajomość prawdy i gdy żądała, aby każdy opierał się tylko na własnem sumieniu. Otóż reformacja była pod tym względem tylko odrodzeniem Północy i jej napady skierowane były właściwie przeciw wiekom średnim! Architekturze Ruskin przypisuje wielkie znaczenie wychowawcze. To tylko ona może zatrzymać przechodnia na ulicy pośród jego kłopotliwych zabiegów i odrywać go od pochłaniających całą uwagę materjalnych pomysłów, ale pod warunkiem, iż będzie w dalszym ciągu snuła wątek tradycji średniowiecznych. Tylko ona może bić żywym zdrojem śród kamiennej pustyni naszych miast.

III. Teorje społeczno-ekonomiczne Ruskina.

Przemysł maszynowy zbrzydził wszystko — rzeczy i ludzi — i to jest główny brak, którego Ruskin nie może mu wybaczyć. Rasa ludzka wyczerpuje się w wielkich śmietniskach, stanowiących miasta współczesne, i w tych piekłach, które się nazywają fabrykami. Żądza zysku wyniszcza lasy, brudzi rzeki; dym

fabryczny zakopca niebo, a szum maszyn zakłóca spokój pól. Produkcja mechaniczna tępi sztukę; zbytnie bogactwo i zbytnia nędza są zarówno zabójcze dla smaku. Czyż wieki średnie nie były okresem historji daleko szczęśliwszym i piękniejszym, niż obecny? Manchester i Birmingham nie istniały, lud żył na łonie przyrody, śród pól i lasów, oddany pracy ręcznej, która ćwiczyła jego zdrowie fizyczne i smak estetyczny. Bogacze, zamiast wyczerpywać swe siły i zdolności na tkanie bawełny, bez końca, by zebrać jak najwięcej pieniędzy, budowali piękne katedry.

Tak stawia kwestję Ruskin: źródłem jego protestu przeciw obecnemu społeczeństwu jest oburzenie estetyczne. Do zajęcia się kwestją socjalną zaprowadziła go, obok potrzeby moralnej, miłość piękna. Już w pierwszej swej pracy, w której wystąpił przeciw obecnemu ustrojowi społecznemu („Unto this Last“ 1862) uważa, iż maszyna, która nie pozwala człowiekowi zasmakować w swej pracy i zamienia go na jakiś motor bezmyślny, jest głównem źródłem wszystkich nieszczęść i rewolucji naszego wieku. „To ta degradacja — powiada — robotnika na stopień dodatku do maszyny, bardziej niż wszelka inna nędza tego czasu, pcha narody do walki próżnej, bezmyślnej, niszczącej, o wolność, której natury masy ludowe nie są w stanie nawet zrozumieć. Nie można powiedzieć, by ludzie byli źle karmieni, — lecz nie znajdują żadnej przyjemności w pracy, i dlatego właśnie spoglądają na bogactwo jako na jedyne źródło przyjemności. Nie można powiedzieć, by ludzie byli oburzeni na arogancję klas wyższych — lecz znieść nie mogą własnego położenia, gdyż czują, że rodzaj pracy, na który są skazani, jest prawdziwą degradacją i stawia ich niżej ludzkości. Nigdy klasy wyższe nie miały więcej sympatji dla niższych niż obecnie, nigdy jednak nie były bardziej znienawidzone.

Jest to pogląd trochę paradoksalny, ale skąd my wiemy, iż, obok innych źródeł niezadowolenia, w ludzie pracującym nie kryje się także głuchy protest tego rodzaju?

Trzeba, by robotnicy pracowali, j a k l u d z i e, wkładając swe serca w to, co robią, a taką tylko może być praca ręczna. Ten sam przedmiot zrobiony przez tę pracę i przez maszynę czyni wrażenie poezji dobrze odczytanej i głęboko odczutej w porównaniu do wierszy recytowanych przez papugę.

By urzeczywistnić swe zamiłowanie do drobnego przemysłu, Ruskin starał się wskrzesić w kilku miejscowościach Anglji tkactwo ręczne. Ponieważ o starych wrzecionach i warsztatach, nawet śród chłopów Westmorelandu, pozostało obecnie tyleż wspomnienia, co po narzędziach kamiennych, Ruskin kazał je sobie fabrykować podług wzorów wziętych z muzeów archeologicznych lub z obrazów starych mistrzów. Sądził, iż w ten sposób dojdzie do wypędzenia brzydoty z życia samego. I wyobrażał sobie rozczulającą sielankę. „Spróbujemy — woła — uczynić jakiś kącik naszej ziemi angielskiej pięknym, spokojnym i płodnym. Nie będziemy tam mieli ani maszyn parowych, ani koleji, nie będzie tam stworzeń bez woli i myśli; nie będzie nieszczęśliwych, z wyjątkiem chorych, ani próżniaków, z wyjątkiem umarłych... Gdy zechcemy

udać się gdziekolwiek, pójdziemy sobie bezpiecznie i spokojnie, nie z szybkością 40 mil na godzinę i nie ryzykując życia; gdy trzeba będzie przenieść cokolwiek, przeniesiemy na plecach zwierząt lub na swych własnych, na wózkach lub na statkach. Będziemy mieli moc kwiatów i jarzyn w ogrodach, moc trawy i zboża na polach. Będziemy mieli trochę muzyki i poezji; dzieci nauczą się tańczyć i śpiewać, być może, iż dorośli zechcą czynić toż samo w chwilach wolnych... Powoli jakaś sztuka lub wyższa wyobraźnia przejawi się śród nas, lub słaby promień wiedzy nam zaświeci... Trochę botaniki... trochę historji... może nawet trochę filozofji, ale bez wyrachowania i pożądliwości". Sielankę tę Ruskin psuje zapewnieniem, iż „nie ogłosimy tam wolności, lecz posłuszeństwo prawom i osobom przeznaczonym" i innych rozkoszy tegoż rodzaju w duchu religijnym.

I tu więc znowu odnajdujemy dwie strony indywidualizmu Ruskina: wszechstronność i protest przeciw specjalizacji — w tem właśnie kryje się jego zamiłowanie do wieków średnich, gdzie podział pracy nie był tak daleko posunięty, jak dziś — i zarazem skrępowanie przez całą masę przesądów religijno-wolnomyślnych i arystokratyczno-demokratycznych. Życie jednak nie pozwoliło w zupełności urzeczywistnić powyższej sielanki. Warsztaty urządzone przez Ruskina, by się utrzymać, były zmuszone wprowadzić maszyny. Pociesza się jednak tem, iż maszyny te poruszane, są nie parą, lecz motorem naturalnym i estetycznym, wodą lub wiatrem. Nareszcie elektryczność jest także tolerowana. Te ustępstwa doprowadzą zwolenników Ruskina ostatecznie do tego, czem ruch cały jest w rzeczywistości: syntezą estetyki z przemysłem. Ze wstecznych zachcianek po pewnym czasie nic nie zostanie, zwłaszcza jeżeli elektryczność, używając sił wiatru i wody, odda je na usługi wszystkich. Kto wie, czy przemysł przyszłości nie będzie przemysłem indywidualnym, drobnym, ale opartym na elektryczności? W takim razie ideały średniowieczne Ruskina mogłyby w zupełności być urzeczywistnione, tracąc całkowicie swój charakter wsteczny.

Przyznajemy się, iż to wyjście bardziej by nam się uśmiechało, niż szczęśliwe asocjacje Fourier'a, także przeciwdziałające podziałowi pracy, ale przypominające szczęście trzody chlewnej. Wszelkie wogóle asocjacje przytępiająco działają na jednostkę, i dlatego one, co najwięcej mogą być środkiem, ale nigdy celem. Co się tyczy szczęścia jednostki, to nie sposób nawet określić, na czem ono polega i czy wogóle dopiętem być może. Dotychczas najwięksi psychologowie i artyści raczej przypuszczają, iż człowiek przeznaczony został przez naturę na cierpienie. Pozostawiając tę kwestję nierozstrzygniętą, można żądać od reform społecznych, nie, żeby nas uczyniły szczęśliwymi — to przechodzi ich siły — lecz, by niszczyły wyzysk i zapewniały każdej jednostce możność wszechstronnego rozwoju. Pod tym względem łączenie przemysłu, wiedzy i estetyki w jedną całość, którą znajdujemy u Ruskina, jest ruchem pięknym i zbawiennym. Co się tyczy wyzysku, to z początku wcale go nie przyznawał.

„Zaklinam was — pisał do pracowników — byście się przekonali o tym

faktcie przestraszającym i zarazem pocieszającym, iż wasze powodzenie zawiera się w waszych rękach. W stopniu tylko bardzo odległym może ono zależeć od okoliczności zewnętrznych; w najmniejszym od rządu".

Reformy zamykał w obrębie naszego serca i ducha, żądając cnót chrześcijańskich, pracowitości i oszczędności. W r. 1862 twierdził: „Wszelki postęp prawdziwy będzie dziełem wysiłku indywidualnego, a nie publicznego. Pewne miary ogólne mogą pomódz: pewne rewizje praw mogą być pożyteczne; lecz miary i prawa, które naprzód określić trzeba, to reguły prywatne, domowe każdego człowieka".

Żądał więc reformy wychowania, które powinno być oparte na pojmowaniu piękna w wszystkich jego przejawach („admiracja"), na miłości bliźniego i na dążeniu drogą wysiłków woli ku urzeczywistnieniu ideałów („nadzieja"). Wszystko to powinno dążyć do spotęgowania życia. „Niema — powiada — większego bogactwa nad życie z jego wszechmocą admiracji, miłości, nadzieji. Ten kraj jest najbogatszy, który żywi największą ilość istot ludzkich szlachetnych i szczęśliwych, i ten człowiek jest najbogatszy, który, wznosząc do najwyższej doskonałości funkcje własnego życia, wywiera w ten sposób wpływ najszerszy i najbardziej dobroczynny swą osobą i swymi środkami na życie innych". Ten człowiek zasługuje na koronę z dzikiej oliwki *(„the crown of wild oliver")*. Z biegiem jednak czasu coraz bardziej się przekonywał, iż korona ta w obecnem społeczeństwie może, przy wysiłkach indywidualnych, być dostępną tylko dla bardzo nielicznych szczęśliwców. I dlatego coraz bardziej domagać się zaczął interwencji państwa, dla poprawy materjalnego położenia mas.

Pierwsze dzieło społeczne Ruskina („Unto this Last") poświęcone było reformie wewnętrznej, moralnej, w następnych („Munera Pulveris", 1872 i „Fors Clavigera" 1871—84) żąda uorganizowania pracy, pod kierownictwem szefów, w którem znajdujemy odgłosy saintsimonizmu. Państwo powinno określić minimum płacy, założyć warsztaty narodowe, dla tych, którzy nie mogą znaleść zajęcia i zarobku, powinno zapewnić emeryturę starym robotnikom, przestrzegać hygjeny mieszkań ludowych i t. p. Ruskin nie narusza własności prywatnej i nie żąda unarodowienia ziemi.

Widzimy więc, iż w miarę tego jak Ruskin stykał się coraz bardziej z rzeczywistością, z jego sielanki średniowiecznej nic nie pozostało. Ale nie! Ona przyświeca mu jako gwiazda przewodnia, jako ideał przyszłości i pozwoliła mu wejrzeć w istotę kwestji społecznej głębiej, niż wielu t. zw. socjologom. Z punktu widzenia specjalisty można w poglądach ekonomicznych Ruskina wykazać masę dziwolągów. Ale to niczego nie dowodzi: on spostrzega węzły między naturą materjalną i duchową człowieka, które dla ekonomistów na zawsze pozostaną niewidzialnymi. Skutkiem tego zachował do końca swą religję piękna. Wiek odrodzenia zrobił ze sztuki przedmiot zbytku i wyszukania; ona natomiast powinna się stać częścią składową życia samego, zdrojem orzeźwiającym, dla wszystkich dostępnym. Oto dlaczego wymaga, by architektura przystosowała się do potrzeb praktycznych życia; ona może dostarczyć zdro-

wego pokarmu wszystkim naszym zdolnościom: nowe bezustanku przedmioty spostrzegania i rozmysłów, ciągłe pobudki dla naszej uczuciowości. Oto dlaczego głosi cnotę słowa. Słowo Boże rozpędzało mgły; również kto w sercu człowieka rozpali słowo, ten święty płomień piękna prowadzi go wprost na drogę zbawienia tu, na ziemi.

„Kochajcie wasze dusze bardziej, niż wasze klejnoty“ — mówił niegdyś Ruskin do grona pań. Ten kult naszego „ja“ ma u niego zresztą charakter czysto chrześcijański: jeżeli zbawienie duszy jest najwyższym celem człowieka, powinien starannie hodować wszystkie jej władze.

Gienewa.

Dr. Leon Winiarski.
Pr. Doc. Uniwersytetu.

Bajka indyjska.

Sędzia oprawcę wezwał do kamery,
Żeby go skazać na grzywny nie małe.
Jak opiewały sądowe papiery,
Oprawca Prokop miewał nazbyt śmiałe
Ideje — skóry bowiem padłych koni
Rozwieszał często na swoim placyku.
Więc też sąsiedzi narobili krzyku:
Jeśli ich prawo i sąd nie obroni,
Chorować będą wszyscy po koleji;
Bo znieść nie mogą Prokopa ideji.
A więc pan sędzia, jak się rzekło wyżej,
W imieniu prawa winowajcę wzywa;
Lecz Prokop nie zbyt okazał się chyży
I na wezwanie wcale nie przybywa,
Czem oburzony słusznie rzecznik prawa,
Mniemając, że się ceklarz naigrawa,
Nazajutrz wysłał ogromnego chłopa,
By siłą ściągnął do sądu Prokopa.
Lecz się podsądny nie opierał wcale;
Przeciwnie, zjawił się z pokorną miną,
Jakby oprawcą nie był, lecz dziewczyną.
I pochylony, stanąwszy przed sądem,
Czekał.

Wtem sędzia zawołał surowo:
— Czyś ty Prokopie dotknięty był trądem,
Że nie przyszedłeś do mnie, ty, psia głowo!
— Wielmożny panie — rzecze Prokop cicho —
Wszakże sam jestem wykonawcą prawa...
Nie zatrzymała mnie żadna zabawa
Ani oporność — lecz nadało licho,
Że właśnie w chwili, gdym się tu miał stawić,
Musiałem topór na skazańcu krwawić.
— Ah, więc ścinałeś łeb człowieka złego?
— Nie, złoty panie, — ścinałem sędziego!

Warszawa. *Daniel Zgliński.*

AKT PIERWSZY

(URYWEK DRAMATU).

(Obszerny pokój, umeblowany pospolicie. Służy za wspólny salon dla mieszkańców i lokatorów willi p. Ogrodzkiej. Kilka portretów, zegar starożytny, na środku stół. W głębi drzwi oszklone, prowadzące na dużą, zacienioną werandę. W dali widać drzewa i pola).

Scena pierwsza.

(Zofja Parmen siedzi w rogu kanapy, trzymając książkę na kolanach).

Zofja. Dziesięć minut po trzeciej... Zwykle przecie zjawiał się o drugiej, o pół do trzeciej, najpóźniej... Czyżby wyjechał? Ale spotkałam w aleji omnibus. Nie było go tam wcale. Ach, jakże mię morduje to oczekiwanie! *(Wstaje i chodząc po salonie, cicho mówi).* Jakże mię to męczy, jak mię to męczy... *(Zatrzymuje się w pobliżu drzwi i patrzy w głąb parku).* Tej Anny nigdzie nie widzę. Może jest z nim... Cóż w tem niezwykłego? Ona ma lat dziewiętnaście, on dwadzieścia pięć... Cóż w tem niezwykłego, że mi serce pęka? A może się mylę, może się mylę. Och, gdyby tak było... Kwadrans po trzeciej. W skroniach mi krew młotem bije...

Scena druga.

(Za sceną daje się słyszeć wrzaskliwe wołanie, naśladujące głos rozkapryszonego dziecka).

Bukowicz. *(za sceną).* Kawy!

Zofja. Ach, otóż... *(Poprawia suknię, włosy).* Nareszcie, nareszcie. Chciałabym przytłumić wzruszenie, wstrzymać bicie serca, zachować spokój, spokój...

Bukowicz *(błazeńskim głosem za sceną).* Kawy ze śmietanką!

(Z lewej strony wychyla się Wanda Ogrodzka. Przez chwilę nasłuchuje, później z uśmiechem zwraca się do Zofji).

Ogrodzka. Jak to krzyczy!

Zofja *(cicho).* Czy nie jestem czerwona?

Ogrodzka. Nie. Trzeba jednak może troszeczkę pudrem...

(Zofja na palcach wychodzi na lewo. Ukazuje się za drzwiami Bukowicz w kapeluszu na tyle głowy. Wsuwa głowę do salonu i krzyczy przeraźliwie).

Bukowicz. Adwokat pożąda kaaawy!

Ogrodzka. Natychmiast, przebrzydły żarłoku! Natychmiast, już się śmietanka gotuje.

Bukowicz *(na werandzie)*. Już śmietanka się gotuje...

Ogrodzka. Cicho! Wszystkie wille będą wiedziały, co u mnie praży się na kominie.

Bukowicz *(krzykliwie)*. Wszystkie wille...

Ogrodzka. Cicho że...

Bukowicz. Nie będę cicho! Nie będę! Słyszy pani... Jeść mi się chce haniebnie, a pani mię karmi morałami.

Ogrodzka. Nie może pan zaczekać? Minutkę, jedną minutkę!

Bukowicz. Najłatwiej powiedzieć! Gdyby tak panią wytarli prześcieradłem w tej djabelskiej hidropatyce... mokrem prześcieradłem... Gdyby pani nadto przeszła cztery wiorsty drogi tam i z powrotem, jak ja... Ale co ja sobie będę piersi zrywał? Śliczna gościnność staropodolska! A zresztą, czy pani myśli, że ja nie zapłacę za tę kawę? Zapłacę, zapłacę co do kopiejki... skoro tylko roztworzę kancelarję adwokacką...

Ogrodzka. A przywitać się grzecznie nie łaska?

Bukowicz *(zaglądając do pokoju)*. Łaska. Tylko .. czy takie tam przywitanie pociąga za sobą obowiązek całowania w rękę?

Ogrodzka. Spodziewam się.

Bukowicz. No to całuję panią w rękę.

Ogrodzka. Jakto? stamtąd?

Bukowicz. Spodziewam się. Mamy zwyczaj całowania rąk damskich na świeżem powietrzu. Kaaawy!

Ogrodzka. A ja chcę, żeby pan tu przyszedł. O tu... Mam do pana pilny interes.

Bukowicz. Chce pani? Naprawdę? Ale czy na prawdę życzy sobie pani tego?

Ogrodzka. Rozumie się, że naprawdę.

Bukowicz. Ale czy na rzetelną, prawdziwą prawdę?

Ogrodzka. Na rzetelną, na prawdziwą...

Bukowicz. No, to nie pójdę!

Scena trzecia.

(Z prawej strony wchodzi Zofja Parmen i zatrzymuje się przy drzwiach. Po chwili).

Zofja. Cóż to tam „na prawdę"?

Bukowicz. Aa... Uniżony sługa, powolny sługa... najniższy z pomocników adwokackich...

Ogrodzka. Czy najniższy — tego nie wiem, ale że najniegrzeczniejszy...

Bukowicz *(do Zofji)*. Czy i pani zamierza mię brać na tortury? Czy i pani w czasie takiego upału będzie żądać, abym całował jej liljowe ręce?

Zofja. Ja? Nigdy, nigdy... Skądże znowu miałabym zmuszać pana do praktykowania form tak parafjalnych? Czemuż pan tam siedzi?

Ogrodzka. Wchodźże, przebrzydły Bukowiczu?

Bukowicz. Jeżeli jestem przebrzydłym, a w dodatku Bukowiczem, to pocóż się panie kochacie we mnie?

Ogrodzka i Zofja. Kto? Co pan mówi? Kto panu powiedział?

Bukowicz. Ja sobie to powiedziałem...

Ogrodzka. Także zarozumiałość! To ja mam się kochać w panu?

Bukowicz. Może się pani znowu zaprze?

Ogrodzka. Rozumie się, że...

Zofja. Nie widziałam, jak żyję podobnej zarozumiałości...

Bukowicz. Ejże, panno Zofjo, nie wywołujmy wilka z lasu!

Zofja *(do Ogrodzkiej).* Słyszy pani? Pan Bukowicz gotów utrzymywać, że i ja jestem w nim zakochana.

Bukowicz. Lubię takie „gotów utrzymywać". Utrzymuje ten, kto stawia jakieś hipotezy, a tu prawda w oczy szpicrutą bije, aksjomat w oczy... A zresztą, co ja będę rozprawiał o hipotezach, o aksjomatach!...

Zofja. Wobec istot tak ubogich duchem... Nieprawdaż?

Bukowicz. Wobec istot tak ubogich duchem... Tak pani sądzi? Ha, jeżeli panie obrażacie się, to ja mogę się zaraz wynieść, naturalnie po zgładzeniu kawy ze śmietanką, o których tyleśmy już mieli sposobność mówić, a które z tak dziwnym uporem błądzą w dziedzinie widm powiewnych. Powtórzmy więc jeszcze raz: po wypiciu kawy ze śmietanką... *(Wchodzi do salonu, raptownie zmierza ku Ogrodzkiej i z udaną serdecznością całuje ją w rękę. Następnie idzie do Zofji, i również z przesadą całuje ją w rękę).*

Zofja *(cicho).* „Dla was to jest igraszką"...

Bukowicz. „Ojciec kija nie znalazł i rózgą go obił"... Nie całować — źle, całować — „ojciec kija nie znalazł"... Gdzież są te?

Ogrodzka. Cóż to znowu za „te"?

Bukowicz. Jakto co za te? No te... makolągwy.

Zofja *(do Ogrodzkiej).* Nie, wie pani, myśmy go rozpuściły, jak dziadowski bicz! Jak pan śmie o panienkach dobrze wychowanych wyrażać się w ten sposób!

Bukowicz. To znaczy, że jak niby śmiem pannę Annę i Janinę nazywać sikorami. Jakże je mam nazywać u Boga Ojca: gęśmi, srokami?

Ogrodzka. Coraz, coraz lepiej! Dopiero je nazywał makolągwami, teraz sikorami...

Bukowicz. Sikora ma ptasi móżdżek, makolągwa także ptasi...

Zofja. Ubliża pan kobietom...

Bukowicz. Jakim tam kobietom!

Scena czwarta.

(Wchodzi Janina Kwadrowska. Stanąwszy w pobliżu stołu, udaje, że dopiero w owej chwili zobaczyła Bukowicza).

Janina. A!

Bukowicz *(naśladuje ton jej głosu).* A!

Janina. Już pan mecenas zaczyna mię prześladować! Nie mogę przecie, ujrzawszy pana, powiedzieć: Be!

Bukowicz. Nie może pani? A możeby pani łatwiej było powiedzieć m e! Wie pani, to m e z przysłowia. Chociaż nie! Ani jednego, ani drugiego, a tembardziej obu razem pani nie jest w stanie... O, biedne dziewczę!...

Ogrodzka *(z wyrzutem)*. Panie, panie Piotrze..

(Janina siada zawstydzona z prawej strony, schyla głowę i udaje, że czegoś szuka w koszyczku).

Zofja *(do Janiny)*. Mama w swym pokoju, czy na balkonie?

Janina *(smutnym głosem)*. Na balkonie.

Bukowicz *(do Janiny)*. Jakże tam pani dobrodziejce idzie z tym Johnem Stuartem Millem? Dużo pani przeczytała?

Janina *(z przytłumioną złością)*. Osoba, co ni b e, ni m e...

Bukowicz. Wielkie nieba! Obraziłem młode i płoche dziewczę!

Janina. Bynajmniej! Nie mam zwyczaju obrażać się na panów stworzenia. Mogą znieważać nas do woli, wiedzą bowiem, że nie będziemy w stanie siłą się obronić. Ale też ich obelgi nie nas, lecz ich znieważają!

Bukowicz. Gdzie ja to już czytałem? Zaraz, zaraz... Gdzież ja to czytałem wydrukowane?...

Ogrodzka. Zamiast obrażać ciągle wdowy i panny, niech moczynos lepiej posłucha nareszcie mojej sprawy. Ileż to razy przyrzekał mi pan poradę prawną? Panie Piotrze, można dziś opowiedzieć tę historję. Serjo, panie Piotrze...

Bukowicz. Serjo... A o godziwem honorarjum ani m r u - m r u...

Ogrodzka. Będzie i honorarjum sowite, tylko niech pan raczy słuchać uważnie.

Bukowicz *(do Janiny)*. Widzi pani... Ilekroć zabieram się do wyłuszczenia moich uwielbień dla przymiotów umysłu pani, dla przymiotów jej serca, zawsze rzeczywistość wydziera mi tę możność...

Janina *(ironicznie)*. Boleję nad tem, ale cóż poczne? Muszę ustąpić zazdrosnej rzeczywistości. Idę wylewać me upośledzenie...

Bukowicz. Zapewne usiłowała pani powiedzieć: idę wylewać skargę na me upośledzenie przed obliczem narcyzów, konwalji, chmurek idących po błękicie...

Janina. Tak, idę, nie przeszkadzam...

(Janina zabiera koszyk i prędko wychodzi do ogrodu drzwiami, prowadzącemi na balkon).

Scena piąta.

Bukowicz *(do Ogrodzkiej)*. A gdzież dziadzia?

Ogrodzka. Według swego zwyczaju: okopuje kartofle. Nie trzeba mu teraz przerywać, niech sobie pracuje. Nawet, wie pan, wolałabym radzić pod nieobecność ojca.

Bukowicz *(kiwając palcem)*. Wietrzę tu jakąś historyjkę!

Ogrodzka. Niema żadnej. Ojca pan zna przecie. Wie pan, że wszystko musi zaczynać *ab ovo*, a przytem tak się będzie usprawiedliwiał z win swoich, że ani rusz nikt nic nie pojmie.

Bukowicz. A... skoro się będzie usprawiedliwiał... *(Ziewa skrycie)*. Niech pani z łaski swej puści w ruch boski języczek.

Ogrodzka. Nic już nie odpowiem na tę ostatnią uszczypliwość — i zaczynam.

Bukowicz. Uszczypliwość... paradny wyraz!

Ogrodzka. Wie pan, że ojciec nasz wszystko stracił co do grosza, że kamienicę i cegielnię zlicytowano. Ani ja, ani Anka nie dostałyśmy złamanego szeląga.

Bukowicz. Co jest smutne, ale prawdziwe.

Ogrodzka. Ja po śmierci męża odziedziczyłam 20 tysięcy rubli. Zapisał je w testamencie mnie i Aurelce. Za te pieniądze kupiłam tutaj grunt i wystawiłam tę willę.

Bukowicz. Patrzcie państwo...

Ogrodzka. Ojciec nie włożył tu ani grosza. Nie mógł zresztą nic dawać, gdyż nic nie miał.

Bukowicz. Bo w rzeczy samej — cóż może dać ten, kto nic nie ma?

Ogrodzka. Może dać bardzo wiele. Nasz ojciec dał mi siebie do pielęgnowania, a nadto resztki swych... długów.

Bukowicz. Przypuśćmy, że te ostatnie wcale pani nie interesują. Tak sobie to przypuśćmy.

Ogrodzka. Gdybyż to! Mąż mój był człowiekiem miękkiego serca, nie był w stanie opierać się nagabywaniom ojca i żyrował jego weksle.

Bukowicz. Aj, do licha! To mi się mniej podoba...

Ogrodzka. Zdawało się jednak, że już ostatecznie ze wszystkimi się ułożył, że cała ta heca ustała, ucichła. Nic niema do zabierania, więc nadszedł koniec. Tymczasem cóż się okazało? Byłam wczoraj przypadkiem u rejenta i ten mię ostrzegł, że niejaki pan Bałaj, czyli Bałajski usiłuje wejść na hipotekę mojej willi, a to na podstawie rewersu ojca, żyrowanego przez nieboszczyka męża mojego. Czy pan uwierzy? ośm tysięcy rubli.

Bukowicz. To nie jest dobry interes.

Ogrodzka. Cóż dopiero, gdy się pomyśli, że te pieniądze były podłemu Bałajowi dawno zwrócone! Ojciec swoim zwyczajem zapomniał, widocznie, odebrać rewers. Klnie się na wszystkie świętości, że Bałajowi już grosza jednego nie winien. Ale mnie to wcale nie obchodzi. Mnie idzie o moją willę! *(gwałtownie)*. Otóż...

Bukowicz. Niech no się pani nie gorączkuje. Niema nic pilnego. Willa się nie pali, powódź jej nie zabiera, złodziej do kieszeni nie chowa. Mamy czas.

Ogrodzka. Pana to mało interesuje. Ale gdy ja pomyślę, co ze mną i Aurelką stać się może, gdy ten człowiek wejdzie na pierwszy numer hipoteki... *(Ociera łzy)*. Otóż ukartowałyśmy z kochaną panną Zofją taki zamach...

Bukowicz. Zamach!

Ogrodzka. Panna Zofja mieszka tu już u nas trzeci rok, znamy się bardzo dobrze. Staruszka, pani Parmenowa, czuje się tutaj wcale nieźle, polubiła swoje trzy pokoiki na piętrze, swój balkon, widok na naszą śliczną dolinę i rzekę, wreszcie smakuje jej nasza kuchnia... Mówi, że się już stąd nie ruszy. Panna Zofja woli również mieszkać tutaj niż w Warszawie. Obecnie panna Zofja *(całuje ją)* weszła w nasze położenie i zgodziła się...

Zofja. Nie ja, nie ja. To mama. Mama rządzi kapitałem. Ja wcale nie posiadam własnych pieniędzy.

Ogrodzka *(z czułością)*. Tak się to mówi. Tak się mówi, droga panno Zofjo. Ale któż nie wie o tem, że mama tylko akceptuje wszelkie a wszelkie czyny pani. Sama słyszałam...

Bukowicz. Przypuśćmy, żo komplementy i kontr-komplementy jużeśmy powiedzieli... Cóż wtedy? Na czemże polega ów projekt?

Ogrodzka. Projekt polega na tem, że panna Zofja, nominalnie pani Wincentyna Parmen, wchodzi na hipotekę mojej willi z kapitałem piętnastu tysięcy rubli, staje się właściwie jej posiadaczką. Zarazem...

Bukowicz. Daje pani skrypt na takąż sumę. Znamy to, znamy... Wie pani — to nie jest wcale ładne.

Ogrodzka Ach, panie! Cóż mnie mogą obchodzić jakiekolwiek względy, gdy idzie o przyszłość Aurelki? Już ja się napatrzyłam co to znaczy, gdy dziewczyna nie ma grosza posagu. A zresztą, proszę pana, ta willa stanowi również jedyne lokum ojca i Anusi, nic nie wspominając o mnie. Gdyby nas z niej wyzuto, musielibyśmy chyba iść po prośbie. Jakże pan sądzi, czy się to może udać?

Bukowicz. Udać się może, dla czegóżby nie... Ja uważam taką akcję z prawnego punktu widzenia za niemoralną, dlatego też nie mógłbym maczać w to ręki. Otwarcie pani mówię... Skoro jednak obiedwie panie Parmen przystają, to o cóż idzie...

Scena szósta.

(Słychać za sceną, w oddali piękny głos Anny Jaskrowiczówny, która śpiewa Świteziankę Moniuszki).

Anna *(za sceną)*.

„...Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jakaż to obok dziewica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy blasku księżyca..."

Bukowicz *(do Zofji)*. Naturalnie pani będzie musiała całą sumę złożyć u rejenta w ręce pani Wandy.

Zofja. Tak, to wiem. Czy słyszy pan, jak ślicznie brzmi głos Anetki?

Bukowicz. Słyszę, jak ślicznie brzmi...

Zofja. Mówi pan takim tonem, jakby ucho pańskie w zupełności nie znosiło ani muzyki, ani śpiewu.

Bukowicz. Proszę pani — żołądek mój znosi taką „niedokawność“, mózg znosi porady prawne — co tam już mówić o uchu...

(Anna wchodzi na balkon, rozmawiając ze starym Jaskrowiczem, który zdąża za nią).

Ogrodzka *(do Bukowicza)*. Jak pan też sądzi, czy rejent... *(Spostrzegłszy Jaskrowicza, mówi półgłosem)*. Obawiam się tylko, żeby z tego nie wynikło...

(Wchodzi Anna, niosąc w ręku koszyk z ogórkami i sałatą).

Anna. Spotkałam w ogrodzie Janinkę, którą pewien adwokat obraził w tym oto budynku.

Ogrodzka. Czy Aurelka jest z nią w altanie?

Anna. Jest *(do Bukowicza w odpowiedzi na jego ukłon)*. „Jakiż to chłopiec piękny i młody...“

Jaskrowicz *(do Bukowicza)*. Witam mecenasiunia... Panny płaczą na mecenasa, krwawemi łzami płaczą... che... che... Właśnie jedna uskarżała się przedemną. Ładnie to jest, co, ładnie?

Bukowicz *(podaje rękę staremu, który ją długo trzyma i wstrząsa; do Anny)*. Skądże się znowu pani wzięła taka czarująca?

Anna *(dygając)*. Ze wsi się wzięłam.

Bukowicz. Skąd? Pytam? Z jakiej wsi?

Anna *(dygając)*. Z Mokradła... do usług.

Bukowicz. Jeszcze też pani tam nie widzieli! Po cóż pani tam chodziła?

Anna. Po ogórki, sałatę i rzodkiewkę.

Bukowicz. Sama pani znowu chodzi po sałatę? Cóż to za moda! Żeby mi tego więcej nie było!

Anna. Gdy się ma za stołownika takiego smakosza, to trudno. Samej trzeba wybierać rzodkiewki. Może się pan nie wykrzywiał onegdaj, może pan nie piorunował, że rzodkiew stara, niedobra.

Bukowicz. Szczęście, że się na tem skończyło... Ale tu wcale nie o to chodzi. Tu chodzi, czyli idzie o to, dlaczego pani nie zawiadomiła mię o wyprawie do Mokradła. Byłbym pomógł nieść koszyk. Niech pani spojrzy, no niech pani się przypatrzy, co się stało z temi rękami! To mają być ręce panny, usiłującej wyjść za mąż. Ludy europejskie, przypatrzcież się tym „rękom“.

Anna. Biada mi! Ale czyż mogłam tak wielkiego mecenasa zaprzęgać do kosza z ogórkami?

Zofja. Ręczę ci, Anetko, że na drugi raz pan mecenas z pewnością cię wyręczy. Tak boleje nad twemi paluszkami...

Jaskrowicz. A ja się zmachałem, nie przymierzając, jak pachciarska szkapa. Słońce, powiadam wam, pali dzisiaj nadspodziewanie. Była chwila, żem uknuł w myśli: wezmę i drapnę w cień. Na szczęście zobaczyłem zgrza-

nego mecenasa — i wziąłem na ambit. Teraz dopiero widzę, jak mi się jeść chce. Wandziu, dostaniemy kawy?

Bukowicz. To pan teraz dopiero spostrzegł? Ja to zjawisko badam ze wszech stron od godziny. Poczyniłem nawet długi szereg uwag bardzo, bardzo... *(siada).*

Anna *(do Bukowicza).* Ach, więc to i pan chodził na spacer. Wolno zapytać, w którą stronę.

Bukowicz. Wolno. Chodziłem po hidropatji w dalekie, dalekie kraje... *(Spostrzegłszy, że Zofja pilnie go i Annę obserwuje, przerywa rozmowę).*

Jaskrowicz *(siadając na kanapie).* Okopałem pół niwki kartofli. Co za kartofle będą, mówię wam!

Ogrodzka *(do Jaskrowicza pocichu, z gniewem).* Znowu ojciec wali się z temi nogami na dywan i na kanapę. Sto razy już prosiłam... Nie można to usiąść przy tamtym stoliku, albo na werandzie?

Jaskrowicz. Zapomniałem, że to ten twój dywan... *(Macha ręką).* Dywan... Zaraz pójdę do stolika. Na werandzie słońce ogromnie pali. Przecie, miej wzgląd.

Ogrodzka *(z gniewem).* W jednem miejscu pali, w drugim nie. Mógłby ojciec siedzieć tam, gdzie nie pali. Podadzą kawę, toby się ojca zawołało...

Anna *(kiwa nieznacznie na ojca, przywołuje go do małego stoliczka, usadawia tam i mówi z cicha).* Czego się jej ojciec zawsze pakuje na oczy?

Jaskrowicz *(ze złością).* Ale... pakuje się... Dywan... Wielka pani!

Bukowicz *(patrząc na zegarek).* O ile sobie przypominam, to kawa dzisiejsza już wyparowała do dziedziny wiotkich marzeń.

Ogrodzka. Na złość, nie! *(woła).* Józek! *(do Anny).* Weźno z Józkiem stolik, trzeba go tutaj przenieść, bo na werandzie słońce.

Bukowicz *(do Anny).* Czy bóstwo pozwoli mnie śmiertelnemu zastąpić Józefa w tej czynności? *(Zofja siada przy starym Jaskrowiczu i, rozmawiając z nim po cichu, obserwuje Annę i Piotra).*

Scena siódma.

(Wchodzi Józef).

Józef *(do Ogrodzkiej).* Proszę pani...

Ogrodzka. Czego?

Józef. Proszę pani, bułek niema. *(Ogrodzka wydobywa portmonetkę i daje mu w rękę pieniądze i wychodzi. Za nią Józef).*

Scena ósma.

(Anna i Bukowicz wnoszą stolik z werandy i ustawiają go na uboczu).

Bukowicz. A jej... jakaż pani niezgrabna!

Anna. Kto z kim przestaje, takim się sam staje.

Bukowicz. Alboż to prawda! Ja od dwu miesięcy nietylko przestaję, ale nawet objady jadam razem z panią, a przecie nic a nic nie nabyłem tej nieporównanej złośliwości, tej ostrości języczka.

Anna. Pan nie może sobie już bardziej wyostrzyć języka? I słusznie. Przecie adwokat rodzi się już podobno z językiem ostrym, jak igła, a giętkim jak listek wierzbiny. Kusiłby naturę, gdyby ten przyrząd do robienia pieniędzy jeszcze bardziej usiłował wyostrzyć.

Bukowicz. Jeżeli ma wzory, jeżeli ma wzory. *(Obydwoje rozciągają na stole serwetę, kładą noże, które Anna przynosi, masło, chleb i t. d.).*

Jaskrowicz *(do Zofji).* Co to za tęga dziewczyna, ta moja Anka! Prawda, paniusiu? Jędrne to, smagłe, zdrowe, jak wiklina. Kiedy na nią patrzę, paniusiu, to z podziwu wyjść nie mogę, że to moja córka. Ze mnie już stary pień, spróchniały pień, z którego byle wiatr czas śmierci wygwizduje... O... o... widzi pani, jak to zęby suszy do tego moczynoska... o... o... widzi paniusia?

Zofja *(głośno).* Widzę.

Jaskrowicz *(do Anny).* Te! Będziesz mi tu... jakże się to mówi?... flirtowała! Ja ci dam, smarkata, poczekaj! *(śmieje się w kułak i mruga do Zofji).* Che... che... che... Huncwot dziewczyna!

Scena dziewiąta.

(Wchodzi Ogrodzka, słucha przez chwilę tego, co mówi Jaskrowicz, później siadając przy Zofji)

Ogrodzka. Niechno ojciec nie rozsiewa swoich zachwytów.

Jaskrowicz. A cóż? Może nieprawda?

Ogrodzka. Prawda, prawda. *(do Zofji).* Paniusieczku, kiedy pojedziemy do rejenta?

Jaskrowicz *(podsłuchując).* Po cóż znowu do rejenta? *(Zofja i Ogrodzka rozmawiają).*

Bukowicz *(do Anny).* Gdzież pani kładzie ten nóż? Cóż za nieuważna istota! Cóż za nieuważna... *(Ogląda się i widząc, że nikt nie podsłuchuje, mówi szeptem).* Czy aby przez chwilę myślałaś dzisiaj o mnie? Rano, rano? Czy myślałaś?

Anna *(schylając się nad stołem).* Szeptaj cicho...

Bukowicz *(szeptem).* Myślałem, że cię tu zastanę, później byłem tam...

Anna. Już nas strzegą...

Bukowicz *(głośno).* Cóż pani teraz najczęściej śpiewa?

Anna *(półgłosem, zwolna podnosząc na niego wejrzenie).* „Zawsze i wszędzie i o każdej dobie...“

Ogrodzka *(surowym głosem, z tłumioną złością).* Anusia! idź mi zaraz powiedzieć Józefowi, żeby dawał kawę. *(Gdy Anna obok niej przechodzi, półgłosem).* Ja ci dam szepty! *(Anna wychodzi).*

Bukowicz. Aha...

Ogrodzka. Gdzież to panna Janina? Trzeba ją zawołać na kawę. *(Wychodzi na balkon i woła w ogród).* Panno Janino, panno Janino! Kawa na stole!

Scena dziesiąta.

(Z bocznych drzwi wychodzi Józef, niosąc tacę z filiżankami. Po chwili wraca znowu, niosąc imbryki i garnuszki. Wszyscy siadają. Bukowicz obok Zofji, naprzeciwko Ogrodzka i Jaskrowicz. Dwa miejsca puste).

Zofja. Kto wie, czy panna Janina nie poszła do mamy?

Ogrodzka. Dopiero co widział ją ktoś w ogrodzie z Aurelką.

Jaskrowicz. Dopiero co widziałem ją w altanie.

Zofja *(do Jaskrowicza).* Dopiero co, to znaczy pół godziny temu. Pewno już jest u mamy. *(Do Bukowicza).* Nie uwierzy pan, jaka to dobra, jaka zacna panienka, ta panna Janina. Mama jest przecież dla niej osobą zupełnie obcą, a doznaje ze strony panny Janiny tyle pieczołowitości, tyle serca! Doprawdy, że to rzadko, bardzo w dzisiejszych czasach...

Bukowicz *(mając pełne usta pieczywa).* O, bardzo, bardzo rzadko...

Zofja. Pan to drwi z najwznioślejszych rzeczy!

Ogrodzka. No i panie też nie odkładają długu wdzięczności na termin zbyt daleki. Nic dziwnego, że się pieczołowitość zwiększa.

Bukowicz. A zarazem obmowa, wypływająca z miłości bliźniego.

Zofja *(do Ogrodzkiej).* O, nie, proszę pani... Tego starannego dotknięcia, tej czujności nie nabywa się za pieniądze nigdy i nigdzie. Za żadne pieniądze!

Scena jedenasta.

(Wchodzi głównemi drzwiami Janina. Wkrótce po niej Anna. Obiedwie zajmują puste miejsca jedno obok drugiego).

Bukowicz *(zajadając).* Mówiono tutaj, że pewna piękna istota — nie będę wymieniał jej nazwiska, gdyż i tak nikt się nie domyśli — pała względem mnie płomienną nienawiścią.

Janina *(złośliwie).* Nienawiścią! Bynajmniej... Jest to los biednej nauczycielki, że każdy, kto tylko chce, może jej dokuczać. Jak to już raz powiedziałam, jestem do tego przyzwyczajona...

Bukowicz. Jeszcze pani nie powiedziała tego ani razu. Nie należy mieć złych przyzwyczajeń. Pani, jako biedna, a jednak dumna nauczycielka...

Ogrodzka. Cicho, przemierzły! Panno Janino, niech go pani za każdą taką rzecz po łapie i basta!

Jaskrowicz. Mnie się zdaje, że lepiej udać się w pokorę. Zaczyna mecenasik ciskać na panią kamieniem, pani na niego...

Ogrodzka. Cegłą! To jedyny środek...

Jaskrowicz. Ale gdzież tam! Zamykać mu usta...

Ogrodzka *(do Jaskrowicza).* No, dobrze, dobrze. Znamy już te dowcipki aż nadto.

Jaskrowicz *(z gniewem).* Kiedy to rzeczywiście słowa nie dasz powiedzieć. Cóż u licha! Mówię co złego?

Ogrodzka. Niech ojciec lepiej pije kawę.

Bukowicz. Nie wiedziałem, że los nauczycielki jest tak pożałowania godnym. Na przyszłość każdą z nich będę uważał za „jenjalną“ i tak będę każdą z nich mianował. Cóż pani robiła w ogrodzie, wolno spytać?

Janina. Robiłam to samo, co pan: nudziłam się aż do chwili usłyszenia śpiewu Anetki...

Bukowicz *(zmięszany).* Ach, tak...

Zofja *(do Janiny).* Lubi pani tak bardzo śpiew panny Anny?

Janina *(z subtelną przesadą).* Och, bardzo, bardzo!

Bukowicz *(do Janiny).* Jestem pewien, że głównie marzenia wypełniały serce pani. Nuda pływała po ich wierzchu, jak oliwa na wodzie. Czy mogę powiedzieć, nie obrażając pani, jako w jednej osobie kobiety i nauczycielki, o czem właśnie, o czem mianowicie pani marzyła?...

Janina. O, proszę, bardzo proszę... To ciekawe.

Bukowicz. Marzyła pani w ten sposób: gdyby w tej chwili wszedł do ogrodu piękny brunet, z czarną, jedwabną bródką, nie... lepiej z jedwabną bródką blond... Oczy marzące, wielkie, lazurowe. Włosy w puklach. Jakże ja wówczas powinnam usiąść, w pozie skromnej, ale pełnej godności... *(Pokazuje ruchy Janiny).* Czy w postawie o tyle niedbałej, o ile malowniczej.. *(Pokazuje).* Nie! stanowczo w malowniczej. *(Przybiera pozę).* Oczy jego wyrażają zdumienie. Ja spoglądam na niego. Spoglądam na niego tylko raz... *(Do Janiny).* Pani marzyła właściwie zapomocą takiego zdania: spoglądam n a ń tylko raz... ale ja drobne szczegóły opuszczam. On zwraca się do mnie, uchylając kapelusza z ujmującym wdziękiem. Pyta: Pani wybaczy... że przerywam ciszę jej rozmyślań... czy tu są mieszkania do wynajęcia? Ja odpowiadam: o ile mi wiadomo — są. Raczy pan jednak zwrócić się do właścicielki domu, pani Ogrodzkiej...

Jaskrowicz. Albo do tego pana, co okopuje kartofle.

Bukowicz. Albo do tego pana Safandulskiego, który okopuje kartofle. Młodzian odchodzi. Odchodzi, ale każdy ruch jego głowy, każdy krok, każde skryte, tajemnicze spojrzenie mówi wyraźnie: — ach, jakżeś piękna, jakżeś wykształcona! Ty będziesz moją żoną, albo żadna. Jakież oczy mogą się równać z twojemi, jakie usta z twojemi, jakie włosy z twojemi. Po chwili wraca. Żwir skrzypi pod jego stopami. Stanął. Mówi. Mówi: jestem Janusz Sławomirski, inżynier, mam dziesięć tysięcy rubli rocznego dochodu. Jakąże ja pozę powinnabym wówczas przybrać: subtelnie zaniedbaną, czy dumną z odcieniem dystynkcji. Nie, stanowczo dumną, z wyraźnym odcieniem dystynkcji...

Janina. Czy już? Znakomicie pan odgadł. Gdyby to można wiedzieć, gdzie przebywa ów pan Janusz Sławomirski.

Bukowicz. No jakże... Obecnie przebywa w gubernji marzeń, ale on tu zjedzi do nas.

Janina. Czy pozwoli pan, ażebym ja wzajemnie opowiedziała marzenia pańskie.

Anna *(z udaną wesołością)*. Ach, to to! Opowiedz, Janka, opowiedz...

Janina. Więc i ty życzysz sobie tego. Natychmiast. *(Przymróża oczy i mówi zwolna)*. Otóż pan Bukowicz...

Scena dwunasta.

(Wbiega Józef i zwraca się do Zofji).

Józef. Starsza pani woła, żeby panienka duchem szła!

Janina. Boże! Cóż takiego? Józefie!

(Zofja i Janina, później Ogrodzka i Anna wybiegają na prawo. Jaskrowicz skwapliwie dopija kawy).

Jaskrowicz *(do Józefa)*. Cóż tam u djabła! Nie mogłeś przyleść po kawie? Czy aby stara kopyt nie zamierza wyciągnąć? Józek, te! wartogłów! Józek! *(Józef wraca)*. Cóż to starej Parmenowej?

Józef. A czy ja wiem, co jej ta? Zamiatałem duży pokój, trzepałem dywan na balkonie, to siedziała cicho i czytała sobie na książce. Raptem jak weźmie krzyczeć: leć po córkę, leć po córkę! No ja i nogi zapas.

Jaskrowicz. No, ale nie miała takiej miny, żeby niby, teego...

Józef. Miny? E, a bo ja wiem. Juści minę miała.

Jaskrowicz. Z ciebie to mądry chłop! Jak się kto dowie od ciebie wiadomości, to rzeczywiście musi być ciekawa. *(Idzie zwolna ku drzwiom)*. Patrzaj że.. Jeszcze się baba gotowa wynieść do Abrahama na piwo. Skaranie boskie! Taka lokatorka... *(Wychodzi. Za nim Józef)*.

Scena trzynasta.

(Bukowicz siedzi przez chwilę sam. Później kładzie kapelusz na głowę, rozgląda się na około i wychodzi do ogrodu. Po upływie kilku chwil wraca. Zagląda we drzwi na prawo, we drzwi na lewo, wreszcie zatrzymuje się przy stole środkowym. Przez wejście, prowadzące na balkon, po cichu, na palcach wchodzi Anna. Z podniesionemi ramionami biegnie przez scenę do Bukowicza i rzuca mu się w objęcie. Mówią prędko, szeptem, rozglądając się naokół).

Bukowicz *(z wyrzutem)*. Dwa dni, dwa dni...

Anna. Nie mogłam, nie mogłam... *(kładzie głowę na jego piersiach)*. Kochasz?

Bukowicz. A ty?

Anna *(smutnie)*. Czy ja kocham?

Bukowicz *(z rozkoszą)*. Moje usta cudowne, moje oczy...

Anna. Tak mi smutno. Nie wiem czemu...

Bukowicz. Kiedy?
Anna. Teraz nie można. Dziś przynajmniej żadną miarą...
Bukowicz. A więc... kiedy? *(Całuje ją w usta).*

Scena czternasta.

(Na werandzie ukazuje się Zofja. Zwolna, chwiejnym krokiem zbliża się do drzwi i stoi tam przez chwilę pieszczoty Bukowicza i Anny — z załamanemi rękoma, oparta o framugę).

Anna *(cicho)*. Jakżebym pragnęła umrzeć w tej chwili...
Zofja *(przez ściśnięte zęby)*. O ja nieszczęsna!..

Warszawa. *Stefan Żeromski.*



BENEDYKT SPINOZA.

(Z CYKLU „PROROCY").

Sed omnia praeclara tam
difficilia quam rara sunt.
Spin. Eth. V. 41.

Mędrzec pióro odłożył. Już zakończył księgę,
kędy uczył znać Boga w wszechświecie jednego,
znać przyrodę — i bliźnich — i siebie samego,
duchem złych namiętności poskramiać potęgę
i być wolnym, cnotliwym być i bogobojnym,
jak stal twardym a mądrym, w nieszczęściach spokojnym.

Skończył księgę... Ostatnią myśl wyraził jasno,
tę myśl, że szczęście nie jest za cnotę nagrodą,
ale cnota jest szczęściem; a z Bogiem-przyrodą
w wiecznej ducha miłości zlać istotę własną,
to jest cnota i szczęście, to jest wolność ludzi
i ich życie, gdy ciało w grobie śmierć ostudzi.

Pojrzał: oto zagadka bytu tutaj drzemie!
Wszechświat w myśli się jego jak róża rozwinął,
nad wszechświatem Bóg błysnął i w nim się rozpłynął...
On to zdziałał! — lecz nie chce, żeby jego imię
tutaj stało, — niegodną mędrca taka pycha:
on nie umrze, choć sława będzie o nim cicha.

On tam pójdzie — do Boga — na łono wieczności;
jak ta fala znikoma w morzu się rozpłynie —
zmieni postać, czas zrzuci z siebie, lecz nie zginie,
bo on cząstką jest Prawdy i cząstką Miłości,
którą Bóg się ukochał — i jemu objawił,
mówiąc w duchu, by poszedł w świat i ludzi zbawił.

Oto dzieło skończone już — i odejść może.
Pójdzie! pójdzie niedługo... Pierś mu robak wierci,
słabe ciało się słania, tknięte dłonią śmierci —
myśli jeno w nim jeszcze płoną jasne, boże.
Uczuł mędrzec, że jako lampa się dopalał,
ciało gasło, lecz duch w nim przed śmiercią nie malał.

I raz jeszcze przerzucił swojej księgi karty,
patrząc, czy się przypadkiem gdzie nie wkradły błędy — —
Wszystko dobrze! Blask prawdy z kart wyziera wszędy;
jak wojsko na bój święty, szereg twierdzeń zwarty
idzie, — nad nim jak sztandar wielkie imię Boga:
mądrość wzniosła je, palcem wskazując gdzie droga.

Podniósł czoło — a z oka promień strzelił święty,
w chorej piersi zadrgało mu serce potężnie:
skończył dzieło! — Pokusy przezwyciężył mężnie,
nie klął nigdy, — spotwarzon, wygnan i przeklęty
ludzi kochał, więc w grobie głowę skołataną
złoży spokojnie: spełnił, co mu spełnić dano.

Księga na świat poleci, ludzie ją pochwycą,
prawda w oczach im błyśnie i serca otworzy,
skruszy błędów okowy, a Duch święty, boży,
przyjdzie mieszkać na ziemię... jasną błyskawicą
świat zapłodni — i człowiek uczuje się synem
Boga, dzieckiem kochanem, lubo nie jedynem.

W górę! w górę! do światła! Oto widzi plemię
ludzkie w jednym braterskim uścisku związane,
cnotą mocne i wolne, a szczęściem świetlane;
widzi z grzechów, z przesądów oczyszczoną ziemię,
na niej mądrość i duchów czystych święty Eden,
nad Edenem jak płomień — Bóg Wszystek i Jeden!

Wszystek i Jeden! — Świat mu zniknął z oczu nagle
błyskawicą bożego imienia schłonięty, —
fal doczesnych kształt zmarniał, w wieczności odmęty
myśl wpłynęła i, orle rozwijając żagle,
szła tak dalej i w górę, aż w końcu z wyżyny
ludzi dojrzeć nie mogła, czasu ani gliny...

W dole kędyś tam huczą wieków wodospady,
i słońc tysiąc, gwiazd tysiąc przez otchłanie leci
w wiecznym wirze, sto gaśnie i znów sto się nieci;
tam się światy budują, ziemie, ziem pokłady,
tam są ludzie — on wzleciał z pośród ludzi tłumu
tu, gdzie nawet pędzących słońc nie słychać szumu.

Dumał mędrzec, a świeca płonąca na stole
złoty blask na powieki przymknione mu kładła,
i po księdze rozwartej tajemne widziadła
migotliwy cień świecy wiódł. Obok przy kole
szlifierskiem szkła leżały, za których toczenie
mędrzec pieniądz dostawał na chleb i odzienie.

Tak mijały godziny. Płomień świecy spadał
coraz niżej i w wosku już rozlanym tonął,
knot się dopalał, cień już z kątów izby wionął,
wiatr jesienny na dworze dziwne słowa gadał,
bijąc w okno, — lecz mędrzec nie widzi, nie słucha:
przymknął oczy i patrzy w Boga okiem ducha.

I po szczeblach swej myśli począł schodzić na dół:
czas i przestrzeń jak suknię wziął znowu na siebie,
pojrzał w wieki, i gwiazdy znów dostrzegł na niebie,
między gwiazdy się rzucił, i na ziemski padół
zleciał skrzydły jak orzeł, co podniebną jazdą
umęczony z chmur spada na cierniowe gniazdo.

Spadł na gniazdo i skrzydła szerokie roztoczył,
zimne gniazdo chciał ogrzać własną piersią, która
Bogiem jeszcze mu grzmiała, jak gromami chmura;
chciał je ogrzać, lecz piersi jeno krwią ubroczył, —
cierń w nie każdy jak żmija wpełznął, i rubiny
krwi ciekły na podłoże z kamienia i gliny!

Oto jeszcze przed chwilą on był z Bogiem jedno,
patrzył myślą w Byt wieczny i gorzał miłością,
czując, że krwią z krwi Jego jest i z kości kością,
i pił szczęście, przed którem wszystkie ziemskie bledną,
śnił o niebie — a ze snu bożego się budzi
tu na gnieździe cierniowem, na ziemi śród ludzi!

Ludzie! ludzie! On dla nich szczęścia, światła pragnie —
a oni?... W walkach! w błocie! Tłum krwiożerczych zwierząt!
Kędy spojrzeć — ślepota, pycha, przemoc, nierząd;
a on marzy, że myśl ich ku dobremu nagnie,
a on marzy, że prawda i prorocze słowo
uzdrowią oczy tknięte ślepotą wiekową!

Spuścił głowę na piersi; kurczem zgięte palce
ciężko spadły na księgę; zadrżały mu usta;
oko nagle przygasło; twarz zbiadła jak chusta;
czoło zmarszczki pokryły; — i zląkł się, że w walce
pada, którą zwycięsko toczył do tej pory;
tchu mu w piersiach zabrakło, uczuł, że jest chory —

Uczuł, że jest już chory i że w grób mu trzeba.
Szczęścia, które dla świata wyśnił, nie dożyje:
oto smutny, zmęczony jest, puls już słabiej bije,
nawet myśli się plączą, co jeszcze do nieba
szły niedawno — — Nad grobem wściekła klątwa dziczy
żegna mędrca, co kielich wychylił goryczy...

Jego najbliżsi klątwy rzucili nań kamień;
ci, dla których chciał szczęścia, wołali: bluźnierca!
ludzi kochał, a nigdzie sam nie znalazł serca;
życie strawił, by z grzesznych błędów i omamień
podnieść ludzkość, — a dzisiaj nad grobem się pyta:
czy nie próżno je stracił? — czy szczęście zaświta?

Ach! któż pojmie myśl jego? kto prawdę zrozumie?
kto ze ślepych do Boga wzniesie swoje oczy?
kto się w jego miłości ze światem zjednoczy?
kto — w bezmyślnym, drapieżnym, samolubnym tłumie?
Westchnął mędrzec i wargi drgnęły mu boleśnie:
prawda światu i szczęście? — zawcześnie, zawcześnie!

Oto wicher jesienny z szyderstwem się śmieje,
liście żółte i suche miocąc w dal bezkresną,
a drzewa, skrzypiąc, skargą wtórzą mu bolesną — — —
Czyż i jego podobny los? — czyż bez śladu zwieje
wicher losów tę księgę, w którą on swą duszę
wlał dla ludzi?... Czy zginie w czasów zawierusze?

I strasznym mu się teraz zdał ten wiatr jesienny,
straszną — skarga bezlistnych drzew i noc ta głucha,
straszną mu się wydała ta samotność ducha,
w której lata przepędził, o swój chleb codzienny
mniej się troszcząc, niż o tych, którzy zaślepieni
za dar prawdy płacili mu darem kamieni...

I jął smutno przewracać karty swojej księgi
w poświst wiatru wsłuchany, który beznadziejną
pieśń mu zawodził. Patrzył i czytał — kolejno
dowody bożej mocy, wielkości, potęgi,
dalej o szczęściu, które może zdobyć człowiek,
żyjąc z światem w braterstwie... Łzy mu szły z pod powiek...

Czytał długo — aż nagle drgnął i podniósł czoło:
„Mędrzec patrzeć ma na świat i jego koleje
z punktu wieczności; wszystko przez Boga się dzieje:
co być może — być musi! Czasu błędne koło
tego tylko zaślepia, czyja dusza bierna
na wiatr losów się puszcza jako łódź bezsterna!“

On te słowa napisał! — a zwątpił, że jeszcze
wiele, wiele dni minie, nim zabłyśnie słońce?
Cóż to znaczy? — co znaczą marne lat tysiące,
co — dzisiejsze upadki, co — boleści dreszcze?
cóż znaczy, że dla prawdy cierpi dziś tak wielu? —
wszak świat musi dojść wreszcie do świętego celu!

Przyjdzie, przyjdzie to boże królestwo na ziemi!
przyjdzie szczęście i cnota, bo prawda zwycięża,
choć powoli, lecz pewnie, bez mieczy, oręża,
jako światło, co z niebios strugami jasnemi
na świat spływa! A kiedy przyjdzie? Wszystko jedno!
dość, że przyjdzie i ludzkość uszczęśliwi biedną!

I zawstydził się mędrzec, że zwątpił na chwilę,
i że wobec przyszłości pomyślał o sobie.
Cóż — że nie zrozumiany legnąć musi w grobie,
czyż on na dziś pracował? czyż żył, jak motyle
na dzień jeden żyjące? On się w grób położy,
walczył długo — zwycięstwo Duch odniesie boży!

PRAWDA

Tak być musi, tak będzie. Wiatr huczał na dworze
i rozwiewał po świecie suche, żółte liście;
ale mędrzec spokojnie słuchał wichru, w świście
jego czując potężne, święte tchnienie boże —
i szeptał tylko, patrząc w swoje życie żmudne:
„Jednak wszystko, co wzniosłe, rzadkie jest i trudne“...

Kraków. *Jerzy Żuławski.*

SPIS RZECZY.

Str.

1. Dedykacja V
2. Wzmianka biograficzna VII
3. Bibljografja pism Aleksandra Świętochowskiego, zebrał i ułożył **Stefan Demby.** IX
4. **Arnsztajnowa Franciszka.** Grajek 1
5. **Asnyk Adam (El...y).** Oddech Brahmy 9
6. **Belmont Leo.** W zaczarowanem kole 11
7. **Bem Antoni Gustaw.** Grzegorz z Sanoka 31
8. **Biegeleisen Henryk Dr.** Udział Stanisława Trembeckiego w sprawie Dugrumowej 37
9. **Bogacki Feliks.** Prawo rytmu 48
10. **Bożydar (Edmund Bogdanowicz).** Mazurek 62
11. **Brolis (Michał Szołkowski).** Wezwanie do poety 64
12. **Bugiel Włodzimierz.** Młoda Francja. Efraim Mikhael 68
13. **Bukowiński Władysław (Selim).** Na obcy ląd 77
14. **Chlebowski Bronisław.** Indywidualizm jako czynnik rozwoju artyzmu polskiego w wieku XVI 80
15. **Chmielowski Piotr.** Z dziejów postępu i reakcji u nas 94
16. **Daniłowski Gustaw.** Pociąg 106
17. **Daszyńska Zofja.** Miasto nowoczesne. Szkic ekonomiczny 115
18. **Dickstein Samuel.** Pojęcia mechaniczne Mikołaja Kopernika 126
19. **Dygasiński Adolf.** Koń w łaskach ludzkich 130
20. **Feldman Wilhelm.** W noc sierpniową 148
21. **Fredro Andrzej.** * * * 149
22. **Gliński Kazimierz.** Precz z poezją 150
23. **Gosiewski Władysław.** O prawdzie 152
24. **Grot Jerzy.** Tłum 153
25. **Grot-Bęczkowska Wanda.** Dla idei 157
26. **Gumplowicz Ludwik Dr.** Gdybym się spotkał z Kantem 164
27. **Hahn Wiktor Dr.** Drobne notatki do pism Juljusza Słowackiego 168
28. **Hodi J. T. (Józef Tokarzewicz).** Początki 179
29. **Jabłonowski Władysław.** Na krańcach indywidualizmu 186
30. **Jeż Teodor Tomasz.** O przelewaniu się fal 192
31. **Karłowicz Jan.** Mitologja i filozofja 197
32. **Konic Henryk.** Trybun ludowy za czasów Księstwa Warszawskiego 206

Str.

33. **Konopnicka Marja.** Do Aleksandra Świętochowskiego 218
34. **Korotyński Ludwik S.** Zbiorek pieśni ludowych Joachima Lelewela . . . 220
35. **Korzon Tadeusz.** Do rodowodu Kościuszków 224
36. **Kotarbiński Józef.** Stare prawo w nowej formie 227
37. **Kozłowski Władysław.** Stanowisko filozoficzne Aleksandra Świętochowskiego 231
38. **Kramsztyk Stanisław.** Wiedza przyrodnicza w wieku XIX 235
39. **Kraushar Aleksander.** List drugiego Dymitra Samozwańca do Mikołaja Wolskiego, marszałka wielkiego koronnego 245
40. **Krzemiński Stanisław.** Postęp i człowiek 249
41. **Krzywicki Ludwik.** Idea a życie 258
42. **Lange Antoni.** Pieśń hunnów 279
43. **Lasota.** Spotkanie 281
44. **Lubicz Rafał.** Próbka komizmu zeszłowiecznego 290
45. **Lutomski Bolesław.** Wady odziedziczone 293
46. **M-ski Adam.** O czem trawa gada? 297
47. **Majewski Erazm.** Odkrycia archeologiczne na wydmach stopnickich 303
48. **Marrené Morzkowska Walerja.** „Mały Eyolf“ Ibsena 308
49. **Matuszewski Ignacy.** Duch bajek indyjskich 314
50. **Merzbach Henryk.** Bez pieśni 320
51. **Méyet Leopold.** Mickiewicz nauczycielem prawa 321
52. **Morawska Zuzanna.** Kamień 331
53. **Nawrocki Władysław.** Magnetyzująca kobieta do swego medjum 332
54. **Niedźwiedzki Władysław.** Z notat słownikarza 334
55. **Niemojewski Andrzej.** Pro memoria 336
56. **Nossig Alfred.** Spotkanie z Świętochowskim 341
57. **Nusbaum Henryk Dr.** Natura i kultura 347
58. **Nusbaum Józef Dr.** Idea transformizmu i obecny rozwój biologji 351
59. **Orzeszkowa Eliza.** Sam na sam 358
60. **Parczewska Melanja.** Sonety I. Ciszińskiego 374
61. **Pawłowski Aleksander.** O cywilizacyjnem znaczeniu ulepszeń technicznych w druku i współczesnem znaczeniu prasy 376
62. **Pietkiewicz Zenon.** Strach 388
63. **Pilecki Antoni.** Dwa pytania 395
64. **Pług Adam.** Militia est vita hominis super terram 396
65. **Porębowicz Edward.** Z krwawego zdroju 398
66. **Prus Bolesław (Aleksander Głowacki)** Medytacje 403
67. **Radliński Ignacy.** Urywek nowo odnalezionej Ewangielji 404
68. **Rawita Fr.** Kilka słów do gienezy „Rybki“ A. Mickiewicza 422
69. **Reymont Władysław St.** Legienda wigilijna 427
70. **Rossowski Stanisław.** Na sądzie 430
71. **Sarnecki Zygmunt.** Życie i sen 432
72. **Sieroszewski Wacław.** Pieśniarze jakuccy i ich pieśni 435
73. **Smoleński Władysław.** Przygody rękopisu 441
74. **Stefan z Opatówka (Stefan Giller).** Pogrzeb wiosny 445
75. **Sterling Kazimierz.** Z cyklu „Nastroje“ 446
76. **Sterling Władysław.** Buk. Wierzba 447
77. **Szczęsna.** Cudowny kamień w Gwinei 449
78. **Szumski Teofil.** Pessymizm i optymizm 454
79. **Szymański Adam.** Jurdiuk Ustuk Us 455
80. **Tetmajer Kazimierz.** Fragment 464

Str.

81. **Uziębło Lucjan.** Syrokomli dwa szkolne „patenta na mądrość“ 465
82. **Walewska Cecylja.** Przysięgi 469
83. **Waśniewski Józef.** Na prostaczą nutę 476
84. **Wierzbicki Józef Stanisław.** Płacz słowiński 478
85. **Winiarski Leon Dr.** John Ruskin 486
86. **Zgliński Daniel.** Bajka indyjska 503
87. **Żeromski Stefan.** Akt pierwszy 504
88. **Żuławski Jerzy.** Benedykt Spinoza 517

Biblioteka Uczelni
M. K. Ostrowskiego

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
32661
3